

# Studnia wstąpienia

Brandon  
Sanderson

kontynuacja  
Z mgły zrodzonego



**Brandon Sanderson**

# STUDNIA

## WSTĄPIENIA

**Przełożyła Anna Studniarek**

Wydawnictwo MAG

Warszawa 2010

Tytuł oryginału:

*The Well of Ascension*

Copyright © 2007 by Brandon Sanderson

Copyright for the Polish translation © 2010 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:

Urszula Okrzeja

Korekta:

Elwira Wszyńska

Ilustracja na okładce:

Damian Bajowski

Opracowanie graficzne okładki:

Irek Konior

Projekt typograficzny, skład i łamanie:

Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-7480-153-9

Wydanie I

Wydawca:

Wydawnictwo MAG ul. Krypska 21 m. 63,

04-082 Warszawa tel./fax (0-22) 813 47 43

e-mail: [kurz@mag.com.pl](mailto:kurz@mag.com.pl) <http://www.mag.com.pl>

Druk i oprawa:

[drukarnia@dd-w.pl](mailto:drukarnia@dd-w.pl)

Wyłączny dystrybutor:

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk Sp. z o.o.

ul. Poznańska 91,

05-850 Ożarów Maz.

tel. (22) 721-30-00

[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

**CZĘŚĆ PIERWSZA**

# DZIEDZICZKA

## OCALAŁEGO

*Zapisuję te słowa w stali, gdyż nie można ufać temu, zostało wykute w metalu.*

Armia była niczym ciemna plama na horyzoncie.

Król Elend Venture stał nieruchomo na murach Luthadel, spoglądając na wrogie wojska. Wokół niego na ziemię opadały wielkie płyty popiołu. Nie wypalony, biały popiół, jak w palenisku, lecz czarny i żrący. Popielne Góry były ostatnio wyjątkowo aktywne.

Czuł, jak sadza opada na jego twarz i ubranie, ale ignorował to. Krwawe słońce niemal zachodziło na horyzoncie. Jego promienie padały na armię, która przyszła odebrać Elendowi królestwo.

- Jak wielu? - spytał cicho.

- Jakies pięćdziesiąt tysięcy - odparł Ham, opierając się o przedpiersie. Masywne ręce wsparł na kamieniu. Jak wszystko w mieście, tak i mur znaczyły ślady niezliczonych opadów popiołu.

- Pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy... - powtórzył Elend.

Mimo licznych zaciągów, miał pod swoim dowództwem zaledwie dwadzieścia tysięcy ludzi - i byli to chłopcy po rocznym przeszkoleniu. Utrzymanie nawet tak małej armii dużo go kosztowało. Gdyby udało im się odnaleźć atium Ostatniego Imperatora, sprawy miałyby się zupełnie inaczej. Na razie Elendowi groziła katastrofa gospodarcza.

- Co o tym myślisz? - spytał Elend.

- Nie wiem, El - odpowiedział cicho Ham. - To Kelsier miał wizję.

- Ale ty pomagałeś mu w planowaniu. Ty i pozostali, byliście jego ekipą. To wy wymyśliliście strategię doprowadzenia do upadku imperium, a później wcieliście ją w życie.

Ham umilkł, a młody król miał wrażenie, że słyszy jego myśli. To Kelsier był

najważniejszy. To on to zorganizował, to on zebrał nasze szalone pomysły i stworzył z nich realny plan. On był przywódcą. Geniuszem.

I zginął przed rokiem, dokładnie w dniu, w którym lud - zgodnie z jego tajemnym planem - powstał, by obalić boskiego władcę. W chaosie, który później nastąpił, Elend przejął

władzę. Teraz wydawało się, że straci wszystko, o co walczył Kelsier i jego ludzie. Podda się tyranowi, który może się okazać gorszy od Ostatniego Imperatora. Małostkowemu, przebiegłemu łotrowi w masce „arystokraty”. Człowiekowi, który właśnie prowadził swoją armię na Luthadel.

Własnemu ojcu, Straffowi Venture.

- Może udałoby ci się... nakłonić go do zmiany zdania? - spytał Ham.

- Może - odparł z wahaniem Elend. - Zakładając, że Zgromadzenie nie podda miasta.

- A mają zamiar?

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Martwię się, że tak. Armia ich przeraziła, Ham. Tak czy inaczej, mam propozycję spotkania za dwa dni. Spróbuję ich przekonać, żeby nie robili niczego pochopnie. Dockson dziś wrócił, prawda?

Ham pokiwał głową.

- Tuż przed dotarciem armii.

- Chyba powinniśmy zwołać spotkanie ekipy - stwierdził Elend. - Może ktoś wpadnie na jakiś pomysł.

- I tak nie będzie wszystkich - zauważył Ham, drapiąc się po brodzie. - Spook ma wrócić dopiero za tydzień, a Ostatni Imperator jeden wie, gdzie się podziewa Breeze. Od miesiąca nie mieliśmy od niego wiadomości.

Elend westchnął i potrząsnął głową.

- Nic mam innych pomysłów, Ham. - Odwrócił się i znów spojrzał na spopieliałą ziemię.

Po zachodzie słońca armia zaczęła rozpalać ogniska. Wkrótce pojawią się mgły.

Muszę wrócić do pałacu i zastanowić się nad tą propozycją, pomyślał Elend.

- Gdzie się podziała Vin? - spytał Ham.

Król się zastanowił.

- A wiesz, że nie mam pojęcia?

\*\*\*

Vin wylądowała miękko na bruku i patrzyła, jak zaczynają ją otaczać mgły. Pojawiały się wraz z zapadnięciem ciemności, wzrastały niczym przezroczyste pnącza, oplatając się i zwijając.

W wielkim mieście Luthadel panowała cisza. Nawet teraz, rok po śmierci Ostatniego Imperatora i przejęciu władzy przez Elenda, większość ludzi w nocy pozostawała w domach.

Bali się mgieł, a wiara ta sięgała głębiej niż rozkazy Ostatniego Imperatora.

Skradała się cicho. Wewnątrz jak zwykle spalała cynę i cynę z ołowiem. Cyna wyostrzała zmysły, pozwalając jej widzieć w ciemnościach. Cyna z ołowiem dodawała sił i wydłużała krok. Tych dwóch metali, wraz z miedzią, która ukrywała ją przed Allomancją spalających brąz, używała niemal przez cały czas.

Niektórzy twierdzili, że jest paranoiczką. Ona uważała się za przygotowaną. Tak czy inaczej, ten nawyk wielokrotnie uratował jej życie.

Zbliżyła się do rogu ulicy i wyjrzała. Nigdy tak naprawdę nie rozumiała, jak spala metale - robiła to przez całe życie, instynktownie wykorzystując Allomancję, nawet zanim Kelsier ją wyszkolił. Nie miało to dla niej większego znaczenia. Nie była jak Elend - nie potrzebowała logicznych wyjaśnień dla wszystkiego. Vin wystarczało, że, połykając kawałki metalu, mogła korzystać z ich mocy.

Moc doceniała, gdyż dobrze wiedziała, jak wyglądało życie bez niej. Nawet teraz nikt nie uznałby jej za wojowniczkę. Wiedziała, że ze swoimi pięcioma stopami wzrostu, szczupłą sylwetką, ciemnymi włosami i bladą skórą robiła wrażenie delikatnej. Co prawda nie była już niedożywiona, jak w dzieciństwie na ulicach, ale z pewnością nie robiła wrażenia groźnej.

I wcale jej to nie przeszkadzało. Dawało to jej przewagę - a tego potrzebowała.

Lubiła także noc. W ciągu dnia Luthadel było zatłoczone i ograniczające, nawet przy swoich rozmiarach. W nocy jednak mgły opadały niczym gęsta chmura. Tłumiły, łagodziły, zasłaniały. Potężne fortece stawały się zacienionymi górami, a zatłoczone domy stapały się razem niczym wypalone świece.

Vin skuliła się przy budynku, nadal wpatrując się w skrzyżowanie. Ostrożnie sięgnęła w głąb siebie i rozpałała stal - jeden z metali, który połknęła wcześniej. Natychmiast pojawiły się wokół niej przezroczyste niebieskie linie. Widoczne tylko dla niej, wskazywały na pobliskie źródła metalu - każdego metalu. Grubość linii zależała od wielkości kawałka metalu, z którym się łączyła. Niektóre wskazywały na brązowe zawiasy drzwi, inne na żelazne gwoździe w ścianach.

Czekała w ciszy. Żadna z linii się nie poruszała. Palenie stali było łatwym sposobem, by się zorientować, czy w okolicy ktoś się porusza. Jeśli miał na sobie choć trochę metalu, ciągnęły się za nim błękitne linie. Oczywiście, to nie było główne zastosowanie stali. Vin ostrożnie sięgnęła do sakiewki i spomiędzy tkaniny wyjęła jedną z wielu monet. Również od niej do piersi kobiety prowadziła błękitna linia.

Podrzuciła monetę, po czym chwyciła jej linię i spalając stal, Pchnęła monetę. Kawałek metalu uniósł się w powietrze i zatoczył łuk pośród mgieł. Upadł z brzękiem na środku ulicy.

Mgły wciąż się kłębiły. Były gęste i tajemnicze, nawet dla Vin. Bardziej gęste niż zwykłe opary i bardziej stałe niż normalne zjawisko atmosferyczne, burzyły się i wirowały, opływając ją strumieniami. Jej spojrzenie mogło je przebić - cyna wyostrzała wzrok. Dzięki niej noc wydawała się jaśniejsza, mgły nieco mniej gęste. Ale wciąż tam były.

Na placu poruszył się cień, w reakcji na monetę, którą Odepchnęła jako sygnał. Vin przekradła się bliżej i rozpoznała kandrę OreSeura. Nosił inne ciało niż rok wcześniej, kiedy odgrywał rolę lorda Renoux. Jednak ta łysiejąca, niczym się niewyróżniająca postać była teraz dla Vin równie znajoma.

OreSeur podszedł do niej.



- Czy znalazłaś to, czego szukałaś, panienko? - zapytał głosem pełnym szacunku, a jednocześnie jakby trochę wrogim. Jak zawsze.

Vin potrząsnęła głową, spoglądając w mrok.

- Może się myliłam? - odpowiedziała. - Może nikt mnie nie śledzi.

Te słowa sprawiły, że posmutniała. Miała ochotę na kolejne spotkanie z Obserwatorem.

Wciąż nie wiedziała, kim jest. Za pierwszym razem uznała go za skrytobójcę. I może tak rzeczywiście było. Jednak on w ogóle nie wydawał się zainteresowany Elendem - za to bardzo Vin.

- Powinniśmy wrócić na mur - stwierdziła, podnosząc się. - Elend będzie się zastanawiał, gdzie się podziałam.

OreSeur pokiwał głową. W tej właśnie chwili deszcz monet przebił mgły, kierując się w stronę dziewczyny.

*Zaczęłam się zastanawiać, czy jako jedyny pozostałem przy zdrowych zmysłach. Czy inni nie widzą? Tak długo czekali na nadejście bohatera - tego przepowiedzianego przez Terrisan - że teraz wyciągają pochopne wnioski i zakładają, że każda historia i legenda dotyczą tego jednego człowieka.*

Vin zareagowała natychmiast i odskoczyła. Poruszała się z niewiarygodną prędkością, jej mgielny płaszcz wirował, gdy ślizgała się po wilgotnym bruku. Monety uderzyły w ziemię za jej plecami i odbiły się od kamienia, pozostawiając ślady we mgle.

- OreSeur, idź! - rzuciła, choć on już uciekał w boczną uliczkę.

Vin przykucnęła, dotykając dłońmi i stopami zimnego kamienia. W jej żołądku płonęły allomantyczne metale. Rozpaliła stal, obserwując pojawiające się wokół przezroczyście niebieskie linie. Czekwała w napięciu...

Kolejna grupa monet wystrzeliła z ciemnej mgły, a każda ciągnęła za sobą niebieską linię. Vin natychmiast rozjarzyła stal i Odepchnęła monety, kierując je w mrok.

Znów zapadła cisza.

Ulica była szeroka - jak na Luthadel - lecz domy po obu stronach wznosiły się wysoko.

Mgły wirowały leniwie, ukrywając krańce ulicy.

Spośród oparów wyłoniła się i zbliżyła grupa ośmiu mężczyzn. Vin się uśmiechnęła.

Miała rację - ktoś ją śledził. Ci ludzie nie byli jednak Obserwatorem. Nie mieli jego dziwnego wdzięku, jego poczucia mocy. Byli o wiele bardziej toporni. Skrytobójcy.

To miało sens. Gdyby ona miała zamiar podbić Luthadel, przede wszystkim wysłałaby grupę Allomantów, by zabili Elenda.

Poczuła nagły nacisk z boku i zakłęła, gdy straciła równowagę, szarpana przez sakiewkę. Rozwiązała rzemień, pozwalając, by wrogowie Allomanta Odepchnął monety z dala od niej. Skrytobójcy mieli co najmniej jednego Monetozstrzelnego - Mglatego, który spalał stal i Odpychał metale. W rzeczy samej, widziała błękitne linie prowadzące do sakiewek dwóch skrytobójców. Vin zastanowiła się, czy nie odpowiedzieć tym samym i Odepchnąć ich sakiewki, ale się zawahała. Nie warto wykladać wszystkich kart na stół. Mogła potrzebować tych monet.

Bez własnych monet nie mogła zaatakować na dystans. A jeśli to była dobra drużyna, nie miałyby to większego sensu - ich Monetozstrzelni i Szarpacze zajęliby się jej pociskami.

Ucieczka też nic była rozwiązaniem. Ci ludzie nie przyszli tylko po nią - gdyby uciekła, ruszyliby dalej, w stronę swojego prawdziwego celu.

Nikt nie posyłał skrytobójców do zabicia ochroniarzy. Skrytobójcy zabijali ważnych ludzi. Ludzi takich jak Elend Venture, król Środkowego Dominium. Mężczyzna, którego kochała.

Vin rozjarzyła cynę z ołowiem - jej ciało stało się napięte, ożywione, niebezpieczne.

Czterech Zbirów na przodzie, pomyślała, spoglądając na zbliżających się mężczyzn. Spalający cynę z ołowiem będą nieludzko silni, zdolni do przeżycia wielu obrażeń. Z bliska niebezpieczni. A ten, który niesie drewnianą tarczę, to Szarpacz.

Rzuciła się do przodu, zmuszając najbliższych Zbirów do cofnięcia się. Ośmiu Mglistych przeciwko jednej Zrodzonej z Mgły to dla nich niezły układ sił - ale tylko jeśli zachowają ostrożność. Dwaj Monetozrzelnicy ustawili się po obu stronach ulicy, by móc ją Odpychać z obu kierunków. Ostatni mężczyzna, stojący w milczeniu obok Szarpacza, musiał

być Dymiarzem - mało ważnym w walce, jego zadaniem było ukrywanie drużyny przed wrogimi Allomantami.

Ośmiu Mglistych. Kelsier by sobie poradził, w końcu zabił Inkwizytora. Ale ona nie była Kelsierem. Nie wiedziała jeszcze, czy to dobrze, czy źle.

Vin odetchnęła głęboko, żałując, że nie ma trochę atium do poświęcenia, i spaliła żelazo. To pozwoliło jej Przyciągnąć pobliską monetę - jedną z tych, które zostały wystrzelone w jej stronę - tak jak stał pozwoliłaby ją Odepchnąć. Chwyciła ją, upuściła na ziemię i podskoczyła, udając, że chce Odepchnąć monetę i wznieść się w powietrze.

Wówczas jeden z Monetozrzelników Pchnął monetę, odrzucając ją na bok. Ponieważ Allomancja pozwalała na Odpychanie ciała bezpośrednio od przedmiotu - lub Przyciąganie do niego, Vin pozostała bez kotwicy. Odepchnięcie się od monety rzuciłoby ją na bok.

Opadła na ziemię.

Niech myślą, że mają mnie w pułapce, pomyślała, kucając pośrodku ulicy. Grupa Zbirów ruszyła do przodu z większą pewnością siebie. Tak, pomyślała Vin, wiem, co sobie myślicie. To jest ta Zrodzona z Mgły, która zabiła Ostatniego Imperatora? To chude coś? Czy to możliwe?

Sama się nad tym zastanawiała.

Pierwszy Zbir zaatakował i Vin natychmiast ruszyła. Obsydianowe sztylety zamigotały, gdy uwolniła je z pochew, i popłynęła krew, kiedy uskoczyła pod kijem napastnika i cięła go przez uda.

Mężczyzna krzyknął. Noc już nie była cicha.

Mgliści przeklinali, gdy Vin poruszała się między nim. Partner Zbira zaatakował ją -

nieprawdopodobnie szybko, dzięki mocy cyny z ołowiem. Jego kij zerwał pasmo tkaniny z płaszcza Vin, gdy rzuciła się na ziemię, po czym natychmiast się poderwała, by znaleźć się poza zasięgiem trzeciego Zbira.

W jej stronę poleciał deszcz monet. Vin Odepchnęła je. Monetozrzelnicy nie przestawali jednak Odpychać - i Odpychanie Vin uderzyło w niego.

Przyciąganie i Odpychanie metali wiązało się z masą. A to - z monetami pomiędzy nimi

- oznaczało, że Vin została rzucona przeciwko skrytobójcy. Oboje polecili do tyłu. Vin znalazła się poza zasięgiem Zbira, a Monetostrelny upadł na ziemię.

Kolejne monety spadły z drugiej strony. Nadal wirując w powietrzu, Vin rozjarzyła stal, dodając sobie mocy. Niebieskie linie były splątane, ale nie musiała izolować poszczególnych monet, by Odepchnąć je wszystkie.

Ten Monetostrelny wypuścił pociski, gdy tylko poczuł dotyk Vin. Kawałki metalu zniknęły wśród mgieł.

Vin uderzyła ramieniem o bruk. Przetoczyła się - rozjarzając cynę z ołowiem, by zachować równowagę - i poderwała na równe nogi. Jednocześnie spaliła żelazo i Przyciągnęła znikające monety.

Popędziły w jej stronę. Gdy tylko się zbliżyły, Vin odskoczyła w bok i Odepchnęła je w stronę zbliżających się Zbirów. Monety jednak natychmiast zmieniły kierunek ruchu i skręciły w stronę Szarpacza. Nie mógł Odepchnąć monet - jak wszyscy Mgliści, miał tylko jedną moc allomantyczną, i jego zadaniem było Przyciąganie żelazem.

Zrobił to skutecznie, chroniąc Zbirów. Uniósł tarczę i sapnął z wysiłku, gdy uderzyły w nią monety.

Vin znów się ruszyła. Pobieгла w stronę odsłoniętego Monetostrelnego po lewej, tego, który upadł na ziemię. Mężczyzna jęknął zaskoczony, a drugi Monetostrelny próbował

rozproszyć Vin, lecz było już za późno.

Zginał ze sztyletem w piersi. Nie był Zbirem - nie mógł spalać cyny z ołowiem, by wzmocnić swoje ciało. Vin uwolniła sztylet, po czym szarpnięciem zerwała jego sakiewkę.

Mężczyzna zabalgotał cicho i upadł na kamienie.

Jeden, pomyślała Vin, obracając się. Jej czoło skropił pot. Musiała teraz stawić czoło siedmiu mężczyznom w wąskiej, przypominającej korytarz ulicy. Spodziewali się, że będzie uciekać. Ona jednak zaatakowała.

Zbliżywszy się do Zbirów, skoczyła - i rzuciła na ziemię sakiewkę zabraną umierającemu. Drugi Monetostrelny krzyknął i natychmiast ją Odepchnął. Vin jednak udało się już wznieść i przeskoczyła nad głowami Zbirów.

Jeden z nich - ten ranny - był jednak na tyle bystry, by chronić Monetostrelnego. Gdy Vin wylądowała, uniósł pałkę. Uskoczyła przed jego pierwszym atakiem, uniosła sztylet i...

W jej polu widzenia nagle pojawiła się niebieska linia. Vin natychmiast zareagowała, skręcając i Odpychając się od zawiasów drzwi, by znaleźć się poza jego zasięgiem. Uderzyła bokiem o ziemię, podparła się na dłoni i stanęła na wilgotnych od mgły stopach.

Za jej plecami w ziemię uderzyła moneta, odbijając się od bruku. Nie zbliżyła się do niej. Właściwie wydawała się wycelowana w pozostałego przy życiu Monetostrzelnego.

Prawdopodobnie był zmuszony, by ją Odepchnąć.

Ale kto ją wystrzelił?

OreSeur? - zastanawiała się Vin.

Ale to by było głupie. Kandra nie był Allomantą - a poza tym nie przejąłby inicjatywy.

Robił wyłącznie to, co mu kazano.

Monetostrzelny wydawał się równie zaskoczony. Vin podniosła wzrok, rozjarzając cynę, i ujrzała mężczyznę stojącego na szczycie pobliskiego budynku. Ciemna sylwetka. Nie próbował się nawet ukryć.

To on, pomyślała. Obserwator.

Obserwator pozostał na swoim miejscu, nie wtrącając się, gdy grupa Zbirów ruszyła na Vin. Zakłęła, widząc trzy kije opadające jednocześnie. Uchyliła się przed jednym, ominęła drugi, a później wbiła sztylet w pierś mężczyzny trzymającego trzeci. Zatoczył się do tyłu, ale nie upadł. Cyna z ołowiem dodawała mu sił.

Dlaczego Obserwator się wtrącił? - zastanawiała się Vin, odskakując. Czemu rzucił tę monetę w stronę Monetostrzelnego, który przecież mógł ją Odepchnąć?

Te myśli niemal kosztowały ją życie, gdy niezauważony Zbir zaatakował ją z boku. To był mężczyzna, którego raniła w nogi. Vin zareagowała wystarczająco szybko, by uchylić się przed jego ciosem. Przez to jednak znalazła się w zasięgu pozostałych trzech.

Wszyscy zaatakowali jednocześnie.

Udało jej się uniknąć dwóch ciosów. Trzeci jednak trafił ją w bok. Potężny cios rzucił ją na drugą stronę ulicy, uderzyła w drewniane drzwi sklepu. Usłyszała trzask - całe szczęście drzwi, nie kości - i upadła na ziemię, bez sztyletów. Zwykły człowiek już by nie żył, jednak jej wzmocnione cyną z ołowiem ciało było twardsze.

Sapnęła ciężko, z trudem podniosła się na nogi i rozjarzyła cynę. Metal wzmocnił jej zmysły - w tym poczucie bólu - i ten nagły wstrząs sprawił, że oprzytomniała. Bolał ją bok w miejscu, w które została uderzona. Nie mogła się jednak zatrzymać. Nie w chwili, gdy biegł ku niej Zbir, unosząc kij do ciosu znad głowy.

Kucnąwszy w wejściu, Vin rozjarzyła cynę z ołowiem i chwyciła kij obiema rękami.

Warknęła, cofnęła lewą rękę i uderzyła pięścią w broń, jednym ciosem miażdżąc twarde drewno. Zbir się zatoczył, a Vin uderzyła swoją połową kija w jego oczy.

Choć oszołomiony, trzymał się na nogach. Nie mogę walczyć ze Zbirami, pomyślała.

Muszę się ruszać.

Rzuciła się w bok, ignorując ból. Tamci próbowali za nią podążyć, ale ona była lżejsza, szczuplejsza i, co najważniejsze, szybsza. Okrążyła ich, kierując się w stronę Monetostrelnego, Dymiarza i Szarpacza. Ranny Zbir cofnął się, by ich osłaniać.

Gdy Vin się zbliżyła, Monetostrelny rzucił w jej stronę dwie garście monet. Vin Odepchnęła je, po czym sięgnęła i Przyciągnęła te, które mężczyzna wciąż miał w swojej sakiewce.

Monetostrelny sapnął, gdy jego sakiewka szarpnęła się w stronę Vin. Zarzuciło nim.

Zbir chwycił go, by pomóc mężczyźnie utrzymać równowagę.

A skoro jej kotwica nie mogła się poruszyć, to Vin została Przyciągnięta w jej stronę.

Rozjarzyła żelazo i przeleciała w powietrzu, unosząc pięść. Monetostrelny krzyknął i pociągnął za rzemień, by uwolnić sakiewkę.

Za późno. Pęd Vin popchnął ją do przodu, wbiła pięść w twarz mężczyzny. Jego głowa się obróciła, kark trzasnął. Już na ziemi kobieta wbiła łokieć w brodę zaskoczonego Zbira, odrzucając go do tyłu. Później kopnęła go w szyję.

Żaden z mężczyzn się nie podniósł. Trzech załatwionych. Porzucona sakiewka upadła na ziemię i pękła, rozsypując na bruku setki błyszczących miedziaków. Zignorowała pulsowanie łokcia i odwróciła się do Szarpacza. Stał z tarczą i wyglądał na dziwnie mało zmartwionego.

Nagle za jej plecami rozległ się głośny trzask. Vin krzyknęła, jej wzmocnione przez cynę uszy zbyt mocno zareagowały na nagły dźwięk. Jej głowę przeszył ból, uniosła dłonie do uszu. Zapomniała o Dymiarzu, który stał, trzymając w rękach dwa kawałki drewna, wyrzeźbione tak, by wydawać głośne dźwięki.

Ruchy i reakcje, działania i ich konsekwencje - to była kwintesencja Allomancji. Cyna pozwalała jej przebijać wzrokiem mgły, dając przewagę nad skrytobójcami. Jednocześnie sprawiała, że jej słuch był wyjątkowo wrażliwy. Dymiarz znów uniósł kijki. Vin jęknęła i podniosła garść monet z bruku, rzucając je w stronę Dymiarza. Szarpacz oczywiście Przyciągnął je w swoją stronę. Odbiły się od jego tarczy. I wtedy Vin ostrożnie Odepchnęła jedną, by upadła za plecami mężczyzny.

Ten opuścił swoją tarczę, nieświadom poczynań Vin. Ona zaś Przyciągnęła samotną monetę w swoją stronę - i prosto w plecy Szarpacza. Upadł bez słowa.

Czterech.

Wszyscy znieruchomieli. Grupa Zbirów biegnących w jej stronę zatrzymała się, a Dymiarz opuścił kijki. Nie mieli Monetostrelnych ani Szarpaczy - nikogo, kto mógłby Przyciągać lub Odpychać metal - a Vin stała pośród monet. Gdyby je wykorzystwała, nawet Zbiry by tego nie wytrzymały. Musiała

tylko...

Kolejna moneta pojawiła się w powietrzu, wyrzucona z dachu Obserwatora. Vin zaklęła i się uchyliła. Moneta jednak nie uderzyła w nią. Trafiła Dymiarza prosto w czoło. Mężczyzna przewrócił się na plecy.

Co? - pomyślała Vin, wpatrując się w trupa.

Zbiry zaatakowały, lecz ona się cofnęła, marszcząc czoło. Czemu zabijać Dymiarza?

Już nie był zagrożeniem.

Chyba że...

Vin zgasiła miedź i zapaliła brąz, metal, dzięki któremu mogła wyczuwać innych Allomantów korzystających ze swoich mocy. Nie czuła Zbirów palących cynę z ołowiem.

Wciąż ktoś ich osłaniał, ukrywał Allomancję.

Ktoś inny palił miedź.

Nagle wszystko zaczęło mieć sens. Miało sens to, że grupa Mglistych ryzykuje atak na Zrodzoną z Mgły. Miało sens to, że Obserwator strzelił w stronę Monetostrzelnego. Miało sens, że zabił Dymiarza.

Vin znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Została jej chwila na podjęcie decyzji. Zrobiła tak pod wpływem przeczucia, ale dorastała na ulicach, jako złodziejka i oszustka. Przeczucia były dla niej bardziej naturalne niż logika.

- OreSeur! - wrzasnęła. - Do pałacu!

Oczywiście, był to szyfr. Vin skoczyła do tyłu, na chwilę ignorując Zbirów, gdy jej sługa wyłonił się z uliczki. Wyjął coś zza pasa i rzucił w stronę kobiety - niewielką szklaną fiolkę, w jakich Allomanci przechowywali opiłki metali. Vin szybko Przyciągnęła fiolkę do siebie. Niedaleko od niej drugi Monetostrzelny - który udawał martwego - zaklął i wstał.

Vin obróciła się na pięcie i szybko połknęła zawartość fiolki. Atium. Nie nosiła go przy sobie - nie mogła ryzykować, że ktoś Przyciągnie je podczas walki. Rozkazała OreSeurowi, by tej nocy pozostawał blisko i w razie czego podał jej fiolkę.

Monetostrzelny wyciągnął zza pasa ukryty szklany sztylet i rzucił się w stronę Vin przed Zbirami, którzy również się zbliżali. Zrodzony z Mgły, który czekał na właściwą chwilę, by zaatakować ją, kiedy nie będzie na to przygotowana.

Na pewno miał atium, a istniał tylko jeden sposób walki z kimś, kto je miał. Ten allomantyczny metal, używany jedynie przez Zrodzonych z Mgły, bez trudu mógł zmienić przebieg bitwy. Każdy

kawałek był wart fortunę - lecz na co przyda jej się fortuna, jeśli umrze?

Vin spaliła atium.

Świat wokół niej jakby się zmienił. Wszystkie poruszające się przedmioty - kołyszące się okiennice, unoszący się dym, napastnicy, nawet kłęby mgły - wypuszczały swą przezroczystą replikę. Repliki te poruszały się tuż przed swoimi rzeczywistymi odpowiednikami i pokazywały Vin, co się stanie za chwilę.

Tylko Zrodzony z Mgły pozostał odporny. Rzucił nie jeden, a wiele cieni atium - znak, że sam spalał ten metal. Zatrzymał się na chwilę. Ciało Vin w tej właśnie chwili musiały otoczyć dziesiątki skłębionych śladów. Teraz, kiedy widziała przyszłość, widziała jego zamiary, a to z kolei zmieniało jej zamiary. To zaś zmieniało jego zamiary. I tak oto pojawiło się nieskończenie wiele możliwości, niczym odbić w ustawionych naprzeciw siebie lustrach.

Żadne z nich nie miało przewagi.

Choć Zrodzony z Mgły się zatrzymał, czterech nieszczęsnych Zbirów nie przerywało ataku, nie mieli bowiem pojęcia, że Vin paliła atium. Odwróciła się, stając obok powalonego Dymiarza. Stopą podrzuciła dźwięczące kijki w powietrze.

Jeden ze Zbirów zbliżył się i uniósł broń do ciosu. Przezroczysty cień kija przeszedł

przez ciało Vin. Uskoczyła w bok i poczuła, jak rzeczywisty kij przelatuje ze świstem nad jej uchem. W aurze atium ten manewr wydawał się łatwy.

Złapała jeden z kijków i uderzyła nim w szyję Zbira. Obróciła się, pochwyciła drugi i trafiła nim w czaszkę mężczyzny. Padł do przodu, jęcząc, a Vin znów obróciła się na pięcie, bez trudu unikając dwóch kolejnych ciosów. Uderzyła swoimi kijkami z obu stron w głowę kolejnego napastnika. Pękły - wydając pusty dźwięk - podobnie jak czaszka mężczyzny.

Upadł i już się nie podniósł. Vin kopnięciem wyrzuciła jego broń w powietrze, wypuściła z rąk połamane kijki, i ją złapała. Obróciła się, zakręciła kijem i podcięła obu pozostałych Zbirów. Płynnym ruchem zadała dwa szybkie, mocne ciosy w ich twarze.

Przykucnęła, trzymając kij w jednej ręce, drugą opierając o wilgotne kamienie.

Zrodzony z Mgły nie zbliżał się, widziała niepewność w jego oczach. Moc nie zawsze równała się umiejętnościom, a do tego właśnie utracił dwie największe przewagi - zaskoczenie i atium.

Odwrócił się. Przyciągnął z ziemi garść monet i rzucił je. Nie w jej stronę, lecz OreSeura, który wciąż stał w bocznej uliczce. Zrodzony z Mgły najwyraźniej miał nadzieję, że troska Vin o sługę ją rozproszy, i może uda mu się uciec.

Mylił się.

Vin zignorowała monety i rzuciła się do przodu. W chwili, gdy OreSeur krzyknął z bólu, kiedy



kilka monet przebiło jego skórę, rzuciła kijem w głowę Zrodzonego z Mgły. W

chwili, gdy kawał drewna opuścił jej dłoń, jego cień znieruchomiał.

Zrodzony z Mgły uchylił się bez trudu. Ruch ten rozproszył go jednak na tyle, że Vin przebyła dzielącą ich odległość. Musiała atakować szybko - kawałek atium, który połknęła, był

mały. Szybko się wypali. A wtedy będzie odsłonięta. Jej przeciwnik zyska nad nią całkowitą władzę.

Jej przerażony przeciwnik uniósł sztylet. W tej właśnie chwili skończyło się jego atium.

Vin natychmiast to wykorzystała i uderzyła pięścią. Uniósł rękę, by zablokować jej cios, lecz ona to dostrzegła i zmieniła kierunek ataku. Uderzenie trafiło go w twarz. Wtedy pochwyciła jego szklany sztylet, nim roztrzaskał się o bruk. Stała i podcięła nim gardło mężczyzny.

Upadł bezgłośnie na ziemię.

Vin stała, dysząc ciężko, a wokół niej leżeli martwi skrytobójcy. Przez chwilę czuła przepelniającą ją moc. Z atium była niepokonana. Mogła uniknąć każdego ciosu, zabić wroga.

Jej atium się skończyło.

Nagle wszystko zaczęło blaknąć. Znowu poczuła ból, zakaszła. Na całym ciele miała sińce, i to spore. Może nawet popękały jej zębra.

Ale znowu zwyciężyła. Z trudem. Co by się stało, gdyby zawiodła? Gdyby nie obserwowała wystarczająco uważnie albo nie walczyła wystarczająco zręcznie?

Elend by zginął.

Vin westchnęła. On wciąż tam był, obserwując ją z dachu. Mimo kilku pościgów w ciągu kilkunastu miesięcy nigdy go nie dogoniła. Pewnej nocy zapędzi go w kąt.

Ale nie tej. Nie miała energii. Właściwie, nawet trochę się bała, że teraz ją zabije.

Ale... - pomyślała. Uratował mnie. Zginęłabym, gdybym za bardzo się zbliżyła do tamtego Zrodzonego z Mgły. Zapaliłby atium, ja bym o tym nie wiedziała i skończyłabym z jego sztyletami w piersi.

Obserwator stał na dachu jeszcze przez kilka chwil - jak zawsze otoczony kłębiącą się mgłą. Później skoczył w mrok. Nie goniła go, musiała się zająć OreSeurem.

Podeszła do niego i się zatrzymała. Jego nijakie ciało - w spodniach i koszuli sługi -

zostało obrzucone monetami, krew sączyła się z kilkunastu ran.

Podniósł na nią wzrok.

- Co? - spytał.

- Nie spodziewałam się krwi.

OreSeur parsknął.

- Pewnie nie spodziewałaś się też, że będę czuł ból.

Vin otworzyła usta, lecz nic nie powiedziała. Właściwie, o tym nawet nie pomyślała. Ta istota nie ma prawa mnie ganić, pomyślała ze złością.

Mimo to OreSeur okazał się użyteczny.

- Dziękuję za rzucenie mi fiolki - powiedziała.

- Taki był mój obowiązek, panienko - odparł OreSeur i chrząknął, z trudem opierając się o ścianę domu. - Pan Kelsier powierzył mi obowiązek opieki nad panienką. Jak zawsze służę zgodnie z Kontraktem.

Ach tak. Wszechmocny Kontrakt.

- Możesz iść?

- Z wielkim trudem. Monety złamały kilka kości. Będę potrzebował nowego ciała. Może jeden ze skrytobójców?

Vin się skrzywiła. Spojrzała znów w stronę ciał i na widok rzezi poczuła lekkie mdłości.

Zabiła ich, ośmiu mężczyzn, z okrutną skutecznością, której nauczył ją Kelsier.

Tym właśnie jestem, pomyślała. Zabójcą, jak oni. Tak musiało być. Ktoś musiał chronić Elenda.

Jednak na myśl o OreSeurze zjadającym jednego z nich - trawiącym trupa, pozwalającym, by dziwaczne zmysły kandra zapamiętały położenie jego mięśni, skóry i organów wewnętrznych, aby je później odtworzyć - robiło jej się niedobrze.

Spojrzała w bok i ujrzała w oczach OreSeura skrywaną pogardę. Oboje wiedzieli, co ona sądzi o zjedaniu przez niego ciała. Oboje wiedzieli, co on sądzi o jej uprzedzeniu.

- Nie - stwierdziła Vin. - Nie użyjemy tych ciał.

- W takim razie musisz mi znaleźć inne ciało - odparł OreSeur. - Zgodnie z Kontraktem nie mogę zostać zmuszony do zabijania ludzi.

Znów poczuła mdłości. Coś wymyślę, powiedziała sobie w duchu. Jego obecne ciało należało do mordercy i zostało zabrane po egzekucji. Vin trochę się martwiła, że ktoś w mieście go rozpozna.

- Czy uda ci się wrócić do pałacu? - spytała.

- Powoli - odparł OreSeur.

Vin pokiwała głową i zwolniła go, po czym znów spojrzała na trupy. Podejrzewała, że ta noc może się okazać punktem zwrotnym w historii Środkowego Dominium. Ten kawałek atium był jej ostatnim. Kiedy następnym razem zaatakuje ją Zrodzony z Mgły, będzie odsłonięta.

I pewnie zginie równie łatwo, jak Zrodzony z Mgły, którego zabiła tej nocy.

*Moi bracia ignorują inne fakty. Nie umieją pojąć innych dziwnych rzeczy, które się dzieją. Są głusi na moje zastrzeżenia i ślepi na moje odkrycia.*

Elend upuścił z westchnieniem pióro na biurko, odchylił się do tyłu i rozmasował skronie.

Sądził, że ze wszystkich żyjących wie najwięcej na temat teorii polityki. Z pewnością czytał więcej na temat ekonomii, uczył się więcej o rządach i przeprowadził więcej debat politycznych niż ktokolwiek z jego znajomych. Zrozumiał wszystkie teorie, jak uczynić kraj stabilnym i sprawiedliwym, i spróbował wprowadzić je w życie w swoim nowym królestwie.

Po prostu nie uświadamiał sobie, jak niesamowicie frustrująca może się okazać współpraca z parlamentem.

Podniósł się, żeby nalać sobie trochę schłodzonego wina. Zatrzymał się jednak, wyglądając przez balkon. Mgły w oddali wypełniała poświata. Ogniska armii jego ojca.

Odstawił wino. I tak był wyczerpany, a alkohol raczej nie mógł mu pomóc. Nie mogę usnąć, dopóki tego nie skończę, pomyślał i zmusił się do powrotu za biurko. Zgromadzenie wkrótce się zbierze, a on musiał jeszcze tej nocy przygotować propozycję.

Elend podniósł arkusz i przyjrzał się jego treści. Sam widział, jak bardzo ściśle jest jego pismo, a do tego na stronie było mnóstwo skreśleń i uwag - wyraźna oznaka jego frustracji. Od wielu tygodni wiedzieli o nadchodzącej armii, a Zgromadzenie wciąż dyskutowało, co należy zrobić.

Niektórzy jego członkowie pragnęli zaproponować traktat pokojowy, inni sądzą, że należy po prostu poddać miasto. Jeszcze inni uważali, że najlepszym rozwiązaniem będzie natychmiastowy atak. On sam obawiał się, że frakcja popierająca poddanie się zyskuje siły, stąd jego propozycja. Jeśli zostanie uchwalona, Elend kupi sobie trochę czasu. Jako król i tak miał prawo do pertraktacji z przedstawicielami obcych mocarstw. Propozycja nie pozwoli Zgromadzeniu na zrobienie niczego pochopnego, przynajmniej do chwili, gdy porozmawia z ojcem.

Elend znów westchnął i upuścił kartkę. Zgromadzenie liczyło zaledwie dwudziestu czterech mężczyzn, ale zmuszenie ich do wyrażenia zgody było trudniejsze od wszystkich problemów, jakimi się zajmowali. Odwrócił się, uniósł wzrok i spojrzał ponad samotną lampą na biurku w stronę ognisk. Nad głową słyszał tupot - to Vin przeprowadzała nocny obchód na dachu.

Uśmiechnął się, lecz nawet wspomnienie kobiety nie mogło poprawić mu humoru. Ta grupa skrytobójców, z którą walczyła w nocy. Czy mogę to jakoś wykorzystać? Może gdyby publicznie poinformował o ataku, przypomniałby członkom Zgromadzenia o pogardzie Straffa dla ludzkiego życia i zmniejszył ich chęć do poddania miasta. Ale... równie dobrze mogliby się przestraszyć, że naśle skrytobójców także na nich, i tym bardziej dążyć do poddania.

Czasem Elend zastanawiał się, czy Ostatni Imperator nie miał racji. Oczywiście, nie w kwestii uciskania ludu, ale zachowania samemu pełni władzy. Ostatnie Imperium było stabilne.

Przetrwało tysiąc lat, znosząc bunty i utrzymując władzę nad światem.

Ale Ostatni Imperator był nieśmiertelny, pomyślał Elend. Tej przewagi nigdy nie będę miał.

Zgromadzenie było lepszym pomysłem. Dając ludziom parlament z realną władzą ustawodawczą, Elend chciał stworzyć stabilny rząd. Ludzie mieli króla - symbol jedności zapewniający ciągłość. Człowieka, który nie musiał walczyć o ponowny wybór. Mieli jednak również Zgromadzenie - radę złożoną z ich rodaków, którzy byli ich głosem.

W teorii wszystko wydawało się cudowne. Zakładając, że przeżyją najbliższe miesiące.

Elend przetarł oczy, zanurzył pióro i zaczął dopisywać nowe zdania na dole dokumentu.

\*\*\*

Ostatni Imperator nie żył.

Nawet po upływie roku Vin trudno to było pojąć. Ostatni Imperator był... wszystkim.

Królem i bogiem, prawodawcą i najwyższym autorytetem. Wydawał się wieczny i absolutny, a teraz nie żył.

Vin go zabiła.

Oczywiście, prawda nie robiła aż tak wielkiego wrażenia, jak wszystkie historie. To nie heroiczna siła ani mistyczne moce umożliwiły jej pokonanie władcy. Po prostu poznała sposób, w jaki uczynił się nieśmiertelnym I fortunnie - niemal przypadkowo - udało się jej wykorzystać jego słabość. Nie była dzielna ani bystra. Po prostu miała szczęście.

Vin westchnęła. Sińce wciąż pulsowały, ale bywało, że czuła się już gorzej. Siedziała na dachu pałacu - niegdyś Twierdzy Venture - tuż nad balkonem Elenda. Jej reputacja być może była niezasłużona, ale pomogła utrzymać go przy życiu. Choć na terenach dawnego Ostatniego Imperium walczyły między sobą dziesiątki watażków, żaden z nich nie maszerował na Luthadel.

Aż do tej chwili.

Pod murami miasta płonęły ogniska. Straff wkrótce się dowie, że jego skrytobójcy zawiedli. Co wtedy? Zaatakują miasto? Ham i Clubs ostrzegali, że Luthadel nie wytrzyma zdecydowanego ataku. Straff musiał to wiedzieć.

Na razie jednak Elend był bezpieczny. Vin nabrała wprawy w odnajdowaniu i zabijaniu skrytobójców - niemal co miesiąc łapała kogoś, kto próbował wkraść się do pałacu. Wielu było zwykłymi szpiegami, bardzo niewielu Allomantami. Jednakże zwyczajny stalowy nóż mógł zabić Elenda tak samo, jak szklany sztylet Allomanty.

Nie pozwoli na to. Cokolwiek się działo - i to niezależnie od ofiar - Elend musiał

pozostać przy życiu.

Na wszelki wypadek podkrađła się do świetlika i sprawdziła co u niego. Siedział

bezpiecznie za biurkiem, pisząc jakąś nową propozycję czy edykt. Królewska władza zbytnio go nie zmieniła. Elend był starszy od niej o jakieś cztery lata, co oznaczało, że miał ich dwadzieścia kilka, i zawsze kładł wielki nacisk na naukę, a mały na wygląd. Cesał się jedynie wtedy, gdy czekało go ważne spotkanie, i jakimś sposobem nawet w dobrze uszytych strojach wyglądał nieco niechlujnie.

Był prawdopodobnie najlepszym człowiekiem, jakiego poznała. Szczerym, zdeterminowanym, byстрыm i troskliwym. I z jakiegoś powodu ją kochał. Czasem wydawało się jej to bardziej niesamowite niż udział w zabiciu Ostatniego Imperatora.

Vin uniosła wzrok, spoglądając na ogniska armii. Później rozejrzała się na boki.

Obserwator nie powrócił. Czasem w takie noce ją podpuszczał, zbliżał się niebezpiecznie do komnaty Elenda, po czym znikał.

Oczywiście, gdyby chciał go zabić, mógł to zrobić, kiedy walczyłam z innymi...

To była niepokojąca myśl. Vin nie mogła bez przerwy strzec Elenda. Przerażająco często był odsłonięty.

Owszem, miał innych strażników, niektórzy byli nawet Allomantami. Było ich jednak za mało. Skrytobójcy, którzy zaatakowali ją tej nocy, byli najlepiej wyszkolonymi i najniebezpieczniejszymi, jakich spotkała. Zadrżała na myśl o Zrodzonym z Mgły, który się wśród nich ukrywał. Nie był bardzo dobry, ale nie potrzebował wiele zdolności, by spalić atium i zranić Vin.

Mgły nadal się kłębiły. Obecność armii świadczyła o niepokojącej prawdzie - sąsiedni watażkowie zdobyli władzę nad swoimi terytoriami i zaczęli myśleć o ekspansji. Nawet jeśli Luthadel powstrzyma Straffa, nadejdą kolejni.

Vin zamknęła oczy i spaliła brąz, bojąc się, że Obserwator - lub jakiś inny Allomanta -

może być w pobliżu i planować atak na Elenda, gdy wszyscy rozluźnią się po powstrzymaniu ataku. Większość Zrodzonych z Mgły uważała brąz za mało użyteczny, gdyż łatwo go było zneutralizować. Za pomocą miedzi Zrodzony z Mgły mógł ukryć swoją Allomancję. Mógł

również chronić się przed manipulowaniem emocjami, używając cynku lub mosiądzu.

Większość Zrodzonych z Mgły uważała, że miedź należy palić bez przerwy.

A jednak... Vin umiała przebijać chmury miedzi.

Chmury miedzi nie dało się zobaczyć. Ta bańka martwego powietrza umożliwiała Allomantom spalanie metali bez obawy, że wykryją ich spalający brąz. Ale Vin wyczuwała Allomantów, którzy korzystali z metali wewnątrz chmury miedzi. Nie wiedziała jak. Nawet Kelsier, najpotężniejszy

Allomanta, jakiego znała, nie umiał przebić chmury miedzi.

Tej nocy jednak nic nie czuła.

Z westchnieniem otworzyła oczy. Jej dziwna moc była dezorientująca, lecz nie wyjątkowa. Marsh twierdził, że Stalowi Inkwizytorzy potrafili przebijać chmurę miedzi, na pewno umiał to też Ostatni Imperator. Ale... dlaczego ona? Dlaczego Vin - dziewczyna, która przeszła zaledwie dwa lata szkolenia Zrodzonego z Mgły - umiała to zrobić?

I jeszcze coś. Doskonale pamiętała tamten ranek, kiedy walczyła z Ostatnim Imperatorem. O jednym nikomu nie powiedziała - częściowo dlatego, że bała się, że potwierdza to legendy i plotki na jej temat. Jakimś sposobem sięgnęła do mgieł, wykorzystując je zamiast metali jako paliwo Allomancji.

Dopiero z tą mocą, mocą mgieł, pokonała Ostatniego Imperatora. Lubiła sobie powtarzać, że po prostu miała szczęście i przejrzała jego sztuczki. Ale... tamtej nocy wydarzyło się coś dziwnego, coś, co zrobiła. Coś, czego nie powinna była zrobić i czego nie udało się jej powtórzyć.

Vin pokręciła głową. Tak wielu rzeczy nie wiedzieli, i to nie tylko związanych z Allomancją. Wraz z innymi przywódcami rodzącego się królestwa Elenda dawali z siebie wszystko, ale bez przewodnictwa Kelsiera Vin czuła się ślepa. Plany, sukcesy, nawet cele były niczym niewyraźne sylwetki we mgle, bezkształtne i niejasne.

Nie powinieneś był nas zostawiać, Kell, pomyślała. Uratowałeś świat, ale mogłeś to zrobić, nie umierając. Kelsier, Ocalały z Hathsin, który wymyślił, jak doprowadzić do upadku Ostatniego Imperium i wprowadził swój plan w życie. Vin go znała, pracowała z nim, szkoliła się u niego. Był legendą i bohaterem. Ale był też człowiekiem. Omylnym. Niedoskonałym.

Skaa łatwo było oddawać mu cześć, a jednocześnie obwiniać Elenda i innych o trudną sytuację, do której doprowadził Kelsier.

Poczuła gorycz. Tak się często kończyło myślenie o Kelsierze. Może czuła się przez niego porzucona, a może chodziło o przykrą świadomość, że ten mężczyzna - podobnie jak sama Vin - nie do końca dorastał do swojej reputacji.

Vin westchnęła i przymknęła oczy, nadal paląc brąz. Walka wymagała od niej dużego wysiłku i dziewczyna zaczynała już się bać długich godzin, jakie zamierzała spędzić na straży.

Trudno było zachować czujność, kiedy...

Nagle coś wyczuła.

Gwałtownie otworzyła oczy, spalając cynę. Obróciła się na pięcie i skuliła na krawędzi dachu. Ktoś tam był i spalał metal. Brązowe impulsy rozbrzmiewały słabo, niemal niezauważalnie - jakby ktoś bardzo cicho uderzał w bęben. Tłumiła je chmura miedzi. Ten człowiek sądził, że ukryje go miedź.

Jak na razie Vin nie pozostawiła przy życiu nikogo - poza Elendem i Marshem - kto wiedział o jej dziwnej mocy.

Przekradła się do przodu, jej palce marzły od miedzianej blachy dachu. Próbowwała określić kierunek, z którego dochodziły impulsy. Było w nich coś... dziwnego. Nie umiała rozpoznać metali, które spalał jej wróg. Czy to był szybki, rytmiczny łomot cyny z ołowiem?

Czy może żelaza? Impulsy wydawały się niewyraźne, niczym fale w gęstym błocie.

Dochodziły z bardzo bliska... Na dachu...

Tuż przed nią.

Vin zamarła, przykucnięta, nocny wiatr rzucał jej mgłę w twarz. Gdzie on był? Jej zmysły pozostawały w konflikcie - brąz mówił, że tuż przed nią coś jest, ale jej oczy nie chciały się z tym zgodzić.

Wpatrzyła się w ciemne mgły, podniosła wzrok na tyle, by się upewnić, po czym wstała.

Po raz pierwszy mój brąz się pomylił, pomyślała, marszcząc czoło.

I wtedy to ujrzała.

Nie coś we mgle, ale coś z mgły. Postać znajdowała się kilka stóp od niej, trudna do zauważenia, gdyż jej kontury ledwie się odróżniały od oparów. Vin sapnęła i cofnęła się o krok.

Postać nadal tam stała. Niewiele mogła o niej powiedzieć - jej rysy były zamglone i niewyraźne, sugerowane przez chaotyczne poruszenia mgły. Gdyby nie trwałość postaci, mogłaby ją zignorować - niczym zwierzę widziane przez chwilę w chmurach.

Ale to coś się nie ruszało. Każde nowe pasmo mgły dodawało szczegóły do chudego ciała i podłużnej głowy. Przypadkowe, ale jednak trwałe. Sylwetka wydawała się ludzka, ale brakowało jej materialności Obserwatora. Wydawała się... wyglądała... niewłaściwie.

Postać zrobiła krok do przodu.

Vin zareagowała instynktownie, rzuciła garść monet i Odepchnęła je w powietrzu.

Kawałki metalu przebiły się przez mgłę, ciągnąc za sobą jej pasma, i przeszły przez mroczną sylwetkę.

Stała tam przez chwilę, po czym po prostu zniknęła, rozpraszając się w oparach.

\*\*\*

Elend zamasztył gestem napisał ostatnią linijkę, choć wiedział, że i tak będzie musiał dać tekst do przepisania skrybie. Mimo to był z siebie dumny. Wydawało mu się, że wymyślił argument, który ostatecznie przekona Zgromadzenie, by nie poddało się Straffowi.



Nieświadomie spojrział na stertę papierów na biurku. Na jej szczycie leżał niewinnie wyglądający żółty list, wciąż złożony. Przypominająca plamę krwi pieczęć została złamana.

List był krótki. Elend znał go na pamięć.

*Synu,*

*mam nadzieję, że podobało Ci się pilnowanie interesów rodu Venture w Luthadel. Zabezpieczyłem Północne Dominium i wkrótce wrócę do naszej twierdzy w Luthadel. Wtedy będziesz mógł mi przekazać kontrolę nad miastem.*

*Król Straff Venture*

Ze wszystkich watażków i despotów, którzy trapiли Ostatnie Imperium po śmierci ostatniego Imperatora, Straff był najbardziej niebezpieczny. Elend wiedział to z własnego doświadczenia. Jego ojciec był prawdziwym Imperialnym arystokratą - postrzegał życie jako rywalizację między lordami o to, który zdobędzie największą sławę. Dobrze sobie radził w tej grze i dzięki niemu ród Venture stał się jedną z najpotężniejszych rodzin szlacheckich przed Upadkiem.

Ojciec Elenda nie postrzegał śmierci Ostatniego Imperatora jako tragedii czy zwycięstwa, lecz jako okazję. Fakt, że syn, którego uważał za słabego i głupiego, obwołał się królem Środkowego Dominium, musiał Straffa doprowadzać do łez ze śmiechu.

Elend pokręcił głową i wrócił do propozycji. Przeczytam jeszcze parę razy, wprowadzę kilka drobnych poprawek, pomyślał, i w końcu będę mógł się przespać. Tylko...

Zakapturzona postać wskoczyła przez świetlik w dachu i z cichym łupnięciem wylądowała na podłodze za jego plecami.

Elend uniósł brew i odwrócił się w stronę przykucniętej postaci.

- Wiesz, nie bez powodu zostawiam otwarte drzwi balkonowe, Vin. Mogłabyś wejść tamtędy, gdybyś chciała.

- Wiem - odparła, po czym rzuciła się przez komnatę, poruszając się z nienaturalną zwinnością Allomanty.

Zajrzała pod łóżko, podeszła do szafy i gwałtownie otworzyła drzwi. Odskoczyła napięta niczym czujne zwierzę, lecz najwyraźniej nie znalazła w środku nic niebezpiecznego, gdyż odeszła i uchyliła drzwi prowadzące do dalszych komnat Elenda.

Mężczyzna przyglądał się jej z sympatią. Trochę czasu zajęło mu, zanim przyzwyczał

się do pewnych... nawyków Vin. Żartował z jej paranoi, ona jednak twierdziła, że jest tylko ostrożna. Mimo to, w połowie przypadków, kiedy odwiedzała jego komnaty, zaglądała pod łóżko i do szafy. Czasem się powstrzymywała, ale Elend łapał ją wtedy na nieufnych spojrzeniach w stronę potencjalnych kryjówek.

O wiele mniej się denerwowała, kiedy nie miała szczególnych powodów, by się o niego martwić. Jednakże Elend dopiero zaczynał rozumieć, że w głowie dziewczyny, którą znał

kiedyś jako Valette Renoux, kryje się bardzo skomplikowana osoba. Zakochał się w jej dwornej postaci, nie znając nerwowej i skrytej Zrodzonej z Mgły. Czasem trudno mu było postrzegać te dwie strony osobowości jako jedną i tę samą osobę.

Vin zamknęła drzwi, przystanąła na chwilę i przyjrzała mu się ciemnymi, okrągłymi oczami. Elend uśmiechnął się wbrew sobie. Mimo jej dziwactw - a może właśnie ze względu na nie - kochał tę szczupłą dziewczynę o zdecydowanym spojrzeniu i bezpośrednim charakterze.

Była piękna, bystra i nie przypominała innych kobiet, które znał.

Czasem go jednak martwiła.

- Vin? - spytał, wstając.

- Czy zauważyłeś dzisiaj coś dziwnego?

Zawahał się.

- Oprócz ciebie?

Skrzywiła się, przemierzając pokój. Elend wpatrywał się w jej drobną sylwetkę, odzianą w czarne spodnie, męską koszulę oraz mgielny płaszcz. Jak zwykle opuściła kaptur i poruszała się z dziwnym wdziękiem - nieświadomą elegancją kogoś spalającego cynę z ołowiem.

Skoncentruj się, nakazał sobie w duchu. Naprawdę jesteś zmęczony.

- Vin? Co się dzieje?

Spojrzała w stronę balkonu.

- Ten Zrodzony z Mgły, Obserwator, znów jest w mieście.

- Jesteś pewna?

Pokiwała głową.

- Ale nie sądzę, by dziś po ciebie przyszedł.

Elend zmarszczył czoło. Drzwi balkonowe wciąż były otwarte i wpadały przez nie pasma mgły, skradając się po podłodze, aż w końcu wyparowywały. Za drzwiami kryła się ciemność. Chaos.

To tylko mgła, powiedział sobie. Opary wody. Nie ma się czego bać.

- A dlaczego sądzisz, że Zrodzony z Mgły po mnie nie przyjdzie?

Wzruszyła ramionami.

- Po prostu to wiem.

Często tak odpowiadała. Vin dorastała na ulicy i ufała swoim instynktom. Podobnie Elend, choć czasem go to dziwiło. Przyjrzał jej się uważnie i wyczuł w niej niepewność. Coś jeszcze ją zaniepokoiło. Popatrzył jej w oczy, aż odwróciła wzrok.

- Co? - spytał.

- Widziałam... widziałam coś jeszcze - powiedziała. - Albo tak mi się wydawało. Coś we mgle, wyglądało jak człowiek z dymu. I wyczuwałam go, Allomancją. Ale zniknął.

Jeszcze bardziej zmarszczył czoło. Podeszedł bliżej i przytulił ją.

- Vin, zamęczasz się. Nie możesz nocami wędrować po mieście i nie kłaść się w ciągu dnia. Nawet Allomanci potrzebują odpoczynku.

Pokiwała głową. W jego ramionach nie przypominała potężnej wojowniczkii, która zabiła Ostatniego Imperatora. Wydawała się potwornie zmęczoną kobietą, przytłoczoną przez wydarzenia - i pewnie czuła się podobnie do Elenda.

Pozwoliła się przytulać. Z początku była nieco usztywniona. Zupełnie, jakby część jej osoby nadal spodziewała się bólu - pierwotna część, która nie mogła zrozumieć, że dotykać można z miłością, a nie tylko ze złością. Po chwili się rozluźniła. Elend był jednym z niewielu, którzy mogli tego dokonać. Kiedy go tuliła - naprawdę tuliła - trzymała się go z desperacją graniczącą z przerażeniem. Jakimś sposobem, mimo ogromnych umiejętności Allomanty i wielkiej determinacji, Vin była ogromnie wrażliwa. I wydawało się, że potrzebuje Elenda.

Cieszyło go to.

Choć czasem też frustrowało. Nie rozmawiali o jego propozycji małżeństwa i jej odmowie, ale Elend często myślał o tym spotkaniu.

Kobiety trudno zrozumieć, pomyślał, a ja sobie wybrałem najdziwniejszą z nich wszystkich. Nie mógł jednak narzekać. Kochała go. Mógł znieść jej nawyki.

Westchnęła, spojrzała na niego i w końcu się rozluźniła, gdy pochylił się, by ją pocałować. Trwali tak przez dłuższą chwilę, aż westchnęła. Później położyła głowę na jego ramieniu.

- Mamy jeszcze jeden problem - powiedziała cicho. - Wykorzystałam dziś resztkę atium.

- W walce ze skrytobójcami?

Vin pokiwała głową.

- Wiedzieliśmy, że w końcu do tego dojdzie. Nasz zapas nie leżał sobie w worku bez dna.

- Zapas? - powtórzyła Vin. - Kelsier zostawił nam tylko sześć kawałków.

Elend westchnął i znów ją przytulił. Jego nowy rząd miał odziedziczyć rezerwy atium Ostatniego Imperatora - rzekomy skład metalu, prawdziwy skarb. Kelsier liczył, że jego nowe królestwo będzie posiadać to bogactwo, umierał z taką nadzieją. Istniał tylko jeden problem -

nikomu nie udało się znaleźć tego składu. Odnaleźli tylko trochę - atium, z którego wykonano bransolety wykorzystywane przez Ostatniego Imperatora jako feruchemiczna bateria do przechowywania wieku. Wykorzystali je jednak dla miasta, poza tym w rzeczywistości nie było w nich dużo atium. Nie tyle, ile powinno znajdować się w składzie. Ten powinien znajdować się gdzieś w mieście - zapas atium tysiące razy większy niż te bransolety.

- Będziemy musieli sobie z tym poradzić - stwierdził Elend.

- Jeśli zaatakuje cię Zrodzony z Mgły, nie będę mogła go zabić.

- Tylko jeśli będzie miał atium - odparł. - A ono staje się coraz rzadsze. Wątpię, by inni królowie mieli go w nadmiarze.

Kelsier zniszczył Czeluście Hathsin, jedyne miejsce, w którym wydobywano atium.

Mimo to, gdyby Vin musiała walczyć z kimś, kto miał ten metal...

Nie myśl o tym, powiedział sobie w duchu. Szukaj dalej. Może uda się nam trochę kupić. A może znajdziemy skład Ostatniego Imperatora. O ile w ogóle istnieje...

Spojrzała na Elenda i dostrzegła troskę w jego oczach. Zrozumiał, że doszła do takich samych wniosków. W tej chwili niewiele mogli zrobić - Vin bardzo mądrze zachowała ich atium aż do tej chwili. Mimo to, gdy się cofnęła, a Elend wrócił do stołu, nie przestawał się zastanawiać, jak mogli zużyć ten metal. Jego lud będzie potrzebował jedzenia na zimę.

Tyle że, sprzedając metal, pomyślał siadając, dalibyśmy swoim wrogom do ręki najpotężniejszą allomantyczną broń. Lepiej, że Vin je zużyła.

Gdy wrócił do pracy, spojrzała mu przez ramię, zasłaniając światło lampy.

- Co to? - spytała.

- Propozycja blokująca Zgromadzenie do chwili, gdy wykorzystam swoje prawo do pertraktacji.

- Znowu? - spytała, przechylając głowę i mrużąc oczy, by odcyfrować jego pismo.

- Zgromadzenie odrzuciło poprzednią wersję.

Vin się skrzywiła.

- Czemu nie powiesz im, że mają ją przyjąć? Jesteś królem.

- Widzisz - odparł Elend - to właśnie próbuję udowodnić. Jestem tylko człowiekiem, Vin, być może ich zdanie jest lepsze od mojego. Jeśli wszyscy popracujemy nad propozycją, wyjdzie lepsza, niż gdyby pracował nad nią jeden człowiek.

Pokręciła głową.

- Będzie za słaba. Bez zębów. Powinieneś bardziej sobie ufać.

- To nie kwestia zaufania, tylko tego co właściwe. Przez tysiąc lat walczyliśmy z Ostatnim Imperatorem... jeśli będę postępować tak, jak on, to jaka będzie różnica?

Odwróciła się i spojrzała mu w oczy.

- Ostatni Imperator był złym człowiekiem. Ty jesteś dobry. Taka jest różnica.

Uśmiechnął się.

- Według ciebie to takie proste, co?

Vin skinęła głową.

Elend przechylił się i znów ją pocałował.

- Cóż, niektórzy z nas nieco komplikują sprawy, więc musisz nas znieść. A teraz mogłabyś łaskawie odsłonić lampę, żebym mógł wrócić do pracy?

Prychnęła, ale wstała i okrążyła biurko, roztaczając nikły zapach. Elend zmarszczył

czoło. Kiedy go nałożyła? Wiele z jej ruchów było tak szybkich, że ich nie zauważał.

Perfumy - kolejna ze sprzeczności tworzących kobietę imieniem Vin. We mgle ich nie używała, nakładała je tylko dla niego. Lubiła pozostawać niezauważona, ale kochała też zapachy - i złościła się, kiedy nie zauważał, że wypróbowuje nowy. Wydawała się podejrzliwa i paranoiczna, ale swoich przyjaciół darzyła niezachwianą lojalnością. Wychodziła w nocy ubrana w czerń i szarość, aby się ukryć, lecz Elend pamiętał ją z balów przed rokiem i wiedział, że wtedy w sukniach wyglądała naturalnie.

Z jakiegoś powodu przestała je nosić. Nie wyjaśniła dlaczego.

Potrząsnął głową, wracając do propozycji. W porównaniu z Vin polityka wydawała się prosta. Kobieta oparła ramiona na biurku, przyglądając się jego pracy i ziewając.

- Powinnaś odpocząć - powiedział, zanurzając pióro.

Zawahała się, po czym skinęła głową. Zdjęła płaszcz, otuliła się nim i ułożyła na dywanie przy jego biurku.

- Nie tutaj, Vin - powiedział z rozbawieniem.

- Gdzieś tam jest Zrodzony z Mgły - odpowiedziała stłumionym, zmęczonym głosem. -

Nie zostawię cię. - Zwinęła się w płaszczu, a Elend zauważył krótki grymas bólu na jej twarzy.

Oszczędzała lewą stronę.

Zwykle nie opisywała ze szczegółami swoich walk. Nie chciała go martwić. To nie pomagało.

Elend stłumił niepokój i znów zabrał się do czytania. Prawie skończył... jeszcze tylko trochę i...

Rozległo się pukanie do drzwi.

Odwrócił się, zastanawiając się, kto tym razem mu przeszkadza. Chwilę później w wejściu pojawiła się głowa Hama.

- Ham? - spytał Elend. - Nadal nie śpisz?

- Niestety - odparł mężczyzna, wchodząc do środka.

- Mardra cię zabije za kolejny tak późny powrót - stwierdził Elend, odkładając pióro.

Choć mógł narzekać na pewne przyzwyczajenia Vin, to przynajmniej tak samo jak on prowadziła nocny tryb życia.

Ham tylko przewrócił oczami. Wciąż nosił swoją kamizelkę i spodnie. Zgodził się zostać kapitanem królewskiej straży pod jednym warunkiem - że nie będzie musiał wkładać munduru. Vin otworzyła oczy, gdy wszedł do środka, i znów się rozluźniła.

- Tak czy inaczej - powiedział Elend - czemu zawdzięczam tę wizytę?

- Pomyślałem, że chciałbyś wiedzieć, że zidentyfikowaliśmy tych skrytobójców, którzy próbowali zabić Vin.

Elend pokiwał głową.

- Pewnie nawet ich znam. - Większość Allomantów pochodziła ze szlacheckich rodów, a on znał wszystkich na dworze Straffa.

- Wątpię - odparł Ham. - To byli ludzie z zachodu.

Elend zmarszczył czoło, a Vin uniosła głowę.

- Jesteś pewien?

Ham przytaknął.

- Wydaje się mało prawdopodobne, że twój ojciec ich wynajął... chyba żeby przeprowadził spory nabór w Fadrex. Pochodzili głównie z rodów Gardre i Conrad.

Młody król rozsiadł się wygodniej. Siedzibą jego ojca było Urteau, od wielu pokoleń dom rodu Venture. Fadrex znajdowało się na drugim końcu imperium, oddalone o wiele miesięcy drogi. Mało prawdopodobne, by jego ojciec miał kontakty z grupą zachodnich Allomantów.

- Słyszałeś kiedyś o Ashweatherze Cetcie? - spytał Ham.

Elend pokiwał głową.

- Ogłosił się królem Zachodniego Dominium. Dużo o nim nie wiem.

Vin usiadła ze zmarszczonym czołem.

- Myślisz, że to on ich posłał?

- Musieli czekać na okazję, żeby dostać się do miasta, a ruch wokół bram przez ostatnie dni dał im szansę. To oznacza, że przybycie armii Straffa i atak na życie Vin są w pewnym sensie zbiegiem okoliczności.

Elend spojrzał na swoją towarzyszkę. W jej oczach widział, że nie jest do końca przekonana, że to nie Straff posłał skrytobójców. On sam nie był jednak tak sceptyczny. Każdy tyran w okolicy przy takiej czy innej okazji próbował się go pozbyć. Czemu nie Cett?

To przez to atium, pomyślał z frustracją. Nie odnalazł zasobów Ostatniego Imperatora, ale to nie powstrzymało okolicznych despotów od zakładania, że gdzieś je ukrywa.

- Cóż, przynajmniej twój ojciec nie posłał skrytobójców - stwierdził Ham, jak zawsze optymista.

Elend pokręcił głową.

- Wierz mi, nasze pokrewieństwo go nie powstrzyma, Ham.

- To twój ojciec - zauważył kapitan. Wyglądał na zmartwionego.

- Dla Straffa takie rzeczy nie mają znaczenia. Pewnie nie wysłał skrytobójców, bo uznał, że nie jestem tego wart. Jeśli przetrwamy odpowiednio długo, zrobi to.

- Słyszałem o synach zabijających ojców, żeby zająć ich miejsce... - powiedział Ham, kręcąc głową - ale nie o ojcach zabijających synów... Zastanawiam się, jak o umyśle starego Straffa świadczy to, że gotów jest cię zabić. Czy uważasz, że...

- Ham... - przerwał mu Elend.

- Co?

- Wiesz, że zazwyczaj lubię prowadzić dyskusje, ale teraz nie mam czasu na filozofię.

- Ach, racja. - Mężczyzna uśmiechnął się słabo i podniósł. - I tak powinienem już wracać do Mardry.

Elend pokiwał głową, potarł skronie i znów podniósł pióro.

- Zorganizuj spotkanie ekipy. Musimy zebrać sojuszników. Jeśli nie wpadniemy na jakiś wyjątkowo błyskotliwy pomysł, to królestwo może być zgubione.

Ham odwrócił się, nie przestając się uśmiechać.

- W twoich ustach brzmi to tak rozpaczliwie, El.

Król spojrział na niego.

- Zgromadzenie to jeden wielki bałagan, czuję na karku oddech pół tuzina watazków z lepszymi armiami, mniej więcej raz w miesiącu ktoś próbuje mnie zabić, a ukochana kobieta powoli doprowadza mnie do szaleństwa.

Słyszając to ostatnie, Vin prychnęła.

- I to wszystko? - spytał kapitan. - Widzisz? Wcale nie jest tak źle. W końcu moglibyśmy stawiać czoło nieśmiertelnemu bogu i jego wszechpotężnym kapłanom.

Wbrew sobie Elend się roześmiał.

- Dobranoc, Ham - powiedział, wracając do propozycji.

- Dobranoc, Wasza Wysokość.

*Może mają rację. Może jestem szalony, zazdrosny albo po prostu głupi.*

*Nazywam się Kwaan. Filozof, uczony, zdrajca. To ja odkryłem Alendiego, i to ja pierwszy ogłosiłem go Bohaterem Wieków. To ja to wszystko zacząłem.*



Na ciele nie było żadnych widocznych ran. Leżało tam, gdzie je odnaleziono - inni wieśniacy bali się ruszyć trupa. Jego nogi i ramiona były niezgrabnie powyginane, a ziemia wokół poruszona od przedśmiertnych drgawek.

Sazed wyciągnął rękę i przeciągnął palcami wzdłuż jednego ze śladów. Choć ziemia we Wschodnim Dominium była o wiele bardziej gliniasta niż na północy, nadal wydawała się raczej czarna niż brązowa. Deszcze popiołu spadały nawet tak daleko na południu. Gleba bez popiołu, oczyszczona i nawieziona, była luksusem przeznaczonym dla ozdobnych roślin w ogrodach arystokracji. Reszta świata musiała sobie radzić z nieulepszoną ziemią.

- Mówicie, że był sam, kiedy umarł? - spytał Sazed, zwracając się do stojącej za nim niewielkiej grupki wieśniaków.

Ogorzały mężczyzna pokiwał głową.

- Jak mówiłem, mistrzu Terrisaninie. Stał sobie tam, nikogo nie było w okolicy.

Zatrzymał się, potem upadł i trochę rzucił się na ziemi. A później... po prostu przestał się ruszać.

Sazed odwrócił się z powrotem do trupa, przyglądając się jego napiętym mięśniom, twarzy zastygłej w grymasie bólu. Terrisanin zabrał ze sobą swoją medyczną miedzio myśl -

bransoletę owiniętą wokół prawego przedramienia - i teraz sięgnął do niej umysłem, wyciągając niektóre z zapamiętanych ksiąg, które w niej przechowywał. Tak, niektóre choroby zabijały z towarzyszeniem spazmów i drgawek. Rzadko zabierały człowieka tak szybko, ale zdarzało się. W innych okolicznościach Sazed nie zwróciłby większej uwagi na tę śmierć.

- Proszę, powtórz, co widziałeś - poprosił.

Ogorzały mężczyzna z przodu grupy, Teur, nieco zbladł. Był w dziwnej sytuacji -

naturalne pragnienie zyskania sławy skłaniało go, żeby opowiadał o swoim doświadczeniu.

Jednakże, robiąc to, mógł wywołać nieufność zabobonnych ziomków.

- Właśnie przechodziłem, mistrzu Terrisaninie - powiedział chłop. - Tamtą ścieżką, jakieś dwadzieścia jardów stąd. Widziałem, jak stary Jed pracuje w polu... on był zawsze pracowity. Niektórzy z nas zrezygnowali, kiedy panowie odeszli, ale stary Jed nie przestawał.

Wiedział, że będziemy potrzebować jedzenia na zimę, z panami czy bez nich.

Teur przerwał, spojrzał w bok.

- Wiem, co mówią ludzie, mistrzu Terrisaninie, ale widziałem, co widziałem. Był dzień, kiedy

przechodziłem, ale w dolinie była mgła. Zatrzymała mnie, bo w życiu nie wyszedłem we mgłę, żona może zaręczyć. Miałem zamiar zawrócić i wtedy zobaczyłem starego Jeda.

Pracował, jakby nie widział mgły. Miałem go zawołać, ale zanim zdążyłem, on... jak wam powiedziałem. Widziałem, jak tam stoi, potem znieruchomiał. Mgła trochę się wokół niego kłębiła, wtedy zaczął się rzucać, jakby coś bardzo dużego go trzymało i szarpało. Upadł. Potem już nie wstał.

Wciąż klęcząc, Terrisanin spojrzął na ciało. Teur najwyraźniej był znany jako bazarz. A jednak trup był ponurym potwierdzeniem - nie wspominając już o doświadczeniach Sazed sprzed kilku tygodni.

Mgła w ciągu dnia.

Sazed wstał i odwrócił się do wieśniaków.

- Przynieście mi łopatę, proszę.

\*\*\*

Nikt nie pomógł mu w kopaniu grobu. To była powolna, brudna robota w południowym upale, mimo że nadchodziła już jesień. Gliniastą ziemię trudno było ruszyć, ale na szczęście Sazed miał niewielki zapas siły w cynołowiomysłi, i teraz do niej sięgnął.

Potrzebował jej, gdyż nikt nie nazwałby go atletycznym. Wysoki, o długich kończynach, miał sylwetkę uczonego i wciąż nosił barwne szaty terrisańskiego lokaja. Nadal też golił głowę, jak to robił przez pierwsze czterdzieści kilka lat życia. Nie nosił zbyt wiele biżuterii - nie chciał kusić zbójców - ale małżowiny jego uszu były rozciągnięte i wielokrotnie przebite.

Siła zaczerpnięta z cynołowiomysłi nieco wzmocniła jego mięśnie, dając mu sylwetkę potężniejszego mężczyzny. Mimo to, nim skończył, jego szaty były przepocone i brudne.

Wtoczył ciało do grobu i przez chwilę stał w milczeniu. Ten mężczyzna był oddanym rolnikiem.

Sazed przeszukał swoją religijną miedziomysł w poszukiwaniu właściwej teologii.

Zaczął od indeksu - jednego z wielu, które stworzył. Kiedy znalazł właściwą religię, uwolnił

odpowiednie wspomnienia na temat jej praktyk. Pisma pojawiły się w jego umyśle tak wyraźnie jak wtedy, gdy skończył je zapamiętywać. W swoim czasie zblakłyby, jak wszystkie wspomnienia, wcześniej jednak zamierzał umieścić je z powrotem w miedziomysłi. Tak działali Opiekunowie, tak przechowywali ogromne bogactwo informacji.

Tego dnia wybrał wspomnienia HaDah, południowej religii czczącej rolnicze bóstwo.

Jak większość wyznań tłumionych w czasach Ostatniego Imperatora, tak i wiara HaDah nie istniała od tysiąca lat.

Kierując się zasadami ceremonii pogrzebowej HaDah, Sazed podszedł do najbliższego drzewa - a

raczej krzewu, który w tych okolicach uchodził za drzewo. Odłamał długą gałąź, obserwowany przez wieśniaków, i zaniósł ją do grobu. Pochylił się i wbił ją w ziemię tuż obok głowy trupa. Później wstał i zaczął zasypywać grób.

Chłopi przyglądali mu się tępo. Są tacy przygnębieni, pomyślał. Wschodnie Dominium było najbardziej chaotycznym i niespokojnym z Dominiów Wewnętrznych. Jedyjni mężczyźni w grupce byli już starzy.

Werbownicy działali skutecznie - mężowie i ojcowie z tej wioski pewnie zginęli na jakimś polu bitwy, które nie miało już znaczenia.

Trudno uwierzyć, że mogło istnieć coś gorszego od ucisku Ostatniego Imperatora.

Sazed powiedział sobie, że cierpienie tych ludzi przeminie i któregoś dnia zazną dobrobytu dzięki temu, czego dokonał wraz z innymi. Jednakże widział chłopów zmuszonych do zabijania siebie nawzajem, widział dzieci umierające z głodu, dlatego że jakiś despota „zarekwirował” cały zapas żywności wioski. Widział złodziei zabijających swobodnie, gdyż wojska Ostatniego Imperatora już nie patrolowały kanałów. Widział chaos, śmierć, nienawiść i nieład. I musiał

przyznać, że to częściowo była jego wina.

Nadal zasypywał grób. Został wyszkolony jako uczonek i służący - był terrisańskim lokajem, najbardziej użytecznym, najdroższym i najbardziej prestiżowym ze sług Ostatniego Imperium. To nie miało teraz zbyt wielkiego znaczenia. Nigdy nie kopał grobu, ale bardzo się starał, by z szacunkiem zasypać ciało. Ku jego zaskoczeniu wieśniacy zaczęli mu w pewnej chwili pomagać, spychając ziemię ze sterty.

Może dla nich jest jeszcze nadzieja, pomyślał Sazed, z wdzięcznością wręczając jednemu z nich łopatę. Kiedy skończyli, u szczytu grobu wystawał czubek gałęzi HaDah.

- Dlaczego to zrobiłeś? - spytał Teur, wskazując na gałąź.

Sazed się uśmiechnął.

- To ceremonia religijna, gospodarzu Teurze. Jeśli chcesz, może jej towarzyszyć modlitwa.

- Modlitwa? Coś ze Stalowego Zakonu?

Sazed pokręcił głową.

- Nie, przyjacielu. To modlitwa z wcześniejszych czasów, z czasów sprzed Ostatniego Imperatora.

Chłopi patrzyli po sobie, krzywiąc się. Teur drapał się po brodzie. Wszyscy jednak zachowali milczenie, gdy Sazed wypowiedział krótką modlitwę HaDah. Kiedy skończył, odwrócił się do nich.

- Zwano to religią HaDah. Niektórzy z waszych przodków pewnie ją wyznawali. Jeśli zechcecie, mogę was nauczyć jej zasad.

Zebrani stali w milczeniu. Nie było ich wielu - jakieś dwa tuziny, w większości kobiety w średnim wieku i kilku starych mężczyzn. Był też jeden młodzieniec z drewnianą nogą. Sazed zdziwił się, że tak długo przeżył na plantacji. Większość panów zabijała inwalidów, żeby nie wykorzystywali ich zasobów.

- Kiedy wraca Ostatni Imperator? - spytała jedna z kobiet.

- Raczej nie wróci - odparł Sazed.

- Dlaczego nas porzucił?

- To czas zmian - stwierdził Sazed. - Może również czas, by poznać inne prawdy, inne drogi.

Ludzie zaczęli się kręcić. Sazed westchnął cicho. Ci ludzie kojarzyli wiarę ze Stalowym Zakonem i jego obligatorami. Religia nie była czymś, co obchodziło skaa - co najwyżej starali się jej unikać.

Opiekunowie spędzili tysiąc lat, gromadząc i zapamiętując informacje o umierających religiach świata, pomyślał. Kto by się spodziewał, że teraz, po odejściu Ostatniego Imperatora, ludzie nie będą chcieli wiedzieć, co stracili?

Nie potrafił jednak źle myśleć o tych ludziach. Walczyli o przetrwanie, ich surowy świat stał się do tego wszystkiego nieprzewidywalny. Byli zmęczeni. Nic dziwnego, że nie interesowała ich rozmowa o dawno zapomnianych wierzeniach.

- Chodźcie - powiedział Sazed, kierując się do wioski. - Są inne rzeczy, bardziej praktyczne, których mogę was nauczyć.

*I to ja zdradziłem Alendiego; bo wiem teraz, że nie można mu pozwolić na wypełnienie misji.*

Vin widziała w mieście oznaki niepokoju. Robotnicy kręcili się niepewnie, a na targowiskach wyczuwało się obawę - lęk niczym u zapędzonego w kąt gryzonia.

Przestraszonego, ale niepewnego co robić. Skazanego na zagładę bez możliwości ucieczki.

W ciągu ostatniego roku wielu opuściło miasto - szlachetnie urodzeni uciekli, kupcy poszukali innych miejsc do prowadzenia interesów. Jednocześnie zjawilo się wielu skaa.

Usłyszeli o obiecanej przez Elenda wolności i przybyli z optymizmem, a przynajmniej taką dozą optymizmu, jaką potrafi z siebie wykrzesać przepracowana, niedożywiona i regularnie bita ludność.

I dlatego, mimo przewidywań, że Luthadel wkrótce upadnie, mimo plotek, że jego armia jest mała i słaba, ci ludzie zostali. Pracowali. Żyli. Jak zawsze. W życiu skaa nigdy nie było pewności.

Vin dziwiła się, widząc tak wielki ruch na targowisku. Szła ulicą Kenton, ubrana w swoje zwyczajowe spodnie i zapinaną na guziki koszulę. Przypomniała sobie, jak odwiedziła tę ulicę przed Upadkiem. Wtedy była to spokojna siedziba kilku luksusowych krawców.

Kiedy Elend zniósł ograniczenia dla handlarzy skaa, Kenton się zmieniła. Na ulicy wyrosły liczne sklepy, wózki i namioty. Aby zaspokajać potrzeby niedawno wyzwolonych - i opłacanych - robotników skaa, sklepikarze zmienili sposób prowadzenia handlu. Niegdyś wabili bogaczy pięknymi witrynami, teraz zaś wołali i namawiali, wykorzystując naganiaczy, sprzedawców, a nawet zonglerów, by ściągnąć klientów.

Na ulicy panował taki ruch, że Vin zwykle jej unikała, a tego dnia było jeszcze gorzej niż zwykle. Przybycie armii sprawiło, że ludzie gorączkowo kupowali i sprzedawali, próbując się zabezpieczyć. Panowała raczej ponura atmosfera. Mniej ulicznych grajków, więcej wrzasków. Elend nakazał zamknąć bramy, uniemożliwiając ucieczkę. Vin zastanawiała się, jak wielu ludzi żałowało swojej decyzji o pozostaniu.

Szła ulicą zdecydowanym krokiem, z rękami założonymi na piersiach, by ukryć nerwowość. Nawet jako dziecko - łobuziak na ulicach dziesiątek miast - nie lubiła tłumów.

Trudno było obserwować tak wielu ludzi, skupić się, gdy tyle wokół się działo. Jako dziecko trzymała się na krawędzi tłumów, ukrywając się i wypadając na chwilę, by chwycić zgubioną monetę czy kawałek jedzenia.

Teraz była inna. Zmuszała się, by iść z wyprostowanymi plecami, unikała też wbijania wzroku w ziemię lub szukania kryjówek. Stawała się w tym coraz lepsza, lecz tłumy zawsze przypominały jej, czym była kiedyś. Czym zawsze będzie, choćby w części.

Jakby w odpowiedzi na jej myśli, przez tłum przebiła się para uliczników. Za nimi gonił

z wrzaskiem potężny mężczyzna w fartuchu piekarza. W nowym świecie Elenda nadal żyli ulicznicy.

Właściwie, pomyślała, opłacanie skaa sprawiło, że świat stał się dla nich jeszcze lepszy. Mieli więcej sakiewek do obrobienia, więcej ludzi rozpraszających sklepikarzy, więcej odpadków i więcej rąk karmiących żebraków.

Trudno jej było pogodzić swoje dzieciństwo z takim życiem. W jej wspomnieniach dzieci na ulicy uczyły się być cicho i ukrywać, wychodzić w nocy i grzebać w odpadkach.

Jedynie najodważniejsi z uliczników okradali sakiewki - dla większości szlachetnie urodzonych życie skaa było bezwartościowe. W dzieciństwie Vin słyszała o wielu ulicznikach zabitych lub okaleczonych przez arystokratów.

Prawa Elenda nie wyeliminowały ubóstwa - mimo że tak bardzo tego pragnął - ale poprawiły życie nawet uliczników. Między innymi za to go kochała.

W tłumie było też kilku szlachetnie urodzonych, którzy zostali przekonani przez Elenda lub okoliczności, że ich majątek jest bezpieczniejszy w mieście niż poza nim. Byli zdesperowani, słabi albo szukali przygód. Vin spojrzała na przechodzącego mężczyznę, otoczonego przez strażników. Nie poświęcił jej drugiego spojrzenia - prosty strój wystarczał, by ją zignorować. Żadna szlachetnie urodzona by się tak nie ubrała.

Czy tym właśnie jestem? - zastanowiła się, stając przed sklepową witryną i przyglądając się wyłożonym księgom. Ich sprzedaż pośród znudzonej arystokracji była zawsze niewielkim, lecz zyskownym rynkiem. Wykorzystała odbicie również po to, by się upewnić, że nikt się do niej nie podkradnie. Czy jestem szlachetnie urodzona?

Można by się spierać, że była arystokratką przez spowinowacenie. Sam król ją kochał -

poprosił ją o rękę - a szkolił ją Ocalały z Hathsin. W rzeczy samej, jej ojciec pochodził ze szlacheckiego rodu, nawet jeśli matka była skaa. Vin pomacała prosty brązowy kolczyk, jedyną pamiątkę po matce.

Nie było tego wiele. Ale też nie była wcale pewna, czy ma ochotę myśleć o matce. Ta kobieta próbowała przecież zabić Vin i zabiła jej rodzoną siostrę. To Reen, jej przyrodni brat, uratował jej życie. Wyrwał zakrwawioną Vin z ramion kobiety, która chwilę wcześniej wepchnęła kolczyk w jej ucho.

A Vin go zatrzymała. Jako swego rodzaju pamiątkę. Tak naprawdę nie czuła się arystokratką. Czasem myślała, że ma więcej wspólnego ze swoją szaloną matką niż ze szlachtą ze świata Elenda. Bale i przyjęcia, na jakich bywała przed Upadkiem, były farsą. Sennym wspomnieniem. Zabrakło dla nich miejsca w tym świecie upadających rządów i nocnych skrytobójstw. Poza tym udział Vin w balach - jako Valette Renoux - był oszustwem.

Wciąż udawała. Udawała, że nie jest dziewczynką, która dorastała na ulicach w głodzie, którą częściej bito niż głaskano. Vin westchnęła i odwróciła się od okna. Mimo to następny sklep przyciągnął jej uwagę.

Sprzedawano w nim suknie balowe.

W sklepie nie było klientów - mało kto myślał o strojach w przededniu inwazji. Vin zatrzymała się przed otwartymi drzwiami, unieruchomiona niczym Przyciągany metal. W

środku manekiny prezentowały majestatyczne stroje. Vin przyjrzała się sukniom o wąskich taliach i rozszerzanych, dzwoniastych spódnicach. Niemal wyobrażała sobie, że jest na balu, w tle rozbrzmiewa cicha muzyka, stoły przykrywają idealnie białe obrusy, a Elend stoi na balkonie i kartkuje książkę...

Prawie weszła do środka. Ale po co? Miasto czekał atak. Poza tym suknie były drogie.

Wszystko wyglądało inaczej, kiedy wydawała pieniądze Kelsiera. Ale teraz wydawała majątek Elenda - czyli królestwa.

Odwróciła się od strojów i wróciła na ulicę. To już nie jestem ja. Valette jest bezużyteczna dla Elenda, on potrzebuje Zrodzonej z Mgły, a nie niezgrabnej dziewczyny w nie do końca dopasowanej sukni. Rany z poprzedniej nocy, potężne sińce, przypominały o jej miejscu. Dobrze się goiły - przez cały dzień spalała mnóstwo cyny z ołowiem - ale przez jakiś czas będzie jeszcze sztywna.

Vin przyspieszyła kroku, kierując się w stronę zagród dla bydła. Zauważyła jednak, że ktoś ją śledzi.

Cóż, „śledzenie” było może zbyt wielkim słowem - mężczyzna z pewnością nie umiał

się ukrywać. Łysiał na czubku głowy, ale nosił długie włosy. Miał na sobie prostą tunikę skaa - jednocześnie brązowy ubiór poplamiony popiołem.

Cudownie, pomyślała Vin. Także z tego powodu unikała targowiska, jak również innych miejsc, w których zbierali się skaa.

Przyspieszyła kroku, a wtedy mężczyzna również przyspieszył. Jego niezgrabne ruchy wkrótce wywołały zainteresowanie, lecz, zamiast go przeklinać, większość ludzi zatrzymywała się z szacunkiem. Wkrótce dołączyli inni i za Vin szedł spory tłumek.

Miała ochotę rzucić monetę i po prostu odlecieć. Jasne, pomyślała, użycie Allomancji za dnia. Dopiero nie będziesz rzucać się w oczy.

Westchnęła i odwróciła się do grupki. Nikt w niej nie wyglądał szczególnie groźnie.

Mężczyźni mieli na sobie spodnie i proste koszule, kobiety jednocześnie, wygodne sukienki.

Kilku mężczyzn było ubranych w pokryte popiołem tuniki.

Kapłani Ocalałego.

- Pani Dziedziczko - powiedział jeden z nich, podchodząc i padając na kolana.

- Nie nazywaj mnie tak - poprosiła cicho Vin.

Kapłan spojrział na nią.

- Proszę. Potrzebujemy wskazówek. Obaliliśmy Ostatniego Imperatora. Co teraz?

Vin cofnęła się o krok. Czy Kelsier rozumiał, co robi? Skłonił skaa, by w niego uwierzyli, później zginął jak męczennik, by zwrócić ich furię przeciwko Ostatniemu Imperium.

Czego spodziewał się potem? Czy mógł przewidzieć powstanie Kościoła Ocalałego - czy wiedział, że zastąpi Ostatniego Imperatora i sam stanie się bogiem?

Problem polegał na tym, że Kelsier nie pozostawił swoim wyznawcom doktryny.

Jego jedynym celem było pokonanie Ostatniego Imperatora - częściowo dla zemsty, częściowo traktował to jako swoje dziedzictwo, a częściowo - jak miała nadzieję Vin - by wyzwolić skaa.

Tylko co teraz? Ci ludzie musieli się czuć tak jak ona. Dryfowali i nie mieli światła, które by ich poprowadziło.

Vin nie mogła być tym światłem.

- Nie jestem Kelsierem - powiedziała, cofając się jeszcze bardziej.

- Wiemy - odparł jeden z mężczyzn. - Jesteś jego dziedziczką i tym razem to ty Ocalałaś.

- Proszę - powiedziała jedna z kobiet, trzymająca w ramionach dziecko, i zrobiła krok do przodu. - Pani Dziedziczko. Jeśli ręka, która powaliła Ostatniego Imperatora, mogłaby dotknąć mojego dziecka...

Vin próbowała cofnąć się jeszcze bardziej, ale odkryła, że dotarła do kolejnej gromadki ludzi. Kobieta podeszła bliżej i Vin w końcu niepewnie uniosła dłoń do czoła dziecka.

- Dziękuję - powiedziała kobieta.

- Ochronicie nas, prawda, Pani Dziedziczko? - spytał młody mężczyzna, nie starszy od Elenda, o brudnej twarzy i szczerych oczach. - Kapłani mówią, że powstrzymacie armię, że żołnierze nie wejdą do miasta, gdy wy w nim będziecie.

Tego było dla niej za wiele. Vin wymruczała coś w odpowiedzi, odwróciła się i przebiła przez tłum. Na szczęście, grupa wyznawców nie podążyła za nią.

Gdy w końcu zwolniła, oddychała ciężko, choć nie z wysiłku. Weszła w uliczkę między dwoma sklepami, stanęła w cieniu i zaplotła ręce na piersi. Spędziła życie, starając się pozostać niezauważoną. A teraz to wszystko minęło.

Czego oczekiwali od niej ludzie? Naprawdę myśleli, że sama zatrzyma armię? Tego nauczyła się na



samym początku szkolenia - Zrodzeni z Mgły nie byli niepokonani. Jednego człowieka mogła zabić. Dziesięciu sprawiłoby jej problemy. Armia...

Vin cofnęła się i odetchnęła głęboko. W końcu ponownie wyszła na ruchliwą ulicę.

Zbliżała się do swojego celu - niewielkiego, otwartego namiotu otoczonego przez cztery kojce.

Obok siedział handlarz, obszarpany mężczyzna z włosami tylko na połowie czaszki - prawej połowie. Vin stała przez chwilę, zastanawiając się, czy to dziwne uczesanie wynikało z choroby, rany czy też osobistych preferencji.

Mężczyzna poderwał się, gdy ujrzał ją przy kojcu. Otrzepał ubranie i podszedł do niej, w uśmiechu pokazując resztki zębów. Zachowywał się tak, jakby nie słyszał o armii za murami -

albo w ogóle go nie obchodziła.

- Dzień dobry, panienko - powiedział. - Szukacie szczeniaczka? Mam tu takie małe nicponie, które pokocha każda dziewczynka. Proszę, oto jeden. To z pewnością najśłodsze stworzonko, jakie widzieliście.

Vin zaplotła ręce na piersi, gdy mężczyzna sięgnął po szczeniaka w jednym z kojców.

- Właściwie to szukam wilczarza - powiedziała.

Handlarz podniósł wzrok.

- Wilczarza, panienko? To nie jest pies dla takiej dziewczyny. Paskudne bestie. Znajdę wam słodkiego terierka. Są milutkie i bardzo mądre...

- Nie - przerwała mu Vin. - Przyrowadzisz mi wilczarza.

Mężczyzna się zawahał. Patrzył na nią, drapiąc się po ciele.

- W sumie mogę sprawdzić...

Ruszył w stronę kojca najbardziej oddalonego od ulicy. Vin czekała, marszcząc nos z powodu smrodu, gdy handlarz ryczał na swoje zwierzaki, Wybierając odpowiedniego. W

końcu przyprowadził do niej psa na smyczy. Był to wilczarz, choć niewielki, ale miał słodkie, łagodne spojrzenie i najwyraźniej przyjazne usposobienie.

- Ostatni z miotu - powiedział handlarz. - Dobre zwierzę dla młodej dziewczyny.

Powinien być też doskonałym towarzyszem polowań. Te wilczarze mają lepszy węch niż inne stworzenia.

Vin sięgnęła po sakiewkę, lecz zatrzymała się, spoglądając na sapiącego psa. Wydawało jej się, że

się do niej uśmiecha.

- Na Ostatniego Imperatora - warknęła, przepychając się obok psa i jego właściciela w stronę ostatniego kojca.

- Panienko? - spytał mężczyzna, niepewnie ruszając za nią.

Vin przyjrzała się wilczarzom. Z tyłu zauważyła potężne, szaroczarne stworzenie. Było przykuty łańcuchem do słupa i spoglądało na nią wyzywająco, a w jego gardle rodziło się warczenie.

Pokazała go palcem.

- Ile za tamtego z tyłu?

- Tamtego? - powtórzył kupiec. - Panienko, to pies stróżujący. Powinien zostać wypuszczony w posiadłości pana, by zaatakować każdego, kto wejdzie! To jedno z najpaskudniejszych stworzeń, jakie widziałem!

- Doskonale - stwierdziła Vin, wyjmując kilka monet.

- Panienko, nie mogę wam sprzedać tej bestii. Wcale a wcale. Waży chyba półtora raza więcej od panienki.

Vin kiwnęła głową, po czym weszła do kojca. Handlarz krzyknął, lecz ona podeszła do wilczarza. Obszczekał ją, a na jego pysku pojawiła się piana.

Bardzo mi przykro, pomyślała Vin. Spaliła cynę z ołowiem, pochyliła się i uderzyła pięścią w łeb zwierzęcia.

Pies zamarł, zakołysał się i padł na ziemię. Mężczyzna zatrzymał się tuż przy niej.

Patrzył na to z otwartymi ustami.

- Smycz - rozkazała Vin.

Dał jej. Związała nią łapy zwierzęcia, po czym zarzuciła je sobie na plecy. Zadrżała lekko z powodu bólu w boku.

Lepiej, żeby nie obślinił mi koszuli, pomyślała, podając handlarzowi monety, i ruszyła w stronę pałacu.

\*\*\*

Vin rzuciła nieprzytomnego wilczarza na ziemię. Strażnicy patrzyli na nią dziwnie, kiedy weszła do pałacu, ale do tego się już przyzwyczaiła. Otrzepała rękę.

- Co to? - spytał OreSeur.

Dotarł do komnat Vin w pałacu, ale jego obecne ciało było bezużyteczne. Musiał

stworzyć mięśnie w miejscach, w których ludzie ich nie mieli, by utrzymać szkielet w jednym kawałku, a choć uleczył rany, jego ciało wyglądało nienaturalnie. Wciąż miał na sobie zakrwawione ubranie z poprzedniego wieczoru.

- To - odpowiedziała, wskazując na wilczarza - jest twoje nowe ciało.

OreSeur się zawahał.

- To? Panienko, to jest pies.

- Owszem - potwierdziła Vin.

- Jestem człowiekiem.

- Jesteś kandrą - sprzeciwiła się. - Możesz udawać ciało i mięśnie. Co z futrem?

Kandra nie wyglądał na zachwyconego.

- Nie mogę go udawać - przyznał - ale mogę wykorzystać jego futro, podobnie jak kości.

Ale z pewnością jest...

- Nie zabiję dla ciebie, kandro - powiedziała Vin. - A nawet gdybym kogoś zabiła, nie pozwoliłabym ci go zjeść. Poza tym to będzie o wiele mniej podejrzane. Ludzie zaczną gadać, jeśli wciąż będę zastępować lokajów nieznanymi. Od wielu miesięcy powtarzałam, że mam zamiar pozbyć się ciebie. Cóż, powiem im, że w końcu to zrobiłam... i nikt nawet nie pomyśli, że mój nowy pies to w rzeczywistości mój kandra.

Odwróciła się, wskazując na zewłok.

- To będzie bardzo przydatne. Ludzie zwracają mniej uwagi na psy niż na innych ludzi, więc będziesz mógł podsłuchiwać rozmowy.

OreSeur się nachmurzył.

- To nie będzie łatwe. Musisz mnie do tego zmusić, przez Kontrakt.

- Dobrze - stwierdziła Vin. - To rozkaz. Jak długo ci to zajmie?

- Zwykle ciało zajmuje kilka godzin - odparł OreSeur. - To może potrwać dłużej.

Sprawienie, by tak wiele futra wyglądało naturalnie, będzie sporym wyzwaniem.

- To zabieraj się do roboty - powiedziała i odwróciła się w stronę drzwi.

Po drodze zauważyła jednak niewielkie pudełko na biurku. Zmarszczyła czoło, podeszła i zdjęła

pokrywę. W środku znajdował się list.

*Pani Vin,*

*oto kolejny stop, o który prosiłaś. Aluminium trudno zdobyć, ale kiedy pewna szlachetna rodzina opuszczała niedawno miasto, kupiłem część z ich sztucców.*

*Nie wiem, czy to zadziała, ale myślę, że warto spróbować. Zmieszałem aluminium z czterema procentami miedzi, a wynik uważam za obiecujący.*

*Czytałem o tym stopie - nazywają go duraluminium.*

*Twój sługa Terion*

Vin uśmiechnęła się, odłożyła list i wyjęła resztę zawartości pudełka - małą sakiewkę z metalowym pyłem i cienką srebrzystą sztabkę, prawdopodobnie właśnie owo „duraluminium”.

Terion był doskonałym allomantycznym metalurgiem. Choć sam nie był Allomantą, przez większość życia przygotowywał stopy i pyły dla Zrodzonych z Mgły i Mglistych.

Schowała sakiewkę i sztabkę, po czym odwróciła się do OreSeura. Kandra spoglądał na nią beznamiętnie.

- To przyszło dzisiaj? - spytała Vin, wskazując na pudełko.

- Tak, panienko - odparł. - Kilka godzin temu.

- I nie powiedziałaś mi?

- Przepraszam, panienko - odpowiedział kandra swoim pozbawionym emocji głosem -

ale nie rozkazałaś mi mówić, że przyszła do ciebie jakaś przesyłka.

Vin zacisnęła zęby. Wiedział, jak niecierpliwie czeka na nowy stop od Teriona.

Wszystkie poprzednie stopy aluminium były nieudane. Niepokoiło ją, że istnieje jeszcze jeden allomantyczny metal, który tylko czeka na odkrycie. Nie zazna satysfakcji, dopóki go nie znajdzie.

OreSeur siedział na swoim miejscu, a przed nim leżał nieprzytomny wilczarz.

- Zabieraj się do roboty - powiedziała, obróciła się na pięcie i ruszyła w poszukiwaniu Elenda.

\*\*\*

Vin w końcu odnalazła go w gabinecie, gdzie przeglądał rejestry. Obok niego stała znajoma postać.

- Dox! - wykrzyknęła.

Przybył poprzedniego dnia, jednak szybko wrócił do swoich komnat i nie miała okazji się z nim zobaczyć.

Dockson podniósł wzrok i się uśmiechnął. Był przysadzisty, ale nie gruby, miał krótkie ciemne włosy i wciąż nosił bródkę.

- Witaj, Vin.

- Jak było w Terris? - spytała.

- Zimno - odparł. - Cieszę się, że wróciłem. Choć wolałbym nie widzieć tej armii.

- Tak czy inaczej, cieszymy się, że jesteś, Dockson - powiedział Elend. - Bez ciebie królestwo się rozpada.

- Nie sędzę - odrzekł Dockson, odkładając rejestr na stertę. - Biorąc wszystko pod uwagę, wygląda na to, że królewska biurokracja trzymała się pod moją nieobecność całkiem nieźle. Właściwie mnie nie potrzebujecie!

- Bzdura! - sprzeciwił się Elend.

Vin oparła się o drzwi, spoglądając na mężczyzn dalej prowadzących rozmowę.

Otoczała ich atmosfera fałszywej jowialności. Obaj byli zdecydowani zadbać o rozwój nowego królestwa, nawet jeśli oznaczało to udawanie, że się lubią. Dockson wskazywał na różne miejsca w rejestrach, mówiąc o finansach i o tym, czego dowiedział się w najdalszych wioskach pod władzą Elenda.

Kobieta westchnęła i spojrzała na drugą stronę komnaty. Promienie słońca wpadały przez witrażową rozetę, plamiąc rejestry i stół. Nawet po takim czasie Vin nie potrafiła się przyzwyczaić do swobodnego bogactwa szlacheckiej twierdzy. Okno, czerwone i lawendowe, było niezwykle piękne i skomplikowane. Jednak arystokraci najwyraźniej uważali je za tak pospolite, że umieścili je w jednym z pokojów na tyłach, obecnie służącym jako gabinet Elenda.

Jak można się było spodziewać, pomieszczenie wypełniały sterty książek. Regały sięgały od ziemi do sufitu, lecz nie były zdolne pomieścić coraz większej kolekcji Elenda. Vin nie podzielała jego gustu, jeśli chodzi o książki. Większość zbiorów stanowiły dzieła polityczne i historyczne, dotyczące tematów równie zatęchłych, jak ich stare kartki. Wiele było niegdyś zakazanych przez Stalowy Zakon, jednak starożytni filozofowie nudzili nawet wtedy, gdy poruszali najbardziej nieobyczajne tematy.

- Tak czy inaczej - powiedział Dockson, w końcu zamykając rejestr - mam jeszcze coś do zrobienia przed twoim jutrzejszym przemówieniem, Wasza Wysokość. Czy Ham wspomniał o spotkaniu obrony miasta jutrzejszego wieczoru?

Elend pokiwał głową.

- Zakładając, że przekonam Zgromadzenie, by nie oddawało miasta mojemu ojcu, będziemy musieli

wymyślić strategię walki z tą armią. Jutro wieczorem kogoś po ciebie przyślę.

- Dobrze - odpowiedział Dockson.

Po tych słowach ukłonił się Elendowi, mrugnął do Vin i wyszedł.

Gdy zamknął za sobą drzwi, król westchnął i usadowił się wygodniej w obitym pluszem fotelu.

Vin podeszła do niego.

- To naprawdę dobry człowiek, Elendzie.

- Wiem o tym. Ale dobry nie zawsze oznacza miły.

- Miły też jest - sprzeciwiła się. - Niezachwiany, spokojny, zrównoważony. Ekipa na nim polegała. - Choć Dockson nie był Allomantą, był prawą ręką Kelsiera.

- On mnie nie lubi, Vin - stwierdził Elend. - Trudno dogadać się z kimś, kto tak na mnie patrzy.

- Nie dałeś mu szansy - odparła, zatrzymując się przy jego siedzisku.

Spojrzał na nią ze słabym uśmiechem. Kamizelkę miał rozpiętą, włosy rozczochrane.

- Hm... - mruknął, biorąc ją za rękę. - Podoba mi się ta koszula. Dobrze wyglądasz w czerwieni.

Vin przewróciła oczami. Pozwoliła się przyciągnąć bliżej i pocałować. W pocałunku kryła się namiętność - może potrzeba czegoś stałego. Odpowiedziała, rozluźniając się w jego objęciach. Kilka chwil później westchnęła i usadowiła się na fotelu obok niego. Przyciągnął ją bliżej i odwrócił siedzisko w stronę słońca, po czym uśmiechnął się i spojrzał na Vin.

- Czuję... nowe perfumy.

Vin prychnęła i oparła głowę o jego pierś.

- To nie perfumy, tylko pies.

- A, dobrze - powiedział. - Martwiłem się, że tracisz rozum. A jest jakiś powód, dla którego pachniesz psem?

- Poszłam na targ i kupiłam jednego, a potem przyniosłam go tutaj i dałam OreSeurowi, jako jego nowe ciało.

Elend się zamyślił.

- Ależ Vin, to doskonały pomysł! Nikt nie podejrzewa, że pies może być szpiegiem.

Zastanawiam się, czy ktoś już kiedyś o tym pomyślał...

- Na pewno - odparła. - To znaczy, to przecież ma sens. Sądzę jednak, że ten, kto o tym pomyślał, niekoniecznie chciał się tym dzielić.

- Racja - stwierdził i usadowił się wygodniej.

Vin wyczuwała w nim napięcie. Jutrzejsze przemówienie, pomyślała. To nim się martwi.

- Muszę jednak zauważyć - powiedział leniwie Elend - że trochę rozczarowuje mnie fakt, iż nie używasz perfum o zapachu psa. Przy twojej pozycji wyobrażam sobie, że niektóre miejscowe szlachcianki chciałyby cię naśladować. To mogłoby się okazać zabawne.

Podniosła wzrok i spojrzała mu w twarz.

- Wiesz co, Elendzie... czasem cholernie trudno powiedzieć, czy żartujesz, czy jesteś głupi.

- I przez to jestem bardziej tajemniczy, co?

- Coś w tym rodzaju - odparła, znów się w niego wtulając.

- Widzisz, nie rozumiesz, jakie to sprytne z mojej strony - powiedział. - Jeśli ludzie nie wiedzą, kiedy jestem idiotą, a kiedy geniuszem, może założą, że moje błędy to błyskotliwe posunięcia polityczne.

- O ile jednocześnie nie uznają twoich błyskotliwych posunięć za błędy.

- To nie powinno być trudne - powiedział Elend. - Obawiam się, że nie ma ich znowu tak wiele.

Vin zmartwiło napięcie w jego głosie. Mężczyzna jednak zaraz uśmiechnął się i zmienił temat.

- Wróćmy do OreSeura w postaci psa. Czy będzie mógł wychodzić z tobą nocami?

Wzruszyła ramionami.

- Pewnie tak. Właściwie na razie tego nie planowałam.

- Wolałbym, żebyś go zabierała - powiedział Elend. - Martwię się, kiedy wychodzisz tam nocami i tak bardzo się męczysz.

- Poradzę sobie - odparła. - Ktoś musi cię strzec.

- Owszem - zgodził się - ale kto strzeże ciebie?

Kelsier. Nawet teraz taka była jej natychmiastowa reakcja. Znała go niecały rok, ale ten rok był pierwszym w jej życiu, w którym czuła się chroniona.

Kelsier nie żył. A ona, jak cała reszta świata, musiała sobie radzić bez niego.

- Wiem, że zostałeś ranna, kiedy wczoraj w nocy walczyłaś z tymi Allomantami -

powiedział Elend. - Dobrze by mi to zrobiło, gdybym wiedział, że ktoś z tobą jest.

- Kandra nie jest strażnikiem - sprzeciwiła się.

- Wiem - odpowiedział. - Ale oni są niewiarygodnie lojalni... nie słyszałem, by któryś złamał Kontrakt. Będzie cię strzegł. Martwię się o ciebie, Vin. Jak myślisz, dlaczego siedzę tak po nocach, wypisując te propozycje? Nie mogę spać ze świadomością, że ty gdzieś tam może walczysz... albo, co gorsza, umierasz na ulicy, bo nikt ci nie pomógł.

- Czasem zabieram ze sobą OreSeura.

- Owszem - odparł - ale wiem, że znajdujesz wymówki, żeby go zostawić. Kelsier kupił

ci usługi niezwykle cennego służącego. Nie rozumiem, dlaczego starasz się go tak bardzo unikać.

Vin przymknęła oczy.

- Elendzie, on zjadł Kelsiera.

- I co z tego? - spytał Elend. - Kelsier już nie żył. Poza tym to on sam wydał ten rozkaz.

Vin westchnęła i otworzyła oczy.

- Ja... po prostu nie ufam temu stworowi. Jest nienaturalny.

- Wiem - powiedział Elend. - Mój ojciec zawsze trzymał kandrę. Ale OreSeur to zawsze coś. Proszę. Obiecuj, że będziesz go zabierać ze sobą.

- Dobrze. Nie sądzę jednak, by mu się to spodobało. Nie dogadywaliśmy się nawet wtedy, kiedy on odgrywał Renoux, a ja jego siostrzenicę.

Elend wzruszył ramionami.

- Będzie przestrzegał Kontraktu. To się liczy.

- Przestrzega Kontraktu - odparła - ale bardzo niechętnie. Przysięgam, lubi mnie denerwować.

Mężczyzna spojrział na nią z góry.

- Vin, kandra to doskonali służący. Nie robią takich rzeczy.

- Nie, Elendzie - sprzeciwiła się. - Sazed był doskonałym służącym. Lubił być z ludźmi i im pomagać. Nigdy nie czułam, że mnie nie znosi. OreSeur robi wszystko, co mu powiem, ale mnie nie lubi. I nigdy nie lubił. Widzę to.

Elend westchnął, pogłaskał ją po rękę.



- Nie sądzisz, że zachowujesz się trochę nieracjonalnie? Nie ma powodu, żeby go tak nienawidzić.

- Ach, tak? Podobnie jak nie ma powodu, żebyś nie dogadywał się z Docksonem?

Elend zamilkł. Westchnął.

- Chyba masz rację - przyznał. Dalej głaskał Vin po ramieniu, wpatrując się z namysłem w sufit.

- Co? - spytała.

- Chyba nie jestem zbyt dobry w tej robocie, co?

- Nie bądź głupi - odpowiedziała. - Jesteś wspaniałym królem.

- Mogę być znośnym królem, Vin, ale nie jestem nim.

- Kim?

- Kelsierem - odpowiedział cicho.

- Elendzie, nikt nie oczekuje od ciebie, że będziesz Kelsierem.

- Naprawdę? - spytał. - To dlatego Dockson mnie nie lubi. Nienawidzi szlachetnie urodzonych, to można wyczuć w jego słowach, zachowaniu. Nie mam do niego pretensji, biorąc pod uwagę jego życie. Tak czy inaczej, nie uważa, że powinienem być królem. Sądzi, że na moim miejscu powinien być skaa... albo jeszcze lepiej, Kelsier. Wszyscy tak myślą.

- Nonsens.

- Naprawdę? A gdyby Kelsier żył, czy byłbym królem?

Vin się zawahała.

- Widzisz? Akceptują mnie... lud, kupcy, nawet szlachta. Ale w głębi duszy żałują, że na moim miejscu nie ma Kelsiera.

- Ja nie.

- Naprawdę?

Vin zmarszczyła czoło. Usiadła i odwróciła się tak, że klęczała na fotelu nad Elendem.

Ich twarze dzieliło zaledwie kilka cali.

- Nigdy w to nie wątp, Elendzie. Kelsier był moim nauczycielem, ale nie kochałam go.

Nie tak, jak kocham ciebie.

Elend spojrzął jej w oczy i pokiwał głową. Vin pocałowała go namiętnie i znów usadowiła się obok niego.

- A dlaczego nie? - spytał w końcu.

- Wiesz, przede wszystkim był stary.

Elend się zaśmiał.

- Pamiętam, jak żartowałaś sobie z mojego wieku.

- To inna sprawa - odpowiedziała. - Ty jesteś tylko kilka lat starszy ode mnie... Kelsier był bardzo stary.

- Vin, trzydzieści osiem lat to nie jest „bardzo stary”.

- Ale prawie.

Elend znów się roześmiał, widziała jednak, że nie jest zadowolony. A dlaczego właściwie wybrała Elenda, nie Kelsiera? Kelsier był wizjonerem, bohaterem, Zrodzonym z Mgły.

- Kelsier był wielkim człowiekiem - powiedziała cicho Vin, gdy Elend zaczął się bawić jej włosami.  
- Ale... miał w sobie coś takiego, Elendzie. Przeróżającego. Był zasadniczy, zuchwały, nawet trochę okrutny. Nie wybaczał. Zabijał ludzi bez poczucia winy, bez jednej myśli, tylko dlatego, że wspierali Ostatnie Imperium lub służyli Ostatniemu Imperatorowi.

Kochałam go jak nauczyciela i przyjaciela. Ale nie sądzę, żebym mogła pokochać, naprawdę pokochać, kogoś takiego. Nie winię go o to, tak samo jak ja dorastałam na ulicach. Kiedy człowiek musi w życiu walczyć, staje się silny... ale też twardnieje. Może nie ze swojej winy, ale przypominał mi mężczyzn, których... znałam, kiedy byłam młodsza. Kell był lepszy od nich...

umiał być dobry i oddał życie za skaa. Ale był twardy. - Przymknęła oczy i wtuliła się w Elenda. - Ty, Elendzie Venture, jesteś dobrym człowiekiem. Prawdziwie dobrym człowiekiem.

- Dobrzy ludzie nie przechodzą do legendy - powiedział cicho.

- Dobrzy ludzie nie muszą przechodzić do legendy. - Otworzyła oczy i spojrzała na niego. - I tak robią to, co jest właściwe.

Elend się uśmiechnął. Pocałował ją w czubek głowy i odchylił się do tyłu. Leżeli tak przez jakiś czas w komnacie rozgrzanej słońcem, odpoczywali.

- Raz uratował mi życie - powiedział w końcu Elend.

- Kto? - spytała zaskoczona Vin. - Kelsier?

Pokiwał głową.

- W dniu, kiedy Spook i OreSeur zostali pojmani, gdy Kelsier zginął. Na placu trwała bitwa, kiedy Ham i żołnierze usiłowali uwolnić więźniów.

- Byłam tam - powiedziała Vin. - Kryłam się z Breeze'em i Doksem w jednej z uliczek.

- Naprawdę? - spytał Elend. W jego głosie pobrzmiewała nuta rozbawienia. - Bo wiesz, przyszedłem tam dla ciebie. Myślałem, że cię aresztowali razem z OreSeurem... wtedy udawał

twojego wuja. Próbowałem dostać się do klatek, żeby cię uratować.

- Że co? Przecież tam trwała regularna bitwa! Na Ostatniego Imperatora, był tam Inkwizytor!

- Wiem - odparł ze słabym uśmiechem. - Widzisz, to właśnie Inkwizytor próbował mnie zabić. Uniósł swój topór i w ogóle. A wtedy... pojawił się Kelsier. Wpadł na Inkwizytora i go przewrócił.

- Pewnie czysty przypadek - stwierdziła Vin.

- Nie - powiedział cicho Elend. - To właśnie chciał zrobić. Patrzył na mnie, kiedy walczyłem z Inkwizytorem, i widziałem to w jego oczach. Długo myślałem nad tą chwilą.

Wszystko mówi mi, że Kelsier nienawidził szlachetnie urodzonych bardziej niż Dox.

Vin się zawahała.

- Pod koniec... chyba się zmienił.

- Zmienił się na tyle, że zaryzykował życie, by ochronić przypadkowego arystokratę.

- Wiedział, że cię kocham. - Vin uśmiechnęła się lekko. - Wygląda na to, że w ostatecznym rozrachunku okazało się to silniejsze od nienawiści.

- Nie wiedziałem... - przerwał, gdy Vin odwróciła się, nasłuchując.

Zbliżające się kroki. Usiadła, a chwilę później do środka zajrzał Ham.

Zatrzymał się, gdy ujrzał Vin na kolanach Elenda.

- O, przepraszam - powiedział.

- Nie, zaczekaj! - zawołała Vin.

Mężczyzna znów zajrzał do środka, a dziewczyna odwróciła się do Elenda.

- Prawie zapomniałam, z czym tu przyszedłam. Dostałam dziś nową paczkę od Teriona.

- Kolejną? - spytał Elend. - Vin, kiedy ty zrezygnujesz?

- Nie mogę sobie na to pozwolić - stwierdziła.

- To przecież nie może być takie ważne, prawda? - spytał. - To znaczy, skoro wszyscy zapomnieli, co robi ten ostatni metal, nie może być bardzo potężny.

- Być może - powiedziała - a może był tak niesamowicie potężny, że Zakon bardzo się postarał, by utrzymać go w tajemnicy.

Zsunęła się z fotela i wyjęła z kieszeni sakiewkę i sztabkę. Tę ostatnią podała Elendowi, który wyprostował się na siedzeniu.

Metal był srebrny i błyszczący, i jak aluminium, z którego go stworzono, wydawał się zbyt lekki. Allomanta, który przypadkowo spalił aluminium, natychmiast tracił wszystkie zapasy innych metali, a przez to moc. Stalowy Zakon utrzymywał jego istnienie w tajemnicy, a Vin dowiedziała się o nim tej nocy, gdy została pojmana przez Inkwizytorów, a później zabiła Ostatniego Imperatora.

Nie wiedzieli, jaki jest właściwy allomantyczny stop aluminium. Metale allomantyczne zawsze występowały w parach - żelazo i stal, cyna i cyna z ołowiem, miedź i brąz, cynk i mosiądz. Aluminium i... coś. Liczyła na to, że coś potężnego. Nie miała już atium.

Potrzebowała przewagi.

Elend westchnął i oddał jej sztabkę.

- Ostatnim razem, kiedy spróbowałam spalić jeden z nich, przez dwa dni byłam chora, Vin. Przeraziło mnie to.

- Nie zabije mnie - odparła. - Kelsier obiecywał, że spalenie złego stopu wywołuje jedynie chorobę.

Elend pokręcił głową.

- Nawet Kelsier czasem się mylił, Vin. Czy nie mówiłaś, że źle zrozumiał zasadę działania brązu?

Vin się zawahała. Troska Elenda była tak szczera, że prawie skłoniła ją do zmiany zdania. Ale...

Kiedy ta armia zaatakuje, Elend umrze. Skaa być może przetrwają - żaden władca nie byłby na tyle głupi, żeby zarzącać tak wydajne miasto. Król jednak zostanie zabity. Nie mogła walczyć z całą armią, nie umiała też pomóc w przygotowaniach.

Ale знаła się na Allomancji. Im lepsza w tym była, tym lepiej mogła chronić ukochanego.

- Muszę spróbować, Elendzie - powiedziała cicho. - Clubs mówił, że Straff nie zaatakuje przez kilka najbliższych dni. Jego ludzie muszą odpocząć po długim marszu i przeprowadzić zwiad. To oznacza, że nie mogę czekać. Jeśli po tym metalu się pochoruję, lepiej, żebym wyzdrowiała przed walką... ale tylko jeśli spróbuję teraz.

Elend spochmurniał, ale nie zabronił jej. Wiedział, że to nie ma sensu. Wstał.

- Ham, sądzisz, że to dobry pomysł?

Mężczyzna pokiwał głową. Był wojownikiem, dla niego jej ryzyko miało sens.

Poprosiła, żeby został, bo ktoś musiał zanieść ją do łóżka, gdyby coś poszło nie tak.

- Dobrze - stwierdził Elend i z rezygnacją spojrział na Vin.

Kobieta usadowiła się wygodnie w fotelu i połknęła szczyptę sproszkowanego duraluminium. Zamknęła oczy i zbadła swoje rezerwy allomantyczne. Jeśli chodzi o pospolitą ósemkę, zgromadziła spory zapas. Nie miała atium, złota ani ich stopów. Nawet gdyby mieli jeszcze atium, było zbyt cenne, by wykorzystywać je inaczej niż w niebezpieczeństwie.

Pozostała trójka nie miała szerszego zastosowania.

Pojawił się nowy metal. Podobnie jak cztery razy wcześniej. Za każdym razem, kiedy spalała stop aluminium, natychmiast czuła morderczy ból głowy. Myślałby kto, że to będzie nauczka... pomyślała. Zaciskając zęby, sięgnęła i zapaliła nowy stop.

Nic się nie stało.

- I jak, spróbowałaś? - zapytał z niepokojem Elend.

Vin kiwnęła głową.

- Nie boli mnie głowa. Ale... nie jestem pewna, czy stop coś robi, czy też nie.

- Ale pali się? - spytał Ham.

Vin pokiwała głową. Czuła znajome ciepło we wnętrzu, niewielki ogień, który świadczył, że spala metal. Próbowwała się poruszać, ale nie czuła żadnych zmian w swoim ciele.

W końcu podniosła wzrok i wzruszyła ramionami.

- Jeśli się nie pochorowałaś, to znalazłaś właściwy stop. Każdy metal ma tylko jeden - stwierdził Ham, marszcząc czoło.

- Tak w każdym razie nam mówiono - odpowiedziała.

- Co to za stop?

- Aluminium i miedź - odparła.

- Interesujące. W ogóle nic nie czułaś?

Pokręciła głową.

- Powinnaś więcej ćwiczyć.

- Wygląda na to, że mam szczęście - zauważyła Vin, gasząc duraluminium. - Terion wymyślił czterdzieści różnych stopów, które powinniśmy wypróbować, kiedy już będziemy mieli zapas aluminium. To był dopiero piąty.

- Czterdzieści? - spytał z niedowierzaniem Elend. - Nie wiedziałem, że jest tyle metali, z których można robić stopy!

- Do stopu nie potrzebujesz dwóch metali - powiedziała zamyślona Vin. - Tylko metal i coś jeszcze. Pomyśl o stali... to żelazo i węgiel.

- Czterdzieści... - powtórzył Elend. - I wypróbowałabyś je wszystkie?

Wzruszyła ramionami.

- Wydawało mi się, że to dobry początek.

Elend robił wrażenie przestraszonego taką perspektywą, ale nic już nie powiedział.

Odwrócił się do Hama.

- A tak właściwie, chciałeś się z nami zobaczyć z jakiegoś powodu?

- Nic ważnego - odparł mężczyzna. - Chciałem tylko spytać Vin, czy ma ochotę na wspólne ćwiczenia. Ta armia sprawia, że nie mogę sobie znaleźć miejsca, a myślę, że Vin przyda się trochę ćwiczeń z kijem.

Wzruszyła ramionami.

- Czemu nie?

- Chcesz pójść z nami, El? - spytał Ham. - Poćwiczyć trochę?

Elend się zaśmiał.

- Przeciwno waszej dwójce? Muszę zadbać o swoją królewską godność!

Vin spojrzała na niego, marszcząc czoło.

- Naprawdę powinieneś więcej ćwiczyć. Ledwo umiesz utrzymać w ręku miecz, a z pojedynkową laską radzisz sobie niewiele lepiej.

- A po co mam się tym martwić, skoro ty mnie chronisz?

Słyszac te słowa, Vin zatroskała się jeszcze bardziej.

- Nie zawsze będziemy przy tobie, Elendzie. Mniej bym się o ciebie martwiła, gdybyś umiał się lepiej bronić.

Uśmiechnął się i pomógł jej wstać.

- W końcu się za to zabiorę, obiecuję. Ale nie dziś... mam zbyt wiele na głowie. Może po prostu popatrzę na waszą dwójkę... to zresztą moja ulubiona metoda ćwiczeń, bo przynajmniej nie zostanę pobity przez dziewczynę.

Vin westchnęła, ale nie naciskała go.

*Przygotowuję ten zapis, wykuwając go w metalowej płycie, ponieważ się boję. Boję się o siebie - przyznaję, jestem człowiekiem. Jeśli Alendi powróci ze Studni Wstąpienia, jestem pewien, że moja śmierć będzie jednym z jego pierwszych celów. Nie jest złym człowiekiem, lecz bezlitosnym. Prawdopodobnie wynika to z tego, co przeszedł.*

Elend oparł się o balustradę, spoglądając na plac ćwiczeń. Z jednej strony miał ochotę wejść i poćwiczyć z Vin i Hamem. Z drugiej jednak nie widział w tym sensu.

Skrytobójca, który po mnie przyjdzie, najpewniej będzie Allomantą, pomyślał.

Mógłbym ćwiczyć nawet dziesięć lat, a im i tak nie dorównam.

Na placu Ham kilka razy zamachnął się kijem i pokiwał głową. Vin podeszła bliżej, unosząc swój kij, większy od niej o dobrą stopę. Obserwując tę dwójkę, Elend nie mógł nie zauważyć dysproporcji między nimi. Mężczyzna miał twarde mięśnie i masywną budowę wojownika. Vin, ubrana tylko w obcisłą koszulę i spodnie, wyglądała na drobniejszą niż zazwyczaj, gdyż nie osłaniał jej mgielny płaszcz.

Tę nierówność podkreśliły słowa Hama.

- Ćwiczymy walkę kijem, nie Przyciąganie i Odpychanie. Nie używaj niczego poza cyną z ołowiem, dobrze?

Przytaknęła.

Często tak walczyli. Ham twierdził, że nic nie zastąpi ćwiczeń i szkolenia, niezależnie od allomantycznych mocy. Mimo to pozwalał Vin używać cyny z ołowiem, gdyż, jak twierdził, zwiększona siła i zręczność mogły być dezorientujące dla kogoś, kto nie był do nich przyzwyczajony.

Plac ćwiczeń przypominał dziedziniec. Znajdował się w pałacowych koszarach, otaczały go krużganki. Tam właśnie stał Elend; dach nad głową osłaniał go przed oślepiającymi promieniami czerwonego słońca. Cieszył się z tego, zaczęły się bowiem opady popiołu i z nieba spadały pojedyncze płatki. Mężczyzna oparł się o balustradę. Za jego plecami od czasu do czasu przechodzili żołnierze. Niektórzy zatrzymywali się nawet, żeby popatrzeć - ćwiczenia Vin i Hama były przyjemną rozrywką dla pałacowych strażników.

Powinienem zająć się propozycją dla Zgromadzenia, pomyślał Elend. A nie stać tutaj i patrzeć, jak Vin walczy.

Ale... napięcie ostatnich dni było tak wielkie, że nie potrafił znaleźć w sobie motywacji, by po raz kolejny przeczytać mowę. Potrzebował tylko kilku chwil na rozmyślanie.

I dlatego patrzył. Vin ostrożnie podeszła do Hama, pewnie trzymając kij obiema rękami.

Niegdyś Elend sądził, że dama w koszuli i spodniach wygląda niestosownie, ale zbyt wiele czasu spędził z Vin, by teraz się tym przejmować. Suknie balowe wyglądały pięknie, lecz prosty strój Vin wydawał się właściwy. Nosila go ze swobodą.

Poza tym podobała mu się w obcisłych strojach.



Vin zazwyczaj pozwalała innym na pierwszy cios i ten dzień nie był wyjątkiem. Kije uderzyły o siebie, gdy Ham ją zaatakował, a ona mimo drobniejszej sylwetki powstrzymała cios. Po szybkiej wymianie cofnęli się i zaczęli krążyć wokół siebie.

- Stawiam na dziewczynę.

Elend odwrócił się, widząc kogoś kuśtykającego w jego stronę. Clubs podszedł do niego i położył monetę dziesięcioskrzyńcową na balustradzie. Elend uśmiechnął się do generała, ten zaś skrzywił się - co powszechnie uważano za jego wersję uśmiechu. Pomijając Docksona, młody król szybko polubił innych członków ekipy Vin. Do Clubs'a jednak musiał się najpierw przyzwycząić. Przysadzisty mężczyzna miał twarz niczym pofałdowany muchomor i stale wyglądał tak, jakby się krzywił - do czego pasował zresztą ton jego głosu.

Był przy tym uzdolnionym rzemieślnikiem i Allomantą - Dymiarzem, choć ostatnio nieczęsto korzystał ze swojej mocy. Przez większość ostatniego roku pełnił funkcję generała armii Elenda. Młody król nie wiedział, gdzie mężczyzna nauczył się dowodzić, ale miał do tego spory talent. Pewnie w tym samym miejscu, w którym dorobił się blizny na nodze. To przez nią właśnie utykał,

- Oni tylko ćwiczą, Clubs - stwierdził Elend. - Nie będzie „zwycięzcy”.

- Skończą poważną wymianą ciosów - odparł starszy mężczyzna. - Zawsze tak jest.

Elend się zawahał.

- Skłaniasz mnie, żebym postawił przeciwko Vin - zauważył. - To się może dla mnie źle skończyć.

- I co z tego?

Elend uśmiechnął się i wyciągnął monetę. Clubs wciąż go w pewien sposób przerażał i wolał nie spierać się z nim.

- Gdzież jest ten mój bezwartościowy siostrzeniec? - zapytał Clubs, przyglądając się walce.

- Spook? Wrócił? Jak dostał się do miasta?

Generał wzruszył ramionami.

- Dziś rano zostawił mi coś na progu.

- Prezent?

Clubs prychnął.

- Rzeźbiony kawałek drewna, dzieło mistrza cieśli z miasta Yelva. Do tego kartkę

„Chciałem ci tylko pokazać, staruszkule, co potrafia zrobić prawdziwi cieśle”.

Elend zaśmiał się, lecz ucichł, gdy Clubs spojrział na niego.

- Szczeniak nigdy nie był tak bezczelny - mruknął starszy mężczyzna. - Przysięgam, zepsuliście chłopaka.

Czyżby Elend dostrzegł u Clubs'a cień uśmiechu, czy stary mówił poważnie? Elend nie wiedział, czy mężczyzna jest rzeczywiście tak zrzędlawy, czy sobie z niego żartuje.

- A jak armia? - spytał w końcu.

- Tragicznie - odparł Clubs. - Chcesz mieć armię? Daj mi więcej niż rok na jej wyszkolenie. W tej chwili nie wiem, czy odważyłbym się wystawić chłopaków przeciwko tłumowi staruszek z laskami.

Cudownie, pomyślał Elend.

- Teraz nic na to nie poradzę - mruknął Clubs. - Straff przygotowuje jakieś prowizoryczne umocnienia, ale przede wszystkim daje swoim ludziom odpocząć. Zaatakują przed końcem tygodnia.

Na dziedzińcu Vin i Ham nadal walczyli. Na razie wszystko rozgrywało się powoli -

Ham od czasu do czasu przerywał, tłumaczył różne zasady i pozycje. Elend i Clubs przyglądali się im, gdy walka stawała się coraz intensywniejsza, a wymiany ciosów coraz dłuższe.

Walczący zaczęli się pocić, a ich stopy wyrzucały w powietrze chmury popiołu.

Vin cały czas odpierała Hama, mimo ogromnych różnic w sile, zasięgu i wyszkoleniu.

Elend odkrył, że uśmiecha się wbrew sobie. Była wyjątkowa - uświadomił to sobie już wtedy, gdy ujrzał ją po raz pierwszy w sali balowej Venture, przed dwoma laty. Dopiero teraz zaczynał

pojmować, jak dużym niedopowiedzeniem było słowo „wyjątkowa”.

O balustradę uderzyła kolejna moneta.

- Ja też stawiam na Vin.

Elend odwrócił się zaskoczony. Mężczyzna, który się odezwał, był jednym z żołnierzy, którzy przyglądali się walce. Elend zmarszczył czoło.

- Kim...

Przerwał. Broda nie pasowała, wyprostowana postawa też się nie zgadzała, lecz stojący za nim mężczyzna wydawał się dziwnie znajomy.

- Spook? - spytał z niedowierzaniem Elend.

- Byłem w zasięgu wołania tego.

Elenda natychmiast zaczęła boleć głowa.

- Na Ostatniego Imperatora, nie mów, że wróciłeś do dialektu?

- Tylko od czasu do czasu, kiedy łapie mnie nostalgia - odparł ze śmiechem Spook.

Mówił z lekkim wschodnim akcentem. Przez kilka pierwszych miesięcy Spooka w ogóle nie można było zrozumieć. Całe szczęście wyrósł już z używania ulicznego dialektu, podobnie jak z większości ubrań. Szesnastolatek miał teraz ponad sześć stóp wzrostu i niemal w niczym nie przypominał niezgrabnego dzieciaka, którego Elend poznał przed rokiem.

Spook oparł się o balustradę niczym znudzony nastolatek - i w ten sposób zupełnie przestał przypominać żołnierza.

- Po co to przebranie, Spook? - spytał młody król, marszcząc czoło.

- Nie jestem Zrodzonym z Mgły. - Wzruszył ramionami. - My, zwyczajni szpiedzy, musimy znaleźć jakieś inne sposoby zdobywania informacji, skoro nie możemy podleciec do okna i podsłuchiwać.

- Od kiedy tak stoisz? - spytał Clubs, miażdżąc wzrokiem siostrzeńca.

- Przyszedłem tu przed tobą, wujku Zrzędo - odpowiedział Spook. - A w odpowiedzi na twoje pytanie, wróciłem kilka dni temu. Jeszcze przed Docksonem. Pomyślałem, że trochę odpocznę, zanim znów wrócę do roboty.

- Nie wiem, czy to zauważyłeś, Spook - stwierdził Elend - ale trwa wojna. Nie mamy zbyt wiele czasu na odpoczynek.

- Nie chciałem, żebyś mnie znów gdzieś posłał. Jeśli tu będzie wojna, chcę być w okolicy. Wiecie, to takie ekscytujące.

Clubs prychnął.

- A skąd masz ten mundur?

- No... wiesz... - Spook spojrział w bok i znów zaczął przypominać niepewnego siebie chłopca, którego poznał Elend.

Clubs mruknął coś na temat bezczelnych bachorów, ale Elend tylko się roześmiał i poklepał chłopaka po ramieniu. Spook podniósł wzrok i uśmiechnął się. Choć z początku łatwo go było ignorować, okazał się równie wartościowy, jak reszta członków starej ekipy Vin. Jako Cynooki - Mglisty palący cynę, by wzmocnić zmysły - chłopak mógł z daleka podsłuchiwać rozmowy i zauważać odległe szczegóły.

- Tak czy inaczej, witaj z powrotem - powiedział Elend. - Jak tam wieści z zachodu?

Spook pokręcił głową.

- Nie chciałbym brzmieć jak wujek Zrzęda, ale wieści nie są dobre. Znasz plotki o tym, że w Luthadel znajdują się zapasy atium Ostatniego Imperatora? Wróciły, i to silniejsze.

- Myślałem, że to już mamy z głowy! - odpowiedział Elend.

Breeze i jego ludzie spędzili ostatnie sześć miesięcy, rozpuszczając plotki i manipulując władcami, by przekonać ich, że skoro Elend nie odnalazł atium w Luthadel, to musiało zostać ukryte w innym mieście.

- Chyba nie - odparł Spook. - I... wydaje mi się, że ktoś celowo rozpuszcza te pogłoski.

Długo żyłem na ulicach i umiem rozpoznać podsuniętą historyjkę, a ta plotka coś śmierdzi.

Ktoś naprawdę chce, żeby watażkowie skupili się na tobie.

Cudownie, pomyślał Elend.

- Nie wiesz może, gdzie jest Breeze?

Spook wzruszył ramionami i jakby przestał zwracać uwagę na Elenda. Obserwował

walkę. Młody król znów spojrzał na Vin i Hama.

Jak przewidział Clubs, dwójka zaczęła walczyć na serio. Już nie było nauki ani szybkich, powtarzalnych wymian ciosów. Siłowali się na poważnie, a ich kije wznosiły w powietrze chmury kurzu. Otaczał ich popiół, a kolejni żołnierze zatrzymywali się w krągankach, by ich obserwować.

Elend się pochylił. W walce dwójki Allomantów było coś dziwnie intensywnego. Vin próbowała zaatakować, Ham jednak zamachnął się w tej samej chwili, jego kij niemal rozmywał się w powietrzu. Kobieta na czas uniosła broń, lecz siła ciosu mężczyzny odepchnęła ją do tyłu. Ramieniem uderzyła o ziemię. Nawet nie jęknęła i jakimś sposobem udało jej się odepchnąć ręką i poderwać na równe nogi. Kołysała się przez chwilę, odzyskując równowagę, i przez cały czas trzymała przed sobą kij.

Cyna z ołowiem, pomyślał Elend. Dzięki niej nawet niezgrabiasz stawał się zręczny. A ktoś, kto zazwyczaj poruszał się z wdziękiem, jak Vin...

Kobieta zmrużyła oczy, z uporem zacisnęła zęby, a na jej twarzy malowało się niezadowolenie. Nie lubiła przegrywać - nawet jeśli jej przeciwnik był od niej znacznie silniejszy.

Elend wyprostował się, chcąc zaproponować koniec ćwiczeń. W tej właśnie chwili Vin rzuciła się do przodu.

Ham uniósł kij i zamachnął się, gdy znalazła się w zasięgu ciosu. Vin uskoczyła w bok, kij minął ją o kilka cali. Wtedy uniosła swoją broń i uderzyła nią w kij Hama, pozbawiając go równowagi. Przykucnęła i rzuciła się do ataku.

Przeciwnik jednak szybko się opanował. Pozwolił, by siła jej uderzenia obróciła go i wykorzystał szybkość tego ruchu, by zadać potężny cios wycelowany w pierś Vin.

Elend krzyknął.

Vin podskoczyła.

Nie miała metalu, od którego mogła się Odepchnąć, ale to nie miało znaczenia.

Wyskoczyła na dobre siedem stóp w powietrze, bez trudu przeskakując nad kijem Hama.

Zrobiła salto w powietrzu, jedną ręką obracając swoją broń.

Wylądowała na ziemi, jej kij już obracał się nisko, jego koniec podrywał kurz z ziemi.

Cios trafił Hama w łydki. Mężczyzna stracił równowagę i z krzykiem upadł na plecy.

Vin znów podskoczyła.

Ham uderzył w ziemię, a Vin wylądowała mu na piersiach. Spokojnie postukała go w czoło końcem swojego kija.

- Wygrałam.

Leżący mężczyzna wyglądał na oszołomionego, kobieta siedziała mu na piersi. Na dziedzińcu powoli opadał kurz i popiół.

- A niech to... - wyszeptał Spook, wypowiadając opinię wszystkich przyglądających się żołnierzy.

W końcu Ham się roześmiał.

- Dobra, pokonałaś mnie. A teraz, mogłabyś być tak miła i przynieść mi coś do picia, kiedy będę próbował przywrócić czucie w nogach?

Vin uśmiechnęła się, zeskoczyła z niego i pospieszyła spełnić jego prośbę. Ham potrząsnął głową i podniósł się. Nie kulał zbyt mocno - pewnie będzie miał sińce, ale nie przeszkadzało mu to. Cyna z ołowiem nie tylko zwiększała siłę, prędkość i poczucie równowagi, ale też wzmacniała ciało. Mężczyzna mógł bez trudu otrząsnąć się po ciosie, który połamałby Elendowi nogi.

Ham dołączył do nich, skinął głową Clubsowi i poklepał Spooka po ramieniu. Później oparł się o balustradę i zaczął masować lewą łydke, krzywiąc się lekko.

- Przysięgam, Elendzie, czasem walka z tą dziewczyną jest jak pojedynek z podmuchem wiatru. Nigdy nie ma jej tam, gdzie się jej spodziewam.

- Jak ona to zrobiła, Ham? - spytał Elend. - To znaczy ten skok. Wydawał się nieludzki, nawet dla Allomanty.

- Wykorzystała Stal, prawda? - powiedział Spook.

- Wątpię. - Ham pokręcił głową.

- No to jak? - spytał młody król.

- Allomanci czerpią moc ze swoich metali - odparł Ham, z westchnieniem opuszczając nogę. - Niektórzy mogą wycisnąć jej więcej niż inni, ale prawdziwa moc pochodzi z metalu, nie z ich ciała.

Elend się zastanowił.

- I co z tego?

- I dlatego - wyjaśnił Ham - Allomanta nie musi być silny fizycznie, by mieć ogromną moc. Gdyby Vin była Feruchemiczką, sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej... Jeśli kiedyś zobaczycie Sazedę, gdy zwiększa swoją siłę, przekonacie się, że rosną mu mięśnie. Ale w Allomancji cała siła pochodzi z metalu. Większość Zbirów, w tym i ja, uważa, że jeśli wzmocnią swoje ciało, zwiększy to ich moc. W końcu muskularny mężczyzna spalający cynę z ołowiem będzie silniejszy od zwykłego mężczyzny z taką samą allomantyczną mocą.

Ham podrapał się po brodzie, spoglądając w stronę korytarza, w którym zniknęła Vin.

- Ale... cóż, zaczynam sądzić, że może też istnieć inny sposób. Vin jest drobniutka i malutka, ale kiedy spala cynę z ołowiem, staje się kilkanaście razy silniejsza od zwykłego wojownika. Mieści całą tę siłę w malutkim ciele i nie musi się przejmować ciężarem potężnych mięśni. Jest jak... owad. O wiele silniejsza, niż wskazywałby jej ciężar i ciało. I dlatego, kiedy skacze, to naprawdę skacze.

- Ale ty i tak jesteś od niej silniejszy - zauważył Spook.

Ham pokiwał głową.

- I mogę to wykorzystać. Zakładając, że uda mi się ją trafić. A ostatnio robi się to coraz trudniejsze.

Vin wróciła, niosąc dzban ze schłodzonym sokiem. Najwyraźniej postanowiła pójść do twierdzy, zamiast przynieść trochę ciepłego piwa, które trzymali pod ręką na dziedzińcu.

Podążyła dzban Hamowi, przyniosła też kubki dla Elenda i Clubsa.

- Hej! - odezwał się Spook, gdy zaczęła nalewać. - A co ze mną?

- Głupio wyglądasz z tą brodą - zauważyła, nie przerywając nalewania.

- I nie dostanę nic do picia?

- Nie.

- Vin, dziwna z ciebie dziewczyna - stwierdził Spook po chwili milczenia.

Vin przewróciła oczami, po czym spojrzała w stronę beczki z wodą w rogu dziedzińca.

Jeden z cynowych kubków, które leżały obok, uniósł się w powietrze i przeleciał przez plac.

Kobieta wyciągnęła rękę, złapała go i postawiła na balustradzie przed Spookiem.

- Zadowolony?

- Będę, kiedy nalejesz mi coś do picia - odparł.

Clubs chrząknął i pociągnął łyk z kubka. Wyciągnął rękę, zdjął z balustrady dwie monety i schował je.

- Hej, właśnie! - powiedział Spook. - Jesteś mi winien, El. Płać.

Elend opuścił kubek.

- Nie zgodziłem się na zakład.

- Zapłaciłeś wujkowi Nerwowemu. Czemu nie mnie?

Młody król zawahał się, westchnął, wyciągnął dziesięcioskrzyńcową monetę i położył

ją obok Spooka. Chłopak uśmiechnął się i zdjął obie płynnym ruchem ulicznego złodziejaska.

- Dzięki za zwycięstwo, Vin - powiedział i mrugnął do niej.

Kobieta zmarszczyła czoło.

- Postawiłeś przeciwko mnie?

Elend roześmiał się i wychylił przez balustradę, by ją pocałować.

- Nie miałem zamiaru. Clubs mnie zmusił.

Generał prychnął, wychylił resztę soku i wyciągnął w stronę Vin rękę z kubkiem. Kiedy nie zareagowała, odwrócił się do Spooka i spojrzał na niego znacząco. Chłopak w końcu westchnął i podniósł dzban.

Vin nadal patrzyła na Elenda z niezadowoloną miną.

- Na twoim miejscu bym uważał, Elendzie - powiedział ze śmiechem Ham. - Ona umie solidnie przywalić...

Elend pokiwał głową.

- Nie powinienem jej denerwować, kiedy w okolicy jest broń, co?

- Mnie to mówisz? - odparł Ham.

Vin prychnęła i przeszła na drugą stronę, żeby stanąć obok Elenda. Mężczyzna objął ją ramieniem i w tej właśnie chwili zauważył błysk zazdrości w oczach Spooka. Podejrzewał, że chłopak kocha się w Vin, i wcale go to nie dziwiło.

Spook potrząsnął głową.

- Muszę sobie znaleźć kobietę.

- Ta broda ci w tym nie pomoże - zauważyła Vin.

- To jest przebranie - odpowiedział. - El, nie mógłbyś mi nadać jakiegoś tytułu albo czegoś w tym rodzaju?

Król się uśmiechnął.

- Wątpię, żeby to coś dało, Spook.

- Tobie pomogło.

- Nie sędzę - odpowiedział Elend. - Myślę, że Vin pokochała mnie raczej mimo tytułu niż dzięki niemu.

- Ale miałaś inne przed nią - sprzeciwił się Spook. - Szlachetnie urodzone.

- Parę - przyznał Elend.

- Choć Vin ma w zwyczaju wykańczać konkurencję - mruknął Ham.

Elend się roześmiał.

- Wiecie, zrobiła to tylko raz. I myślę, że Shan sobie zasłużyła... w końcu próbowała mnie wtedy zabić. - Popatrzył z miłością na Vin. - Choć muszę przyznać, że Vin źle działa na inne kobiety. W jej obecności wszystkie wydają się takie bezbarwne.

Spook przewrócił oczami.

- Ale ciekawiej jest, kiedy je zabija.

Ham zaśmiał się i pozwolił, by chłopak dolał mu soku.

- Ostatni Imperator jeden wie, co by zrobiła, gdybyś kiedykolwiek próbował ją zostawić, Elendzie.

Vin natychmiast zeszywniała, przyciągając go mocniej. Zbyt wiele razy została opuszczona. Nawet po tym wszystkim, co razem przeżyli, nawet po propozycji małżeństwa, Elend i tak musiał cały czas ją zapewniać, że nigdy jej nie zostawi.



Czas zmienić temat, pomyślał Elend, czując zmianę nastroju rozmowy.

- Cóż - powiedział - ja idę do kuchni coś zjeść. Pójdiesz ze mną, Vin?

Kobieta spojrzała w niebo - pewnie sprawdzała, ile czasu zostało do zmroku. W końcu pokiwała głową.

- Ja też pójdę - wtrącił Spook.

- Ależ nie - sprzeciwił się Clubs, chwytając chłopaka za kark. - Zostaniesz tutaj do chwili, kiedy wyjaśnisz mi ze szczegółami, jak zdobyłeś mundur jednego z moich żołnierzy.

Elend się roześmiał. Mimo nieco przykrego końca rozmowy, czuł się teraz o wiele lepiej. Zawsze go zadziwiało, jak członkowie ekipy Kelsiera śmiali się i żartowali, nawet w najtrudniejszych sytuacjach. Sprawiali, że zapominał o swoich problemach. Może to dziedzictwo Ocalałego. Kelsier najwyraźniej nalegał na śmiech, niezależnie od trudności. Dla niego to był rodzaj buntu.

Ich problemy w ten sposób wcale nie znikwały. Wciąż musieli stawić czoło kilkakrotnie większej armii, w mieście, którego nie mieli jak obronić. Jednakże, jeśli ktoś mógł przetrwać taką sytuację, to właśnie ekipa Kelsiera.

\*\*\*

Później tego wieczoru, po posiłku, na który namówił ją Elend, Vin ruszyła razem z nim do swoich komnat.

Tam siedziała idealna replika wilczarza, którego wcześniej przyniosła. Zwierzę spojrzało na nią i ukloniło się.

- Witaj z powrotem, panienko - powiedział kandra stłumionym głosem.

Elend zagwizdał z podziwem, a Vin obeszła stwora. Każdy włoszek przylegał idealnie do ciała. Gdyby się nie odezwał, nie odróżniłaby go od prawdziwego psa.

- Jak sobie radzisz z mówieniem? - spytał Elend.

- Struny głosowe powstają z ciała, nie z kości, Wasza Wysokość - odparł OreSeur. -

Starsi kandra uczą się manipulować swoimi ciałami, nie tylko je odtwarzać. Wciąż muszę zjeść trupa, żeby zapamiętać i oddać jego rysy, ale umiem też improwizować.

Vin skinęła głową.

- Czy to dlatego tworzenie tego ciała zajęło ci dużo więcej czasu niż zwykle?

- Nie, panienko - odpowiedział kandra. - Sierść. Bardzo mi przykro, że cię nie ostrzegłem... dokładne rozmieszczenie futra wymaga wielkiej precyzji i wysiłków.

- Właściwie nawet o tym wspominałeś - powiedziała i machnęła ręką.

- Co sądzisz o swoim nowym ciele, OreSeur? - spytał Elend.

- Szczerze, Wasza Wysokość?

- Oczywiście.

- Jest obraźliwe i poniżające - odpowiedział kandra.

Vin uniosła brew. To bardzo bezpośrednie jak na ciebie, Renoux, pomyślała. Czujesz się dziś nieco wojowniczy?

Spojrzał na nią, a ona spróbowała - bezskutecznie - odczytać wyraz jego psiego pyska.

- Ale - powiedział Elend - i tak będziesz je nosił, prawda?

- Oczywiście, Wasza Wysokość - stwierdził OreSeur. - Prędzej bym umarł, niż złamał

Kontrakt.

Elend spojrzał na Vin z taką miną, jakby właśnie coś jej udowodnił.

Każdy może twierdzić, że jest lojalny, pomyślała. Jeśli ktoś ma „Kontrakt”, który gwarantuje jego honor, tym lepiej. To sprawia, że zaskoczenie jest jeszcze bardziej dojmujące, kiedy zwraca się przeciwko tobie.

Elend najwyraźniej na coś czekał. Vin westchnęła.

- OreSeurze, będziemy w najbliższym czasie spędzać razem więcej czasu.

- Jeśli tego sobie życzysz, panienko.

- Nie jestem pewna - odparła. - Ale tak będzie. Jak dobrze poruszasz się w tym ciele?

- Wystarczająco dobrze, panienko.

- Chodź - powiedziała. - Zobaczymy, czy możesz dotrzymać mi kroku.

*Obawiam się jednak, że wszystko, co wiem - moja historia - zostanie zapomniane. Boję się świata, który nadejdzie. I że moje plany się nie powiodą.*

*Boję się zguby gorszej niż Głębia.*

Sazed nigdy nie sądził, że będzie miał powód, by polubić klepiska. Okazały się jednak wyjątkowo użyteczne przy nauce pisania. Wypisał kilka słów za pomocą długiego kija, na wzór dla pół tuzina uczniów. Oni zaczęli je przepisywać, każde słowo kilka razy.

Nawet po spędzeniu roku wśród różnych grup wiejskich skaa, Terrisanina wciąż zadziwiało ich ubóstwo. W całej wiosce nie było nawet kawałka kredy, nie wspominając o papierze i atramencie. Połowa dzieciaków biegła nago, a ich jedynym schronieniem były chałupy - długie jednoizbowe budynki z połatanymi dachami. Skaa na szczęście mieli narzędzia rolnicze, ale żadnych łuków czy proc do polowania.

Sazed zaprowadził grupę wieśniaków do opuszczonego dworu, lecz i tam niewiele udało się znaleźć. Zaproponował starszyźnie wioski, by na zimę wszyscy przenieśli się do dworu, ale wątpił, by to zrobili. Wchodzili do niego ze strachem i wielu wołało się nie oddalać od swojego przewodnika. Dwór kojarzył im się z panami, a panowie z bólem.

Jego uczniowie wciąż pisali. Poświęcił sporo czasu, by przekonać starszych, dlaczego pisanie jest ważne. W końcu wybrali mu kilku uczniów - z pewnością częściowo dlatego, by dał

im spokój. Kręcił głową, patrząc, jak piszą. W ich nauce nie było pasji. Przyszli, bo im kazano i dlatego, że chciał tego „mistrz Terrisanin”, a nie dlatego, że pragnęli się czegoś nauczyć.

Przed Upadkiem Sazed często wyobrażał sobie, jak będzie wyglądał świat, gdy Ostatni Imperator zostanie obalony. Wyobrażał sobie, jak Opiekunowie wychodzą z ukrycia, przynosząc zapomnianą wiedzę i prawdy podekscytowanym, wdzięcznym ludziom. Wyobrażał

sobie, jak wieczorami naucza przy ciepłym palenisku, opowiada historie chętnym słuchaczom.

Nigdy nie spodziewał się wioski, pozbawionej dorosłych mężczyzn, której mieszkańcy byli wieczorem zbyt wyczerpani, by zwracać uwagę na opowieści z przeszłości. Nigdy nie wyobrażał sobie ludzi, którzy wydawali się raczej zirytowani jego obecnością niż wdzięczni.

Musisz zachować cierpliwość, powiedział sobie surowo. Jego marzenia wydawały się teraz pychą. Opiekunowie, którzy żyli przed nim, ci, którzy zginęli, zachowując w tajemnicy swoją wiedzę, nie spodziewali się pochwał i wdzięczności. W powadze i ciszy wykonywali swoje wielkie zadanie.

Sazed wstał i obejrzał dzieła uczniów. Stawali się coraz lepsi - rozpoznawali już wszystkie litery. Nie było to wiele, ale przynajmniej robili postępy. Skinął na nich, pozwalając im się rozejść, by pomogli w przygotowywaniu wieczornego posiłku.

Uklonili się i odeszli. Sazed podążył za nimi i ujrzał ciemniejące niebo -

prawdopodobnie zbyt długo zatrzymał tu uczniów. Pokręcił głową, przechodząc między chałupami. Znowu nosił szaty lokaja w kolorowe wzory i założył część z kolczyków. Trzymał

się starych zwyczajów, ponieważ były znajome, choć jednocześnie były symbolem ucisku. Jak będą się ubierać następne pokolenia Terrisan? Czy styl życia narzucony przez Ostatniego Imperatora stanie się nieodłączną częścią ich kultury?

Zatrzymał się na skraju wioski, patrząc w głąb południowej doliny. Wypełniała ją pociemniała ziemia, czasem porośnięta brązowymi pnączami lub krzewami. Żadnej mgły - ta nadchodziła jedynie nocą. Opowieści musiały być zmyślane. To, co widział, to z pewnością czysty przypadek.

A nawet jeśli nie, jakie to miało znaczenie? Badanie takich spraw nie było jego zadaniem. Teraz, po Upadku, musiał szerzyć wiedzę, nie marnować czas, goniąc głupie plotki.

Opiekunowie nie byli już badaczami, lecz nauczycielami. Nosił przy sobie tysiące ksiąg - informacje na temat uprawy roli, dbania o higienę, rządów i medycyny. Musiał przekazać je skaa. Taką decyzję podjął Synod.

A jednak w duchu Sazed nie mógł się z tym zgodzić. To sprawiało, że czuł się winny - wieśniacy potrzebowali jego nauki, a on tak bardzo pragnął im pomóc. Jednak... miał wrażenie, że czegoś brakuje. Ostatni Imperator zginął, mimo to Sazedowi zdawało się, że historia jeszcze się nie skończyła. Czy o czymś zapomniał?

O czymś większym nawet od Ostatniego Imperatora? Czymś tak wielkim, tak potężnym, że praktycznie niewidocznym?

A może po prostu chcę, żeby było coś jeszcze, zastanawiał się. Spędziłem większą część życia, stawiając opór i walcząc, podejmując ryzyko, które inni Opiekunowie uważali za szaleństwo. Nie byłem zadowolony z udawanego podporządkowania - musiałem wziąć udział

w rebelii.

Mimo jej sukcesów bracia Sazedą wciąż nie wybaczyli mu jego udziału. Wiedział, że Vin i pozostali uważali go za potulnego, jednak w porównaniu z innymi Opiekunami był

szalony. Lekko myślący, niegodny zaufania głupiec, który przez swój brak cierpliwości zagroził

całemu zakonowi. Wierzyli, że ich obowiązkiem było czekanie na dzień, kiedy Ostatni Imperator odejdzie. Feruchemików było zbyt mało, by ryzykować otwarty bunt.

Sazed okazał nieposłuszeństwo. Teraz z trudem przyzwyczajał się do spokojnego życia nauczyciela. Czy podświadomie wyczuwał, że ludzie są wciąż w niebezpieczeństwie, czy też po prostu nie mógł zaakceptować znalezienia się na marginesie?

- Mistrzu Terrisaninie!

Sazed obrócił się na pięcie. Głos był przerażony. Kolejna śmierć we mgle, pomyślał od razu. Zadziwiające, lecz inni skaa zostali w chałupach, nawet słysząc przerażony głos. Uchyliło się kilkoro

drzwi, lecz nikt nie wybiegł na zewnątrz w przerażeniu - choćby z ciekawości - gdy wołający zbliżył się do Sazed. To była jedna z chłopek pracujących w polu, krępa kobieta w średnim wieku. Terrisanin sprawdził swoje rezerwy - miał przy sobie swoją cynołowiomysł, dodającą mu siłę, oraz żelazny pierścień, zwiększający szybkość. Nagle zaczął żałować, że nie założył innych bransolet.

- Mistrzu Terrisaninie! - zawołała zdyszana kobieta. - On wrócił! Wrócił po nas!

- Kto? - spytał Sazed. - Ten, który zginął w mgłach?

- Nie, mistrzu Terrisaninie. Ostatni Imperator.

\*\*\*

Sazed wyszedł z wioski. Zaczynało się już robić ciemno i kobieta, która go sprowadziła, przerażona wróciła do swojej chaty. Sazed mógł sobie tylko wyobrazić, jak czują się biedacy -

uwięzieni przez nadejście nocy i mgły, a jednocześnie przerażeni niebezpieczeństwem kryjącym się na zewnątrz.

A było to ogromne niebezpieczeństwo. Nieznajomy czekał w milczeniu na ubitej drodze, odziany w czarną szatę, niemal dorównujący Sazedowi wzrostem. Był łysy i nie nosił

bizuterii - pomijając oczywiście wielkie żelazne kolce wbite w jego oczy.

Nie Ostatni Imperator. Stalowy Inkwizytor.

Sazed nie rozumiał, jakim sposobem te istoty nadal żyły. Kolce były tak szerokie, że wypełniały cały oczodół. Zniszczyły gałki oczne, a ich końcówki wystawały z tyłu czaszki. Z

ran nie płynęła krew, przez co wydawały się jeszcze dziwniejsze.

Całe szczęście, że Sazed znał tego Inkwizytora.

- Marsh - powiedział cicho, a wokół nich pojawiły się mgły.

- Trudno cię wysledzić, Terrisaninie - powiedział Marsh, a jego głos zaskoczył Sazed.

Zmienił się, stał się bardziej chrapliwy, szorstki. Wydawał się teraz zgrzytliwy, jak u kogoś cierpiącego na ciągły kaszel. Zupełnie jak u innych Inkwizytorów, których Sazed słyszał.

- Wysledzić? - powtórzył Sazed. - Nie spodziewałem się, że inni będą chcieli mnie odnaleźć.

- A jednak - stwierdził Marsh, kierując się na południe. - Udało mi się. Musisz iść ze mną.

Sazed zmarszczył czoło.

- Co? Marsh, mam tu swoje zadania.

- Nieważne - odpowiedział tamten i znów się odwrócił, skupiając bezokie spojrzenie na Sazedzie.

Czy tylko mi się wydaje, czy od ostatniego naszego spotkania stał się dziwniejszy?

Sazed zadrżał.

- O co chodzi, Marsh?

- Dom Modlitwy Seran jest pusty.

Sazed się zawahał. Dom Modlitwy był twierdzą Zakonu na południu - miejscem, gdzie Inkwizytorzy i wysocy obligatorzy wycofali się po Upadku.

- Pusty? - spytał. - Mało prawdopodobne.

- A jednak tak jest - odparł Inkwizytor. Mówiąc, nie używał mowy ciała. Żadnych gestów, żadnej mimiki.

- Ja... - Sazed nie dokończył. Jakie informacje, jakie cuda, tajemnice muszą się znajdować w bibliotekach Domu Modlitwy.

- Musisz iść ze mną - powtórzył Marsh. - Mogę potrzebować pomocy, jeśli odkryją mnie moi bracia.

Moi bracia. Od kiedy Inkwizytorzy są „braćmi” Marsha? W ramach planu Kelsiera Marsh wkradł się w ich szeregi. Był pomiędzy nimi zdrajcą, nie ich bratem.

Sazed się zawahał. Profil Inkwizytora wyglądał nienaturalnie, nawet niepokojąco w słabym świetle. Niebezpiecznie.

Nie bądź głupi, złażał się w duchu Sazed. Marsh był bratem Kelsiera - jedynym pozostałym przy życiu krewnym Ocalałego. Jako Inkwizytor, miał pewną władzę nad Stalowym Zakonem i wielu obligatorów słuchało go mimo jego roli w rebelii. Dla rządów Elenda Venture był bezcennym skarbem.

- Idź po swoje rzeczy - powiedział Marsh.

Moje miejsce jest tutaj, pomyślał Sazed. Powinienem uczyć ludzi, a nie włóczyć się po kraju w pogoni za własnym ego.

A jednak...

- Mgły przychodzą w ciągu dnia - stwierdził cicho Inkwizytor.

Sazed uniósł wzrok. Marsh wpatrywał się w niego, w ostatnich promieniach słońca końce kolców błyszczały niczym dyski. Przesądni skaa sądzili, że Inkwizytorzy umieją czytać w myślach, choć Sazed wiedział, że to bzdura. Inkwizytorzy posiadali moce Zrodzonych z Mgły, mogli więc wpływać na uczucia innych, ale nie potrafili czytać w myślach.

- Dlaczego to powiedziałeś? - spytał.

- Bo to prawda - odparł Marsh. - Nic się jeszcze nie skończyło, Sazedzie. Nawet się nie zaczęło. Ostatni Imperator... był tylko opóźnieniem. Trybikiem. Teraz, gdy zginął, pozostało nam mało czasu. Pójdź ze mną do Domu Modlitwy... musimy go przeszukać, skoro mamy taką możliwość.

Sazed zawahał się, po czym pokiwał głową.

- Pozwól, że wyjaśnię to wieśniakom. Myślę, że możemy wyruszyć jeszcze dziś wieczorem.

Marsh skinął głową, ale pozostał bez ruchu, gdy Sazed powrócił do wioski. Po prostu stał w ciemnościach, pozwalając, by otoczyły go mgły.

*Wszystko sprowadza się do Alendiego. Przykro mi z jego powodu i z powodu wszystkiego, co musiał znieść. Z powodu tego, czym musiał się stać.*

Vin rzuciła się w mgłę. Szybowała w nocnym powietrzu, przelatując nad spowitymi w ciemność domami i ulicami. Czasami widziała gdzieś niewielką kulę światła - patrol straży, a może jakiś pechowy nocny wędrowiec.

Zacząła opadać i natychmiast rzuciła przed siebie monetę. Odepchnęła ją, a jej ciężar popchnął kawałek metalu w dół. Gdy metal uderzył w bruk, jej Pchnięcie poderwało ją do góry i uniosło w powietrze. Łagodne Odepchnięcia były bardzo trudne - każda moneta, od której się Odpychała, każdy skok, który wykonywała, wyrzucały ją w powietrze z ogromną prędkością.

Skoki Zrodzonego z Mgły nie przypominały lotu ptaka, bardziej drogę rykoszetującej strzały.

A jednak był w nich wdzięk. Vin odetchnęła głęboko, wznosząc się nad miastem, smakując chłodne wilgotne powietrze. Za dnia Luthadel pachniało paleniskami, rozgrzаныmi odpadkami i popiołem. W nocy mgły nadawały mu cudowną chłodną rześkość, niemal czystość.

Vin dotarła na szczyt i przez chwilę tak wisiała, gdy jej pęd zaczął się zmieniać, po czym znów zaczęła opadać ku miastu. Pasma płaszcza unosiły się wokół niej, płacząc się z włosami.

Spadała z zamkniętymi oczami, pamiętając pierwsze kilka tygodni szkolenia pod spokojnym - choć uważnym - spojrzeniem Kelsiera. On jej to dał. Wolność. Mimo dwóch lat bycia Zrodzoną z Mgły nigdy nie przestawała czuć się cudownie i upajająco, kiedy szybowała wśród mgieł.

Spalała stal z zamkniętym oczami - linie i tak się pojawiały, widoczne niczym płatanina niebieskich nici na tle czerni powiek. Wybrała dwie, kierujące się w dół za jej plecami, i Odepchnęła, znów wznosząc się łukiem.

Jak ja sobie bez tego radziłam? - pomyślała Vin, otwierając oczy i owijając się płaszczem.

W końcu zaczęła znów spadać i tym razem nie rzuciła monety. Spaliła cynę z ołowiem, by wzmocnić kończyny, i wylądowała z hukiem na murze otaczającym Twierdzę Venture. Brąz nie wskazywał na aktywność allomantyczną w pobliżu, a stal nie ukazała żadnych nietypowych wzorów metalu zbliżających się do twierdzy.

Przykucnęła na chwilę na Ciemnym murze, na samej jego krawędzi, obejmując ją palcami stóp. Kamień był chłodny, a cyna sprawiała, że skóra Vin była bardziej wrażliwa niż normalnie. Wyczuwała, że mur powinien zostać oczyszczony - zaczynały go pokrywać porosty, zachęcane przez nocną wilgoć i chronione przed słońcem przez pobliską wieżę.

Vin przyglądała się, jak delikatny wietrzyk porusza mgły. Nim jeszcze zobaczyła ruch na ulicy poniżej, usłyszała go. napięła się, sprawdzając swoje rezerwy, lecz wtedy ujrzała sylwetkę wilczarza.

Rzuciła w dół monetę i zeskoczyła. OreSeur zaczekał, aż wyląduje obok niego. Vin wykorzystała



Odpychanie monety, by spowolnić upadek.

- Szybko się poruszasz - zauważyła z zadowoleniem.

- Musiałem tylko okrążyć pałac, panienko.

- Ale i tak trzymasz się bliżej mnie niż kiedykolwiek wcześniej. To ciało wilczarza jest szybsze niż ludzkie.

OreSeur się zastanowił.

- Prawdopodobnie - przyznał po chwili.

- Możesz podążać za mną przez miasto?

- Pewnie tak - odparł kandra. - Jeśli się zgubimy, wrócę do tego miejsca.

Vin odwróciła się i pobiegła boczną uliczką. OreSeur cicho ruszył za nią.

Zobaczmy, jak poradzi sobie z bardziej wymagającą pogonią, pomyślała, spalając cynę z ołowiem i zwiększając prędkość. Biegła po chłodnym bruku, jak zawsze na bosaka. Zwykły człowiek by jej nie dogonił. Nawet wyszkolony biegacz nie dotrzymałby jej kroku.

Z pomocą cyny z ołowiem Vin mogła biec godzinami z szaleńczą prędkością. Metal dawał jej siłę i nieprawdopodobne wyczucie równowagi, gdy pędziła przez mgłę ciemną ulicą, a za nią powiewał płaszcz.

OreSeur dotrzymywał jej kroku. Biegł obok niej, dysząc ciężko.

To robi wrażenie, pomyślała Vin, po czym skręciła w boczną uliczkę. Bez trudu przeskoczyła przez sześciostopowy płot na jej końcu i znalazła się w ogrodzie jakiegoś arystokraty. Obróciła się na pięcie, ślizgając się na mokrej trawie, i zaczęła.

Kandra przeskoczył przez płot, jego psia postać wyłoniła się z mgły i wylądowała na glinie u stóp Vin. Zatrzymał się, usiadł na tylnych łapach i dyszał. Jego spojrzenie wydało się jej wyzywające.

Dobra, pomyślała Vin, wyciągając garść monet. Dogoń mnie teraz.

Upuściła monetę i znów wzniosła się w powietrze. Obróciła się we mgle i Odepchnęła w bok od kranu przy studni. Wylądowała na dachu i zeskoczyła, wykorzystując kolejną monetę do Odepchnięcia się nad ulicą.

Nie zatrzymywała się, skacząc z dachu na dach, w razie konieczności wykorzystując monety. Od czasu do czasu spoglądała za siebie i widziała ciemną postać, która próbowała ją gonić. Rzadko podążał za nią w ludzkiej postaci - przeważnie spotykała się z nim w określonych punktach. Nocne wędrówki, skoki wśród mgły - to była prawdziwa domena Zrodzonych z Mgły. Czy Elend rozumiał, o co ją prosi, kiedy powiedział jej, żeby zabrała ze sobą OreSeura? Gdyby pozostawała na dole, na

ulicach, byłaby odsłonięta.

Wylądowała na dachu i zatrzymała się gwałtownie, łapiąc za krawędź. Wychyliła się na zewnątrz i przyjrzała ulicy, trzy kondygnacje niżej. Wszędzie panowała cisza.

Długo to nie trwało, pomyślała. Będę musiała tylko wyjaśnić Elendowi, że...

OreSeur w psiej postaci wskoczył na dach. Podszedł do niej i usiadł na tylnych łapach, spoglądając na nią wyczekująco.

Vin zmarszczyła czoło. Przecież przez dobre dziesięć minut biegła po dachach z prędkością Zrodzonego z Mgły...

- Jak... jak się tu dostałeś? - spytała.

- Wskoczyłem na niższy budynek, a z niego dostałem się na te czynszówki, panienko -

odparł OreSeur. - Później podążałem za tobą po dachach. Są tak blisko siebie, że przeskakiwanie z jednego na drugi wcale nie było trudne.

Vin musiała wyglądać na dezorientowaną, gdyż kandra mówił dalej:

- Być może zbyt... pochopnie oceniłem te kości, panienko. Z pewnością mają doskonały zmysł węchu... właściwie wszystkie zmysły są wyczulone. Zadziwiająco łatwo mogłem cię wyśledzić, nawet w ciemnościach.

- Rozumiem - odpowiedziała. - To dobrze.

- Mogę zapytać, panienko, o cel tej pogoni?

Wzruszyła ramionami.

- Coś takiego robię każdej nocy.

- Wydawało mi się, że wyjątkowo chcesz mnie zgubić. Będzie trudno mi cię chronić, jeśli nie pozwolisz mi się trzymać blisko.

- Chronić mnie? - spytała Vin. - Nawet nie możesz walczyć.

- Kontrakt nie pozwala mi na zabicie człowieka - stwierdził OreSeur. - Mogę jednak ruszyć po pomoc, jeśli będziesz jej potrzebować.

Albo rzucić mi kawałek atium w chwili niebezpieczeństwa, przyznała w myślach Vin.

Ma rację, może być użyteczny. Dlaczego tak bardzo chcę go zgubić?

Spojrzała na OreSeura, który siedział cierpliwie, dysząc z wysiłku. Nawet sobie nie uświadamiała,

że kandra muszą oddychać.

Zjadł Kelsiera.

- Chodź - powiedziała.

Zeskoczyła z budynku, Odpychając się od monety. Nie zatrzymała się, by sprawdzić, czy OreSeur idzie za nią.

Spadając, sięgnęła po kolejną monetę, ale postanowiła jej nie używać. Odepchnęła się od zawiasu mijanego okna. Jak większość Zrodzonych z Mgły, często korzystała ze spinek -

monet o najmniejszej wartości - by skakać. Gospodarka dostarczała im bardzo wygodnego kawałka metalu o idealnym rozmiarze i ciężarze do skakania i strzelania. Dla większości Zrodzonych z Mgły wartość wyrzuconej spinki, a nawet całej sakiewki, nie miała znaczenia.

Vin jednak nie była taka jak większość Zrodzonych z Mgły. W dzieciństwie garść spinek wydawała jej się wielkim majątkiem. Tyle pieniędzy oznaczało jedzenie na wiele tygodni, jeśli zaciskała pasa. Mogło również oznaczać ból - a nawet śmierć - gdyby inni złodzieje dowiedzieli się, że zdobyła taką fortunę.

Od dawna nie chodziła już głodna. Choć miała w swoich komnatach zapas suchych racji, trzymała go raczej z przyzwyczajenia niż z konieczności. Nie była pewna, co myśleć o zmianach, jakie w niej zaszły. Cieszyło ją, że nie musi się martwić o rzeczy pierwszej potrzeby, lecz te zmartwienia zastąpiło coś o wiele poważniejszego - zmartwienia związane z przyszłością całego kraju.

Przyszłością... ludzi. Wylądowała na miejskim murze - o wiele wyższym i mocniejszym niż mur otaczający Twierdzę Venture. Wskoczyła na przedpiersie i objęła ręką blankę, spoglądając na zewnątrz, w stronę ognisk armii.

Nigdy nie poznała Straffa Venture, ale od Elenda usłyszała wystarczająco wiele na jego temat, by się martwić.

Westchnęła i zeskoczyła na szczyt muru. Później oparła się o blanki. W tym czasie OreSeur wbiegł po schodach na mur i zbliżył się do niej. Znow usiadł na tylnych łapach i czekał

cierpliwie.

Na lepsze czy gorsze, proste życie Vin, pełne głodu i bicia, się zmieniło. Rodzące się królestwo Elenda znajdowało się w poważnym niebezpieczeństwie, a ona spaliła ostatnie atium, by uratować życie. Przez to wystawiła go na cios - nie tylko armii, ale też każdego Zrodzonego z Mgły skrytobójcy, który spróbowałby go zabić.

Skrytobójcy takiego jak Obserwator? Tajemnicza postać wtrąciła się do jej walki ze Zrodzonym z Mgły wynajętym przez Cetta. Czego chciał? Dlaczego obserwował ją, a nie Elenda?

Vin westchnęła, sięgnęła do sakiewki i wyciągnęła sztabkę duraluminium. Wciąż dysponowała

rezerwą tego, co połknęła wcześniej.

Przez stulecia zakładano, że istnieje tylko dziesięć metali allomantycznych - cztery metale podstawowe i ich stopy, do tego atium i złoto. Jednakże metale allomantyczne zawsze występowały w parach - metal podstawowy i jego stop. Vin zawsze dziwiło, że atium i złoto uważano za parę, choć żadne nie było stopem drugiego. W końcu okazało się, że wcale nie były parą - nawet miały swoje stopy. Jeden z nich - malatium, zwane Jedenastym Metalem -

dostarczył Vin wskazówki niezbędnej do pokonania Ostatniego Imperatora.

Jakimś sposobem Kelsier dowiedział się o malatium. Sazed wciąż nie znalazł źródła

„legend”, na które natrafił Kelsier i które mówiły o Jedenastym Metalu i jego zdolności do pokonania Ostatniego Imperatora.

Vin potarła palcem śliską powierzchnię duraluminium. Kiedy ostatnio widziała Sazedą, wydawał się sfrustrowany - a w każdym razie tak sfrustrowany, jak tylko mógł być - że nie znalazł nawet wzmianki o legendach Kelsiera. Choć Terrisanin twierdził, że opuszcza Luthadel, by nauczać mieszkańców Ostatniego Imperium - co było jego obowiązkiem jako Opiekuna - uwagi Vin nie umknął fakt, że ruszył na południe. Tam, gdzie Kelsier podobno odkrył Jedenasty Metal.

Czy istnieją też jakieś plotki na temat tego metalu? - zastanawiała się Vin, pocierając duraluminium. Plotki, które mogłyby mi powiedzieć, co on robi?

Każdy z pozostałych metali dawał natychmiastowy, widoczny efekt - jedynie miedź, tworząca chmurę, która ukrywała przed innymi moce Allomanty, nie dawała oczywistych i postrzegalnych zmysłowo efektów. Być może duraluminium było podobne. Czy jego efekt może spostrzec jedynie inny Allomanta, próbujący wykorzystać swoje moce na Vin? Było przeciwieństwem aluminium, które sprawiało, że metale znikwały. Czy to oznaczało, że duraluminium zadziała w taki sposób, że jej metale będą służyły jej dłużej?

Poruszenie.

Vin ledwie zauważyła sugestię ruchu. Z początku poczuła pierwotną grozę - czy to była widmowa postać, duch w mroku, którego widziała poprzedniej nocy?

Coś ci się przywidziało, powiedziała sobie z naciskiem. Byłaś zbyt zmęczona. I rzeczywiście, ślad ruchu był zbyt ciemny - zbyt prawdziwy - by mógł należeć do widma.

To był on.

Stał na szczycie jednej z baszt - nie kulił się, nawet nie próbował się ukryć. Był głupi, czy arogancki, ten nieznaną Zrodzony z Mgły? Vin uśmiechnęła się, jej niepokój zmienił się w ekscytację. Przygotowała metale, sprawdziła rezerwy. Wszystko było gotowe.

Dziś cię złapię, przyjacielu.

Vin obróciła się na pięcie, wyrzucając chmurę monet. Zrodzony z Mgły albo wiedział, że został zauważony, albo był gotowy na atak, gdyż uchylił się bez trudu. OreSeur poderwał się gwałtownie, a Vin zerwała pasek, odrzucając swoje metale.

- Idź za mną, jeżeli będziesz mógł - szepnęła do kandry, po czym skoczyła w ciemność za swoim celem.

Obserwator rzucił się w mrok. Vin nie miała okazji poćwiczyć pościgu za Zrodzonymi z Mgły - jedyną okazję miała podczas sesji szkoleniowych Kelsiera. Z trudem dotrzymywała kroku Obserwatorowi i poczuła ukłucie winy na myśl o tym, co wcześniej zrobiła OreSeurowi.

Na własnej skórze doświadczała tego, jak trudno jest podążać za zdeterminowanym Zrodzonym z Mgły przez opary. I do tego nie miała przewagi w postaci psiego zmysłu węchu.

Ale miała cynę. Metal sprawił, że noc stała się jaśniejsza, i wzmocnił słuch Vin. Dzięki niej udało jej się podążać za Obserwatorem w stronę centrum miasta. W końcu opadł na jednym z centralnych placów z fontannami. Vin również opadła, uderzając w śliskie kamienie z rozbłyskiem cyny z ołowiem, po czym uskoczyła w bok, gdy rzucił w jej stronę garść monet.

Metal z brzękiem uderzył o rzeźby i kamienie. Vin uśmiechnęła się, lądując na czworakach. Rzuciła się do przodu, wykorzystując mięśnie wzmocnione cyną z ołowiem, i Przyciągnęła jedną z monet do ręki.

Jej przeciwnik odskoczył do tyłu, lądując na krawędzi fontanny. Vin dotknęła ziemi i opuściła monetę, wykorzystując ją, by rzucić się do góry i przeskoczyć nad głową Obserwatora.

Mężczyzna pochylił się i obserwował ją ostrożnie.

Vin chwyciła jedną z brązowych rzeźb na środku fontanny i zatrzymała się na jej szczycie. Skuliła się na nierównym podłożu, spoglądając z góry na przeciwnika. Stał oparty na jednej nodze na obmurowaniu fontanny, cichy i ciemny pośród mgieł. W jego postawie kryło się wyzwanie.

Jakby pytał: „Czy uda ci się mnie złapać?”.

Vin wyciągnęła sztylety i zeskoczyła z rzeźby. Odepchnęła się w stronę Obserwatora, wykorzystując brąz jako kotwicę.

Obserwator też wykorzystał rzeźbę, Przyciągając się do przodu. Przeleciał tuż pod Vin, podnosząc falę, jego nieprawdopodobna prędkość pozwoliła mu odbić się, ślizgać się po nieruchomej powierzchni. Gdy wyskoczył z wody, Odepchnął się i przeleciał nad placem.

Vin wylądowała na obmurowaniu fontanny, oblała ją zimna woda. Warknęła i skoczyła za Obserwatorem.

Mężczyzna dotknął ziemi i również wyciągnął sztylety. Przetoczyła się i uniosła obie klingi w podwójnym pchnięciu. Obserwator szybko uskoczył, jego ostrza błyszczały i ociekały wodą. Gdy przykucnął, wydawał się gibki i pełen siły. Jego ciało było napięte, pewne.

Sprawne.

Vin znów się uśmiechnęła, oddychając szybko. Nie czuła się tak od... od tych nocy, gdy ćwiczyła z Kelsierem. Pozostała przykucnięta, czekając, patrząc, jak mgła kłębi się między nią a przeciwnikiem. Był średniego wzrostu, żyłasty i nie nosił mgielnego płaszcza.

Czemu nie ma płaszcza? Mgielne płaszcze były doskonale znanym symbolem jej rodzaju, oznaką dumy i bezpieczeństwa.

Znajdowała się zbyt daleko, by przyjrzeć się jego twarzy. Sądziła jednak, że widzi sugestię uśmiechu, gdy odskoczył do tyłu i Odepchnął się od kolejnej rzeźby. Znów zaczął się pościg.

Vin podążała za nim przez miasto, rozjarzając stal, lądując na dachach i ulicach, Odpychając się wielkimi łukami. Skakali przez Luthadel niczym dzieci na placu zabaw - Vin próbowała odciąć drogę przeciwnikowi, ten zaś zawsze znajdował się trochę przed nią.

Był dobry. O wiele lepszy od wszystkich Zrodzonych z Mgły, jakich napotkała na swojej drodze, być może za wyjątkiem Kelsiera. Jednak od czasu ćwiczeń z Ocalałym zdecydowanie rozwinęła swoje umiejętności. Czy ten przybysz był jeszcze lepszy? Ta myśl przeszła ją dreszczem. Zawsze uważała Kelsiera za wzorzec allomantycznych umiejętności i łatwo było zapomnieć, że posiadał swoje moce zaledwie parę lat przed Upadkiem.

Ja również szkoliłam się tyle czasu, uświadomiła sobie Vin, lądując w wąskiej uliczce.

Zmarszczyła czoło i przykucnęła. Widziała, jak Obserwator spada ku tej ulicy.

Wąska i źle utrzymana ulica była właściwie przejściem między dwu- i trzypiętrowymi budynkami. Nic się nie poruszało - albo jej przeciwnik zdołał uciec, albo ukrywał się w pobliżu.

Spaliła żelazo, lecz jego linie nie pokazywały żadnego ruchu.

Miała jednak inną możliwość...

Vin udała, że nadal się rozgląda, lecz jednocześnie rozjarzyła brąz, próbując przebić chmurę miedzi, która powinna znajdować się w pobliżu.

Był tam. Ukrywał się w pomieszczeniu za zamkniętymi okiennicami w zrujnowanym budynku. Teraz, kiedy wiedziała, gdzie szukać, zobaczyła kawałek metalu, który wykorzystał, żeby wskoczyć na piętro, haczyk, który musiał Przyciągnąć, żeby szybko zamknąć za sobą okiennice. Pewnie wcześniej odwiedził tę uliczkę, by móc ją tu zgubić.

Sprytne, pomyślała Vin.

Nie mógł przewidzieć jej umiejętności przebijania chmury miedzi. Ale gdyby go teraz zaatakowała, zdradziłaby się. Vin wstała cicho, myśląc o tym, jak się tam kuli i z napięciem czeka, aż odejdzie.

Uśmiechnęła się. Sięgając w głąb siebie, zbadła zapas duraluminium. Mogła odkryć, czy jego

spalenie prowadziło do zmian w sposobie, w jaki wyglądała dla innego Zrodzonego z Mgły. Obserwator z pewnością spalał swoje metale, próbując ocenić, jaki będzie jej kolejny ruch.

Dlatego, uważając się za nieprawdopodobnie sprytną, Vin spaliła czternasty metal.

W jej uszach rozległ się potężny wybuch. Vin sapnęła i opadła na kolana. Wszystko wokół niej stało się jasne, jakby jakieś wyładowanie rozjarzyło całą ulicę. I było jej zimno -

oszałamiająco, morderczo zimno.

Jęknęła, próbując zrozumieć dźwięk. To... to nie był wybuch, lecz wiele wybuchów.

Rytmiczne uderzenia, jak bęben bijący tuż obok niej. Bicie jej serca. I wietrzyk, głośny niczym wichura. Drapanie psa szukającego pożywienia. Ktoś chrapiący przez sen. Zupełnie jakby jej słuch stał się sto razy czulszy.

A później... nic. Vin upadła na kamienie, nagły przypływ światła, zimna i dźwięku zniknął. W cieniach poruszała się jakaś postać, ale nie rozpoznawała jej - już nie widziała w ciemności. Jej cyna...

Zniknęła, uświadomiła sobie. Mój cały zapas cyny się spalił. Spalałam ją, kiedy sięgnęłam po duraluminium.

Spaliłam je jednocześnie. To cała tajemnica. Duraluminium wypaliło całą jej cynę w nagłym wybuchu. Przez krótki czas ogromnie wyczuliło to jej zmysły, lecz jednocześnie pozbawiło ją rezerw. Odkryła również, że brąz i cyna z ołowiem - pozostałe metale, które spalała w tym samym czasie - także zniknęły. Nagły przypływ zmysłowych informacji był tak potężny, że nie zauważyła efektów pozostałej dwójki.

Później się nad tym zastanowię, powiedziała sobie Vin, potrząsając głową. Czowała się, jakby została oślepiąca i ogłuszona, ale była jedynie trochę oszołomiona.

Ciemna postać zbliżała się do niej przez mgły. Nie miała czasu na odpoczynek -

poderwała się na równe nogi, zatoczyła. Sylwetka była za niska na Obserwatora. To był...

- Panienko, czy potrzebujesz pomocy?

Vin zaczęła, aż OreSeur podejdzie do niej i usiądzie na tylnych łapach.

- Udało ci się mnie dogonić - powiedziała.

- Nie było to łatwe, panienko - odparł beznamiętnie. - Potrzebujesz pomocy?

- Co? Nie, żadnej pomocy. - Vin znów potrząsnęła głową, rozjaśniając umysł. - Chyba o tym jednym nie pomyślałam, kiedy uczyniłam cię psem. Nie możesz teraz nosić dla mnie metali.

Kandra przechylił głowę, po czym zniknął w uliczce. Wrócił po chwili, niosąc coś w pysku. Jej pas.

Upuścił go u jej stóp i znów usiadł. Vin podniosła pas i wyciągnęła jedną z zapasowych fiolek.

- Dziękuję - powiedziała powoli. - To było bardzo... rozsądne z twojej strony.

- Wypełniam swój Kontrakt, panienko - odparł kandra. - Nic więcej.

Cóż, zrobiłaś więcej niż kiedykolwiek wcześniej, pomyślała, połykając zawartość fiołki.

Spaliła cynę, odzyskując widzenie w ciemnościach i zmniejszając napięcie. Od chwili, gdy odkryła swoje moce, nigdy nie musiała chodzić w całkowitej ciemności.

Okiennice w pokoju Obserwatora były otwarte. Najwyraźniej uciekł w czasie jej ataku.

Vin westchnęła.

- Panienko! - warknął OreSeur.

Vin obróciła się na pięcie. Za jej plecami bezgłośnie wylądował mężczyzna. Z jakiegoś powodu wyglądał... znajomo. Miał szczupłą twarz i ciemne włosy. Przechylił głowę. Widziała pytanie w jego oczach. Czemu upadła?

Uśmiechnęła się.

- Może chciałam cię ściągnąć bliżej? - wyszeptła. Cicho, lecz wystarczająco głośno, by usłyszały ją jego wzmocnione cyną uszy.

Zrodzony z Mgły uśmiechnął się i pochylił głowę, jakby uklonie.

- Kim jesteś? - spytała, robiąc krok do przodu.

- Wrogiem - odparł, wyciągając rękę, by ją powstrzymać.

Vin się zatrzymała. Między nimi kłębiły się mgły.

- To dlaczego pomogłeś mi w walce z tymi skrytobójcami?

- Ponieważ - odpowiedział - jestem też szalony.

Ze zmarszczonym czołem wpatrzyła się w mężczyznę. Widziała już wcześniej szaleństwo w oczach żebraków. Ten mężczyzna nie był szalony. Stał dumnie wyprostowany i wpatrywał się w nią opanowanym wzrokiem.

W jaką grę on gra? - zastanawiała się.

Instynkty - wykształcone przez całe życie - kazały jej zachować ostrożność. Dopiero niedawno nauczyła się ufać przyjacielom i nie miała zamiaru obdarzyć tym przywilejem mężczyzny, którego



spotykała nocami.

A jednak minął ponad rok od kiedy ostatnio rozmawiała ze Zrodzonym z Mgły. Targały nią konflikty, których nie umiała wyjaśnić innym. Nawet Mgliści, jak Ham czy Breeze, nie rozumieli dziwnego podwójnego życia Zrodzonego z Mgły. Częściowo skrytobójca, częściowo strażnik, częściowo arystokratka... częściowo zagubiona, cicha dziewczyna. Czy ten mężczyzna miał podobne problemy ze swoją tożsamością?

Może mogłaby uczynić z niego swojego sojusznika, znaleźć drugiego Zrodzonego z Mgły dla obrony Środkowego Dominium. Nawet jeśli, z pewnością nie mogła sobie pozwolić na walkę z nim. Nocna pogoń to jedno, ale gdyby doszło do czegoś poważniejszego, w grę mogłoby wchodzić atium.

Gdyby tak się stało, przegrałaby.

Obserwator wpatrywał się w nią uważnie.

- Odpowiedz mi na jedno pytanie - poprosił.

Vin pokiwała głową.

- Naprawdę Go zabiłaś?

- Tak - odpowiedziała szeptem. Mógł mieć na myśli tylko jedną osobę.

Powoli pokiwał głową.

- Dlaczego grasz w ich gierki?

- Czyje gierki?

Obserwator wskazał w stronę Twierdzy Venture.

- To nie gierki - odparła. - To nie jest gierka, kiedy niebezpieczeństwo grozi ludziom, których kocham.

Obserwator stał w milczeniu, w końcu potrząsnął głową, jakby... rozczarowany. Wyjął coś zza pasa.

Vin natychmiast odskoczyła, on jednak rzucił monetę na ziemię między nimi. Odbiła się kilka razy i zatrzymała na bruku. Wtedy Obserwator Odepchnął się w powietrze.

Nie podążyła za nim. Pomasowała czoło - wciąż miała wrażenie, że zaraz rozboli ją głowa.

- Puszczasz go? - spytał OreSeur.

- Na dziś koniec. Dobrze walczył - odpowiedziała.

- Wydaje się, że darzysz go szacunkiem - zauważył kandra.

Vin odwróciła się i zmarszczyła czoło, wyczuwając nutę pogardy w głosie kandry.

OreSeur siedział cierpliwie i nie okazywał żadnych uczuć.

Westchnęła, zapinając pas.

- Będziemy musieli wymyślić dla ciebie jakąś uprzęż albo coś w tym rodzaju -

powiedziała. - Chcę, żebyś nosił dla mnie zapasy metali, jak wtedy, gdy byłeś człowiekiem.

- Uprząż nie będzie konieczna, panienko - stwierdził kandra.

- O?

OreSeur podniósł się i podszedł do niej.

- Wyjmij, proszę, jedną z fiolek.

Vin spełniła jego prośbę i wyjęła małą fiolkę. OreSeur zatrzymał się, po czym zwrócił

do niej bokiem. Na jej oczach futro rozstało się, a ciało pękło, ukazując żyły i warstwy skóry.

Vin się cofnęła.

- Nie ma powodów do zmartwienia, panienko - zapewnił ją kandra. - Moje ciało jest inne niż twoje. Mam nad nim więcej... kontroli, tak mogłabyś to określić. Umieść fiolkę w moim barku.

Vin zrobiła to, co jej powiedział. Ciało otoczyło szkło, ukrywając je. Vin eksperymentalnie spaliła żelazo. Żadnych niebieskich linii wskazujących w stronę ukrytej fiołki. Metal w żołądku pozostawał odporny na wpływy innych Allomantów. W rzeczy samej, metale przebijające ciało, jak kolce Inkwizytorów czy kolczyk Vin, nie mogły być Przyciągane i Odpychane. Najwyraźniej ta zasada dotyczyła metali ukrytych w ciele kandry.

- Dostarczę ci je w razie potrzeby - stwierdził OreSeur.

- Dziękuję - odpowiedziała Vin.

- Kontrakt, panienko. Nie dziękuj mi. Robię tylko to, czego się ode mnie oczekuje.

Vin powoli pokiwała głową.

- W takim razie wracajmy do pałacu - powiedziała. - Chcę sprawdzić, co u Elenda.

*Ale pozwólcie, że zacznę od początku. Poznałem Alendiego w Khlennium.*

*Był wtedy młodzieńcem i nie został jeszcze wypaczony przez dziesięć lat dowodzenia armią.*



Marsh się zmienił. Dawny Szperacz stał się... twardszy. Wydawało się, że przez cały czas spogląda na rzeczy, których Sazed nie widział. Odpowiadał kategorycznie i lapidarnie.

Oczywiście, Marsh zawsze był bezpośredni. Sazed popatrzył na przyjaciela, idąc obok niego zapyłoną drogą. Nie mieli koni - nawet gdyby Terrisanin miał wierzchowca, zwierzę nie chciałoby podejść do Inkwizytora.

Spook mi kiedyś mówił, jakie Marsh miał przezwisko, zastanawiał się Sazed. Przed przemianą, nazywali go... Żelaznookim. Ten przydomek okazał się proroczy. Większość źle się czuła w obecności odmienionego Marsha, izolując go. I choć on najwyraźniej nie zwracał na to uwagi, Sazed specjalnie się z nim zaprzyjaźnił.

Nadal nie wiedział, czy Marsh doceniał ten gest, czy nie. Całkiem dobrze się dogadywali - obaj interesowali się nauką, historią i nastrojami religijnymi w Ostatnim Imperium.

I w końcu przyszedł po mnie, pomyślał Sazed. Oczywiście, twierdził, że potrzebuje mojej pomocy, gdyby w Domu Modlitwy Seran jednak przebywali jacyś Inkwizytorzy. Ale to była kiepska wymówka. Mimo feruchemicznych mocy, Terrisanin nie był wojownikiem.

- Powinieneś być w Luthadel - stwierdził Marsh.

Sazed uniósł wzrok. Jego towarzysz jak zwykle mówił bez ogródek i bez wstępów.

- Czemu tak mówisz? - spytał.

- Potrzebują cię tam.

- Reszta Ostatniego Imperium też mnie potrzebuje, Marsh. Jestem Opiekunem i nie powinienem poświęcać całego swojego czasu jednej grupie ludzi.

Marsh pokręcił głową.

- Ci chłopcy wkrótce o tobie zapomną. Nikt nie zapomni tego, co wkrótce wydarzy się w Środkowym Imperium.

- Byłbyś zaskoczony, o czym potrafią zapomnieć ludzie. Wojny i królestwa mogą się teraz wydawać ważne, ale nawet Ostatnie Imperium okazało się śmiertelne. Teraz, gdy upadło, Opiekunowie nie mają już powodu zajmować się polityką. Większość z nas uważa, że nigdy nie powinniśmy zajmować się polityką.

Inkwizytor zwrócił się w jego stronę. Te oczy, oczodoły wypełnione stalą. Sazed nie zadrżał, ale czuł się niezręcznie.

- A twoi przyjaciele? - spytał.

To było bardziej osobiste. Sazed odwrócił głowę, myśląc o Vin i złożonej Kelsierowi przysiędze, że będzie ją chronił. Teraz nie potrzebuje już ochrony, pomyślał. Jest lepsza w Allomancji od samego Kelsiera. A jednak wiedział, że nie każda ochrona wiąże się z walką. Te rzeczy - wsparcie, rada, dobroć - były ważne dla każdego, a szczególnie Vin. Tak wielka odpowiedzialność spoczywała na jej ramionach.

- Posłałem... pomoc - stwierdził Sazed. - Tyle, ile mogłem.

- To za mało - sprzeciwił się Marsh. - To, co się dzieje w Luthadel, jest zbyt ważne, by to zignorować.

- Nie ignoruję ich. Po prostu wypełniam swoje obowiązki.

Marsh w końcu się odwrócił.

- Niewłaściwe obowiązki. Wrócisz do Luthadel, kiedy tu skończymy.

Sazed otworzył usta, by się sprzeciwić, ale w końcu nic nie powiedział. Bo też i co mógł? Marsh miał rację. Choć Terrisanin nie miał na to dowodów, wiedział, że w Luthadel dzieją się ważne rzeczy - rzeczy, przy których będzie potrzebna jego pomoc. Rzeczy, które prawdopodobnie wpłyną na przyszłość krainy znanej niegdyś jako Ostatnie Imperium.

Dlatego zamknął usta i powlókł się za Marshem. Wróci do Luthadel i znów okaże się buntownikiem. Może w końcu zrozumie, że nie było żadnego widmowego zagrożenia dla świata - że powrócił kierowany samolubnym pragnieniem, by być z przyjaciółmi.

Właściwie na to właśnie liczył. Alternatywa sprawiała, że czuł się nieswojo.

*Wzrost Alendiego zaskoczył mnie, gdy ujrzałem go po raz pierwszy. Oto człowiek, który górował nad innymi i mimo swojego wieku oraz skromnego stroju wymagał szacunku.*

Zgromadzenie zbierało się w dawnej siedzibie Kantonu Finansów Stalowego Zakonu.

Było to pomieszczenie o niskim sklepieniu, raczej duża sala wykładowa niż sala zgromadzenia.

Scenę na podwyższeniu otaczały rzędy ławek. Po prawej stronie sceny Elend umieścił rząd siedzeń dla członków Zgromadzenia. Po lewej samotną mównicę.

Mównica była zwrócona w stronę Zgromadzenia, nie tłumów. Zwykłych mieszkańców zachęcano jednak do przychodzenia. Elend sądził, że każdy powinien się interesować działaniem rządu i martwiło go, że na cotygodniowych spotkaniach Zgromadzenia pojawiała się niewielu słuchaczy.

Siedzenie Vin znajdowało się na scenie, tyle że z tyłu, naprzeciwko widowni. Ze swojego miejsca wraz z innymi strażnikami mogła obserwować tłum. Również cały pierwszy rząd na widowni zajmowali strażnicy Hama, stanowiąc pierwszą linię obrony. Byli w zwykłych ubraniach. Elend nie chciał zgodzić się na żądania Vin, by umieścić strażę przed sceną i za nią

- sądził, że widok strażników siedzących za mówcami będzie rozprasający. Ham i Vin jednak się upierali. Jeśli Elend miał zamiar co tydzień stawać przed tłumem, chciała mieć pewność, że uda jej się mieć na oku jego samego i tych, którzy go strzegli.

Dotarcie na miejsce wymagało od niej przejścia przez całą scenę. Zebrani odprowadzali ją wzrokiem. Niektórzy z tłumu interesowali się skandalem - zakładali, że jest kochanką Elenda, a król sypiający ze swoją asystentką był zawsze dobrym tematem plotek. Inni interesowali się polityką i zastanawiali się, jak wielki ma wpływ na Elenda i czy można ją wykorzystać, by zyskać przychyłność władcy. Jeszcze innych ciekawiły legendy i zastanawiali się, czy dziewczyna taka jak Vin rzeczywiście mogła zabić Ostatniego Imperatora.

Vin przyspieszyła kroku. Minęła Zgromadzenie i usiadła obok Hama, który mimo oficjalnej okazji nadal nosił prostą kamizelkę na gołe ciało. Siedząc obok niego w spodniach i koszuli, Vin nie czuła się aż tak nie na miejscu.

Ham uśmiechnął się, poklepał ją przyjaźnie po ramieniu. Zmusiła się, by nie podskoczyć. Nie chodziło o to, że go nie lubiła - wprost przeciwnie. Kochała go jak wszystkich członków dawnej ekipy Kelsiera. Po prostu... nie umiała tego wyjaśnić, nawet sobie. Niewinny gest Hama sprawił, że miała ochotę go odepchnąć. Wydawało jej się, że ludzie nie powinni tak swobodnie dotykać innych.

Odrzuciła te myśli. Musiała się nauczyć zachowywać jak inni ludzie. Elend zasługiwał

na normalną kobietę.

Już był na miejscu. Skinął Vin głową, gdy zauważył jej przybycie, a ona odpowiedziała uśmiechem. Później powrócił do cichej rozmowy z lordem Penrodem, jednym ze szlachetnie urodzonych członków Zgromadzenia.

- Elend będzie zadowolony - wyszeptała Vin. - Nie ma wolnych miejsc.

- Martwią się - odparł równie cicho Ham. - A zmartwiony człowiek zwraca większą uwagę na takie rzeczy. Mnie to się nie podoba... ci wszyscy ludzie utrudniają nam robotę.

Vin pokiwała głową i przyjrzała się widowni. Tłum był różnorodny - zbiorowisko różnych grup, które za czasów Ostatniego Imperium nigdy, by się nie spotkały. Większość stanowili oczywiście szlachetnie urodzeni. Zmarszczyła czoło, myśląc o tym, jak często różni członkowie szlachty i próbowali manipulować Elendem i ile obietnic im złożył...

- Czemu masz taką minę? - spytał Ham, trącając ją.

Vin spojrzała na Zbira. Jego oczy błyszczały w prostokątnej twarzy; Ham miał niemal nadnaturalny zmysł, jeśli chodziło o kłótnie.

Westchnęła.

- Po prostu tego nie rozumiem.

- Tego?

- Tego - powtórzyła cicho, gestem wskazując Zgromadzenie. - Elend tak bardzo próbuje wszystkich uszczęśliwić. Tak wiele oddaje... władzę, pieniądze...

- Chce, żeby wszyscy zobaczyli, że każdy jest traktowany uczciwie.

- To coś więcej, Ham - sprzeciwiła się. - Zupełnie, jakby chciał zmienić wszystkich w szlachetnie urodzonych.

- A czy to coś złego?

- Gdyby każdy był szlachetnie urodzony, to nie byłoby szlachetnie urodzonych. Nie wszyscy mogą być bogaci i nie wszyscy mogą mieć władzę. Nie tak działa świat.

- Być może - odparł z namysłem Ham. - Ale czyż obywatelskim obowiązkiem Elenda nie jest zapewnienie sprawiedliwości?

Obywatelski obowiązek? Pomyślała Vin. Nie powinnam była rozmawiać o czymś takim z Hamem.

Spuściła wzrok.

- Po prostu myślę, że mógłby zadbać o każdego bez Zgromadzenia. Oni tylko się kłócą i próbują odebrać mu władzę. A on na to pozwala.

Nie kontynuowali tej rozmowy i Vin wróciła do przyglądania się widzom. Wyglądało na to, że spora grupa robotników przybyła pierwsza i zajęła najlepsze miejsca. Na początku istnienia Zgromadzenia - przed dziesięcioma miesiącami - arystokracja wysyłała służących, by zajęli dla nich miejsca albo

płacili ludziom, żeby się przenieśli dalej. Kiedy Elend dowiedział

się o takich praktykach, zakazał ich.

Poza szlachetnie urodzonymi i robotnikami zjawili się liczni przedstawiciele „nowej” klasy. Kupcy i rzemieślnicy skaa, którzy teraz mogli samodzielnie ustalać ceny swoich towarów. Oni byli prawdziwymi zwycięzcami w nowej ekonomii Elenda. Pod uciskiem Ostatniego Imperatora tylko kilku niezwykle uzdolnionych skaa mogło prowadzić względnie wygodne życie. Bez tych ograniczeń ci sami ludzie szybko okazali się bardziej uzdolnieni i rzutcy niż ich szlachetnie urodzeni odpowiednicy. W Zgromadzeniu stanowili frakcję dorównującą arystokracji.

W tłumie przewijali się też inni skaa. Wyglądali niemal tak samo jak przed dojściem Elenda do władzy. Podczas gdy arystokraci nosili surduty, kapelusze i płaszcze, ci skaa mieli proste spodnie. Niektórzy nie umyli się po pracy, a ich ubranie było stare i poplamione popiołem.

A jednak... wyglądali inaczej. Nie chodziło o ich ubiór, ale postawę. Siedzieli bardziej prosto, wyżej unosili głowy. I mieli choć trochę wolnego czasu, by przyjść na spotkanie Zgromadzenia.

Elend w końcu wstał, by rozpocząć obrady. Tego ranka ubierali go służący i w efekcie nie wydawał się nawet odrobinę niechlujny. Marynarka dobrze leżała, zapięta na wszystkie guziki, a kamizelka miała odpowiedni niebieski odcień. Do tego ktoś go uczesał i krótkie kasztanowe loki przylegały do głowy.

Zazwyczaj rozpoczynał spotkanie wezwaniem innych mówców. Członków Zgromadzenia, którzy godzinami rozwodzili się na tematy w rodzaju wysokości podatków czy instalacji sanitarnych w mieście. Dziś jednak mieli ważniejsze tematy do omówienia.

- Panowie - zaczął Elend. - Proszę o pozwolenie odejścia od zwykłej kolejności działań, w świetle obecnej... sytuacji miasta.

Grupa dwudziestu czterech członków pokiwała głowami, niektórzy mrucze przy tym pod nosem. Elend ich zignorował. Dobrze się czuł w obecności tłumu, o wiele lepiej niż Vin.

Gdy przemawiał, przyglądała się widzom, obserwując ich reakcje.

- Powaga naszej sytuacji jest z pewnością oczywista - rozpoczął Elend, prezentując przygotowaną wcześniej mowę. - Musimy stawić czoło niebezpieczeństwu, jakiego to miasto wcześniej nie znało. Inwazji i oblężeniu przez tyrana z zewnątrz. Jesteśmy nowym narodem, królestwem zbudowanym na zasadach nieznanych w czasach Ostatniego Imperatora. A jednak mamy już swoją tradycję. Wolność dla skaa. Władza wybierana przez nas i zgodna z naszymi pragnieniami. Szlachetnie urodzeni, którzy nie muszą się płaszczyć przed obligatorami i Inkwizytorami Ostatniego Imperatora. Panowie, rok to za mało. Posmakowaliśmy wolności, ale nie mieliśmy czasu się nią nacieszyć. Przez ostatni miesiąc często dyskutowaliśmy i spieraliśmy się, co powinniśmy zrobić, gdy nadejdzie ten dzień. Oczywiście, mamy różne zdania na ten temat. Dlatego proszę o solidarny głos. Obiecujemy sobie i tym ludziom, że nie oddamy tego miasta w obce ręce bez poważnego zastanowienia. Zdecydujemy się zebrać więcej informacji, znaleźć inne wyjścia, a nawet walczyć, jeśli okaże się to konieczne.



Mowa trwała dalej, ale Vin słyszała ją już wielokrotnie, gdy Elend ją ćwiczył. Kiedy mówił, spoglądała na zebranych. Najbardziej martwiła się obligatorami, którzy siedzieli z tyłu.

Nie zareagowali, gdy Elend postawił ich w złym świetle.

Nigdy nie rozumiała, dlaczego Elend pozwolił Stalowemu Zakonowi na dalsze nauczanie. Jedyne on pozostał po Ostatnim Imperatorze. Większość obligatorów uparcie nie chciała się podzielić z nowym rządem, swoją wiedzą na temat biurokracji i administracji, a na skaa patrzyli z pogardą.

A jednak Elend pozwolił im zostać. Kategorycznie zabronił im nawoływać do buntu lub przemocy. Nie wygnał ich jednak z miasta, co zaproponowała Vin. Gdyby decyzja należała do niej, prawdopodobni by ich straciła.

Mowa zbliżała się ku końcowi i Vin znów skoncentrowała się na Elendzie.

- Panowie - powiedział. - Składam tę propozycję w dobrej wierze i w imieniu tych, których reprezentujemy. Proszę o czas. Proponuję, żebyśmy zrezygnowali z głosowania na temat przyszłości miasta do chwili; gdy królewska delegacja spotka się z armią na zewnątrz i oceni, czy istnieje jakakolwiek szansa na negocjacje.

Opuścił rękę z kartką i uniósł wzrok, czekając na komentarze.

- Czyli - odezwał się Philen, jeden z kupców w Zgromadzeniu - prosisz nas, żebyśmy pozwolili ci zdecydować, jaki będzie los miasta. - Philen nosił swój bogaty strój tak swobodnie, że nikt by się nie domyślił, że: po raz pierwszy włożył go przed rokiem.

- Co? - spytał Elend. - Nic takiego nie powiedziałem. Poprosiłem tylko o trochę czasu, by porozmawiać ze Straffem.

- Odrzucił wszystkie nasze wcześniejsze wiadomości - spytał inny z członków Zgromadzenia. - Dlaczego sądzisz, że teraz posłucha?

- Podchodzimy do tego ze złej strony! - odezwał się jeden z arystokratów. - Powinniśmy podjąć decyzję, by błagać Straffa Venture, żeby nas nie atakował, a nie myśleć o spotkaniu i rozmowach. Musimy szybko ustalić, że chcemy z nim współpracować. Wszyscy widzieliście tę armię. On planuje nas zniszczyć!

- Proszę - powiedział Elend, unosząc dłoń. - Nie odchodźmy od tematu!

Jeden z członków Zgromadzenia - skaa - odezwał się, jakby nie słyszał Elenda:

- Mówisz tak, ponieważ jesteś szlachetnie urodzony. - Wskazał na mężczyznę, któremu król przerwał.

- Łatwo ci mówić o współpracy ze Straffem, bo nie masz wiele do stracenia!

- Niewiele do stracenia? - powtórzył arystokrata. - Mogę zostać stracony z całą rodziną za pomoc Elendowi przeciwko jego ojcu!

- No, ba! - odezwał się jeden z kupców. - To nie ma sensu. Powinniśmy byli wiele miesięcy temu zatrudnić najemników, jak sugerowałem.

- A skąd wzięlibyśmy na to pieniądze? - spytał lord Penrod, najstarszy te szlachetnie urodzonych.

- Podatki - odparł kupiec, machnąwszy ręką.

- Panowie! - powiedział Elend, po czym powtórzył głośniejszym głosem: - Panowie!

Część zebranych zwróciła na niego uwagę.

- Musimy podjąć decyzję - powiedział. - Skupcie się, proszę. Co z moją propozycją?

- Nie ma sensu - stwierdził kupiec Philen. - Dlaczego mamy czekać? Zaprośmy Straffa do miasta i skończmy z tym. I tak je sobie weźmie.

Mężczyźni znów zaczęli się kłócić. Problem polegał na tym, że kupiec Philen - choć Vin go nie lubiła - miał rację. Walka rysowała się mało ciekawie, Straff bowiem miał dużą armię.

Czy gra na czas rzeczywiście coś da?

- Posłuchajcie - odezwał się znów Elend, próbując przyciągnąć ich uwagę, niestety, nie do końca skutecznie. - Straff to mój ojciec. Może uda mi się z nim porozmawiać? Może skłonię go, żeby mnie posłuchał? Luthadel przez wiele lat było jego domem. Może uda mi się go przekonać, żeby nie atakował?

- Zaczekaj - odezwał się jeden ze skaa. - A co z żywnością? Widziałeś, ile kupcy żądają za zboże? Nim zaczniemy martwić się armią, powinniśmy porozmawiać o obniżeniu cen.

- Zawsze obwiniacie nas o swoje problemy - stwierdził jeden z kupców.

I znów zaczęły się przepychanki. Elend skulił się nieco za mównicą.

Vin potrząsnęła głową ze współczuciem. Tak się często działo na obradach Zgromadzenia - wydawało jej się, że nie traktują Elenda z należnym szacunkiem. Może to jego wina, gdyż wyniósł ich i uczynił prawie równymi sobie?

W końcu dyskusja się uspokoiła, a Elend wyciągnął arkusz papieru, najwyraźniej planował zapisać wynik głosowania nad jego propozycją. Nie wydawał się nastawiony optymistycznie.

- Dobrze - stwierdził. - Głosujmy. Proszę, pamiętajcie, że jeśli dacie mi czas, nie oznacza to, że tracimy wszystkie atuty. Po prostu będę miał okazję porozmawiać z ojcem i przekonać go, żeby zmienił zdanie i nie odbierał nam miasta.

- Elend, chłopcze - odezwał się lord Penrod. - Wszyscy tu żyliśmy pod władzą Ostatniego Imperatora. Wszyscy wiemy, jakim człowiekiem jest twój ojciec. Jeśli pragnie tego miasta, to je sobie weźmie. My możemy tylko zdecydować, w jaki sposób. Może uda nam się sprawić, by

mieszkańcy zachowali część swoich swobód.

Zebrani siedzieli w milczeniu. Kilku zwróciło się w stronę Penroda. Vin nie znała go dobrze. Był jednym z najpotężniejszych arystokratów, którzy pozostali w mieście po Upadku, a poglądy miał konserwatywne. Nie słyszała jednak nigdy, by źle mówił o skaa, co prawdopodobnie tłumaczyło jego popularność wśród pospólstwa.

- Mówię otwarcie - stwierdził Penrod - gdyż taka jest prawda. Nie mamy żadnych kart przetargowych.

- Zgadzam się z Penrodem - wtrącił Philen. - Jeśli Elend chce się spotkać ze Straffem Venture, ma takie prawo. O ile dobrze rozumiem, jako król ma prawo negocjować z obcymi monarchami. Nie musimy jednak obiecywać, że nie oddamy Straffowi miasta.

- Mistrzu Philenie - odparł szlachcic. - Chyba źle mnie zrozumiałeś. Powiedziałem, że poddanie miasta jest nieuniknione... ale musimy jak najwięcej przy tym uzyskać. To oznacza co najmniej spotkanie ze Straffem, by ocenić jego nastawienie. Głosowanie teraz za oddaniem mu miasta zbyt szybko pozbawiłoby nas wszelkich atutów.

Elend uniósł wzrok. Na jego twarzy po raz pierwszy od początku dyskusji malowała się nadzieja.

- Czyli popierasz moją propozycję? - spytał.

- To niezręczny sposób na zapewnienie sobie czasu, którego potrzebujemy - odparł

Penrod. - Ale... skoro armia już tu jest, to chyba nie mamy innych możliwości. Tak, popieram tę propozycję, Wasza Wysokość.

Inni członkowie Zgromadzenia kiwali głowami, jakby dopiero teraz zaczęli rozważać propozycję króla. Ten Penrod ma za dużą władzę, pomyślała Vin, spoglądając ze zmrużonymi oczyma na starszego mężczyznę. Słuchają go bardziej niż Elenda.

- Zagłosujemy? - spytał inny z zebranych.

I tak zrobili. Elend zapisywał głosy, przechodząc wzdłuż szeregów członków Zgromadzenia. Ośmiu szlachetnie urodzonych - siedmiu plus Elend - zagłosowało za propozycją, biorąc pod uwagę opinię Penroda. Ośmiu skaa było w większości za, a kupcy przeciwko. W końcu jednak król zebrał konieczne dwie trzecie głosów.

- Propozycja została przyjęta - powiedział Elend, podliczywszy głosy. Wydawał się zaskoczony. - Zgromadzenie rezygnuje z prawa poddania miasta do chwili, gdy król spotka się ze Straffem Venture.

Vin odchyliła się do tyłu, próbując ocenić, co sądzi o głosowaniu. Dobrze, że Elend wygrał, ale nie podobał jej się sposób, w jaki to osiągnął.

Elend w końcu opuścił mównicę, usiadł i pozwolił, by jego miejsce zajął niezadowolony Philen. Odczytał propozycję, by kontrolę nad miejskimi zapasami żywności przekazano kupcom. Tym razem

to Elend się sprzeciwił i znów zaczęły się kłótnie. Vin przyglądała się temu z zainteresowaniem. Czy król uświadamiał sobie, jak bardzo staje się podobny do pozostałych, gdy sprzeciwiał się ich propozycjom?

Elend i kilku skaa przeciągali dyskusję tak długo, aż nadeszła pora obiadu, a głosowanie jeszcze się nie odbyło. Ludzie na widowni wstawali i przeciągali się. Ham odwrócił się w jej stronę.

- Udane obrady, co?

Vin wzruszyła ramionami.

- Musimy coś zrobić z twoją ambiwalencją w odniesieniu do obywatelskich obowiązków, dzieciaku.

- Już obaliłam jeden rząd - odparła. - To chyba na jakiś czas załatwia moje

„obywatelskie obowiązki”.

Ham uśmiechnął się, choć nadal uważnie patrzył na tłum. Teraz, gdy wszyscy się ruszali, próba zabójstwa Elenda miałaby największe szanse powodzenia. Jedna osoba szczególnie zwróciła uwagę Vin. Zmarszczyła czoło.

- Zaraz wracam - powiedziała do Hama i wstała.

\*\*\*

- Postąpiłeś właściwie, lordzie Penrodzie - powiedział szeptem Elend, stając obok starszego arystokraty. - Potrzebujemy więcej czasu. Wiesz, co mój ojciec robi z tym miastem, jeśli je zdobędzie.

Lord Penrod pokręcił głową.

- Nie zrobiłem tego dla ciebie, synu. Zrobiłem to, bo chciałem się upewnić, że ten idiota Philen nie odda miasta, zanim szlachta nie uzyska od twojego ojca obietnicy zachowania tytułów.

- Widzisz - odezwał się Elend, unosząc palec. - Musi być jakieś inne rozwiązanie!

Ocalały nie oddałby tego miasta bez walki.

Penrod skrzywił się i król przerwał, przeklinając się w duchu. Stary lord był

tradycjonalistą i wzmianka o Ocalałym raczej nie mogła przynieść pozytywnych efektów.

Wielu ze szlachetnie urodzonych obawiało się wpływu Kelsiera na skaa.

- Zastanów się nad tym - powiedział Elend, spoglądając w bok, gdy zbliżyła się do niego Vin. Gestem wezwała go do siebie. Przeprosił zgromadzonych i podszedł do niej.

- O co chodzi? - spytał cicho.

- Kobieta z tyłu - odpowiedziała równie cicho, spoglądając podejrzliwie. - Wysoka, w niebieskim.

Wspomniana kobieta przyciągała uwagę - miała na sobie jaskrawoniebieską bluzkę i czerwoną spódnicę. Była w średnim wieku, szczupła, a jej sięgające do pasa włosy były zaplecione w warkocz. Czekwała cierpliwie, podczas gdy ludzie kręcili się po sali.

- Co z nią? - spytał.

- Terrisanka - odparła.

Zawahał się.

- Jesteś pewna?

Vin przytaknęła.

- Te kolory... tyle biżuterii. To na pewno Terrisanka.

- I co z tego?

- Nie znam jej - odparła. - Patrzyła na ciebie.

- Ludzie na mnie patrzą, Vin - wtrącił Elend. - W końcu jestem królem. I czemu miałabyś ją znać?

- Wszyscy Terrisanie przychodzą do mnie tuż po przybyciu do miasta - odpowiedziała. -

Zabiłam Imperatora i uważają, że to ja oswobodziłam ich ojczyznę. Ale jej nie rozpoznaję. Nie przyszła mi podziękować.

Elend przewrócił oczami, chwycił Vin za ramiona i odwrócił ją przodem do siebie.

- Vin, moim dżentelmeńskim obowiązkiem jest ci coś powiedzieć.

Skrzywiła się.

- Co takiego?

- Jesteś cudowna.

Vin się zawahała.

- A co to ma z tym wspólnego?

- Absolutnie nic - odparł z uśmiechem. - Po prostu próbuję odwrócić twoją uwagę.

Vin powoli się rozluźniła i uśmiechnęła lekko.

- Nie wiem, czy ktokolwiek ci to powiedział - dodał - ale czasem zachowujesz się jak paranoiczka.

Uniosła brew.

- O, naprawdę?

- Trudno w to uwierzyć, ale tak jest. Uważam to za całkiem urocze, ale naprawdę myślisz, że Terrisanka chciałaby mnie zabić?

- Pewnie nie - przyznała Vin - ale stare nawyki...

Elend się uśmiechnął. Znow spjrzał w stronę Zgromadzenia. Większość członków rozmawiała cicho w grupkach. Nie mieszała się. Arystokraci rozmawiali z arystokratami, kupcy z kupcami, robotnicy skaa z innymi robotnikami. Wydawali się tak podzieleni, tak uparci.

Najprostsze propozycje często kończyły się trwającymi wiele godzin kłótniami.

Muszą dać mi więcej czasu, pomyślał. Ale rozumiał problem. Więcej czasu na co?

Penrod i Philen celnie zaatakowali jego propozycję.

Prawdę mówiąc, cała ta sytuacja ich przerastała. Nikt nie wiedział, co zrobić z potężniejszą armią, a już szczególnie Elend. Wiedział jedynie, że nie mogą się poddać. Musiał

istnieć jakiś sposób walki.

Vin nadal patrzyła w bok, na widzów.

- Wciąż obserwujesz tę Terrisanę?

Pokręciła głową.

- Coś jeszcze... coś dziwnego. Czy to posłańcy Clubsa?

Elend się odwrócił. Rzeczywiście, kilkunastu żołnierzy przepychało się przez tłum, zbliżając się do sceny. Na tyłach sali ludzie zaczęli szeptać, a niektórzy już pospiesznie wychodzili.

Elend poczuł, jak Vin sztywnieje, a jego samego przeszył strach. Za późno. Armia zaatakowała.

Jeden z żołnierzy dotarł do sceny, a wtedy podszedł do niego Elend.

- Co się stało? - spytał. - Straff zaatakował?

Żołnierz zmarszczył czoło.

- Nie, panie.

Elend westchnął.

- To o co chodzi?

- Druga armia, panie. Właśnie pojawiła się pod murami.

*Zadziwiające, lecz to pomysłowość Alendiego sprawiła, że się z nim zaprzyjaźniłem. Zatrudniłem go jako swojego asystenta podczas pierwszych miesięcy pobytu w tym wspaniałym mieście.*

Po raz kolejny w ciągu ostatnich dwóch dni Elend stał na murach Luthadel, obserwując armię, która chciała zdobyć jego królestwo. Zmrużył oczy, osłaniając je przed czerwonymi promieniami popołudniowego słońca, ale nie był Cynookim i nie widział żadnych szczegółów.

- Czy możliwe, żeby przybyli nam na pomoc? - spytał z nadzieją, spoglądając na stojącego obok Clubsa.

Ten tylko się skrzywił.

- Noszą sztandary Cetta. Pamiętasz go? To ten osobnik, który dwa dni temu nasłał na ciebie ośmiu Allomantów-skrytobójców.

Elend zadrzał w jesiennym chłodzie, znów spoglądając na drugą armię. Rozbijała obóz w sporej odległości od wojsk Straffa, w pobliżu Kanału Luth-Davn, biegnącego na zachód od rzeki Channerel. Vin stała u jego boku, lecz Ham zajmował się organizowaniem straży.

OreSeur, w ciele psa, stał spokojnie na murze, obok niej.

- Jak mogliśmy ich nie zauważyć? - spytał Elend.

- Przez Straffa - odparł generał. - Ten Cett nadszedł z tej samej strony, a nasi zwiadowcy koncentrowali się na nim. Straff pewnie już od kilku dni wiedział o tej armii, lecz my nie mieliśmy szans jej zobaczyć.

Elend pokiwał głową.

- Straff ustawił warty i obserwuje wrogą armię - zauważyła Vin. - Nie sądzę, by byli przyjaciółmi.

Stała na szczycie krenelażu, niebezpiecznie blisko krawędzi muru.

- Może będą ze sobą walczyć? - powiedział z nadzieją Elend.

Clubs prychnął.

- Wątpię. Ich armie są podobnych rozmiarów, choć Straff może być nieco silniejszy.

Wątpię, by Cett zaryzykował atakowanie go.

- To po co tu przybył? - spytał król.

Generał wzruszył ramionami.

- Może miał nadzieję, że przegoni Venture w drodze do Luthadel i jako pierwszy zdobędzie miasto.



Mówił o tym - o zdobyciu miasta - jakby to było oczywiste. Elend czuł ściskanie w żołądku, gdy opierał się o przedpiersie, wyglądając przez otwór strzelniczy. Vin i pozostali byli złodziejami i Allomantami skaa - wyrzutkami, którzy przez większość życia musieli uciekać.

Dlatego może przyzwyczaili się do takiego napięcia i strachu, lecz on nie.

Jak mogli żyć z takim brakiem kontroli nad światem, z poczuciem nieuchronności zdarzeń? Elend czuł się bezsilny. Co mógł zrobić? Uciec i zostawić miasto, by samo sobie radziło? Oczywiście to nie było rozwiązanie. Mając jednak naprzeciwko siebie nie jedną, ale dwie armie gotowe zniszczyć jego miasto i odebrać mu tron, Elend z trudem powstrzymywał

drżenie rąk zaciśniętych na kamieniu.

Kelsier znalazłby jakieś wyjście, pomyślał.

- Tam! - Głos Vin przerwał jego rozmyślenia. - Co to?

Elend się odwrócił. Vin mrużyła oczy, spoglądając w stronę armii Cetta, wykorzystując cynę, by widzieć to, co dla jego zwyczajnych oczu było niewidzialne.

- Ktoś odłączył się od armii - powiedziała. - Jedzie konno.

- Posłaniec? - spytał Clubs.

- Być może - odpowiedziała. - Jedzie całkiem szybko... - Ruszyła biegiem od jednej blanki do drugiej, poruszając się wzdłuż muru. Kandra natychmiast podążył jej śladem.

Elend spojrzał na Clubsa, który wzruszył ramionami, i obaj ruszyli za nią. Dogonili Vin na murze w pobliżu jednej z baszt. Przyglądała się jeźdźcowi - a w każdym Elend razie zakładał, że to robiła. Wciąż nie widział tego, co ona.

Allomancja, pomyślał Elend, kręcąc głową. Dlaczego nie mógł dostać choć jednej mocy

- nawet słabszej, jak żelazo czy miedź.

Vin zakłęła pod nosem i wyprostowała się.

- Elendzie, to Breeze!

- Co?! Jesteś pewna?

- Tak! Gonia go. Konni łucznicy.

Clubs gestem wezwał gońca.

- Wyślijcie jeźdźców! Odetnijcie pogoń!

Goniec odbiegł. Vin jednak potrząsnęła głową.

- Nie zdążą - powiedziała. - Łucznicy go dogonią albo zastrzelą. Nawet ja bym tam nie dotarła na czas, biegnąc. Ale może...

Elend zmarszczył czoło.

- Vin, to za daleko na skok, nawet dla ciebie.

Spojrzała na niego, uśmiechnęła się i zeskoczyła z muru.

\*\*\*

Vin przygotowała czternasty metal, duraluminium. Miała rezerwę, lecz jej nie spaliła.

Jeszcze nie. Mam nadzieję, że to zadziała, pomyślała, szukając odpowiedniej kotwicy. Na szczycie baszty znajdował się żelazny bastion - to powinno wystarczyć.

Przyciągnęła się do bastionu, wznosząc się na szczyt wieży. Natychmiast znów skoczyła i Odpychając się do góry i na zewnątrz, wzniosła się łukiem. Zgasła wszystkie metale poza stalą i cyną z ołowiem.

I wtedy, wciąż Odpychając się od bastionu, spaliła duraluminium.

Uderzyła w nią nagła moc. Była tak potężna, że Vin czuła, że tylko równie wielka moc cyny z ołowiem utrzymała jej ciało w jednym kawałku. Gwałtownie odleciała od twierdzy, pędząc przez niebo niczym rzucona przez olbrzymiego, niewidzialnego boga. Powietrze pędziło tak szybko, że aż ryczało, a nagłe przyspieszenie utrudniało koncentrację.

Zachwiała się, próbując odzyskać kontrolę nad sobą. Na szczęście dobrze wybrała trajektorię - pędziła prosto w stronę Breeze'a i pogoni. Cokolwiek Breeze zrobił, bardzo to kogoś rozwścieczyło, goniły go bowiem dwa tuziny ludzi z łukami gotowymi do strzału.

Vin spadała, jej stal i cyna z ołowiem zostały całkowicie wypalone w rozbłysku duraluminium. Wyjęła zza pasa fiolkę i połknęła jej zawartość. Gdy odrzuciła szkło, poczuła nagłe zawroty głowy. Nie była przyzwyczajona do skakania w ciągu dnia. Dziwnie się czuła, widząc, jak ziemia pędzi w jej stronę, dziwnie się czuła bez mgielnego płaszcza i bez samej mgły...

Pierwszy łucznik z pogoni opuścił łuk, celując w Breeze'a. Nikt nie zauważył Vin, nurkującej niczym drapieżny ptak.

Cóż, może nie do końca nurkującej. Raczej spadającej.

Vin gwałtownie odzyskała poczucie rzeczywistości, spaliła cynę z ołowiem i rzuciła monetę na szybko zbliżającą się ziemię. Odepchnęła monetę, wykorzystując ją, by zwolnić i skierować się nieco w bok. Uderzyła z głośnym hukiem w ziemię między Breeze'em a łucznikami, wzbijając chmurę pyłu.

Łucznik wystrzelił.

Odbijając się od ziemi, Vin natychmiast Odepchnęła się w powietrze, prosto na nadlatującą strzałę. Wtedy ją Odepchnęła. Grot poleciał do tyłu, łamiąc przy okazji drzewce, i wbił się prosto w czoło łuczника.

Mężczyzna spadł z wierzchowca. Vin znów wylądowała na ziemi. Odepchnęła się od podków dwóch najbliższych koni, przez co zwierzęta zaczęły się potykać. Pchnięcie sprawiło, że Vin znów wzniosła się w powietrze, a rzenie mieszało się z odgłosem ciał uderzających o ziemię.

Vin nadal się Odpychała, lecąc kilka stóp nad ziemią, i wkrótce dogoniła Breeze'a.

Korpulentny mężczyzna odwrócił się, wstrząśnięty, najwyraźniej oszołomiony widokiem Vin unoszącej się w powietrzu obok jego galopującego konia. Mrugnęła do niego, po czym sięgnęła i Przyciągnęła się do pancerza kolejnego jeźdźca.

Natychmiast szarpnęła się w powietrzu. Jej ciało zaprotestowało przeciwko tej nagłej zmianie kierunku ruchu, ale zignorowała ból. Mężczyzna, do którego się Przyciągała, utrzymał

się w siodle - do chwili, gdy Vin wbiła się w niego stopami, spychając go do tyłu.

Wylądowała na czarnej ziemi, jeździec upadł obok. W pewnej odległości przed nią reszta pogoni w końcu ściągnęła wodze, zatrzymując się gwałtownie kilka stóp od niej.

Kelsier pewnie by zaatakował. Było ich dużo, to prawda, ale nosili pancerze, a ich konie zostały podkute. Vin nie była jednak Kelsierem. Powstrzymywała jeźdźców wystarczająco długo, by Breeze uciekł. To wystarczyło.

Vin Odepchnęła się od jednego z żołnierzy, rzucając się do tyłu i pozostawiając jeźdźców, by zebrali swoich rannych. Ci jednak natychmiast wyjęli strzały z kamiennymi grotami i naciągnęli łuki.

Syknęła z frustracji, gdy w nią wycelowali. Dobrze, przyjaciele, pomyślała. Radzę wam mocno się trzymać.

Lekko ich wszystkich Odepchnęła, po czym spaliła duraluminium. Nagłe uderzenie siły było spodziewane - szarpnięcie w piersi, potężny rozbłysk w żołądku, wyjący wicher. Nie przewidziała jednak jego wpływu na kotwice. Uderzenie mocy rozproszyło ludzi i konie, wyrzucając ich w powietrze niczym liście na wietrze.

Będę musiała ostrożnie się tym posługiwać, pomyślała Vin, zaciskając zęby i obracając się w powietrzu. Znów straciła stal i cynę z ołowiem, i musiała połknąć zawartość ostatniej fiolki. Powinna zacząć nosić ich więcej.

Dotknęła ziemi i natychmiast ruszyła biegiem, a cyna z ołowiem uchroniła ją przed potknięciem mimo ogromnej prędkości. Zwolniła nieco, pozwalając, by Breeze ją dogonił, a później przyspieszyła, by dotrzymać kroku jego wierzchowcowi. Biegła niczym zawodowiec, a cyna z ołowiem dodawała jej siły i równowagi, gdy pędziła obok coraz bardziej zmęczonego konia. Zwierzę spoglądało na nią i wydawało się nieco sfrustrowane, widząc człowieka, który potrafi mu dorównać.

Kilka chwil później dotarli do miasta. Breeze ściągnął wodze, czekając na otwarcie Bramy Żelaznej, lecz Vin nie chciała czekać. Rzuciła monetę i Odepchnęła się, pozwalając, by pęd przeniósł ją w stronę murów. Gdy wrota się otworzyły, Odepchnęła się od ich metalowych ćwieków, i to Pchnięcie ją uniosło. Przeskoczyła nad blankami - mijając dwóch zaskoczonych żołnierzy - i spadła na drugą stronę. Wylądowała na dziedzińcu, opierając się dłonią o chłodne kamienie, a w tym czasie Breeze przejechał przez bramę.

Vin wstała. Breeze otarł czoło chusteczką i powoli podjechał do niej. Zapuścił włosy od czasu, kiedy widziała go po raz ostatni, i teraz miał je zaczesane gładko do tyłu. Ich końce dotykały kołnierza. Jeszcze nie siwiał, choć był już po czterdziestce. Nie miał kapelusza -

pewnie zgubił go podczas ucieczki - i był odziany w jeden ze swoich bogatych strojów z jedwabną kamizelką. Pokrywała go warstwa czarnego popiołu.

- Ach, Vin, moja droga - powiedział, dysząc niemal równie ciężko, jak jego wierzchowiec. - Muszę przyznać, że pojawiłaś się we właściwej chwili. I to jeszcze w tak ekstrawagancki sposób. Nie cierpię być ratowany, ale jeśli już jest to konieczne, to równie dobrze może wyglądać malowniczo.

Vin uśmiechała się, gdy zsiadał z konia - pokazując przy tym, że nie jest najzręczniejszym z obecnych na placu - a koniuszy przyszedli odprowadzić zwierzę. Breeze znów otarł czoło, kiedy Elend, Clubs i OreSeur schodzili z muru na dziedziniec. Jeden z adiutantów musiał w końcu odnaleźć Hama, gdyż ten również zbliżał się pospiesznie.

- Breeze! - powiedział Elend, ściskając rękę niższego mężczyzny.

- Wasza Wysokość - odpowiedział Breeze. - Jak miemam, pozostajesz w dobrym zdrowiu i nastroju.

- W zdrowiu jak najbardziej - odparł. - Co do nastroju... cóż, moje miasto otacza armia.

- A właściwie dwie - mruknął Clubs, kuśtykając bliżej.

Breeze złożył chusteczkę.

- A oto i drogi mistrz Cladent. Jak zawsze optymista.

Clubs prychnął. OreSeur podszedł do Vin i usiadł obok na tylnych łapach.

- I Hammond - dodał Breeze, spoglądając na Hama, który uśmiechał się szeroko. -

Prawie udało mi się zapomnieć, że będziesz tu na mnie czekał.

- Przyznaj się - odparł Ham - cieszysz się, że mnie widzisz.

- Widzę, może i tak. Ale nie słyszę. Całkiem podobał mi się czas spędzony z dala od twojego ciąglego, pseudofilozoficznego bełkotu.

Ham tylko uśmiechnął się szerzej.

- Cieszę się, że cię widzę, Breeze - stwierdził Elend. - Ale mogłeś mieć nieco lepsze wycucie czasu. Miałem nadzieję, że uda ci się jakoś powstrzymać te armie od marszu na nas.

- Powstrzymać je? - powtórzył Breeze. - A czemu miałbym to zrobić, mój drogi? W

końcu właśnie spędziłem trzy miesiące, nakłaniając Cetta, by tu właśnie pomaszerował.

Elend się zawahał, a Vin zmarszczyła czoło, stojąc nieco na uboczu. Breeze wydawał się całkiem zadowolony z siebie - choć trzeba przyznać, że nie był to rzadki widok.

- Czyli... lord Cett jest po naszej stronie? - spytał z nadzieją Elend.

- Oczywiście, że nie - odparł Breeze. - Ma nadzieję splądrować miasto i ukraść nasz rzekomy zapas atium.

- Ty - odezwała się Vin. - To ty rozpuszczałeś plotki o składzie atium Ostatniego Imperatora, prawda?

- Oczywiście - odparł, spoglądając na Spooka, który w końcu dotarł na miejsce.

Elend zmarszczył czoło.

- Ale... po co?

- Wyjrzyj za mury, mój drogi - powiedział Breeze. - Wiedziałem, że twój ojciec w końcu pomaszeruje na Luthadel... nawet moje zdolności perswazji by go od tego nie odwiodły.

Dlatego zacząłem rozpuszczać plotki w Zachodnim Dominium, a później zostałem jednym z doradców lorda Cetta.

Clubs chrząknął.

- Dobry plan. Szalony, ale dobry.

- Szalony? - powtórzył Breeze. - Stan mojego umysłu nie ma tu znaczenia, Clubs. Ruch nie był szalony, lecz błyskotliwy.

Elend wydawał się zdezorientowany.

- Nie ujmując niczego twojej błyskotliwości, Breeze, ale... jakim sposobem sprowadzenie wrogiej armii do naszego miasta jest dobrym pomysłem?

- To strategia negocjacyjna, mój drogi - wyjaśnił Breeze, gdy tragarz podał mu laskę pojedynkową, wyjętą z juków. Skorzystał z niej, by wskazać na zachód, w stronę armii Cetta. -

Kiedy uczestników jest tylko dwóch, jeden jest zwykle o wiele silniejszy niż drugi. To sprawia, że słabsza strona ma spore problemy... a w tym momencie jesteśmy nią my.

- Owszem - zgodził się Elend - ale przy trzech armiach nadal jesteśmy najslabsi.

- Ach - powiedział Breeze, unosząc łaskę - ale dwie pozostałe strony mają względnie wyrównane siły. Straff jest pewnie silniejszy, lecz armia Cetta jest bardzo liczna. Jeśli jeden z nich zaryzykuje atak na Luthadel, jego armia odniesie spore straty... wystarczająco duże, by nie mógł się obronić przed trzecią armią. Atak odznacza odsłonięcie się.

- A to oznacza pat - stwierdził Clubs.

- Zgadza się - przytaknął Breeze. - Zaufaj mi, mój chłopcze. W tym wypadku dwie duże wrogie armie są o wiele lepsze niż jedna duża wroga armia. W negocjacjach trójstronnych najslabsza strona ma największą władzę... gdyż to jej wsparcie dla jednej z dwóch pozostałych stron oznacza zwycięstwo.

Elend skrzywił się.

- Breeze, my nie chcemy wspierać żadnego z nich.

- Wiem to - odparł. - Ale nasi przeciwnicy nie. Przyprawdzając drugą armię, dałem nam czas do namysłu. Obaj władcy myśleli, że będą tu pierwsi. Teraz, kiedy przybyli w tym samym czasie, będą musieli się zastanowić. Sądzę, że skończy się na długim oblężeniu.

Przynajmniej parę miesięcy.

- To nie daje odpowiedzi na pytanie, jak się ich pozbedziemy - zauważył Elend.

Breeze wzruszył ramionami.

- Ja ich tu ściągnąłem... ty decydujesz, co z nimi zrobić. I wierz mi, nie było łatwo ściągnąć tu Cetta na czas. Miał przybyć pełne pięć dni przed Straffem. Na szczęście, kilka dni temu żołnierzy zaczęła trapić pewna... przypadłość. Najwyraźniej ktoś zatrzał główne źródło wody i cały obóz dostał biegunki.

Stojący za Clubsem Spook prychnął.

- Tak - stwierdził Breeze, spoglądając na chłopaka. - Spodziewałem się, że ci się to spodoba. Nadal jesteś niezrozumiałym utrapieniem, chłopcze?

- A no zech jezdem - odparł Spook z uśmiechem, powracając do ulicznego dialektu.

Breeze parsknął.

- I tak przez większość czasu jesteś bardziej zrozumiały niż Hammond - mruknął, odwracając się do Elenda. - To co, nikt nie pośle po powóz, żeby odwiózł mnie do pałacu?

Uspokajałem was, niewdzięczników, przez ostatnie pięć minut... wyglądając przy tym na zmęczonego i pożałowania godnego... i nikt się nawet nie raczył nade mną zlitować!

- Musisz tracić wycucie - powiedziała z uśmiechem Vin.

Breeze był Uspokajaczem - Allomantą, który spalał mosiądz, by łagodzić uczucia innych ludzi. Bardzo uzdolniony Uspokajacz - a Vin nie знаła nikogo lepszego od niego - umiał

nawet stłumić wszystkie uczucia poza jednym, przez co ludzie czuli się dokładnie tak, jak on chciał.

- Właściwie - stwierdził Elend, odwracając się w stronę muru - miałem nadzieję, że wrócimy na mur i jeszcze przyjrzymy się armiom. Jeśli spędziłeś trochę czasu z żołnierzami lorda Cetta, to pewnie będziesz mógł nam o nich sporo odpowiedzieć.

- Mogę i zrobię to, ale nie mam zamiaru wspinać się po tych schodach. Nie widzicie, jaki jestem zmęczony?

Ham prychnął i poklepał Breeze'a po ramieniu, wzbijając chmurę kurzu.

- Czemu miałbyś być zmęczony? To twój biedny koń biegł, nie ty.

- To było emocjonalnie wyczerpujące, Hammondzie - stwierdził Breeze, stukając swojego rozmówcę laską po głowie. - Mój odjazd okazał się nieco nieprzyjemny.

- A co się właściwie stało? - spytała Vin. - Cett dowiedział się, że jesteś szpiegiem?

Mężczyzna wydawał się zawstydzony.

- Powiedzmy, że się... pokłóciliśmy z lordem Cettem.

- Znalazł cię w łóżku ze swoją córką? - spytał Ham, wywołując śmiech wśród zebranych.

Breeze zdecydowanie nie był typem kobieciarza. Mimo że umiał grać na uczuciach, Vin nigdy nie widziała, by interesowały go romanse. Dockson zauważył kiedyś, że Breeze jest zbyt skupiony na sobie, by zajmować się takimi rzeczami.

Uspokajacz tylko przewrócił oczami.

- Szczerze mówiąc, Hammondzie, mam wrażenie, że z upływem czasu twoje żarty są coraz gorsze. Może zbyt wiele razy dostałeś w głowę w czasie ćwiczeń?

Ham uśmiechnął się, a Elend posłał po kilka powozów. Gdy na nie czekali, Breeze zaczął opowiadać o swoich podróżach. Vin spojrzała na OreSeura. Nadal nie znalazła dobrej okazji, by powiedzieć reszcie ekipy o zmianie ciała. Może teraz, kiedy Breeze wrócił, Elend spotka się ze swoim wewnętrznym kręgiem. To będzie odpowiedni moment. Nie mogła zbyt wiele o tym mówić, chciała bowiem, by służba wierzyła, że odesłała OreSeura.

Breeze mówił dalej, a Vin spoglądała na niego z uśmiechem. Mężczyzna nie tylko był urodzonym mówcą, ale też miał doskonałe wyczucie Allomancji. Ledwie czuła jego dotyk na swoich emocjach. Kiedyś uważała to za obrzydliwe, ale zrozumiała, że dotykanie ludzkich uczuć było naturalne u Breeze'a. Tak jak piękna kobieta przyciąga uwagę twarzą i figurą, tak Breeze robił to, niemal nieświadomie wykorzystując swoje moce.

Oczywiście, to wcale nie znaczyło, że nie był draniem. Nakłanianie innych do robienia tego, czego sobie życzył, było jednym z jego głównych zajęć. Vin po prostu przestała mieć mu za złe, że wykorzystuje do tego Allomancję.

W końcu ujrzeli powóz i Breeze westchnął z ulgą. Gdy pojazd podjechał, mężczyzna spojrzął na Vin i skinął głową na OreSeura.

- Co to?
- Pies - odparła Vin.
- Jak zawsze bezpośrednia - stwierdził Breeze. - A dlaczego masz teraz psa?
- Dałem go jej - wtrącił Elend. - Chciała mieć psa, to go jej kupiłem.
- I wybrałeś wilczarza?! - spytał rozbawiony Ham.
- Walczyłeś z nią, Ham - zauważył Elend ze śmiechem. - Co byś jej dał? Pudelka?

Mężczyzna zachichotał.

- Nie, pewnie nie. Właściwie pasuje do niej.
- Choć jest prawie jej wzrostu - dodał Clubs, spoglądając na nią zmrużonymi oczami.

Vin oparła dłoń na łbie OreSeura. Clubs miał rację, wybrała dużego psa, nawet jak na wilczarza. W kłębie miał ponad trzy stopy - a z doświadczenia wiedziała, jaki jest ciężki.

- Wyjątkowo dobrze wychowany wilczarz - zauważył Ham, kiwając głową. - Dobry wybór, El.
- Tak czy inaczej - wtrącił Breeze - czy możemy wrócić do pałacu? Armie i wilczarze to ważna sprawa, ale wydaje mi się, że kolacja jest jeszcze ważniejsza.

\*\*\*

- Dlaczego nie powiedziałaś im o OreSeurze? - spytał Elend, gdy powóz kołysał się w drodze do Twierdzy Venture. Ich trójka zajęła jeden powóz, pozostawiając reszcie drugi pojazd.

Vin wzruszyła ramionami. Kandra siedział naprzeciwko nich i uważnie przysłuchiwał



się rozmowie.

- W końcu im powiem - stwierdziła. - Ruchliwy plac nie wydawał się dobrym miejscem na przekazywanie takiej informacji.

Elend się uśmiechnął.

- Zachowywanie tajemnic to przyzwyczajenie, którego trudno się pozbyć, co?

Zarumieniła się.

- Nie trzymam tego w tajemnicy, tylko... - przerwała, spuściła wzrok.

- Nie czuj się z tym źle, Vin - powiedział jej. - Długi czas żyłaś samotnie, nikomu nie mogłaś ufać. Nie oczekujemy, że zmienisz się w ciągu jednej nocy.

- To nie jedna noc, Elendzie - odparła - tylko dwa lata.

Położył dłoń na jej kolanie.

- Idzie ci coraz lepiej. Inni mówią, jak bardzo się zmieniłaś.

Pokiwała głową. Inny mężczyzna bałby się, że będą mieć tajemnice również przed nim.

Elend próbuje sprawić, bym nie czuła się taka winna. Nie zasługiwała na tak dobrego mężczyznę.

- Kandro - odezwał się Elend - Vin mówi, że dotrzymujesz jej kroku.

- Tak, Wasza Wysokość - odparł OreSeur. - Te kości, choć obrzydliwe, doskonale radzą sobie z tropieniem i szybkim poruszaniem.

- A jeśli coś jej się stanie? - spytał król. - Udałoby ci się odciągnąć ją w bezpieczne miejsce?

- Niezbyt szybko, Wasza Wysokość. Mogę jednak ruszyć po pomoc. Te kości mają swoje ograniczenia, ale zrobię wszystko, żeby wypełnić Kontrakt.

Elend musiał zauważyć uniesioną brew Vin, gdyż roześmiał się.

- Zrobi to, co mówi, Vin.

- Kontrakt jest wszystkim, panienko - stwierdził OreSeur. - Nie dotyczy jedynie prostej służby. Wymaga gorliwości i oddania. Służąc mu, służymy naszemu ludowi.

Vin wzruszyła ramionami. Zapanowało milczenie. Elend wyjął książkę z kieszeni, Vin oparła się o niego. OreSeur położył się, zapełniając całe siedzenie naprzeciwko nich. W końcu powóz wtoczył się na dziedziniec Venture, a Vin stwierdziła, że nie może się doczekać gorącej kąpieli. Jednakże gdy wysiadali z powozu, do Elenda podbiegł strażnik. Cyna pozwoliła jej usłyszeć, co mówi, choć

odezwał się, zanim się zbliżyła.

- Wasza Wysokość - wyszeptał strażnik - czy znalazł was nasz posłaniec?

- Nie - odparł Elend, pochmurniejąc, gdy podeszła do nich Vin.

Żołnierz spojrzał na nią z ukosa, lecz mówił dalej.

Wszyscy żołnierze wiedzieli, że Vin jest osobistą strażniczką Elenda i jego powierniczką. Mimo to mężczyzna wydawał się dziwnie zaniepokojony, kiedy ją zobaczył.

- My... nie chcielibyśmy się wtrącać - powiedział żołnierz. - Dlatego zachowaliśmy ciszę. Zastanawialiśmy się tylko, czy wszystko... jest w porządku. - Spojrzał na Vin.

- O co chodzi? - spytał Elend.

Strażnik odwrócił się do króla.

- W sypialni lady Vin jest trup.

\*\*\*

„Trup” był, dokładnie rzecz biorąc, szkieletem. Całkowicie oczyszczonym z ciała, bez śladu krwi - czy nawet tkanek - na błyszczącej kości. Sporo ich było jednak połamanych.

- Przepraszam, panienko - odezwał się OreSeur, mówiąc tak cicho, że tylko ona mogła go usłyszeć. - Zakładałem, że się ich pozbędziesz.

Vin pokiwała głową. Szkielet był oczywiście tym, z którego korzystał OreSeur, zanim dała mu ciało zwierzęcia. Kiedy pokojowe zastały otwarte drzwi - co oznaczało, że Vin chce, by posprzątały jej komnaty - weszły do środka. Vin wcisnęła kości do koszyka, decydując, że zajmie się nimi później. Najwyraźniej pokojowe postanowiły sprawdzić, co w nim jest, i były nieco zaskoczone.

- To nic takiego, kapitanie Demoux - powiedział Elend do młodego strażnika.

Kapitan Demoux pełnił funkcję zastępcy dowódcy straży pałacowej. Mimo iż Ham nie lubił mundurów, ten mężczyzna wyraźnie czerpał dumę z idealnego stanu swojego munduru.

- Bardzo dobrze, że tego nie rozgłaszaliście - dodał Elend. - Wiemy o tych kościach. Nie są powodem do zmartwienia.

Demoux pokiwał głową.

- Sądziliśmy, że są tu nie bez powodu. - Mówiąc to, nie patrzył na Vin.

Nie bez powodu, pomyślała Vin. Cudownie. Ciekawe, co jego zdaniem z nimi robiła.

Niewielu skaa wiedziało o istnieniu kandra i Demoux z pewnością nie miał pojęcia, co oznaczają takie pozostałości.

- Czy mógłbyś się ich po cichu pozbyć, kapitanie? - poprosił Elend, wskazując na kości.

- Oczywiście, Wasza Wysokość - odparł strażnik.

Pewnie zakłada, że kogoś zjadłam, pomyślała Vin z westchnieniem. Ogryzła jego ciało do kości.

Co wcale nie było tak dalekie od prawdy.

- Wasza Wysokość - odezwał się Demoux - czy mamy się też pozbyć drugiego trupa?

Vin zamarła.

- Drugiego? - spytał powoli Elend.

Strażnik kiwnął głową.

- Kiedy znaleźliśmy ten szkielet, sprowadziliśmy psy, żeby tu powęszyły. Nie znalazły zabójców, ale doprowadziły nas do innego trupa. Takiego jak to... kości, oczyszczone z ciała.

Vin i Elend popatrzyli po sobie.

- Pokaż nam - powiedział Elend.

Demoux pokiwał głową i wyprowadził ich z komnaty, wydając szeptem kilka rozkazów swoim ludziom. Ich czwórka - troje ludzi i kandra - przeszła krótki odcinek korytarzem, w stronę rzadko wykorzystywanych komnat gościnnych. Demoux odesłał żołnierza stojącego przed drzwiami jednej z nich i wprowadził ich do środka.

- Trup nie znajdował się w koszyku, Wasza Wysokość - stwierdził Demoux. - Został

wciśnięty w jedną z szaf. Pewnie nigdy byśmy go nie odnaleźli bez psów... bez trudu wylapały zapach, choć nie mam pojęcia jak. Na kościach nie pozostała ani odrobina mięsa.

I oto był. Kolejny szkielet, podobny do pierwszego, ułożony obok komody. Elend spojrzął na Vin i odwrócił się do Demoux.

- Proszę nam wybaczyć, kapitanie.

Młody strażnik pokiwał głową i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

- I co? - spytał Elend, zwracając się do OreSeura.

- Nie wiem, skąd się to wzięło - odparł kandra.

- Ale to kolejny trup zjedzony przez jednego z was - stwierdziła Vin.

- Bez wątpienia, panienko. Psy go znalazły ze względu na specyficzny zapach, jaki nasze soki trawienne zostawiają na świeżo wydalonych kościach.

Elend i Vin popatrzyli po sobie.

- Jednak - dodał OreSeur - to nie jest tak, jak myślicie. Ten człowiek został prawdopodobnie zabity daleko stąd.

- Co masz na myśli?

- To są porzucone kości, Wasza Wysokość - wyjaśnił OreSeur. - Kości, które kandra pozostawia...

- Po tym, jak znajdzie nowe ciało - dokończyła Vin.

- Tak, panienko.

Vin spojrzała na Elenda, który zmarszczył czoło.

- Jak dawno temu? - spytał. - Może te kości zostawił przed rokiem kandra mojego ojca?

- Może, Wasza Wysokość - odpowiedział z wyraźnym wahaniem OreSeur.

Podszedł bliżej i poniuchał kości. Vin sama podniosła jedną z nich do nosa. Z pomocą cyny bez trudu wyczuła ostrą woń przypominającą żółć.

- Jest bardzo mocny - stwierdziła, spoglądając na OreSeura.

Pokiwał głową.

- Te kości nie leżą tu od dawna, Wasza Wysokość. Najwyżej kilka godzin. Może nawet mniej.

- To oznacza, że gdzieś w pałacu mamy kolejnego kandrę - stwierdził Elend, z taką miną, jakby miał mdłości. - Jeden z moich ludzi został... zjedzony i zastąpiony.

- Tak, Wasza Wysokość - stwierdził OreSeur. - Te kości nie powiedzą nam, kto to mógł być, ponieważ zostały porzucone. Kandra wziął nowe kości, zjadł ciało i nosi ich ubranie.

Elend pokiwał głową. Napotkał spojrzenie Vin i wiedziała, że myśli o tym samym.

Istniała możliwość, że zastąpiony został ktoś z zatrudnionych w pałacu, co oznaczało niewielkie naruszenie bezpieczeństwa. Jednakże druga możliwość oznaczała o wiele większe niebezpieczeństwo.

Kandra byli niezrównanymi aktorami - OreSeur udawał lorda Renoux tak doskonale, że nawet ludzie, którzy go znali, zostali oszukani. Taki talent mógł zostać wykorzystany do udawania pokojówki czy służącego. Jeśli jednak wróg chciał przemycić szpiega na zamknięte spotkania Elenda, musiał

zastąpić kogoś o wiele ważniejszego.

To musiał być ktoś, kogo nie widzieliśmy przez ostatnie kilka godzin, pomyślała Vin, upuszczając kość. Ona, Elend i OreSeur większość popołudnia i wieczoru - od czasu zakończenia obrad Zgromadzenia - spędzili na murze, ale w mieście i pałacu panował chaos.

Posłańcy mieli problemy ze znalezieniem Hama, nie była też pewna, gdzie się podziewał

Dockson. Właściwie nie widziała też Clubsa do chwili, gdy dołączył do nich na murach. A Spook dotarł jako ostatni.

Vin spojrzała na stertę kości, czując przytłaczający niepokój. Istniało duże prawdopodobieństwo, że ktoś z ich wewnętrznego kręgu - członek ekipy Kelsiera - został

zastąpiony.

**CZEŚĆ DRUGA**

# DUCHY WE MGLE

*Dopiero wiele lat później doszedłem do wniosku, że Alendi jest Bohaterem Wieków. Bohater Wieków: w Khlennium zwany Rabzeen. Anamneta.*

*Zbawca.*

Forteca kryła się w mroku wieczoru.

Znajdowała się na dnie wielkiej niecki. Przypominające krater zagłębienie o ostrych zboczach było tak wielkie, że nawet za dnia Sazed miałby problemy z zobaczeniem drugiej strony. W nadchodzącym zmroku, wśród mgieł, przeciwległa krawędź ogromnego otworu jedynie majaczyła w cieniu.

Sazed niewiele wiedział o taktyce i strategii - choć w metalmyślach przechowywał wiele ksiąg na ten temat, w procesie tworzenia zapisów zapomniał ich zawartość. Dzięki temu, co wiedział, doszedł do wniosku, że forteca, Dom Modlitwy Seran, nie była łatwa do obrony. Nie miała przewagi wysokości, a ściany krateru doskonale nadawały się do umieszczenia machin oblężniczych, obrzucających mury głazami.

Ta forteca jednak nie została zbudowana, by bronić się przed wrogimi żołnierzami.

Miała zapewnić odosobnienie. Krater utrudniał jej odnalezienie, gdyż niewielkie wzniesienie terenu wokół jego krawędzi sprawiało, że do ostatniej chwili była niemal niewidoczna. Do środka nie prowadziły żadne drogi, a podróżni musieli mieć spore problemy z zejściem po stromych zboczach.

Inkwizytorzy nie lubili gości.

- I jak? - spytał Marsh.

Stali razem na północnej krawędzi krateru, a przed nimi zaczynała się kilkusetstopowa przepaść. Sazed sięgnął do wzrokowej cynomyśli, wykorzystując przechowywany w niej wzrok. Krawędzie jego pola widzenia się zamgliły, lecz to, co leżało bezpośrednio przed nim, zdawało się o wiele bliższe. Zaczerpnął jeszcze trochę, ignorując mdłości.

Wzmocniony wzrok pozwolił mu przyjrzeć się Domowi Modlitwy tak, jakby stał przed nim. Widział każdy ślad na kamiennych murach - płaskich, szerokich, imponujących. Widział

rdzę na wielkich stalowych płytach przymocowanych na zewnętrznej stronie muru. Widział

wszystkie omszałe krawędzie i pokryte popiołem półki. Nie było okien.

- Nie wiem - odpowiedział powoli Sazed, uwalniając cynomyśl. - Niełatwo powiedzieć, czy forteca jest zamieszkała. Nie ma śladu ruchu ani światła. Ale może Inkwizytorzy po prostu kryją się w środku.

- Nie - stwierdził Marsh, a jego surowy głos wydawał się niezwykle głośny. - Odeszli.

- Jak możesz być tego pewien?

- Nie wiem.

- To gdzie się udali?

Marsh spojrział na niego, po czym odwrócił się i obejrzał przez ramię.

- Na północ.

- Do Luthadel? - spytał Sazed, marszcząc czoło.

- Między innymi - odparł Inkwizytor. - Chodź. Nie wiem, czy wrócą, ale powinniśmy wykorzystać tę okazję.

Sazed pokiwał głową. W końcu po to przecież przyszli. Mimo to wahał się. Jego życiem były księgi i służba. Podróżowanie od wioski do wioski wystarczająco różniło się od jego doświadczeń, by czuł niepokój. Wkradanie się do twierdzy Inkwizytorów...

Marsh nie zwracał uwagi na wewnętrzny konflikt towarzysza. Odwrócił się i ruszył

wzdłuż krawędzi krateru. Sazed zarzucił plecak na ramię i poszedł za nim. W końcu dotarli do urządzenia przypominającego klatkę, najwyraźniej opuszczaną na dół za pomocą lin i bloczków. Klatka była zablokowana na najwyższej półce. Marsh stanął przy niej, lecz nie wszedł do środka.

- Co się dzieje? - spytał Sazed.

- System bloczków - wyjaśnił Marsh. - Klatka jest opuszczana przez ludzi trzymających ją z dołu.

Terrisanin pokiwał głową. Marsh zrobił krok do przodu i zwolnił dźwignię. Klatka spadła. Liny zaczęły dymić, a bloczki trzeszczały, gdy potężna konstrukcja spadała ku dnu przepaści. Stłumione uderzenie odbiło się echem od skał.

Jeśli tam ktoś jest, pomyślał Sazed, właśnie dowiedział się o naszej obecności.

Marsh odwrócił się ku niemu. Główki kolców w jego oczodołach błyszczały w blasku zachodzącego słońca.

- Chodź za mną - powiedział.

Odwiązał przeciwwagę i zaczął schodzić po linach.

Sazed podszedł do krawędzi platformy, patrząc, jak Marsh ześlizguje się po linie w mglistą otchłań. Wtedy ukląkł i otworzył plecak. Zdjął wielkie metalowe bransolety otaczające jego ramię i przedramię - jego najważniejsze miedziomyśli. Zawierały wszystkie wspomnienia Opiekuna, wiedzę zgromadzoną przez stulecia. Z szacunkiem odłożył je na bok i wyjął dwie o wiele mniejsze bransoletki - jedną z żelaza, drugą z cyny z ołowiem. Metalmyśli wojownika.

Czy Marsh wiedział, jak mało doświadczenia ma w tym Sazed? Zadziwiająca siła jeszcze nie czyniła kogoś wojownikiem. Mimo to Terrisanin założył bransoletki na kostki.



Później wyjął dwa pierścienie - z cyny i miedzi. Wsunął je na palce.

Zapiął plecak i przerzucił przez ramię, po czym podniósł miedziomyśli. Znalazł dla nich kryjówkę - ukrytą przestrzeń między dwoma głazami - i wsunął je do środka. Cokolwiek mogło wydarzyć się na dole, nie chciał ryzykować, że zostaną zabrane i zniszczone przez Inkwizytorów.

Aby wypełnić miedziomyśl wspomnieniami, Sazed słuchał, jak inny Opiekun recytował

całą swoją kolekcję historii, faktów i opowieści. Zapamiętał każde zdanie, po czym wepchnął

wspomnienia do miedziomyśli, do późniejszego wykorzystania. Terrisanin niewiele wiedział z własnego doświadczenia, ale mógł wykorzystać każdą księgę i każde pismo, umieszczając je z powrotem w pamięci. Wtedy przypominał je sobie tak wyraźnie, jak w chwili, gdy się ich uczył. Musiał jedynie mieć przy sobie miedziomyśl.

Nieobecność miedziomyśli wywoływała w nim niepokój. Pokręcił głową i podszedł do krawędzi platformy. Marsh pospiesznie schodził w dół przepaści - jak wszyscy Inkwizytorzy, miał moce Zrodzonego z Mgły. Choć skąd je wziął - i jakim sposobem żył nadal, mimo żelaznych kolców przebijających mózg - pozostawało tajemnicą. Nigdy nie odpowiedział na pytania Sazedu na ten temat.

Terrisanin zawołał, przyciągając uwagę Marsha, po czym upuścił plecak. Inkwizytor wyciągnął rękę, a wtedy plecak gwałtownie zmienił kierunek ruchu - Marsh przyciągnął

schowane w środku metale. Inkwizytor przerzucił bagaż przez ramię i schodził dalej.

Sazed pokiwał z wdzięcznością głową i zszedł z platformy. Spadając, sięgnął do swojej żelazomyśli, szukając ukrytej w niej mocy. Napełnianie metalmyśli zawsze kosztowało - aby zmagazynować wzrok, Sazed musiał przeżyć wiele tygodni, niedowidząc. W tym czasie nosił

cynową bransoletkę, w której zbierał wzrok do późniejszego wykorzystania.

Żelazo różniło się nieco od pozostałych. Nie magazynowało wzroku, siły, wytrzymałości ani nawet wspomnień. Ukrywało się w nim coś zupełnie innego - ciężar.

Tego dnia Sazed nie sięgnął do mocy zgromadzonej w żelazomyśli - wtedy stałby się cięższy. Wręcz przeciwnie, zaczął ją napełniać, pozwalając, by pochłaniała jego ciężar. Poczuł

znajomą lekkość - wrażenie, że jego ciało przestało na siebie naciskać.

Zaczął zwalniać. Terrisańscy filozofowie mieli wiele do powiedzenia na temat żelazomyśli. Wyjaśniali, że jej moc nie zmieniała masy czy rozmiarów człowieka - jedynie odmieniała sposób, w jaki ziemia go przyciągała. Upadek Sazedu nie spowolnił się dlatego, że mężczyzna zaczął mniej ważyć, lecz dlatego, że nagle miał względnie dużą powierzchnię ciała stawiającą opór powietrzu, a do tego stał się lżejszy.

Niezależnie od naukowych przyczyn, Sazed nie spadał szybko. Cienkie metalowe bransolety na

kostkach stanowiły najcięższe elementy na jego ciele, więc opadał nogami w dół.

Wyciągnął ręce i lekko się zgiął, pozwalając, by naciskał na niego wiatr. Nie spadał wyjątkowo powoli, niczym liść czy piórko, ale też nie leciał błyskawicznie w dół. Opadał spokojnie, niemal leniwie. Z ubraniem łopoczącym na wietrze i rozłożonymi rękami minął Marsha, który przyglądał mu się z zaciekawieniem.

Zbliżając się do ziemi, Sazed sięgnął do cynołowiomysli, wykorzystując odrobinę siły na przygotowanie. Uderzył w ziemię, ale ponieważ jego ciało było bardzo lekkie, niemal tego nie poczuł. Właściwie nie musiał nawet zginać kolan, żeby złagodzić wstrząs.

Przestał napełniać żelazomyśl, uwolnił cynę z ołowiem i czekał w milczeniu na Marsha.

Klatka leżała obok, roztrzaskana na kawałki. Sazed z niepokojem przyjrzał się żelaznym kajdanom. Najwyraźniej nie wszyscy odwiedzali Dom Modlitwy z własnej woli.

Nim Marsh dotarł do ziemi, mgły zgęstniały. Sazed znał je od zawsze i nie spodziewał

się, że będzie się czuł z nimi niepewnie. Teraz jednak zastanawiał się, czy nie zaczną go zaraz dusić. Zabijają go, niczym starego Jeda, nieszczęsnego chłopca, którego śmierć badał.

Marsh puścił linę na wysokości dziesięciu stóp i zeskoczył ze zręcznością Allomanty.

Mimo że Sazed spędził wiele czasu ze Zrodzonymi z Mgły, dary Allomancji nadal robiły na nim wielkie wrażenie. Oczywiście, wcale nie był o nie zazdrosny. Owszem, Allomancja przydawała się w walce, ale nie mogła wzbogacić umysłu, dając dostęp do marzeń, nadziei i wierzeń z tysiąca lat. Nie pozwalała dowiedzieć się, jak wyleczyć ranę albo nauczyć ubogich wieśniaków, jak najlepiej nawozić pola. Metalmyśli Feruchemii nie robiły wielkiego wrażenia, ale miały większą wartość dla społeczności.

Poza tym Sazed znał kilka feruchemicznych sztuczek, które powinny zaskoczyć nawet najlepszego wojownika.

Marsh oddał mu plecak.

- Chodź.

Sazed pokiwał głową, założył bagaż na ramię i ruszył po kamieniach za Inkwizytorem.

Czuł się dziwnie, idąc u boku Marsha, nie był bowiem przyzwyczajony do towarzyszenia ludziom dorównującym mu wzrostem. Terrisańczycy byli z natury wysocy, a Sazed wyróżniał

się nawet wśród nich. Jego ręce i nogi były nieco za długie w stosunku do ciała - efekt kastracji w bardzo młodym wieku. Choć Ostatni Imperator nie żył, terrisańska kultura jeszcze przez wiele lat będzie odczuwała wpływy jego władzy i programów hodowlanych - mających na celu pozbycie się mocy feruchemicznych z ich populacji.

Dom Modlitwy Seran majaczył przed nimi w mroku. Teraz, gdy znaleźli się wewnątrz krateru, wydawał się jeszcze bardziej złowrogi. Marsh podszedł do wejścia, a Sazed podążył za nim. Właściwie się nie bał. Strach rzadko kierował jego postępowaniem. Martwił się jednak.

Tak niewielu Opiekunów pozostało - gdyby umarł, oznaczałoby to utratę jednej osoby, która mogła podróżować i nauczać ludzi.

Co prawda, i tak tego w tej chwili nie robię...

Marsh przyjrzał się potężnym stalowym wrotom. Później naparł na jedno skrzydło, bez wątpienia spalając cynę z ołowiem, żeby zwiększyć swoją siłę. Sazed dołączył do niego, popychając mocno. Wrota nawet nie drgnęły.

Nie chcąc marnować mocy, Sazed sięgnął do cynoołowiomyśli. Wykorzystał o wiele więcej niż przy lądowaniu i jego mięśnie natychmiast się powiększyły. W przeciwieństwie do Allomancji, Feruchemia często miała bezpośredni wpływ na ludzkie ciało. Pod szatami Sazed miał teraz sylwetkę doświadczonego wojownika i stał się dwa razy silniejszy. Połączywszy siły, otworzyli wrota.

Nie zaskrzypiały. Otwierały się powoli, lecz swobodnie, do środka, ukazując długi ciemny korytarz.

Sazed uwolnił cynooolów, powracając do normalnej budowy. Marsh wszedł do Domu Modlitwy, rozganiając stopami mgłę, która zaczęła się wlewać do środka.

- Marsh? - spytał Sazed.

Inkwizytor się odwrócił.

- Nic tu nie będę widział.

- Twoja Feruchemia...

Pokręcił głową.

- Dzięki niej mogę widzieć lepiej w ciemnościach, ale tylko wtedy, gdy mam jakieś źródła światła. Poza tym, wykorzystując tak wiele wzroku, w ciągu kilku minut opróżnię cynomyśl. Potrzebuję latarni.

Marsh zawahał się, po czym pokiwał głową. Zniknął w ciemnościach.

Czyli, pomyślał Sazed, Inkwizytorzy nie potrzebują światła, żeby widzieć. Mógł się tego spodziewać - kolce wypełniały całe oczodoły Marsha, niszcząc gałki oczne. Niezwykła moc, która pozwalała Inkwizytorom widzieć, najwyraźniej działała w całkowitych ciemnościach równie dobrze jak w dzień.

Marsh powrócił kilka chwil później, niosąc lampę. Pamiętając łańcuchy w klatce, Sazed zakładał, że Inkwizytorzy mieli licznych niewolników i służących, którzy zaspokajali ich potrzeby. Jeśli tak, to gdzie się podzieli ci ludzie? Uciekli?

Sazed wyjął z plecaka krzesiwo i zapalił lampę. Jej widmowy blask oświetlił surowy, onieśmielający korytarz. Wszedł do Domu Modlitwy, unosząc światło wysoko, i zaczął napełniać miedziany pierścień na palcu, czyniąc z niego miedziomyśl.

- Duże pomieszczenia - wyszeptał - bez ozdób.

Nie musiał wypowiadać tych słów, ale odkrył, że mówienie pomaga mu tworzyć wyraźne wspomnienia. Później mógł je umieścić w miedziomyśli.

- Inkwizytorzy najwyraźniej lubią stal - mówił dalej. - Nic dziwnego, w końcu byli zwani Stalowym Zakonem. Na ścianach wiszą potężne stalowe płyty, bez śladów rdzy, w przeciwieństwie do tych na zewnątrz. Wiele z nich nie jest kompletnie gładkich, lecz ozdobionych interesującymi wzorami, wyrytymi... niemal wykutymi... na ich powierzchni.

Marsh zmarszczył czoło i odwrócił się w jego stronę.

- Co robisz?

Sazed uniósł prawą rękę, pokazując pierścień.

- Muszę zapisać tę wizytę. Będę musiał przekazać te doświadczenia innym Opiekunom, kiedy nadarzy się okazja. Sądzę, że w tym miejscu można się wiele nauczyć.

Marsh się odwrócił.

- Nie powinieneś się przejmować Inkwizytorami. Nie są warci twoich zapisów.

- To nie jest kwestia wartości, Marsh - sprzeciwił się Sazed, unosząc lampę, by przyjrzeć się kwadratowemu filarowi. - Wiedza na temat wszystkich religii jest cenna. Muszę się upewnić, że nie zaginie.

Przez chwilę przyglądał się filarowi, po czym zamknął oczy i stworzył jego obraz w swojej głowie, dodając go do miedziomyśli. Wspomnienia wzrokowe były jednak mniej użyteczne niż słowa. Wizualizacje szybko blakły po wyciągnięciu z miedziomyśli i były wypaczane. Do tego nie dało się ich przekazać innym Opiekunom.

Marsh nie odpowiedział na uwagę na temat religii. Ruszył w głąb budynku. Sazed podążył za nim wolnym krokiem, mówiąc do siebie i zapisując słowa w miedziomyśli. To było ciekawe doświadczenie. Gdy tylko wypowiedział słowa, czuł, jak myśli opuszczają jego umysł, pozostawiając po sobie pustkę. Miał problemy, by przypomnieć sobie, co właściwie mówił.

Jednakże, gdy już napełni miedziomyśl, później będzie mógł sięgnąć do tych wspomnień i zobaczy wszystko bardzo wyraźnie.

- Pomieszczenie jest wysokie - powiedział. - W środku znajduje się kilka filarów, również okutych stalą. Są przysadziste i prostokątne, nie okrągłe. Mam wrażenie, że to miejsce zostało wybudowane

przez ludzi, których nie interesowała subtelność. Ignorowali mniejsze szczegóły na rzecz szerokich linii i geometrycznych wzorów. Po wyjściu z głównego korytarza widzimy ten sam architektoniczny wzorzec. Żadnych obrazów na ścianach, drewnianych ozdób czy wzorzystej posadzki. Jedynie długie, szerokie korytarze, surowe linie i odbijające światło powierzchnie. Podłogę wyłożono metalowymi płytami o szerokości kilku stóp. Są... zimne w dotyku. Dziwi brak gobelinów, witrażowych okien i kamiennych rzeźb, tak typowych dla architektury Luthadel. Nie ma iglic ani sklepień. Tylko kwadraty i prostokąty. Linie... tak wiele linii. Nie ma tu nic miękkiego. Żadnych dywanów, żadnych okien. To miejsce dla istot, które postrzegają świat inaczej niż zwykli ludzie. Marsh ruszył ogromnym korytarzem, nie zwracając uwagi na jego wygląd. Podążę za nim, później wrócę i dokonam dalszych zapisów. Wydaje mi się, że podąża za czymś... czymś, czego nie wyczuwam. Być może...

Sazed zamilkł, gdy minął zakręt i ujrzał Marsha stojącego w wejściu do sporej komnaty.

Światło lampy zamigotało, gdy ręka mężczyzny zadrżała.

Inkwizytor odnalazł służących.

Byli martwi od tak dawna, że Sazed nie wyczuwał smrodu do chwili, gdy się zbliżył.

Może za tym właśnie podążał Marsh - zmysły człowieka spalającego cynę stawały się wyjątkowo wyczulone.

Inkwizytorzy porządnie wykonali swoją robotę. Widział przed sobą pozostałości rzezi.

Pomieszczenie było duże, ale miało tylko jedno wejście, a ciała leżały na stercie z tyłu, zabite ciosami miecza lub topora. Słudzy kulili się przy tylnej ścianie i tam umierali.

Sazed odwrócił wzrok.

Marsh pozostał w wejściu.

- Coś tu śmierdzi - powiedział w końcu.

- Dopiero to zauważyłeś?

Marsh odwrócił się i spojrzał na niego.

- Nie powinniśmy spędzać tu zbyt wiele czasu. Na końcu korytarza są schody. Ja pójdę na górę... tam muszą być kwatery Inkwizytorów. Jeśli informacja, której szukam, w ogóle tu jest, to właśnie tam. Ty możesz zostać albo zejść na dół. Ale nie idź za mną.

Sazed zmarszczył czoło.

- Dlaczego?

- Muszę być sam. Nie mogę tego wyjaśnić. Nie obchodzi mnie, czy będziesz świadkiem okrucieństw Inkwizytorów. Po prostu... nie chcę być z tobą, gdy to robisz.

Sazed opuścił lampę, pozwalając, by koszmarną scenę spowiała ciemność.

- Dobrze.

Marsh odwrócił się, przeszedł obok Sazed i zniknął w ciemnym korytarzu. Terrisanin pozostał sam.

Próbował nie myśleć zbyt wiele. Znów wyszedł na główny korytarz, opisując rzeź na potrzeby miedziomyśli, po czym powrócił do szczegółowych opisów architektury i sztuki - o ile mógł tak nazwać wzory na ściennych płytach.

Jego głos odbijał się echem od surowej architektury, a światło lampy migotało na stali.

W pewnym momencie jego spojrzenie przyciągnął koniec korytarza. Dostrzegł tam kałużę mroku. Schody prowadzące w dół.

Choć powrócił do opisywania jednej z płyt, wiedział, że w końcu ruszy w stronę ciemności. Tak było zawsze - ciekawość, potrzeba zrozumienia nieznanego. To uczucie kierowało nim, gdy był Opiekunem, doprowadziło go do Kelsiera. Poszukiwanie prawdy nigdy nie mogło się skończyć, nie dało się też zignorować. Dlatego w końcu obrócił się i zbliżył do klatki schodowej, mając do towarzystwa jedynie własny szept.

- Schody przypominają te, które widziałem w korytarzu. Są szerokie i potężne, niczym schody wiodące do świątyni lub pałacu. Te jednak prowadzą w dół, w mrok. Są wielkie, prawdopodobnie wykute z kamienia, a później licowane stalą. Stopnie są wysokie. Idąc, zastanawiam się, jakie tajemnice Inkwizytorzy uznali za godne ukrycia pod ziemią, w piwnicach twierdzy. Cały budynek jest tajemnicą. Co tu robili, w tych szerokich korytarzach i wielkich komnatach? Schody prowadzą do kolejnego wielkiego, kwadratowego pomieszczenia. Zauważyłem coś: w wejściach nie ma drzwi. Wszystkie komnaty są otwarte, widoczne z zewnątrz. Zaglądam do pomieszczeń pod ziemią i widzę ogromne sale z nielicznymi sprzętami. Żadnych bibliotek ani salonów. W kilku znajdują się wielkie metalowe bloki, które mogą być ołtarzami. Ostatnie pomieszczenie, na tyłach głównego podestu schodów, wydaje się inne. Nie wiem co o nim myśleć. Może to sala tortur? Do podłogi przymocowano stoły... metalowe stoły. Są zakrwawione, choć nie widzę ciał. Pod moimi stopami unosi się pył wysuszonej krwi - myślę, że w tej sali zginęło wielu ludzi. Nie widzę narzędzi tortur, poza... Kolcami. Takimi, jak te w oczach Inkwizytorów. Potężne, ciężkie kolce, niczym te, które wbija się w ziemię dużym podbijakiem. Na niektórych jest krew i raczej ich nie dotknę. Pozostałe... tak, niczym się nie różnią od tych w oczach Marsha. Jednak niektóre wykuto z innych metali.

Sazed położył kolec na stole, metal uderzył o metal. Zadrżał, znów przyglądając się pomieszczeniu. Może tu tworzono nowych Inkwizytorów? Nagle miał przerażającą wizję tych istot - niegdyś liczących zaledwie kilka tuzinów - gwałtownie zwiększających swoją liczbę podczas miesięcy zamknięcia w Domu Modlitwy.

Ale to nie wydawało się zgodne z prawdą. Zawsze byli niedostępni i trzymali się w ukryciu. Gdzie znaleźliby tylu ludzi godnych włączenia w ich szeregi? Czemu nie stworzyli Inkwizytorów ze sług, zamiast ich zabijać?

Sazed zawsze podejrzewał, że jedynie Allomanta mógł zostać zmieniony w Inkwizytora. Doświadczenia Marsha to potwierdzały - mężczyzna przed przemianą był

Szperaczem, spalającym brąz. Terrisanin znów przyjrzał się krwi, kolcom i stołom, i uznał, że chyba nie chce wiedzieć, jak tworzonego nowego Inkwizytora.

Miał zamiar wyjść z sali, kiedy w świetle lampy ujrzał coś z tyłu. Kolejne drzwi.

Ruszył w ich stronę, próbując zignorować wysuszoną krew pod stopami, i wszedł do komnaty, która zupełnie nie pasowała do reszty onieśmielającej architektury Domu Modlitwy.

Została wykuta w skale i prowadziła do bardzo wąskich schodów. Zaciekawiony Sazed zszedł

po wytartych kamiennych stopniach. Po raz pierwszy od wejścia do budynku czuł się przytłoczony. Na dole schodów musiał się skulić, żeby wejść do niewielkiej komnaty.

Wyprostował się i unióś lampę, której blask ukazał...

Ścianę. Salka kończyła się gwałtownie i światło odbiło się od ściany. Przymocowano do niej stalową płytę, podobną do tych na górze. Ta miała dobre pięć stóp szerokości i była niemal równie wysoka. I coś na niej napisano. Sazed położył plecak na ziemi i zrobił krok do przodu, unosząc lampę, by oświetlić najwyższe słowa.

Tekst napisano po terrisańsku.

Dialekt był oczywiście bardzo stary, ale Sazed rozumiał go nawet bez językowej miedziomyśli. Jego ręka drżała, gdy czytał słowa.

*Zapisuję te słowa w stali, gdyż nie można ufać temu, co nie zostało wykute w metalu.*

*Zacząłem się zastanawiać, czy jako jedyny pozostałem przy zdrowych zmysłach. Czy inni nie widzą? Tak długo czekali na nadejście bohatera - tego przepowiedzianego przez Terrisan - że teraz wyciągają pochopne wnioski i zakładają, że każda historia i legenda dotyczy tego jednego człowieka.*

*Moi bracia ignorują inne fakty. Nie umieją pojąć innych dziwnych rzeczy, które się dzieją. Są głusi na moje zastrzeżenia i ślepi na moje odkrycia.*

*Może mają rację? Może jestem szalony, zazdrosny albo po prostu głupi? Nazywam się Kwaan. Filozof, uczonek, zdrajca. To ja odkryłem Alendiego, i to ja pierwszy ogłosiłem go Bohaterem Wieków. Ja to wszystko zacząłem.*

*I to ja zdradziłem Alendiego, gdyż wiem teraz, że nie można mu pozwolić na wypełnienie misji.*

- Sazedzie.

Terrisanin podskoczył, niemal upuszczając lampę. Marsh stał w wejściu za jego plecami. Władczy,

niepokojący i mroczny. Pasował do tego surowego miejsca.

- Komnaty na górze są puste - stwierdził. - Ta wyprawa była marnowaniem czasu... moi bracia zabrali ze sobą wszystko, co mogło im się przydać.

- Wcale nie - sprzeciwił się Sazed, odwracając się do płyty.

Nie przeczytał wszystkiego. Litery były ściśnięte, ryt wypełniał całą ścianę. Stał zachował słowa przez bardzo wiele lat. Serce Sazedą zabiło szybciej.

To był fragment tekstu z czasów przed rządami Ostatniego Imperatora. Fragment zapisany przez terrisańskiego filozofa - świętego człowieka. Mimo dziesięciu stuleci poszukiwań, Opiekunowie nigdy nie wypełnili swojego pierwotnego celu - nie odkryli pierwotnej religii Terris.

Ostatni Imperator zniszczył terrisańskie nauki religijne wkrótce po dojściu do władzy.

Jego prześladowania Terrisan - własnego ludu - były najdokładniejsze i Opiekunowie nigdy nie odnaleźli nic poza mglistymi wzmiankami na temat wierzeń ich ludu.

- Muszę to skopiować, Marsh - powiedział Sazed, sięgając do plecaka.

Wspomnienie wizualne nie mogło się udać - nikt nie mógł zapamiętać tak długiego tekstu, jedynie patrząc na ścianę. Mógłby może przeczytać go do miedziomyśli. Chciał mieć jednak fizyczny zapis, który doskonale zachowywał podział na wiersze i interpunkcję.

Marsh pokręcił głową.

- Nie zostaniemy tutaj. Sądzę, że w ogóle nie powinniśmy tu byli przychodzić.

Sazed zawahał się i uniósł wzrok. Po chwili wyjął z plecaka kilka wielkich arkuszy papieru.

- Dobrze - powiedział. - Odrysuję go. Myślę, że to będzie nawet lepsze rozwiązanie.

Zobaczę tekst dokładnie tak, jak został zapisany.

Marsh pokiwał głową, a Sazed wyjął kawałek węgla.

To odkrycie... pomyślał podekscytowany. To będzie jak dziennik Rasheka. Jesteśmy blisko!

Gdy zaczął odrysowywać - jego dłonie poruszały się ostrożnie i precyzyjnie - w jego głowie pojawiła się inna myśl. Z takim tekstem w swoim posiadaniu nie mógł już włączyć się po wioskach. Musiał wrócić na północ, żeby podzielić się tym, co odnalazł, bo gdyby umarł, tekst zostałby utracony. Musiał udać się do Terris.

Albo... do Luthadel. Stamtąd mógł wysłać wiadomości na północ. Miał uzasadniony powód, by powrócić do centrum wydarzeń, znów spotkać się z ekipą.



Dlaczego w takim razie czuł się jeszcze bardziej winny?

*Kiedy w końcu przeżyłem objawienie - w końcu połączyłem wszystkie znaki Oczekiwania z Alendim - byłem taki podekscytowany. Jednakże, gdy przedstawiłem swoje odkrycia Dawcom Światów, szydzili ze mnie.*

*Jakże żałuję, że ich wtedy nie posłuchałem.*

Mgły kłębiły się i wirowały, niczym jednobarwna farba spływająca po płótnie. Ostatnie promienie słońca dogasały na zachodzie i nadchodziła noc.

Vin zmarszczyła czoło.

- Czy nie wydaje ci się, że mgły nadchodzą wcześniej?

- Wcześniej? - spytał OreSeur stłumionym głosem. Kandra w postaci wilczarza siedział obok niej na dachu.

Skinęła głową.

- Przedtem mgły pojawiały się po nadejściu ciemności, prawda?

- Jest ciemno, panienko.

- Ale one już tu są... zaczęły się zbierać, gdy słońce dopiero kłoniło się ku zachodowi.

- Nie wiem, jakie to ma znaczenie, panienko. Może mgły są podobne do innych zjawisk pogodowych i bywają zmienne.

- Nie wydaje ci się to dziwne?

- Będę uważał to za dziwne, jeśli tak zechcesz, panienko - odparł OreSeur.

- Nie o to mi chodziło.

- Przepraszam, panienko - powiedział kandra. - Powiedz mi, o co ci chodzi, a z pewnością będę wierzył w to, co mi powiesz.

Vin westchnęła, rozmasowała czoło. Szkoda, że Sazed nie wrócił... pomyślała. Było to jednak płonne życzenie. Nawet gdyby powrócił do Luthadel, nie byłby teraz jej lokajem.

Terrisianie już nie mieli panów. OreSeur musiał jej wystarczyć. Kandra mógł przynajmniej dostarczyć informacji, których nie miał Sazed - zakładając, że uda się je z niego wydobyć.

- Musimy znaleźć intruza - powiedziała Vin. - Tego, który kogoś... zastąpił.

- Tak, panienko - zgodził się OreSeur.

Vin usiadła wygodniej, opierając się o skośny dach.

- W takim razie muszę wiedzieć więcej.

- O czym?

- Ogólnie o kandra. Jeśli mam znaleźć tego intruza, muszę zrozumieć jego tok myślenia i motyw. -

- Jego motyw są proste, panienko - stwierdził OreSeur. - Wypełnia swój Kontrakt.

- A jeśli nie ma Kontraktu?

OreSeur potrząsnął psim łbem.

- Kandra zawsze mają Kontrakt. Bez niego nie wolno im działać w ludzkiej społeczności.

- Nigdy? - upewniła się Vin.

- Nigdy.

- A jeśli to kandra renegat? - spytała.

- Nie ma czegoś takiego - stwierdził stanowczo OreSeur.

Doprawdy, pomyślała sceptycznie Vin. Dała jednak spokój. Kandra nie miałby raczej powodu, żeby samodzielnie infiltrować pałac - bardziej prawdopodobne, że wysłał go jeden z wrogów Elenda. Może jeden z watażków albo obligatorzy. Nawet miejscowa szlachta miała powody, by śledzić króla.

- Dobra - powiedziała. - Kandra jest szpiegiem, wysłanym, żeby zgromadzić informacje dla innego człowieka.

- Tak.

- Ale - mówiła dalej - jeśli przyjął ciało kogoś z pałacu, sam go lub jej nie zabił. Kandra nie mogą zabijać ludzi, prawda?

OreSeur pokiwał głową.

- Jesteśmy związani tą zasadą.

- Czyli ktoś wkradł się do pałacu, zamordował kogoś, po czym kazał kandrze przyjąć jego ciało. - Przerwała, rozważając problem. - Najpierw musimy rozważyć najbardziej niebezpieczną możliwość, kogoś z ekipy. Całe szczęście, ponieważ morderstwo nastąpiło wczoraj, możemy wyeliminować Breeze'a, który w tym czasie był poza miastem.

Kandra pokiwał głową.

- Elenda też możemy wyeliminować - dodała. - Był z nami przez większość czasu.

- Wciąż pozostaje większość ekipy.

Vin spochmurniała. Próbowwała znaleźć alibi dla Hama, Docksona, Clubsa i Spooka.

Jednakże miejsce pobytu każdego z nich było nieznane przynajmniej przez kilka godzin.

Wystarczająco długo, by kandra ich strawił i zajął ich miejsce.

- Dobrze - powiedziała. - To jak mam znaleźć intruza? Jak odróżnię go od innych ludzi?

OreSeur wpatrywał się w milczeniu we mgłę.

- Musi być jakiś sposób - upierała się Vin. - Czy zranienie go zadziała?

OreSeur potrząsnął łbem.

- Kandra doskonale replikują ciało, panienko... krew, ciało, skórę, mięśnie. Widziałaś to, kiedy rozdzieliłem skórę.

Vin westchnęła, wyprostowała się i stanęła na krawędzi dachu. Mgły podniosły się, a noc ciemniała coraz bardziej. Zaczęła odruchowo spacerować po krawędzi, a równowaga Allomanty chroniła ją przed upadkiem.

- Może po prostu zobaczę, że ktoś się dziwnie zachowuje - powiedziała. - Czy wszyscy kandra są tak dobrzy w udawaniu jak ty?

- Wśród kandra jestem przeciętny. Niektórzy są lepsi, a inni gorsi.

- Ale nikt nie jest doskonały - zauważyła.

- Kandra rzadko popełniają błędy, panienko - stwierdził OreSeur. - Ale to pewnie najlepsza metoda. Pamiętaj jednak, że to może być każdy. Mój rodzaj jest bardzo uzdolniony.

Vin się zawahała. To nie Elend, powiedziała sobie stanowczo. Był ze mną przez cały dzień. Z wyjątkiem poranka.

Za długo, uznała. Wiele godzin spędziliśmy na murze, a te kości były świeżo wydalone.

Poza tym wiedziałabym, gdyby to był on... prawda?

Pokręciła głową.

- Musi być jakiś sposób. Czy mogę rozpoznać kandrę za pomocą Allomancji?

OreSeur nie odpowiedział od razu. Odwróciła się w jego stronę, wpatrując się w psi pysk.

- Co? - spytała.

- O takich rzeczach nie rozmawiamy z obcymi.

Vin westchnęła.

- Ale i tak mi powiedz.

- Czy rozkazujesz mi powiedzieć?

- W ogóle nie mam ochoty ci rozkazywać.

- To mogę odejść? - spytał OreSeur. - Skoro nie chcesz mi rozkazywać, nasz Kontrakt zostaje rozwiązany?

- Nie o to mi chodziło - powiedziała.

OreSeur skrzywił się, co dziwnie wyglądało na psim pysku.

- Byłoby mi łatwiej, gdybyś spróbowała wyrażać się precyzyjniej, panienko.

Vin zacisnęła zęby.

- Dlaczego jesteś taki wrogi?

- Nie jestem wrogi, panienko. Jestem twoim sługą i będę wypełniał twoje rozkazy. Tak stanowi Kontrakt.

- Dobrze. Czy zachowujesz się tak przy każdym z panów?

- Dla większości wypełniam określoną rolę - wyjaśnił OreSeur. - Dostaję kości, mam stać się pewną osobą i przyjąć jej charakter. Ty nie dajesz mi wskazówek, tylko kości tego...

zwierzęcia.

Czyli to o to chodzi, pomyślała Vin. Nadal irytuje cię ciało psa.

- Posłuchaj, te kości nic nie zmieniają. Wciąż jesteś tą samą osobą.

- Nie rozumiesz. Nie jest ważne, kim jest kandra. Ważne jest, kim się staje. Kości, które przyjmuje, rolę, którą wypełnia. Żaden z moich poprzednich panów nie chciał ode mnie czegoś takiego.

- Ja nie jestem jak inni panowie - stwierdziła. - Tak czy inaczej, zadałam ci pytanie. Czy mogę rozpoznać kandrę za pomocą Allomancji? I tak, rozkazuję ci odpowiedzieć.

W oczach OreSeura pojawił się triumfalny błysk, jakby podobało mu się zmuszanie jej do postępowania zgodnie z rolą.

- Na kandrę nie wpływa Allomancja umysłu, panienko.

Vin zmarszczyła czoło.

- W ogóle?

- Tak, panienko - powiedział OreSeur. - Możesz spróbować Rozpalić lub Uspokoić nasze uczucia, jeśli chcesz, ale nic to nie zmieni. Nawet nie będziemy wiedzieli, że próbujesz nami manipulować.

Jak ktoś, kto pali miedź, pomyślała.

- To nie jest szczególnie użyteczna informacja - zauważyła, przechodząc po dachu obok kandry.

Allomanci nie umieli czytać w myślach czy uczuciach - kiedy kogoś Rozpalali lub Uspokajali, musieli mieć nadzieję, że ta osoba zareaguje odpowiednio.

Mogła przeprowadzić „próbę”, Uspokajając czyjeś uczucia. Jeśli nie zareaguje, może to znaczyć, że jest kandrą - albo że po prostu doskonale ukrywa swoje emocje.

OreSeur przyglądał się jej.

- Gdyby łatwo było wykryć kandrę, nie mielibyśmy większej wartości, prawda?

- Pewnie nie - przyznała. Jednakże jego słowa sprawiły, że pomyślała o czymś innym. -

Czy kandra może korzystać z Allomancji? To znaczy, jeśli zje Allomantę?

OreSeur potrząsnął łbem.

To kolejna metoda, pomyślała Vin. Jeśli zauważę, że ktoś z ekipy pali metale, będę wiedziała, że nie jest kandrą. Na nic się nie przyda z Docksonem i służbą, ale pozwoli jej wyeliminować Hama i Spooka.

- Jest coś jeszcze - powiedziała. - Kiedy pracowaliśmy z Kelsierem, wspominał, że musimy utrzymać cię z dala od Ostatniego Imperatora i Inkwizytorów. Dlaczego?

OreSeur odwrócił wzrok.

- O tym nie rozmawiamy.

- W takim razie każę ci odpowiedzieć.

- A ja muszę odmówić odpowiedzi - stwierdził OreSeur.

- Odmawiasz odpowiedzi? - spytała Vin. - Możesz to zrobić?

Kiwnął głową.

- Nie możemy zostać zmuszeni do ujawnienia tajemnic kandra, panienko. Jest to...

- Zapisane w Kontrakcie - dokończyła Vin. Naprawdę muszę go znów przeczytać.

- Tak, panienko. I tak być może powiedziałem już zbyt wiele.

Vin odwróciła się od OreSeura i spojrzała nad miasto. Mgły nadał się kłębiły.

Przymknęła oczy, sprawdzając brązem, próbując wyczuć znajome impulsy Allomanty spalającego metale.

OreSeur podniósł się i podszedł do niej, po czym znów usiadł na tylnych łapach.

- Nie powinnaś być na spotkaniu u króla, panienko?

- Może później - odparła Vin, otwierając oczy.

Za murami miasta ogniska rozświetlały horyzont. Twierdza Venture świeciła po jej prawej, a wewnątrz Elend naradzał się z pozostałymi. Wielu z najważniejszych ludzi w rządzie, siedzących razem w jednym pomieszczeniu. Elend znów nazwał ją paranoiczką, kiedy powiedziała, że to ona będzie uważać na szpiegów i skrytobójców. Trudno - mógł ją nazywać, jak chciał, o ile tylko pozostawał przy życiu.

Znów usiadła. Cieszyła się, że Elend wybrał Twierdzę Venture jako swoją siedzibę, a nie wprowadził się do Kredik Shaw, domu Ostatniego Imperatora. Po pierwsze, Kredik Shaw swoimi rozmiarami utrudniało obronę. Po drugie, przypominało jej o nim. Ostatnim Imperatorze.

Często myślała o Ostatnim Imperatorze, a raczej o Rasheku, człowieku, który stał się Ostatnim Imperatorem. Ten Terrisanin zabił człowieka, który miał zdobyć moc Studni Wstąpienia i...

I co właściwie zrobił? Wciąż nie wiedzieli. Bohater wyruszył na wyprawę, by ochronić ludzi przed niebezpieczeństwem zwanym Głębią. Tak wiele utracili, tak wiele zostało celowo zniszczone. Ich najlepszym źródłem informacji był starożytny dziennik, zapisany przez Bohatera Wieków zanim Rashek go zabił. Nie było w nim jednak zbyt wiele informacji na temat jego misji.

A czemu ja się tym w ogóle przejmuję, pomyślała Vin. Głębia została zapomniana przed tysiącem lat. Elend i pozostali słusznie martwią się sprawami bieżącymi.

A jednak Vin czuła się od nich dziwnie oddalona. Może dlatego przeprowadzała zwiad na zewnątrz. Nie chodziło o to, że armie jej nie martwiły. Po prostu czuła się... odległa od problemu. Nawet teraz, gdy rozważała zagrożenia dla Luthadel, wracała myślami do Ostatniego Imperatora.

„Nie wiecie, co robię dla ludzkości”, powiedział. „Byłem waszym bogiem, nawet jeśli tego nie widzieliście. Zabijając mnie, skazujecie się na zagładę”. To były ostatnie słowa Ostatniego Imperatora, wypowiedziane, gdy umierał na podłodze swojej własnej sali tronowej.

Na ich wspomnienie Vin wciąż przeszywał dreszcz.

Musiała się jakoś rozerwać.

- Co lubisz, kandro? - spytała, odwracając się do stwora, który wciąż siedział obok niej na dachu. -

Jakie są twoje sympatie, a jakie antypatie?

- Nie chcę odpowiadać na to pytanie.

Vin zmarszczyła czoło.

- Nie chcesz, czy nie możesz?

OreSeur się zawahał.

- Nie chcę, panienko. - Implikacje były oczywiste. Będziesz musiała mi rozkazać.

Omów tego nie zrobiła. Coś ją jednak powstrzymało, coś w tych oczach - choć były nieludzkie. Coś znajomego.

Znała taką niechęć. Często ją czuła w młodości, kiedy służyła szefom szajek, którzy lubili rządzić swoimi ludźmi. W szajkach wykonywało się rozkazy - zwłaszcza jeśli było się chudą i małą dziewczynką, bez pozycji i możliwości zastraszenia.

- Jeśli nie chcesz o tym mówić - powiedziała, odwracając się od kandry - to nie będę cię zmuszać.

OreSeur milczał.

Vin odetchnęła mgłą. Jej chłodna wilgoć sprawiała, że poczuła mrowienie w gardle.

- Wiesz, co ja kocham, kandro?

- Nie, panienko.

- Mgły - powiedziała, wyciągając rękę. - Moc, wolność.

OreSeur pokiwał głową. W pobliżu Vin wyczuła za pomocą brązu słabe pulsowanie.

Ciche, dziwne, niepokojące. Takie samo jak to, które poczuła na szczycie Twierdzy Venture przed kilkoma dniami. Później brakowało jej odwagi, by znów je zbadać.

Najwyższy czas coś z tym zrobić, uznała.

- Wiesz, czego nienawidzę, kandro? - wyszeptwała, przykucając i sprawdzając noże oraz metale.

- Nie, panienko.

Odwróciła się i popatrzyła mu w oczy.

- Nienawidzę się bać.

Wiedziała, że inni uważają ją za nerwową. Paranoiczną. Żyła ze strachem tak długo, że kiedyś uważała go za coś naturalnego, jak popiół, słońce albo ziemia.



Kelsier zabrał ten strach. Wciąż była ostrożna, ale nie czuła ciągłego przerażenia.

Ocalały dał jej życie, w którym ci, którzy ją kochali, nie bili jej i pokazali coś lepszego od strachu. Zaufanie. Teraz, kiedy się tego nauczyła, nie odda go bez walki. Ani armiom, ani skrytobójcom...

Ani duchom.

- Chodź za mną, jeśli dasz radę - wyszeptała, po czym zeskoczyła z dachu na ulicę.

Pobiegła po śliskim od mgły bruku, przyspieszając, zanim zdążyła stracić odwagę.

Źródło impulsów było blisko - znajdowało się na sąsiedniej ulicy, w budynku. Nie na szczycie, uznała. Jedno z ciemnych okien na drugim piętrze, z otwartymi okiennicami.

Vin rzuciła monetę i wyskoczyła w powietrze. Poderwała się do góry i zmieniła kierunek, Odpychając się od zasuw po drugiej stronie ulicy. Wylądowała w otworze okiennym, chwytając ramę. Rozjarzyła cynę, by przebić mrok w opuszczonym pokoju.

Był tam. Stworzony w całości z mgieł, poruszał się i wirował, jego sylwetka rysowała się niewyraźnie w ciemnej komnacie. Mógł patrzeć z góry na dach, na którym Vin rozmawiała z OreSeurem.

Duchy nie szpiegują ludzi... prawda? Skaa nie rozmawiali o takich sprawach jak duchy czy umarli. To zbyt mocno trąciło religią, a religia była dla szlachetnie urodzonych. Wiara oznaczała dla skaa wyrok śmierci. Niektórych to nie powstrzymywało, ale złodzieje tacy jak Vin byli zbyt pragmatyczni.

Tylko jedna istota w podaniach skaa pasowała do tego stworza. Mgielny upiór. Istoty, które podobno kradły dusze ludzi na tyle głupich, by po zmroku opuścić schronienie. Ale Vin wiedziała już, czym są mgielne upiory. Kuzynami kandra - dziwnymi, na wpół inteligentnymi stworami, które wykorzystywały kości pożartych istot. Były dziwaczne, owszem, ale nie były zjawami i wcale nie stanowiły wielkiego zagrożenia. W nocy nie było mrocznych upiorów, dręczących duchów ani ghuli.

Tak w każdym razie mówił Kelsier. Istota stojąca w mrocznej komnacie - niematerialna postać wijąca się we mgle - wydawała się potężnym kontrprzykładem. Vin chwyciła ramę okna, a strach, jej stary przyjaciel, powrócił.

Biegnij. Uciekaj. Chowaj się.

- Dlaczego mnie obserwujesz? - spytała.

Istota się nie poruszyła. Wydawało się, że przyciąga do siebie mgły - poruszały się lekko, niczym w podmuchu powietrza.

Wyczuwam ją brązem. To oznacza, że używa Allomancji - a Allomancja przyciąga mgły.

Istota zrobiła krok do przodu. Vin stężała.

I wtedy duch znikł.

Vin zmarszczyła czoło. I tylko tyle? Zrobiła...

Coś chwyciło ją za ramię. Coś zimnego, coś straszliwego, ale też bardzo rzeczywistego.

Jej głowę przepełnił ból, poruszający się jakby od jej ucha do umysłu. Zawyła, lecz zaraz przerwała, gdyż zawiódł ją głos. Z cichym jękiem - jej ramię drżało - wypadła z okna.

Jej ręka wciąż była lodowata. Czują, jak kołysze się w powietrzu obok niej i promieniuje zimnem. Mgła przepływała obok niej niczym chmury.

Vin rozjarzyła cynę. Przepełniły ją ból, zimno i wilgoć, nagle powróciła przytomność umysłu. Przekreśliła się i rozjarzyła cynę z ołowiem w chwili, gdy uderzyła o ziemię.

- Panienko? - spytał OreSeur, wybiegając do niej z cieni.

Podnosząc się na kolana, opierając dłonie o śliskie kamienie bruku, potrząsnęła głową.

Wciąż czuła chłód w lewym ramieniu.

- Mam iść po pomoc? - spytał wilczarz.

Pokręciła głową i zmusiła się do wstania. Spojrzała w górę, przez kłębiące się mgły, w stronę ciemnego okna.

Zadrżała. Ramię bolało ją od uderzenia o ziemię, a posiniaczony bok pulsował, lecz czuła, jak wracają jej siły. Odeszła od budynku, nadal patrząc w górę. Nad nią głębokie mgły wydawały się... złowrogie. Mroczne.

Nie, pomyślała stanowczo. Mgły to moja wolność, noc jest moim domem! Tu jest moje miejsce. W nocy nie musiałam się bać od chwili, gdy nauczył mnie tego Kelsier.

Nie mogła tego stracić. Nie pozwoli, by powrócił strach. Ale nie mogła też ukryć niecierpliwości, gdy machnęła na OreSeura i odeszła od budynku. Nie wyjaśniła swojego dziwnego zachowania.

On o nic nie pytał.

\*\*\*

Elend ustawił trzecią stertę książek na stole, która oparła się o pozostałe dwie, co groziło zrzuceniem całości na podłogę. Wyrównał książki i spojrzał na zebranych.

Breeze, w eleganckim surducie, spoglądał na stół z rozbawieniem i popijał wino. Ham i Spook grali w kamyki, czekając na rozpoczęcie spotkania. Spook wygrywał. Dockson siedział

w kącie, zapisując coś w rejestrze, a Clubs usadowił się w głębokim tapicerowanym fotelu.

Każdy z nich może być intruzem, pomyślał Elend. Ta myśl nadal wydawała mu się szalona. Co miał zrobić? Stracić zaufanie do wszystkich? Nie, za bardzo ich potrzebował.

Jedynym rozwiązaniem było zachowywanie się normalnie i obserwowanie ich. Vin prosiła go, by spróbował wychwycić niekonsekwencje w ich zachowaniu. Miał zamiar dać z siebie wszystko, lecz w rzeczywistości nie był pewien, ile uda mu się zauważyć. To była raczej działka Vin. On musiał się martwić wrogimi armiami.

Z myślą o niej spojrzął na witrażowe okno na tyłach gabinetu i z zaskoczeniem stwierdził, że panuje za nim ciemność.

Już tak późno, pomyślał.

- Mój drogi - zauważył Breeze - kiedy powiedziałeś, że musisz „pójść po kilka ważnych źródeł”, mogłeś nas ostrzec, że znikniesz na dwie godziny.

- No tak - przyznał Elend. - Trochę straciłem poczucie czasu...

- Na dwie godziny?

- Chodziło o książki - odparł z zakłopotaniem Elend.

Breeze pokręcił głową.

- Gdyby nie chodziło o los Środkowego Dominium... i gdyby obserwowanie, jak Hammond traci miesięczną wypłatę na rzecz chłopaka, nie było tak zabawne... wyszedłbym godzinę temu.

- Cóż, teraz możemy zaczynać - stwierdził król.

Ham roześmiał się i wstał.

- Właściwie, czuję się jak za starych czasów. Kell zawsze się spóźniał... i lubił

prowadzić spotkania nocą. W godzinach Zrodzonych z Mgły.

Spook uśmiechnął się, macając wypchaną sakiewkę.

Wciąż używamy skrzyńców... pieniędzy Ostatniego Imperatora... jako naszej waluty, pomyślał Elend. Trzeba będzie coś z tym zrobić.

- Brakuje mi jednak tablicy - stwierdził Spook.

- A mnie nie - odparł Breeze. - Kell miał koszmarny charakter pisma.

- Tragiczny - zgodził się Ham z uśmiechem i usiadł. - Musisz jednak przyznać, że był charakterystyczny.

Breeze uniósł brew.

- Pewnie tak.

Kelsier, Ocalały z Hathsin, pomyślał Elend. Nawet jego charakter pisma jest legendarny.

- Tak czy inaczej - odezwał się - chyba pora zaczynać. Pod naszymi murami stoją dwie armie. Nie wyjdziemy, dopóki nie opracujemy planu, jak sobie z nimi poradzić.

Członkowie ekipy popatrzyli po sobie.

- Właściwie, Wasza Wysokość - odezwał się Dockson - już się zastanawialiśmy nad tym problemem.

- Ach, tak? - spytał zaskoczony Elend. Cóż, rzeczywiście zostawił ich samych na parę godzin. - Chętnie to usłyszę.

- Najważniejsza kwestia wygląda następująco, El - odezwał się Ham. - Przy dwóch armiach nie musimy się obawiać natychmiastowego ataku. Ale i tak jesteśmy w poważnym niebezpieczeństwie. To się pewnie zmieni w przedłużone oblężenie, gdy każda z armii będzie próbowała przeczekać drugą.

- Spróbują nas wziąć głodem - stwierdził Clubs. - Osłabić nas i swoich wrogów, nim zaatakują.

- A to nas stawia w trudnym położeniu - kontynuował Ham - ponieważ długo nie wytrzymamy. W mieście i tak niedługo zapanuje głód... a wrodzy królowie z pewnością o tym wiedzą.

- Co proponujecie? - spytał powoli Elend.

- Musimy zawrzeć sojusz z jedną z tych armii, Wasza Wysokość - stwierdził Dockson. -

Obie strony o tym wiedzą. Samodzielnie nie mogą liczyć na to, że pokonają przeciwnika. Z naszą pomocą jednak układ sił się zmieni.

- Osaczą nas - powiedział Ham. - Zablokują na tak długo, aż będziemy na tyle zdesperowani, że zawrzemy sojusz z jednym z nich. W końcu będziemy musieli to zrobić...

albo pozwolimy naszym ludziom umrzeć z głodu.

- Decyzja wygląda następująco - stwierdził Breeze. - Nie możemy przeczekać, więc musimy wybrać, który z tych ludzi ma dostać nasze miasto. I proponowałbym, żebyśmy podjęli decyzję jak najszybciej, a nie czekali, aż skończą się zapasy.

Elend wstał.

- Zawierając sojusz z jedną z tych armii, w zasadzie oddajemy nasze królestwo.

- To prawda - przyznał Breeze, stukając w kubek. - Ale dzięki sprowadzeniu drugiej armii zyskaliśmy kartę przetargową. Widzisz, przynajmniej możemy teraz czegoś żądać w zamian za nasze królestwo.

- A co to da? - spytał Elend. - I tak przegrywamy.

- To lepsze niż nic - zauważył Breeze. - Sądzę, że moglibyśmy przekonać Cetta, by uczynił cię tymczasowym namiestnikiem Luthadel. On nie lubi Środkowego Dominium, uważa je za jałowe i płaskie.

- Tymczasowy namiestnik miasta. - Elend spochmurniał. - To coś innego niż król Środkowego Dominium.

- Zgoda - stwierdził Dockson. - Ale każdy cesarz potrzebuje dobrych ludzi, by zarządzali miastami w ich imieniu. Nie będziesz królem, ale przeżyjesz... wraz ze swoją armią... kolejne kilka miesięcy, a Luthadel nie zostanie złupione.

Ham, Breeze i Dockson siedzieli i patrzyli mu w oczy. Elend spojrział na stertę książek, myśląc o swoich badaniach i lekturach. Bezużyteczne. Od jak dawna ekipa wiedziała, że jest tylko jedno rozwiązanie?

Zebrani najwyraźniej potraktowali jego milczenie jako zgodę.

- Cett jest najlepszym wyborem, tak? - spytał Dockson. - Może Straff byłby bardziej skłonny do zawarcia sojuszu z Elendem, w końcu są spokrewnieni.

Ależ tak, zawrze sojusz, pomyślał Elend. I złamie go w pierwszej dogodnej chwili.

Ale... alternatywa? Oddanie miasta Cettowi? Co się stanie z tym miastem, z tymi ludźmi, jeśli on będzie rządzić?

- Cett chyba jest najlepszy - powiedział Breeze. - Chętnie pozwala innym rządzić, pod warunkiem, że na jego głowę sypływa chwała, a do skarbcza monety. Problemem będzie atium.

Cett sądzi, że tu jest, a jeśli go nie znajdzie...

- Pozwolimy mu przeszukać miasto - zaproponował Ham.

Breeze pokiwał głową.

- Będziecie musieli go przekonać, że oszukałem go w kwestii atium... a to nie powinno być trudne, biorąc pod uwagę, co o mnie myśli. I tu pojawia się kolejna kwestia... musicie go przekonać, że się mną zajęliście. Może uwierzy, że zostałem stracony w chwili, gdy Elend dowiedział się, że sprowadziłem armię pod mury jego miasta.

Inni pokiwali głowami.

- Breeze? - spytał Elend. - Jak lord Cett traktuje skaa na swoich ziemiach?

Mężczyzna zawahał się i odwrócił wzrok.

- Nie najlepiej, obawiam się.

- Widzicie - stwierdził Elend - moim zdaniem powinniśmy się zastanowić, jak najlepiej ochronić naszych ludzi. To znaczy, jeśli oddamy wszystko Cettowi, uratujemy moją skórę... ale kosztem wszystkich skaa w całym dominium.

Dockson pokręcił głową.

- Elendzie, to nie jest zdrada. Nie, jeśli to jedyne rozwiązanie.

- Łatwo ci mówić - odparł król. - Ale to ja będę miał wyrzuty sumienia, jeśli do tego dojdzie. Nie mówię, że powinniśmy odrzucić twoją sugestię, ale mam kilka innych pomysłów, o których moglibyśmy porozmawiać...

Pozostali popatrzyli po sobie. Clubs i Spook jak zwykle zachowali milczenie podczas spotkania. Clubs odzywał się tylko, gdy było to absolutnie konieczne, a Spook zazwyczaj trzymał się na uboczu. W końcu Breeze, Ham i Dockson spojrzeli z powrotem na Elenda.

- To twój kraj, Wasza Wysokość - powiedział powoli Dockson. - My tylko doradzamy.

„Bardzo dobrze doradzamy”, sugerował jego ton.

- Owszem - odparł Elend, podnosząc jedną z książek.

W pośpiechu przewrócił stertę, rozrzucając tomy po stole. Jeden z nich wyśliznął na kolanach Breeze'a.

- Przepraszam - powiedział Elend, gdy Breeze przewrócił oczami i odstawił księgę na stół. Młody król otworzył tę, którą trzymał w ręku. - W tym tomie na przykład znajdują się bardzo ciekawe informacje na temat ruchów wojsk...

- Chwileczkę, El - mruknął Ham, marszcząc czoło. - To wygląda na książkę poświęconą transportowi zboża.

- Wiem - odparł król. - W bibliotece nie było zbyt wielu dzieł poświęconych sztuce wojennej. Pewnie dlatego, że przez ostatnie tysiąc lat nie prowadzono żadnych wojen. W tej księdze wspomniano jednak, jak wielkie zapasy ziarna były niezbędne dla garnizonów w Ostatnim Imperium. Czy macie pojęcie, ile jedzenia potrzebuje armia?

- Słuszna uwaga - stwierdził Clubs, kiwając głową. - Zazwyczaj cholernie ciężko jest wyżywić żołnierzy. Często mieliśmy problemy z zaopatrzeniem, kiedy walczyliśmy na granicach, a przecież byliśmy tylko niewielkimi oddziałami wysłanymi do stłumienia tego czy innego buntu.

Elend pokiwał głową. Clubs rzadko wspominał o swojej przeszłości w armii Ostatniego Imperatora - a ekipa rzadko go o to pytała.

- Tak czy inaczej - mówił dalej Elend. - Sądzę, że Cett i mój ojciec nie mają doświadczenia w dowodzeniu tak wielkimi siłami. Będą mieli problemy z zaopatrzeniem, szczególnie Cett, skoro wymaszerował tak pospiesznie.

- Może nie - odparł Clubs. - Obie armie opanowały kanały prowadzące do Luthadel. To ułatwi im dostarczanie zapasów.

- Poza tym - dodał Breeze - choć większość ziem Cetta jest w tej chwili zbuntowana, nadal panuje nad Haverfrefx, gdzie za czasów Ostatniego Imperatora wybudowano jedną z największych fabryk konserw. Cett ma duży zapas jedzenia w niewielkiej odległości.

- To uszkodzimy kanały - stwierdził Elend. - Znajdziemy sposób, żeby powstrzymać dostarczanie zapasów. Kanały ułatwiają transport, ale jednocześnie zwiększają ryzyko, gdyż doskonale wiemy, jaką drogą popłynie dostawa. A jeśli uda nam się odebrać im żywność, może odstąpią od miasta.

- Możliwe - zauważył Breeze - albo też podejmą ryzyko i zaatakują Luthadel.

Elend się zawahał.

- To możliwe - przyznał. - Ale badałem też, w jaki sposób możemy utrzymać miasto. -

Sięgnął ponad stołem i podniósł książkę. - To „Nowoczesne zarządzanie miastem” Jendellaha.

Wspomina, jak trudno utrzymać porządek ze względu na jego wielkie rozmiary i liczne slumsy skaa. Sugeruje wykorzystanie ruchomych jednostek straży. Sądzę, że możemy zaadaptować jego metody do wykorzystania w bitwie... mury są zbyt długie, by bronić ich na każdym odcinku, ale gdybyśmy mieli ruchome oddziały, które mogłyby reagować na...

- Wasza Wysokość - przerwał Dockson.

- Tak?

- Nasze oddziały składają się z chłopców i mężczyzn, którzy szkolili się przez niecały rok, a musielibyśmy stawić czoło nie jednej przeważającej sile, ale dwóm. Nie zwyciężymy w tej bitwie.

- Ależ tak - stwierdził Elend. - Oczywiście. Mówiłem tylko, że gdybyśmy musieli walczyć, opracowałem pewne strategie...

- Jeśli będziemy walczyć, przegramy - stwierdził Clubs. - I tak pewnie przegramy.

Elend milczał przez chwilę.

- Tak, cóż, ja tylko...

- Ale atakowanie kanałów to dobry pomysł - stwierdził Dockson. Możemy zrobić to potajemnie, może wynająć miejscowych bandytów, by atakowali barki z zaopatrzeniem.

Pewnie to nie wystarczy, by zmusi Cetta czy Straffa do wycofania się, ale może skłoni ich to do większych ustępstw.

Breeze pokiwał głową.

- Cett już się martwi niestabilną sytuacją w jego ojczyźnie. Powinniśmy posłać do niego kogoś z wiadomością, dać mu znać, że interesuje nas sojusz. W ten sposób, gdy zaczną się kłopoty z zaopatrzeniem, pomyśli o nas.

- Moglibyśmy mu nawet wysłać list opisujący egzekucję Breeze'a - dodał Dockson -

jako znak naszych dobrych intencji. To...

Elend odchrząknął. Inni przerwali.

- Ja, no, nie skończyłem jeszcze - powiedział.

- Przepraszam, Wasza Wysokość - stwierdził Dockson.

Elend odetchnął głęboko.

- Macie rację... nie możemy sobie pozwolić na walkę przeciwko tym dwóm armiom. Ale sądzę, że musimy znaleźć sposób, by skłonić je do walki między sobą.

- Miła perspektywa, mój drogi - stwierdził Breeze. - Ale zmuszenie Straffa i Cetta do walki przeciwko sobie nie jest tak proste, jak przekonanie tego tutaj Spooka, by dolał mi wina.

Odwrocił się, wyciągając rękę z pustym kubkiem. Spook zawahał się, po czym westchnął i wstał, by przynieść butelkę.

- Owszem - odparł Elend. - Ale choć nie ma zbyt wielu ksiąg na temat sztuki wojennej, o polityce jest ich mnóstwo. Breeze, wtedy powiedziałeś, że bycie najsłabszą stroną w konflikcie trzech sił daje nam władzę.

- Zdecydowanie - odparł zagadnięty. - Możemy rozstrzygnąć wynik walki na korzyść jednej z dwóch stron.

- Tak. - Elend otworzył księgę. - A skoro mamy trzy strony konfliktu, to już nie jest wojna, tylko polityka. Zupełnie jak w rywalizacji między rodami. A tam nawet najpotężniejsze rody nie mogą sobie poradzić bez sojuszników. Małe rody pojedynczo są słabe, ale postrzegane jako grupa stają się silne. Jesteśmy jak jeden z tych małych rodów. Jeśli chcemy coś osiągnąć, musimy skłonić naszych wrogów, by o nas zapomnieli - albo przynajmniej uważali nas za nieistotnych. Jeśli obie strony założą, że nas sobie podporządkowały - że mogą wykorzystać nas do pokonania drugiej armii, a później w swoim czasie zwrócić się przeciwko nam - to zostawią nas w spokoju i skoncentrują się na



sobie nawzajem.

Ham podrapał się po brodzie.

- Mówisz o podwójnej grze, Elend. To niebezpieczne.

Breeze przytaknął.

- Musielibyśmy okazywać lojalność tej stronie, która akurat wydaje się słabsza, zmuszać obie do ciągłych ataków przeciwko sobie. I nie ma żadnej gwarancji, że zwycięzca będzie osłabiony na tyle, byśmy go pokonali.

- Nie zapominajmy o naszych problemach z żywnością - dodał Dockson. - To, co proponujesz, wymaga czasu, Wasza Wysokość. A w tym czasie będziemy oblężeni i nasze zapasy będą topnieć. Trwa jesień. Wkrótce nadejdzie zima.

- To będzie trudne - zgodził się Elend. - I ryzykowne. Ale sądzę, że się nam uda.

Możemy sprawić, by obie strony myślały, że jesteśmy ich sojusznikami, ale jednocześnie wstrzymywać wsparcie. Będziemy ich zachęcać do wystąpienia przeciwko sobie, atakować ich zaopatrzenie i osłabiać morale, popychając do walki. A gdy opadnie kurz, pozostała armia może się okazać na tyle słaba, że ją pokonamy.

Breeze się zamyślił.

- To wygląda dobrze - przyznał. - I brzmi interesująco.

Dockson uśmiechnął się.

- Mówisz tak, bo w ten sposób skłaniamy kogoś innego, by za nas wykonał robotę.

Breeze wzruszył ramionami.

- Manipulacja działa doskonale na poziomie osobistym. Nie widzę powodu, dla którego nie miałyby zadziałać w polityce.

- Właściwie na tym polega władza - mruknął Ham. - Czymże jest rząd, jeśli nie instytucją służącą do tego, by upewnić się, że ktoś inny odwali całą robotę?

- No a co z planem? - spytał Elend.

- Nie wiem, El - odparł Ham. - Brzmi zupełnie jak jeden z planów Kella... ryzykancki, odważny i trochę szalony. - Można było odnieść wrażenie, że zaskoczyło go, że to Elend coś takiego zaproponował.

Potrafię ryzykować, jak wszyscy, pomyślał z oburzeniem Elend, po czym się zawahał.

Czy naprawdę chciał się trzymać tej myśli?

- Możemy się wpackować w poważne kłopoty - stwierdził Dockson. - Jeśli którąś ze stron znudzą nasze gierki...

- To nas zniszczą - przyznał Elend. - Ale... cóż, panowie, jesteście hazardzistami. Nie powiecie mi, że ten plan podoba wam się mniej niż złożenie pokłonu lordowi Cettowi.

Ham i Breeze wymienili spojrzenia i wydawało się, że rozważają pomysł. Dockson przewrócił oczami, ale wyglądało na to, że sprzeciwia się z przyzwyczajenia.

Nie, nie chcieli wybrać bezpiecznego rozwiązania. Ci ludzie rzucili wyzwanie Ostatniemu Imperatorowi, a wcześniej utrzymywali się z oszukiwania szlachetnie urodzonych.

W niektórych kwestiach byli bardzo ostrożni - troszczyli się o szczegóły, starannie mylili tropy i pilnowali swoich interesów. Lecz gdy gra toczyła się o wysoką stawkę, często byli gotowi zaryzykować.

Nie, nie gotowi. Chętni.

Cudownie, pomyślał Elend. W mojej radzie zasiadają szukający dreszczyku emocji masochiści. Co gorsza, zdecydowałem do nich dołączyć. Ale co jeszcze mógł zrobić?

- Moglibyśmy się nad tym zastanowić - stwierdził Breeze. - Brzmi ekscytująco.

- Wiesz, nie złożyłem tej propozycji dlatego, że jest ekscytująca, Breeze - zauważył

Elend. - Spędziłem młodość, zastanawiając się, jak uczynić Luthadel lepszym miastem, kiedy już przejmę władzę nad swoim rodem. Nie mam zamiaru zapomnieć o tych marzeniach przy pierwszych przeszkodach.

- A co ze Zgromadzeniem? - spytał Ham.

- I tu zaczyna się najlepsze - stwierdził król. - Dwa dni temu zagłosowali za moją propozycją. Nie mogą otworzyć bram żadnemu z najeźdźców, dopóki nie spotkam się na oficjalnych rozmowach z ojcem.

Ekipa milczała przez dłuższą chwilę. W końcu Ham odwrócił się do Elenda, kręcąc głową.

- Nie wiem, El. To brzmi kusząco. Kiedy czekaliśmy na ciebie, omówiliśmy kilka nawet bardziej brawurowych planów. Ale...

- Ale co? - spytał Elend.

- Powodzenie takiego planu zależy w dużej mierze od ciebie - powiedział Breeze, sącąc wino. - To ty będziesz się spotykał z królami, to ty będziesz ich przekonywał, że stoimy po ich stronie. Nie obraż się, ale nie znasz się na kantowaniu. Trudno zgodzić się na plan, którego elementem kluczowym jest

nowicjusz.

- Poradzę sobie z tym - powiedział Elend. - Naprawdę.

Ham spojrział na Breeze'a, później obaj popatrzyli na Clubsa. Stary generał wzruszył ramionami.

- Jeśli dzieciak chce spróbować, to mu pozwólcie.

Ham westchnął i odwrócił wzrok.

- Chyba się zgadzam. Jeśli sądzisz, że sobie z tym poradzisz, El.

- Tak myślę - odparł Elend, ukrywając zdenerwowanie. - Wiem, że nie możemy się poddać, nie bez walki. Może się nie uda, może po paru miesiącach oblężenia i tak będziemy musieli poddać miasto. To jednak daje nam kilka miesięcy, w czasie których coś się może wydarzyć. Warto zaryzykować, a nie od razu się poddawać. Będziemy czekać i planować.

- Dobrze - stwierdził Dockson. - Dajmy sobie trochę czasu na wymyślenie nowych pomysłów i rozwiązań, Wasza Wysokość. Spotkajmy się za kilka dni, by omówić szczegóły.

- Zgoda - powiedział Elend. - Brzmi nieźle. A teraz, jeśli możemy zająć się innymi kwestiami, chciałbym wspomnieć o...

Rozległo się pukanie do drzwi. Na słowa Elenda drzwi otworzył kapitan Demoux.

Wydawał się nieco zawstydzony.

- Wasza Wysokość? - powiedział. - Przepraszam, ale... chyba złapaliśmy kogoś na podsłuchiwanie spotkania.

- Co? - powiedział Elend. - Kogo?

Demoux usunął się na bok, gestem wzywając swoich strażników. Kobieta, którą wprowadzili do środka, wydawała się królowi znajoma. Wysoka, jak wszystkie Terrisanki, nosiła kolorową, lecz prostą sukienkę. Jej uszy były rozciągnięte, a ich płatki wydłużone, by pomieścić liczne kolczyki.

- Rozpoznaję cię - powiedział Elend. - Ze Zgromadzenia. Obserwowałam mnie.

Kobieta nie odpowiedziała. Przyjrzała się zebrany w gabinecie, stojąc prosto - a nawet dumnie - mimo skrepowanych nadgarstków. Elend nigdy wcześniej nie spotkał Terrisanki -

znał jedynie lokajów, eunuchów od dziecka szkolonych na sługi. Z jakiegoś powodu spodziewał się, że kobieta będzie się wydawać nieco bardziej słuźalcza.

- Ukrywała się w sąsiedniej komnacie - powiedział Demoux. - Przepraszam, Wasza Wysokość. Nie

mam pojęcia, jak nas ominęła. Kiedy ją znaleźliśmy, przysłuchiwała się przy ścianie, choć wątpię, by cokolwiek usłyszała. Przecież te mury są z kamienia.

Elend napotkał spojrzenie kobiety. Miała około pięćdziesiątki i nie była piękna, ale brzydka też nie. Mocnej budowy, z otwartą, prostokątną twarzą. Jej spojrzenie, spokojne i stanowcze, sprawiało, że Elend czuł się nieswojo.

- Co chciałaś podsłuchać, kobieto? - spytał król.

Terrisanka zignorowała tę uwagę. Odwróciła się do pozostałych i odezwała z lekkim akcentem.

- Chcę porozmawiać sam na sam z królem. Reszta może wyjść.

Ham się uśmiechnął.

- Cóż za tupet!

Dockson zwrócił się do niej:

- Dlaczego sądzisz, że pozostawimy króla sam na sam z tobą?

- Jego Wysokość i ja mamy pewne sprawy do omówienia - stwierdziła rzeczowo kobieta, jakby nie zwracała uwagi na fakt, że jest więźniem. - Nie musicie się martwić o jego bezpieczeństwo. Jestem pewna, że młoda Zrodzona z Mgły za oknem z pewnością sobie ze mną poradzi.

Elend spojrział w bok, w stronę niewielkiego okienka wentylacyjnego obok większego witrażowego. Skąd wiedziała, że Vin ich obserwuje? Musiała mieć doskonały słuch. Może tak doskonały, że podsłuchiwała spotkanie przez kamienny mur?

Odwrócił się do niej.

- Jesteś Opiekunem.

Skinęła głową.

- Sazed cię przysłał?

- To z jego powodu tu jestem - odparła. - Ale nie zostałam „przysłana”.

- Ham, wszystko w porządku - powiedział powoli Elend. - Możecie iść.

- Jesteś pewien? - spytał kapitan, marszcząc czoło.

- Możecie nie zdejmować moich więzów, jeśli chcecie - stwierdziła kobieta.

Jeśli jest Feruchemiczką, to niewiele zmieni, pomyślał Elend. Oczywiście, jeśli jest Feruchemiczką - i Opiekunem, jak Sazed - nic mi nie grozi. Teoretycznie.

Mężczyźni powoli opuścili komnatę, a ich niechętnie kroki wyraźnie wskazywały, co sądzą o decyzji Elenda. Choć już nie byli złodziejami, król podejrzewał, że podobnie jak Vin nigdy nie wyzwolą się spod wpływu swojego wychowania.

- Będziemy za drzwiami, El - powiedział Ham, wychodzący jako ostatni. Zamknął za sobą drzwi.

*A jednak każdy, kto mnie zna, wie, że nie poddaję się łatwo. Gdy znajdę coś, co uznaję za warte zbadania, potrafię być bardzo uparty.*

Terrisanka zerwała więzy, sznury spadły na ziemię.

- Vin? - powiedział Elend, zaczynając się zastanawiać, czy spotkanie z kobietą rzeczywiście ma sens.  
- Może czas, żebyś zeszła na dół.

- Nie ma jej tam - odparła lekko Terrisanka, podchodząc bliżej. - Kilka minut temu ruszyła na patrol. Dlatego właśnie dałam się złapać.

- E, no, rozumiem - odparł. - Zawołam strażników.

- Nie bądź głupi - powiedziała. - Gdybym chciała cię zabić, zrobiłabym to bez trudu przed ich przyściem. A teraz ucisz się na chwilę.

Kobieta powoli okrążyła stół, przyglądając mu się niczym kupiec meblom wystawionym na aukcję. W końcu stanęła z rękami opartymi na biodrach.

- Wyprostuj się - rozkazała.

- Przepraszam?

- Garbisz się - wyjaśniła. - Król musi zachowywać godność przez cały czas, nawet w obecności przyjaciół.

Elend się skrzywił.

- Choć z pewnością doceniam radę, nie...

- Nie - przerwała mu kobieta. - Nie asekuruj się. Rozkazuj.

- Przepraszam? - powtórzył Elend.

Kobieta zrobiła krok do przodu, położyła dłoń na jego ramieniu i mocno nacisnęła plecy, by poprawić jego postawę. Cofnęła się i pokiwała z namysłem głową.

- Posłuchaj - powiedział. - Ja nie...

- Nie - znów mu przerwała. - Musisz odzywać się bardziej stanowczo. Sposób prezentacji... słowa, działanie, postawa... wpływa na to, jak ludzie cię postrzegają. Jeśli każde zdanie zaczynasz miękko i niepewnie, będziesz wydawał się miękki i niepewny. Bądź silny!

- Co się tutaj dzieje? - spytał z irytacją Elend.

- No - stwierdziła kobieta. - Wreszcie.

- Mówiłaś, że znasz Sazedę? - spytał Elend, powstrzymując pokusę, by znów się zgarbić.

- Jest moim znajomym - odparła. - Nazywam się Tindwyl i, jak się domyśliłeś, jestem Opiekunem. - Przez chwilę stuknęła stopą o ziemię, po czym potrząsnęła głową. - Sazed ostrzegł mnie, że robisz wrażenie niechlujnego, ale zakładałam, że żaden król nie może aż tak zaniedbywać swojej prezencji.

- Niechlujny? - powtórzył Elend. - Przepraszam?

- Przestań tak mówić - warknęła Tindwyl. - Nie zadawaj pytań, mów, co masz na myśli.

Jeśli się sprzeciwiasz, to się sprzeciwiaj, nie pozostawiaj swoich słów do mojej interpretacji.

- Cóż, choć jest to bez wątpienia fascynujące - stwierdził Elend, idąc w stronę drzwi -

wolałbym dziś uniknąć dalszych obelg. Jeśli mi wybaczysz...

- Twoi ludzie uważają cię za głupca, Elendzie Venture - powiedziała cicho Tindwyl.

Zatrzymał się.

- Zgromadzenie, które przecież sam stworzyłeś, ignoruje twoją władzę. Skaa są przekonani, że ich nie ochronisz. Nawet twoi przyjaciele tworzą plany pod twoją nieobecność, zakładając, że twój wkład nie będzie zbyt znaczący.

Elend zamknął oczy i odetchnął głęboko.

- Masz dobre pomysły, Elendzie Venture - powiedziała kobieta. - Królewskie pomysły.

Nie jesteś jednak królem. Człowiek może rządzić tylko wtedy, gdy inni zaakceptują go jako swojego przywódcę i ma tylko taką władzę, jaką oddadzą mu poddani. Wszystkie twoje wspaniałe pomysły nie uratują twojego królestwa, jeśli nikt ich nie będzie słuchał.

Odwrócił się.

- W ciągu tego roku przeczytałem wszystkie istotne książki dotyczące przywództwa i zarządzania z czterech bibliotek.

Tindwyl uniosła brew.

- W takim razie przypuszczam, że spędziłeś dużo czasu w swoich komnatach, zamiast na zewnątrz, gdzie widzieliby cię twoi ludzie i gdzie mógłbyś nauczyć się rządzić.

- Księgi mają wielką wartość - sprzeciwił się.

- Ale działania jeszcze większą.

- A skąd mam się nauczyć, jakie działania są właściwe?

- Ode mnie.

Elend się zawahał.

- Być może wiesz, że każdy Opiekun ma swoje szczególne zainteresowania - wyjaśniła.

- Choć wszyscy zapamiętujemy ten sam zasób informacji, jedna osoba może studiować i zrozumieć tylko ograniczoną część tego zasobu. Nasz wspólny znajomy Sazed poświęca się religiom.

- A twoja specjalność to?

- Biografie - odparła. - Studiowałam życiorysy generałów, królów i cesarzy, których imion nigdy nie słyszałeś. Zrozumienie teorii polityki i przywództwa, Elendzie Venture, nie jest tym samym co zrozumienie życia ludzi, którzy żyli zgodnie z tymi zasadami.

- I... możesz nauczyć mnie ich naśladować?

- Może - odparła. - Jeszcze nie zdecydowałam, czy jesteś przypadkiem beznadziejnym.

Ale jestem tu i zrobię co mogę. Kilka miesięcy temu otrzymałam list od Sazed, opisujący twoje kłopotliwe położenie. Nie prosił mnie, żebym przybyła tu i cię uczyła... ale też Sazed jest kolejnym człowiekiem, któremu przydałaby się odrobina stanowczości.

Elend spojrzał jej w oczy.

- Czy przyjmiesz moje nauki? - spytała.

Zastanawiał się przez chwilę. Jeśli jest choć w połowie tak użyteczna jak Sazed, to...

cóż, z pewnością przyda mi się pomoc.

- Tak - odpowiedział.

Tindwyl pokiwała głową.

- Sazed wspomniał również o twojej pokorze. Może być zaletą... o ile nie pozwolisz, by ci przeszkadzała. I wydaje mi się, że wróciła twoja Zrodzona z Mgły.

Elend odwrócił się w stronę bocznego okna. Okiennica odsunęła się, wpuszczając do środka pasma mgły i ukazując skuloną postać.

- Skąd wiedziałaś, że tu jestem?

Terrisanka uśmiechnęła się - pierwszy uśmiech, jaki Elend widział na jej twarzy.

- Sazed wspomniał mi również o tobie, dziecko. Myślę, że my też powinniśmy porozmawiać w cztery oczy.



Vin wślizgnęła się do środka, ciągnąc za sobą mgłę, i zamknęła okiennicę. Nie próbowała ukryć wrogości i nieufności, gdy stanęła między Elendem a Tindwyl.

- Dlaczego tu jesteś? - spytała ostro.

Tindwyl znów się uśmiechnęła.

- Twojemu królowi dojście do tego pytania zajęło kilka minut, a ty zadajesz je po paru chwilach. Jesteście interesującą parą.

Vin zmrużyła oczy.

- Ale muszę już odejść - powiedziała Tindwyl. - Jak sądzę, wkrótce znów porozmawiamy, Wasza Wysokość?

- Tak, oczywiście - odparł. - E, no... czy jest coś, co powinienem już zacząć ćwiczyć?

- Owszem - stwierdziła, podchodząc do drzwi. - Przestań mówić „e, no”.

- Jasne.

Ham zajrzał do środka w chwili, gdy Tindwyl otworzyła drzwi. Od razu zauważył

porzucone więzy. Nic jednak nie powiedział, pewnie zakładał, że Elend je przeciął.

- To chyba koniec na dzisiaj - powiedział Elend. - Ham, mógłbyś znaleźć dla pani Tindwyl jakąś kwaterę w pałacu? Jest przyjaciółką Sazedą.

Ham wzruszył ramionami.

- Dobrze.

Skinął głową Vin i wycofał się. Wychodząc, Tindwyl nie pożegnała się z nimi.

\*\*\*

Vin skrzywiła się i spojrzała na Elenda. Wydawał się... rozproszony.

- Nie lubię jej - powiedziała.

Elend uśmiechnął się, układając książki na stole.

- Ty nikogo nie lubisz przy pierwszym spotkaniu.

- Polubiłam ciebie.

- Co tylko dowodzi, że nie umiesz oceniać ludzi.

Vin się zawahała. Na jej twarzy pojawił się uśmiech. Podeszła i zaczęła przeglądać zebrane tomy. Nie były typowe dla Elenda - o wiele bardziej praktyczne od jego zwyczajowych lektur.

- Jak ci dziś poszło? - spytała. - Nie miałam czasu słuchać.

Elend westchnął. Odwrócił się, usiadł na stole i spojrzał na witrażowe okno z tyłu komnaty. Było ciemne, a jego barwy ledwie widoczne jako odbicia.

- Myślę, że całkiem dobrze.

- Mówiłam ci, że im się spodoba. Taki plan jest dla nich wyzwaniem.

- Pewnie tak.

Vin spochmurniała.

- Dobra. - Stała obok niego. - Co się dzieje? Czy chodzi o coś, co powiedziała ci ta kobieta? A w ogóle, czego chciała?

- Przekazać trochę wiedzy - odparł. - Znasz przecież Opiekunów, zawsze szukają kogoś, kto wysłucha ich lekcji.

- Pewnie tak - powiedziała powoli.

Nigdy nie widziała Elenda przygnębionego, ale widywała jego zniechęcenie. Miał tak wiele pomysłów, tak wiele planów i nadziei, że czasem się zastanawiała, jak w ogóle nad nimi panował. Powiedziałyby, że brakuje mu skupienia - Reen zawsze powtarzał, że skupienie utrzymuje złodzieja przy życiu. Jednakże marzenia Elenda były częścią jego osoby. Wątpiła, by mógł je odrzucić. I wcale tego nie chciała, stanowiły bowiem część tego, co w nim kochała.

- Zgodzili się na plan, Vin - powiedział, nadal patrząc w okno. - Wydawali się nawet podekscytowani. Jak mówiłaś. Tylko... nie mogę przestać myśleć, że ich sugestia była o wiele rozsądniejsza od mojej. Chcieli zawrzeć sojusz z jedną z armii, dać jej wsparcie w zamian za pozostawienie mnie jako namiestnika Luthadel.

- To oznaczałoby poddanie się.

- Czasem poddanie się jest lepsze od przegranej. Właśnie skazałem swoje miasto na długie oblężenie. To oznacza głód, może nawet śmierć głodową, nim wszystko się skończy.

Vin położyła mu dłoń na ramieniu, spoglądając na niego niepewnie. Zazwyczaj to on ją pocieszał.

- To i tak lepsze rozwiązanie - stwierdziła. - Inni pewnie zaproponowali tamten plan, bo nie sądzili, byś zgodził się na coś bardziej śmiałego.

- Nie - sprzeciwił się Elend. - Nie próbowali mi dogodzić, Vin. Naprawdę uważali, że zawarcie strategicznego sojuszu to dobry, bezpieczny plan. - Spojrzał na nią. - Od kiedy to ta grupa jest

rozsądną częścią mojego rządu?

- Musieli dorosnąć - powiedziała. - Nie mogą być tym, czym niegdyś byli, gdy spoczywa na nich tak wielka odpowiedzialność.

Elend znów odwrócił się do okna.

- Powiem ci, co mnie martwi, Vin. Martwię się, że ich plan nie był rozsądny... możliwe, że był nieco ryzykowny. Może samo zawarcie sojuszu okazałoby się trudnym zadaniem. Jeśli to prawda, to moja propozycja jest wprost niedorzeczna.

Vin ścisnęła jego ramię.

- Walczyliśmy przeciwko Ostatniemu Imperatorowi.

- Wtedy mieliście Kelsiera.

- Nie zaczynaj znowu.

- Przepraszam - powiedział. - Ale Vin. Może mój plan utrzymania władzy jest czystą arogancją? Co opowiadałaś mi o swoim dzieciństwie? Kiedy byłaś w złodziejskich szajkach, a wszyscy byli silniejsi i paskudniejsi od ciebie, co robiłaś? Sprzeciwiałaś się przywódcom?

W jej głowie pojawiły się wspomnienia. Wspomnienia ukrywania się, spuszczenia wzroku, słabości.

- To było kiedyś - powiedziała. - Nie możesz ciągle dawać się bić. Tego nauczył mnie Kelsier, kiedy walczyliśmy z Ostatnim Imperatorem. Dlatego właśnie zbuntowani skaa sprzeciwiali się Ostatniemu Imperium przez te wszystkie lata, nawet gdy nie mieli szansy na zwycięstwo. Reen nauczył mnie, że buntownicy to głupcy. Ale Reen nie żyje... podobnie jak Ostatnie Imperium. I...

Pochyliła się i spojrzała mu w oczy.

- Nie możesz poddać miasta, Elendzie - powiedziała cicho. - Nie sądzę, by spodobało mi się, jak byś się z tym czuł.

Elend uśmiechnął się do niej.

- Czasem bywasz bardzo mądra.

- Tak sądzisz?

Kiwnął głową.

- Cóż - odpowiedziała - to dowodzi, że nie umiesz oceniać ludzi lepiej ode mnie.

Roześmiał się, objął ją i przytulił.

- Zakładam, że dzisiejszy patrol przebiegał bez zakłóceń?

Duch mgły. Upadek. Chłód, który nadal czuła - choć słabo pamiętała - w ręce.

- Owszem - odparła. Kiedy ostatnio wspomniała mu o duchu mgły, natychmiast uznał, że miała złudzenia.

- Widzisz - stwierdził - trzeba było przyjść na spotkanie. Żałowałem, że cię tam nie ma.

Nic nie odpowiedziała.

Siedzieli tak przez kilka minut, wpatrując się w ciemne okno. Wyglądało dziwnie pięknie. Z braku światła kolory przestały być widoczne, dzięki czemu mogła się skoncentrować na wzorze szkła. Na kawałkach, odłamkach, paskach i płytkach szkła osadzonych w metalu.

- Elendzie - odezwała się w końcu. - Martwię się.

- Dziwiłbym się, gdyby było inaczej - odpowiedział. - Te armie martwią mnie tak bardzo, że z trudem myślę.

- Nie - sprzeciwiła się. - Nie tym. Martwię się innymi rzeczami.

- Na przykład?

- No... myślałam o tym, co Ostatni Imperator powiedział, zanim go zabiłam. Pamiętasz?

Elend pokiwał głową. Nie było go przy tym, ale słyszał jej opowieść.

- Mówił o tym, co zrobił dla ludzkości - powiedziała. - Uratował nas, wedle podań.

Przed Głębią.

Elend znów skinął głową.

- Ale - mówiła dalej Vin - czym jest Głębia? Pochodzisz ze szlachetnego rodu, religia nie była dla was zakazana. Co Zakon mówił o Głębi i Ostatnim Imperatorze?

Elend wzruszył ramionami.

- Niewiele. Religia nie była zakazana, ale nikt nas też szczególnie do niej nie zachęcał.

Zakon wydawał się zamknięty, jakby sugerował, że oni już się zajmą kwestiami religijnymi i my nie musimy się nimi przejmować.

- Ale nauczali was o niektórych kwestiach, prawda?

Pokiwał głową.

- Zazwyczaj wyjaśniali, dlaczego szlachetnie urodzeni są uprzywilejowani, a skaa przekłęci. Chyba chcieli, żebyśmy rozumieli, jak wielkie mamy szczęście... choć, szczerze mówiąc, zawsze uważałem te nauki za niepokojące. Widzisz, oni utrzymywali, że nasze rody są szlachetne, gdyż nasi przodkowie wspierali Ostatniego Imperatora przed Wstąpieniem. Ale to znaczy, że jesteśmy uprzywilejowani z powodu tego, co zrobili inni. To niesprawiedliwe, prawda?

Vin wzruszyła ramionami.

- Równie sprawiedliwe jak wszystko inne, tak myślę.

- Ale nie złościłaś się? - spytał. - Nie frustrowało cię, że szlachetnie urodzeni mają tak wiele, a wy tak mało?

- W ogóle o tym nie myślałam - odparła. - Szlachetnie urodzeni mieli wiele, więc mogliśmy ich okradać. A co mnie obchodziło, skąd to wzięli? Czasem, kiedy miałam jedzenie, inni złodzieje bili mnie i mi je zabierali. Jakie to miało znaczenie, skąd je wzięłam? I tak mi je zabierano.

Elend milczał przez chwilę.

- Wiesz, czasem się zastanawiam, co powiedzieliby uczeni zajmujący się polityką, gdyby cię poznali. Mam przeczucie, że załamałoby nad tobą ręce.

Dała mu kuksańca.

- Dostyc polityki. Opowiedz mi o Głębi.

- Cóż, wydaje mi się, że to była jakaś istota... mroczny i zły stwór, który prawie zniszczył świat. Ostatni Imperator udał się do Studni Wstąpienia, gdzie otrzymał moc pozwalającą mu pokonać Głębię i zjednoczyć ludzi. W mieście jest kilka rzeźb ukazujących tę chwilę.

Vin się skrzywiła.

- Tak, ale nigdy nie pokazują, jak wyglądała Głębia. Jest przedstawiana jako skłębiona masa u stóp Ostatniego Imperatora.

- Cóż, ostatnia istota, która widziała Głębię, zginęła przed rokiem, więc rzeźby muszą nam wystarczyć.

- O ile nie powróci - powiedziała cicho Vin.

Elend zmarszczył czoło i znów na nią spojrzał.

- O to chodzi, Vin? - Jego twarz złagodniała. - Armie nie wystarczą? Ty musisz się jeszcze przejmować losem świata?

Z zawstydzeniem spuściła wzrok, a Elend przyciągnął ją do siebie.

- Vin, wiem, że czasem jesteś paranoiczką. I szczerze mówiąc, w naszej sytuacji sam zaczynam się tak czuć, ale tym problemem nie powinnaś się zamartwiać. Nie dostałem żadnych raportów o monstualnych wcieleniach zła niszczących moje ziemie.

Pokiwała głową, a Elend odchylił się nieco do tyłu, najwyraźniej zakładając, że odpowiedział na jej pytanie.

Bohater Wieków udał się do Studni Wstąpienia, by pokonać Głębię, pomyślała. Ale proroctwa twierdziły, że Bohater nie powinien przyjąć mocy Studni. Miał się jej oddać, zaufać, że jej moc zniszczy Głębię.

Rashek tego nie zrobił - wziął moc dla siebie. Czy to nie znaczy, że Głębia nie została nigdy pokonana? To dlaczego świat nie został zniszczony?

- Czerwone słońce i brązowe rośliny - powiedziała Vin. - Czy Głębia to zrobiła?

- Nadal o tym myślisz? - Elend zmarszczył czoło. - Czerwone słońce i brązowe rośliny?

A jakie miałyby być?

- Kelsier mówił, że słońce było kiedyś żółte, a rośliny zielone.

- Dziwny obraz.

- Sazed się z nim zgadza - stwierdziła Vin. - Wszystkie legendy twierdzą, że we wczesnych latach rządów Ostatniego Imperatora słońce zmieniło kolor, a z nieba zaczął spadać popiół.

- Cóż - powiedział - Głębia mogła mieć z tym coś wspólnego. Szczerze mówiąc, nie wiem. - Rozmyślał przez chwilę. - Zielone rośliny? A czemu nie fioletowe albo niebieskie?

Dziwne...

Bohater Wieków udał się na północ, do Studni Wstąpienia, znów pomyślała Vin.

Odwróciła się, jej spojrzenie przyciągnęły odległe góry Terris. Czy wciąż tam była? Studnia Wstąpienia?

- Udało ci się wyciągnąć jakieś informacje z OreSeura? - spytał Elend. - Coś, co pomogłoby nam odnaleźć szpiega?

Wzruszyła ramionami.

- Powiedział mi, że kandra nie używają Allomancji.

- Czy możesz w ten sposób odnaleźć intruza? - spytał, unosząc głowę.

- Może - odparła. - Mogę sprawdzić przynajmniej Hama i Spooka. Zwykli ludzie będą trudniejsi...

choć kandry nie da się Uspokoić, co może pomóc mi w odnalezieniu szpiega.

- To brzmi obiecująco - powiedział.

Vin pokiwała głową, jej wewnętrzny złodziej, paranoiczna dziewczynka, z której Elend tak często żartował, pragnęła użyć Allomancji na nim - sprawdzić go, zobaczyć, czy zareaguje na jej Przyciąganie i Odpychanie. Powstrzymała się. Temu człowiekowi ufała. Innych sprawdzi, ale nie zwątpi w Elenda. Właściwie wolała raczej mu ufać i się mylić, niż walczyć z nieufnością.

W końcu rozumiem, pomyślała nagle. Kelsier. Rozumiem, jak to było między tobą i Mare. Nie popełnię tego samego błędu.

Elend spojrział na nią.

- Co? - spytała.

- Uśmiechasz się - powiedział. - Opowiesz mi ten dowcip?

Przytuliła go.

- Nie.

- No dobrze - odpowiedział z uśmiechem. - Możesz sprawdzić Hama i Spooka, ale nie sądzę, by intruz był jednym z ekipy... rozmawiałem dziś z nimi wszystkimi i zachowywali się normalnie. Musimy sprawdzić służbę.

Nie wie, jak dobrze potrafi się maskować kandra. Wrogi kandra z pewnością obserwował swój cel od miesięcy, zapamiętując każdą jego cechę charakterystyczną.

- Rozmawiałem z Hamem i Demoux - dodał Elend. - Jako członkowie straży pałacowej wiedzą o kościach... a Ham domyślił się, czym były. Mam nadzieję, że uda im się bez większego zamieszania sprawdzić służbę i zlokalizować intruza.

Zmysły Vin aż mrowiły na myśl o ufności Elenda. Nie, pomyślała. Niech on zakłada najlepsze wyjście. I tak ma powody do zmartwienia. Poza tym, być może kandra rzeczywiście nie udaje nikogo z ekipy. Elend może to sprawdzić.

A jeśli intruz jest członkiem ekipy... cóż, tu przyda się moja paranoja.

- Tak czy inaczej - powiedział, wstając. - Mam kilka rzeczy do sprawdzenia, nim zrobi się późno.

Vin pokiwała głową. Pocałował ją i wyszedł. Jeszcze przez dłuższą chwilę siedziała na stole, nie patrząc na wielką rozetę, lecz na mniejsze okno z boku, które pozostawiła uchylone.

Było niczym drzwi prowadzące w noc. Mgła kłębiła się w ciemnościach, ostrożnie wsuwając do środka pasma, które szybko parowały w ciepłe.

- Nie będę się ciebie bać - wyszeptała. - I odkryję twoją tajemnicę.

Zeszła ze stołu i wyślizgnęła się przez okno, na spotkanie z OreSeurem i kolejny patrol.

*Ustaliłem, że Alendi jest Bohaterem Wieków, i zamierzałem to udowodnić. Powinienem był ugiąć się przed wolą pozostałych. Nie powinienem był się upierać, by towarzyszyć Alendiemu w jego podróżach. Nieuniknione było to, że sam Alendi dowie się, za kogo go uważam.*



Ósmego dnia po opuszczeniu Domu Modlitwy Sazed obudził się i odkrył, że pozostał sam.

Wstał, zrzucając z siebie koc i cienką warstwę popiołu, który spadł w nocy. Miejsce Marsha pod drzewami było puste, choć kawałek czystej ziemi wskazywał, gdzie spał.

Sazed podążył za śladami Marsha w ostry blask czerwonego słońca. Poza drzewami warstwa popiołu była grubsza, a wiatr usypywał z niego zaspy. Terrisanin rozejrzał się, lecz nie widział nigdzie śladu Inkwizytora.

Powrócił do obozu. W tych okolicach - w sercu Wschodniego Dominium - drzewa rosły powykręcane i sękate, ale miały płaskie, nakładające się na siebie gałęzie, porośnięte gęstymi brązowymi igłami. Zapewniały przyzwoite schronienie, choć popiół docierał wszędzie.

Sazed przygotował na śniadanie prostą zupę. Marsh nie powrócił. Uprał swoje brązowe szaty w pobliskim strumieniu. Marsh nie powrócił. Zaszły rozdarcie w rękawie, natłuścił buty i ogolił głowę. Marsh nie powrócił. Sazed wyjął odcisk, który zrobił w Domu Modlitwy, przepisał kilka słów, po czym zmusił się do odłożenia arkusza - martwił się, że zatrze słowa, jeśli będzie go otwierał zbyt często albo pozwoli, by spadł na niego popiół. Lepiej zaczekać, aż znajdzie czysty pokój z porządnym biurkiem.

Marsh nie powrócił.

W końcu Sazed odszedł. Nie potrafił określić niecierpliwości, jaką odczuwał -

częściowo podekscytowanie tym, czego się dowiedział, częściowo pragnienie zobaczenia, jak Vin i młody król radzą sobie w Luthadel.

Marsh znał drogę. Dogoni go.

\*\*\*

Sazed uniósł rękę, osłaniając oczy przed czerwonymi promieniami słońca, i spojrział w dół z pagórka. Na horyzoncie widział ciemną plamę, na wschód od głównej drogi. Sięgnął do miedziomyśli poświęconej geografii, szukając opisów Wschodniego Dominium.

Wiedza wypełniła jego umysł. Ciemna plama to wioska zwana Urbene. Przeszukał

jeden z indeksów, szukając właściwego. Indeks stawał się niejasny, trudny do zapamiętania, co oznaczało, że zbyt często przeskakiwał z miedziomyśli do pamięci i z powrotem. Wiedza wewnątrz miedziomyśli pozostawała nietknięta, ale wszystko, co pozostawało w jego głowie -

choćby przez kilka chwil - po pewnym czasie się degenerowało. Później będzie musiał

ponownie zapamiętać indeks.

Znalazł to, czego szukał, i umieścił w głowie właściwe wspomnienie. Spis nazw geograficznych opisywał Urbene jako „malownicze”, co prawdopodobnie oznaczało, że jakiś ważny arystokrata miał tam swoją posiadłość. Mieszkający w wiosce skaa byli pasterzami.

Sazed zrobił notatkę, po czym zwrócił wspomnienia do miedziomyśli. Notatka pozwoliła mu przypomnieć sobie to, o czym właśnie zapomniał. Podobnie jak indeks, tak i spis nazw geograficznych z pewnością nieco się zdegenerował podczas pobytu w jego głowie. Na szczęście w Terris miał drugi komplet miedziomyśli, które wykorzysta, by przekazać swoją wiedzę innemu Opiekunowi. Te, które miał przy sobie, wykorzystywał na co dzień.

Nieużywana wiedza nikomu nie służyła.

Założył plecak na ramiona. Odwiedziny w wiosce dobrze mu zrobią, nawet jeśli spowolnią jego marsz. Żołądek zgodził się z jego decyzją. Wieśniacy pewnie nie mieli zbyt wiele jedzenia, ale może dadzą mu coś więcej niż bulion. Poza tym mogli mieć wieści z Luthadel.

Zszedł z pagórka i na rozstaju skręcił w mniej używaną drogę prowadzącą na wschód.

W Ostatnim Imperium ludzie niewiele podróżowali. Ostatni Imperator zabraniał skaa opuszczania ziemi, do której byli przywiązani, i tylko złodzieje i buntownicy ważyli się łamać ten zakaz. Mimo to większość szlachty utrzymywała się z handlu, więc taka wioska mogła być przyzwyczajona do gości.

Sazed natychmiast zauważył dziwne rzeczy. Wzdłuż drogi pasły się kozy, przez nikogo niepilnowane. Terrisanin zatrzymał się i wyciągnął z plecaka miedziomyśl. Przeszukał ją w marszu. Jedna z książek na temat hodowli utrzymywała, że pasterze czasem pozostawiali swoje stada na pastwiskach. Mimo to samotne zwierzęta go niepokoiły. Przyspieszył kroku.

Na południe stąd skaa umierają z głodu, pomyślał. A tutaj zwierząt gospodarskich jest tyle, że nie ma kto ich strzec przed zbójcami i drapieżnikami?

W oddali ujrzał wioskę. Sazed niemal przekonał sam siebie, że brak jakiegokolwiek aktywności - żadnego ruchu na ulicy, drzwi i okiennice kołyszące się na wietrze - wiąże się z jego przybyciem. Może ludzie bali się tak bardzo, że się ukryli? Albo po prostu opuścili wioskę i pilnowali stad.

Sazed zatrzymał się. Wiatr zmienił kierunek, przynosząc z wioski charakterystyczną woń. Skaa się nie ukrywali i nie uciekli. To był smród rozkładających się ciał.

Terrisanin szybko wyciągnął niewielki pierścień - cynomyśl zapachu. Zapach niesiony przez wiatr nie kojarzył się z rzezią. Był bardziej zatęchły i brudny. Smród nie tylko śmierci, ale też zepsucia, niemytych ciał i odpadków. Odwrócił działanie cynomyśli, napełniając ją, zamiast z niej korzystać, i jego węch stał się o wiele mniej wyczulony, dzięki czemu nie zwymiotował.

Ostrożnie wkroczył do wioski. Jak wszystkie osady skaa, tak i Urbene miała prosty układ. Dziesięć sporych chałup wybudowanych w luźnym kręgu dookoła studni. Drewniane budynki miały dachy kryte gałęziami iglastych drzew, które widział po drodze. Chaty nadzorców i dwór arystokraty stały

dalej, w głębi doliny.

Gdyby nie smród - i wrażenie dręczącej pustki - Sazed mógłby się zgodzić z opisem Urbene. Chałupy wyglądały na nieźle utrzymane, a sama wioska leżała w cichym zagłębieniu pośród wzgórz.

Dopiero gdy się zbliżył, ujrzał kilka pierwszych ciał. Leżały wokół wejścia najbliższej chałupy. Sazed podszedł ostrożnie, lecz szybko spostrzegł, że trupy mają co najmniej kilka dni.

Ukląkł przy pierwszym, należącym do kobiety, ale nie zauważył żadnych widocznych przyczyn śmierci. Pozostali wyglądali tak samo.

Sazed zmusił się do otwarcia drzwi chaty. Smród w środku był tak intensywny, że wyczuwał go mimo cynomyśli.

Chałupa była tradycyjnie jednoizbowa i wypełniały ją trupy. Większość leżała owinięta cienkimi kocami, niektóre siedziały oparte o ściany, a ich gnijące głowy zwieszały się bezwładnie na piersiach. Ciała były wychudzone, niemal szkieletowe, z wystającymi kośćmi i żebrami. Z wysuszonych twarzy spoglądały udręczone oczy.

Ci ludzie zmarli z głodu i odwodnienia.

Sazed wytoczył się z opuszczoną głową z chałupy. Nie spodziewał się niczego innego w pozostałych budynkach, ale i tak musiał sprawdzić. Wszędzie widział to samo. Pozornie nieuszkodzone trupy na zewnątrz, o wiele więcej ciał w środku. Muchy unosiły się całymi chmurami, zakrywając twarze. W niektórych budynkach znalazł na środku ogryzione ludzkie kości.

Wydostał się z ostatniego budynku, oddychając ciężko przez usta. Dziesiątki ludzi, w sumie ponad setka, martwi bez powodu. Co mogło ich zmusić, żeby siedzieli ukryci w swoich domach, gdy kończyło im się jedzenie i woda? Jak mogli umrzeć z głodu, skoro ich stada swobodnie wędrowały po okolicy? I co zabiło tych, którzy leżeli na zewnątrz w popiele? Nie wyglądali na tak wyniszczonych, jak ci w środku, choć rozkład nie pozwalał mu na stwierdzenie tego z całkowitą pewnością.

Musiałem się pomylić, to nie była śmierć z głodu, powiedział sobie Sazed. To musiała być jakaś zaraza, choroba. Takie wyjaśnienie jest o wiele bardziej logiczne. Przeszukał

medyczną miedziomyśl. Z pewnością jakieś choroby atakowały szybko, osłabiając swoje ofiary. A pozostali przy życiu musieli uciec. Pozostawiając swoich bliskich. Nie zabierając stad z pastwisk...

Sazed zmarszczył czoło. I wtedy wydało mu się, że coś usłyszał.

Obrócił się i skorzystał ze słuchowej cynomyśli. Rzeczywiście, słyszał dźwięk - odgłos oddechu, ruchu, dochodzący z jednej z chat, którą odwiedził. Wpadł do środka, gwałtownie otwierając drzwi, i znów przyjrzał się trupom. Leżały tam, gdzie wcześniej. Sazed przyjrzał im się bardzo uważnie, aż odnalazł tego, którego pierś się wznosiła.

Na zapomnianych bogów... pomyślał Sazed. Mężczyzna nie musiał się bardzo starać, żeby udawać

martwego. Jego włosy wypadły, a oczy zapadły się do środka. Choć nie wyglądał

na szczególnie zagłodzonego, Sazed musiał go przeoczyć ze względu na jego brudną skórę przypominającą trupa.

Podszedł do niego.

- Jestem przyjacielem - powiedział cicho. Mężczyzna pozostał bez ruchu. Sazed podszedł bliżej i położył mu dłoń na ramieniu.

Oczy mężczyzny otworzyły się gwałtownie. Krzyknął i poderwał się na równe nogi.

Oszołomiony, wdrapywał się po ciałach, kryjąc się na końcu chałupy. Skulił się i wpatrywał w Sazedą.

- Proszę - powiedział Terrisanin. - Nie bój się. - Jedynym jedzeniem, jakie miał, poza dodatkami do bulionu, było kilka garści mąki. Wyciągnął je. - Mam jedzenie.

Mężczyzna potrząsnął głową.

- Nie ma jedzenia - wyszeptał. - Zjedliśmy wszystko. Poza... jedzeniem. - Zwrócił wzrok w stronę środka chaty. W stronę kości, które Sazed zauważył wcześniej. Nieugotowane, ogryzione, ułożone na stercie i schowane pod kawałkiem szmaty, jakby ktoś chciał je ukryć.

- Nie jadłem jedzenia - szepnął mężczyzna.

- Wiem - powiedział Sazed i zrobił krok do przodu. - Ale jest inne jedzenie. Na zewnątrz.

- Nie mogę wyjść.

- Dlaczego?

Mężczyzna zawahał się i spuścił wzrok.

- Mgła.

Sazed spojrzał w stronę drzwi. Słońce chyliło się ku zachodowi, ale do zmroku pozostała jeszcze godzina. Nie było mgły. W każdym razie w tej chwili.

Przeszedł go dreszcz. Powoli odwrócił się do mężczyzny.

- Mgła... w ciągu dnia?

Ten pokiwał głową.

- I została? - upewnił się Sazed. - Nie rozplynęła się po kilku godzinach?

Mężczyzna potrząsnął głową.

- Dni. Tygodnie. Ciągłe mgła.

Na Ostatniego Imperatora! - pomyślał Sazed i natychmiast się zreflektował. Od dawna nie przeklinał imieniem tej istoty, nawet w myślach.

Lecz jeśli mgły nadeszły w ciągu dnia, a później zostały - jeśli miał wierzyć temu człowiekowi - przez całe tygodnie... Sazed mógł sobie wyobrazić przerażonych skaa skulonych w swoich chałupach. Tysiące lat grozy, tradycji i przesądów powstrzymywały ich przed wyjściem na zewnątrz.

Ale pozostanie w środku aż do śmierci głodowej? Nawet strach przed mgłą, choć głęboko zakorzeniony, nie zmusiłby ich do zagłodzenia się na śmierć, prawda?

- Dlaczego nie odeszliście? - spytał cicho Sazed.

- Niektórzy to zrobili - powiedział mężczyzna, kiwając głową. - Jell. Wiesz, co się z nim stało.

Sazed zmarszczył czoło.

- Martwy?

- Zabranym przez mgłę. Och, jak się trząsał. Uparty był, wiesz. Stary Jell. Jak się trząsał. Jak się związał, kiedy go zabrała.

Sazed przymknął oczy. Trupy, które widziałem przed drzwiami.

- Niektórzy uciekli - dodał mężczyzna.

Terrisanin gwałtownie otworzył oczy.

- Co?

Szalony wieśniak znów pokiwał głową.

- Niektórzy się wydostali, wiesz. Wołali do nas, kiedy już wyszli z wioski. Mówili, że wszystko w porządku. Ich nie zabrała. Nie wiem dlaczego. Ale innych zabiła. Niektórych rzuciła na ziemię, ale później wstali. Niektórych zabiła.

- Mgła pozwoliła niektórym przeżyć, ale innych zabiła?

Mężczyzna nie odpowiedział. Znów usiadł, a teraz opierał się o ścianę i gapił

bezmyślnie w sufit.

- Proszę - powiedział Sazed. - Musisz mi odpowiedzieć. Kogo zabiła, a komu pozwoliła przejść? Jaki jest związek?

Mężczyzna odwrócił się do niego.

- Czas na jedzenie - powiedział i wstał. Podeszedł do trupa i chwycił go za ramię, rozrywając zgniłe mięso. Nic dziwnego, że nie umarł z głodu jak pozostali.

Sazed stłumił mdłości, przeszedł przez izbę i chwycił mężczyznę za ramię, gdy ten uniósł kość do ust. Wieśniak zamarł i spojrzał na Sazedą.

- To nie moje! - zaskomlał, upuścił kość i znów uciekł pod ścianę.

Sazed wyprostował się. Muszę się pospieszyć. Muszę dostać się do Luthadel. W tym świecie jest zło gorsze niż bandyci i armie.

Oszalały mężczyzna przyglądał się ze zwierzęcym przerażeniem, jak Sazed podnosi plecak, po czym waha się i znów go odkłada. Wyciągnął swoją największą cynołowiomysł.

Zapiął szeroką bransoletę na ramieniu, odwrócił się i podeszedł do wieśniaka.

- Nie! - wrzasnął mężczyzna, próbując uciec w bok.

Sazed sięgnął do cynołowiomysli i poczuł przyływ siły. Jego mięśnie powiększyły się, szata stała się ciasna. Chwycił wieśniaka, gdy ten go mijał, po czym uniósł go na wyciągnięcie ręki, by mężczyzna nie mógł zrobić krzywdy ani sobie, ani jemu.

Po czym wyniósł go na zewnątrz.

Wieśniak przestał się szarpać w chwili, gdy wyszli na słoneczny blask. Podniósł wzrok, jakby po raz pierwszy zobaczył słońce. Sazed postawił go i odciął się od cynołowiomysli.

Mężczyzna ukląkł, spoglądając na słońce, po czym odwrócił się do Sazedą.

- Ostatni Imperator... czemu nas opuścił? Czemu odszedł?

- Ostatni Imperator był tyranem.

Mężczyzna potrząsnął głową.

- Kochał nas. Władał nami. A teraz, kiedy go nie ma, mgły nas zabijają. Nienawidzą nas.

Nagle wieśniak poderwał się na równe nogi i ruszył ścieżką prowadzącą za wioskę.

Sazed zrobił krok do przodu, ale się zatrzymał. Co mógł zrobić? Ciągnąć mężczyznę ze sobą do samego Luthadel? W studni była woda, a wokół wioski kozy. Mógł tylko mieć nadzieję, że nieszczęśnik jakoś sobie poradzi.

Sazed z westchnieniem wrócił do chaty i zabrał plecak. W drodze do wyjścia zatrzymał

się i wyciągnął jedną ze stalomyśli. Stał magazynowała jedną z najtrudniejszych do przechowania cech - prędkość. Poświęcił wiele miesięcy, napełniając tę właśnie stalomyśl, przygotowując się na

możliwość, że kiedyś będzie musiał gdzieś bardzo szybko pobiec.

Teraz ją założył.

*Tak, później to on podsyczał pogłoski. Sam nigdy nie dokonałbym tego, co on zrobił, przekonując świat, że rzeczywiście jest Bohaterem. Nie wiem, czy on w to wierzył, ale sprawił, że inni uwierzyli w niego.*

Vin rzadko korzystała ze swoich komnat. Elend przeznaczył dla niej rozległy apartament - i być może właśnie na tym polegał problem. W dzieciństwie sypiała w zakamarkach, kryjówkach, uliczkach. Posiadanie trzech komnat było nieco zniechęcające.

Właściwie nie miało to znaczenia. Jeśli nie spała, przebywała z Elendem albo pośród mgieł. Komnaty służyły do tego, by w nich spać. Albo, tak jak dziś, by robić w nich bałagan.

Siedziała na podłodze pośrodku największej komnaty. Lokaj Elenda, zmartwiony brakiem mebli, swego czasu postanowił udekorować apartament Vin. Tego ranka kobieta odepchnęła część wyposażenia na bok, gromadząc dywany i krzesła w jednym kącie, by móc usiąść z książką na zimnej posadzce.

To była pierwsza prawdziwa książka, jaka znalazła się w jej posiadaniu - choć tak naprawdę były to po prostu plik kartek luźno zszyty z jednej strony. Odpowiadało jej to - prosta oprawa sprawiała, że książka dała się łatwo rozdzielić.

Siedziała pośród stert papieru. Zdziwiałe, jak wiele kartek składało się na tom, gdy już je rozdzieliła. Vin usiadła obok jednego ze stosów, przeglądając ich zawartość. Potrząsnęła głową, podpełzła do drugiej sterty. Przejrzała karty i w końcu wyciągnęła jedną.

*Czasami się zastanawiam, czy nie tracę zmysłów.*

*Może jest to spowodowane przytłaczającą wiedzą, że muszę udźwignąć ciężar całego świata. Może przyczyną jest śmierć, którą oglądałem, przyjaciele, których straciłem.*

*Przyjaciele, których byłem zmuszony zabić.*

*Tak czy owak, czasem widzę ścigające mnie cienie. Mroczne istoty, których nie rozumiem i rozumieć nie chcę. Może to jakiś twór mego przeciążonego umysłu?*

Vin siedziała przez chwilę, ponownie odczytując akapity. Później odłożyła kartkę na inny stos. OreSeur leżał po drugiej stronie komnaty, z łbem wspartym na łapach, i spoglądał na nią.

- Panienko - powiedział, gdy odłożyła kartkę. - Obserwowałem cię przy pracy przez ostatnie dwie godziny i przyznam, że jestem zdezorientowany. O co w tym wszystkim chodzi?

Podpełzła do kolejnej sterty.

- Myślałam, że nie obchodzi cię, jak spędzam czas.

- Bo i tak też jest - odparł. - Ale bywa, że się nudzę.

- I irytujesz.



- Lubię rozumieć, co się wokół mnie dzieje.

Vin wzruszyła ramionami, wskazując na stosy papieru.

- To dziennik Ostatniego Imperatora. To znaczy, nie dziennik Ostatniego Imperatora, którego znamy, ale dziennik człowieka, który powinien był zostać Ostatnim Imperatorem.

- Powinien był? - spytał OreSeur. - To znaczy powinien był podbić świat, ale tego nie zrobił?

- Nie - odparła. - To znaczy, że to on powinien był przyjąć moc Studni Wstąpienia.

Człowiek, który napisał tę książkę... jego imienia nie znamy... był jakimś tam przepowiedzianym bohaterem. Albo też wszyscy tak o nim myśleli. W każdym razie mężczyzna, który został Ostatnim Imperatorem, Rashek, był tragarzem tego bohatera. Nie pamiętasz, jak o tym rozmawialiśmy, kiedy udawałeś Renoux?

OreSeur skinął głową.

- Rzeczywiście, coś o tym wspomniałaś.

- W każdym razie to jest książka, którą znalazłam, kiedy infiltrowaliśmy z Kelsierem pałac Ostatniego Imperatora. Myśleliśmy, że napisał ją sam Ostatni Imperator, ale okazało się, że to dzieło człowieka, którego zabił i którego miejsce zajął.

- Rozumiem, panienko - powiedział OreSeur. - Ale dlaczego właściwie rozrywasz ją na kawałki?

- Wcale nie. Po prostu zdjęłam okładkę, żeby móc rozłożyć kartki. To pomaga mi w myśleniu.

- Rozumiem - stwierdził kandra. - A czego właściwie szukasz? Ostatni Imperator nie żyje, panienko. Wydaje mi się, że to ty go zabiłaś.

Czego właściwie szukam? - pomyślała Vin, podnosząc kolejną kartkę. Duchów we mgle.

Powoli odczytała słowa zapisane na kartce.

*To nie cień.*

*To czarne coś, co mnie prześladowe, co tylko ja widzę. To nie jest zwykły cień. Jest czarne i przejrzyste, ale nie ma wyraźnego konturu. Jest bezcielesne - ulotne i pozbawione kształtu.*

*Jakby stworzone z ciemnego dymu.*

*Albo z mgły.*

Vin opuściła kartę. Jego też obserwowała, pomyślała. Przypomniała sobie, jak poprzedniego roku czytała te słowa i sądziła, że Bohater zaczął popadać w szaleństwo. Biorąc pod uwagę wszystkie ciężary, jakie spoczywały na jego ramionach, nikogo nie mogło to dziwić.

Teraz wydawało jej się jednak, że lepiej rozumie bezimiennego autora dziennika.

Wiedziała, że nie był Ostatnim Imperatorem i widziała, kim mógł się stać. Niepewny swojego miejsca na świecie, ale zmuszony do brania udziału w ważnych wydarzeniach. Zdecydowany dać z siebie wszystko. W pewnym sensie idealista.

A duch mgły go gonił. Co to znaczyło? Co to oznaczało dla niej?

Podpełzła do kolejnej sterty kartek. Spędziła poranek na przeglądaniu dziennika w poszukiwaniu wskazówek dotyczących mgielnej istoty. Miała jednak problemy ze znalezieniem czegokolwiek poza tymi dwoma znajomymi fragmentami.

Na jednym stosie umieściła kartki, na których wspomniano o dziwnych, nadnaturalnych zjawiskach. Na drugim, niewielkim, odnośniki do ducha mgły. Osobną stertę stanowiły wszelkie informacje o Głębi. Była, o ironio, jednocześnie największa i najmniej przydatna.

Autor dziennika miał w zwyczaju wspominać o Głębi, ale niewiele o niej mówić.

Głębia była niebezpieczna, to jedno wydawało się oczywiste. Niszczyła krainę, zabijając tysiące ludzi. Potwór siał chaos, gdziekolwiek się pojawił, przynosił śmierć i zniszczenie, ale ludzkie armie nie mogły go pokonać. Jedynie terrisańskie przepowiednie i Bohater Wieków dawały jakąkolwiek nadzieję.

Gdyby tylko był bardziej szczegółowy, pomyślała sfrustrowana Vin, przeglądając papiery. Jednakże charakter dziennika był bardziej melancholijny niż informacyjny. Bohater pisał go dla siebie, by zachować zdrowe zmysły, przelać na papier swoje obawy i nadzieje.

Elend mówił, że sam czasem pisze z podobnych powodów. Vin wydawało się to dziwnym sposobem na radzenie sobie z problemami.

Z westchnieniem odwróciła się do kolejnej sterty - tej, którą musiała jeszcze sprawdzić.

Położyła się na kamiennej podłodze i zaczęła czytać, szukając użytecznych informacji.

Zajmowało to sporo czasu. Nie tylko nie czytała zbyt szybko, ale też jej myśli uciekały.

Już raz czytała dziennik - i, co dziwne, fragmenty i zdania przypominały jej, gdzie wtedy była.

Przed dwoma laty, na drugim końcu świata, w Fellise, gdzie odzyskiwała siły po tym, jak prawie zginęła z rąk Stalowego Inkwizytora. Spędzała całe dnie, udając Valette Renoux, młodą, niedoświadczoną arystokratkę z prowincji.

Wtedy nie wierzyła jeszcze w plan Kelsiera, zakładający obalenie Ostatniego Imperium.

Została z ekipą, gdyż ceniła to, co jej dawała - przyjaźń, zaufanie i naukę Allomancji - a nie dlatego, że Vin akceptowała jej cele. Nigdy by się nie domyśliła, gdzie to ją doprowadzi. Na bale i przyjęcia, aż stała się - przynajmniej w niewielkiej części - szlachcianką, którą udawała.

Tyle że to była farsa, kilka miesięcy udawania. Zmusiła się, by zapomnieć o ozdobnych strojach i tańcach. Musiała się skupić na bardziej praktycznych kwestiach.

A... to jest praktyczne, pomyślała leniwie, układając kartę na jednym ze stosów.

Zastanawianie się nad sprawami, których nie pojmuję, bojąc się zagrożenia, którego nikt inny nie zauważa?

Westchnęła, wsparła brodę na splecionych dłoniach. Czy naprawdę się tym martwiła?

Że Głębia powróci? Miała jedynie kilka upiornych wizji we mgle - które bez trudu mogły okazać się złudzeniami jej przepracowanego umysłu, jak sugerował Elend. Ważniejsza była inna kwestia. Jeśli Głębia istniała, co miała z nią zrobić? Nie była bohaterem, generałem ani przywódcą.

Och, Kelsierze, pomyślała, sięgając po kolejne karty. Kelsier łamał konwenanse...

jakimś cudem sprzeciwiał się rzeczywistości. Myślał, że oddając życie, by pokonać Ostatniego Imperatora, zapewni wolność skaa. A co, jeśli jego ofiara otworzyła drogę dla większego niebezpieczeństwa, czegoś tak niszczycielskiego, że ucisk Ostatniego Imperatora wydawał się lepszym rozwiązaniem?

W końcu doczytała kartkę i umieściła ją na stercie tych, które nie zawierały żadnych użytecznych informacji. Zawahała się. Nawet nie pamiętała, co właśnie przeczytała.

Westchnęła, znów podniosła arkusz i ponownie na niego spojrzała. Jak Elend to robił? Raz za razem czytał te same księgi. Vin miała z tym problemy...

Zamarła, gdy przeczytała:

*Muszę założyć, że nie jestem szalony. Nie mogę, nie z przekonaniem, kontynuować mojej misji, jeśli w to nie uwierzę. Dlatego też istota podążająca za mną musi być prawdziwa.*

Usiadła. Jedynie niewyraźnie przypominała sobie ten fragment zapisów. Książka miała formę dziennika, z wpisami w kolejności chronologicznej, lecz pozbawionymi dat. Panował w niej chaos, a autor miał tendencję do rozwodzenia się nad własną niepewnością. Ten fragment był wyjątkowo suchy.

Ale w środku znajdowała się użyteczna informacja.

„Sądzę, że chciałyby mnie zabić, gdyby mogła”, mówił tekst.

*Ta istota z cienia i mgły wydaje się zła, a moja skóra drży na jej dotyk. Jednakże wydaje się, że ma ograniczone możliwości działania, szczególnie wobec mnie.*

*Może jednak wpływać na świat. Wskazuje na to nóż, który wbila w pierś Fedika. Wciąż nie jestem pewien, co było dla niego większym wstrząsem - sama rana czy świadomość, że zrobiła to ta istota.*

*Rashek szepce, że to ja dźgnąłem Fedika, gdyż tylko Fedik i ja moglibyśmy zaświadczyć o wydarzeniach tamtej nocy. Muszę jednak podjąć decyzję. Muszę stwierdzić, że nie jestem szalony. Alternatywą jest przyznanie, że to ja trzymałem ten nóż.*

*Jakimś sposobem opinia Rasheka na ten temat sprawia, że o wiele łatwiej uwierzyć mi, że jest inaczej.*

Następna strona dotyczyła Rasheka, a w kolejnych kilku wpisach nie pojawiły się żadne informacje na temat ducha z mgły. Vin uznała jednak pierwsze akapity za bardzo interesujące.

Podjął decyzję, pomyślała. Ja także muszę ją podjąć. Nigdy nie martwiła się, że traci zmysły, ale słowa Elenda wydawały się logiczne. Teraz je odrzuciła. Duch we mgle nie był

złudzeniem wywołanym przez mieszankę napięcia i wspomnień z dziennika. Był prawdziwy.

To nie oznaczało, że Głębia powracała, a Luthadel groziło nadnaturalne niebezpieczeństwo. Taka możliwość jednak istniała.

Odłożyła kartę razem z dwiema pozostałymi, które zawierały konkretne informacje na temat ducha, po czym wróciła do pracy, tym razem starając się skupić na lekturze.

\*\*\*

Armie się okopywały.

Elend przyglądał się ze szczytu muru, jak jego plan, choć mglisty, zaczyna się urzeczywistniać. Straff umacniał się na północy, opanowując kanał prowadzący do Urteau, jego rodzinnego miasta i stolicy. Cett okopywał się na zachodzie, nad kanałem Luth-Davn, sięgającym do fabryki konserw w Haverfrefx.

Fabryka konserw. Elend żałował, że nie ma czegoś takiego w mieście. Proces był

względnie nowy - znany od może pięćdziesięciu lat - ale o nim czytał. Uczni uważali, że jego głównym zastosowaniem będzie dostarczanie łatwych do transportu zapasów dla żołnierzy walczących na granicach imperium. Nie pomyśleli o zapasach na wypadek oblężenia -

szczególnie w Luthadel. Ale z drugiej strony, kto by wtedy o tym myślał?

Na oczach Elenda żołnierze obu stron zaczęli wyruszać na patrole. Niektóre strzegły granicy między dwiema armiami, ale inne zajęły się zabezpieczeniem pozostałych kanałów, mostów nad Channerel i dróg prowadzących do Luthadel. W krótkim czasie miasto zostało całkiem otoczone. Odcięte od świata i reszty niewielkiego królestwa Elenda. Już nikt go nie opuści. Armie liczyły, że choroby, głód i inne czynniki rzucają Elenda na kolana.

Zacząło się oblężenie Luthadel.

To dobrze, powiedział sobie w duchu. Jeśli ten plan ma zadziałać, muszą myśleć, że jestem

zdesperowany. Muszą być tak przekonani, że będę gotów zawrzeć z nimi sojusz, by nawet nie pomyśleli, że mogę współpracować również z ich wrogami.

Stojący samotnie Elend zobaczył, jak ktoś wspina się na mur. Clubs. Generał przykuśtykał do niego.

- Gratulacje - powiedział. - Wygląda na to, że teraz masz na głowie pełnowymiarowe oblężenie.

- To dobrze.

- Pewnie daje nam trochę oddechu - przyznał generał. Później obrzucił króla jednym z tych swoich krzywych spojrzeń. - Lepiej, żebyś sobie z tym poradził, dzieciaku.

- Wiem - wyszeptał Elend.

- Uczyniłeś z siebie kluczowy element - dodał Clubs. - Zgromadzenie nie będzie mogło przerwać oblężenia do chwili, gdy przeprowadzisz oficjalne rozmowy ze Straffem, a królowie raczej nie zechcą się spotkać z żadnym innym członkiem ekipy oprócz ciebie. Wszystko wiąże się z tobą. Taka chyba jest rola króla. O ile jest dobry.

Clubs umilkł. Elend wpatrywał się w obie armie. Wciąż martwiły go słowa wypowiedziane przez Tindwyl. „Jesteś głupcem, Elendzie...”.

Na razie żaden z władców nie odpowiedział na wysłane przez Elenda propozycje spotkania - choć ekipa była pewna, że wkrótce to zrobią. Zaczekają, będą chcieli, żeby trochę się spocili. Zgromadzenie właśnie zwołało kolejne obrady, prawdopodobnie chcieli go zmusić do zwolnienia ich z konieczności przestrzegania poprzedniej uchwały. Elend znalazł

odpowiednią wymówkę, by się nie pojawić.

Spojrzał na generała.

- A czy ja jestem dobrym królem, Clubs? Twoim zdaniem.

Generał spojrzał na niego, Elend widział w jego oczach surową mądrość.

- Znałem wielu gorszych przywódców - powiedział. - Ale znałem też mnóstwo o wiele lepszych.

Elend pokiwał głową.

- Chcę być w tym dobry, Clubs. Nikt inny nie zatroszczy się o skaa tak, jak na to zasługują. Cett, Straff. Znów ich zniewolą. Ja... nie chcę być jednak tylko swoimi ideami.

Chcę... muszę być... wzorcem dla ludzi.

Clubs wzruszył ramionami.

- Moje doświadczenie wskazuje, że człowieka tworzą okoliczności. Kelsier był

samolubnym elegancikiem, zanim złamały go Czeluście Hathsin. - Spojrzał na młodego króla. -

Czy to obłączenie będzie twoimi Czeluściami, Elendzie Venture?

- Nie wiem - odpowiedział uczciwie.

- Zatem chyba musimy poczekać. Na razie ktoś chce z tobą porozmawiać. - Odwrócił się i wskazał w dół, na oddaloną o czterdzieści stóp ulicę, gdzie stała kobieta w kolorowych terrisańskich szatach.

- Kazała mi ściągnąć cię na dół - powiedział Clubs. Zawahał się i spojrzał na Elenda. -

Nieczęsto spotykam kogoś, kto uważa, że może mi rozkazywać. I to jeszcze Terrisanka.

Wydawało mi się, że wszyscy Terrisanie są potulni.

Elend się uśmiechnął.

- Sazed nas chyba rozpieścił.

- To tyle, jeśli chodzi o tysiąc lat programu hodowlanego, co? - prychnął Clubs.

Elend pokiwał głową.

- Jesteś pewien, że nic ci nie grozi? - spytał Clubs.

- Tak - odparł młody król. - Jej opowieść zgadza się z faktami jakie znamy. Vin ściągnęła kilku Terrisan z miasta i wszyscy rozpoznali Tindwyl. Zdaje się, że w swojej ojczyźnie jest ważną osobą.

Do tego, na jego oczach skorzystała z Feruchemii, zwiększając siłę, by uwolnić rękę. A to znaczyło, że nie jest kandrą. Wszystko razem oznaczało, że jest godna zaufania - nawet Vin to przyznawała, choć nadal nie lubiła Terrisanki.

Clubs skinął mu głową, a Elend odetchnął głęboko. Zszedł po schodach, by spotkać się z Tindwyl na kolejną lekcję.

\*\*\*

- Dziś zajmiemy się twoim ubraniem - powiedziała Tindwyl, zamykając drzwi gabinetu Elenda. W środku czekała pulchna, siwowłosa szwaczka, którą otaczały młode pomocnice.

Elend spojrzał na swoje ubranie. Wcale nie było takie złe. Surdut i kamizelka pasowały całkiem nieźle. Spodnie nie były tak sztywne jak te noszone przez szlachetnie urodzonych, ale w końcu był teraz królem - czy nie powinien narzucać mód?

- Nie wiem, co w nim takiego złego - powiedział. Uniósł rękę, gdy Tindwyl zaczęła mówić. - Wiem,

że nie jest tak oficjalne jak to, co noszą inni mężczyźni, ale mnie pasuje.

- Jest skandaliczne - powiedziała Terrisanka.

- Nie widzę...

- Nie kłóć się ze mną.

- Ale przecież ostatnio mówiłaś, że...

- Królowie się nie kłócą, Elendzie Venture - stwierdziła stanowczo Tindwyl. - Królowie rozkazują. A zdolność rozkazywania wynika częściowo ze sposobu bycia. Niechlujne ubranie skłania do innych niechlujnych przyzwyczajzeń... takich jak twoja postawa, o której już chyba wspominałam.

Elend westchnął i przewrócił oczami, gdy Tindwyl pstryknęła palcami. Szwaczka i jej pomocnice zaczęły rozpakowywać wielkie kufry.

- To nie jest konieczne - stwierdził Elend. - Mam kilka surdutów, które lepiej na mnie leżą i wkładam je na oficjalne okazje.

- Już ich nie będziesz nosił - odpowiedziała.

- Przepraszam?

Tindwyl spojrzała na niego rozkazująco, a Elend westchnął.

- Wyjaśnij mi to! - powiedział, starając się, by jego głos zabrzmiał rozkazująco.

Pokiwała głową.

- Zachowałeś stroje preferowane przez szlachtę i usankcjonowane przez Ostatniego Imperatora. W pewnym sensie był to dobry pomysł... sugerował związek z poprzednimi rządami i sprawiał, że nie wydawałeś się tak dziwny. Teraz jednak twoja sytuacja się zmieniła.

Twój lud jest w niebezpieczeństwie i czas dyplomacji minął. Trwa wojna. Twój ubiór powinien to odzwierciedlać.

Szwaczka wybrała jeden strój i przyniosła go Elendowi, podczas gdy jej pomocnice rozstawiły parawan.

Młody król z wahaniem przyjął ubranie - białą marynarkę zapinaną na długi rząd guzików i ze sztywnym kołnierzem. Właściwie wyglądało jak...

- Mundur - stwierdził, krzywiąc się.

- W rzeczy samej - zgodziła się Tindwyl. - Chcesz, żeby ludzie wierzyli, że ich ochronisz? Cóż, król nie jest jedynie prawodawcą, ale też generałem. Czas, abyś zaczął się zachowywać, jakbyś

rzeczywiście zasługiwał na swój tytuł, Elendzie Venture.

- Nie jestem wojownikiem - sprzeciwił się. - Ten mundur to oszustwo.

- To pierwsze wkrótce zmienimy - odparła. - A drugie nie jest prawdą. Dowodzisz armiami Środkowego Dominium. To oznacza, że jesteś wojskowym, nawet jeśli nie umiesz machać mieczem. A teraz się przebierz.

Elend spełnił polecenie, wruszając ramionami. Wszedł za parawan, odsunął stertę książek i zaczął się przebierać. Białe spodnie były dobrze dopasowane i proste. Koszulę całkowicie zakrywała duża, sztywna kurtka z pagonami. Ozdabiały ją guziki - wszystkie były drewniane - i dziwny wzór na prawej piersi, przypominający tarczę. Na nim wyszyto coś w rodzaju strzały czy też włóczni.

Biorąc pod uwagę krój i wzór, Elend zdziwił się, jak dobrze pasował na niego mundur.

- Dobrze leży - zauważył, zakładając pas i opuszczając kurtkę, która zakrywała biodra.

- Wzięliśmy rozmiar od twojego krawca - wyjaśniła Tindwyl.

Elend wyszedł zza parawanu, a wtedy podeszło kilka pomocnic. Jedna grzecznie wskazała na parę błyszczących czarnych butów, a druga nałożyła mu na ramiona białą pelerynę. Ostatnia podała mu wypolerowaną drewnianą laskę pojedynkową i pochwę. Elend przypiął ją do pasa i przełożył przez rozcięcie w kurtce, by wystawała na zewnątrz - robił to już wcześniej.

- Dobrze - stwierdziła Terrisanka, oglądając go z góry do dołu. - Kiedy nauczysz się stać prosto, będzie to spory postęp. A teraz usiądź.

Elend otworzył usta, by się sprzeciwić, lecz zmienił zdanie. Usiadł, a wtedy jedna z pomocnic zaczęła otaczać jego ramiona prześcieradłem. Później wyjęła nożyce.

- Zaczekajcie - stwierdził Elend. - Widzę, do czego to prowadzi.

- To się sprzeciw - zaproponowała Tindwyl. - Nie bądź ogólnikowy.

- Dobrze - odparł. - Lubię moje włosy.

- O krótkie włosy łatwiej dbać niż o długie - wyjaśniła Terrisanka. - A ty już dawno pokazałeś, że nie można ci ufać w kwestii codziennej higieny.

- Nie obetniecie mi włosów - powiedział stanowczo.

Tindwyl zawahała się, po czym pokiwała głową. Uczennica cofnęła się, a Elend wstał i zdjął prześcieradło. Szwaczka wyjęła duże lustro. Podeszedł, by się przejrzeć.

I zamarł.

Różnica była znaczna. Przez całe życie postrzegał siebie jako uczonego i bywalca salonów, ale też



trochę głupca. Był Elendem - przyjaznym, sympatycznym człowiekiem z zabawnymi pomysłami. Łatwo go było zignorować, ale trudno nienawidzić.

Mężczyzna, na którego patrzył, nie był dworskim elegantem, lecz człowiekiem poważnym - oficjalnym. Takim, którego należało traktować poważnie. Mundur sprawiał, że Elend miał ochotę się wyprostować, oprzeć dłoń na lasce. Jego włosy - lekko kręcone, długie po bokach i z tyłu, zmierzwiłone przez wiatr na murach - nie pasowały do tego wizerunku.

Odwrócił się.

- Dobrze - powiedział. - Tnij.

Tindwyl uśmiechnęła się i wskazała mu krzesło. Usiadł, czekając w milczeniu, aż pomocnica go ostrzyże.

Kiedy znów wstał, jego fryzura pasowała do stroju. Włosy Eleneda nie były teraz tak krótkie, jak u Hama, lecz wyglądały porządnie i elegancko, jedna z pomocnic podeszła i podała mu krąg z posrebrzanego drewna. Ze zmarszczonym czołem odwrócił się w stronę Terrisanki.

- Korona? - spytał.

- Nic ostentacyjnego - odparła. - To czasy wymagające większej subtelności niż wcześniej. Korona nie jest symbolem twojego bogactwa, lecz władzy. Będiesz ją od dziś nosił, czy to prywatnie, czy publicznie.

- Ostatni Imperator nie nosił korony.

- Ostatni Imperator nie musiał przypominać ludziom, że to on rządzi - zauważyła Tindwyl.

Elend po chwili założył koronę. Była prosta, nie ozdobiły jej żadne klejnoty ani wzory.

Jak mógł się spodziewać, pasowała doskonale.

Odwrócił się do Tindwyl, która gestem nakazała szwaczce spakować się i wyjść.

- W twoich komnatach czeka na ciebie sześć takich mundurów - powiedziała. - Do zakończenia obłężenia nie będziesz nosił niczego poza nimi. Jeśli zapragniesz odmiany, możesz zmienić kolor peleryny.

Elend pokiwał głową. Za jego plecami szwaczka i jej pomocnice wyslizgnęły się z komnaty.

- Dziękuję - powiedział Tindwyl. - Z początku się wahałem, ale miałaś rację. To ma znaczenie.

- Wystarczy, by oszukać ludzi, przynajmniej na razie.

- Oszukać?

- Oczywiście. Nie myślisz chyba, że to już wszystko, co?

- Cóż...

Tindwyl uniosła brew.

- Kilka lekcji i już myślisz, że po wszystkim? Wciąż jesteś głupcem, Elendzie Venture, choć już na niego nie wyglądasz. Mam nadzieję, że nasza komedia zacznie odwracać szkody, jakie uczyniłeś swojej reputacji. Czeka cię jeszcze długa nauka, nim będziesz mógł wyjść do ludzi i nie narobisz sobie przy tym wstydu.

Elend się zaczerwienił.

- Co masz... Powiedz mi, czego planujesz mnie uczyć.

- Najpierw musisz nauczyć się chodzić, to po pierwsze.

- Coś nie tak z moim sposobem chodzenia?

- Na zapomnianych bogów, tak! - powiedziała Tindwyl. Wydawała się rozbawiona, choć jej warg nie splamił uśmiech. - I musisz nadal pracować nad sposobem wypowiedzi. Poza tym jest jeszcze twoja nieumiejętność posługiwania się bronią.

- Trochę się uczyłem - sprzeciwił się Elend. - Zapytaj Vin... uratowałem ją z pałacu Ostatniego Imperatora w noc Upadku!

- Wiem - odparła. - I z tego, co słyszałam, cudem przeżyłeś. Całe szczęście, dziewczyna zajęła się walką. Bardzo na niej polegasz w takich kwestiach.

- Jest Zrodzoną z Mgły.

- To żadne usprawiedliwienie dla twojego żalostnego braku umiejętności. Nie możesz zawsze liczyć, że twoja kobieta cię obroni. Nie tylko jest to żenujące, ale też twój lud... twoi żołnierze... oczekują, że będziesz walczył u ich boku. Nie sądzę, byś kiedykolwiek poprowadził

natarcie na siły wroga, ale powinieneś przynajmniej umieć się bronić, jeśli twoje pozycje zostaną zaatakowane.

- Czyli chcesz, żebym zaczął walczyć z Vin i Hamem podczas ich ćwiczeń?

- Litości, nie! Nie wyobrażasz sobie, jakim by to było ciosem dla morale, gdyby twoi ludzie widzieli, jak zostajesz pokonany! - Tindwyl potrząsnęła głową. - Nie, wyszkoli cię dyskretny mistrz szermierki. Parę miesięcy wystarczy, byś radził sobie z laską i mieczem.

Miejmy nadzieję, że to obłączenie potrwa wystarczająco długo, nim zacznie się walka.

Elend znów się zaczerwienił.

- Patrzysz na mnie z góry. Zupełnie, jakbym w twoich oczach nie był królem.. jakbyś traktowała mnie jak zastępcę prawowitego władcy.

Tindwyl nie odpowiedziała, lecz jej oczy błyszczały zadowoleniem. „Ty to powiedziałaś, nie ja” - mówiła jej mina.

Elend zaczerwienił się jeszcze bardziej.

- Może nauczysz się, jak być królem, Elendzie Venture - powiedziała. - A do tego czasu musisz się nauczyć udawać.

Elend chciał udzielić gniewnej odpowiedzi, ale nagle rozległo się pukanie do drzwi.

Zacisnął zęby i odwrócił się.

- Wejść.

Drzwi się otworzyły.

- Są wieści - powiedział kapitan Demoux, a na jego młodszej twarzy malowało się podniecenie.  
- Ja... - Zamarł.

Elend przechylił głowę.

- Tak?

- Ja... no.... - Demoux zawahał się i obejrzał Elenda od góry do dołu. Po chwili zaczął

mówić dalej. - Ham mnie posłał, Wasza Wysokość. Mówi, że przybył posłaniec od jednego z królów.

- Naprawdę? - spytał Elend. - Od lorda Cetta?

- Nie. Posłańca przysłał ojciec Waszej Wysokości.

Elend zmarszczył czoło.

- Cóż, powiedz Hamowi, że zaraz przyjdę.

- Tak, Wasza Wysokość - odparł Demoux, cofając się. - I, no, podoba mi się ten nowy mundur, Wasza Wysokość.

- Dziękuję, Demoux - powiedział Elend. - Czy nie wiesz przypadkiem, gdzie jest lady Vin? Nie widziałem jej przez cały dzień.

- Sądzę, że jest w swoich komnatach, Wasza Wysokość.

W swoich komnatach? Nigdy w nich długo nie pozostaje. Czy jest chora?

- Czy mam po nią posłać? - spytał Demoux.

- Nie, dziękuję - odpowiedział Elend. - Sam po nią pójde. Przekaż Hamowi, żeby zadbał o wygody posłańca.

Demoux pokiwał głową i wycofał się.

Elend odwrócił się do Tindwyl, która uśmiechała się z zadowoloną miną i otarł się o nią, idąc po swój notes.

- Nauczę się, jak robić coś więcej, niż tylko „udawać”, że jestem królem, Tindwyl.

- Zobaczymy.

Elend obrzucił spojrzeniem Terrisanę, jej suknię i biżuterię.

- Ćwicz takie miny - poradziła mu - i może nawet ci się uda.

- Czy to już wszystko? - spytał. - Miny i kostiumy? Czy dzięki nim człowiek staje się królem?

- Oczywiście, że nie.

Elend zatrzymał się przy drzwiach.

- To co? Co, twoim zdaniem, Tindwyl z Terris, sprawia, że człowiek staje się dobrym królem?

- Zaufanie - odpowiedziała, patrząc mu w oczy. - Dobry król to ten, któremu ufa jego lud... i który zasługuje na to zaufanie.

Zawahał się, lecz pokiwał głową. Dobra odpowiedź, przyznał, po czym otworzył drzwi i ruszył na poszukiwanie Vin.

*Gdyby tylko terrisańska religia i wiara w Oczekiwanie nie rozprzestrzeniły się poza nasz lud.*

Stery papieru rosły, w miarę jak Vin znajdowała w dzienniku kolejne pomysły, które chciała oddzielić i zapamiętać. Na czym polegały proroctwa związane z Bohaterem Wieków?

Skąd autor dziennika wiedział, gdzie się udać, i co miał zamiar zrobić, gdy już tam dotarł?

W końcu, leżąc wśród chaosu - nakładające się na siebie sterty ułożyła w różne strony, żeby się nie pomieszały - Vin doszła do przykrego wniosku. Musiała zacząć robić notatki.

Z westchnieniem wstała i przeszła przez komnatę, starannie przestępując nad kilkoma stosami. Skierowała się w stronę biurka. Nigdy wcześniej z niego nie korzystała, nawet na nie narzekała. W końcu, po co jej biurko do pisania?

Tak w każdym razie kiedyś sądziła. Wybrała pióro i wyciągnęła niewielki kałamarz, przypominając sobie dni, kiedy Reen uczył ją pisać. Szybko miał dość jej drapania, narzekając na wysokie ceny atramentu i papieru. Nauczył ją czytać, by mogła rozumieć kontrakty i udawać szlachciankę, ale sądził, że pisanie jest mniej przydatne. Vin zazwyczaj podzielała to przekonanie.

Najwyraźniej jednak umiejętność pisania była użyteczna nie tylko dla skrybów. Elend ciągle sporządzał jakieś notatki - często robiła na niej wrażenie szybkość, z jaką pisał. Jakim cudem z taką łatwością stawiał litery?

Chwyciła kilka arkuszy papieru i podeszła do posortowanych stert. Usiadła ze skrzyżowanymi nogami i odkręciła wieko kałamarza.

- Panienko - odezwał się OreSeur, nie podnosząc łba z łap - właśnie opuściłaś biurko do pisania, żeby usiąść na podłodze, wiesz o tym?

Vin podniosła wzrok.

- I co z tego?

- Biurko do pisania służy do... no cóż, do pisania.

- Ale moje papiery leżą tutaj.

- Jak mniemam, papiery można przenieść. Gdyby okazały się zbyt ciężkie, zawsze możesz spalić cynę z ołowiem i dodać sobie siły.

Vin spojrzała z ukosa na jego rozbawiony pysk, zanurzając pióro w atramencie.

Przynajmniej tym razem nie okazuje swojej niechęci do mnie, pomyślała.

- Podłoga jest wygodniejsza.

- Skoro tak twierdzisz, to musi to być prawda, panienko.

Zawahała się, zastanawiając się, czy z niej szydzi. Przeklęty psi pysk, pomyślała.

Trudno go odczytać.

Z westchnieniem pochyliła się i zaczęła pisać pierwsze słowo. Musiała ostrożnie zapisywać każdą linijkę, by nie robić kleksów, często też przerywała i wypowiadała słowa na głos, by znaleźć odpowiednie litery. Napisała zaledwie kilka zdań, gdy ktoś zapukał do drzwi.

Skrzywiła się. Kto jej przeszkadzał?

- Wejść - powiedziała.

Usłyszała, jak otwierają się drzwi do drugiej komnaty.

- Vin?! - zawołał Elend.

- Tutaj - odpowiedziała, wracając do pisania. - Dlaczego zapukałeś?

- Mogłaś się przecież przebierać - odparł, wchodząc.

- I co z tego?

Elend się roześmiał.

- Dwa lata i prywatność nadal jest ci obca.

Vin uniosła wzrok.

- Cóż, ja tylko...

Przez najkrótszą z chwil pomyślała, że patrzy na kogoś innego. Instynkty natychmiast zadziałały, odruchowo upuściła pióro, podskoczyła i rozjarzyła cynę z ołowiem.

Zatrzymała się.

- Taka wielka zmiana? - spytał Elend, wyciągając ręce, by mogła lepiej przyjrzeć się jego strojowi.

Vin uniosła ręce do piersi. Była tak wstrząśnięta, że weszła w jeden ze stosów. To był

Elend, ale wcale nie on. Idealnie biały strój, starannie skrojony, znacznie różnił się od jego zwyczajowych luźnych surdutów i spodni. Wydawał się bardziej władczy. Królewski.

- Obciąłeś włosy - powiedziała, obchodząc go powoli.

- Pomysł Tindwyl - stwierdził. - A co ty o tym sądzisz?

- W czasie walki nikt cię za nie nie złapie - odparła.

Uśmiechnął się.

- Tylko o tym myślisz?

- Nie - odpowiedziała w zamyśleniu i pociągnęła za jego pelerynę.

Zsunęła się bez trudu, co wzbudziło aprobatę Vin. Mgielne płaszcze były takie same; Elend nie będzie się musiał martwić, że w czasie walki ktoś chwyci go za pelerynę.

Cofnęła się i zaplotła ręce na piersi.

- Czy to znaczy, że ja też mogę obciąć włosy?

Elend wahał się tylko przez chwilę.

- Zawsze możesz robić, co tylko zechcesz, Vin. Ale wiesz, wydaje mi się, że dłuższe są ładniejsze.

To zostaną, pomyślała.

- Tak czy inaczej, podoba ci się? - zapytał.

- Zdecydowanie - odparła. - Wyglądasz jak król.

Choć podejrzewała, że w skrytości ducha będzie tęsknić za rozczochranym, niechlujnym Elendem. Było coś... rozczulającego w tej mieszance rzetelnych umiejętności i braku umiejętności skupienia.

- Dobrze - stwierdził. - Sądzę, że będzie nam potrzebna taka przewaga. Posłaniec właśnie... - Umilkł, rozejrzał się po stertach papieru. - Vin, szukałaś informacji?

Zarumieniła się.

- Przeglądałam dziennik, próbując znaleźć odniesienia do Głębi.

- Naprawdę! - Elend zrobił krok do przodu, wyraźnie podekscytowany. Ku jej niezadowoleniu, szybko znalazł kartkę z jej notatkami. Uniósł ją i spojrzał na Vin. - Ty to napisałaś?

- Tak.

- Masz piękny charakter pisma - zauważył i wydawał się tym nieco zaskoczony. -

Czemu nie powiedziałaś mi, że umiesz tak pisać?

- Czy nie wspominałeś o posłańcu?

Elend odłożył kartkę. Wyglądał przy tym trochę jak dumny ojciec.

- Racja. Przybył posłaniec z armii mojego ojca. Każę mu trochę zaczekać... nie byłoby mądre, gdyby uznał, że jesteśmy niecierpliwi. Ale pewnie powinniśmy pójść na to spotkanie.

Vin skinęła głową i machnęła na OreSeura. Kandra podniósł się i podszedł do niej. Cała trójka opuściła komnaty.

Książki i notatki miały jedną zaletę. Zawsze mogły czekać.

\*\*\*

Znaleźli posłańca w atrium na trzeciej kondygnacji twierdzy. Vin i Elend weszli do środka, a ona natychmiast się zatrzymała.

To był on. Obserwator.

Elend zrobił krok do przodu, by przywitać mężczyznę, lecz Vin chwyciła go za ramię.

- Czekaj - syknęła.

Elend odwrócił się zdezorientowany.

Jeśli on ma atium, pomyślała Vin z ukłuciem paniki, Elend nie żyje. Wszyscy nie żyjemy.

Obserwator stał w milczeniu. Wyglądem nie przypominał posłańca czy kuriera.

Okrywała go czerń, łącznie z parą czarnych rękawiczek. Miał na sobie spodnie i jedwabną koszulę, żadnego płaszcza czy peleryny. Pamiętała tę twarz. To był on.

Ale... pomyślała, gdyby chciał zabić Elenda, już mógłby to zrobić. Ta myśl ją przeraziła, ale musiała przyznać, że jest prawdziwa.

- Co? - spytał Elend, stojąc z nią w wejściu.

- Bądź ostrożny - wyszeptała. - To nie jest zwykły posłaniec, lecz Zrodzony z Mgły.

Elend zmarszczył czoło. Odwrócił się w stronę Obserwatora, który stał w milczeniu, z rękami splecionymi za plecami i pewną siebie miną. Tak, był Zrodzonym z Mgły - tylko ktoś taki mógł wejść do pałacu wroga, stać pośród strażników i nie czuć niepokoju.

- Dobrze - powiedział w końcu Elend, wchodząc do środka. - Wysłanniku Straffa.

Przyniosłeś mi wiadomość?

- Nie tylko wiadomość, Wasza Wysokość - odparł Obserwator. - Nazywam się Zane i jestem swego rodzaju... ambasadorem. Wasz ojciec ucieszył się z zaproszenia do sojuszu.

Ucieszył się, że w końcu posłuchaliście głosu rozsądku.



Vin przyglądała się Obserwatorowi, temu „Zane’owi”. W co grał? Dlaczego przyszedł

właśnie on? Dlaczego wyjawiał, kim jest?

Elend pokiwał głową, trzymając się na dystans.

- Dwie armie - stwierdził - pod moimi murami... cóż, nie jest to coś, co mógłbym zignorować. Chciałbym się spotkać z ojcem i omówić możliwości.

- Powinien być z tego zadowolony - odparł Zane. - Minęło sporo czasu, od kiedy się ostatnio widzieliście i od dłuższego czasu żałuje tych nieporozumień. W końcu Wasza Wysokość jest jego jedynym synem.

- Dla nas obu było to trudne - stwierdził Elend. - Może rozbijemy namiot i spotkamy się za murami?

- Obawiam się, że nie będzie to możliwe - sprzeciwił się Zane. - Jego Wysokość słusznie obawia się skrytobójców. Jeśli zechcecie z nim rozmawiać, z przyjemnością ugości was w swoim namiocie w obozie Venture.

Elend zmarszczył czoło.

- Nie sądzę, by to miało większy sens. Jeśli obawia się skrytobójców, to czy ja również nie powinienem?

- Z pewnością w swoim obozie zapewni wam ochronę, Wasza Wysokość - stwierdził

Zane. - Tam nie będziecie się musieli bać skrytobójców lorda Cetta.

- Rozumiem.

- Obawiam się, że w tej kwestii Jego Wysokość był bardzo stanowczy - dodał Zane. - To wy pragniecie sojuszu... jeśli chcecie się spotkać, musicie przyjść do niego.

Elend spojrzał na Vin. Ona nadal obserwowała Zane’a. Mężczyzna spojrzał jej w oczy.

- Słyszałem doniesienia na temat pięknej Zrodzonej z Mgły, która towarzyszy dziedzicowi Venture - powiedział. - Tej, która zabiła Ostatniego Imperatora i była szkolona przez samego Ocalałego.

Zapadło milczenie.

W końcu odezwał się Elend:

- Przekaż mojemu ojcu, że rozważę jego propozycję.

Zane odwrócił się od Vin.

- Jego Wysokość miał nadzieję, że od razu ustalimy datę i godzinę, Wasza Wysokość.

- Wyślę kolejną wiadomość, kiedy podejmę decyzję - stwierdził Elend.

- Dobrze - odparł Zane i uklonił się lekko, wykorzystując ten ruch, by znów spojrzeć Vin w oczy. Jeszcze raz skinął głową Elendowi i pozwolił się wyprowadzić.

\*\*\*

W mglistym chłodzie wczesnego wieczora Vin siedziała na niskim murze Twierdzy Venture, z OreSeurem u boku.

Mgły były spokojne, jej myśli wręcz przeciwnie.

A dla kogo innego miałby pracować? - pomyślała. Oczywiście, że jest jednym z ludzi Straffa.

To wyjaśniało wiele kwestii. Minęło sporo czasu od ich ostatniego spotkania i Vin zaczynała myśleć, że już nigdy nie spotka Obserwatora.

Czy znów się zmierzą? Vin próbowała stłumić zapał, powiedzieć sobie, że chciała odnaleźć Obserwatora, gdyż stanowił zagrożenie. Ale dreszcz kolejnej walki we mgle -

kolejnej szansy na sprawdzenie się przeciwko innemu Zrodzonemu z Mgły - sprawił, że sztywniała z niecierpliwości.

Nie знаła go i z pewnością mu nie ufała. To sprawiało, że perspektywa pojedynku stawała się jeszcze bardziej kusząca.

- Dlaczego tu czekamy, panienko? - spytał kandra.

- Jesteśmy na patrolu - odparła Vin. - Sprawdzamy, czy nie pojawią się skrytobójcy lub szpiedzy. Jak co noc.

- Rozkazujesz mi w to uwierzyć, panienko?

Vin spojrzała na niego.

- Wierz sobie w co chcesz, kandro.

- Dobrze - odparł OreSeur. - Dlaczego nie powiedziałaś królowi, że walczyłaś z tym Zane'em?

Odwróciła się z powrotem w stronę mgły.

- Skrytobójcy i Allomanci to moja sprawa, nie Elenda. Nie ma co go martwić, i tak ma dużo problemów.

OreSeur usiadł na tylnych łapach.

- Rozumiem.

- Nie wierzysz, że mam rację?

- Wierzę w co chcę - odparł kandra. - Czyż nie taki rozkaz mi właśnie wydałaś, panienko?

- Nieważne - stwierdziła Vin.

Palila brąz i musiała się bardzo starać, by nie myśleć o duchu mgieł. Czowała, jak czeka w ciemnościach na prawo od niej. Nie patrzyła w jego stronę.

Dziennik nie wspomina, co stało się z tym duchem. Niemal zabił jednego z towarzyszy Bohatera. Później prawie się o nim nie wspomina.

Problemy na inną noc, pomyślała, gdy jej brąz wyczuł kolejne źródło Allomancji.

Mocniejsze, bardziej znajome.

Zane.

Vin wskoczyła na blanki, skinieniem głowy pożegnała OreSeura i skoczyła w mrok.

Mgły kłębiły się na niebie, wiatry tworzyły z nich milczące strumienie, niczym rzeki na niebie. Vin muskała je, przebijała się przez nie i odbijała od nich niczym kamyk rzucony na wodę. Szybko dotarła do miejsca, w którym ostatnio rozstała się z Zane'em, samotnej, opuszczonej uliczki.

Czekał pośrodku, nadal odziany w czerń. Vin opadła przed nim w chmurze pasm mgielnego płaszcza. Wyprostowała się.

Nigdy nie nosi płaszcza. Dlaczego?

Przez kilka chwil stali w milczeniu naprzeciw siebie. Zane musiał znać jej wątpliwości, ale nie przedstawił się, nie przywitał ani nic nie wyjaśniał. W końcu sięgnął do kieszeni i wyjął

monetę. Rzucił ją na bruk między nimi, a ta podskoczyła z brzękiem metalu o kamień i zatrzymała się.

Wzniósł się w powietrze. Vin zrobiła to samo. Oboje Odpychali się od monety. Ich ciężary niemal się równoważyły i odskoczyli w górę i do tyłu, niczym ramiona litery V.

Zane obrócił się, rzucając monetę za siebie. Uderzyła w ścianę budynku, a mężczyzna natychmiast Pchnął, rzucając się w stronę Vin. Nagle poczuła, jak coś uderza w jej sakiewkę, grożąc jej upadkiem na ziemię.

Na czym polega dzisiejsza gra, Zane, pomyślała, szarpiąc rzemień i uwalniając sakiewkę. Odepchnęła się od niej, przyspieszając jej upadek. Gdy monety uderzyły o ziemię, Vin zyskała przewagę - Odpychała się od sakiewki bezpośrednio pod nią, podczas gdy Zane Odpychał się z boku.

Kobieta wzniosła się, mijając mężczyznę, po czym rzuciła swój ciężar przeciwko monetom w jego kieszeni.

Zane zaczął opadać. Chwycił jednak monety - powstrzymując je przed rozerwaniem tkaniny - i Odepchnął się od jej sakiewki. Zamarł w powietrzu - Vin Odpychała go z góry, jego własne Pchnięcie popychało go w powietrze. A ponieważ się zatrzymał, Odepchnięcie Vin rzuciło nią w górę.

Vin puściła Zane'a i zaczęła opadać. Mężczyzna jednak nie pozwolił sobie dotknąć ziemi. Znów wzniósł się w powietrze i zaczął się oddalać, nie dotykając stopami dachów czy bruku.

Próbował rzucić mną o ziemię, pomyślała Vin. Kto pierwszy upadnie, przegrywa - o to chodziło? Obróciła się w powietrzu. Ostrożnym Przyciąganiem odzyskała sakiewkę, po czym rzuciła ją na ziemię i Odepchnęła się w górę.

W locie Przyciągnęła sakiewkę do ręki i skoczyła za Zane'em, Odpychając się brawurowo i próbując dogonić mężczyznę. W mroku Luthadel wydawało się czystsze niż w ciągu dnia. Nie widziała pokrytych popiołem budynków, mrocznych rafinerii, dymu z kuźni.

Otoczające ją puste twierdze szlacheckich rodów były niczym milczące monolity. Niektóre z majestatycznych budowli oddano pomniejszonym rodom, inne przekształcono w budynki rządowe. Pozostałe, po splądrowaniu na rozkaz Elenda, pozostały niewykorzystane. Ich witrażowe okna były ciemne, a sklepień, rzeźb i fresków nikt nie podziwiał.

Vin nie była pewna, czy Zane celowo kieruje się w stronę Twierdzy Hasting, czy też po prostu tam go dogoniła. Tak czy inaczej, potężna konstrukcja górowała nad nimi, gdy Zane zauważył jej bliskość i rzucił w jej stronę garść monet.

Odepchnęła je ostrożnie. Oczywiście, w tej właśnie chwili Zane rozjarzył stal i Odepchnął mocniej. Gdyby sama mocno Odpychała, siła jej ataku rzuciłaby ją do tyłu. A tak tylko zepchnęła monety na boki.

Zane natychmiast Odepchnął jej sakiewkę, rzucając się w stronę jednego z murów Twierdzy Hasting. Vin na to również była przygotowana. Rozjarzywszy cynę z ołowiem, chwyciła sakiewkę obiema rękami i rozerwała ją.

Monety rozsypały się dookoła, pędząc w dół pod naciskiem Pchnięcia Zane'a. Wybrała jedną z nich i Odepchnęła się od niej, wznosząc się do góry. Przekręciła się głową do góry, a jej wzmocniony cyną zmysł słuchu rejestrował, jak deszcz monet uderza o bruk. Wciąż będzie miała dostęp do monet, ale nie musiała już nosić ich przy sobie.

Wzleciała w stronę Zane'a. We mgle po jej lewej stronie majaczyła jedna z zewnętrznych wież. Twierdza Hasting należała do najpiękniejszych w mieście. Na samym jej środku wzniesiono potężną wieżę - wysoką, szeroką, imponującą - z salą balową na szczycie.

Wokół centralnej budowli wznosiło się w równych odległościach sześć mniejszych wież, a wszystkie łączył z nią gruby mur. To był elegancki, majestatyczny budynek. Podejrzewała, że Zane wybrał go właśnie z tego powodu.

Vin obserwowała go. Jego Odepchnięcie traciło moc, gdyż znalazł się zbyt daleko od kotwicy na ziemi. Obrócił się nad nią, ciemna postać na tle kłębiących się mgieł, wciąż nie osiągnąwszy poziomu muru. Vin szarpnęła kilka monet z dołu, Przyciągając je na wypadek, gdyby ich potrzebowała.

Zane opadał w jej stronę. Vin odruchowo Odepchnęła monety w jego kieszeni, lecz zaraz uświadomiła sobie, że tego pewnie pragnął - wznosił się, podczas gdy ona opadała.

Przerwała i spadając, szybko minęła monety, które podniosła w powietrzu. Przyciągnęła jedną z nich do ręki, inną zaś Odepchnęła, wbijając ją w mur.

Odskoczyła w bok. Zane minął ją ze świstem, wzburzając mgły. Wkrótce znów się pojawił, pewnie wykorzystując jedną z monet z dołu - i rzucił w nią dwiema garściami monet.

Vin odwróciła się, unikając ciosu. Monety okrążyły ją i wkrótce z brzękiem uderzyły o coś we mgle za jej plecami. Kolejny mur. Walczyli między dwiema zewnętrznymi wieżami twierdzy, po obu stronach mając ukośne mury, a środkowa wieża wznosiła się niedaleko przed nimi. Pojedynkowali się u szczytu otwartego trójkąta kamiennych murów.

Zane rzucił się w jej stronę. Vin spróbowała go odepchnąć swoim ciężarem, ale z zaskoczeniem uświadomiła sobie, że mężczyzna nie ma już przy sobie żadnych monet.

Odpychał się od czegoś za plecami - tej samej monety, którą Vin rzuciła o ścianę. Kobieta Odepchnęła się w górę, próbując zejść mu z drogi, ale on również skierował się w tę stronę.

Zderzył się z nią i zaczęli spadać. Gdy wirowali, Zane chwycił ją za ramiona, przyciągając ją do siebie. Nie wydawał się wściekły ani nawet bardzo silny.

Wydawał się spokojny.

- Tym właśnie jesteśmy, Vin - powiedział cicho. Wokół nich świstał wiatr i mgły, otaczały ich pasma płaszcza Vin. - Dlaczego bawisz się w ich gry? Dlaczego pozwalasz, by cię kontrolowali?

Vin lekko oparła dłoń na piersi Zane'a, po czym Odepchnęła się od monety, którą trzymała w dłoni. Siła Pchnięcia uwolniła ją z jego objęć, odrzucając go do tyłu i w górę.

Kobieta zatrzymała się kilka stóp nad ziemią, Odepchnęła się od monet i znów wzniosła.

Mijając Zane'a, ujrzała uśmiech na jego twarzy. Sięgnęła w dół, chwytając niebieskie linie opadające w stronę ziemi, po czym rozjarzyła żelazo i Przyciągnęła je wszystkie naraz.

Monety zaczęły się wznosić, mijając zaskoczonego mężczyznę.

Przyciągnęła kilka wybranych monet. Zobaczymy, czy teraz uda ci się pozostać w powietrzu, pomyślała Vin z uśmiechem i Pchnęła na zewnątrz, odrzucając pozostałe monety.

Znów zaczęła spadać. Wybrała dwie monety i rzuciła je na boki, po czym Odepchnęła je. Monety

zniknęły we mgle, lecąc w stronę murów. Uderzyły o kamień i kobieta zatrzymała się w powietrzu.

Odpychała się mocno, pozostając w miejscu i czekając na Przyciąganie z dołu. Jeśli Przyciągnie, ja też to zrobię, pomyślała. Oboje spadniemy, a ja utrzymam monety w powietrzu między nami. Pierwszy uderzy w ziemię.

Obok niej przeleciała moneta.

Co?! Skąd ją wziął?! Była pewna, że Odepchnęła wszystkie monety na dole.

Moneta uniosła się przez mgłę, ciągnąc za sobą niebieski ślad widoczny dla oczu Allomanty. Przeleciała nad murem po prawej. Vin spojrzała w górę i zobaczyła, jak Zane zwalnia, po czym zaczyna się wznosić - Przyciągając się do monety, która teraz opierała się o kamienną barierę na szczycie muru.

Minął ją z zadowoloną miną.

Pozer.

Vin puściła monetę po lewej, nadal Odpychając się od tej po prawej. Poleciała w lewo, niemal zderzając się z murem, po czym rzuciła w jego stronę kolejną monetę. Odepchnęła się od niej i poleciała w górę, w prawo. Kolejna moneta pchnęła ją w górę w lewo. Przeskakiwała między murami, aż w końcu dotarła na szczyt.

Uśmiechnęła się, obracając się w powietrzu. Zane - unoszący się nad szczytem muru -

pokiwał z zadowoleniem głową, gdy go mijała. Zauważyła, że złapał kilka z jej porzuconych monet.

Czas na atak z mojej strony, pomyślała Vin.

Pchnęła monety w dłoni Zane'a. Poleciały w górę. Mężczyzna jednak wciąż Odpychał

się od monety na szczycie muru, więc nie spadł. Zawisł w powietrzu, utrzymywany przez dwie sprzeczne siły - własne Odpychanie, kierujące go w górę, i Odpychanie Vin, spychające go w dół.

Vin usłyszała, jak sapie z wysiłku, i Pchnęła mocniej. Była jednak tak skoncentrowana, że prawie nie zauważyła, że Zane otwiera drugą dłoń i Odpycha w jej stronę jedną z monet. Nie zdążyła jej Odepchnąć, ale na szczęście mężczyzna źle wycelował i kawałek metalu minął ją w odległości kilku cali.

A może nie? Moneta natychmiast skierowała się w dół i uderzyła ją w plecy. Zane Przyciągnął ją mocno i kawałek metalu wbił się w skórę Vin, która rozjarzyła cynę z ołowiem, by uniknąć głębszej rany.

Zane się nie poddawał. Vin zacisnęła zęby, ale on ważył o wiele więcej od niej. Opadała cal po calu w jego stronę, jej Odpychanie z trudem utrzymywało ją w powietrzu, a moneta boleśnie wbijała się w jej plecy.

„Nigdy nie decyduj się na pojedynek Odpychania, Vin” - ostrzegwał ją Kelsier. „Ważysz za mało i zawsze przegrasz”.

Przestała Odpychać monetę w dłoni Zane’a. Natychmiast zaczęła spadać, Przyciągana przez monetę na plecach. Lekko ją Odepchnęła, po czym rzuciła ostatnią monetę w bok.

Odpychając się od niej, wydostała się spomiędzy Zane’a i jego monety.

Metal uderzył mężczyznę w pierś. Zane sapnął. Najwyraźniej próbował sprawić, by Vin znów się z nim zderzyła. Vin uśmiechnęła się i znów Przyciągnęła monetę w dłoni Zane’a.

Dam mu to, czego chce.

Przekręciła się w ostatniej chwili, gdy uderzyła w niego stopami. Vin obróciła się w powietrzu, czując, jak mężczyzna zwija się z bólu. Radowała się zwycięstwem, wirując w powietrzu nad murem. Później coś zauważyła - kilka słabych niebieskich linii znikających we mgle. Zane odepchnął wszystkie ich monety.

Zdesperowana Vin chwyciła jedną z monet i zaczęła ją Przyciągać. Za późno.

Rozpaczliwie szukała innego źródła metalu, lecz wszystko wokół było wykonane z drewna lub kamienia. Zdezorientowana uderzyła w szczyt muru, przetoczyła się i zatrzymała przy kamiennej balustradzie.

Potrząsnęła głową i rozjarzyła cynę, pozwalając, by nagły ból ją otrzeźwił. Z pewnością Zane nie radził sobie lepiej. Musiał spaść jak...

Zane zawisł w odległości kilku stóp od niej. Znalazł monetę - Vin nie miała pojęcia jakim sposobem - i Odpychał się od niej. Nie odleciał jednak. Wznosił się kilka stóp nad szczytem muru, wciąż skulony po kopnięciu.

Na oczach Vin wirował powoli w powietrzu, wyciągając przed siebie rękę, i zwijał się niczym wyszkolony akrobata na słupie. Na jego twarzy malowała się głęboka koncentracja, a mięśnie - ramion, twarzy, piersi - były napięte. Obracał się w powietrzu, aż patrzył w jej stronę.

Vin przyglądała mu się w oszołomieniu. Można było delikatnie Odpychać się od monety, regulując siłę, z jaką się od niej oddalało. Było to jednak skrajnie trudne, tak trudne, że nawet Kelsier miał z tym problemy. Przez większość czasu Zrodzeni z Mgły wykorzystywali krótkie rozbłyski. Na przykład, kiedy Vin spadała, zwalniała, rzucając monetę i krótko, lecz mocno się od niej Odpychając, żeby zrównoważyć pęd w dół.

Nigdy nie widziała Allomanty, który by panował nad sobą tak bardzo jak Zane. Jego umiejętność delikatnego odpychania się od monety nie była oczywiście użyteczna w walce -

wymagała zbyt wielkiej koncentracji. Kryły się w niej jednak wdzięk i piękno ruchów świadczące o czymś, co Vin czuła.

Allomancja nie oznaczała jedynie walki i zabijania. Oznaczała też umiejętności i wdzięk. Była piękna.

Zane wirował, aż wreszcie się wyprostował. Wtedy opadł na mur, jego stopy delikatnie dotknęły kamienia. Spoglądał na Vin - wciąż leżącą na kamieniach - wzrokiem wolnym od pogardy.

- Jesteś bardzo utalentowana - powiedział. - I dość potężna.

Był wysoki, imponujący. Jak... Kelsier.

- Czemu przybyłeś dziś do pałacu? - spytała, wstając.

- Zobaczyć, jak cię traktują. Powiedz mi, Vin. Co takiego mają w sobie Zrodzeni z Mgły, że mimo naszych mocy jesteśmy skłonni służyć innym, jak niewolnicy?

- Niewolnicy? - powtórzyła. - Nie jestem niewolnikiem.

Zane pokręcił głową.

- Wykorzystują cię.

- Czasem warto jest być użytecznym.

- Te słowa świadczą o zagubieniu.

Vin zawahała się i spojrzała mu w oczy.

- Skąd wzięłeś tę ostatnią monetę? W okolicy żadnych nie było.

Zane uśmiechnął się, otworzył usta i wyjął monetę. Z brzękiem rzucił ją na mur. Vin szeroko otworzyła oczy. Allomancja nie wpływa na metal wewnątrz ludzkiego ciała... To taka prosta sztuczka! Czemu o niej nie pomyślałam?

Czemu Kelsier o niej nie pomyślał?

- Nie pasujemy do nich, Vin - powiedział Zane. - Nie pasujemy do ich świata. Nasze miejsce jest tutaj, wśród mgieł.

- Moje miejsce jest między tymi, którzy mnie kochają - odparła.

- Kochają cię? - spytał cicho. - Powiedz mi. Czy cię rozumieją, Vin? Czy mogą cię zrozumieć? I czy człowiek może kochać coś, czego nie rozumie?

Obserwował ją przez chwilę. Kiedy nie odpowiedziała, lekko skinął głową i Odepchnął się od monety, którą rzucił kilka chwil wcześniej, i zniknął pośród mgieł.

Vin pozwoliła mu odejść. Jego słowa miały większą wagę niż się pewnie spodziewał.



„Nie pasujemy do ich świata...”. Nie wiedział, że zastanawiała się nad swoim miejscem, nad tym, czy była szlachetnie urodzoną, skrytobójcą czy kimś innym.

Słowa Zane’a oznaczały coś ważnego. Czuł się obcy. Podobnie jak ona. To z pewnością była jego słabość. Może uda jej się zwrócić go przeciwko Straffowi - jego chęć, by się z nią pojedynkować, by się odslaniać, z pewnością to sugerowała.

Oddechnęła głęboko chłodnym powietrzem; jej serce wciąż biło przyspieszonym rytmem. Czuła się zmęczona, ale żywa, po walce z kimś, kto mógł być od niej lepszy. Stojąc na szczycie murów opuszczonej twierdzy, podjęła decyzję.

Będzie nadal pojedynkować się z Zane’em.

*Gdyby tylko Głębia nie pojawiła się właśnie wtedy, doprowadzając ludzi do desperacji w czynach i wierzeniach.*

- Zabij go - wyszeptał Bóg.

Zane wisiał cicho pośród mgieł, spoglądając przez otwarte drzwi balkonu Elenda Venture. Opary kłębiły się wokół niego, zasłaniając go przed wzrokiem króla.

- Powinieneś go zabić - powtórzył Bóg.

W pewnym sensie Zane nienawidził Elenda, choć poznał go dopiero tego dnia. Elend był wszystkim, czym powinien być on sam. Faworyzowany. Uprzywilejowany.

Rozpieszczany. Był wrogiem Zane'a, przeszkodą na drodze do władzy, czymś, co powstrzymywało Straffa - a przez to i jego - przed zapanowaniem nad Środkowym Dominium.

I był też jego bratem.

Zane opadł na ziemię za murami Twierdzy Venture. Przyciągnął swoje kotwice - dwie niewielkie sztabki, które Odpychał, żeby utrzymać się w powietrzu. Vin wkrótce powróci, a on nie chciał być wtedy w pobliżu twierdzy. Jakimś sposobem zawsze wiedziała, że jest w okolicy

- jej zmysły były o wiele bardziej wyczulone niż u innych Allomantów. Oczywiście, wyszkolił ją sam Ocalały.

Chciałbym go poznać, pomyślał Zane, idąc cicho przez dziedziniec. On rozumiał moc Zrodzonych z Mgły. Nie pozwalał, by inni go kontrolowali.

I robił to, co musiało zostać zrobione, nawet jeśli wydawał się przy tym bezlitosny. Tak w każdym razie mówiono.

Zane zatrzymał się przed zewnętrznym murem twierdzy, pod przyporą. Pochylił się, podniósł kamień i znalazł wiadomość pozostawioną przez szpiega w pałacu Elenda. Zabrał ją, odłożył kamień na miejsce, upuścił monetę i wzniósł się w noc.

\*\*\*

Zane nie przemykał chyłkiem. Nie skradał się, nie czaił ani nie kulił. Właściwie nawet nie lubił się ukrywać.

Dlatego też zdecydowanym krokiem zbliżał się do obozu armii Venture. Wydawało mu się, że Zrodzeni z Mgły za bardzo się ukrywają. Owszem, anonimowość zapewniała im niejaką wolność. Jego doświadczenia wskazywały jednak, że bardziej ich to wiąże niż wyzwala.

Pozwalali się kontrolować, a społeczeństwo mogło udawać, że nie istnieją.

Podszedł swobodnie do strażnicy, gdzie dwaj żołnierze siedzieli przy ognisku.

Potrząsnął głową - byli niemal bezużyteczni, oślepieni przez ogień. Zwyczajni ludzie bali się mgieł, a to czyniło ich mniej przydatnymi. Nie była to arogancja, lecz stwierdzenie faktu.

Allomanci byli bardziej użyteczni, a więc cenniejsi od zwykłych ludzi. To dlatego Zane wysłał też Cynookich, by patrzyli w mrok. Ci zwykli żołnierze byli bardziej formalnością.

- Zabij ich - rozkazał Bóg, gdy Zane podszedł do strażnicy.

Mężczyzna zignorował głos, choć było to coraz trudniejsze.

- Stój! - powiedział jeden ze strażników, opuszczając włócznię. - Kto idzie?

Zane z marszu Odepchnął jego włócznię, podnosząc jej grot.

- A któż by inny? - warknął, wchodząc w blask ognia.

- Lord Zane! - wykrzyknął drugi żołnierz.

- Sprowadźcie króla - powiedział Zane, mijając strażnicę. - Powiedzcie mu, że chcę się z nim spotkać w namiocie dowodzenia.

- Ależ, panie - odezwał się strażnik. - Późno już. Jego Wysokość najpewniej...

Zane odwrócił się i spojrzał na strażnika. Między nimi kłębiły się mgły. Nie musiał nawet allomantycznie wpływać na uczucia żołnierza - mężczyzna zasalutował i zniknął w mroku.

Zane wszedł do obozu. Nie nosił munduru ani mgielnego płaszcza, ale żołnierze zatrzymywali się i salutowali mu. I tak powinno być. Znali go, wiedzieli, kim jest i wiedzieli, że muszą go szanować.

A jednak w duchu musiał przyznać, że gdyby Straff nie ukrywał swojego nieślubnego syna, Zane nie byłby tak potężną bronią. Konieczność zachowania tajemnicy sprawiła, że żył

właściwie w nędzy, podczas gdy jego przyrodni brat Elend był uprzywilejowany. Ale znaczyło to również, że Straff niemal przez całe życie trzymał go w ukryciu. Choć zaczynały się już pojawiać plotki na temat Zrodzonego z Mgły, niewielu wiedziało, że Zane jest synem Straffa.

Poza tym surowe życie nauczyło Zane'a sztuki przetrwania. Stał się twardy i potężny.

Przypuszczał, że Elend nigdy tego nie zrozumie. Niestety, przy tym wszystkim takie dzieciństwo doprowadziło go do szaleństwa.

- Zabij go - wyszeptał Bóg, gdy Zane mijał kolejnego strażnika.

Głos rozlegał się za każdym razem, gdy Zane kogoś widział - był jego cichym, nieustannym

towarzyszem.

Rozumiał, że jest szaleńcem. Nie było to zresztą takie trudne. Normalni ludzie nie słyszeli głosów. A Zane tak.

Nie uważał jednak, by szaleństwo było usprawiedliwieniem dla nieracjonalnego zachowania. Niektórzy ludzie nie widzieli, inni mieli paskudny charakter. Jeszcze inni słyszeli głosy. W ostatecznym rozliczeniu nie miało to znaczenia. Człowieka nie określają jego wady, ale sposób, w jaki je przezwycięża.

I dlatego Zane ignorował głos. Zabijał, kiedy miał ochotę, nie kiedy słyszał głos. We własnej ocenie i tak miał szczęście. Inni szaleńcy mieli wizje i nie potrafili odróżnić swoich halucynacji od rzeczywistości. Zane przynajmniej nad sobą panował.

Przeważnie.

Odepchnął metalowe klamry na połach namiotu dowodzenia. Klapy odsunęły się do środka, otwierając mu wejście. Żołnierze po obu stronach zasalutowali. Zane wszedł do środka.

- Panie - powiedział oficer dowodzenia pełniący nocną straż.

- Zabij go - odezwał się Bóg. - Nie jest taki ważny.

- Papier - zażądał Zane, podchodząc do stołu.

Oficer natychmiast wypełnił jego polecenie i zgarnął stertę arkuszy. Zane Przyciągnął stalówkę pióra, oficer przyniósł atrament.

- To koncentracja wojsk i nocne patrole - powiedział Zane, notując liczby i wykresy na papierze. - Przyjrzałem się im dzisiaj, gdy byłem w Luthadel.

- Bardzo dobrze, panie - stwierdził żołnierz. - Doceniamy waszą pomoc.

Po chwili wahania Zane wrócił do pisania.

- Żołnierzu, nie jesteś moim przełożonym. Nie jesteś nawet równy rangą. Nie

„pomagam” ci. Widzę potrzeby swojej armii. Rozumiesz?

- Oczywiście, panie.

- Dobrze - stwierdził Zane, kończąc pisanie i oddając papier żołnierzowi. - A teraz odejdz... albo, jak to zasugerował mi pewien przyjaciel, wbiję ci to pióro w gardło.

Żołnierz przyjął notatki i wycofał się pospiesznie. Zane czekał niecierpliwie, lecz Straff się nie pojawiał. Mężczyzna w końcu zaklął cicho, Odepchnął klapy namiotu i wyszedł. Namiot Straffa był

niczym czerwona latarnia w mroku, oświetlony licznymi lampami. Zane minął

strażników, którzy dobrze wiedzieli, że nie powinni go zatrzymywać, i wszedł do namiotu ojca.

Straff spożywał właśnie kolację. Był wysokim mężczyzną i miał kasztanowe włosy, jak jego synowie - a przynajmniej ci dwaj, którzy się liczyli. Miał też delikatne dłonie szlachetnie urodzonego, którymi elegancko spożywał posiłek. Nie zareagował na przybycie syna.

- Spóźniłeś się - zauważył Straff.

- Zabij go - powiedział Bóg.

Zane zacisnął pięści. Ten rozkaz był najtrudniejszy do zignorowania.

- Tak - odpowiedział. - Spóźniłem się.

- Co się dziś stało? - spytał Straff.

Zane spojrzał na służących.

- Powinniśmy zrobić to w namiocie dowodzenia.

Straff nadal popijał zupę, nie zmieniając pozycji i sugerując w ten sposób, że Zane nie ma prawa wydawać mu rozkazów. Frustrujące, ale niezbyt zaskakujące. On sam kilka chwil wcześniej wykorzystał tę samą taktykę wobec oficera. Uczył się od najlepszych.

W końcu Zane westchnął i zajął miejsce. Oparł ręce na stole, leniwie bawiąc się jednym z noży, i patrzył, jak ojciec je. Jeden ze służących podszedł i spytał Zane'a, czy ma ochotę na posiłek, lecz ten odesłał go machnięciem ręki.

- Zabij Straffa - rozkazał Bóg. - Powinieneś zająć jego miejsce. Jesteś bardziej kompetentny.

Ale nie tak zdrowy na umyśle, pomyślał Zane.

- I co? - spytał Straff. - Czy mają atium Ostatniego Imperatora?

- Nie jestem pewien.

- Czy dziewczyna ci ufa?

- Zaczyna - odparł Zane. - Widziałem, jak używa atium, kiedy walczyła ze skrytobójcami Cetta.

Straff pokiwał głową. Był naprawdę kompetentny - dzięki niemu Północne Dominium uniknęło chaosu, który zapanował na pozostałych terenach Ostatniego Imperium. Co prawda musiał stracić kilku ludzi, żeby udowodnić, że to on rządzi. Ale zrobił to, co było konieczne. Tę jedną cechę Zane cenił ponad wszystko.

Szczególnie że sam miał z tym problemy.

- Zabij go! - ryknął Bóg. - Nienawidzisz go! Trzymał cię w nędzy, zmuszając do walki o przeżycie.

Uczył mnie silnym, pomyślał Zane.

- To wykorzystaj tę siłę, żeby go zabić!

Zane zdjął ze stołu nóż do krojenia mięsa. Straff podniósł wzrok znad posiłku i tylko lekko się skrzywił, gdy Zane rozciął swoją rękę na wysokości przedramienia, aż do krwi. Ból pomógł mu walczyć z głosem.

Straff przyglądał się temu przez chwilę, po czym gestem kazał służce przynieść ręcznik, by Zane nie pochlapał krwią dywanu.

- Musisz skłonić ją, by ponownie użyła atium - stwierdził Straff. - Elend mógł znaleźć jedną czy dwie bryłki. Dowiemy się prawdy, jeśli go jej zabraknie. - Na chwilę wrócił do posiłku. - Właściwie, to musisz ją skłonić, by powiedziała ci, gdzie ukrywają zapas, jeśli w ogóle go mają.

Zane przyglądał się, jak po jego ręce płynie krew.

- Jest lepsza niż myślisz, ojczu.

Straff uniósł brew.

- Nie mów mi, że wierzysz w te historyjki, Zane? Kłamstwa o niej i Ostatnim Imperatorze?

- A skąd wiesz, że to kłamstwa?

- Ze względu na Elenda - stwierdził Venture. - Ten chłopak to idiota, rządzi Luthadel tylko dlatego, że większość rozsądnych arystokratów uciekła z miasta. Gdyby ta dziewczyna była wystarczająco silna, by pokonać Ostatniego Imperatora, wątpię, by twój brat mógł zyskać jej lojalność.

Zane wyciął kolejną ranę w rękę. Nie ciął na tyle głęboko, by coś poważnie uszkodzić, a ból działał tak jak zawsze. Straff w końcu odwrócił się od posiłku, kryjąc zakłopotanie. W

duchu Zane cieszył się, widząc takie spojrzenie ojca. Być może był to efekt uboczny szaleństwa.

- Tak czy inaczej - odezwał się Straff - widziałeś się z Elendem?

Zane pokiwał głową. Odwrócił się do służącej.

- Herbata - powiedział, machając zdrową ręką. - Był zaskoczony. Chciał się z tobą spotkać, ale nie spodobał mu się pomysł przybycia do twojego obozu. Wątpię, by się zgodził.

- Może - odparł Straff. - Ale nie możesz nie doceniać głupoty chłopaka. Może zrozumie, jak będą teraz wyglądać nasze stosunki.

Cóż za poza, pomyślał Zane. Wysyłając taką wiadomość, Straff przyjął stanowisko - nie będzie przyjmował rozkazów ani nawet zgadzał się na niewygodę ze względu na Elenda.

Ale zmuszenie do oblężenia przysporzyło ci kłopotów, pomyślał z uśmiechem Zane.

Straff miał ochotę zdobyć miasto z marszu, bez pertraktacji i negocjacji. Przybycie drugiej armii to uniemożliwiło. Gdyby teraz zaatakował, później zostałby pokonany przez Cetta.

To oznaczało czekanie, czekanie w oblężeniu, aż Elend posłucha głosu rozsądku i z własnej woli przyłączy się do ojca. Ale Straff nie lubił czekać. Zane'owi to nie przeszkadzało.

Dawało mu to więcej czasu na pojedynki z dziewczyną.

Gdy przybyła herbata, Zane przymknął oczy i spalił cynę, by pobudzić zmysły. Jego rany zabolowały mocniej, otrzeźwiając go.

Nie o wszystkim powiedział Straffowi. Ona zaczyna mi ufać, pomyślał. I coś jeszcze.

Jest podobna do mnie. Może... może mnie zrozumie.

Może mnie uratuje.

Westchnął, otworzył oczy i otarł ręcznikiem ramię. Własne szaleństwo czasem go przerażało. Ale w obecności Vin wydawało się mniejsze.

Przyjął herbatę od służącej - długi warkocz, masywna pierś, nieładne rysy - i pociągnął łyk gorącego cynamonu.

Straff uniósł kubek, po czym zawahał się i pociągnął nosem. Spojrzał na Zane'a.

- Zatruta herbata, Zane?

Mężczyzna nie odpowiedział.

- I do tego brzoszowa zguba - zauważył Straff. - To przygnębiająco mało oryginalne jak na ciebie.

Zane się nie odezwał.

Straff przeciągnął ręką po gardle. Dziewczyna zrobiła przerażoną minę, gdy jeden ze strażników Venture podszedł do niej. Spojrzała na Zane'a, oczekując pomocy, lecz on tylko odwrócił wzrok. Jęknęła żałośnie, gdy strażnik ją odciągał.

Chciała mieć szansę, by go zabić, pomyślał. Mówiłem jej, że pewnie się nie uda.

Straff tylko potrząsnął głową. Król nie był Zrodzonym z Mgły, lecz Cynookim. Mimo to, nawet dla kogoś posiadającego takie umiejętności, wycucie brzoszowej zguby wśród cynamonu było sporym

osiągnięciem.

- Zane, Zane... - westchnął Straff. - I co ty byś zrobił, gdyby jednak udało ci się mnie zabić?

Gdybym rzeczywiście chciał cię zabić, pomyślał Zane, użyłbym tego noża, a nie trucizny. Ale pozwalał Straffowi myśleć inaczej. Król oczekiwał prób skrytobójstwa, więc Zane je dostarczał.

Venture coś podniósł - niewielką bryłkę atium.

- Miałem ci ją dać, Zane. Ale chyba będziemy musieli poczekać. Musisz skończyć z tymi głupimi zamachami na moje życie. Gdyby kiedyś ci się udało, skąd brałbyś swoje atium?

Straff oczywiście nic nie rozumiał. Myślał, że atium działa jak narkotyk i Zrodzeni z Mgły się nim delektują. Dlatego sądził, że dzięki niemu panuje nad Zane'em. A ten nie wyprowadzał go z błędu i nigdy nie wspominał, że ma swój własny zapas.

To jednak doprowadziło go do kwestii, która dominowała w jego życiu. Szepty Boga powracały w miarę, jak ból słabł. A ze wszystkich ludzi, o których szeptał głos, Straff Venture najbardziej zasługiwał na śmierć.

- Dlaczego? - spytał Bóg. - Dlaczego go nie zabijesz?

Zane spuścił wzrok. Ponieważ jest moim ojcem, pomyślał, w końcu przyznając się do słabości. Inni ludzie robili to, co musieli. Byli od niego silniejsi.

- Jesteś szalony, Zane - stwierdził Straff.

Zane podniósł wzrok.

- Naprawdę sądzisz, że mógłbyś sam podbić imperium, gdybyś mnie zabił? Biorąc pod uwagę twoją szczególną... przypadłość, czy sądzisz, że mógłbyś rządzić miastem?

Zane odwrócił wzrok.

- Nie.

Straff pokiwał głową.

- Cieszę się, że obaj to rozumiemy.

- Powinieneś zaatakować - stwierdził Zane. - Znajdziemy atium, kiedy zdobędziemy Luthadel.

Król uśmiechnął się i pociągnął łyk herbaty. Zatrutej herbaty.

- Nie zakładaj, że wiesz, co planuję, Zane - stwierdził. - Nie wiesz nawet połowy.

Zane siedział w milczeniu, patrząc, jak ojciec opróżnia kubek.



- A co z twoim szpiegiem? - spytał Straff.

Zane położył kartkę na stole.

- Martwi się, że mogą go podejrzewać. Nie znalazł żadnych informacji na temat atium.

Straff pokiwał głową i odstawił pusty kubek.

- Wrócisz do miasta i nadal będziesz się zaprzyjaźniał z dziewczyną.

Zane pokiwał głową i opuścił namiot.

\*\*\*

Straff zaczynał już odczuwać działanie brzozonej zguby, wypełniającej jego żyły i wywołującej drżenie. Zmusił się, by zapanować nad sobą. Jeszcze kilka chwil.

Kiedy się upewnił, że Zane jest daleko, zawołał strażnika.

- Sprowadźcie Amarantę! - rozkazał. - Szybko!

Żołnierz pośpieszył wypełnić rozkaz pana. Straff siedział w ciszy, namiot poruszał się na wietrze, przez otwór wpadło do środka pasmo mgły. Spalił cynę, wyostrozając zmysły. Tak...

czuł w sobie truciznę. Otepiającą jego nerwy. Miał jednak czas. Może nawet godzinę, więc się rozluźnił.

Jak na człowieka, który utrzymywał, że nie chce zabić Straffa, Zane wkładał dużo wysiłku w próby. Jednakże Venture miał narzędzie, o którym nie wiedział nawet jego syn - a które miało postać kobiety. Uśmiechnął się, gdy usłyszał ciche kroki.

Żołnierze od razu wprowadzili ją do środka. Straff nie zabrał ze sobą wszystkich swoich nałożnic - jedynie dziesięć czy piętnaście ulubienic. Między kobietami, z którymi sypiał, znajdowały się również takie, które cenił raczej za ich przydatność niż urodę. Amaranta była tu dobrym przykładem. Przed dziesięciu laty była całkiem atrakcyjna, ale teraz dobiegała już trzydziestki. Jej piersi opadły po porodzie i za każdym razem, gdy na nią spoglądał, Straff dostrzegał zmarszczki na czole i wokół oczu. Większości kobiet pozbywał się, zanim osiągnęły jej wiek.

Ta jednak miała przydatne umiejętności. Gdyby Zane dowiedział się, że Straff posłał tej nocy po kobietę, założyłby, że chodziło o kochankę. Myliłby się.

- Panie - powiedziała Amaranta, padając na kolana. Zaczęła się rozbierać.

Cóż, przynajmniej jest optymistką, pomyślał Straff. Spodziewałby się, że po tym, jak przez cztery lata nie była wzywana do jego łóżka, w końcu zrozumie. Czy kobiety nie wiedzą, kiedy stają się zbyt stare, by być atrakcyjne?

- Zostaw ubranie, kobieto - warknął.

Amaranta posmutniała i złożyła ręce na kolanach, pozostawiając częściowo rozpiętą suknię, odsłaniającą pierś - jakby próbowała skusić go starzejącą się nagością.

- Potrzebuję antidotum - powiedział. - Szybko.

- Którego, panie? - spytała. Nie była jedyną zielarką Straffa, uczył się zapachów i smaków od czterech różnych osób. Amaranta była jednak najlepsza spośród nich.

- Brzozowa zguba - odparł. - I... może coś jeszcze, nie jestem pewien.

- W takim razie kolejny eliksir ogólny, panie? - spytała Amaranta.

Skinął głową. Kobieta podniosła się i podeszła do szafki z truciznami.

Zapaliła mały palnik i zagotowała trochę wody, szybko mieszając proszki, zioła i płyny.

Ta mikstura była jej specjalnością - mieszanka wszystkich podstawowych antidotów, remediów i odczynników w jej repertuarze. Straff podejrzewał, że Zane mógł wykorzystać brzozową zgubę, by ukryć coś innego. Cokolwiek to było, mikstura Amaranty mogła to pokonać - a przynajmniej zidentyfikować.

Straff czekał, a półnaga Amaranta pracowała. Mikstura za każdym razem musiała być świeża, lecz warto było czekać. Kobieta w końcu podała mu kubek z parującą zawartością.

Straff wypił wielki łyk, wmuszając w siebie gorzki napój. Od razu poczuł się lepiej.

Westchnął - oto uniknął kolejnej pułapki - i na wszelki wypadek opróżnił kubek do dna.

Amaranta znów uklękła.

- Odejdź - rozkazał.

W milczeniu pokiwała głową. Poprawiła suknię i wyszła z namiotu.

Straff siedział, trzymając w dłoni pusty kubek. Wiedział, że miał przewagę. Dopóki wydawał się silny Zane'owi, Zrodzony z Mgły wypełniał jego polecenia.

Najprawdopodobniej.

*Gdybym tylko nie zwrócił uwagi na Alendiego, gdy przed tak wielu laty szukałem asystenta.*

Sazed rozpiął ostatnią stalomyśl. Uniósł ją przed sobą, metalowa bransoleta błyszczała w czerwonym słońcu. Innemu człowiekowi mogła się wydawać wartościowa. Dla Sazeda była kolejną pustą skorupą, zwykłą stalową bransoletą. Mógłby ją ponownie napełnić, gdyby tylko zechciał, ale w tej chwili nie miał zamiaru jej dźwigać.

Z westchnieniem upuścił bransoletę. Upadła z brzękiem, wzbijając chmurę popiołu z ziemi. Pięć miesięcy magazynowania, spędzania co piątego dnia, poruszając się jak mucha w smole. A teraz wszystko zużyte.

Za tę stratę kupił jednak coś cennego. W ciągu sześciu dni podróży, od czasu do czasu korzystając ze stalomyśli, przebył odległość równą sześciu tygodniom marszu. Zgodnie z kartograficzną miedziomyślą, Luthadel znajdowało się w odległości tygodnia marszu. Sazed cieszył się z poświęcenia stalomyśli. Może przesadnie zareagował na śmierć, której był

świadkiem w wiosce na południu. Może wcale nie musiał się tak spieszyć. Ale stworzył stalomyśl, by kiedyś ją wykorzystać.

Uniósł plecak, który stał się o wiele lżejszy. Choć wiele z jego metalmyśli było małych, w sumie sporo ważyły. Po drodze zdecydował się porzucić część mniej użytecznych lub nie do końca pełnych. Tak jak stalową bransoletę, którą zostawił w popiele.

Z pewnością znajdował się teraz w Środkowym Dominium. Minął Faleast i Tyrian, dwie północne Popielne Góry. Tyrian nadal pozostawała widoczna na południowym horyzoncie -

wysoka, samotna góra ze ściętym, poczerniałym szczytem. Krajobraz stał się płaski, brązowe sosny ustąpiły miejsca smukłym białym osikom, popularnym w okolicach Luthadel. Osiki wyglądały jak kości wyrastające z czarnej ziemi, rosły w kępach, a ich popielata kora była zgrubiała i poskręcana. Drzewa...

Sazed się zatrzymał. Stał w pobliżu centralnego kanału, jednej z głównych dróg prowadzących do Luthadel. W tej chwili nie było na nim łodzi - ludzie nieczęsto teraz podróżowali, nawet rzadziej niż w czasach Ostatniego Imperium, często bowiem spotykało się bandytów. W drodze do Luthadel Sazed przegonił kilka ich grup.

Nie, rzadko widywało się samotnych wędrowców. O wiele częstsze były armie - i oceniając po pasmach dymu wznoszących się ku niebu przed nim, na jedną z nich właśnie się natknął. Stała dokładnie między nim a miastem.

Przez chwilę rozmyślał, podczas gdy na jego głowę i ramiona opadały płatki popiołu.

Dochodziło południe - jeśli armia miała zwiadowców, Sazedowi trudno by ją było ominąć.

Dodatkowo jego stalomyśli się wyczerpały i nie udało mu się uciec przed pogonią.

A jednak - armia w odległości tygodnia drogi od Luthadel... Do kogo należała i jakim była zagrożeniem? Ciekawość uczonego skłoniła go do znalezienia wyższego punktu w terenie, by stamtąd przyjrzeć się wojsku. Vin i innym mogły się przydać zebrane przez niego informacje.

Podjąwszy decyzję, Sazed znalazł wzgórze porośnięte szczególnie gęstymi osikami.

Zostawił plecak pod drzewem, wyjął żelazomyśl i zaczął ją napełniać. Znow poczuł znajome wrażenie utraty wagi i bez trudu wspiął się na szczyt cienkiego drzewa - jego ciało było tak lekkie, że wspinaczka nie wymagała większego wysiłku.

Wisząc na samym czubku osiki, Sazed sięgnął do cynomyśli. Krawędzie jego pola widzenia się zamgliły, jak zawsze, ale dzięki wzmocnionemu wzrokowi mógł zobaczyć szczegóły dużej grupy zebranej w niecce poniżej.

Dobrze myślał, że to armia. Źle myślał, że składa się z ludzi.

- Na zapomnianych bogów... - wyszeptał Sazed, tak wstrząśnięty, że niemal puścił pień.

Armia została zorganizowana bardzo prymitywnie. Żadnych namiotów, żadnych pojazdów, żadnych koni. Jedynie setki wielkich ognisk, które otaczały jakieś postaci.

Te istoty były ciemnoniebieskie i znacznie różniły się od siebie rozmiarami - niektóre miały zaledwie pięć stóp wzrostu, inne nawet ponad dziesięć. Wszystkie należały do tego samego gatunku. Kolossy. Stwory - choć kształtem przypominały ludzi - nigdy nie przestawały rosnąć. Po prostu w miarę starzenia się robiły się coraz większe, aż w końcu ich serca nie wytrzymały. Wtedy umierały, zabite przez własny imperatyw wzrostu.

Jednakże nim umarły, stawały się bardzo duże. I bardzo niebezpieczne.

Sazed puścił pień. Jego ciało było tak lekkie, że łagodnie opadł na ziemię. Pospiesznie przeszukał miedziomyśl. Kiedy odnalazł tę, którą szukał, założył ją na lewe ramię i znow wspiął się na drzewo.

Szybko przeszukał indeks. Gdzieś miał notatki na temat kolossów - badał te istoty, gdy zastanawiał się, czy mają swoją religię. Poprosił kogoś, żeby przeczytał mu jego własne notatki, by mógł je przechować w miedziomyśli. Oczywiście, zapamiętał też książkę, ale umieszczenie tak wielu informacji bezpośrednio w umyśle zniszczyłoby...

Tutaj, pomyślał, odnajdując notatki. Sięgnął do miedziomyśli, napełniając umysł wiedzą.

W większości wypadków ciała kolossów poddawały się w dwudziestym roku ich życia.

„Najstarsze” istoty osiągały dwanaście stóp wzrostu i miały masywne, potężne ciała. Jednak niewielu kolossów żyło tak długo, i to nie tylko z powodu problemów z sercem. Ich społeczeństwo - o ile można je tak nazwać - było wyjątkowo gwałtowne.

Ekscytacja zwyciężyła lęk i Sazed znów sięgnął do cynomyśli. Przyjrzał się tysiącom niebieskich humanoidów, próbując znaleźć dowód na to, co właśnie przeczytał. Bez trudu zauważył walki. Przepychanki przy ogniskach były częste i, co ciekawe, zazwyczaj dotyczyły osobników o podobnych rozmiarach. Sazed jeszcze bardziej ulepszył wzrok - mocno chwytając się pnia, by powstrzymać mdłości - dzięki czemu mógł uważniej przyjrzeć się jednemu z kolosów.

Ten był raczej nieduży - wysoki może na sześć stóp. Kształtem przypominał człowieka, miał dwie ręce i dwie nogi, choć wydawał się pozbawiony szyi. Do tego był całkiem łysy.

Jednakże najdziwniejszą jego cechą była niebieska skóra, zwisająca i pofałdowana.

Przypominał bardzo grubego człowieka, który pozbył się całego tłuszczu, pozostawiając rozciągniętą skórę.

I... ta skóra nie wydawała się dobrze połączona. Wokół czerwonych, przekrwionych oczu obwisała, odsłaniając mięśnie twarzy. Podobnie wokół ust - skóra opadała kilka cali poniżej brody, odsłaniając całą dolną szczękę.

Ten widok wywoływał mdłości, szczególnie u kogoś, komu i tak już było niedobrze.

Uszy stwora zwisały się nisko, poniżej linii szczęki. Jego nos był bezkształtny, pozbawiony chrząstek. Skóra wisiała na rękach i nogach, a jedynym ubiorem istoty była prosta przepaska biodrowa.

Sazed odwrócił się i wybrał większą istotę, około ośmiostopową. Na niej skóra nie wisiała tak luźno, ale nadal wydawało się, że nie do końca pasuje. Nos był skrzywiony pod dziwnym kątem, rozplaszczony przez przerośniętą głowę osadzoną na krótkiej szyi. Stwór odwrócił się, by wyszczerzyć się do towarzysza, i znów się okazało, że skóra dookoła ust nie do końca pasuje - wargi nie domykały się do końca, a otwory wokół ust były zbyt wielkie i odsłaniały mięśnie.

Jak... ktoś, kto nosi skórzaną maskę, pomyślał Sazed, próbując stłumić obrzydzenie.

Czyli... ich ciała cały czas rosną, ale skóra nie?

Jego podejrzenia potwierdził potężny, dziesięciostopowy koloss, który zbliżył się do grupy. Mniejsze istoty rozproszyły się, gdy podszedł do ogniska, na którym piekło się kilka koni.

Skóra tego największego stwora była naciągnięta tak mocno, że zaczynała pękać.

Bezwłose niebieskie ciało rozerwało się wokół oczu, w kącikach ust i na piersi. Sazed wiedział strumyczki krwi spływające po żebrach. Tam, gdzie skóra nie pękała, była mocno naciągnięta - nos i uszy były tak spłaszczone, że niemal nie odróżniały się od reszty ciała.

Nagle rozważania Sazed przestały mu się wydawać tak akademickie. Kolosy wkroczyły do Środkowego Dominium. Istoty tak gwałtowne i trudne do opanowania, że Ostatni Imperator został

zmuszony do trzymania ich z dala od cywilizacji. Sazed zgasił

cynomyśl i powrócił do normalnego wzroku. Musiał dotrzeć do Luthadel i ostrzec pozostałych.

Jeśli...

Zamarł. Jeden z problemów ze wzmocnionym wzrokiem polegał na tym, że korzystając z niego, jednocześnie pozbawiał się możliwości widzenia z bliska - nic dziwnego więc, że nie zauważył patrolu kolosów otaczającego osikowy zagajnik.

Na zapomnianych bogów! Mocno trzymał się na czubku drzewa, myśląc gorączkowo.

Kilku kolosów już wchodziło w zarośla. Gdyby opadł na ziemię, byłby zbyt powolny, by uciekać. Jak zawsze, nosił cynołowiomysł - bez trudu mógłby zyskać siłę dziesięciu mężczyzn i utrzymać ją przez dłuższy czas. Może mógłby walczyć...

Ale kolosy nosiły prymitywne, lecz masywne miecze. Notatki Sazed, jego wspomnienia i podania zgadzały się w jednym - te stwory były bardzo niebezpiecznymi wojownikami. Z siłą dziesięciu mężczyzn czy nie, i tak by ich nie pokonał.

- Zejdź - dobiegł głęboki, niewyraźny głos z dołu. - Zejdź, natychmiast.

Sazed popatrzył w dół. Spory koloss, ze skórą zaczynającą się już rozciągać, stał u podstawy drzewa. Potrząsnął osiką.

- Zejdź, natychmiast - powtórzył.

Te usta nie działają najlepiej, pomyślał Sazed. Brzmi jak ktoś, kto próbuje mówić, nie ruszając wargami. Nie dziwiło go, że stwór umie mówić - znalazł informację na ten temat w swoich notatkach. Dziwił go jednak spokojny głos tej istoty.

Mógłbym uciekać, pomyślał. Mógł trzymać się czubków drzew, może przebyć odległość między osikowymi gajami, gdyby wyrzucił metalmyśli i próbował korzystać z podmuchów wiatru. Ale to byłoby bardzo trudne - i nieprzewidywalne.

I musiałby zostawić swoje miedziomyśli, tysiąc lat historii.

Dlatego trzymając w gotowości cynołowiomysł, Sazed opadł na ziemię. Przywódca kolosów - tak w każdym razie przypuszczał Terrisanin - wpatrywał się w niego czerwonymi oczami. Nie mrugał. Sazed zastanawiał się, czy w ogóle może mrugać, tak bardzo naciągnięta była jego skóra.

Opadł na ziemię pod drzewem i sięgnął po plecak.

- Nie - warknął koloss, chwytając plecak nieludzko szybkim ruchem. Rzucił go innemu stworowi.

- Potrzebuję go - powiedział Sazed. - Będę bardziej skłonny do współpracy, jeśli...

- Cicho! - ryknął stwór z tak nagłą wściekłością, że Terrisanin cofnął się o krok.

Terrisanie byli wysocy - zwłaszcza eunuchowie - i mężczyzna czuł się bardzo niepewnie, przytłoczony przez tę zwierzęcą istotę, wysoką na dziewięć stóp. Stwór miał

granatową, prawie czarną skórę i oczy o barwie zachodzącego słońca. Górował nad Sazedem, a ten odruchowo się skulił.

Najwyraźniej była to właściwa reakcja, gdyż przywódca pokiwał głową i odwrócił się.

- Chodź - wybełkotał, przebijając się przez zagajnik.

Pozostali - chyba siedmiu - podążyli za nim.

Sazed wolał nie wiedzieć, co by się stało, gdyby nie posłuchał. Wybrał boga - Duisa, który podobno kiedyś strzegł zmęczonych podróżników - i w duchu wypowiedział pospieszną modlitwę. Później ruszył do przodu, trzymając się grupy kolossów.

Przynajmniej nie zabili mnie od razu, pomyślał Sazed. Właściwie tego się spodziewał, biorąc pod uwagę to, co o nich czytał. Oczywiście, nawet w księgach nie było wiele informacji.

Kolossy przez stulecia były trzymane z dala od ludzi - Ostatni Imperator sięgał po nie tylko w najtrudniejszych przypadkach, by stłumić bunty lub podbić nowe społeczności odkryte na wewnętrznych wyspach. W takich wypadkach kolossy siały śmierć i zniszczenie - tak w każdym razie twierdziły opowieści.

Czy to mogła być propaganda? - zastanawiał się Sazed. Może kolossy nie są aż tak gwałtowne, jak zakładaliśmy.

Jeden z kolossów obok Sazedę zawył nagle z wściekłości. Terrisanin odwrócił się, gdy stwór rzucił się na jednego z towarzyszy. Zupełnie zapomniał o mieczu niesionym na plecach, uderzając wroga pięścią w głowę. Pozostali zatrzymali się, by przyjrzeć się walce, ale żaden nie wydawał się zaniepokojony.

Sazed przyglądał się z coraz większym przerażeniem, jak agresor okłada przeciwnika.

Tamten próbował się bronić, wyciągnął sztylet i udało mu się rozciąć rękę napastnika.

Niebieska skóra pękła, popłynęła czerwona krew, a atakujący skręcił pobratymcowi kark.

Rozległ się trzask. Broniący się znieruchomiał. Napastnik zsunął miecz z pleców swojej ofiary i przypiął go obok własnej broni, po czym zdjął niewielką sakiewkę przywiązaną obok miecza. Wstał, ignorując ranę na ramieniu, i znów ruszyli.

- Dlaczego? - spytał wstrząśnięty Sazed. - Po co?

Ranny koloss odwrócił się.

- Nienawidziłem go - powiedział.

- Ruszaj się! - warknął przywódca.

Sazed zmusił się do marszu. Zostawili trupa na drodze. Sakiewki, pomyślał, próbując skoncentrować się na czymś innym. Wszyscy noszą te sakiewki. Kolosy wiązały je do swoich mieczy. Nie chowały broni w pochwach, przywiązywały ją rzemieniami na plecach. A do tych rzemieni mocowały sakiewki. Czasami była tylko jedna, choć dwa największe stwory w grupie miały ich kilka.

Wyglądają jak sakiewki na pieniądze, pomyślał Sazed. Ale kolosy nie mają gospodarki. Może trzymają tam rzeczy osobiste? Co może być cennego dla takich bestii?

Weszli do obozu. Nie otaczali go strażnicy - ale czy w ogóle byli potrzebni? Człowiek miałby problemy z wślizgnięciem się do tego obozu.

Grupka mniejszych kolosów - tych pięciostopowych - podbiegła do przodu, gdy się pojawili. Morderca rzucił drugi miecz jednemu z nich, po czym wskazał za siebie. Zachował

sakiewkę, a mniejsze istoty odbiegły drogą w stronę trupa.

Oddział grabarzy? - zastanawiał się Sazed.

Niepewnie szedł w głąb obozu za tymi, którzy go pojмали. Różnorodne istoty piekły się nad ogniskami, lecz Sazed nie sądził, by były wśród nich ludzkie trupy. Do tego ziemia wokół

obozu została całkowicie oczyszczona z roślinności, jakby pasły się na niej szczególnie agresywne kozy.

Według jego miedziomyśli nie było to tak dalekie od prawdy. Kolosy najwyraźniej mogły żywić się niemal wszystkim. Najbardziej lubiły mięso, ale zjadały też wszelkie rośliny, nawet trawę - posuwając się do wrywania jej z korzeniami. Wedle niektórych doniesień, pochłaniały też ziemię i popiół, choć w to Sazed nie mógł uwierzyć.

Szedł dalej. Obóz wypełniał smród dymu, brudu i dziwna piżmowa woń, która, jak zakładał, była naturalnym zapachem kolosów. Niektóre ze stworów odwracały się w jego stronę, odprowadzając go wzrokiem.

Zupełnie jakby miały tylko dwa uczucia, pomyślał, wzdrygając się, gdy jeden z siedzących przy ognisku kolosów wrzasnął i rzucił się na towarzysza. Są albo obojętne, albo wściekłe.

Co byłoby konieczne, aby pobudzić je wszystkie naraz... i do jakiej katastrofy by to doprowadziło? Nerwowo zweryfikował swoje wcześniejsze rozważania. Nie, kolosy nie zostały oszkalowane. Historie, które słyszał - opowieści o kolosach szalejących w Najdalszym Dominium, siejących śmierć i zniszczenie - były najwyraźniej prawdziwe.

Ale coś trzymało tę grupę w ryzach. Ostatni Imperator potrafił zapanować nad kolosami, choć żadna z ksiąg nie wyjaśniała, w jaki sposób.



Większość piszących zwyczajnie przyjmowała tę umiejętność jako część tego, co czyniło go Bogiem. Był nieśmiertelny - w porównaniu z tym reszta jego mocy wydawała się przyziemna.

Przecież jego nieśmiertelność była sztuczką, pomyślał Sazed. Sprytnym połączeniem zdolności feruchemicznych i Allomancji. Ostatni Imperator był normalnym człowiekiem - choć otrzymał niezwykłą kombinację umiejętności i sposobności.

Jeśli to prawda, to jak panował nad kolosami? Ostatni Imperator był inny, pomyślał

Sazed. Miał w sobie coś więcej niż tylko moce. Zrobił przy Studni Wstąpienia coś, co na zawsze odmieniło świat. Może jego umiejętność panowania nad kolosami pochodziła z tego samego źródła.

Otoczające Sazedą kolosy ignorowały walki wybuchające wokół ognisk. W całym obozie nie widział żadnego kolossa płci żeńskiej - a może po prostu samice nie odróżniały się od samców. Zauważył jednak trupa leżącego w pobliżu jednego z ognisk. Został obdarty ze skóry.

Jak takie społeczeństwo w ogóle może istnieć, pomyślał przerażony. Wedle jego ksiąg kolosy szybko się mnożyły i starzały - na swoje szczęście, biorąc pod uwagę liczbę trupów, które widział. Ale i tak wydawało mu się, że stwory zabijają zbyt wielu spośród siebie, by przetrwać jako gatunek.

A jednak istniały. Niestety. Jako Opiekun wierzył, że nic nie powinno zostać utracone, że wszystko należy zapamiętać. Jednakże brutalność w obozie kolosów - ranne stwory, które siedziały, ignorując rozciętą skórę, obdarte trupy wzdłuż drogi, nagłe wybuchy gniewu i następujące po nich mordy - to wszystko wystawiało jego przekonania na próbę.

Ominęli niewielki pagórek i Sazed ujrzał coś, czego się nie spodziewał.

- Idź - rozkazał pierwszy koloss, wskazując przed siebie.

Sazed zmarszczył czoło. Namiot otaczało kilkunastu ludzi. Mieli włócznie i mundury imperialnych strażników. Namiot był duży, a za nim stał rząd wozów.

- Idź! - ryknął koloss.

Sazed wypełnił polecenie. Za nim jeden z kolosów obojętnie rzucił jego plecak w stronę ludzkich strażników. Metalmyśli brzęknęły, uderzając o ziemię, wywołując wzdrygnięcie Terrisanina. Żołnierze uważnie przyglądali się odchodzącym kolosom. Później jeden z nich uniósł plecak, a drugi wycelował włócznie w pierś Sazedą.

Mężczyzna podniósł rękę.

- Jestem Sazed, Opiekun z Terris, niegdyś lokaj, teraz nauczyciel. Nie jestem waszym wrogiem.

- No cóż - stwierdził strażnik - i tak musisz pójść ze mną.

- Czy mogę odzyskać swoją własność? - spytał Sazed. W tym zagłębieniu nie było kolosów, najwyraźniej ludzcy żołnierze woleli trzymać się na dystans.

Pierwszy strażnik odwrócił się do towarzysza, który przeglądał plecak. Tamten podniósł wzrok i wzruszył ramionami.

- Żadnej broni. Jakieś bransolety i pierścionki, może coś warte.

- Żadna z nich nie jest zrobiona ze szlachetnego metalu - wtrącił Sazed. - To narzędzia Opiekuna, nieprzydatne nikomu poza mną.

Drugi strażnik wzruszył ramionami i podał plecak pierwszemu. Obaj wyglądali jak typowi mieszkańcy Środkowego Dominium - ciemne włosy, jasna skóra, wzrost i sylwetka świadczące, że w dzieciństwie nie byli niedożywieni. Pierwszy strażnik był starszy i najwyraźniej to on wydawał rozkazy. Wziął plecak od towarzysza.

- Zobaczymy, co powie Jego Wysokość.

Ach tak, pomyślał Sazed.

- W takim razie porozmawiajmy z nim.

Strażnik odwrócił się, odsunął klapę namiotu i gestem wezwał Sazedą do wejścia.

Mężczyzna wkroczył do funkcjonalnego, choć niemal pozbawionego mebli wnętrza. Główna komnata była duża i znajdowali się w niej kolejni strażnicy. Sazed dotychczas widział ich około dwudziestu.

Pierwszy strażnik ruszył dalej i zajrzał do komnaty na tyłach. Kilka chwil później machnął na Sazedą i odsunął klapę.

Terrisanin wszedł do drugiego pomieszczenia. Ujrzał mężczyznę, ubranego w spodnie i surdut szlachetnie urodzonego z Luthadel. Mimo młodego wieku już wyłysiał - pozostało mu zaledwie kilka kosmyków włosów. Stał, stukając palcami w udo, i podskoczył lekko, gdy Sazed wszedł do środka.

Terrisanin go poznał.

- Jastes Lekal.

- Król Lekal - warknął Jastes. - Znam cię, Terrisaninie?

- Nie mieliśmy okazji się poznać, Wasza Wysokość - odparł Sazed - ale miałem pewne kontakty z waszym przyjacielem. Królem Elendem Venture z Luthadel.

Jastes pokiwał w zamyśleniu głową.

- Moje kolosy cię przyprowadziły. Znaleźli cię, kiedy myszkowałeś wokół obozu?

- Tak, Wasza Wysokość - odpowiedział ostrożnie Sazed, obserwując Lekala, który zaczął spacerować po namiocie. Ten człowiek nie jest bardziej zrównoważony od armii, którą dowodzi,

pomyślał z niezadowoleniem. - Jak przekonałeś te istoty, by ci służyły?

- Jesteś więźniem, Terrisaninie - warknął Jastes. - Żadnych pytań. Czy Elend przysłał cię, żebyś mnie śledził?

- Nikt mnie nie przysłał - odparł Sazed. - Wasza armia przypadkiem znalazła się na mojej drodze. Swoimi obserwacjami nie chciałem nikomu zaszkodzić.

Jastes zatrzymał się, popatrzył na Terrisanina i znów zaczął spacerować.

- Nieważne. Od dłuższego czasu nie miałem porządnego lokaja. Będziesz mi służył.

- Przepraszam, Wasza Wysokość - powiedział Sazed z ukłonem. - Ale to niemożliwe.

Król spochmurniał.

- Jesteś lokajem, widzę to po twoim stroju. Czy Elend jest tak wspaniałym panem, że mi odmówisz?

- Elend Venture nie jest moim panem, Wasza Wysokość - sprzeciwił się Sazed, patrząc w oczy młodemu królowi. - Teraz, gdy jesteśmy wolni, Terrisanie nie mają już panów. Nie mogę być twoim sługą, gdyż nie mogę być niczym sługą. Jeśli chcecie, możecie mnie uwięzić.

Ale nie będę wam służył. Przepraszam.

Jastes znów się zatrzymał. Nie okazał jednak gniewu, lecz wydawał się... zawstydzony.

- Rozumiem.

- Wasza Wysokość - powiedział spokojnie Sazed. - Wiem, że mam nie zadawać pytań, więc tylko podzielę się obserwacjami. Wydaje mi się, że znaleźliście się w bardzo trudnej sytuacji. Nie wiem, jak panujecie nad kolosami, ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że wasza kontrola jest niepewna. Jesteście w niebezpieczeństwie i sprowadzacie je na innych.

Jastes się zarumienił.

- Twoje „obserwacje” są błędne, Terrisaninie. Panuję nad tą armią. Są mi całkowicie posłuszni. Jak wielu innym szlachetnie urodzonym udało się zebrać armię kolosów?

Żadnemu... tylko mnie się udało.

- Nie wygląda na to, by te istoty były pod szczególną kontrolą, Wasza Wysokość.

- Naprawdę? - spytał Jastes. - A czy rozerwały cię na strzępy, gdy cię znalazły? Dla zabawy zakatowały? Wbiły w ciebie rożen i powiesiły nad ogniskiem? Nie. Nie robią tego, ponieważ ja im tak rozkazałem. Może ci się wydaje, że to niewiele, Terrisańczyku, ale zaufaj mi... to znak wielkiego opanowania i posłuszeństwa wśród kolosów.

- Cywilizacja to nie jest wielkie osiągnięcie, Wasza Wysokość.

- Nie wystawiaj mojej cierpliwości na próbę, Terrisaninie! - warknął Lekal, gładząc dłonią resztki włosów. - Mówimy o kolossach... po nich nie można się spodziewać zbyt wiele.

- I sprowadzacie ich do Luthadel? - spytał Sazed. - Nawet Ostatni Imperator obawiał się tych istot, Wasza Wysokość. Trzymał je z dala od miast. A wy sprowadzacie je do najgęściej zamieszkanym okolic Ostatniego Imperium.

- Nie rozumiesz - odparł król. - Próbowałem przyjaznych gestów, ale nikt nie słucha, chyba że masz pieniądze albo armię. Jedno mam, a drugie będę miał wkrótce. Wiem, że Elend siedzi na tej stercie atium... i przybyłem, by... zawrzeć z nim sojusz.

- Sojusz, w którym obejmiesz władzę nad miastem?

Jastes machnął ręką.

- Elend nie ma władzy nad Luthadel. Tylko czeka, aż przybędzie ktoś potężniejszy. To dobry człowiek, ale też niewinny idealista. Odda tron jednej lub drugiej armii, a ja dam mu więcej niż Cett czy Straff, to pewne.

Cett? Straff? W jakie kłopoty wpakował się młody Venture? Sazed potrząsnął głową.

- Wątpię, by to „więcej” oznaczało armię kolosów, Wasza Wysokość.

Jastes skrzywił się.

- Wygadany jesteś, Terrisaninie. Jesteś oznaką... cały twój lud jest oznaką... zepsucia świata. Kiedyś szanowałem Terrisan. Nie ma nic wstydlivego w byciu dobrym sługą.

- I nie ma w tym wielkich powodów do dumy - odparł Sazed. - Ale przepraszam za swoją postawę, Wasza Wysokość. To nie przejaw terrisańskiej niezależności. Zawsze nieco zbyt swobodnie wygłaszałem swoje zdanie i chyba nie byłem zbyt dobrym lokajem. - Ani Opiekunem, dodał w myślach.

Jastes wrócił do spacerowania.

- Wasza Wysokość - odezwał się Sazed. - Muszę ruszyć dalej, do Luthadel. Są... pewne wydarzenia, którymi muszę się zająć. Możecie myśleć, co chcecie, o moim ludzie, ale musicie wiedzieć, że jesteśmy uczciwi. Moja praca wykracza poza politykę i wojny, trony i armie. Jest ważna dla wszystkich.

- Tak zawsze mówią uczeni - zauważył Jastes. Zatrzymał się. - Elend zawsze tak mówił.

- Tak czy inaczej - ciągnął dalej Terrisanin - muszę odejść. W zamian za wolność przekażę waszą wiadomość Jego Wysokości królowi Elendowi, jeśli tylko sobie tego życzy.

- Mógłbym wysłać własnego posłańca!

- I zostać z jednym człowiekiem mniej do ochrony przed kolosami? - spytał Sazed.

Lekał zatrzymał się na chwilę.

Jednak się ich boi. Dobrze. Przynajmniej jeszcze nie oszalał.

- Odejdę, Wasza Wysokość - powiedział Sazed. - Nie chcę być arogancki, ale widzę, że nie macie możliwości trzymania jeńców. Możecie mnie wypuścić albo oddać kolosom.

Uważałbym jednak z przyzwyczajaniem ich do zabijania ludzi.

Jastes spojrzał na niego.

- Dobrze - stwierdził. - Przekaż tę wiadomość. Powiedz Elendowi, że nie obchodzi mnie, czy wie o moim nadejściu... nie obchodzi mnie nawet, czy podasz mu liczebność moich sił. Ale bądź dokładny! W armii mam ponad dwadzieścia tysięcy kolosów. Nie może ze mną walczyć. Nie może też walczyć z pozostałymi. Ale, gdybym miał miejskie mury... mógłbym powstrzymać obie armie dla niego. Powiedz mu, żeby był rozsądny. Jeśli odda atium, pozwolę mu nawet zatrzymać Luthadel. Możemy być sąsiadami. Sojusznikami.

Jeden pozbawiony pieniędzy, a drugi zdrowego rozsądku, pomyślał Sazed.

- Dobrze, Wasza Wysokość. Porozmawiam z Elendem. Ale muszę odzyskać swoje rzeczy.

Król z irytacją machnął ręką i Sazed wycofał się w milczeniu, gdy pierwszy strażnik zajrzał do środka i przyjął rozkazy. Czekał na przygotowanie żołnierzy - na szczęście odzyskał już plecak - Sazed myślał o słowach Jastesy. Cett lub Straff. Jak wiele sił chciało przejąć miasto Elenda?

Jeśli szukał spokojnego miejsca do badań, chyba wybrał zły kierunek.

*Dopiero po kilku latach zacząłem zauważać znaki. Znałem proroctwa -*

*jestem przecież terrisańskim Dawcą Światów. A jednak nie wszyscy z nas są religijni; niektórzy, tak jak ja, zajmują się innymi kwestiami. Podczas przebywania z Alendim nie mogłem nie zacząć interesować się Oczekiwaniem.*

*Wydawało się, że tak doskonale pasuje.*

- To będzie niebezpieczne, Wasza Wysokość - stwierdził Dockson.

- Nie mamy innego wyjścia - odparł Elend.

Stał za biurkiem, jak zwykle zapełnionym książkami. Z tyłu podświetlały go promienie słońca wpadające przez witrażowe okno, nadając jego białemu mundurowi rdzawy odcień.

Z pewnością w tym stroju wygląda bardziej władczo, pomyślała Vin, sadowiac się w miękkim fotelu do czytania. OreSeur leżał spokojnie na podłodze obok niej. Wciąż nie była pewna, co myśleć o zmianach, jakie zaszły w Elendzie. Wiedziała, że większość z nich to pozory - nowe ubrania, nowa fryzura - ale inne cechy również się zmieniały. Mówiąc, stał

bardziej prosto, i wydawał się bardziej zdecydowany. Nawet ćwiczył walkę mieczem i laską.

Vin spojrzała na Tindwyl. Dostojna Terrisanka siedziała na krześle z tyłu komnaty, obserwując przebieg narady. Idealnie wyprostowana, w barwnej spódnicy i bluzce wyglądała jak prawdziwa dama. Nie podkuliła nóg, jak to robiła Vin, i z pewnością nigdy nie włożyłaby spodni.

Co ona ma w sobie takiego, pomyślała Vin. Przez rok próbowałam skłonić Elenda do ćwiczenia fechtunku. Tindwyl przybyła tu przed miesiącem i już go do tego namówiła.

Vin nie rozumiała, czemu czuje taką gorycz. Elend przecież tak bardzo się nie zmienił, prawda? Próbowała stłumić niepokojącą myśl, że ten nowy, pewien siebie i dobrze ubrany król-wojownik okaże się inny niż mężczyzna, którego kochała.

A jeśli przestanie jej potrzebować?

Usiadła jeszcze głębiej, podczas gdy Elend nadal rozmawiał z Hamem, Doksem, Clubsem i Breeze'em.

- El - powiedział Ham - rozumiesz, że jeśli wejdiesz do wrogiego obozu, nie ochronimy cię.

- Nie jestem pewien, czy tu możecie mnie ochronić - odparł król. - Nie z dwiema armiami pod murami miasta.

- To prawda - zgodził się Dockson - ale martwię się, że jeśli wejdiesz do tego obozu, już z niego nie wyjdiesz.

- Tylko jeśli zawiodę - odparł Elend. - Jeśli zrealizuję plan i przekonam ojca, że jesteśmy sojusznikami, pozwoli mi wrócić. Kiedy byłem młodszy, nie poświęcałem wiele czasu politykowaniu na dworze. Jednego wszak nauczyłem się bardzo dobrze... jak manipulować swoim ojcem. Znam Straffa Venture i wiem, że mogę go pokonać. Poza tym on nie chce mojej śmierci.

- Możemy być tego pewni? - spytał Ham, drapiąc się po brodzie.

- Tak - odpowiedział król. - W końcu to nie on nasłał na mnie skrytobójców, tylko Cett.

To ma sens. Komu lepiej zostawić panowanie nad Luthadel, jak nie własnemu synowi? Uważa, że nade mną panuje, i założy, że uda mu się zmusić mnie do oddania miasta. Jeśli zagram na tę nutę, powinienem go skłonić do ataku na Cetta.

- Coś w tym jest... - mruknął Ham.

- Owszem - stwierdził Dockson - ale co powstrzyma Straffa od wzięcia cię w niewolę i ataku na Luthadel?

- Nadal będzie miał na karku Cetta - odparł Elend. - Jeśli zdecyduje się na walkę z nami, straci ludzi... wielu ludzi... i odsłoni się na atak od tyłu.

- Ale będzie miał ciebie, mój drogi - sprzeciwił się Breeze. - Nie będzie musiał atakować Luthadel... może zmusić nas do poddania się.

- Dostaniecie rozkazy, by pozwolić mi umrzeć. Dlatego właśnie ustanowiłem Zgromadzenie. Ma prawo wybrać nowego króla.

- Ale dlaczego? - spytał Ham. - Dlaczego ryzykujesz? Zaczekajmy jeszcze trochę i zobaczymy, czy uda nam się skłonić Straffa do spotkania na bardziej neutralnym gruncie.

Elend westchnął.

- Musisz mnie posłuchać, Ham. Oblężeni czy nie, nie możemy po prostu tak tu siedzieć.

Jeśli to zrobimy, to albo umrzemy z głodu, albo jedna z armii w końcu spróbuje przerwać oblężenie i zaatakować nas, licząc na szybkie opanowanie miasta i obronę przeciwko wrogowi.

Nie będzie to dla nich proste, ale może się zdarzyć. Zdarzy się, jeśli nie zaczniemy wygrywać jednego króla przeciwko drugiemu.

Zapadła cisza. Wszyscy powoli odwrócili się w stronę Clubsa, który pokiwał głową.

Zgadzał się.

Dobra robota, Elendzie, pomyślała Vin.

- Ktoś musi się spotkać z moim ojcem - dodał Elend. - I tym kimś muszę być ja. Straff uważa mnie za głupca, mogę więc go przekonać, że nie jestem zagrożeniem. Wtedy udam się do Cetta i przekonam go, że jestem po jego stronie. Kiedy w końcu zaatakują się nawzajem, sądząc, że mają mnie po swojej stronie, wycofamy się i zmusimy ich do kontynuowania walki.

Zwycięzca nie będzie na tyle silny, by odebrać nam miasto!

Ham i Breeze przytaknęli. Dockson jednak potrząsnął głową.

- Plan w teorii jest dobry, ale wejście bez straży do wrogiego obozu? To głupie.

- Widzisz - odparł Elend - wydaje mi się, że to działa na naszą korzyść. Mój ojciec wierzy w kontrolę i dominację. Jeśli wejdę do jego obozu, przekażę mu w ten sposób, że zgadzam się, że ma nade mną władzę. Będę się wydawał słaby, a on założy, że dostanie ode mnie wszystko, co zechce. To ryzyko, ale jeśli go nie podejmę, zginiemy.

Popatrzyli po sobie.

Elend wyprostował się jeszcze bardziej i zacisnął ręce w pięści. Robił to zawsze, kiedy był zdenerwowany.

- Obawiam się, że to nie jest dyskusja - stwierdził Elend. - Podjąłem już decyzję.

Nie przyjmą takiego oświadczenia, pomyślała Vin. Ekipa była bardzo niezależna.

Jednakże ku jej zaskoczeniu żaden z nich się nie sprzeciwił.

Dockson w końcu pokiwał głową.

- Dobrze, Wasza Wysokość - powiedział. - Będziesz spacerował po cienkiej linii...

musisz sprawić, by Straff uwierzył, że może liczyć na nasze wsparcie, ale jednocześnie przekonać go, że w każdej chwili może nas zdradzić. Musi zapragnąć naszej siły wojskowej, a jednocześnie zlekceważyć naszą siłę woli.

- I - dodał Breeze - musisz zrobić to w taki sposób, by nie domyślił się, że grasz na dwa fronty.

- Możesz to zrobić, Elendzie? - spytał Ham. - Szczerze?

Król pokiwał głową.

- Mogę, Ham. Przez ostatni rok dużo nauczyłem się o polityce.

Wypowiedział te słowa z dużą pewnością siebie, ale Vin zauważyła, że nadal zaciska pięści. Musi się tego oduczyć, pomyślała.

- Być może rozumiesz politykę - stwierdził Breeze - ale to będzie kantowanie. Spójrzmy prawdzie w oczy, przyjacielu, jesteś koszmarnie uczciwy... zawsze tylko mówisz o obronie praw skaa i innych takich.

- Wiesz, jesteś niesprawiedliwy - sprzeciwił się Elend. - Uczciwość i dobre chęci to dwie zupełnie różne kwestie. Mogę być równie nieuczciwy, jak... - Przerwał. - Ale po co ja się w ogóle kłóczę? Wiemy, co jest konieczne, i wiemy też, że to ja muszę to zrobić. Dox, napiszesz list do mojego ojca? Zasugeruj, że z radością go zobaczę. Właściwie... - Elend zawahał się, spojrzął na Vin, po czym kontynuował: - Właściwie, powiedz mu, że chcę omówić przyszłość Luthadel i przedstawić mu kogoś wyjątkowego.



Ham roześmiał się.

- Nie ma to jak przyprowadzić do domu dziewczynę, żeby przedstawić ją tatusiowi.

- Szczególnie kiedy ta dziewczyna jest najniebezpieczniejszą Allomantką w całym Środkowym Dominium - dodał Breeze.

- Myślisz, że się na to zgodzi? - spytał Dockson.

- Jeśli nie, to nie dojdziemy do porozumienia - powiedział Elend. - Upewnij się, że to dla niego jasne. Ale sądzę, że się zgodzi. Straff ma zwyczaj mnie lekceważyć, pewnie nie bez powodu. Założę się, że to przekonanie rozciąga się też na Vin. Z pewnością zakłada, że nie jest tak dobra, jak wszyscy mówią.

- Straff ma swojego Zrodzonego z Mgły - dodała Vin. - Dla ochrony. Jeżeli Elend zabierze mnie, będzie to sprawiedliwe. A jeśli tam będę, wydostanę go, gdyby coś poszło nie tak.

Ham znów się roześmiał.

- To nie będzie szczególnie godny odwrót, kiedy Vin przerzuci cię przez ramię i zanieś w bezpieczne miejsce.

- Lepszy niż śmierć - powiedział Elend. Próbował udawać dobrodusznego, ale jednocześnie zarumienił się lekko.

Kocha mnie, ale jest mężczyzną, pomyślała Vin. Ile razy zraniłam jego dumę, będąc Zrodzoną z Mgły, choć on jest zwyczajnym człowiekiem? Gorszy mężczyzna nigdy by się we mnie nie zakochał.

Ale czy nie zasługuje na kobietę, którą będzie mógł chronić? Kobietę, która bardziej przypomina... kobietę?

Vin znów skuliła się na fotelu, tonąc w jego miękkim obiciu. Ale na tym fotelu Elend czytał książki. Czy nie zasługiwał również na kobietę, która dzieliłaby jego zainteresowania i nie traktowałaby czytania jako przykrego obowiązku? Kobietę, z którą mógłby omawiać swoje błyskotliwe teorie polityczne?

Dlaczego ostatnio tak wiele myślę o naszym związku? - zastanawiała się Vin.

„Nie pasujemy do ich świata”, powiedział Zane. „Nasze miejsce jest tutaj, wśród mgieł”.

Nie pasujesz do nich...

- Chciałem wspomnieć o jeszcze jednej kwestii, Wasza Wysokość - wtrącił Dockson. -

Powinieneś, panie, spotkać się ze Zgromadzeniem. Chcą, żebyś ich wysłuchał... chodzi o fałszywe monety, jakie krążą po Luthadel.

- Nie mam czasu na sprawy miasta - stwierdził Elend. - Powołałem Zgromadzenie, by zajmowało się takimi właśnie kwestiami. Przekaż im, że ufam ich sądom. Przepróż w moim imieniu i wyjaśnij, że zajmuję się obroną miasta. Spróbuję dotrzeć na obrady Zgromadzenia w przyszłym tygodniu.

Dockson pokiwał głową, robiąc notatki.

- Ale - zauważył - musisz, panie, rozważyć jeszcze jedną kwestię. Jeśli spotkasz się ze Straffem, stracisz panowanie nad Zgromadzeniem.

- To nie będą oficjalne pertraktacje - sprzeciwił się król. - Tylko nieoficjalne spotkanie.

Moja rezolucja pozostanie w mocy.

- Szczerze mówiąc, Wasza Wysokość - stwierdził Dockson - bardzo wątpię, by oni tak to widzieli. Wiadomo, jak bardzo ich złości to, że nie mają nic do powiedzenia, dopóki król nie zdecyduje się na pertraktacje.

- Wiem - odparł Elend. - Ale myślę, że warto zaryzykować. Musimy spotkać się ze Straffem. Wrócę z dobrymi... taką przynajmniej mam nadzieję... wiadomościami dla Zgromadzenia. Wówczas będę argumentował, że rezolucja nie została wypełniona. A na razie spotkanie trwa.

Rzeczywiście, jest bardziej zdecydowany, pomyślała Vin. Zmienia się...

Musiała przestać myśleć o takich rzeczach. Skoncentrowała się na czymś innym.

Rozmowa dotyczyła teraz szczegółowych sposobów, które Elend mógł wykorzystać, by wpłynąć na Straffa, i wszyscy członkowie ekipy udzielali mu wskazówek. Vin odkryła, że obserwuje ich uważnie, szukając niepasujących elementów osobowości, by odnaleźć szpiega.

Czy Clubs nie był bardziej milczący niż zazwyczaj? Czy Spook wyrażał się inaczej, dlatego że dorastał, czy też kandra miał problemy z naśladowaniem ulicznego dialektu? Czy Ham nie był zbyt jowialny? Wydawało się, że mniej niż wcześniej skupia się na filozoficznych zagadkach. Czy to dlatego, że spoważniał, czy też kandra nie wiedział, jak go udawać?

To nie miało sensu. Jeśli zbyt długo się nad tym zastanawiała, widziała coś nie w porządku u każdego z nich. A jednocześnie wszyscy byli sobą. Ludzie byli po prostu zbyt skomplikowani, by ograniczyć ich do kilku prostych cech charakteru. Poza tym kandra musiał

być dobry, bardzo dobry. Całe życie szkolił się w sztuce udawania innych i z pewnością planował tę mistyfikację od dawna.

Wszystko sprowadzało się do Allomancji. Ze względu na zamieszanie związane z oblężeniem i swoje badania nad Głębią, nie miała okazji sprawdzić żadnego z przyjaciół.

Zastanawiając się nad tym, uznała, że brak czasu jest kiepską wymówką. Tak naprawdę znajdowała sobie inne zajęcia, bo myśl o tym, że ktoś z ekipy - jeden z jej pierwszych przyjaciół

- jest zdrajcą, była zbyt niepokojąca.

Musiała coś z tym zrobić. Jeśli w ekipie znalazł się szpieg, już było po nich. Gdyby wrodzy królowie dowiedzieli się, co planuje Elend...

Mając to na uwadze, ostrożnie spaliła brąz. Natychmiast wyczuła allomantyczne impulsy od Breeze'a, kochanego, niepoprawnego Breeze'a. Był tak doskonałym Allomantą, że nawet Vin przez większość czasu nie wyczuwała jego wpływu, ale przy tym wszystkim kompulsywnie korzystał ze swojej mocy.

Jednakże tym razem nie wpływał na nią. Przymknęła oczy i skupiła się. Kiedyś, dawno temu, Marsh próbował wyszkolić ją w sztuce korzystania z brązu do odczytywania allomantycznych impulsów. Wtedy nawet sobie nie uświadamiała, jak wielkie było to zadanie.

Kiedy Allomanta spalał metal, efektem było niewidzialne pulsowanie, niczym uderzenia w bęben, które mógł wyczuć jedynie inny Allomanta spalający brąz. Dzięki rytmowi tego pulsowania - temu jak szybko następowały po sobie uderzenia, ich „brzmienie” - można się było domyślić, jaki metal spalano.

Wymagało to praktyki i było trudne, ale Vin stawała się coraz lepsza w odczytywaniu impulsów. Skoncentrowała się. Breeze spalał mosiądz - wewnętrzny umysłowy metal Odpychający. I...

Skupiła się jeszcze bardziej. Wyczuwała omywający ją wzór, podwójne łup-łup z każdym impulsem. Kierowały się na prawo od niej. Impulsy ocierały się o coś jeszcze, co je przyjmowało. Elend. Breeze skupiał się na Elendzie. I nic dziwnego, biorąc pod uwagę obecną dyskusję. Uspokajacz zawsze Odpychał ludzi, z którymi miał kontakt.

Vin poprawiła się w fotelu, zadowolona, zaraz jednak się zawahała. Marsh sugerował, że w brązie kryje się o wiele więcej niż podejrzewają ludzie. Zastanawiam się...

Mocno zacisnęła powieki - ignorując fakt, że gdyby ktoś teraz na nią spojrzeł, uznałby jej zachowanie za dziwne - i znów skupiła się na allomantycznych impulsach. Rozjarzyła brąz, skupiając się tak mocno, że czuła nadchodzący ból głowy. Impulsy miały w sobie... wibrację, nie wiedziała jednak, co to może oznaczać.

Skup się, powiedziała sobie. Impulsy jednak uparcie odmawiały dostarczenia dodatkowych informacji.

Dobra, pomyślała, będę oszukiwać. Wygasiała cynę - spalała ją po odrobinie niemal przez cały czas - po czym sięgnęła w głąb siebie i spaliła czternasty metal. Duraluminium.

Allomantyczne impulsy stały się tak głośne... tak potężne... niemal czuła, jak ich wibracje rozsadzają ją. Były niczym uderzenia potężnego bębna stojącego tuż obok niej. Ale czegoś się dowiedziała.

Niepokój, zdenerwowanie, zmartwienie, niepewność, niepokój, zdenerwowanie, zmartwienie...

Zniknęło, cały jej brąz spłonął w jednym potężnym wybuchu mocy. Vin otworzyła oczy

- nikt z obecnych nie patrzył na nią, za wyjątkiem OreSeura.

Czuła się wyczerpana. Ból głowy, którego się obawiała, teraz nadszedł z pełną mocą, pulsując wewnątrz jej czaszki niczym młodszy brat bębna, który już ucichł. Ale zyskała pewną wiedzę. Nie miała postaci słów, lecz uczuć - i jej pierwszą obawą było, że Breeze wywoływał te emocje. Niepokój, zdenerwowanie, zmartwienie. Od razu jednak przypomniała sobie, że Breeze był Uspokajaczem. Jeśli skupiał się na uczuciach, to na takich, które tłumił. Na tych, które swoją mocą uspokajał.

Przeniosła spojrzenie na Elenda. Zaraz... on dodaje Elendowi pewności siebie! Jeśli młody król stał nieco bardziej wyprostowany, to dzięki cichej pomocy Breeze'a, łagodzącego niepokój i zmartwienie. I Allomanta robił to, jednocześnie kłócąc się i wypowiadając zwyczajowe szydercze komentarze.

Vin zignorowała ból głowy i przyjrzała się pulchnemu mężczyźnie z nowym podziwem.

Zawsze zastanawiała się nad rolą Breeze'a w ekipie. Pozostali byli przynajmniej w części idealistami. Nawet Clubs, mimo swej zrzędlivosti, wydawał jej się porządnym człowiekiem.

Breeze był inny. Skłonny do manipulacji, nieco samolubny - zdawało się, że dołączył do ekipy dla przygody, a nie dlatego, że chciał wolności dla skaa. Kelsier jednak zawsze utrzymywał, że starannie dobierał swoich ludzi, nie tylko ze względu na ich umiejętności, ale też uczciwość.

Może Breeze wcale nie był wyjątkiem. Vin patrzyła, jak wskazuje laską, gdy Ham powiedział coś niepoważnego. A jednak w duchu był zupełnie inny.

Jesteś dobrym człowiekiem, Breeze, pomyślała, uśmiechając się. Nawet jeśli starannie to ukrywasz.

I nie był szpiegiem. Oczywiście, wiedziała o tym od razu, nie było go bowiem w mieście, gdy kandra dokonał zamiany. Jednakże w ten sposób zyskała dodatkowe potwierdzenie.

Gdyby tylko udało jej się jeszcze wyeliminować pozostałych.

\*\*\*

Elend pożegnał się z ekipą. Dockson odszedł, by napisać wymagane listy, Ham zająć się kwestiami bezpieczeństwa, Clubs szkolić żołnierzy, a Breeze uspokoić Zgromadzenie.

Vin również zebrała się do wyjścia. Posłała mu spojrzenie, po czym wpatrzyła się w Tindwyl. Wciąż jesteś wobec niej podejrzliwa, pomyślał Elend z rozbawieniem. Uspokajająco pokiwał głową, a wtedy Vin spojrzała na niego z niejaką irytacją. Pozwoliłby jej zostać, ale...

rozmowa z Terrisanką była wystarczająco zawstydzająca nawet bez świadków.

Vin wyszła z kandrą u boku. Wygląda na to, że coraz bardziej przywiązuje się do stwora, pomyślał Elend z zadowoleniem. Podobało mu się, że ktoś się o nią troszczy.

Kobieta zamknęła za sobą drzwi, a Elend westchnął i rozmasował ramię. Kilka tygodni ćwiczeń z mieczem i laską dużo go kosztowało i miał na ciele wiele sińców. Próbował nie okazywać bólu - a raczej nie pozwolić, by Tindwyl zobaczyła, jak go okazuje. Przynajmniej udowodniłem, że się uczę, pomyślał. Musiała wiedzieć, jak dobrze sobie dziś poradziłem.

- I? - spytał.

- Jesteś żaloszny - stwierdziła Tindwyl, podnosząc się z krzesła.

- Często tak mówisz - odparł Elend i zabrał się za układanie książek.

Tindwyl mówiła, że powinien pozwalać sługom na utrzymywanie porządku w gabinecie, na co on nie chciał się zgodzić. Sterty książek i papierów wydawały się mu właściwe i z pewnością nie chciał, by ktoś inny je prznosił.

Kiedy tak jednak stała nad nim, trudno mu było nie czuć wstydu z powodu bałaganu.

Ułożył kolejną księgę na stercie.

- Z pewnością zauważyłaś, jak dobrze mi poszło - stwierdził Elend. - Pozwolili mi udać się do obozu Straffa.

- Jesteś królem, Elendzie Venture - zauważyła Tindwyl, zakładając ręce na piersi. - Nikt ci na nic nie „pozwała”. Najpierw ty musisz zmienić swoje nastawienie... musisz przestać myśleć, że potrzebujesz pozwolenia lub zgody tych, którym przewodzisz.

- Król powinien rządzić za zgodą swoich obywateli - sprzeciwił się Elend. - Nie stanę się kolejnym Ostatnim Imperatorem.

- Król powinien być silny - stwierdziła stanowczo. - Przyjmuje rady, ale tylko wtedy, kiedy o nie prosi. Jasno stwierdza, że to on podejmuje ostateczną decyzję, nie jego doradcy.

Musisz lepiej panować nad swoimi doradcami. Skoro oni cię nie szanują, to wrogowie też nie będą... ani tym bardziej pospólstwo.

- Ham i inni mnie szanują.

Tindwyl uniosła brew.

- Naprawdę!

- Jak się do ciebie zwracają?

Wzruszył ramionami.

- Są moimi przyjaciółmi. Mówią mi po imieniu.

- Albo zdrobniale. Prawda, „El”?

Elend zarumienił się, odstawiając ostatnią książkę na stertę.

- Chcesz, żebym zmusił przyjaciół do tytułowania mnie?

- Tak - odparła. - Szczególnie w miejscach publicznych. Zwracając się do ciebie, powinni używać tytułu „Wasza Wysokość”, a przynajmniej „panie”.

- Wątpię, by Ham się na to zgodził - zauważył Elend. - Ma pewne problemy z władzą.

- Przewycięży je - powiedziała Tindwyl, przeciągając palcem wzdłuż regału. Nie musiała go unosić, by Elend wiedział, że jest zakurzony.

- A co z tobą? - spytał wyzywająco.

- Ze mną?

- Mówisz do mnie „Elendzie Venture”, nie „Wasza Wysokość”.

- Ja jestem inna - odpowiedziała.

- Nie widzę powodów, by tak było. Od tej pory mów mi „Wasza Wysokość”.

Tindwyl uśmiechnęła się przebiegle.

- Bardzo dobrze, Wasza Wysokość. A teraz możesz rozluźnić zaciśnięte pięści. Musisz nad tym popracować. Mąż stanu nie może okazywać zdenerwowania.

Elend spuścił wzrok, rozluźnił ręce.

- Dobrze.

- Ponadto - mówiła dalej - wciąż jesteś zbyt ostrożny w słowach. Wydajesz się przez to nieśmiały i pełen wahania.

- Pracuję nad tym.

- Nie przepraszaaj, chyba że naprawdę chcesz to zrobić - powiedziała. - I nie usprawiedliwiaj się. Nie musisz tego robić. Przywódcę często ocenia się po sposobie, w jaki niesie swoją odpowiedzialność. Ponieważ jesteś królem, wszystko, co dzieje się w twoim królestwie... niezależnie od tego, kto dopuszcza się tego czynu... jest twoją winą. Ponosisz odpowiedzialność również za takie zdarzenia, jak trzęsienia ziemi i powodzie.

- Oraz armię - dodał Elend.

- Oraz armię. Twoim obowiązkiem jest rozwiązanie tych kwestii, a jeśli coś pójdzie nie tak, to

będzie twoja wina. Musisz to zaakceptować.

Pokiwał głową i podniósł książkę.

- A teraz porozmawiajmy o poczuciu winy - stwierdziła Tindwyl i usiadła. - Przestań sprzątać. To nie jest praca dla króla.

Elend westchnął i odłożył tom.

- Poczucie winy - powiedziała - nie pasuje do króla. Musisz przestać litować się nad sobą.

- Właśnie powiedziałaś mi, że wszystko, co dzieje się w królestwie, jest moją winą!

- Bo jest.

- To jak mogę nie czuć się winny?

- Musisz mieć pewność, że robisz wszystko co w twojej mocy - wyjaśniła Tindwyl. -

Musisz wiedzieć, że niezależnie od tego, jak źle wszystko się potoczy, bez ciebie byłoby jeszcze gorzej. Kiedy dojdzie do katastrofy, przyjmujesz odpowiedzialność, ale nie rozczulasz się nad sobą ani nie zamartwiasz. Nie możesz sobie pozwolić na taki luksus... poczucie winy jest dla ludzi mniejszego formatu. Ty robisz to, czego od ciebie oczekują.

- I tyle?

- Żeby wszystko szło ku lepszemu.

- Cudownie - stwierdził Elend. - A jeśli zawiodę?

- To przyjmujesz odpowiedzialność i przy następnej próbie starasz się, żeby było lepiej.

Przewrócił oczami.

- A jeśli mi się to nie uda? Jeśli naprawdę nie jestem najlepszym kandydatem na króla?

- To się usuń - odparła Tindwyl. - Samobójstwo jest tu preferowanym rozwiązaniem...

zakładając oczywiście, że masz dziedzica. Dobry król wie, że nie należy utrudniać dziedziczenia.

- Oczywiście. Mówisz więc, że powinienem się zabić.

- Nie. Mówię ci, że powinieneś mieć dumę, Wasza Wysokość.

- To wcale tak nie brzmi. Każdego dnia powtarzasz mi, jak złym królem jestem i jak mój lud cierpi z tego powodu! Tindwyl, nie jestem najlepszym człowiekiem na tym stanowisku. On dał się zabić Ostatniemu Imperatorowi.

- Wystarczy! - warknęła Tindwyl. - Możesz w to nie wierzyć, Wasza Wysokość, ale jesteś najlepszym kandydatem na to stanowisko.

Elend prychnął.

- Jesteś najlepszy - powiedziała - gdyż zasiadasz na tronie. Jeśli istnieje coś gorszego od miernego władcy, to chaos. I do tego by właśnie doszło, gdybyś nie zasiadł na tronie. Ludzie po obu stronach, szlachetnie urodzeni i skaa, cię akceptują. Może ci nie wierzą, ale akceptują. Jeśli teraz ustąpisz... albo nawet zginiesz przypadkowo... skutkiem będzie zamęt, upadek i zniszczenie. Źle czy dobrze wyszkolony, słaby z charakteru czy silny, wyszydzany czy szanowany, nieważne, jesteś wszystkim, co ma ten kraj. Jesteś królem, Elendzie Venture.

Zawahał się.

- Nie jestem... pewien, czy twoje słowa sprawiają, że czuję się lepiej, Tindwyl.

- To...

Uniósł rękę.

- Tak, wiem. Nie chodzi o to, jak się czuję.

- Tu nie ma miejsca na poczucie winy. Pogódź się z tym, że jesteś królem, pogódź się, że nie możesz zrobić niczego sensownego, by to zmienić, i przyjmij odpowiedzialność.

Cokolwiek robisz, bądź pewien siebie, bo gdyby ciebie tu nie było, zapanowałby chaos.

Elend pokiwał głową.

- Arogancja, Wasza Wysokość - stwierdziła kobieta. - Skutecznych przywódców łączy jedna wspólna cecha. Wszyscy wierzą, że są lepsi od alternatywy. Pokora to dobra cecha, kiedy myślisz o odpowiedzialności i obowiązkach, lecz gdy nadchodzi czas, by podjąć decyzję, nie wolno ci w siebie wątpić.

- Spróbuję.

- Dobrze. A teraz może zajmiemy się inną kwestią. Powiedz mi, czemu nie ożeniłeś się z tą dziewczyną?

Elend zmarszczył czoło. Nie spodziewał się tego...

- To bardzo osobiste pytanie, Tindwyl.

- Dobrze.

Elend nachmurzył się jeszcze bardziej, lecz ona tylko siedziała i patrzyła na niego znacząco.



- Nie wiem - przyznał w końcu, siadając z westchnieniem na krześle. - Vin... różni się od innych kobiet.

Tindwyl uniosła brew, jej głos nieco złagodniał.

- Sądzę, że gdy poznasz więcej kobiet, Wasza Wysokość, zrozumiesz, że to zdanie odnosi się do nich wszystkich.

Elend pokiwał ze smutkiem głową.

- Tak czy inaczej - kontynuowała - w tej chwili sytuacja nie wygląda dobrze. Nie będę się wtrącać w wasz związek, ale, jak już mówiliśmy, pozory są bardzo ważne dla króla.

Posiadanie kochanki nie jest odpowiednie. Jak rozumiem, coś takiego było typowe dla szlachetnie urodzonych.

Skaa jednak pragnę widzieć w tobie kogoś lepszego. Być może właśnie dlatego, że wielu arystokratów prowadziło tak bogate życie miłosne, skaa cenią monogamię. Rozpaczliwie pragnę, byś szanował ich wartości.

- Zatem będą musieli cierpliwie poczekać - odparł Elend. - Chcę poślubić Vin, ale ona się na to nie zgadza.

- Wiesz dlaczego?

Pokręcił głową.

- Przez większość czasu jej nie rozumiem.

- Może nie jest właściwą żoną dla mężczyzny na takim stanowisku.

Elend gwałtownie uniół głowę.

- Co masz na myśli?

- Może potrzebujesz kogoś bardziej wyrafinowanego - wyjaśniła. - Na pewno jest doskonałą strażniczką, ale jako dama...

- Przestań - warknął Elend. - Vin jest doskonała taka, jaka jest.

Tindwyl uśmiechnęła się.

- Co? - spytał ostro.

- Przez całe popołudnie cię obrażałam, Wasza Wysokość, a ty ledwie się skrzywiłeś. Z

pewnym lekceważeniem wspomniałam twoją Zrodzoną z Mgły, a jesteś gotów mnie wyrzucić.

- I co z tego?

- Kochasz ją?

- Oczywiście - odparł. - Nie rozumiem jej, ale tak, kocham ją.

Tindwyl pokiwała głową.

- W takim razie przepraszam. Musiałam się upewnić.

Elend zmarszczył czoło, ale usiadł w nieco bardziej rozluźnionej pozie.

- To była jakaś próba, tak? Chciałaś zobaczyć, jak zareaguję na twoje słowa na temat Vin?

- Ci, których będziesz spotykał, zawsze będą wystawiać cię na próbę. Musisz się do tego przyzwyczaić.

- Ale co cię obchodzi mój związek z Vin?

- Dla królów miłość nie jest łatwa - powiedziała Tindwyl niezwykle łagodnie. - Jeszcze zobaczysz, że twoja sympatia do tej dziewczyny będzie źródłem większych problemów niż cała reszta kwestii, o których rozmawialiśmy.

- I dlatego mam z niej zrezygnować? - spytał sztywno.

- Nie - odparła. - Wcale tak nie uważam.

Elend zawahał się, wpatrując się w dostojną Terrisanę, jej prostokątną twarz i sztywną pozę.

- To... brzmi dziwnie w twoich ustach. A co z królewskim obowiązkiem i pozorami?

- Czasami trzeba iść na pewne ustępstwa - odpowiedziała.

Interesujące, pomyślał Elend. Nie spodziewał się po niej zgody na żadne „ustępstwa”.

Może jest głębsza niż mi się wydawało?

- A jak idą twoje ćwiczenia szermiercze? - spytała.

Elend rozmasował obolałe ramię.

- Całkiem nieźle, tak myślę. Ale...

Przerwało mu pukanie do drzwi. Chwilę później do środka wszedł kapitan Demoux.

- Wasza Wysokość, przybył gość z armii lorda Cetta.

- Posłaniec? - spytał Elend, wstając.

Demoux zawahał się, wydawał się zażenowany.

- Cóż... w pewnym sensie. Mówi, że jest córką lorda Cetta i szuka Breeze'a.

*Pochodził z ubogiej rodziny, a jednak poślubił królewską córkę.*

Droga suknia młodej kobiety - jasnoczerwony jedwab z szalem i koronkowymi rękawami - mogłaby nadawać jej pozory godności, gdyby nie ruszyła truchtem w chwili, gdy do komnaty wszedł Breeze. Jasne włosy kobiety z zachodu falowały, kiedy z piskiem radości rzuciła mu się na szyję.

Miała najwyżej osiemnaście lat.

Elend spojrział na Hama, który stał oszołomiony.

- Cóż, chyba miałeś rację co do Breeze'a i córki Cetta - szepnął Elend.

Ham potrząsnął głową.

- Nie sądziłem... to znaczy, żartowałem, bo to Breeze, ale nie spodziewałem się, że mam rację!

Uspokajacz zachował przynajmniej tyle przyzwoitości, by wyglądać na skrepowanego w objęciach dziewczyny. Znajdowali się w tym samym atrium, w którym wcześniej Elend spotkał się z posłańcem swojego ojca. Sięgające od podłogi do sufitu okna wpuszczały popołudniowe światło, a grupa służących stała z boku, czekając na rozkazy Elenda.

Breeze spojrział młodemu królowi w oczy i zarumienił się. Chyba nigdy wcześniej nie widziałem, żeby to robił, pomyślał Elend.

- Moja droga - stwierdził Breeze, odchrząkując - nie sądzisz, że powinnaś przedstawić się królowi?

Dziewczyna w końcu go puściła. Cofnęła się o krok i dygnęła z arystokratycznym wdziękiem. Była zaokrąglona, nosiła długie włosy zgodnie z modą sprzed Upadku, a jej policzki się zarumieniły. Wyglądała na uroczą i doskonale znającą życie na dworze - takich właśnie dziewcząt Elend unikał przez całą młodość.

- Elendzie - odezwał się Breeze - chciałbym ci przedstawić Allriane Cett, córkę lorda Ashweathera Cetta, króla Zachodniego Dominium.

- Wasza Wysokość - powiedziała Allriane.

Elend skinął głową.

- Lady Cett. - Zawahał się, po czym mówił dalej głosem pełnym nadziei: - Twój ojciec wysłał cię z wiadomością?

Allriane milczała przez chwilę.

- No... on właściwie mnie nie wysłał, Wasza Wysokość.

- Ojej - mruknął Breeze, ocierając czoło chusteczką.

Elend spojrział na Hama i znów na dziewczynę.

- Może powinnaś to wyjaśnić - powiedział, wskazując na fotele.

Dziewczyna pokiwała głową, lecz cały czas trzymała się Breeze'a. Elend kazał służyć przynieść schłodzone wino.

Przeczuwał, że będzie miał ochotę się napić.

- Proszę o schronienie, Wasza Wysokość - powiedziała pospiesznie Allrienne. -

Musiałam odejść. To znaczy, Breezy musiał ci przecież powiedzieć, jaki jest mój ojciec!

Breeze siedział z niewyraźną miną. Dziewczyna położyła mu rękę na kolanie.

- Jaki jest twój ojciec? - spytał Elend.

- Uwielbia manipulować ludźmi - odpowiedziała. - I jest taki wymagający. Wygnał

Breezy'ego, a ja naprawdę musiałam pójść za nim. Nie chciałam siedzieć w tym obozie ani chwili dłużej. Obóz wojskowy! Zabrał mnie, młodą damę, ze sobą na wojnę! Wiesz, jak to jest, kiedy gapi się na ciebie każdy przechodzący żołnierz? Wiesz, jak to jest mieszkać w namiocie?

- Ja...

- Rzadko mieliśmy świeżą wodę - mówiła dalej Allrienne. - I tak nie mogłam się wykapać, bo bałam się podglądających żołnierzy! Podczas podróży nie miałam nic do roboty przez cały dzień, tylko siedziałam w powozie i podskakiwałam, podskakiwałam, podskakiwałam. Nim pojawił się Breezy, przez całe tygodnie nie miałam z kim poprowadzić inteligentnej konwersacji! A później, gdy ojciec go wygnał...

- Ponieważ? - spytał Ham z niecierpliwością.

Breeze zakaszłał.

- Musiałam się stamtąd wydostać, Wasza Wysokość - powiedziała Allrienne. - Musisz dać mi schronienie! Wiem rzeczy, które mogą ci pomóc. Na przykład widziałam obóz mojego ojca. Na pewno nie wiesz, że dostaje zapasy z fabryki konserw w Haverfrefx! Co o tym sądzisz?

- Hm... robi wrażenie - odparł z wahaniem Elend.

Dziewczyna skinęła głową.

- I przybyłaś tu, by odnaleźć Breeze'a? - spytał młody król.

Allrienne zarumieniła się nieco, odwróciła wzrok. Kiedy jednak się odezwała, nie była szczególnie

ostrożna w słowach.

- Musiałam znów go zobaczyć, Wasza Wysokość. Jest taki uroczy, taki... cudowny. Nie spodziewałam się, by ojciec zrozumiał kogoś takiego.

- Rozumiem - powiedział Elend.

- Proszę, Wasza Wysokość. Musisz mnie przyjąć. Teraz, gdy opuściłam ojca, nie mam dokąd wrócić!

- Możesz zostać, przynajmniej na razie - stwierdził Elend, witając skinieniem głowy Docksona, który właśnie wszedł. - Ale pewnie jesteś zmęczona po podróży. Nie chciałabyś się może odświeżyć?

- Och, byłabym ogromnie wdzięczna, Wasza Wysokość!

Elend spojrzał na Cadona, jednego z lokajów, który razem z innymi służącymi stał na końcu atrium. Mężczyzna odpowiedział skinieniem - komnaty były gotowe.

- W takim razie - powiedział młody król, wstając - Cadon zaprowadzi cię do twoich komnat. O siódmej zjemy kolację i wtedy znów porozmawiamy.

- Dziękuję, Wasza Wysokość! - Allrienne poderwała się z krzesła. Znów uściśnęła Breeze'a, po czym zrobiła krok do przodu, jakby miała zamiar zrobić to samo z Elendem. Na szczęście zreflektowała się i pozwoliła się odprowadzić służącym.

Elend usiadł. Breeze westchnął głęboko, odchylając się do tyłu, Dockson zaś podszedł do nich i zajął miejsce dziewczyny.

- To było... niespodziewane - zauważył Breeze.

Zapadło niezręczne milczenie. Drzewa w atrium kołysały się lekko na wietrze wpadającym przez balkon. Nagle Ham zaczął się głośno śmiać. Dźwięk ten sprawił, że i Elend

- mimo niebezpieczeństwa i powagi sytuacji - nie mógł powstrzymać śmiechu.

- No, naprawdę - burknął Breeze.

To tylko rozśmieszyło ich jeszcze bardziej.

Być może chodziło o niedorzeczność całej sytuacji, być może Elend musiał w końcu nieco się rozluźnić, w każdym razie śmiał się tak głośno, że prawie spadł z krzesła. Ham podobnie, nawet Dockson wykrzywił usta w uśmiechu.

- Nie widzę tu żadnego powodu do wesołości - zauważył Uspokajacz. - Córka lorda Cetta, który właśnie nas oblega, zażądała schronienia w naszym mieście. Jeśli Cett dotychczas nie miał zamiaru nas zabić, to teraz z pewnością zmieni zdanie!

- Wiem - odparł Elend, oddychając głęboko. - Wiem. Po prostu...

- Chodzi o sam obraz - wtrącił Ham - ciebie w objęciach tej dworskiej bezy. Nikt chyba nie jest bardziej skrzępowany od ciebie w towarzystwie irracjonalnej młodej damy!

- To jeszcze bardziej komplikuje naszą sytuację - zauważył Dockson. - Choć nie myślałem, że ty ściągniesz nam na głowę problem takiej natury, Breeze. Szczerze mówiąc, spodziewałem się, że po śmierci Kella uda nam się uniknąć tego rodzaju sytuacji z kobietami.

- To nie moja wina - stwierdził stanowczo Breeze. - Sympatia dziewczyny jest całkowicie nie na miejscu.

- Oczywiście - mruknął Ham.

- No dobra. Co to za różowe stworzonko, które minęłam w korytarzu?

Elend odwrócił się i ujrzał Vin stojącą z rękami na piersi w wejściu do atrium. Tak cicho. Dlaczego skrada się nawet w pałacu? Vin nigdy nie wkładała butów, które stuknęły, nie nosiła spódnic, które mogły szeleścić, i nie miała metalowych ozdób, które mogłyby podzwaniać lub zostać wykorzystane przez innych Allomantów.

- To nie był różowy, moja droga - odezwał się Breeze. - Tylko czerwony.

- Nieważne, są podobne - stwierdziła Vin, podchodząc bliżej. - Tłumaczyła służącym, jak ciepła ma być jej kąpiel, i upewniała się, że zapiszą sobie, jakie są jej ulubione potrawy.

Breeze westchnął.

- Cała Allrienne. Pewnie będziemy musieli zatrudnić nowego cukiernika... albo kupować desery w mieście. Ma szczególne wymagania dotyczące ciast.

- Allrienne Cett jest córką lorda Cetta - wyjaśnił Elend, gdy Vin zignorowała krzesła i usiadła na krawędzi kwietnika, kładąc mu dłoń na ramieniu. - Najwyraźniej między nią a Breeze'em coś zaszło.

- Słucham? - burknął Breeze.

Vin zmarszczyła nos.

- Breeze, to obrzydliwe. Ty jesteś stary, a ona młoda.

- Między nami nic nie było - warknął mężczyzna. - Poza tym ani ja nie jestem taki stary, ani ona taka młoda.

- Zachowuje się, jakby miała najwyżej dwanaście lat - zauważyła Vin.

Breeze przewrócił oczami.

- Allrianne jest dzieckiem prowincjonalnego dworu, trochę niewinnym, trochę zepsutym, ale nie zasługuje, żeby tak o niej mówić. Właściwie, w odpowiednich okolicznościach, jest całkiem bystra.

- To między wami w końcu do czegoś doszło? - dopytywała się Vin.

- Oczywiście, że nie - odparł. - To znaczy, nie do końca. Nic poważnego, choć mogło zostać źle zinterpretowane. Zostało źle zinterpretowane, kiedy jej ojciec się dowiedział... A zresztą, kto to mówi, Vin? Chyba pamiętam, jak pewna młoda dziewczyna wzdychała do starego Kelsiera przed kilku laty.

Elend nadstawił uszu.

Vin się zarumieniła.

- Nigdy nie wzdychałam do Kelsiera.

- Nawet na początku? - spytał Breeze. - Nie mów? Do takiego wspaniałego mężczyzny?

Uratował cię przed biciem przez dawnego szefa, zabrał cię...

- Chory jesteś - stwierdziła Vin, splatając ręce na piersi. - Kelsier był dla mnie jak ojciec.

- Później może tak - zgodził się mężczyzna - ale...

Elend uniósł rękę.

- Wystarczy - powiedział. - Ta dyskusja nic nie wnosi.

Breeze prychnął, ale umilkł. Tindwyl ma rację, pomyślał Elend. Słuchają mnie, jeśli zachowuję się tak, jakbym tego od nich oczekiwał.

- Musimy zdecydować, co robić - stwierdził król.

- Córka człowieka, który nam zagraża, może być bardzo potężną kartą przetargową - zauważył Dockson.

- To znaczy, ma zostać zakładniczką? - spytała Vin, mrużąc oczy.

Dox wzruszył ramionami.

- Ktoś musiał stwierdzić fakty, Vin.

- Nie do końca zakładniczką - powiedział Ham. - W końcu sama do nas przyszła. Jeśli pozwolimy jej zostać, efekt będzie ten sam.

- Rzykujemy gniew Cetta - stwierdził Elend. - Chcieliśmy, żeby pomyślał, że jesteśmy jego sojusznikami.



- Możemy ją odesłać - powiedział Dockson. - Powinno nam to pomóc w negocjacjach.

- A jej prośba? - spytał Breeze. - Dziewczyna nie była szczęśliwa w obozie ojca. Nie powinniśmy wziąć pod uwagę jej pragnień?

Wszyscy spojrzeli na Elenda. Zawahał się. Jeszcze przed kilkoma tygodniami kłóciliby się dalej. Wydawało się aż dziwne, że tak szybko zaczęli oczekiwać, iż to on będzie podejmował decyzje.

Kim był? Człowiekiem, który przypadkowo wylądował na tronie? Kiepskim zastępcą ich błyskotliwego przywódcy? Idealistą, który nie rozważył niebezpieczeństwa swojej filozofii? Głupcem? Dzieckiem? Oszustem?

Najlepszym, co mieli.

- Zostanie - stwierdził Elend. - Na razie. Być może wkrótce będziemy zmuszeni ją odesłać, ale na razie niech zakłóca spokój Cetta. Niech się denerwuje. To kupi nam trochę czasu.

Członkowie ekipy pokiwali głowami. Breeze wyglądał na uspokojonego.

Robię, co mogę. Podejmuję decyzje, które uważam za konieczne, pomyślał Elend.

A później ponoszę konsekwencje.

*Umiał rozmawiać z najmądrzejszymi filozofami i miał imponującą pamięć. Niemal tak dobrą jak moja. A przy tym wszystkim nie był swarliwy.*

Chaos i stabilność, mgła była i jednym, i drugim. Na ziemi wznosiło się imperium, wewnątrz imperium zdruzgotane królestwa, w królestwach miasta, miasteczka, wioski, plantacje. A ponad nimi, wewnątrz i wokół nich unosiła się mgła. Bardziej stała niż słońce, gdyż nie zakrywały jej chmury. Potężniejsza niż burze, gdyż przetrwała każdy kaprys pogody.

Zmienna, lecz wieczna.

Dzień wypełniała niepewność w oczekiwaniu na noc. Lecz gdy w końcu nadeszła ciemność, Vin odkryła, że mgły nie napełniają jej spokojem, jak niegdyś.

Nic nie było już pewne. Kiedyś noc oznaczała schronienie - teraz spoglądała za siebie, szukając widmowych kształtów. Niegdyś Elend był jej spokojem, ale to się zmieniało. Niegdyś była zdolna bronić tych, których kochała, lecz teraz obawiała się coraz bardziej, że sił

zwróconych przeciwko Luthadel nie powstrzyma.

Nic nie przerażało jej bardziej niż własna bezsilność. W dzieciństwie uważała za oczywiste to, że nic nie uda jej się zmienić, lecz Kelsier pomógł jej uwierzyć w siebie.

Ile znaczyła, skoro nie mogła ochronić Elenda?

Ale coś jeszcze mogę zrobić, pomyślała. Kuliła się w milczeniu na półce, pasma mgielnego płaszcza kołysały się lekko na wietrze. Tuż pod nią, na murze Twierdzy Venture płonęły pochodnie, oświetlając dwóch strażników Hama. Stali wyprostowani w kłębiącej się mgle, okazując podziwu godną gorliwość.

Strażnicy nie mogli zobaczyć jej na górze - w gęstej mgle widzieli na odległość najwyżej dwudziestu stóp. Nie byli Allomantami. Poza ekipą, Elend miał dostęp do najwyżej pół tuzina Mglistych - co oznaczało, że w dziedzinie Allomancji był najsłabszym z nowych królów Ostatniego Imperium. Vin miała niwelować tę różnicę.

Pochodnie zamigotały, gdy wejście otworzyło się i ktoś wyszedł z pałacu. Głos Hama odbił się echem wśród mgieł, gdy przywitał strażników. Jednym z powodów - być może jedynym - gorliwości strażników była osoba Hama. W głębi duszy mógł być anarchista, lecz jeśli dostawał niewielką drużynę, był też bardzo dobrym przywódcą. Choć jego strażnicy nie odznaczałi się może wyjątkową dyscypliną i dbałością o mundury, byli bezwzględnie lojalni.

Ham przez chwilę rozmawiał ze swoimi ludźmi, po czym machnął im ręką na pożegnanie i zniknął we mgle. Na niewielkim dziedzińcu między twierdzą a murem stało kilka posterunków, a Ham odwiedzał każdy z nich po kolei. Szedł odważnie w mroku, korzystając z rozproszonego blasku gwiazd, zamiast oślepiac się pochodnią. Nawyki złodzieja.

Vin uśmiechnęła się, zeskoczyła cicho i ruszyła za nim. Szedł dalej, nieświadom jej obecności. Jak to jest, mieć tylko jedną moc allomantyczną, myślała. Móc zwiększyć swoją siłę, ale mieć słuch równie

słaby, jak inni ludzie? Minęły zaledwie dwa lata, ale nauczyła się polegać na swoich umiejętnościach.

Ham szedł dalej, a Vin podążała za nim dyskretnie, aż dotarli do zasadzki. Kobieta stężała i rozjarzyła brąz.

OreSeur zawył nagle, zeskakując ze sterty skrzyń. Kandra był ciemną sylwetką w mroku, a jego nieludzkie wycie zaniepokoiło nawet Vin. Ham obrócił się na pięcie, przeklinając cicho.

I instynktownie rozjarzył cynę z ołowiem. Skupiona na brązie Vin potwierdziła, że impulsy pochodzą od niego. Kapitan obrócił się, wpatrując w mrok. OreSeur wylądował na ziemi. Vin uśmiechnęła się tylko. Allomancja mężczyzny oznaczała, że nie był intruzem.

Mogła skreślić kolejne imię z listy.

- Wszystko w porządku, Ham - powiedziała, podchodząc bliżej.

Zatrzymał się, opuszczając laskę pojedynkową.

- Vin? - zapytał, mrużąc oczy.

- Tak - odparła. - Przepraszam, zaskoczyłeś mojego psa. Nocami robi się nerwowo.

Mężczyzna się rozluźnił.

- Jak my wszyscy czasami. Coś się dzieje?

- Niczego nie zauważyłam - odparła. - Dałabym ci znać.

Pokiwał głową.

- Doceniłbym to... choć wątpię, byś mnie potrzebowała. Jestem kapitanem straży, ale ty robisz najwięcej.

- Jesteś cenniejszy niż myślisz, Ham - sprzeciwiła się Vin. - Elend ci się zwierza. Od kiedy Jastes i inni odeszli, potrzebuje przyjaciela.

Ham pokiwał głową. Vin odwróciła się, spoglądając w mrok. OreSeur siedział na tylnych łapach i czekał. Wydawało się, że coraz lepiej czuje się w swoim psim ciele.

Teraz, gdy wiedziała, że Ham nie jest szpiegiem, musiała coś z nim omówić.

- Ham - powiedziała - twoja ochrona jest cenniejsza, niż ci się wydaje.

- Mówisz o intruzie - odparł cicho mężczyzna. - El kazał mi sprawdzić służbę pałacową, by dowiedzieć się, czy ktoś tamtego dnia nie zniknął na parę godzin. Ale to trudne zadanie.

Kiwnęła głową.

- Jest coś jeszcze. Skończyło mi się atium.

Przez chwilę stał w milczeniu pośród mgieł, po czym usłyszała, jak tłumi przekleństwo.

- Kiedy następnym razem będę walczyć przeciwko Zrodzonemu z Mgły, zginę -  
powiedziała.

- O ile on będzie miał atium - odparł Ham.

- A po co ktoś miałby wysyłać przeciwko mnie Zrodzonego z Mgły bez atium?

Zawahał się.

- Ham - powiedziała - muszę znaleźć sposób walki przeciwko komuś, kto spala atium.

Powiedz mi, że znasz taki sposób.

Wzruszył ramionami.

- Istnieje wiele teorii, Vin. Kiedyś długo rozmawiałem na ten temat z Breeze'em... choć on przez większość czasu jęczał, że go irytuję.

- I? - spytała. - Co mogę zrobić?

Podrapał się po brodzie.

- Większość zgadza się, że najlepszym sposobem na zabicie Zrodzonego z Mgły z atium jest zaskoczenie go.

- To mi nic nie da, jeśli zostanę zaatakowana.

- Cóż - odparł Ham. - Pomijając zaskoczenie, niewiele pozostaje. Niektórzy uważają, że być może uda ci się zabić Zrodzonego z Mgły używającego atium, jeśli postawisz go w sytuacji nie do uniknięcia. To tak jak w grze... czasem jedynym sposobem pozbycia się pionka jest otoczenie go tak, by zginął niezależnie od posunięcia. Ale zrobienie czegoś takiego ze Zrodzonym z Mgły jest trudne. Cała kwestia w tym, że atium pozwala mu widzieć przyszłość, więc wie, który ruch oznacza pułapkę, i unika go. Ten metal podobno również na swój sposób wzmacnia umysł.

- Owszem. Kiedy spalą atium, często robię unik, zanim w ogóle dostrzegę nadchodzący atak.

Ham pokiwał głową.

- I? - spytała. - Coś jeszcze?

- I tyle, Vin - odparł. - Zbiry często dyskutują na ten temat... wszyscy boimy się walki ze Zrodzonym z

Mgły. Masz dwie możliwości: zaskoczenie albo obezwładnienie. Przykro mi.

Vin zmarszczyła czoło. Żadne z rozwiązań jej nie pomoże, jeśli wpadnie w pułapkę.

- Tak czy inaczej, muszę ruszać dalej. Obiecuję, że opowiem ci, jeśli zostawię jakieś trupy.

Ham zaśmiał się.

- A może po prostu spróbuj unikać sytuacji, w których mogą się pojawić jakieś trupy?

Imperator jeden wie, co stałoby się z tym królestwem, gdybyśmy cię utracili...

Vin pokiwała głową, choć nie była pewna, na ile Ham widzi ją w ciemności. Machnęła na OreSeura, kierując się w stronę muru i pozostawiając mężczyznę na brukowanej ścieżce.

- Panienko - powiedział OreSeur, kiedy wspięli się na szczyt muru - czy mogę poznać cel zaskoczenia mistrza Hammonda w taki sposób? Lubisz straszyć swoich przyjaciół?

- To była próba - odparła Vin, zatrzymując się między blankami i spoglądając na miasto.

- Próba, panienko?

- Chciałam sprawdzić, czy użyje Allomancji. W ten sposób mogłam się dowiedzieć, czy nie jest szpiegiem.

- Ach - stwierdził kandra. - Sprytnie, panienko.

Vin się uśmiechnęła.

- Dziękuję - powiedziała.

W ich stronę szedł patrol straży. Nie chcąc z nimi rozmawiać, Vin wskazała na kamienną strażnicę na murze. Skoczyła, odpychając się od monety, i wylądowała na jej dachu.

OreSeur wylądował obok niej, wykorzystując swoje dziwne mięśnie kandra, by skoczyć dziesięć stóp w górę.

Vin usiadła ze skrzyżowanymi nogami, by się zastanowić. OreSeur podszedł do niej i położył się z łapami zwieszającymi się przez krawędź. Gdy tak siedzieli, zastanowiła się nad czymś. OreSeur powiedział mi, że kandra nie zyskują mocy allomantycznych, gdy pochłaniają Allomantę... ale czy kandra sam z siebie może być Allomantą? Nie skończyłam tamtej rozmowy.

- To wystarczy, żebym stwierdziła, że ktoś nie jest kandrą, prawda? - spytała, odwracając się do OreSeura. - Twój lud nie ma mocy allomantycznych?

Nie odpowiedział.

- OreSeur?

- Nie mam obowiązku odpowiadać na to pytanie, panienko.

Tak, westchnęła Vin. Kontrakt. Jak mam złapać tamtego kandra, jeśli OreSeur nie będzie odpowiadał na moje pytania? Położyła się na plecach, wpatrując się z frustracją we mgłę. Pod głowę podłożyła mgielny płaszcz.

- Twój plan zadziała, panienko - powiedział cicho OreSeur.

Obróciła głowę, by na niego spojrzeć. Leżał z łbem opartym na łapach, patrząc na miasto.

- Jeśli wyczuwasz od kogoś Allomancję, to nie jest kandra.

Vin wyczuła w jego głosie wahanie i opór. Nie patrzył na nią. Zupełnie jakby mówił to niechętnie, udzielając jej informacji, którą wolałby raczej zachować dla siebie.

Taki tajemniczy, pomyślała.

- Dziękuję - powiedziała.

OreSeur wzruszył psimi ramionami.

- Wiem, że wolałbyś nie mieć ze mną do czynienia - stwierdziła. - Oboje wolelibyśmy nie przebywać zbyt blisko siebie. Ale musimy razem działać.

Kandra pokiwał łbem, po czym odwrócił się w jej stronę.

- Dlaczego mnie nienawidzisz?

- Nie nienawidzę cię - odparła.

OreSeur uniósł psią brew. W tych oczach kryła się mądrość i zrozumienie, które zaskoczyło Vin. Wcześniej w nim czegoś takiego nie widziała.

- Ja... - przerwała, odwróciła wzrok. - Po prostu nigdy nie mogłam przeboleć, że pożarłeś ciało Kelsiera.

- Nie o to chodzi - stwierdził, znów patrząc na miasto. - Jesteś za bystra, by się tym przejmować.

Vin zrobiła oburzoną minę, lecz kandra na nią nie patrzył. Odwróciła się i wpatrzyła we mgłę. Zastanawiała się, dlaczego poruszył tę kwestię. Już zaczynaliśmy się dogadywać.

Chciała zapomnieć.

Naprawdę chcesz wiedzieć, pomyślała. Świetnie.

- To dlatego, że wiedziałeś - wyszeptała.

- Przepraszam, panienko?

- Wiedziałaś - powtórzyła Vin, nadal wpatrując się we mgły. - Tylko ty w całej ekipie wiedziałaś, że Kelsier zginie. Powiedział ci, że pozwoli się zabić, a ty masz wziąć jego kości.

- Ach, tak - powiedział cicho kandra.

Vin spojrzała oskarżycielsko na stwora.

- Dlaczego nic nie mówiłaś? Wiedziałaś, co czujemy do Kelsiera. Czy nie pomyślałaś chociaż, żeby powiedzieć nam, że ten idiota chce się zabić? Nie przyszło ci na myśl, że uda nam się go powstrzymać, że wymyślimy jakieś inne rozwiązanie?

- Jesteś surowa, panienko.

- Chciałaś wiedzieć - odparła. - Najgorzej było tuż po jego śmierci. Kiedy zostałam moim sługą, zgodnie z jego rozkazem. Nawet nie wspomniałaś o tym, co zrobiłaś.

- Kontrakt, panienko - stwierdził kandra. - Pewnie nie chcesz tego słyszeć, ale byłem związany. Kelsier nie chciał, żebyś poznała jego plany, więc nie mogłem ci powiedzieć.

Możesz mnie nienawidzić, jeśli chcesz, ale nie żałuję tego, co zrobiłem.

- Nie nienawidzę cię. -- Już mi przeszło, dodała w myśli. - Ale, szczerze, nie złamałbyś Kontraktu dla jego własnego dobra? Służyłaś Kelsierowi przez dwa lata. Nie bolała cię świadomość, że zginie?

- A co mnie obchodzi, że ten czy inny pan zginie? - sprzeciwił się OreSeur. - Zawsze będzie kolejny pan, który zajmie jego miejsce.

- Kelsier nie był takim panem - stwierdziła Vin.

- Naprawdę?

- Nie.

- Przepraszam, panienko - powiedział OreSeur. - Będę wierzył zgodnie z poleceniem.

Vin otworzyła usta do odpowiedzi, lecz zaraz je zamknęła. Skoro chciał się zachowywać jak głupiec, to miał do tego prawo. Mógł nadal czuć niechęć do panów, tak samo...

Tak samo, jak ona czuła niechęć do niego. Za dotrzymanie słowa, za trzymanie się Kontraktu.

Od kiedy go znam, cały czas źle go traktuję, pomyślała Vin. Najpierw, kiedy był

Renoux, reagowałam na jego wyniosłość - ale on wcale nie był wyniosły, to wynikało z jego roli. Później, jako OreSeura, unikałam go. Nawet go nienawidziłam za to, że pozwolił

Kelsierowi umrzeć. A teraz zmusiłam go do przyjęcia zwierzęcej postaci.

I przez te dwa lata pytałam go o jego przeszłość tylko wtedy, gdy chciałam dowiedzieć się więcej na temat jego ludu, by znaleźć szpiega.

Vin wpatrywała się w mgłę. Ze wszystkich członków ekipy tylko OreSeur był obcy. Nie zapraszano go na ich rozmowy. Nie otrzymał stanowiska w rządzie. Pomagał tak samo, jak pozostali, odgrywał kluczową rolę - jako „duch” Kelsiera, który powrócił z za grobu, by wywołać ostateczny bunt skaa. I podczas gdy wszyscy pozostali mieli tytuły, przyjaźń i obowiązki, po upadku Ostatniego Imperium OreSeur zyskał jedynie nowego pana.

Który go nienawidził.

Nic dziwnego, że tak reaguje, pomyślała. Wróciły do niej ostatnie słowa Kelsiera.

„Wciąż jeszcze musisz nauczyć się tego i owego o przyjaźni, Vin...”. Kell i pozostali zaprosili ją, traktowali z godnością i przyjaźnią, nawet kiedy na to nie zasługiwała.

- OreSeurze - powiedziała - jak wyglądało twoje życie, nim zostałeś zatrudniony przez Kelsiera?

- Nie widzę, by to miało jakiś związek z odnalezieniem intruza, panienko - odparł.

- Bo też i nie ma z tym nic wspólnego. Pomyślałam, że może powinnam cię lepiej poznać.

- Proszę mi wybaczyć, panienko, ale ja nie chcę, żebyś mnie poznała.

Vin westchnęła. I tyle swojego.

Ale... Kelsier i pozostali nie odwracali się od niej, kiedy mówiła otwarcie. Słowa OreSeura brzmiały znajomo. Rozpoznawała je.

- Anonimowość - powiedziała cicho.

- Panienko?

- Anonimowość. Ukrywanie się, nawet gdy nie jesteś sam. Bycie cichym, niezwracającym na siebie uwagi. Zmuszanie się do trzymania się na dystans... przynajmniej emocjonalnie. To sposób na życie. Ochrona.

Kandra nie odpowiedział.

- Służysz panom - mówiła dalej. - Surowym ludziom, którzy boją się twoich umiejętności. Jedynym sposobem, by cię nie znienawidzili, jest upewnienie się, że nie zwracają na ciebie uwagi. Udajesz więc małego i słabego. Niegroźnego. Ale czasem mówisz coś niewłaściwego albo pozwalasz, by ujawniła się twoja buntownicza natura.

Odwróciła się do niego. Obserwował ją.



- Tak - powiedział w końcu i znów zaczął wpatrywać się w miasto.

- Nienawidzą cię - powiedziała cicho. - Nienawidzą cię z powodu twoich mocy, ponieważ nie mogą cię zmusić do złamania słowa albo się boją, że jesteś zbyt silny, by nad tobą zapanować.

- Zaczynają się ciebie bać - stwierdził OreSeur. - Popadają w paranoję... wykorzystują cię, ale są przerażeni, że zajmiesz ich miejsce. Mimo Kontraktu, mimo wiedzy, że żaden kandra nie złamie swojej świętej przysięgi, boją się ciebie. A ludzie nienawidzą tego, czego się boją.

- I dlatego - powiedziała - znajdują powody, by cię bić. Czasem prowokują ich nawet twoje próby udawania nieszkodliwego. Nienawidzą twoich zdolności, nienawidzą świadomości, że nie mają powodów, by cię bić, więc cię biją.

OreSeur odwrócił się w jej stronę.

- Skąd to wiesz? - spytał z naciskiem.

Wzruszyła ramionami.

- Nie tylko kandra są tak traktowani, OreSeurze. Tak samo przywódcy szajek traktują młodą dziewczynę... dziwadło w złodziejskim półświatku pełnym mężczyzn. Dziecko, które ma dziwne umiejętności... wpływa na ludzi, słyszy to, czego nie powinno, rusza się ciszej i szybciej niż inni. Narzędzie, a jednocześnie zagrożenie.

- Nie... nie miałem o tym pojęcia, panienko...

Vin zmarszczyła czoło. Jak mógł nie wiedzieć o mojej przeszłości? Wiedział, że żyłam na ulicy. Ale... naprawdę? Po raz pierwszy Vin uświadomiła sobie, jak OreSeur musiał ją postrzegać przed dwoma laty, gdy się poznali. Przybył do miasta po tym, jak została przyjęta do ekipy, i pewnie zakładał, że, podobnie jak pozostali, od lat towarzyszy Kelsierowi.

- Kelsier przyjął mnie do ekipy dosłownie kilka dni przed naszym pierwszym spotkaniem - powiedziała. - A właściwie nie tyle przyjął, ile uratował. Spędziłam dzieciństwo, służąc w jednej złodziejskiej szajce po drugiej, zawsze pracując dla najgorszych i najbardziej niebezpiecznych mężczyzn, gdyż tylko oni przyjmowali takich jak ja i mój brat. Bystry przywódcy szybko zauważali, że jestem dobrym narzędziem. Nie wiem, czy domyślali się, że korzystam z Allomancji... niektórzy pewnie tak, inni myśleli, że mam szczęście. Tak czy inaczej, potrzebowali mnie. Co znaczyło, że mnie nienawidzili.

- I bili cię?

Pokiwała głową.

- Szczególnie ten ostatni. Wtedy zaczynałam się już domyślać, jak korzystać z Allomancji, nawet jeśli nie miałam pojęcia, co to właściwie jest. Ale Camon wiedział. I nienawidził mnie, choć jednocześnie mnie wykorzystywał. Chyba się bał, że nauczę się w pełni korzystać z moich mocy. I martwił się, że tego dnia go zabiję... - Vin spojrzała na OreSeura. -

Zabiję i zajmę jego miejsce.

OreSeur siedział na tylnych łapach i wpatrywał się w nią.

- Ludzie traktują źle nie tylko kandra - powiedziała cicho. - Dobrze idzie nam również znęcanie się nad sobą nawzajem.

OreSeur prychnął.

- Przy tobie musieli się jednak powstrzymać, żeby cię nie zabić. Nie zostałam nigdy pobita przez pana, który wiedział, że może bić cię, ile chce, bo i tak nie umrzesz. Musi jedynie dostarczyć nowy komplet kości i następnego dnia znów możemy służyć. Jesteśmy najdoskonalszymi sługami... rano można skatować nas na śmierć, a wieczorem podajemy do stołu. Znęcanie się bez żadnych kosztów.

Przymknęła oczy.

- Rozumiem. Nie jestem kandrą, ale miałam cynę z ołowiem. Camon chyba wiedział, że może bić mnie bardziej niż innych.

- Dlaczego nie uciekałaś? - spytał. - Nie wiązał cię z nim Kontrakt.

- Nie... nie wiem - odparła. - Ludzie są dziwni, OreSeurze, a lojalność często bywa wypaczona. Pozostawałam z Camonem, ponieważ go znałam, a odejścia bałam się bardziej niż pozostania. Miałam tylko szajkę. Mój brat nie żył, a ja bałam się samotności. Teraz, kiedy o tym myślę, wydaje mi się to dziwne.

- Czasem zła sytuacja jest i tak lepsza od alternatywy. Robiłaś to co konieczne, by przeżyć.

- Może - powiedziała. - Ale istnieje lepsze wyjście, OreSeurze. Nie znałam go do chwili, gdy odnalazł mnie Kelsier, ale życie wcale nie musi takie być. Nie musisz żyć w nieufności, kryć się w cieniach i trzymać na dystans.

- Być może, jeśli jesteś człowiekiem. Ja jestem kandrą.

- Wciąż możesz zaufać - powiedziała. - Nie musisz nienawidzić swoich panów.

- Nie wszystkich nienawidzę, panienko.

- Ale nie ufasz im.

- To nic osobistego, panienko.

- Ależ tak - sprzeciwiła się. - Nie ufasz nam, ponieważ boisz się, że cię skrzywdzimy.

Rozumiem to, przez wiele miesięcy z Kelsierem zastanawiałam się, kiedy znów mnie zranią.

Przerwała.

- Ale, OreSeurze, nikt nas nie zdradził. Kelsier miał rację. Nawet dziś wydaje mi się to niewiarygodne, ale wszyscy oni... Ham, Dockson, Breeze... to dobrzy ludzie. I nawet gdyby jeden z nich mnie zdradził, i tak nie żałowałabym zaufania. Wieczorem mogę zasnąć, OreSeurze. Czuję spokój, śmieję się. Życie jest inne. Lepsze.

- Jesteś człowiekiem - powtórzył z uporem kandra. - Masz przyjaciół, ponieważ oni nie martwią się, że ich zjesz albo coś w tym rodzaju.

- Ja tak o tobie nie myślę.

- Naprawdę? Panienko, właśnie przyznałaś, że czujesz do mnie niechęć, bo zjadłem Kelsiera. Poza tym nie możesz znieść, że trzymam się Kontraktu. Ty przynajmniej jesteś szczerą. Niepokoiimy ludzi. Nienawidzą nas, gdyż zjadamy ich współbraci, nawet jeśli zabieramy tylko ciała tych, którzy i tak już nie żyją. Nie mów mi, że nie słyszałaś legend o moim ludzie. Mgielne upiory, tak nas nazywają... istoty pochłaniające tych, którzy wchodzą w mgłę. Myślisz, że taki potwór, legenda, którą straszy się dzieci, zostanie zaakceptowany w waszym społeczeństwie?

Vin spochmurniała.

- Stąd się wziął Kontrakt, panienko - dodał OreSeur. - Zastanawiasz się, dlaczego nie uciekamy od was? Nie wtapiamy się w społeczeństwo i nie stajemy niewidzialni?

Próbowaliśmy. Dawno temu, w początkach Ostatniego Imperium. Ludzie nas odnaleźli i zaczęli niszczyć. Wykorzystywali Zrodzonych z Mgły, by nas odnaleźć, gdyż w tamtych czasach Allomantów było o wiele więcej. Ludzie nas nienawidzili, ponieważ bali się, że ich zastąpimy. Zostaliśmy niemal całkowicie zniszczeni... i wtedy wymyśliliśmy Kontrakt.

- Ale co to za różnica? - spytała Vin. - I tak robicie to samo.

- Owszem, ale teraz robimy to na wasz rozkaz - stwierdził OreSeur. - Ludzie lubią władzę i lubią panować nad czymś potężnym. Nasz lud zaproponował służbę i wymyśliliśmy wiążący kontrakt, a wszyscy kandra przysięgali, że będą go przestrzegać. Nie będziemy zabijać ludzi. Będziemy zabierać kości tylko na rozkaz. Będziemy służyć swoim panom z całkowitym posłuszeństwem. Zaczęliśmy to robić, a ludzie przestali nas zabijać. Wciąż nas nienawidzili i się nas bali, ale wiedzieli również, że mogą nam rozkazywać. Staliśmy się waszymi narzędziami. Dopóki wam służymy, panienko, możemy przetrwać. I dlatego jestem posłuszny.

Złamanie Kontraktu oznaczałoby zdradę mojego ludu. Nie możemy z wami walczyć, dopóki macie Zrodzonych z Mgły, zatem musimy wam służyć.

Zrodzeni z Mgły. Dlaczego Zrodzeni z Mgły są tak ważni? Zasugerował, że mogą odnaleźć kandrę...

Zachowała tę informację dla siebie - wyczuła, że gdyby zwróciła na nią uwagę, znów zamknąłby się w sobie. Dlatego usiadła i spojrzała mu w oczy.

- Jeśli zechcesz, uwolnię cię z Kontraktu.

- I co by to zmieniło? - spytał OreSeur. - Załatwiłbym sobie kolejny. Zgodnie z naszymi prawami muszę czekać kolejne dziesięciolecie, zanim będę mógł odzyskać wolność... i to tylko na dwa lata, które muszę spędzić w ojczyźnie kandra. Inaczej groziłoby mi zdemaskowanie.

- W takim razie przyjmij moje przeprosiny - powiedziała. - Byłam głupia, że złościłam się na ciebie, gdy przestrzegałeś Kontraktu.

OreSeur milczał przez chwilę.

- To jeszcze nic nie zmienia, panienko. Wciąż muszę nosić to przeklęte psie ciało... nie mam osobowości ani kości do udawania.

- Sądziłam, że spodoba ci się okazja, by być po prostu sobą.

- Czuję się nagi - stwierdził OreSeur. Przez chwilę milczał, po czym spuścił łeb. - Ale...

muszę przyznać, że te kości mają pewne zalety. Nie miałem pojęcia, że dzięki nim stanę się tak niezauważalny.

Vin pokiwała głową.

- Były takie chwile w moim życiu, kiedy oddałabym wszystko, by móc przyjąć postać psa i spędzić resztę życia w spokoju.

- Ale już nie?

Pokręciła głową.

- Nie. A przynajmniej przez większość czasu. Kiedyś wydawało mi się, że wszyscy są tacy, jak mówiłeś... nienawistni, sprawiający ból. Ale na świecie są też dobrzy ludzie, OreSeurze. Chciałabym móc ci to udowodnić.

- Mówisz o tym swoim królu - stwierdził kandra, spoglądając w stronę twierdzy.

- Tak - odparła. - I o innych też.

- O sobie?

- Nie. Nie jestem dobrym ani złym człowiekiem. Jestem tu, żeby zabijać.

OreSeur przyglądał się jej przez chwilę, po czym znów się położył.

- Tak czy inaczej - stwierdził - nie jesteś najgorszym z moich panów. Wśród naszego ludu mogłoby to uchodzić za komplement.

Vin uśmiechnęła się, lecz jej własne słowa nieco ją dręczyły. „Jestem tu, żeby zabijać...”.

Spojrzała w stronę ognisk armii za murami. Część jej osoby - część wyszkolona przez Reena, która czasem wciąż odzywała się jego głosem w jej głowie - podszeptnęła, że istnieje inny sposób walki z tymi armiami. Zamiast przejmować się polityką i pertraktacjami, ekipa mogła wykorzystać Vin. Wysłać ją z cichą wizytą w środku nocy, po której zostałyby tylko trupy królów i generałów.

Wiedziała jednak, że Elend by czegoś takiego nie zaakceptował. Nie zgodziłby się na zastraszenie, nawet wrogów. Zauważyłby, że gdyby zabiła Straffa czy Cetta, zostaliby zastąpieni przez innych, nastawionych do miasta jeszcze bardziej wrogo.

Wciąż było to brutalnie logiczne rozwiązanie. Vin kusiło, żeby to zrobić, nawet jeśli tylko po to, by zrobić coś innego niż czekanie i gadanie. Nie nadawała się do życia w oblężeniu.

Nie, pomyślała. Nie jestem taka. Nie muszę być taka jak Kelsier. Twarda. Nieustępliwa.

Mogę być lepsza. Ufać w metody Elenda.

Stłumiła tę część siebie, która chciała zamordować Straffa i Cetta, po czym zajęła się innymi kwestiami. Skupiła się na brązie, nasłuchując allomantycznych impulsów. Choć lubiła skakać po okolicy i „patrolować”, tak naprawdę była równie skuteczna, pozostając w jednym miejscu. Skrytobójcy i tak najprawdopodobniej prowadziliby zwiad w pobliżu głównej bramy, tam bowiem zaczynały się patrole i skupiała największa liczba żołnierzy.

Mimo to nie mogła się skupić. W tym świecie działały różne moce, a Vin nie była pewna, czy pragnie stać się ich częścią.

Gdzie jest moje miejsce? - zastanawiała się. Nigdy go nie odnalazła - ani wtedy, gdy odgrywała Valette Renoux, ani gdy chroniła mężczyznę, którego kochała. Nic do końca nie pasowało.

Przymknęła oczy, spalając cynę i brąz, czując dotyk wiatru na skórze. I, co dziwne, poczuła coś jeszcze, coś bardzo słabego. W pewnej odległości wyczuwała impulsy allomantyczne. Były tak stłumione, że omal ich nie zauważyła.

Przypominały impulsy mgielnego ducha. Jego też słyszała, o wiele bliżej. Na szczycie budynku w mieście. Przyzwyczajała się do jego obecności - zresztą nie miała większego wyboru. Ale dopóki tylko obserwował...

Próbował zabić jednego z towarzyszy Bohatera, pomyślała. Jakimś sposobem zadał cios nożem. Tak w każdym razie utrzymywał autor dziennika.

Ale... czym było odległe pulsowanie? Delikatne, a jednak potężne. Niczym odległy bęben. Koncentrując się, mocno zacisnęła powieki.

- Panienko? - odezwał się OreSeur, nadstawiając uszu.

Otworzyła gwałtownie oczy.

- Co?

- Nie słyszałaś?

Vin usiadła.

- Co...? - Usłyszała. Kroki za murem w niewielkiej odległości. Pochyliła się i zauważyła ciemną postać idącą ulicą w stronę twierdzy. Tak się skupiała na brzęcie, że zupełnie odcięła prawdziwe dźwięki.

- Dobra robota - powiedziała, zbliżając się do krawędzi dachu.

Wtedy właśnie uświadomiła sobie coś bardzo ważnego. OreSeur przejął inicjatywę - ostrzegł ją przed niebezpieczeństwem, choć wcale nie kazała mu nasłuchiwać.

Drobiazg, ale wydawał się ważny.

- Co o tym myślisz? - spytała cicho, obserwując zbliżającą się postać. Nie niosła pochodni i sprawiała wrażenie, że czuje się swobodnie wśród mgieł.

- Allomanta? - spytał OreSeur.

Pokręciła głową.

- Nie czuję impulsów.

- W takim razie, jeśli jest Allomantą, to Zrodzonym z Mgły - powiedział. Wciąż nie wiedział, że Vin umie przebijać chmury miedzi. - Jest za wysoki jak na twojego przyjaciela Zane'a. Bądź ostrożna, panienko.

Pokiwała głową, upuściła monetę i rzuciła się we mgłę. Za jej plecami OreSeur zeskoczył z dachu strażnicy, po czym skoczył z muru i spadł dwadzieścia stóp w dół.

Bez wątpienia wykorzystuje te kości do maksimum, pomyślała. Oczywiście, jeśli upadek nie mógł go zabić, to jego odwaga stawała się łatwiejsza do zrozumienia.

Wykorzystała gwoździe na drewnianym dachu, by zmienić kierunek lotu i wylądować w pobliżu ciemnej postaci. Wyciągnęła noże i przygotowała metale, upewniając się, że ma duraluminium. Wtedy ruszyła cicho przez ulicę.

Zaskoczenie, pomyślała. Sugestie Hama wciąż ją niepokoiły. Nie zawsze mogła polegać na zaskoczeniu. Podążała za mężczyzną, obserwując go. Był wysoki... bardzo wysoki. I nosił długie szaty. Właściwie, ten strój...

Vin zatrzymała się.

- Sazed? - spytała zaskoczona.

Terrisanin odwrócił się. Dzięki wspomaganemu cyną wzrokowi wyraźnie ujrzała jego twarz. Uśmiechnął się.

- Lady Vin - powiedział znajomym, mądrym głosem. - Zacząłem się zastanawiać, ile czasu minie, zanim mnie odnajdziesz. Jesteś...

Nie dokończył, gdy Vin uścisnęła go mocno.

- Nie spodziewałam się, że wrócisz tak szybko!

- Nie miałem zamiaru wracać, lady Vin - odparł Sazed. - Ale sytuacja wygląda tak, że nie mogłem ominąć tego miejsca. Chodź, musimy porozmawiać z Jego Wysokością. Mam wieści dość niepokojącej natury.

Vin puściła go i spojrzała w łagodną twarz, dostrzegając zmęczenie w oczach.

Wyczerpanie. Jego szaty były brudne, śmierdziały popiołem i potem. Sazed zawsze bardzo dbał o wygląd, nawet kiedy podróżował.

- Co się dzieje? - spytała.

- Problemy, lady Vin - odparł cicho. - Poważne kłopoty.

*Terrisanie go odrzucili, lecz on ich poprowadził.*

- Król Lekal utrzymywał, że ma dwadzieścia tysięcy tych istot w armii - powiedział cicho Sazed.

Dwadzieścia tysięcy, pomyślał wstrząśnięty Elend. To niemal równie wielkie niebezpieczeństwo, jak pięćdziesiąt tysięcy ludzi Straffa. Pewnie nawet większe.

Wokół stołu zapanowała cisza, Elend popatrzył na pozostałych. Siedzieli w pałacowej kuchni, gdzie paru kucharzy pospiesznie przygotowywało późną kolację dla Sazed. Z boku białej sali znajdowała się alkowa ze skromnym stołem, przy którym jedli służący. Co zrozumiałe, Elend nigdy wcześniej nie spożywał tu posiłku. Terrisanin nalegał jednak, by nie budzić służących do przygotowania stołów w głównej jadalni, choć najwyraźniej nic nie jadł

przez cały dzień.

Dlatego siedzieli na niskich ławach i czekali na efekty pracy kucharzy - wystarczająco daleko, by służący nie słyszeli przyciszonej rozmowy. Vin siedziała obok Elenda, obejmując go w pasie, wilczarz warował u jej stóp. Breeze siedział po drugiej stronie kandry i wyglądał

niechlujnie - był zirytowany, kiedy go obudzili. Ham już nie spał, podobnie jak Elend.

Pracował nad kolejną propozycją - listem do Zgromadzenia, w którym tłumaczył, że ze Straffem spotyka się towarzysko, a nie na oficjalnych pertraktacjach.

Dockson przyciągnął sobie stołek, jak zwykle wybierając miejsce oddalone od Elenda.

Clubs usiadł skulony na ławie, choć młody król nie wiedział, czy ta poza wynika ze zmęczenia, czy zwyczajowej zrzędlivosti generała. Pozostawał jeszcze Spook, który siedział na jednym ze stołów w pewnej odległości i machał nogami. Od czasu do czasu podbierał kawałek jedzenia zirytowanym kucharzom. Elend zauważył z rozbawieniem, że prócz tego chłopak próbuje bez powodzenia flirtować z zaspną posługaczką.

I jeszcze Sazed. Terrisanin siedział naprzeciwko Elenda, opanowany, co było jego charakterystyczną cechą. Jego szaty były zakurzone, do tego wyglądał dziwnie bez kolczyków

- zdjętych, by nie kusić złodziei, jak zakładał król - lecz twarz i dłonie miał czyste. Nawet brudny po podróży, Sazed roztaczał wokół siebie aurę czystości.

- Przepraszam, Wasza Wysokość - stwierdził Sazed. - Nie sądzę jednak, by lord Lekal był godny zaufania. Wiem, że przed Upadkiem się przyjaźniliście, lecz obecnie wydaje się nieco... niestabilny.

Elend pokiwał głową.

- Jak sądzisz, w jaki sposób nad nimi panuje?



- Nawet się nie domyślam, Wasza Wysokość.

- W mojej straży są ludzie, którzy przybyli z południa po Upadku - odezwał się Ham. -

Byli żołnierzami, służyli w garnizonie w pobliżu obozu kolosów. W dzień po śmierci Ostatniego Imperatora te stwory oszalały. Atakowały wszystko w okolicy - wioski, garnizony, miasta.

- Podobnie na północnym zachodzie - dodał Breeze. - Ziemię lorda Cetta zalali uchodźcy uciekający przed kolosami. Cett próbował zwerbować kolosy z pobliskiego garnizonu i przez jakiś czas go słuchały. Ale później coś się stało i po prostu zaatakowały jego armię. Musiał je wszystkie wyciąć w pień... i stracił prawie dwa tysiące żołnierzy, by zabić mały oddział pięciuset kolosów.

Zebrani zamilkli, ciszę przerywały jedynie rozmowy i odgłosy pracy kucharzy. Pięćset kolosów zabiło dwa tysiące ludzi, pomyślał Elend. A w armii Jastesa jest ich dwadzieścia tysięcy. Na Ostatniego Imperatora...

- Jak długo? - spytał Clubs. - Jak daleko?

- Dotarcie tu zajęło mi niewiele ponad tydzień - odparł Sazed. - Choć wydawało się, że król Lekal rozbił tam obóz już jakiś czas temu. Wyraźnie kieruje się w tę stronę, ale nie wiem, jak szybko będzie maszerował.

- Pewnie nie spodziewał się, że dwie inne armie dotrą do miasta przed nim - zauważył

Ham.

Elend pokiwał głową.

- To co robimy?

- Nie widzę żadnego wyjścia, Wasza Wysokość - stwierdził Dockson, kręcąc głową. -

Raport Sazedą nie daje mi większej nadziei, by udało nam się przekonać Jastesą. A w oblężeniu niewiele możemy zrobić.

- Może zawrócić i odejść - powiedział Ham. - Dwie armie już tu są...

Sazed się wyraźnie wahał.

- Wiedział o armiach, lordzie Hammondzie. Najwyraźniej ufa, że jego kolosy pokonają ludzkie armie.

- Ale obie naraz mogą mu sprawić problem - stwierdził Ham. - Mnie na pewno zmusiłyby do zastanowienia, gdybym był na jego miejscu. Jeśli pokaże się tu z bandą nieprzewidywalnych kolosów, może zaniepokoić Cetta i Straffa na tyle, by połączyli siły.

- A to nam pasuje - odezwał się Clubs. - Im więcej walczą inni, tym lepiej dla nas.

Elend odchylił się do tyłu. Czuł przytłaczającą niepewność i cieszył się, że Vin siedzi obok, nawet jeśli niewiele mówiła. Czasem sama jej obecność wystarczała, by czuł się silniejszy. Dwadzieścia tysięcy kolosów. To zagrożenie przerażało go bardziej niż dwie pozostałe armie.

- To może nam pomóc - powiedział Ham. - Gdyby Jastes utracił kontrolę nad bestiami w okolicach Luthadel, istnieje spora szansa, że zaatakują jedną z dwóch armii.

- Zgadzam się - stwierdził Breeze zmęczonym głosem. - Sądzę, że musimy nadal grać na czas, przeciągać oblężenie do chwili przybycia armii kolosów. Jeszcze jedna siła w okolicy oznacza większą korzyść dla nas.

- Nie podoba mi się myśl o kolosach w okolicy - odezwał się Elend, drżąc lekko. -

Niezależnie od tego, jaką są dla nas korzyścią. Jeśli zaatakują miasto...

- Będziemy się nimi martwić, kiedy przybędą, jeśli w ogóle - stwierdził Dockson. - Na razie musimy dalej postępować zgodnie z planem. Jego Wysokość spotyka się ze Straffem, próbując go skłonić do zawarcia sojuszu. Jeśli będziemy mieli szczęście, obecność kolosów skłoni go do porozumienia.

Elend pokiwał głową. Straff zgodził się na spotkanie. Ustalili, że nastąpi za kilka dni.

Zgromadzenie złościło się, że nie skonsultował z nimi czasu i miejsca, ale niewiele mogli na to poradzić.

- Tak czy inaczej - powiedział Elend z westchnieniem. - Powiedziałaś, że masz inne wieści, Saze? Lepsze, mam nadzieję.

Sazed się zawahał. Kucharz w końcu podszedł i ustawił przed nim talerz z jedzeniem -

duszony jęczmień z kawałkami steku i dobrze przyprawione lagety. Aromat sprawił, że Elend również poczuł głód. Skinieniem głowy podziękował pałacowemu kucharzowi, który się upierał, by własnoręcznie przygotować posiłek mimo późnej godziny. Ten machnął ręką na służbę i ruszył do wyjścia.

Sazed siedział w milczeniu, czekając, aż służba znajdzie się poza zasięgiem jego głosu.

- Waham się, czy o tym wspominać, Wasza Wysokość, gdyż i tak dźwigasz wielkie ciężary.

- Możesz mi powiedzieć - stwierdził Elend.

Terrisanin pokiwał głową.

- Obawiam się, że zabijając Ostatniego Imperatora, mogliśmy wystawić świat na niebezpieczeństwo, Wasza Wysokość. Coś nieoczekiwane.

Breeze uniósł brew.

- Nieoczekiwanego? To znaczy coś innego niż szalejące kolosy, spragnieni władzy despoci i zbójcy?

Sazed się zawahał.

- Hm, tak. Obawiam się, że mówię tu o kwestiach nieco bardziej nieokreślonej natury.

Coś jest nie tak z mgłą.

Vin wyprostowała się obok Elenda.

- Co masz na myśli?

- Podążałem za pewnym ciągiem wydarzeń - wyjaśnił Sazed. Spuścił wzrok, jakby był

zawstydzony. - Moglibyście powiedzieć, że prowadziłem dochodzenie. Widzicie, słyszałem wiele doniesień o mgłach pojawiających się w ciągu dnia.

Ham wzruszył ramionami.

- To się zdarza. Zwłaszcza jesienią dni bywają mgliste.

- Nie o to mi chodziło, lordzie Hammondzie - stwierdził Sazed. - Istnieje różnica między mgłą a zwyczajnym zamgleniem. Trudno ją może zauważyć, ale uważne oko ją dostrzega.

Mgła jest gęstsza i... cóż...

- Porusza się w większych kłębach - dokończyła cicho Vin. - Niczym rzeki na niebie.

Nigdy nie wisi w jednym miejscu, unosi się na wietrze, jakby sama tworzyła ten wiatr.

- I nie wpływa do budynków - dodał Clubs. - Ani namiotów. Bardzo szybko wyparowuje.

- Tak - stwierdził Sazed. - Kiedy po raz pierwszy usłyszałem te doniesienia o mgle w ciągu dnia, myślałem, że ludzie za bardzo wierzą w przesady. Znałem wielu skaa, którzy odmawiali wyjścia w zamglony poranek. Jednakże informacje te zaciekały mnie, więc odnalazłem ich źródło w wiosce na południu. Nauczałem tam przez jakiś czas, ale nie uzyskałem potwierdzenia opowieści, więc ruszyłem dalej. - Zmarszczył czoło. - Wasza Wysokość, proszę, nie uznaj mnie za szaleńca. W trakcie tych wędrówek minąłem ustronną dolinę, i to, co widziałem, nie było zwyczajnym zamgleniem. Poruszało się po okolicy, pełzło w moją stronę. W pełnym blasku dnia.

Elend spojrzał na Hama. Ten wzruszył ramionami.

- Nie patrz tak na mnie.

- Prosił cię o zdanie, mój drogi - prychnął Breeze.

- Nie mam go.
- Ale z ciebie filozof.
- Nie jestem filozofem - odparł Ham. - Po prostu lubię rozmyślać nad różnymi kwestiami.
- To teraz rozważ tę sprawę - stwierdził Breeze.

Elend spojrzał na Sazedą.

- Czy oni zawsze się tak zachowywali?
- Szczerze mówiąc, nie jestem pewien, Wasza Wysokość - odpowiedział Sazed z lekkim uśmiechem.
- Znam ich tylko trochę dłużej.
- Tak, zawsze - stwierdził Dockson z westchnieniem. - Jeśli już, to z upływem lat robią się coraz gorsi.
- Nie jesteś głodny? - spytał Elend, wskazując na talerz Sazedą.
- Zjem, kiedy skończymy rozmowę - odparł Terrisanin.
- Sazedzie, już nie jesteś sługą - zauważyła Vin. - Nie musisz się przejmować takimi rzeczami.
- Tu nie chodzi o służbę, lady Vin - sprzeciwił się Sazed. - Tylko o grzeczność.
- Sazedzie - odezwał się Elend.
- Tak, Wasza Wysokość?

Wskazał na talerz.

- Jedz. Grzeczny możesz być innym razem. Na razie wyglądasz na zagłodzonego... i jesteś wśród przyjaciół.

Sazed spojrzał z ukosa na Elendę.

- Tak, Wasza Wysokość - powiedział, podnosząc nóż i łyżkę.
- A teraz - zaczął młody król - wyjaśnij mi, dlaczego mgła w ciągu dnia jest ważna?

Wiemy, że opowieści skaa nie są prawdą i nie ma powodu bać się mgły.

- Skaa mogą być mądrzejsi niż to się nam wydaje - odpowiedział Sazed, odkrawając małe kęsy jedzenia. - Wygląda na to, że mgła zabija ludzi.
- Co takiego? - spytała Vin, pochylając się.

- Nie widziałem tego na własne oczy - stwierdził Sazed. - Ale widziałem skutki i zebrałem kilka doniesień z różnych miejsc. Wszyscy zgadzają się, że mgła zabija ludzi.

- To niedorzeczne - wtrącił Breeze. - Mgła jest nieszkodliwa.

- Też tak sądziłem, lordzie Ladrianie - odparł Sazed. - Jednak kilka z doniesień jest bardzo szczegółowych. Incydenty zawsze następowały w ciągu dnia i w każdym wypadku mgła otaczała jakiegoś nieszczęśnika, który wówczas umierał... zazwyczaj w drgawkach. Sam rozmawiałem ze świadkami.

Elend zmarszczył czoło. Innego człowieka mógłby zignorować. Ale Sazed... jego nie dało się łatwo zbyć. Siedząca obok Vin przyglądała się rozmowie z zainteresowaniem, zagryzając dolną wargę. Co dziwne, nie sprzeciwiała się słowom Terrisanina, choć pozostali chyba podzielali zdanie Breeze'a.

- To nie ma sensu, Saze - stwierdził Ham. - Złodzieje, szlachetnie urodzeni i Allomanci przez stulecia wchodzili w mgłę.

- Owszem, lordzie Hammondzie - zgodził się Sazed. - Jedyne moje wyjaśnienie wiąże się z Ostatnim Imperatorem. Nie słyszałem żadnych istotnych doniesień o śmierci wśród mgły z czasów przed Upadkiem, lecz bez trudu znalazłem sporą ich liczbę w późniejszym okresie.

Doniesienia dotyczą w przeważającej mierze Zewnętrznych Dominiów, lecz wydaje się, że przesuwały się w głąb. Natrafiłem na pewne... bardzo niepokojące zdarzenie kilka tygodni temu na południu, gdzie cała wioska najwyraźniej została uwięziona w chałupach przez mgłę.

- Ale co śmierć Ostatniego Imperatora może mieć wspólnego z mgłą? - spytał Breeze.

- Nie jestem pewien, lordzie Ladrianie - odparł Sazed. - Ale to jedyny związek, który udało mi się wymyślić.

Breeze zmarszczył czoło.

- Wolałbym, żebyś mnie tak nie nazywał.

- Przepraszam, lordzie Breeze - odparł Sazed. - Jestem przyzwyczajony do używania pełnych imion, kiedy zwracam się do innych.

- Masz na imię Ladrian? - spytała Vin.

- Niestety - odparł Breeze. - Nigdy go nie lubiłem, a kiedy kochany Sazed umieszcza przed nim „lorda”... cóż, całość brzmi jeszcze gorzej.

- Czy to tylko moje wrażenie - stwierdził Elend - czy dziś popadamy w jeszcze większe dygresje niż zazwyczaj?

- Tak bywa, kiedy jesteśmy zmęczeni - odparł Breeze, ziewając szeroko. - Tak czy inaczej, nasz drogi Terrisanin musi się mylić. Mgła nie zabija.

- Informuję jedynie o tym, co odkryłem - powiedział Sazed. - Muszę przeprowadzić dalsze badania.

- Czy to znaczy, że zostaniesz? - spytała z nadzieją Vin.

Pokiwał głową.

- A co z nauczaniem? - spytał Breeze. - Kiedy odjeżdżałeś, wspominałeś, że masz zamiar spędzić resztę życia w podróży, czy coś w tym rodzaju.

Terrisanin zarumienił się lekko i spuścił wzrok.

- Obawiam się, że ten obowiązek będzie musiał poczekać.

- Możesz tu zostać, jak długo zechcesz, Sazedzie - stwierdził Elend, przygważdżając Breeze'a spojrzeniem. - Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, bardziej przysłużysz się swoimi badaniami niż podróżami.

- Być może - odparł Sazed.

- Choć - zauważył Ham - mogłeś sobie wybrać spokojniejsze miejsce do pracy... takie, które nie zostało otoczone przez dwie armie i dwadzieścia tysięcy kolosów.

Sazed uśmiechnął się, Elend zaś roześmiał z obowiązku. Powiedział, że incydenty związane z mgłą przesuwały się w głąb, w stronę centrum imperium. W naszą stronę.

Kolejny powód do zmartwienia.

- Co tu się dzieje? - spytał ktoś nagle. Elend odwrócił się w stronę wejścia do kuchni, gdzie stała rozczochna Allriane. - Usłyszałam głosy. To jakieś przyjęcie?

- Rozmawialiśmy o sprawach stanu, moja droga - powiedział szybko Breeze.

- Ta dziewczyna też tu jest - stwierdziła Allriane, wskazując na Vin. - Czemu mnie nie zaprosiliście?

Elend zmarszczył czoło. Usłyszała głosy? Komnaty gościnne nie są w pobliżu kuchni. I do tego Allriane była ubrana w prostą suknię arystokratki. Poświęciła trochę czasu na przebranie się z nocnego stroju, ale się nie uczesała. Może chciała wyglądać na bardziej niewinną?

Zaczynam myśleć jak Vin, powiedział w duchu Elend i westchnął. Jakby na potwierdzenia własnych myśli, zauważył, że jego towarzyszka spogląda na dziewczynę zza przymrużonych powiek.

- Wracaj do komnat, moja droga - powiedział uspokajająco Breeze. - Nie kłopotz Jego Wysokości.

Allriane westchnęła dramatycznie, ale odwróciła się i ruszyła korytarzem. Elend odwrócił się do Sazed, który z zainteresowaniem obserwował dziewczynę. Młody król spojrział na niego z miną „nie teraz” i Terrisanin wrócił do posiłku. Kilka chwil później wszyscy zaczęli się rozchodzić. Vin

pozostała przy Elendzie.

- Nie ufam tej dziewczynie - powiedziała, gdy dwójka służących zabrała plecak Sazedą i odprowadziła go.

Elend uśmiechnął się i spojrzał na nią z góry.

- Czy muszę to mówić?

Przewróciła oczami.

- Wiem. „Nikommu nie ufasz, Vin”. Ale tym razem mam rację. Ubrała się, ale nie uczesała. Musiała to zrobić celowo.

- Zauważyłem.

- Naprawdę? - Wydawała się zaskoczona.

Pokiwał głową.

- Pewnie usłyszała, jak sładzy budzą Breeze'a i Clubsa, więc wstała. To oznacza, że podsłuchiwała od co najmniej pół godziny. Zmierziła włosy, żebyśmy założyli, że dopiero co zeszła.

Vin otworzyła usta i przyjrzała mu się uważnie.

- Robisz się coraz lepszy - stwierdziła w końcu.

- Albo też panienska Allrienne wcale nie jest tak dobra.

Uśmiechnęła się.

- Nadal nie mam pojęcia, dlaczego jej nie usłyszałaś - zauważył Elend.

- Kucharze - odparła. - Hałasowali. Poza tym trochę rozpraszało mnie to, co mówił

Sazed.

- I co o tym sądzisz?

Zawahała się.

- Później ci powiem.

- Dobrze - odparł Elend.

Siedzący obok Vin kandra podniósł się i przeciągnął psie ciało. Czemu nalegała, żeby zabrać go na spotkanie, zastanawiał się. Jeszcze kilka tygodni temu go nie znosiła.

Wileczarz odwrócił się i spojrział w stronę kuchennego okna. Vin podążyła za jego wzrokiem.

- Znowu wychodzisz? - spytał Elend.

Pokiwała głową.

- Nie ufam tej nocy. Będę się trzymać blisko twojego balkonu, na wypadek problemów.

Pocałowała go i odeszła. Odprowadzał ją wzrokiem, zastanawiając się, dlaczego tak zainteresowała ją opowieść Sazed'a i czego mu nie mówiła.

Przestań, powiedział sobie. Może zbyt wiele się od niej nauczył - ze wszystkich w pałacu Vin była ostatnią, którą powinien się martwić. Z drugiej strony, za każdym razem, kiedy zdawało mu się, że już zaczyna rozumieć Vin, uświadamiał sobie, jak mało ją zna.

A to sprawiało, że cała reszta wydawała się jeszcze bardziej przygnębiająca. Z

westchnieniem ruszył do swojej komnaty, gdzie czekał na niego niedokończony list do Zgromadzenia.

\*\*\*

Może nie powinienem był wspominać o mgłach, pomyślał Sazed, podążając po schodach za służącym. Teraz zmartwiłem króla czymś, co może się okazać moim złudzeniem.

Dotarli na górę i służący spytał, czy przygotować kąpiel. Sazed pokręcił głową.

Zazwyczaj chętnie korzystał z możliwości oczyszczenia się. Jednakże przebiegnięcie całej drogi do Środkowego Dominium, pojmanie przez kolosy, a później marsz do Luthadel sprawiły, że był wyczerpany. Prawie nie miał siły jeść. Teraz pragnął tylko spać.

Służący pokiwał głową i poprowadził go bocznym korytarzem.

A jeśli wyobrażał sobie związki, których nie było? Każdy uczony wiedział, jak niebezpieczne jest pragnienie znalezienia określonej odpowiedzi podczas badań. Nie wyobraził

sobie słów świadków, ale czy nie wyolbrzymił ich znaczenia? Słowa przerażonego mężczyzny, który widział, jak jego przyjaciel umiera? Opowieść szaleńca, który posunął się aż do kanibalizmu?

To przypomniało Sazedowi, że on przecież nigdy nie widział, jak mgły zabijają.

Służący poprowadził go do komnaty gościnniej, a Sazed z wdzięcznością życzył mu dobrej nocy. Mężczyzna odszedł ze świecą w rękę, pozostawiając mu lampę. Przez większość swojego życia Sazed należał do klasy służących cenionych ze względu na poczucie obowiązku i przyzwoitości. Zarządzał domami i dworami, nadzorując służących takich jak ten, który właśnie opuścił jego komnatę.

Inne życie, pomyślał. Zawsze go frustrowało, że obowiązki lokaja nie pozostawiały mu zbyt wiele



czasu na naukę. Cóż za ironia losu, że pomógł obalić Ostatnie Imperium, by później odkryć, że ma przez to jeszcze mniej czasu.

Wyciągnął rękę, by pchnąć drzwi i zamarł. Wewnątrz już paliło się światło.

Zostawili dla mnie lampę? - zastanowił się. Powoli otworzył drzwi. Ktoś na niego czekał.

- Tindwyl - powiedział cicho.

Siedziała przy biurku, jak zwykle opanowana i porządnie ubrana.

- Sazedzie - odparła, gdy wszedł do środka i zamknął drzwi. Nagle stał się jeszcze bardziej świadom brudnego ubrania.

- Spełniłaś moją prośbę.

- A ty moją zignorowałaś.

Nie patrzył jej w oczy. Podszedł bliżej i postawił lampę na komodzie.

- Zauważyłem nowe szaty króla, wydaje się również, że jego zachowanie do nich pasuje.

Sądzę, że dobrze sobie poradziłaś.

- Dopiero zaczynamy - powiedziała lekceważąco. - Dobrze go oceniłaś.

- Król Venture jest bardzo dobrym człowiekiem - stwierdził Sazed, pochodząc do miednicy, by obmyć twarz. Chłodna woda dobrze mu zrobiła; wiedział, że rozmowa z Tindwyl zmęczy go jeszcze bardziej.

- Dobrzy ludzie są często koszmarnymi królami - zauważyła.

- Ale zły człowiek nigdy nie będzie dobrym królem - odparł. - Lepiej zacząć od dobrego człowieka i zająć się resztą, tak sądzę.

- Może - powiedziała.

Obserwowała go ze swoją zwyczajową twardą miną. Inni uważali, że jest zimna, nawet surowa. Lecz Sazed nigdy w niej tego nie widział. Biorąc pod uwagę wszystko, co przeszła, uważał za zadziwiajączą jej pewność siebie. Skąd ją brała?

- Sazedzie, Sazedzie... - powiedziała. - Dlaczego powróciłeś do Środkowego Dominium? Znasz wskazówki Synodu. Miałaś udać się do Wschodniego Dominium i nauczać ludzi na granicach spalonych krain.

- I to właśnie robiłem - odparł. - A teraz jestem tutaj. Sądzę, że południe przez jakiś czas poradzi sobie beze mnie.

- Naprawdę? - spytała. - A kto nauczy ich technik nawadniania, by plony pozwoliły im na przetrwanie zimnych miesięcy? Kto wyjaśni im podstawowe zasady prawodawstwa, by mogli sami sobą rządzić? Kto pokaże im, jak odzyskać wiarę? Zawsze bardzo cię to poruszało.

Sazed odłożył ręcznik.

- Powrócę do nauczania, kiedy się upewnię, że nie czeka na mnie ważniejsze zadanie.

- A jakież zadanie może być ważniejsze? - spytała ostro. - To nasz życiowy obowiązek, Sazedzie. To dzieło całego naszego ludu. Wiem, że Luthadel jest dla ciebie ważne, lecz tutaj nic dla ciebie nie ma. Zajmę się twoim królem. Ty musisz odejść.

- Doceniam twoją pracę z królem Venture - stwierdził Sazed. - Ale moja praca nie ma z nim wiele wspólnego. Muszę przeprowadzić inne badania.

Tindwyl spochmurniała i spojrzała na niego zimno.

- Wciąż szukasz tego swojego widmowego związku. Ta bzdura z mgłą.

- Coś jest nie w porządku, Tindwyl - powiedział.

- Nie - odparła z westchnieniem. - Nie rozumiesz, Sazedzie? Spędziłeś dziesięć lat, pomagając w obaleniu Ostatniego Imperium. Teraz nie zadowala cię zwyczajna praca, więc wymyśliłeś większe zagrożenie dla krainy. Boisz się, że będziesz bez znaczenia.

Sazed spuścił wzrok.

- Być może. Jeśli masz rację, będę szukał wybaczenia Synodu. Pewnie i tak powinienem to zrobić.

- Sazedzie - powiedziała, kręcąc lekko głową. - Nie rozumiem cię. Nie dziwi mnie, jeśli młodzi gorąco głowi, tacy jak Vedzan i Rindel, buntują się przeciwko Synodowi. Ale ty? Jesteś esencją tego, co znaczy bycie Terrisaninem... taki spokojny, pokorny, ostrożny i pełen szacunku. Taki mądry. To dlaczego ty zawsze sprzeciwiasz się naszym przywódcom? To nie ma sensu.

- Nie jestem tak mądry, jak myślisz, Tindwyl - odpowiedział cicho. - Jestem po prostu człowiekiem, który robi to, w co wierzy. Obecnie wierzę, że we mgle kryje się niebezpieczeństwo, i muszę to zbadać. Może to rzeczywiście arogancja i głupota. Ale wolę raczej, by uważano mnie za aroganckiego i głupiego, niż sprowadzić na wszystkich niebezpieczeństwo.

- Nic nie znajdziesz.

- No to udowodnię, że się mylę - stwierdził. Odwrócił się i spojrzał jej w oczy. - Jednak, o ile pamiętasz, kiedy ostatnim razem okazałem nieposłuszeństwo Synodowi, efektem był

Upadek i wolność dla naszego ludu.

Tindwyl się skrzywiła. Nie lubiła, by jej o tym przypominano - nikt z Opiekunów tego nie lubił.

Utrzymywali, że Sazed popełnił błąd, okazując nieposłuszeństwo, ale nie mogli go ukarać za odniesiony sukces.

- Nie rozumiem cię - powtórzyła cicho. - Powinieneś być jednym z naszych przywódców, Sazedzie. Nie największym buntownikiem i dysydem. Wszyscy pragną mieć cię za wzór... a nie mogą. Czy musisz sprzeciwiać się każdemu rozkazowi?

Uśmiechnął się słabo, lecz nie odpowiedział.

Tindwyl westchnęła i wstała. Ruszyła w stronę drzwi, lecz po drodze wzięła go za rękę.

Spojrzała mu w oczy.

Wyszła, kręcąc głową.

*Wydawał rozkazy królom, i choć nie pragnął imperium, stał się większym od wszystkich, którzy go poprzedzali.*

Coś się dzieje, pomyślała Vin, siedząc wśród mgieł na dachu Twierdzy Venture.

Sazed nie miał skłonności do przesady. Był skrupulatny - o czym świadczyły jego manieryzmy, dbałość o czystość, nawet sposób mówienia. A gdy chodziło o badania, stawał się jeszcze bardziej drobiazgowy. Vin była skłonna uwierzyć w jego odkrycia.

A ona sama z pewnością widziała coś we mgle. Niebezpieczne rzeczy. Czy duch mgły mógłby wyjaśnić przypadki śmierci, o których mówił Sazed? Ale jeśli tak, to dlaczego nie wspominał o postaciach we mgle?

Westchnęła, przymknęła oczy i spaliła brąz. Niedaleko słyszała ducha. I znów usłyszała to dziwne odległe pulsowanie. Otworzyła oczy, nadal paląc brąz, i cicho rozwinęła coś, co wyjęła z kieszeni - kartka z dziennika. W blasku dochodzącym z balkonu Elenda i za pomocą cyny bez trudu odczytywała słowa:

*Śpię tylko po kilka godzin każdej nocy. Musimy przeć naprzód, codziennie wędrować tak daleko, jak to możliwe. Kiedy jednak wreszcie udajemy się na spoczynek, nie umiem zasnąć. Te same myśli, które prześladowają mnie za dnia, spokój nocy tylko potęguje.*

*A przede wszystkim słyszę łomot w niebie, pulsowanie z gór. Z każdym uderzeniem przyciąga mnie do siebie.*

Zadrzała. Poprosiła jednego ze Szperaczy Elenda, by spalił brąz, lecz ten stwierdził, że nie słyszy nic na północy. Albo był kandrą, który tylko udawał, że spala brąz, albo Vin wyczuwała pulsowanie, którego nikt inny nie słyszał. Nikt, poza mężczyzną martwym od tysiąca lat.

Mężczyzną, którego wszyscy uważali za Bohatera Wieków.

Głupia jesteś, powiedziała sobie, składając kartkę. Wyciągasz pochopne wnioski. Z

boku OreSeur ułożył się wygodnie i wpatrzył w miasto.

A jednak nie mogła przestać myśleć o słowach Sazed. Coś się działo z mgłami. Coś było nie w porządku.

\*\*\*

Zane nie znalazł jej na szczycie Twierdzy Hasting.

Stał w ciszy pośród mgieł. Spodziewał się, że będzie tu na niego czekać, gdyż było to miejsce ich ostatniego pojedynku. Samo myślenie o tym sprawiało, że aż sztywniał z niecierpliwości.

Przez ostatnie miesiące zawsze spotykali się w miejscu, w którym poprzednio w końcu ją zgubił. Tym razem jednak powracał tu przez kilka nocy i nigdy jej nie spotkał. Spochmurniał, myśląc o

rozkazach Straffa.

W końcu najpewniej dostanie rozkaz, by ją zabić. Nie był pewien, co bardziej go martwiło - wzrastająca niechęć do rozważania tego czynu czy też wzrastający niepokój, że być może nie uda mu się jej pokonać.

Ona może być właśnie tym, pomyślał. Tym, co w końcu pozwoli mi stawić opór. Tym, co przekona mnie, bym po prostu... odszedł.

Nie umiał wyjaśnić, dlaczego potrzebował powodu. Częściowo przypisywał to swojemu szaleństwu, choć racjonalna część jego umysłu podpowiadała, że to kiepska wymówka. W

głębi duszy przyznawał, że Straff był wszystkim, co znał w życiu. Zane nie mógł odejść, dopóki nie upewni się, że może polegać na kimś innym.

Odwrócił się od Twierdzy Hasting. Miał dość czekania - nadszedł czas, by ją odszukać.

Zane rzucił monetę i ruszył skokami przez miasto. I oto była, siedziała na dachu Twierdzy Venture, strzegąc jego głupiego brata.

Zane okrążył twierdzę, trzymając się na tyle daleko, by nawet jej wspomagane cyną oczy go nie dostrzegły. Wylądował na tyłach i powoli ruszył do przodu. Podchodził, przyglądając się, jak dziewczyna siedzi na krawędzi dachu. Wokół panowała cisza.

W końcu odwróciła się, podskakując lekko. Mógłby przysiąc, że potrafiła wyczuć jego obecność, choć nie powinna.

Nieważne, został odkryty.

\*\*\*

- Zane - stwierdziła beznamiętnie, bez trudu rozpoznając jego sylwetkę. Jak zawsze miał na sobie czarny strój, bez mgielnego płaszcza.

- Czekałem - powiedział. - Na szczycie Twierdzy Hasting. Miałem nadzieję, że przyjdiesz.

Westchnęła. Nie spuszczała go z oczu, ale nieco się rozluźniła.

- Na razie nie mam ochoty się pojedynkować.

Obserwował ją.

- Szkoda - powiedział w końcu.

Podszedł bliżej, zmuszając Vin, by się podniosła. Przystanął na krawędzi dachu, wpatrując się w oświetlony balkon Elenda.

Vin spojrzała na OreSeura. Wilczarz był napięty, przesunął wzrok z niej na Zane'a.

- Martwisz się o niego - powiedział cicho Zane.

- O Elenda? - spytała.

- Mimo że cię wykorzystuje - stwierdził.

- Już o tym rozmawialiśmy, Zane. Nie wykorzystuje mnie.

Spojrzał jej prosto w oczy. Stał wyprostowany i pewny siebie.

Jest silny, pomyślała. Tak pewny siebie. Tak inny od...

Zane się odwrócił.

- Powiedz mi, Vin - odezwał się - kiedy byłaś młodsza, czy marzyłaś, żeby mieć moc?

- Co masz na myśli? - Przechyliła głowę, dziwiąc się temu pytaniu.

- Dorastałaś na ulicach - wyjaśnił. - Kiedy byłaś młodsza, czy marzyłaś, żeby mieć moc?

Czy marzyłaś, by móc się uwolnić, zabić tych, którzy cię dręczyli?

- Oczywiście.

- A teraz masz tę moc - powiedział. - Co by powiedziała mała Vin, gdyby cię zobaczyła?

Zrodzona z Mgły, która się kłania i ugina przed wolą kogoś innego? Potężna, a jednak w jakiś sposób wciąż podporządkowana?

- Teraz jestem innym człowiekiem, Zane - stwierdziła. - Lubię myśleć, że od dzieciństwa sporo się nauczyłam.

- Ja odkryłem, że dziecinne instynkty są często najbardziej prawdziwe - odparł. -

Najbardziej naturalne.

Nie odpowiedziała.

Zane odwrócił się cicho, spoglądając na miasto, jakby nie przeszkadzało mu, że odwraca się do niej tyłem. Vin przyjrzała mu się i upuściła monetę. Gdy ta zabrzęczała na metalowym dachu, natychmiast spojrzał w jej stronę.

Nie, pomyślała, nie ufa mi.

Znów się odwrócił, a ona go obserwowała. Rozumiała, o co mu chodzi, gdyż kiedyś też tak myślała. Zastanawiała się leniwie, kim mogłaby się stać, gdyby zyskała pełen dostęp do swoich mocy, nie

poznając jednocześnie przyjaźni i zaufania w ekipie Kelsiera.

- Co byś zrobiła, Vin? - spytał Zane, odwracając się znów twarzą do niej. - Zakładając, że nie miałabyś żadnych ograniczeń i że twoje czyny nie miałyby żadnych reperkusji?

Udałabym się na północ. Ta myśl pojawiła się od razu. Dowiedziała się, co tak pulsuje.

Ale nie wypowiedziała tego na głos.

- Nie wiem - powiedziała tylko.

Spojrzał na nią.

- Widzę, że nie traktujesz mnie poważnie. Przepraszam za marnowanie twojego czasu.

Odwrócił się, by odejść, przechodząc między nią a OreSeurem. Vin nagle poczuła ukłucie niepokoju. Przyszedł do niej, chcąc porozmawiać, nie walczyć - a ona zmarnowała tę okazję. Nigdy nie przeciągnie go na swoją stronę, jeśli nie zacznie z nim rozmawiać.

- Chcesz wiedzieć, co bym zrobiła? - spytała, a jej głos zadźwięczał wśród mgieł.

Zane się zatrzymał.

- Gdybym mogła korzystać ze swojej mocy tak, jak zechcę? - dodała. - Bez reperkusji?

Chroniłabym go.

- Swojego króla? - spytał Zane.

Vin skinęła głową.

- Ci ludzie, którzy przyprowadzili tu armie przeciw niemu... twój pan, Cett. Zabiłabym ich. Wykorzystałabym swoją moc, by się upewnić, że nikt nie zagrozi Elendowi.

Zane pokiwał w milczeniu głową, w jego oczach widziała szacunek.

- To dlaczego tego nie zrobisz?

- Ponieważ...

- Widzę niepewność w twoich oczach - stwierdził Zane. - Instynktownie wiesz, że pragnienie zabicia tych ludzi jest właściwe, a jednak się powstrzymujesz. Z jego powodu.

- Ze względu na reperkusje, Zane - sprzeciwiła się. - Gdybym zabiła tych ludzi, ich armie by zaatakowały. Teraz dyplomacja może jeszcze nam pomóc.

- Może - odparł. - Chyba że on cię poprosi, żebyś kogoś dla niego zabiła.

Vin prychnęła.

- Elend tak nie działa. Nie wydaje mi rozkazów, a ja zabijam tylko tych, którzy sami próbują go najpierw zabić.

- Ach, tak? Być może nie działasz na jego rozkaz, Vin, ale z pewnością na jego rozkaz powstrzymujesz się od działania. Jesteś jego zabawką. Nie mówię tego, by cię obrazić...

widzisz, sam podobnie jestem zabawką. Żadne z nas nie może się uwolnić. Nie samotnie.

Moneta, którą upuściła Vin, nagle poderwała się w powietrze, lecąc w stronę Zane'a.

Kobieta się spięła, lecz kawałek metalu po prostu wleciał w jego nadstawioną dłoń.

- Interesujące - powiedział, obracając monetę w palcach. - Wielu Zrodzonych z Mgły przestaje dostrzegać wartość monet. Dla nas to coś, co wykorzystujemy do skakania. Łatwo zapomnieć, ile jest coś warte, jeśli często się z tego korzysta. Kiedy staje się pospolite i użyteczne. Kiedy staje się... narzędziem.

Podrzucił monetę i wystrzelił ją w noc.

- Muszę iść - powiedział, odwracając się.

Vin uniosła dłoń. Kiedy użył przy niej Allomancji, uświadomiła sobie, że jest coś jeszcze, co chciałaby z nim omówić. Od tak dawna nie rozmawiała z innym Zrodzonym z Mgły, kimś, kto rozumiał jej moce. Kimś podobnym do niej.

Ale wydawało jej się, że zbyt rozpaczliwie pragnie, by został. Dlatego pozwoliła mu odejść i powróciła do pełnienia straży.

*Nie splodził dzieci, lecz wszyscy stali się jego potomkami.*



Vin nigdy nie spała mocno, co było dziedzictwem jej młodości. Złodziejskie grupy współpracowały z konieczności i jeśli ktoś nie umiał pilnować swojej własności, uważano go za niegodnego jej posiadania. Oczywiście, Vin znajdowała się na samym dole hierarchii - i choć nie miała zbyt wielu cennych rzeczy, bycie młodą dziewczyną w głównie męskim towarzystwie sprawiało, że musiała spać lekko z innych powodów.

Dlatego też gdy obudziło ją ciche warknięcie, zareagowała instynktownie. Zrzuciła pościel i sięgnęła po fiolkę stojącą na nocnej szafce. Nie spała z opiłkami w żołądku - wiele z allomantycznych metali było w pewnym stopniu trujących. Oczywiście, musiała sobie radzić z tym niebezpieczeństwem, ale uczono ją, by każdego dnia przed pójściem spać spaliła niewykorzystane metale.

Pochłonęła zawartość fiolki, jednocześnie sięgając po obsydianowe sztylety ukryte pod poduszką. Drzwi do jej komnaty otworzyły się i do środka weszła Tindwyl. Terrisanka zamarła w połowie kroku, gdy ujrzała Vin przykucniętą na wezgielciu łóżka ze sztyletami w dłoniach.

Tindwyl uniosła brew.

- Nie śpisz.

- Już.

Terrisanka się uśmiechnęła.

- Co robisz w moich komnatach? - spytała ostro Vin.

- Przyszłam cię obudzić. Pomyślałam, że mogłybyśmy pójść na zakupy.

- Zakupy?

- Tak, moja droga - stwierdziła Tindwyl, odsuwając zasłony. Vin zazwyczaj nie wstawała tak wcześnie. - Z tego, co słyszałam, masz jutro spotkać się z ojcem jego wysokości.

Zakładam, że na taką okazję potrzebujesz odpowiedniej sukni.

- Już nie noszę sukien. - W co ty grasz?

Tindwyl odwróciła się i spojrzała na Vin.

- Śpisz w ubraniu?

Vin pokiwała głową.

- Nie masz żadnych służek?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- W takim razie - powiedziała Tindwyl, odwracając się do wyjścia - wykup się i przebierz. Wyjdziemy, kiedy będziesz gotowa.

- Nie masz prawa mi rozkazywać.

Terrisanka zatrzymała się w drzwiach. Jej twarz złagodniała.

- Wiem, dziecko. Możesz pójść ze mną, jeśli zechcesz, to twój wybór. Ale naprawdę chcesz spotkać się ze Straffem Venture ubrana w spodnie i koszulę?

Vin się zawahała.

- Możesz też tylko pooglądać ubrania - stwierdziła Tindwyl. - To ci pozwoli na chwilę zapomnieć o wszystkim.

Dziewczyna w końcu pokiwała głową. Terrisanka znów się uśmiechnęła i wyszła.

Vin spojrzała na OreSeura siedzącego przy jej łóżku.

- Dzięki za ostrzeżenie.

Kandra wzruszył psimi ramionami.

\*\*\*

Niegdyś Vin nie potrafiła sobie wyobrazić życia w miejscu takim jak Twierdza Venture.

W dzieciństwie była przyzwyczajona do kryjówek, chałup skaa, a czasem bocznych uliczek.

Teraz mieszkała w budowlu pełnej witrażowych okien, otoczonej murami i krużgankami.

Oczywiście, pomyślała Vin, schodząc po schodach, wydarzyło się wiele rzeczy, których sobie nie wyobrażałam. Dlaczego teraz o nich myślę?

Ostatnio często wspominała młodość wśród złodziei, a słowa Zane'a - choć przecież absurdalne - ciągle do niej wracały. Czy pasowała do miejsca takiego jak ta twierdza? Miała mnóstwo umiejętności, lecz niewiele z nich było na miejscu w pięknych korytarzach.

Większość pasowała raczej do zasypanych popiołem bocznych uliczek.

Westchnęła. Z OreSeurem przy boku ruszyła w stronę południowego wejścia, gdzie miała czekać Tindwyl. W tym miejscu korytarz stawał się szeroki i majestatyczny, otwierał się bezpośrednio na dziedziniec. Powozy zazwyczaj wjeżdżały w wejście, by zabrać pasażerów - w ten sposób szlachetnie urodzeni nie narażali się na kontakt z żywiołami.

Zbliżając się, dzięki cynie usłyszała głosy. Jeden należał do Tindwyl, ale drugi...

- Nie zabrałam ze sobą wiele - stwierdziła Allrienne. - Kilkaset skrzyńców. Ale muszę mieć coś do ubrania. Nie mogę ciągle pożyczać sukni!

Zbliżywszy się do końca korytarza, Vin się zatrzymała.

- Dar króla z pewnością wystarczy, by zapłacić za suknię, moja droga - powiedziała Tindwyl. Zauważyła Vin. - A oto i ona.

Obok dwóch kobiet stał z ponurą miną Spook. Nosił mundur strażnika pałacowego, jednak rozpiął górę, a spodnie wisały na nim luźno. Vin powoli zbliżyła się do nich.

- Nie spodziewałam się towarzystwa - powiedziała.

- Młoda Allrienne wychowywała się na dworze - stwierdziła Tindwyl. - Zna się na najnowszej modzie i pomoże ci wybrać odpowiednie stroje.

- A Spook?

Tindwyl spojrzała na chłopaka.

- Tragarz.

Cóż, to wyjaśnia jego humor, pomyślała Vin.

- Chodźcie - powiedziała Tindwyl, ruszając przez dziedziniec.

Allrienne szybko podążyła za nią lekkim, pełnym wdzięku krokiem.

Vin spojrzała na Spooka, który wzruszył ramionami. Oni również ruszyli za Terrisanką.

- Jak się w to wpakowałeś? - szepnęła Vin do towarzysza.

- Wstałem za wcześnie i kradłem jedzenie - mruknął w odpowiedzi. - Ta tutaj Pani Imponująca zauważyła mnie, uśmiechnęła się jak wilczarz i powiedziała „Tego popołudnia będę potrzebowała twoich usług, młody człowieku”.

Vin pokiwała głową.

- Miej się na baczności i spalaj cynę. Pamiętaj, trwa wojna.

Spook posłusznie wykonał jej polecenie. Stojąc tak blisko, Vin bez trudu wychwyciła allomantyczne impulsy jego cyny, co oznaczało, że nie jest szpiegiem.

Kolejny skreślony z listy, pomyślała. Ta wycieczka nie będzie tak zupełnie bez sensu.

Przy bramie czekał na nich powóz. Spook wdrapał się na miejsce obok stangreta, a kobiety

usadowiły się z tyłu. OreSeur wspiął się na miejsce obok Vin, a Allrienne i Tindwyl zajęły miejsca naprzeciwko nich. Dziewczyna spojrzała na wilczarza z ponurą miną i skrzywiła nos.

- Czy to zwierzę musi siedzieć razem z nami?

- Tak - odparła Vin, gdy powóz ruszył.

Allrienne najwyraźniej oczekiwała szerszych wyjaśnień, lecz Vin ich nie udzieliła. W

końcu dziewczyna wyrzała przez okno.

- Jesteś pewna, że będziemy bezpieczne w towarzystwie tylko jednego mężczyzny, Tindwyl?

Tindwyl spojrzała na Vin.

- Ach, myślę, że nic nam się nie stanie.

- No tak - stwierdziła Allrienne, znów spoglądając na Vin. - Jesteś Allomantką! Czy to, co o tobie mówią, jest prawdą?

- A co mówią? - spytała cicho Vin.

- Powiedzieli, że zabiłaś Ostatniego Imperatora. I że jesteś trochę... no... tak. - Allrienne zagryzła wargę. - Cóż, że jesteś trochę chwiejna.

- Chwiejna?

- I niebezpieczna - dodała Allrienne. - Ale przecież to nie może być prawda. To znaczy, w końcu idziesz z nami na zakupy, prawda?

Czy ona celowo próbuje mnie sprowokować?

- Zawsze nosisz takie ubrania? - pytała dalej Allrienne.

Vin włożyła zwyczajowe szare spodnie i jasnobrązową koszulę.

- Łatwo się w nich walczy.

- No tak, ale... cóż. - Dziewczyna się uśmiechnęła. - Chyba po to właśnie tu dziś jesteśmy, prawda, Tindwyl?

- Tak, moja droga - odparła Terrisanka. Przez całą rozmowę przyglądała się Vin.

Ciekawe, co widzisz, pomyślała Vin. Czego chcesz?

- Musisz być najdziwniejszą szlachetnie urodzoną, jaką kiedykolwiek poznałam -

stwierdziła Allrienne. - Czy dorastałaś daleko od dworu? Ja tak, ale moja matka bardzo starannie

mnie wyszkoliła. Oczywiście, po prostu próbowała uczynić ze mnie jak najlepszą partię, żeby ojciec mógł mnie korzystnie sprzedać w zamian za sojusz. - Allrienne się uśmiechnęła.

Vin od długiego czasu nie musiała utrzymywać kontaktu z takimi kobietami. Pamiętała godziny spędzone na dworze, gdy udawała Valette Renoux. Często, kiedy myślała o tych dniach, przypominała sobie złe rzeczy. Złośliwości dworaków, swoje złe samopoczucie w tej roli.

Ale były też i dobre strony. Po pierwsze, Elend. Nie poznałaby go, gdyby nie udawała szlachetnie urodzonej. A bale, ze swoimi kolorami, muzyką i sukniami, też miały pewien oszałamiający urok. Pełne wdzięku tańce, ostrożne kontakty, doskonale udekorowane sale...

To minęło, powiedziała sobie. Nie mamy czasu na głupie bale i spotkania, gdy dominium stoi na krawędzi zagłady.

Tindwyl wciąż ją obserwowała.

- I jak? - spytała Allrienne.

- Z czym? - odpowiedziała pytaniem Vin.

- Dorastałaś daleko od dworu?

- Nie jestem szlachetnie urodzona, Allrienne. Jestem skaa.

Allrienne zbladła, zarumieniła się, po chwili uniosła palce do ust.

- Och! Biedactwo!

Wspomagając się cyną, Vin usłyszały coś jeszcze... cichutki śmiech OreSeura, tak cichy, że mógł go usłyszeć tylko Allomanta.

Powstrzymała się przed posłaniem kandrze ostrego spojrzenia.

- Nie było tak źle - stwierdziła.

- Ale nic dziwnego, że nie wiesz, jak się ubierać! - zauważyła Allrienne.

- Wiem, jak się ubierać - sprzeciwiła się Vin. - Mam nawet kilka sukien. - Ale nie wkładałam ich od wielu miesięcy.

Dziewczyna pokiwała głową, choć najwyraźniej nie uwierzyła w jej słowa.

- Breezy też jest skaa - powiedziała cicho. - A w każdym razie w połowie. Powiedział mi. Dobrze, że nie wspomniał o tym ojcu... ojciec nigdy nie był bardzo dobry dla skaa.

Vin nie odpowiedziała.

W końcu dotarły na ulicę Kenton, gdzie gęste tłumy sprawiały, że powóz raczej im przeszkadzał, niż pomagał. Vin pierwsza wyszła na zewnątrz, OreSeur skoczył za nią na bruk.

Na handlowej ulicy panował spory ruch, choć nie tak wielki, jak poprzednim razem. Vin spojrzała na ceny w niektórych pobliskich sklepach, gdy jej towarzyszki opuszczały powóz.

Pięć skrzyńców za kosz zwiędłych jabłek, pomyślała z niezadowoleniem. Żywność robi się coraz droższa. Na szczęście Elend miał zapasy. Tylko na jak długo wystarczą w obliczu oblężenia? Na pewno nie na całą zimę - zbyt wiele zbóż pozostało jeszcze na polach w odległych plantacjach.

Czas może być teraz naszym sprzymierzeńcem, pomyślała, ale wkrótce zwróci się przeciwko nam. Musieli zmusić oblegające armie do walki przeciwko sobie. Inaczej mieszkańcy miasta umrą z głodu, zanim obcy żołnierze spróbują zdobyć mury.

Spook zeskoczył z kozła i dołączył do nich. Tindwyl rozejrzała się po ulicy. Vin obserwowała kłębiące się tłumy. Ludzie najwyraźniej próbowali zajmować się codziennymi sprawami, mimo zewnętrznego zagrożenia. A co jeszcze mogli robić? Oblężenie trwało już od tygodni. Życie musiało toczyć się dalej.

- Tam - powiedziała Tindwyl, wskazując zakład krawiecki.

Allrienne potruchtała przodem. Jasnowłosa arystokratka już zwróciła uwagę Spooka -

podążał za nią szybkim krokiem. Oczywiście, łatwo było zwrócić uwagę Spooka - wystarczał do tego biust i ładny zapach - choć to ostatnie nie zawsze było konieczne.

Tindwyl się uśmiechnęła.

- Z pewnością nie miała okazji, by robić zakupy, od kiedy wyruszyła z armią ojca.

- Mówisz to tak, jakby to była jakaś straszna męka - odparła Vin. - Że nie mogła robić zakupów.

- Ona to uwielbia - zauważyła Terrisanka. - Z pewnością możesz zrozumieć, jak czuje się ktoś, komu odbierają to co kocha.

Dotarły do zakładu. Vin wzruszyła ramionami.

- Nie mam zbyt wiele współczucia dla dworskiej bezy, która cierpi z powodu braku sukien.

Tindwyl zmarszczyła czoło. Weszły do środka, a OreSeur usadowił się przed wejściem.

- Nie wymagaj zbyt wiele od tego dziecka. Tak już została wychowana i nic tego nie zmieni. Podobnie jak ty. Jeśli oceniasz jej wartość, patrząc na jej frywolność, to zachowujesz się tak samo jak ci, którzy oceniają cię po prostym ubraniu.

- Lubię, kiedy ludzie oceniają mnie po prostym ubraniu - odparła Vin. - Wtedy zbyt wiele się po mnie

nie spodziewają.

- Rozumiem. I wcale ci tego nie brakowało? - Tindwyl wskazała na wnętrze zakładu.

Vin się zawahała. Pomieszczenie wypełniały kolory i tkaniny, koronki i aksamity, gorsety i spódnice. Wszystko to skropiono delikatnymi perfumami. Stojąc przed kolorowymi manekinami, Vin na chwilę powróciła do balów. Czasów, gdy była Valette. Czasów, gdy miała usprawiedliwienie, by być Valette.

- Słyszałam, że lubiłaś towarzystwo szlachetnie urodzonych - powiedziała lekko Tindwyl, idąc dalej.

Allrienne już stała z przodu i przeciągała palcami wzdłuż beli tkaniny, omawiając coś z krawcem.

- Kto ci to powiedział? - spytała Vin.

Terrisanka odwróciła się w jej stronę.

- Ależ twoi przyjaciele, moja droga. Co ciekawe, powiedzieli mi, że przestałaś chodzić w sukienkach kilka miesięcy po Upadku. Wszyscy zastanawiali się, dlaczego. Mówili, że chyba lubiłaś nosić damskie stroje, ale sądzę, że się mylili.

- Nie - odpowiedziała cicho dziewczyna. - Mieli rację.

Tindwyl uniosła brew i zatrzymała się przed manekinem w jaskrawozielonej sukni zdobionej koronką, ze spódnicą opartą na kilku halkach.

Vin podeszła i przyjrzała się wspaniałej szacie.

- Spodobał mi się taki sposób ubierania. I na tym właśnie polegał problem.

- Nie widzę w tym żadnego problemu, moja droga.

Vin odwróciła się od sukni.

- To nie ja. Nigdy taka nie byłam, tylko udawałam. Kiedy nosi się takie stroje, łatwo zapomnieć, kim się naprawdę jest.

- A takie sukienki nie mogą być częścią ciebie?

Vin pokręciła głową.

- Sukienki i suknie to część tego, czym jest ona. - Wskazała na Allrienne. - Ja muszę być kimś innym. Kimś twardszym. - Nie powinnam była tu przychodzić.

Tindwyl położyła dłoń na jej ramieniu.

- Czemu za niego nie wyszłaś, dziecko?

Vin gwałtownie uniosła głowę.

- A co to za pytanie?

- Szczere - odparła Tindwyl. Wydawała się mniej surowa niż zazwyczaj, gdy Vin ją spotykała. Oczywiście, wówczas zwracała się głównie do Elenda.

- To nie twoja sprawa - stwierdziła Vin.

- Król poprosił mnie, bym poprawiła jego wizerunek - powiedziała Terrisanka. - A ja postanowiłam zrobić jeszcze więcej... pragnę uczynić z niego prawdziwego króla, jeśli mogę.

Kryje się w nim wielki potencjał. Nic z nim jednak nie zrobi, jeśli nie zyska pewności w niektórych kwestiach. Szczególnie dotyczy to ciebie.

- Ja... - Vin przymknęła oczy, przypominając sobie chwilę oświadczyn. Tę noc na balkonie, z popiołem spadającym z nieba. Przypomniała sobie przerażenie. Wiedziała oczywiście, w jaką stronę kieruje się ich związek. Dlaczego tak się bała?

Wtedy właśnie przestała chodzić w sukienkach.

- Nie powinien był mi się oświadczać - powiedziała cicho, otwierając oczy. - Nie może się ze mną ożenić.

- On cię kocha, dziecko - zauważyła Tindwyl. - W pewnym sensie to pech... wszystko byłoby o wiele prostsze, gdyby czuł coś innego. Ale w takiej sytuacji...

Vin potrząsnęła głową.

- Jestem dla niego nieodpowiednia.

- Ach - powiedziała Tindwyl. - Rozumiem.

- Potrzebuje kogoś innego. Kogoś lepszego. Kobiety, która może być królową, a nie tylko strażniczką. Kogoś... - Vin poczuła mdłości. - Kogoś takiego jak ona.

Tindwyl spojrzała w stronę Allrienne, która właśnie roześmiała się na słowa starszego krawca, kiedy zdejmował z niej miarę.

- Ale on zakochał się właśnie w tobie, dziecko - zauważyła Terrisanka.

- Kiedy udawałam, że jestem taka jak ona.

Tindwyl się uśmiechnęła.

- Wątpię, byś mogła być kiedyś jak Allrienne, choćbyś się bardzo starała.



- Może. Tak czy inaczej, pokochał moją dworską postać. Nie wiedział, kim naprawdę jestem.

- I porzucił cię, poznawszy prawdę?

- No nie. Ale...

- Ludzie są bardziej skomplikowani, niż to się wydaje na pierwszy rzut oka - stwierdziła Tindwyl. - Allrienne na przykład jest młoda i... może nieco zbyt rozgadana. Ale na temat dworu wie więcej niż można by się spodziewać i umie rozpoznać, co ludzie mają w sobie dobrego.

Wielu brakuje tego talentu. Twój król to skromny uczony i myśliciel, ale ma wolę wojownika.

Nie boi się walczyć i... być może... jeszcze nie pokazał wszystkiego, co potrafi. Uspokajacz Breeze to cyniczny szyderca - o ile nie patrzy na młodą Allrienne. Wtedy mięknie i człowiek zaczyna się zastanawiać, ile z jego surowości i braku zainteresowania to poza.

Tindwyl przerwała i spojrzała na Vin.

- A ty. W tobie kryje się o wiele więcej niż chcesz przyznać, dziecko. Czemu patrzysz tylko na jedną stronę siebie, skoro Elend widzi o wiele więcej?

- Czy to o to tu chodzi? - spytała Vin. - Chcesz ze mnie zrobić królową Elenda?

- Nie, dziecko - odpowiedziała Terrisanka. - Chcę pomóc ci stać się tym, kim jesteś. A teraz niech krawiec zdejmie z ciebie miarę, byś mogła przymierzyć niektóre gotowe suknie.

Kim jestem? - pomyślała Vin, marszcząc czoło. Pozwoliła jednak popchnąć się do przodu i stary krawiec zaczął zdejmować miarę.

Kilka chwil później, wyszedłszy z przebieralni, Vin pojawiła się ubrana we wspomnienie. Suknia z niebieskiego jedwabiu zdobionego koronką była obcisła w talii i biuście. Liczne halki sprawiały, że rozszerzała się ku dołowi, całkowicie zakrywając stopy, a jej rąbek niemal dotykał podłogi.

Była przy tym zupełnie niepraktyczna. Szeleściła przy każdym ruchu, do tego Vin musiała uważać, gdzie stawia stopy, by o nic nie zaczepić ani nie otrzeć się o coś brudnego.

Lecz jednocześnie była piękna i sprawiała, że Vin czuła się piękna. Niemal spodziewała się, że zaraz rozlegnie się muzyka, Sazed stanie u jej boku niczym czujny strażnik, a przed nią pojawi się Elend, przerzucający stronicę księgi i obserwujący roztańczone pary.

Vin podeszła bliżej, by krawiec mógł sprawdzić, gdzie suknia uciska, a gdzie się marszczy. Allrienne westchnęła głośno na jej widok. Krawiec wsparł się na lasce, dyktując notatki młodemu pomocnikowi.

- Proszę się jeszcze trochę przejść, panienko - powiedział. - Chciałbym zobaczyć, jak się zachowuje, gdy panienka zrobi coś więcej niż tylko proste kroki.

Vin obróciła się lekko na palcach, próbując sobie przypomnieć kroki tańca, których uczył ją Sazed.

Nigdy w końcu nie zatańczyłam z Elendem, przypominała sobie, robiąc krok w bok, jakby w rytm muzyki, której już prawie nie pamiętała. Zawsze znalazł wymówkę, żeby się wykręcić.

Zawirowała, sprawdzając dopasowanie sukni. Wydawałoby się, że zdążyła już o wszystkim zapomnieć. Teraz jednak, gdy znów miała na sobie sukienkę, z zaskoczeniem odkryła, jak łatwo wrócić do dawnych nawyków - lekkie kroki, obracanie się tak, by rąbek sukni uniósł się lekko...

Zatrzymała się. Krawiec już nic nie dyktował. Obserwował ją w milczeniu, z uśmiechem.

- Co się stało? - spytała, rumieniąc się.

- Przepraszam, panienko - powiedział, odwracając się, by postukać w notes pomocnika i odesłać chłopca gestem. - Ale nie sądzę, bym widział kogoś, kto porusza się z takim wdziękiem. Niczym... tchnienie.

- Pochlebiasz mi - odparła Vin.

- Nie, dziecko - powiedziała stojąca z boku Tindwyl. - Ma rację. Poruszasz się z wdziękiem, którego inne kobiety mogłyby ci pozazdrościć.

Krawiec znów się uśmiechnął, odwracając się do pomocnika, który przyniósł

kwadratowe próbki tkanin. Starzec przerzucał je pomarszczonymi dłońmi, a Vin podeszła do Tindwyl. Trzymała ręce wzdłuż ciała, starając się, by zdradziecka suknia nie przejęła nad nią kontroli.

- Dlaczego jesteś dla mnie taka miła? - spytała cicho.

- A czemu nie? - odpowiedziała Tindwyl pytaniem.

- Ponieważ wobec Elenda jesteś wredna. Nie zaprzeczaj, słuchałam waszych lekcji.

Przez cały czas obrażasz go i traktujesz lekceważąco. Ale wobec mnie udajesz, że jesteś miła.

Tindwyl się uśmiechnęła.

- Nie udaję, dziecko.

- To dlaczego Elenda traktujesz tak podle?

- Chłopak dorastał jako rozpieszczony synalek wielkiego pana - stwierdziła. - Teraz, gdy jest królem, sądzę, że potrzebuje ostrej prawdy. - Tindwyl przerwała, spojrzała na Vin. -

Wydaje mi się, że ty miałaś jej już dosyć w życiu.

Krawiec podszedł z próbkami, rozkładając je na niskim stoliku.

- Myślę, że cera panienki będzie wyglądać najlepiej w połączeniu z ciemną tkaniną - powiedział, wskazując palcem na jeden z plików. - Może taka urocza ciemna czerwień?

- A czerń? - spytała Vin.

- W żadnym wypadku - wtrąciła Tindwyl. - Żadnej czerni ani szarości, dziecko.

- To może ten? - spytała Vin, wyciągając próbkę w kolorze szafirowym. Suknię w podobnym odcieniu nosiła tego wieczoru, gdy poznała Elenda.

- Ach, tak - powiedział krawiec. - Będzie doskonale pasować do jasnej cery i ciemnych włosów. Hm. Musimy teraz wybrać fason. Potrzebujecie tego jutro wieczorem, jak powiedziała Terrisanka?

Vin pokiwała głową.

- Cóż. Będziemy musieli dopasować jedną z gotowych sukni. Chyba mam jedną w tym kolorze. Trzeba ją znacznie zwęzić, ale dla kogoś tak pięknego możemy pracować całą noc, co, chłopcze? Jeśli chodzi o fason...

- Ten jest całkiem niezły, tak myślę - stwierdziła Vin, spoglądając w dół. Suknie o takim typowym kroju nosiła niegdyś na balach.

- Myślę, że „niezły” to może być trochę za mało, nieprawdaż? - powiedział krawiec z uśmiechem.

- A gdybyśmy usunęli część halek? - zaproponowała Tindwyl, unosząc boki sukni Vin. -

I może odrobinę skrócili, żeby poruszała się nieco swobodniej?

Vin się zawahała.

- Możecie to zrobić?

- Oczywiście - odparł krawiec. - Chłopak mówi, że na południu preferują mniej obfite spódnice, choć mody przychodzą do Luthadel z opóźnieniem. - Przerwał. - Nie wiem zresztą, czy w Luthadel panuje jeszcze jakaś moda...

- Rękawy mają być szerokie - powiedziała Tindwyl. - I wszyj w nie kilka kieszeni dla pewnych drobiazgów osobistej natury.

Starzec pokiwał głową, a jego milczący pomocnik wszystko zanotował.

- Gorset i talia mogą być wąskie - mówiła dalej Terrisanka - ale nie powinny ograniczać swobody ruchów. Lady Vin musi poruszać się swobodnie.

- Lady Vin? - spytał krawiec. Przyjrzał się Vin uważniej, mrużąc oczy, po czym odwrócił się do pomocnika. Chłopak pokiwał głową.

- Rozumiem... - powiedział mężczyzna, blednąc. Drzenie jego rąk nasiliło się jeszcze.

Wsparł je na lasce, by odzyskać panowanie nad sobą. - Prze... przepraszam, jeśli was uraziłem, pani. Nie wiedziałem.

Vin znów się zarumieniła. Kolejny powód, żeby nie chodzić na zakupy.

- Nie - odpowiedziała uspokajająco. - Nie obraziłeś mnie.

Mężczyzna rozluźnił się nieco. Vin zauważyła, że zbliża się do nich Spook.

- Chyba zostaliśmy odnalezieni - powiedział, wskazując na witryny.

Vin spojrzała za manekiny i bele tkanin, i ujrzała zbierający się na zewnątrz tłum.

Tindwyl przyglądała się jej z ciekawością.

Spook pokręcił głową.

- Czemu jesteś taka popularna?

- Zabiłam ich boga - odparła cicho Vin i schowała się za manekinem, by uniknąć dziesiątek spojrzeń.

- Ja pomagałem - stwierdził Spook. - Sam Kelsier wymyślił mój przydomek! Ale biedny mały Spook nikogo nie obchodzi.

Vin rozejrzała się po pomieszczeniu. Musi być jakieś tylne wyjście. Oczywiście w uliczce też mogą być ludzie.

- Co robisz? - spytała Tindwyl.

- Muszę iść - stwierdziła Vin. - Uciec im.

- A dlaczego nie wyjdiesz, żeby z nimi porozmawiać? - spytała Terrisanka. -

Najwyraźniej bardzo chcą cię zobaczyć.

Allrienne wyszła z przebieralni odziana w żółto-niebieską suknię i zawirowała. I wyraźnie się obraziła, kiedy Spook nie zwrócił na nią uwagi.

- Nie wyjdę tam - stwierdziła Vin. - Czemu miałabym to zrobić?

- Potrzebują nadziei - odparła Tindwyl. - Nadziei, którą możesz im dać.

- Fałszywą nadzieję - zauważyła Vin. - To tylko jeszcze bardziej ich zachęci do traktowania mnie jak

obiekt czci.

- To nieprawda - powiedziała nagle Allrienne, która bez żadnego zażenowania podeszła bliżej i zaczęła wyglądać przez okna. - Krycie się po kątach, dziwne ubrania, tajemniczość... to właśnie sprawiło, że zyskałaś taką niezwykłą reputację. Gdyby ludzie wiedzieli, jak zwyczajna jesteś, nie szaleliby tak bardzo na twój widok. - Zawahała się i odwróciła. - Eee... nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało.

Vin się zarumieniła.

- Nie jestem Kelsierem, Tindwyl. Nie chcę, by ludzie oddawali mi cześć. Chcę, żeby dali mi spokój.

- Niektórzy nie mają wyboru, dziecko - odparła Terrisanka. - Obaliłaś Ostatniego Imperatora. Uczył cię Ocalały i jesteś towarzyszką ich króla.

- Nie jestem jego towarzyszką - stwierdziła Vin i znów się zaczerwieniła. - Po prostu...

Imperatorze, nawet ja nie rozumiem naszego związku. Jak mam go wyjaśnić?

Tindwyl uniosła brew.

- Dobrze - stwierdziła Vin z westchnieniem.

- Pójdę z tobą - powiedziała Allrienne i chwyciła towarzyszkę za ramię, jakby były przyjaciółkami od dzieciństwa.

Vin opierała się, ale nie wiedziała, jak się jej pozbyć, nie robiąc przy tym sceny.

Wyszły ze sklepu. Zebrał się już spory tłum, który rósł z każdą chwilą, ludzie bowiem zatrzymywali się, nie wiedząc, co się dzieje. Większość stanowili skaa w brązowych, poplamionych popiołem strojach roboczych lub prostych sukienkach. Ci z przodu cofnęli się, gdy Vin wyszła, pozostawiając jej nieco przestrzeni, i w tłumie rozległy się podekscytowane szeptu.

- Och - powiedziała cicho Allrienne. - Sporo ich...

Vin pokiwała głową. OreSeur siedział na swoim miejscu, w pobliżu drzwi, i obserwował ją z dziwną psią miną.

Allrienne uśmiechnęła się do tłumów, machając im z pewnym wahaniem.

- Czy, no wiesz, mogłabyś z nimi walczyć, gdyby coś poszło nie tak?

- To nie będzie konieczne - stwierdziła Vin, wyzwalając się w końcu z uścisku Allrienne i uspokajając nieco tłum.

Później zrobiła krok do przodu, próbując stłumić zdenerwowanie. Już nie czuła, że musi się ukrywać, kiedy pojawiała się w miejscach publicznych, ale stanie przed takim tłumem...

prawie cofnęła się z powrotem do zakładu krawca.

Powstrzymał ją głos. Mówiącym był mężczyzna w średnim wieku, o poplamionej popiołem brodzie, mnący w rękę brudną czapkę. Silny mężczyzna, pewnie robotnik. Jego cichy głos kontrastował z mocnym ciałem.

- Pani Dziedziczko. Co z nami będzie?

Groza - niepewność - w głosie potężnego mężczyzny była tak żalosna, że Vin się zawahała. Przyglądał się jej z nadzieją, jak wielu z pozostałych.

Tak wielu, pomyślała Vin. Wydawało mi się, że kościół Ocalałego jest mały. Spojrzała na mężczyznę, który nadal miał czapkę. Nie mogła mu powiedzieć, że nie wie, co się stanie.

Nie mogła wyjaśnić, patrząc w te oczy, że nie jest zbawcą, którego potrzebował.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała, wzmacniając Uspokajanie, próbując złagodzić ich strach.

- Ale armie, Pani Dziedziczko! - odezwała się jedna z kobiet.

- Próbują nas zastraszyć - stwierdziła Vin. - Ale król im nie pozwoli. Nasze mury są mocne, żołnierze też. Przetrywamy to oblężenie.

Zapadła cisza.

- Jedną z tych armii prowadzi ojciec Elenda, Straff Venture - powiedziała. - Elend i ja spotykamy się z nim jutro. Przekonamy go, by został naszym sojusznikiem.

- Król się podda! - powiedział ktoś. - Słyszałem. Wymieni miasto za swoje życie.

- Nie - sprzeciwiła się Vin. - Nigdy by tego nie zrobił!!

- Nie będzie za nas walczył! - zawołał ktoś. - Nie jest żołnierzem. Jest politykiem!

Inne głosy poparły go. Szacunek zniknął, gdy ludzie zaczęli wykrzykiwać swoje troski, a inni żądać pomocy. Niektórzy nadal pomstowali na Elenda, rycząc, że na pewno ich nie ochroni.

Vin uniosła ręce do uszu. Próbowała odeprzeć tłum, chaos.

- Przestańcie! - ryknęła, Odpychając stalą i mosiądzem. Niektórzy gwałtownie cofnęli się od niej, widziała też falę wśród tłumu, gdy guziki, monety i sprzączki nagle szarpnęły do tyłu.

Zapanowała nagle cisza.

- Nie pozwolę, byście mówili źle o naszym królu! - powiedziała Vin, rozjarzając mosiądz i wzmacniając Uspokajanie. - Jest dobrym człowiekiem i dobrym przywódcą. Tak wiele dla was poświęcił... wasza wolność to wynik wielu godzin, jakie spędził na pisaniu praw, a macie z czego

żyć, gdyż zadbał o szlaki handlowe i umowy z kupcami.

Wielu z zebranych spuściło wzrok. Brodacz z przodu nadal jednak miał czapkę, patrząc na Vin.

- Oni się boją, Pani Dziedziczko. Bardzo boją.

- Ochronimy was - stwierdziła Vin. I co ja mówię? - Elend i ja, znajdziemy sposób.

Powstrzymaliśmy Ostatniego Imperatora. Powstrzymamy i te armie... - Przerwała, czując się głupio.

Ale tłum zareagował. Niektórzy wciąż byli niezadowoleni, lecz duża część wyglądała na uspokojoną. Zebrani zaczęli się rozpraszać, choć wielu podchodziło bliżej, prowadząc lub niosąc dzieci. Vin się zawahała. Kelsier często spotykał się z dziećmi skaa i brał je na ręce, jakby je błogosławił. Pożegnała się pospiesznie i wróciła do zakładu, ciągnąc za sobą Allrienne.

Tindwyl czekała w środku. Z zadowoleniem kiwała głową.

- Skłamałam - stwierdziła Vin, zamykając za sobą drzwi.

- Wcale nie - odparła Tindwyl. - Byłaś optymistką. Czy to prawda, czy nie, jeszcze się okaże.

- Nie uda się - sprzeciwiła się Vin. - Elend nie pokona tych armii, nawet z moją pomocą.

Tindwyl uniosła brew.

- Zatem powinniście odejść. Uciec i pozostawić mieszkańców, by sami zajęli się wrogimi armiami.

- Nie o to mi chodziło.

- To się zdecyduj - stwierdziła Tindwyl. - Albo zostaw miasto, albo w nie uwierz.

Naprawdę, wy dwoje.... - Pokręciła głową.

- Podobno miałaś nie być wobec mnie surowa - przypomniała Vin.

- Czasem mam z tym problemy - przyznała Terrisanka. - Chodź, Allrienne, dokończymy mierzenie.

Odwróciły się. W tej właśnie chwili - jakby zaprzeczając zapewnieniom Vin - na murze zabiły dzwony.

Vin zamarła, wyjrzała przez okno ponad niepewnym tłumem.

Jedna z armii atakowała. Przeklinając opóźnienie, Vin ruszyła na zaplecze, by zrzucić obszerną suknię.

\*\*\*

Elend wspinał się pospiesznie na mur, niemal potykając się przy tym o laskę pojedynkową. Wszedł

na mur i z przekleństwem poprawił łaskę.

Na murze panował chaos. Ludzie się kłębili, wołali do siebie. Niektórzy zapomnieli o pancierzach, inni o łukach. Tak wielu próbowało wejść za Elendem, że ruch na schodach został

zablokowany. Przyglądał się z rozpaczą, jak inni tłoczą się na dole, tylko zwiększając zamieszanie na dziedzińcu.

Elend obrócił się i zobaczył, że spora grupa ludzi Straffa - całe tysiące - pędzi w stronę muru. Stał w pobliżu Bramy Cynowej, na północy miasta, najbliższej armii ojca. Widział też, jak inni żołnierze biegną w stronę Bramy Cyno-Ołowiowej, na wchód od niego.

- Łucznicy! - ryknął Elend. - Ludzie, gdzie wasze łuki?

Jego głos został zagłuszony przez krzyki. Kapitanowie kręcili się, próbując zorganizować ludzi, ale najwyraźniej zbyt wielu żołnierzy piechoty znalazło się na murze, przez co łucznicy zostali uwięzieni na dziedzińcu.

Dlaczego? - pomyślał rozpaczliwie Elend, odwracając się z powrotem w stronę natarcia.

Dlaczego atakuje? Mieliśmy się przecież spotkać?!

Może dowiedział się, że Elend ma zamiar grać na dwa fronty? Może rzeczywiście w wewnętrznym kręgu był szpieg?

Tak czy inaczej, mógł się jedynie bezsilnie przyglądać, jak armia zbliża się do murów.

Jednemu z kapitanów udało się wystrzelić żalosną salwę, lecz to nic nie zmieniło. W miarę zbliżania się armii, w stronę muru zaczęły lecieć strzały, zmieszane z monetami. Straff miał

Allomantów.

Elend zaklął i schował się za blankami, gdy metal uderzył o mur. Kilku żołnierzy upadło. Żołnierzy Elenda. Zabici, gdyż był zbyt dumny, by poddać miasto.

Ostrożnie wyjrzał za mur. Zbliżała się grupa żołnierzy niosących taran, osłanianych przez tarczowników. Ta ostrożność prawdopodobnie znaczyła, że niosący taran są Zbirami, co potwierdził dźwięk, jaki wydał taran, uderzając o wrota. To nie mogli być zwyczajni ludzie.

Następnie haki. Wystrzelone z dołu przez Monetostrzelnych, o wiele dokładniej, niż gdyby zostały po prostu rzucone. Żołnierze ruszyli, by je zrzucić, lecz wtedy w ich stronę poleciały monety, powalając ich. Uderzenia w bramę nie ustawały i Elend wątpił, by wrota wytrzymały przez dłuższy czas.

I tak oto upadamy, pomyślał Elend. Niemal bez oporu.

Nic nie mógł zrobić. Czuł się bezsilny, zmuszony do ukrywania, by biały mundur nie uczynił z niego łatwego celu. Cała polityka, wszystkie przygotowania, wszystkie marzenia i plany. Stracone.



Pojawiła się Vin. Wylądowała na szczycie muru, dysząc ciężko, między rannymi.

Skierowane w jej stronę monety i strzały zawracały w powietrzu. Żołnierze kłębili się wokół

niej, usuwając haki i zabierając rannych w bezpieczne miejsca. Sztyletami przecinała liny, zrzucając je na dół. Napotkała spojrzenie Elenda i poruszyła się, jakby miała zamiar zeskoczyć z muru i walczyć ze Zbirami z taranem.

Elend uniósł rękę, lecz odezwał się ktoś inny.

- Vin, zaczekaj! - zaryczał Clubs, wypadając ze schodów.

Zatrzymała się. Elend nigdy nie słyszał, by stary generał odzywał się z taką mocą.

Strzały przestały lecieć. Łoskot ucichł. Elend przyglądał się zaskoczony, jak armia cofa się przez spopieliałe pola w stronę obozu. Pozostawili kilka trupów - ludziom Elenda udało się trafić paru żołnierzy wroga. Jego armia poniosła zdecydowanie większe straty - około dwóch tuzinów rannych.

- Co się dzieje? - spytał Elend, odwracając się do Clubsa.

- Nie mieli ze sobą drabin - stwierdził generał, patrząc na cofających się żołnierzy. - To nie był prawdziwy atak.

- Zatem co? - spytała Vin, marszcząc czoło.

- Próba - wyjaśnił Clubs. - W czasie wojny dość częsta... krótka potyczka, by zobaczyć, jak zareaguje wróg, sprawdzić jego taktykę i przygotowanie.

Elend odwrócił się i popatrzył na zdezorganizowanych żołnierzy, którzy rozstępowali się przed uzdrowicielami.

- Próba - powtórzył, spoglądając na generała. - Chyba nie poszło nam zbyt dobrze.

Clubs wzruszył ramionami.

- Gorzej niż powinno. Może to zmusi chłopaków, by bardziej uważali podczas musztry.

Elend spostrzegł coś, czego tamten nie wypowiedział na głos. Zmartwienie.

Król spojrział ponad murem, obserwując wycofującą się armię. Nagle wszystko nabrało sensu. Dokładnie takie posunięcia lubił jego ojciec.

Spotkanie ze Straffem odbędzie się tak, jak zaplanowano. Wcześniej jednak ojciec chciał mu coś uświadomić.

„Mogę zdobyć miasto w dowolnej chwili”, mówił atak. „Jest moje, niezależnie od tego, co zrobisz. Pamiętaj o tym”.

*Nieporozumienie zmusiło go do prowadzenia wojny - i zawsze utrzymywał, że nie jest wojownikiem - lecz walczył lepiej od innych.*

- To nie jest dobry pomysł, panienko. - OreSeur siedział na tylnych łapach, przyglądając się, jak Vin rozpakowuje duże, płaskie pudło.

- Elend sądzi, że to jedyna szansa - odparła, zdejmując wieko.

W środku leżała elegancka szafirowa suknia. Wyjęła ją, zwracając uwagę na jej niewielki ciężar. Weszła za parawan i zaczęła się przebierać.

- A wczorajszy atak na mury? - spytał kandra.

- To było ostrzeżenie - stwierdziła, nie przerywając rozpinania koszuli. - A nie poważny atak.

Mimo to najwyraźniej zaniepokoił Zgromadzenie. Może o to właśnie chodziło. Clubs mógł mówić co chciał o strategii i sprawdzaniu murów, ale z punktu widzenia Vin Straff wywołał jeszcze większy strach i chaos w mieście.

Minęło zaledwie kilka tygodni oblężenia, a miasto było napięte do granic możliwości.

Żywność bardzo podrożała i Elend został zmuszony do otwarcia miejskich spichrzy. Ludzie znajdowali się na krawędzi wytrzymałości. Nieliczni sądzili, że atak to zwycięstwo Luthadel, uważając za dobry znak „odepchnięcie” wroga. Większość jednak po prostu bała się jeszcze bardziej.

Lecz Vin znów szukała odpowiedzi na nurtujące ją pytania. Jak zareagować w obliczu tak przeważających sił? Cofnąć się ze strachu czy próbować żyć dalej? Straff sprawdził mur, to prawda - ale większość armii zatrzymał w obozie, na wypadek, gdyby Cett postanowił

wykorzystać tę okazję do ataku. Chciał uzyskać informacje i zastraszyć miasto.

- Wciąż nie jestem przekonany, czy to spotkanie to dobry pomysł - stwierdził OreSeur. -

Pomijając atak, Straffowi nie można ufać. Kelsier kazał mi poznać każdego ważniejszego arystokratę w Luthadel, gdy przygotowałem się do przyjęcia roli lorda Renoux. Straff jest kłamliwy i okrutny, nawet jak na człowieka.

Vin westchnęła, zdejmując spodnie, i wciągnęła halkę. Nie była tak ciasna, jak niektóre, umożliwiając jej swobodne poruszanie nogami. Na razie nieźle.

Sprzeciw kandry miał sens. Na ulicach już na samym początku nauczyła się, by unikać sytuacji, w których ucieczka była utrudniona. Wszystkie instynkty kazały jej się sprzeciwić wejściu do obozu Straffa.

Elend jednak podjął decyzję. Vin zaś wiedziała, że musi go wspierać. Właściwie nawet zaczynała zgadzać się z jego posunięciem. Straff chciał zastraszyć całe miasto - ale nie był aż tak groźny, jak

sądził. Przynajmniej dopóki musiał się przejmować Cettem.

Vin miała już dość zastraszenia. Atak na mury na swój sposób tylko wzmocnił jej zdecydowanie, by wykorzystać Straffa do własnych celów. Wejście do jego obozu wydawało się z początku szaleństwem, ale im dłużej o tym myślała, tym większą czuła pewność, że tylko w ten sposób dotrą do Straffa. Musi postrzegać ich jako słabych, czuć, że jego taktyka zastraszenia zadziałała. Tylko w taki sposób zwyciężą.

To oznaczało zrobienie czegoś, co jej nie odpowiadało. Oznaczało otoczenie, wejście do leża wroga. Jednakże, jeśli Elend bezpiecznie opuści obóz, poprawi to morale w mieście. Poza tym Ham i reszta ekipy bardziej zaufają Elendowi. Nikt by się nie sprzeciwił, gdyby Kelsier postanowił wejść do wrogiego obozu na rozmowy - co więcej, wszyscy by się spodziewali, że wróci z nich, przekonawszy Straffa do poddania się.

Muszę mu tylko zapewnić bezpieczny powrót, pomyślała Vin, wciągając suknię. Straff może się napinać, ile chce - nie będzie to miało znaczenia, jeśli to my będziemy kierować jego atakami.

Pokiwała głową, wygładzając materiał, po czym wyszła zza parawanu i obejrzała się w lustrze. Choć krawiec uszył suknię zgodnie z tradycyjnym krojem, spódnica nie miała idealnie trójkątnego kształtu i na udach opadała bardziej prosto. Rozcięta na ramionach, miała obcisłe rękawy i szerokie mankiety, w talii zaś nie była na tyle ciasna, by ograniczać swobodę ruchów.

Vin przeciągnęła się, podskoczyła, skrzyła. Była zaskoczona lekkością sukni i łatwością poruszania się. Oczywiście, żadna spódnica nie nadawała się zbyt do walki - ale ta i tak była zdecydowanie wygodniejsza od masywnych kreacji, które rok wcześniej nosiła na balach.

- I jak? - spytała, obracając się na palcach.

OreSeur uniósł psią brew.

- Dlaczego mnie o to pytasz?

- Bo obchodzi mnie twoje zdanie.

- Sukienka jest bardzo ładna, panienko. Choć, szczerze mówiąc, zawsze uważałem wasze stroje za trochę absurdalne. Te wszystkie tkaniny i kolory nie wydają się zbyt praktyczne.

- Wiem - przyznała Vin. Wzięła dwie zdobione szafirami spinki, by upiąć włosy po bokach głowy. - Ale zapomniałam już, jaką frajdę może dawać noszenie takich rzeczy.

- Nie rozumiem dlaczego, panienko.

- To dlatego że jesteś mężczyzną.

- Właściwie to jestem kandrą.

- Ale jesteś chłopcem kandrą.

- Skąd to wiesz? - spytał OreSeur. - W naszej rasie trudno określić płeć, gdyż nasze formy się zmieniają.

Vin spojrzała na niego, unosząc brew.

- Widzę to.

Odwróciła się do szkatułki z biżuterią. Nie miała jej zbyt wiele - choć ekipa wyposażyła ją w sporą kolekcję w czasach, gdy udawała Valette, większość oddała Elendowi, by pomóc mu w opłaceniu różnych projektów. Zatrzymała jednak kilka ulubionych ozdób - zupełnie jakby wiedziała, że kiedyś znów zacznie nosić suknie.

Zakładam ją tylko raz, pomyślała. To wciąż nie jestem ja.

Założyła szafirową bransoletkę. Podobnie jak spinki, nie zawierała żadnego metalu -

klejnoty osadzono w opasce z twardego drewna z drewnianym zapięciem. Jedynym metalem, jaki nosiła przy sobie, były jej monety, flakonik z metalami i samotny kolczyk. Który zatrzymała, zgodnie z sugestią Kelsiera, jako kawałek metalu do wykorzystania w razie niebezpieczeństwa.

- Panienko - powiedział OreSeur, wyciągając coś łapą spod łóżka. Kawałek papieru. -

To wypadło z pudła, kiedy je otwierałaś. - Chwycił je zadziwiająco zręcznymi pazurami i podał jej.

Vin przyjęła kartkę.

*Pani Dziedziczko,*

*gorset jest wyjątkowo ciasny, by zapewnić dobre wsparcie, a spódnice skroilem tak, by się nie wydymały - na wypadek, gdyby panienka musiała skakać.*

*W każdym z rękawów są otwory na flakoniki z metalami, a do tego marszczenia, by ukryć sztylety przypięte do przedramienia.*

*Mam nadzieję, że uznacie te zmiany za użyteczne.*

*Feldeu,*

*krawiec*

Spojrzała na suknię, zwracając uwagę na mankiety. Były grube i szerokie, dłuższe po bokach, dzięki czemu łatwo było w nich coś ukryć. Rękawy, ciasne na górze, rozszerzały się poniżej łokcia i Vin wyraźnie widziała miejsce przeznaczone do ukrycia sztyletów.

- Wygląda na to, że nie pierwszy raz szyje suknie dla Zrodzonych z Mgły - zauważył

OreSeur.

- Pewnie tak - odparła Vin.

Podeszła do toaletki, by się umalować, i odkryła, że część gąbek do makijażu wyschła.

Tego też nie robiła od jakiegoś czasu...

- Kiedy wyruszamy, panienko? - spytał kandra.

Vin przerwała.

- Właściwie, OreSeurze, nie planowałam brać cię ze sobą. Nadal mam zamiar ukrywać twoją tożsamość, a wyglądałoby raczej podejrzanie, gdybym zabrała swojego pieska na to spotkanie.

OreSeur milczał przez chwilę.

- Ach - powiedział. - Oczywiście. Powodzenia, panienko.

Vin poczuła lekkie ukłucie rozczarowania - spodziewała się, że będzie bardziej się sprzeciwiał. Odepchnęła to uczucie. Dlaczego miała do niego pretensje? Słusznie wskazał jej niebezpieczeństwa związane z wejściem do wrogiego obozu.

OreSeur położył się, opierając łeb na łapach, i przyglądał się, jak nakłada makijaż.

\*\*\*

- Ale, El - powiedział Ham - powinieneś przynajmniej pozwolić wysłać się w naszym powozie.

Elend pokręcił głową, obciągając mundur.

- To by oznaczało, że potrzebujemy stangreta, Ham.

- Owszem. I byłbym nim ja.

- Jeden człowiek nie uczyni różnicy, jeśli będziemy musieli wydostać się z obozu. A im mniej ludzi zabiorę ze sobą, tym mniejsze zmartwienie dla mnie i Vin.

- El, ja... - zaczął Ham.

Młody król położył dłoń na jego ramieniu.

- Doceniam twoją troskę, Ham. Ale mogę to zrobić. Nauczyłem się manipulować jednym człowiekiem, i jest nim mój ojciec. Wyjdę z tego, pozostawiając go w przekonaniu, że ma miasto w kieszeni.

Kapitan westchnął.

- Dobrze.

- A, jeszcze jedno - dodał z wahaniem Elend.

- Tak?

- Czy mógłbyś się do mnie zwracać „Elendzie”, a nie samym „El”?

Ham zaśmiał się.

- To chyba będzie najmniejszy problem.

Młody król uśmiechnął się z wdzięcznością. Nie tego chciała Tindwyl, ale to początek.

„Waszą Wysokością” będziemy się przejmować później.

Drzwi otworzyły się i do środka wkroczył Dockson.

- Elendzie - powiedział. - To właśnie przyszło do ciebie. - Uniósł kartkę papieru.

- Od Zgromadzenia? - spytał Elend.

Dox pokiwał głową.

- Nie podoba im się, że dziś wieczorem masz się z nim spotkać.

- Cóż, nie zmienię daty spotkania ze Straffem tylko dlatego, że chcą się ze mną zobaczyć dzień wcześniej - odparł. - Powiedz im, że spróbuję ich odwiedzić kiedy wrócę.

Dockson pokiwał głową. Odwrócił się, gdy z tyłu rozległ się szelest. Zmienił się na twarzy i zrobił krok w bok, a do środka wkroczyła Vin.

I do tego włożyła suknię, niebieską, nieco węższą niż zazwyczaj nosiły damy. W jej czarnych włosach błyszczały dwie szafirowe spinki, a sama Vin wyglądała... inaczej. Była bardziej kobieca - czy też raczej bardziej pewna swojej kobiecości.

Ależ się zmieniła od czasu naszego pierwszego spotkania, pomyślał z uśmiechem Elend. Minęły prawie dwa lata. Wtedy była dziewczyną, choć z doświadczeniami kogoś o wiele starszego. Teraz stała się kobietą - bardzo niebezpieczną kobietą, która jednak często spoglądała na niego trochę niepewnym wzrokiem.

- Pięknie - wyszeptał Elend.

Uśmiechnęła się.

- Vin! - wykrzyknął Ham, odwracając się. - Włożyłaś sukienkę!

Zarumieniła się.

- A czego się spodziewałeś? Że z królem Północnego Dominium spotkam się w spodniach?

- Cóż... - odparł Ham. - Właściwie tak.

Elend się zaśmiał.

- To, że ty masz w zwyczaju wszędzie chodzić w swobodnym stroju, nie oznacza jeszcze, że wszyscy tak mają. Naprawdę nie nudzą ci się te kamizelki?

Ham wzruszył ramionami.

- Są wygodne. I proste.

- I zimne - dodała Vin, rozcierając ręce. - Cieszę się, że poprosiłam o coś z rękawami.

- Bądź wdzięczna za tę pogodę - zauważył Ham. - Chłód, który ty czujesz, jest niczym w porównaniu z tym, co czują tamci żołnierze.

Elend pokiwał głową. Właściwie zaczęła się już zima. Pogoda najpewniej nie pogorszy się na tyle, by naprawdę przeszkadzać - w Środkowym Dominium rzadko padał śnieg - lecz chłodne noce z pewnością nie poprawią morale.

- Chodźmy - powiedziała Vin. - Im szybciej to załatwimy, tym lepiej.

Elend zrobił krok do przodu i z uśmiechem ujął dłonie Vin.

- Doceniam to, Vin - powiedział cicho. - I naprawdę wyglądasz wspaniale. Gdybyśmy nie ruszali właśnie na niemal pewną zgubę, kusiłoby mnie zorganizowanie dzisiaj balu, tylko po to, żeby się tobą pochwalić.

Uśmiechnęła się.

- Niemal pewna zguba jest tak fascynująca?

- Chyba spędzałem zbyt wiele czasu z ekipą. - Pochylił się, żeby ją pocałować, lecz ona jęknęła i odskoczyła.

- Prawie godzinę nakładałam ten makijaż - warknęła. - Żadnego całowania.

Elend się roześmiał. W tej chwili do środka zajrzał kapitan Demoux.

- Wasza Wysokość, przybył powóz.

Elend spojrzał na Vin. Kiwnęła głową.

- Chodźmy - stwierdził.

\*\*\*



Siedząc w powozie przysłanym przez Straffa, Elend widział ponurą grupę stojącą na murze i obserwującą ich odjazd. Słońce prawie już zachodziło.

Każe nam przybyć wieczorem. Będziemy musieli odejść, gdy zapadną mgły, pomyślał

Elend. Sprytny sposób, by pokazać nam, jak wielką ma nad nami władzę.

Tak działał jego ojciec - ten ruch był podobny do ataku na mury poprzedniego dnia. Dla Straffa pozory były wszystkim. Elend obserwował ojca na dworze i widział, jak manipuluje nawet obligatorami. Mając kontrakt na nadzorowanie kopalni atium Ostatniego Imperatora, Straff Venture grał w bardziej niebezpieczną grę niż inni szlachetnie urodzeni. I grał w nią bardzo dobrze. Nie spodziewał się, że wtrąci się w nią Kelsier, ale któż by się tego spodziewał?

Po Upadku Straff zdobył najbardziej stabilne i najpotężniejsze królestwo w Ostatnim Imperium. Był przemysłnym, ostrożnym człowiekiem, który planował na wiele lat do przodu, by dostać to, czego chciał. I takim właśnie człowiekiem Elend chciał manipulować.

- Wyglądasz na zmartwionego - zauważyła Vin.

Siedziała naprzeciwko niego, trzymając się prosto jak prawdziwa dama. Zupełnie, jakby włożenie sukni sprawiło, że zyskiwała nowe przyzwyczajenia i maniery. A może powracała do starych? W końcu kiedyś udawała szlachetnie urodzoną tak dobrze, że go oszukała.

- Nic nam nie będzie - powiedziała. - Straff cię nie skrzywdzi... nawet gdyby coś poszło nie tak, nie zaryzykuje zrobienia z ciebie męczennika.

- Nie martwię się swoim bezpieczeństwem - odparł Elend.

- Dlaczego? - Uniosła brew.

- Ponieważ mam ciebie - odpowiedział z uśmiechem. - A ty jesteś warta tyle, co cała armia.

To jednak jej nie pocieszyło.

- Chodź tutaj - powiedział, przesuwając się i wskazując siedzenie obok siebie.

Podniosła się i podeszła, lecz w ostatniej chwili przystanęła, spoglądając na niego.

- Makijaż.

- Będę ostrożny - obiecał.

Usiadła i pozwoliła, by ją objął.

- Na włosy też uważaj - dodała. - I jeszcze twój płaszcz... jego też niczym nie zabrudź.

- A od kiedy to tak przejmujesz się wyglądem? - spytał.

- To przez tę suknię - westchnęła. - Kiedy ją wkładam, wracają do mnie wszystkie lekcje Sazed.

- Podobasz mi się w niej.

Vin potrząsnęła głową.

- Co się stało? - spytał, gdy powóz podskoczył, spychając ją bliżej. Kolejne nowe perfumy, pomyślał. Całe szczęście tego zwyczaju nie porzuciła.

- To nie jestem ja, Elendzie - powiedziała cicho. - Ta suknia, te maniery. To jest kłamstwo.

Milczał przez chwilę.

- Nie sprzeciwiasz się? - spytała. - Wszyscy inni myślą, że gadam bzdury.

- Nie wiem - odparł szczerze. - Włożenie nowych ubrań sprawiło, że ja sam poczułem się inaczej, więc to, co mówisz, ma sens. Jeśli źle się czujesz w sukniach, to nie musisz ich nosić. Chcę, żebyś była szczęśliwa, Vin.

Spojrzała na niego z uśmiechem. Uniosła głowę i pocałowała go.

- Mówiłaś chyba, że nic z tego - powiedział.

- Z twojej strony. Ja jestem Zrodzoną z Mgły... my jesteście dokładniejsi.

Elend uśmiechnął się, choć wcale nie czuł się wesoły, jednak rozmowa uspokajała go.

- Czasem czuję się niezręcznie w tym stroju. Wszyscy więcej ode mnie oczekują, kiedy go noszę. Spodziewają się króla.

- Kiedy noszę suknię - odparła - wszyscy spodziewają się damy. I są rozczarowani, kiedy trafiają na mnie.

- Człowiek, który czułby się rozczarowany, trafiając na ciebie, jest zbyt głupi, by się liczyć - powiedział Elend. - Nie chcę, żebyś była taka jak oni, Vin. Są nieszczerzy. Nie obchodzą mnie. A ty podobasz mi się taka, jaka jesteś.

- Tindwyl mówi, że mogę być i tym, i tym. Kobieta i Zrodzoną z Mgły.

- Tindwyl jest mądra - odparł. - Czasem brutalna, ale mądra. Powinnaś jej słuchać.

- Właśnie powiedziałaś mi, że podobam ci się taka, jaka jestem.

- Owszem - odparł. - Ale podobałabyś mi się niezależnie od tego, jaka byś była, Vin.

Kocham cię. Pytanie brzmi: jaka podobasz się sobie samej?

To zmusiło ją do zastanowienia.

- Szaty tak naprawdę nie czynią człowieka - stwierdził Elend. - Ale zmieniają sposób, w jaki postrzegają go inni... Myślę, że trzeba przekonać samego siebie, że zasługuje się na takie reakcje. Możesz nosić dworskie suknie, Vin, ale sprawić, by pasowały do ciebie. Nie martw się, że nie dajesz ludziom tego, czego chcą. Daj im to, czym jesteś, i wystarczy. - Uśmiechnął się. -

Mnie wystarczyło.

Odpowiedziała uśmiechem i ostrożnie oparła się o niego.

- Dobrze - powiedziała. - Wystarczy tej niepewności. Czas na powtórzenie. Opowiedz mi o swoim ojcu.

- Jest wcieleniem imperialnego arystokraty. Bezwzględny, sprytny i zakochany we władzy. Pamiętasz moje... doświadczenie, kiedy miałem trzynaście lat.

Przytaknęła.

- Cóż, ojciec bardzo lubił burdele skaa. Chyba podobało mu się poczucie władzy, kiedy brał sobie dziewczynę ze świadomością, że zostanie zabita z powodu jego namiętności. Trzyma kilka tuzinów nałożnic, a jeśli go nie zadowalają, pozbywa się ich.

Vin mruknęła coś cicho.

- Tak samo jest z sojusznikami. Z rodem Venture nie zawierało się sojuszu, lecz zgadzało się na zdominowanie przez ród Venture. Jeśli ktoś nie był skłonny zostać naszym niewolnikiem, nie zawierał z nami porozumienia.

Pokiwała głową.

- Znałam takich złodziejskich przywódców.

- I jak udawało ci się przeżyć, kiedy zwrócili wzrok w twoją stronę?

- Udawałam, że jestem kimś nieważnym - odparła. - Kuliłam się, kiedy przechodzili, i nigdy nie dawałam im powodu, by rzucili mi wyzwanie. To właśnie masz zamiar zrobić tej nocy.

Przytaknęła.

- Ale bądź ostrożny - powiedziała. - Żeby Straff nie pomyślał, że z niego szydzisz.

- Zgoda.

- I nie obiecuj zbyt wiele - dodała. - Zachowuj się tak, jakbyś próbował zgrywać twardego. Niech myśli, że zmusza cię do zrobienia tego, czego pragnie... spodoba mu się to.

- Widzę, że masz w tym spore doświadczenie.

- Zbyt wielkie - odparła. - Ale już o tym słyszałeś.

Pokiwał głową. Planowali to spotkanie od długiego czasu. Teraz myślał o tym, czego uczyła go ekipa. Niech Straff myśli, że jesteście słabi, zasugeruj, że oddasz mu miasto - ale tylko jeśli wcześniej pomoże w walce przeciwko Cettowi.

Przez okno Elend widział, że zbliżają się do armii Straffa. Ogromna, pomyślał. Gdzie ojciec nauczył się dowodzić takimi siłami?

Elend miał nadzieję, że brak wojskowego doświadczenia ojca przełoży się na źle zarządzaną armię. Jednakże namioty rozbito starannie i rozmieszczono z wojskową precyzją, a wszyscy żołnierze nosili mundury. Vin przysunęła się do okna po swojej stronie, przypatrując się uważnie i okazując o wiele więcej zainteresowania, niż wypadało przyzwoitej szlachetnie urodzonej.

- Popatrz - powiedziała, pokazując coś.

- Co? - spytał, przechylając się w jej stronę.

- Obligator - wyjaśniła.

Elend spojrział jej przez ramię i zauważył byłego kapłana - twarz wokół jego oczu ozdabiał tatuaż - kierującego grupą żołnierzy stojącą przed namiotem.

- To mamy wyjaśnienie. Wykorzystuje obligatorów do zarządzania.

Vin wzruszyła ramionami.

- Rozsądne. Wiedzą, jak kierować dużymi grupami ludzi.

- I skąd ich brać - dodał Elend. - Tak, to dobry pomysł, ale i tak mnie zaskakuje.

Sugeruje, że wciąż potrzebuje obligatorów... i pozostaje poddanym władzy Ostatniego Imperatora. Większość królów od razu pozbyła się obligatorów.

Vin zmarszczyła czoło.

- Mówiłeś, że twój ojciec lubi mieć władzę.

- Owszem - odparł. - Ale lubi też potężne narzędzia. Zawsze trzyma przy sobie kandrę i przez całe życie utrzymywał kontakty z niebezpiecznymi Allomantami. Wierzy, że może nad nimi panować... i to samo pewnie sądzi o obligatorach.

Powóz zwolnił i zatrzymał się przed sporym namiotem. Chwilę później wyłonił się z niego Straff Venture.

Ojciec zawsze był potężnym mężczyzną, mocno zbudowanym i władczym. Nowa broda jedynie to podkreślała. Nosił wyprasowany, dobrze skrojony strój, podobny do tych, w jakie próbował wciskać

Elenda w dzieciństwie. Wtedy właśnie Elend zaczął ubierać się niechlujnie -

rozpięte guziki, za duże surduty. Wszystko, byle tylko odróżnić się od ojca.

Jego nieposłuszeństwo nigdy się nie liczyło. Irytował Straffa, pozwalając sobie na drobne wyczyny i głupie zachowanie, kiedy wiedział, że ujdzie mu to na sucho. Nic z tego nie miało znaczenia.

Aż do ostatniej nocy. Gdy Luthadel płonęło, a rebelia skaa wyrwała się spod kontroli, grożąc zniszczeniem całego miasta. Noc chaosu i zniszczenia, a gdzieś w jej środku Vin.

Wtedy Elend sprzeciwił się Straffowi Venture.

Nie jestem tym chłopcem, którym pomiałałeś, ojcze. Vin ścisnęła jego ramię i Elend wyszedł z powozu, gdy stangret otworzył drzwi. Straff czekał w milczeniu. Na jego twarzy pojawiła się dziwna mina, kiedy Elend podał rękę Vin.

- Przybyłeś - stwierdził Straff.

- Wydajesz się zdziwiony, ojcze.

Straff pokręcił głową.

- Po prostu widzę, że pozostałeś tym samym idiotą, jakim byłeś zawsze. Jesteś teraz w mojej mocy, mógłbym cię zabić machnięciem ręki. - Uniósł dłoń, jakby miał zamiar to zrobić.

Oto właściwa chwila, pomyślał Elend z bijącym mocno sercem.

- Zawsze byłem w twojej mocy, ojcze - powiedział. - Mogłeś kazać mnie zabić wiele miesięcy temu, zdobyć moje miasto w dowolnym momencie. Nie widzę, by moje przybycie tu cokolwiek zmieniło.

Straff się zawahał.

- Przyjechaliśmy na kolację - dodał Elend. - Chciałem ci dać szansę, byś poznał Vin, i liczyłem, że omówimy pewne... szczególnie ważne kwestie.

Straff zmarszczył czoło.

Dobrze, pomyślał Elend. Zastanawiaj się, czy mam dla ciebie jakąś propozycję. Wiesz, że ten, kto pierwszy odkryje karty, zazwyczaj przegrywa.

Ojciec nie mógł przepuścić okazji, by coś zyskać - nawet tak niewielkiej jak ta, którą przedstawiał sobą Elend. Pewnie domyślał się, że syn nie ma nic ważnego do powiedzenia. Ale czy mógł być pewien? Co miał do stracenia?

- Idź i potwierdź u mojego kucharza, że na kolacji będą trzy osoby - powiedział Straff do służącego.

Elend odetchnął.

- Ta dziewczyna to twoja Zrodzona z Mgły? - spytał Straff.

Młody król pokiwał głową.

- Urocze stworzenie. Powiedz jej, żeby przestała Uspokajać moje uczucia.

Vin się zarumieniła.

Straff skinął w stronę namiotu. Elend poprowadził Vin, choć ona obejrzała się przez ramię. Wyraźnie nie podobało jej się, że musi odwrócić się plecami do Straffa.

Trochę już na to za późno, pomyślał Elend.

Wnętrze namiotu wyglądało tak, jak się spodziewał po ojcu - pełne poduszek i drogich mebli, z większości których pewnie nawet nie korzystał. Straff urządzał wnętrza, by pokazać władzę. Podobnie jak potężne twierdze w Luthadel, otoczenie szlachetnie urodzonego wyrażało jego pozycję.

Vin czekała w napięciu u boku Elenda.

- Dobry jest - szepnęła. - Byłam naprawdę delikatna, a on i tak zauważył mój dotyk.

Elend pokiwał głową.

- Jest też Cynookim - powiedział normalnym głosem. - I z pewnością teraz nas podsłuchuje.

Elend spojrzał w stronę wejścia. Straff wszedł kilka chwil później, nie dając po sobie poznać, czy usłyszał słowa Vin. Za nim pojawiła się grupa służących, wnosząca duży stół.

Vin sapnęła. Służący byli skaa - imperialnymi skaa, w zgodzie z dawną tradycją.

Obszarpani, ubrani w stare koszule, nosili ślady niedawnej chłosty. Wnosili ciężary ze spuszczoneym wzrokiem.

- Czemu tak reagujesz, dziewczyno? - spytał Straff. - A, prawda. Jesteś skaa, czyż nie?

Mimo że w ślicznej sukience. Elend jest bardzo dobry, ja nie pozwoliłbym ci nosić czegoś takiego.

„Ani czegokolwiek” - sugerował jego ton.

Vin spojrzała na Straffa i przytuliła się mocniej do Elenda, chwytając go za ramię.

Słowa Straffa były tylko pozą - ojciec był okrutny, ale tylko wtedy, gdy mu to służyło. Chciał, żeby Vin czuła się niezręcznie.

I chyba mu się to udawało. Elend spochmurniał. Spojrzał w dół i zauważył sugestię przebiegłego uśmiechu na jej wargach.

Breeze powiedział mi, że Vin korzysta z Allomancji bardziej dyskretnie niż większość Uspokajaczy,

przypomniał sobie. Ojciec jest dobry, ale żeby wyczuł jej dotyk...

Pozwoliła mu, to oczywiste.

Elend znów spojrzął na Straffa, który uderzył przechodzącego sługę.

- Mam nadzieję, że żaden z nich nie jest twoim krewnym - stwierdził. - Ostatnio nie byli wystarczająco pracowici. Być może będę musiał kilku stracić.

- Już nie jestem skaa - odparła cicho Vin. - Jestem szlachetnie urodzoną.

Straff tylko się roześmiał. Już uznał, że Vin nie jest żadnym zagrożeniem. Wiedział

oczywiście, że jest Zrodzoną z Mgły, musiał słyszeć, że jest niebezpieczna, a jednak teraz zakładał, że jest słaba i bez znaczenia.

Jest w tym dobra, pomyślał zdziwiony Elend.

Słudzy zaczęli wносить potrawy, które robiły wrażenie, biorąc pod uwagę okoliczności.

Gdy czekali, Straff zwrócił się do adiutanta.

- Przyślij Hoselle - rozkazał. - I powiedz jej, że ma się pospieszyć.

Wydaje się mniej skryty niż pamiętam, pomyślał Elend. W czasach Ostatniego Imperatora porządny szlachetnie urodzony w miejscach publicznych był sztywny i opanowany, nawet jeśli w domu pozwalał sobie na wiele. Na przykład na balach wielu z nich tańczyło i prowadziło ciche rozmowy, by nad ranem chodzić na dziwki i się upijać.

- Skąd ta broda, ojczy? - spytał Elend. - Ostatnio nie były w modzie.

- Teraz ja dyktuję modę, chłopczy - odpowiedział. - Siadaj.

Vin zaczęła z szacunkiem, jak zauważył Elend, aż on usiadł, i dopiero wtedy zajęła swoje miejsce. Udała jej się zachować pozory nerwowości - patrzyła Straffowi w oczy, lecz zawsze odruchowo wzdrygała się, jakby chciała odwrócić wzrok.

- A teraz - odezwał się Straff - powiedz mi, po co tu jesteś?

- Myślałem, że to oczywiste, ojczy - stwierdził Elend. - Chcę omówić nasz sojusz.

Straff uniósł brew.

- Sojusz? Właśnie się zgodziliśmy, że twoje życie należy do mnie. Nie widzę powodu, by zawierać z tobą sojusz.

- Być może. Ale w grę wchodzi jeszcze inne kwestie. Nie sądzę, byś spodziewał się tu Cetta?

- Cett się nie liczy - stwierdził Straff i skupił się na posiłku, kawałach prawie surowej wołowiny.

Vin zmarszczyła nos, choć Elend nie wiedział, czy i tym razem udaje.

Elend pokroił stek.

- Człowiek, który ma armię niemal dorównującą twojej, raczej się „liczy”, ojcze.

Starszy Venture wzruszył ramionami.

- Nie sprawi mi kłopotów, kiedy zdobędę mury. Oczywiście mi je oddasz w ramach sojuszu?

- I zaproszę Cetta do ataku? Owszem, razem moglibyśmy go zatrzymać, ale czemu pozostawać w defensywie? Czemu pozwalać mu na osłabianie naszych umocnień, a może utrzymywanie oblężenia do chwili, gdy nasze armie zaczną głodować? Musimy go zaatakować, ojcze.

Straff prychnął.

- I myślisz, że potrzebuję do tego twojej pomocy?

- Owszem, jeśli chcesz go pokonać, mając gwarancję sukcesu - stwierdził Elend. -

Razem bez trudu go pokonamy... ale nie osobno. Potrzebujemy siebie nawzajem. Zaatakujmy.

Ty poprowadzisz swoją armię, a ja moją.

- Czemu jesteś tak entuzjastyczny? - spytał Straff, mrużąc oczy.

- Ponieważ chcę coś udowodnić - odparł Elend. - Posłuchaj, obaj wiemy, że chcesz mi odebrać Luthadel. Ale jeśli razem zaatakujemy Cetta, będzie wyglądało, jakbym od początku chciał zawrzeć z tobą sojusz. Będę mógł oddać ci miasto, nie robiąc z siebie całkowitego idioty.

Będę mógł dowieść, że sprowadziłem ojca na pomoc przeciwko armii, o której nadejściu wiedziałem. Oddam ci miasto i znów zostanę twoim dziedzicem. Obaj dostaniemy to, czego chcemy. Ale tylko po śmierci Cetta.

Straff zawahał się i Elend widział, że jego słowa przynoszą skutek.

Tak, pomyślał. Myśl, że jestem tym samym chłopcem, którego zostawiłeś, ekscentrycznym i gotowym sprzeciwić ci się z głupich powodów. A ratowanie twarzy to coś, co jest typowe dla rodu Venture.

- Nie - stwierdził Straff.

Elend się wzdrygnął.

- Nie - powtórzył starszy Venture, znów pochylając się nad posiłkiem. - Nie tak to zrobimy, chłopcze. Ja zdecyduję, kiedy... i czy w ogóle zaatakuję Cetta.



To powinno zadziałać! - pomyślał Elend. Przyglądał się Straffowi, próbując ocenić, gdzie się pomylił. Jego ojciec jakby się wahał.

Potrzebuję więcej informacji, pomyślał. Spojrzał w stronę Vin. Siedziała na swoim miejscu i obracała coś w ręku. Widelec. Napotkała jego spojrzenie i lekko postukała sztuciec.

Metal, pomyślał. Dobry pomysł. Znow spojrzał na ojca.

- Przybyłeś tu po atium - stwierdził. - Nie masz zamiaru podbijać miasta, by je dostać.

Straff się schylił.

- Czemu go nie wydałeś?

- Nic nie ściąga rekinów szybciej od świeżej krwi, ojciec - stwierdził Elend. - Wydanie dużych ilości atium oznaczałoby, że je mam... kiepski pomysł, biorąc pod uwagę, ile się namęczyliśmy, żeby zdusić te pogłoski.

Przed namiotem zrobiło się zamieszanie i wkrótce do środka weszła zdenerwowana dziewczynka. Była ubrana w czerwoną balową suknię, a czarne włosy związała w długi kucyk.

Miała może piętnaście lat.

- Hoselle - stwierdził Straff, wskazując na krzesło obok siebie.

Dziewczynka posłusznie skinęła głową i pospiesznie usiadła obok Straffa. Była umalowana, a jej suknia miała duży dekolt. Elend mógł się domyślić, co wiąże ją z ojcem.

Straff uśmiechnął się i przeżuwał jedzenie, spokojny i elegancki. Dziewczynka przypominała nieco Vin - podobne migdałowe i równie ciemne oczy, delikatne rysy i drobna sylwetka. To była deklaracja. Mogę mieć taką jak twoja - tylko ładniejszą i młodszą. Znow poza.

Ta właśnie chwila, ten znaczący uśmiezek w oczach Straffa, przypomniały Elendowi, dlaczego nienawidzi swojego ojca.

- Może jednak zawrzemy sojusz, chłopcze - powiedział Straff. - Oddaj mi atium, a ja zajmę się Cettem.

- Dostarczenie go zajmie sporo czasu - odparł Elend.

- Dlaczego? Atium jest lekkie.

- Jest go dużo.

- Nie tak dużo, żebyś nie mógł wpakować go na wóz i przysłać do mnie - stwierdził

Straff.

- To wszystko jest o wiele bardziej skomplikowane.

- Nie sądzę - sprzeciwił się z uśmiechem Straff. - Po prostu nie chcesz mi go oddać.

Elend zmarszczył czoło.

- Nie mamy go - wyszeptała Vin.

Straff odwrócił się.

- Nigdy go nie znaleźliśmy - powiedziała. - Kelsier obalił Ostatniego Imperatora, by zdobyć to atium. Ale nigdy nie znaleźliśmy metalu. Może w ogóle nie było go w mieście.

Tego się nie spodziewałem, pomyślał Elend. Oczywiście, Vin kierowała się instynktem, podobnie jak Kelsier. W obecności Vin wszelkie plany wylatywały przez okno - ale to, co robiła, zazwyczaj okazywało się lepszym rozwiązaniem.

Straff milczał przez chwilę. Wydawało się, że wierzy Vin.

- Naprawdę nie macie mi nic do zaproponowania.

Muszę grać słabego, przypomniał sobie Elend. Musi myśleć, że może w każdej chwili zdobyć miasto, ale jednocześnie, że nie warto go zdobywać w tej chwili. Zaczął stukać w stół

palcem wskazującym, by wyglądać na zdenerwowanego. Jeśli Straff myśli, że nie mamy atium... to będzie mniej skłonny zaryzykować atak na miasto. Mniejszy zysk. To dlatego Vin to powiedziała.

- Vin nie wie, o czym mówi - stwierdził Elend. - Ukryłem atium, nawet przed nią.

Jestem pewien, że coś ustalimy, ojcze.

- Nie - powiedział Straff. Wydawał się rozbawiony. - Naprawdę go nie macie. Zane mówił... ale, cóż, nie wierzyłem...

Potrząsnął głową, wracając do posiłku. Dziewczynka u jego boku nie jadła. Siedziała cicho, niczym ozdoba, którą właściwie była. Straff pociągnął długi łyk wina i westchnął z zadowoleniem. Spojrzał na swoją nałożnicę.

- Zostaw nas - rozkazał.

Natychmiast wypełniła polecenie.

- Ty też - powiedział do Vin.

Zesztywniała i spojrzała na Elenda.

- Wszystko w porządku - powiedział powoli.

Zawahała się, po czym skinęła głową. Straff sam w sobie nie był wielkim zagrożeniem dla Elenda, a ona była Zrodzoną z Mgły. Gdyby coś poszło nie tak, mogła szybko dotrzeć do ukochanego. A jeśli odejdzie, osiągną swój cel - sprawią, że Elend będzie się wydawał jeszcze słabszy. Co pomoże mu w negocjacjach. Taką przynajmniej mieli nadzieję.

- Zaczekam na zewnątrz - powiedziała cicho i wycofała się.

*Nie był zwyczajnym żołnierzem. Był wielkim przywódcą - człowiekiem, któremu pomagał sam los.*

- Dobrze - powiedział Straff, odkładając widelec. - Bądźmy szczerzy, chłopcze. Mam cię ochotę po prostu zabić.

- Zabiłbyś jedyne syna? - spytał Elend.

Straff wzruszył ramionami.

- Potrzebujesz mnie - stwierdził Elend. - Do pomocy w walce z Cettem. Możesz mnie zabić, ale nie przez to nie zyskasz. I tak będziesz musiał siłą zdobyć Luthadel, a w tym czasie Cett będzie mógł cię zaatakować i pokonać.

Straff uśmiechnął się, zaplótł ręce na piersi i pochylił się, tak że górował nad stołem.

- I tu się mylisz, chłopcze, w obu kwestiach. Po pierwsze, sądzę, że gdybym cię zabił, kolejny przywódca Luthadel mógłby się okazać bardziej skłonny do ustępstw. Moje źródła w mieście twierdzą, że tak jest. Po drugie, nie potrzebuję pomocy do walki z Cettem. Już zawarliśmy porozumienie.

- Co?

- A jak myślisz, co robiłem przez ostatnie tygodnie? Siedziałem i czekałem zdany na twój kaprys? Cett i ja wymieniliśmy kilka miłych słów. Nie interesuje go miasto, chce atium.

Zgodziliśmy się podzielić to, co znajdziemy w mieście, a później zdobyć resztę Ostatniego Imperium. On bierze zachód i północ, ja wschód i południe. Bardzo przychylnie usposobiony człowiek z tego Cetta.

Blefuje, pomyślał Elend ze sporą pewnością. To nie było podobne do Straffa, on nie zawierał sojuszy z ludźmi dysponującymi podobną siłą. Zbytńio bał się zdrady.

- I naprawdę sądzisz, że w to uwierzę?

- Wierz sobie w co chcesz - stwierdził Straff.

- A armia kolosów maszerująca w tę stronę? - spytał Elend, wygrywając jeden z atutów.

To zmusiło ojca do zastanowienia.

- Jeśli chcesz zdobyć Luthadel, zanim dotrą tu kolosy, sądzę, że powinieneś nieco przychylniej spojrzeć na tego, który przyszedł tutaj i daje ci wszystko, czego pragniesz. Proszę tylko o jedno: daj mi zwycięstwo. Pozwól mi walczyć przeciwko Cettowi, zapewnić sobie dziedzictwo. Później dostaniesz miasto.

Straff zastanawiał się tak długo, że Elend pozwolił sobie na nadzieję, że zwyciężył.

Wtedy jednak ojciec potrząsnął głową.

- Nie sadzę. Zaryzykuję z Cettem. Nie wiem, dlaczego jest gotów oddać mi Luthadel, ale miasto go chyba nie obchodzi.

- A ciebie? - spytał Elend. - Wiesz, że nie mamy atium. Co teraz znaczy dla ciebie miasto?

Straff pochylił się jeszcze bardziej. Elend czuł jego oddech pachnący przyprawami z obiadu.

- I tu się właśnie mylisz, chłopcze. Dlatego, nawet gdybyś mógł mi obiecać atium, nigdy nie opuściłbyś tego obozu. Rok temu popełniłem błąd. Gdybym pozostał w Luthadel, to ja siedziałbym na tronie. A tak jesteś to ty. Nie wiem dlaczego... chyba słaby Venture był i tak lepszy od alternatywy.

Straff był wszystkim, czego Elend nienawidził w starym imperium. Arogancki.

Okrutny. Bezczelny.

Słabość, pomyślał Elend, uspokajając się. Nie mogę być groźny. Wzruszył ramionami.

- To tylko miasto, ojcze. Z mojego miejsca nie znaczy nawet w połowie tyle, co twoja armia.

- To więcej niż miasto - sprzeciwił się Straff. - To miasto Ostatniego Imperatora, a w nim mój dom. Moja twierdza. Jak słyszałem, korzystasz z niej.

- Nie miałem gdzie pójść.

Straff wrócił do posiłku.

- Dobrze - powiedział - z początku myślałem, że jesteś idiotą, skoro tu dziś przybyłeś, ale teraz nie jestem tak pewien. Musiałeś zrozumieć nieuniknione.

- Jesteś silniejszy - odparł Elend. - Nie mogę przeciw tobie walczyć.

Straff pokiwał głową.

- Zrobiłeś na mnie wrażenie, chłopcze. Odpowiednie ubranie, nałożnica Zrodzona z Mgły, panowanie nad miastem. Pozwolę ci żyć.

- Dziękuję.

- A ty w zamian oddasz mi Luthadel.

- Jak tylko zajmiemy się Cettem.

Straff zaśmiał się.

- Nie, to tak nie działa, chłopcze. Nie negocjujemy. Słuchasz moich rozkazów. Jutro pojedziemy razem do miasta i ty rozkażesz otworzyć bramy. Ja wprowadzę armię i obejmę władzę, a Luthadel

stanie się nową stolicą mojego królestwa. Jeśli będziesz posłuszny i zrobisz, co ci każe, znów nazwę cię moim dziedzicem.

- Tego nie możemy zrobić - stwierdził Elend. - Wydałem rozkazy, by nie otwierać przed tobą bram, niezależnie od sytuacji.

Straff milczał.

- Moi doradcy doszli do wniosku, że możesz spróbować wykorzystać Vin jako zakładniczkę, zmuszając mnie do oddania miasta - wyjaśnił Elend. - Jeśli pójdziemy razem, założą, że mi grozisz.

Starszy Venture spochmurniał.

- Miej lepiej nadzieję, że tego nie zrobią.

- Zrobią. Znam tych ludzi, ojczu. Ucieszą się z pretekstu, by odebrać mi miasto.

- To dlaczego tu przybyłeś?

- Jak już mówiłem, chciałem wynegocjować sojusz przeciwko Cettowi. Mogę ci oddać Luthadel... ale potrzebuję czasu. Zajmijmy się najpierw Cettem.

Straff chwycił nóż i wbił go w stół.

- Mówiłem, że to nie są negocjacje, chłopcze. Mogę kazać się zabić!

- Tylko stwierdzam fakty, ojczu - wtrącił szybko Elend. - Nie chcę...

- Zrobiłeś się śliski - powiedział Straff, mrużąc oczy. - Co chcesz osiągnąć przez tę grę?

Przybycie do mojego obozu? Nie masz mi nic do zaproponowania... - Przerwał. - Nic do zaproponowania poza tą dziewczyną. Ładniutka jest.

Elend się zaczerwienił.

- W ten sposób nie dostaniesz się do miasta. Pamiętaj, moi doradcy pomyśleli, że możesz jej zagrozić.

- Świetnie - warknął Straff. - Ty zginiesz, ja wezmę miasto siłą.

- A Cett zaatakuje cię od tyłu - stwierdził Elend. - Przyprze cię do naszych murów i zmusi do walki.

- Poniesie poważne straty - zauważył Straff. - Później nie uda mu się zdobyć i utrzymać miasta.

- Nawet z mniejszymi siłami i tak będzie miał większą szansę na odebranie go nam niż gdyby zaczekał i później próbował je odbić z twoich rąk.

Straff wstał.

- Będę musiał zaryzykować. Raz już cię zostawiłem. Nie wypuszczę cię znów na swobodę. Ci przekłeci skaa mieli cię zabić, żebym nie musiał się tobą przejmować.

Elend również wstał. Widział zdecydowanie w oczach Straffa.

To nie działa, pomyślał Elend, czując atak paniki. Plan był ryzykowny, ale nie spodziewał się właściwie, że mógłby się nie powieść. Dobrze rozegrał swoje karty. Ale coś poszło nie tak, coś, czego się nie spodziewał i wciąż nie rozumiał. Dlaczego ojciec tak się opierał?

Za mało się na tym znam, pomyślał Elend. Cóż za ironia losu - gdyby w dzieciństwie pozwolił ojcu się wyszkolić, teraz wiedziałby może, co robił nie tak. Nagle uświadomił sobie powagę swojej sytuacji. Otoczony przez wrogą armię. Oddzielony od Vin.

Miał umrzeć.

- Zaczekaj! - powiedział zdesperowany.

- Ach - stwierdził Straff z uśmiechem. - W końcu zrozumiałeś, w co się wpakowałeś?

W uśmiechu Straffa kryło się zadowolenie. Podniecenie. Ojciec zawsze lubił krzywdzić innych, choć rzadko dotyczyło to samego Elenda. Wówczas Straffa powstrzymywały konwenanse.

Konwenanse narzucone przez Ostatniego Imperatora. W tej chwili Elend ujrzał w oczach ojca żądę mordy.

- Od początku chciałeś mojej śmierci - stwierdził Elend. - Nawet gdybym dał ci atium, nawet gdybym wprowadził cię do miasta.

- Byłeś martwy w chwili, gdy postanowiłem tu wyruszyć - odparł Straff. - Głupcze. Ale dziękuję ci za przyprowadzenie tej dziewczyny. Posiadę ją tej nocy. Zobaczymy, czy wykrzyczy moje imię, czy twoje, gdy będę...

Elend się roześmiał.

To był rozpaczliwy śmiech, śmiech z absurdalnej sytuacji, w którą się wpakował, śmiech z nagłego zmartwienia i strachu - ale przede wszystkim śmiech na myśl o tym, jak Straff próbuje zniewolić Vin.

- Nie masz pojęcia, jak głupio brzmisz - stwierdził Elend.

Straff się zarumienił.

- Za te słowa potraktuję ją szczególnie brutalnie.

- Jesteś świnią, ojcze - powiedział Elend. - Chorym, obrzydliwym człowiekiem.

Myślałeś, że jesteś błyskotliwym przywódcą, ale jesteś ledwie zadowolający. Niemal zniszczyłeś nasz ród... uratowała cię jedynie śmierć Ostatniego Imperatora.

Straff wezwał strażników.

- Możesz zdobyć Luthadel - powiedział Elend - ale utracisz je! Ja może byłem złym królem, ale ty będziesz koszmarnym. Ostatni Imperator był tyranem, ale także geniuszem. Ty nie jesteś ani jednym, ani drugim. Jesteś samolubnym człowiekiem, który wykorzysta swoje bogactwa, a później skończy z nożem w plecach.

Gdy do namiotu wpadli żołnierze, Straff wskazał na Elenda. Ten nawet nie drgnął.

Dorastał z tym człowiekiem, był przez niego wychowywany i torturowany. A mimo to nigdy nie powiedział na głos, co o nim sądził. Buntował się z nastoletnią nieśmiałością, ale nigdy nie powiedział prawdy.

Czuł się z tym dobrze. Czuł się właściwie.

Być może udawanie słabego wobec Straffa było błędem. On zawsze lubił miażdżyć.

I nagle Elend pojął, co musi zrobić. Uśmiechnął się i spojrzał ojcu w oczy.

- Zabij mnie, ojcze - powiedział - a też zginiesz.

\*\*\*

- Zabij mnie, ojcze - powiedział Elend - a też zginiesz.

Vin się zawahała. Stała przed namiotem w zapadającym zmroku. Wcześniej towarzyszyli jej żołnierze Straffa, ale na rozkaz swojego pana wpadli do środka. Skryła się w ciemnościach i stała teraz na północ od namiotu, obserwując poruszenia cieni.

Miała zamiar wpaść do środka. Elend nie radził sobie najlepiej - choć nie był też najgorszym negocjatorem. Po prostu z natury był zbyt szczery. Łatwo było zauważyć, kiedy blefuje, szczególnie jeśli dobrze się go znało.

Jednakże to stwierdzenie brzmiało inaczej. Elend nie próbował udawać sprytnego, nie był to też gniewny wybuch, jak kilka chwil wcześniej. Nagle wydawał się spokojny i pełny siły.

Vin czekała w ciszy, przygotowawszy sztylety, spięta pośród mgieł. Coś mówiło jej, że musi dać Elendowi jeszcze kilka chwil.

Straff zaśmiał się na tę groźbę.

- Jesteś głupcem, ojcze - stwierdził Elend. - Myślisz, że przybyłem tu, żeby negocjować? Myślisz, że z własnej woli zawarłbym porozumienie z kimś takim jak ty? Nie.

Przecież dobrze mnie znasz. Wiesz, że nigdy bym ci się nie poddał.

- To dlaczego? - spytał Straff.



Niemal słyszała uśmiech Elenda.

- Przybyłem, by znaleźć się bliżej ciebie, ojcze... i wprowadzić moją Zrodzoną z Mgły do serca twojego obozu.

Cisza.

W końcu Straff się roześmiał.

- Grozisz mi tą chudziutką dziewczuszką? Jeśli to ta wielka Zrodzona z Mgły z Luthadel, o której tyle słyszałem, czuję się rozczarowany.

- To dlatego że chciała, żebyś tak się czuł - stwierdził Elend. - Pomyśl, ojcze. Byłeś podejrzliwy, a ona potwierdziła te podejrzenia. Ale jeśli jest tak dobra, jak twierdzą plotki... a wiem, że je słyszałeś... to jak mógłbyś wyczuć, że dotyka twoich emocji? Złapałeś ją na Uspokajaniu i powiedziałeś jej o tym. Później nie czuleś już jej dotknięcia, więc uznałeś, że ją zastraszyłeś. Ale wtedy zacząłeś się czuć pewny siebie. Swobodny. Uznałeś, że Vin nie jest zagrożeniem - ale czy rozsądny człowiek mógłby zlekceważyć Zrodzonego z Mgły, nawet drobnego i cichego? Można by się wręcz spodziewać, że to ci drobni i cisi są skrytobójcami, na których należy najbardziej uważać.

Vin się uśmiechnęła. Sprytnie, pomyślała. Sięgnęła i Rozpaliła uczucia Straffa, rozjarzając metal i podsycając jego gniew. Sapnął nagle. Wykorzystaj wskazówkę, Elendzie.

- Strach - powiedział Elend.

Uspokoiła gniew Straffa i zastąpiła go strachem.

- Namiętność.

Wypełniła prośbę.

- Spokój.

Uspokoiła wszystkie uczucia. Widziała w namiocie nieruchomy cień Straffa. Allomanta nie mógł zmusić człowieka do dowolnego zachowania i zazwyczaj mocne Przyciąganie i Odpychanie uczuć były mniej skuteczne, ponieważ ostrzegały cel, że coś jest nie tak. W tym wypadku jednak Vin chciała, by Straff miał pewność, że jest obserwowany.

Uśmiechnęła się i zgasiła cynę. Spaliła duraluminium i w nagłym wybuchu Uspokoiła uczucia Straffa, pozbawiając go wszelkiej zdolności odczuwania. Jego cień się zatoczył.

Chwilę później jej mosiądz się skończył, a ona znów zapaliła cynę, obserwując cienie na płótnie.

- Jest potężna, ojcze - stwierdził Elend. - Potężniejsza, niż wszyscy Allomanci, których znałeś. Zabiła Ostatniego Imperatora. Została wyszkolona przez Ocalałego z Hathsin. I jeśli zabijesz mnie, ona zabije ciebie.

Straff wyprostował się i w namiocie znów zapadła cisza.

Zabrział odgłos kroków. Vin obróciła się na pięcie, przykucnęła i uniosła sztylet.

We mgle stała znajoma postać.

- Dlaczego nigdy nie umiem się do ciebie podkraść? - spytał cicho Zane.

Vin wzruszyła ramionami i znów odwróciła się do namiotu - jednak przesunęła się tak, by mieć również oko na Zane'a. Podszedł bliżej i kucnął obok niej, obserwując cienie.

- To mało użyteczna groźba - stwierdził w końcu Straff. - Będiesz trupem, nawet jeśli twoja Zrodzona z Mgły w końcu mnie dopadnie.

- Ach, ojcie - powiedział Elend. - Myliłem się w kwestii twojego zainteresowania Luthadel. Ty jednak mylisz się w stosunku do mnie... zawsze się myliłeś. Nie obchodzi mnie, czy zginę, jeśli zapewni to bezpieczeństwo mojemu ludowi.

- Cett zdobędzie miasto, jeśli mnie zabraknie - zauważył Straff.

- Sądzę, że mój lud obroni się przed nim - stwierdził Elend. - W końcu jego armia jest mniejsza.

- To bzdura! - warknął Straff.

- Zabij mnie, a sam zginiesz - powtórzył Elend. - I nie tylko ty. Twoi generałowie. Twoi kapitanowie. Nawet twoi obligatorzy. Ma rozkaz, by zabić ich wszystkich.

Zane zbliżył się do Vin; jego stopy z trzaskiem miażdżyły suche zielsko.

- Ach - powiedział - sprytnie. Niezależnie, jak potężny jest twój przeciwnik, nie zaatakuje, jeśli trzymasz nóż przy jego szyi.

Zane pochylił się jeszcze bardziej, a Vin spojrzała na niego. Ich twarze dzieliło zaledwie kilka cali. Pokręcił głową.

- Ale powiedz mi, dlaczego to ludzie tacy jak ja i ty zawsze muszą być tymi nożami?

- Nikt nie jest tak potężny, chłopcze - usłyszeli głos Straffa - nawet Zrodzona z Mgły.

Może uda jej się zabić paru moich generałów, ale mnie nigdy nie dostanie. Mam swojego Zrodzonego z Mgły.

- Ach, tak? To dlaczego jej jeszcze nie zabił? Boi się zaatakować? - pytał Elend. - Jeśli mnie zabijesz... jeśli zrobisz choć krok w stronę miasta... ona zacznie rzeź. Ludzie będą ginąć jak więźniowie na placu fontann w dniu egzekucji.

- Mówiłaś chyba, że on jest ponad to - szepnęła Zane. - Twierdziłaś, że nie jesteś jego narzędziem.

Powiedziałaś, że nie wykorzystasz cię jako skrytobójcy.

- Błefuje, Zane - odparła Vin. - Nigdy by czegoś takiego nie zrobił.

- Jest Allomantą, jakiego jeszcze nie widziałeś, ojciec - powiedział Elend. - Widziałem, jak walczy z innymi Allomantami, i żaden jej nawet nie dotknął.

- To prawda?

Zawahała się. Elend nie widział, jak ona atakuje innego Allomantę.

- Raz widział, jak walczę z kilkoma żołnierzami i opowiadałam mu o swoich walkach z Allomantami.

- Aha - powiedział cicho Zane. - Czyli to tylko drobne kłamstewko. Nie ma w nich nic złego, jeśli jest się królem. Z wieloma rzeczami tak jest. Wykorzystanie jednej osoby, żeby uratować królestwo? Jaki przywódca nie zapłaciłby tak niskiej ceny? Twoja wolność w zamian za jego zwycięstwo.

- On mnie nie wykorzystuje - sprzeciwiła się.

Zane wstał. Vin obróciła się lekko, obserwując, jak znika pośród mgieł, z dala od namiotów, pochodni i żołnierzy. Zatrzymał się w pewnej odległości i uniósł wzrok. Nawet w świetle namiotów i ognisk obóz przepęłniała mgła. Wirowała wszędzie wokół nich. W jej zasłonie pochodnie i ogniska wydawały się bez znaczenia. Niczym dogasające węgielki.

- Cóż to dla niego znaczy? - spytał Zane cicho, gestem obejmując otoczenie. - Czy rozumie mgły? Czy rozumie ciebie?

- Kocha mnie - odparła Vin, znów spoglądając w stronę cieni na ścianie namiotu, w którym zapadła cisza. Straff najwyraźniej rozważał groźby syna.

- Kocha cię? - spytał Zane. - A może kocha cię mieć?

- Elend taki nie jest - sprzeciwiła się. - To dobry człowiek.

- Dobry czy nie, ty nie jesteś do niego podobna - stwierdził Zane. - Czy zrozumie, jak to jest być jednym z nas? Czy pozna rzeczy, które znamy, zatroszczy się o to, co kochamy? Czy kiedyś je widział?

Wskazał w górę, w stronę nieba. Daleko ponad mgłami na niebie migotały światełka, niczym drobne piegi. Gwiazdy, niewidoczne dla zwykłych ludzi. Tylko ktoś spalający cynę mógł przebić wzrokiem mgłę i zobaczyć ich blask.

Pamiętała, kiedy Kelsier pokazał je po raz pierwszy. Pamiętała, jak była oszołomiona, że gwiazdy były tam przez cały czas, niewidoczne za mgłą...

Zane nadal wskazywał w górę.

- Na Ostatniego Imperatora! - sapnęła Vin, cofając się o krok od namiotu. Wśród kłębiących się mgieł, w odbitym blasku namiotu zobaczyła coś na ręce Zane'a.

Jego skórę pokrywały białe pasma. Blizny.

Zane natychmiast opuścił rękę, ukrywając pobliznioną skórę w rękawie.

- Byłeś w Czeluściach Hathsin - powiedziała cicho. - Jak Kelsier.

Mężczyzna odwrócił wzrok.

- Przepraszam - powiedziała.

Zane znów zwrócił się w jej stronę, uśmiechając się. Był to spokojny, pewny siebie uśmiech. Zrobił krok do przodu.

- Rozumiem cię, Vin.

Wówczas uklonił się jej lekko i odskoczył, znikając wśród mgieł. W namiocie Straff odezwał się do Elenda:

- Idź. Odejdź stąd.

\*\*\*

Powóz wyjechał powoli z obozu. Straff stał przed namiotem, nie zważając na mgły, nadal czując pewne oszołomienie.

Pozwoliłem mu odejść. Dlaczego pozwoliłem mu odejść?

Nadal jednak czuł jej dotyk w swoim wnętrzu. Jedno uczucie po drugim, niczym zdradziecki wir, a później... nic. Niczym potężna ręka, chwytająca jego duszę i ściskająca ją boleśnie. Tak mogła wyglądać śmierć.

Żaden Allomanta nie mógł być tak potężny.

Zane ją szanuje, pomyślał Straff. I wszyscy mówią, że zabiła Ostatniego Imperatora. Ta dziewczyneczka. To niemożliwe.

Wydawało się niemożliwe. I najwyraźniej chciała, żeby tak to wyglądało.

Wszystko szło tak dobrze. Informacje dostarczone przez kandrę Zane'a były dokładne -

Elend próbował zawrzeć sojusz. Przerażające, że gdyby szpieg go nie ostrzegł, Straff mógłby nawet zawrzeć porozumienie, zakładając, że jego syn jest bez znaczenia.

A Elend i tak go pokonał. Straff był przygotowany na udawaną słabość, a i tak upadł.

Jest taka potężna...

Spośród mgieł wyłoniła się ciemna postać i podeszła do niego.

- Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha, ojciec - powiedział z uśmiechem Zane. - Może własnego?

- Czy był tam ktoś jeszcze, Zane? - spytał Straff, zbyt wstrząśnięty, by wymyślić ciętą odpowiedź. - Może jeszcze paru Zrodzonych z Mgły, którzy jej pomagali?

Zane potrząsnął głową.

- Nie. Naprawdę jest taka silna.

Odwrócił się, by znów zniknąć pośród mgieł.

- Zane! - warknął Straff, zmuszając go do zatrzymania. - Zmieniamy plany. Chcę, żebyś ją zabił.

Zane odwrócił się.

- Ale...

- Jest zbyt niebezpieczna. Poza tym mam już informację, którą chcieliśmy od niej uzyskać. Nie mają atium.

- Wierzysz im?

Straff się zawahał. Po tym, jak przez cały wieczór nim manipulowali, nie mógł wierzyć w nic, czego się dowiedział.

- Nie - stwierdził. - Ale dowiemy się tego w inny sposób. Chcę, żeby ta dziewczyna zginęła, Zane.

- Atakujemy miasto na poważnie?

Straff niemal wydał ten rozkaz, nakazując armiom przygotowanie do porannego natarcia. Wstępny atak poszedł nieźle, pokazując, że obrona miasta nie jest zbyt silna. Mógł

zdobyć mury i wykorzystać je przeciwko Cettowi.

Powstrzymały go jednak ostatnie słowa Elenda. „Wyślij swoje armie przeciwko mojemu miastu, ojciec”, powiedział chłopak, „a zginiesz. Poczujesz jej moc, wiesz, co może zrobić. Możesz uciec i się ukryć, możesz nawet zdobyć moje miasto.

Ale ona cię odnajdzie. I cię zabije.

Możesz jedynie czekać. Skontaktuję się z tobą, kiedy moje armie będą gotowe do ataku przeciwko Cettowi. Zaatakujemy razem, jak mówiłem wcześniej”.

Straff nie mógł na to liczyć. Chłopak się zmienił, stał się silniejszy. Gdyby zaatakowali razem, Straff

nie wątpił, że wkrótce zostałby zdradzony. Ale nie mógł też zaatakować Luthadel, dopóki dziewczyna pozostawała przy życiu. Nie teraz, gdy znał jej siłę, poczuł jej dotyk na swoich uczuciach.

- Nie - odpowiedział w końcu na pytanie Zane'a. - Nie zaatakujemy. Najpierw ją zabijesz.

- To może być trudniejsze niż ci się wydaje, ojcze - stwierdził Zane. - Będę potrzebował pomocy.

- Jakiej pomocy?

- Grupy uderzeniowej. Allomantów, których nie da się wyśledzić.

Zane mówił o pewnej ściśle określonej grupie. Większość Allomantów dało się łatwo rozpoznać ze względu na szlachetne pochodzenie. Straff miał jednak dostęp do szczególnych zasobów. Nie bez powodów miał tak wiele nałożnic - całe dziesiątki. Niektórzy sądzili, że po prostu jest tak pożądlivy.

Nie tylko o to chodziło. Więcej kochanek oznaczało więcej dzieci. A więcej dzieci z tak znaczącego szlacheckiego rodu oznaczało więcej Allomantów. Spłodził tylko jednego Zrodzonego z Mgły, ale też sporo Mglistych.

- Da się zrobić - stwierdził Straff.

- Mogą nie przeżyć tego spotkania, ojcze - ostrzegł Zane, nadal skryty wśród mgieł.

Powróciło to straszliwe doznanie. To poczucie nicości, straszliwa wiedza, że ktoś ma całkowitą kontrolę nad jego uczuciami. Nikt nie powinien mieć takiej mocy nad nim. A szczególnie Elend.

Powinien nie żyć. Przyszedł do mnie. A ja pozwoliłem mu odejść.

- Pozbądź się jej - powiedział. - Zrób co musisz, Zane. Cokolwiek.

Zane pokiwał głową i odszedł.

Straff powrócił do namiotu i znów posłał po Hoselle. Wyglądem przypominała dziewczynę Elenda. Dobrze mu zrobi przypomnienie sobie, że przez większość czasu panuje nad sytuacją.

\*\*\*

Elend siedział w powozie nieco oszołomiony. Wciąż żyję, myślał podniecony. Udało mi się! Przekonałem Straffa, by zostawił miasto w spokoju.

Przynajmniej na razie. Bezpieczeństwo Luthadel zależało od tego, jak długo Straff będzie się bał Vin. Ale... dla Elenda liczyło się każde zwycięstwo. Nie zawiódł swojego ludu.

Był ich królem, a jego plan, choć wydawał się szalony, powiódł się. Korona na głowie nie

wydawała się już tak ciężka.

Vin siedziała naprzeciwko niego. Nie wyglądała na tak zadowoloną, jak powinna.

- Udało się nam, Vin! - powiedział. - Nie tak, jak planowaliśmy, ale udało się. Straff nie odważy się zaatakować miasta.

W milczeniu pokiwała głową.

Elend zmarszczył czoło.

- No, to dzięki tobie miasto będzie bezpieczne. Wiesz o tym, prawda? Gdyby cię tam nie było... cóż, gdyby cię nie było, całe Ostatnie Imperium nadal pozostawałoby pod władzą tyrana.

- Ponieważ to właśnie ja zabiłam Ostatniego Imperatora - powiedziała cicho.

Przytaknął.

- Ale to plan Kelsiera, umiejętności ekipy, siła woli ludzi... to wyzwoliło imperium. Ja tylko miałam w ręku nóż.

- W twoich ustach brzmi to jak coś trywialnego - powiedział. - A tak nie jest! Jesteś fantastyczną Allomantką! Ham mówi, że nie pokonałby cię, nawet gdyby oszukiwał w walce, a do tego ochroniłaś pałac przed skrytobójcami. W całym Ostatnim Imperium nie ma nikogo takiego jak ty!

Jego słowa sprawiły, że jeszcze bardziej skuliła się w kącie. Odwróciła się i wyjrzała przez okno, wpatrując się w mgły.

- Dziękuję - powiedziała cicho.

Elend zmarszczył czoło. Za każdym razem, gdy wydaje mi się, że zaczynam rozumieć, co się dzieje w jej głowie... Przesiadł się na jej stronę i objął ją ramieniem.

- Vin, co się dzieje?

Milczała przez chwilę, po czym potrząsnęła głową, zmuszając się do uśmiechu.

- Nic takiego, Elendzie. Masz powód, by się cieszyć. Byłeś niesamowity... Wątpię, by sam Kelsier umiał tak manipulować Straffem.

Uśmiechnął się i przyciągnął ją do siebie, czekając z niecierpliwością na przyjazd do miasta.

Cynowa Brama otworzyła się z wahaniem i Elend ujrzał grupę ludzi stojącą na dziedzińcu. Ham uniósł wysoko latarnię.

Elend nie czekał, aż powóz się zatrzyma. Otworzył drzwi i wyskoczył. Przyjaciele zaczęli się do niego uśmiechać. Wrota zatrasnęły się z hukiem.

- Udało się? - spytał z wahaniem Ham, gdy Elend zbliżył się do niego. - Zrobiłeś to?

- Powiedzmy - odparł z uśmiechem Elend, ściskając ręce Hama, Breeze'a, Docksona i w końcu Spooka. Nawet kandra, OreSeur, siedział na dziedzińcu. Podbiegł do powozu, czekając na Vin. - Początkowa zmyłka nie poszła zbyt dobrze... ojciec nie był skłonny do zawarcia sojuszu. Ale wtedy zagroziłem mu, że go zabiję!

- Zaraz, zaraz. I to był taki dobry pomysł? - spytał Ham.

- Zapomnieliśmy o naszym największym atucie, przyjaciele - powiedział Elend, gdy Vin wysiadła z powozu. Odwrócił się i wskazał na nią. - Mamy broń, z którą nic nie może się równać! Straff spodziewał się, że będę go błagać, i był gotów wykorzystać tę sytuację. Kiedy jednak wspomniałem, co stanie się z nim i jego armią, kiedy wzbudzi gniew Vin...

- Mój drogi - odezwał się Breeze. - Wkroczyłeś do obozu najpotężniejszego króla Ostatniego Imperium i zagroziłeś mu?

- Tak!

- Kapitalnie!

- Wiem! - odparł Elend. - Powiedziałem ojcu, że ma mi pozwolić na opuszczenie obozu i zostawić Luthadel w spokoju, bo inaczej Vin zabije jego i wszystkich generałów w jego armii.

- Objął Vin. Uśmiechała się, lecz wyczuwał, że coś wciąż ją martwi.

Nie sądzi, że dobrze sobie poradziłem, uświadomił sobie Elend. Widziała lepszy sposób na manipulowanie Straffem, ale nie chce tłumić swojego entuzjazmu.

- Zatem chyba jednak nie będziemy potrzebowali nowego króla - stwierdził z uśmiechem Spook. - Właściwie to miałem ochotę objąć to stanowisko...

Elend się roześmiał.

- Nie mam zamiaru go w najbliższym czasie opuszczać. Ludzie dowiedzą się, że Straff został zastraszony, przynajmniej na jakiś czas. To powinno nieco poprawić morale. Później zajmiemy się Zgromadzeniem. Mam nadzieję, że przyjmą uchwałę pozwalającą mi na spotkanie z Cettem, jak to teraz zrobiłem ze Straffem.

- Mamy urządzić świętowanie w pałacu? - spytał Breeze. - Choć lubię mgłę, wątpię, by dziedziniec był odpowiednim miejscem do omawiania takich kwestii.

Elend poklepał go po plecach i pokiwał głową. Ham i Dockson dołączyli do niego i Vin, a pozostali wsiedli do powozu, którym przyjechali. Elend spojrział z ukosa na Docksona.

Normalnie mężczyzna wybrałby drugi powóz - ten, w którym nie było Elenda.



- Szczerze mówiąc, Elendzie - powiedział Ham, sadwiąc się na swoim miejscu - jestem pod wrażeniem. Myślałem, że będziemy musieli najechać ten obóz, żeby cię wyciągnąć.

Elend uśmiechnął się i spojrzał na Docksona, który usiadł na swoim miejscu. Otworzył torbę i wyjął zapieczętowaną kopertę. Spojrzał w oczy Elendowi.

- To niedawno przyszło od członków Zgromadzenia, Wasza Wysokość.

Elend zawahał się, w końcu jednak przyjął kopertę i złamał pieczęć.

- Co to takiego? - spytał.

- Nie jestem pewien - odparł Dockson. - Ale... słyszałem już pewne pogłoski.

Vin pochyliła się i ponad ramieniem Elenda przebiegła tekst wzrokiem.

*Wasza Wysokość,*

*ten list ma na celu poinformowanie Was, że Zgromadzenie postanowiło większością głosów powołać się na klauzulę braku zaufania.*

*Doceniamy Wasze wysiłki na rzecz miasta, ale obecna sytuacja wymaga innego rodzaju przywódcy niż Wasza Wysokość. Podejmujemy ten krok bez wrogości, jedynie z rezygnacją. Nie widzimy innego rozwiązania, a musimy działać dla dobra Luthadel.*

*Z przykrością informujemy o tym w tym liście.*

Poniżej znajdowały się podpisy wszystkich dwudziestu trzech członków Zgromadzenia.

Wstrząśnięty Elend opuścił rękę z kartką.

- Co? - spytał Ham.

- Właśnie zostałem zdetronizowany - odpowiedział cicho Elend.

## **CZEŚĆ TRZECIA**

### **KRÓL**

*Pozostawiał za sobą ruiny, lecz zostało mu to wybaczone. Stworzył*

*królestwa i zniszczył je, od nowa budując świat.*

- Muszę się upewnić, czy dobrze rozumiem - powiedziała Tindwyl, spokojnie i grzecznie, choć jednocześnie surowo i z dezaprobatą. - W prawach królestwa jest klauzula, która pozwala Zgromadzeniu na obalenie króla?

Elend zbladł.

- Owszem.

- I ty sam napisałeś to prawo?! - spytała ostro kobieta.

- W większości - przyznał.

- Zapisaleś w swoim prawie sposób, który pozwala cię obalić? - powtórzyła Tindwyl.

Ich grupa - ci, którzy spotkali się w powozach, powiększona o Clubsa, Tindwyl i kapitana Demoux - siedziała w gabinecie Elenda. Było ich tak dużo, że zabrakło krzeseł i Vin usiadła z boku, na stercie książek Elenda. Wcześniej przebrała się pośpiesznie w koszulę i spodnie. Tindwyl i Elend stali, lecz reszta siedziała - Breeze sztywno, Ham swobodnie, a Spook kołysząc się na krześle.

- Celowo umieściłem tę klauzulę - stwierdził Elend. Stał z przodu, opierając się jedną ręką o witrażowe okno, wpatrując się w jego ciemne płytki. - Ta kraina przez tysiąc lat wędła pod rządami tyrana. W tym czasie filozofowie i myśliciele marzyli o rządzie, który pozwoliłby na obalenie złego władcy bez rozlewu krwi. Objąłem władzę w wyniku serii niespodziewanych i nieprzewidzianych zdarzeń i nie uważałem za właściwe jednostronnego narzucenia ludowi woli swojej... albo moich potomków. Chciałem stworzyć rząd, w którym monarchowie odpowiedzialiby przed poddanymi.

Czasami mówi tak, jakby czytał księgę, pomyślała Vin. Nie jak zwyczajny człowiek.

Powróciły do niej słowa Zane'a, niczym szept w umyśle. Nie jesteś taka jak on. Stłumiła tę myśl.

- Z całym szacunkiem, Wasza Wysokość - stwierdziła Tindwyl - ale to chyba najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobił przywódca.

- To dla dobra królestwa - stwierdził Elend.

- To czysty idiotyzm - warknęła Terrisanka. - Król nie poddaje się kaprysom innego ciała rządzącego. Jest cenny dla swojego ludu, gdyż ma władzę absolutną!

Vin rzadko widziała Elenda tak smutnego i przygnębienie w jego oczach ją zmartwiło.

Jednocześnie czuła buntowniczą radość. Już nie był królem. Może teraz nikt już nie będzie chciał go zabić. Może znów zostanie Elendem i odejdą. Pojadą sobie gdzieś, gdzie życie nie jest tak skomplikowane.

- Tak czy inaczej - powiedział Dockson - coś trzeba zrobić. Dyskusja na temat sensu podjętych kiedyś decyzji nie ma w chwili obecnej większego znaczenia.

- Zgadzam się - odparł Ham. - Czyli Zgromadzenie próbuje cię wykopać. Co z tym zrobimy?

- Z pewnością nie możemy im na to pozwolić - stwierdził Breeze. - W końcu już przed rokiem obalili władzę. Lepiej, żeby się do tego nie przyzwyczajali.

- Musimy przygotować odpowiedź, Wasza Wysokość - stwierdził Dockson. - Jakieś potępienie tego zdradzieckiego posunięcia, które nastąpiło, gdy wy negocjowaliście w sprawie bezpieczeństwa miasta. Teraz, kiedy o tym myślę, jest oczywiste, że ustalili termin spotkania tak, żebyś nie mógł na nie przybyć i się bronić.

Elend pokiwał głową, nie odrywając wzroku od ciemnego szkła.

- Chyba nie musisz już się do mnie zwracać „Wasza Wysokość”, Dox.

- Bzdura - stwierdziła stojąca przy regale Tindwyl, splatając ręce na piersi. - Wciąż jesteś królem.

- Straciłem upoważnienie od ludu.

- Owszem - zauważył Clubs - ale nadal masz moje armie. To sprawia, że jesteś królem, niezależnie od tego, co twierdzi Zgromadzenie.

- Właśnie - odezwała się Terrisanka. - Odsuwając na bok głupie prawa, wciąż masz władzę. Musimy wprowadzić stan wojenny, ograniczyć prawo do poruszania się w mieście.

Opanować główne punkty i zamknąć w odosobnieniu członków Zgromadzenia, by wrogowie nie mogli ci się przeciwstawić.

- Przed świtem moi ludzie wyjdą na ulice - dodał Clubs.

- Nie - powiedział cicho Elend.

Zapanowała cisza.

- Wasza Wysokość? - spytał Dockson. - To naprawdę najlepsze posunięcie. Nie możemy pozwolić tej frakcji na uzyskanie przewagi.

- To nie frakcja, Dox. To wybrani członkowie Zgromadzenia.

- Zgromadzenia, które sam utworzyłeś, mój drogi - zauważył Breeze. - Mają władzę, bo ty im ją dałeś.

- To prawo daje im władzę, Breeze - sprzeciwił się Elend. - I wszyscy jesteśmy mu poddani.

- Bzdura - powiedziała znów Tindwyl. - Jako król ty jesteś prawem. Kiedy już zabezpieczymy

miasto, możesz zwołać Zgromadzenie i wyjaśnić jego członkom, że potrzebujesz ich poparcia. Ci, którzy się nie zgodzą, pozostaną internowani aż do zakończenia kryzysu.

- Nie - sprzeciwił się Elend, tym razem bardziej stanowczo. - Czegoś takiego nie zrobimy.

- Czyli to już koniec? - spytał Ham. - Poddajesz się?

- Nie poddam się, Ham - powiedział Elend, odwracając się w końcu w ich stronę. - Ale nie wykorzystam wojska do wywarcia nacisku na Zgromadzenie.

- Stracisz tron - stwierdził Breeze.

- Bądź rozsądny - dodał Ham, kiwając głową.

- Nie będę robił dla siebie wyjątku w swoich własnych prawach! - powiedział Elend.

- Nie bądź głupcem - powiedziała Tindwyl. - Powinieneś...

- Tindwyl - przerwał jej Elend - reaguj na moje pomysły, jak chcesz, ale nie nazywaj mnie głupcem. Nie życzę sobie, żebyś mnie deprecjonowała, tylko dlatego że wyrażam swoje zdanie!

Tindwyl stała przez chwilę z otwartymi ustami. W końcu zacisnęła wargi i usiadła. Vin poczuła lekką satysfakcję. Wyszkoliłaś go, Tindwyl, pomyślała z uśmiechem. Czy możesz narzekać, że ci się sprzeciwia?

Elend podszedł do stołu i położył na nim rękę.

- Tak, zareagujemy. Dox, napiszesz list informujący Zgromadzenie o naszym niezadowoleniu i poczuciu zdrady... poinformuj ich o naszym sukcesie w kontaktach ze Straffem i spraw, żeby poczuli się winni. A reszta niech zacznie planowanie. Odzyskamy tron.

Jak powiedziałem, znam prawo. Napisałem je. Są sposoby, by się tym zająć. Nie mam tu jednak na myśli wysłania armii do zajęcia miasta. Nie będę jak despoci, którzy chcą nam odebrać Luthadel! Nie zmuszę ludzi do postępowania zgodnie z moimi pragnieniami, nawet jeśli wiem, że to dla nich najlepsze.

- Wasza Wysokość - powiedziała ostrożnie Tindwyl. - Nie ma nic niemoralnego w przejściu władzy podczas chaosu. W takich czasach ludzie zachowują się nieracjonalnie. To jeden z powodów, dla czego potrzebują silnych przywódców. Potrzebują ciebie.

- Tylko jeśli mnie zechcą - odparł.

- Wybacz mi, Wasza Wysokość, ale to zdanie wydaje mi się nieco naiwne.

Elend się uśmiechnął.

- Być może tak. Mogłaś zmienić moje stroje i postawę, ale nie zmienisz mojej duszy.

Zrobię to, co uważam za właściwe... a oznacza to również pozwolenie Zgromadzeniu na zdetronizowanie mnie, jeśli jego członkowie tak zdecydują.

Terrisanka spochmurniała.

- A jeśli nie odzyskasz tronu w zgodzie z prawem?

- To przyjmę to do wiadomości - odparł. - I w miarę swoich możliwości nadal będę pomagał królestwu.

To tyle, jeśli chodzi o ucieczkę, pomyślała Vin. Nie mogła jednak powstrzymać uśmiechu. W Elendzie kochała również jego szczerłość. Jego prosta miłość do ludu Luthadel, jego zdecydowanie, by robić to, co będzie dla nich dobre - to różniło go od Kelsiera. Nawet w swoim męczeństwie, Kelsier okazywał arogancję. Upewnił się, że zostanie zapamiętany, jak niewielu ludzi przed nim.

A Elend... dla niego władanie Środkowym Dominium nie wiązało się z chwałą i sławą.

Po raz pierwszy, absolutnie i szczerze, podjęła decyzję. Elend był o wiele lepszym królem niż mógłby nim być Kelsier.

- Nie... jestem pewien, co sędzę o tym doświadczeniu... - wyszeptał ktoś obok niej.

Vin zawahała się, spojrzała w dół, i uświadomiła sobie, że odruchowo drapie OreSeura za uchem.

Cofnęła gwałtownie rękę.

- Przepraszam - powiedziała.

OreSeur wzruszył ramionami i położył łeb na łapach.

- Mówiłeś, że możesz odzyskać tron zgodnie z prawem - stwierdził Ham. - Jak to zrobimy?

- Zgromadzenie ma miesiąc na wybór nowego króla - odparł Elend. - Prawo nie mówi przy tym, że nowy król nie może być tą samą osobą, co stary. A jeśli nie uda im się w tym terminie podjąć decyzji większością głosów, władza powraca w moje ręce na co najmniej rok.

- Skomplikowane - westchnął Ham, drapiąc się po brodzie.

- A czego się spodziewałeś? - odezwał się Breeze. - To w końcu prawo.

- Nie chodziło mi tu o samo prawo - wyjaśnił Ham. - Chodziło mi o skłonienie Zgromadzenia do powtórnego wyboru Elenda lub nie wybrania nikogo. Nie obaliliby go, gdyby nie mieli już kandydata na tron.

- Niekoniecznie - wtrącił Dockson. - Może to miało być ostrzeżenie.

- Może - zgodził się Elend. - Panowie, myślę, że to jest znak. Ignorowałem Zgromadzenie...

Myśleliśmy, że mamy z nimi spokój, skoro skłoniłem ich do podpisania tej uchwały dającej mi prawo do pertraktacji. Nie pomyśleliśmy jednak, że bardzo łatwo mogą obejść tę uchwałę, wybierając nowego króla, a później zmuszając go, by postąpił zgodnie z ich życzeniami. - Westchnął, kręcąc głową. - Muszę przyznać, nigdy nie radziłem sobie zbyt dobrze w kontaktach ze Zgromadzeniem. Nie postrzegają mnie jako króla, lecz jako towarzysza... i dlatego wyobrażają sobie, jak bez trudu zajmują moje miejsce. Założę się, że jeden z członków przekonał innych, by wybrali go na moje miejsce.

- Możemy sprawić, żeby zniknął - zauważył Ham. - Jestem pewien, że Vin mogłaby...

Elend zmarszczył czoło.

- Żartuję, El - powiedział Ham.

- Wiesz co, Ham - stwierdził Breeze - jedyną zabawną rzeczą w twoich żartach jest to, jak często brakuje w nich choć odrobiny dowcipu.

- Mówisz to tylko dlatego, że często jesteś elementem puenty.

Breeze przewrócił oczami.

- Wiesz - mruknął OreSeur bardzo cicho, najwyraźniej licząc na jej wspomagany cyną słuch - wydaje mi się, że te spotkania byłyby o wiele bardziej efektywne, gdyby ktoś zapomniał

o zaproszeniu tej dwójki.

Vin uśmiechnęła się.

- Nie są aż tacy źli - wyszeptała.

OreSeur uniósł brew.

- No dobra - przyznała - trochę nas rozpraszają.

- Zawsze mogę pożreć jednego z nich, jeśli sobie życzysz - powiedział OreSeur. - To może nieco by przyspieszyło bieg spraw.

Vin się zawahała.

Na wargach OreSeura malował się uśmieszek.

- To taki żart kandra, panienko. Przepraszam. Czasem lubimy wisielczy dowcip.

- Nie sądzę, żeby ci smakowali - odparła z uśmiechem Vin. - Ham jest stanowczo zbyt żyłasty, wolałbyś też nie wiedzieć, co lubi jadać Breeze.

- Nie jestem pewien - odparł OreSeur. - Jeden w końcu nazywa się „Ham”. Jeśli chodzi o drugiego...

- Wskazał łbem na kielich wina w dłoni Breeze'a. - Wyraźnie lubi się marynować od wewnątrz.

Elend przeglądał sterty książek, wyciągając kilka przydatnych tomów - w tym kodeks Luthadel, który sam napisał.

- Wasza Wysokość - powiedziała z naciskiem Tindwyl - pod murami miasta czekają dwie wrogie siły, a przez Środkowe Dominium maszeruje armia kolosów. Naprawdę sądzisz, że masz czas na przedłużającą się walkę prawną?

Elend odstawił książki i przyciągnął sobie krzesło.

- Tindwyl - powiedział - pod murami miasta czekają dwie wrogie siły, zbliżająca się armia kolosów wywołuje ich niepokój, a ja sam jestem główną przeszkodą powstrzymującą przywódców tego miasta od poddania go jednemu z najeźdźców. Naprawdę myślisz, że przez przypadek zostałem zdetronizowany właśnie teraz?

Na te słowa kilku członków ekipy nadstawiło uszu, a Vin przechyliła głowę.

- Myślisz, że stoi za tym jeden z najeźdźców? - spytał Ham, drapiąc się po brodzie.

- A co ty byś zrobił, gdybyś był jednym z nich? - odparł Elend, otwierając książkę. - Nie możesz zaatakować miasta, ponieważ będzie cię to kosztować zbyt wielu żołnierzy. Oblężenie trwa wiele tygodni, twoim oddziałom zaczyna się robić zimno, a ludzie wynajęci przez Docksona atakują na kanałach barki z zaopatrzeniem, zagrażając dostawom żywności. Do tego wiesz, że do miasta zbliża się spora armia kolosów... i to wszystko zaczyna mieć sens. Jeśli Straff i Cett mają dobrych szpiegów, to wiedzą, że Zgromadzenie niemal zrezygnowało i poddało miasto, gdy armia pojawiła się pod jego murami. Skrytobójcom nie udało się mnie zabić, ale można się mnie pozbyć również w inny sposób...

- Tak - stwierdził Breeze. - To pasuje do Cetta. Zwrócić przeciwko tobie Zgromadzenie, umieścić na tronie swojego zwolennika i skłonić go do otwarcia bram.

Elend pokiwał głową.

- A mój ojciec wahał się, by mnie poprzeć tego wieczoru, jakby czuł, że może dostać miasto w jakiś inny sposób. Nie jestem pewien, czy któryś z monarchów stoi za tym posunięciem, Tindwyl, ale z pewnością nie możemy zignorować takiej możliwości. To nie jest dywersja... to część taktyk oblężniczych, z którymi mamy do czynienia od początku. Jeśli uda mi się powrócić na tron, Straff i Cett będą wiedzieć, że mogą rozmawiać tylko ze mną... i to może skłonić ich do zawarcia ze mną sojuszu, szczególnie w miarę zbliżania się kolosów.

Z tymi słowami Elend zaczął przeglądać sterty książek. Jego przygnębienie ustępowało w obliczu nowego problemu.

- W prawie może być jeszcze kilka znaczących klauzul - mruknął. - Muszę się temu przyjrzeć. Spook, zaprosiłeś Sazedę na spotkanie?

Spook wzruszył ramionami.

- Nie mogłem go dobudzić.

- Odzyskuje siły po wędrówce - powiedziała Tindwyl, odwracając głowę od Elenda. -

To sprawa Opiekunów.

- Musi uzupełnić metalmyśli? - spytał Ham.

Tindwyl zawahała się, a jej twarz spochmurniała.

- Wyjaśnił wam to?

Ham i Breeze przytaknęli.

- Rozumiem - odparła Terrisanka. - Ale i tak nie mógłby ci pomóc w rozwiązaniu tego problemu, Wasza Wysokość. Ja mogę ci w niewielkim stopniu pomóc w kwestiach zarządzania, gdyż moim obowiązkiem jest przekazywanie przywódcom dawnej wiedzy.

Jednak wędrowni Opiekunowie, tacy jak Sazed, nie zajmują się kwestiami politycznymi.

- Kwestiami politycznymi? - spytał Breeze. - To znaczy takimi jak obalenie Ostatniego Imperium?

Tindwyl mocno zacisnęła wargi.

- Nie powinniście go zachęcać do łamania przysięg - powiedziała w końcu. - Jak sądzę, gdybyście byli jego przyjaciółmi, wiedzielibyście, że to prawda.

- Naprawdę? - spytał Breeze unosząc w jej stronę kielich wina. - Osobiście sądzę, że jesteście zawstydzeni, gdyż się wam sprzeciwił, co ostatecznie dało wolność waszemu ludowi.

Terrisanka zmrużyła oczy i spojrzała na niego ostro. Wpatrywali się w siebie przez dłuższą chwilę.

- Odpychaj moje emocje ile chcesz, Uspokajaczu - powiedziała Tindwyl. - Moje uczucia należą do mnie. Nie osiągniesz sukcesu.

Breeze w końcu powrócił do wina, mruczając coś na temat „przeklętych Terrisan”.

Elend nie zwracał uwagi na ich kłótnie. Już zostawił na stole cztery otwarte księgi i przeglądał piątą. Vin uśmiechnęła się, przypominając sobie czasy - nie tak dawne - kiedy jego zaloty polegały często na zajęciu miejsca obok niej i otwarciu książki.

Jest tym samym człowiekiem, pomyślała. I ta dusza, ten człowiek, to on mnie pokochał, zanim dowiedział się, że jestem Zrodzoną z Mgły. Kochał mnie, nawet kiedy odkrył, że jestem złodziejką i myślał, że chce go obrabować. Muszę o tym pamiętać.

- Chodź - wyszeptała do OreSeura, gdy Ham i Breeze wdali się w kolejną kłótnię.



Potrzebowała czasu do zastanowienia, a mgły wciąż były świeże.

\*\*\*

To by było o wiele prostsze, gdybym nie był tak utalentowany, pomyślał z rozbawieniem Elend, przeglądając księgi. Zbyt dobrze napisałem prawo.

Przeciągnął palcem wzdłuż akapitu, odczytując go po raz kolejny, gdy ekipa rozpraszała się powoli. Nie pamiętał, czy pozwolił im odejść. Tindwyl pewnie go za to złaje.

Tutaj, pomyślał, stukając w kartkę. Mogę mieć powody do unieważnienia decyzji, jeśli ktokolwiek z członków Zgromadzenia się spóźnił albo głosował *in absentia*. Decyzja dotycząca zdetronizowania króla musiała być jednomyślna - pomijając oczywiście samego detronizowanego.

Przerwał na chwilę, zauważając ruch. W gabinecie pozostała już tylko Tindwyl. Z rezygnacją podniósł wzrok znad ksiąg. Mogłem się tego spodziewać...

- Przepraszam, że traktowałam cię bez szacunku, Wasza Wysokość - powiedziała.

Elend zmarszczył czoło. Tego się nie spodziewał.

- Mam w zwyczaju traktować ludzi jak dzieci - przyznała. - Nie powinnam chyba być z tego dumna.

- To... - Elend się zawahał. Tindwyl uczyła go, by nigdy nie tłumaczył ludzkich wad.

Mógł akceptować ludzi z ich wadami, nawet im wybaczać, ale jeśli tuszował ich problemy, nie mieli szansy się zmienić. - Przyjmuję twoje przeprosiny - powiedział.

- Szybko się uczysz, Wasza Wysokość.

- Nie miałem większego wyboru - odparł z uśmiechem. - Oczywiście, nie zmieniłem się wystarczająco szybko dla Zgromadzenia.

- Jak mogłeś na to pozwolić? - spytała cicho. - Nawet biorąc pod uwagę nasze nieporozumienia dotyczące sposobów sprawowania władzy, spodziewałabym się, że członkowie Zgromadzenia będą cię popierać. Przecież dałeś im władzę.

- Ignorowałem ich, Tindwyl. Potężni ludzie, czy to przyjaciele, czy wrogowie, nie lubią być ignorowani.

Przytaknęła.

- Choć może powinniśmy poświęcić trochę czasu, by zauważyć twoje sukcesy, a nie tylko skupiać się na porażkach. Vin powiedziała mi, że spotkanie z ojcem poszło dobrze.

Elend uśmiechnął się.

- Przestraszyliśmy go tak, że się poddał. To było wspaniałe uczucie, zrobić coś takiego Straffowi. Ale boję się, że mogłem urazić Vin.

Tindwyl uniosła brew.

Elend odłożył książkę i pochylił się, opierając ręce na stole.

- W drodze powrotnej była w dziwnym nastroju. Prawie ze mną nie rozmawiała. Nie wiem o co chodzi.

- Może była po prostu zmęczona.

- Nie jestem pewien, czy Vin w ogóle się męczy - stwierdził Elend. - Zawsze w ruchu, zawsze coś robi. Czasem martwię się, że uważa mnie za leniwego. Może to właśnie dlatego... -

Pokręcił głową.

- Nie myśli, że jesteś leniwy, Wasza Wysokość - sprzeciwiła się Tindwyl. - Nie chciała wziąć z tobą ślubu, bo uważa, że nie jest ciebie warta.

- Bzdura - stwierdził Elend. - Vin jest Zrodzoną z Mgły. Wie, że jest warta dziesięciu takich jak ja.

Tindwyl uniosła brew.

- Nie rozumiesz kobiet, Elendzie Venture, a szczególnie młodych kobiet. W ich wypadku umiejętności nie mają zbyt wielkiego wpływu na to, jak same siebie postrzegają. Vin brakuje wiary w siebie. Nie wierzy, że zasługuje na to, by być z tobą, i nie chodzi o to, że nie zasługuje na ciebie, tylko raczej o to, że nie jest przekonana, czy w ogóle zasługuje na szczęście. Jej życie było bardzo trudne i skomplikowane.

- Jak możesz być tego pewna?

- Wychowałam kilka córek, Wasza Wysokość - odparła Tindwyl. - Wiem, o czym mówię.

- Córek? - powtórzył Elend. - Masz dzieci?

- Oczywiście.

- Po prostu... - Terrisanie, których znał, byli eunuchami, jak Sazed. Nie mogło to oczywiście dotyczyć kobiety takiej jak Tindwyl, ale zakładał, że plany hodowlane Ostatniego Imperatora wpłynęły i na nią.

- Tak czy inaczej - przerwała mu Tindwyl - musisz podjąć pewne decyzje, Wasza Wysokość. Twój związek z Vin będzie trudny. Ona ma pewne problemy, które oznaczają, że życie z nią nie jest tak proste jak z bardziej zwyczajną kobietą.

- Już o tym rozmawialiśmy - stwierdził Elend. - Nie szukam bardziej „zwyczajnej” kobiety. Kocham

Vin.

- Nic takiego nie sugerowałam - odparła spokojnie Terrisanka. - Po prostu cię uczę, jak mnie o to poproszono. Musisz podjąć decyzję, na ile pozwolisz się rozproszyć dziewczynie i waszemu związkowi.

- A dlaczego sądzisz, że jestem rozproszony?

Uniosła brew.

- Zapytałam cię o sukces z lordem Venture, a ty opowiadałeś o tym, jak Vin czuła się w czasie drogi powrotnej.

Elend się zawahał.

- Co jest dla ciebie ważniejsze, Wasza Wysokość? - spytała. - Miłość tej dziewczyny czy dobro ludu?

- Nie odpowiem na takie pytanie - stwierdził Elend.

- Być może w końcu będziesz musiał dokonać wyboru - odparła Tindwyl. - Obawiam się, że ta kwestia dotyczy większości królów.

- Nie. Mogę jednocześnie kochać Vin i chronić mój lud. Przystudiowałem zbyt wiele hipotetycznych problemów, by teraz dać się złapać w taką pułapkę.

Tindwyl wzruszyła ramionami.

- Wierz sobie w co chcesz. Ja jednak widzę już problem i nie jest on wcale hipotetyczny.

- Lekko skłoniła głowę i wycofała się z gabinetu, pozostawiając go z księgami.

*Istniały również inne dowody łączące Alendiego z Bohaterem Wieków.*

*Drobiazgi, które mógł zauważyć tylko ktoś doskonale znający tradycję Oczekiwania. Znamię na ramieniu. Siwizna, która pojawiła się w dwudziestym piątym roku jego życia. Sposób, w jaki mówił, w jaki traktował ludzi, w jaki rządził.*

*To po prostu pasowało.*

- Powiedz mi, panienko - odezwał się OreSeur, leżący z łbem wspartym na łapach. -

Wiele lat spędziłem wśród ludzi i odniosłem wrażenie, że potrzebują regularnie się wysypiać.

Chyba się myliłem.

Vin siedziała na kamiennej półce, z jednym kolaniem przyciągniętym do piersi, a drugą nogą zwisającą swobodnie. Wieże Twierdzy Hasting były mrocznymi cieniami we mgle po prawej i lewej.

- Śpię - powiedziała.

- Czasami. - Kandra ziewnął, wysuwając język. Czyżby zaczynał przejawiać psie zachowania?

Vin odwróciła się od niego i spojrzała na wschód, ponad śpiącym Luthadel. W pewnej odległości widziała ogień, coraz silniejszy blask, zbyt wielki, by mógł być dziełem człowieka.

Nadchodził świt. Kolejna noc się kończyła, minął już prawie tydzień od wizyty w obozie Straffa. A Zane jeszcze się nie pokazał.

- Spalasz cynę z ołowiem, prawda? - spytał OreSeur. - Żeby nie zasnąć?

Pokiwała głową. Kiedy spalała cynę z ołowiem, jej zmęczenie było tylko drobną przeszkodą. Gdyby się skupiła, mogłaby poczuć je głęboko w sobie, lecz nie miało nad nią mocy. Zmysły Vin były wyczerpane, ciało silne. Nie przeszkadzał jej nawet chłód nocy. Gdyby zgasiła cynę z ołowiem, od razu poczułaby wyczerpanie.

- To nie może być zdrowe, panienko - zauważył OreSeur. - Spisz trzy czy cztery godziny na dobę. Nikt, czy to Zrodzony z Mgły, człowiek, czy kandra, długo czegoś takiego nie wytrzyma.

Vin spuściła wzrok. Jak mogła wytłumaczyć swoją dziwną bezsenność? Powinna z tego wyjść - nie musiała się już bać innych członków szajki. A jednak, niezależnie od wyczerpania, miała coraz większe problemy z zaśnięciem. Jak mogła spać, słysząc to ciche dudnienie?

Wydawało się, że zbliża się coraz bardziej. A może stawało się silniejsze? A przede wszystkim słyszę łomot w niebie, pulsowanie z gór... Słowa z dziennika.

Jak mogła spać, wiedząc, że obserwuje ją mgielny duch, złowrogi i pełen nienawiści?

Jak mogła spać, gdy armie groziły rzezią jej przyjaciół, gdy Elendowi odebrano jego królestwo, gdy wszystko, co знаła i kochała, stawało się splątane i niejasne?

...Kiedy jednak wreszcie udamy się na spoczynek, nie umiem zasnąć. Te same myśli, które prześladowają mnie za dnia, spokój nocy tylko potęguje...

OreSeur ponownie ziewnął.

- On nie przyjdzie, panienko.

Vin odwróciła się z ponurą miną.

- Co masz na myśli?

- To ostatnie miejsce, w którym pojedynkowałam się z Zane'em - stwierdził kandra. -

Czekasz, aż przybędzie.

Zawahała się.

- Pojedynek dobrze by mi zrobił - powiedziała w końcu.

Niebo na wschodzie robiło się coraz jaśniejsze, rozświetlając mgły. Te jednak nie chciały się poddać promieniom słońca.

- Nie powinnaś pozwalać, by tak na ciebie wpływał, panienko - powiedział OreSeur. -

Nie sądzę, by był takim człowiekiem, za jakiego go uważasz.

Vin zmarszczyła czoło.

- Jest moim wrogiem. Za kogo innego miałabym go uważać?

- Nie traktujesz go jak wroga, panienko.

- Cóż, nie zaatakował Elenda - odpowiedziała. - Może Straff nie panuje nad nim w pełni.

OreSeur siedział w milczeniu z łbem wspartym na łapach. W końcu odwrócił wzrok.

- O co chodzi? - spytała.

- Nic takiego, panienko. Będę wierzył w to, co mi każesz.

- Nie ma mowy - stwierdziła, odwracając się na półce, by na niego spojrzeć. - Nie wrócisz do tego usprawiedliwienia. Co myślałeś?

Kandra westchnął.

- Myślałem, panienko, że twoja obsesja na punkcie Zane'a jest niepokojąca.

- Obsesja? - powtórzyła Vin. - Po prostu mam na niego oko. Nie lubię, jak po moim mieście kręci się inny Zrodzony z Mgły, nieważne, przyjaciel czy wróg. Któż wie, jakie są jego plany?

OreSeur skrzywił się, ale nic nie powiedział.

- OreSeurze, jeśli masz coś do powiedzenia, to mów!

- Przepraszam, panienko - odparł. - Nie jestem przyzwyczajony do swobodnej rozmowy z paniami, a szczególnie do szczerości.

- Nic się nie stało. Po prostu mów.

- Cóż, panienko - stwierdził OreSeur, unosząc łeb - nie podoba mi się ten Zane.

- A co o nim wiesz?

- Tyle samo, co ty - przyznał. - Ale większość kandra umie trafnie oceniać ludzkie charaktery. Kiedy ktoś tak długo jak ja ćwiczy naśladowanie ludzi, uczy się też spoglądać w głąb ich serc. Nie podoba mi się to, co zobaczyłem w Zanie. Wydaje się zbyt zadowolony z siebie. Wydaje mi się, że zbyt rozmyślnie się z tobą zaprzyjaźnia. W jego obecności czuję się nieswojo.

Vin siedziała na półce z rozsuniętymi nogami, trzymając dłonie przed sobą, wsparte o chłodny kamień. Może mieć rację.

Ale OreSeur nie latał z Zane'em, nie walczył z nim pośród mgieł. Choć nie była to jego wina, OreSeur przypominał Elenda. Nie był Allomantą. Żaden z nich nie rozumiał, jak to jest, szybować Odpychając się stalą, rozjarzać cynę i odczuwać nagły wstrząs wzmocnienia pięciu zmysłów. Nie wiedzieli. Nie rozumieli.

Vin odchyliła się do tyłu i w pierwszym brzasku przyjrzała się wilczarzowi. Miała zamiar coś mu powiedzieć, a ta chwila wydawała się właściwą.

- OreSeurze, możesz zmienić ciało, jeśli chcesz.

Wilczarz uniósł brew.

- Mamy te kości, które znaleźliśmy w pałacu - powiedziała. - Możesz je wykorzystać, jeśli masz dość bycia psem.

- Nie mógłbym ich wykorzystać - odparł. - Nie pochłonąłem ich ciała, więc nie znam właściwego układu mięśni i organów, by ta osoba wyglądała właściwie.

- W takim razie możemy ci znaleźć jakiegoś zbrodniarza.

- Wydawało mi się, że odpowiadam ci z tymi kośćmi - zauważył.

- Owszem - odparła. - Ale nie chcę, byś pozostawał w ciele, które cię unieszczęśliwia.

OreSeur prychnął.

- Moje szczęście się nie liczy.

- Dla mnie tak - sprzeciwiła się. - Moglibyśmy...

- Panienko - przerwał jej kandra.

- Tak?

- Zachowam te kości. Przyzwyczailem się do nich. Częste zmiany postaci są frustrujące.

Vin się zawahała.

- Dobrze - powiedziała w końcu.

Pokiwał łbem.

- Choć - dodał - skoro już mowa o ciałach, panienko, czy mamy zamiar w ogóle wrócić do pałacu? Nie wszyscy z nas mają siłę Zrodzonego z Mgły i niektórzy potrzebują od czasu do czasu snu i jedzenia.

Z pewnością teraz o wiele częściej narzeka, pomyślała Vin. Uznała jednak, że to dobry znak - OreSeur czuł się coraz swobodniej w jej obecności. Na tyle swobodnie, że odważył się powiedzieć jej, że zachowuje się głupio.

A czemu w ogóle przejmuję się Zane'em, pomyślała, zwracając wzrok na północ. Mgła wciąż była dość gęsta i Vin ledwie widziała armię Straffa, nadal utrzymującą oblężenie nad północnym kanałem. Była niczym pająk, czekający na dogodną chwilę do skoku.

Elend, pomyślała. Powinnam bardziej skupiać się na Elendzie. Jego pomysły, jak odrzucić decyzję Zgromadzenia lub doprowadzić do powtórnego głosowania, zawiodły. On zaś, jak zwykle uparcie praworządny, akceptował swoje porażki. Nadal sądził, że ma szansę przekonać Zgromadzenie, by wybrało go ponownie - a przynajmniej nie wybrało nikogo innego na jego miejsce.

Dlatego opracowywał przemówienia i układał plany z Breeze'em i Docksonem. To pozostawiało mu mało czasu dla Vin, i dobrze. Ostatnim, czego potrzebował, było rozpraszenie przez nią. Nie umiała mu pomóc - tu nie wystarczyły walka ani zastraszenie.

Jego światem są papiery, księgi, prawa i filozofia, pomyślała. Wznosi się w świecie swoich teorii tak, jak ja wznoszę się pośród mgieł. Zawsze martwię się, że on mnie nie rozumie... a czy ja tak naprawdę rozumiem jego?

OreSeur wstał, przeciągnął się i położył przednie łapy na balustradzie. Podobnie jak Vin, spojrzał na północ.

Pokręciła głową.

- Czasem chciałabym, żeby Elend nie był taki... no, szlachetny. Miasto nie potrzebuje teraz takiego zamieszania.

- Postąpił właściwie, panienko.

- Tak sądzisz?

- Oczywiście - odparł OreSeur. - Zawarł kontrakt. Jego obowiązkiem jest dotrzymanie tego kontraktu, niezależnie od okoliczności. Musi służyć swojemu panu... w tym wypadku miastu... nawet jeśli jego pan zmusza go do zrobienia czegoś bardzo obrzydliwego.

- Taki sposób myślenia pasuje do kandry - powiedziała.

OreSeur spojrział na nią, unosząc psią brew, jakby chciał spytać: „A czego się spodziewałaś?”. Uśmiechnęła się - musiała powstrzymywać chichot za każdym razem, gdy widziała tę minę na psim pysku.

- Chodź - powiedziała. - Wracamy do pałacu.

- Doskonale - stwierdził OreSeur i opadł na cztery łapy. - To mięso, które zostawiłem, powinno być doskonałe.

- Chyba że pokojówka znów je znalazła - odpowiedziała z uśmiechem Vin.

OreSeur spochmurniał.

- Myślałem, że je ostrzeżesz.

- A co miałam powiedzieć? - spytała z rozbawieniem. - Proszę, nie wyrzucajcie tego zepsutego mięsa, bo mojemu psu ono smakuje?

- A dlaczego nie? - odpowiedział pytaniem. - Kiedy naśladuję człowieka, nie mam szans na dobry posiłek, ale psy czasem jedzą dojrzałe mięso, prawda?

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia - odparła.

- Dojrzałe mięso jest pyszne.

- Masz na myśli „zepsute”?

- Dojrzałe - powiedział z naciskiem, gdy Vin podniosła kandrę, by znieść go z muru.

Twierdza Hasting miała dobre sto stóp wysokości - zbyt wysoko, by OreSeur zeskoczył, a jedyna droga w dół prowadziła przez środek opuszczonej budowli. Lepiej go znieść.

- Dojrzałe mięso jest jak dojrzałe wino czy ser - mówił dalej kandra. - Smakuje lepiej po kilku tygodniach.

Pewnie tak jest, gdy jest się spokrewnionym z padlinożercami, pomyślała Vin.



Podskoczyła do krawędzi dachu, rzucając kilka monet. Jednakże, gdy przygotowywała się do skoku - z OreSeurem w ramionach - zawahała się. Odwróciła się po raz ostatni, spoglądając na armię Straffa. Była teraz w pełni widoczna, słońce wzniosło się już ponad horyzont. Mimo to kilka upartych pasm mgły wciąż kłębiło się w powietrzu, jakby próbując rzucić wyzwanie słońcu, nadal zasłaniać miasto, odepchnąć światło dnia...

Na Ostatniego Imperatora, pomyślała Vin, czując nagłe olśnienie. Tak długo rozważała ten problem, że zaczynał ją już frustrować. A teraz, gdy go ignorowała, odpowiedź przyszła do niej sama. Jakby jej podświadomość nadal nad nim pracowała.

- Panienko? - spytał OreSeur. - Coś się stało?

Vin otworzyła usta i przechyliła głowę.

- Chyba właśnie sobie uświadomiłam, czym jest Głębia.

*Ale nie mogę wdawać się w szczegóły. Mam mało miejsca. Inni Dawcy Światów musieli uważać się za pokornych, kiedy przyszli do mnie i przyznali, że się mylili. Wtedy zaczynałem już wątpić w moje pierwotne stwierdzenie. Byłem jednak pełen dumy.*

*Przygotowuję ten zapis, czytał Sazed, wykuwając go w metalowej płycie, ponieważ się boję. Boję się o siebie - przyznaję, jestem człowiekiem. Jeśli Alendi powróci ze Studni Wstąpienia, jestem pewien, że moja śmierć będzie jednym z jego pierwszych celów. Nie jest złym człowiekiem, lecz bezlitosnym. Prawdopodobnie wynika to z tego, co przeszedł.*

*Obawiam się jednak, że wszystko, co wiem - moja historia - zostanie zapomniane. Boję się świata, który nadejdzie. I że Alendi zawiedzie. Boję się zguby sprowadzonej przez Głębię.*

*Wszystko sprowadza się do biednego Alendiego. Przykro mi z jego powodu i z powodu wszystkiego, co musiał znieść. Z powodu tego, czym musiał się stać.*

*Ale pozwólcie, że zacznę od początku. Poznałem Alendiego w Khlennium. Był wtedy młodzieńcem i nie został jeszcze wypaczony przez dziesięć lat dowodzenia armią.*

*Wzrost Alendiego zaskoczył mnie, gdy ujrzałem go po raz pierwszy. Oto człowiek niewielkiego wzrostu, który jednak sprawiał wrażenie, że góruje nad innymi i wymaga szacunku.*

*Zadziwiająca, lecz to pomysłowość Alendiego sprawiła, że się z nim zaprzyjaźniłem.*

*Zatrudniłem go jako swojego asystenta podczas pierwszych miesięcy pobytu w tym wspaniałym mieście.*

*Dopiero wiele lat później doszedłem do wniosku, że Alendi jest Bohaterem Wieków.*

*Bohater Wieków: w Khlennium zwany Rabzeen. Anamneta.*

*Zbawca.*

*Kiedy w końcu przeżyłem objawienie - w końcu połączyłem z nim wszystkie znaki Oczekiwania - byłem taki podekscytowany. Jednak gdy przedstawiłem swoje odkrycia Dawcom Światów, szydzili ze mnie. Jakże żałuję, że ich wtedy nie posłuchałem.*

*A jednak każdy, kto mnie zna, wie, że nie poddam się łatwo. Gdy znajdę coś, co uznaję za warte zbadania, potrafię być bardzo uparty. Ustaliłem, że Alendi jest Bohaterem Wieków i zamierzałem to udowodnić. Powinienem był ugiąć się przed wolą pozostałych. Nie powinienem był się upierać, by towarzyszyć Alنديemu w jego podróżach. Nieuniknione było to, że sam Alendi dowie się, za kogo go uważam.*

*Tak, później to on podsycił pogłoski. Sam nigdy nie dokonałbym tego, co on zrobił, przekonując świat, że rzeczywiście jest Bohaterem. Nie wiem, czy w to wierzył, ale sprawił, że inni uwierzyli w niego.*

*Gdyby tylko terrisańska religia i wiara w Oczekiwanie nie rozprzestrzeniły się poza nasz lud. Gdyby tylko Głębia nie pojawiła się właśnie wtedy, doprowadzając ludzi do desperacji w czynach i*

wierzeniach. Gdybym tylko nie zwrócił uwagi na Alendiego, kiedy przed wielu laty szukałem asystenta.

Sazed przerwał pracę nad transkrypcją odcisku. Wciąż miał mnóstwo pracy -

zadziwiające, jak wiele pisma udało się umieścić temu Kwaanowi na względnie niewielkim arkuszu stalowej blachy.

Popatrzył na swoje dzieło. Całą drogę na północ spędził w oczekiwaniu chwili, gdy w końcu będzie mógł zabrać się do pracy. Zastanawiał się, czy słowa nieżyjącego człowieka okażą się równie ważne w jasno oświetlonej komnacie, jak w podziemiach Domu Modlitwy Seran.

Przejrzał kolejną część dokumentu, odczytując kilka wybranych akapitów.

*Jako ten, który odnalazł Alendiego, stałem się jednak kimś ważnym. Pierwszym pomiędzy Dawcami Światów.*

*Było dla mnie miejsce w tradycji Oczekiwania - uważałem się za Głosiciela, proroka, który wedle przepowiedni miał odkryć Bohatera Wieków. Wówczas odrzucenie Alendiego oznaczałoby odrzucenie mojej nowej pozycji i aprobaty pozostałych.*

*Dlatego tego nie zrobiłem.*

*Lecz czynię to teraz. Niechaj wszyscy wiedzą, że ja, Kwaan, Dawca Światów z Terris, jestem oszustem.*

Sazed przymknął oczy. Dawca Światów. Znał to określenie - zakon Opiekunów został

stworzony na podstawie wspomnień i nadziei z terrisańskich legend. Dawcy Światów byli nauczycielami, Feruchemikami, którzy wędrowali po świecie, niosąc wiedzę. To oni zainspirowali tajny zakon Opiekunów.

A teraz miał dokument spisany własną ręką przez Dawcę Światów.

Tindwyl będzie na mnie bardzo zła, pomyślał Sazed, otwierając oczy. Przeczytał cały odcisk, ale musiał spędzić jeszcze sporo czasu, badając go. Zapamiętując. Łącząc z innymi dokumentami. Ten jeden zapis, długości może dwudziestu stron, mógł dać mu pracę na całe miesiące, może nawet lata.

Załomotały okiennice. Sazed uniósł wzrok. Przebywał w swoich pałacowych apartamentach - kilku pięknie umeblowanych komnatach, które wydawały się zbyt luksusowe dla wieloletniego służącego. Wstał, podszedł do okna, zdjął haczyk i otworzył okiennice.

Uśmiechnął się na widok Vin kucającej na parapecie.

- Yyy... cześć - powiedziała. Na szarą koszulę i czarne spodnie miała narzucony mgielny płaszcz. Mimo że nastał już ranek, najwyraźniej nie położyła się jeszcze spać. - Nie powinieneś zamykać okna. Nie mogę wejść do środka, jeśli jest zamknięte na haczyk. Elend będzie na mnie zły, jeśli

zniszczyć zbyt wiele okiennic.

- Spróbuję o tym pamiętać, lady Vin - powiedział i gestem zaprosił ją do środka.

Vin z wawo wskoczyła przez okno. Jej płaszcz szeleścił.

- Spróbujesz? - spytała. - Ty nigdy o niczym nie zapominasz. Nawet o rzeczach, których nie umieściłeś w metalmyśli.

Stała się o wiele bardziej śmiała, pomyślał, gdy podeszła do biurka i spojrzała na jego dzieło. Nawet przez te miesiące, kiedy mnie nie było.

- Co to? - spytała, nadal patrząc na biurko.

- Znalazłem to w Domu Modlitwy Seran, lady Vin - wyjaśnił, odchodząc od okna.

Dobrze się czuł w czystych szatach, siedząc w cichej i wygodnej komnacie i pracując. Czy był złym człowiekiem, że wolał to od podróżowania?

Miesiąc, pomyślał. Dam sobie miesiąc na badania. Później przekażę projekt komuś innemu.

- Co to? - powtórzyła, unosząc odcisk.

- Jeśli można, lady Vin - powiedział zaniepokojonym głosem. - To bardzo delikatne.

Odcisk może się zatrzeć.

Pokiwała głową, odłożyła arkusz i przejrzała jego transkrypcję. Niegdyś starannie unikała wszystkiego, co trąciło nudną pisaniną, ale teraz wyglądała na zaintrygowaną.

- Wspomina o Głębi! - wykrzyknęła podekscytowana.

- Między innymi - odparł Sazed, pochodząc do niej.

Usiadł, a Vin wybrała sobie jedno z tapicerowanych krzeseł. Nie usiadła na nim jak zwyczajny człowiek - usadowiła się na szczycie oparcia, opierając stopy na miękkim siedzeniu.

- O co chodzi? - spytała, najwyraźniej zauważając jego uśmiech.

- Po prostu bawią mnie skłonności Zrodzonych z Mgły, lady Vin - odpowiedział. - Wasz rodzaj nie potrafi po prostu usiąść.... wydaje się, że zawsze wolicie na czymś przysiąść. Pewnie wynika to z waszej niesamowitej równowagi.

Vin się skrzywiła.

- Sazedzie, czym była Głębia?

Splótł palce na wysokości twarzy, w zamyśleniu przyglądając się młodej kobiecie.

- Głębia, lady Vin? To temat wielu dyskusji. Podobno było to coś wielkiego i potężnego, choć niektórzy uczeni odrzucali całą legendę jako wymysł Ostatniego Imperatora. Istnieją pewne powody, by uwierzyć w tę teorię, gdyż jedyne prawdziwe zapisy z tych czasów zostały zaaprobowane przez Stalowy Zakon.

- Lecz dziennik wspomina Głębię - zauważyła. - Podobnie jak to, co teraz tłumaczysz.

- Owszem, lady Vin - zgodził się. - Lecz nawet ci, którzy zakładają, że Głębia jest prawdziwa, nie mogą dojść do porozumienia. Niektórzy trzymają się oficjalnej historii Ostatniego Imperatora, zgodnie z którą Głębia była straszliwą, nadnaturalną bestią, mrocznym bóstwem, jeśli wolisz. Inni nie zgadzają się z taką skrajną interpretacją. Uważają, że Głębia była bardziej przyziemna... jakaś armia, być może inwazja z innej krainy. Przed Wstąpieniem Najdalsze Dominium zamieszkiwało najwyraźniej kilka ludzkich ras, dość prymitywnych i wojowniczych.

Vin się uśmiechała. Spojrzał na nią pytająco, lecz ona tylko wzruszyła ramionami.

- Zadałam to samo pytanie Elendowi - wyjaśniła - i w odpowiedzi dostałam jedno zdanie.

- Jego Wysokość zajmuje się innymi kwestiami i historia z czasów przed Wstąpieniem może być zbyt zamierzchna nawet dla niego. Poza tym myślę, że każdy, kto pyta Opiekuna o przeszłość, musi być gotowy na dłuższą opowieść.

- Nie narzekam. Mów dalej.

- Nie mam wiele więcej do powiedzenia... a raczej mógłbym mówić długo, lecz wątpię, by miało to jakieś znaczenie. Czy Głębia była armią? Czy też może pierwszym atakiem kolosów, jak niektórzy uważają? To by wiele wyjaśniało... większość opowieści zgodnie twierdzi, że Ostatni Imperator w Studni Wstąpienia uzyskał jakąś moc, która pozwoliła mu pokonać Głębię. Być może zyskał wsparcie kolosów i wykorzystał te istoty jako swoją armię.

- Sazedzie - powiedziała. - Nie sądzę, by Głębią były kolosy.

- Tak?

- Sądzę, że to mgła.

- Taką teorię również zasugerowano - powiedział, kiwając głową.

- Naprawdę? - Wydawała się nieco rozczarowana.

- Oczywiście, lady Vin. Przez tysiąc lat istnienia Ostatniego Imperium niewiele możliwości nie zostało omówionych, jak mniemam. Teoria mgieł już się pojawiła, ale jest z nią kilka problemów.

- Na przykład?

- Cóż - odparł - po pierwsze, Ostatni Imperator miał pokonać Głębię. Jednakże mgła wciąż tu jest. Poza tym, gdyby Głębia była po prostu mgłą, dlaczego nadawać jej tak niejasną nazwę? Oczywiście, inni wskazują, że wiele z tego, co wiemy na temat Głębi, pochodzi z podań przekazywanych z ust do ust, a coś bardzo pospolitego może nabrać cech mistycznych, gdy opowieść przechodzi z pokolenia na pokolenie. „Głębia” może więc oznaczać nie tylko mgłę, ale jej nadejście lub przemianę. Poważniejszy problem z teorią mgły wiąże się jednak z jej szkodliwością. Jeśli mamy wierzyć zapisom... a nic innego nie mamy... Głębia była straszliwa i niszczycielska. Mgły nie wydają się tak niebezpieczne.

- Ale teraz zabijają ludzi.

Sazed się zawahał.

- Tak, lady Vin. Najwyraźniej.

- A co, jeśli tak działo się już wcześniej, lecz Ostatni Imperator jakimś sposobem to powstrzymał? Sam mówiłeś, że twoim zdaniem zrobiliśmy coś... coś, co zmieniło mgłę... gdy zabiliśmy Ostatniego Imperatora.

Sazed pokiwał głową.

- Problemy, które badałem, rzeczywiście są straszne. Nie widzę jednak, by dorównywały Głębi. Pewni ludzie zostali zabici przez mgłę, lecz wielu było starych i osłabionych. Niektórych pozostawiała w spokoju. - Przerwał na chwilę, postukując palcami. -

Byłoby jednak niedbalstwem z mojej strony, gdybym nie przyznał, że ta sugestia ma pewną wartość, lady Vin. Być może nawet śmierć kilkorga ludzi wystarczyła, by wywołać panikę.

Plotka mogła sprawić, że niebezpieczeństwo zostało wyolbrzymione... Nie udało mi się zebrać wystarczająco wiele informacji, bym mógł mieć pewność.

Vin nie odpowiedziała. Ech, pomyślał z westchnieniem Sazed. Wynudziła się.

Naprawdę powinienem zachować staranność, uważać na słownictwo i język. Można by pomyśleć, że podczas wędrówek wśród skaa nauczyłem się...

- Sazedzie - powiedziała Vin z namysłem - a co, jeśli patrzymy na to ze złej strony? Jeśli te przypadki śmierci we mgle nie są prawdziwym problemem?

- Co masz na myśli, lady Vin?

Siedziała przez chwilę w milczeniu, leniwie stukając stopą w oparcie krzesła. W końcu spojrzała mu w oczy.

- Co by się stało, gdyby mgły na stałe przestały znikać w ciągu dnia?

Rozważał to przez chwilę.

- Nie byłoby światła - mówiła dalej. - Rośliny by zmarniały, ludzie umieraliby z głodu.

Zapanowałaby śmierć... chaos.

- Przypuszczam, że tak - odparł. - Być może ta teoria ma sens.

- To nie jest teoria - stwierdziła, zeskakując z krzesła. - To właśnie się stało.

- Już jesteś tego pewna? - spytał rozbawiony.

Vin skinęła głową i podeszła do niego.

- Mam rację - powiedziała. - Wiem o tym.

Wyciągnęła coś z kieszeni spodni i przyciągnęła sobie stołek, by usiąść obok niego.

Rozprostowała pozaginaną kartkę papieru i rozłożyła ją na biurku.

- To cytaty z dziennika - powiedziała. Wskazała jeden z akapitów. - Tu Ostatni Imperator mówi o tym, że armie były bezużyteczne przeciwko Głębi. Z początku myślałam, że armie po prostu nie potrafiły jej pokonać... ale zwróć uwagę na pewne sformułowanie. Mówi:

„Miecze moich wojsk są bezużyteczne”. Czy istnieje coś bardziej bezużytecznego od machania mieczem przeciwko mgłę? - Wskazała na kolejny akapit. - Pozostawiła po sobie zniszczenie, tak? Z jej powodu ginęły tysiące. Ale nigdy nie mówi, że Głębia ich zabiła. Stwierdza, że

„ginęli z jej powodu”. Może przez cały czas patrzyliśmy na to ze złej strony? Ci ludzie nie zostali zmiażdżeni ani zjedzeni. Umarli z głodu, gdyż ich ziemie były powoli pochłaniane przez mgły.

Sazed przyjrzał się kartce. Vin wydawała się taka pewna tej teorii. Nie słyszała o właściwych technikach badawczych? O zadawaniu pytań, badaniu, przyjmowaniu twierdzeń i znajdowaniu odpowiedzi?

Oczywiście, że nie, zląkał się w myślach. Dorastała na ulicach i nie korzysta z technik badawczych.

Wykorzystuje instynkt. I zazwyczaj się nie myli.

Ponownie wygładził kartkę, odczytując kolejne akapity.

- Lady Vin? Sama to napisałaś?

Zarumieniła się.

- A dlaczego wszystkich tak to dziwi?

- Po prostu nie wydaje mi się, by to leżało w twojej naturze, lady Vin.

- Zepsuliście mnie - odparła. - Popatrz, na tej stronie nie ma ani jednego stwierdzenia, które

zaprzeczałoby pomysłowi, że Głębia jest mgłą.

- Niezaprzeczanie a potwierdzanie to dwie różne sprawy, lady Vin.

Machnęła ręką.

- Mam rację, Sazedzie. Wiem o tym.

- A co w takim razie z tym punktem? - spytał, wskazując na wers tekstu. - Bohater sugeruje, że wyczuwa świadomość w Głębi. Mgła nie żyje.

- Cóż, kłębi się wokół korzystających z Allomancji.

- Wydaje mi się, że to nie to samo - sprzeciwił się. - Mówi, że Głębia była szalona...

niszczycielsko obłąkana. Zła.

Vin się zawahała.

- Jest coś jeszcze, Sazedzie - przyznała.

Zmarszczył czoło.

Wskazała na kolejny fragment notatek.

- Pamiętasz te akapity?

*To nie cień.*

*To czarne coś, co mnie prześladowuje, co tylko ja widzę. To nie jest zwykły cień. Jest czarne i przejrzyste, ale nie ma wyraźnego konturu. Jest bezcielesne - ulotne i pozbawione kształtu.*

*Jakby stworzone z ciemnego dymu.*

*Albo z mgły.*

- Tak, lady Vin - odparł. - Bohater widział podążającą za nim istotę. Chyba zaatakowała jednego z jego towarzyszy.

Spojrzała mu w oczy.

- Widziałam ją, Sazedzie.

Przeszył go dreszcz.

- Jest tutaj - powiedziała. - Każdej nocy, pośród mgieł. Obserwuje mnie. Wyczuwam ją za pomocą Allomancji. A jeśli znajdę się wystarczająco blisko, widzę ją. Jakby powstała z samej mgły. Bezcielesna, a jednak obecna.



Sazed siedział przez chwilę w milczeniu. Nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Uważasz, że oszalałam - oskarżyła go.

- Nie, lady Vin - odparł cicho. - Nie sądzę, by ktokolwiek z nas mógł nazywać takie rzeczy szaleństwem, nie biorąc pod uwagę tego, co się dzieje. Tylko... jesteś pewna?

Stanowczo pokiwała głową.

- Ale - zauważył - nawet jeśli to prawda, nie odpowiada to na moje pytanie. Autor dziennika widział tę samą istotę i nie określał jej mianem Głębi. W takim razie to nie była Głębia. Głębia była czymś jeszcze innym... czymś niebezpiecznym, co uważał za złe.

- I to cała tajemnica - stwierdziła Vin. - Musimy dowiedzieć się, dlaczego w taki sposób mówił o mgłach. Wtedy się dowiemy...

- Dowiemy czego, lady Vin?

Zawahała się i odwróciła wzrok. Zmieniła temat.

- Sazedzie, Bohater nie zrobił tego, do czego był przeznaczony. Rashek go zabił. A kiedy Rashek sięgnął po moc Studni, nie oddał jej, jak miał to zrobić. Zachował ją dla siebie.

- To prawda - zgodził się Sazed.

Vin znów milczała przez chwilę.

- A mgły zaczęły zabijać ludzi. Zaczęły pojawiać się w ciągu dnia. Zupełnie tak, jakby...

jakby wszystko się powtarzało. Czyli... może to znaczy, że Bohater Wieków znów musi nadejść.

Spojrzała na niego, jakby... zażenowana? Aha, pomyślał Sazed, wyczuwając implikacje.

Widziała istoty we mgle. Poprzedni Bohater widział te same istoty.

- Nie jestem pewien, czy to stwierdzenie jest uzasadnione, lady Vin.

Prychnęła.

- Dlaczego nie możesz po prostu powiedzieć: „mylisz się”, jak zwykli ludzie?

- Przepraszam, lady Vin. Długo pełniłem rolę służącego i nauczyłem się unikać zbyt stanowczych stwierdzeń. Poza tym wcale nie myślę, że się mylisz. Uważam jednak, że być może nie w pełni rozważyłaś swoje stanowisko.

Vin wzruszyła ramionami.

- Dlaczego sądzisz, że Bohater Wieków powróci?

- Nie wiem. To, co się dzieje, to, co czuję. Mgły znów nadchodzą i ktoś musi je powstrzymać.

Sazed przeciągnął palcami po przetłumaczonym fragmencie tekstu i przyjrzał się zapisowi.

- Nie wierzysz mi - stwierdziła.

- Nie o to chodzi, lady Vin - odparł. - Po prostu nie mam w zwyczaju pochopnie podejmować decyzji.

- Ale myślałeś o tym Bohaterze Wieków, prawda? - spytała. - Był częścią waszej religii, utraconej religii Terris, którą Opiekunowie pragnęli odnaleźć.

- Prawda - przyznał Sazed. - Nie wiemy jednak zbyt wiele na temat proroctw, które wykorzystali nasi przodkowie, by odnaleźć swojego Bohatera. Poza tym to, co ostatnio czytałem, sugeruje, że ich interpretacja była częściowo błędna. Jeśli najwięksi teologowie Terris z czasów przed Wstąpieniem nie potrafili rozpoznać swojego Bohatera, jak my mamy to zrobić?

- Nie powinnam była o tym mówić - stwierdziła Vin po długiej chwili milczenia.

- Ależ nie, lady Vin, proszę tak nie myśleć. Przepraszam... twoje teorie mają dużą wartość. Tyle że ja mam umysł uczonego i muszę kwestionować i rozważać wszelkie informacje, jakie otrzymuję. Wydaje mi się też, że zbyt lubię dyskutować.

Vin spojrzała na niego z lekkim uśmiechem.

- Kolejny powód, dla którego nie byłeś szczególnie dobrym terrisańskim lokajem?

- Bez wątplenia - przyznał z westchnieniem. - Moje nastawienie wywołuje również konflikty z innymi członkami mojego zakonu.

- Na przykład z Tindwyl? - spytała. - Nie spodobało jej się, kiedy usłyszała, że opowiedziałeś nam o Feruchemii.

- Jak na grupę poświęcającą się nauce, Opiekunowie pilnie strzegą informacji dotyczących ich mocy. Gdy żył Ostatni Imperator, a Opiekunom cały czas groziło niebezpieczeństwo, taka ostrożność miała swoje uzasadnienie. Lecz teraz, gdy jesteśmy wolni, wydaje się, że moi bracia i siostry wyrobili w sobie nawyk tajemniczości, którego nie potrafią się wyzbyć.

Vin pokiwała głową.

- Mam wrażenie, że Tindwyl cię nie lubi. Mówi, że przybyła tu z twojego powodu, ale za każdym razem, gdy ktoś wspomina o tobie, staje się... lodowata.

Sazed westchnął. Czy Tindwyl go nie lubiła? Pomyślał, że być może jej niezdolność do tego stanowiła źródło problemu.

- Ona jest mną rozczarowana, lady Vin. Nie jestem pewien, jak wiele wiesz o moim życiu, lecz

działałem przeciwko Ostatniemu Imperatorowi już dziesięć lat przed zwerbowaniem przez Kelsiera. Inni Opiekunowie uważali, że wystawiam na niebezpieczeństwo swoje miedziomyśli i sam zakon. Uważali, że Opiekunowie powinni się ukrywać, czekając na upadek Ostatniego Imperatora, a nie dążyć do tego.

- To wydaje mi się tchórzostwem - powiedziała Vin.

- Lecz jednocześnie było to bardzo rozważne podejście. Widzisz, gdybym został

pojmany, mógłbym wyjawic wiele rzeczy. Imiona innych Opiekunów, lokalizację naszych kryjówek, sposoby ukrywania się wśród Terrisan. Moi bracia przez wiele lat starali się przekonać Ostatniego Imperatora, że Feruchemia przestała istnieć. Gdybym się ujawnił, cała ich praca poszłaby na marne.

- Byłoby źle, gdyby nam się nie powiodło - stwierdziła Vin. - Ale do tego nie doszło.

- Mogło.

- Ale nie doszło.

Sazed zawahał się i w końcu się uśmiechnął. Czasem, w świecie rozważań, pytań i wątpliwości, prosta szczerłość działała odświeżająco.

- Tak czy inaczej - mówił dalej - Tindwyl jest członkiem Synodu, grupy starszych Opiekunów, którzy nami kierują. W przeszłości wielokrotnie buntowałem się przeciwko Synodowi. Wracając zaś do Luthadel, po raz kolejny rzuciłem im wyzwanie. Ma powody, by się na mnie złościć.

- Ja sądzę, że postąpiłeś właściwie - stwierdziła Vin. - Ona zachowuje się tak, jakby wiedziała więcej niż wie naprawdę.

- Jest bardzo mądra.

- Jest surowa wobec Elenda.

- W takim razie z pewnością uważa, że to dla jego dobra - powiedział Sazed. - Nie oceniaj jej zbyt surowo, dziecko. Jeśli wydaje się odpychająca, to dlatego, że miała bardzo ciężkie życie.

- Ciężkie życie? - powtórzyła Vin, chowając notatki do kieszeni.

- Tak, lady Vin - stwierdził Sazed. - Widzisz, Tindwyl spędziła większość życia jako terrisańska matka.

Vin zatrzymała się z ręką w kieszeni. Wydawała się zaskoczona.

- To znaczy... była Hodowana?

Sazed pokiwał głową. Program hodowlany Ostatniego Imperatora uwzględniał

wykorzystanie kilku wyjątkowych jednostek do rodzenia kolejnych dzieci, w celu wyrugowania Feruchemii z populacji.

- O ile mi wiadomo, Tindwyl urodziła ponad dwadzieścioro dzieci - powiedział. - Każde z innym ojcem. Pierwsze urodziła w wieku czternastu lat i spędziła całe życie niewolona przez obcych mężczyzn, zachodząc w ciążę. A ze względu na środki zwiększające płodność, które wmuszali w nią Hodowcy, często rodziła bliźnięta lub trojaczki.

- Rozumiem - powiedziała cicho Vin.

- Nie tylko ty miałaś koszmarne dzieciństwo, lady Vin. Tindwyl jest chyba najsilniejszą kobietą, jaką znam.

- Jak to zniosła? - spytała cicho. - Myślę... myślę, że ja bym się zabiła.

- Jest Opiekunem - wyjaśnił Sazed. - Znosiła upokorzenia, gdyż wiedziała, że w ten sposób służy swojemu ludowi. Widzisz, Feruchemia jest dziedziczna. Dzięki Tindwyl w roli matki wśród naszego ludu pojawiły się kolejne pokolenia Feruchemików. Swoją drogą, cóż za ironia losu... Hodowcy mieli unikać rozmnażania takich właśnie ludzi.

- Ale jak do tego doszło?

- Hodowcy założyli, że już wyrugowali Feruchemię z naszej populacji - stwierdził

Sazed. - Starali się więc wykształcić w Terrisanach inne cechy: potulność, wstrzemięźliwość.

Hodowali nas jak konie czystej krwi i było wielkim ciosem, gdy Synodowi udało się wprowadzić Tindwyl do programu. Oczywiście, Tindwyl nie była szkolona w Feruchemii.

Dostała jednak kilka miedziomyśli, które noszą Opiekunowie. Podczas wielu lat odosobnienia czytała i studiowała biografie. Dopiero w ostatnim dziesięcioleciu, gdy skończyły się jej płodne lata, dołączyła do innych Opiekunów. - Sazed pokręcił głową. - W porównaniu z nią większość z nas prowadziła swobodne życie.

- Cudownie - mruknęła Vin i wstała, ziewając. - Kolejny powód, żebyś czuł się winny.

- A ty powinnaś iść spać, lady Vin - zauważył Sazed.

- Na kilka godzin - odparła, idąc w stronę drzwi. Znów pozostał sam ze swoimi badaniami.

*W końcu moja дума mogła sprowadzić na nas wszystkich zagładę.*

Philen Frandeu nie był skaa. Nigdy nie był skaa. Skaa wytwarzali lub hodowali. Philen handlował. Między nimi istniała ogromna różnica.

Owszem, niektórzy nazywali go skaa. Nawet teraz widział to słowo w oczach innych członków Zgromadzenia. Patrzyli na Philena i innych kupców z taką samą pogardą, z jaką postrzegali ośmiu robotników skaa. Nie widzieli, że te dwie grupy są zupełnie różne?

Philen przesunął się na ławie. Czy Zgromadzenie nie powinno mieć nieco wygodniejszych siedzeń? Czekali na kilku członków, wysoki zegar w kącie mówił, że zostało jeszcze piętnaście minut do spotkania. Co zaskakujące, na miejsce nie dotarł na razie Venture.

Król Elend zazwyczaj przybywał wcześniej.

Już nie jest królem, pomyślał z uśmiechem Philen. Jedyne starym dobrym Elendem Venture. To nie było dobre imię - nie tak dobre, jak Philena. Oczywiście on sam jeszcze półtora roku wcześniej nazywał się po prostu „Lin”. Dopiero po Upadku nazwał się Philenem Frandeu.

Radowało go, że inni bez wahania się tak do niego zwracali. Ale czemu nie miałyby mieć wspaniałego imienia? Arystokratycznego? Czy Philen nie był równie dobry, jak ci wszyscy

„szlachetnie urodzeni” siedzący dumnie na swoich miejscach?

Ależ był równie dobry. A nawet lepszy. Owszem, mówili na niego skaa - ale przez te wszystkie lata zwracali się do niego z konieczności, więc ich aroganckie uśmieszki nie miały znaczenia. Wyczuwał ich niepewność. Potrzebowali go. Człowieka, którego nazywali skaa.

Był jednak również kupcem. Kupcem, który nie pochodził ze szlacheckiego rodu. Coś takiego nie powinno istnieć w doskonałym świecie Ostatniego Imperatora.

Niestety, szlachetnie urodzeni kupcy musieli pracować z obligatorami. A tam, gdzie pojawili się obligatorzy, nie było miejsca na nic nielegalnego. I stąd Philen. Swego rodzaju...

pośrednik. Człowiek załatwiający porozumienia między zainteresowanymi stronami, które z różnych powodów wolały uniknąć czujnego spojrzenia obligatorów Ostatniego Imperatora.

Philen nie należał do złodziejskiej szajki - o nie, to zbyt niebezpieczne. I zbyt przyziemne.

Urodził się z talentem do finansów i handlu. Dajcie mu dwa kamienie, a w ciągu tygodnia będzie miał kamieniołom. Dajcie mu szprychę, a zmieni ją w piękny dwukonny powóz. Dwa kłosa, a w końcu wyśle potężną dostawę zboża na rynki Najdalszego Dominium.

To prawdziwi szlachetnie urodzeni zawierali kontrakty, lecz za tym wszystkim stał Philen.

Miał swoje własne potężne imperium.

I wciąż nie rozumieli. Nosił strój równie elegancki, jak oni. Teraz, gdy mógł swobodnie handlować, stał się jednym z najbogatszych ludzi w Luthadel. Mimo to szlachetnie urodzeni go ignorowali, gdyż brakowało mu pochodzenia.

Cóż, jeszcze zobaczą. Po dzisiejszych obradach... tak, zobaczą. Philen popatrzył na tłum, z niepokojem szukając człowieka, którego tam ukrył. Uspokojony, spojrział na szlachetnie urodzonych członków Zgromadzenia, którzy rozmawiali w pewnej odległości.

Jeden z ostatnich z ich grona - lord Ferson Penrod - właśnie przybył. Starszy mężczyzna wspiął się na podwyższenie i teraz mijał innych zebranych, witając się z każdym po kolei.

- Philenie - powiedział, zauważając go. - Widzę nowy surdut. Doskonale wyglądasz w czerwonej kamizelce.

- Lord Penrod! Wyglądasz bardzo dobrze. Jak mniemam, przeszła ci już wczorajsza niedyspozycja?

- Tak, minęła szybko - odparł lord, pochylając siwą głowę. - Niewielkie problemy żołądkowe, nic więcej.

Szkoda, pomyślał z uśmiechem Philen.

- Lepiej usiądźmy. Widzę jednak, że młody Venture jeszcze nie dotarł...

- Owszem - odparł Penrod, marszcząc czoło.

Jego właśnie najtrudniej było przekonać do głosowania przeciwko Venture - wydawało się, że lubi tego chłopaka. W końcu zmienił zdanie. Jak wszyscy.

Penrod ruszył dalej, dołączając do pozostałych szlachetnie urodzonych. Stary głupiec pewnie liczył, że to on skończy jako król. Cóż, Philen miał inne plany. Oczywiście, nie spodziewał się, że to jego własne siedzenie spocznie na tronie - rządy całym krajem go nie interesowało. Wydawało mu się wyjątkowo kiepskim sposobem na zarabianie pieniędzy.

Handel - to była o wiele lepsza droga. Bezpieczniejsza, z mniejszym ryzykiem utraty życia.

Mimo to Philen miał plany. Zawsze je miał. Musiał się powstrzymać od kolejnego spojrzenia w stronę widowni.

Miast tego zwrócił się w stronę Zgromadzenia. Przybyli wszyscy prócz Venture.

Siedmiu szlachetnie urodzonych, ośmiu kupców i ośmiu robotników skaa - dwudziestu czterech mężczyzn, wliczając Venture. Ten potrójny podział miał dawać przewagę pospólstwu, gdyż wyraźnie przewyższali liczebnie arystokratów. Nawet Venture nie rozumiał, że kupcy nie są skaa.

Philen zmarszczył nos. Choć skaa w Zgromadzeniu zazwyczaj myli się przed obradami, i tak czuł od nich smród kuźni, młynów i warsztatów. Robotnicy. Philen zamierzał się upewnić, że powrócą na

swoje miejsce, gdy wszystko się skończy. Zgromadzenie było interesującym pomysłem, lecz powinni w nim uczestniczyć ci, którzy zasługiwali na takie wyniesienie.

Mężczyźni tacy jak Philen.

Lord Philen, pomyślał. Już wkrótce.

Liczył, że Elend się spóźni. Wtedy może uda się uniknąć jego przemówienia. Philen i tak mógł je sobie wyobrazić.

„No... widzicie, to nie było sprawiedliwe. Powinienem być królem. Pozwólcie, że przeczytam wam fragment księgi na ten temat. A teraz, no, czy możecie dać mi pieniądze dla skaa, proszę?”.

Philen się uśmiechnął.

Siedzący obok mężczyzna, Getrue, trącił go w bok.

- Jak myślisz, pokaże się? - wyszeptał.

- Pewnie nie. Musi wiedzieć, że go nie chcemy. W końcu go wykopaliśmy, prawda?

Getrue wzruszył ramionami. Od czasu Upadku przybrał na wadze - bardzo.

- Nie wiem, Lin. To znaczy... nie chcieliśmy. On po prostu... te armie... Musimy mieć silnego króla, prawda? Kogoś, kto uratuje miasto przed upadkiem.

- Oczywiście - odparł Philen. - I nie nazywam się Lin.

Getrue się zaczerwienił.

- Przepraszam.

- Postąpiliśmy właściwie - mówił dalej Philen. - Venture to słabeusz. Głupiec.

- Tego bym nie powiedział - sprzeciwił się Getrue. - Ma dobre pomysły... - Spuścił

wzrok.

Philen prychnął, spoglądając na zegar. Nadszedł czas, choć ponad zgiełkiem tłumu nie słyszał kurantu. Od czasu obalenia Venture obrady Zgromadzenia stały się bardzo popularne.

Na ławach tłoczyli się ludzie, głównie skaa. Philen nie wiedział, dlaczego właściwie wolno im się przysłuchiwać. W końcu nie mieli prawa głosu.

Kolejna bzdura Venture, pomyślał, kręcąc głową. Na samym końcu sali - za tłumem, naprzeciwko podwyższenia - znajdowały się dwa wysokie i szerokie wejścia, wpuszczające do środka czerwone promienie słońca. Philen skinął na kilku mężczyzn, którzy zamknęli drzwi.

Tłum się uciszył.

Philen wstał, by zwrócić się do Zgromadzenia.

- Cóż, skoro...

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Pośrodku niewielkiej grupy ludzi stała postać w bieli, podświetlona czerwonym blaskiem. Elend Venture. Philen się skrzywił, przechylił głowę.

Były król ruszył energicznie do przodu, biała peleryna unosiła się lekko za jego plecami.

U boku jak zwykle miał swoją Zrodzoną z Mgły, lecz tym razem kobieta włożyła suknię. Philen rozmawiał z nią kilka razy i spodziewał się, że w eleganckim stroju szlachetnie urodzonej będzie wyglądać co najmniej niezręcznie. Tymczasem wydawało się, że nosi suknię swobodnie; poruszała się z wdziękiem. Właściwie, wyglądała uroczo.

Przynajmniej do chwili, gdy Philen spojrzał jej w oczy. Nie obdarzyła Zgromadzenia ciepłym spojrzeniem i mężczyzna odwrócił wzrok. Venture zabrał ze sobą swoich Allomantów

- dawnych zbirów z ekipy Ocalałego. Najwyraźniej chciał przypomnieć wszystkim, kim byli jego przyjaciele. Potężnymi ludźmi. Przeróżającymi ludźmi.

Zabójcami bogów.

I do tego miał ze sobą nie jednego, a dwoje Terrisan. Co prawda jedno z nich było kobietą - Philen nigdy wcześniej nie widział Terrisanki - lecz i tak robiło to wrażenie. Wszyscy słyszeli, jak po Upadku lokaje porzucili swoich panów, odmawiając dalszej służby. Gdzie ten Venture znalazł nie jednego ale dwoje służących w barwnych strojach?

Tłum milczał, obserwując Venture. Najwyraźniej niektórzy czuli się niezręcznie. Jak mieli potraktować tego człowieka? Inni byli chyba... pod wrażeniem? Czy to właściwe? Jak można być pod wrażeniem Elenda Venture - nawet jeśli ów Elend Venture jest starannie ogolony, elegancko ostrzyżony, odziany w inne szaty i...? Philen zmarszczył czoło. Czy król ma u pasa laskę pojedynkową? I wilczarza u boku?

Już nie jest królem, przypomniał sobie Philen.

Venture wkroczył na podwyższenie. Odwrócił się, gestem wskazując swoim ludziom - całej ósemce - by usiedli ze strażnikami. Wówczas odwrócił się i spojrzał na Philena.

- Philenie, chciałeś coś powiedzieć?

Philen uświadomił sobie, że wciąż stoi.

- Ja... tylko...



- Jesteś kanclerzem Zgromadzenia? - spytał Elend.

Philen się zawahał.

- Kanclerzem?

- Obradom Zgromadzenia przewodniczy król - wyjaśnił Elend. - W tej chwili nie mamy króla, zatem zgodnie z prawem Zgromadzenie powinno wybrać kanclerza, którego zadaniem będzie wzywianie mówców, przyznawanie im czasu i decydowanie w wypadku równej liczby głosów. - Spojrzał z ukosa na Philena. - Ktoś musi przewodzić. Inaczej zapanuje chaos.

Kupiec wbrew sobie zaczął się denerwować. Czy Venture wiedział, że to on zorganizował głosowanie przeciwko niemu? Nie, nie mógł. Patrzył teraz w oczy każdemu z członków Zgromadzenia. To już nie był wesoły, łatwy do zignorowania chłopiec, który wcześniej przychodził na obrady. Stojąc w wojskowym mundurze, już nie był niepewny - był stanowczy... wydawał się niemal innym człowiekiem.

Wygląda na to, że znalazłeś sobie nauczyciela, pomyślał Philen. Ale trochę za późno.

Poczekaj tylko...

Philen usiadł.

- Właściwie to nie mieliśmy okazji wybrać kanclerza - powiedział. - Właśnie się do tego zabieraliśmy.

Elend pokiwał głową. W jego umyśle kłębiły się dziesiątki różnych nauk. Utrzymywać kontakt wzrokowy. Zachowywać stanowczy wyraz twarzy, lecz bez przesady. Nie okazywać pośpiechu ani wahania. Siedzieć bez kręcenia się, nie przestępować z nogi na nogę, stać prosto, nie zaciskać pięści w chwili zdenerwowania...

Spojrzał szybko na Tindwyl. Nieznacznie skinęła głową.

Zabieraj się do roboty, El, powiedział sobie. Niech zauważą różnicę.

Podszedł do swojego miejsca, skinąwszy głową każdemu z pozostałych siedmiu szlachetnie urodzonych.

- Dobrze - powiedział. - Czy w takim razie mogę nominować kanclerza?

- Siebie? - spytał Dridel, jeden ze szlachetnie urodzonych. Szyderczy grymas niemal nigdy nie znikał z jego pociągłej twarzy.

- Nie - odparł Elend. - Trudno mnie dziś nazwać bezstronnym. Dlatego nominuję lorda Penroda. Jest najbardziej honorowym człowiekiem z tu obecnych i wierzę, że można mu powierzyć moderowanie naszych dyskusji.

Zapanowała cisza.

- To wydaje się logiczne - stwierdził w końcu Hettel, robotnik z kuźni.

- Wszyscy za? - spytał Elend, unosząc rękę.

Uzyskał osiemnaście głosów: wszyscy skaa, większość szlachetnie urodzonych, tylko jeden kupiec. I tak oznaczało to większość głosów.

Zwrócił się do lorda Penroda:

- Jak sędzę, to oznacza, że teraz ty tu dowodzisz, Fersonie.

Dostojny mężczyzna pokiwał głową i wstał, by oficjalnie otworzyć posiedzenie, co niegdyś robił Elend. Penrod miał doskonałe maniery i stał wyprostowany w swoim elegancko skrojonym surducie. Venture czuł leciutką zazdrość, widząc, jak stary lord swobodnie odnajduje się w tym, czego on sam dopiero się uczył.

Może on byłby lepszym królem ode mnie? - pomyślał Elend. Może...

Nie, pomyślał stanowczo. Muszę być pewny siebie. Penrod to przyzwoity człowiek i wzorowy arystokrata, ale to nie czyni z niego przywódcy. Nie przeczytał tego, co ja czytałem, i nie zna się tak dobrze na teorii prawodawstwa. Jest dobrym człowiekiem, ale też wytworem swojej społeczności - nie uważa skaa za zwierzęta, ale też nigdy nie uzna ich za równych sobie.

Penrod skończył objaśnienia i zwrócił się do Elenda.

- Lordzie Venture, zwołałeś te obrady. Jak sędzę, prawo pozwala ci zwrócić się jako pierwszemu do Zgromadzenia.

Elend podziękował mu skinieniem głowy i wstał.

- Czy dwadzieścia minut wystarczy? - spytał Penrod.

- Powinno - odparł Elend, mijając starego lorda.

Po jego prawicy salę wypełniały tłumy wiercących się, kaszlących i szepczących ludzi.

Panowało spore napięcie - Elend po raz pierwszy zwracał się do tych, którzy go zdradzili.

- Jak wielu z was wie - powiedział Elend do dwudziestu trzech członków Zgromadzenia

- niedawno wróciłem ze spotkania ze Straffem Venture... dowódcą wrogiej armii, który, niestety, jest też moim ojcem. Chciałbym teraz przedstawić sprawozdanie z tego spotkania.

Miejcie przy tym na uwadze fakt, że jest to otwarte spotkanie, dostosuję więc sprawozdanie, pomijając kwestie, które mogłyby zagrozić naszemu bezpieczeństwu. - Przerwał na chwilę i ujrzał na

ich twarzach dezorientację, której oczekiwał.

W końcu kupiec Philen odchrząknął.

- Tak, Philenie? - spytał Elend.

- Bardzo pięknie, Elendzie - powiedział kupiec - ale czy nie masz zamiaru zająć się kwestią, która nas tu sprowadziła?

- Spotkaliśmy się tu dzisiaj, Philenie - odparł Elend - by zastanowić się, jak zapewnić bezpieczeństwo i powodzenie Luthadel. Mieszkańcy miasta najbardziej obawiają się armii i ich troski powinny być dla nas najważniejsze. Kwestie przywództwa w Zgromadzeniu mogą poczekać.

- Rozumiem - odparł Philen, wyraźnie zdezorientowany.

- Czas należy do ciebie, lordzie Venture - stwierdził Penrod. - Wykorzystaj go zgodnie ze swoją wolą.

- Dziękuję, panie kanclerzu. Chciałbym poinformować wszystkich bardzo wyraźnie, że mój ojciec nie zaatakował tego miasta. Rozumiem niepokój mieszkańców, szczególnie biorąc pod uwagę wstępny atak na nasze mury, jaki miał miejsce w ubiegłym tygodniu. To jednak była próba... Straff za bardzo boi się zaatakować, by wykorzystać wszystkie swoje siły. Podczas spotkania powiedział mi, że zawarł sojusz z Cettem. Wierzę jednak, że blefował... choć, niestety, jest możliwe, że to zrobił. Podejrzewam, że rzeczywiście planował zaryzykować atak na miasto, mimo obecności Cetta. Ten atak został powstrzymany.

- Dlaczego? - spytał jeden z robotników. - Ponieważ jesteś jego synem?

- Nie - odparł Elend. - Straff nie jest człowiekiem, którego powstrzymają związki rodzinne.

Spojrzał na Vin. Uświadomił sobie, że nie podoba jej się rola tego, kto trzymał nóż na gardle Straffa, lecz pozwoliła mu, by opowiedział o niej w swoim przemówieniu.

Mimo to...

Powiedziała, że wszystko w porządku, pomyślał. Nie stawiam obowiązku ponad nią!

- Daj spokój, Elendzie - odezwał się Philen. - Skończ z tym przedstawieniem. Co obiecałeś Straffowi w zamian za to, że będzie trzymał armię z dala od miasta?

- Zagroziłem mu - odparł młody Venture. - Moi szlachetni towarzysze w Zgromadzeniu, kiedy prowadziłem rozmowy z ojcem, uświadomiłem sobie, że wszyscy zignorowaliśmy nasze największe bogactwo. Uważamy się za zaszczytne ciało, utworzone z woli ludu. Nie jesteśmy tu jednak dzięki temu, co sami uczyniliśmy. Znajdujemy się w obecnej sytuacji z jednego tylko powodu... a jest nim Ocalały z Hathsin. - Elend popatrzył po zebranych. - Czasem czułem się tak, jak pewnie wielu z was. Ocalały jest już legendą, a my nie możemy liczyć, że uda nam się go naśladować. Ma władzę nad ludźmi... władzę potężniejszą niż nasza, choć przecież nie żyje.

Jesteśmy zazdrośni. Nawet niepewni siebie. To naturalne, ludzkie uczucia. Przywódcy odczuwają je tak samo, jak inni, może nawet bardziej dotkliwie. Panowie, nie możemy dalej tak myśleć. Dziedzictwo Ocalałego nie należy do jednej grupy czy nawet tylko tego miasta. Jest naszym przodkiem, ojcem wszystkich wolnych ludzi. Niezależnie od tego, czy przyjmujecie jego autorytet, musicie przyznać, że bez jego odwagi i ofiary nie moglibyśmy cieszyć się obecną wolnością.

- A co to ma wspólnego ze Straffem? - warknął Philen.

- Wszystko - odparł Elend. - Choć Ocalały odszedł, jego dziedzictwo pozostało. A dokładniej, w postaci jego uczennicy. - Elend skinął głową w stronę Vin. - Jest najpotężniejszym żyjącym Zrodzonym z Mgły, o czym Straff przekonał się na własnej skórze.

Panowie, znam temperament mojego ojca. Nie zaatakuję miasta dopóki boi się odwetu ze strony kogoś, kogo nie umie powstrzymać. Uświadamia sobie, że jeśli zaatakuję, wywoła gniew dziedziczki Ocalałego... gniew, któremu nie oparł się sam Ostatni Imperator.

Elend umilkł, słuchając cichych rozmów. Wieści o tym, co właśnie powiedział, dotrą do wszystkich mieszkańców i dodadzą im sił. Być może dotrą nawet do armii Straffa, zanesione przez szpiegów, którzy z pewnością siedzą na widowni. Widział w tłumie Allomantę swojego ojca, mężczyznę imieniem Zane.

A kiedy wieści dotrą do armii Straffa, żołnierze dwa razy się zastanowią przed atakiem.

Któż chciałby przeciwstawić się sile, która zniszczyła samego Ostatniego Imperatora? To była słaba nadzieja - ludzie Straffa z pewnością nie wierzyli we wszystkie opowieści z Luthadel - ale każde wzmocnienie morale mogło pomóc.

Elendowi nie zaszkodziłby też silniejszy związek z Ocalałym. Musiał tylko przemóc swoją niepewność - Kelsier był wielkim człowiekiem, ale zginął. Elend musiał się upewnić, że jego dziedzictwo przetrwa.

To bowiem było najlepsze dla jego ludu.

\*\*\*

Słuchając przemówienia Elenda, Vin siedziała ze ściśniętym żołądkiem.

- Dobrze się z tym czujesz? - wyszeptał Ham, pochylając się ku niej, gdy Elend zaczął

bardziej szczegółowo opisywać odwiedzin u Straffa.

Wzruszyła ramionami.

- Dla dobra królestwa.

- Nigdy nie podobało ci się to, że Kell ustawił się ze skaa... nikomu z nas się to nie podobało.

- Tego potrzebuje Elend - odparła Vin.

Tindwyl, która siedziała tuż przed nimi, odwróciła się i spojrzała na nią ostro. Vin spodziewała się, że kobieta złąja ich za rozmawianie podczas obrad Zgromadzenia, lecz Terrisanka wygłosiła inną krytykę.

- Król... - nadal mówiła w ten sposób o Elendzie - potrzebuje tego związku z Ocalałym.

Elend nie posiada zbyt dużego autorytetu, a Kelsier jest obecnie najbardziej wielbionym i najslawniejszym człowiekiem w całym Środkowym Dominium. Sugerując, że ten rząd został ustanowiony przez Ocalałego, król skłoni innych do głębszego zastanowienia, zanim spróbują go zmienić.

Ham pokiwał z namysłem głową. Vin jednak spuściła wzrok. W czym problem? -

pomyślała. Jeszcze niedawno zaczynałam się zastanawiać, czy nie jestem Bohaterem Wieków, a teraz martwię się sławą, jaką daje mi Elend?

Spalała brąz i zaczęła wyczuwać odległe pulsowanie. Stawało się coraz głośniejsze...

„Przestań”, rozkazała sobie w duchu. „Sazed nie sądzi, by Bohater powrócił, a on zna historię lepiej niż ktokolwiek. To i tak była głupota. Musisz się skupić na tym, co dzieje się tu i teraz”.

W końcu na widowni siedział Zane.

Vin odnalazła jego twarz na końcu sali, a spalanie niewielkiej ilości cyny - tak, by nie oślepnąć - pozwoliło jej przyjrzeć się jego twarzy. Nie patrzył na nią, obserwował

Zgromadzenie. Czy przybył tu na rozkaz Straffa, czy z własnej woli? Straff i Cett bez wątplenia mieli szpiegów na widowni - a Ham oczywiście umieścił wśród ludzi swoich strażników.

Zachowanie Zane'a ją niepokoiło. Czemu nie odwrócił się w jej stronę? Czy nie...

Zane napotkał jej spojrzenie. Uśmiechnął się lekko i powrócił do obserwowania Elenda.

Vin przeszedł dreszcz. Czy to oznaczało, że jej nie unikał? „Skup się”, powiedziała sobie. „Musisz uważać na to, co mówi Elend”.

On jednak już kończył. Podsumował przemówienie kilkoma uwagami na temat tego, jak mogli powstrzymać Straffa. Oczywiście nie mógł wyjawiać zbyt wielu szczegółów, by nie zdradzić tajemnic. Spojrzał na wielki zegar w kącie - skończył trzy minuty przed czasem - i zszedł z mównicy.

Lord Penrod odchrząknął.

- Elendzie, nie zapomniałeś o czymś?

Elend zawahał się i spojrzał w stronę Zgromadzenia.

- A czego ode mnie oczekujecie?

- Nie zareagujesz? - spytał jeden ze skaa. - Na to... co stało się na poprzednim spotkaniu.

- Dostaliście moje pismo - odparł Elend. - Wiecie, co o tym sędzę. Jednakże forum publiczne to nie miejsce na oskarżenia i potępienie. Zgromadzenie jest na to zbyt szlachetne.

Żałuję, że Zgromadzenie wybrało czas niebezpieczeństwa, by wyrazić swój niepokój, lecz nie możemy zmienić tego, co się stało.

Znów ruszył w stronę swojego miejsca.

- I tyle? - spytał jeden ze skaa. - Nie masz zamiaru przekonywać nas, byśmy przywrócili cię na stanowisko?

- Nie - odparł po chwili Elend. - Nie, nie sędzę. Wyraziliście swoją opinię na mój temat, a ja jestem rozczarowany. Jesteście przedstawicielami wybranymi przez lud. Wierzę we władzę, którą otrzymaliście. Jeśli macie jakieś pytania czy zarzuty, z chęcią będę się bronił. Nie mam jednak zamiaru stać i wychwalać swoich zalet. Wszyscy mnie znacie. Wiecie, co mogę zrobić i co mam zamiar zrobić dla tego miasta. Niech to będzie mój argument.

Wrócił na swoje miejsce. Vin dostrzegła na twarzy Tindwyl lekki grymas. Elend nie wygłosił mowy, którą razem z nią przygotowywał, a która zawierała argumenty, jakich oczekiwało Zgromadzenie.

Skąd ta zmiana? - zastanawiała się Vin. Terrisanka nie uważała tego za najlepszy pomysł. Vin jednak stwierdziła ze zdziwieniem, że ufa instynktowi Elenda bardziej niż Tindwyl.

- Cóż - stwierdził lord Penrod, podchodząc do mównicy. - Dziękujemy za sprawozdanie, lordzie Venture. Nie jestem pewien, czy mamy inne kwestie do omówienia...

- Lordzie Penrodzie? - odezwał się Elend.

- Tak?

- Być może powinieneś ogłosić kandydatów?

Stary lord zmarszczył czoło.

- Kandydatów na króla - warknął Philen.

Vin spojrzała na kupca. Zdaje się, że jest na bieżąco, pomyślała.

- Tak - potwierdził Elend, również spoglądając na Philena. - Aby Zgromadzenie mogło wybrać nowego króla, kandydaci muszą zostać przedstawieni na co najmniej trzy dni przed głosowaniem. Proponuję, żebyśmy zajęli się tym teraz, by głosowanie mogło się odbyć jak najszybciej. Każdy dzień

bez przywódcy szkodzi miastu. - Elend się uśmiechnął. - Oczywiście, chyba że chcecie, by minął miesiąc bez wyboru nowego króla...

Dobrze, że potwierdził, że nadal chce korony, pomyślała Vin.

- Dziękuję, lordzie Venture - stwierdził Penrod. - W takim razie zrobimy to teraz... A jak dokładnie wygląda procedura?

- Każdy członek Zgromadzenia może nominować jednego kandydata, jeśli zechce -

wyjaśnił Elend. - Aby możliwości nie było zbyt wiele, sugeruję, byśmy okazali powściągliwość... Wybierajcie tylko kogoś, kogo naprawdę i szczerze uważacie za najlepszego kandydata na króla. Jeśli ktoś chce przedstawić jakiegoś kandydata, niech wstanie i ogłosi go przed pozostałymi.

Penrod skinął głową i wrócił na miejsce. W chwili, gdy usiadł, podniósł się jeden ze skaa.

- Nominuję lorda Penroda.

Elend musiał się tego spodziewać, pomyślała Vin. Po tym, jak uczynił Penroda kanclerzem. Czemu dał taką władzę człowiekowi, o którym wiedział, że będzie jego największym konkurentem do tronu?

Odpowiedź była prosta. Ponieważ Elend wiedział, że Penrod jest najlepszym kandydatem na kanclerza. Czasem jest aż za bardzo honorowy, pomyślała Vin. Odwróciła się w stronę skaa, który nominował Penroda. Dlaczego skaa tak chętnie popierali szlachetnie urodzonego?

Przypuszczała, że wciąż jest za wcześnie. Skaa byli przyzwyczajeni do przywództwa arystokratów i nawet teraz, gdy uzyskali wolność, wciąż kierowali się tradycją - może nawet bardziej niż sami szlachetnie urodzeni. Lord taki jak Penrod - spokojny, władczy - wydawał im się naturalnie lepszym kandydatem na króla niż skaa.

W końcu będą się musieli zmienić, pomyślała Vin. A w każdym razie, jeśli mają się stać takimi ludźmi, jakimi pragnie ich uczynić Elend.

Zapanowała cisza, nie pojawiły się inne kandydaty. Na widowni kilka osób pokasywało, poza tym ucichły wszelkie szepty. W końcu wstał sam lord Penrod.

- Nominuję Elenda Venture - powiedział.

- Ach - sapnął ktoś za plecami Vin.

Odwróciła się i spojrzała na Breeze'a.

- Co? - wyszeptała.

- Błyskotliwe - odparł Breeze. - Nie widzisz? Penrod to honorowy człowiek. A przynajmniej w stopniu, w jakim są do tego zdolni szlachetnie urodzeni. A to oznacza, że chce być postrzegany jako honorowy. Elend uczynił go kanclerzem...

Mając nadzieję, że Penrod poczuje się zobligowany do przedstawienia jego kandydatury, uświadomiła sobie Vin. Spojrzała na Elenda, który uśmiechał się lekko. Czy naprawdę sam to wszystko zaplanował? Tak misterne posunięcie pasowało do Breeze'a.

Breeze pokręcił z podziwem głową.

- Nie tylko Elend nie musiał nominować sam siebie, przez co zrobiłby wrażenie zdesperowanego, ale teraz wszyscy członkowie Zgromadzenia myślą, że człowiek, którego szanują i którego chcieliby uczynić królem, wolałby raczej, by to Elend zachował tytuł.

Błyskotliwe.

Penrod usiadł i zapanowała cisza. Vin przypuszczała, że zgłosił tę kandydaturę również dlatego, by mieć jakiegoś konkurenta do tronu. Całe Zgromadzenie najpewniej sądziło, że Elend zasługuje na szansę odzyskania swojego miejsca, lecz jedynie Penrod miał tyle honoru, by powiedzieć to na głos.

Ale co z kupcami? - pomyślała Vin. Oni muszą mieć swój własny plan. Elend sądził, że to najprawdopodobniej Philen zorganizował głosowanie przeciwko niemu. Kupcy chcieliby umieścić na tronie jednego z nich, kogoś, kto mógłby otworzyć bramy przed tym z królów, który nimi manipulował - albo najlepiej płacił.

Przyglądała się grupie ośmiu mężczyzn w strojach świetniejszych niż surduty szlachetnie urodzonych. Wszyscy czekali na decyzję jednego człowieka. Co planował Philen?

Jeden z kupców chciał się podnieść, lecz Philen ostrym spojrzeniem usadził go w miejscu. Philen siedział z laską pojedynkową na kolanach. W końcu, gdy większość zebranych skupiła na nim swą uwagę, powoli wstał.

- Mam swoją nominację - powiedział.

Wśród skaa rozległy się prychnięcia.

- I kto tu robi przedstawienie, Philenie? - spytał jeden z nich. - Po prostu zrób to i nominuj sam siebie.

Kupiec uniósł brew.

- Tak się składa, że nie mam zamiaru nominować siebie.

Vin zmarszczyła czoło, dostrzegła też dezorientację w oczach Elenda.

- Choć rozumiem wasze odczucia - mówił dalej Philen - jestem tylko prostym kupcem.

Nie, sądzę, że tytuł powinien uzyskać ktoś, kto ma nieco inne umiejętności. Powiedz mi, lordzie Venture, czy musimy nominować członków Zgromadzenia?

- Nie - odparł Elend. - Król nie musi być członkiem Zgromadzenia, ja sam stałem się nim później.



Podstawowym obowiązkiem króla jest tworzenie i egzekwowanie prawa.

Zgromadzenie to jedynie ciało doradcze, posiadające dla równowagi pewną władzę. Królem może zostać ktokolwiek... właściwie tytuł miał być dziedziczny. Nie spodziewałem się... że pewne klauzule zostaną wykorzystane tak szybko.

- Ach, tak - powiedział kupiec. - W takim razie sądzę, że królem powinien zostać ktoś, kto ma w tym pewne doświadczenie. Ktoś posiadający znane umiejętności przywódcze.

Dlatego proponuję kandydaturę lorda Ashweathera Cetta na naszego króla!

Co?! - pomyślała wstrząśnięta Vin, gdy Philen odwrócił się i wskazał w stronę widowni.

Jeden z siedzących tam ludzi zdjął płaszcz skaa i opuścił kaptur, ukazując strój arystokraty i brodą twarz.

- Och... - westchnął Breeze.

- To naprawdę on? - spytała z niedowierzaniem Vin, gdy widzowie zaczęli szeptać między sobą.

Breeze pokiwał głową.

- Ależ tak. Lord Cett we własnej osobie. - Spojrzał na nią. - Chyba mamy kłopoty.

*Moi bracia nigdy nie poświęcali mi zbyt wiele uwagi. Sądzili, że moja praca i zainteresowania nie przystoją Dawcy Światów. Nie widzieli, jak moje badania, studia nad naturą zamiast religią, przynoszą korzyść mieszkańcom czternastu krain.*

Vin obserwowała w napięciu tłum. Cett nie przyszedł sam, pomyślała.

Wreszcie ich dostrzegła. Żołnierze w tłumie, ubrani jak skaa, tworzący ochronny krąg wokół miejsca Cetta. Król nie podniósł się, choć zrobił to siedzący obok młodzieniec.

Około trzydziestu strażników, pomyślała. Nie był na tyle głupi, by przybyć samotnie...

ale wejście do miasta, które się oblega? To było odważne posunięcie, graniczące wręcz z głupotą. Oczywiście, wielu mówiło to samo o wizycie Elenda w obozie Straffa.

Jednakże sytuacja Cetta wyglądała inaczej. Nie był zdesperowany, nie groziła mu utrata wszystkiego. Chociaż... miał mniejszą armię niż Straff, a do miasta zbliżały się kolosy. Gdyby Straff zabezpieczył rzekome zapasy atium, dni Cetta jako przywódcy Zachodu byłyby z pewnością policzone.

Przybycie do Luthadel nie wynikało z desperacji, ale nie było też posunięciem człowieka, który wiedział, że ma przewagę. Cett ryzykował.

I chyba mu się to podobało.

Cett uśmiechnął się. Wszyscy czekali w milczeniu na rozwój wydarzeń. Członkowie Zgromadzenia i widzowie byli zbyt wstrząśnięci, by się odezwać. W końcu mężczyzna wezwał

gestem kilku ze swych żołnierzy, a ci podnieśli go wraz z krzesłem i wnieśli na podest.

Członkowie Zgromadzenia szeptali i komentowali, zwracając się do towarzyszy z prośbą o potwierdzenie tożsamości Cetta. Większość ze szlachetnie urodzonych milczała - co dla Vin stanowiło wystarczające potwierdzenie.

- Nie spodziewałam się kogoś takiego - szepnęła do Breeze'a, gdy żołnierze wspięli się na podwyższenie.

- Nikt ci nie powiedział, że on jest kaleką? - spytał Breeze.

- Nie nosi też surduta - odparła. Mężczyzna miał na sobie spodnie i koszulę, ale zamiast surduta włożył znoszoną czarną kurtę. - Do tego ta broda. Nie urosła w ciągu roku... musiał ją mieć jeszcze przed Upadkiem.

- Poznałaś jedynie szlachetnie urodzonych z Luthadel, Vin - zauważył Ham. - Ostatnie Imperium było wielkie, z licznymi społecznościami. Nie wszyscy ubierają się tak jak ludzie tutaj.

Breeze pokiwał głową.

- Cett był jednym z najpotężniejszych arystokratów w swoich okolicach, więc nie musiał się przejmować tradycją i konwenansami. Robił, co chciał, a lokalna szlachta ulegała jego kaprysom. W

imperium istniały setki dworów z setkami pomniejszych „Ostatnich Imperatorów”, a każdy region miał swoją politykę.

Vin znów spojrzała na podest. Cett milczał. W końcu powstał lord Penrod.

- To dość niespodziewane, lordzie Cetcie.

- Świetnie! - odparł Cett. - O to w końcu chodziło!

- Chcesz przemówić do Zgromadzenia?

- Wydawało mi się, że właśnie to robię.

Penrod odchrząknął, a wspomagane cyną uszy Vin wychwyciły dochodzące od strony szlachetnie urodzonych pogardliwe komentarze na temat „zachodnich arystokratów”.

- Masz dziesięć minut, lordzie Cetcie - powiedział Penrod i usiadł.

- Dobrze - odparł Cett. - Ponieważ w przeciwieństwie do tamtego chłopaka mam zamiar powiedzieć wam, dlaczego powinniście wybrać mnie swoim królem!

- To znaczy? - spytał jeden z kupców.

- Ponieważ mam armię pod waszymi przekłętymi murami! - odparł Cett z uśmiechem.

- Czy to groźba, Cett? - spytał spokojnie Elend.

- Nie, Venture - odpowiedział Cett. - Jedyne szczerze, której w Środkowym Dominium próbujecie unikać za wszelką cenę. Groźba to tylko druga strona obietnicy. A co ty powiedziałaś tym ludziom? Że twoja nałożnica przystawiła nóż do gardła Straffowi?

Sugerowałaś więc, że jeśli nie zostaniesz wybrany, każesz się wycofać swojej Zrodzonej z Mgły i pozwolisz na zniszczenie miasta?

Elend się zarumienił.

- Oczywiście, że nie.

- Oczywiście, że nie - powtórzył Cett. Mówił głośno, z naciskiem, bez wahania. - Cóż, ja nie udaję i się nie ukrywam. Moja armia jest tutaj i moim zamiarem jest zdobycie miasta.

Wolałbym jednak, byście mi je oddali dobrowolnie.

- Jest pan tyranem, sir - powiedział beznamiętnie Penrod.

- I co z tego? - spytał Cett. - Jestem tyranem z czterdziestoma tysiącami żołnierzy. To dwa razy więcej niż wy macie na murach.

- A co powstrzyma nas przed wzięciem cię w niewolę? - spytał inny ze szlachetnie urodzonych. - Sam się znalazłeś w naszych rękach.

Cett roześmiał się na całe gardło.

- Jeśli nie wrócę tego wieczoru do obozu, moi żołnierze mają rozkaz zaatakować miasto i zrównać je z ziemią, bez względu na okoliczności. Pewnie później zniszczy ich Venture, ale dla mnie to nie będzie miało znaczenia, dla was też nie. Wszyscy będziemy już martwi.

Zapadła cisza.

- Widzisz, Venture? - odezwał się po długiej chwili Cett. - Groźby świetnie działają.

- Naprawdę spodziewasz się, że zostaniesz królem? - spytał Elend.

- Ależ tak. Posłuchaj, jeśli dodamy wasze dwadzieścia tysięcy do moich czterdziestu, bez trudu powstrzymamy Straffa... a nawet armię kolosów.

Natychmiast rozległy się szepty. Cett uniósł krzaczastą brew i spojrzał na Elenda.

- Nie powiedziałaś im o kolosach, prawda?

Elend nie odpowiedział.

- Wkrótce i tak się dowiedzą - stwierdził Cett. - Tak czy inaczej, nie widzę, żebyście mieli jakiś inny wybór.

- Nie jesteś honorowym człowiekiem - powiedział prosto Elend. - Ludzie oczekują od swoich przywódców czegoś więcej.

- Nie jestem honorowym człowiekiem? - spytał Cett z rozbawieniem. - A ty? Pozwól, że zadam ci bezpośrednie pytanie. Czy podczas tego spotkania twoi Allomanci Uspokajali członków Zgromadzenia?

Elend się zawahał. Spojrzał na Breeze'a. Vin zamknęła oczy. Nie, Elendzie, nie...

- Owszem - przyznał Elend.

Tindwyl jęknęła cicho.

- I - mówił dalej Cett - czy możesz uczciwie powiedzieć, że nigdy w sobie nie zwątpiłeś? Nigdy się nie zastanawiałeś, czy jesteś dobrym królem?

- Sądzę, że każdy przywódca się nad tym zastanawia - odpowiedział Elend.

- Ja nie. Zawsze wiedziałem, że moim przeznaczeniem jest rządzenie, i zawsze dobrze sobie radziłem z utrzymaniem władzy. Jestem silny i silni są ci, którzy mi towarzyszą. Oto, jak wygląda moja

propozycja. Wy dajecie mi koronę, ja obejmuję władzę. Wszyscy zachowujecie swoje tytuły... a ci członkowie Zgromadzenia, którzy ich nie mają, dostają je. Ponadto zachowujecie głowy, a to o wiele więcej niż zaproponowałby Straff, zapewniam was. Ludzie nie przerywają pracy, a ja zapewniam im żywność na zimę. Wszystko wraca do normalności, jest tak, jak było przed rozpoczęciem tego szaleństwa rok temu. Skaa pracują, szlachetnie urodzeni zarządzają.

- Myślisz, że zgodzą się do tego wrócić? - spytał Elend. - Po całej naszej walce, myślisz, że pozwolę ci na powrót do niewolnictwa?

Cett się uśmiechnął.

- Nie sądzę, by decyzja należała do ciebie, Elendzie Venture.

Elend umilkł.

- Chciałbym się spotkać z każdym z was - powiedział Cett do członków Zgromadzenia.

- Jeśli pozwolicie, wejdę się do Luthadel z częścią moich ludzi. Powiedzmy, pięć tysięcy, bym czuł się bezpieczny, ale nie stanowił dla was zagrożenia. Zamieszkać w jednej z opuszczonych twierdz i zaczekam na waszą decyzję do przyszłego tygodnia. W tym czasie spotkam się z każdym z was i omówię... korzyści wynikające z oddania mi korony.

- Łapówki - warknął Elend.

- Oczywiście - stwierdził Cett. - Łapówki dla wszystkich mieszkańców miasta... a główną z nich jest pokój! Lubisz etykiety, Venture.

„Niewolnicy”, „groźby”, „honorowy”. „Łapówka” to tylko słowo. Patrząc na to z innej strony, łapówka to obietnica postawiona na głowie. - Cett uśmiechnął się.

Członkowie Zgromadzenia milczeli.

- Zagłosujemy czy pozwalamy wjechać mu do miasta? - spytał w końcu Penrod.

- Pięć tysięcy to stanowczo za dużo - stwierdził jeden ze skaa.

- To prawda - powiedział Elend. - Nie pozwolimy, by tylu obcych żołnierzy weszło do Luthadel.

- Wcale mi się to nie podoba - odezwał się ktoś inny.

- Co takiego? - spytał Philen. - Monarcha w naszym mieście będzie mniej niebezpieczny niż pod murami, nie sądzicie? A poza tym Cett obiecał nam wszystkim tytuły.

To dało im do myślenia.

- A może po prostu oddacie mi koronę? - zaproponował Cett. - Otworzycie wrota mojej armii.

- Nie możecie - powiedział natychmiast Elend. - Nie, jak długo nie mamy króla... chyba że w tej chwili jednogłośnie zagłosujecie za.

Vin uśmiechnęła się. Dopóki Elend był członkiem Zgromadzenia, nie mieli szans na jednogłośnie zgodę.

- E tam - mruknął Cett, ale nie miał zamiaru dalej obrażać zgromadzonych. - W takim razie pozwólcie mi wprowadzić się do miasta.

Penrod pokiwał głową.

- Czy wszyscy są za pozwoleniem lordowi Cettowi na wprowadzenie się do miasta z... powiedzmy... tysiącem żołnierzy?

Dziewiętnastu członków Zgromadzenia podniosło ręce. Elend nie był jednym z nich.

- Ustalone - stwierdził Penrod. - Odraczam obrady na dwa tygodnie.

\*\*\*

To nie dzieje się naprawdę, pomyślał Elend. Myślałem, że Penrod będzie wyzwaniem, a Philen nieco mniejszym. Ale... jeden z tyranów grożących miastu? Jak mogli? Jak mogli nawet pomyśleć o przyjęciu jego propozycji?

Elend wstał i ujął ramię Penroda, gdy ten chciał zejść z podwyższenia.

- Fersonie - powiedział cicho - to szaleństwo.

- Musimy rozważyć tę możliwość, Elendzie.

- Rozważyć sprzedanie miasta tyranowi?

Penrod spochmurniał i strząsnął rękę Elenda.

- Posłuchaj, chłopcze - powiedział równie cicho. - Jesteś dobrym człowiekiem, ale zawsze byłeś idealistą. Zajmowałeś się księgami i filozofią... ja zaś uprawiałem walkę polityczną na dworze. Znasz teorię. Ja znam ludzi. - Odwrócił się i wskazał głową na widownię.

- Popatrz na nich, chłopcze. Są przerażeni. Czym są dla nich twoje marzenia, kiedy umierają z głodu? Mówisz o wolności i sprawiedliwości, kiedy dwie armie gotują się, by wymordować ich rodziny. - Penrod odwrócił się znów do Elenda i spojrzał mu w oczy. - System Ostatniego Imperatora nie był bez wad, ale zapewniał im bezpieczeństwo. Nie mamy już nawet tego.

Twoje ideały nie pokonają armii. Cett może być tyranem, ale mając do wyboru jego i Straffa, musiałbym wybrać Cetta. Oddalibyśmy mu miasto już wiele tygodni temu, gdybyś nas nie powstrzymał.

Penrod uklonił się Elendowi, po czym odszedł i dołączył do kilku innych szlachetnie urodzonych, którzy też wychodzili. Elend stał przez chwilę w milczeniu.

*Zauważyliśmy interesujące zjawisko związane z grupami buntowników, które odłączają się od Ostatniego Imperium i próbują zapewnić sobie autonomię, pomyślał, przypominając sobie fragment „Rozważań o rewolucji” Ytvesa. W większości wypadków Ostatni Imperator nie musiał nawet wysyłać armii, by stłumić bunt. Kiedy jego agenci docierali na miejsce, okazywało się, że grupy same się obaliły.*

*Wydaje się, że buntownicy uznali chaos okresu przejściowego za trudniejszy do zniesienia od wcześniejszej tyranii. Z radością przyjmowali z powrotem władzę - nawet władzę, która ich uciskała - gdyż była dla nich lepsza od niepewności.*

Vin i pozostali dołączyli do niego na podwyższeniu. Objął ją i oboje patrzyli w milczeniu, jak ludzie opuszczają budynek. Cett siedział w otoczeniu niewielkiej grupy członków Zgromadzenia, ustalając daty spotkań.

- Cóż - powiedziała cicho Vin - wiemy, że jest Zrodzonym z Mgły.

Elend spojrzał na nią.

- Wyczułaś od niego Allomancję?

Pokręciła głową.

- Nie.

- To skąd wiesz? - spytał Elend.

- Tylko na niego popatrz - stwierdziła Vin, machając ręką. - Zachowuje się, jakby nie mógł chodzić... to musi być przykrywka. Czy jest coś bardziej niewinnego od kaleki? Czy umiesz wymyślić lepszy sposób na ukrycie, że jesteś Zrodzonym z Mgły?

- Vin, moja droga - odezwał się Breeze - Cett jest kaleką od dzieciństwa, kiedy to choroba pozbawiła go władzy w nogach. Nie jest Zrodzonym z Mgły.

Uniosła brew.

- To najlepsza przykrywka, o jakiej słyszałam.

Breeze przewrócił oczami, lecz Elend tylko się uśmiechnął.

- I co teraz, Elendzie? - spytał Ham. - Teraz, gdy Cett wkroczył do miasta, nie możemy oczywiście działać jak wcześniej.

Venture pokiwał głową.

- Musimy coś zaplanować. Może... - Przerwał, gdy grupę Cetta opuścił młody mężczyzna i skierował się w ich stronę. Ten sam młodzieniec siedział wcześniej u boku władcy Zachodu.

- Syn Cetta - wyszeptał Breeze. - Gneorndin.

- Lordzie Venture - powiedział młodzian, kłaniając się lekko. Był mniej więcej w wieku Spooka. - Mój ojciec pragnie się dowiedzieć, kiedy zyczysz sobie się z nim spotkać.

Elend uniósł brew.

- Nie mam zamiaru dołączyć do kolejki członków Zgromadzenia czekających na łapówki, chłopcze. Przekaż ojcu, że nie mamy o czym rozmawiać.

- Naprawdę? - spytał Gneorndin. - A co z moją siostrą? Tą, która została przez was uprowadzona?

Elend zmarszczył czoło.

- Wiesz, że to nieprawda.

- Mimo to mój ojciec chciałby omówić to wydarzenie - stwierdził Gneorndin, rzucając wrogie spojrzenie w stronę Breeze'a. - Poza tym sądzi, że wasza rozmowa mogłaby zostać przeprowadzona w jak najlepszym interesie miasta. Spotkałeś się ze Straffem w jego obozie...

nie mów mi, że nie jesteś gotów zrobić tego samego dla Cetta w swoim własnym mieście?

Elend się zastanowił. „Zapomnij o uprzedzeniach”, powiedział sobie w duchu. „Musisz z nim porozmawiać, choćby ze względu na informacje, jakie możesz uzyskać”.

- Dobrze - powiedział w końcu. - Spotkam się z nim.

- Kolacja? Za tydzień? - spytał Gneorndin.

Elend skinął głową.

*Jako ten, który odnalazł Alendiego, stałem się jednak kimś ważnym.*

*Pierwszym pomiędzy Dawcami Światów.*



Vin leżała na brzuchu, opierając głowę na splecionych rękach i wpatrując się w leżącą na podłodze kartkę papieru. Wziąwszy pod uwagę chaos ostatnich kilku dni, zaskoczyło ją, że powrót do badań okazał się ulgą.

Niewielką jednak, gdyż jej badania również wiązały się z problemami. Głębia powróciła, pomyślała. Nawet jeśli mgły zabijają rzadko, znów stały się wrogie wobec ludzi. A to oznacza, że Bohater Wieków winien powrócić, czyż nie?

Czy naprawdę szczerze myślała, że nim jest? To brzmiało śmiesznie, kiedy się nad tym zastanowiła. A jednak słyszała dudnienie w głowie, widziała ducha we mgle...

A co z tamtą nocą, przed ponad rokiem, gdy walczyła z Ostatnim Imperatorem? Tamtą nocą, gdy jakimś sposobem wciągnęła w siebie mgły i spaliła je, jakby były metalem?

To nie wystarczy, powiedziała sobie. Jedno dziwaczne wydarzenie - którego nie udało mi się powtórzyć - nie oznacza, że jestem mitycznym zbawcą. Nie знаła nawet większości proroctw na temat Bohatera. Dziennik wspominał, że miał pochodzić z ubogiej rodziny - ale to oznaczało większość skaa w Ostatnim Imperium. Miał też mieć w sobie królewską krew, ale to oznaczało, że kandydatem mógł być każdy mieszaniec w mieście. Właściwie, była gotowa się założyć, że większość skaa ma wśród przodków co najmniej jednego szlachetnie urodzonego.

Westchnęła i pokręciła głową.

- Panienko? - spytał OreSeur, odwracając się do niej. Stał na krześle, opierając przednie łapy o okno i wyglądając na miasto.

- Proroctwa, legendy, przepowiednie - powiedziała Vin, uderzając ręką w swoje notatki.

- I jaki to ma sens? Czy Terrisanie w ogóle w to wierzyli? Czy religia nie powinna uczyć czegoś praktycznego?

OreSeur usiadł na krześle.

- A cóż może być bardziej praktycznego od poznania przyszłości?

- Gdyby przekazywały użyteczne informacje, zgodziłabym się. Ale nawet dziennik przyznaje, że terrisańskie proroctwa można rozumieć na wiele różnych sposobów. W czym pomogą obietnice, które można interpretować w tak dowolny sposób?

- Nie odrzucaj wierzeń innych tylko dlatego, że ich nie rozumiesz, panienko.

Vin prychnęła.

- Mówisz jak Sazed. Część mnie ma ochotę uznać te wszystkie proroctwa i legendy za wymysły

jakiegoś kapłana, który chciał zarobić na życie.

- Tylko część? - spytał z rozbawieniem OreSeur.

Vin po chwili pokiwała głową.

- Ta część, która dorastała na ulicach i zawsze spodziewa się kantu. - Ta część nie chciała uwierzyć w inne rzeczy, które czuła.

Dudnienie stawało się coraz silniejsze.

- Proroctwa nie muszą być kantem, panienko - powiedział kandra. - Ani nawet obietnicą przyszłości. Mogą być po prostu wyrazem nadziei.

- A co ty o tym wiesz? - spytała lekceważąco Vin, odsuwając kartkę.

Zapadła cisza.

- Nic, oczywiście, panienko - odpowiedział w końcu OreSeur.

Vin odwróciła się w jego stronę.

- Przepraszam, OreSeurze. Nie chciałam... Ostatnio jestem trochę rozproszona.

Łup... Łup... Łup...

- Nie musisz mnie przeproszać, panienko. Jestem tylko kandrą.

- Ale wciąż osobą - odparła Vin. - Nawet jeśli śmierdzi ci z pyska.

OreSeur się uśmiechnął.

- Sama wybrałaś dla mnie te kości, panienko. Musisz teraz ponieść konsekwencje.

- Kości mogą mieć z tym coś wspólnego - przyznała Vin, wstając. - Ale ta padlina, którą zżerasz, nie pomaga. Szczerze mówiąc, chyba powinnam ci przynieść jakieś miętowe liście do żucia.

OreSeur uniósł psią brew.

- A nie sądzisz, że pies o wonnym oddechu będzie zwracał uwagę?

- Tylko jeśli ktoś cię pocałuje - odparła, wracając do sterty papierów na biurku.

Kandra zaśmiał się cicho na swój psi sposób i znów wyjrzał przez okno.

- Czy przemarsz już się skończył? - spytała Vin.

- Tak, panienko - odparł OreSeur. - Trudno to ocenić, nawet z tej wysokości. Ale rzeczywiście

wygląda na to, że lord Cett zakończył wjazd do miasta. Miał ze sobą wiele wozów.

- Jest ojcem Allrienne - zauważyła. - Choć dziewczyna tak narzekała na swoją kwaterę w obozie, założy się, że Cett lubi wygodę w podróży.

OreSeur przytaknął. Vin odwróciła się i oparła o biurko. Przyglądała się kandrze i myślała o tym, co powiedział wcześniej. „Wyraz nadziei...”.

- Kandra mają religię, prawda? - domyśliła się.

OreSeur odwrócił się gwałtownie. To było wystarczające potwierdzenie.

- Czy Opiekunowie o tym wiedzą? - pytała dalej.

OreSeur stał na tylnych łapach, przednimi opierając się o parapet.

- Nie powinienem był się odzywać.

- Nie musisz się bać - zapewniła go. - Nie zdradzę waszych tajemnic. Ale nie rozumiem, dlaczego to nadal musi pozostać tajemnicą.

- To sprawa kandra, panienko. Nikogo innego nie zainteresuje.

- Ależ tak - sprzeciwiła się. - Nie rozumiesz, OreSeurze? Opiekunowie wierzą, że ostatnia niezależna religia została zniszczona przez Ostatniego Imperatora przed setkami lat.

Jeśli kandra udało się ją zachować, to oznacza, że teologiczna władza Ostatniego Imperatora nad imperium nie była absolutna. To musi coś znaczyć.

OreSeur przechylił łeb, jakby wcześniej w ogóle o tym nie pomyślał.

Jego teologiczna władza nie była absolutna, pomyślała Vin, nieco zaskoczona własnymi słowami. Na Ostatniego Imperatora, zaczynam mówić jak Sazed i Elend. Za dużo ostatnio czytam.

- Mimo to, panienko - stwierdził OreSeur - wolałbym, żebyś nie wspominała o tym swoim przyjacielom Opiekunom. Pewnie zaczęliby zadawać niewygodne pytania.

- Tacy już są - przyznała, kiwając głową. - A tak w ogóle, jakie proroctwa ma twój lud?

- Sądzę, że nie chciałabyś tego wiedzieć, panienko.

Uśmiechnęła się.

- Mówią o naszym upadku, prawda?

OreSeur usiadł. Vin niemal widziała rumieniec na jego psim pysku.

- Mój... lud od bardzo wielu lat przestrzega Kontraktu, panienko. Wiem, że trudno ci zrozumieć,

dłaczego żyjemy z takim ciężarem, my jednak uznajemy go za konieczny. I śnimy o dniu, gdy już go nie będzie.

- Kiedy wszyscy ludzie staną się waszymi poddanymi? - spytała.

Odwrócił wzrok.

- Kiedy wszyscy zginiecie.

- A niech mnie.

- Proroctwa nie są dosłowne, panienko - stwierdził OreSeur. - To metafory, wyraz naszej nadziei. A przynajmniej ja tak je postrzegam. Być może twoje terrisańskie przepowiednie są tym samym? Wyrazem wiary, że kiedy ludzie będą w niebezpieczeństwie, ich bogowie ześlą Bohatera, który ich ochroni? W takim wypadku niejasność jest zamierzona... i rozsądna.

Proroctwa nigdy nie miały oznaczać kogoś ściśle określonego, lecz raczej być wyrazem ogólnych przekonań. I nadziei.

Jeśli proroctwa nie były szczegółowe, to dlaczego tylko ona słyszała dudnienie?

„Przestań”, powiedziała sobie. „Wyciągasz pochopne wnioski”.

- Wszyscy ludzie zginą - powiedziała. - Jak wyginiemy? Kandra nas zabiją?

- Oczywiście, że nie. Przestrzegamy Kontraktu, nawet w religii. Wedle opowieści sami się wybijecie. W końcu pochodzicie od Zniszczenia, a kandra od Zachowania. Wy... jak sądzę, macie zniszczyć świat. Wykorzystując kolosy jako swoje pionki.

- Odnoszę wrażenie, że jest ci ich żal - zauważyła z rozbawieniem.

- Kandra mają dobre zdanie o kolosach, panienko - przyznał OreSeur. - Jest między nami więź. Rozumiemy, co to znaczy być niewolnikami. Jesteśmy obcymi w kulturze Ostatniego Imperium, i...

- Co? - spytała.

- Mogę nie mówić dalej? - spytał OreSeur. - I tak powiedziałem już za dużo. Wytrącasz mnie z równowagi, panienko.

Vin wzruszyła ramionami.

- Wszyscy potrzebujemy tajemnic. - Spojrzała w stronę drzwi. - Jedną wciąż muszę rozwikłać.

OreSeur zeskoczył z krzesła i dołączył do niej w drzwiach.

Gdzieś w pałacu wciąż był szpieg. Zbyt długo była zmuszona to ignorować.

Elend spojrział w głąb studni. Głęboki szyb, na tyle szeroki, by pomieścili się przy nim liczni skaa, przywodził na myśl otwarte usta o kamiennych wargach, gotowe go połknąć. Elend spojrział w bok, gdzie Ham rozmawiał z grupą uzdrowicieli.

- Zwróciliśmy uwagę, kiedy zaczęło się do nas zgłaszać coraz więcej ludzi cierpiących na biegunkę i bóle brzucha - powiedział uzdrowiciel. - Objawy były niezwykle silne, milordzie.

Już... kilkanaście osób zmarło.

Ham spojrział na Elenda z ponurą miną.

- Wszyscy, którzy zachorowali, mieszkali w tej okolicy - kontynuował uzdrowiciel. - I czerpali wodę z tej studni lub sąsiedniej, na następnym placu.

- Czy poinformowałeś o tym lorda Penroda i Zgromadzenie? - spytał Elend.

- No cóż, nie, milordzie. Uznaliśmy, że wy...

Już nie jestem królem, pomyślał Elend. Nie mógł jednak powiedzieć tego na głos. Nie temu człowiekowi, który szukał jego pomocy.

- Zajmę się tym - stwierdził z westchnieniem. - Możesz wracać do pacjentów.

- Wypełniają cały mój szpital, milordzie.

- To zajmijcie jedną z opuszczonych arystokratycznych rezydencji - zaproponował

Elend. - Jest ich mnóstwo. Ham, poślij z nim kilku moich strażników, żeby pomogli przynieść chorych i przygotować budynek.

Jego towarzysz pokiwał głową i gestem wezwał jednego z żołnierzy. Kazał mu zebrać dwudziestu pałacowych strażników i zaprowadzić ich na spotkanie z uzdrowicielem.

Mężczyzna uśmiechnął się z wyraźną ulgą i, odchodząc, uklonił się Elendowi.

Ham podszedł do studni.

- Przypadek?

- Wątpię - odparł Elend, zaciskając dłonie na obramowaniu studni. - Pytanie brzmi, który z nich ją zatruł?

- Cett właśnie przybył do miasta - zauważył Ham, drapiąc się po brodzie. - Nie miałby problemów z wysłaniem paru żołnierzy, by po kryjomu wrzucili truciznę.

- Ale jednak bardziej pasuje to do mojego ojca - stwierdził Elend. - Aby zwiększyć napięcie, odegrać się na nas za zrobienie z niego głupca. A poza tym ma tego swojego Zrodzonego z Mgły, który mógł bez trudu wrzucić truciznę.

Oczywiście, Cettowi przytrafiło się to samo - Breeze zatrul jego zapas wody, nim dotarł do miasta. Elend zazgrzytał zębami. Nie mógł ocenić, który z nich za tym stał.

W każdym razie zatrute studnie oznaczały kłopoty. W mieście były oczywiście inne, ale równie podatne na zatrucie. W takiej sytuacji ludzie mogli zacząć pić wodę z rzeki, a to byłoby dla nich jeszcze gorsze - jej wody były muliste i zatrute odpadkami z obozów obu armii i samego miasta.

- Ustaw strażników przy studniach - powiedział Elend. - Niech zabijają je deskami i umieszczą ostrzeżenia. I powiedz uzdrowicielom, by zwracali szczególną uwagę na kolejne ogniska choroby.

Będziemy się tak napinać i napinać, pomyślał, gdy Ham skinął głową.

Jeśli tak dalej pójdzie, załamiemy się przed nadejściem zimy.

\*\*\*

Vin zjadła późną kolację - i usłyszała przy tym plotki o chorych służących, co ją zaniepokoiło - po czym zajrzała do Elenda, który właśnie wrócił ze spaceru z Hamem. Później wraz z OreSeurem kontynuowała swoją pierwotną misję odnalezienia Docksona.

Natrafili na niego w pałacowej bibliotece. Pomieszczenie to niegdyś było osobistym gabinetem Straffa - jego nowe zastosowanie z jakiegoś powodu najwyraźniej bawiło Elenda.

Vin z kolei bardziej od lokalizacji bawiła zawartość biblioteki. A raczej jej brak. Choć wzdłuż ścian komnaty ciągnęły się rzędy półek, niemal wszystkie zostały złupione przez Elenda. Między rzędami książek ziały puste przestrzenie, kolejne woluminy znikwały jeden po drugim, jakby młody Venture był drapieżnikiem, powoli pożerającym stado.

Vin uśmiechnęła się. Przypuszczała, że niedługo Elend ukradnie wszystkie książki z niewielkiej biblioteki, zanieśie je do swojego gabinetu i tam umieści na jednej ze stert - cały czas twierdząc oczywiście, że je odniesie. Jednakże na półkach zostały jeszcze liczne tomy -

rejstry, księgi finansowe, rozliczenia. One zazwyczaj nie interesowały Elenda.

Dockson siedział przy biurku, notując coś w rejestrze. Zauważył jej przybycie i spojrzał

na nią z uśmiechem, lecz zaraz wrócił do notowania - najwyraźniej nie chciał stracić wątku. Vin zaczęła, aż skończy. OreSeur siedział u jej boku.

Ze wszystkich członków ekipy Dockson zmienił się najbardziej w ciągu ostatniego roku. Pamiętała, jakie zrobił na niej wrażenie, gdy poznała go w kryjówce Camona. Dockson był prawą ręką Kelsiera i bardziej „przyziemnym” z ich dwójki. A jednak miał w sobie ślad wesołości - sprawiał wrażenie,

jakby podobała mu się rola tego rozsądnego. Nie krzyżował

planów Kelsiera, raczej je uzupełniał.

Kelsier zginął. A co z Docksonem? Nosił arystokratyczny surdut, jak zawsze - i ze wszystkich członków ekipy on prezentował się w nim najlepiej. Gdyby zgolił bródkę, mógłby uchodzić za szlachetnie urodzonego - nie bogatego dworzanina, ale lorda w średnim wieku, który całe życie spędził na handlowaniu różnymi towarami w imieniu jednego z wielkich rodów.

Prowadził rejestry, lecz robił to zawsze. Wciąż odgrywał rolę tego odpowiedzialnego.

Zatem, co się zmieniło? Był tą samą osobą, robił te same rzeczy. Lecz wydawał się inny.

Przestał się śmiać, przestał w milczeniu cieszyć się ekscentrycznością swoich towarzyszy. Bez Kelsiera Dockson z powściągliwego stał się... nudny.

I to wywołało jej podejrzenia.

Trzeba to zrobić, pomyślała, uśmiechając się do Docksona, gdy odłożył pióro i gestem wskazał jej krzesło.

Vin usiadła, OreSeur usadowił się obok jej krzesła. Dockson spojrzał na psa, lekko kręcąc głową.

- To doskonale wyszkolone zwierzę, Vin - zauważył. - Nie sądzę, bym kiedyś widział

coś podobnego...

Czy on wie, zastanawiała się z obawą. Czy jeden kandra umiałby rozpoznać innego w ciele psa? Nie, to niemożliwe. Inaczej OreSeur dawno odnalazłby szpiega. Dlatego tylko znów się uśmiechnęła i poklepała OreSeura po łbie.

- Na targu jest taki treser. Szkoli wilczarze na psy obronne... żeby trzymały się blisko dzieci i chroniły je przed niebezpieczeństwem.

Dockson pokiwał głową.

- Czy twoje odwiedziny mają jakiś cel?

Wzruszyła ramionami.

- Już właściwie nie rozmawiamy, Dox.

Oparł się wygodniej na krześle.

- To chyba nie jest najlepszy czas na rozmowy. Muszę przygotować finanse królestwa do przejęcia przez kogoś innego, na wypadek gdyby Elend przegrał głosowanie.

Czy kandra umiałby prowadzić księgi finansowe, zastanowiła się Vin. Na pewno, zostałyby do tego przygotowane.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie chciałam ci zawracać głowy, ale Elend był ostatnio tak zajęty, a Sazed ma ten swój projekt...

- Nic się nie stało - odparł. - Mogę ci poświęcić kilka minut. Co ci chodzi po głowie?

- Pamiętasz może tę naszą rozmowę, jeszcze przed Upadkiem?

Zmarszczył czoło.

- Którą?

- No wiesz... tę o twoim dzieciństwie.

- Och - powiedział, kiwając głową. - Tak, i co z nią?

- Nadal tak uważasz?

Dockson zamyślił się, powoli stukając palcami w blat. Vin czekała, próbując nie okazywać napięcia. Wspomnianą rozmowę przeprowadzili tylko we dwoje, a w jej trakcie Dockson po raz pierwszy powiedział jej, jak bardzo nienawidzi szlachetnie urodzonych.

- Chyba nie - powiedział w końcu. - Już nie. Kell zawsze powtarzał, że darzysz ich zbyt wielkim uznaniem, Vin. Ale pod koniec zaczęłaś zmieniać nawet jego. Nie, nie uważam, że szlachetnie urodzonych należy całkowicie zniszczyć. Nie wszyscy są takimi potworami, jak niegdyś sądziłem.

Vin się rozluźniła. Nie tylko wiedział o rozmowie, ale także znał szczegóły omawianych kwestii. Byli wtedy sami. To musiało znaczyć, że nie był kandrą, czyż nie?

- Chodzi o Elenda, prawda? - spytał Dockson.

Wzruszyła ramionami.

- Chyba tak.

- Wiem, że chciałabyś, żebyśmy się lepiej dogadywali, Vin. Ale wydaje mi się, że i tak jest nieźle. To przyzwoity człowiek, mogę mu to przyznać. Jako przywódca ma pewne wady, brakuje mu odwagi i charyzmy.

W przeciwieństwie do Kelsiera.

- Ale - mówił dalej - nie chcę, żeby stracił władzę. Jak na szlachetnie urodzonego, dobrze traktuje skaa.

- Jest dobrym człowiekiem, Dox - powiedziała cicho Vin.



Odwrócił wzrok.

- Wiem. Ale... cóż, za każdym razem, gdy z nim rozmawiam, widzę Kelsiera stojącego nad jego ramieniem i potrząsającego głową. Wiesz, jak długo wraz z Kellem marzyliśmy o obaleniu Ostatniego Imperatora? Inni członkowie ekipy myśleli, że jego plan to nowy pomysł...

coś, co zrodziło się w Czeluściach. Ale to było starsze. O wiele starsze. Zawsze nienawidziliśmy szlachetnie urodzonych, Kell i ja. Kiedy byliśmy młodzi i planowaliśmy pierwsze numery, chcieliśmy być bogaci... ale też ukarać ich. Ukarać za to, że odbierali nam rzeczy, do których nie mieli prawa. Moją miłość... matkę Kelsiera... Każda moneta, którą kradliśmy, każdy trup arystokraty pozostawiony w bocznej uliczce, to była nasza wojna przeciwko nim. Sposób, w jaki ich karaliśmy.

Vin siedziała w milczeniu. Właśnie takie opowieści, takie wspomnienia udręczonej przeszłości sprawiały, że czuła się nieswojo w obecności Kelsiera - i z osobą, którą miała się stać po jego szkoleniu. Właśnie to odczucie zmuszało ją do zastanowienia, nawet jeśli instynkt mówił jej, że powinna wziąć swoje noże i zemścić się na Straffie i Cetcie.

Dockson miał w sobie tę twardość. Kell i Dox nie byli złymi ludźmi, lecz kryła się w nich żądza zemsty. Ucisk zmienił ich w sposób, którego nie mogły naprawić pokój, zmiana ani żadna rekompensata.

Dockson pokręcił głową.

- I umieściliśmy jednego z nich na tronie. Nie mogę przestać myśleć, że Kell byłby na mnie zły, że pozwoliłem Elendowi sprawować władzę, niezależnie od tego, jak dobrym jest człowiekiem.

- Kelsier pod koniec się zmienił - powiedziała cicho. - Sam to powiedziałaś, Dox.

Wiedziałaś, że uratował życie Elendowi?

Dockson odwrócił się z grymasem na twarzy.

- Kiedy?

- Ostatniego dnia - odparła. - Podczas walki z Inkwizytorem. Kell obronił Elenda, który mnie szukał.

- Musiał myśleć, że to jeden z więźniów.

- Wiedział, kim jest Elend, i wiedział, że go kocham. Pod koniec Kelsier był gotów przyznać, że dobrego człowieka warto chronić, niezależnie od tego, kim byli jego rodzice.

- Trudno mi to przyjąć, Vin.

- Dlaczego?

Spojrzał jej w oczy.

- Ponieważ jeśli założę, że Elend nie jest winien tego, co jego klasa uczyniła mojej, to muszę również przyznać, że jestem potworem ze względu na to, co im zrobiłem.

Vin zadrżała. W tych oczach widziała prawdziwą przyczynę przemiany Docksona.

Widziała śmierć jego śmiechu. Widziała poczucie winy. Morderstwa.

To nie szpieg.

- Nie znajduję wiele radości w tym rządzie, Vin - dodał cicho. - Ponieważ wiem, czego się dopuściliśmy, by go stworzyć. A prawda jest taka, że znów bym to zrobił. Powtarzam sobie, że wierzę w wolność dla skaa. Jednak nocami wciąż nie mogę zasnąć, zadowolony z tego, co zrobiliśmy naszym dawnym panom. Podważyliśmy ich zasady, zabiliśmy boga. I teraz mają za swoje.

Vin pokiwała głową. Dockson spuścił wzrok, jakby zawstydzony. Nieczęsto widziała, by okazywał to uczucie. Nie miała już nic więcej do powiedzenia. Dockson siedział w milczeniu, gdy się wycofywała, pióro i rejestr leżały zapomniane na biurku.

\*\*\*

- To nie on - powiedziała Vin, idąc pustym korytarzem i próbując zapomnieć o słowach Docksona.

- Jesteś pewna, panienko? - spytał OreSeur.

Pokiwała głową.

- Wiedział o prywatnej rozmowie, którą z nim przeprowadziłam przed Upadkiem.

Kandra milczał przez chwilę.

- Panienko - powiedział w końcu - mój rodzaj potrafi być bardzo skrupulatny.

- Tak, ale skąd mógł wiedzieć o takim wydarzeniu?

- Często rozmawiamy z ludźmi, zanim weźmiemy ich kości, panienko - wyjaśnił. -

Spotykamy się z nimi kilkakrotnie, w różnych okolicznościach i znajdujemy sposób, by porozmawiać o ich życiu. Rozmawiamy również z ich przyjaciółmi i znajomymi. Czy powiedziałaś komukolwiek o rozmowie z Docksonem?

Vin oparła się o kamienną ścianę.

- Może Elendowi - przyznała. - Chyba wspominałam o niej również Sazedowi, zaraz po.

Ale to było prawie dwa lata temu.

- To mogło wystarczyć, panienko - powiedział OreSeur. - Nie możemy dowiedzieć się wszystkiego o

takiej osobie, ale staramy się poznać takie rzeczy... prywatne rozmowy, tajemnice, poufne informacje... by w odpowiedniej chwili o nich wspomnieć, wzmacniając iluzję.

Vin zmarszczyła czoło.

- Są jeszcze... inne rzeczy, panienko - przyznał kandra. - Waham się, czy o tym wspominać, gdyż nie chcę, byś wyobrażała sobie cierpienia swoich przyjaciół. Jednak często zdarza się, że nasz pan... ten, który później zabija... torturuje swoją ofiarę, by wyciągnąć informacje.

Przymknęła oczy. Dockson wydawał się taki prawdziwy... jego poczucie winy, jego reakcje... tego nie można udawać, prawda?

- A niech to - wyszeptała, otwierając oczy.

Odwróciła się i z westchnieniem otworzyła okiennice. Na dworze było ciemno, a mgły kłębiły się wokół niej, gdy oparła się o parapet i spojrzała na dziedziniec dwie kondygnacje niżej.

- Dox nie jest Allomantą - powiedziała. - Jak mogę się upewnić, że nie jest szpiegiem?

- Nie wiem, panienko - odparł OreSeur. - To nigdy nie jest łatwe.

Vin wyjęła w zamyśleniu kolczyk z brązu - kolczyk jej matki - i zaczęła się nim bawić, patrząc, jak odbija światło. Niegdyś pokrywało go srebro, lecz dawno się wytarło.

- Nienawidzę tego - wyszeptała w końcu.

- Czego, panienko?

- Tej... nieufności. Nienawidzę podejrzewać moich przyjaciół. Myślałam, że już skończyłam z brakiem zaufania do wszystkich wokół mnie. To niczym nóż, który obraca się w ranie, wbijając się głębiej za każdym razem, gdy sprawdzam kogoś z ekipy.

OreSeur siedział przed nią. Przechylił łeb.

- Ale, panienko, udało ci się wyeliminować kilku z nich.

- Tak - odparła. - Ale to tylko zawężyło pole manewru i coraz bardziej zbliża mnie do odkrycia, który z nich nie żyje.

- A czy ta wiedza nie jest czymś dobrym?

Pokręciła głową.

- Nie chcę, żeby to był którykolwiek z nich, OreSeurze. Nie chcę im nie ufać, nie chcę się dowiedzieć, że mieliśmy rację.

Kandra z początku nie odpowiadał. Patrzyła przez okno, mgły powoli krążyły wokół

niej.

- Jesteś szczerą - powiedział w końcu.

Odwróciła się.

- Oczywiście, że tak.

- Przepraszam, panienko. Nie chciałem cię obrazić. Po prostu... Byłem kandrą u wielu panów. Tak wielu z nich było podejrzliwych i nienawidziło wszystkich wokół, że zacząłem uważać, że wasz rodzaj nie potrafi zaufać.

- To głupota - powiedziała, odwracając się znów do okna.

- Wiem - odparł. - Ale ludzie często wierzą w głupoty, jeśli dostaną odpowiednie dowody. W każdym razie, przepraszam. Nie wiem, który z twoich przyjaciół nie żyje, ale przykro mi, że ktoś z mojego rodzaju sprawił ci ból.

- Kimkolwiek jest, wypełnia swój Kontrakt.

- Tak, panienko - powiedział. - Kontrakt.

Vin zmarszczyła czoło.

- Czy możesz się w jakiś sposób dowiedzieć, który kandra ma Kontrakt w Luthadel?

- Przepraszam, panienko, ale to niemożliwe.

- Spodziewałam się tego - stwierdziła. - Czy możesz go znać, kimkolwiek jest?

- Kandra trzymają się blisko siebie, panienko - odpowiedział OreSeur. - I nie ma nas wielu. Istnieje spora szansa, że znam go dobrze.

Vin stuknęła palcem o ramę okienną, zastanawiając się, czy ta informacja może się jej na coś przydać.

- Nie sądzę, by był to Dockson - powiedziała w końcu, zakładając ponownie kolczyk. -

Na razie możemy go pominąć. Jeśli nie znajdę innych śladów, wrócimy do... - Umilkła, gdy coś zwróciło jej uwagę. Przez dziedziniec ktoś szedł.

Ham, pomyślała w pierwszej chwili. Jednak ten ktoś poruszał się w inny sposób.

Odepchnęła osłonę lampy wiszącej na ścianie. Zamknęła się z trzaskiem, lampa zakołysała się i na korytarzu zapanowała ciemność.

- Panienko? - spytał OreSeur, gdy Vin wspięła się na okno, rozjarzając cynę, by wpatrzeć się w mrok.

Z pewnością nie Ham, uznała.

Od razu pomyślała o Elendzie - ogarnęło ją nagłe przerażenie, że kiedy rozmawiała z Docksonem, przyszedł po niego skrytobójcy. Ale było jeszcze wcześniej i Elend z pewnością rozmawiał ze swoimi doradcami. To mało prawdopodobny czas na próbę zabójstwa.

I samotny człowiek? Nie Zane, oceniając po wzroście.

Pewnie tylko strażnik, pomyślała. Dlaczego zawsze muszę być taką paranoiczką?

A jednak... obserwowała, jak postać wchodzi na dziedziniec, i jej instynkty zaczęły działać. Ten ktoś poruszał się w podejrzany sposób, jakby czuł się niepewnie... jakby nie chciał

być zauważony.

- Na ręce - powiedziała do OreSeura, rzucając okrytą tkaniną monetę na dziedziniec.

Wypełnił jej polecenie, a ona wyskoczyła przez okno, opadła dwadzieścia pięć stóp w dół i wylądowała razem z monetą. Wypuściła psa i wskazała głową w mrok. Podążył za nią, gdy ruszyła we mgłę, kuląc się i ukrywając, próbując dobrze przyjrzeć się samotnej postaci.

Mężczyzna szedł szybkim krokiem, kierując się w stronę bocznego skrzydła pałacu, gdzie znajdowało się wejście dla służby. Gdy ją minął, w końcu zobaczyła jego twarz.

Kapitan Demoux.

Usiadła, kryjąc się z OreSeurem przy stercie drewnianych skrzyń. Co wiedziała o Demoux? Był jednym z buntowników skaa zwerbowanych przez Kelsiera przed prawie dwoma laty. Dobrze sobie radził z dowodzeniem i szybko awansował. Był jednym z lojalnych ludzi, którzy pozostali, gdy reszta armii pomaszerowała za Yedenem ku zgubie.

Po Upadku został z ekipą i w końcu awansował na zastępcę Hama. Zbir go porządnie wyszkolił, co mogło tłumaczyć chodzenie w nocy bez pochodni czy latarni. Ale mimo to...

Gdybym miała zastąpić kogoś z ekipy, pomyślała Vin, nie wybrałabym Allomanty... w ten sposób szpieg byłby zbyt łatwy do wykrycia. Wybrałabym kogoś zwyczajnego, kto nie musi podejmować decyzji i nie przyciąga uwagi.

Kogoś bliskiego ekipie, ale niekoniecznie jej członka. Kogoś, kto jest zawsze blisko ważnych spotkań, ale kogo pozostali nie znają aż tak dobrze.

Przeszedł ją dreszcz. Gdyby szpiegiem był Demoux, oznaczałoby to, że żaden z jej bliskich przyjaciół nie został zabity. I oznaczałoby również to, że pan kandry jest sprytniejszy, niż się spodziewała.

Mężczyzna obszedł twierdzę dookoła, a ona podążyła za nim. Cokolwiek jednak robił

tej nocy, już to skończył - gdyż wszedł do środka przez jedno z bocznych wejść, witając się ze

strażnikami.

Vin kryła się w cieniach. Demoux rozmawiał ze strażnikami, czyli nie wyslizgnął się z pałacu. A jednak... rozpoznawała przygarbioną sylwetkę, nerwowe ruchy. Czymś się denerwował.

To on, pomyślała. Szpieg.

I co ma z tym teraz zrobić?

*Było dla mnie miejsce w tradycji Oczekiwania - uważałem się za Głosiciela, proroka, który wedle przepowiedni miał odkryć Bohatera Wieków.*

*Wówczas odrzucenie Alendiego oznaczałoby odrzucenie mojej nowej pozycji i aprobaty pozostałych. Dlatego tego nie zrobiłem.*

- To się nie uda - powiedział Elend, kręcąc głową. - By zdymisjonować członka Zgromadzenia, potrzebujemy jednogłośnie decyzji, pomijając oczywiście osobę, która ma zostać wykluczona. Nigdy nie uda się nam pozbyć wszystkich ośmiu kupców.

Ham wyglądał na nieco przybitego. Elend wiedział, że jego towarzysz lubi uważać się za filozofa, i rzeczywiście dobrze radził sobie z myśleniem abstrakcyjnym. Nie był jednak uczonym. Lubił wymyślać pytania i odpowiedzi, ale nie miał doświadczenia w uważnym czytaniu tekstów, wyszukiwaniu jego znaczeń i implikacji.

Elend spojrzał na Sazedą, który siedział przed nim z otwartą księgą. Opiekuna otaczał

co najmniej tuzin różnych woluminów - choć jego sterty były starannie ułożone, wszystkie grzbiety zwrócone w tę samą stronę, okładki wyrównane. Sterty Elenda były jak zawsze chaotyczne, wystawały z nich kartki z notatkami.

Zabawne, jak wiele książek można upchnąć w jednym pomieszczeniu, zakładając, że nie trzeba się w nim dużo ruszać. Ham siedział na podłodze przy stercie książek, choć przez większość czasu wyrzucał z siebie jeden przypadkowy pomysł po drugim. Tindwyl miała krzesło i niczego nie czytała. Terrisanka uznała za całkowicie dopuszczalne szkolenie Elenda w sprawowaniu władzy, odmówiła jednak pomocy w badaniach i udzielania sugestii, jak może zachować tron. Jej zdaniem w tym momencie przekroczyłaby niewidzialną linię między byciem nauczycielem a siłą polityczną.

Dobrze, że Sazed taki nie jest, pomyślał Elend. Gdyby był, Ostatni Imperator nadal sprawowałby władzę. A Vin i ja bylibyśmy martwi - to Sazed ją uratował, kiedy została uwięziona przez Inkwizytorów. Nie ja.

Nie lubił myśleć o tamtym wydarzeniu. Jego nieudana próba uratowania Vin wydawała mu się symbolem wszystkiego, co robił źle w swoim życiu. Zawsze chciał dobrze, ale rzadko udawało mu się wykazać. To się miało zmienić.

- A co powiecie o tym, Wasza Wysokość?

Tym razem odezwał się ostatni obecny w gabinecie, uczony imieniem Noorden. Elend próbował ignorować skomplikowane tatuaże otaczające oczy mężczyzny, wskazujące, że w poprzednim życiu był obligatorem. Mężczyzna nosił duże okulary, próbując ukryć tatuaże, lecz niegdyś miał wysoką pozycję w Stalowym Zakonie. Mógł odrzucić swoje przekonania, ale wzory na twarzy pozostaną mu do końca życia.

- Co znalazłeś? - spytał Elend.

- Pewne informacje na temat lorda Cetta, Wasza Wysokość - odparł Noorden. -

Znalazłem je w jednym z rejestrów zabranych przez was z pałacu Ostatniego Imperatora.

Wygląda na to, że Cett nie jest tak obojętny wobec polityki Luthadel, jak próbuje nas przekonać. -  
Mężczyzna zaśmiał się cicho.

Elend nigdy wcześniej nie widział objawów wesołości u obligatora. Może dlatego Noorden nie opuścił miasta z większością swoich braci, wyraźnie do nich nie pasował. Teraz był jednym z niewielu skrybów i biurokratów nowego królestwa.

Elend przejrzał kartkę podaną przez Noordena. Choć wypełniały ją liczby, nie słowa, jego umysł uczonego bez trudu wyłapał najważniejsze informacje. Cett dużo handlował z Luthadel, w większości wykorzystując do tego pomniejszych rody jako figurantów. To mogło oszukać szlachetnie urodzonych, ale nie obligatorów, którzy musieli znać szczegóły każdej umowy.

Noorden przekazał rejestr Sazedowi, który przyjrzał się liczbom.

- Czyli - powiedział były obligator - lord Cett chciał się pokazać jako ktoś niezwiązany z Luthadel, jego broda i poza jeszcze podkreślały to wrażenie. Jednak po cichu zawsze prowadził

tu interesy.

Elend pokiwał głową.

- Może uświadomił sobie, że nie można uniknąć polityki, udając, że nie jest się jej częścią. Nie mógłby zdobyć tak wielkiej władzy bez właściwych koneksji.

- I o czym to świadczy? - spytał Sazed.

- Że Cett jest o wiele lepszy w tej grze, niż to po sobie okazuje - odparł Elend, wstając.

W drodze do swojego krzesła zrobił krok nad stertą książek. - Ale tego się można było domyślać, patrząc na sposób, w jaki manipulował wczoraj Zgromadzeniem.

Noorden się roześmiał.

- Szkoda, że sami siebie nie widzieliście, Wasza Wysokość. Kiedy Cett się ujawnił, kilku ze szlachetnie urodzonych podskoczyło w krzesłach! Reszta chyba była zbyt wstrząśnięta...

- Noordenie? - odezwał się Elend.

- Tak, Wasza Wysokość.

- Skup się, proszę, na obecnym zadaniu.

- Dobrze, Wasza Wysokość.

- Sazedzie? - spytał Elend. - Co myślisz?

Sazed uniósł wzrok znad książki - opatrzonej przypisami wersji karty praw miasta, napisanej



własnoręcznie przez Elenda. Terrisanin potrząsnął głową.

- Sądzę, że to była bardzo dobra robota. Widzę niewiele sposobów na powstrzymanie wyboru lorda Cetta, jeśli Zgromadzenie zagłosuje za nim.

- Zbyt kompetentny dla własnego dobra? - zauważył Noorden.

- Nieczęsto mam ten problem, niestety. - Elend westchnął, siadając i trąc oczy.

Zastanawiał się, czy Vin tak się czuje przez cały czas. Spała mniej niż on i zawsze była w ruchu, biegała, walczyła, szpiegowała. A jednak zawsze wydawała się rześka. Elend padał po kilku dniach uważnej lektury.

Skup się, powiedział sobie. Musisz poznać wrogów, by wiedzieć, jak z nimi walczyć.

Musi być jakieś rozwiązanie.

Dockson nadal pisał listy do innych członków Zgromadzenia. Elend pragnął się spotkać z tymi, którzy by tego chcieli. Niestety, miał przeczucie, że niewielu ich będzie. Zdetronizowali go, a teraz dostali łatwe rozwiązanie ich problemów.

- Wasza Wysokość... - powiedział powoli Noorden. - Nie sądzisz, że może powinniśmy pozwolić Cettowi na objęcie władzy. W końcu, czy jest taki zły?

Elend się zamyślił. Zatrudnił byłego obligatora również ze względu na jego odmienne spojrzenie na różne kwestie. Nie należał do skaa, ale nie był też szlachetnie urodzonym wysokiego rodu. Nie był złodziejem, tylko uczonym człowiekiem, który wstąpił do Zakonu, gdyż wolał to niż bycie kupcem.

Dla niego śmierć Ostatniego Imperatora oznaczała katastrofę, która zniszczyła całe jego życie. Nie był złym człowiekiem, ale nie potrafił zrozumieć ciężkiej doli skaa.

- Co sądzisz o prawach, które ustanowiłem, Noordenie? - spytał Elend.

- Są doskonałe, Wasza Wysokość - odparł były obligator. - Wprowadzają w życie ideały dawnych filozofów, zawierają jednak również elementy współczesnego realizmu.

- Czy Cett będzie je szanował?

- Nie wiem. Nigdy go nie poznałem.

- A co ci podpowiada instynkt?

Noorden się zawahał.

- Nie - powiedział w końcu. - Nie jest typem człowieka, który kieruje się prawem. Robi, co zechce.

- Sprowadziłby tylko chaos - dodał Elend. - Popatrz na informacje, które mamy z jego ojczyzny i

podbitych przez niego krain. Panuje tam wrzenie. Pozostawił za sobą zlepek słabych sojuszy i obietnic, a groźby inwazji służą jako nić, która z trudem utrzymuje wszystko w jednym kawałku. Oddanie mu władzy w Luthadel oznacza pierwszy krok do kolejnego upadku.

Noorden podrapał się po policzku, pokiwał z namysłem głową i wrócił do czytania.

Udało mi się go przekonać, pomyślał Elend. Gdybym tylko mógł zrobić to samo z członkami Zgromadzenia.

Tyle że Noorden był uczonym, myślał podobnie jak Elend. Wystarczały mu fakty i logika, a obietnica stabilności liczyła się bardziej od bogactwa. Zgromadzenie to zupełnie inna kwestia. Szlachetnie urodzeni pragnęli powrotu tego, co znali; kupcy liczyli na szansę zdobycia tytułów, o których zawsze marzyli; a skaa bali się rzezi.

Choć to również były uogólnienia. Lord Penrod postrzegał siebie jako patriarchę miasta

- liczącego się arystokratę, który powinien traktować ich problemy z konserwatywną wstrzeźliwością. Kinaler, jeden z robotników z kuźni, uważał, że Środkowe Dominium powinno zaprzyjaźnić się z otaczającymi królestwami, i traktował sojusz z Cettem jako najlepszą drogę zapewnienia bezpieczeństwa Luthadel.

Każdy z dwudziestu trzech członków Zgromadzenia miał swoje przemyślenia, cele i problemy. I takie właśnie było zamierzenie Elenda - w takim środowisku rodziły się nowe idee.

Nie spodziewał się jedynie tego, że wiele z nich będzie sprzecznych z jego własnymi ideałami.

- Miałeś rację, Ham - powiedział, odwracając się.

Ham spojrział na niego, unosząc brew.

- Na samym początku chciałeś, podobnie jak reszta, zawrzeć sojusz z jedną z armii...

oddać miasto w zamian za zapewnienie bezpieczeństwa.

- Pamiętam.

- I tego właśnie pragnie lud - stwierdził Elend. - Z moją zgodą czy bez niej, najpewniej oddadzą miasto Cettowi. Powinniśmy byli postąpić zgodnie z twoim planem.

- Wasza Wysokość? - odezwał się cicho Sazed.

- Tak?

- Z całym szacunkiem, ale nie jest twoim obowiązkiem robienie tego, czego pragnie lud.

Elend zamrugał.

- Brzmisz jak Tindwyl.

- Poznałem niewielu ludzi mądrzejszych od niej, Wasza Wysokość - odparł Terrisanin, spoglądając na kobietę.

- A ja się z wami nie zgadzam - powiedział Elend. - Władca może rządzić jedynie za zgodą ludzi, którymi włada.

- Temu się nie sprzeciwiam, Wasza Wysokość - odparł Sazed. - A przynajmniej wierzę w tę teorię. Nadal jednak uważam, że nie jest twoim obowiązkiem spełnianie życzeń ludu.

Twoim obowiązkiem jest przewodzenie im najlepiej jak potrafisz, w zgodzie z własnym sumieniem. Musisz być wierny, Wasza Wysokość, człowiekowi, którym pragniesz się stać.

Jeśli lud nie pragnie, by taki człowiek mu przewodził, to wybierze sobie kogoś innego.

Elend się zawahał. Ależ tak. Jeśli nie mogę traktować wybiórczo ustanowionych przez siebie praw, nie powinienem też traktować wybiórczo swojej etyki. Tak naprawdę Sazed wypowiedział innymi słowami to, co Tindwyl mówiła o wierze w siebie, lecz jego wyjaśnienie wydawało się lepsze. Bardziej uczciwe.

- Sądzę, że próba domyślenia się, czego pragną ludzie, wywołałaby tylko chaos - mówił

dalej Sazed. - Nie zadowolisz ich wszystkich, Elendzie Venture.

Niewielkie okno gabinetu otworzyło się gwałtownie i do środka wcisnęła się Vin, ciągnąc za sobą pasmo mgły. Zamknęła okno i rozejrzała się po gabinecie.

- Jeszcze więcej? - spytała z niedowierzaniem. - Udało ci się znaleźć więcej książek?

- Oczywiście - odparł Elend.

- Jak dużo ich napisano? - spytała z frustracją w głosie.

Elend otworzył usta, ale gdy ujrzał błysk w jej oczach, jedynie westchnął.

- Nie ma dla ciebie nadziei - powiedział, wracając do listów.

Usłyszał szelest za plecami i chwilę później Vin wylądowała na jednej ze stert książek, jakimś cudem utrzymując na niej równowagę. Pasma mgielnego płaszcz zwiślały wokół niej, rozmazując atrament na liście.

Elend westchnął.

- Ups - powiedziała, odsuwając płaszcz. - Przepraszam.

- Czy naprawdę musisz tak przez cały czas skakać, Vin? - spytał Elend.

Zeskoczyła.

- Przepraszam - powtórzyła, zagryzając wargi. - Sazed mówi, że to dlatego, że Zrodzeni z Mgły lubią siedzieć wysoko, żeby widzieć wszystko, co się dzieje wokół.

Elend pokiwał głową i wrócił do pisania listu. Wolał pisać je samodzielnie, ale ten będzie musiał przepisać skryba. Pokręcił głową. Tyle do zrobienia...

\*\*\*

Vin przyglądała się, jak Elend pisze. Sazed siedział i czytał, podobnie jak jeden ze skrybów Elenda - obligator. Spojrzała na niego, a wtedy nieco się skulił. Wiedział, że nigdy mu nie ufała. Kapłani nie powinni być tacy weseli.

Miała ogromną ochotę powiedzieć Elendowi, czego się dowiedziała o Demoux, ale się zawahała. W gabinecie było zbyt wielu ludzi, a ona nie miała żadnych dowodów - jedynie instynkt. Dlatego powstrzymała się i spojrzała na sterty książek.

W gabinecie panowała głucha cisza. Tindwyl miała szkliste oczy, najpewniej w głowie studiowała jakąś starożytną biografię. Nawet Ham coś czytał, choć przeglądał jedną księgę po drugiej, przeskakując z tematu na temat. Pomyślała o notatkach na temat Głębi i Bohatera Wieków, ale nie mogła się zmusić, by je wyjąć.

Nie mogła mu powiedzieć o Demoux, ale odkryła coś jeszcze.

- Elendzie - powiedziała cicho. - Muszę ci o czymś powiedzieć.

- Hm?

- Kiedy poszliśmy z OreSeurem na kolację, podsłuchałam służących. Mówili, że wielu ich znajomych ostatnio poważnie chorowało. Myślę, że ktoś mógł zrobić coś z naszymi zapasami.

- Tak - powiedział Elend, nie przerywając pisania. - Wiem. Kilka studni w mieście zostało zatrutych.

- Naprawdę?

Pokiwał głową.

- Nie mówiłem ci, kiedy ostatnio do mnie zajrzałaś? Tam właśnie byłem z Hamem.

- Nie mówiłeś mi.

- Myślałem, że tak - stwierdził Elend, marszcząc czoło.

Vin potrząsnęła głową.

- Przepraszam - powiedział. Pocałował ją, po czym wrócił do pisania.

I pocałunek ma wszystko naprawić, pomyślała ponuro, znów siadając na stercie książek.

Tak naprawdę to była głupota - Elend wcale nie musiał powiedzieć jej o tym tak szybko.

A jednak czuła się z tym dziwnie. Wcześniej poprosiłby ją, by coś z tym zrobiła. Teraz najwyraźniej zajął się tym sam.

Sazed westchnął, zamykając księgę.

- Wasza Wysokość, nie mogę znaleźć żadnych luk. Przeczytałem prawo już sześć razy.

Elend pokiwał głową.

- Tego właśnie się obawiałem. Jediną korzyść z prawa mógłbym wyciągnąć, gdybym celowo je źle zinterpretował. A tego nie zrobię.

- Jesteś dobrym człowiekiem, Wasza Wysokość - stwierdził Sazed. - Gdybyś znalazł

lukę w prawie, naprawiłbyś ją. Nawet gdybyś ty jej nie zauważył, zrobiłby to jeden z nas, kiedy poprosiłeś nas o zdanie.

Pozwala, żeby zwracali się do niego „Wasza Wysokość”, pomyślała Vin. Wcześniej próbował ich powstrzymać. Dlaczego teraz im na to pozwala?

Dziwne, że Elend w końcu zaczął się uważać za króla - gdy odebrano mu tron.

- Zaczekaj - odezwała się Tindwyl, skupiając wzrok. - Czytałeś to prawo, zanim zostało uchwalone, Sazedzie?

Sazed się zarumienił.

- Owszem - odparł Elend. - Właściwie uwagi i pomysły Sazedego niezwykle mi pomogły spisać obecny kodeks.

- Rozumiem - powiedziała Tindwyl przez zaciśnięte zęby.

Elend spochmurniał.

- Tindwyl, nie zostałam zaproszona na to spotkanie. Jedyne tolerujemy twoją obecność.

Doceniam twoje rady, ale nie pozwolę ci obrażać przyjaciela i gościa tego domu, nawet jeśli twoje obelgi są zawoalowane.

- Przepraszam, Wasza Wysokość.

- Mnie nie przepraszaj - odparł Elend. - Przeprosisz Sazedego albo opuścisz nasze spotkanie.

Tindwyl przez chwilę siedziała bez ruchu, po chwili jednak podniosła się i wyszła.

Elend nie wydawał się obrażony. Powrócił do pisania.

- Nie musiałeś tego robić, Wasza Wysokość - powiedział Sazed. - Sądzę, że Tindwyl opiera swoje opinie na mój temat na solidnych podstawach.

- Robię, co uważam za słuszne, Sazedzie - odpowiedział Elend, nie przerywając pisania.

- Nie obraż się, przyjacielu, ale przez wiele lat zgadzałeś się, by ludzie źle cię traktowali. W moim domu na to nie pozwolę... Obrażając twoją pomoc przy pisaniu moich praw, obraziła także mnie.

Terrisanin skinął głową i sięgnął po nowy tom.

Vin się nie odezwała.

Tak szybko się zmienia. Jak dawno przybyła Tindwyl? Przed dwoma miesiącami. Nic z tego, co powiedział Elend, nie różniło się od tego, co mówił wcześniej - lecz mówił to w zupełnie inny sposób. Był stanowczy, wyrażał się w sposób, który sugerował, że oczekuje szacunku.

To przez utratę władzy i zagrożenie atakiem dwóch armii, pomyślała Vin. Te naciski zmuszają go do zmiany - albo zrobi krok do przodu i przejmie przywództwo, albo zostanie zmiążdżony. Wiedział o studniach. Co jeszcze odkrył, a jej o tym nie powiedział?

- Elendzie? - odezwała się. - Myślałam dużo o Głębi.

- To cudownie, Vin - powiedział z uśmiechem. - Ale teraz naprawdę nie mam na to czasu...

Pokiwała głową i uśmiechnęła się do niego. Jednakże w jej myślach panował zamęt. Nie jest tak niepewny siebie, jak kiedyś. Nie polega tak bardzo na ludziach.

Już mnie nie potrzebuje.

To była głupia myśl. Elend ją kochał, wiedziała o tym. Większe umiejętności nie sprawią, że będzie się dla niego mniej liczyć. A jednak nie mogła pozbyć się obaw. Już raz ją opuścił, kiedy próbował pogodzić potrzeby rodu ze swoją miłością do niej, i to niemal ją zniszczyło.

Co by się stało, gdyby teraz ją opuścił?

Nie zrobi tego, powiedziała sobie. Jest na to zbyt dobrym człowiekiem.

Tyle że dobrzy ludzie też mogą nie radzić sobie w związkach, prawda? Ludzie oddalali się od siebie - zwłaszcza ci, którzy od początku bardzo się różnili. Wbrew sobie - wbrew temu, co sobie powtarzała - usłyszała słaby głos w głowie.

Głos, którego, jak sądziła, już się pozbyła i nie spodziewała się, że jeszcze go usłyszy.

„Zostaw go pierwsza”, szeptał w głowie Reen, jej brat. „Będzie mniej bolało”.

Vin usłyszała szelest na zewnątrz. Uniosła głowę, lecz dźwięk był za słaby, by usłyszeli go inni. Wstała i podeszła do okna.

- Wracasz na patrol? - spytał Elend.

Odwróciła się i pokiwała głową.

- Mogłabyś przy okazji sprawdzić obronę Cetta w Twierdzy Hasting.

Znów pokiwała głową. Elend uśmiechnął się do niej i wrócił do listów.

Vin otworzyła okno i wyszła w mrok. Zane stał pośród mgły, na kamiennym gzymsie biegnącym pod oknem. Stał pod dziwnym kątem, ze stopami opartymi o ścianę, a ciałem wysuniętym na zewnątrz.

Vin spojrzała w bok i zauważyła kawałek metalu, do którego Przyciągał się Zane, by utrzymać się w miejscu. Kolejny pokaz umiejętności. Uśmiechnął się do niej.

- Zane? - wyszeptała.

Mężczyzna spojrział w górę, a Vin pokiwała głową. Chwilę później oboje wylądowali na metalowym dachu Twierdzy Venture.

Odwróciła się do niego.

- Gdzie się podziewałeś?

Zaatakował.

Odskoczyła, zdziwiona, gdy rzucił się do przodu - wirująca postać w czerni. Jego noże migotały. Opadła z nogami wystającymi poza krawędź dachu, spięta. Pojedynek, pomyślała.

Zane uderzył, jego nóż mignął niebezpiecznie blisko jej gardła, gdy uskoczyła w bok. W

tym ataku było coś dziwnego. Coś bardziej niebezpiecznego.

Vin zakłęta i wyszarpnęła swoje sztylety, odskakując przed kolejnym atakiem. Sztylet Zane'a przeciął powietrze, odcinając jedno z pasm jej płaszcza.

Odwróciła się do niego. Zrobił krok do przodu, lecz nie przyjął pozycji do walki.

Wydawał się pewny siebie, lecz beztroski, jakby podchodził do starego przyjaciela, a nie zaczynał walkę.

Dobra, pomyślała i skoczyła do przodu, tnąc sztyletami.

Zrobił swobodnie krok do przodu, przechylając się lekko i bez trudu unikając ciosu.

Wyciągnął rękę i bez wysiłku chwycił jej drugą dłoń.

Vin zamarła. Nikt nie był tak dobry. Zane spoglądał na nią ciemnymi oczyma.

Bez troski. Niewzruszony.

Spalał atium.

Vin wyrwała się z jego chwytu, odskoczyła do tyłu. Pozwolił jej odejść, patrząc, jak przykuca, a na jej czole pojawiają się kropelki potu. Poczła nagle, ostre ukłucie grozy -

głębokie, pierwotne uczucie. Bała się tego dnia od chwili, gdy dowiedziała się o atium. To była groza świadomości, że jest bezsilna, mimo wszelkich zdolności i umiejętności.

Groza świadomości, że zaraz zginie.

Próbowała odskoczyć, lecz Zane rzucił się do przodu, nim ona zdążyła się poruszyć.

Wiedział, co zrobi, zanim ona sama się tego dowiedziała. Chwycił z tyłu jej ramię, pociągnął ją i rzucił na dach.

Vin uderzyła o metal i sapnęła z bólu. Zane stał nad nią i patrzył z góry, jakby na coś czekał.

Nie zostanę pokonana w ten sposób, pomyślała zdesperowana Vin. Nie zostanę zabita jak szczur w pułapce!

Cięła sztyletem jego nogę, lecz to nie miało sensu. Odrobinę się cofnął - tylko tyle, by jej ostrze nie rozcięło materiału spodni. Była jak dziecko, trzymane na dystans przez o wiele większego, o wiele potężniejszego przeciwnika. Tak musieli się czuć zwykli ludzie, kiedy próbowali z nią walczyć.

Zane stał w mroku.

- O co chodzi? - spytała w końcu.

- Naprawdę go nie macie - powiedział cicho. - Atium Ostatniego Imperatora.

- Owszem - powiedziała.

- Nie macie go ani trochę - stwierdził beznamiętnie.

- Zużyłam ostatni kawałek, gdy walczyłam ze skrytobójcami Cetta.

Przez chwilę stał bez ruchu, po czym odwrócił się i odszedł. Vin usiadła z bijącym sercem, jej ręce drżały. Zmusiła się do wstania, po czym pochyliła się, by podnieść sztylety.

Jeden się wyszczerbił, uderzając o miedziany dach.

Zane znów odwrócił się w jej stronę.



Obserwował ją w ciemnościach, widział jej strach - ale też determinację.

- Mój ojciec chce, żebym cię zabił - powiedział Zane.

Stała i obserwowała go, w jej oczach wciąż czaił się strach. Była silna i dobrze go tłumiała. Wieści dostarczone przez szpiega, słowa Vin podczas odwiedzin w namiocie Straffa, to wszystko była prawda. W tym mieście nie było atium.

- Czy dlatego trzymałeś się z dala? - spytała.

Pokiwał głową i odwrócił się.

- No i? - spytała. - Dlaczego pozwoliłeś mi żyć?

- Nie jestem pewien - przyznał. - Być może jednak cię zabiję. Ale... nie muszę. Nie, by wypełnić jego rozkaz. Mógłbym cię po prostu zabrać, skutek byłby taki sam.

Odwrócił się znów w jej stronę. Spochmurniała, mała, cicha postać we mgle.

- Chodź ze mną - powiedział. - Oboje możemy odejść... Straff utraci swojego Zrodzonego z Mgły, a Elend swojego. Moglibyśmy obu zabrać narzędzia. I być wolni.

Nie odpowiedziała od razu. Po chwili pokręciła głową.

- To... co jest między nami, Zane, to nie to, co myślisz.

- To znaczy? - spytał, robiąc krok do przodu.

Spojrzała na niego.

- Kocham Elenda, Zane. Naprawdę.

I myślisz, że to oznacza, że nie możesz poczuć nic do mnie, pomyślał Zane. A to, co widziałem w twoich oczach, ta tęsknota? To nie jest takie proste, jak sugerujesz, prawda?

Nigdy nie jest.

A jednak, czego mógł się spodziewać?

- To ma sens. Zawsze tak było.

- A co to ma znaczyć? - spytała ostro.

Elend...

- Zabij go - szepnął Bóg.

Zane zacisnął powieki. Nie da się wprowadzić w błąd - nie kobieta, która dorastała na ulicach i miała za przyjaciół złodziei i oszustów. To było trudne. Musi zobaczyć rzeczy, które przerażały Zane'a.

Potrzebowała prawdy.

- Zane? - spytała. Wciąż wydawała się nieco wstrząśnięta jego atakiem, ale tacy jak ona szybko wracali do siebie.

- Nie widzisz podobieństwa? - spytał. - Ten sam nos, te same rysy twarzy? Krócej obcinam włosy, ale kręcą się tak samo. Tak trudno to zobaczyć?

Straciła oddech.

- A komu innemu Straff Venture zaufałby na tyle, by uczynić go swoim Zrodzonym z Mgły? - dodał. - Z jakiego innego powodu miałby dopuścić mnie tak blisko, dzielić się ze mną swoimi planami?

- Jesteś jego synem - wyszeptała Vin. - Bratem Elenda.

Skinął głową.

- Elend...

- Nie wie o moim istnieniu - powiedział Zane. - Zapytaj go kiedyś o seksualne skłonności naszego ojca.

- Powiedział mi. Straff lubi mieć nałożnice.

- Z więcej niż jednego powodu - wyjaśnił Zane. - Więcej kobiet oznacza więcej dzieci.

A więcej dzieci oznacza więcej Allomantów. Więcej Allomantów oznacza większą szansę na Zrodzonego z Mgły syna, który zostanie skrytobójcą.

Mgła krążyła wokół nich, niesiona przez wiatr. Gdzieś na dole zabrzęczała zbroja strażnika.

- Za życia Ostatniego Imperatora nie mogłem dziedziczyć - powiedział Zane. - Wiesz, jak surowi byli obligatorzy. Dorastałem w cieniach, ignorowany. Ty dorastałaś na ulicy, to pewnie było straszne. Ale pomyśl, jak to wyglądało, żyłem jak śmieciarz we własnym domu, nieuznany przez ojca, traktowany jak żebrak. Pomyśl, jak obserwowałem chłopca w tym samym wieku, który dorastał wśród przywilejów. Pomyśl o patrzeniu na jego pogardę dla rzeczy, o których marzyłem. Wygody, próżniactwa, miłości...

- Musisz go nienawidzić - wyszeptała Vin.

- Nienawidzić? - powtórzył Zane. - Nie. Dlaczego miałbym nienawidzić kogoś za to, kim jest? Elend nic mi nie zrobił, nie bezpośrednio. Poza tym Straff w końcu znalazł powód, by mnie potrzebować... po tym, jak złamałem się, a on w końcu dostał to, co przez ostatnie dwadzieścia lat próbował

uzyskać. Nie, nie nienawidzę Elenda. Czasem jednak mu zazdroszczę. Ma wszystko. I wciąż... wydaje mi się, że tego nie docenia.

Vin stała w milczeniu.

- Przykro mi.

Zane gwałtownie odwrócił głowę.

- Nie lituj się nade mną, kobieto. Gdybym był Elendem, nie byłbym Zrodzonym z Mgły.

Nie rozumiałbym mgieł, nie wiedziałbym też, jak to jest dorastać samotnie i pośród nienawiści.

- Odwrócił się i spojrzał jej w oczy. - Czy nie sądzisz, że człowiek bardziej docenia miłość, kiedy przez długi czas musiał się obywać bez niej?

- Ja...

- W każdym razie, nie przyszedłem tu dziś, by narzekać na dzieciństwo. Przyniosłem ostrzeżenie.

Vin stężała.

- Niedawno - powiedział Zane - mój ojciec pozwolił kilku setkom uchodźców przejść przez swoją linię, by udali się do miasta. Wiesz o armii kolosów?

Pokiwała głową.

- Wcześniej zaatakowała i splądrowała miasto Suisna.

Vin ogarnął strach. Suisna znajdowała się o dzień drogi od Luthadel. Kolosy były coraz bliżej.

- Uchodźcy przyszedli do mojego ojca po pomoc - dodał Zane. - Skierował ich do was.

- Aby wzbudzić jeszcze większy strach mieszkańców - powiedziała. - I jeszcze bardziej obciążyć zasoby miasta.

Pokiwał głową.

- Chciałem, żebyś o tym wiedziała. I o uchodźcach, i o moich rozkazach. Rozważ moją propozycję, Vin. Pomyśl o tym mężczyźnie, który twierdzi, że cię kocha. Wiesz, że cię nie rozumie. Gdybyś odeszła, byłoby lepiej dla was obojga.

Vin spochmurniała. Zane uklonił się lekko i skoczył w mrok, Odpychając się od metalowego dachu. Wciąż mu nie wierzyła, jeśli chodzi o Elenda. Widział to w jej oczach.

Cóż, wkrótce zobaczy. Wkrótce zrozumie, co naprawdę myśli o niej Elend Venture.

*Lecz czynię to teraz. Niechaj wszyscy wiedzą, że ja, Kwaan, Dawca Światów z Terris, jestem*

*oszustem.*

Czuła się tak, jakby znowu szła na bal.

Piękna ciemnoczerwona suknia wyglądałaby doskonale na jednym z przyjęć, na których bywała w czasie przed Upadkiem. Sukni nie uszyto według tradycyjnego wzoru, ale nie była również niemodna.

Poprawki w kroju sprawiły, że mogła poruszać się swobodniej, chodzić z większym wdziękiem, obracać się bardziej naturalnie. To z kolei sprawiało, że czuła się piękniejsza.

Stojąc przed lustrem, Vin zastanawiała się, jak by to było, gdyby mogła włożyć tę suknię na prawdziwy bal. I być sobą - nie Valette, niezręczną szlachcianką z wiejskiego dworu. Ani nawet Vin, złodziejką skaa. Sobą.

Umiała sobie wyobrazić taką osobę. Pewną siebie, ponieważ zaakceptowała swoje miejsce jako Zrodzona z Mgły. Pewną siebie, ponieważ zaakceptowała swoje miejsce jako ta, która pokonała Ostatniego Imperatora. Pewną siebie, ponieważ wiedziała, że król ją kocha.

Może mogłabym być i tym, i tym, pomyślała Vin, przeciągając dłońmi wzdłuż boków sukni, ciesząc się dotykiem miękkiej satyny.

- Wyglądasz pięknie, dziecko - powiedziała Tindwyl.

Vin odwróciła się i uśmiechnęła niepewnie.

- Nie mam żadnej biżuterii. Oddałam resztki Elendowi, by miał za co pomóc uciekinierom. I tak nie pasowałaby kolorem do tej sukni.

- Wiele kobiet wykorzystuje biżuterię, by ukryć własną pospolitość - odparła Terrisanka. - Ty nie musisz.

Tindwyl stała przed nią w swojej typowej pozie, z rękami splecionymi na piersi, jej pierścienie i kolczyki migotały. W żadną z jej ozdób nie wprawiono klejnotów - właściwie, większość wykonano z pospolitych materiałów. Żelazo, miedź, cyna z ołowiem.

Feruchemiczne metale.

- Ostatnio nie odwiedzałaś Elenda - zauważyła Vin, odwracając się znów do lustra i upinając włosy drewnianymi spinkami.

- Król szybko zbliża się do punktu, w którym nie będzie potrzebował mojego nauczania.

- Jest już tak blisko? - spytała Vin. - Bycia takim jak ludzie z twoich biografii?

Tindwyl się roześmiała.

- Och nie, dziecko. Od tego jest bardzo daleki.

- Ale...

- Powiedziała, że już nie potrzebuje mojego nauczania - wyjaśniła Terrisanka. - Już wie, że tylko do pewnego stopnia może polegać na słowach innych i dochodzi do punktu, kiedy reszty będzie musiał nauczyć się sam. Byłabyś zaskoczona, dziecko, jak wiele cech dobrego przywódcy przychodzi z doświadczeniem.

- Wydaje mi się zupełnie inny - powiedziała cicho Vin.

- Owszem - potwierdziła Tindwyl. Podeszła bliżej i położyła dłoń na ramieniu Vin. -

Coraz bardziej staje się mężczyzną, którym musiał się stać... tylko nie znał drogi. Choć traktuję go surowo, sądzę, że odnalazłby własną drogę, nawet gdybym się nie pojawiła. Człowiek może się potykać tylko przez określony czas, później albo upada, albo staje wyprostowany.

Vin obejrzała się w lustrze. W czerwonej sukni wyglądała ślicznie.

- Tym ja musiałam się stać. Dla niego.

- Dla niego - zgodziła się Tindwyl. - I dla siebie. W tę właśnie stronę się kierowałaś, zanim zostałam rozproszona.

Vin odwróciła się.

- Pojedziesz dziś z nami?

Terrisanka pokręciła głową.

- To nie moje miejsce. A teraz idź do swojego króla.

\*\*\*

Tym razem Elend nie miał zamiaru wejść do leża swojego wroga bez odpowiedniej eskorty. Dwie setki żołnierzy stały na dziedzińcu, by towarzyszyć mu w drodze na obiad u Cetta, a Ham - w pełni uzbrojony - miał odgrywać rolę jego osobistego strażnika. Spook z kolei powoził. Pozostawał tylko Breeze, który z oczywistych powodów dość nerwowo podchodził

do pomysłu pójścia na tę kolację.

- Nie musisz iść - powiedział mu Elend, gdy zebrali się na dziedzińcu pałacu.

- Naprawdę? - spytał Breeze. - To zostanę tutaj. Bawcie się dobrze!

Elend się skrzywił.

Ham klepnął go po ramieniu.

- Naprawdę powinieneś wiedzieć, że jemu nie można dawać żadnego pola do manewru, Elendzie!

- Mówiłem to, co myślę - stwierdził młody Venture. - Przydałby się nam Uspokajacz, ale nie musi jechać z nami, jeśli nie ma ochoty.

Breeze odetchnął z ulgą.

- Nie czujesz się nawet trochę winny? - spytał Ham.

- Winny? - Powtórzył Breeze, opierając dłoń na lasce. - Mój drogi Hammondzie, czy kiedykolwiek wyrażałem takie ponure i nieciekawe uczucia? Poza tym mam wrażenie, że Cett będzie o wiele miłszy, jeśli mnie nie zobaczy.

Pewnie ma rację, pomyślał Elend, gdy podjechał powóz.

- Elendzie - odezwał się Ham. - Nie sądzisz, że zabieranie ze sobą dwóch setek żołnierzy jest... cóż, nieco ostentacyjne?

- To Cett stwierdził, że nie powinniśmy ukrywać grózb - stwierdził Elend. - Myślę, że dwie setki żołnierzy to i tak niewiele, biorąc pod uwagę, jak bardzo mu nie ufam. I tak będzie miał przewagę pięciu do jednego.

- Ale ty będziesz miał Zrodzoną z Mgły siedzącą kilka miejsc od niego - powiedział ktoś cicho za jego plecami.

Elend odwrócił się z uśmiechem.

- Jakim cudem poruszasz się tak bezgłośnie w takiej sukni?

- Ćwiczyłam - odpowiedziała, biorąc go pod rękę.

I pewnie tak było, pomyślał, wdychając zapach jej perfum i wyobrażając sobie Vin skradającą się korytarzami pałacu w obszernej balowej sukni.

- Powinniśmy jechać - powiedział Ham. Gestem wskazał Elendowi i Vin powóz.

Odjechali, pozostawiając Breeze'a na schodach pałacu.

\*\*\*

Po roku mijania nocami ciemnej Twierdzy Hasting, ujrzienie znów światła w jej oknach wydawało się czymś właściwym.

- Wiesz - powiedział Elend - nigdy w końcu razem nie poszliśmy na bal.

Vin oderwała wzrok od twierdzy. Powóz kołysał się przy akompaniamencie uderzeń setek stóp, właśnie zaczynał zapadać zmrok.

- Kilkanaście razy spotkaliśmy się na balach - mówił dalej Elend - ale nigdy na żaden nie poszliśmy oficjalnie razem. Nigdy nie miałem okazji, by przyjechać po ciebie swoim powozem.

- Czy to naprawdę ważne? - spytała.

Wzruszył ramionami.

- To jest częścią doświadczenia. Albo było. Wszystko otaczał uspokajający ceremoniał: lord przybywał, by towarzyszyć damie, później goście obserwowali i oceniali, jak ta para wygląda razem. Robiłem to dziesiątki razy z dziesiątkami różnych kobiet, ale nigdy z tą, która uczyniłaby to doświadczenie wyjątkowym.

Vin uśmiechnęła się.

- Czy myślisz, że jeszcze będziemy mieli bale?

- Nie wiem, Vin. Nawet jeśli to przeżyjemy... cóż, jak można tańczyć, gdy ludzie umierają z głodu?

Prawdopodobnie myślał o setkach uciekinierów, zmęczonych po podróży, pozbawionych jedzenia i sprzętów przez żołnierzy Straffa, skulonych razem w magazynie, który znalazł dla nich Elend.

Kiedyś tańczyłaś, pomyślała. I wtedy też ludzie umierali z głodu. Ale wtedy było inaczej, Elend nie był królem. Właściwie, jeśli się nad tym zastanowić, on nigdy nie tańczył na tych balach. Czytał i spotykał się z przyjaciółmi, dyskutując, jak uczynić Ostatnie Imperium lepszym miejscem.

- Musi być jakiś sposób, by pogodzić te dwie rzeczy - odezwała się. - Może moglibyśmy urządzać bale i prosić przychodzących na nie szlachetnie urodzonych, by zbierali pieniądze dla ubogich.

Elend się uśmiechnął.

- Pewnie na przyjęcie wydalibyśmy dwa razy więcej pieniędzy niż otrzymalibyśmy datków.

- A wydane przez nas pieniądze trafiłyby do kupców skaa.

Zamyślił się, Vin zaś uśmiechnęła się w duchu. Jakie to dziwne, że trafiłam na jedyne oszczędne arystokratę w mieście. Cóż za parę tworzyli - Zrodzona z Mgły, która czuła się źle, kiedy marnowała monety na skoki, i szlachetnie urodzony, który uważał, że bale są zbyt drogie. Cud, że Docksonowi udało się wyciągnąć z nich tyle pieniędzy, by zapewnić funkcjonowanie miasta.

- Później będziemy się tym martwić - stwierdził Elend, gdy otworzyły się bramy Twierdzy Hasting, ukazując rzędy stojących na baczność żołnierzy.

„Możesz przyprowadzić tyłu swoich ludzi, ilu zechcesz” - taki był czytelny przekaz. „Ja mam więcej”. Właściwie, wkraczali do dziwnej alegorii Luthadel. Dwustu ludzi Elenda otaczało teraz



tysiąc Cetta - których z kolei otaczało dwadzieścia tysięcy z garnizonu Luthadel.

Oczywiście, dalej miasto otaczało niemal sto tysięcy wojsk pod murami. Kolejne warstwy żołnierzy, gotowych do walki. Myśli o balach i przyjęciach szybko umknęły z jej głowy.

Cett nie przywitał ich przy wejściu. Zrobił to żołnierz w prostym mundurze.

- Twoi żołnierze mogą tu zostać - powiedział mężczyzna, gdy wkroczyli przez główne wejście.

Niegdyś potężne pomieszczenie z licznymi kolumnami ozdabiały gobeliny i draperie, lecz Elend zabrał je, by zapewnić fundusze na funkcjonowanie rządu. Cett oczywiście nie przywiózł swoich, więc wewnątrz twierdzy wyglądało surowo. Niczym forteca na linii frontu, nie rezydencja.

Elend odwrócił się do Demoux, a wówczas kapitan kazał swoim ludziom zaczekać przy wejściu. Vin stała przez chwilę, świadomie powstrzymując się przed posłaniem Demoux ostrego spojrzenia. Jeśli rzeczywiście był kandrą, jak ostrzegał ją instynkt, trzymanie go zbyt blisko było niebezpieczne. Chwilami miała ochotę wrzucić go do lochu.

Na szczęście kandra nie mogli robić ludziom krzywdy, więc nie był bezpośrednim zagrożeniem. Miał tylko przekazywać informacje. Poza tym i tak znał już ich największe tajemnice - atak w tej chwili nie miał sensu, zbyt szybko pozbyłaby się przewagi. Gdyby zaczęła i zobaczyła, gdzie idzie, kiedy się wykrada, być może dowiedziałyby się, której armii

- albo frakcji w mieście - donosi.

I dlatego się powstrzymała. Cios może zadać później, gdy nadejdzie właściwa chwila.

Ham i Demoux ustawili swoich ludzi, a później mniejsza straż honorowa - w której znajdowali się Ham, Spook i Demoux - otoczyła Vin i Elenda. Venture skinął na człowieka Cetta i żołnierz poprowadził ich bocznym przejściem.

Nie kierujemy się w stronę wind, pomyślała Vin. Sala balowa Hasting znajdowała się na samym szczycie centralnej wieży twierdzy. Gdy odwiedzała przyjęcia w tej budowli, zawsze wjeżdżała na górę w ciągniętej przez ludzi windzie. Albo Cett nie chciał marnować ludzi na ich obsługę, albo...

Wybrał najwyższą twierdzę w mieście, pomyślała Vin. Która ma też najmniej okien.

Gdyby Cett podciągnął wszystkie windy na górę, twierdza stałaby się bardzo trudna do zdobycia.

Całe szczęście, tego wieczoru nie musieli wspinać się na sam szczyt. Przebyli dwie kondygnacje kręconych schodów - Vin musiała przytrzymywać suknię, by nie ocierała się o kamień - i przewodnik wprowadził ich do dużego, okrągłego pomieszczenia. Wzdłuż całego jego obwodu ciągnęły się witrażowe okna, przedzielane jedynie kolumnami podtrzymującymi sklepienie.

Może to druga sala balowa? - zastanawiała się Vin, podziwiając urodę komnaty. Szkło nie było podświetlone, choć podejrzewała, że na zewnątrz są otwory na światła wapienne. Cett najwyraźniej nie przejmował się takimi rzeczami. Na samym środku sali ustawił duży stół i siedział u jego szczytu.

Już zaczął jeść.

- Spóźniłeś się - zawołał do Elenda - więc zacząłem bez ciebie!

Elend się skrzywił. Na ten widok Cett zarechotał, unosząc kurze udko.

- Wydajesz się bardziej przerażony złamaniem przeze mnie etykiety niż faktem, że sprowadziłem armię, by was podbić, chłopcze! Ale Luthadel pewnie takie jest. Siadaj, zanim wszystko zjem sam.

Elend wyciągnął rękę do Vin i poprowadził ją do stołu. Spook ustawił się w pobliżu schodów i pałac cynę, nasłuchiwał. Ham poprowadził dziesięciu ludzi na miejsce, z którego mogli obserwować jedyne wejścia do sali - to od strony schodów i drzwi dla służby.

Cett zignorował żołnierzy. Jego strażnicy stali przy ścianie po drugiej stronie sali, lecz najwyraźniej nie robiło na nim wrażenia to, że oddział Hama ma nad nimi pewną przewagę liczebną. Syn króla - młodzieniec, który towarzyszył mu na obradach Zgromadzenia - stał u jego boku, czekając w milczeniu.

Jeden z nich musi być Zrodzonym z Mgły, pomyślała Vin. I nadal sądzę, że to Cett.

Elend odsunął dla niej krzesło, po czym usiadł obok. Oboje siedzieli naprzeciwko Cetta.

Mężczyzna nie przerwał jedzenia, gdy jego służby przynieśli talerze dla Vin i Elenda.

Kurze udka, pomyślała Vin, i warzywa w sosie. Chce, żeby to był mało elegancki posiłek - chce, żeby Elend poczuł się niezręcznie.

Młody Venture nie zaczął od razu jeść. Siedział i z namysłem przyglądał się Cettowi.

- Do kata - odezwał się Cett. - Dobre jedzenie. Nie macie pojęcia, jak trudno o porządne posiłki w trakcie podróży.

- Dlaczego chciałeś ze mną rozmawiać? - spytał Elend. - Wiesz, że nie przekonasz mnie do głosowania za tobą.

Cett wzruszył ramionami.

- Pomyślałem, że to może być interesujące.

- Czy chodzi o twoją córkę? - spytał Elend.

- Na Ostatniego Imperatora, nie! - Cett się zaśmiał. - Zatrzymaj to głupiutkie stworzenie, jeśli chcesz. Dzień, w którym uciekła, był najbardziej radosnym w ciągu ostatniego miesiąca.

- A gdybym zagroził, że zrobię jej krzywdę?

- Nie zrobisz tego - stwierdził Cett.

- Jesteś pewien?

Cett się uśmiechnął, pochylając się w stronę Elenda.

- Znam cię, Venture. Obserwowałem cię, studiowałem od miesiący. A później byłeś na tyle miły, że przysłałeś do mnie swojego szpiega. Wiele się od niego dowiedziałem na twój temat! - Cett się roześmiał. - Naprawdę sądziłeś, że nie rozpoznaję jednego z członków ekipy Ocalałego? Wy, arystokraci z Luthadel, sądzącie zapewne, że wszyscy poza miastem są przeklętymi głupcami!

- A jednak posłuchałeś Breeze'a - zauważył Elend. - Pozwoliłeś, by do ciebie dołączył, słuchałeś jego rad. A później wyгнаłeś go, gdy okazało się, że nawiązał zbyt bliskie stosunki z twoją córką... która cię ponoć nie obchodzi.

- Powiedział wam, że z takiego powodu opuścił obóz? - spytał ze śmiechem Cett. -

Ponieważ złapałem go z Allrienne? A niech mnie piorun strzeli! Co mnie obchodzi, że dziewczucha go uwiodła?

- Myślisz, że to ona go uwiodła? - spytała Vin.

- Oczywiście. Szczerze mówiąc, spędziłem z nim tylko kilka tygodni i nawet ja wiem, że nie radzi sobie w kontaktach z kobietami.

Elend przyjmował to spokojnie. Wpatrywał się w niego zmrużonymi oczyma.

- To dlaczego go wyгнаłeś?

Cett odchylił się do tyłu.

- Próbowałem go przeciągnąć na swoją stronę. Odmówił. Uznałem, że zabicie go będzie lepsze od pozwolenia mu na powrót do was. Ale jest zadziwiająco zręczny jak na człowieka swojej postury.

Jeśli on rzeczywiście jest Zrodzonym z Mgły, Breeze w życiu by przed nim nie uciekł, gdyby Cett mu na to nie pozwolił, pomyślała Vin.

- Widzisz więc, Venture - stwierdził Cett. - Znam cię. I to może nawet lepiej, niż ty znasz samego siebie, gdyż wiem, co myślą o tobie twoi przyjaciele. Trzeba być niezwykłym człowiekiem, by zaskarbić sobie lojalność takiej gnidy jak Breeze.

- Dlatego sądzisz, że nie skrzywdzę twojej córki - powiedział Elend.

- Wiem, że tego nie zrobisz. Jesteś szczerzy, tyle o tobie wiem. Niestety, szczerść łatwo wykorzystać... wiedziałem na przykład, że przyznasz się do Uspokajania tłumu przez Breeze'a.

- Cett pokręcił głową. - Szczerzy ludzie nie nadają się na królów, chłopcze. Wielka szkoda, ale tak jest. I dlatego muszę ci odebrać tron.

Elend milczał. W końcu spojrział na Vin. Wzięła jego talerz i powąchała go. Cett zaśmiał się.

- Myślisz, że chcę cię otruć?

- Właściwie nie - odparł Elend, gdy Vin odstawiła talerz. Nie była tak dobra jak niektórzy, ale poznawała najbardziej oczywiste wonie.

- Nie użyłbyś trucizny - stwierdził młody Venture. - To do ciebie nie pasuje. Sam wydajesz się raczej szczerym człowiekiem.

- Jestem bezpośredni - powiedział Cett. - To spora różnica.

- Jeszcze nie powiedziałaś żadnego kłamstwa.

- To dlatego, że nie znasz mnie na tyle dobrze, by zauważyć kłamstwa. - Cett uniósł

tluste place. - Dziś skłamałem już trzy razy. Życzę powodzenia w domyślaniu się, co było kłamstwem.

Elend wbił wzrok w Cetta.

- Drażnisz się ze mną.

- Oczywiście, że tak! Nie rozumiesz, chłopcze? To dlatego właśnie nie powinieneś zostać królem. Zostaw tę robotę ludziom, którzy rozumieją własne zepsucie, i nie pozwól, by zniszczyła ciebie.

- Dlaczego cię to obchodzi? - spytał Elend.

- Bo wolałbym cię nie zabijać.

- To tego nie rób.

Cett pokręcił głową.

- To tak nie działa, chłopcze. Jeśli masz okazję umocnić swoją władzę albo zdobyć jeszcze więcej władzy, robisz to, zaraza. I ja to zrobię.

Znów zapadła cisza. Cett spojrział na Vin.

- Czy Zrodzona z Mgły coś nam powie?

- Przeklinasz - stwierdziła Vin. - Nie powinieneś tego robić w obecności dam.

Cett się roześmiał.

- To właśnie jest problem z Luthadel, dziewczyno. Wszyscy tak bardzo przejmują się

„właściwym” zachowaniem, kiedy ludzie ich widzą... ale jednocześnie nie widzą nic złego w zgwałceniu paru kobiet skaa, gdy przyjęcie się kończy. Ja przynajmniej przeklinam ci prosto w oczy.

Elend nadal nie tknął jedzenia.

- Co się stanie, jeśli wygrasz głosowanie?

Cett wzruszył ramionami.

- Szczerze?

- Szczerze.

- Najpierw naślę na ciebie skrytobójców - stwierdził Cett. - Dawni królowie nie powinni kręcić się po okolicy.

- A jeśli zrezygnuję? - spytał Elend. - Wycofam swoją kandydaturę?

- Zrezygnuj - stwierdził Cett - zagłosuj za mną i wyjedź z miasta, a pozwolę ci zachować życie.

- Co ze Zgromadzeniem? - spytał Elend.

- Rozwiązane. Są obciążeniem. Jeśli tylko dasz jakąś władzę komitetowi, zawsze kończy się to chaosem.

- Zgromadzenie daje władzę ludowi - stwierdził Elend. - Tym właśnie powinien być rząd.

Co dziwne, Cett nie roześmiał się. Zamiast tego znów pochylił się, odrzucając częściowo ogryzione udko.

- I w tym cały problem, chłopcze. Oddanie władzy ludowi to cudowna sprawa, gdy wszystko idzie pięknie, ale co w sytuacji, gdy miasto otaczają dwie armie? Gdy banda oszalałych kolosów niszczy wioski na granicy? To nie czas, gdy możesz pozwolić Zgromadzeniu, by cię zdetronizowało. - Cett potrząsnął głową. - Cena jest zbyt wysoka. Kiedy nie możesz mieć jednocześnie wolności i bezpieczeństwa, chłopcze, co wybierasz?

Elend milczał przez chwilę.

- Sam dokonuję wyboru - powiedział w końcu. - I pozwalam innym, by decydowali o sobie.

Cett uśmiechnął się, jakby się spodziewał takiej odpowiedzi. Sięgnął po kolejne udko.

- Powiedzmy, że odejdę - powiedział Elend. - I powiedzmy, że dostaniesz władzę, ochronisz miasto i rozwiązesz Zgromadzenie. Co potem? Co z ludźmi?

- A co cię to obchodzi?

- Musisz jeszcze pytać? Podobno mnie „rozumiesz”?

Cett uśmiechnął się.

- Skaa wracają do roboty, jak za czasów Ostatniego Imperatora. Żadnych pieniędzy, żadnego wyzwolenia chłopstwa.

- Nie mogę tego przyjąć - stwierdził Elend.

- A dlaczego nie? Tego właśnie chcą. Dałeś im wybór... więc zdecydowali, że cię wyrzucą. Teraz wybiorą mnie. Wiedzą, że zasady Ostatniego Imperatora były najlepsze. Jedna grupa musi rządzić, a druga musi służyć. Ktoś musi uprawiać pola i obsługiwać kuźnię.

- Być może. Ale w jednym się mylisz.

- W czym?

- Nie zagłosują za tobą - powiedział Elend, wstając. - Wybiorą mnie. Mając wybór między wolnością a niewolnictwem, wybiorą wolność. Członkowie Zgromadzenia to najlepsi przedstawiciele miasta i dokonają najlepszego wyboru dla jego mieszkańców.

Cett milczał przez chwilę, po czym się roześmiał.

- Wiesz co, chłopcze, że też ty potrafisz powiedzieć coś takiego i brzmieć, jakbyś mówił to na poważnie!

- Wychodzę, Cett - stwierdził Elend i skinął na Vin.

- Siadaj, Venture - powiedział Cett, wskazując na krzesło. - Nie oburzaj się tylko dlatego, że jestem wobec ciebie szczery. Wciąż mamy coś do omówienia.

- Na przykład?

- Atium - stwierdził Cett.

Elend stał przez chwilę, wyraźnie próbując stłumić irytację. Ponieważ Cett się nie odzywał, w końcu usiadł i zaczął jeść. Vin w milczeniu bawiła się swoim jedzeniem.

Jednocześnie wpatrywała się w twarze żołnierzy i służących Cetta. Musieli być wśród nich Allomanci - gdyby poznała ich liczbę, mogłoby to dać przewagę Elendowi.

- Twój lud umiera z głodu - stwierdził Cett. - A jeśli moi szpiegowie są czegoś wari, właśnie przybyły ci kolejne gęby do wyżywienia. Długo nie wytrzymasz tego oblężenia.

- I co z tego? - spytał Elend.

- Ja mam żywność. I to mnóstwo, więcej niż potrzebuje moja armia. Konserwy, wyprodukowane nową metodą wymyśloną przez Ostatniego Imperatora. Długo wytrzymują, nie psują się. Naprawdę wspaniała technologia. Byłbym skłonny część ci sprzedać...

Elend przerwał z widelcem uniesionym do ust. Opuścił rękę i roześmiał się.

- Nadal myślisz, że mam atium Ostatniego Imperatora?

- Oczywiście, że tak - odparł Cett, marszcząc czoło. - A gdzie indziej by było?

Elend potrząsnął głową, odgryzając kęs polanego sosem ziemniaka.

- Z pewnością nie tutaj.

- Ale... pogłoski...

- Breeze je rozpuszczał - wyjaśnił Elend. - Spodziewałem się, że już się domyśliłeś, dlaczego dołączył do waszej grupy. Chciał, żebyś przybył do Luthadel i w ten sposób powstrzymał Straffa przed zdobyciem miasta.

- Ale Breeze robił wszystko co w swojej mocy, by powstrzymać mnie przed dotarciem tutaj. Bagatelizował pogłoski, próbował odwrócić moją uwagę, nawet... - Cett umilkł i znów roześmiał się na całe gardło. - Myślałem, że miał mnie tylko szpiegować! Wygląda na to, że nie docenialiśmy siebie nawzajem.

- Moim ludziom i tak przydałoby się jedzenie - stwierdził Elend.

- I dostaną je... jeśli zostanę królem.

- Umierają z głodu już teraz.

- I ich cierpienie obciąża ciebie - stwierdził Cett, poważniejąc. - Widzę, że mnie już oceniłeś, Elendzie Venture. Uważasz, że jestem dobrym człowiekiem. Mylisz się. Szczerść nie sprawia, że człowiek nie jest tyranem. Zabiłem tysiące ludzi, by zapewnić sobie władzę.

Obciążylem skaa tak bardzo, że w porównaniu ze mną rządy Ostatniego Imperatora wydają się całkiem przyjemne. Upewniłem się, że zachowam władzę. Tu również tak zrobię.

Zapadło milczenie. Elend jadł, lecz Vin tylko grzebała w jedzeniu. Jeśli przegapiła truciznę, wołała, by jedno z nich zachowało przytomność. Wciąż chciała znaleźć tych Allomantów, a istniał tylko jeden sposób, by zyskać pewność. Zgasła miedź i spaliła brąz.

Nie wyczuwała żadnej Chmura Miedzi - Cetta nie obchodziło, czy ktoś dowie się, że jego ludzie są Allomantami. Dwóch z jego ludzi paliło cynę z ołowiem. Żaden z nich nie był

żołnierzem - obaj udawali służących przynoszących potrawy. W komnacie obok pulsował

Cynooki, nasłuchiwał.

Czemu ukryć Zbirów wśród służących, a nie użyć miedzi, by ukryć ich impulsy? W

dotatku w sali nie było Uspokajaczy ani Podżegaczy. Nikt nie próbował wpływać na uczucia Elenda. Ani Cett, ani jego młody towarzysz nie spalali metali. Albo nie byli Allomantami, albo próbowali to ukryć. Na wszelki wypadek Vin rozjarzyła brąz, próbując przebić ukryte chmury miedzi. Mogła sobie wyobrazić, że Cett wystawił kilku Allomantów jako przynętę, a innych ukrył za chmurą.

Nic nie znalazła. Usatysfakcjonowana, powróciła do zabawy jedzeniem. Jak wiele razy przydała mi się ta umiejętność przebijania chmur miedzi? Zapomniała już, jak to było, nie wyczuwać allomantycznych impulsów. Ta jedna drobna umiejętność - choć wydawała się bardzo prosta - dawała jej ogromną przewagę. A Ostatni Imperator i jego Inkwizytorzy posiadali ją od samego początku. Jakich jeszcze sztuczek nie poznała, jakie inne tajemnice umarły z Ostatnim Imperatorem?

Znał prawdę o Głębi, pomyślała Vin. Musiał. Pod koniec próbował nas ostrzec...

Elend i Cett znów rozmawiali. Dlaczego nie mogła się skupić na problemach miasta?

- Czyli nie macie żadnego atium? - spytał Cett.

- Żadnego na sprzedaż - odparł Elend.

- Przeszukaliście miasto?

- Dziesiątki razy.

- Rzeźby - mruknął Cett. - Może Ostatni Imperator ukrył metal, topiąc go i robiąc coś z niego.

Elend pokręcił głową.

- O tym też pomyśleliśmy. Rzeźby nie są z atium i nie są puste w środku. To byłby dobry sposób na ukrycie metalu przed Allomantą.

Myśleliśmy, że może ukrył je gdzieś w pałacu, ale nawet iglice są z czystego żelaza.

- Jaskinie, tunele...

- Żadnych nie znaleźliśmy - stwierdził Elend. - Wysłaliśmy Allomantów na zwiad, żeby szukali dużych złóż metalu. Zrobiliśmy wszystko, co się tylko dało, poza rozkopaniem całego miasta. Zaufaj mi. Od dawna pracowaliśmy nad tym problemem.

Cett z westchnieniem pokiwał głową.

- Czyli próba zatrzymania cię i wzięcia za ciebie okupu nie miałyby sensu?

Elend się uśmiechnął.



- Nie jestem nawet królem, Cett. To tylko zniechęciłoby Zgromadzenie do głosowania na ciebie.

Cett roześmiał się.

- W takim razie chyba muszę cię wypuścić.

*Alendi nie był Bohaterem Wieków. W najlepszym wypadku wyolbrzymiłem jego cnoty, tworząc Bohatera tam, gdzie go nie było. W*

*najgorszym, obawiam się, że wszystko, w co wierzymy, może być skażone.*

Niegdyś w tym magazynie przechowywano miecze i pancerze, rzucone w stertach na ziemię niczym mityczny skarb. Sazed pamiętał, jak tędy chodził, dziwiąc się skali przygotowań, jakie przeprowadził Kelsier, nie zwracając przy tym uwagi ekipy. Tę broń wykorzystali buntownicy w przeddzień śmierci Ocalałego, dzięki niej zdobyli miasto.

Broń była teraz przechowywana w szafach i zbrojowniach. Na jej miejscu zrozpaczeni, pobici ludzie kulili się pod nielicznymi kocami. Nie widział wielu mężczyzn, a żaden z nich nie nadawał się do walki - tamtych Straff siłą wcielił do swojej armii. Pozostałym - słabym, chorym, rannym - pozwolił udać się do Luthadel, wiedząc, że Elend ich nie odeśle.

Sazed chodził między nimi, próbując dać im pocieszenie. Nie mieli mebli, a w mieście zaczynało brakować nawet ubrań na zmianę. Kupcy, uświadamiając sobie, że tej zimy ciepło będzie wyjątkowo cenne, podnieśli ceny wszystkich towarów, nie tylko żywności.

Ukląkł przy płaczącej kobiecie.

- Spokojnie, Genedere - powiedział. Miedziomyśl przypomniła mu jej imię.

Potrząsnęła głową. Utraciła trójkę dzieci w ataku kolosów, a kolejną dwójkę podczas ucieczki do Luthadel. Teraz ostatnie - niemowlę, które niosła przez całą drogę - zachorowało.

Sazed wziął dziecko i sprawdził jego stan. Niewiele się zmieniło od poprzedniego dnia.

- Czy jest jakaś nadzieja, mistrzu Terrisaninie? - spytała Genedere.

Sazed popatrzył na chude niemowlę o szklistych oczach. Nie wyglądało to dobrze. Ale jak mógł jej to powiedzieć?

- Dopóki oddycha, jest nadzieja, dobra kobieto - powiedział. - Poproszę króla, by zwiększył twoje racje... musisz mieć siłę, by karmić dziecko. Musisz zapewnić mu ciepło.

Trzymaj się blisko ognia i mokrą szmatką podawaj mu wodę do ust, nawet jeśli nie je.

Potrzebuje płynów.

Genedere pokiwała głową i znów wzięła niemowlę. Sazed żałował, że nie może jej dać więcej. Pomyślał o tuzinie różnych religii. Spędził całe życie, zachęcając ludzi, by uwierzyli w coś innego niż Ostatni Imperator. Niestety, w tej chwili nie potrafił mówić Genedere o jednej z nich.

Przed Upadkiem było inaczej. Za każdym razem, gdy Sazed wspominał o religii, miało to posmak buntu. Nawet jeśli ludzie nie przyjmowali tego, co mówił - a rzadko to robili - jego słowa przypominały im, że kiedyś mieli inne wierzenia niż tylko doktryny Stalowego Zakonu.

Teraz nie mieli się przeciwko czemu buntować. Wobec porażającego smutku w oczach Genedere, nie

potrafił opowiadać o od dawna martwych religiach i zapomnianych bóstwach.

To nie ukoi jej bólu.

Sazed podniósł się i ruszył do kolejnej grupki ludzi.

- Sazedzie?

Odwrócił się. Nie widział, jak Tindwyl weszła do magazynu. Drzwi budowli zostały zamknięte przed nocą, a paleniska nie dawały wiele światła. W dachu zrobiono otwory, by wypuszczać dym - gdyby ktoś podniósł wzrok, zobaczyłby pasma mgły wkradające się do środka. Znikały jednak w połowie odległości do ziemi.

Uciekinierzy nie podnosili wzroku.

- Spędziłeś tu niemal cały dzień - zauważyła Tindwyl.

W magazynie panowała zadziwiająca cisza, jak na tak dużą liczbę mieszkańców. Ognie trzaskały, a ludzie leżeli w ciszy, cierpiący lub otepiali.

- Jest tu wielu rannych - odparł. - Wydaje mi się, że ja najlepiej mogę się o nich zatroszczyć. I nie jestem sam... król przysłał innych, jest tu również lord Breeze, Uspokaja ich rozpacz.

Sazed skinął w bok, gdzie Breeze siedział na krześle i ostentacyjnie coś czytał.

Wydawał się tu zupełnie nie na miejscu w swoim trzyczęściowym garniturze. Jednakże sama jego obecność zdaniem Sazedą świadczyła o czymś wyjątkowym.

Ci biedni ludzie, pomyślał Sazed. Ich życie wyglądało strasznie pod rządami Ostatniego Imperatora. Teraz odebrane im nawet te ochłapy, które im pozostały. A ich było i tak niewielu -

cztery setki w porównaniu z setkami tysięcy mieszkającymi w Luthadel.

Co się stanie, gdy skończą się zapasy? Krążyły już pogłoski o zatrutych studniach, a Sazed właśnie usłyszał, że część ich jedzenia również została tak potraktowana. Co się stanie z tymi ludźmi? Jak długo jeszcze będzie trwało oblężenie?

I co się stanie, gdy oblężenie się skończy? Gdy armie w końcu zdecydują się zaatakować i grabić? Jak wiele zniszczeń i smutku spowodują żołnierze w poszukiwaniu ukrytego atium?

- Troszczysz się o nich - powiedziała cicho Tindwyl, podchodząc bliżej.

Odwrócił się do niej i spuścił wzrok.

- Być może nie tak bardzo, jak powinienem.

- Nie - sprzeciwiła się. - Widzę to. Dezorientujesz mnie, Sazedzie.

- Mam chyba taką zdolność.

- Wyglądasz na zmęczonego. Gdzie jest twoja brązmyśl?

Nagle Sazed poczuł zmęczenie. Ignorował ją, lecz jej słowa sprowadziły je na niego niczym falę.

Westchnął.

- Wykorzystałem większość przytomności podczas biegu do Luthadel. Tak bardzo chciałem tu dotrzeć...

Jego badania ostatnio ucierpiały. Ze względu na problemy w mieście i przybycie uciekinierów nie miał wiele czasu. Poza tym przepisał już cały odcisk. Dalsza praca wymagałaby szczegółowego powiązania z innymi dziełami, szukania wskazówek. Pewnie nie będzie miał na to czasu...

Zmarszczył czoło, widząc dziwne spojrzenie Tindwyl.

- No dobrze - powiedziała z westchnieniem. - Pokaż mi.

- Co mam ci pokazać?

- To, co znalazłeś - odparła. - Odkrycie, które kazało ci biec przez dwa dominia. Pokaż mi je.

Nagle wszystko stało się lżejsze do zniesienia. Jego zmęczenie, troski, nawet smutek.

- Z dużą radością - powiedział cicho.

\*\*\*

Kolejna dobra robota, pomyślał Breeze, gratulując sobie w duchu, gdy zobaczył, jak dwoje Terrisan opuszcza magazyn.

Większość ludzi - nawet szlachetnie urodzeni - nie rozumiała Uspokajania. Sądziła, że to rodzaj kontroli nad umysłem, i nawet ci, którzy wiedzieli więcej, uważali Uspokajanie za coś strasznego, agresywnego.

Breeze nigdy tak tego nie postrzegał. Uspokajanie nie było agresywne. Gdyby je za takie uważać, to normalne kontakty z innymi ludźmi były równie agresywne. Właściwie wykonane Uspokajanie nie wpływało na drugiego człowieka bardziej niż duży dekolt u kobiety lub mówienie rozkazującym tonem. Wszystkie trzy wywoływały powszechne, zrozumiałe i - co najważniejsze - naturalne reakcje.

Na przykład Sazed. Czy było „agresywnym” zmniejszenie jego zmęczenia, by mógł

lepiej troszczyć się o uciekinierów? Czy złe było Uspokojenie jego bólu - odrobinę - by lepiej radził sobie z cierpieniem?

Tindwyl to jeszcze lepszy przykład. Niektórzy mogliby uznać, że Breeze się wtrąca, kiedy Uspokoił

jej poczucie odpowiedzialności i rozczarowanie, gdy ujrzała Sazedą. Lecz Breeze nie stworzył uczuć tłumionych przez rozczarowanie. Uczuć takich jak ciekawość.

Szacunek. Miłość.

Nie, gdyby Uspokajanie było prostym „panowaniem nad umysłem”, Tindwyl odwróciłaby się od Sazedą w chwili, gdy wyszli poza zasięg Breeze’a. Lecz on wiedział, że tak się nie stanie. Podjęła kluczową decyzję sama, nie zrobił tego za nią Breeze. Od wielu tygodni sprawy szły w tym kierunku i wszystko wydarzyłoby się również bez udziału Allomanty.

On tylko przyspieszył bieg wydarzeń.

Uśmiechając się pod nosem, Breeze sprawdził zegarek kieszonkowy. Wciąż miał

jeszcze kilka minut. Usiadł wygodniej i wypuścił ogólną falę Uspokajania, łagodząc smutek i ból ludzi. Koncentrując się na tak wielu naraz, nie mógł być bardzo dokładny - niektórzy mogli poczuć się nieco otępiali, gdy Odepchnął ich zbyt mocno. Ale grupie jako całości to pomoże.

Nie czytał swojej książki - właściwie nie rozumiał, jak Elend i reszta mogą spędzać z nimi tak wiele czasu. Były straszliwie nudne. Breeze mógł sobie wyobrazić, jak coś czyta wyłącznie w samotności. Dlatego powrócił do tego, co robił, zanim jego uwagę przyciągnął

Sazed. Obserwował uciekinierów, zastanawiając się, co każdy z nich czuje.

To było kolejne nieporozumienie dotyczące Uspokajania. Allomancja nie była w nim tak ważna jak talent do obserwacji. Oczywiście, delikatność i wyczucie pomagały. Jednakże Uspokajanie nie pozwalało Allomancie poznać ludzkich uczuć. Tych Breeze musiał się domyślać sam.

I znów wszystko powracało do kwestii naturalności. Nawet najbardziej niedoświadczony skaa zorientowałby się, że jest Uspokajany, gdyby nagle w jego głowie pojawiły się niespodziewane uczucia. Prawdziwa subtelność w Uspokajaniu polegała na wzmacnianiu naturalnych uczuć poprzez ostrożne zmniejszenie siły innych emocji. Ludzie byli zlepkiem różnych uczuć. Zazwyczaj, jeśli twierdzili, że coś „czują” w określonej chwili, odnosiło się to jedynie do tych emocji, które właśnie dominowały.

Dobry Uspokajacz widział, co kryje się pod powierzchnią. Rozumiał, co czuje człowiek, nawet jeśli on sam nie rozumiał swoich uczuć albo się do nich nie przyznawał. Tak jak w wypadku Sazedą i Tindwyl.

To dziwna para, pomyślał Breeze, odruchowo Uspokajając jednego ze skaa, rozluźniając go, by mógł łatwiej zasnąć. Reszta ekipy jest przekonana, że są wrogami. Lecz nienawiść rzadko wywołuje taką gorycz i frustrację. Nie, te dwa uczucia wiążą się z zupełnie innymi problemami.

Oczywiście, czy Sazed nie jest eunuchem? Zastanawiam się, jak do tego doszło...

Przerwał swoje spekulacje, gdy otworzyły się drzwi magazynu. Do środka wszedł Elend

- niestety, w towarzystwie Hama. Elend miał na sobie jeden ze swoich białych mundurów, w komplecie z białymi rękawiczkami i z mieczem. Biel była ważnym symbolem - przy całym popiele i sadzy w mieście, człowiek w bieli wyglądał uderzająco. Mundury Elenda uszyto ze specjalnych tkanin odpornych na popiół, a i tak każdego dnia trzeba było je czyścić. Lecz efekt był tego wart.

Breeze natychmiast wychwycił uczucia Elenda i uczynił go mniej zmęczonym, mniej niepewnym - choć to drugie w zasadzie nie było potrzebne. W dużej mierze odpowiadała za to Terrisanka - Breeze był pod wrażeniem jej umiejętności zmieniania ludzkich uczuć bez pomocy Allomancji.

Pozostawił Elendowi uczucie niesmaku i litości - oba pasowały do otoczenia. Dał

jednak kuksańca Hamowi, by zmniejszyć jego kłótniowość - nie był w nastroju do wysłuchiwania jego gadaniny.

Wstał, gdy zbliżyli się do niego. Ludzie unosili głowy na widok Elenda, jego obecność dawała im nadzieję, której Breeze nie mógł stworzyć za pomocą Allomancji. Szeptali, nazywając Elenda królem.

- Breeze - powiedział Elend, skinąwszy głową. - Jest tu Sazed?

- Obawiam się, że przed chwilą wyszedł.

Elend wydawał się rozproszony.

- Cóż - powiedział - znajdę go później. - Rozejrzał się wokół z kwaśną miną. - Ham, chcę, żebyś jutro zebrał kupców bławatnych z ulicy Kenton i sprowadził ich tutaj, żeby to zobaczyli.

- Może im się to nie spodobać.

- Mam taką nadzieję. Ale zobaczymy, jak się będą zapatrywać na swoje ceny po tych odwiedzinach. Rozumiem ceny żywności, biorąc pod uwagę jej brak. Lecz odmawianie ludziom ubrań ma tylko jedną przyczynę, chciwość.

Ham pokiwał głową, lecz Breeze widział niechęć w jego postawie. Czy inni zauważyli, jak bardzo nie lubił konfliktów? Owszem, wyklócał się z przyjaciółmi, ale w swoim filozofowaniu rzadko dochodził do wniosków. A do tego nie cierpiał walczyć z obcymi. Breeze zawsze uważał to za dziwną cechę u kogoś, kto w końcu był zazwyczaj wynajmowany, by bić ludzi. Nieco Uspokoił Hama, by ten nie przejmował się tak konfrontacją z kupcami.

- Chyba nie masz zamiaru spędzić tu całej nocy, Breeze? - spytał Elend.

- Na Ostatniego Imperatora, nie ma mowy! Mój drogi, masz szczęście, że w ogóle udało ci się skłonić mnie do przyścia tutaj. Naprawdę, to nie jest miejsce dla dżentelmena. Brud, przygnębiająca atmosfera... nie wspominając już o smrodzie!

Ham się skrzywił.

- Breeze, pewnego dnia będziesz musiał nauczyć się myśleć o innych.

- Dopóki mogę o nich myśleć z pewnej odległości, Hammondzie, nie ma z tym najmniejszego problemu.

- Nie ma dla ciebie nadziei - - powiedział Ham, kręcąc głową.

- Wracasz do pałacu? - spytał Elend.

- Owszem - odparł Breeze, znów sprawdzając godzinę.

- Podwieźć cię?

- Sprowadziłem swój powóz.

Elend skinął mu głową, odwrócił się do Hama, i po chwili obaj odeszli, rozmawiając o kolejnym spotkaniu Elenda z członkami Zgromadzenia.

\*\*\*

Niedługo potem Breeze pojawił się w pałacu. Skinął głową strażnikom przy wejściu, Uspokajając ich psychiczne zmęczenie. W odpowiedzi unieśli głowy i z nową czujnością wbili wzrok w mgły. Nie potrwa to długo, lecz takie delikatne dotknięcia były dla niego drugą naturą.

Robiło się późno i niewielu ludzi chodziło korytarzami. Przeszedł przez kuchnie, delikatnie zwiększając rozmowność pomywaczek. To sprawi, że praca szybciej im minie. Za kuchniami trafił do niewielkiego kamiennego pomieszczenia, oświetlonego kilkoma prostymi lampami, z niewielkim stołem. To była jedna z jadalni pałacu.

Clubs siedział w kącie łoży, ze sztywną nogą wyciągniętą na ławce. Przywitał Breeze'a ponurym grymasem.

- Spóźniłeś się.

- To ty jesteś za wcześnie - sprzeciwił się Breeze, siadając na ławie naprzeciwko generała.

- To jedno i to samo - mruknął Clubs.

Na stole stał drugi kubek i butelka wina. Breeze rozpiął kamizelkę, westchnął i nalał sobie do pełna, jednocześnie wyciągając nogi na ławce.

Clubs popijał wino.

- Podniosłeś chmurę? - spytał Breeze.

- Jak zawsze w twojej obecności.

Breeze uśmiechnął się, pociągnął łyk i wyraźnie się rozluźnił. Choć Clubs nie miał ostatnio zbyt wiele okazji do wykorzystywania swoich mocy, był Dymiarzem. Kiedy spalał miedź, umiejętności wszystkich Allomantów w otoczeniu stawały się niewidoczne dla tych spalających brąz. Co ważniejsze jednak - przynajmniej dla Breeze'a - spalanie miedzi czyniło starego generała całkowicie niewrażliwym na Allomancję wpływającą na uczucia.

- Nie wiem, czemu jesteś taki szczęśliwy - odezwał się Clubs. - Myślałem, że lubisz się bawić uczuciami.

- Owszem.

- To dlaczego co wieczór pijesz ze mną? - spytał Clubs.

- A przeszkadza ci moje towarzystwo?

Clubs nie odpowiedział. To oznaczało, że nie ma nic przeciwko. Breeze spojrział na gderliwego generała. Większość ekipy trzymała się z dala od niego - Kelsier sprowadził Clubsa w ostatniej chwili, gdyż Chmura Miedzi, z którego usług zwykle korzystali, zginął.

- Wiesz jak to jest, Clubs? - spytał Breeze. - Być Uspokajaczem?

- Nie.

- Daje znaczną władzę. To wspaniałe uczucie, móc wpływać na wszystkich wokół, zawsze czuć, że może się zmienić sposób, w jaki inni reagują.

- Brzmi cudownie - stwierdził beznamiętnie Clubs.

- A jednak to zmienia człowieka. Spędzam większość czasu, obserwując ludzi, popychając, zmieniając, Uspokajając. To mnie odmieniło. Nie... patrzę na ludzi w taki sam sposób. Trudno się z kimś zaprzyjaźnić, jeśli postrzega się go jako coś, na co można wywrzeć wpływ.

Clubs chrząknął.

- To dlatego nie widzimy cię z kobietami.

Breeze pokiwał głową.

- Nic na to nie mogę poradzić. Zawsze dotykam uczuć wszystkich wokół. I dlatego, kiedy kobieta się we mnie zakochuje... - Lubił myśleć, że nie jest agresywny. Jednak jak mógł

zaufać komuś, kto twierdził, że go kocha? Czy ze względu na niego samego, czy jego Allomancję?

Clubs dolał sobie trunku.



- Jesteś głupszy, niż świadczyłoby o tym twoje zachowanie.

Breeze uśmiechnął się. Clubs był jednym z niewielu ludzi, którzy okazali się całkowicie niewrażliwi na jego dotyk. Allomancja nie mogła na niego wpłynąć, a do tego był całkowicie otwarty, jeśli chodzi o uczucia - wszystko wywoływało jego zrzęczenie. Próby manipulowania nim bez użycia Allomancji okazały się stratą czasu.

Breeze wpatrzył się w kubek.

- Zabawne, że z mojego powodu prawie zrezygnowałeś z dołączenia do ekipy.

- Przekłęci Uspokajacze - mruknął Clubs.

- Ale jesteś na nas niewrażliwy.

- Może na waszą Allomancję. Ale wy działacie również inaczej. W obecności Uspokajaczy człowiek zawsze musi być ostrożny.

- To dlaczego co wieczór pijemy razem wino?

Clubs milczał przez chwilę i Breeze niemal spodziewał się, że nie odpowie. W końcu generał mruknął:

- Nie jesteś taki zły jak inni.

Breeze pociągnął łyk wina.

- To chyba najszczerzy komplement, jaki kiedykolwiek usłyszałem.

- Oby ci nie uderzył do głowy.

- Na to już chyba za późno - powiedział Breeze i dopił wino. - Ta ekipa... plan Kelsiera...

zupełnie mnie odmieniły.

Clubs pokiwał głową.

- Co się z nami stało, Clubs? - spytał Breeze. - Ja dołączyłem do Kella, bo to było wyzwanie. Nigdy nie pytałem, dlaczego ty to zrobiłeś.

- Pieniądze.

Breeze pokiwał głową.

- Jego plan się zawalił, jego armia została zniszczona, a my zostaliśmy. Później zginął, i znowu my zostaliśmy. To nieszczęsne królestwo Elenda jest skazane na zagładę, wiesz przecież.

- Nie przetrwamy miesiąca - stwierdził Clubs.

To nie był tylko przesadzony pesymizm, Breeze znał ludzi wystarczająco dobrze, by wiedzieć, kiedy mówią poważnie.

- A jednak tu siedzimy - stwierdził Breeze. - Ja spędzam całe dni, łagodząc cierpienia skaa, którzy utracili rodziny. Ty spędzasz całe dni, szkoląc żołnierzy, którzy, z twoją pomocą czy bez, w obecności zdeterminowanego przeciwnika przeżyją najwyżej kilka uderzeń serca.

Podążamy za młodocianym królem, który nie ma bladego pojęcia, w jak ciężkiej sytuacji się znajduje. Dlaczego?

Clubs potrząsnął głową.

- Przez Kelsiera. Oddał nam miasto, sprawił, że poczuliśmy się za nie odpowiedzialni.

- Ale my tacy nie jesteśmy - sprzeciwił się Breeze. - Jesteśmy złodziejami i kanciarzami.

Nie powinno nas to obchodzić. To znaczy... jest ze mną tak źle, że Uspokajam pomywaczki, żeby im się lepiej pracowało! Równie dobrze mogę zacząć ubierać się na różowo i nosić kwiaty. Zrobiłbym furorę na weselach.

Clubs prychnął i uniósł kubek.

- Za Ocalałego - powiedział. - Niech będzie przeklęty, że znał nas lepiej niż my sami!

Breeze uniósł kubek.

- Niech będzie przeklęty - zgodził się cicho.

Zapadło milczenie. Rozmowa z Clubsem zazwyczaj przeradzała się w... no, brak rozmowy. Mimo to Breeze czuł zadowolenie. Uspokajanie było cudowne, to ono go ukształtowało. Ale była to również praca. Nawet ptaki musiały czasem usiąść.

- Tu jesteś.

Breeze gwałtownie otworzył oczy. Przy wejściu do alkowy stała Allrienne, odziana w blady błękit. Skąd ona brała tyle sukni? Oczywiście była perfekcyjnie umalowana, a we włosach miała wstążkę. Te długie jasne włosy - często widywane na zachodzie, lecz niemal niespotykane w Środkowym Dominium - i ta zaokrąglona, kusząca sylwetka.

Natychmiast poczuł przyływ pożądania. „Nie”, powiedział sobie Breeze. „Jest od ciebie o połowę młodsza. Jesteś obrzydliwym staruchem. Obrzydliwym!”

- Allrienne... - zaczął niepewnie - nie powinnaś już iść spać czy coś w tym rodzaju?

Przewróciła oczami i przesunęła jego nogi, by móc usiąść obok niego na ławce.

- Dopiero dziewiąta, Breeze. A ja mam osiemnaście lat, nie dziesięć.

Szkoda, że tak się zachowujesz, pomyślał, odwracając od niej wzroki próbując skupić się na czymś innym. Wiedział, że powinien być silniejszy, nie powinien pozwalać, by się do niego zbliżała, lecz nic nie zrobił, gdy się przysunęła i pociągnęła łyk z jego kubka.

Westchnął i objął ją ramieniem. Clubs tylko potrząsnął głową, a na jego wargach błąkał się lekki uśmieszek.

\*\*\*

- Cóż - powiedziała cicho Vin - mamy odpowiedź na jedno pytanie.

- Panienko? - odezwał się OreSeur, siedzący po drugiej stronie stołu w ciemnej alkwie.

Wykorzystując Allomancję, doskonale słyszała wszystko, co działo się w sąsiedniej salce.

- Allrienne jest Allomantką - stwierdziła Vin.

- Naprawdę?

Vin pokiwała głową.

- Podzęgała uczucia Breeze'a od chwili, kiedy się pojawiła, przyciągając go do siebie.

- Można by się spodziewać, że to zauważy - stwierdził kandra.

- Owszem - zgodziła się Vin.

Dlaczego tak ją to bawi? Dziewczyna mogła być Zrodzoną z Mgły - choć wizja tej damulki latającej pośród mgieł wydawała się absurdalna.

I pewnie chce, żebym tak właśnie myślała, powiedziała sobie Vin. Muszę pamiętać Kliss i Shan - obie okazały się kimś zupełnie innym niż mi się wydawało.

- Breeze pewnie nie uważa, że jego uczucia są nienaturalne - powiedziała. - Musiała go pociągać już wcześniej.

OreSeur zamknął pysk i przechylił głowę - to była jego psia wersja wykrzywienia ust.

- Wiem - zgodziła się. - Ale przynajmniej wiemy, że to nie on korzysta z Allomancji, by ją uwieść. Tak czy inaczej, nieważne. Clubs nie jest kandrą.

- Skąd możesz o tym wiedzieć, panienko?

Vin zawahała się. Clubs zawsze spalał miedź w obecności Breeze'a - był to jeden z rzadkich wypadków, kiedy korzystał ze swojego talentu. Trudno jednak było stwierdzić, czy ktoś spala miedź. W końcu, jeśli ją wykorzystywali, automatycznie się ukrywali.

Lecz Vin przebijała chmury miedzi. Wyczuwała Podżeganie Allrienne, czuła nawet słabe dudnienie dochodzące od Clubsa, allomantyczny impuls miedzi - przypuszczała, że poza nią i Ostatnim Imperatorem niewielu go słyszało.

- Po prostu wiem - stwierdziła.

- Skoro tak twierdzisz, panienko - zgodził się OreSeur. - Ale... czy nie uznałaś już, że szpiegiem jest Demoux?

- I tak chciałam sprawdzić Clubsa - odparła. - Zanim zrobię coś brutalnego.

- Brutalnego?

Vin przez chwilę milczała. Nie miała wielu dowodów, lecz posiadała instynkt - a ten mówił jej, że Demoux jest szpiegiem. Sposób, w jaki wykradał się w nocy... oczywista logika kryjąca się za jego wyborem... wszystko pasowało.

Wstała. Sytuacja była zbyt niebezpieczna, zbyt delikatna. Nie mogła jej dłużej ignorować.

- Chodź - powiedziała, opuszczając alkowę. - Czas umieścić Demoux w więzieniu.

\*\*\*

- Co to ma znaczyć, że go zgubiłeś? - spytała Vin, stając przed wejściem do komnaty Demoux.

Sługa się zaczerwienił.

- Przepraszam, milady. Obserwowałem go, jak mi rozkazaliście... ale on wyruszył na patrol. Czy miałem go śledzić? Nie sądzicie, że to by wyglądało podejrzanie?

Vin zakłęła pod nosem. Wiedziała jednak, że nie ma prawa się złościć. Powinna była od razu powiedzieć Hamowi, pomyślała z frustracją.

- Milady, on wyszedł zaledwie przed kilkoma minutami - dodał służący.

Vin spojrzała na OreSeura i oboje pobiegli korytarzem. Gdy dotarli do okna, Vin wyskoczyła w noc, a kandra podążył za nią, przebywając niewielką odległość dzielącą ich od dziedzińca.

Kiedy go ostatni raz widziałam, wracał przez bramę na teren pałacu, pomyślała, biegnąc wśród mgły. Znalazła tam dwóch żołnierzy na straży.

- Czy kapitan Demoux tędy przechodził? - spytała ostro, wpadając w krąg światła ich pochodni.

Unieśli głowy, z początku wstrząśnięci, po chwili zdezorientowani.

- Pani Dziedziczko? - odezwał się jeden z nich. - Tak, właśnie wyszedł na patrol, minutę czy dwie temu.

- Samotnie? - spytała.

Pokiwali głowami.

- Czy to nie dziwne?

Wzruszyli ramionami.

- Czasem wychodzi sam - odparł jeden z żołnierzy. - Nie zadajemy pytań. W końcu jest naszym przełożonym.

- W którą stronę? - spytała.

Jeden pokazał kierunek. Vin ruszyła z OreSeurem u boku. Powinnam była lepiej go pilnować. Powinnam była wynająć prawdziwych szpiegów, by go pilnowali. Powinnam była...

Zamarła. Przed sobą ujrzała idącą cichą uliczką postać, kierującą się w stronę centrum.

Demoux.

Rzuciła monetę i wyskoczyła w powietrze, przelatując wysoko nad jego głową.

Wylądowała na dachu budynku. On szedł dalej, niczego nieświadomy. Demoux czy kandra, i tak nie miał żadnych allomantycznych mocy.

Win zawahała się, ze sztyletami w dłoniach, gotowa do skoku. Ale... nadal nie miała żadnych dowodów. Ta jej część, którą odmienił Kelsier, która nauczyła się ufać, myślała o Demoux, którego znała.

Czy naprawdę wierzę, że jest kandrą? - zastanowiła się. A może chcę, żeby był kandrą, bym nie musiała podejrzewać prawdziwych przyjaciół?

Mężczyzna szedł dalej, jej wspomagany cyną słuch bez trudu wychwytywał dźwięk jego kroków. Za plecami Vin OreSeur wdrapał się na dach, po czym podszedł i usiadł obok niej.

Nie mogę zaatakować, pomyślała. Muszę go obserwować, zobaczyć, dokąd idzie.

Zdobyć dowody. Może przy okazji czegoś się dowiedzieć.

Machnęła na OreSeura i w ciszy ruszyli wzdłuż dachów, śledząc Demoux. Wkrótce Vin zobaczyła coś dziwnego - blask ognia rozświetlający mgły kilka ulic dalej, rzucający widmowe cienie na budynki. Vin spojrzała na Demoux, śledząc go wzrokiem, gdy szedł uliczką, kierując się w stronę blasku.

Co...?

Win zeskoczyła z dachu. Wystarczyły trzy skoki, by dotarła do źródła światła. Pośrodku niewielkiego

placu płonęło małe ognisko. Wokół niego kulili się zmarznięci skaa, nieco przerażeni pośród mgieł. Vin zaskoczył ich widok. Od Upadku nie widziała, by skaa wychodzili po zmroku.

Demoux wyszedł z bocznej ulicy i przywitał się z kilkoma spośród nich. W świetle ogniska była pewna, że to on - albo kandra z jego twarzą.

Na placu było około dwustu ludzi. Demoux wykonał ruch, jakby miał zamiar usiąść na kamieniach, lecz ktoś natychmiast przyniósł krzesło. Młoda kobieta podała mu kubek z parującym napitkiem. Przyjął go z wdzięcznością.

Vin wskoczyła na dach, kuląc się, by nikt jej nie zobaczył w blasku ognia. Przybyli kolejni skaa, w większości w grupach, lecz niektórzy szli samotnie.

Vin usłyszała za plecami jakiś odgłos. Odwróciła się i ujrzała OreSeura - który najwyraźniej z trudem doskoczył na taką wysokość - wspinającego się na dach. Spojrzał na ulicę poniżej, pokręcił łbem i podszedł do niej. Uniosła palec do ust i głową wskazała na zebranych ludzi. Kandra na ten widok przechylił łeb, ale nic nie powiedział.

Demoux w końcu wstał, nadal trzymając w ręku parujący kubek. Ludzie zebrali się wokół, siadając na zimnym bruku, kulili się pod kocami lub płaszczami.

- Nie powinniśmy bać się mgieł, przyjaciele - powiedział Demoux. To nie był głos silnego przywódcy czy potężnego dowódcy armii. Był to głos twardego młodzieńca, nieco niepewny, ale i tak fascynujący. - Ocalały tak nas nauczał - kontynuował kapitan. - Wiem, że trudno myśleć o mgłach, nie pamiętając opowieści o mgielnych upiorach i innych potworach.

Lecz Ocalały oddał nam mgły. Poprzez nie powinniśmy pamiętać o nim.

Na Ostatniego Imperatora... pomyślała wstrząśnięta Vin. Jest jednym z nich - członkiem Kościoła Ocalałego! Zawahała się, niepewna co robić. Był kandrą czy nie? Dlaczego kandra miałby się spotykać z grupą takich ludzi? Ale... dlaczego miałby to robić Demoux?

- Wiem, że to trudne - powiedział mężczyzna na dole - bez Ocalałego. Wiem, że boicie się armii. Zaufajcie mi, wiem. Ja też je widziałem. Wiem, jak cierpicie w oblężeniu. Nie... nie wiem, czy mogę wam nawet powiedzieć, żebyście się nie martwili. Ocalały sam wiele przecierpiał... śmierć żony, uwięzienie w Czeluściach Hathsin. Ale przeżył. O to właśnie chodzi, czyż nie? Musimy żyć dalej, choć jest ciężko. W końcu zwyciężymy. Tak samo jak on.

Stał z kubkiem w ręku i wcale nie przypominał kaznodziejów skaa, których widywała Vin. Kelsier wybrał pełnego pasji człowieka, by stworzył jego religię - a raczej doprowadził do rewolucji, z której powstała religia. Kelsier potrzebował przywódców, którzy mogli natchnąć wyznawców, podsycić w nich niszczycielskie wrzenie.

Demoux był inny. Nie krzyczał, mówił spokojnie. A jednak ludzie go słuchali. Siedzieli na kamieniach i wpatrywali się w niego z pełnymi nadziei - a nawet uwielbienia - oczami.

- Pani Dziedziczka - wyszeptał jeden z nich. - Co z nią?

- Na barkach lady Vin spoczywa wielka odpowiedzialność - powiedział Demoux. -

Widzicie, jak ten ciężar ją przytłacza i jak bardzo dręczą ją problemy miasta. To bezpośrednia kobieta i chyba nie podoba jej się politykierstwo Zgromadzenia.

- Ale ochroni nas, tak? - spytał ktoś.

- Tak - odparł Demoux. - Tak sądzę. Czasem myślę, że jest potężniejsza od samego Ocalałego. Wiecie, że on miał tylko dwa lata praktyki w byciu Zrodzonym z Mgły? Ona miała jeszcze mniej czasu.

Vin odwróciła się. I do tego się to sprowadza, pomyślała. Wszyscy mówią rozsądnie, dopóki nie wspominają o mnie, a wtedy...

- Pewnego dnia przyniesie nam pokój - mówił dalej Demoux. - Dziedziczka sprowadzi z powrotem słońce, powstrzyma spadanie popiołu. Ale do tego czasu musimy przeżyć. I musimy walczyć. Dziełem życia Ocalałego było obalenie Ostatniego Imperatora i uwolnienie nas. Jaką okażemy mu wdzięczność, jeśli uciekniemy przed nadchodzącymi armiami? Idźcie i powiedzcie swoim przedstawicielom w Zgromadzeniu, że nie chcecie, by waszym królem był

lord Cett albo lord Penrod. Głosowanie odbędzie się następnego dnia i musimy być pewni, że królem zostanie właściwy człowiek. Ocalały wybrał Elenda Venture, i to za nim musimy podążać.

To coś nowego, pomyślała Vin.

- Lord Elend jest słaby - powiedział ktoś. - Nie obroni nas.

- Lady Vin go kocha - sprzeciwił się Demoux. - Nie pokochałaby kogoś słabego. Penrod i Cett traktują skaa tak, jak kiedyś byli traktowani, i dlatego myślicie, że są silni. Ale to nie siła, to ucisk. Musimy być lepsi! Musimy ufać w osąd Ocalałego!

Vin rozluźniła się na krawędzi dachu. Jeśli Demoux był rzeczywiście szpiegiem, tego wieczoru raczej nie dostarczy jej dowodów. Dlatego schowała sztylety i położyła się na dachu.

Ogień trzaskał w chłodnym powietrzu, dym łączył się z mgłą, a Demoux mówił dalej swoim spokojnym, dodającym otuchy głosem, nauczając o Kelsierze.

To nawet nie jest religia, pomyślała Vin, słuchając go. Teologia jest bardzo prosta -

wcale nie przypomina skomplikowanych wierzeń, o których mówi Sazed.

Demoux nauczał podstawowych pojęć. Kelsiera traktował jako wzorzec, opowiadając o przetrwaniu i znoszeniu wszelkich trudów życia. Vin rozumiała, dlaczego te proste słowa znajdują oddźwięk wśród skaa. Ludzie mieli tak naprawdę dwie możliwości - walczyć dalej albo się poddać. Nauki Demoux dawały im pretekst, by żyć dalej.

Skaa nie potrzebowali rytuałów, modlitw ani przykazań. Jeszcze nie. Mieli zbyt małe doświadczenie z religią jako taką, zbyt jej się bali, by pragnąć takich rzeczy. Ale im dłużej słuchała, tym lepiej rozumiała Kościół Ocalałego. Tego właśnie potrzebowali - ta wiara brała to, co skaa doskonale znali - życie pełne ciężkich doświadczeń - i wyносиła je na wyższy, bardziej optymistyczny poziom.

A nauki wciąż się rozwijały. Ubóstwienia Kelsiera się spodziewała, nawet szacunek wobec niej był zrozumiały. Lecz skąd Demoux wziął obietnice, że Vin powstrzyma popiół i przywróci słońce? Skąd wiedział, że ma nauczać o zielonej trawie i błękitnym niebie, opisując świat znany jedynie z niemal zapomnianych pism?

Opisywał dziwny świat pełen barw i piękna - miejsce obce i trudne do wyobrażenia, a jednak cudowne. Dla tych ludzi kwiaty i zielone rośliny były czymś dziwnym i obcym. Nawet Vin miała problemy z tym, by je sobie wyobrazić, choć słyszała wcześniej opisy Sazed.

Demoux dawał skaa raj. To musiało być coś bardzo odległego od zwykłych doświadczeń, świat bowiem nie był miejscem pełnym nadziei. Nie w obliczu głodnej zimy, oblężenia i zamętu w rządzie.

Win cofnęła się, gdy Demoux zakończył spotkanie. Zastanawiała się przez chwilę jak właściwie się czuje. Niemal miała pewność co do kapitana straży, lecz teraz jej podejrzenia wydawały się bezpodstawne. Wychodził w nocy, owszem, lecz teraz już wiedziała co robi.

Poza tym zachowywał się tak podejrzanie, kiedy wychodził. Po zastanowieniu doszła do wniosku, że kandra wiedziałaby, jak zachowywać się o wiele bardziej naturalnie.

To nie on, pomyślała. A jeśli on, to znalezienie dowodów będzie o wiele trudniejsze niż się spodziewała. Skrzywiła się. Westchnęła, podniosła się i przeszła na drugą stronę dachu.

OreSeur podążył za nią. Spojrzała na niego.

- Kiedy Kelsier kazał ci wziąć swoje ciało - powiedziała - co miałeś mówić tym ludziom?

- Panienko? - spytał kandra.

- Kazał ci się pokazywać, jakbyś był nim, powstałym z grobu.

- Owszem.

- To co miałeś im mówić?

- Proste rzeczy, panienko. Mówiłem im, że nadszedł czas buntu. Mówiłem, że ja...

Kelsier... powróciłem, by dać im nadzieję na zwycięstwo.

„Jestem tym, czego nigdy nie będziesz w stanie zabić, choćbyś próbował”. Tak brzmiały ostatnie słowa Kelsiera, wypowiedziane przed obliczem Ostatniego Imperatora. „Jestem nadzieją”.

„Jestem nadzieją”.



Czy powinno ją dziwić, że to pojęcie stało się kluczowe dla Kościoła, który wokół niego wyrósł?

- Czy kazał ci mówić o takich rzeczach, o jakich przed chwilą mówił Demoux? - spytała.

- O końcu opadów popiołu i żółtym słońcu?

- Nie, panienko.

- Tak myślałam - powiedziała Vin.

Usłyszała szelest na kamieniach poniżej. Spojrzała nad krawędzią budynku i ujrzała Demoux powracającego do pałacu.

Vin opadła na bruk za jego plecami. Mężczyzna usłyszał ją, co dobrze o nim świadczyło, i obrócił się z dłonią na lasce pojedynkowej.

- Pokój, kapitanie - powiedziała, podnosząc się.

- Lady Vin? - spytał zaskoczony.

Skinęła głową i podeszła bliżej, by mógł się jej przyjrzeć. Dogasające ognisko nadal rozświetlało powietrze za jej plecami, kłęby mgły mieszały się z cieniami.

- Nie wiedziałam, że należysz do Kościoła Ocalałego - powiedziała cicho.

Spuścił wzrok. Choć był dobre dwie dłonie wyższy od niej, sprawiał wrażenie, że się kuli.

- Ja... ja wiem, że czujecie się z tym niezręcznie. Przepraszam.

- Nic się nie stało - odparła. - Pomagasz ludziom, to dobre. Elend się ucieszy, gdy dowie się o twojej lojalności.

Demoux podniósł wzrok.

- Musisz mu o tym mówić, pani?

- Musi wiedzieć, w co wierzy jego lud, kapitanie. Dlaczego chcesz, bym utrzymała to w tajemnicy?

Westchnął.

- Ja po prostu... nie chcę, żeby ekipa myślała, że płaszczę się przed ludem. Ham sądzi, że nauczanie o Ocalałym to głupota, a lord Breeze uważa, że Kościół jest potrzebny tylko po to, by ludzie stali się bardziej ulegli.

Wpatrywała się w niego w ciemnościach.

- Ty naprawdę wierzysz, prawda?

- Tak, milady.

- Ale znałeś Kelsiera - powiedziała. - Byłeś z nami niemal od początku. Wiesz, że nie jest bogiem.

Demoux podniósł wzrok. Jego spojrzenie było wyzywające.

- Zginął, by obalić Ostatniego Imperatora.

- To nie czyni go bogiem.

- Nauczył nas jak przeżyć, jak mieć nadzieję.

- Wcześniej też żyliście - sprzeciwiła się. - Ludzie mieli nadzieję, zanim Kelsier został rzucony w czeluście.

- Nie w taki sposób - odparł Demoux. - Poza tym... on miał moc, pani. Czuję to.

Zawahała się. Znała całą historię - Kelsier wykorzystał Demoux jako przykład dla reszty armii w walce ze sceptykiem, kierując jego ciosami za pomocą Allomancji. Dzięki temu Demoux zrobił wrażenie kogoś, kto posiada nadludzkie moce.

- Och, oczywiście, teraz już wiem co to Allomancja - dodał Demoux. - Ale... tamtego dnia czułem, jak Odpycha mój miecz. Czuję, jak wykorzystuje mnie, a jednocześnie sprawia, że staję się kimś więcej. Wydaje mi się, że czasem nadal go czuję. Dodaje mi sił, kieruje moim ostrzem...

Vin zmarszczyła czoło.

- Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie?

Pokiwał głową.

- Tak. Przybyliście do jaskiń, gdzie się ukrywaliśmy w dniu, gdy armia została zniszczona. Pełniłem straż. Milady... już wtedy wiedziałem, że Kelsier po nas przyjdzie.

Wiedziałem, że przybędzie, zbierze tych, którzy dochowali wiary, i poprowadzi nas z powrotem do Luthadel.

Udał się do jaskini, ponieważ go do tego zmusiłam, pomyślała Vin. On chciał zostać zabity, samotnie walcząc przeciw armii.

- Zniszczenie armii to była próba - powiedział Demoux, wpatrując się w mgły. - Te armie... oblężenie... to tylko próby. Żeby sprawdzić, czy przetrwamy.

- A popiół? - spytała Vin. - Gdzie usłyszałeś, że przestanie spadać?

Demoux znów odwrócił się w jej stronę.

- Ocalały tak nauczał, prawda?

Pokręciła głową.

- Wielu ludzi tak uważa - powiedział Demoux. - To musi być prawda. Dobrze pasuje do całej reszty... żółte słońce, niebieskie niebo, rośliny...

- Tak, ale gdzie po raz pierwszy o tym usłyszałeś?

- Nie jestem pewien, pani.

Gdzie usłyszałeś, że to ja je sprowadzę, pomyślała, ale nie mogła się zmusić, by zadać to pytanie. Znała już zresztą odpowiedź - Demoux nie wiedział. Plotki się rozchodziły. Trudno by je było wysledzić do samego źródła.

- Wracaj do pałacu - powiedziała. - Muszę opowiedzieć Elendowi o tym, co widziałam, ale poproszę, żeby nie mówił reszcie ekipy.

- Dziękuję, pani - odparł Demoux z ukłonem.

Odwrócił się i odszedł pospiesznie. Chwilę później Vin usłyszała głośne łupnięcie za plecami - to OreSeur zeskoczył na ulicę.

Odwróciła się.

- A taka byłam pewna, że to on.

- Panienko?

- Kandra - powiedziała, odwracając się w stronę niknącego wśród mgieł Demoux. -

Myślałam, że go znalazłam.

- I?

Potrząsnęła głową.

- To tak jak z Docksonem... myślę, że Demoux wie zbyt wiele, by udawać. Wydaje mi się... prawdziwy.

- Moi bracia...

- Są bardzo utalentowani - dokończyła z westchnieniem. - Tak, wiem. Ale nie aresztujemy go. A przynajmniej nie tej nocy. Będziemy mieć go na oku, choć już nie sędzę, że to on.

OreSeur pokiwał łbem.

- Idziemy - powiedziała. - Chcę zajrzeć do Elenda.

*I tak oto skupiam się na sednie swojego wywodu. Przepraszam. Nawet wykuwając swe słowa w stali, siedząc i wydrapując je w tej lodowatej jaskini, mam tendencje do dygresji.*

Sazed spojrział w stronę okiennic i zauważył, że przez szpary wpadają pierwsze promienie słońca. Już rano, pomyślał. Pracowaliśmy przez całą noc? Nie wydawało się to możliwe. Nie sięgnął do przytomności, lecz czuł się bardziej ożywiony - bardziej żywy - niż przez wiele ostatnich dni.

Tindwyl siedziała na krześle obok niego. Biurko Sazedą pokrywały sterty papierów, dwa komplety piór i kałamarzy czekały na wykorzystanie. Nie było za to żadnych książek -

Opiekunowie ich nie potrzebowali.

- Ach! - westchnęła Tindwyl, chwyciła pióro i zaczęła pisać. Ona również nie wyglądała na zmęczoną, ale z pewnością sięgnęła do brązomyśli i skorzystała ze zmagazynowanej w niej przytomności.

Sazed przyglądał się jej. Znów wyglądała młodo - nie widział na jej twarzy takiego podekscytowania od chwili, gdy przed dziesięciu laty została uwolniona przez Hodowców.

Tego dnia, gdy ukończyła swe wielkie dzieło, dołączyła do braci i sióstr Opiekunów. To właśnie Sazed przedstawił jej zebraną wiedzę, którą zdobywali przez trzydzieści lat, gdy ona w odosobnieniu rodziła dzieci.

Szybko uzyskała miejsce w Synodzie. Wtedy jednak Sazed został już z niego wykluczony.

- Ten fragment pochodzi z biografii króla Wednegona - powiedziała Tindwyl. - Był

jednym z ostatnich przywódców, którzy w walce przeciwstawili się Ostatniemu Imperatorowi.

- Wiem, kim był - odparł z uśmiechem Sazed.

Zawahała się.

- Oczywiście.

Wyraźnie nie była przyzwyczajona do pracy z kimś, kto miał dostęp do równie wielkiego bogactwa informacji co ona. Popchnęła zapisaną przez siebie kartkę w stronę Sazedą

- nawet przy wykorzystaniu myślowych indeksów i notatek, przepisanie przez nią fragmentu zajmowało mniej czasu niż gdyby próbował go odnaleźć w swoich miedziomyślach.

*Spędziłem wiele czasu z królem podczas ostatnich tygodni, czytał.*

*Wydawał się zdenerwowany, co nie jest niczym dziwnym. Jego żołnierze nie mogli się przeciwstawić kolosom Zdobywcy, a jego ludzie raz za razem ponosili klęski od czasu FellSpire. Król nie obwinił jednak swoich żołnierzy. Sądził, że źródło problemów jest inne -*

żywność.

*W ciągu ostatnich dni wspominał o tym kilkakrotnie. Uważał, że gdybyśmy mieli więcej żywności, udałooby mu się utrzymać. O to Wednegon obwinił Głębię. Ponieważ, choć Głębia została pokonana - a przynajmniej osłabiona - jej dotyk uszczuplił zapasy żywności Darrelnai.*

*Jego poddani nie mogli jednocześnie uprawiać roli i przeciwstawiać się demonicznym armiom Zdobywcy. I dlatego właśnie przegrali.*

Sazed powoli pokiwał głową.

- Ile mamy tego tekstu?

- Niewiele - odparła. - Sześć czy siedem stron. A to jedyny fragment, który wspomina o Głębi.

Przez chwilę siedział w milczeniu, po raz kolejny odczytując tekst. W końcu spojrzał na kobietę.

- Sądzisz, że lady Vin ma rację, prawda? Uważasz, że Głębia to mgła.

Skinęła głową.

- Zgadza się - stwierdził Sazed. - A przynajmniej to, co teraz określamy „Głębią”, było jakąś zmianą we mgle.

- A co z twoimi wcześniejszymi argumentami?

- Myliłem się - przyznał, odkładając kartkę. - Co udowodniły twoje słowa i moje własne badania. Nie chciałem, żeby to była prawda, Tindwyl.

Uniosła brew.

- Znow przeciwstawiłeś się Synodowi, ruszając na poszukiwanie czegoś, w co nie chciałeś nawet uwierzyć?

Spojrzał jej w oczy.

- Jest różnica między strachem przed czymś a pragnieniem czegoś. Powrót Głębi może nas zniszczyć. Nie pragnąłem tej informacji... ale nie mogłem też odrzucić okazji, że ją odkryję.

Tindwyl odwróciła wzrok.

- Nie wierzę, że to nas zniszczy, Sazedzie. Dokonałeś wielkiego odkrycia, przyznaję.

Pisma tego Kwaana dają nam wiele informacji. W rzeczy samej, jeśli Głębia to mgła, nasze zrozumienie Wstąpienia Ostatniego Imperatora również uległo pogłębieniu.

- A jeśli mgły rzeczywiście stają się silniejsze? - spytał Sazed. - Jeśli, zabijając Ostatniego

Imperatora, zniszczyliśmy siłę, która nad nimi panowała?

- Nie mamy dowodu, że mgły pojawiają się w ciągu dnia - stwierdziła Tindwyl. - Co zaś się tyczy zabijania przez nie ludzi, mamy jedynie twoje niepewne teorie.

Sazed odwrócił wzrok. Na stole jego palce rozmazały notatkę Tindwyl.

- To prawda - przyznał.

Kobieta westchnęła.

- Dlaczego nigdy się nie bronisz, Sazedzie?

- A co mam na swoją obronę?

- Coś musi być. Przepraszasz i prosisz o wybaczenie, lecz twoje pozorne poczucie winy nigdy nie zmienia twojego zachowania! Nigdy nie myślałeś, że gdybyś mówił bardziej otwarcie, mógłbyś przewodzić Synodowi? Wygnali cię, gdyż odmówiłeś przedstawienia argumentów na swoją korzyść. Jesteś najbardziej pokornym buntownikiem, jakiego znam.

Sazed nie odpowiedział. Spojrzał w bok i ujrzał jej zatroskane oczy. Piękne oczy. Głupie myśli, powiedział sobie w duchu, odwracając wzrok. Zawsze to wiedziałeś. Niektóre sprawy są dla innych, nigdy dla ciebie.

- Miałeś rację co do Ostatniego Imperatora, Sazedzie - powiedziała. - Być może inni podążyliby za tobą, gdybyś był nieco bardziej... uparty.

Pokręcił głową.

- Nie jestem mężczyzną z jednej z tych twoich biografii. Nie jestem nawet mężczyzną.

- Jesteś lepszym mężczyzną niż oni, Sazedzie - powiedziała cicho Tindwyl. - Problem polega na tym, że nie mam pojęcia dlaczego.

Zapadło milczenie. Sazed podniósł się i otworzył okiennice, wpuszczając światło.

Zgasił lampę.

- Dziś odejdę - powiedziała Tindwyl.

- Odejdiesz? - spytał. - Armie mogą cię nie przepuścić.

- Nie miałam zamiaru ich omijać. Planuję je odwiedzić. Przekazałam wiedzę młodemu lordowi Venture, muszę więc zaproponować tę samą pomoc jego przeciwnikom.

- Ach. Rozumiem. Powinienem był się domyślić.

- Wątpię, by mnie wysłuchali tak jak on - dodała. - Venture to wspaniały człowiek.

- Wspaniały król - stwierdził Sazed.

Tindwyl nie odpowiedziała. Spojrzała na stół, na którym leżały rozrzucone notatki, pośpiesznie przepisane z miedziomyśli, a później kilkakrotnie odczytywane.

Czym była w takim razie ta noc? Ta noc nauki, dzielenia się myślami i odkryć?

Wciąż była piękna. Siwiejące kasztanowe włosy, długie i proste. Twarz nosząca ślady życia pełnego udręki, które jednak jej nie złamało. I oczy... bystre oczy, pełne wiedzy i miłości do nauki, jaką mieli jedynie Opiekunowie.

Nie powinienem o tym myśleć, powiedział sobie Sazed. Nie ma w tym celu. Nigdy go nie było.

- W takim razie musisz odejść - stwierdził, odwracając się.

- Znów nie chcesz się kłócić.

- A jaki by to miało sens? Jesteś mądrą i zdecydowaną osobą. Musisz kierować się własnym sumieniem.

- Czasem ludzie wybierają określoną drogę tylko dlatego, że nie dostali innych możliwości.

Sazed odwrócił się znów do niej. W komnacie panowała cisza, jedyne odgłosy dochodziły z dziedzińca. Tindwyl siedziała częściowo w słońcu, jej barwne szaty stawały się coraz bardziej jaskrawe, gdy blask rozpraszał cienie. Wydawało się, że sugeruje coś, czego nie spodziewał się usłyszeć od niej.

- Jestem zdezorientowany - powiedział, siadając powoli. - A co z twoimi obowiązkami Opiekuna?

- Są ważne - przyznała. - Ale należy pozwolić na... pewne, okazjonalne wyjątki. Ten odcisk, który znalazłeś... być może jest wart dalszego badania, zanim odejdę.

Sazed przyglądał się jej, próbując odczytać coś z jej spojrzenia.

Co czuję? - zastanawiał się. Dezorientację? Osłupienie? Obawę?

- Nie mogę być tym, czego oczekujesz, Tindwyl - powiedział. - Nie jestem mężczyzną.

Machnęła obojętnie ręką.

- Przez te lata miałam już dość „mężczyzn” i rodzenia dzieci, Sazedzie. Wypełniłam swój obowiązek wobec Terrisan. Chyba powinnam przez jakiś czas trzymać się od nich z dala.

W głębi duszy czuję do nich niechęć za to, co mi zrobiono.



Otworzył usta, lecz powstrzymała go, unosząc dłoń.

- Wiem, Sazedzie. Sama wzięłam na siebie ten obowiązek i cieszę się, że go wypełniłam. Ale... przez te lata spędzone w samotności, gdy tylko z rzadka spotykałam innych Opiekunów, frustrowało mnie, że wszystkie ich plany miały na celu wyłącznie podtrzymanie statusu podbitego narodu. Poznałam tylko jednego człowieka, który próbował skierować Synod ku aktywnym posunięciom. Kiedy oni planowali, jak pozostać w ukryciu, on chciał atakować.

Gdy oni obmyślali najlepsze sposoby oszukania Hodowców, on spiskował, by doprowadzić do upadku Ostatniego Imperium. Gdy wróciłam do swego ludu, odkryłam, że ten człowiek wciąż walczy. Samotnie. Potępiony za bratanie się ze złodziejami i buntownikami, pokornie przyjął

karę. - Uśmiechnęła się. - I ten człowiek uwolnił nas wszystkich. - Wzięła go za rękę. -

Mężczyźni, o których czytałam, Sazedzie, nie zastanawiali się, jak najlepiej się ukryć.

Walczyli, dążyli do zwycięstwa. Czasami byli zuchwali i inni nazywali ich głupcami. Jednak, gdy kości zostały rzucone i policzono trupy, to oni wszystko zmieniali.

Komnatę w całości wypełniał już blask słońca. Kobieta siedziała, trzymając go za rękę.

Wydawała się... pełna niepokoju. Czy kiedykolwiek widział w niej takie uczucie? Była najsilniejszą kobietą, jaką znał. W jej oczach z pewnością nie mógł widzieć obawy.

- Daj mi usprawiedliwienie, Sazedzie - wyszeptała.

- Byłbym... bardzo zadowolony, gdybyś została - powiedział. Jego druga dłoń spoczywała na stole i drżała lekko.

Tindwyl uniosła brew.

- Zostań - powiedział. - Proszę.

Uśmiechnęła się.

- Dobrze, przekonałeś mnie. Powróćmy do badań.

\*\*\*

O poranku Elend spacerował na szczycie miejskich murów. Miecz u jego boku z każdym krokiem uderzał o kamień.

- Wyglądasz niemal jak król - powiedział ktoś.

Odwrócił się i ujrzał Hama. Było chłodno, w zacienionych zakamarkach między kamieniami nadal migotał szron. Nadchodziła zima. Może już nadeszła. Mimo to Ham nie nosił

płaszczka, jedynie kamizelkę, spodnie i sandały.

Zastanawiam się, czy on w ogóle wie, co to znaczy marznąć, pomyślał Elend. Cyna z ołowiem. Cóż za zadziwiający talent.

- Mówisz, że wyglądam niemal jak król - stwierdził Elend i ruszył dalej wzdłuż muru, a Ham podążył za nim. - Wygląda na to, że strój wymyślony przez Tindwyl zdecydowanie poprawia moją prezencję.

- Nie chodzi mi o ubiór - sprzeciwił się Ham. - Chodzi mi o twoją minę. Od dawna tu jesteś?

- Od wielu godzin. Jak mnie znalazłeś?

- Żołnierze. Zaczynają traktować cię jak dowódcę, Elendzie. Pilnują się, kiedy jesteś w okolicy, stoją bardziej wyprostowani i zaczynają ostrzyć broń, jeśli wiedzą, że będziesz obok nich przechodził.

- Wydawało mi się, że nie spędzasz z nimi zbyt wiele czasu - zauważył Elend.

- Ależ nigdy tego nie mówiłem. Spędzam mnóstwo czasu z żołnierzami... po prostu nie potrafię ich tak zastraszyć, by zostać ich dowódcą. Kelsier zawsze chciał mnie uczynić generałem. Myślę, że w głębi duszy sądził, że zaprzyjaźnianie się z ludźmi jest gorsze od dowodzenia nimi. Może miał rację, ludzie potrzebują przywódców. Po prostu nie chcę być jednym z nich.

- A ja tak - stwierdził Elend, zaskoczony własnymi słowami.

Ham wzruszył ramionami.

- To pewnie dobrze. W końcu jesteś królem.

- W pewnym sensie.

- Wciąż nosisz koronę.

Elend pokiwał głową.

- Wyjście bez niej wydawało mi się niewłaściwe. Wiem, że to brzmi głupio, w końcu noszę ją od niedawna. Ale ludzie muszą widzieć, że ktoś tu dowodzi. Przynajmniej przez najbliższe kilka dni.

Szli dalej. W pewnej odległości Elend widział cień - trzecia armia w końcu przybyła za uciekinierami. Zwiadowcy nie byli pewni, dlaczego dotarcie do Luthadel zajęło kolosom tyle czasu. Smutne opowieści wieśniaków dawały im jednak pewne wskazówki.

Kolossy nie zaatakowały Straffa ani Cetta. Czekwały. Najwyraźniej Jastes w pewnym stopniu nad nimi panował. I tak oto dołączyły do oblężenia, kolejna bestia czekająca na okazję, by rzucić się na Luthadel.

„Kiedy nie możesz mieć jednocześnie wolności i bezpieczeństwa, co wybierasz?”

- Wydajesz się zaskoczony świadomością, że pragniesz władzy - zauważył Ham.

- Po prostu nigdy wcześniej nie wyraziłem tego pragnienia na głos - stwierdził Elend. -

To brzmi tak arogancko, kiedy wypowiadam te słowa. Chcę być królem. Nie chcę, by ktoś inny zajął moje miejsce. Ani Penrod, ani Cett... ani ktokolwiek inny. To miejsce należy do mnie.

Miasto należy do mnie.

- Nie wiem, czy „arogancko” jest tu właściwym słowem, El. Dlaczego chcesz być królem?

- By chronić ludzi - odparł Elend. - By zapewnić im bezpieczeństwo... i prawa. Ale także, by się upewnić, że szlachetnie urodzeni nie padną ofiarą kolejnego buntu.

- To nie jest arogancja.

- Ależ jest, Hamie. Tyle że to rozumiała arogancja. Nie sądzę, by ktokolwiek mógł bez niej przewodzić. Właściwie, chyba wiem, czego brakowało mi przez większość rządów.

Arogancji.

- Pewności siebie.

- Ładniejsza nazwa dla tego samego - powiedział Elend. - Zatrzeszczę się o lud lepiej niż ktokolwiek inny. Muszę tylko znaleźć sposób, by mu to udowodnić.

- Zrobisz to.

- Jesteś optymistą, Ham.

- Ty też - zauważył Ham.

Elend się uśmiechnął.

- To prawda. Ale ta robota mnie zmienia.

- Cóż, jeśli chcesz zachować robotę, powinniśmy wracać do lektury. Został nam tylko jeden dzień.

Elend potrząsnął głową.

- Przeczytałem wszystko, co mogłem. Nie wykorzystam prawa, więc nie ma sensu szukać kolejnych luk, a studiowanie innych ksiąg jako źródeł inspiracji nie działa. Muszę pomyśleć. Przespacerować się...

I tym się właśnie zajęli. W pewnej chwili coś zwróciło uwagę Elenda. Grupa wrogich żołnierzy robiła coś, czego ze względu na odległość nie mógł zobaczyć. Machnął na jednego ze swoich ludzi.

- Co się dzieje? - spytał.

Żołnierz osłonił oczy dłonią i przyjrzał się.

- Kolejna potyczka między ludźmi Cetta i Straffa, Wasza Wysokość.

Elend uniósł brew.

- Często się tak dzieje?

Żołnierz wzruszył ramionami.

- Ostatnio coraz częściej. Zazwyczaj zwiadowcy obu stron wpadają na siebie i zaczyna się walka. Kiedy się wycofują, zostaje kilka ciał. Nic wielkiego, Wasza Wysokość.

Elend pokiwał głową. A jednak to ma znaczenie, pomyślał. Te armie muszą być równie spięte, jak my. Żołnierzom z pewnością nie podoba się tak długie oblężenie, zwłaszcza zimą.

Byli blisko. Przybycie kolosów jedynie zwiększy chaos. Jeśli Elend będzie przesuwiał pionki we właściwy sposób, dojdzie do prawdziwej bitwy między Straffem i Cettem.

Potrzebuję jeszcze tylko trochę czasu, pomyślał, idąc dalej z Hamem u boku.

Najpierw jednak musiał odzyskać tron. Bez władzy był nikim - i nic nie mógł zrobić.

Ciągle myślał o tym problemie. Jednakże po pewnym czasie jego uwagę przyciągnęło coś innego - tym razem w mieście, nie za murami. Ham miał rację - żołnierze rzeczywiście bardziej się prostowali, gdy Elend się do nich zbliżał. Salutowali mu, a on kiwał im głową.

Przez cały czas trzymał dłoń na główicy miecza, jak uczyła go Tindwyl.

Jeśli zachowam tron, będę to zawdzięczał tej kobiecie, pomyślał. Oczywiście, złażałaby go za tę myśl. Powiedziałyby mu, że zachował tron, gdyż na to zasługiwał - gdyż był królem.

Zmieniając siebie, po prostu wykorzystał dostępne środki, by przezwyciężyć wyzwania.

Nie był pewien, czy kiedykolwiek nauczy się patrzeć na to w taki sposób. Ale jego ostatnia lekcja poprzedniego dnia - jakimś sposobem wiedział, że jest ostatnia - nauczyła go czegoś nowego. Nie ma czegoś takiego, jak jeden obowiązujący wzorzec króla. Nie będzie taki jak inni władcy z przeszłości, tak samo jak nie jest Kelsierem.

Będzie Elendem Venture. Jego domeną była filozofia, więc zostanie zapamiętany jako uczonec. I powinien to obrócić na swoją korzyść, bo inaczej w ogóle nie zostanie zapamiętany.

Żaden król nie powinien ujawniać swoich słabości, a mądrzy władcy chwalili się swoimi zaletami.

A jakie są moje zalety? - pomyślał. Dlaczego to właśnie ja mam rządzić miastem i tymi ziemiami?

Owszem, był uczonym - i optymistą, jak zauważył Ham. Nie był mistrzem pojedynków, choć teraz już radził sobie lepiej. Nie był doskonałym dyplomata, choć spotkania ze Straffem i Cettem pokazały, że umie się wybronić.

Kim był?

Szlachetnie urodzonym, który kochał skaa. Zawsze go fascynowali, nawet przed Upadkiem - zanim poznał Vin i pozostałych. Jednym z jego ulubionych zagadnień filozoficznych była próba udowodnienia, że niczym się nie różni od szlachetnie urodzonych.

Gdy się nad tym zastanowił, wydawało mu się to idealistyczne, może nawet trochę afektowane

- i jeśli miał być szczery, musiał przyznać, że większość jego zainteresowania skaa przed Upadkiem była akademicka. Nie znał ich, więc wydawali mu się egzotyczni i interesujący.

Uśmiechnął się. Zastanawiam się, co by pomyśleli robotnicy na plantacjach, gdyby ktoś im powiedział, że są „egzotyczni”.

Potem nadszedł Upadek - bunt przepowiadany w jego księgach i teoriach stał się ciałem.

Jego wiara nie mogła już być tylko akademickim rozważaniem. I poznał skaa - nie tylko Vin i ekipę, ale również robotników i służących. Widział, jak rodzi się w nich nadzieja. Widział, jak w mieszkańcach miasta budzi się szacunek do samych siebie i poczucie własnej wartości, i to go radowało.

Nie porzuci ich.

Tym właśnie jestem, pomyślał Elend, zatrzymując się na murze. Idealistą. Idealistą o skłonnościach melodramatycznych, który mimo swych ksiąg i wykształcenia nigdy nie był

dobrym szlachetnie urodzonym.

- Co? - zapytał Ham, stając obok niego.

Elend odwrócił się w jego stronę.

- Mam pomysł - powiedział.

*Na tym polega problem. Z początku uwierzyłem w Alendiego, jednak później zacząłem się robić podejrzliwy. Owszem, wydawało się, że pasuje do znaków. Lecz cóż, jak mogę to wyjaśnić? Może chodzi o to, że pasował aż za dobrze?*

Jak on może wyglądać na tak pewnego siebie, kiedy ja czuję się tak zdenerwowana, pomyślała Vin, stojąc obok Elenda w sali Zgromadzenia, która powoli napełniała się ludźmi.

Przybyli wcześniej - tym razem Elend stwierdził, że chce robić wrażenie panującego nad sytuacją, gdy będzie witał każdego członka Zgromadzenia po kolei.

Dziś odbędzie się głosowanie.

Vin i Elend stali na podwyższeniu, kiwając głowami członkom Zgromadzenia, którzy wchodzili przez boczne wejście. Ławki na dole powoli się zapełniały. Oczywiście w pierwszych kilku rzędach siedzieli strażnicy.

- Wyglądasz dziś pięknie - powiedział Elend, spoglądając na Vin.

Wzruszyła ramionami. Włożyła białą suknię z lejącego się materiału, z kilkoma warstwami przezroczystej tkaniny na wierzchu. Podobnie jak pozostałe, tak i ta suknia miała nie ograniczać swobody ruchów, a do tego pasowała do nowych strojów Elenda - szczególnie ciemny haft na rękawach. Nie miała już biżuterii, ale upięła włosy kilkoma białymi, drewnianymi spinkami.

- To dziwne - powiedziała - jak szybko znów przyzwyczałam się do noszenia tych sukni.

- Cieszę się z tej zmiany - odparł. - Spodnie i koszula są częścią ciebie... ale to również.

Tą częścią, którą pamiętam z balów w czasach, kiedy prawie się nie znaliśmy.

Vin uśmiechnęła się i spojrzała na niego, a gęstniejący tłum nagle stał się odległy.

- Nigdy ze mną nie zatańczyłeś.

- Przepraszam - powiedział, lekko dotykając jej ręki. - Ostatnio nie mieliśmy dla siebie zbyt wiele czasu, prawda?

Pokręciła głową.

- Zajmę się tym - obiecał. - Gdy skończy się to zamieszanie, gdy odzyskam tron, możemy zająć się sobą.

Vin pokiwała głową, po czym obróciła się gwałtownie, gdy zauważyła poruszenie za plecami. Członek Zgromadzenia idący na swoje miejsce.

- Jesteś nerwowa - zauważył Elend, marszcząc czoło. - Bardziej niż zwykle. O czymś nie wiem?

Znowu tylko pokręciła głową.

Elend przywitał członka Zgromadzenia, jednego ze skaa, męskim uściskiem dłoni. Vin stała u jego boku, jej wcześniejsza tęsknota wyparowała niczym mgła, gdy wróciła do rzeczywistości.

Co mnie dręczy?

Salę wypełniał tłum - każdy pragnął być świadkiem wydarzeń tego dnia. Elend został zmuszony do ustawienia strażników przy drzwiach, by utrzymać porządek. Ale nie tylko liczba ludzi wywoływała jej zdenerwowanie. Całe to wydarzenie wydawało jej się... niewłaściwe.

Ludzie zbierali się niczym padlinożercy wokół gnijącego truchła.

- To niewłaściwe - powiedziała, chwytając Elenda za ramię, kiedy skaa odszedł. - Rządy nie powinny się zmieniać pod wpływem argumentów z mównicy.

- To, że w przeszłości czegoś takiego nie było, nie oznacza jeszcze, że nie powinno się wydarzyć - odparł Elend.

- Coś pójdzie nie tak, Elendzie. Cett cię zaskoczy, być może Penrod również. Ludzie tacy jak oni nie będą siedzieć cicho i czekać, aż głosowanie zdecyduje o ich losie.

- Wiem - odparł. - Ale nie tylko oni mają w zanadrzu niespodzianki.

Spojrzała na niego pytająco.

- Coś planujesz?

Zawahał się.

- Ja... cóż, ja i Ham coś wczoraj wymyśliliśmy. Wybieg. Próbowałem znaleźć sposób, by ci o tym opowiedzieć, ale nie było czasu. Musieliśmy działać szybko.

Vin skrzywiła się, wyczuwając jego obawę. Spojrzała mu w oczy. Wydawał się nieco zawstydzony.

- O co chodzi? - spytała.

- Cóż... w pewnym sensie wiąże się to z tobą i twoją reputacją. Miałem zamiar poprosić o zgodę, ale...

Vin przeszedł dreszcz. Za ich plecami ostatni z członków Zgromadzenia zajął swoje miejsce i Penrod wstał, by poprowadzić spotkanie. Spojrzał w stronę Elenda, chrząkając.

Elend zaklął pod nosem.

- Posłuchaj, nie mam czasu na wyjaśnienia - stwierdził. - To nic wielkiego, może nawet nie zdobędzie mi tak wielu głosów. Ale, cóż, musiałem spróbować. I to nic nie zmienia. To znaczy, między nami.

- Co?

- Lordzie Venture - odezwał się Penrod. - Czy jesteś gotów, by rozpocząć te obrady?

Zapadła cisza. Vin i Elend wciąż stali pośrodku podwyższenia, między mównicą a miejscami członków Zgromadzenia. Spojrzała na niego, rozdarta między przerażeniem, dezorientacją i uczuciem, że została oszukana.

Czemu mi nie powiedziałeś? - pomyślała. Jak mogę być gotowa, skoro nie powiedziałeś mi, co planujesz? I... dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Przepraszam - powiedział i odszedł w stronę swojego miejsca.

Vin pozostała sama na wprost widowni. Kiedyś takie zainteresowanie by ją przeraziło.

Nadal czuła się z nim niezręcznie. Lekko pochyliła głowę i ruszyła w stronę swojego miejsca na tylnych ławkach.

Hama tam nie było. Vin zmarszczyła czoło i zaczęła się rozglądać, gdy Penrod rozpoczął obrady. Tam, pomyślała, znajdując Hama na widowni, siedzącego spokojnie wśród skaa. Grupa najwyraźniej rozmawiała cicho, lecz nawet za pomocą cyny Vin nie udałoby się wyłapać ich głosów pośród tłumu. Breeze stał z kilkoma żołnierzami Hama na tyłach sali.

Nieważne, czy wiedzieli o planie Elenda - i tak byli za daleko, by mogła ich wypytać.

Zirytowana, zebrała suknie i usiadła. Nie czuła się tak ślepa od...

Od tamtej nocy przed rokiem, pomyślała, w tamtej chwili, zanim domyśliliśmy się, na czym polega prawdziwy plan Kelsiera, w chwili, gdy zdawało mi się, że cały świat wali się wokół mnie.

Może to był dobry znak? Czyżby Elend doznał w ostatniej chwili politycznego olśnienia? Nieważne, że się nim z nią nie podzielił - pewnie i tak nie zrozumiałaby podstawy prawnej.

Ale... wcześniej zawsze dzielił się ze mną swoimi planami.

Penrod wciąż gadał, do maksimum wykorzystując swój czas przed obliczem Zgromadzenia. Cett siedział na ławie z przodu sali, otoczony przez około dwudziestu żołnierzy, a na jego twarzy malowało się zadowolenie. I nic dziwnego. Z tego, co słyszała, Cett mógł bez trudu zdobyć przewagę.

Ale co planował Elend?

Penrod zagłosuje na siebie, pomyślała Vin. Podobnie jak Elend. Zostają dwadzieścia dwa głosy. Kupcy są za Cettem, tak samo skaa. Za bardzo boją się armii, by zagłosować na kogoś innego.

Pozostają tylko szlachetnie urodzeni. Niektórzy zagłosują na Penroda - jest najpotężniejszym arystokratą w mieście, a wielu z członków Zgromadzenia to jego wieloletni sojusznicy. Lecz nawet



jeśli zdobędzie połowę szlachetnie urodzonych - co jest mało prawdopodobne - Cett i tak zwycięży. Do objęcia władzy potrzebuje jedynie dwóch trzecich głosów.

Ośmiu kupców, ośmiu skaa. Szesnastu ludzi po stronie Cetta. Zwycięży. Co mógł zrobić Elend?

Penrod wreszcie skończył przemowę otwierającą obrady.

- Nim jednak zagłosujemy - powiedział - chciałbym dać trochę czasu kandydatom, by mogli wygłosić ostatnie słowa. Lordzie Cetcie, zapraszam.

Cett potrząsnął głową.

- Wygłosiłem już swoje propozycje i groźby, Penrodzie. Wiecie wszyscy, że musicie głosować na mnie.

Vin skrzywiła się. Wydawał się tak pewny siebie, a jednak... Wpatrzyła się w tłum i jej spojrzenie padło na Hama. Rozmawiał z kapitanem Demoux. A obok nich siedział jeden z mężczyzn, którzy podążali za nią na targu. Kapłan Ocalałego.

Odwróciła się i przyjrzała się Zgromadzeniu. Skaa wydawali się niezbyt pewni siebie.

Spojrzała na Elenda, który powstał, by zająć swoje miejsce przed mównicą. Powróciła jego wcześniejsza pewność siebie, w białym mundurze wyglądał władczo. Nadal nosił koronę.

„To nic nie zmienia”, powiedział. „Między nami”.

„Przepraszam”.

Coś, co wykorzysta jej reputację, by zdobyć dla niego głosy. Jej reputacja była reputacją Kelsiera, i tylko skaa to obchodziło. A był jeden łatwy sposób, by mieć na nich wpływ...

- Przystąpiłeś do Kościoła Ocalałego, prawda? - wyszeptała.

Reakcje skaa w Zgromadzeniu, logika chwili, słowa Elenda, to wszystko nagle nabrało sensu. Jeśli Elend przystąpił do Kościoła, skaa mogli bać się zagłosować przeciwko niemu. On zaś nie potrzebował szesnastu głosów, by zdobyć tron - jeśli Zgromadzenie nie wybierze innego kandydata, on zwycięża. Z ośmioma skaa i swoim własnym głosem uniemożliwiłby pozostałym obalenie go.

- Bardzo sprytne - wyszeptała.

Podstęp mógł nie zadziałać. Wszystko zależało od tego, jak wielki wpływ miał Kościół

Ocalałego na reprezentantów skaa w Zgromadzeniu. Jednak nawet gdyby jacyś skaa zagłosowali przeciwko Elendowi, z pewnością kilku szlachetnie urodzonych zagłosowałoby na Penroda. Gdyby było ich wystarczająco wielu, Elend wciąż doprowadziłby do klinczu i zachował tron.

Ceną zaś była jego uczciwość.

To niesprawiedliwe, pomyślała. Skoro Elend przystąpił do Kościoła Ocalałego, to z pewnością był gotów wypełnić złożone przez siebie obietnice. A gdyby Kościół zyskał

oficjalne poparcie, mógłby się stać w Luthadel równie potężny jak wcześniej Stalowy Zakon.

I... jak by to zmieniło sposób, w jaki ją postrzegał?

„To nic nie zmienia”, obiecał jej.

Słyszała, że zaczyna mówić, i teraz odniesienia do Kelsiera wydawały jej się oczywiste.

Czuła jednak tylko niewielki niepokój. Słowa Zane’a się sprawdzały. Była nożem - innym rodzajem noża, ale wciąż narzędziem. Sposobem, dzięki któremu Elend zapewni bezpieczeństwo Luthadel.

Powinna być wściekła, a przynajmniej źle się czuć. Dlaczego cały czas obserwowała tłum? Dlaczego nie mogła się skupić na słowach Elenda, na tym, jak ją wynosił? Dlaczego była tak napięta?

I dlaczego ci mężczyźni poruszali się dyskretnie na obrzeżach sali?

\*\*\*

- Dlatego - powiedział Elend - z błogosławieństwem samego Ocalałego, proszę was, byście na mnie głosowali.

Czekał w ciszy. To było drastyczne posunięcie - wstąpienie do Kościoła Ocalałego oznaczało, że jakaś zewnętrzna grupa ma teraz nad nim duchową władzę. Lecz Ham i Demoux uważali to za dobry pomysł. Większość poprzedniego dnia Elend spędził, rozpowszechniając wśród skaa informację o swojej decyzji.

Wydawało mu się, że to dobry ruch. Martwił się jedynie o Vin. Nie podobało jej się, jak traktuje ją Kościół Ocalałego, a skoro Elend do niego przystąpił, oznaczało to, że przynajmniej teoretycznie akceptował jej rolę w mitologii Kościoła. Spróbował pochwycić jej spojrzenie, lecz ona na niego nie patrzyła. Wpatrywała się w widownię.

Elend zmarszczył czoło. Vin wstała.

Mężczyzna na przodzie widowni nagle odepchnął dwóch żołnierzy w przednim rzędzie i skoczył nadnaturalnie daleko, lądując na podwyższeniu. Wyciągnął laskę pojedynkową.

Co...? - pomyślał wstrząśnięty Elend. Na szczęście, miesiące ćwiczeń z rozkazu Tindwyl wykształciły w nim instynkty, których istnienia się nie spodziewał. Gdy Zbir zaatakował, Elend skulił się i przetoczył po podłodze. Gdy się odwrócił, ujrzał, jak przysadzisty mężczyzna kieruje się w jego stronę ze wzniesioną laską.

Nad Elendem przefrunęła chmura białej koronki i halek. Vin uderzyła stopami w Zbira, odrzucając go do tyłu, i okręciła się w powietrzu, ciągnąc za sobą spódnicę.

Mężczyzna sapnął. Vin wylądowała przed Elendem. W sali Zgromadzenia rozległy się krzyki.

Vin kopnęła mównicę, odsuwając ją na bok.

- Trzymaj się za mną - wyszeptała, w jej dłoni błyszczał obsydianowy sztylet.

Elend z wahaniem pokiwał głową. Podniósłszy się, odpiął pochwę od pasa. Zbir nie był

sam - trzy niewielkie grupki uzbrojonych mężczyzn przepychały się przez tłum. Jedna zaatakowała ostatni rząd, ścigając uwagę tamtejszych strażników. Inna wspinała się na podwyższenie. Trzecia zajęła się czymś w tłumie. Żołnierzami Cetta.

Zbir wstał. Nie wyglądało na to, by kopnięcie Vin szczególnie mu zaszkodziło.

Skrytobójcy, pomyślał Elend. Ale kto ich przysłał?

Mężczyzna uśmiechnął się, gdy dołączyła do niego grupa sześciu przyjaciół. Zapanował

chaos. Członkowie Zgromadzenia rozproszyli się, w ich stronę biegli strażnicy. Jednakże walka z przodu podwyższenia uniemożliwiała ucieczkę w tamtą stronę. Członkowie Zgromadzenia tłoczyli się wokół bocznego wyjścia, ale to nie oni interesowali napastników.

Tylko Elend.

Vin przykucnęła, czekając na atak. Jej poza wydawała się groźna mimo koronkowej sukni. Elendowi zdawało się, że słyszy jej ciche powarkiwanie.

Mężczyźni zaatakowali.

\*\*\*

Vin rzuciła się do przodu, atakując pierwszego Zbira sztyletem. Bez trudu powstrzymał

cios machnięciem laski. W sumie było ich sześciu - w tym na pewno trzech Zbirów, co oznaczało, że pozostała trójka to pewnie Monetostrzelni lub Szarpacze. Silna grupa panujących nad metalami. Ktoś nie chciał, by zbyt szybko zakończyła walkę za pomocą monet.

Nie rozumieli, że nigdy nie użyłaby monet w tej sytuacji. Nie, kiedy Elend stał tak blisko, a w sali było tak wielu ludzi. Monet nie dało się bezpiecznie odbić. Gdyby rzuciła garść w stronę przeciwników, zginęliby przypadkowi ludzie.

Musiała szybko zabić tych mężczyzn. Już się rozpraszali, otaczając ją i Elenda.

Poruszali się w parach - jeden Zbir i jeden Monetostrzelny. Zaatakują z boku, próbując ją minąć, by dopaść Elenda.

Sięgnęła za siebie żelazem, z metalicznym zgrzytem Przyciągając miecz Elenda z pochwy. Chwyciła

go za rękę i rzuciła w stronę jednej z par. Monetostrzelny Odepchnął go w jej stronę, a ona z kolei Odepchnęła go w bok, w stronę drugiej pary Allomantów.

Jeden z nich znów go Odepchnął. Vin Przyciągnęła z tyłu, wyrwała okutą metalem pochwę z rąk Elenda i rzuciła nią. Pochwa minęła miecz w powietrzu. Tym razem wrogi Monetostrzelny Odepchnął oba przedmioty w stronę uciekających widzów.

Ludzie krzyczeli w desperacji, gdy byli tratowani, próbując wydostać się z sali. Vin zacisnęła zęby. Potrzebowała lepszej broni.

Rzuciła kamiennym sztyletem w stronę pary skrytobójców, później skoczyła w stronę drugiej, uskakując przed ciosem Zbira. Monetostrzelny nie miał przy sobie żadnego metalu, który mogła wyczuć - był tam po to, by powstrzymać ją przed zabiciem Zbira monetami.

Pewnie zakładali, że Vin da się łatwo pokonać, jeśli pozbawią ją możliwości strzelania monetami.

Zbir znów zamachnął się kijem, próbując ją zahaczyć. Chwyciła broń, szarpnęła ją do przodu i Odepchnęła się od ław Zgromadzenia. Trafiła stopami w pierś mężczyzny, uderzyła mocno, rozjarzając cynę z ołowiem. Gdy ten sapnął, Vin z całej siły Przyciągnęła się do gwoździ w ławach.

Zbir utrzymał się na nogach. Wydawał się jednak ogromnie zaskoczony, gdy kobieta odskoczyła od niego, nadal trzymając kij.

Wylądowała i obróciła się w stronę Elenda. Mężczyzna znalazł sobie broń - laskę pojedynkową - i zachował na tyle rozsądku, by stanąć plecami do ściany. Po jej prawicy część członków Zgromadzenia stała w grupce, otoczona przez strażników. Sala była zbyt zatłoczona, a wyjścia zbyt wąskie, by wszystkim udało się uciec.

Członkowie Zgromadzenia nie próbowali pomóc Elendowi.

Jeden ze skrytobójców krzyknął i wskazał na Vin, gdy Odepchnęła się od ław i skoczyła w ich stronę, stając przed Elendem. Dwóch Zbirów uniosło broń, gdy Vin obróciła się w powietrzu, delikatnie Przyciągając się do zawiasów drzwi. Jej suknia załopotała przy lądowaniu.

Powinnam naprawdę podziękować temu krawcowi, pomyślała, unosząc kij. Przez chwilę zastanawiała się, czy i tak nie zerwać z siebie sukni, lecz przeciwnicy zbliżali się zbyt szybko. Zablokowała dwa ciosy, po czym rzuciła się między mężczyzn, rozjarzając cynę z ołowiem i poruszając się szybciej od nich.

Jeden zaklął, próbując zakreślić kijem. Vin złamała mu nogę. Upadł z wyciem, a wtedy skoczyła mu na plecy, zmuszając go do pozostania na ziemi. Jednocześnie zamachnęła się na drugiego ze Zbirów. Sparował jej cios i naparł, by zrzucić ją ze swojego towarzysza.

Elend zaatakował. Jego ruchy wydawały się jednak powolne w porównaniu z ruchami mężczyzny spalającego cynę z ołowiem. Zbir, niemal nonszalancko, jednym ciosem zmiażdżył

broń Elenda.

Vin zakłęta, przewracając się. Rzuciła kijem w Zbira, zmuszając go do odwrócenia się od Elenda. Z trudem udało mu się uchylić, gdy Vin uderzyła o podłogę, poderwała się na równe nogi i wyciągnęła drugi sztylet. Rzuciła się naprzód, zanim mężczyzna zdążył odwrócić się do Elenda.

W jej stronę poleciała garść monet. Nie mogła ich Odepchnąć, nie w stronę tłumu.

Krzyknęła, rzuciła się przed Elenda i Odepchnęła monety na boki, dzieląc je tak, by wbiły się w ścianę. I tak poczuła ból ramienia.

Skąd wziął monety? - pomyślała sfrustrowana.

Gdy jednak spojrzała w bok, ujrzała Monetostrelnego stojącego obok przerażonego członka Zgromadzenia, który został zmuszony do oddania sakiewki.

Vin zacisnęła zęby. Jej ręka nadal była sprawna. Tylko to miało znaczenie. Ryknęła i rzuciła się na najbliższego Zbira. Tymczasem jednak trzeci Zbir odzyskał broń - tę, którą Vin rzuciła - i teraz krążył z Monetostrelnym, by zająć ją od tyłu.

Jeden po drugim, pomyślała Vin.

Najbliższy Zbir zamachnął się kijem. Musiała go zaskoczyć. Dlatego nie uchyliła się ani nie sparowała ciosu. Po prostu przyjęła cios, odwracając się bokiem, spalając duraluminium i cynę z ołowiem, by stawić opór. Coś w niej pękło, gdy została trafiona, lecz z pomocą duraluminium ustała na nogach. Drewno roztrzaskało się, a ona rzuciła się do przodu i wbiła sztylet w szyję Zbira.

Upadł, a zza jego pleców wyłonił się zaskoczony Monetostrelny. Cyna z ołowiem wyparowała razem z duraluminium i Vin poczuła ogromny ból w boku. Mimo to uwolniła sztylet i nadal poruszała się na tyle szybko, by wbić go w pierś Monetostrelnego.

Zatoczyła się, sapiąc cicho i przyciskając rękę do boku, podczas gdy u jej stóp umierali dwaj mężczyźni.

Został jeden Zbir, pomyślała rozpaczliwie. I dwaj Monetostrelni.

Elend mnie potrzebuje. Zauważyła, jak z boku jeden z Monetostrelnych wyrzuca garść ukradzionych monet w stronę Elenda. Krzyknęła i Odepchnęła je. Usłyszała przekleństwa Monetostrelnego.

Odwróciła się, licząc, że błękitne linie stali ostrzegą ją, jeśli Monetostrelni spróbują znów zaatakować Elenda, i wyrwała zza rękawa zapasową fiolkę z metalami, wcześniej przywiązaną bardzo mocno, by nikt jej nie Przyciągnął. Jednakże, gdy wyjęła zatyczkę, fiolka wypadła z jej niezręcznej dłoni. Drugi Monetostrelny wyszczerzył się, Odpychając fiolkę.

Przewróciła się, a jej zawartość rozsypała się po podłodze.

Vin zawyła. W głowie miała mętlik. Potrzebowała cyny z ołowiem. Bez niej wielka rana od monety w ramieniu - sącząca się z niej krew plamiła białą koronkę sukni - i miazdzący ból w boku ją osłabiały. Z trudem myślała.

W jej stronę opadał kij. Przetoczyła się na bok. Nie miała już jednak zwinności i prędkości cyny z ołowiem. Uchyliłaby się przed ciosem zwykłego człowieka, ale atak Allomanty to zupełnie inna kwestia.

Nie powinnam była spalać duraluminium, pomyślała. To było ryzyko. Dzięki niemu zabiła dwóch skrytobójców, lecz teraz była zbyt odsłonięta. Kij opadał w jej stronę.

Coś wielkiego uderzyło z warczeniem w Zbira, obalając go na ziemię. Vin zatrzymała się w chwili, gdy Zbir uderzył OreSeura pięścią w głowę, miażdżąc jego czaszkę. Jednak Zbir krwawił i przeklinał, a kij wypadł mu z rąk. Vin chwyciła go, podnosząc się na równe nogi.

Zaciskając zęby, wbiła broń w twarz przeciwnika. Przyjął cios z przekleństwem i kopnięciem podciął jej nogi.

Upadła obok OreSeura. Co dziwne, wilczarz się uśmiechał. W jego ramieniu ziała rana.

Nie, nie rana. Otwór w ciele, a w nim fiolka z metalami. Vin chwyciła ją i przetoczyła się, ukrywając flakonik, gdy Zbir podnosił się z trudem. Wypiła płyn i zawarte w nim płatki metalu. Na ziemi przed sobą widziała cień mężczyzny unoszącego kij do potężnego ciosu.

Cyna z ołowiem zapłonęła i jej rany stały się jedynie irytującymi drobiazgami.

Szarpnęła się w bok i kij uderzył w podłogę, aż poleciały drzazgi. Vin poderwała się i wbiła pięść w ramię zaskoczonego przeciwnika.

Cios nie był wystarczająco silny, by połamać kości, ale najwyraźniej zabolął. Zbir -

któremu teraz brakowało dwóch zębów - chrząknął z bólu. Z boku OreSeur podniósł się, jego psia szczeka wisiała nienaturalnie. Skinął na nią - Zbir z pewnością uważał go za martwego po ciosie w łeb.

W stronę Elenda poleciały kolejne monety - Odepchnęła je, nie odwracając wzroku.

Przed nią OreSeur zaatakował Zbira od tyłu, zmuszając go do odwrócenia się w chwili, gdy Vin rzuciła się na niego. Kij Zbira minął o palec jej głowę i wbił się w grzbiet kandry, lecz wtedy jej dłoń trafiła mężczyznę w twarz. Nie próbowała uderzyć go pięścią - w wypadku Zbira niewiele by to dało.

Nie, wyciągnęła palec, a wycelowała idealnie. Oko Zbira wypadło, gdy trafiła w oczodół.

Odskoczyła, gdy wykrzyknął i uniósł dłoń do twarzy. Wbiła pięści w jego pierś, przewracając go na ziemię, po czym przeskoczyła nad skulonym OreSeurem i podniosła z ziemi sztylet.

Zbir zgiął, trzymając ręce przy twarzy, z jej sztyletem w piersi.

Vin obróciła się na pięcie, szukając Elenda. Podniósł broń jednego ze Zbirów i parował

ciosy dwóch pozostałych Monetozłotych, których najwyraźniej rozdrażniło, że Odpychała wszystkie ich ataki monetami. Dlatego wyjęli laski pojedynkowe i zaatakowali Elenda bezpośrednio.

Szkolenie pomagało utrzymać mu się przy życiu - choć wyłącznie dlatego, że jego przeciwnicy musieli uważać na Vin i ewentualny atak monetami z jej strony.

Vin kopnięciem wyrzuciła w powietrze kij mężczyzny, którego właśnie zabiła, i złapała go. Monetozłoty krzyknął, gdy warknęła i rzuciła się w ich stronę, kręcąc bronią. Jeden zachował na tyle przytomności umysłu, by Odepchnąć się od ław. I tak trafiła go w brzuch, odrzucając na bok. Kolejny cios powalił jego towarzysza, który próbował odbiec.

Elend dyszał ciężko, ubranie miał w nieładzie.

Poradził sobie lepiej, niżby się spodziewała, przyznała w duchu Vin, przeciągając się, by ocenić uszkodzenia boku. Musiała zabandażować to ramię. Moneta nie trafiła w kość, ale krwawienie...

- Vin! - krzyknął Elend.

Ktoś bardzo silny nagle chwycił ją z tyłu. Vin zaczęła się dusić. Napastnik szarpnął ją do tyłu i rzucił na ziemię.

Pierwszy Zbir. Złamała mu nogę, ale zapomniała...

Zacisnął ręce na jej szyi i zaczął dusić, jego kolana przyciskały jej pierś, a na twarzy malowała się wściekłość. Oczy wychodziły mu z orbit, mieszanka adrenaliny z cyną i ołowiem.

Vin z trudem łapała oddech. Nagle przypomniała jej się przeszłość, mężczyźni górujący nad nią i bijący ją. Camon, Reen i tuzin innych.

Nie, pomyślała i rozjarzyła cynę z ołowiem, próbując się wyrwać. On jednak przygwoździł ją do ziemi, a był od niej o wiele potężniejszy. Silniejszy. Elend uderzył kijem w plecy mężczyzny, lecz ten tylko się wzdrygnął.

Vin nie mogła oddychać. Czowała, jak mężczyzna miażdży jej gardło. Próbowwała oderwać ręce Zbira, lecz było tak, jak zawsze powtarzał jej Ham. Jej niewielki wzrost był wielką zaletą w większości sytuacji, lecz gdy dochodziło do zwarcia, nie mogła dorównać potężnemu, muskularnemu mężczyźnie. Próbowwała Przyciągnąć się w bok, lecz chwyt mężczyzny był zbyt silny, a jej waga zbyt mała w porównaniu z jego.

Szarpała się na próżno. Wciąż miała duraluminium - spalanie go doprowadzało do wyczerpania innych metali, ale nie samego duraluminium - lecz ostatnim razem omal przez nie nie zginęła. Jeśli szybko nie zabije Zbira, znów pozostanie bez cyny z ołowiem.

Elend uderzał kijem i wołał o pomoc, lecz jego głos wydawał się odległy. Zbir niemal przyciskał swoją twarz do twarzy Vin, widziała jego wściekłość. I w tym momencie w jej głowie pojawiła się dziwna myśl.

Gdzie ja go wcześniej widziałam?

Zaczęło jej się robić ciemno przed oczami. Jednakże, dusząc ją, Zbir jednocześnie zbliżał się coraz bardziej i bardziej, i bardziej...

Vin nie miała wyboru. Spaliła duraluminium i rozjarzyła cynę z ołowiem. Bez trudu odrzuciła rękę przeciwnika na bok i wbiła głowę w jego twarz.

Głowa mężczyzny rozpadła się, jak wcześniej oko jego towarzysza.

Vin złapała oddech i zrzuciła z siebie bezgłowego trupa. Elend zatoczył się do tyłu, jego mundur i twarz zalała krew. Vin wstała z trudem. Zaczęło jej się kręcić w głowie, gdy cyna z ołowiem się wypaliła, lecz mimo to widziała na twarzy Elenda uczucie równie wyraziste jak czerwień na bieli munduru.

Grozę.

Nie, pomyślała, tracąc przytomność. Proszę, Elendzie, nie to....

Upadła na twarz.

\*\*\*

Elend siedział w zniszczonym surducie, przyciskając ręce do twarzy, a otaczała go dziwnie pusta, zniszczona sala Zgromadzenia.

- Przeżyje - powiedział Ham. - Wcale nie jest tak poważnie ranna. Cóż... przynajmniej dla niej nie są to poważne rany. Potrzebuje tylko mnóstwa cyny z ołowiem i trochę opieki Sazed'a. Mówi, że nawet nie ma połamanych żeber, tylko popękane.

Elend z roztargnieniem pokiwał głową. Żołnierze sprząтали trupy, w tym sześciu ludzi zabitych przez Vin, łącznie z tym na końcu...

Mocno zacisnął powieki.

- Co się dzieje? - spytał Ham.

Elend otworzył oczy i zacisnął pięść, powstrzymując drżenie dłoni.

- Wiem, że widziałeś wiele bitew, Ham - powiedział. - Ale ja nie jestem do nich przyzwyczajony. Nie jestem przyzwyczajony do... - Odwrócił się, gdy żołnierze odciągali bezgłowe ciało.

Ham się temu przyglądał.

- Wiesz, tylko raz widziałem ją w walce - dodał cicho Elend. - W pałacu, rok temu.

Rzuciła paru ludzi o ściany i tyle. To wyglądało zupełnie inaczej.



Ham usiadł obok niego na ławie.

- Jest Zrodzoną z Mgły, El. A czego się spodziewałeś? Jeden Zbir może bez trudu zabić dziesięciu mężczyzn... wiele dziesiątek, jeśli ma Monetostrzelnego do pomocy. A Zrodzony z Mgły... to jak jednoosobowa armia.

Elend pokiwał głową.

- Wiem. Wiem, że walczyła z Ostatnim Imperatorem... wspominała też o grupie Stalowych Inkwizytorów. Ale... nigdy nie widziałem...

Znów zamknął oczy. Obraz Vin zataczającej się w jego stronę, w pięknej białej sukni balowej zalanej krwią mężczyzny, którego właśnie zabiła uderzeniem głową...

Zrobiła to, by mnie ochronić, pomyślał. Ale to nie oznacza, że czuję się spokojniejszy.

Może nawet niepokoi mnie to jeszcze bardziej.

Otworzył oczy. Nie mógł sobie pozwolić na rozkojarzenie. Był królem.

- Myślisz, że to Straff ich posłał? - spytał Elend.

- A któż by inny? Chyba twoja groźba, że go zabijesz, nie okazała się aż tak wiążąca.

- A jak Cett?

- Udało mu się ujść z życiem. Zabili połowę jego żołnierzy. W całym zamieszaniu ani ja, ani Demoux nawet nie widzieliśmy tego, co działo się na podwyższeniu.

Elend pokiwał głową. Gdy Ham w końcu dotarł na miejsce, skrytobójcy już nie żyli.

Pozbycie się całej szóstki zajęło Vin zaledwie kilka minut.

Ham milczał przez chwilę. W końcu odwrócił się do Elenda.

- Muszę przyznać, El - powiedział cicho - że jestem pod wrażeniem. Nie widziałem walki, ale widziałem jej skutki. Walka z sześcioma Allomantami to jedno, lecz czymś zupełnie innym jest zrobienie tego, jednocześnie ochraniając zwykłego człowieka i nie krzywdząc przy tym nikogo dookoła. A ten ostatni...

- Pamiętasz, jak uratowała Breeze'a? - spytał Elend. - To było daleko, ale mogę przysiąc, że Allomancją wyrzucała konie w powietrze. Słyszałeś kiedyś o czymś takim?

Ham potrząsnął głową.

Elend siedział przez chwilę w milczeniu.

- Myślę, że powinniśmy zająć się planowaniem. Biorąc pod uwagę dzisiejsze wydarzenia, nie możemy...

Ham uniósł wzrok, gdy Elend zamilkł.

- Co?

- Posłaniec - stwierdził Elend, wskazując w stronę wejścia.

I rzeczywiście, mężczyzna opowiedział się żołnierzom i został doprowadzony na podwyższenie. Elend wstał i podszedł do niższego mężczyzny ubranego w liberię Penroda.

- Milordzie - powiedział tamten, kłaniając się. - Zostałem wysłany, by poinformować was, że głosowanie odbędzie się w rezydencji lorda Penroda.

- Głosowanie? - powtórzył Ham. - Cóż to za bzdury? Jego Wysokość omal dzisiaj nie zginął!

- Przepraszam, milordzie - odparł posłaniec. - Mnie tylko kazano przekazać wiadomość.

Elend westchnął. Miał nadzieję, że w całym tym zamieszaniu Penrod zapomni o upływającym terminie.

- Jeśli dziś nie wybiorą przywódcy, Ham, zachowam koronę. Już zmarnowali dużo czasu.

- A jeśli skrytobójców jest więcej? - spytał cicho Ham. - Vin będzie dochodzić do siebie przez co najmniej kilka dni.

- Nie mogę liczyć na to, że będzie mnie przez cały czas chronić - odparł Elend. -

Chodźmy.

\*\*\*

- Głosuję na siebie - powiedział lord Penrod.

Można się było tego spodziewać, pomyślał Elend. Siedział w wygodnym salonie Penroda w towarzystwie grupy wstrząśniętych członków Zgromadzenia - z których żaden, na całe szczęście, nie został ranny w ataku. Kilku trzymało w rękach kieliszki, a wokół stała armia osobistych strażników, którzy spoglądali na siebie podejrzliwie. W zatłoczonej sali znajdował

się również Noorden, a także trzech inni skrybowie, którzy zgodnie z prawem mieli być świadkami głosowania.

- Ja również głosuję na lorda Penroda - powiedział lord Dukaler.

Ciekawe ile to kosztowało Penroda, pomyślał Elend.

Wystawna rezydencja Penrodów nie była twierdzą. Elend zapadł się w miękkim fotelu, ciesząc się chwilą odpoczynku po dramatycznych przejściach tego dnia. Bał się jednak, że było mu aż za wygodnie. Mógłby zbyt łatwo usnąć...

- Głosuję na Cetta - powiedział lord Habren.

Elend uniósł wzrok. To był drugi głos na Cetta, co oznaczało, że do Penroda tracił trzy głosy.

Wszyscy zwrócili się w stronę Elenda.

- Głosuję na siebie - powiedział, próbując emanować pewnością siebie, jednak po wszystkim, co się wydarzyło, miał z tym problemy.

Nadeszła kolej kupców. Elend usadowił się wygodnie, czekając na kolejną serię głosów na Cetta.

- Głosuję na Penroda - stwierdził Philen.

Elend wyprostował się w fotelu. Co?!

Kolejny kupiec również zagłosował na Penroda. I następni dwaj również. Elend siedział oszołomiony. Co przegapiłem? - pomyślał. Spojrzał na Hama, lecz ten jedynie wzruszył ramionami.

Philen spojrzał na Elenda, uśmiechając się uprzejmie. Młody Venture nie widział

jednak, czy w spojrzeniu mężczyzny kryje się gorycz, czy zadowolenie. Zmienili sojusz? Tak szybko? W końcu to Philen przemycił Cetta do miasta.

Elend spojrzał na rząd kupców, próbując ocenić ich nastroje. Sam Cett nie był obecny na spotkaniu - wycofał się do Twierdzy Hasting, by opatrzyć ranę.

- Głosuję na lorda Venture - powiedział Haws, najważniejszy pośród skaa. To również wywołało poruszenie na sali.

Haws napotkał wzrok Elenda i skinął głową. Był szczerym wyznawcą Kościoła Ocalałego, a choć różni kaznodzieje spierali się ze sobą, jak zorganizować swoich wyznawców, wszyscy zgadzali się, że jeden z wiernych na tronie będzie lepszy niż Cett.

Za ten sojusz będę musiał zapłacić, pomyślał Elend, gdy skaa głosowali. Wierzyli w jego uczciwość, a on nie miał zamiaru zawieść ich zaufania.

Powiedział im, że zostanie członkiem ich Kościoła. Nie obiecał im wiary, lecz obiecał

oddanie. Wciąż nie był pewien, co im oddał, ale wiedzieli, że potrzebują się nawzajem.

- Głosuję na Penroda - powiedział Jansen, robotnik portowy.

- I ja - dodał Thurts, jego brat.

Elend zacisnął zęby. Wiedział, że będzie miał problemy - obaj nie lubili Kościoła Ocalałego. Lecz czterej ze skaa już oddali mu swoje głosy. Pozostało jeszcze dwóch, co oznaczało, że ma spore szanse na klincz.

- Głosuję na Venture - stwierdził kolejny.

- I ja również - dodał ostatni ze skaa.

Elend uśmiechnął się z zadowoleniem do mężczyzny imieniem Vet.

To oznaczało piętnaście głosów za Penrodem, dwa za Cettem i siedem za Elendem.

Klincz. Elend rozluźnił się, układając głowę na miękkim oparciu poduszki, i westchnął lekko.

Ty zrobiłaś swoje, Vin, pomyślał. Ja zrobiłem swoje. Teraz musimy jeszcze utrzymać ten kraj w jednym kawałku.

- Hm - odezwał się ktoś. - Czy wolno mi zmienić zdanie?

Elend otworzył oczy. To był lord Habren, który głosował na Cetta.

- To znaczy, widać wyraźnie, że Cett nie wygra - dodał Habren, rumieniąc się lekko.

Młodzieniec był dalekim krewnym rodu Elariel, dzięki czemu pewnie znalazł się w Zgromadzeniu. W Luthadel nazwiska wciąż się liczyły.

- Nie jestem pewien, czy możesz dokonać zmiany - odparł lord Penrod.

- Cóż, wolałbym, żeby mój głos się liczył - stwierdził Habren. - Za Cettem są w końcu tylko dwa głosy.

Zapadła cisza. Członkowie Zgromadzenia, jeden po drugim, odwracali się w stronę Elenda. Skryba Noorden spojrzał mu w oczy. Jedna z klauzul pozwalała na ponowne oddanie głosu, o ile kanclerz nie zamknął oficjalnie głosowania - a nie zrobił tego.

Klauzula ta była dość niejasna i Noorden jako jedyny na sali znał prawo wystarczająco dobrze, by ją zinterpretować. Lekko skinął głową, nadal patrząc Elendowi w oczy.

Elend siedział w sali pełnej ludzi, którzy mu ufali, nawet jeśli go odrzucili. Mógł postąpić tak jak Noorden. Mógł nic nie powiedzieć albo stwierdzić, że nie ma pojęcia.

- Tak - powiedział cicho. - Prawo pozwala ci na zmianę zdania, lordzie Habrenie.

Możesz postąpić tak tylko raz i musisz to zrobić przed ogłoszeniem zwycięzcy. Wszyscy pozostali również mają taką możliwość.

- W takim razie głosuję na lorda Penroda - powiedział Habren.

- Ja również - stwierdził lord Hue, drugi, który wybrał Cetta.

Elend zamknął oczy.

- Jakież inne zmiany? - spytał lord Penrod.

Nikt się nie odezwał.

- W takim razie widzę siedemnaście głosów za mną i siedem głosów za lordem Venture.

Oficjalnie zamykam głosowanie i pokornie przyjmuję wybór na króla. Będę służył najlepiej, jak potrafię.

Elend wstał i powoli zdjął koronę.

- Proszę - powiedział, stawiając ją na kominku. - Będziesz jej potrzebował.

Skinął na Hama i odszedł, nie patrząc na ludzi, którzy się go pozbyli.

## **CZEŚĆ CZWARTA**

### **NOŻE**

*Znam wasze argumenty. Mówimy o Oczekiwaniu, o sprawach przepowiedzianych, o obietnicach naszych największych proroków z czasów dawno minionych. Oczywiście Bohater Wieków będzie pasował do proroctw.*

*Będzie pasował do nich doskonale. Na tym to polega.*

Straff Venture w milczeniu jechał konno; otaczał go mglisty zmierzch. Choć wolałby powóz, wiedział, że w siodle lepiej prezentuje się przed oddziałami. Zane wolał iść pieszo, obok wierzchowca Straffa. Za nimi podążało około pięćdziesięciu żołnierzy.

Nawet w takiej eskorcie Straff czuł się odsłonięty. Nie chodziło tylko o mgły i ciemność.

Wciąż pamiętał jej dotyk...

- Zawiodłeś mnie, Zane - powiedział Straff.

Zrodzony z Mgły podniósł wzrok. Spalając cynę, Straff widział grymas na jego twarzy.

- Zawiodłem?

- Venture i Cett wciąż żyją. Poza tym posłałeś na śmierć grupę moich najlepszych Allomantów.

- Ostrzegałem cię, że mogą zginąć - stwierdził Zane.

- Ale nie bez powodu, Zane - stwierdził surowo Straff. - Po co ci była potrzebna grupa tajnych Allomantów, jeśli miałeś zamiar posłać ich na samobójczą misję w środku publicznego zgromadzenia? Możesz zakładać, że moje zasoby są nieograniczone, lecz bądź pewien... tej szóstki nie da się zastąpić.

Straff spędził dziesiątki lat na pracy z kochankami, by zebrać tak wielu ukrytych Allomantów. Owszem, to była przyjemna praca, ale zawsze praca. Jednym lekkomyślnym posunięciem Zane zniszczył jedną trzecią allomantycznych dzieci Straffa.

Moje dzieci zginęły, nasz plan został odkryty, a to... stworzenie Elenda wciąż żyje!

- Przepraszam, ojcze. Myślałem, że chaos i tłok sprawią, że dziewczyna pozostanie osamotniona, a obecność tłumów powstrzyma ją przed korzystaniem z monet. Naprawdę sądziłem, że to się uda.

Straff się nachmurzył. Wiedział, że Zane uważa się za lepszego od ojca - który Zrodzony z Mgły tak nie myślał? Tylko ostrożne łączenie przekupstwa, grózb i manipulacji utrzymywało Zane'a pod kontrolą.

Jednak niezależnie od tego, co Zane sobie myślał, jego ojciec nie był głupcem.

Wiedział, że w tej właśnie chwili jego syn stara się coś ukryć. Dlaczego posłał tych ludzi na śmierć? - pomyślał Straff. Najpewniej chciał, żeby im się nie powiodło... inaczej pomógłby im w walce przeciwko dziewczynie.

- Nie - powiedział cicho Zane. Mówił do siebie. - Jest moim ojcem... - Umilkł i potrząsnął głową. - Nie. Ich też nie.

Ostatni Imperatorze, pomyślał Straff, patrząc na mamroczącego szaleńca. I w co ja się wpakowałem? Zane stawał się coraz bardziej nieprzewidywalny. Wysłał tych ludzi na śmierć z zazdrości, żądy krwi, a może po prostu się nudził? Straff nie sądził, by Zrodzony z Mgły zwrócił się przeciwko niemu, ale trudno było to ocenić. Tak czy inaczej, nie podobało mu się, że musi na nim polegać, by zrealizować swój plan. Właściwie, w ogóle nie lubił na nim polegać.

Zane spojrzął na Straffa i zamilkł. Przez większość czasu dobrze ukrywał swój obłąd.

Tak dobrze, że Straff o nim zapominał. On jednak krył się cały czas pod powierzchnią. Zane był najbardziej niebezpiecznym narzędziem, z jakiego korzystał stary Venture. Ochrona zapewniana przez Zrodzonego z Mgły przeważała nad niebezpieczeństwem, jakie stanowiło jego szaleństwo.

Ledwie.

- Nie musisz się martwić, ojcze - powiedział Zane. - Miasto i tak będzie twoje.

- Nigdy nie będzie moje, dopóki ta kobieta pozostaje przy życiu - stwierdził Straff.

Zadrzał. Może właśnie o to chodziło. Atak Zane'a był tak oczywisty, że wszyscy w mieście domyślają się, że to ja za tym stoję. A kiedy ta przeklęta Zrodzona z Mgły się obudzi, zaatakuję mnie w odwecie.

Ale gdyby taki był jego cel, mógłby mnie przecież sam zabić. Postępowanie Zane'a nie miało sensu. I nie musiało. To była jedna z zalet obłądu.

Zane pokręcił głową.

- Myślę, że będziesz zaskoczony, ojcze. Tak czy inaczej, wkrótce nie będziesz się musiał przejmować Vin.

- Myśli, że próbowałem zabić jej ukochanego króla.

Zane się uśmiechnął.

- Wcale nie. Jest na to zbyt bystra.

Zbyt bystra, by zobaczyć prawdę, pomyślał Straff. Wspomagając się cyną, usłyszał jakiś szmer wśród mgieł. Uniósł dłoń, zatrzymując swoich ludzi. W pewnej odległości niewyraźnie widział migoczące kule światła pochodni na murach. Byli blisko miasta - niebezpiecznie blisko.

Ludzie Straffa czekali w milczeniu. Wkrótce spośród mgieł wyłonił się konny, również w towarzystwie pięćdziesięciu żołnierzy.

Ferson Penrod.

- Straff - odezwał się Penrod i skinął głową.

- Ferson.

- Twoi ludzie dobrze sobie poradzili - stwierdził Penrod. - Cieszę się, że twój syn nie musiał zginąć. To dobry chłopak. Zły król, ale porządny człowiek.

Wielu moich synów dziś zginęło, Fersonie, pomyślał Straff. Fakt, że Elend pozostał przy życiu, nie jest radosny - to ironia losu.

- Jesteś gotów poddać miasto? - spytał Straff.

Penrod pokiwał głową.

- Philen i jego kupcy chcą zapewnienia, że otrzymają tytuły równe temu, co obiecywał im Cett.

Straff machnął ręką.

- Znasz mnie, Fersonie. - Niemal na każdym przyjęciu płaszczyłeś się przede mną. -

Zawsze dotrzymuję umów handlowych. Byłbym głupcem, gdybym nie ugłaskał tych kupców...

to oni będą mi przynosić dochody z podatków.

- Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia. Nie ufam Cettowi - odparł Penrod.

- Wątpię, byś ufał mnie.

Na twarzy starego lorda pojawił się uśmiech.

- Ale ciebie znam, Straffie. Jesteś jednym z nas, szlachetnie urodzonym z Luthadel.

Poza tym, spośród wszystkich dominiów masz najbardziej stabilne królestwo. Tego tylko nam trzeba. Odrobiny stabilności.

- Mówisz prawie jak ten mój głupi synalek.

Penrod zawahał się i po chwili pokręcił głową.

- Twój chłopak nie jest głupi. To idealista. Właściwie, przykro patrzeć na upadek tej jego utopii.

- Jeśli jest ci przykro z jego powodu, Fersonie, to też jesteś idiotą.

Penrod zeszywniał. Straff napotkał jego dumne spojrzenie i wytrzymał je do chwili, gdy mężczyzna spuścił wzrok. Wymiana zdań była prosta, właściwie bez znaczenia - ale posłużyła jako ważne przypomnienie.



Straff się zaśmiał.

- Musisz się przyzwyczać, że znów będziesz płotką, Fersonie.

- Wiem.

- Nie martw się - dodał Venture. - Zakładając, że przekazanie władzy pójdzie tak, jak obiecałeś, nikt nie zginie. Kto wie, może nawet pozwolę zachować ci tę twoją koronę.

Penrod uniósł wzrok.

- Przez długi czas w tej krainie nie było królów - powiedział cicho Straff. - Był ktoś większy. Cóż, nie jestem Ostatnim Imperatorem... lecz mogę zostać imperatorem. Chciałbyś zachować koronę i rządzić jako król pod moją zwierzchnością?

- To zależy od ceny, Straffie - odparł ostrożnie Penrod.

Nie został jeszcze całkiem poskromiony. Penrod zawsze był bystry - jako jedyny z ważnych szlachetnie urodzonych pozostał w Luthadel i jego ryzyko się opłaciło.

- Cena jest ogromna - odparł Venture. - Wręcz absurdalna.

- Atium - domyślił się Penrod.

Straff pokiwał głową.

- Elend go nie odnalazł, ale musi być gdzieś tutaj. To ja wydobyłem te geody... moi ludzie spędzili dziesięciolecia, szukając ich i przewożąc je do Luthadel. Wiem, ile zebraliśmy, i wiem, że szlachta otrzymała go zdecydowanie mniej. Reszta jest gdzieś w mieście.

Penrod pokiwał głową.

- Zobaczę, co uda mi się znaleźć, Straffie.

Venture uniósł brew.

- Powinieneś się już zacząć przyzwyczajać, Fersonie.

Stary lord milczał przez chwilę, po czym skłonił głowę.

- Zobaczę, co uda mi się znaleźć, milordzie.

- Dobrze. Jakie wieści przynosisz o kochance Elenda?

- Po walce straciła przytomność. Zatrudniam szpiega wśród służby w kuchni...

powiedziała mi, że dostarczyła misę rosołu do sypialni lady Vin. Pozostała nietknięta.

Straff się skrzywił.

- Czy ta twoja kobieta może dosypać czegoś Zrodzonej z Mgły?

Penrod zbladł.

- Nie... nie sądzę, by to było rozsądne, milordzie. Poza tym, znasz przecież wytrzymałość Zrodzonych z Mgły.

Może rzeczywiście jest unieruchomiona? - pomyślał Straff. Gdybyśmy ruszyli teraz...

Powrócił mrozący krew w żyłach dotyk na uczuciach. Otępienie. Pustka.

- Nie musisz się jej bać, milordzie - stwierdził stary lord.

Straff uniósł brew.

- Nie boję się, jestem ostrożny. Nie wejdę do miasta, jeśli nie będę miał gwarancji bezpieczeństwa... a do tego czasu waszemu miastu zagraża Cett. Albo gorzej. Co by się stało, gdyby kolosy postanowiły zaatakować miasto, Fersonie? Negocjuję z ich przywódcą, który, zdaje się, panuje nad nimi. Na razie. Widziałeś kiedyś skutki rzezi kolosów?

Pewnie nie. Straff ujrzał je dopiero niedawno.

Penrod tylko potrząsnął głową.

- Vin cię nie zaatakuje. Nie, jeśli Zgromadzenie oficjalnie odda ci władzę nad miastem.

To będzie całkowicie legalne.

- Wątpię, by przejmowała się legalnością.

- Być może. Lecz Elend się przejmuje. A gdy on rozkazuje, dziewczyna go słucha.

Chyba że panuje nad nią tak samo słabo, jak ja nad Zane'em, pomyślał z drżeniem Straff. Nieważne, co mówił Penrod, Straff nie miał zamiaru wchodzić do miasta, jeśli ktoś nie zajmie się tą straszliwą istotą. I mógł polegać tylko na Zrodzonym z Mgły.

To przerażało go niemal tak samo, jak myśl o Vin.

Nie mówiąc nic więcej, Straff gestem odesłał Penroda. Stary lord odwrócił się i zniknął

wśród mgieł razem ze swoim orszakiem. Nawet z pomocą cyny, Venture ledwie usłyszał

lądującego obok Zane'a. Odwrócił się i spojrzał na niego.

- Naprawdę myślisz, że oddałby ci atium, gdyby je znalazł? - spytał Zane.

- Być może - stwierdził Straff. - Wie, że nigdy nie uda mu się go zachować... nie ma odpowiedniej liczby wojska, by ochronić taki skarb. A jeśli nie odda go mnie... cóż, odebranie mu atium będzie prawdopodobnie łatwiejsze od samodzielnych poszukiwań.

Zane najwyraźniej uznał taką odpowiedź za satysfakcjonującą. Milczał przez chwilę, wpatrując się we mgłę. Później z dziwną miną spojrzął na Straffa.

- Która godzina?

Straff spojrzął na kieszonkowy zegarek, przedmiot, jakiego nie nosiłby przy sobie żaden Zrodzony z Mgły. Zbyt wiele metalu.

- Jedenasta siedemnaście - powiedział.

Zane pokiwał głową i spojrzął w stronę miasta.

- Powinna już zacząć działać.

Straff zmarszczył czoło. Zaczął się pocić. Rozjarzył cynę, zaciskając powieki. Tutaj, pomyślał, zauważając własną słabość.

- Kolejna trucizna? - spytał, zmuszając się do zachowania spokoju i nieokazywania strachu.

- Jak ty to robisz, ojcze? - spytał Zane. - Byłem pewien, że tej nie zauważysz. A jednak tu siedzisz i czujesz się doskonale.

Straff zaczynał odczuwać słabość coraz dotkliwiej.

- Nie tylko Zrodzeni z Mgły mogą być kompetentni, Zane - warknął.

Jego syn tylko wzruszył ramionami, uśmiechając się w ten niepokojący sposób - niezwykle inteligentnie, lecz dziwnie niespokojnie.

- Znow wygrywasz - stwierdził i wyskoczył w niebo, burząc mgły.

Straff natychmiast zawrócił. Próbował zachować pozory godności, pospiesznie kierując się do obozu. Czuł działanie trucizny. Czuł, jak kradnie mu życie. Czuł, jak mu zagraża, przepelnia go...

Pojechał może nieco za szybko. Trudno było robić wrażenie silnego, gdy się umierało.

W końcu ruszył galopem. Pozostawił za sobą zaskoczonych strażników, którzy wykrzyknęli zdziwieni i ruszyli biegiem, próbując go dogonić.

Straff zignorował ich narzekania. Spiął konia ostrogami. Czy trucizna spowalniała jego reakcje? Którą wykorzystał Zane? Upiór gór? Nie, wymagał wstrzyknięcia. Może tomfer? A może... znalazł taką, o której istnieniu Straff nie wiedział?

Mógł mieć tylko nadzieję, że tak się nie stało. Bo jeśli Straff nie zna tej trucizny, to Amaranta też jej pewnie nie zna i nie będzie mogła umieścić antidotum w swojej uniwersalnej odtrutce.

Ogniska obozu rozświetlały mgły. Żołnierze krzyknęli, gdy się zbliżył. Straff omal nie zginął, kiedy jeden z jego ludzi skierował w jego stronę włócznie. Na szczęście, mężczyzna rozpoznał go w ostatniej chwili. Straff i tak go stratował, odsuwając na bok jego broń.

Podjechał do namiotu. Jego ludzie rozproszyli się, jakby przygotowywali się co najmniej do inwazji. Nie mógł tego ukryć przed Zane'em.

Swojej śmierci też raczej nie mógłbym ukryć.

- Milordzie! - wykrzyknął kapitan, pędząc w jego stronę.

- Poślij po Amarantę - powiedział Straff, zsuwając się z grzbietu konia.

Żołnierz się zawahał.

- Waszą kochankę, panie? - spytał, marszcząc czoło. - Dlaczego...?

- Już! - rozkazał Straff, odrzucając klapę namiotu i wchodząc do środka.

Gdy klapa opadła, zatrzymał się, czując drżenie nóg. Otarł czoło. Zbyt wiele potu.

Niech będzie przeklęty, pomyślał z frustracją. Muszę go zabić, opanować... muszę coś zrobić. Nie mogę tak rządzić!

Ale co? Spędził nieprzespane noce i wiele dni, próbując zdecydować, co zrobić z Zane'em. Atium, którym go przekupywał, najwyraźniej przestało na niego działać.

Zachowanie Zane'a tego dnia - rzeź dzieci Straffa w beznadziejnej próbie zabicia kochanki Elenda - pokazało, że nie można mu już ufać.

Amaranta przybyła zadziwiająco szybko i natychmiast zaczęła przygotowywać antidotum. W końcu, gdy Straff połknął obrzydliwą miksturę - i od razu poczuł jej lecznicze działanie - doszedł do nieprzyjemnego wniosku.

Zane musi zginąć.

*A jednak... coś w tym wszystkim wydawało się takie dogodne. Zupełnie, jakbyśmy stworzyli bohatera, tak by pasował do naszych prorocstw, zamiast pozwolić, by pojawił się sam z siebie. To było moje zmartwienie, które powinno było zmusić mnie do zastanowienia, kiedy moi bracia przyszli do mnie, w końcu skłonni uwierzyć.*

Elend siedział przy jej łóżku.

To ją pocieszało. Choć spała niespokojnie, nie do końca świadomie wiedziała, że on tam jest i się o nią troszczy. Czuła się dziwnie pod jego opieką, zwykle bowiem było odwrotnie.

Gdy więc w końcu się obudziła, nie zdziwiła się na widok Elenda siedzącego na krześle obok łóżka i czytającego coś w blasku świecy. Kiedy całkowicie odzyskała przytomność, nie podskoczyła ani nie rozejrzała się z niepokojem wokół. Usiadła powoli, podciągając koc na piersi i upiła łyk wody z kubka stojącego obok łóżka.

Elend odłożył książkę i odwrócił się z uśmiechem w jej stronę. Wpatrzyła się w jego łagodne oczy, szukając śladów grozy, którą widziała wcześniej. Obrzydzenia, przerażenia, wstrząsu.

Wiedział, że jest potworem. Jak mógł uśmiechać się tak łagodnie?

- Dlaczego? - spytała cicho.

- Dlaczego co?

- Dlaczego tu czekasz? Nie umieram... tyle pamiętam.

Wzruszył ramionami.

- Chciałem być blisko ciebie.

Nie odpowiedziała. W kącie rozpalono węglowy piecyk, ale chyba zaczynał już dogasać. Nadchodziła zima i zapowiadała się na surową. Vin miała na sobie jedynie koszulę nocną - prosiła pokojówki, by jej nie wkładały, lecz nasenny eliksir Sazed'a zaczynał już działać i nie miała siły się z nimi kłócić.

Mocniej otuliła się kocem. Dopiero wtedy zauważyła coś, co powinna była dostrzec wcześniej.

- Elendzie! Nie masz na sobie munduru.

Spojrzał na swoje ubranie - surdut ze starej garderoby i odpięta czerwona kamizelka.

Surdut był na niego za duży. Wzruszył ramionami.

- Już nie muszę udawać, Vin.

- Cett został królem? - spytała, czując niepokój.

Potrząsnął głową.

- Penrod.

- To nie ma sensu.

- Wiem - odparł. - Nie jesteśmy pewni, dlaczego kupcy zdradzili Cetta... ale to i tak nie ma znaczenia. Penrod to o wiele lepszy wybór. I od Cetta, i ode mnie.

- Wiesz, że to nieprawda.

Zamyślił się.

- Nie wiem, Vin. Uważałem, że jestem lepszy. Ale choć wymyśliłem mnóstwo planów, by powstrzymać Cetta przed objęciem władzy, nigdy nawet nie zastanowiłem się nad jednym, który z pewnością by mu to uniemożliwił... nie pomyślałem, by poprzeć Penroda i połączyć nasze głosy. A gdybyśmy przez moją arogancję skończyli jako poddani Cetta? Nie myślałem o swoich ludziach.

- Elendzie... - powiedziała, kładąc mu rękę na ramieniu.

A wtedy on się wzdrygnął.

Lekko, niemal niezauważalnie i szybko to stłumił. Lecz coś już zostało zniszczone. I ona to spowodowała. W końcu zobaczył, naprawdę zobaczył, kim ona jest. Zakochał się w kłamstwie.

- O co chodzi? - spytał, patrząc jej w oczy.

- Nic takiego - odparła. Cofnęła rękę. Coś w niej pękło. Kocham go tak bardzo.

Dlaczego? Dlaczego pozwoliłam, by zobaczył? Gdybym tylko miała wybór!

„Zdradzi cię”, rozległ się szept Reena w jej głowie. „Każdy w końcu cię opuści, Vin”.

Elend westchnął i spojrzał w stronę okiennic. Zostały zamknięte, powstrzymując mgły, choć Vin widziała ciemność za nimi.

- Problem polega na tym, Vin - powiedział cicho - że nie sądziłem, że to się tak skończy.

Ufałem im, aż do końca. Mieszkańcom miasta... członkom Zgromadzenia, które wybrali...

ufałem, że postąpią właściwie. Kiedy mnie nie wybrali, byłem zaskoczony. A nie powinienem.

Wiedziałem, że nie mam wielkich szans. W końcu już raz głosowali przeciwko mnie. Ale udało mi się przekonać samego siebie, że to tylko ostrzeżenie. W głębi serca sądziłem, że znów oddadzą mi władzę. - Pokręcił głową. - Teraz muszę albo przyznać, że moje zaufanie do nich było błędem, albo zaufać, że ich decyzja jest właściwa.

To właśnie w nim kochała - jego dobroć i prostą uczciwość. Rzeczy tak samo obce ulicznikowi skaa, jak obca musiała być dla większości ludzi jej natura Zrodzonego z Mgły.

Nawet wśród całej ekipy Kelsiera, nawet wśród najlepszych ze szlachetnie urodzonych, nigdy nie spotkała nikogo takiego jak Elend Venture. Człowieka, który wolał sądzić, że ludzie, którzy właśnie go obalili, zrobili to w dobrej wierze.

Czasem czuła się głupio, że zakochała się w pierwszym szlachetnie urodzonym, którego poznała. Ale teraz uświadamiała sobie, że jej miłość do Elenda nie wynikała z wygody czy bliskości, lecz z tego, kim był. To, że poznała go jako pierwszego, było zadziwiającym łutem szczęścia.

A teraz... było po wszystkim. Przynajmniej w takiej postaci jak wcześniej. Ale zawsze wiedziała, że do tego dojdzie. Dlatego nie zgodziła się wyjść za niego. Nie mogła go poślubić.

A raczej nie mogła pozwolić, by on ją poślubił.

- Znam ten smutek w twoich oczach, Vin - powiedział cicho.

Spojrzała na niego.

- Przeżyjemy to - powiedział. - Tron to nie wszystko. Zrobiliśmy, co mogliśmy. Teraz kolej na kogoś innego.

Uśmiechnęła się słabo. On nie wie. Nie wolno mu się dowiedzieć, jak bardzo to boli.

Jest dobrym człowiekiem - próbowałby się zmusić, by mnie kochać.

- Ale - dodał - powinnaś jeszcze odpocząć.

- Czuję się świetnie - stwierdziła, przeciągając się lekko. Bok ją bolał, podobnie jak szyja, lecz spalała cynę z ołowiem i żadna z ran jej nie ograniczała. - Muszę...

Przerwała, gdy coś sobie uświadomiła. Usiadła wyprostowana, a ten nagły ruch sprawił, że przeszedł ją ból. Wydarzenia poprzedniego dnia widziała jak za mgłą, ale...

- OreSeur! - wykrzyknęła, odrzucając koc.

- Nic mu się nie stało, Vin - uspokoił ją Elend. - To kandra. Połamane kości nic dla niego nie znaczą.

Zatrzymała się w połowie drogi, czując się trochę głupio.

- Gdzie jest?

- Przetrawia nowe ciało - powiedział Elend z uśmiechem.

- Skąd ten uśmiech? - spytała.

- Po prostu nigdy wcześniej nie widziałem, by ktoś się tak troszczył o kandrę.

- Nie rozumiem, co w tym dziwnego - powiedziała, wracając do łóżka. - OreSeur ryzykował dla

mnie życie.

- To kandra, Vin - powtórzył Elend. - Nie sądzę, by ci napastnicy mogli go zabić.

Wątpię, by mógł to zrobić Zrodzony z Mgły.

Vin zawahała się. „Nawet Zrodzony z Mgły nie mógłby...”. Co takiego niepokoiło ją w tym zdaniu?

- Tak czy inaczej, czuje ból. Przyjął na siebie dwa poważne ciosy.

- Wypełnia swój Kontrakt.

Kontrakt... OreSeur zaatakował człowieka. Złamał swój Kontrakt. Dla niej.

- Coś się stało? - spytał Elend.

- Nic takiego - odpowiedziała szybko. - Opowiedz mi o armiach.

Elend spojrzał na nią z ukosa, ale pozwolił na zmianę tematu.

- Cett wciąż tkwi w Twierdzy Hasting. Nie wiemy, jak zareaguje. Zgromadzenie go nie wybrało, co nie wróży dobrze. A jednak nie zaprotestował... musi sobie uświadamiać, że na razie jest tutaj uwięziony.

- Musiał naprawdę wierzyć, że go wybierzemy - powiedziała, marszcząc czoło. - Inaczej chyba nie wjechałby do miasta.

Elend pokręcił głową.

- To od początku było dziwne posunięcie. Próbowałem doradzić Zgromadzeniu, by spróbowało zawrzeć z nim ugodę. Moim zdaniem on uwierzył, że w mieście nie ma atium, więc nie ma już powodu, by pragnął władzy w Luthadel.

- Poza prestiżem.

- Co nie jest warte utraty całej armii - zauważył Elend. - Ani życia.

Pokiwała głową.

- A twój ojciec?

- Milczy - odparł. - To dziwne, Vin. Ta cała historia zupełnie do niego nie pasuje... ci skrytobójcy byli tak oczywiści. Nie wiem, co o tym sądzić.

- Skrytobójcy - powiedziała Vin, znów siadając. - Zidentyfikowaliście ich?

Pokręcił głową.



- Nikt ich nie rozpoznaje.

Zmarszczyła czoło.

- Może nie znamy szlachetnie urodzonych z Północnego Dominium aż tak dobrze, jak nam się wydaje.

Nie, pomyślała Vin. Jeśli pochodzili z miasta tak bliskiego, jak Urteau, dom Straffa, część z nich musiała być znana, prawda?

- Wydawało mi się, że rozpoznałam jednego z nich - powiedziała w końcu.

- Którego?

- Tego... ostatniego.

Elend się zawahał.

- Ach. Obawiam się, że teraz już go nie zidentyfikujemy.

- Elendzie, przykro mi, że musiałeś to zobaczyć.

- Co? Vin, widziałem wcześniej śmierć. Pamiętaj, że musiałem przyglądać się egzekucjom Ostatniego Imperatora. - Przerwał. - Oczywiście to, co zrobiłaś, wcale ich nie przypominało.

Oczywiście.

- Byłaś zadziwiająca - powiedział. - Gdybyś nie powstrzymała tych Allomantów, byłbym martwy... podobnie jak Penrod i reszta członków Zgromadzenia. Uratowałaś Środkowe Dominium.

Zawsze jesteśmy nożami...

Elend podniósł się z uśmiechem.

- Proszę - powiedział, odchodząc w bok. - Jest zimny, ale Sazed powiedział, że masz go zjeść, kiedy się obudzisz. - Wrócił z miską rosółu.

- Sazed go przysłał? - spytała sceptycznie. - To znaczy, że jest zaprawiony?

Elend uśmiechnął się.

- Ostrzegł mnie, bym go nie próbował... powiedział, że jest w nim wystarczająco dużo środków nasennych, bym nie obudził się przez miesiąc. Dla was, spalających cynę z ołowiem, potrzeba ich zdecydowanie więcej.

Postawił miskę na nocnym stoliku. Vin popatrzyła na nią z ukosa. Sazed pewnie się martwił, że mimo ran wyruszy patrolować miasto, jeśli zostanie sama. I pewnie miał rację. Vin z westchnieniem wzięła miskę i zaczęła popijać rosół.

Elend się uśmiechnął.

- Przyślę kogoś, żeby dorzucił węgli - powiedział. - Muszę się zająć kilkoma sprawami.

Vin pokiwała głową, a wtedy wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

\*\*\*

Kiedy Vin obudziła się po raz kolejny, Elend był w komnacie. Stał w cieniu, obserwując ją. Na zewnątrz wciąż panowała ciemność. Okiennice zostały otwarte i podłogę zaścielał dywan mgły.

Okiennice były otwarte.

Vin usiadła na łóżku i odwróciła się w stronę postaci w kącie. To nie był Elend.

- Zane - powiedziała głosem bez wyrazu.

Zbliżył się do niej. Teraz, gdy wiedziała czego szukać, bez trudu zauważała podobieństwo między nimi. Mieli tę samą linię szczęki i falujące ciemne włosy. A nawet podobną sylwetkę, od kiedy Elend zaczął ćwiczyć.

- Śpisz zbyt mocno - stwierdził Zane.

- Nawet Zrodzony z Mgły potrzebuje snu dla zdrowia.

- W ogóle nie powinnaś zostać ranna - powiedział. - Powinnaś była bez trudu zabić tych ludzi, ale rozpraszał cię mój brat i próby zapewnienia bezpieczeństwa ludziom na sali. To właśnie ci zrobił... zmienił cię i już nie widzisz, co trzeba zrobić, a tylko to, co on uważa za słuszne.

Vin uniosła brew, sięgając pod poduszkę. Jej sztylet wciąż tam był. Nie zabił mnie we śnie, pomyślała. To musi być dobry znak.

Zrobił kolejny krok do przodu. Zesztywniała.

- W co ty grasz, Zane? - spytała. - Najpierw mówisz mi, że postanowiłeś mnie nie zabijać, a później wysyłasz grupę skrytobójców? Przybyłeś, żeby dokończyć dzieła?

- Nie wysłaliśmy tych skrytobójców, Vin - powiedział cicho.

Prychnęła.

- Wierz sobie w co chcesz - stwierdził, robiąc kolejny krok do przodu. Stał teraz obok jej łóżka, mroczna i pełna powagi postać. - Ale mój ojciec wciąż się ciebie boi. Po co ryzykować zemstę, próbując zabić Elenda?

- To było ryzyko. Miał nadzieję, że ci skrytobójcy zabiją mnie.

- A po co miał ich wykorzystywać? - spytał Zane. - Ma mnie... po co wysłać grupę Mglitych, by zaatakowali cię pośrodku załoczonej sali, skoro mógłby wysłać mnie w nocy z atium, bym cię zabił?

Zawahała się.

- Vin - powiedział - przyglądałem się trupom wynoszonym z sali Zgromadzenia i rozpoznałem niektórych jako członków świty Cetta.

Właśnie! Pomyślała Vin. Tam widziałam tego Zbira, którego głowę zmiażdżyłam! Był

w Twierdzy Hasting i wyglądał z kuchni, kiedy jedliśmy kolację z Cettem. Udawał, że jest sługą.

- Ale ci skrytobójcy zaatakowali też Cetta... - Zamilkła.

To była podstawowa złodziejska strategia - jeśli ktoś pragnął uniknąć podejrzeń, to przy okazji rabowania okolicznych sklepów, „okradał” i samego siebie.

- Skrytobójcy, którzy zaatakowali Cetta, byli zwykłymi ludźmi - powiedziała Vin. -

Żadnych Allomantów. Ciekawe, co im powiedział... Że pozwoli im się „poddać”, kiedy odwrócą się losy bitwy? Ale po co w ogóle udawać atak? Był faworytem.

Zane pokręcił głową.

- Penrod dobił targu z moim ojcem, Vin. Straff zaproponował Zgromadzeniu bogactwo wykraczające poza wszystko, co może dać im Cett. To dlatego kupcy zmienili zdanie. Cett musiał się dowiedzieć o ich zdradzie. Ma w mieście wielu szpiegów.

Vin siedziała oszołomiona. Oczywiście!

- A jedynym sposobem, by zapewnić sobie zwycięstwo...

- Było wysłanie skrytobójców - dokończył Zane, kiwając głową. - Mieli zaatakować wszystkich trzech kandydatów, zabić Penroda i Elenda, ale pozostawić Cetta przy życiu.

Zgromadzenie założyłoby, że zostali zdradzeni przez Straffa, i Cett zostałby królem.

Vin chwyciła drżącą dłonią sztylet. Miała dość tych gier. Elend niemal zginął. Niemal zawiodła.

Częściowo pragnęła zrobić to, na co miała ochotę od początku. Wyjść i zabić Straffa i Cetta, w ten sposób skutecznie pozbywając się niebezpieczeństwa.

Nie, powiedziała sobie z naciskiem. To sposób Kelsiera. To nie mój sposób. To nie sposób...  
Elenda.

Zane odwrócił się i spojrział w stronę okna, przez które niczym niewielki wodospad wpadała mgła.

- Powinienem być pojawić się wcześniej. Byłem na zewnątrz, w tłumie. Nie wiedziałem nawet, co się dzieje, dopóki ludzie nie zaczęli uciekać.

Uniosła brew.

- Brzmisz niemal szczerze, Zane.

- Nie pragnę twojej śmierci - powiedział, odwracając się. - I z pewnością nie chcę, by coś się stało Elendowi.

- Naprawdę? - spytała. - Choć to on miał wszystkie przywileje, gdy ty byłeś pogardzany i odpędzany?

Pokręcił głową.

- Nie o to chodzi. Elend jest... czysty. Czasem, kiedy go słyszę, zastanawiam się, czy stałbym się taki jak on, gdyby moje dzieciństwo było inne.

Napotkał jej spojrzenie w mroku komnaty.

- Jestem... złamany, Vin. Oszalały. Nie mogę być taki jak Elend. Ale zabicie go nie zmieni mnie. To chyba dobrze, że dorastaliśmy osobno... lepiej, że nie wie o moim istnieniu.

Lepiej, niech pozostanie taki, jaki jest. Nieskażony.

- Ja... - Vin nie potrafiła znaleźć właściwych słów. Co mogła powiedzieć? Widziała szczerłość w oczach Zane'a.

- Nie jestem Elendem - powiedział. - Nigdy nim nie będę... nie jestem częścią jego świata. Ale wcale nie sędzę, że powinienem. I ty też nie. Po walce dostałem się w końcu do sali Zgromadzenia. Widziałem, jak Elend stoi nad tobą, i widziałem jego spojrzenie.

Odwróciła się.

- To nie jego wina, że jest taki, jaki jest - dodał. - Jak powiedziałem, jest czysty. Ale to sprawia, że różni się od nas. Próbowałem ci to wyjaśnić. Żałuję, że nie widziałas tego spojrzenia...

Widziałam je, pomyślała. Nie chciała go pamiętać, ale je widziała. To spojrzenie pełne grozy, reakcję na coś straszliwego i obcego, coś niepojętego.

- Nie mogę być Elendem - powiedział cicho Zane - ale wcale nie chcesz, żebym nim był.

- Rzucił coś na jej stolik nocny. - Następnym razem bądź przygotowana.

Chwyciła ów przedmiot, gdy mężczyzna ruszył w stronę okna. Kawałek metalu przetoczył się po jej

dłoni. Miał nierówny kształt, lecz gładką powierzchnię - niczym samorodek złota. Wiedziała, co to jest.

- Atium?!

- Cett może przysłać kolejnych skrytobójców - stwierdził, wskazując na parapet.

- Dajesz mi je? - spytała. - Wystarczy na dobre dwie minuty spalania! - To był mały skarb, przed Upadkiem wart dobre dwadzieścia tysięcy skrzyńców. A teraz, gdy atium brakowało...

Zane odwrócił się znów w jej stronę.

- Uważaj na siebie - powiedział i skoczył w mgłę.

\*\*\*

Vin nie lubiła być ranną. Na zdrowy rozum wiedziała, że inni ludzie czują się pewnie podobnie - w końcu komu podobałby się ból i osłabienie? Jednakże kiedy inni chorowali, wyczuwała od nich frustrację, nie przerażenie.

Kiedy Elend chorował, spędzał cały dzień w łóżku i czytał książki. Kilka miesięcy wcześniej Clubs otrzymał niefortunny cios podczas ćwiczeń i narzekał na ból, ale też bez większego zmuszania przez kilka dni oszczędzał nogę.

Vin stawała się coraz bardziej podobna do nich. Mogła leżeć sobie w łóżku i wiedziała, że nikt nie spróbuje poderżnąć jej gardła, gdyby była za słaba, by zawołać o pomoc. Mimo to pragnęła wstać, pokazać, że nie jest wcale poważnie ranna. Bo, a nuż ktoś uzna, że jest inaczej, i spróbuje wykorzystać swoją przewagę.

Już tak nie jest, powiedziała sobie. Na dworze zrobiło się jasno, a Elend niedawno wyszedł. Sazed przyszedł obejrzyć jej rany i błagał ją, by została w łóżku „jeszcze choć jeden dzień”. Po czym wrócił do swoich badań. Razem z Tindwyl.

Co się stało z ich nienawiścią? - pomyślała z irytacją. Już go prawie nie widuję.

Drzwi się otworzyły. Vin ucieszyła się, że instynkt jej nie zawiódł, gdyż natychmiast napięła się i sięgnęła po sztylety. Nagły ruch wywołał ból w boku.

Nikt nie wszedł.

Vin zmarszczyła czoło. Nie rozluźniała się, aż wreszcie nad wezglowiem łóżka pojawił się psi łeb.

- Panienko? - usłyszała znajomy, nieco warczący głos.

- OreSeur? - spytała. - Nosisz ciało kolejnego psa!

- Oczywiście, panienko - odparł, wskakując na łóżko. - A co innego mogłoby to być?

- Nie wiem - odpowiedziała, odkładając sztylety. - Kiedy Elend powiedział, że kazałeś mi znaleźć nowe ciało, założyłam, że poprosiłeś o człowieka. Przecież wszyscy widzieli, jak mój „pies” ginie.

- Tak - odparł - ale łatwo będzie wytłumaczyć, że kupiłeś sobie nowe zwierzę. Wszyscy są przyzwyczajeni, że chodzisz z psem, więc to jego brak wywołałby zainteresowanie.

Vin milczała. Przebrała się już w spodnie i koszulę, mimo sprzeciwów Sazed. Jej suknie wisiały w drugim pokoju, jednej wyraźnie brakowało. Czasem, gdy na nie spoglądała, wydawało jej się, że widzi wśród nich piękną białą sukienkę, zalaną krwią. Tindwyl nie miała racji - Vin nie mogła być Zrodzoną z Mgły i zarazem damą. Świadczyła o tym groza, jaką widziała w oczach członków Zgromadzenia.

- Nie musiałeś brać sobie psiego ciała, OreSeurze - powiedziała cicho. - Wolałabym, żebyś był szczęśliwy.

- Nic się nie stało, panienko - odparł. - Zaczynam... lubić ten rodzaj kości. Chciałbym lepiej poznać korzyści, jakie się z nimi wiążą, zanim powrócę do ludzkich.

Uśmiechnęła się. Wybrał sobie innego wilczarza - potężne zwierzę. Miał inną sierść, niemal czarną, bez białych plam. Podobał jej się.

- OreSeurze... - powiedziała, odwracając wzrok. - Dziękuję za to, co dla mnie zrobiłeś.

- Wypełniam swój Kontrakt.

- Brałam udział w innych walkach. Nigdy nie interweniowałeś.

Nie odpowiedział od razu.

- Owszem.

- Dlaczego tym razem?

- Zrobiłem to, co wydawało mi się właściwe.

- Nawet jeśli sprzeciwiało się twojemu Kontraktowi?

OreSeur usiadł dumnie na tylnych łapach.

- Nie złamałem Kontraktu - powiedział stanowczo.

- Ale zaatakowałeś człowieka.

- Nie zabiłem go - sprzeciwił się. - Radzi się nam, byśmy trzymali się z dala od walki, gdyż moglibyśmy przypadkiem doprowadzić człowieka do śmierci. Właściwie, większość moich braci

uważa, że pomoc w zabijaniu to to samo co zabijanie, i uznają to za złamanie Kontraktu. Jednak sformułowanie jest dokładne. Nie zrobiłem niczego złego.

- A gdyby ten człowiek, na którego się rzuciłeś, złamał kark?

- Wówczas powróciłbym do swojego ludu i tam został stracony - odpowiedział.

Uśmiechnęła się.

- Czyli rzeczywiście ryzykowałeś dla mnie życie.

- W pewnym sensie tak - przyznał. - Lecz szansa, że moje działania bezpośrednio doprowadzą do śmierci człowieka, nie była duża.

- I tak ci dziękuję.

OreSeur pochylił łeb.

- Stracony - powiedziała Vin. - Czyli można was zabić?

- Oczywiście, panienko - odpowiedział. - Nie jesteśmy nieśmiertelni.

Spojrzała na niego.

- Nie podam żadnych szczegółów, panienko - stwierdził OreSeur. - Jak się możesz domyślać, wolałbym nie ujawniać słabości swojego rodzaju. Dość powiedzieć, że taka możliwość istnieje.

Vin pokiwała w zamyśleniu głową i podciągnęła kolana pod brodę. Coś ją wciąż niepokoiło, coś, co Elend mówił wcześniej na temat działań OreSeura...

- Ale - powiedziała powoli - nie mogłeś zostać zabity mieczem lub kijem?

- Zgadza się - odparł. - Choć nasze ciało wygląda jak wasze, i choć czujemy ból, bicie nie pozostawia trwałych śladów.

- To dlaczego się boicie? - spytała Vin, w końcu docierając do tego, co ją niepokoiło.

- Panienko?

- Dlaczego twój lud stworzył Kontrakt? - spytała. - Dlaczego poddaliście się ludzkości?

Jeśli nasi żołnierze nie mogą was skrzywdzić, to dlaczego się nami przejmujecie?

- Macie Allomancję - odpowiedział.

- I Allomancja może was zabić?

- Nie. Może powinniśmy jednak zmienić temat. Przepraszam, panienko. To dla mnie bardzo grząski

teren.

- Rozumiem - odparła z westchnieniem. - Ale to takie frustrujące. Tak wielu rzeczy nie wiem, na temat Głębi, prawa i polityki... nawet o własnych przyjaciółach!

Odchyliła się do tyłu i wpatrzyła w sufit. A w pałacu nadal jest szpieg. Pewnie Demoux albo Dockson. Może powinnam po prostu kazać ich zamknąć na jakiś czas? Czy Elend zrobiłby coś takiego?

OreSeur najwyraźniej zauważył frustrację Vin. W końcu westchnął.

- Może mogę powiedzieć jeszcze kilka rzeczy, panienko, jeśli będę ostrożny. Co wiesz o pochodzeniu kandra?

Nadstawiła uszu.

- Nic.

- Nie istnieliśmy przed Wstąpieniem - powiedział.

- To znaczy, że stworzył was Ostatni Imperator?

- Tak mówi nasza tradycja. Nie jesteśmy pewni celu naszego istnienia. Być może mieliśmy zostać szpiegami Ojca.

- Ojciec? Dziwne, że ktoś go tak nazywa.

- Ostatni Imperator nas stworzył, panienko - powiedział OreSeur. - Jesteśmy jego dziećmi.

- A ja go zabiłam. Czuję się tak... jakbym powinna przeprosić.

- Tylko dlatego, że jest naszym Ojcem, co nie oznacza, że akceptujemy wszystkie jego poczynania, panienko. Czy człowiek nie może kochać swojego ojca, a jednocześnie wiedzieć, że nie jest on dobrym człowiekiem?

- Tak sędzę.

- Teologia kandra związana z Ojcem jest skomplikowana - dodał. - Nawet my czasem mamy z nią problemy.

Zmarszczyła czoło.

- OreSeurze? Ile masz lat?

- Dużo - odpowiedział po prostu.

- Więcej niż Kelsier?



- Dużo więcej. Ale nie jestem tak stary, jak myślisz. Nie pamiętam Wstąpienia.

Pokiwała głową.

- Dlaczego mi to wszystko opowiadasz?

- Ze względu na twoje pierwotne pytanie, panienko. Dlaczego przestrzegamy Kontraktu? Powiedz mi... gdybyś była Ostatnim Imperatorem i miała jego moc, czy stworzyłabyś służących, nie zapewniając sobie jednocześnie sposobu, by nad nimi zapanować?

Powoli pokiwała głową.

- Ojciec przestał się interesować kandrami około drugiego stulecia po Wstąpieniu -

mówił dalej. - Przez jakiś czas próbowaliśmy być niezależni, ale, jak już mówiłem, ludzkość nas nie lubiła. Bała się nas. A niektórzy znali nasze słabości. Kiedy moi przodkowie rozważyli możliwości, w końcu wybrali dobrowolną służbę zamiast wymuszonego niewolnictwa.

Stworzył ich, pomyślała Vin. Zawsze częściowo podzielała pogląd Kelsiera, że Ostatni Imperator był bardziej człowiekiem niż bóstwem. Lecz jeśli rzeczywiście stworzył zupełnie nową rasę, to musiał mieć w sobie boski pierwiastek.

Moc Studni Wstąpienia, pomyślała. Wziął ją dla siebie... ale ona nie wystarczyła na długo. Musiała się skończyć, i to szybko. Inaczej, po co potrzebowałby armii?

Początkowy wybuch mocy, zdolność tworzenia, odmieniania - być może ratowania.

Odepchnął mgły, a jednocześnie sprawił, że niebo stało się czerwone i zaczął z niego spadać popiół. Stworzył kandra, by mu służyły - i kolossy pewnie też. Być może stworzył nawet Allomantów.

A później powrócił do bycia zwykłym człowiekiem. W większości. Ostatni Imperator nadal miał ogromną moc, nawet jak na Allomantę, i panował nad swoimi stworzeniami - oraz jakimś sposobem powstrzymywał mgły przed zabijaniem.

Aż Vin go zabiła. Wówczas kolossy zaczęły szaleć, a mgły powróciły. Kandra nie były wtedy pod jego władzą, więc tu nic się nie zmieniło. Ale miał sposób, by nad nimi zapanować, gdyby okazało się to konieczne. Sprawić, by mu służyły...

Zamknęła oczy i delikatnie sięgnęła allomantycznymi zmysłami. OreSeur powiedział, że Allomancja nie ma na nich wpływu, ale ona wiedziała coś jeszcze o Ostatnim Imperatorze, coś, co różniło go od innych Allomantów. Jego ogromna moc pozwalała mu robić rzeczy, do których nie powinien być zdolny. Na przykład, do przebijania chmur miedzi i wywierania wpływu na metale wewnątrz ciała. Może tak panował nad kandrami? Może o tym mówił

OreSeur? Dlatego bali się Zrodzonych z Mgły.

Nie dlatego, że mogli ich zabić, ale dlatego, że robili coś innego. Jakimś sposobem ich niewolili.

Ostrożnie, sprawdzając to, co kandra powiedział wcześniej, Vin próbowała Uspokoić uczucia OreSeura. Nic się nie stało.

Posiadam niektóre zdolności Ostatniego Imperatora, pomyślała. Umiem przebijać chmury miedzi. Może jeśli Popchnę mocniej...

Skoncentrowała się i mocno Uspokoiła jego uczucia. Nic się nie stało. Tak jak jej mówił. Siedziała przez chwilę. Pod wpływem impulsu spaliła duraluminium i spróbowała ostatniego, potężnego Pchnięcia.

OreSeur natychmiast zawył, tak niespodziewanie, że Vin zerwała się na równe nogi, rozjarzając cynę z ołowiem.

Kandra upadł z drżeniem na łóżko.

- OreSeurze! - powiedziała, padając na kolana i obejmując jego łeb. - Przepraszam!

- Powiedziałem zbyt wiele... - wymamrotał, nadal się trzęsąc. - Wiedziałem, że powiem zbyt wiele.

- Nie chciałam cię skrzywdzić.

Drżenie ustąpiło i OreSeur zeszywniał na chwilę, oddychając cicho. W końcu wysunął łeb z jej objęć.

- To, czego chciałaś, panienko, jest bez znaczenia - powiedział głosem bez wyrazu. -

Popełniłem błąd. Proszę, nie rób tego nigdy więcej.

- Obiecuję - odpowiedziała. - Przepraszam.

Potrząsnął łbem i powoli zszedł z łóżka.

- W ogóle nie powinnaś być do tego zdolna. Jest w tobie coś dziwnego, panienko...

niczym w Allomantach z dawnych lat, nim upływ pokoleń osłabił ich moce.

- Przepraszam - powtórzyła. Czowała się bezradna. Uratował mi życie, pomyślała, niemal złamał Kontrakt, a ja mu to zrobiłam...

- Stało się. Muszę odpocząć. Tobie sugeruję to samo - powiedział.

*Później zacząłem dostrzegać inne problemy.*

- *Przygotowuję ten zapis - czytał Sazed - wykuwając go w metalowej płycie, ponieważ się boję. Boję się o siebie... przyznaję, jestem człowiekiem. Jeśli Alendi powróci ze Studni Wstąpienia, jestem pewien, że moja śmierć będzie jednym z jego pierwszych celów. Nie jest złym człowiekiem, lecz bezlitosnym. Prawdopodobnie wynika to z tego, co przeszedł.*

- To pasuje do tego, co wiemy o Alendim z dziennika - stwierdziła Tindwyl. -

Zakładając, że to Alendi jest jego autorem.

Sazed spojrział na stertę notatek, w myślach przeglądając zebrane informacje. Kwaan był

starożytnym terrisańskim uczonym. Odkrył Alendiego, którego zaczął uważać - dzięki swoim badaniom - za Bohatera Wieków, postać z terrisańskiej przepowiedni. Alendi wysłuchał go i został przywódcą politycznym. Podbił dużą część świata, po czym udał się na północ do Studni Wstąpienia. Wówczas jednak Kwaan zmienił zdanie na jego temat - i postanowił powstrzymać go przed dotarciem do Studni.

Wszystko do siebie pasowało. Choć autor dziennika nigdy nie wspomniał swojego imienia, było oczywiste, że to sam Alendi.

- Myślę, że to bezpieczne założenie - stwierdził. - Dziennik wspomina o Kwaanie i ich konflikcie.

Siedzieli obok siebie w komnatach Sazed. Poprosił o większe biurko na notatki i zapisywane teorie - i je otrzymał. Obok drzwi stały pozostałości ich popołudniowego posiłku -

zupy, którą pospiesznie wypili. Sazed zamierzał odnieść naczynia do kuchni, ale nie mógł się oderwać od pracy.

- Mów dalej - poprosiła Tindwyl. Usiadła wygodniej i wyglądała na bardziej rozluźnioną niż kiedykolwiek wcześniej.

Liczne kolczyki w jej uszach były ułożone naprzemiennie - złoto lub miedź, a po nim cyna lub żelazo. Coś bardzo prostego, ale pięknego.

- Sazedzie?

Wzdrygnął się.

- Przepraszam - powiedział i powrócił do lektury. - *Obawiam się jednak, że wszystko, co wiem, moja historia, zostanie zapomniane. Boję się świata, który nadejdzie. I że Alendi zawiedzie. Boję się zguby spowodowanej przez Głębię.*

- Zaczekaj - powiedziała. - Dlaczego się tego bał?

- A dlaczego nie? - spytał. - Głębia... którą zgodnie z naszymi założeniami jest mgła, zabijała ludzi. Bez słońca ich plony nie dojrzewały, a bydło nie mogło się paść.

- Lecz jeśli Kwaan bał się Głębi, nie powinien sprzeciwiać się Alendiemu - zauważyła Tindwyl. - On wspinał się do Studni Wstąpienia, by pokonać Głębię.

- Owszem - odparł Sazed. - Lecz wtedy już Kwaan był przekonany, że Alendi nie jest Bohaterem Wieków.

- Ale jakie to ma znaczenie? Powstrzymanie mgieł nie wymagało ściśle określonej osoby, dowodem na to jest sukces Rasheka. Przejdź do ostatniego fragmentu. Przeczytaj opis Rasheka.

- Mam młodego kuzyna imieniem Rashek - czytał Sazed. - *Nienawidzi Khlennium z całą pasją zazdrosnego młodzika. Alendiego nienawidzi jeszcze bardziej, choć przecież nigdy się nie spotkali, gdyż czuje się zdradzony, że to jeden z naszych ciemzców został uznany za Bohatera Wieków.*

*Alendi będzie potrzebował przewodnika przez góry Terris. Kazałem Rashekowi upewnić się, że to on i jego zaufani przyjaciele zostaną wybrani na przewodników. Rashek ma spróbować poprowadzić Alendiego w złą stronę, zniechęcić go lub w inny sposób uniemożliwić mu dotarcie do celu. Alendi nie dowie się, że został oszukany.*

*Jeśli Rashekowi nie uda się zwieść Alendiego na manowce, to rozkazałem chłopakowi, by zabił mojego dawnego przyjaciela. Nie mam wielkiej nadziei. Alendi przeżył ataki skrytobójców, wojny i katastrofy. A jednak mam nadzieję, że w zamarzniętych górach Terris zostanie odsłonięty. Liczę na cud.*

*Alendi nie może dotrzeć do Studni Wstąpienia. Nie może przyjąć jej mocy dla siebie.*

Tindwyl marszczyła czoło.

- O co chodzi?

- Coś mi tu nie pasuje - odparła. - Ale nie wiem co dokładnie.

Sazed jeszcze raz przejrzał tekst.

- W takim razie może podzielmy to na części i uprośmy. Rashek, ten, który został

Ostatnim Imperatorem, był kuzynem Kwaana.

- Tak.

- Kwaan wysłał Rasheka, by ten sprowadził na manowce lub nawet zabił jego dawnego przyjaciela, Alendiego Zdobywcę. Człowieka, który wspinał się w górach Terris w poszukiwaniu Studni Wstąpienia.

Skinęła głową.

- Kwaan zrobił to, gdyż bał się tego, co się stanie, jeśli Alendi weźmie dla siebie moc Studni.

Tindwyl uniosła palec.

- Dlaczego się tego bał?

- Wydaje mi się, że to racjonalna obawa - odparł Sazed.

- Zbyt racjonalna. Albo raczej doskonale racjonalna. Ale powiedz mi, Sazedzie: kiedy czytałeś dziennik Alendiego, czy Alendi robił na tobie wrażenie kogoś, kto wzięłby dla siebie taką moc?

- Wprost przeciwnie. Dlatego właśnie dziennik tak nas dezorientował... nie wiedzieliśmy, dlaczego ten człowiek postąpił w taki sposób, w jaki zgodnie z naszym przekonaniem postąpił. Prawdopodobnie właśnie dzięki temu Vin w końcu się domyśliła, że Ostatni Imperator nie był Alendim, lecz jego tragarzem, Rashekiem.

- A Kwaan twierdzi, że dobrze znał Alendiego - dodała Tindwyl. - Właściwie, na tym arkuszu, komplementuje go kilka razy. Nazywa go dobrym człowiekiem, o ile pamiętam.

- Tak - zgodził się Sazed i odnalazł odpowiedni fragment. - *Jest dobrym człowiekiem...*

*wbrew wszystkiemu, jest dobrym człowiekiem. Poświęcającym się. Tak naprawdę wszystkie jego działania... cała śmierć, zniszczenie i cierpienia, które wywołał... głęboko go zraniły.*

- Czyli Kwaan dobrze znał Alendiego - powiedziała. - I miał na jego temat dobre zdanie.

Zakładam, że swojego kuzyna Rasheka też znał dobrze. Widzisz, z czym mam problem?

Sazed powoli pokiwał głową.

- Dlaczego posyła się wybuchowego mężczyznę, który kieruje się zazdrością i nienawiścią, by zabił człowieka uważanego za dobrego i wartościowego? To się rzeczywiście wydaje dziwne.

- Właśnie - stwierdziła Tindwyl i oparła ręce na stole.

- Ale - zauważył Sazed - Kwaan mówi dokładnie tutaj, że wątpi, by Alendi po dotarciu do Studni Wstąpienia wziął moc, a później dla większego dobra ją oddał.

Potrząsnęła głową.

- To nie ma sensu, Sazedzie. Kwaan kilkakrotnie powtarzał, jak bardzo się boi Głębi, a jednak próbował udaremnić jedyną szansę na jej powstrzymanie, posyłając pełnego nienawiści młodzika, by zabił szanowanego i najpewniej mądrego przywódcę. Kwaan sprawił, że Rashek wziął moc... gdyby pozwolenie Alendiemu na jej zatrzymanie było takim problemem, czy nie obawiałby się, że Rashek może zrobić to samo?

- Być może teraz widzimy wszystko jasno, gdyż spoglądamy na wydarzenia, które już nastąpiły -

odpowiedział.

Znów potrząsnęła głową.

- Czegoś nie zauważamy, Sazedzie. Kwaan jest bardzo rozsądnym człowiekiem, który stale się zastanawia, widać to w jego tekście. To on odkrył Alendiego i jako pierwszy ogłosił go Bohaterem Wieków. Dlaczego zwrócił się przeciwko niemu?

Sazed pokiwał głową, przeglądając tłumaczenia odcisku. Kwaan zyskał wielką sławę po odkryciu Bohatera. W końcu osiągnął upragniony cel. Znalazł miejsce, którego szukał.

*Jako ten, który odnalazł Alendiego, stałem się jednak kimś ważnym. Pierwszym pomiędzy Dawcami Światów.*

*Było dla mnie miejsce w tradycji Oczekiwania - uważałem się za Głosiciela, proroka, który wedle przepowiedni miał odkryć Bohatera Wieków. Wówczas odrzucenie Alendiego oznaczałoby odrzucenie mojej nowej pozycji i aprobaty pozostałych.*

- Musiało się wydarzyć coś bardzo poważnego - stwierdziła Tindwyl. - Coś, co sprawiło, że zwrócił się przeciwko przyjacielowi, źródłu własnej sławy. Coś, co tak bardzo wstrząsnęło jego sumieniem, że ryzykował przeciwstawienie się najpotężniejszemu władcy. Coś tak przerażającego, że wpadł na absurdalny pomysł i wysłał Rasheka jako skrytobójcę.

Sazed przejrzał notatki.

- Boi się i Głębi, i tego, co się stanie, jeśli Alendi zatrzyma moc. A jednak można odnieść wrażenie, że nie potrafił zdecydować, co jest większym zagrożeniem, i żadna z tych rzeczy nie pojawia się częściej w jego zapisie. Tak, widzę tu problem. Czy sądzisz, że Kwaan mógł chcieć coś zasugerować przez niespójność swoich wywodów?

- Być może - odparła. - Ale mamy tak mało informacji. Nie umiem ocenić człowieka, nie znając kontekstu jego życia!

Sazed spojrzał na nią.

- A może zbyt długo się tym zajmujemy. Zrobimy sobie przerwę?

- Nie mamy czasu, Sazedzie.

Spojrzał jej w oczy. Miała rację.

- Ty też to wyczuwasz, prawda? - spytała.

Pokiwał głową.

- Miasto wkrótce upadnie. Siły, które na nie napierają... armie, kolosy, zamęt...

- Obawiam się, że wszystko będzie bardziej gwałtowne, niż zakładają twoi przyjaciele, Sazedie - powiedziała cicho. - Im się chyba wydaje, że ciągle mogą żonglować swoimi problemami.

- Są po prostu optymistami - odparł z uśmiechem. - Nieprzyzwyczajonymi do porażki.

- To będzie gorsze od rewolucji - powiedziała. - Wiele lat zajmowałam się takimi rzeczami, Sazedie. Wiem, co się dzieje, gdy miasto zostaje zdobyte. Zginą ludzie. Wielu ludzi.

Sazeda przeszedł dreszcz. W Luthadel panowało napięcie. Być może jedna armia wejdzie do miasta z błogosławieństwem Zgromadzenia, lecz druga i tak zaatakuje. Mury Luthadel spłyną krwią, nim oblężenie się skończy.

I bał się, że koniec nadejdzie wkrótce.

- Masz rację - powiedział, wracając do notatek na biurku. - Musimy nadal pracować.

Powinniśmy zebrać więcej informacji na temat tych ziem przed Wstąpieniem, byś zyskała niezbędny kontekst.

Pokiwała głową z fatalistyczną determinacją. To nie było zadanie, które mogli ukończyć w tak krótkim czasie. Odcyfrowanie znaczenia odcisku, porównanie go z dziennikiem i umieszczenie go w kontekście epoki było zadaniem wymagającym wieloletnich wysiłków.

Opiekunowie mieli dużo wiedzy - lecz w tym wypadku było jej wręcz za wiele. Zbierali i przekazywali archiwa, opowieści, mity i legendy przez tak długi czas, że wyrecytowanie nowicjuszowi zebranych dzieł zajmowało im lata.

Na szczęście, wśród tej masy informacji znajdowały się również indeksy i podsumowania stworzone przez Opiekunów. A do tego również notatki i osobiste indeksy każdego z Opiekunów. One jednak pomagały Opiekunowi tylko w zrozumieniu, jak wiele wiedzy posiada. Sazed spędził życie, czytając, zapamiętując i opatrując przypisami religie.

Każdej nocy przed zaśnięciem odczytywał fragment notatki lub opowieści.

Najprawdopodobniej ze wszystkich uczonych na świecie wiedział najwięcej o religiach z czasów przed Wstąpieniem, a jednak czuł, że wie bardzo mało.

Problem pogłębiała jeszcze nieodłączna niepewność ich informacji. Duża część pochodziła z ust prostych ludzi, którzy bardzo starali się przypomnieć sobie, jak wyglądało ich życie - a jeszcze częściej, jak wyglądało życie ich dziadków. Opiekunowie powstali w drugim stuleciu rządów Ostatniego Imperatora. Do tego czasu wiele religii zostało już zniszczonych.

Sazed zamknął oczy, zrzucił do pamięci kolejny indeks z miedziomyśli i zaczął go przeszukiwać. Nie mieli wiele czasu, to prawda, lecz oboje byli Opiekunami. Byli przyzwyczajeni do rozpoczynania dzieł, które musieli dokończyć inni.

Elend Venture, niegdyś król Środkowego Dominium, stał na balkonie swojej twierdzy, spoglądając na ogromne miasto Luthadel. Choć nie spadły jeszcze pierwsze śniegi, zrobiło się zimno. Nałożył pelerynę, związaną z przodu, lecz nie chroniła ona jego twarzy. Zimny wiatr smagał mu policzki i szarpał płaszczem. Dym wznosił się z kominów, zbierając się niczym złowrogi cień nad miastem, po czym wznosił się i stapał z czerwonym niebem.

Na każdy dom, z komina którego wznosił się dym, przypadały dwa z pustymi kominami

- liczba mieszkańców Luthadel znacznie się ostatnio zmniejszyła. Elend jednak wiedział, że duża część z tych pozbawionych dymu domów jest wciąż zamieszkana. A ich mieszkańcy zamarzają.

Powinienem był zrobić dla nich więcej, pomyślał Elend z oczami otwartymi szeroko mimo przeszywającego wiatru. Powinienem był zdobyć więcej węgla, powinienem był

zaopatrzyć ich wszystkich.

Fakt, że Ostatni Imperator radził sobie lepiej od niego, uczył go pokory, a nawet przygnębiał. Choć był tyranem bez serca, przynajmniej chronił większość poddanych przed śmiercią głodową lub zamarznięciem. Panował nad armiami i ograniczył przestępczość do znośnego poziomu.

Na północnym wschodzie czekała armia kolosów. Nie przysłała żadnych emisariuszy do miasta, lecz była bardziej przerażająca niż wojska Straffa i Cetta. Zimno ich nie odstraszy -

mimo braku odzienia najwyraźniej nie zwracali uwagi na zmiany pogody. Ta ostatnia armia była najbardziej niepokojąca - bardziej niebezpieczna, bardziej nieprzewidywalna i niemożliwa do pokonania. Kolosy się nie targowały.

Nie przywiązywaliśmy do nich odpowiedniej wagi, pomyślał, stojąc na balkonie. Tak wiele rzeczy było do zrobienia, tak wiele było powodów do zmartwienia, że nie potrafiliśmy skoncentrować się na armii, która mogła okazać się równie niebezpieczna dla naszych wrogów, jak i dla nas.

Stawało się coraz mniej prawdopodobne to, by kolosy zaatakowały Cetta bądź Straffa.

Najwyraźniej Jastes panował nad nimi na tyle, by zmusić je do czekania na okazję ataku na Luthadel.

- Milordzie - powiedział ktoś z tyłu. - Proszę wrócić do środka. Nie ma sensu zamarzać na śmierć.

Elend się odwrócił. Kapitan Demoux stał w komnacie razem z innym strażnikiem. Od czasu próby zabójstwa Ham nalegał, by Elendowi zawsze towarzyszyli strażnicy. Elend nie spierał się, choć wiedział, że teraz takie środki ostrożności nie są potrzebne. Skoro nie był już królem, Straff go nie zabije.

Jest taki poważny, pomyślał Elend, przyglądając się twarzy Demoux. Dlaczego uważałem go za młodego? Jest niemal w moim wieku.

- Dobrze - powiedział i wrócił do komnaty. Gdy Demoux zamknął drzwi balkonu, zdjął



płaszcz.

Strój pod spodem wydawał mu się nieodpowiedni. Niechlujny, choć kazał go uprać i uprasować. Kamizelka była za ciasna - ćwiczenia z mieczem powoli zmieniały budowę jego ciała - a surdut wisiał luźno.

- Demoux - powiedział - kiedy będzie następne spotkanie wyznawców Ocalałego?

- Dziś, milordzie.

Elend pokiwał głową. Tego się obawiał - zapowiadała się zimna noc.

- Panie - spytał kapitan - nadal chcesz przyjść?

- Oczywiście. Dałem słowo, że wesprę waszą sprawę.

- To było, zanim przegrałeś głosowanie.

- To bez znaczenia - odparł Elend. - Dołączyłem do waszego ruchu, gdyż jest ważny dla skaa, Demoux, a ja chcę zrozumieć wolę mojego... wole ludu. Obiecałem wam oddanie i dostaniecie je.

Kapitan wydawał się nieco zdezorientowany, ale nic już nie powiedział. Elend rzucił

okiem na biurko, zastanawiając się nad lekturą, lecz zniechęcił go chłód komnaty. Dlatego otworzył drzwi i wyszedł na korytarz, a za nim podążyli strażnicy.

Odruchowo ruszył w stronę komnat Vin, ale się zatrzymał. Potrzebowała odpoczynku i nic jej nie pomoże, jeśli co pół godziny będzie do niej zaglądał. Dlatego poszedł innym korytarzem.

Przejścia na tyłach Twierdzy Venture były niczym ciasne i ciemne kamienne labirynty.

W ich mrocznej plątaniu czuł się jak w domu, być może dlatego, że wśród nich dorastał. To było doskonałe miejsce dla młodego mężczyzny, który nie chciał zostać odnaleziony. Teraz korzystał z nich z innego powodu - pozwalały mu na dłuższy spacer. Nie szedł w żadnym ściśle określonym kierunku, po prostu wyładowując w rytm kroków frustrację.

Nie mogę rozwiązać problemów miasta, powiedział sobie. Muszę pozwolić, by zajął się tym Penrod - to jego wybrał lud.

To powinno ułatwić życie Elendowi. Mógł pomyśleć o sobie, nie wspominając już o wzmocnieniu związku z Vin. Ona jednak ostatnio się zmieniła. Elend próbował wierzyć, że to ze względu na rany, lecz wyczuwał coś głębszego. Coś było w sposobie, w jaki na niego patrzyła, w jaki reagowała na jego uczucie. I wbrew sobie mógł wymyślić tylko jeden powód.

Już nie był królem.

Vin nie była płytka. Przez dwa lata, które spędzili razem, okazywała mu wyłącznie miłość i oddanie.

A jednak, jak mogłaby nie zareagować - choćby nieświadomie - na jego kolosalną porażkę? Podczas ataku skrytobójców patrzył, jak walczy. Po raz pierwszy widział, jak walczy naprawdę. Do tego dnia nie uświadamiał sobie, jak była niesamowita. Była nie tylko wojowniczką czy Allomantką. Była potęgą, niczym błyskawica lub wiatr. Sposób, w jaki zabiła tego ostatniego mężczyznę, miażdżąc jego głowę własną...

Jak ona może kochać kogoś takiego jak ja? - zastanawiał się. Nie umiałem nawet zachować tronu. Napisałem prawo, które doprowadziło do zdetronizowania mnie.

Westchnął i ruszył dalej. Wydawało mu się, że powinien zacząć się szamotać i szukać sposobu przekonania Vin, że jest jej wart. To jednak to by tylko sprawiło, że wydawałby się jeszcze bardziej niekompetentny. Błędów przeszłości nie dawało się naprawić, zwłaszcza że nie widział żadnych prawdziwych „błędów”, jakie popełnił. Dał z siebie wszystko, lecz okazało się, że to nie wystarczy.

Zatrzymał się na skrzyżowaniu. Niegdyś wystarczyłaby mu rozluźniająca chwila z książką. Teraz czuł się zdenerwowany. Spięty. Zakładał, że podobnie zwykle czuła się Vin.

Może mógłbym się od niej uczyć? - pomyślał. Co by zrobiła Vin w takiej sytuacji? Z

pewnością nie włóczyłaby się po okolicy, ponura i użalająca się nad sobą. Elend zmarszczył

czoło, spoglądając na korytarz oświetlony lampami, z których zapalono tylko połowę. W końcu ruszył przed siebie zdecydowanym krokiem.

Zapukał cicho, lecz nikt mu nie odpowiedział. W końcu zajrzał do środka. Sazed i Tindwyl siedzieli w ciszy przy biurku zarzuconym kawałkami papieru i notatnikami. Oboje wpatrywali się w przestrzeń, a ich oczy były szkliste, jakby byli czymś oszołomieni. Dłoń Sazedę spoczywała na stole, a na niej dłoń Tindwyl.

Sazed nagle się poderwał i odwrócił w stronę Elenda.

- Lordzie Venture! Przepraszam. Nie słyszałem, jak wchodziłeś.

- Nic się nie stało, Saze - odparł Elend.

W tym momencie ocknęła się również Tindwyl i zsunęła dłoń z ręki Sazedę.

Młody Venture skinął na Demoux i jego towarzysza - którzy cały czas szli za nim -

kazując im pozostać na zewnątrz. Zamknął drzwi.

- Elendzie... - odezwała się Tindwyl. W jej głosie jak zwykle pobrzmiwało niezadowolenie. - Dlaczego nam przeszkadzasz? Już udowodniłeś swoją niekompetencję, i to całkiem dobitnie, nie widzę więc powodu do dalszych dyskusji.

- To wciąż jest mój dom, Tindwyl - stwierdził Elend. - Jeszcze raz mnie tak obrazisz, a zostaniesz z niego wyrzucona.

Terrisanka uniosła brew.

Sazed zbladł.

- Lordzie Venture - powiedział szybko - nie sądzę, by Tindwyl chciała...

- Nic się nie stało, Sazedzie - odparł Elend, unosząc rękę. - Sprawdzała tylko, czy wróciłem do dawnych przyzwyczajęń i znów daję się obrażać.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Słyszałam, że snujesz się po pałacowych korytarzach niczym zagubione dziecko.

- To prawda, ale to nie znaczy, że całkiem straciłem dumę.

- Dobrze. - Wskazała na krzesło. - Usiądź, jeśli chcesz.

Elend skinął jej głową, podciągnął krzesło bliżej dwójki Terrisan i usiadł.

- Potrzebuję rady.

- Dałam ci tyle, ile mogłam - odparła Tindwyl. - Właściwie, dałam ci nawet zbyt dużo.

Moja ciągła obecność w tym miejscu sugeruje, że stoję po twojej stronie.

- Już nie jestem królem - zauważył. - Dlatego nie jestem już stroną. Po prostu szukam prawdy.

Uśmiechnęła się.

- W takim razie pytaj.

Sazed z wyraźnym zainteresowaniem przyglądał się tej wymianie zdań.

Wiem, pomyślał Elend. Ja też nie jestem pewien, jak wyglądają nasze stosunki.

- Oto mój problem - powiedział. - Zasadniczo, utraciłem władzę, gdyż nie chciałem skłamać.

- Wyjaśnij - poprosiła.

- Miałem okazję ukryć pewien fragment prawa. W ostatniej chwili mogłem sprawić, by Zgromadzenie pozostawiło mi władzę. Miast tego udzieliłem im informacji, która była prawdziwa, co kosztowało mnie tron.

- Wcale mnie to nie dziwi - stwierdziła.

- Spodziewałem się tego - odparł Elend. - Czy myślisz, że postąpiłem głupio?

- Owszem.

Pokiwał głową.

- Ale - dodała - to nie ta chwila kosztowała cię tron, Elendzie Venture. Ta chwila była drobiazgiem, zbyt małym, by przypisywać mu twoją wielką porażkę. Straciłeś tron, ponieważ nie nakazałeś swojej armii, by zabezpieczyła miasto. Ponieważ nalegałeś, by dać Zgromadzeniu zbyt wielką władzę i ponieważ nie korzystasz ze skrytobójców ani innych form nacisku. Mówiąc krótko, Elendzie Venture, utraciłeś władzę, bo jesteś dobrym człowiekiem.

- Czy nie można jednocześnie kierować się swoim sumieniem i być dobrym królem? - zapytał.

Tindwyl się zamyśliła.

- Zadajesz pytanie, które stawiano od wieków - powiedział cicho Sazed. - Zadawali je sobie monarchowie, kapłani i pokorni słudzy przeznaczenia. Nie wiem, czy istnieje na nie odpowiedź.

- Czy powinienem był skłamać, Sazedzie? - spytał Elend.

- Nie - odpowiedział z uśmiechem Terrisanin. - Być może inny człowiek na twoim miejscu powinien to zrobić. Lecz człowiek musi być spójny wewnętrznie. Przez całe życie podejmowałeś określone decyzje i zmiana w ostatniej chwili... wypowiedzenie tego kłamstwa... To sprzeciwiałoby się temu, kim jesteś. Myślę, że lepiej było tak postąpić i utracić tron.

Tindwyl spochmurniała.

- Jego ideały są piękne, Sazedzie. Ale co z ludźmi? Co, jeśli zginą, dlatego że Elend nie potrafił zapanować nad własnym sumieniem?

- Nie chcę się z tobą kłócić, Tindwyl - odpowiedział. - Po prostu moim zdaniem dokonał dobrego wyboru. Jego prawem jest kierować się własnym sumieniem i ufać, że opatrność wypełni luki stworzone przez konflikt między moralnością a logiką.

Opatrność.

- Mówisz o Bogu - stwierdził Elend.

- Tak.

Elend potrząsnął głową.

- Czym jest Bóg, Sazedzie, jeśli nie narzędziem wykorzystywanym przez obligatorów?

- Dlaczego dokonujesz takich, a nie innych wyborów, Elendzie Venture?

- Ponieważ są właściwe - odparł.

- A co sprawia, że są właściwe?

- Nie wiem - odpowiedział Elend z westchnieniem i usadowił się wygodniej. Zauważył

dezaprobatę w oczach Tindwyl na widok jego postawy, ale zignorował ją. Nie był królem i jeśli chciał, mógł się garbić. - Mówisz o Bogu, Sazedzie, lecz czyż nie nauczasz setki różnych religii?

- A dokładniej trzech setek - wyjaśnił Terrisanin.

- To w którą ty sam wierzysz?

- Wierzę w nie wszystkie.

- To nie ma sensu. - Elend pokręcił głową. - Przedstawiłeś mi zaledwie pół tuzina z nich, a i tak widzę, że do siebie nie pasują.

- Nie jest moją rolą ocenianie prawdy, lordzie Venture - powiedział z uśmiechem Sazed.

- Ja ją po prostu przekazuję.

Elend westchnął. Kapłani... pomyślał. Czasem rozmowa z Sazedem przypomina rozmowę z obligatorem.

- Elendzie - odezwała się nieco łagodniejszym tonem Tindwyl. - Uważam, że źle postąpiłeś w tej sytuacji. Jednak Sazed ma trochę racji. Postąpiłeś w zgodzie ze swoimi przekonaniem, a to moim zdaniem atrybut władcy.

- A co powinienem zrobić teraz? - spytał.

- Cokolwiek zechcesz - odparła. - Moim zadaniem nigdy nie było mówienie ci, co masz robić. Ja jedynie przekazałam ci wiedzę o tym, jak w przeszłości postępowali inni ludzie o twojej pozycji.

- A co takiego zrobiliby teraz? - spytał. - Ci twoi wielcy przywódcy, jak zareagowaliby w mojej sytuacji?

- To pytanie nie ma sensu. Nie znaleźliby się w takiej sytuacji, gdyż nie utraciliby swoich tytułów.

- Czy to o to właśnie chodzi? O tytuł?

- Czyż nie o tym rozmawiamy? - odpowiedziała pytaniem Tindwyl.

Elend zamilczał. „Co, twoim zdaniem sprawia, że człowiek staje się dobrym królem?”, zapytał ją kiedyś. „Zaufanie”, odpowiedziała. „Dobry król to ten, któremu ufa jego lud... i który zasługuje na to zaufanie”.

Podniósł się.

- Dziękuję, Tindwyl - powiedział.

Kobieta zmarszczyła czoło, wyglądała na zdezorientowaną. Odwróciła się do Sazed.

Terrisanin uniósł wzrok i napotkał spojrzenie Elenda. Lekko przechylił głowę. Po chwili się uśmiechnął.

- Tindwyl, myślę, że powinniśmy wrócić do badań. Jego Wysokość też ma swoją pracę.

Gdy Elend opuszczał komnatę, Terrisanka wciąż marszczyła czoło. Strażnicy podążyli za nim, gdy szybko ruszył korytarzem.

Nie stanę się taki, jak wcześniej, pomyślał Elend. Nie będę się dręczył i zamartwiał.

Tego nauczyła mnie Tindwyl, nawet jeśli nigdy mnie naprawdę nie rozumiała.

Kilka chwil później dotarł do swoich komnat. Wszedł do środka i podszedł do szafy. W

środku czekał strój, który wybrała mu Terrisanka - strój króla.

*Niektórzy z was mogli słyszeć o mojej legendarnej pamięci. To prawda -*

*nie potrzebuję metalmyśli Feruchemików, by w jednej chwili zapamiętać całą kartkę tekstu.*

- Dobrze - powiedział Elend, kawałkiem węgla rysując krąg wokół kolejnego punktu na mapie miasta. - A tutaj?

Demoux podrapał się po brodzie.

- Zbożne Pole? To dzielnica szlachetnie urodzonych, milordzie.

- Kiedyś tak - odparł Elend. - Zbożne Pole zamieszkiwali krewni rodu Venture. Kiedy mój ojciec wycofał się z miasta, większość z nich podążyła za nim.

- W takim razie sądzę, że domy pewnie zajmują uchodźcy skaa.

Elend pokiwał głową.

- Muszą się stamtąd wyprowadzić.

- Przepraszam, milordzie? - spytał kapitan.

Obaj stali na szerokim podjeździe dla powozów Twierdzy Venture. Żołnierze kłębili się wokół nich. Wielu nie nosiło mundurów - w końcu nie zajmowali się oficjalnie sprawami miasta. Elend nie był już królem, lecz mimo to przybyli na jego prośbę.

To coś oznaczało.

- Musimy wyprowadzić skaa z tych budynków - mówił dalej Elend. - Domy szlachetnie urodzonych to przeważnie rezydencje z kamienia z mnóstwem małych komnat. Bardzo trudno je ogrzać, w zasadzie każde pomieszczenie wymaga osobnego kominka lub pieca. Domy skaa są przygnębiające, ale mają ogromne paleniska i duże sale.

Demoux powoli pokiwał głową.

- Ostatni Imperator nie mógł pozwolić, by jego robotnicy zamarzli - dodał Elend. - Te budynki to najlepszy sposób, by skutecznie zadbać o dużą populację bez wielkich nakładów.

- Rozumiem, panie - odparł kapitan.

- Nie zmuszajcie ich, Demoux. Moja osobista straż, nawet przy wsparciu ochotników, nie ma oficjalnej władzy w mieście. Jeśli jacyś ludzie zapragną zostać w zajętej przez siebie posiadłości, zezwólcie na to. Dajcie im tylko wyraźnie do zrozumienia, że nie muszą zamarznąć na śmierć.

Demoux ruszył, by przekazać rozkazy. Elend odwrócił się na widok posłańca.

Mężczyzna musiał się przeciskać wśród tłumu żołnierzy przyjmujących rozkazy i opracowujących plany.

Venture skinął mu głową.

- Jesteś w grupie przygotowującej rozbiórki, prawda?

Mężczyzna przytaknął, jednocześnie kłaniając się. Nie nosił munduru - był jednym z żołnierzy, nie strażników Elenda. Był młody, miał kwadratową szczękę, szczerzy uśmiech i zaczynał już łysieć.

- Wydaje mi się, że cię znam - powiedział Elend.

- Pomogłem wam rok temu, milordzie. Poprowadziłem was w głąb pałacu Ostatniego Imperatora, na pomoc lady Vin...

- Goradel. Byłeś jednym z osobistych strażników Ostatniego Imperatora.

Mężczyzna pokiwał głową.

- Później wstąpiłem do waszej armii. Wydawało mi się, że tak trzeba.

Elend uśmiechnął się.

- To już nie moja armia, Goradelu, ale cieszę się, że dziś przyszedłeś nam pomóc. Jakie masz informacje?

- Mielicie rację, milordzie, skaa już ukradli meble z opustoszałych domów. Ale niewielu pomyślało o ścianach. Co najmniej połowa opuszczonych rezydencji ma wewnątrz drewniane ściany, a wiele z domów czynszowych budowano z drewna. Większość ma drewniane dachy.

- Dobrze - stwierdził Elend. Przyjrzał się zbierającym się ludziom. Nie przedstawił im swoich planów, jedynie poprosił o zgłaszanie się ochotników gotowych do pracy fizycznej. Nie spodziewał się, że przybędą ich całe setki.

- Wygląda na to, że zbiera się spora gromada, milordzie - zauważył Demoux, wracając do Elenda.

Venture pokiwał głową i dał znak Goradelowi, że może odejść.

- Będziemy mogli zrealizować nawet ambitniejsze projekty niż się spodziewałem.

- Milordzie, jesteście pewni, że chcecie zacząć burzyć miasto?

- Stracimy albo budynki, albo ludzi, Demoux. Wybieram budynki.

- A jeśli król spróbuje nas powstrzymać?

- To będziemy posłuszni - odparł Elend. - Ale wątpię, by lord Penrod się sprzeciwił. Jest zbyt zajęty przepychaniem przez Zgromadzenie uchwały oddającej miasto w ręce mojego ojca.

Poza tym powinien się cieszyć, że ci ludzie są tutaj i pracują, a nie siedzą w koszarach i się martwią.



Demoux zamilkł. Podobnie Elend. Obaj wiedzieli, jak bardzo niepewna jest ich pozycja.

Minęło niewiele czasu od ataku skrytobójców i przekazania władzy, i miasto pozostawało w stanie szoku. Cett wciąż ukrywał się w głębi Twierdzy Hasting, a jego armia gotowała się do ataku na miasto. Luthadel było niczym człowiek z nożem przyciśniętym do gardła. Z każdym oddechem ostrze rozcinało skórę.

Niewiele mogę na to poradzić, pomyślał Elend. Muszę się upewnić, że ludzie nie zamarzną przez kolejne kilka nocy. Wyraźnie czuł dotkliwie zimno, mimo światła dnia, płaszcza i budynków wokół. Luthadel miało wielu mieszkańców, lecz gdyby udało mu się zebrać wystarczająco wielu ludzi do burzenia odpowiedniej liczby budynków, mógł zrobić dla nich coś dobrego.

- Milordzie!

Elend odwrócił się w stronę niskiego mężczyzny z wąsikami.

- A, Felt - powitał go. - Masz jakieś wieści?

Mężczyzna pracował nad problemem zatrutego jedzenia - a dokładniej: jak intruzi dostali się do miasta.

Zwiadowca pokiwał głową.

- W rzeczy samej, milordzie. Przesłuchaliśmy z Podżegaczem uchodźców i okazali się czyści. Wtedy jednak zacząłem myśleć. Uchodźcy wydali mi się zbyt oczywiści. Obcy w mieście? To jasne, że będą pierwszymi, na których padną nasze podejrzenia. Doszedłem do wniosku, że tak wiele złego dzieje się za murami, te zatrute studnie, żywność i inne takie, że ktoś musi przechodzić do miasta i z powrotem.

Elend pokiwał głową. Bardzo starannie obserwowali żołnierzy Cetta w Twierdzy Hasting i żaden z nich nie był za to odpowiedzialny. Zrodzony z Mgły Straffa nadal był jedną z możliwości, lecz Vin nie sądziła, by to on odpowiadał za zatrucie studni. Elend miał

nadzieję, że ślad - jeśli uda się go odnaleźć - poprowadzi z powrotem do pałacu i być może ujawni nawet, kto z jego służących został zastąpiony przez kandrę.

- I? - spytał Elend.

- Przesłuchałem ludzi obsługujących furtki - mówił dalej Felt. - Nie sądzę, by to była ich wina.

- Furtki?

- Tajne wyjścia z miasta. Tunele i tym podobne.

- To coś takiego istnieje? - spytał zaskoczony Elend.

- Ależ oczywiście, milordzie. Za czasów Ostatniego Imperatora złodzieje skaa mieli problemy z

przedstawianiem się z miasta do miasta. Wszyscy, którzy wjeżdżali do Luthadel, byli przesłuchiwani. Dlatego też pojawiło się wiele dróg umożliwiających potajemne dostanie się do miasta. Większość została zamknięta... te, które wykorzystywały liny, by wciągać ludzi do środka ponad murem. Kilka wciąż działa, ale nie sądzę, by wpuszczały szpiegów. Kiedy pierwsza studnia została zatruta, właściciele furtek przerażili się, że zrobisz z nimi porządek.

Od tego czasu jedynie wypuszczają ludzi z miasta... tych, którzy chcąc uciec przed oblężeniem i tym podobne.

Elend spochmurniał. Nie wiedział co sądzić o fakcie, że ludzie sprzeciwiali się jego rozkazowi zamknięcia bram, bez możliwości opuszczenia miasta.

- Potem - dodał Felt - sprawdziłem rzekę.

- O tym już pomyśleliśmy - zauważył Elend. - Kraty zamykające kanały są bezpieczne.

Na twarzy Felta pojawił się uśmiech.

- Owszem. Posłałem paru ludzi pod wodę, żeby się rozejrzeli, i znaleźliśmy na dnie kilka rygli, utrzymujących kraty na miejscu.

- Co takiego?

- Ktoś wyrwał kraty, milordzie - wyjaśnił Felt - po czym je zaryglował, żeby nie wyglądały podejrzanie. W ten sposób niektórzy mogą swobodnie wpływać do miasta i je opuszczać.

Elend uniósł brew.

- Mamy wymienić kraty? - spytał Felt.

- Nie, wymieńcie tylko rygle na nowe i wystawcie strażę. Kiedy następnym razem ci ludzie spróbują dostać się do miasta, chcę, żeby znaleźli się w pułapce.

Felt wycofał się z szerokim uśmiechem na twarzy. Jego szpiegowskie talenty ostatnio nie były zbyt często wykorzystywane i wyglądało na to, że mężczyzna raduje się zadaniami, które wyznaczył mu Elend. Venture pomyślał, że powinien kazać Feltowi szukać szpiega kandry - zakładając oczywiście, że to on sam nie został zastąpiony.

- Panie - odezwał się Demoux - chyba mogę przedstawić inną opinię na temat zatruwania studni.

Elend się odwrócił.

- Tak?

Kapitan wezwał gestem stojącego na uboczu młodego chłopaka, który miał może osiemnaście lat, brudną twarz i ubranie robotnika skaa.

- To Larn - przedstawił go Demoux. - Członek mojego zgromadzenia.

Młodzieniec uklonił się Elendowi. Z jego postawy przebijała niepewność.

- Możesz mówić, Larnie - zachęcił go kapitan. - Opowiedz lordowi Venture, co widziałeś.

- Cóż, milordzie - odezwał się chłopak. - Próbowałem to powiedzieć królowi. Znaczą się, nowemu królowi. - Zarumienił się ze wstydu.

- Nic się nie stało - stwierdził Elend. - Mów dalej.

- Cóż, tamci mnie odegnali. Powiedzieli, że król nie ma dla mnie czasu. Więc przyszedłem do lorda Demoux. Pomyślałem, że on mi uwierzy.

- W co? - spytał Elend.

- Inkwizytor, milordzie - odpowiedział cicho młodzieniec. - Widziałem jednego w mieście.

Elenda przeszedł dreszcz.

- Jesteś pewien?

Odpowiedzią było skinienie głową.

- Całe życie mieszkałem w Luthadel, panie. Wiele razy widziałem egzekucje. Z

pewnością rozpoznałbym jednego z tych potworów. Kolce w oczach, wysoki i w szacie, skradający się w nocy. W pobliżu placów. Przysięgam.

Elend i Demoux wymienili spojrzenia.

- Nie on jeden, milordzie - powiedział cicho kapitan. - Niektórzy z mojego zgromadzenia twierdzili, że widzieli Inkwizytora kręcącego się koło Kredik Shaw. Pierwszych kilku zignorowałem, ale ten tu Larn jest godny zaufania. Jeśli powiedział, że coś widział, to coś widział. Wzrok ma prawie tak dobry jak Cynooki.

Elend wolno pokiwał głową i rozkazał jednemu z patroli swojej straży obserwować wskazane okolice. Później znów zajął się zbiórką drewna. Wydawał rozkazy, dzielił ludzi na drużyny, wysyłał jednych do pracy, drugich na poszukiwanie kolejnych ochotników. Bez paliwa wiele kuźni zostało zamkniętych, a robotnicy siedzieli beczynnym. Przyda im się trochę pracy dla zabicia czasu.

Widział zapal w oczach ludzi, gdy odchodzili. Znał tę determinację, tę stanowczość.

Wynikała z satysfakcji, że coś w końcu się robi, a nie siedzi i czeka na przeznaczenie - albo królów.

Elend powrócił do lektury mapy, zrobił kilka notatek. Kątem oka zauważył

wchodzącego Hama.

- To tutaj są wszyscy! - zawołał Ham. - Plac ćwiczeń opustoszał.

Elend podniósł z uśmiechem wzrok.

- Znow zacząłeś nosić mundur? - spytał Ham.

Elend spojrzał na swój biały strój. Zaprojektowany, by go wyróżniać w mieście zasypanym popiołem.

- Tak.

- Szkoda - stwierdził Ham z westchnieniem. - Nikt nie powinien być zmuszony do noszenia munduru.

Venture uniósł brew. W obliczu nadchodzącej zimy Ham w końcu zaczął nosić koszulę pod kamizelką. Nie włożył jednak płaszcza ani peleryny.

Elend znow spojrzał na mapę.

- Ten strój do mnie pasuje - powiedział. - Czuję się w nim dobrze. A poza tym ta twoja kamizelka też jest mundurem.

- W żadnym wypadku.

- Ach, tak? Nic nie świadczy bardziej dobitnie o byciu Zbirem niż chodzenie zimą bez płaszcza, Ham. Wykorzystujesz ubranie, by ludzie odpowiednio na ciebie reagowali. Chcesz im pokazać, kim jesteś i co sobą reprezentujesz... a to w gruncie rzeczy cel munduru.

Ham się zawahał.

- To ciekawe ujęcie tej kwestii.

- Naprawdę? Nigdy nie kłóciliście się o to z Breeze'em?

Zbir potrząsnął głową i odwrócił się w stronę kilku grupek mężczyzn słuchających tych, których Elend wyznaczył, by wydawali rozkazy.

Zmienił się, pomyślał Elend. Kierowanie miastem, zajmowanie się tymi wszystkimi sprawami odmieniło nawet jego. Zbir był teraz o wiele bardziej poważny... skupiony.

Oczywiście, miał większy wpływ na bezpieczeństwo miasta niż inni członkowie ekipy. Czasem aż trudno było pamiętać, że ten niezależny mężczyzna był jednocześnie ojcem rodziny. Ham nie mówił dużo o Mardrze i dwójce dzieci. Elend przypuszczał, że miał taki nawyk - przez wiele lat małżeństwa Ham mieszkał z dala od rodziny, by zapewnić im bezpieczeństwo.

Całe miasto jest moją rodziną, pomyślał Elend, przyglądając się, jak żołnierze wyruszają do pracy.

Niektórzy mogliby sądzić, że coś tak prostego jak zbieranie drewna na opał

to przyziemne zadanie, bez znaczenia w mieście oblężonym przez trzy armie. Elend wiedział

jednak, że zamarzający skaa przyjmą paliwo z równą radością, z jaką przyjęliby uwolnienie od groźby ataku wrogiej armii.

Właściwie Elend czuł się niemal tak jak jego żołnierze. Czuł satysfakcję, a nawet dreszczyk emocji, że robi coś, cokolwiek, by pomóc innym.

- A jeśli Cett zaatakuje? - spytał Ham, wciąż spoglądając na żołnierzy. - Duża część armii będzie rozproszona po mieście.

- Zakładając, że w moich drużynach jest nawet tysiąc żołnierzy, to tylko nieznacznie uszczupła nasze siły. Poza tym, Clubs sądzi, że będziemy mieli mnóstwo czasu, by ich zebrać.

Wyznaczyliśmy gońców.

Elend podniósł wzrok znad mapy.

- Poza tym nie sądzę, by Cett zaatakował w tej chwili. W swojej twierdzy jest bezpieczny. Nie zdobędziemy jej, musielibyśmy zabrać zbyt wielu ludzi z murów, co by nas całkiem odsłoniło. Musi się martwić jedynie moim ojcem...

Zamilkł.

- O co chodzi? - spytał Ham.

- Dlatego właśnie Cett tu jest - stwierdził Elend, mrugając. - Nie widzisz? Świadomie postawił się w sytuacji bez wyjścia. Jeśli Straff zaatakuje, armia Cetta będzie walczyć u boku naszej. Związał swój los z naszym.

Zbir zmarszczył czoło.

- To wygląda na dość desperackie posunięcie.

Elend pokiwał głową, myśląc o swoim spotkaniu z Cettem.

- „Desperackie” - powtórzył. - To dobre określenie. Cett z jakiegoś powodu jest zdesperowany, ale nie potrafię się domyślić dlaczego. Tak czy inaczej, znalazłszy się tutaj, staje po naszej stronie przeciwko Straffowi, i to niezależnie od tego, czy chcemy tego sojuszu.

- A jeśli Zgromadzenie odda miasto Straffowi? Jeśli nasze siły połączą się z nim i zaatakują Cetta?

- Podjął takie ryzyko - stwierdził Elend. - Cett nigdy się nie spodziewał, że opuści Luthadel. Ma zamiar zdobyć miasto albo zginąć. Czeka, ma nadzieję, że Straff zaatakuje, i martwi się, że po prostu mu się poddamy. Ale to się nie wydarzy, dopóki Straff boi się Vin.

Trójstronny kliniec. I do tego kolossy jako czwarty, nieprzewidywalny element.

Ktoś musiał zrobić coś, by przechylić szalę.

- Demoux - odezwał się Elend. - Jesteś gotów przejąć tu dowodzenie?

Kapitan spojrzał na niego i pokiwał głową.

Elend odwrócił się do Hama.

- Mam do ciebie pytanie.

Zbir uniósł brew.

- Jak bardzo szalony się dziś czujesz?

\*\*\*

Elend wyprowadził konia z tunelu na porośnięte mizerną roślinnością pola wokół

Luthadel. Odwrócił się i spojrzał na mur. Miał nadzieję, że żołnierze dostali jego wiadomość i nie uznają go za szpiega albo zwiadowcę jednej z wrogich armii. Wolał nie skończyć w jednej z historii Tindwyl jako były król, który zginął od strzały któregoś ze swoich ludzi.

Ham wyprowadził z tunelu niską, posiwiałą kobietę. Jak Elend się spodziewał, Ham bez trudu znalazł odpowiednią Furtkę, by wyprowadzić ich z miasta.

- Proszę bardzo - powiedziała kobieta, wspierając się na lasce.

- Dziękuję, dobra niewiasto. Dobrze przysłużyłaś się swojemu dominium - stwierdził

Elend.

Kobieta prychnęła i uniosła brew - choć Elend sądził, że jest prawie ślepa. Uśmiechnął

się, wyjął sakiewkę i podał ją kobiecie. Sięgnęła po nią powykęcanyimi, choć zadziwiająco zręcznymi palcami, i przeliczyła zawartość.

- Trzy dodatkowe?

- Żebyś zostawiła tu kogoś na czatach - stwierdził Elend. - By czekał na nasz powrót.

- Powrót? - powtórzyła. - Nie uciekacie?

- Nie. Mam coś do załatwienia z jedną z armii.

Kobieta znów uniosła brew.

- Cóż, to nie sprawa dla Babci - mruknęła, laską wymacując sobie drogę w stronę tunelu.

- Za trzy spinki zostawię tu jednego z wnuków, żeby posiedział parę godzin. Na Ostatniego Imperatora, mam ich wystarczająco dużo.

Ham obserwował ją z sympatią.

- Od jak dawna wiesz o tym miejscu? - spytał Elend, patrząc, jak dwóch przysadzistych mężczyzn przesuwa kamienie na miejsce.

Tunel, częściowo wykopany, częściowo wykuty w murze, był zadziwiający. Mimo że Elend usłyszał o ich istnieniu od Felta, wciąż czuł się dziwnie ze świadomością, że właśnie przejechał jednym z nich, oddalonym o kilka minut jazdy od Twierdzy Venture.

Gdy fałszywy odcinek muru się zamknął, Ham odwrócił się w jego stronę.

- Och, od wielu lat - odpowiedział. - Babcia Hilde dawała mi słodycze, kiedy byłem dzieciakiem. Oczywiście, to bardzo tani sposób, by uzyskać szeptaną, lecz skierowaną we właściwą stronę reklamę swojej furtki. Gdy dorosłem, wykorzystywałem ten tunel, by szmuglować Mardrę i dzieciaki do miasta i z powrotem, kiedy mnie odwiedzali.

- Zaraz, to ty dorastałeś w Luthadel?

- Oczywiście.

- Na ulicy? Jak Vin?

- Nie do końca jak Vin - powiedział stłumionym głosem Ham, obserwując mur. - Nie sądzę, by ktokolwiek dorastał jak Vin. Moi rodzice byli skaa... miałem szlachetnie urodzonego dziadka. Zajmowałem się różnymi nielegalnymi sprawami, ale przez większość dzieciństwa miałem rodziców. Poza tym byłem chłopakiem, i to dużym. - Odwrócił się w stronę Elenda. -

Sądzę, że to spora różnica.

Elend pokiwał głową.

- Nie zamkniesz tego miejsca, prawda? - spytał Ham.

Elend odwrócił się, wyraźnie zaskoczony.

- A czemu miałbym to zrobić?

Ham wzruszył ramionami.

- To nie do końca jedno z tych uczciwych przedsięwzięć, które pochwalasz.

Przypuszczam, że każdej nocy tą dziurą ludzie uciekają z miasta. Babcia Hilde jest znana z tego, że

bierze monetę i nie zadaje pytań, nawet jeśli trochę przy tym zrzędzi.

Ham miał rację. Pewnie dlatego nie powiedział mi o tym miejscu, dopóki go nie zapytałem. Jego przyjaciele chodzili po cienkiej linie, blisko dawnych związków z podziemiem, a jednocześnie starając się stworzyć rząd, dla którego tak wiele poświęcili.

- Nie jestem królem - stwierdził Elend, odwracając się plecami do miasta. - To, co robi Babcia Hilde, nie jest moją sprawą.

Ham zbliżył się do niego. Było widać, że wyraźnie mu ulżyło. Jednakże ten wyraz ulgi zniknął z jego twarzy, gdy uświadomił sobie, co właściwie robią.

- Nie podoba mi się to, El.

Elend wskoczył na grzbiet konia.

- Mnie też nie.

Moi starzy przyjaciele, szlachetnie urodzeni, próbowaliby mnie skłonić do zmiany zdania, pomyślał z rozbawieniem Elend. Dlaczego otaczam się ludźmi, którzy byli lojalni wobec Ocalałego? Wręcz oczekują, że ich przywódca będzie podejmował irracjonalne ryzyko.

- Pojadę z tobą - stwierdził Ham.

- Nie - odparł Elend. - To nic nie zmieni. Zostań tutaj i czekaj, aż wrócę. Jeśli nie, powiedz Vin, co się stało.

- Ależ tak, powiem jej - stwierdził sucho Ham. - A następnie wyciągnę z piersi jej sztylety. Postaraj się wrócić, dobrze?

Elend pokiwał odruchowo głową. Skupiał się na widocznej w pewnej odległości armii.

Armii bez namiotów, wozów, zaopatrzenia i służby. Armii, która wyżarła otaczającą roślinność do samej ziemi. Kolossy.

Strach sprawił, że wodze w dłoniach Elenda były śliskie od potu. Tym razem było inaczej niż w dniu, w którym pojechał do obozu Straffa albo do twierdzy Cetta. Tym razem był

sam. Vin nie mogła go wyratować z opresji, gdyby coś poszło nie tak - wciąż wracała do siebie po walce i nikt poza Hamem nie wiedział, co Elend zamierzał.

Ile jestem winien mieszkańcom tego miasta? - pomyślał Elend. Odrzucili mnie.

Dlaczego wciąż upieram się, by ich chronić?

- Rozpoznaję to spojrzenie, El - stwierdził Ham. - Wracajmy.



Elend zamknął oczy i westchnął cicho. Później otworzył je gwałtownie i spał konia ostrogami, ruszając galopem.

Od wielu lat nie widział kolosów, a wcześniej oglądał je jedynie z woli ojca. Straff nie ufał tym stworom i nie podobało mu się, że ich garnizony znajdują się w Północnym Dominium, zaledwie kilka dni marszu od jego rodzinnego Urteau. Te kolosy były przypomnieniem, ostrzeżeniem Ostatniego Imperatora.

Elend jechał szybko, jakby wykorzystując pęd konia do podtrzymania się na duchu.

Pomijając jedną krótką wizytę w garnizonie kolosów pod Urteau, wszystko, co wiedział o tych stworach, pochodziło z książek - lecz nauczanie przez Tindwyl osłabiło jego niegdyś absolutną i nieco naiwną wiarę we własną wiedzę.

To musi wystarczyć, pomyślał Elend, zbliżając się do obozu. Zacisnął zęby i zwolnił, gdy dotarł do grupki kolosów.

Było tak, jak to zapamiętał. Jedna duża jednostka - ze skórą obrzydliwie popękana i porozciągana - prowadziła kilka stworów średniej wielkości, które miały jedynie krwawiące pęknięcia w kącikach ust i oczu. Grupka mniejszych istot, o skórze luźnej i zwisającej pod oczami i pachami, towarzyszyła starszym.

Elend ściągnął wodze i klusem zbliżył się do największego ze stworów.

- Zabierz mnie do Jastesy.

- Zsiadaj z konia - powiedział koloss.

Elend spojrzał mu w oczy. Siedząc w siodle, był niemal takiego samego wzrostu.

- Zabierz mnie do Jastesy.

Koloss wpatrywał się w niego beznamiętnym wzrokiem. Między jego oczami, ponad nosem, znajdowało się pęknięcie, a drugie biegło do jednego z nozdrzy. Sam nos został tak mocno naciągnięty, że był powykręcany i spłaszczony, przesunięty kilka cali w bok.

To była ta chwila. Wedle ksiąg stwór albo wykonywał polecenie, albo atakował. Elend czekał w napięciu.

- Chodź - warknął koloss i ruszył w stronę obozu.

Reszta istot otoczyła konia Elenda i wierzchowiec zaczął się nerwowo kręcić. Elend napiął mocno wodze i zachęcił spłoszone zwierzę do ruszenia dalej.

Powinien się cieszyć z tego drobnego zwycięstwa, ale jego napięcie tylko się powiększyło. Szli w głąb obozu kolosów. Czuł się tak, jakby był pochłaniany, jakby otaczała go kamienna lawina. Gdy przejeżdżał, kolosy podnosiły wzrok, patrzyły na niego swoimi czerwonymi, beznamiętnymi oczami.

Inne po prostu siedziały w milczeniu wokół ognisk i nie reagowały, niczym ludzie, którzy urodzili się słabi na umyśle i tępi.

Niektóre osobniki walczyły. Kolossy zabijały się nawzajem, mocując się na ziemi przed obojętnymi towarzyszami. Żaden filozof, naukowiec ani uczonec nie umiał dokładnie określić, co kierowało kolosami. Chciwość wydawała się dobrą motywacją. Czasem jednak atakowały, gdy miały mnóstwo jedzenia, zabijając towarzysza dla jego kawałka wołowiny. Innym źródłem motywacji był ból, podobnie jak rzucenie wyzwania władzy. Cieleśne, instynktowne reakcje. A jednak wydawało się, że czasem atakowały bez powodu.

A po walce tłumaczyły się spokojnie, jakby ich zachowanie było racjonalne. Elend zadrzał, słysząc ryki, powtarzał sobie jednak, że nic mu się nie stanie, dopóki nie dotrze do Jastesa. Kolossy zazwyczaj atakowały siebie nawzajem.

Chyba że ogarnął je bitewny szal.

Odepchnął tę myśl, skupiając się na tym, co opowiadał Sazed o swoich odwiedzinach w obozie kolosów. Stwory nosiły szerokie żelazne miecze, które opisał Terrisanin. Im większy koloss, tym większa broń. Kiedy koloss urósł tak, że potrzebował nowego miecza, miał dwa wyjścia - znaleźć porzucony albo zabić kogoś i zabrać mu broń. Populację kolosów często dawało się kontrolować, zwiększając lub zmniejszając liczbę dostępnych mieczy.

Żaden z uczonych nie wiedział, w jaki sposób się rozmnażały.

Jak opowiadał Sazed, te kolossy miały również dziwne sakiewki przywiązane do mieczy. Czym są? - zastanawiał się Elend. Sazed mówił, że największy koloss nosił trzy albo cztery sakiewki. Ale ten prowadzący moją grupę ma ich niemal dwadzieścia. Nawet małe stwory z grupy Elenda miały po trzy sakiewki.

To różnica, pomyślał. Cokolwiek jest w tych sakiewkach, być może właśnie w ten sposób Jastes panuje nad tymi istotami?

Nie mógł się dowiedzieć, chyba żeby wyblagał jedną z sakiewek od kolossa - a wątpił, by spełniły jego prośbę.

Idąc, zauważył kolejną dziwną rzecz - niektóre z kolosów były ubrane. Wcześniej widział je tylko w przepaskach biodrowych, jak opisywał Sazed. Jednakże wiele z tych kolosów nosiło spodnie, koszule lub spódnice. Najwyraźniej kolossy nie przywiązywały wagi do rozmiarów ubrań, i wiele z części odzieży było tak ciasnych, że się podarło. Inne były tak luźne, że musieli je związywać. Kilka z większych kolosów nosiło ubrania zarzucone na głowy albo ramiona niczym chusty.

- Nie jesteśmy kolosami - powiedział nagle przywódca, odwracając się w stronę Elenda.

Elend zmarszczył czoło.

- Wyjaśnij.

- Myślisz, że jesteśmy kolossami - wysyczała istota przez usta, które były zbyt rozciągnięte, by się normalnie poruszać. - Jesteśmy ludźmi. Zamieszkamy w waszym mieście.

Zabijemy was i weźmiemy je.

Elend zadrżał, uświadamiając sobie pochodzenie niedopasowanych strojów. Kolosy wzięły je z wioski, którą zaatakowały, a której mieszkańcy uciekli do Luthadel. To było coś nowego w sposobie myślenia kolosów. A może istniało od zawsze, tylko było tłumione przez Ostatniego Imperatora? Elend - uczonego był zafascynowany. Cała reszta jego osoby - po prostu przerażona.

Jego przewodnik zatrzymał się przed niewielką grupą namiotów, jedynych w całym obozie. Wówczas przywódca odwrócił się i zaryczał, płosząc konia Elenda. Venture próbował

się utrzymać w siodle spłoszonego wierzchowca, gdy koloss skoczył i zaatakował jednego ze swoich towarzyszy, zadając mu potężny cios pięścią.

Elend wygrał swoją walkę. Przywódca kolosów wręcz przeciwnie.

Venture zsiadł z konia i poklepał zwierzę po szyi, gdy zaatakowany koloss wyciągał

miecz z piersi byłego przywódcy. Ocalały - na którego skórze widniało teraz kilka nowych ran niezwiązanych z jej nadmiernym rozciągnięciem - pochylił się, by zebrać sakiewki z pleców trupa. Elend przyglądał się temu niemal z fascynacją. Po chwili stwór się wyprostował.

- Nie był dobrym przywódcą - powiedział bełkotliwie.

Nie mogę pozwolić, by te potwory zaatakowały moje miasto, pomyślał Elend. Muszę coś zrobić. Poprowadził konia do przodu i odwrócił się plecami do kolosów, wchodząc do wydzielonej części obozu, pilnowanej przez nerwowych młodzieńców w mundurach. Elend podał wodze jednemu z nich.

- Popilnuj go dla mnie - powiedział, ruszając długimi krokami do przodu.

- Zaczekaj! - zawołał jeden z żołnierzy. - Stać!

Elend odwrócił się gwałtownie w stronę niższego mężczyzny, który próbował

jednocześnie wycelować włócznię w Elenda i mieć oko na kolosy. Młody Venture nie chciał

być surowy, po prostu starał się zapanować nad niepokojem i nie miał ochoty się zatrzymywać.

Tak czy inaczej, jego gniewne spojrzenie z pewnością zrobiłoby wrażenie nawet na Tindwyl.

Żołnierz zatrzymał się w miejscu.

- Jestem Elend Venture. Znasz to imię?

Mężczyzna kiwnął głową.

- Możesz zapowiedzieć moje przybycie lordowi Lekalowi - powiedział Elend. - Ale postaraj się dotrzeć do namiotu przede mną.

Młodzieniec ruszył biegiem. Elend podążył za nim w stronę namiotu, gdzie czekali w niepewności inni żołnierze.

Jak oni muszą się czuć, zastanawiał się Elend, żyjąc w otoczeniu kolosów, i to mających taką przewagę liczebną? Ulitował się nad żołnierzami i nie próbował wepchnąć się do środka. Zaczekał z udawaną cierpliwością, aż ze środka ktoś zawołał:

- Wpuście go!

Elend minął strażników i odchylił klapę namiotu.

Ostatnie miesiące nie były łaskawe dla Jastesa Lekala. Jakimś sposobem pojedyncze kosmyki na jego głowie wyglądały bardziej żałośnie, niż gdyby całkiem wyłysiał. Jego surdut był niechlujny i poplamiony, pod oczami mężczyzny malowały się głębokie cienie. Spacerował

po namiocie, a na widok Elenda drgnął.

Na chwilę zamarł z szeroko otwartymi oczami. W końcu uniósł drżącą dłoń, by przyglądać resztki włosów.

- Elend? - spytał. - Co się z tobą stało, na Ostatniego Imperatora?

- Odpowiedzialność, Jastesie - odparł cicho Venture. - Wygląda na to, że żaden z nas nie był na nią gotowy.

- Wyjść - powiedział Lekal, odsyłając machnięciem ręki strażników.

Ci przeszli obok Elenda i opuścili klapę namiotu.

- Minęło trochę czasu - stwierdził Jastes, uśmiechając się słabo.

Elend pokiwał głową.

- Pamiętam te dni - dodał Lekal - kiedy siedzieliśmy w twojej komnacie albo mojej i piliśmy z Teldenem. Byliśmy tacy niewinni, czyż nie?

- Niewinni, ale pełni nadziei.

- Napijesz się? - spytał Jastes, odwracając się w stronę biurka.

Elend przyjrzał się butelkom i flaszkom leżącym w kącie pomieszczenia. Wszystkie były puste. Jastes wyjął z biurka pełną butelkę i nalał Elendowi niewielki kubek. Barwa trunku wskazywała, że to nie było zwyczajne stołowe wino.

Elend przyjął nieduże naczynie, ale się nie napił.

- Co się stało, Jastesie? Jakim sposobem bystry, wnikliwy filozof, którego znałem, zmienił się w tyrana?

- Tyrana? - warknął Jastes, jednym haustem pochłaniając zawartość kubka. - Nie jestem tyranem. Twój ojciec jest tyranem. Ja jestem realistą.

- Siedzenie pośrodku armii kolosów nie wydaje mi się szczytem realizmu.

- Panuję nad nimi.

- A Suisna? - spytał Elend. - Ta wioska, której mieszkańców wyróżnili?

Jastes zadrżał.

- To był nieszczęśliwy wypadek.

Elend spojrział na swój kubek, po czym odrzucił go na bok. Płyn rozlał się po zakurzonej podłodze namiotu.

- To nie jest dom mojego ojca, a my już nie jesteśmy przyjaciółmi. Nie nazwę przyjacielem człowieka, który prowadzi coś takiego przeciwko mojemu miastu. Co się stało z twoim honorem, Jastesie Lekalu?

Jastes prychnął, spoglądając na rozlany trunek.

- Zawsze był z tobą ten problem, Elendzie. Jesteś taki pewny siebie, taki optymistyczny, taki zadufany w sobie.

- To był nasz optymizm - odparł Elend i zrobił krok do przodu. - Chcieliśmy zmieniać świat, Jastesie, a nie go niszczyć!

- Naprawdę? - zapytał Lekal, okazując przy tym gniew, jakiego Elend nigdy wcześniej nie widział u swego przyjaciela. - Chcesz wiedzieć, dlaczego tu jestem, Elendzie? Czy w ogóle zwracałeś uwagę na to, co się działo w Południowym Dominium, kiedy ty bawiłeś się w Luthadel?

- Przykro mi z powodu tego, co się stało z twoją rodziną, Jastesie.

- Przykro ci? - powtórzył Lekal, porywając butelkę z biurka. - Przykro ci?

Wprowadziłem w życie twoje plany, Elendzie. Zrobiłem wszystko, o czym rozmawialiśmy...

wolność, uczciwość. Ufałem swoim sojusznikom, zamiast siłą zmusić ich do posłuszeństwa. I wiesz, co się stało?

Elend zamknął oczy.

- Zabili wszystkich. Tak się robi, gdy przejmuje się władzę. Zabija się rywali i ich rodziny, nawet małe dziewczynki, nawet niemowlęta. I zostawia się ich trupy jako ostrzeżenie.

To dobra polityka. Tak zachowuje się władzę!

- Łatwo w coś wierzyć, kiedy przez cały czas się zwycięża, Jastesie - powiedział Elend, otwierając oczy. - To straty precyzują nasze przekonania.

- Straty?! - wykrzyknął Lekal. - Moja siostra była stratą?!

- Nie, chodziło mi...

- Wystarczy! - warknął Jastes i rąbnął butelką w stół. - Straż!

Dwaj mężczyźni odrzucili klapę namiotu i weszli do środka.

- Weźcie Jego Wysokość w niewolę - powiedział Jastes z niepewnym gestem dłoni. -

Poślijcie kuriera do miasta i powiedzcie im, że chcę negocjować.

- Już nie jestem królem - powiedział Elend.

Jastes zastygł w bezruchu.

- Myślisz, że przyszedłbym tutaj i dał się złapać, gdybym był królem? - spytał młody Venture. - Zdeponizowali mnie. Zgromadzenie powołało się na klauzulę braku zaufania i wybrało nowego króla.

- Ty przeklęty idioto.

- Straty, Jastesie. Mnie nie było tak ciężko jak tobie, ale sądzę, że rozumiem.

- Czyli - powiedział Lekal, przeciągając dłońmi po głowie - ten piękny mundur i fryzura cię nie uratowały, co?

- Weź swoje kolosy i odejdz, Jastesie.

- To zabrzmiało jak groźba, Elendzie. Nie jesteś królem, nie masz armii i nie widzę przy tobie twojej Zrodzonej z Mgły. Jak możesz grozić?

- To kolosy - powiedział Elend. - Naprawdę chcesz, żeby weszły do miasta? Ono jest twoim domem, Jastesie... a raczej kiedyś nim było. Za murami są tysiące ludzi!

- Mogę... zapanować nad swoją armią.

- Wątpię, by ci się to udało - sprzeciwił się Venture. - Jak to się stało, Jastesie? Uznały, że potrzebują króla? Uznały, że „ludzie” tak robią, więc one też powinny? Co noszą w sakiewkach?

Jastes nie odpowiedział.

Elend westchnął.

- A co się stanie, jeśli jeden z nich nagle wyrwie się spod kontroli i cię zaatakuje?

Jastes potrząsnął głową.

- Przepraszam, Elendzie - powiedział cicho. - Nie mogę pozwolić, by Straff dostał atium.

- A moi ludzie?

Lekal wahał się tylko przez chwilę, po czym spuścił wzrok i machnął ręką na strażników. Jeden położył dłoń na ramieniu Elenda.

Reakcja Elenda zaskoczyła nawet jego samego. Wbił łokieć w twarz mężczyzny, łamiąc mu nos, po czym powalił drugiego żołnierza kopniakiem w nogę. Jastes zdążył jedynie krzyknąć, gdy jego dawny przyjaciel rzucił się do przodu.

Venture wyrwał z cholewki obsydianowy nóż, prezent od Vin, i chwycił Jastesę za ramię. Gwałtownie obrócił przerażonego mężczyznę i pchnął go plecami na biurko po czym -

nie zastanawiając się nad tym co robi - wbił ostrze w ramię Lekala.

Jastes krzyknął żałośnie.

- Gdyby zabicie cię mogło przynieść coś dobrego - warknął Elend - zrobiłbym to w tej chwili. Nie wiem jednak, jak panujesz nad tymi stworami, a nie chciałbym, żeby zaczęły szaleć.

Do namiotu wpadli żołnierze. Elend nie podnosił wzroku. Spoliczkował Jastesę, uciszając jego krzyki.

- Posłuchaj - powiedział. - Nie obchodzi mnie, że cię boli, nie obchodzi mnie, że już nie wierzysz w filozofię, i naprawdę nie obchodzi mnie to, czy dasz się zabić, bawiąc się w politykę ze Straffem i Cettem. Ale obchodzi mnie to, że zagrażasz moim ludziom. Chcę, żebyś wyprowadził swoją armię z mojego dominium... idź i zaatakuj ojczyznę Straffa albo Cetta, pozostały bez obrony. Obiecuję, że nie pozwolę, by twoi wrogowie dostali atium. A jako przyjaciel udzielę ci jeszcze pewnej rady. Zastanów się nad tą raną w ramieniu, Jastesie. Byłem twoim najlepszym przyjacielem i omal cię nie zabiłem. Co, do kata, robisz pośrodku armii oszalałych kolosów?

Żołnierze go otoczyli. Elend wyprostował się, wyrwał nóż z ciała Jastesę i obrócił mężczyznę, przyciskając mu ostrze do gardła.

Strażnicy zamarli.

- Wychodzę - stwierdził Elend, popychając oszołomego Jastesa przed sobą i opuszczając namiot.

Z niepokojem zauważył, że strażników-ludzi jest około tuzina. Sazed naliczył ich więcej. Gdzie podziła się reszta?

Nigdzie nie było jego konia. Dlatego też uważnie przyglądał się żołnierzom, ciągnąc Jastesa w stronę niewidzialnej granicy między obozem ludzi a kolosów. Kiedy do niej dotarł, odwrócił się i popchnął Lekala z powrotem w stronę jego ludzi. Chwycili go, jeden wyjął

bandaż. Inni poruszyli się, jakby chcieli biec za Elendem, lecz zatrzymali się niepewnie.

Venture przeszedł granicę obozu kolosów. Stał w milczeniu, przyglądając się żalosnej grupce młodych żołnierzy, z Jastesem pośrodku. Elend widział spojrzenie Lekala podczas opatrywania rany. Nienawiść. Nie wycofa się. Jego dawny przyjaciel zginął, zastąpiony przez ten twór nowego świata, który nie lubił filozofów i idealistów.

Odwrócił się i ruszył między kolosami. Jedna z grupek zbliżyła się do niego. Ta sama co wcześniej? Nie mógł być pewien.

- Wyprowadźcie mnie - rozkazał, spoglądając w oczy największego z kolosów w grupie.

Albo Elend wydawał się teraz bardziej władczy, albo ten koloss łatwiej dawał się zastraszyć, gdyż nie próbował się sprzeciwiać. Po prostu pokiwał głową i ruszył do granic obozu, a jego drużyna otoczyła Elenda.

Ta wyprawa to było marnowanie czasu, pomyślał Elend. Tylko zraziłem do siebie Jastesa. Na próżno ryzykowałem życie. Gdybym tylko dowiedział się, co jest w tych sakiewkach!

Przyglądał się otaczającej go grupie kolosów. Jej członkowie mieli od pięciu do dziesięciu stóp wzrostu. Szli pochyleni, obojętni...

Elend wciąż trzymał nóż.

To głupota, pomyślał. Z jakiegoś powodu nie powstrzymało go to przed wybraniem najmniejszego kolossa z grupy, wzięciem głębokiego oddechu i zaatakowaniem go.

Reszta kolosów zatrzymała się, by przyjrzeć się walce. Stwór wybrany przez Elenda obrócił się - ale w złą stronę. Obrócił się w stronę innego z kolosów, najbliższego mu rozmiarem, a wtedy Elend rzucił się na niego i wbił mu nóż w plecy.

Choć koloss miał tylko pięć stóp wzrostu i drobną budowę, był nieprawdopodobnie silny. Zrzucił Elenda, rycząc z bólu. Venture jednak nie puszczał broni.

Nie mogę mu pozwolić na wyjęcie miecza, pomyślał, podnosząc się z trudem i wbijając nóż w udo istoty. Koloss znów go odepchnął i jedną ręką uderzył Elenda, a drugą sięgnął po miecz. Mężczyzna przyjął cios na pierś i upadł na ciemną ziemię.



Jęknął, sapnął. Koloss wyciągnął miecz, lecz z trudem trzymał się na nogach. Z obu ran od noża płynęła krew - wydawała się bardziej jaskrawa i jaśniejsza niż ludzka, lecz być może wynikało to jedynie z kontrastu z ciemnoniebieską skórą.

Koloss w końcu odzyskał równowagę i Elend uświadomił sobie swój błąd. Pozwolił, by kierowała nim wściekłość po spotkaniu z Jastesem - frustracja z powodu niemożności powstrzymania armii. Ostatnio dużo ćwiczył, ale nie był zdolny pokonać kolossa.

O to jednak nie miał czasu się już martwić.

Elend odczołował się w bok, gdy gruby, przypominający niemal maczugę miecz uderzył w ziemię obok niego. Instynkty przejęły władzę nad ciałem i niemal udało mu się uciec przed wracającym ostrzem. Trafiło go w bok, zalewając czerwienią niegdyś biały mundur.

Jest tylko jeden sposób, by wygrać walkę nożem, gdy wróg ma miecz... - pomyślał

Elend, chwytając obsydianowe ostrze. Ta myśl, co dziwne, nie pochodziła od jednego z jego nauczycieli ani nawet od Vin. Nie znał jej źródła, ale zaufał jej.

Trzeba się zbliżyć jak najszybciej i szybko zabić.

I Elend zaatakował. Koloss również się zamachnął. Elend widział atak, lecz nie mógł na niego zareagować. Rzucił się do przodu z uniesionym sztyletem i zaciśniętymi zębami.

Wbił nóż w oko kolossa, prawie znajdując się już poza zasięgiem stwora. Mimo to rękojeść miecza trafiła go w brzuch.

Obaj upadli.

Elend jęknął cicho. Tuż przed oczyma miał twardą, zasypaną popiołem ziemię. Pod policzkiem czuł złamaną gałązkę. Dziwne, że zwracał uwagę na takie rzeczy mimo bólu w piersi. Wstał z trudem. Koloss, którego zaatakował, nie podniósł się. Jego towarzysze stali z obojętnymi minami, choć spoglądali na niego. Wyglądało na to, że na coś czekają.

- Zjadł mojego konia - powiedział Elend, wypowiadając pierwszą myśl, która pojawiła się w jego oślepiającym umyśle.

Kolossy pokiwały głowami. Elend zatoczył się do przodu i niepewną dłonią otarł popiół

z policzka. Ukląkł przy trupie. Wyrwał nóż i schował go z powrotem do cholewy. Później odwiązał sakiewki - ten koloss miał dwie.

Wreszcie, choć sam nie wiedział dlaczego, chwycił wielki miecz stwora i oparł go na ramieniu. Był tak ciężki, że Elend z trudem go niósł i z pewnością nie umiałby się nim zamachnąć. Jak taka mała istota posługuje się czymś takim?

Kolossy przyglądały się w milczeniu jego poczynaniom. Później wyprowadziły go z obozu. Kiedy się

wycofały, Elend otworzył jedną z sakiewek i zajrzał do środka.

Znalezisko właściwie nie powinno go zaskoczyć. Jastes zdecydował się zapanować nad armią w tradycyjny sposób.

Płacił swym żołnierzom.

*Niektórzy nazywają mnie szaleńcem. Jak już mówiłem, mogą mieć rację.*

Mgła wlewała się do ciemnej komnaty, opadając niczym wodospad wokół Vin, która stała w otwartych drzwiach balkonu. Elend spał nieruchomo w swoim łóżku w pewnej odległości od niej.

„Najwyraźniej, panienko”, wyjaśnił OreSeur, „samotnie udał się do obozu kolosów.

Spałaś, a nikt z nas nie wiedział o jego planach. Nie sądzę, by udało mu się przekonać te stwory, by nas nie atakowały, ale wrócił z pewnymi bardzo przydatnymi informacjami”.

OreSeur siedział obok niej na tylnych łapach. Nie zapytał, dlaczego Vin przybyła do komnat Elenda ani dlaczego stała, w milczeniu strzegąc byłego króla.

Nie mogła go ochronić. Tak bardzo się starała, ale niemożność zapewnienia bezpieczeństwa nawet jednemu człowiekowi nagle wydawała się tak realna - namacalna - że aż zrobiło jej się niedobrze.

Elend miał rację, że poszedł do tego obozu. Był panem samego siebie, kompetentnym, władczym. Jednakże tym samym znalazł się w wielkim niebezpieczeństwie. Strach był

nieodłącznym towarzyszem Vin od tak długiego czasu, że przyzwyczaiła się do niego i rzadko wywoływał w niej fizyczne reakcje. Mimo to, kiedy patrzyła, jak Elend śpi, jej ręce zdradziecko drżały.

Uratowałam go przed skrytobójcami. Chroniłam go. Jestem potężnym Allomantą.

Dlaczego więc czuję się taka bezradna?

Taka samotna?

Zrobiła krok do przodu. Bezszelestnie podeszła do łóżka Elenda. Stała przez dłuższą chwilę, obserwując go.

OreSeur zawarczał cicho.

Vin obróciła się na pięcie. Na balkonie ujrzała postać - wyprostowaną i nawet dla jej wspomaganych cyną oczu czarną. Mgły opadały przed nim, zbierając się na podłodze, rozplywając niczym eteryczny mech.

- Zane - szepnęła.

- On nie jest bezpieczny, Vin - powiedział, wchodząc powoli do środka, popychając przed sobą falę mgły.

Spojrzała z powrotem na Elenda.

- Nigdy nie będzie.

- Przyszedłem ci powiedzieć, że jest wśród was zdrajca.

Vin uniosła wzrok.

- Kto? - spytała.

- Demoux - odparł Zane. - Skontaktował się z moim ojcem na krótko przed skrytobójczym atakiem, proponując, że otworzy bramy i podda miasto.

Vin skrzywiła się. To nie miało sensu.

Mężczyzna zrobił krok do przodu.

- To robota Cetta, Vin. Jest jak wąż, nawet wśród wysokich lordów. Nie wiem, jak przekupił jednego z waszych ludzi, ale wiem, że próbował sprowokować mojego ojca do ataku na miasto podczas głosowania.

Vin się zawahała. Gdyby Straff zaatakował w takiej chwili, podsyciłoby to wrażenie, że wysłał skrytobójców.

- Elend i Penrod mieli zginąć - dodał Zane. - W Zgromadzeniu zapanowałby chaos, a Cett przejąłby dowodzenie. Mógłby poprowadzić swoje siły... wraz z waszymi... przeciwko atakującej armii Straffa. Zostałby zbawcą, który uratował Luthadel przed tyranem...

Stała w milczeniu. Słowa Zane'a niekoniecznie musiały być prawdą. Jednakże jej śledztwo sugerowało, że Demoux był zdrajcą.

Rozpoznała skrytobójcę w Zgromadzeniu, i był on częścią orszaku Cetta, wiedziała zatem, że Zane mówił prawdę przynajmniej w jednej kwestii. Poza tym Cett już wcześniej wysłał skrytobójców Allomantów - wiele miesięcy wcześniej, kiedy Vin wykorzystała resztki atium. Podczas tej walki Zane uratował jej życie.

Zacisnęła pięści, czując głęboką frustrację. Jeśli mówi prawdę, to Demoux nie żyje, a wrogą kandra przebywa w pałacu i spędza dnie o krok od Elenda. Nawet jeśli Zane kłamie, wciąż mamy jednego tyrana za murami miasta, a drugiego tuż pod nimi. A Elend mnie nie potrzebuje.

Dlatego że nic nie mogę zrobić.

- Widzę twoją frustrację - wyszeptał Zane, podchodząc do łóżka Elenda i spoglądając na śpiącego brata. - Wciąż go słuchasz. Pragniesz go chronić, lecz on ci nie pozwala.

Zane uniósł wzrok, napotkał jej spojrzenie. Widziała sugestię w jego oczach.

Coś mogła zrobić - coś, co w głębi duszy pragnęła zrobić od samego początku. Do czego została wyszkolona.

- Cett omal nie zabił człowieka, którego kochasz - mówił dalej Zane. - Twój Elend robi, co chce.

Może więc zrobimy to, czego ty chcesz. - Spojrzał jej w oczy. - Zbyt długo byliśmy cudzymi nożami. Pokażmy Cettowi, dlaczego powinien się nas bać.

Wściekłość i frustracja wywołane obłączeniem kazały jej postąpić zgodnie z sugestiami Zane'a. Mimo to zawahała się, w jej myślach panował chaos. Zabijała - zabijała dobrze -

całkiem niedawno i przeraziło ją to. Jednak...

Elend mógł podjąć ryzyko - szalone ryzyko - udać się samotnie do serca armii kolosów.

To było niemal jak zdrada. Tak bardzo starała się go ochronić, wysilała się, odsłaniała. A kilka dni później on wchodzi samotnie do obozu pełnego potworów.

Zacisnęła zęby. W głębi duszy coś szeptało jej, że skoro Elend nie chce się zachowywać rozsądnie i trzymać z dala od niebezpieczeństwa, ona musi się upewnić, że zagrożenia zostaną usunięte.

- Chodźmy - szepnęła.

Zane pokiwał głową.

- Uświadom sobie jedno - powiedział. - Nie możemy go po prostu zabić. Kolejny wódz zajmie jego miejsce i przejmie jego armie. Musimy zaatakować potężnie. Musimy uderzyć w tę armię tak mocno, że ktokolwiek przejmie władzę po Cecie, będzie przerażony i się wycofa.

Vin odwróciła od niego wzrok. Tak mocno zaciskała dłonie, że jej paznokcie wbijały się w skórę dłoni.

- Powiedz mi - mówił dalej, zbliżając się do niej - co poradziłby ci ten twój Kelsier?

Odpowiedź była prosta. Kelsier nigdy by nie dopuścił do takiej sytuacji. Był twardym człowiekiem, który nie tolerował gróźb wobec tych, których kochał. Cett i Straff nie przeżyliby jednej nocy w Luthadel, od razu poczuliby jego nóż.

W głębi duszy była pod wrażeniem jego potężnej, praktycznej brutalności.

„Są tylko dwa sposoby, by zapewnić sobie bezpieczeństwo”, wyszeptał Reen w jej głowie. „Albo musisz być tak cicha i nieszkodliwa, by ludzie cię ignorowali, albo tak niebezpieczna, by się ciebie bali”.

Napotkała spojrzenie Zane'a i pokiwała głową. Uśmiechnął się, odszedł i wyskoczył przez okno.

- OreSeurze - wyszeptała, gdy zniknął. - Moje atium.

Pies nie ruszał się przez chwilę, po czym podszedł do niej. Sięgnęła po ukryty pod jego skórą metal.

- Panienko... - powiedział powoli. - Nie rób tego.

Spojrzała na Elenda. Nie mogła go chronić przed wszystkim. Ale mogła coś zrobić.

Wzięła atium. Jej dłonie już nie drżały. Czowała się opanowana.

- Cett zagroził wszystkiemu co kocham - wyszeptała. - Wkrótce dowie się, że na świecie jest coś bardziej niebezpiecznego od jego skrytobójców. Coś potężniejszego od jego armii. Coś bardziej przerażającego niż sam Ostatni Imperator.

Idę po niego.

\*\*\*

Mgielna straż, tak ją nazywali.

Żołnierze pełnili ją po kolei, stojąc w mroku z syczącą pochodnią. Każdy wpatrywał się w te kłębiące się, zdradliwe mgły i zastanawiał, czy ktoś tam jest. I obserwuje.

Wellen wiedział, że jest.

Wiedział, ale się nie odzywał. Żołnierze śmiali się z takich przesądów. Musieli wychodzić w mgły. Przyzwyczaili się. Przestali się bać.

Na pozór.

- Hej - powiedział Jarloux, podchodząc do krawędzi muru. - Wells, widzisz tam coś?

Oczywiście, że nie widział. Stał z tuzinem innych żołnierzy wokół Twierdzy Hasting, pełniąc straż na zewnętrznym murze, wysokim na jakieś piętnaście stóp, który otaczał ziemie należące do twierdzy. Zadaniem wartowników było wypatrywanie pośród mgieł wszystkiego co podejrzanego.

„Podejrzanego”. Takiego słowa używali. Wszystko było podejrzanego. W końcu to była mgła. Kłębiąca się ciemność, pustka stworzona z chaosu i nienawiści. Wellen nigdy jej nie ufał.

Byli tam. Wiedział.

Coś poruszyło się w ciemności. Wellen cofnął się o krok, wpatrując się w pustkę. Jego serce zatrzepotało, a dłonie zaczęły się pocić, gdy uniósł włócznię.

- Tak - powiedział Jarloux, mrużąc oczy. - Przysięgłbym, że widzę...

Nadeszło, jak się tego spodziewał Wellen. Niczym tysiąc komarów w upalny dzień, niczym deszcz strzał wystrzelonych przez całą armię. Monety zasypały umocnienia. Ściana migoczącej śmierci, setki śladów wśród mgły. Metal uderzył o kamień, a ludzie krzyczeli z bólu.

Wellen cofnął się, unosząc włócznię, gdy Jarloux podniósł alarm. Jego okrzyk urwał się w

gwałtownie, gdy moneta przeleciała mu przez usta, wyłamała ząb i wyleciała z tyłu czaszki.

Jarloux upadł, a Wellen cofnął się, wiedząc, że już za późno na ucieczkę.

Monety przestały spadać. Zapadła cisza. U jego stóp ludzie umierali lub jęczeli.

Później nadeszli oni. Dwa mroczne cienie śmierci pośród nocy. Kruki we mgle.

Przelecieli nad Wellenem z szelestem czarnej tkaniny.

I zostawili go, samotnego pośród trupów czterdziestoosobowego oddziału.

\*\*\*

Vin wylądowała i przykucnęła, dotykając bosymi stopami bruku dziedzińca Hasting.

Zane wylądował jak zawsze wyprostowany, emanując pewnością siebie.

W jej wnętrzu płonęła cyna z ołowiem, wypełniając mięśnie energią tysiąca ekscytujących chwil. Bez trudu ignorowała ból w boku. W żołądku miała jedyny kawałek atium, ale nie wykorzystała go. Jeszcze nie. Chyba że miała rację i Cett był Zrodzonym z Mgły.

- Pójdziemy od dołu - oznajmił Zane.

Pokiwała głową. Główna wieża Twierdzy Hasting miała wiele pięter wysokości, a nie wiedzieli, na którym znajduje się Cett. Jeśli zaczną od dołu, nie będzie mógł uciec.

Poza tym wejście do góry będzie trudniejsze. Energia w ciele Vin domagała się uwolnienia. Zbyt długo czekała w napięciu. Vin miała dość słabości, dość ograniczeń. Przez wiele miesięcy była nożem trzymanym przy czyimś gardle.

A teraz nadszedł czas na cios.

Ruszyli naprzód. Wokół nich zapłonęły pochodnie, gdy ludzie Cetta - ci, którzy obozowali na dziedzińcu - obudzili się na odgłos alarmu. Namioty otwierały się i przewracały, ludzie krzyczeli z zaskoczenia, szukając wzrokiem armii, która ich zaatakowała. Powinni żałować, że nie mieli takiego szczęścia.

Vin skoczyła w powietrze, a Zane obrócił się i rzucił przed siebie worek monet. Setki miedziaków zamigotały pod nią - dla chłopca cały majątek. Vin wylądowała z szelestem i oboje Pchnęli, ich moc wyrzuciła monety na zewnątrz. Rozświetlone blaskiem pochodni pociski przeszły obóz, powalając zaskoczonych, rozszepanych mężczyzn.

Dwoje Zrodzonych z Mgły ruszyło dalej w stronę centralnej wieży. U jej podstawy stanął oddział żołnierzy. Wciąż wydawali się dezorientowani, niepewni i senni, ale byli uzbrojeni. To znaczy mieli metalowe pancerze i broń ze stali - mądry wybór, gdyby mieli stawić czoła wrogiej armii.

Zane i Vin wślizgnęli się między żołnierzy. Zane wyrzucił jedną monetę. Vin sięgnęła i Odepchnęła ją, czując ciężar mężczyzny, gdy on również ją Odepchnął.

Tak oparli o siebie nawzajem, Odepchnęli w przeciwne strony, rzucając swoją masę przeciwko napierśnikom żołnierzy po obu stronach. Rozjarzywszy cynę z ołowiem dla zachowania równowagi, rozproszyli żołnierzy tak, jakby chwyciły ich wielkie, niewidzialne ręce. Włócznie i miecze skręcały się w powietrzu, uderzając z brzękiem o kamienie.

Napierśniki szarpały za ciała.

Vin zgasiła stal, gdy poczuła, jak ciężar Zane'a opuszcza monetę. Migoczący kawałek metalu uderzył o ziemię między nimi i Zane odwrócił się, unosząc dłoń w stronę samotnego żołnierza, który stał między nim a wejściem do twierdzy.

Do Zane'a podbiegł kolejny oddział, lecz nagle się zatrzymał, gdy mężczyzna zaczął ich Odpychać - a następnie uczynił kotwicę z samotnego żołnierza. Nieszczęśnik uderzył plecami w wejście do fortecy.

Zazgrzytały pękające kości. Drzwi otworzyły się gwałtownie i żołnierz wpadł do środka. Zane wskoczył w wejście, Vin podążyła za nim, jej bosa stopy opuściły szorstkie kamienie bruku i dotknęły gładkiego marmuru.

Wewnątrz czekali żołnierze. Ci nie nosili pancerzy, lecz mieli duże drewniane tarcze do zatrzymywania monet. Byli uzbrojeni w kije lub obsydianowe miecze. Mgłobójcy - ludzie wyszkoleni specjalnie do walki z Allomantami. Było ich około pięćdziesięciu.

Teraz się zaczniesz poważnie, pomyślała Vin, wyskakując w powietrze i Odpychając się od zawiasów drzwi.

Zane Odepchnął tego samego mężczyznę, którego wykorzystał do otwarcia drzwi, i posłał jego trupa w stronę grupy mgłobójców. W chwili, gdy żołnierz w nich uderzył, Vin wylądowała w środku drugiej grupy. Zawirowała na podłodze, wyciągając nogę. Rozjarzywszy cynę z ołowiem, podcięła czterech mężczyzn. Gdy pozostali próbowali ją zaatakować, Odepchnęła w dół monetę w sakiewce, aż kawałek metalu wyrwał się na zewnątrz, a później uniosła się w powietrze. Obróciła się w locie i chwyciła spadający kij porzucony przez podciętego przez nią żołnierza.

Obsydian uderzył o biały marmur w miejscu, gdzie była jeszcze przed chwilą. Vin opuściła broń i zaatakowała szybciej, niż mógłby to uczynić ktokolwiek inny, uderzając w uszy, brody i gardła. Czaszki pękały. Kości się łamały. Nawet się nie zdyszała, a jej dziesięciu przeciwników leżało na ziemi.

Dziesięciu mężczyzn... Czy Kelsier nie opowiadał mi, że miał problemy z sześcioma mgłobójcami?

Nie ma czasu na myślenie. Zaatakowała ją kolejna grupa żołnierzy. Vin ryknęła i skoczyła w ich stronę, wbijając kij w twarz pierwszego mężczyzny, którego napotkała.

Pozostali unieśli tarcze, zaskoczeni, lecz Vin, lądując, wyjęła dwa obsydianowe sztylety. Wbiła je w uda dwóch żołnierzy przed sobą, po czym zawirowała i atakowała ciało wszędzie tam, gdzie je



zobaczyła.

Kątem oka zauważyła nadchodzący cios i uniosła ramię, zatrzymując drewniany kij, nim uderzył w jej głowę. Drewno popękało, a Vin cięła napastnika sztyletem, niemal pozbawiając go głowy. Odskokzyła do tyłu, gdy zbliżyli się pozostali, napięła się i szarpnęła opancerzonego trupa, którego Zane wykorzystał wcześniej, Przyciągając go do siebie.

Tarcze nie radziły sobie z tak wielkim pociskiem. Vin wbiła trupa w swoich przeciwników, powalając ich przed sobą. Z boku widziała niedobitki mgłobójców, którzy zaatakowali Zane'a. Mężczyzna stał pośród nich, niczym czarna kolumna wśród leżących ciał, z wyciągniętymi rękami. Napotkał jej spojrzenie i skinął w stronę tyłu pomieszczenia.

Zignorowała niedobitki mgłobójców. Odepchnęła trupa i prześlizgnęła się po podłodze.

Zane podskoczył, Odepchnął się i wyskoczył przez okno, znikając pośród mgły. Vin szybko sprawdziła komnaty na tyłach - żadnych śladów Cetta. Obróciła się i powaliła wstającego mgłobójcę, po czym wskoczyła do szybu windy.

Samej windy nie potrzebowała. Wznosiła się prosto w górę, Odpychając się od monety, zatrzymała się na trzeciej kondygnacji. Zane miał sprawdzić drugą.

Vin wylądowała cicho na marmurowej podłodze, słysząc kroki na klatce schodowej tuż obok. Rozpoznała tę dużą salę - to w niej ona i Elend spotkali się na kolacji z Cettem. Teraz w komnacie nie było nawet stołu, lecz Vin rozpoznała otaczające ją witrażowe okna.

Z kuchni wypadli mgłobójcy. Były ich dziesiątki. Tam na pewno jest kolejna klatka schodowa, pomyślała, rzucając się w stronę schodów obok. Stamtąd jednak wychodziły kolejne tuziny i dwie grupy połączyły się, by ją otoczyć.

Pięćdziesiąt do jednego mogło się wydawać dobrym stosunkiem sił i żołnierze zaatakowali z dużą pewnością siebie. Spojrzała przez otwarte kuchenne drzwi i nie zobaczyła Cetta. To piętro było czyste.

Cett z pewnością sprowadził wielu mgłobójców, pomyślała, cofając się do środka sali.

Pomijając klatki schodowe, kuchnie i kolumny, komnatę w większości otaczały witrażowe okna.

Przygotował się na mój atak. A raczej próbował.

Vin skuliła się, gdy otoczyła ją grupa mężczyzn. Uniosła głowę, zamknęła oczy i spaliła duraluminium.

Po czym Przyciągnęła.

Witrażowe okna - kawałki szkła osadzone w metalu - wybuchły wszędzie wokół. Czują, jak metalowe ramy zwijają się do środka, uginając się przed jej oszałamiającą mocą.

Wyobraziła sobie migoczące odłamki wielobarwnego szkła w powietrzu. Słyszała, jak żołnierze wrzeszczą, gdy uderzyły w nich kawałki szkła i metalu, wbijając się w ciało.

Wybuch powalił tylko zewnętrzny krąg mgłobójców. Vin otworzyła oczy i podskoczyła, gdy tuzin lasek pojedynkowych opadł wokół niej. Przebiła się przez grad ciosów.

Niektóre sięgnęły celu. To nie miało znaczenia. W tej chwili nie czuła bólu.

Odepchnęła się od zniszczonej metalowej ramy, rzuciła się ponad głowami żołnierzy i wylądowała poza szerokim kręgiem napastników. Zewnętrzna linia napastników została powalona, przebita przez odłamki szkła i metalowe ramy. Vin uniosła dłoń i pochyliła głowę.

Duraluminium i stal. Odepchnęła. Świat podskoczył.

Vin wyskoczyła przez zniszczone okno i zanurzyła się we mgle, Odpychając się od rzędu trupów przeбитych przez metalowe ramy. Ciała zostały od niej odrzucone, uderzając w tych żołnierzy pośrodku, którzy jeszcze żyli.

Martwi, umierający i ci jeszcze żywi zostali wyrzuceni z sali, Odepchnięci przez okno naprzeciwko Vin. Ciała skręcały się we mgle - pięćdziesięciu ludzi zostało wyrzuconych w mrok, pozostawiając w sali pustkę, ślady krwi i odłamki szkła.

Vin pochłonęła fiolkę metali i Przyciągnęła się z powrotem do twierdzy, wykorzystując okno na czwartym piętrze. Gdy się zbliżyła, przez okno wypadł trup i zniknął w mroku.

Zauważyła Zane'a znikającego w kolejnym oknie po przeciwnej stronie. Ten poziom był czysty.

Na piątym piętrze paliły się światła. Pewnie mogli tam od razu przyjść, ale nie taki był plan. Zane miał rację. Musieli nie tylko zabić Cetta. Musieli zastraszyć całą jego armię.

Vin Odepchnęła się od tego samego trupa, którego Zane wyrzucił przez okno, wykorzystując jego metalowy pancerz jako kotwicę. Poleciał w dół pod kątem, wpadając do środka przez zniszczone okno, a Vin pod podobnym kątem oddaliła się od budynku. Gdy znalazła się na właściwej wysokości, Przyciągnęła się szybko i wróciła do wieży. Wylądowała w oknie na piątym piętrze.

Chwyciła kamienny parapet, jej serce biło mocno, dyszała ciężko. Pot sprawiał, że zimowy wiatr chłodził jej twarz, mimo że wewnątrz płonęła. Przełknęła ślinę, otworzyła szeroko oczy i rozjarzyła cynę z ołowiem.

Zrodzona z Mgły.

Jednym ciosem rozbiła okno. Żołnierze, którzy za nim czekali, odskoczyli i obrócili się gwałtownie. Jeden miał pasek z metalową sprzączką. Zginął jako pierwszy. Pozostali nie wiedzieli, jak zareagować, gdy sprzączka przeleciała wśród ich szeregów, na przemian Przyciągana i Odpychana

przez Vin. Zostali wyszkoleni i może nawet sprawdzeni w walce przeciwko Allomantom, ale nigdy nie walczyli z Vin.

Żołnierze wrzeszczeli i padali, Vin przerzedzała ich szeregi, mając jako jedyną broń sprzączkę od pasa. Przy mocy jej cyny z ołowiem, cyny, stali i żelaza, możliwe wykorzystanie atium wydawało się ogromnym marnotrawstwem. I bez niego była straszliwą bronią - której aż do tej chwili nie pojmowała nawet ona.

Zrodzona z Mgły.

Ostatni żołnierz zginął. Vin stała pomiędzy nimi, czując otępiające zadowolenie.

Pozwoliła, by sprzączka wysunęła się z jej dłoni. Spadła na dywan. Vin stała w pomieszczeniu, które nie było tak surowe, jak reszta budynku - tu były meble i drobne ozdoby. Może ekipy Elenda nie zaszły tak wysoko, a może Cett przywiózł ze sobą trochę sprzętów.

Za plecami miała klatkę schodową, przed sobą zaś cienką drewnianą ścianę z drzwiami -

wejście do wewnętrznych komnat. Vin zrobiła krok do przodu, mgielny płaszcz zaszeleścił, gdy Przyciągnęła zza pleców cztery oliwne lampy, zrywając je z uchwytów. Poleciały do przodu, a ona zrobiła krok w bok i pozwoliła, by uderzyły o ścianę. Ogień rozlał się na drewnie, rozpluwając się po ścianie, a siła uderzenia lamp wyłamała drzwi z zawiasów. Vin uniosła dłoń i otworzyła je Pchnięciem.

Otaczał ją ogień, gdy przechodziła na drugą stronę. W bogato zdobionej komnacie panowała cisza - były w niej tylko dwie osoby. Cett siedział na prostym drewnianym krześle, brodaty, niechlujnie ubrany i bardzo, ale to bardzo zmęczony. Jego młody syn stanął między ojcem a Vin. Chłopak trzymał w ręku laskę pojedynkową.

Który z nich jest Zrodzonym z Mgły?

Chłopiec się zamachnął. Vin chwyciła broń i odepchnęła go na bok. Uderzył w drewnianą ścianę i upadł na ziemię. Spojrzała na niego z ukosa.

- Zostaw Gneorndina w spokoju, kobieto - stwierdził Cett. - Zrób to, po co tu przyszłaś.

Vin odwróciła się w jego stronę. Pamiętała swoją frustrację, wściekłość, lodowaty gniew. Zrobiła krok do przodu i chwyciła Cetta za surdut.

- Walcz ze mną - powiedziała i odrzuciła go do tyłu.

Uderzył w ścianę i osunął się na ziemię. Vin przygotowała atium, lecz on się nie podniósł. Przetoczył się jedynie na bok i zaczął kaszleć.

Vin podeszła do niego i chwyciła go za ramię. Zaciśnął pięść i próbował ją uderzyć, lecz był żałośnie słaby. Ciosy odbiły się od jej boku.

- Walcz ze mną! - rozkazała, rzucając go na bok.

Przetoczył się po ziemi - mocno uderzając w nią głową - i zatrzymał się przy płonącej ścianie. Po jego czole płynęła strużka krwi. Nie podniósł się.

Vin zacisnęła zęby i zrobiła krok do przodu.

- Zostaw go! - Chłopak, Gneorndin, zatoczył się przed Cettą, drżącą dłonią unosząc łaskę pojedynkową.

Vin zawahała się, przechylając głowę. Na czole chłopca perlił się pot. Z trudem utrzymywał się na nogach. Spojrzała mu w oczy i ujrzała w nich grozę. To nie był Zrodzony z Mgły. A jednak nie cofnął się przed nią. Żałośnie, beznadziejnie, stał przed powalonym Cettem.

- Odsuń się, synu - powiedział Cett zmęczonym głosem. - Nic nie poradzisz.

Chłopiec zadrżał i zaczął płakać.

Łzy, pomyślała Vin i poczuła się bardzo dziwnie. Kiedy uniosła dłoń, z zaskoczeniem poczuła wilgoć na własnych policzkach.

- Nie masz Zrodzonego z Mgły - wyszeptała.

Cettowi udało się wesprzeć na łokciach. Spojrzał jej w oczy.

- Nie przeciwstawili się nam żadni Allomanci - powiedziała. - Wykorzystałeś ich wszystkich w próbie ataku na Zgromadzenie?

- Jedynych Allomantów, jakich miałem, posłałem przeciwko tobie wiele miesięcy temu

- odparł z westchnieniem Cett. - Więcej ich nie miałem, byli jedyną moją nadzieją na zabicie ciebie. Nawet oni nie pochodzili z mojej rodziny. Cały nasz ród skaziła krew skaa... Allrienne jest pierwszym Allomantą, który od stuleci urodził się w naszej rodzinie.

- Przybyłeś do Luthadel....

- Ponieważ Straff w końcu by po mnie przyszedł - odparł Cett. - Moją jedyną szansą było zabicie cię na samym początku. Dlatego wysłałem ich wszystkich przeciwko tobie. Kiedy to się nie udało, wiedziałem, że muszę spróbować zdobyć to przeklęte miasto i jego atium, żebym mógł sobie kupić Allomantów. Nie udało się.

- Mogłeś nam zaproponować sojusz.

Cett zaśmiał się i usiadł.

- W prawdziwej polityce to tak nie działa. Zdobywasz albo zostajesz zdobyty. Poza tym ja zawsze lubiłem hazard. - Spojrzał jej w oczy. - Zrób to, po co tu przyszedłeś - powtórzył.

Vin zadrżała. Nie czuła swoich łez. Właściwie nie czuła.

Dlaczego? Dlaczego przestałam wszystko rozumieć?

Komnata zaczęła się trząść. Vin obróciła się na pięcie w stronę tylnej ściany. Drewno drżało i szarpało się niczym umierające zwierzę. Gwoździe zaczęły wyskakiwać, przebijając się tyłem przez boazerię, aż w końcu cała ściana się rozpadła. Płonące deski, drzazgi, odłamki i gwoździe otoczyły mężczyznę w czerni. Zane stał bokiem w drugiej sali, z rękami wzdłuż boków, a u stóp miał śmierć.

Krew, kropla po kropli, spływała z czubków jego palców. Spojrzał przez płonące pozostałości sali i uśmiechnął się. Później wkroczył do komnaty Cetta.

- Nie! - krzyknęła Vin i rzuciła się w jego stronę.

Zane zatrzymał się, zaskoczony. Zrobił krok w bok, bez trudu unikając Vin, i ruszył w stronę Cetta i chłopca.

- Zane, zostaw ich! - powiedziała Vin, odwracając się w jego stronę i Odpychając przez komnatę. Sięgnęła do jego ramienia. Czarna tkanina błyszczała od krwi. Jego krwi.

Mężczyzna się uchylił. Ze zdziwieniem się odwrócił. Wyciągnęła do niego rękę, lecz on zszedł jej z drogi z nadnaturalną zręcznością, niczym mistrz szermierki podczas walki z nowicjuszem.

Atium, pomyślała. Pewnie spalał je przez cały czas. Ale przecież nie potrzebował go do walki z tymi ludźmi... i tak nie mieli szans.

- Proszę - powiedziała. - Zostaw ich.

Zane odwrócił się w stronę Cetta. Obok siedzącego mężczyzny stał jego syn i próbował go odciągnąć.

Zane przechylił głowę i znów spojrzał na Vin.

- Proszę - powtórzyła.

Mężczyzna się nachmurzył.

- Wciąż nad tobą panuje - powiedział. Wydawał się rozczarowany. - Myślałem, że może jeśli będziesz walczyć i zobaczysz, jak bardzo jesteś potężna, otrząsniesz się z wpływów Elenda. Chyba się myliłem.

Odwrócił się plecami do Cetta i wyszedł przez otwór, który sam stworzył. Vin podążyła za nim w milczeniu, miażdżąc stopami kawałki drewna. Pozostawiła za sobą zdobytą twierdzę, rozproszoną armię i upokorzonego lorda.

*Czyż nawet szaleniec nie powinien polegać na swoim umyśle i swoich doświadczeniach, a nie na*

*innych?*

W chłodnym spokoju poranka Breeze obserwował bardzo zniechęcający widok - wycofującą się armię Cetta.

Breeze zadrzał. Gdy odwrócił się do Clubsa, z jego ust unosiła się para. Większość ludzi nie umiałaby odczytać niczego pod szyderczym uśmiechem na twarzy generała. On jednak widział więcej - widział napiętą skórę wokół oczu Clubsa, widział, jak jego towarzysz stuka palcem w oszroniony mur. Clubs nie był nerwowy. Te ruchy musiały coś znaczyć.

- I po wszystkim? - spytał cicho Breeze.

Clubs pokiwał głową.

Breeze tego nie rozumiał. Pod murami wciąż stały dwie armie, wciąż mieli pat. Ufał

jednak ocenie Clubsa. A raczej wierzył w swoją znajomość ludzi na tyle, by ufać ocenie Clubsa.

Generał wiedział coś, czego on nie wiedział.

- Mógłbyś wyjaśnić? - poprosił Breeze.

- Wszystko się skończy, gdy Straff zrozumie - odparł Clubs.

- Zrozumie co?

- Że kolosy zrobią za niego jego robotę, jeśli im pozwoli.

Breeze zamilkł. Straffa wcale nie obchodzą mieszkańcy miasta - chce je zdobyć ze względu na atium. I symboliczne zwycięstwo.

- Jeśli Straff się wycofa.... - powiedział Uspokajacz.

- Kolosy zaatakują - dokończył Clubs, kiwając głową. - Zarzną wszystkich, którzy staną im na drodze i zdemolują miasto. A później Straff wróci i znajdzie atium, gdy kolosy już zrobią swoje.

- Zakładając, że odejdą, mój drogi.

Clubs wzruszył ramionami.

- Tak czy inaczej, jego sytuacja będzie lepsza. Będzie miał jednego osłabionego wroga zamiast dwóch silnych.

Breeze'a przeszył dreszcz. Mocniej otulił się płaszczem.

- Mówisz to wszystko tak... otwarcie.

- Byliśmy martwi w chwili, gdy pojawiła się tu pierwsza armia, Breeze - stwierdził generał. - Jesteśmy po prostu dobrzy w grze na zwłokę.

Dlaczego, na Ostatniego Imperatora, marnuję czas z tym człowiekiem, pomyślał Breeze. To po prostu pesymista, który zawsze wieszczy zagładę. A jednak Uspokajacz znał ludzi. Tym razem Clubs nie przesadzał.

- Tam do kata - mruknął tylko.

Clubs pokiwał głową, oparł się o mur i zapatrzył na wycofującą się armię.

\*\*\*

- Trzystu ludzi - powiedział Ham, stojąc w gabinecie Elenda. - Tak w każdym razie twierdzą nasi zwiadowcy.

- Nie jest tak źle, jak się obawiałem - odparł Venture.

Obok ich dwójki, w gabinecie przebywał jeszcze Spook, usadowiony wygodnie przy stole.

- El - wyjaśnił kapitan - Cett miał w Luthadel zaledwie tysiąc żołnierzy. To oznacza, że w czasie ataku Vin stracił trzydzieści procent swoich ludzi w ciągu mniej niż dziesięciu minut.

Nawet na polu walki większość armii się załamała, jeśli straci trzydzieści czy czterdzieści procent stanu początkowego w ciągu całego dnia walki.

- Aha - mruknął Elend, marszcząc czoło.

Ham pokręcił głową, usiadł i napełnił sobie kubek.

- Nie rozumiem, El. Czemu go zaatakowała?

- Jest wariatką - zasugerował Spook.

Elend otworzył usta, by przeciwstawić się temu stwierdzeniu, ale miał problem z wyrażeniem swoich uczuć.

- Nie jestem pewien, dlaczego to zrobiła - przyznał w końcu. - Wspomniała, że nie wierzy, że skrytobójcy w sali Zgromadzenia zostali przysłani przez mojego ojca.

Ham wzruszył ramionami. Wydawał się... wynędzniały. Zajmowanie się armiami i przejmowanie losami królestw to nie był jego żywioł. Wolał zajmować się mniejszymi sprawami.

Oczywiście, pomyślał Elend, a ja wolałbym siedzieć w fotelu i spokojnie czytać.



Robimy to, co musimy.

- Mamy jakieś wieści od niej? - spytał Elend.

Spook pokręcił głową.

- Wujek Zrzęda kazał swoim ludziom przeszukać miasto, ale bez efektu.

- Jeśli Vin nie chce zostać odnaleziona... - powiedział Ham.

Elend zaczął spacerować po gabinecie. Pomyślał, że wygląda jak Jastes - chodzi w kółko i przeczesuje włosy palcami.

Bądź stanowczy, powiedział sobie. Możesz sobie pozwolić, by postrzegano cię jako zmartwionego, ale nigdy nie możesz wydawać się niepewny.

Nieco zwolnił kroku, ale nie powiedział towarzyszom, co go martwi. A jeśli Vin została ranna? A jeśli Cett ją zabił? Ich zwiadowcy nie widzieli zbyt wiele z ataku poprzedniej nocy.

Vin z pewnością brała w nim udział, lecz nie było pewności, czy walczyła z innym Zrodzonym z Mgły, tu raporty były sprzeczne. Pozostawiła za sobą pożar na jednym z wyższych pięter twierdzy - i z jakiegoś powodu pozwoliła Cettowi żyć.

Od tego czasu nikt jej nie widział.

Elend przymknął oczy i oparł się o kamienną ścianę. Ostatnio ją ignorowałem.

Pomogłem miastu... ale co mi z tego przyjdzie, że uratowałem Luthadel, jeśli utracę Vin?

Zupełnie, jakbym już jej nie znał.

Ale czy w ogóle ją znałem?

Bez niej czuł się źle. Zaczął polegać na jej bezpośredniości. Potrzebował jej szczerego realizmu, jej czystej konkretności, by trzymały go na ziemi. Chciał wziąć ją w ramiona, by poczuć, że jest coś ważniejszego od teorii i koncepcji.

Kochał ją.

- Nie wiem, El - powiedział w końcu Ham. - Nigdy nie sądziłem, że Vin będzie obciążeniem, ale dorastała w trudnych warunkach. Pamiętam, jak kiedyś wściekła się na ekipę z jakiegoś błędnego powodu, wrzeszczała na temat swojego dzieciństwa. Ja... nie wiem, czy jest do końca zrównowazona.

Elend otworzył oczy.

- Jest zrównowazona, Ham - stwierdził stanowczo. - I lepsza od nas wszystkich.

Ham się skrzywił.

- Ale...

- Miała dobry powód, by zaatakować Cetta - przerwał mu Elend. - Ufam jej.

Ham i Spook wymienili spojrzenia. Chłopak tylko wzruszył ramionami.

- Nie chodzi tylko o ostatnią noc, El - odezwał się Ham. - Coś jest nie tak z tą dziewczyną, i chodzi mi nie tylko o psychikę.

- Co masz na myśli?

- Pamiętasz atak na Zgromadzenie? - powiedział kapitan. - Powiedziałeś mi, że widziałeś, jak trafia w nią kij Zbira.

- I co z tego? Później trzy dni nie wstawała z łóżka.

Ham pokręcił głową.

- Komplet obrażeń... cios w bok, rana w ramieniu, prawie uduszenie... to wszystko sprawiło, że przez parę dni musiała zostać w łóżku. Ale gdyby naprawdę została tak mocno trafiona przez Zbira, powinna była zostać w nim przez wiele dni, Elendzie. Może nawet tygodni. Z pewnością miałyby złamane żebra.

- Spalała cynę z ołowiem - stwierdził Elend.

- Zbir pewnie też.

Elend się zastanowił.

- Widzisz? - odezwał się Ham. - Jeśli oboje rozjarzyli cynę z ołowiem, wpływ metalu powinien się zrównoważyć. To oznacza, że Vin, dziewczyna ważąca może sto funtów, została uderzona przez wyszkolonego żołnierza ważącego trzy razy więcej od niej. I po tym wszystkim wystarczyło jej tylko kilka dni odpoczynku.

- Vin jest niezwykła - stwierdził w końcu Elend.

- Temu nie mogę zaprzeczyć - przyznał kapitan. - Ale także ukrywa przed nami różne rzeczy. Kim był ten drugi Zrodzony z Mgły? Według niektórych raportów wyglądało to tak, jakby współpracowali ze sobą.

Powiedziała, że w mieście jest inny Zrodzony z Mgły, pomyślał Elend. Zane, kurier Straffa. Od dawna o nim nie wspominała.

Ham potarł czoło.

- Wokół nas wszystko się wali, Elendzie.

- Kelsier utrzymałby to w jednym kawałku - mruknął Spook. - Kiedy on był z nami, nawet nasze porażki były częścią jego planu.

- Ocalały nie żyje - powiedział Elend. - Nigdy go nie poznałem, ale słyszałem wystarczająco dużo na jego temat, by wiedzieć jedno: nigdy nie poddawał się rozpaczy.

- To prawda - powiedział Ham, uśmiechając się. - Śmiał się i żartował dzień po tym, jak straciliśmy całą armię, bo się przeliczyliśmy. Arogancki sukinsyn.

- Bezwzględny - dodał Spook.

- Nie - sprzeciwił się Ham, sięgając po kubek. - Kiedyś tak myślałem. Teraz... sądzę, że był zdeterminowany. Kell zawsze myślał o jutrze, niezależnie od konsekwencji.

- Cóż, my musimy zrobić to samo - stwierdził Elend. - Cett się wycofał, Penrod pozwolił mu odejść. Tego nie zmienimy. Ale mamy informacje na temat armii kolosów.

- A, to - stwierdził Spook, sięgając do sakiewki. Rzucił coś na stół. - Masz rację... są takie same.

Kiedy moneta w końcu się zatrzymała, Elend wziął ją do ręki. Widział miejsce, w którym Spook oczyścił ją nożem, zdrapując złotą farbę i ukazując twarde drewno. Była to bardzo kiepska podróbka skrzyńca, nic dziwnego, że tak łatwo dało się je rozpoznać. Tylko głupiec uznałby ją za prawdziwą. Głupiec albo koloss.

Nikt nie był pewien, jak niektóre z fałszywych skrzyńców Jastesa trafiły do Luthadel.

Być może próbował dawać je rolnikom albo żebrakom w swoim dominium. Tak czy inaczej, to, co chciał osiągnąć, nie pozostawiało wątpliwości. Potrzebował armii i gotówki. Sfabrykował

jedno, by uzyskać drugie. Tylko kolosy dałyby się złapać na taki podstęp.

- Nie rozumiem - powiedział Ham, gdy Elend przekazał mu monetę. - Dlaczego kolosy nagle postanowiły przyjmować pieniądze? Ostatni Imperator nigdy im nie płacił.

Elend zawahał się, wspominając swoje spotkanie w obozie. „Jesteśmy ludźmi.

Zamieszkamy w waszym mieście...”.

- Kolosy się zmieniają, Ham - powiedział. - A może po prostu nigdy ich nie rozumieliśmy. W każdym razie musimy być silni. To się jeszcze nie skończyło.

- Byłoby nam łatwiej, gdybyśmy wiedzieli, że nasza Zrodzona z Mgły nie jest szalona.

Nawet tego z nami nie omówiła!

- Wiem - powiedział Elend.

Ham wstał.

- Są powody, dla których wielkie rody wołały nie wykorzystywać swoich Zrodzonych z Mgły w walce między sobą. Wszystko właśnie stało się o wiele bardziej niebezpieczne. Jeśli Cett rzeczywiście ma Zrodzonego z Mgły i postanowi się zemścić...

- Wiem - powtórzył Elend i pożegnał ich gestem.

Wszyscy są tacy ponurzy, pomyślał Elend, opuszczając komnatę, by poszukać czegoś do jedzenia. Jakby uważali, że z powodu jednej komplikacji jesteśmy zgubieni. Ale to dobrze, że Cett się wycofuje. Jeden z naszych wrogów odchodzi - wciąż jednak pozostały dwie armie.

Jastes nie zaatakuje, jeśli miałyby to wystawić go na atak Straffa, a Straff za bardzo boi się Vin, żeby zrobić cokolwiek. Właściwie, jej atak na Cetta jedynie jeszcze bardziej przerazi mojego ojca. Może właśnie dlatego to zrobiła.

- Wasza Wysokość - wyszeptał ktoś.

Elend obrócił się na pięcie i rozejrzał po korytarzu.

- Wasza Wysokość - powtórzyła niska postać w cieniach. OreSeur. - Chyba ją znalazłem.

\*\*\*

Elend nie zabrał ze sobą nikogo poza kilkoma strażnikami. Nie chciał wyjaśniać Hamowi i innym, skąd uzyskał informacje - Vin wciąż nalegała, by tożsamość OreSeura pozostał tajemnicą.

Ham ma rację w jednej kwestii, pomyślał Elend, gdy jego powóz się zatrzymał. Vin ukrywa różne rzeczy. Robi to przez cały czas.

Ale to nie podważało jego zaufania do niej. Skinął na OreSeura i razem wysiedli z powozu. Elend zbliżył się do zrujnowanego budynku i gestem zatrzymał strażników. Niegdyś był to pewnie sklep ubogiego kupca, prowadzony przez bardzo podupadłego szlachcica, sprzedającego skaa artykuły pierwszej potrzeby w zamian za żetony żywnościowe, które z kolei można było wymienić na pieniądze u Ostatniego Imperatora.

Budynek stał w okolicy, do której nie dotarły jeszcze grupy zbierających paliwo.

Ostatnio jednak z pewnością nikt z niego nie korzystał. Został splądrowany dawno temu i warstwa popiołu na podłodze miała grubość dobrych czterech cali. Ślad drobnych kroków prowadził w stronę klatki schodowej na tyłach.

- Co to za miejsce? - spytał Elend, marszcząc czoło.

OreSeur wzruszył psimi ramionami.

- To skąd wiedziałeś, że tu jest?

- Śledziłem ją poprzedniej nocy, Wasza Wysokość - odparł kandra. - Widziałem, w którą poszła stronę. Później musiałem tylko jej poszukać.

Elend się zastanowił.

- To i tak musiało wymagać doskonałych umiejętności tropicielskich, kandro.

- To ciało ma niezwykle wyczulone zmysły.

Venture pokiwał głową. Schody prowadziły do długiego korytarza z kilkoma komnatami. Elend ruszył korytarzem i po chwili się zatrzymał. Z jednej strony fragment ściany został odsunięty, odsłaniając niewielką skrytkę. Słyszał w środku jakieś odgłosy.

- Vin? - spytał, zaglądając do środka.

Za ścianą był ukryty niewielki pokój; Vin siedziała po jego drugiej stronie.

Pomieszczenie - bardziej kryjówka - miało zaledwie kilka stóp szerokości i nawet Vin nie mogłaby się w nim wyprostować. Nie zareagowała. Po prostu siedziała, oparta o ścianę, z głową zwróconą w przeciwną stronę.

Elend wczołgał się do środka, brudząc kolana popiołem. Z trudem udało mu się tam wejść, nie wpadając przy tym na kobietę.

- Vin? Wszystko w porządku?

Obracała coś w palcach. I patrzyła na ścianę - wyglądała przez wąski otwór. Elend widział wpadające do środka promienie słońca.

To specjalny otwór, uświadomił sobie. Służący do obserwowania ulicy poniżej. To nie sklep, lecz złodziejska kryjówka.

- Myślałam, że Camon był strasznym człowiekiem - powiedziała cicho Vin.

Elend usadowił się w niewygodnej, skulonej pozycji. Na szczęście, Vin przynajmniej nie wyglądała na ranną.

- Camon? - spytał. - Dawny przywódca twojej szajki, przed Kelsierem?

Vin pokiwała głową. Odwróciła się od otworu i oplótła kolana rękami.

- Bił ludzi, zabijał tych, którzy się z nim nie zgadzali. Był brutalny, nawet jak na ulicznego oprycha.

Elend zmarszczył czoło.

- Ale - dodała cicho Vin - wątpię, by przez całe życie zabił tylu ludzi, ilu ja zabiłam ostatniej nocy.

Elend zamknął oczy. Po chwili otworzył je i przysunął się do Vin, kładąc jej dłoń na ramieniu.

- To byli żołnierze wroga, Vin.

- Czułam się jak dziecko w komnacie pełnej robaków - wyszeptała.

W końcu zobaczył, czym się bawi. To był jej kolczyk, prosty kawałek brązu, który zawsze nosiła. Spojrzała na niego, obracając go w palcach.

- Czy mówiłam ci, kiedy go dostałam? - spytała.

Elend pokręcił głową.

- Moja matka mi go dała. Nie pamiętam, jak to się stało, Reen mi opowiedział. Moja matka... ona czasem słyszała głosy. Zabiła moją siostrzyczkę, zarżnęła ją. I tego samego dnia dała mi to, jeden z własnych kolczyków. Jakby... uznała, że jestem lepsza od siostry. Kara dla jednej, wypaczony prezent dla drugiej. - Vin potrząsnęła głową. - Całe moje życie było pełne śmierci, Elendzie. Śmierć siostry, śmierć Reena. Inni z szajki ginęli wokół mnie, Kelsier padł

pod ciosem Ostatniego Imperatora, później moja włócznia w piersi Ostatniego Imperatora.

Próbuję chronić i mówię, że uciekam przed tym wszystkim. A później... robię coś takiego jak to, co zrobiłam ostatniej nocy.

Elend przyciągnął ją do siebie. Pozostała sztywna w jego objęciach.

- Miałaś dobre powody, żeby to zrobić.

- Wcale nie - sprzeciwiła się. - Chciałam im zrobić krzywdę. Chciałam, żeby się przestraszyli i zostawili cię w spokoju. To brzmi dziecinnie, ale tak się czułam.

- To nie jest dziecinnie, Vin. To była dobra strategia. Dałaś naszym wrogom pokaz siły.

Zmusiłaś do ucieczki jednego z naszych największych przeciwników, a teraz mój ojciec będzie się jeszcze bardziej bał zaatakować. Kupiłaś nam więcej czasu!

- Za cenę życia setek ludzi.

- Wrogich żołnierzy, którzy wmaszerowali do naszego miasta. Ludzi, którzy chronili tyrana uciskającego lud.

- Takich samych wyjaśnień używał Kelsier - powiedziała cicho - kiedy zabijał

szlachetnie urodzonych i ich strażników. Mówił, że wspierają Ostatnie Imperium, więc zasługują na śmierć. Przerazał mnie.

Elend nie wiedział co powiedzieć.

- Jakby uważał się za boga - szepnęła Vin. - Zabierał życie, dawał życie, według własnych kryteriów. Nie chcę być taka jak on, Elendzie. Ale wszystko popycha mnie w tym kierunku.

- Ja... - „Nie jesteś taka jak on”, chciał powiedzieć. To była prawda, ale nie wypowiedział tych słów.

Miał tego przyciągnął Vin do siebie, ramię do piersi, głowę pod brodę.

- Chciałbym znać właściwe słowa, Vin - wyszeptał. - Kiedy widzę cię w takim stanie, mój instynkt opiekuńczy zaczyna szaleć. Chcę, żebyś poczuła się lepiej, chcę wszystko naprawić, ale nie wiem jak. Powiedz mi, co mam zrobić. Po prostu powiedz mi, jak mogę ci pomóc!

Z początku opierała się, lecz w końcu westchnęła cicho i również go objęła, wtulając się weń.

- Nie możesz mi pomóc - powiedziała cicho. - Muszę to zrobić sama. Muszę... podjąć pewne decyzje.

Pokiwał głową.

- Na pewno podejmiesz właściwe.

- Nawet nie wiesz, czego dotyczą.

- To nieważne. Wiem, że nie mogę ci pomóc, nie umiałem nawet zachować władzy.

Jesteś dziesięć razy lepsza ode mnie.

Ścisnęła jego ramię.

- Nie mów takich rzeczy. Dobrze?

Zmarszczył czoło, słysząc napięcie w jej głosie, ale pokiwał głową.

- Dobrze. Ale, tak czy inaczej, ufam ci, Vin. Podejmij decyzje, a ja będę cię wspierał.

Rozluźniła się nieco.

- Myślę... - powiedziała. - Myślę, że muszę opuścić Luthadel.

- Opuścić? I gdzie się udać?

- Na północ - odparła. - Do Terris.

Elend oparł się o drewnianą ścianę. Odejść, pomyślał, czując ściskanie w brzuchu. Czy tym mi odpłaca za to, że ostatnio byłem taki rozproszony?

Czy ją utraciłem?

A jednak powiedział, że poprze jej decyzje.

- Jeśli czujesz, że musisz odejść, Vin - powiedział, niemal wbrew własnej woli - to powinnaś to zrobić.

- Gdybym odeszła, czy pojechałbyś ze mną?

- Teraz?

Pokiwała głową.

- Nie - stwierdził w końcu. - Nie mógłbym zostawić Luthadel, skoro wciąż jest obleżone.

- Przecież miasto cię odrzuciło.

- Wiem - stwierdził z westchnieniem. - Ale... ja nie mogę zostawić tych ludzi, Vin.

Odrzucili mnie, ale ja ich nie porzucę.

Znów pokiwała głową i zrozumiał, że właśnie takiej odpowiedzi się spodziewała.

Uśmiechnął się.

- Jesteśmy żalosni, co?

- Beznadziejni - powiedziała cicho i z westchnieniem wysunęła się z jego objęć.

Wydawała się taka zmęczona.

Z zewnątrz dochodziły ciche kroki. Po chwili w otworze wejściowym pojawił się łeb OreSeura.

- Twoi strażnicy się niepokoją, Wasza Wysokość - powiedział do Elenda. - Wkrótce przyjdą cię szukać.

Elend przesunął się powoli w stronę wyjścia. Gdy znalazł się na korytarzu, podał Vin rękę. Wzięła ją, wyczołgała się ze środka i otrzepała koszulę i spodnie.

Zastanowił się, czy wróci jeszcze do noszenia sukien.

- Elendzie - powiedziała, sięgając do kieszeni. - Masz, wydaj to, jeśli chcesz.

Otworzyła pięść i upuściła bryłkę na jego dłoń.

- Atium? - spytał z niedowierzaniem. - Skąd je wzięłaś?

- Dostałam od przyjaciela - odparła.



- I nie spaliłaś go poprzedniej nocy? - spytał. - Kiedy walczyłaś z tymi żołnierzami?

- Nie - odparła. - Połknęłam je, ale w końcu go nie potrzebowałam, więc zmusiłam się do wymiotów.

Na Ostatniego Imperatora, pomyślał Elend. Zapomniałem, że nie miała atium. Co by zrobiła, gdyby spaliła ten kawałek? Spojrzał na nią.

- Według niektórych doniesień w mieście jest inny Zrodzony z Mgły.

- Owszem. Zane.

Elend oddał jej bryłkę.

- Zachowaj je. Może ci się przydać, gdybyś musiała z nim walczyć.

- Wątpię - odparła.

- Ale i tak je zachowaj - stwierdził Elend. - Ten kawałek jest wart małą fortunę... tyle że musielibyśmy mieć ogromną fortunę, by to miało jakieś znaczenie w naszej obecnej sytuacji.

Poza tym, kto je kupi? Gdybym wykorzystał je do przekupienia Straffa albo Cetta, tylko by się upewnili, że ukrywam atium.

Vin pokiwała głową i spojrzała na OreSeura.

- Schowaj to - powiedziała, podając mu bryłkę. - Jest tak duża, że inny Allomanta mógłby mi ją odebrać, gdyby zechciał.

- Będę jej strzegł nawet za cenę własnego życia, panienko - powiedział OreSeur, a ciało na jego ramieniu pękło.

Vin odwróciła się do Elenda i razem zeszli po schodach, na spotkanie strażników na ulicy.

*Wiem, co zapamiętałem. Wiem, co jest teraz powtarzane przez innych Dawców Światów.*

- Bohater Wieków nie będzie Terrisaninem - stwierdziła Tindwyl, notując na dole listy.
- To już wiemy - zauważył Sazed. - Z dziennika.
- Owszem, lecz zapis Alendiego był tylko odniesieniem, wzmianką z trzeciej ręki na temat wpływu proroctwa. Znalazłam jednak kogoś cytującego samo proroctwo.
- Naprawdę? - spytał Sazed, wyraźnie podekscytowany. - Gdzie?
- W biografii Helenntiona - odparła. - Jednego z ostatnich ocalałych członków Rady Khlennium.
- Zapisz to dla mnie - powiedział, przysuwając swoje krzesło bliżej niej. Musiał zamrunąć kilka razy, kiedy pisała, zmęczenie go otępiało.

Skup się, nakazał sobie. Zostało niewiele czasu. Bardzo niewiele...

Tindwyl radziła sobie trochę lepiej od niego, lecz jej przytomność chyba się już wyczerpywała, gdyż zaczynała się pochylać nad biurkiem. On sam zdrzemnął się przez chwilę w nocy, zwinięty na podłodze w jej komnacie, lecz ona pracowała dalej. O ile mógł to ocenić, nie spała przez cały tydzień.

*W tamtych dniach wiele mówiono o Rabzeen, napisała Tindwyl. Niektórzy mówili, że przybędzie, by walczyć przeciwko Zdobywcy. Inni twierdzili, że to on jest Zdobywcą.*

*Helenntion nie dzielił się ze mną swoimi poglądami na ten temat. Rabzeen to ponoć „ten, który nie pochodzi ze swojego ludu, lecz spełnia wszystkie jego życzenia”. Jeśli to prawda, być może jest nim Zdobywca. Powiadają, że pochodził z Khlennium.*

Sazed zmarszczył czoło i znów przeczytał jej słowa. Ostatni testament Kwaana - odcisk zrobiony w Domu Modlitwy Seran - okazał się użyteczny na wiele różnych sposobów. Był kluczem.

*Dopiero wiele lat później doszedłem do wniosku, że Alendi jest Bohaterem Wieków.*

*Bohater Wieków: w Khlennium zwany Rabzeen. Anamneta...*

Odcisk był swego rodzaju tłumaczeniem - nie między językami, ale między synonimami. To logiczne, że Bohatera Wieków określano różnymi mianami - postać tak ważna, otoczona legendami, musiała nosić wiele tytułów. Rabzeen i Anamneta byli mitycznymi postaciami, które wydawały się Sazedowi znajome - lecz takich postaci były dziesiątki. Przed znalezieniem zapisu nie znał związku między nimi a Bohaterem Wieków.

Teraz wraz z Tindwyl mogli uważnie przeszukać swoje metalmyśli. Może w przeszłości Sazed czytał nawet ten fragment z biografii Helenntiona - przejrzał większość starożytnych zapisów, szukając odniesień do religii. Nigdy jednak by sobie nie uświadomił, że ten akapit odnosił się do Bohatera Wieków, postaci z terrisańskich podań, której Khlenni nadali imię w swoim języku.

- Tak... - powiedział powoli. - To bardzo dobre, Tindwyl. Bardzo dobre. - Położył dłoń na jej ręce.

- Być może, choć nie mówi nam nic nowego.

- Ale wydaje mi się, że sformułowanie może być ważne. Religie często bardzo starannie tworzą swoje pisma.

- Szczególnie proroctwa - dodała Tindwyl, krzywiąc się lekko. Nie lubiła niczego, co trąciło przesadami lub wieszczaniem.

- Spodziewałbym się - zauważył Sazed - że wyzbędziesz się tej niechęci, biorąc pod uwagę nasze obecne przedsięwzięcie.

- Zbieram informacje, Sazedzie. Ze względu na to, czego dzięki nim dowiaduję się o ludziach i ze względu na to, czego możemy nauczyć się z przeszłości. Nie bez powodu zajęłam się jednak badaniem historii, a nie religii. Nie popieram utrwalania kłamstw.

- Czy tak właśnie myślisz, gdy nauczam religii? - spytał rozbawiony.

Spojrzała na niego.

- Trochę tak - przyznała. - Jak możesz nauczać ludzi, by zwracali się ku bogom umarłych, Sazedzie? Tamte religie nie pomogły swoim wyznawcom, a ich proroctwa zmieniły się w pył.

- Religie to wyraz nadziei - sprzeciwił się. - Nadzieja daje ludziom siłę.

- Czyli ty sam nie wierzysz? - spytała. - Dajesz ludziom coś, czemu mogą ufać, czym mogą się ludzić?

- Tak bym tego nie określił.

- To wierzysz, że bogowie, o których nauczasz, istnieją?

- Ja... sądzę, że zasługują, by o nich pamiętano.

- A ich proroctwa? Widzę naukową wartość tego, co robimy... Wydobywamy na światło dzienne fakty z przeszłości, które mogą nam dostarczyć informacji na temat naszych obecnych problemów. Jednak wieszczanie przyszłości jest z samej swojej natury głupotą.

- Wcale bym tak nie powiedział. Religie to obietnice... obietnice, że coś nas strzeże i kieruje naszymi krokami. Wobec tego proroctwa to naturalne przedłużenie nadziei i pragnień ludzi. To wcale nie jest głupie.

- Czyli twoje zainteresowanie jest czysto akademickie?

Tindwyl wpatrzyła się w niego, spojrzała mu w oczy. Spochmurniała.

- Wierzysz w to, prawda? - spytała. - Wierzysz, że ta dziewczyna jest Bohaterem Wieków.

- Nie podjąłem jeszcze decyzji.

- Jak w ogóle możesz się nad czymś takim zastanawiać, Sazedzie? - spytała Tindwyl. -

Nie rozumiesz? Nadzieja to dobra rzecz... wspaniała... ale to musi być nadzieja na coś odpowiedniego. Jeśli będziesz utrwał marzenia z przeszłości, zdusisz nasze własne marzenia o przyszłości.

- A jeśli marzenia z przeszłości są warte zapamiętania?

Tindwyl pokręciła głową.

- Pomyśl, jakie jest prawdopodobieństwo, Sazedzie. Jakie są szanse, że wylądowalibyśmy tu, gdzie jesteśmy, badając ten właśnie zapis, w tym samym domostwie, co Bohater Wieków?

- Prawdopodobieństwo nie liczy się tam, gdzie chodzi o przepowiadanie przyszłości.

Tindwyl przymknęła oczy.

- Sazedzie... sądzę, że religia to dobra rzecz i wiara to dobra rzecz, ale głupotą jest szukanie wskazówek w kilku niejednoznacznych frazach. Popatrz, co się stało, kiedy ostatnim razem ktoś założył, że odnalazł Bohatera Wieków. Efektem był Ostatni Imperator i Ostatnie Imperium.

- Mimo to będę miał nadzieję. Skoro nie wierzysz w proroctwa, dlaczego tak wiele wysiłku wkładasz w odkrycie informacji na temat Głębi i Bohatera Wieków?

- To proste. Wydaje się, że musimy stawić czoło niebezpieczeństwu z przeszłości...

nawracającemu problemowi, jak zaraza, która wygasa, by powrócić po stuleciach. Starożytni znali to niebezpieczeństwo i mieli informacje na jego temat. Te informacje naturalnie po latach zmieniły się w legendy, proroctwa, nawet religie. Dlatego w przeszłości z pewnością kryją się wskazówki dotyczące naszej sytuacji. To nie kwestia wieszczona, lecz badań.

Sazed dotknął jej dłoni.

- Sądzę, że w tej kwestii nigdy się nie zgodzimy. Powróćmy do badań. Musimy dobrze wykorzystać pozostały nam czas.

- Nic się nam nie stanie - powiedziała Tindwyl, wzdychając i wciskając luźne pasemko włosów z powrotem do koka. - Najwyraźniej twoja Bohaterka wystraszyła wczorajszej nocy lorda Cetta. Mówiła o tym pokojówka, która przyniosła śniadanie.

- Słyszałem o tym wydarzeniu - powiedział Sazed.

- W takim razie sytuacja Luthadel się poprawia.

- Tak - odparł. - Może.

Spochmurniała.

- Wydajesz się niepewny.

- Nie wiem - powiedział i spuścił wzrok. - Nie wydaje mi się, by odejście Cetta było czymś dobrym, Tindwyl. Coś jest bardzo nie tak. Musimy skończyć te badania.

Terrisanka przechyliła głowę.

- Jak szybko?

- Sądzę, że powinniśmy spróbować skończyć jeszcze dziś - odparł Sazed i spojrzał na stertę arkuszy papieru, którą umieścili na stole.

Sterta zawierała wszystkie ich notatki, pomysły i związki, jakie udało im się odnaleźć podczas gorączkowej pracy. Była to swego rodzaju książka - przewodnik o Bohaterze Wieków i Głębi. Dokument był dobry - nawet niewiarygodny, biorąc pod uwagę czas, jaki mieli na jego sporządzenie. Nie był wyczerpujący, ale i tak wydawał się Sazedowi najważniejszym dziełem, jakie napisał.

Choć nie miał wcale pewności dlaczego.

- Sazedzie? - spytała Tindwyl, marszcząc czoło. - Co to?

Ze sterty papierów wyciągnęła arkusz, którego róg z niej wystawał. Gdy go podniosła, Sazed z ogromnym zaskoczeniem zauważył, że fragment prawego dolnego rogu został

oderwany.

- Ty to zrobiłeś? - spytała.

- Nie - odparł.

Wziął od niej papier. Była to jedna z transkrypcji odcisku, na oderwanym kawałku znajdowało się ostatnie zdanie. Nigdzie nie widzieli brakującej części.

Podniósł wzrok i napotkał zdezorientowane spojrzenie kobiety. Odwróciła się i przejrzała stertę papierów z boku. Wyciągnęła kolejną kopię transkrypcji i ją podniosła.

Sazedowi zrobiło się zimno. Tu również brakowało rogu.

- Wczoraj dopisywałam tu swoje uwagi - powiedziała cicho Tindwyl. - Nie opuściłam komnaty, co

najwyżej na kilka minut, a ty byłeś tu cały czas.

- Wychodziłaś może ostatniej nocy? - spytał Sazed. - Do toalety, gdy ja spałem?

- Może. Nie pamiętam.

Sazed siedział przez chwilę, wpatrując się w kartę. Uszkodzenie miało dziwnie podobny kształt do tego na głównej stercie. Tindwyl, która najwyraźniej pomyślała o tym samym, położyła jedną kartkę na drugiej. Pasowały do siebie idealnie, nawet najmniejsze uszkodzenia wyglądały dokładnie tak samo. Gdyby nawet ktoś odrywał róg, ułożywszy jeden arkusz na drugim, efekt nie byłby tak doskonały.

Oboje wpatrywali się w kartki papieru. Później ruszyli się gwałtownie, przeglądając swoje sterty kartek. We wszystkich brakowało dokładnie tego samego fragmentu.

- Sazedzie... - powiedziała Tindwyl. Jej głos drżał.

Uniosła arkusz papieru - na nim znajdowała się tylko druga połowa transkrypcji, a zapis kończył się w połowie kartki. Tutaj otwór został wydarty na środku arkusza, usuwając dokładnie to samo zdanie.

- Odcisk! - powiedziała Tindwyl, lecz Sazed już się podniósł.

Ruszył w stronę skrzyni, gdzie trzymał metalmyśli. Niezgrabnie chwycił klucz, który miał na szyi, zdjął go i otworzył zamek. Gwałtownym ruchem podniósł wieko, wyjął odcisk i delikatnie rozłożył go na podłodze. Nagle odsunął palce, jakby coś go ugryzło, gdy ujrzał

rozerwanie na dole. Usunięto to samo zdanie.

- Jak to możliwe? - wyszeptała Terrisanka. - Jak ktoś mógł wiedzieć tak wiele o naszej pracy... tak wiele o nas?

- A jednak - dodał Sazed - jak mógł wiedzieć tak mało o naszych umiejętnościach?

Zapisałem całą transkrypcję w metalmyśli. Mogę ją sobie od razu przypomnieć.

- Jak brzmi brakujące zdanie?

- „Alendi nie może dotrzeć do Studni Wstąpienia. Nie może przyjąć jej mocy dla siebie”.

- Po co usuwać to zdanie? - spytała Tindwyl.

Sazed wpatrzył się w odcisk. To się wydawało niemożliwe...

Od strony okna dobiegł jakiś hałas. Sazed obrócił się na pięcie, odruchowo sięgnął do cynołowiomysli i zwiększył swoją siłę. Jego mięśnie urosły, a szata się na nich opięła.

Okiennice otworzyły się, na parapecie przykucnęła Vin. Zawahała się, gdy ujrzała Sazedą i Tindwyl -

która również sięgnęła do siły i nabrała niemal męskiej sylwetki.

- Zrobiłam coś nie tak? - spytała Vin.

- Nie, dziecko - powiedział. - Po prostu nas zaskoczyłaś.

Spojrzał na Tindwyl i kobieta zaczęła zbierać porwane arkusze papieru. Sazed zwinął odcisk - później to omówią.

- Czy widziałas, by ktoś spędzał zbyt dużo czasu w pobliżu mojej komnaty, lady Vin? - spytał, chowając odcisk. - Jacyś obcy... a może nawet któryś ze strażników?

- Nie - odparła Vin, wchodząc do środka.

Jak zwykle była na bosaka i nie miała mgielnego płaszcza. Rzadko wkładała go w ciągu dnia. Jeśli poprzedniej nocy walczyła, musiała się przebrać, gdyż na jej obecnym stroju nie było śladów krwi ani nawet potu.

- Chcesz, żebym pilnowała, czy w okolicy nie pojawił się ktoś podejrzany? - spytała.

- Tak, proszę - odparł, zamykając skrzynię na klucz. - Obawiamy się, że ktoś przeglądał nasze notatki, choć nie mam pojęcia, dlaczego ktoś miałby to zrobić.

Vin pokiwała głową. Nie ruszyła się z miejsca, gdy Sazed wrócił na swoje krzesło.

Wpatrywała się przez chwilę w dwójkę Terrisan.

- Muszę z tobą porozmawiać, Sazedzie - powiedziała w końcu.

- Sądzę, że mogę poświęcić ci kilka chwil. Ale muszę cię ostrzec, że moje badania są bardzo ważne.

Vin pokiwała głową i spojrzała na Tindwyl. Terrisanka w końcu wstała z westchnieniem.

- W takim razie chyba pójdę i znajdę nam jakiś obiad.

Gdy zamknęła za sobą drzwi, Vin rozluźniła się lekko. Podeszła do stołu, usiadła na krześle Tindwyl i podciągnęła kolana pod brodę.

- Sazedzie - spytała - jak rozpoznać, że się kogoś kocha?

Zamrugął.

- Ja... nie sądzę, bym był właściwą osobą, z którą powinnaś rozmawiać na ten temat, lady Vin. O tym nie wiem wiele.

- Zawsze tak mówisz - odparła. - Ale jesteś ekspertem od wszystkiego.

Sazed się roześmiał.

- W tym wypadku zapewniam cię, że moja niepewność nie jest udawana, lady Vin.

- Ale na pewno coś wiesz.

- Może trochę - odparł. - Powiedz mi, jak się czujesz, kiedy jesteś z młodym lordem Venture?

- Chcę, żeby mnie przytulił - powiedziała cicho i odwróciła wzrok, wyglądając przez okno. - Chcę, żeby do mnie mówił, nawet jeśli nie rozumiem o czym mówi. Cokolwiek, byle tylko został tam, ze mną. Z jego powodu chcę być lepsza.

- Wydaje mi się, że to bardzo dobry znak, lady Vin.

- Ale... - Spuściła wzrok. - Nie jestem dla niego dobra, Sazedzie. On się mnie boi.

- Boi?

- A przynajmniej czuje się niepewnie. Widziałam jego spojrzenie, kiedy walczyłam podczas ataku na Zgromadzenie. Cofnął się ode mnie, Sazedzie, przerażony.

- Po prostu zobaczył, jak ktoś zginął. Lord Venture jest w tych sprawach dość niewinny, lady Vin. Nie chodziło o ciebie... moim zdaniem to była naturalna reakcja na grozę śmierci.

- Tak czy inaczej - powiedziała, znów wyglądając przez okno - nie chcę, żeby tak mnie postrzegał. Chcę być dziewczyną, jakiej potrzebuje... dziewczyną, która umie być ładna, kiedy potrzebuje, żeby wspierała się na jego ramieniu, i która może go pocieszyć, gdy jest sfrustrowany. Uczyłeś mnie, jak zachowuje się prawdziwa dama, Saze, lecz oboje wiemy, że nie byłam w tym dobra.

- A lord Venture zakochał się w tobie, ponieważ nie zachowywałaś się jak inne kobiety.

Mimo wpływów lorda Kelsiera, mimo twojej świadomości, że wszyscy szlachetnie urodzeni to nasi wrogowie, Elend zakochał się w tobie.

- Nie powinnam była mu na to pozwolić - powiedziała cicho. - Muszę trzymać się od niego z dala, Saze... dla jego własnego dobra. Wtedy będzie się mógł zakochać w kimś innym.

Kimś, kto lepiej do niego pasuje. Kimś, kto nie zabija setki ludzi, bo nie może znieść frustracji.

Kimś, kto zasługuje na jego miłość.

Sazed wstał, jego szata szeleściła, gdy podszedł do krzesła Vin. Pochylił się tak, by jego głowa znalazła się na wysokości jej twarzy, i położył dłoń na jej ramieniu.

- Och, dziecko. Kiedy przestaniesz się martwić i po prostu pozwolisz się kochać?



Pokręciła głową.

- To nie jest łatwe.

- Większość rzeczy taka jest. Ale powiem ci jedno, lady Vin. Miłość musi płynąć w obie strony... Jeśli tak nie jest, to sądzę, że to nie jest prawdziwa miłość, tylko coś innego. Może zauroczenie? Tak czy inaczej, niektórzy z nas bardzo chętnie robią z siebie męczenników.

Stoimy na uboczu, obserwujemy i myślimy, że postępujemy właściwie, jeśli powstrzymujemy się od działania. Boimy się bólu... naszego albo drugiej osoby. - Ścisnął jej ramię. - Ale... czy to jest miłość? Czy miłością jest założenie w imieniu Elenda, że nie ma dla ciebie miejsca? A może miłością jest pozwolenie mu, żeby sam podjął tę decyzję?

- A jeśli nie jestem dla niego odpowiednia?

- Musisz go kochać na tyle, by ufać jego wyborom, nawet jeśli się z nimi nie zgadzasz.

Musisz go szanować, nawet jeśli uważasz, że bardzo się myli, nawet jeśli masz złe zdanie o jego decyzjach, musisz uszanować jego pragnienie, by je podjąć. Nawet jeśli jedna z nich wiąże się z kochaniem ciebie.

Vin uśmiechnęła się słabo.

- A... - powiedziała bardzo powoli - jeśli jest ktoś inny? Dla mnie?

Ach...

Natychmiast się spięła.

- Nie wolno ci powiedzieć o tym Elendowi.

- Nie zrobię tego - obiecał. - Kim jest ten drugi mężczyzna?

Vin wzruszyła ramionami.

- To ktoś... bardziej podobny do mnie. Z takim mężczyzną powinnam być.

- Kochasz go?

- Jest silny - odparła. - Przypomina mi Kelsiera.

Czyli rzeczywiście jest drugi Zrodzony z Mgły, pomyślał Sazed. Wiedział, że w tej sprawie powinien pozostać bezstronny. Nie wiedział wystarczająco wiele o drugim mężczyźnie, by go ocenić - a Opiekunowie mieli przekazywać informacje, ale unikać udzielania rad.

Sazed jednak rzadko przestrzegał tej zasady. Owszem, nie znał tego drugiego Zrodzonego z Mgły, lecz znał Elenda Venture.

- Dziecko - powiedział. - Elend jest najlepszym z ludzi, a ty jesteś o wiele bardziej szczęśliwa, odkąd jesteście razem.

- Ale jest pierwszym mężczyzną, w którym się zakochałam - powiedziała cicho. - Skąd mam wiedzieć, że jest właściwy? Czy nie powinnam zainteresować się mężczyzną, który bardziej do mnie pasuje?

- Nie wiem, lady Vin. Naprawdę nie wiem. Ostrzegałem cię, że w tych kwestiach jestem ignorantem. Ale czy naprawdę masz nadzieję na znalezienie kogoś lepszego od lorda Elenda?

Westchnęła.

- To takie frustrujące. Powinnam martwić się miastem i Głębią, a nie tym, z którym z mężczyzn będę spędzać wieczory!

- Trudno chronić innych, gdy w naszym życiu panuje zamęt - powiedział.

- Muszę podjąć decyzję - stwierdziła Vin, podniosła się i podeszła do okna. - Dziękuję, Sazedzie. Dziękuję, że mnie wysłuchałeś... dziękuję, że wróciłeś do miasta.

Sazed uśmiechnął się i skinął jej głową. Vin wyleciała przez otwarte okno, wykorzystując jakiś kawałek metalu. Terrisanin westchnął i, przecierając oczy, podszedł do drzwi. Otworzył je szeroko.

Za nimi stała Tindwyl. Splotła ręce na piersi.

- Chyba czułabym się bardziej swobodnie w tym mieście - powiedziała - gdybym nie wiedziała, że nasza Zrodzona z Mgły emocjonalnie jest nastolatką.

- Lady Vin jest bardziej zrównowazona niż ci się wydaje - sprzeciwił się Sazed.

- Sazedzie, wychowałam piętnaście córek - powiedziała Tindwyl, wchodząc do środka. -

Żadna nastolatka nie jest zrównowazona. Po prostu niektóre lepiej się maskują.

- To ciesz się, że nie złapała cię na podsłuchiwanie - zauważył. - Zazwyczaj paranoicznie traktuje takie kwestie.

- Wydaje mi się, że Vin ma słabość do Terrisan - rzuciła Tindwyl z machnięciem ręki. -

Chyba powinniśmy ci za to podziękować. Wydaje się, że bardzo ceni twoje rady.

- Jakiegokolwiek one są.

- Myślę, że twoje słowa były bardzo mądre, Sazedzie - stwierdziła kobieta, siadając. -

Byłby z ciebie świetny ojciec.

Lekko zawstydzony Sazed pochylił głowę i też podszedł do swojego krzesła.

- Powinniśmy...

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Co teraz? - spytała Tindwyl.

- Czy nie zamawiałaś nam obiadu?

Potrząsnęła głową.

- Nawet nie wyszłam z korytarza.

Chwilę później do środka zajrzał Elend.

- Sazedzie? Mógłbym z tobą porozmawiać?

- Oczywiście, lordzie Elendzie - stwierdził Sazed, wstając.

- Świetnie - odparł młody Venture, wchodząc do środka. - Tindwyl, możesz wyjść.

Wywróciła oczami i posłała swojemu towarzyszowi pełne irytacji spojrzenie, ale podniosła się i wyszła.

- Dziękuję - powiedział Elend, gdy zamknęła za sobą drzwi. - Usiądź, proszę.

Elend odetchnął głęboko, stojąc z rękami splecionymi za plecami. Powrócił do białych mundurów i stał władczo wyprostowany, mimo widocznej frustracji.

Ktoś ukradł mojego przyjaciela uczonego, pomyślał Sazed, i zastąpił go królem.

- Zakładam, że chodzi o lady Vin, lordzie Elendzie?

- Tak - odparł Elend i zaczął spacerować po komnacie, jednocześnie gestykulując jedną ręką. - To, co robi, po prostu nie ma sensu, Sazedzie. Spodziewam się tego, do kata, nawet na to liczę. W końcu jest nie tylko kobietą, ale też Vin. Nie wiem, jak reagować. W jednej chwili jest dla mnie ciepła... jak wtedy, nim zaczął się ten cały bałagan w mieście... a po chwili robi się sztywna i odległa.

- Może sama jest równie zdezorientowana.

- Może - zgodził się. - Ale czy choć jedno z nas nie powinno wiedzieć, co się dzieje w naszym związku? Szczerze mówiąc, Saze, czasem myślę, że zbyt wiele nas różni, byśmy mogli być razem.

Sazed się uśmiechnął.

- Nie byłbym tego taki pewien, lordzie Elendzie. Mogłoby cię zaskoczyć, jak podobnie myślicie.

- Wątpię w to - sprzeciwił się Elend, nie przerywając spacerowania. - Jest Zrodzoną z Mgły, a ja zwykłym człowiekiem. Dorastała na ulicach, a ja w rezydencji. Jest sprytna i przebiegła, a ja uczyłem się z książek.

- Jest wyjątkowo dobra w tym, co robi, tak samo jak ty - zauważył Sazed. - Ją dręczył

brat, ciebie ojciec. Oboje nienawidziliście Ostatniego Imperium i walczyliście przeciwko niemu. I oboje stanowczo za wiele myślicie o tym, co powinno być, a nie o tym, co jest.

Elend zatrzymał się i spojrzał na Sazedą.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że uważam, że pasujecie do siebie. Nie powinienem wydawać takich sądów i szczerze mówiąc, jest to opinia człowieka, który przez ostatnie miesiące nie przebywałem z wami. Ale sądzę, że jest właściwa.

- A różnice? - spytał Elend.

- Na pierwszy rzut oka klucz i zamek, do którego on pasuje, wydają się bardzo różne -

stwierdził Sazed. - Różni je kształt, różni funkcja, różni wzór. Ktoś, kto na nie spojrzy, a nie zna ich prawdziwej natury, może je uznać za przeciwieństwa, gdyż jeden ma otwierać, a drugi trzymać w zamknięciu. Gdyby się jednak przyjrzał bliżej, mógłby zobaczyć, że jedno bez drugiego staje się bezużyteczne. Mądry człowiek widzi wówczas, że klucz i zamek zostały stworzone w tym samym celu.

- Musisz kiedyś napisać książkę, Sazedzie - powiedział z uśmiechem Elend. - To głębsze niż wszystko, co czytałem.

Sazed się zarumienił i zerknął na stertę papierów na biurku. Czy one będą jego dziedzictwem? Nie był pewien, czy były głębokie, lecz na pewno stanowiły najbardziej spójną próbę napisania czegoś własnego. Owszem, większość arkuszy zawierała cytaty i odniesienia, lecz również sporo jego przemyśleń i przypisów.

- Co zatem powinienem zrobić? - spytał Elend.

- W sprawie lady Vin? Sugerowałbym, żebyś dał jej... i sobie... trochę czasu.

- W dzisiejszych czasach czas jest bardzo cenny.

- A kiedy nie jest?

- Kiedy twojego miasta nie oblegają dwie armie - odparł Elend - jedna prowadzona przez megalomańskiego tyrana, a druga przez lekkomyślnego głupca.

- Tak - powiedział powoli Sazed. - Tak, możesz mieć rację. Powinienem wrócić do badań.

Elend zmarszczył czoło.

- A tak w ogóle, nad czym pracujesz?

- Obawiam się, że nad czymś, co nie ma większego związku z twoim obecnym problemem. Wraz z Tindwyl zbieram i kompiluję odniesienia do Głębi i Bohatera Wieków.

- Głębia... Vin też o niej wspominała. Naprawdę sądzisz, że może powrócić?

- Uważam, że już powróciła, lordzie Elendzie - stwierdził Sazed. - A tak właściwie nigdy nas nie opuściła. Wierzę, że Głębia to mgły.

- Ale dlaczego... - zaczął Elend i nagle uniósł rękę. - Przeczytam wasze wnioski, gdy skończycie. Nie mogę sobie teraz pozwolić na odwrócenie uwagi. Dziękuję ci za rady, Sazedzie.

Tak, prawdziwy król, pomyślał Terrisanin.

- Tindwyl - powiedział Elend - możesz już wejść. Życzę miłego dnia, Sazedzie.

Elend podszedł do drzwi, które uchyliły się powoli. Do środka weszła Tindwyl, skrywając zawstydzenie.

- Skąd wiedziałeś, że tam jestem? - spytała.

- Domyśliłem się - odparł. - Jesteś pod tym względem równie paskudna jak Vin. Życzę wam obojgu miłego dnia.

Tindwyl skrzywiła się, gdy wyszedł, po czym spojrzała na Sazedę.

- Wykonałaś z nim kawał naprawdę dobrej roboty - powiedział.

- Aż za dobrej - odparła i usiadła. - Sądzę, że gdyby ludzie pozwolili mu zachować władzę, mógłby znaleźć jakiś sposób na uratowanie miasta. Chodź, musimy wrócić do pracy.

Tym razem rzeczywiście posłałam kogoś po obiad, więc zrobmy jak najwięcej, zanim do nas dotrze.

Sazed pokiwał głową, usiadł wygodnie i podniósł pióro. Nie umiał się jednak skupić na pracy. Jego myśli powracały do Vin i Elenda. Nie miał pewności, dlaczego ich związek był tak ważny. Może po prostu dlatego, że oboje byli jego przyjaciółmi i pragnął ich szczęścia?

A może chodziło o coś innego. Ta dwójka była najlepszym, co Luthadel miało do zaproponowania. Najpotężniejsza Zrodzona z Mgły z podziemia skaa i najbardziej szlachetny przywódca arystokratów. Potrzebowali siebie nawzajem, a Ostatnie Imperium potrzebowało ich obojga.

I jeszcze jego dzieło. Charakterystyczny zaimek wykorzystywany w większości terrisańskich proroctw nie określał płci. To słowo tak naprawdę oznaczało „ono”, choć w większości tłumaczeń na nowożytny języki zastępował je zaimek „on”. Jednak w każdym miejscu, w którym w jego książce

występował „on”, równie dobrze mógł się pojawić zaimek

„ona”. Jeśli Vin rzeczywiście była Bohaterem Wieków...

Muszę znaleźć sposób, by wydostać ich z miasta, nagle uświadomił sobie Sazed. Ta dwójka nie może pozostać w mieście, gdy Luthadel upadnie.

Odłożył notatki i zaczął pisać serię listów.

*Różnią się od siebie.*

Breeze wyczuwał intrygę z odległości dwóch kwartałów ulic. W przeciwieństwie do swoich przyjaciół złodziei nie wychowywał się w ubóstwie i nie musiał walczyć o przeżycie w podziemiu. Dorastał w o wiele bardziej bezwzględnym miejscu - na arystokratycznym dworze.

Całe szczęście inni z ekipy nie traktowali go inaczej ze względu na szlachetne pochodzenie.

Oczywiście dlatego, że o nim nie wiedzieli.

Dzięki takiemu wychowaniu lepiej rozumiał pewne kwestie. Wątpił, by pojmował je złodziej skaa, nawet bardzo uzdolniony. Intrygi skaa miały brutalny sens, były sprawą życia i śmierci. Zdradzało się sojuszników dla pieniędzy, władzy albo żeby zapewnić sobie bezpieczeństwo.

Na arystokratycznych dworach wszystko miało bardziej abstrakcyjny charakter. Zdrada rzadko kończyła się śmiercią jednej ze stron, lecz jej konsekwencje mogły dotyczyć kolejnych pokoleń. To była gra - w tak wielkim stopniu, że młody Breeze uznał otwartą brutalność podziemia skaa za miłą odmianę.

Popijał grzane wino z korzeniami, obracając w palcach kartkę, którą dostał. Zaczynał

już wierzyć, że nie będzie się musiał przejmować spiskami wewnątrz szajek - ekipa Kelsiera była niemal nieprzyzwoicie zgrana i Breeze robił wszystko co w jego allomantycznej mocy, by utrzymać ten stan. Widział, co wewnętrzne konflikty mogły uczynić z rodziną.

Dlatego ten list tak bardzo go zaskoczył. Mimo udawanej niewinności, wyraźnie widział

znaki. Tekst był pisany bardzo szybko, momentami zamazany, ale nie został przepisany.

Zdania w rodzaju „nie ma potrzeby mówić pozostałym” i „nie chcę wywoływać niepokoju”.

Kilka kropli laku, rozlanych wokół zamknięcia koperty, jakby dla dodatkowego zabezpieczenia przed ciekawskim wzrokiem.

Ton wiadomości był wyjątkowo charakterystyczny - Breeze został zaproszony na spotkanie spiskowców. Ale dlaczego to właśnie Sazed, na Ostatniego Imperatora, chciał się z nim spotkać w tajemnicy?

Breeze westchnął, sięgnął po laskę pojedynkową i wsparł się na niej, by się podnieść.

Czasami, gdy wstawał, kręciło mu się w głowie. Ta drobna dolegliwość trapiła go od lat, choć ostatnio wyraźnie się pogorszyła. Obejrzał się przez ramię, spoglądając na śpiącą w jego łóżku Allrianne.

Pewnie powinienem mieć wyrzuty sumienia z jej powodu, pomyślał, uśmiechając się wbrew sobie. Sięgnął po kamizelkę i surdut, by nałożyć je na koszulę i spodnie. Ale... cóż, za kilka dni i tak

wszyscy zginiemy. Popołudnie spędzone z Clubsem z pewnością umieszczało wszystko we właściwej perspektywie.

Breeze wyszedł z komnaty i ruszył przez ponure, słabo oświetlone korytarze posiadłości Venture. Szczerze mówiąc, pomyślał, rozumiem sens oszczędzania oliwy do lamp, ale ostatnio i tak jest ponuro, nie potrzeba do tego mrocznych korytarzy.

Miejsce spotkania znajdowało się kilka zakrętów od niego. Breeze odnalazł je bez trudu, gdyż wejścia strzegli dwaj strażnicy. Ludzie Demoux - byli posłuszni kapitanowi również z przyczyn religijnych.

Interesujące, pomyślał Breeze, pozostając w ukryciu w bocznym przejściu. Sięgnął

allomantyczną mocą i Uspokoił mężczyzn, zabierając ich rozluźnienie i pewność, pozostawiając tylko niepokój i nerwowość. Strażnicy zrobili się niespokojni, zaczęli się kręcić.

W końcu jeden się odwrócił, otworzył drzwi i zajrzał do komnaty. To pozwoliło Breeze'owi zerknąć do środka. Tylko jedna osoba. Sazed.

Breeze stał w milczeniu, próbując podjąć jakąś decyzję. W liście nie było nic obciążającego - to nie mogła być pułapka zastawiona przez Elenda, prawda? Jakaś dziwaczna próba odkrycia, kto z ekipy by go zdradził, a kto nie? Wydawało się to zbyt podejrzliwym posunięciem jak na dobrodusznego chłopaka. Poza tym, gdyby o to chodziło, Sazed musiałby próbować zmusić Breeze'a do zrobienia czegoś gorszego niż tylko spotkanie się z nim w tajemnicy.

Drzwi się zamknęły, a żołnierz powrócił na swoje miejsce. Mogę zaufać Sazedowi, prawda? - pomyślał Breeze. Ale jeśli tak, po co to tajemne spotkanie? Czy zaczynał

przesadzać?

Nie, obecność strażników świadczyła, że Sazed chce, by spotkanie nie zostało odkryte.

To było podejrzane. Gdyby chodziło o kogoś innego, Breeze poszedłby prosto do Elenda. Ale Sazed...

Breeze westchnął i wyszedł na korytarz, stukając laską pojedynkową o podłogę. Równie dobrze mogę sprawdzić, co ma do powiedzenia. Poza tym, jeśli to Sazed planuje coś podstępnego, warto zaryzykować, żeby to zobaczyć. Mimo listu, mimo dziwnych okoliczności, Breeze miał problem z wyobrażeniem sobie Terrisanina biorącego udział w nie do końca uczciwym przedsięwzięciu.

Może Ostatni Imperator miał ten sam problem?

Breeze skinął głową żołnierzom, Uspokajając ich i poprawiając ich nastrój. Był jeszcze jeden powód, dla którego chciał zaryzykować spotkanie. Dopiero zaczynał sobie uświadamiać, w jak niebezpiecznej sytuacji się znalazł. Luthadel wkrótce upadnie. Wszelkie instynkty wykształcone przez trzydzieści lat w podziemiu kazały mu uciekać.



To sprawiało, że był bardziej skłonny podejmować ryzyko. Breeze sprzed kilku lat pewnie by już opuścił miasto. Bądź przekłety, Kelsierze, pomyślał, otwierając drzwi.

Sazed, który siedział przy stole, podniósł na niego zaskoczone spojrzenie. Komnata była skromna, znajdowało się w niej kilka krzeseł i tylko dwie lampy.

- Przyszedłeś wcześniej, lordzie Breeze - powiedział Sazed, podnosząc się szybko.

- Oczywiście - odparł krótko Uspokajacz. - Musiałem się upewnić, że to nie pułapka. -

Zamilkł na chwilę. - To nie jest pułapka, prawda?

- Pułapka? - powtórzył Terrisanin. - O czym ty mówisz?

- Nie udawaj takiego zdziwionego. To nie jest zwyczajne spotkanie.

Sazed oklapł nieco.

- To... aż tak widoczne?

Breeze usiadł, położył laskę na kolanach i znacząco spojrzał na Sazedą, Uspokajając go w taki sposób, by poczuł się nieco bardziej zażenowany.

- Może i pomogłeś nam obalić Ostatniego Imperatora, mój drogi... ale musisz się jeszcze dużo nauczyć o tym, jak być podstępny.

- Przepraszam - powiedział Sazed, siadając. - Po prostu chciałem się szybko spotkać, by omówić pewne... delikatne kwestie.

- W takim razie sugeruję, byś pozbył się tych strażników - zaproponował Uspokajacz. -

Ich obecność sprawia, że komnata się wyróżnia. Później zapal jeszcze kilka lamp i sprowadź

dla nas coś do jedzenia albo picia. Jeśli Elend wejdzie do środka... zakładam, że ukrywamy się przed Elendem?

- Tak.

- Cóż, jeśli wejdzie do środka i zobaczy, jak siedzimy w półmroku i spoglądamy na siebie podejrzliwie, domyśli się, że coś się dzieje. Im mniej naturalna okazja, tym bardziej naturalnie powinna wyglądać.

- Ach, rozumiem - odparł Sazed. - Dziękuję.

Drzwi otworzyły się i do środka wkuśtykał Clubs. Sazed spojrzał na Breeze'a i Clubsa, po czym podszedł do krzesła. Breeze zerknął na Terrisanina - żadnego zaskoczenia, generał też z pewnością został zaproszony.

- Odeślij tych strażników - rzucił Clubs.

- W tej chwili, lordzie Cladencie - odparł Sazed, wstał i podszedł do drzwi.

Wrócił po krótkiej rozmowie ze strażnikami. W chwili, gdy usiadł, do środka zajrzał

Ham. Miał podejrzliwą minę.

- Zaczekaj - odezwał się Breeze. - Ile osób ma przyjść na to potajemne spotkanie?

Sazed wskazał Hamowi krzesło.

- Wszyscy bardziej... doświadczeni członkowie ekipy.

- To znaczy wszyscy oprócz Elenda i Vin - odpowiedział Breeze.

- Nie zaprosiłem też lorda Lestibournesa - odparł Sazed.

Tak, ale to nie przed Spookiem się ukrywamy.

Ham usiadł z wahaniem, spoglądając pytająco na Breeze'a.

- To... dlaczego właściwie spotykamy się za plecami naszej Zrodzonej z Mgły i króla?

- Już nie króla - dobiegł głos od strony drzwi. Dockson wszedł do środka i usiadł. -

Można by nawet argumentować, że Elend przestał być przywódcą naszej ekipy. Został nim przypadkiem... tak samo jak zdobył tron.

Ham się zaczerwienił.

- Wiem, że go nie lubisz, Dox, ale nie mam ochoty dyskutować o zdradzie.

- Nie ma zdrady, jeśli nie ma króla do zdradzenia. Co mamy robić, zostać tu i być sługami w jego domu? Elend nas nie potrzebuje. Być może pora zaoferować nasze usługi lordowi Penrodowi.

- Penrod też jest szlachetnie urodzony - zauważył Ham. - Nie powiesz mi, że lubisz go bardziej niż Elenda.

Dockson uderzył pięścią w stół.

- Nie chodzi o to, kogo lubię, Ham. Chodzi o zapewnienie przyszłości temu przekłętemu królestwu, które Kelsier zrzucił na nasze barki! Spędziliśmy półtora roku, sprzątając bałagan.

Chcesz, żeby ta praca się zmarnowała?

- Panowie, proszę... - Sazed bezskutecznie próbował wtrącić się do rozmowy.

- Praca, Dox? - pytał zaczerwieniony Ham. - A jaką pracę ty wykonałeś? Nie widziałem, żebyś robił coś poza siedzeniem i narzekaniem za każdym razem, kiedy ktoś zaproponuje jakiś plan.

- Narzekaniem?! - powtórzył Dockson. - Masz pojęcie, ile pracy musiałem włożyć, żeby to miasto nie rozpadło się na kawałki? A ty co zrobiłeś, Ham? Nie przyjąłeś dowództwa armii.

Tylko pijesz i pojedynkujesz się z przyjaciółmi!

Wystarczy, pomyślał Breeze, Uspokajając ich. Jeszcze trochę i się podusimy, zanim Straff zdąży nas stracić.

Dockson odchylił się na krześle i machnął ręką w stronę Hama, którego twarzy nie opuścił jeszcze rumieniec. Sazed czekał, wyraźnie rozgoryczony. Breeze Uspokoił jego niepewność. Ty tu dowodzisz, Sazedzie. Powiedz nam, co się dzieje.

- Proszę - odezwał się Terrisanin. - Nie sprowadziłem was tutaj, byśmy się kłócili.

Rozumiem, że wszyscy jesteśmy spięci... to zrozumiałe, biorąc pod uwagę okoliczności.

- Penrod odda miasto Straffowi - stwierdził Ham.

- Może to lepiej, niż gdyby miał pozwolić mu nas zarżnąć - rzucił Dockson.

- Właściwie - wtrącił Breeze - nie sądzę, byśmy się musieli tym przejmować.

- Nie? - spytał Dockson, krzywiąc się. - Czy masz jakieś informacje, którymi się z nami nie podzieliłeś?

- Daj sobie spokój, Dox - warknął Ham. - Nigdy nie pogodziłeś się z myślą, że nie zostałeś przywódcą po śmierci Kella. To dlatego nigdy nie lubiłeś Elenda, prawda?

Dockson zarumienił się, a wtedy Breeze westchnął i potraktował ich obu potężnym, ogólnym Uspokajaniem. Mężczyźni podskoczyli, jakby coś ich ugryzło - choć tak naprawdę wrażenie było wręcz przeciwne. Ich uczucia, wcześniej zmienne, stały się odrętwiąłe i obojętne.

Spojrzelili na Breeze'a.

- Tak - odparł - oczywiście, że was Uspokajam. Naprawdę, wiedziałem, że Hammond jest nieco niedojrzały... ale ty, Dockson?

Dox znów usiadł wygodniej i rozmasował czoło.

- Możesz mnie puścić, Breeze - powiedział po chwili. - Będę uważał na to, co mówię.

Ham tylko mruknął i położył dłoń na stole. Sazed przyglądał się im z niejakim zaskoczeniem.

Tak wyglądają ludzie w sytuacji bez wyjścia, mój drogi Terrisaninie, pomyślał Breeze.

To się właśnie dzieje, kiedy tracą nadzieję. Mogą udawać przed żołnierzami, ale kiedy zostają sami wśród przyjaciół...

Sazed był Terrisaninem - całe jego życie wypełniały straty i ucisk. Ale oni, w tym sam Breeze, przyzwyczaili się do sukcesów. Byli pewni siebie, nawet przy niekorzystnym stosunku sił. Potrafili przeciwstawić się bogu i spodziewać się zwycięstwa. Nie radzili sobie z porażką.

Oczywiście, gdy porażka oznaczała śmierć, czyż nie było to oczywiste?

- Armie Straffa przygotowują się do zwijania obozów - powiedział w końcu Clubs. -

Robią to dyskretnie, ale widzę oznaki.

- Czyli rusza na miasto - stwierdził Dockson. - Moi ludzie w pałacu Penroda mówią, że Zgromadzenie wysłało Straffowi wiadomość za wiadomością, prawie go błagając, by zajął

Luthadel.

- Nie weźmie miasta - stwierdził generał. - Nie, jeśli jest bystry.

- Vin wciąż pozostaje zagrożeniem - zauważył Breeze. - A nie wygląda na to, by Straff miał własnego Zrodzonego z Mgły. Jeśli wejdzie do Luthadel, w żaden sposób nie powstrzyma jej przed poderżnięciem mu gardła. Dlatego zrobi coś innego.

Dockson spochmurniał i spojrzał na Hama, który wzruszył ramionami.

- To naprawdę proste - powiedział Breeze, stukając laską w stół. - Nawet ja się tego domyśliłem. - Na te słowa Clubs prychnął. - Jeśli Straff stwarza pozory, że szykuje się do wycofywania, kolosy zaatakują Luthadel. Są zbyt ograniczone, by zrozumieć, jakim niebezpieczeństwem jest ukryta armia.

- Jeśli Straff się wycofa - dodał Clubs - Jastes nie utrzyma ich z dala od miasta.

Dockson zamrugął.

- Ale one...

- Wywołają rzeź? - spytał Clubs. - Owszem. Splądrują najbogatsze dzielnice miasta...

...pewnie przy okazji zabijając większość szlachetnie urodzonych.

- Eliminując przy tym ludzi, z którymi Straff był zmuszony współpracować... wbrew własnej woli, znając jego dumę - dodał Breeze. - Właściwie, istnieje duża szansa, że te stwory zabiją Vin. Czy możecie sobie wyobrazić, że ona nie włączy się do walki, jeśli kolosy wejdą do miasta?

Zapadła cisza.

- Ale to nie pomoże Straffowi w zdobyciu miasta - zauważył Dockson. - I tak będzie musiał walczyć

z kolossami.

- Tak - przyznał z ponurą miną Clubs. - Ale one na pewno obalą część bram, nie wspominając o zburzeniu wielu domów. To pozwoli Straffowi na wygodniejsze przeprowadzenie ataku na osłabionego wroga. Poza tym kolosy nie znają strategii... dla nich miejskie mury nie będą pomocą. Straff nie mógłby prosić o lepszą okazję.

- Zostanie uznany za oswobodziciela - stwierdził cicho Breeze. - Jeśli powróci we właściwym czasie, po tym jak kolosy zdobędą miasto i zabiją żołnierzy, ale zanim poważnie uszkodzą dzielnicę skaa, uwolni ludzi i będzie chodził w glorii ich obrońcy, nie zdobywcy.

Znając mentalność mieszkańców, myślę, że przyjmą go z otwartymi rękami. Obecnie silny przywódca znaczy dla nich więcej niż monety w sakiewkach i prawa w Zgromadzeniu.

Gdy zebrani rozważali te słowa, Breeze spojrzął na Sazedę, który nadal siedział w milczeniu. Tak niewiele powiedział. W co grał? Czemu zebrał ekipę? Czy był na tyle wnikliwy, że domyślił się, że potrzebują po prostu takiej uczciwej rozmowy, bez Elenda wtrącającego co chwila kwestie dotyczące moralności?

- Moglibyśmy po prostu oddać je Straffowi - powiedział w końcu Dockson. - To znaczy miasto. Moglibyśmy obiecać, że odwołamy Vin. Skoro i tak do tego dąży...

- Dox - przerwał mu cicho Ham. - Co by pomyślał Kell, gdyby usłyszał, że tak mówisz?

- Moglibyśmy oddać miasto Jastesowi Lekalowi - zaproponował. Breeze. - Może udałoby się nam go przekonać, by odpowiednio traktował skaa.

- I wpuścić dwadzieścia tysięcy kolosów do miasta? - spytał Ham. - Breeze, czy ty w ogóle widziałeś, co te stwory potrafią zrobić?

Dox znów uderzył pięścią w stół.

- Po prostu wymieniam możliwości, Ham. Co jeszcze możemy zrobić?

- Walczyć - stwierdził Clubs. - I zginąć.

Znów zapadła cisza.

- Naprawdę umiesz zakończyć rozmowę, przyjacielu - powiedział w końcu Breeze.

- Ktoś to musiał powiedzieć - mruknął generał. - Nie ma co się oszukiwać. Nie możemy zwyciężyć w tej walce, a od początku wszystko prowadziło ku temu. Miasto zostanie zaatakowane. My będziemy go bronić. I przegramy. Zastanawiacie się, czy powinniśmy się poddać. Cóż, nie zrobimy tego. Kell by nam nie pozwolił, więc nie pozwolimy sami sobie.

Będziemy walczyć i z godnością zginieemy. Miasto spłonie... ale coś przynajmniej w ten sposób udowodnimy. Ostatni Imperator uciskał nas przez tysiąc lat, ale teraz my, skaa, mamy dumę.

Walczymy. Stawiamy opór. I giniemy.

- To w takim razie po co to wszystko? - spytał z wyraźną frustracją w głosie Ham. - Po co obalać Ostatnie Imperium? Po co robić cokolwiek, jeśli wszystko ma się skończyć w taki sposób? Każde dominium pod władzą tyrana, Luthadel zrównane z ziemią, nasza ekipa martwa?

- Ponieważ - powiedział cicho Sazed - ktoś musiał to rozpocząć. Pod władzą Ostatniego Imperatora społeczeństwa nie mogły się rozwijać. Zapewniał stabilizację imperium, lecz jednocześnie przytłaczał. Przez tysiąc lat moda pozostała praktycznie niezmienną, szlachetnie urodzeni cały czas starali się dopasować do ideałów Ostatniego Imperatora.

Architektura i nauka się nie rozwijały, gdyż Ostatni Imperator krzywo patrzył na zmiany i wynalazki. A skaa nie mogli być wolni, ponieważ im na to nie pozwalał. Jednakże zabicie go nie wyzwoliło ludu, przyjaciele. To może uczynić jedynie czas. Może to zająć całe stulecia...

stulecia walki, nauki i wzrostu. Z początku, co przykre i nieuniknione, będzie bardzo trudno.

Gorzej niż za czasów Ostatniego Imperatora.

- A my zginiemy na darmo - stwierdził Ham z ponurą miną.

- Nie - sprzeciwił się Sazed. - Nie na darmo, lordzie Hammondzie. Zginiemy, by pokazać, że niektórzy skaa nie pozwolą sobą pomiatać i się nie cofną. Wydaje mi się, że to bardzo ważny precedens. W historiach i legendach takie wydarzenia inspirują. Jeśli skaa mają kiedykolwiek zyskać możliwość decydowania o sobie, muszą mieć wzór w postaci poświęceń.

Poświęceń takich jak samego Ocalałego.

Przez długą chwilę milczeli.

- Breeze - powiedział wreszcie Ham. - W tej chwili przydałoby mi się trochę więcej pewności siebie.

- Oczywiście - odparł Breeze, ostrożnie Uspokajając niepokój i strach towarzysza.

Twarz mężczyzny nabrała zdrowszego odcienia, usiadł nieco bardziej prosto. Na wszelki wypadek Breeze potraktował resztę ekipy w taki sam sposób.

- Od jak dawna wiesz? - zapytał Dockson Sazed.

- Od jakiegoś czasu, lordzie Docksonie.

- Ale nie mogłeś wiedzieć, że Straff się wycofa i odda nas kolossom. To Clubs się tego domyślił.

- Moja wiedza była bardziej ogólna, lordzie Breeze - odparł Sazed. - Nie wiązała się bezpośrednio z kolossami. Od jakiegoś czasu sądziłem, że miasto upadnie. Szczerze mówiąc, jestem pod wrażeniem waszych wysiłków. Wydaje mi się, że miasto mogło upaść już dawno.

Zrobiliście coś wspaniałego, co zostanie zapamiętane przez stulecia.

- Zakładając, że ktoś przeżyje, żeby o tym opowiedzieć - zauważył Clubs.

Sazed przytaknął.

- Właściwie, to dlatego zwołałem to spotkanie. Jest mało prawdopodobne, by ci z nas, którzy zostaną w mieście, przeżyli. Będziemy potrzebni do pomocy podczas obrony, a jeśli przetrwamy atak kolosów, Straff będzie chciał nas stracić. Nie jest jednak konieczne, by wszyscy z nas pozostali w Luthadel do chwili jego upadku... ktoś powinien zostać wysłany, by zorganizować dalszy opór przeciwko tyranom.

- Nie opuszczę swoich ludzi - mruknął Clubs.

- Ani ja - stwierdził Ham. - Choć wczoraj odesłałem rodzinę w bezpieczne miejsce. - To oznaczało, że kazał im odejść, może ukryć się w podziemiach miasta, może opuścić je przez jedną z furtek. Ham nie wiedział... i w ten sposób nie mógł zdradzić, gdzie są. Stare przyzwyczajenia trudno było wykorzenić.

- Jeśli miasto upadnie - powiedział Dockson - zostanę w nim. Tego spodziewałby się Kell. Nie odejdę.

- Pójdę - stwierdził Breeze, spoglądając na Sazed. - Czy za wcześnie zgłaszać się na ochotnika?

- No, tak właściwie, lordzie Breeze - stwierdził Sazed. - Nie...

Uspokajacz uniósł rękę.

- Rozumiem, Sazedzie. Chyba jest oczywiste, kogo chcesz odesłać. Nie zaprosiłeś ich na spotkanie.

Dockson zmarszczył czoło.

- Mamy walczyć o Luthadel do ostatniej kropli krwi, a ty chcesz odesłać naszą jedyną Zrodzoną z Mgły?

Sazed pokiwał głową.

- Panowie - powiedział cicho - mieszkańcy tego miasta będą potrzebować naszego przywództwa. Oddaliśmy im to miasto i przez to znaleźli się w tej trudnej sytuacji. Nie możemy ich teraz porzucić. Ale... w świecie dzieją się wielkie rzeczy. Jestem przekonany, że panią Vin jest ich częścią. Nawet jeśli te sprawy to moje złudzenie, i tak lady Vin nie może zginąć w tym mieście. Jest najbardziej osobistym i najpotężniejszym ogniwem łączącym lud z Ocalałym.

Stała się dla nich symbolem, a jej umiejętności Zrodzonej z Mgły sprawiają, że ma największą szansę uciec z miasta i przeżyć zabójców, których z pewnością naśle na nią Straff. Będzie też miała dużą wartość w późniejszej walce... porusza się szybko i w ukryciu, a do tego umie walczyć samotnie, zadając duże straty, o czym świadczy ostatnia noc. - Skłonił głowę. -

Panowie, wezwałem was tu dziś, byśmy mogli zdecydować, jak przekonać ją do ucieczki, gdy my pozostaniemy, by walczyć. Sądzę, że to nie będzie łatwe zadanie.

- Nie zostawi Elenda - stwierdził Ham. - On też musi odejść.

- Też tak sądzą, lordzie Hammondzie - powiedział Sazed.

Clubs zagryzł wargę.

- Chłopaka nie będzie łatwo przekonać do ucieczki. Wciąż myśli, że uda nam się zwyciężyć.

- I tak też może być - stwierdził Sazed. - Panowie, moim celem nie jest pozostawienie was zupełnie bez nadziei. Ale ciężka sytuacja, prawdopodobieństwo sukcesu...

- Wiemy, Sazedzie - przerwał mu Breeze. - Rozumiemy.

- W ekipie musi być jeszcze ktoś, kto może odejść - powiedział Ham, spuszczać wzrok. - Nie tylko ta dwójka.

- Posłałbym z nimi Tindwyl - odparł Sazed. - Zaniesie moim rodakom wiele ważnych odkryć. Planuję również odesłać lorda Lestibournesa. W walce nie będzie szczególnie przydatny, a jego umiejętności szpiega mogą pomóc lady Vin i lordowi Elendowi, gdy będą próbować wezwać skaa do walki. Jednak nie tylko ta czwórka przeżyje. Większość skaa powinna być bezpieczna - Jastes Lekal panuje częściowo nad kolosami. Nawet jeśli mu się to nie uda, Straff powinien wrócić na czas, by ochronić mieszkańców miasta.

- Zakładając, że Straff planuje to, co podejrzewa Clubs - stwierdził Ham. - Może naprawdę się wycofuje, ogranicza straty i zostawia Luthadel?

- Tak czy inaczej - stwierdził Clubs - niewielu może odejść. Ani Straff, ani Jastes nie pozwolą dużym grupom ludzi na opuszczenie miasta. Obecnie zamieszanie i strach na ulicach służą ich celom bardziej niż wyludnienie. Może uda nam się wysłać kilkoro konnych, szczególnie jeśli jednym z nich będzie Vin. Reszta mieszkańców będzie musiała zaryzykować spotkanie z kolosami.

Breeze poczuł mdłości. Clubs mówił tak otwarcie... tak bezdusznie. Nie był nawet pesymistą - po prostu wypowiadał na głos rzeczy, których pozostali jego zdaniem nie umieli przyznać.

Niektórzy skaa przeżyją, by zostać niewolnikami Straffa Venture, pomyślał Breeze.

Lecz ci, którzy walczą - i ci, którzy poprowadzili mieszkańców w ubiegłym roku - są zgubieni.

W tym ja.

To prawda. Tym razem rzeczywiście nie ma wyjścia.

- I jak? - spytał Sazed, wyciągając przed siebie ręce. - Zgadzą się, że ta czwórka powinna odejść?



Zgromadzeni pokiwali głowami.

- W takim razie zastanówmy się jak - dodał Terrisanin - i wymyślmy plan.

- Moglibyśmy przekonać Elenda, że niebezpieczeństwo nie jest tak wielkie, jak się wydaje - stwierdził Dockson. - Jeśli uwierzy, że miasto czeka długie oblężenie, może zgodzi się z Vin na misję. Kiedy uświadomią sobie, co się tu dzieje, będzie za późno.

- Różnorodna sugestia, lordzie Docksonie - powiedział Sazed. - Myślę również, że powinniśmy popracować nad pomysłem Vin dotyczącym Studni Wstąpienia.

Rozmowa toczyła się dalej i zadowolony Breeze rozsiadł się wygodnie. Vin, Elend i Spook przeżyją, pomyślał. Muszę przekonać Sazedę, by pozwolił Allrianne odjechać z nimi.

Rozejrzał się wokół, zauważając rozluźnienie pozostałych. Dockson i Ham już się nie kłócili, nawet Clubs z zadowoleniem kiwał głową, gdy omawiali różne propozycje.

Katastrofa nadal była nieunikniona. Ale jakimś sposobem możliwość, że ktoś ucieknie -

najmłodszy członek ekipy, ci na tyle niedoświadczeni, by mieć nadzieję - sprawiała, że cała reszta stawała się łatwiejsza do zniesienia.

\*\*\*

Vin stała w ciszy pośród mgieł, spoglądając na mroczne iglice, kolumny i wieże Kredik Shaw. W głowie słyszała dwa dźwięki. Mgielnego ducha i inny, potężniejszy odgłos.

Stawał się coraz bardziej dojmujący.

Ruszyła dalej w stronę Kredik Shaw, ignorując łoskot. Wzgórze Tysiąca Wież niegdyś było domem Ostatniego Imperatora. Zostało porzucone przed ponad rokiem, ale nie zamieszkali w nim żadni włóczędzy. Było zbyt złowrogi. Za bardzo Go przypominało.

Ostatni Imperator był potworem. Vin doskonale pamiętała tę noc, gdy przybyła do pałacu, by go zabić. Wykonać zadanie, do którego nieświadomie wyszkolił ją Kelsier. Przeszła przez ten właśnie dziedziniec, minęła strażników u wrót.

I pozwoliła im przeżyć. Kelsier przebiłby się do środka siłą. Ale Vin przekonała ich do odejścia, do dołączenia do rebelii. To uratowało jej życie, kiedy jeden z tych właśnie ludzi, Goradel, poprowadził Elenda do pałacowych podziemi, na pomoc Vin.

W pewien sposób Ostatnie Imperium zostało obalone, gdyż nie zachowała się jak Kelsier.

A jednak czy mogła opierać przyszłe decyzje na takim przypadku? Patrząc wstecz, to wszystko wydawało się aż zbyt doskonałe, jak alegoria. Niczym elegancka opowiadanka dla dzieci, z morałem.

Vin jako dziecko nigdy nie słyszała takich bajek. I przeżyła, gdy tak wielu zginęło. Na każdą lekcję,

jak z Goradelem, miała tuziny takich, które kończyły się tragedią.

I jeszcze Kelsier. W ostatecznym rozrachunku miał rację. Jego lekcja różniła się od tych, których uczyły bajki dla dzieci. Kelsier był pewny siebie, nawet podekscytowany, gdy zabijał

tych, którzy stali mu na drodze. Bezwzględny. Spoglądał w stronę większego dobra - zawsze skupiał się na upadku imperium i ostatecznym powstaniu królestwa takiego, jak to Elenda.

Udało mu się. Dlaczego nie umiała zabijać tak, jak on - wiedząc, że to jej obowiązek, nie czując winy? Zawsze przerażała ją skłonność Kelsiera do niebezpieczeństwa. Jednak czy to nie ona właśnie pozwoliła mu zwyciężyć?

Wkroczyła w przypominające tunele korytarze pałacu, jej stopy i pasma mgielnego płaszcza pozostawiały ślady w kurzu. Mgły jak zawsze pozostały na zewnątrz. Nie wchodziły do budynków - a jeśli tak się stało, nie pozostawały na długo. Razem z nimi zostawiła mgielnego ducha.

Musiała podjąć decyzję. To jej się nie podobało, ale Vin była przyzwyczajona do robienia rzeczy, które jej się nie podobały. Tak wyglądało jej życie. Nie chciała walczyć z Ostatnim Imperatorem, ale to zrobiła.

Wkrótce zrobiło się zbyt ciemno nawet dla oczu Zrodzonej z Mgły i musiała zapalić lampę. Zrobiwszy to, z zaskoczeniem stwierdziła, że kurz znaczą ślady nie tylko jej stóp.

Najwyraźniej ktoś jeszcze nawiedzał te korytarze. Jednakże kimkolwiek był, nie napotkała go podczas swej wędrówki.

Kilka chwil później weszła do sali. Nie była pewna, co ściągnęło ją do Kredik Shaw, a już szczególnie ukrytej komnaty w samym środku. Wydawało jej się jednak, że ostatnio czuje pokrewieństwo z Ostatnim Imperatorem. Znalazła się tutaj, w miejscu, którego nie odwiedzała od tamtej nocy, gdy zabiła jedyne Boga, jakiego kiedykolwiek знаła.

Wiele czasu spędzał w tej ukrytej komnacie. Sala miała wysokie łukowate sklepienie.

Ściany zdobiły srebrzyste freski, a podłogę metaliczne mozaiki. Zignorowała je i podeszła do centralnego punktu sali - małego kamiennego budynku zbudowanego wewnątrz większego pomieszczenia.

To tutaj Kelsier i jego żona zostali pochyceni przed wielu laty, podczas pierwszej próby obrabowania Ostatniego Imperatora, jaką podjął Kelsier. Mare zginęła w Czeluściach.

Lecz Kelsier przeżył.

W tej samej komnacie Vin po raz pierwszy zobaczyła Inkwizytora i sama niemal zginęła. To również tutaj przybyła wiele miesięcy później, próbując po raz pierwszy zabić Ostatniego Imperatora. Wtedy również została pokonana.

Weszła do mniejszego budynku wewnątrz budynku. W środku było tylko jedno pomieszczenie.

Podłogę zerwały ekipy Elenda w poszukiwaniu atium. Na ścianach wciąż jednak wisały rzeczy, które pozostawił Ostatni Imperator. Uniosła lampę i przyjrzała się im.

Draperie. Futra. Mały drewniany flet. Rzeczy należące do jego ludu, Terrisan, przed tysiącem lat. Dlaczego wybudował nowe miasto Luthadel tutaj, tak daleko na południu, podczas gdy jego ojczyzna - i Studnia Wstąpienia - znajdowała się na północy? Vin nigdy tego nie pojęła.

Może chodziło o decyzję. Rashek, Ostatni Imperator, również został zmuszony do podjęcia decyzji. Mógł żyć tak jak wcześniej, jako spokojny wieśniak. Pewnie byłby szczęśliwy wśród swojego ludu.

Ale postanowił stać się kimś więcej. I przez to dopuścił się straszliwych zbrodni. Jednak czy mogła go winić, że podjął taką decyzję? Stał się tym, kim uważał, że powinien się stać.

Jej decyzja wydawała się bardziej przyziemna, lecz Vin wiedziała, że nie może się zastanawiać nad innymi kwestiami - Studnią Wstąpienia, ochroną Luthadel - jeśli nie była pewna, czego chce i kim jest. A jednak, stojąc w tej komnacie, w której Rashek spędzał tak wiele czasu, myślała o Studni Wstąpienia, a huk w jej głowie wydawał się głośniejszy niż wcześniej.

Musiała podjąć decyzję. Chciała być z Elendem. Oznaczał spokój. Szczęście. Zane jednak oznaczał to, czym uważała, że powinna się stać. Dla dobra wszystkich zainteresowanych.

W pałacu Ostatniego Imperatora nie znalazła żadnych wskazówek ani odpowiedzi.

Kilka chwil później, sfrustrowana i zdziwiona, dlaczego w ogóle tu przyszła, pozostawiła go za sobą i zniknęła wśród mgieł.

\*\*\*

Zane obudził się, słysząc regularne uderzenia w słupek namiotu. Zareagował błyskawicznie.

Spalił stal i cynę z ołowiem. Każdego wieczoru przed zaśnięciem połykał nową porcję.

Wiedział, że ten nawyk któregoś dnia go zabije - metale były trujące, jeśli zbyt długo pozostawały w organizmie.

Zdaniem Zane'a, śmierć któregoś dnia była lepsza niż śmierć dzisiaj.

Zerwał się z posłania i rzucił koc w stronę otwierającej się kłapy namiotu. W

ciemnościach nocy widział bardzo słabo. Usłyszał odgłos darcia - ktoś przecinał ściany jego namiotu.

- Zabij ich! - wrzasnął Bóg.

Zane uderzył w ziemię i chwycił garść monet z misy przy łóżku. Usłyszał okrzyki zaskoczenia, gdy

obrócił się, rozrzucając kawałki metalu wokół siebie.

Odepchnął. Wokół rozległ się cichy brzęk, gdy monety dotknęły płótna i przebiły się przez nie.

Ludzie zaczęli krzyczeć.

Zane przykucnął, czekając w milczeniu, gdy namiot przewracał się wokół niego. Ktoś uderzał w tkaninę po jego prawej. Zane wystrzelił kilka monet i usłyszał zadowolający okrzyk bólu. W ciszy, przykryty płótnem niczym kocem, słyszał odgłosy szybkiej ucieczki.

Westchnął, rozluźnił się i rozciął sztyletem namiot. Wyszedł w mrok. Położył się później niż zazwyczaj, teraz było pewnie około północy. I tak najwyższa pora wstawać.

Przeszedł po płótnie namiotu, po posłaniu, i wyciął otwór, by wyciągnąć fiolkę z metalami, którą pod nim ukrył. Połknął je i dzięki cynie wszystko stało się jasne jak za dnia.

Wokół jego namiotu leżało czterech mężczyzn, martwych lub umierających. To byli rzecz jasna żołnierze - żołnierze Straffa. Atak nadszedł później niż Zane się spodziewał.

Straff ufa mi bardziej niż zakładałem. Zane przestąpił nad martwym skrytobójcą i dostał

się do skrzyni, z której wyciągnął ubrania. Przebrał się, po czym wyjął ze skrzyni niewielką sakiewkę. To pewnie przez atak na twierdzę Cetta, pomyślał. W końcu przekonałem Straffa, że jestem zbyt niebezpieczny, by pozwolić mi zachować życie.

Przy jednym z namiotów pracował człowiek Zane'a - najwyraźniej sprawdzał

wytrzymałość linek. Każdej nocy pełnił straż i miał zacząć uderzać w słupek swojego namiotu, gdyby ktoś zbliżył się do śpiącego Zane'a. Zrodzony z Mgły rzucił mu sakiewkę, po czym zniknął w ciemnościach. W drodze do ojca przeszedł wzdłuż kanału, którym płynęło zaopatrzenie.

Straff miał pewne słabości. Doskonale radził sobie z planowaniem na dużą skalę, lecz szczegóły - drobiazgi - często umykały jego uwagi. Umiał zorganizować armię i zmiażdżyć wrogów. Lubił się jednak bawić niebezpiecznymi narzędziami. Jak wydobywanie atium w Czeluściach Hathsin. Jak Zane.

Te narzędzia często go parzyły.

Podszedł do ściany namiotu, wyciął otwór w płótnie i wszedł do środka. Straff czekał na niego. Zane musiał mu to przyznać - ojciec patrzył na swoją śmierć z wyzwaniem w oczach.

Zane zatrzymał się pośrodku pomieszczenia, przed Straffem, który siedział na drewnianym krześle.

- Zabij go - rozkazał Bóg.

W rogach świeciły lampy, rozświetlając płótno. Poduszki i koce w kącie były rozrzucone - Straff postanowił zabawić się po raz ostatni z ulubionymi nałożnicami, zanim wysłał skrytobójców. Król

jak zawsze patrzył wyzywająco, ale Zane widział więcej. Widział

twarz lepłą od potu i drżące ręce, jakby w chorobie.

- Mam dla ciebie atium - powiedział Straff. - Zakopane w miejscu, które tylko ja znam.

Zane stał i w milczeniu wpatrywał się w ojca.

- Oficjalnie uznaj swoje ojcostwo - dodał Venture. - Uznam cię za swojego spadkobiercę. Jutro, jeśli tylko chcesz.

Zane nie odpowiedział. Straff nadal się pocił.

- Miasto jest twoje - stwierdził w końcu Zrodzony z Mgły i odwrócił się.

Odpowiedzią było pełne zaskoczenia sapnięcie.

Zane odwrócił się. Nigdy nie widział takiego wstrząsu na twarzy ojca. Dla tego widoku mógłby poświęcić wszystko.

- Wycofaj swoich ludzi, jak planujesz - stwierdził Zane - ale nie wracaj do Północnego Dominium. Zaczekaj, aż kolosy zaatakują miasto, pozwól im obalić umocnienia i zabić obrońców. Później możesz wrócić i uratować Luthadel.

- Ale Zrodzona z Mgły Elenda...

- Nie będzie jej - odparł Zane. - Dziś w nocy odchodzi ze mną. Żegnaj, ojcze. - Odwrócił

się i wyszedł przez wycięty przez siebie otwór.

- Zane?! - zawołał Straff.

Zrodzony z Mgły zatrzymał się.

- Dlaczego? - spytał Straff, wyglądając przez otwór. - Nasłałem na ciebie skrytobójców.

Dlaczego darowałeś mi życie?

- Ponieważ jesteś moim ojcem. - Zane odwrócił się i wpatrzył w mgły. - A nikt nie powinien zabijać swojego ojca.

Tymi słowami Zane pożegnał człowieka, który go stworzył. Człowieka, którego - mimo szaleństwa, mimo znęcania się, jakiego doświadczył przez lata - kochał.

Pośród mgieł rzucił na ziemię monetę i wyskoczył ponad obóz. Poza jego granicami wylądował i bez trudu zlokalizował zakręt kanału, który wykorzystał jako punkt charakterystyczny. Z dziupli niewielkiego drzewa wyciągnął zawiniątko. Mgielny płaszcz, pierwszy prezent, który dostał od

Straffa, przed wielu laty, kiedy Pękl. Był dla niego zbyt cenny, by go nosić na co dzień.

Wiedział, że jest głupcem. Jednakże nic nie mógł poradzić na swoje uczucia. Nie mógł zastosować uczuciowej Allomancji wobec siebie.

Rozwinął płaszcz i wyjął ukryte w nim rzeczy - kilka fiolek z metalami i sakiewka pełna bryłek Atium.

Kłęczał tam przez dłuższą chwilę. Później sięgnął do piersi, dotykając miejsca tuż nad żebrami. Gdzie biło jego serce.

Znajdował się tam spory guz. Zawsze tam był. Nie myślał o nim zbyt często - gdy próbował to zrobić, szybko się rozpraszał. To był prawdziwy powód, dla którego nigdy nie nosił płaszcza.

Nie lubił, gdy płaszcz ocierał się o czubek kolca wystający z jego pleców dokładnie między łopatkami. Jego łeppek znajdował się przy mostku i nie był widoczny pod ubraniem.

- Czas iść - powiedział Bóg.

Zane wstał, zostawiając płaszcz na ziemi. Odwrócił się plecami do obozu ojca, pozostawiając wszystko co znał, i wyruszył na poszukiwanie kobiety, która mogła go uratować.

*Alendi wierzy w to samo, co oni.*

W pewnym sensie Vin wcale nie przejmowała się tym, jak wielu ludzi zabiła. A zarazem ta obojętność ją przerażała.

Wkrótce po odwiedzinach w pałacu usiadła na swoim balkonie, a przed nią leżało spowite mrokiem Luthadel. Siedziała wśród mgieł, lecz wiedziała, że nie znajdzie spokoju w ich powolnym ruchu. Nic już nie było takie proste.

Mgielny duch jak zwykle ją obserwował. Znajdował się zbyt daleko, by mogła go zobaczyć, ale czuła jego obecność. Jeszcze silniej odczuwała coś innego. To potężne dudnienie, coraz głośniejsze. Niegdyś wydawało się odległe, teraz już nie.

Studnia Wstąpienia.

To musiała być ona. Vin czuła, jak jej moc powraca, z powrotem wypełnia świat, żąda, by ktoś ją przyjął i wykorzystał. Co jakiś czas spoglądała na północ, w stronę Terris, spodziewając się, że zobaczy coś na horyzoncie. Rozbłysk światła, płonący ogień, szalejący wichur. Cokolwiek. Lecz widziała jedynie mgłę.

Miała wrażenie, że ostatnio nic jej nie wychodzi. Miłość, ochrona, obowiązek. Za bardzo się rozproszyłam, pomyślała.

Tak wiele rzeczy domagało się jej uwagi, a ona próbowała uwzględnić je wszystkie. W

efekcie nic nie osiągnęła. Jej badania na temat Głębi i Bohatera Wieków pozostały nietknięte od wielu dni, wciąż w stertach na podłodze. Niemal nic nie wiedziała na temat mgielnego ducha

- jedynie, że ją obserwował i że autor dziennika uważał go za niebezpiecznego. Nie zajęła się szpiegiem w ekipie, nie wiedziała, czy Zane mówił prawdę o Demoux.

A Cett wciąż żył. Nie umiała nawet przeprowadzić porządnej rzezi, zatrzymała się w połowie. To była wina Kelsiera. Wyszkolił ją, żeby zajęła jego miejsce, lecz czy ktoś w ogóle mógł tego dokonać?

„Dlaczego zawsze musimy być cudzymi nożami”, szeptał Zane w jej głowie.

Jego słowa czasami miały sens, lecz była w nich skaza. Elend. Vin tak naprawdę nie była nożem. On nie chciał, żeby zabijała. Lecz jego ideały pozbawiły go tronu, a miasto wydały na pastwę wrogich armii. Gdyby naprawdę kochała Elenda - gdyby naprawdę kochała mieszkańców Luthadel - czyż nie powinna była zrobić więcej?

Dudnienie przepełniało ją, niczym uderzenia bębna wielkości słońca. Niemal bez ustanku spalała brąz, słuchając rytmu, pozwalając, by ją odciągał...

- Panienko? - spytał z tyłu OreSeur. - O czym myślisz?

- O końcu - odparła cicho Vin, wpatrując się w mrok.

Cisza.

- O końcu czego, panienko?

- Nie wiem.

OreSeur wyszedł na balkon i usiadł obok niej pośród mgieł. Poznała go tak dobrze, że teraz dostrzegła niepokój w jego psich oczach.

Westchnęła i pokręciła głową.

- Po prostu muszę podjąć decyzję. I niezależnie od tego, co wybiorę, będzie to oznaczało koniec.

OreSeur przez chwilę siedział w milczeniu, z przechylonym łbem.

- Panienko - powiedział w końcu - to wydaje mi się przesadnym dramatyzowaniem.

Vin wzruszyła ramionami.

- Nie masz dla mnie żadnej rady?

- Po prostu podejmij tę decyzję - stwierdził kandra.

Vin siedziała przez chwilę w milczeniu. W końcu się uśmiechnęła.

- Sazed powiedziałby coś mądrego i pocieszającego.

OreSeur się skrzywił.

- Nie rozumiem, dlaczego on miałby brać udział w tej rozmowie, panienko.

- Był moim lokajem - odparła. - Zanim odszedł i zanim Kelsier przekazał mi twój Kontrakt.

- Aha. Cóż, ja nigdy nie lubiłem Terrisan, panienko. Trudno udawać ich zarozumiałą służalczość... nie wspominając już o tym, że są stanowczo zbyt żyłaści, by dobrze smakować.

Vin uniosła brew.

- Udawałeś Terrisan? Nie spodziewałabym się tego, w końcu Terrisanie za czasów Ostatniego Imperatora nie byli bardzo wpływowi.

- Owszem - odparł OreSeur. - Ale zawsze przebywali w otoczeniu wpływowych ludzi.

Vin pokiwała głową i wstała. Weszła do pustej komnaty, zapaliła lampę i zgasiła cynę.

Nad podłogą unosiła się mgła, przepływając nad stertami papierów, a stopy Vin z każdym krokiem



wzbijały chmurę oparów.

Zatrzymała się. To było trochę dziwne. Zazwyczaj mgły rzadko pozostawały w pomieszczeniu. Elend twierdził, że to ze względu na wyższą temperaturę i zamknięte przestrzenie. Vin zawsze uważała, że przyczyny są bardziej mistyczne. Ze zmarszczonym czołem przyglądała się oparom.

Nawet bez cyny usłyszała skrzypnięcie.

Obróciła się na pięcie. Zane stał na balkonie - ciemna sylwetka na tle mgieł. Zrobił krok do przodu, a mgła podążyła za nim, jak za każdym spalającym metale. A jednak... jakby trzymała się od niego z dala.

OreSeur warknął cicho.

- Nadszedł czas - powiedział Zane.

- Czas na co? - spytała, stawiając lampę.

- Odejść - powiedział. - Zostawić tych ludzi i ich armie. Zostawić swary. Być wolnym.

Wolnym.

- Ja... nie wiem, Zane - odparła, odwracając wzrok.

Nie słyszała, jak robi krok do przodu.

- Co mu jesteś winna, Vin? Nie zna cię. Boi się ciebie. Tak naprawdę nigdy nie był

ciebie wart.

- Nie - sprzeciwiła się, kręcąc głową. - Wcale nie, Zane. Nie rozumiesz. To ja nigdy nie byłam jego warta. Elend zasługuje na kogoś lepszego. Zasługuje na kogoś... kto dzieli jego ideały. Kogoś, kto uważa, że zrobił słusznie, oddając władzę. Kogoś, kto widzi w tym honor, a nie głupotę.

- Tak czy inaczej - powiedział Zane, zatrzymując się niedaleko od niej - on cię nie zrozumie. Nie zrozumie nas.

Nie odpowiedziała.

- Gdzie byś poszła, Vin? - spytał. - Gdybyś nie była związana z tym miejscem, związana z nim? Gdybyś była wolna i mogła zrobić, co tylko zechcesz, gdzie byś poszła?

Dudnienie stało się głośniejsze. Spojrzała w stronę OreSeura, który siedział w milczeniu przy bocznej ścianie, ukryty w ciemnościach. Dlaczego czuła się winna? Co musiała mu udowodnić?

Odwróciła się do Zane'a.

- Na północ - powiedziała. - Do Terris.

- Możemy się tam udać. Gdzie tylko zechcesz. Miejsce nie jest ważne, o ile nie jest nim ten pałac.

- Nie mogę ich porzucić - stwierdziła.

- Nawet jeśli w ten sposób odbierasz Straffowi jego jedyne Zrodzone z Mgły? -

spytał Zane. - To dobra wymiana. Ojciec dowie się, że zniknąłem, ale nie będzie wiedział, że nie ma cię w Luthadel. Jego strach przed atakiem jeszcze wzrośnie. Dając sobie wolność, jednocześnie podarujesz swoim przyjaciołom coś cennego.

Zane wziął ją za rękę i zmusił, by na niego spojrzała. Rzeczywiście wyglądał jak Elend -

jak twardsza wersja Elenda. Został złamany przez życie, podobnie jak ona, lecz oboje się pozbierali. Czy to uczyniło ich twardszymi, czy bardziej delikatnymi?

- Chodź - wyszeptał Zane. - Możesz mnie uratować.

Do miasta zbliża się wojna, pomyślała z dreszczem Vin. Jeśli zostanę, znów będę musiała zabijać.

I powoli pozwoliła odciągnąć się od biurka, w stronę mgieł i obiecującej spójnej ciemności. Wyciągnęła rękę po flakonik na drogę i ten gest sprawił, że Zane odwrócił się i popatrzył na nią podejrzliwie.

Ma dobre instynkty, pomyślała Vin. Instynkty takie jak moje. Instynkty, które nie pozwalają mu zaufać, ale utrzymują go przy życiu.

Rozluźnił się, kiedy zobaczył, co robi, uśmiechnął się i znów odwrócił. Vin podążyła za nim, lecz nagle przeszył ją strach. Po tym wszystko się zmieni, pomyślała. Minął czas na podjęcie decyzji.

A ja dokonałam niewłaściwego wyboru.

Elend by nie zareagował tak jak Zane, kiedy wyjęłam flakonik.

Zamarła. Zane pociągnął ją za nadgarstek, lecz ona się nie poruszyła. Odwrócił ją w stronę mgieł i ze zmarszczonym czołem stał na krawędzi balkonu.

- Przepraszam - powiedziała, uwalniając dłoń. - Nie mogę odejść z tobą.

- Co? - spytał Zane. - Dlaczego nie?

Pokręciła głową, odwróciła się i weszła do komnaty.

- Powiedz mi, o co chodzi! - zażądał, podnosząc głos. - Co cię w nim tak bardzo przyciąga? Nie jest wielkim przywódcą. Nie jest wojownikiem. Nie jest Allomantą ani generałem. Co takiego ma w sobie?!

Bez trudu znalazła odpowiedź. „Podejmij decyzje, a ja będę cię wspierał”.

- Ufa mi - wyszeptała.

- Co? - spytał z niedowierzaniem Zane.

- Kiedy zaatakowałam Cetta - wyjaśniła - wszyscy myśleli, że zadziałałam irracjonalnie.

I mieli rację. Ale Elend powiedział im, że musiałam mieć dobry powód, choć sam go nie znał.

- Jest zatem głupcem.

- Kiedy rozmawialiśmy później - mówiła dalej, nie patrząc na Zane'a - potraktowałam go chłodno. Chyba wiedział, że próbuję zdecydować, czy z nim zostać, czy nie. I... powiedział

mi, że wierzy w moją ocenę. Będzie mnie wspierał, nawet jeśli zdecyduję się go opuścić.

- Nie umie cię docenić.

- Nie. Po prostu mnie kocha.

- Ja cię kocham.

Vin zawahała się, spojrzała na Zane'a. Wyglądał na rozzłoszczonego. Nawet zdesperowanego.

- Wierzę ci. Ale i tak nie mogę z tobą odejść.

- Ale dlaczego?

- Bo to by oznaczało, że muszę zostawić Elenda - powiedziała. - Nawet jeśli nie dzielę jego ideałów, mogę je szanować. Nawet jeśli na niego nie zasługuję, mogę być blisko niego.

Zostaję.

Zane przez chwilę stał w milczeniu, mgła opadała wokół jego ramion.

- W takim razie nie udało mi się.

Vin się odwróciła.

- Nie. Nie chodzi o to, że ci się nie udało. Nie jesteś gorszy tylko dlatego, że...

Rzucił się na nią, popychając ją na pokrytą mgłą podłogę. Vin odwróciła głowę, wstrząśnięta, i uderzyła o drewno, tracąc oddech.

Zane pochylił się nad nią.

- Miałaś mnie uratować - wysyczał.

Vin gwałtownie rozjarzyła wszystkie metale. Odepchnęła Zane'a i Przyciągnęła się do zawiasów. Poleciała do tyłu i mocno uderzyła w drzwi, aż pękło drewno. Była jednak zbyt napięta - zbyt wstrząśnięta - by poczuć cokolwiek poza łupnięciem.

Zane wyprostował się. Vin przetoczyła się do przodu. Atakował ją. Atakował ją na poważnie.

Ale... on...

- OreSeurze! - powiedziała, ignorując sprzeciwy umysłu i wyciągając sztylety. -

Uciekaj!

Wypowiedziawszy zakodowany rozkaz, rzuciła się do przodu, próbując odwrócić uwagę Zane'a od wilczarza. Mężczyzna ze swobodą unikał jej ataków. Cięła sztyлетem jego szyję i niemal trafiła, lecz on odchylił głowę. Celowała w jego bok, ramię, pierś. Żaden cios nie trafił.

Mogła się domyślić, że spała atium. Spodziewała się tego. Zatrzymała się i spojrzała na niego. Nawet nie wyciągnął własnej broni. Stał przed nią, a mgły tworzyły kałużę wokół jego stóp.

- Dlaczego mnie nie posłuchałaś, Vin? - spytał. - Dlaczego zmuszasz mnie, bym był narzędziem Straffa? Oboje wiemy, do czego to doprowadzi.

Vin go zignorowała. Zaciskając zęby, rzuciła się do ataku. Zane uderzył ją obojętnie, a ona Odepchnęła się od okucia biurka za jego plecami i poleciała do tyłu, jakby odrzucona siłą jego ciosu. Uderzyła w ścianę i osunęła się na ziemię.

Tuż obok zaskoczonego OreSeura.

Nie otworzył ramienia, by dać jej atium. Czy nie zrozumiał rozkazu?

- Atium, które ci dałam - wysyczała. - Potrzebuję go. Teraz.

- Kandro - powiedział Zane. - Chodź do mnie.

OreSeur napotkał jej spojrzenie i zobaczyła coś w jego oczach. Wstyd. Odwrócił wzrok i przeszedł przez komnatę, brodząc we mgle. Dołączył do Zane'a.

- Nie... - wyszeptała. - OreSeur...

- Nie będziesz już słuchał jej rozkazów, TenSoon - powiedział Zane.

Kandra pochylił łeb.

- Kontrakt, OreSeurze! - krzyknęła Vin, podnosząc się na kolana. - Musisz go wypełniać.

- To mój sługa, Vin - powiedział Zane. - Mój Kontrakt. Moje rozkazy.

„Mój sługa”...

I nagle wszystko nabrało sensu. Podejrzewała wszystkich - Docksona, Breeze'a, nawet Elenda - ale nigdy nie połączyła szpiega z osobą, która powinna być najbardziej podejrzana. W

pałacu przez cały czas był kandra. I cały czas pozostawał u jej boku.

- Przepraszam, panienko - wyszeptał OreSeur.

- Jak długo? - spytała Vin, pochylając głowę.

- Od kiedy dałaś mojemu poprzednikowi... prawdziwemu OreSeurowi... to psie ciało -

odparł kandra. - Nigdy nie widziałaś go w postaci psa.

Czy można wymyślić łatwiejszy sposób, by ukryć zmianę? - pomyślała Vin.

- Ale te kości, które znaleźliśmy w pałacu - powiedziała. - Byłeś ze mną, kiedy się pojawiły. One...

Przyjęła jego słowo na to, że kości są bardzo świeże. Przyjęła jego słowo na to, kiedy zostały wydalone. Przez cały czas zakładała, że zamiana musiała się odbyć tego dnia, kiedy była z Elendem na murze - ale zrobiła to przede wszystkim ze względu na to, co mówił

OreSeur.

Idiotka, pomyślała. OreSeur - a raczej TenSoon, jak nazwał go Zane - sprawił, że podejrzewała wszystkich poza nim. Co się z nią stało? Zwykle tak dobrze odnajdowała zdrajców, wychwytywała nieszczerłość. Jak mogła nie zauważyć tego u swojego własnego kandy?

Zane podszedł bliżej. Vin czekała, klęcząc. Słaba, powiedziała sobie. Wyglądaj na słabą. Niech cię zostawi w spokoju. Spróbuj...

- Uspokajanie mnie nic ci nie pomoże - powiedział cicho Zane, chwycił ją za koszulę, podniósł i znów rzucił na ziemię.

Mgła rozproszyła się wokół niej, gdy uderzyła o podłogę. Vin stłumiła krzyk.

Muszę być cicho. Jeśli przyjdą strażnicy, on ich zabije. Jeśli przyjdzie Elend...

Musiała zachować milczenie, nawet wtedy, gdy Zane kopnął ją w obolały bok.

Chrząknęła, z jej oczu popłynęły łzy.

- Mogłaś mnie uratować - powiedział, patrząc na nią z góry. - Chciałem z tobą odejść. I co mi teraz zostało? Nic. Nic, poza rozkazami Straffa. - Podkreślił to zdanie kolejnym kopniakiem.

Bądź pokorna, powiedziała sobie przez ból. W końcu da ci spokój...

Jednakże minęło wiele lat od czasu, kiedy musiała się przed kimś kłaniać. Jej dni kulenia się przed Camonem i Reenem były niczym cienie, zapomniane w blasku Elenda i Kelsiera. I gdy Zane znów ją kopnął, Vin poczuła rosnącą wściekłość.

Cofnął nogę i skierował ją w stronę jej twarzy. Vin się poruszyła. Gdy jego stopa zaczęła opadać, rzuciła się do tyłu, Odpychając się od zasuw okiennicy. Rozjarzyła cynę z ołowiem i poderwała się na równe nogi, ciągnąc za sobą mgłę. Opary sięgały jej teraz do kolan.

Spojrzała na Zane'a, który odpowiedział jej ponurą miną. Rzuciła się do przodu, lecz on poruszył się szybciej - poruszył się przed nią - i stanął między nią a balkonem. Ucieczka i tak by jej nie pomogła - z atium mógł ją dogonić w każdej chwili.

Sytuacja była trudniejsza niż wtedy, gdy pierwszy raz zaatakował ją z atium. Wtedy mogła mieć nadzieję, choćby słabą, że to wciąż tylko pojedynek. Że wciąż nie są wrogami, nawet jeśli nie są przyjaciółmi. Wtedy tak naprawdę nie wierzyła, że Zane chce ją zabić.

Teraz nie miała już co do tego złudzeń. Oczy Zane'a były mroczne, jego twarz beznamiętna - jak tej nocy przed kilkoma dniami, kiedy mordował ludzi Cetta.

Vin musiała umrzeć.

Od dawna nie czuła takiego strachu. Lecz teraz widziała go, czuła go, czuła na sobie jego smród, gdy cofała się przed Zane'em. Wiedziała, jak to jest walczyć przeciwko Zrodzonemu z Mgły - jak musieli się czuć tamci żołnierze, których zabiła. Nie było walki. Nie było żadnych szans.

Nie, powiedziała sobie, przyciskając rękę do boku. Elend nie cofnął się przed Straffem.

Nie posiada daru Allomancji, a sam wszedł do obozu kolosów.

Mogę sobie z tym poradzić.

Vin rzuciła się z krzykiem w stronę TenSoona. Pies cofnął się wstrząśnięty. Niestety, Zane zareagował błyskawicznie. Uderzył ramieniem w Vin, po czym wyciągnął sztylet i gdy leciała do tyłu, rozciął jej policzek. Cięcie było precyzyjne. Doskonałe. Pasujące do rany na drugim policzku, odniesionej podczas jej pierwszej walki ze Zrodzonym z Mgły, przed niemal dwoma laty.

Lecąc do tyłu, Vin zacisnęła zęby i spaliła żelazo. Przyciągnęła sakiewkę z biurka, monety wpadły jej do ręki. Uderzyła bokiem o ziemię, podparła się drugą ręką i znów poderwała na równe nogi. Rzuciła garść monet na dłoń i uniosła ją w stronę Zane'a.

Z rany na policzku płynęła krew. Vin wyrzuciła monety. Zane był gotów na to, by je Odepchnąć.

Vin uśmiechnęła się i Odpychając, spaliła duraluminium. Monety poleciały do przodu, a wzbudzony przez nie podmuch rozproszył mgły, odkrywając podłogę.

Komnata się zatrzęsała.

I Vin nagle odkryła, że leci do tyłu. Uderzyła o ścianę i sapnęła z zaskoczeniem. Straciła dech w piersiach, zrobiło jej się ciemno przed oczami. Zdezorientowana, uniosła wzrok i odkryła, że znów leży na ziemi.

- Duraluminium - powiedział Zane, wciąż stojąc z wyciągniętą ręką. - TenSoon mi o nim opowiedział. Domyśliliśmy się, że masz nowy metal, skoro wyczuwasz mnie przez chmurę miedzi. Później, po krótkich poszukiwaniach, odnalazł kartkę od twojego metalurga, która zawierała również przepis na duraluminium.

Jej otępiały umysł z trudem pojął jego słowa. Zane miał duraluminium. Wykorzystał je i Odepchnął jedną z monet, którą rzuciła w jego stronę. Musiał jednocześnie odpychać się od czegoś za plecami, by nie polecieć do tyłu, kiedy siły ich Pchnięć się zetknęły.

I dlatego jej wzmocnione duraluminium Odpychanie rzuciło nią o ścianę. Z trudem myślała. Zane ruszył do przodu. Oszołomiona, podniosła się na czworaki i zaczęła pełznąć przez mgły.

Atium. Potrzebowała atium. Ale bryłka była w ramieniu TenSoona - nie mogła jej Przyciągnąć. Nosił je, gdyż jego ciało chroniło metal przed wpływem Allomantów. Niczym gwoździe przebijające ciała Inkwizytorów, niczym jej własny kolczyk. Metal wewnątrz ciała -

nawet tylko je przebijający - nie mógł zostać Przyciągnięty ani Odepchnięty, chyba że przez bardzo potężne allomantyczne moce.

A jednak raz to zrobiła. Kiedy walczyła przeciwko Ostatniemu Imperatorowi. To nie jej cyna z ołowiem ani nawet duraluminium pozwoliły jej to osiągnąć. To było coś innego. Mgły.

Sięgnęła po ich moc.

Kopnięcie w plecy popchnęło ją na ziemię. Przetoczyła się i kopnęła do góry, lecz jej stopa minęła twarz Zane'a o kilka wspomaganych atium cali. Mężczyzna odepchnął jej nogę na bok, po czym sięgnął w dół i znów pchnął ją na ziemię.

Mgły kłębiły się wokół niego, gdy spoglądał na nią z góry. Mimo przerażenia sięgnęła do mgieł, jak zrobiła to w walce z Ostatnim Imperatorem. Tamtego dnia wspomogły jej Allomancję, dały jej siłę, której nie powinna była mieć. Sięgnęła do nich, błagając o pomoc.

Nic się nie stało.

Proszę...

Zane znów rzucił ją na ziemię. Mgły nadal ignorowały jej błagania.

Przekreśliła się, Przyciągając do ramy okiennej, by zwiększyć swoją siłę, i odepchnęła Zane'a na bok. Przetoczyli się, Vin znalazła się na nim.

Nagle oboje poderwali się do góry, wyrwali spośród mgieł i polecieeli w stronę sklepienia, gdy Zane Odepchnął się od monet na podłodze. Uderzyli o sufit, Zane przyciskał się do Vin, przyszpilając ją do

desek sufitu. Znów był na górze - to znaczy na dole, ale teraz to miejsce oznaczało przewagę.

Vin sapnęła. Był taki silny. Silniejszy od niej. Jego palce wbijały się w jej ramiona mimo spalanej przez nią cyny z ołowiem, a bok bolał od wcześniejszych ran. Nie mogła walczyć - nie przeciwko innemu Zrodzonemu z Mgły.

A szczególnie takiemu, który miał atium.

Zane nadal przyciskał ich do sufitu. Włosy Vin opadały na jego twarz, a mgły kłębiły się na podłodze pod nimi, niczym powoli wznoszący się wir.

Mężczyzna przerwał Odpychanie i upadli. Wciąż jednak panował nad sytuacją. Obrócił

ją tak, że znalazła się pod nim. Uderzyli w podłogę pośród mgieł, Vin znów straciła dech. Zane górował nad nią, mówił przez zaciśnięte zęby.

- Tyle zmarnowanych wysiłków - wysyczał. - Ukrycie Allomanty pośród ludzi Cetta, żebyś podejrzewała go o zaatakowanie cię na sali Zgromadzenia. Zmuszenie cię do walki na oczach Elenda, by zaczął się ciebie bać. Skłonienie cię do wykorzystania mocy i zabijania, żebyś zrozumiała, jak jesteś potężna. Wszystko zmarnowane. - Pochylił się. - Ty. Miałaś. Mnie.

Uratować!

Jego twarz znajdowała się zaledwie kilka cali od jej twarzy, dyszał ciężko. Kolanem przycisnął jej rękę do ziemi, po czym w dziwnie nierealnej chwili pocałował ją.

I jednocześnie wbił sztylet w bok jej piersi. Vin próbowała krzyknąć, lecz przyciskał

wargi do jej ust w chwili, gdy ostrze przecięło jej skórę.

- Bądź ostrożny, panie! - krzyknął nagle OreSeur... TenSoon. - Ona wie wiele o kandrach.

Zane podniósł wzrok, jego dłoń zatrzymała się. Głos, ból, wszystko to otrzeźwiło Vin.

Rozjarzyła cynę, wykorzystując ból, by oprzytomnieć do końca, oczyścić umysł.

- Co? - spytał Zane, spoglądając na kandrę.

- Ona wie, panie - powiedział TenSoon. - Zna naszą tajemnicę. Powód, dla którego służyliśmy Ostatniemu Imperatorowi. Powód, dla którego mamy Kontrakt. Wie, dlaczego tak bardzo boimy się Allomantów.

- Zamilcz - rozkazał Zane. - I nie odzywaj się więcej.

TenSoon ucichł.

Naszą tajemnicę... pomyślała Vin, spoglądając na wilczarza, wyczuwając niepokój na jego psim



pysku. Próbuje mi coś powiedzieć. Próbuje mi pomóc. Tajemnica. Tajemnica kandra. Kiedy ostatnim razem próbowała go Uspokajać, zawył z bólu. Widziała jednak przyzwolenie w jego oczach. To wystarczyło.

Uderzyła w TenSoona Uspokajaniem. Zawył, lecz ona Odpychała mocniej. Nic się nie stało. Zaciskając zęby, spaliła duraluminium.

Coś pękło. W jednej chwili była w dwóch miejscach. Czowała TenSoona stojącego przy ścianie i czuła własne ciało w rękach Zane'a. TenSoon należał do niej, całkowicie i zupełnie.

Jakimś sposobem, sama nie wiedziała jak, nakazała mu ruszyć, panując nad jego ciałem.

Potężny wilczarz wpadł na Zane'a, zrzucając go z Vin. Sztylet uderzył o ziemię, a dziewczyna podniosła się na kolana. Pomacała pierś i poczuła pod palcami krew. Zane przetoczył się, wyraźnie wstrząśnięty, lecz zaraz poderwał się na równe nogi i kopnął

TenSoona.

Pękły kości. Wilczarz przetoczył się po ziemi - prosto w stronę Vin. Podniosła sztylet z podłogi i wbiła go w jego ramię, przecinając ciało. Macała między mięśniami i ścięgnami, w końcu zakrwawionymi rękami wyciągnęła bryłkę atium. Połknęła ją i obróciła się do Zane'a.

- A teraz zobaczymy, jak sobie poradzisz - wysyczała, spalając atium.

Zane'a otoczyły dziesiątki cieni atium, pokazując jej możliwe działania, jakie mógł

podjąć - wszystkie niejednoznaczne. W jego oczach wyglądała podobnie. Teraz mieli równe szanse.

Zane odwrócił się, spojrzał jej w oczy, i jego cienie atium zniknęły.

Niemożliwe, pomyślała. TenSoon jęknął u jej stóp, a ona uświadomiła sobie, że jej zapas atium zniknął. Spalił się. Ale przecież bryłka była tak duża...

- Myślałaś, że dam ci broń, której potrzebujesz, żeby ze mną walczyć? - spytał cicho Zane. - Naprawdę myślałaś, że oddam ci atium?

- Ale...

- Bryłka ołowiu - powiedział, idąc w jej stronę. - Pokryta cienką warstwą atium. Och, Vin. Naprawdę powinnaś staranniej wybierać tych, którym ufasz.

Vin zatoczyła się do tyłu, tracąc pewność siebie. Niech mówi, pomyślała. Może jego atium się w końcu wyczerpie.

- Brat mówił, że nie powinnam ufać nikomu - wymamrotała. - Mówił, że... każdy mnie zdradzi.

- Był mądrym człowiekiem - powiedział cicho Zane, stojąc po pierś we mgle.

- Był głupcem i paranoikiem - sprzeciwiła się. - Utrzymał mnie przy życiu, ale mnie złamał.

- To zrobił ci przysługę.

Vin spojrzała w stronę okaleczonego, zakrwawionego TenSoona. Cierpiał, widziała to w jego oczach. W pewnej odległości słyszała... dudnienie. Znowu spalała brąz. Powoli podniosła wzrok. Zane szedł w jej stronę. Pewny siebie.

- Bawiłeś się mną - powiedziała. - Próbowłeś wbić klin między mnie a Elenda. Kazałeś mi myśleć, że się mnie boi, kazałeś mi myśleć, że mnie wykorzystuje.

- Bo tak było.

- Owszem - odparła. - Ale to nie ma znaczenia... nie w taki sposób, w jaki ty to przedstawiałeś. Elend mnie wykorzystuje. Kelsier mnie wykorzystywał. Wykorzystujemy się nawzajem, dla miłości, dla wsparcia, dla zaufania.

- Zaufanie cię zabije - powiedział.

- Zatem lepiej umrzeć.

- Ufałem ci - stwierdził, zatrzymując się przed nią. - A ty mnie zdradziłaś.

- Nie - odparła, unosząc sztylet. - Uratuję cię. Tak jak tego chcesz.

Rzuciła się do przodu i zaatakowała, lecz jej nadzieja - że skończyło mu się atium -

okazała się płonna. Nonszalancko uniknął kolejnego ciosu - pozwolił, by jej sztylet znalazł się cal od celu, ale jak dotąd nie był w prawdziwym niebezpieczeństwie.

Vin obróciła się na pięcie i znowu zaatakowała, lecz jej ostrze przecięło powietrze tuż ponad wznoszącą się mgłą.

Zane poruszył się, zanim nadszedł jej kolejny atak, uchylił się, nim sama wiedziała, co ma zamiar zrobić. Jej sztylet sięgnął miejsca, w którym mężczyzna stał jeszcze przed chwilą.

Jest zbyt szybki, pomyślała, czując ból w boku i pulsowanie w głowie. A może to pulsowała Studnia Wstąpienia...?

Zane zatrzymał się tuż przed nią.

Nie mogę go ranić, pomyślała z frustracją. Nie, jeśli wie, gdzie zaatakuję, zanim ja sama o tym pomyślę!

Zatrzymała się.

Zanim ja sama o tym pomyślę...

Zane cofnął się na środek komnaty, po czym kopniakiem wyrzucił w powietrze jej porzucony sztylet i chwycił go. Odwrócił się w jej stronę z zaciętą miną i ponurym wzrokiem.

Ze sztyletu opadały pasma mgły.

Wie, gdzie zaatakuję, zanim ja sama o tym pomyślę.

Vin uniosła sztylet. Krew spływała po jej twarzy i boku, w głowie rozbrzmiewało grzmiące dudnienie. Mgły sięgały jej niemal do brody.

Oczyściła umysł. Nie planowała ataku. Nie zareagowała, gdy Zane podbiegł w jej stronę z uniesionym sztyletem. Rozluźniła mięśnie i zamknęła oczy, słuchając jego kroków. Czowała, jak poruszone przez niego mgły wznoszą się wokół niej.

Gwałtownie otworzyła oczy. Mężczyzna uniósł sztylet. Vin przygotowała się na atak, lecz nie myślała o ciosie - pozwoliła, by to jej ciało zareagowało.

I bardzo, ale to bardzo uważnie przyglądała się Zane'owi.

Drgnął bardzo lekko w lewo, podnosząc otwartą dłoń, jakby chciał coś złapać.

Tam, pomyślała Vin i natychmiast rzuciła się w bok, zmieniając kierunek instynktownego ataku. W połowie ruchu przesunęła rękę - i sztylet. Miała zamiar zaatakować w lewo, jak przewidziało atium Zane'a.

Lecz, reagując, Zane pokazał jej, co ona sama miała zrobić. Pozwolił jej zobaczyć przyszłość. A jeśli ją widziała, to mogła ją zmienić.

Zderzyli się. Ostrze Zane'a trafiło ją w ramię. Lecz nóż Vin wbił się w jego szyję. Lewa dłoń mężczyzny zacisnęła się w powietrzu, chwytając cień, który powinien był mu powiedzieć, gdzie znajdzie się jej ręka.

Zane próbował sapnąć, lecz nóż przebił mu tchawicę. Powietrze wylatywało wraz z krwią wokół ostrza i mężczyzna zatoczył się do tyłu, wstrząśnięty. Napotkał jej spojrzenie i upadł pośród mgieł, uderzając z hukiem o podłogę.

\*\*\*

Zane uniósł wzrok i spojrzał na Vin. Umieram, pomyślał.

Jej cień atium w ostatniej chwili się rozdzielił. Dwa cienie, dwie możliwości. Wybrał tę niewłaściwą. Oszukała go, w jakiś sposób go pokonała. A teraz umierał.

W końcu.

- Wiesz, dlaczego myślałem, że mnie uratujesz? - próbował wyszeptać, choć wiedział, że jego wargi nie wypowiadają słów. - Przez głos. Byłaś jedyną osobą, której głos nie kazał mi zabić. Jedyną

osobą.

- Oczywiście, że nie kazałem ci jej zabić - powiedział Bóg.

Zane czuł, jak opuszcza go życie.

- Wiesz, co jest naprawdę śmieszne, Zane? - spytał Bóg. - Najbardziej zabawne w tym wszystkim? Nie jesteś szalony. Nigdy nie byłeś.

\*\*\*

Vin przyglądała się w milczeniu, jak Zane charkocze, a z jego ust wypływa krew.

Obserwowała go ostrożnie - nóż wbity w gardło powinien zabić nawet Zrodzonego z Mgły, lecz czasem cyna z łowiem robiła nieprawdopodobne rzeczy.

Zane umarł. Sprawdziła jego puls i zabrała sztylet. Później stała przez chwilę, czując...

otępienie, umysłu i ciała. Uniosła rękę do rannego ramienia, po drodze dotykając rany w piersi.

Za bardzo krwawiła i znów zaczynała odczuwać mętlik w głowie.

Zabiłam go.

Rozjarzyła cynę z łowiem i zatoczyła się w stronę TenSoona. Uklękła obok niego.

- Panienko - powiedział. - Tak mi przykro...

- Wiem - odparła, wpatrując się w straszliwą ranę, którą mu zadała. Jego łapy już się nie poruszały, a ciało leżało nienaturalnie skręcone. - Jak mogę ci pomóc?

- Pomóc? Panienko, prawie doprowadziłem do twojej śmierci!

- Wiem - powtórzyła. - Jak mogę złagodzić ból? Potrzebujesz innego ciała?

TenSoon milczał przez chwilę.

- Tak.

- Weź Zane'a - zaproponowała. - Przynajmniej na razie.

- Nie żyje? - spytał zaskoczony TenSoon.

Nie widział, uświadomiła sobie. Ma przetrącony kark.

- Tak - szepnęła.

- Jak, panienko? - spytał. - Skończyło mu się atium?

- Nie - odparła.

- To jak?

- Atium ma słabe strony - wyjaśniła. - Pozwala zobaczyć przyszłość.

- To... nie wydaje mi się słabą stroną, panienko.

Vin westchnęła i zakołysała się lekko. Skup się, pomyślała.

- Kiedy spalasz atium, widzisz kilka chwil najbliższej przyszłości... i możesz zmienić to, co się ma stać. Możesz chwycić strzałę, która powinna lecieć dalej. Możesz uchylić się przed ciosem, który powinien cię zabić. I możesz ustawić się tak, by powstrzymać atak, zanim do niego dojdzie.

TenSoon milczał, wyraźnie zdezorientowany.

- On pokazał mi to, co ja miałam zrobić - powiedziała. - Ja nie mogłam zmienić przyszłości, ale Zane tak. Reagując na mój atak, zanim sama wiedziałam, co mam zamiar zrobić, nieświadomie pokazał mi przyszłość. Zareagowałam na to, a on próbował powstrzymać cios, który nigdy nie spadł. To pozwoliło mi go zabić.

- Panienko... - wyszeptał TenSoon. - To błyskotliwe.

- Jestem pewna, że nie tylko ja o tym pomyślałam - powiedziała zmęczonym głosem. -

Ale to nie jest tajemnica, którą człowiek chciałby się podzielić z innymi. Tak czy inaczej, weź jego ciało.

- Ja... wolałbym nie nosić kości tej kreatury - stwierdził kandra. - Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo był złamany.

Pokiwała ze znużeniem głową.

- Mogę znaleźć ci inne psie ciało, jeśli chcesz.

- To nie będzie konieczne, panienko - powiedział cicho TenSoon. - Wciąż mam kości tamtego drugiego wilczarza, które mi dałaś, i większość z nich jest cała. Jeśli zastąpię kilka z nich dobrymi kośćmi z tego ciała, będę miał pełny szkielet do wykorzystania.

- Zatem zrób to. Musimy zaplanować, co zrobić później.

TenSoon milczał przez chwilę.

- Panienko, mój Kontrakt stał się nieważny z chwilą śmierci mojego pana. Muszę...

powrócić do swojego ludu po kolejne zlecenie.

- Ach - powiedziała, czując ukłucie smutku. - Oczywiście.

- Nie chcę odchodzić - przyznał. - Ale muszę przynajmniej zgłosić się do swoich.

Proszę, wybacz mi.

- Nie ma tu nic do wybaczenia - powiedziała. - I dzięki za przydatną wskazówkę pod koniec.

TenSoon milczał. Vin widziała poczucie winy w jego psich oczach. Nie powinien mi pomagać, działając na szkodę swojego pana.

- Panienko - powiedział kandra. - Znasz teraz naszą tajemnicę. Zrodzeni z Mgły mogą za pomocą Allomancji panować nad ciałem kandry. Nie wiem, co z tym zrobić, ale pamiętaj, że powierzyłem ci tajemnicę, która od tysiąca lat jest świętością mojego ludu. W ten sposób Allomanci panowali nad naszymi ciałami i czynili z nas niewolników.

- Ja... nawet nie rozumiem, co się stało.

- Może to i lepiej - powiedział TenSoon. - Proszę, zostaw mnie. Mam w szafie kości tego drugiego psa. Kiedy wrócisz, mnie już nie będzie.

Vin podniosła się i pokiwała głową. Później wyszła, przebijając się przez mgłę. Ktoś musiał opatrzyć jej rany. Wiedziała, że powinna pójść do Sazed, ale nie mogła się zmusić, by ruszyć w tamtą stronę. Szła coraz szybciej, stopy niosły ją korytarzem, aż w końcu zerwała się do biegu.

Wokół niej wszystko się waliło. Nie radziła sobie z tym, nie mogła nad wszystkim zapanować. Ale wiedziała czego chce.

I dlatego biegła do niego.

*Jest dobrym człowiekiem - wbrew wszystkiemu, jest dobrym człowiekiem.*

*Poświęcającym się. Tak naprawdę wszystkie jego działania - śmierć, zniszczenie i cierpienia, które wywołał - głęboko go zraniły. Tak naprawdę, wszystko to było dla niego swego rodzaju poświęceniem.*

Elend ziewnął i spojrzał na list do Jastesa, który napisał. Może uda mu się przekonać dawnego przyjaciela, by posłuchał głosu rozsądku.

A jeśli nie... cóż, na biurku Elenda leżał duplikat drewnianej monety, którą Jastes

„zapłacił” kolossom. To była doskonała kopia, wystrugana przez samego Clubsa. Elend był

pewien, że ma dostęp do większej ilości drewna niż Jastes. Gdyby Penrodowi udało się przeciągać negocjacje jeszcze przez parę tygodni, być może udałoby im się wyprodukować tyle

„pieniędzy”, by przekupić kolossy.

Odłożył pióro, przetarł oczy. Było późno. Czas...

Drzwi jego komnaty otworzyły się gwałtownie. Elend obrócił się na pięcie i ujrzał Vin.

Kobieta wbiegła do środka i rzuciła mu się w ramiona.

I była zakrwawiona.

- Vin! - powiedział. - Co się stało?

- Zabiłam go - odparła z twarzą wtuloną w pierś Elenda.

- Kogo?

- Twojego brata. Zane'a. Zrodzonego z Mgły Straffa. Zabiłam go.

- Czekał. Co? Mojego brata?

Pokiwała głową.

- Przepraszam.

- Zapomnij o tym, Vin! - Łagodnie odsunął ją od siebie i posadził na krześle. Miała ranę na szyi, a jej koszula lepiała się od krwi. - Ostatni Imperatorze! Idę po Sazedą.

- Nie zostawiaj mnie - powiedziała, trzymając go za rękę.

Elend się zawahał. Coś się zmieniło. Czuł, że Vin znów go potrzebuje.

- To chodź ze mną. Oboje do niego pójdziemy.

Vin pokiwała głową i wstała. Zachwiała się przy tym, co przestraszyło Elenda, lecz jej zdecydowane spojrzenie kazało mu się nie sprzeciwiać. Objął ją i ruszyli do komnat Sazedą.

Elend zatrzymał się przed drzwiami, chcąc zapukać, lecz Vin po prostu weszła do ciemnego pomieszczenia i usiadła na podłodze tuż za drzwiami.

- Tu sobie... posiedzę - powiedziała.

Elend stanął przy niej. Uniósł lampę i krzyknął w stronę sypialni:

- Sazedzie!

Terrisanin pojawił się po chwili. Miał na sobie białą koszulę nocną i wyglądał na wyczerpanego. Na widok Vin zamrugał kilka razy, po czym zniknął w swojej komnacie.

Wrócił po chwili z metalmyśłą na przedramieniu i torbą ze sprzętem medycznym.

- Lady Vin - powiedział, stawiając torbę. - Co by pomyślał mistrz Kelsier, gdyby zobaczył cię w takim stanie? Myślę, że w ten sposób niszczysz więcej ubrania...

- To nie czas na żarty, Sazedzie - powiedział Elend.

- Przepraszam, Wasza Wysokość - odparł Terrisanin, ostrożnie rozcinając koszulę Vin na ramieniu. - Ale skoro wciąż jest przytomna, to niebezpieczeństwo nie jest wielkie.

Przyjrzał się uważnie ranie, z roztargnieniem wyciągając z torby kawałki czystego materiału.

- Widzisz? - powiedział. - Cięcie jest głębokie, ale ostrze odbiło się od kości i nie przecięło żadnego z ważniejszych naczyń. Przytrzymaj. - Przycisnął kawałek tkaniny do rany i Elend położył na nim dłoń.

Vin siedziała z przymkniętymi oczami, opierając plecy o ścianę. Z jej brody powoli kapłała krew. Wydawała się bardziej wyczerpana niż zboląta.

Sazed wziął nóż i przeciął koszulę z przodu, odkrywając raną pierś.

Elend się zawahał.

- Może powinienem...

- Zostań - powiedziała Vin.

To nie była prośba, tylko rozkaz. Vin uniosła głowę i otworzyła oczy, gdy Sazed syknął

cicho na widok rany, po czym wyjął środek przeciwbólowy oraz igłę i nitkę.

- Elendzie - odezwała się. - Muszę ci coś powiedzieć.

Milczał przez chwilę.

- Dobrze.



- Zrozumiałam w końcu coś związanego z Kelsierem - powiedziała cicho. - Gdy o nim myślałam, zawsze skupiałam się nie na tym co potrzeba. Trudno zapomnieć godziny szkolenia w Allomancji. Jednak wielką czyniła go nie umiejętność walki... jego surowość i brutalność, czy nawet siła i instynkt.

Elend zmarszczył czoło.

- Wiesz, co to było? - spytała.

Pokręcił głową, wciąż przyciskając tkaninę do jej ramienia.

- To była jego zdolność do ufania innym - powiedziała. - Sposób, w jaki zmieniał ludzi dobrych w lepszych, jak ich inspirował. Ekipa działała, ponieważ miał do nich zaufanie...

ponieważ ich szanował. A w zamian oni szanowali siebie nawzajem. Ludzie tacy jak Breeze i Clubs stali się bohaterami, ponieważ Kelsier w nich wierzył.

Podniosła na niego wzrok, mrugając.

- A ty jesteś w tym o wiele lepszy od Kelsiera, Elendzie. On musiał nad tym popracować. Ty robisz to instynktownie, nawet takie gnidy jak Philen traktujesz tak, jakby to byli dobrzy i szlachetni ludzie. To nie naiwność, jak uważają niektórzy. To samo miał w sobie Kelsier, lecz w mniejszym stopniu. Mógłby się od ciebie uczyć.

- Masz o mnie zbyt wysokie mniemanie - powiedział.

Potrząsnęła ze znużeniem głową. Później odwróciła się do Terrisanina.

- Sazedzie? - spytała.

- Tak, dziecko?

- Znasz jakieś ślubne ceremonie?

Elend niemal upuścił kawałek materiału, który przytrzymał.

- Znam ich trochę - odparł Sazed, zszywając ranę. - W sumie chyba około dwustu.

- Która jest najkrótsza? - spytała.

Mężczyzna naciągnął szew.

- Lud Larsta wymagał jedynie wyznania miłości przed obliczem miejscowego kapłana.

Prostota była jedną z podstaw ich wiary... być może w reakcji na tradycje krainy, z której zostali wygnani, a która służyła ze skomplikowanego systemu biurokratycznych zasad. To dobra religia, skupiająca się na prostym pięknie natury.

Vin spojrzała na Elenda. Jej twarz była zakrwawiona, włosy rozczochrane.

- Posłuchaj - powiedział. - Vin, nie sądzisz, że może to powinno zaczekać, aż...

- Elendzie? - przerwała mu. - Kocham cię.

Zamarł.

- Czy ty mnie kochasz? - spytała.

To szaleństwo, pomyślał.

- Tak - odpowiedział cicho.

Vin spojrzała na Sazedą, który nie przerywał pracy.

- Sądzę, że to bardzo dziwna chwila na coś takiego.

Elend skinął głową.

- To tylko odrobina krwi - stwierdziła zmęczonym głosem. - Czuję się naprawdę dobrze, kiedy siedzę.

- Tak - przyznał Sazed - ale wydajesz się nieco zrozpaczona, lady Vin. Takich decyzji nie należy podejmować lekkomyślnie, pod wpływem silnych uczuć.

Uśmiechnęła się.

- Decyzji o zawarciu małżeństwa nie należy podejmować pod wpływem silnych uczuć?

Sazed się zmieszał.

- Nie do końca o to mi chodziło. Po prostu nie mam pewności, czy jesteś w tej chwili w pełni władz umysłowych.

- Ależ jestem, bardziej niż przez ostatnie miesiące. Czas, bym przestała się wahać, Sazedzie... przestała zamartwiać, przyjęła swoje miejsce w tej ekipie. Teraz wiem, czego pragnę. Kocham Elenda. Nie chcę wiedzieć, ile czasu razem nam pozostało, ale chcę choć paru chwil.

Sazed przez chwilę siedział nieruchomo, po czym powrócił do zszywania rany.

- A ty, lordzie Elendzie? Co ty o tym sądzisz?

Co sądził? Przypomniawszy sobie, jak dzień wcześniej Vin wspomniała o odejściu, a jego to tak bardzo zabolęło. Pomyślał, jak bardzo polegał na jej mądrości, otwartości i prostym - lecz nie prostackim - oddaniu. Tak, kochał ją.

Ostatnio na świecie zapanował chaos. On sam popełniał błędy. Jednakże wbrew wszystkiemu, co się

stało, mimo frustracji, nadal czuł, że pragnie być z Vin. To nie było wyidealizowane zauroczenie, które czuł półtora roku wcześniej, na przyjęciach. Teraz wydawało się o wiele bardziej trwałe.

- Tak, Sazedie - powiedział. - Chcę ją poślubić. Pragnąłem tego od jakiegoś czasu. Ja...

nie wiem, co się stanie z miastem i z moim królestwem, ale chcę być z Vin, gdy do tego dojdzie.

Sazed pracował nadal.

- Dobrze - powiedział w końcu. - Jeśli chcecie, żebym był waszym świadkiem, to proszę bardzo.

Elend klęczał, wciąż przyciskając tkaninę do ramienia Vin. Czuł się nieco oszołomiony.

- I już po wszystkim?

Terrisanin przytaknął.

- Moje świadectwo jest równie ważne jak to, jakie mógłby zapewnić wam obligator. Ale czujcie się ostrzeżeni: przysięga miłości Larsta jest wiążąca. Ich kultura nie znała rozwodów w żadnej postaci. Czy przyjmujecie mnie jako świadka tego wydarzenia?

Vin pokiwała głową. Elend zrobił to samo.

- W takim razie jesteście małżeństwem - powiedział Sazed. Zawiązał nitkę na końcu i przycisnął do piersi Vin kawałek materiału. - Potrzyмай to przez chwilę, lady Vin, by całkowicie zatamować krwawienie.

Zajął się jej policzkiem.

- Wydaje mi się, że powinna być jakaś ceremonia albo coś w tym rodzaju - powiedział

Elend.

- Mógłbym jakąś poprowadzić, gdybyście zechcieli - stwierdził Sazed - ale nie sądzę, byście jej potrzebowali. Znam was oboje od jakiegoś czasu i gotów jestem pobłogosławić wasz związek. Chciałbym jedynie udzielić wam rady. Ci, którzy lekko traktują obietnice złożone tym, których kochają, nie znajdują w życiu prawdziwego zadowolenia. Nastają ciężkie czasy.

To nie znaczy, że są trudne dla miłości, jednak w swoim życiu i związku będziecie poddani niezwykłym naciskom. Nie zapomnijcie o przysiędze miłości, którą złożyliście tego wieczoru.

Myślę, że w nadchodzących dniach da wam wiele siły.

Powiedziawszy te słowa, założył ostatni szew na twarzy Vin i w końcu skupił się na jej ramieniu. Krwawienie niemal ustąpiło; Sazed przyjrzał się ranie uważnie, po czym zabrał się za szycie.

Vin spojrzała na Elenda z uśmiechem. Wydawała się śpiąca. Wstał i podszedł do miednicy. Wrócił z

wilgotnym ręcznikiem, którym zaczął ocierać jej twarz i policzek.

- Przepraszam - powiedziała cicho, gdy Sazed zajął miejsce, w którym wcześniej klęczał

Elend.

- Przepraszasz? - spytał. - Za Zrodzonego z Mgły mojego ojca?

Pokręciła głową.

- Nie. Za to, że to tak długo trwało.

Uśmiechnął się.

- Warto było na ciebie poczekać. Poza tym, ja też musiałem chyba nauczyć się kilku rzeczy.

- Jak być królem?

- I jak przestać nim być.

- Nigdy nie przestałeś nim być, Elendzie. Mogli ci odebrać koronę, lecz nie odbiorą ci honoru.

Znow się uśmiechnął.

- Dziękuję. Nie wiem jednak, czy zrobiłem coś dobrego dla miasta. Sama moja obecność podzieliła mieszkańców i teraz Straff przejmie władzę.

- Zabiję Straffa, jeśli postawi nogę w tym mieście.

Elend zacisnął zęby. Wracamy do tych samych problemów, pomyślał. Mogli trzymać Vin jako nóż na gardle Straffa przez określony czas. W końcu znajdzie sposób, by się wyślizgnąć, a do tego jeszcze jest Jastes ze swymi kolosami.

- Wasza Wysokość - powiedział Sazed, nie przerywając pracy - być może mogę zaproponować rozwiązanie.

Elend spojrzał na Terrisanina i uniósł brew.

- Studnia Wstąpienia - powiedział Sazed.

Vin natychmiast otworzyła oczy.

- Wraz z Tindwyl badałem zagadnienie Bohatera Wieków - kontynuował Terrisanin. -

Jesteśmy przekonani, że Rashek nie zrobił tego, co miał zrobić Bohater. Co więcej, nie jesteśmy wcale przekonani, że ten Alendi sprzed tysiąca lat był Bohaterem. Pojawia się zbyt wiele niespójności, zbyt wiele problemów i sprzeczności. W dodatku mgły... Głębia... nie odeszły. A teraz zabijają ludzi.

Elend spochmurniał.

- Co masz na myśli?

Sazed naciągnął szew.

- Nadal pozostało coś do zrobienia, Wasza Wysokość. Coś ważnego. Może się wydawać, że wydarzenia w Luthadel i Studnia Wstąpienia pozostają bez związku. Lecz patrząc na to z szerszej perspektywy, być może jedno jest rozwiązaniem dla drugiego.

Venture się uśmiechnął.

- Jak zamek i klucz.

- Tak, Wasza Wysokość - zgodził się z uśmiechem Sazed. - Właśnie tak.

- Dudni - wyszeptała Vin z zamkniętymi oczami. - W mojej głowie. Czuję ją.

Sazed się zawahał, po czym owinał ramię Vin bandażem.

- Czy czujesz, gdzie jest?

Potrząsnęła głową.

- Ja... pulsowanie nie ma określonego kierunku. Wydawało mi się, że jest odległe, ale staje się coraz głośniejsze.

- To moc Studni powraca - stwierdził Sazed. - Na szczęście, ja wiem, gdzie ją odnaleźć.

Elend odwrócił się, a Vin znów uniosła powieki.

- Moje badania pozwoliły mi odkryć jej lokalizację, lady Vin - wyjaśnił Terrisanin. -

Mogę narysować ci mapę na podstawie metalmyśli.

- Gdzie? - wyszeptała.

- Na północy - odpowiedział. - W górach Terris. Na wierzchołku jednego z niższych szczytów, zwanego Derytatith. O tej porze roku droga będzie trudna...

- Zrobię to - powiedziała stanowczo Vin, gdy Sazed powrócił do rany na jej piersi.

Elend znów się zarumienił. Chciał odwrócić wzrok, ale nagle się ocknął. Jestem...

żonaty.

- Odejdiesz - spytał, spoglądając na Vin. - Teraz?

- Muszę - wyszeptała. - Muszę tam pójść, Elendzie.

- Powinieneś wyruszyć razem z nią - stwierdził Sazed.

- Co?

Terrisanin westchnął, podnosząc wzrok.

- Musimy spojrzeć prawdzie w oczy, Wasza Wysokość. Jak powiedziałeś wcześniej, Straff wkrótce zdobędzie miasto. Jeśli nie opuścisz miasta, zostaniesz stracony. A lady Vin bez wątpienia będzie potrzebowała pomocy w zdobyciu Studni.

- Podobno posiada wielką moc - stwierdził Elend, drapiąc się po brodzie. - Jak myślisz, czy pomogłaby nam zniszczyć te armie?

Vin pokręciła głową.

- Nie możemy jej wykorzystać - wyszeptała. - Moc to pokusa. To właśnie poprzednim razem poszło nie tak. Rashek wziął dla siebie moc, zamiast ją oddać.

- Oddać? - spytał Elend. - Co to znaczy?

- Wypuścić ją, Wasza Wysokość - wyjaśnił Sazed. - Pozwolić, by sama pokonała Głębię.

- Zaufanie - szepnęła Vin. - To wszystko kwestia zaufania.

- Jednakowoż - dodał Terrisanin - myślę, że uwolnienie mocy może uczynić wielkie rzeczy ze światem. Zmienić wszystko i naprawić większość zniszczeń wywołanych przez Ostatniego Imperatora. Przypuszczam, że zniszczy kolosy, stworzone przez Ostatniego Imperatora, który nadużył mocy.

- Ale Straff zdobędzie miasto - zauważył Elend.

- Prawda, lecz jeśli odejdziesz, przekazanie władzy odbędzie się pokojowo.

Zgromadzenie właściwie już zdecydowało, że uzna go za swojego imperatora. Wydaje się też, że pozwoli Penrodowi zachować władzę jako podległemu mu królowi. Nie będzie rozlewu krwi, a wy wtedy zorganizujecie opór na zewnątrz. Poza tym, kto wie, co się stanie po uwolnieniu mocy. Lady Vin może zostać zmieniona jak Ostatni Imperator. Z ekipą ukrytą w mieście, nie będzie trudno obalić twojego ojca... szczególnie gdy stanie się zbyt pewny siebie.

Po jakimś roku.

Elend zacisnął zęby. Kolejna rewolucja. A jednak słowa Sazed'a miały sens. Tak długo przejmowaliśmy się tym wszystkim na małą skalę. Spojrzał na Vin, czując przyływ miłości i ciepła. Może nadszedł czas, żebym zaczął słuchać tego, co próbowała mi powiedzieć.

- Sazedzie - powiedział Elend, uderzony nagłą myślą - jak sądzisz, czy udałoby mi się przekonać Terrisan do pomocy?

- Być może, Wasza Wysokość. Zakazano mi wtrącania się... który to zakaz cały czas ignoruję... gdyż Synod powierzył mi inne zadanie, nie dlatego że staramy się unikać wszelkich działań. Gdyby udało się wam przekonać Synod, że Terrisanom pomoże sojusz z silnym Luthadel, być może uzyskacie pomoc wojskową od Terris.

Elend pokiwał z namysłem głową.

- Pamiętaj o zamku i kluczu, Wasza Wysokość - dodał Sazed, kończąc zszywanie rany. -

W tym wypadku wyjazd wydaje się przeciwieństwem tego, co powinieneś zrobić. Jednak, jeśli spojrzysz na sprawę z szerszej perspektywy, zobaczysz, że to właśnie powinieneś zrobić.

Vin otworzyła oczy i spojrzała na niego z uśmiechem.

- Uda się nam, Elendzie. Chodź ze mną.

Elend zastanawiał się przez chwilę. Zamek i klucz...

- Dobrze - powiedział. - Odejdziemy, gdy Vin wróci do zdrowia.

- Najpewniej już jutro będzie mogła jeździć konno - stwierdził Sazed. - Wiesz, jak działa cyna z ołowiem.

Elend pokiwał głową.

- Dobrze. Powinienem był cię wcześniej wysłuchać, Vin. Poza tym, zawsze chciałem zobaczyć twoją ojczyznę, Sazedzie. Będziesz mógł nam ją pokazać.

- Obawiam się, że muszę tu zostać - odparł Terrisanin. - Wkrótce powinienem udać się na południe, by tam kontynuować wypełnianie swoich zadań. Ale może z wami pojechać Tindwyl. Ma ważne informacje, które powinna przekazać naszym braciom Opiekunom.

- Grupa powinna być mała - zauważyła Vin. - Będziemy musieli uciec przed ludźmi Straffa, a może prześlizgnąć się pośród nich.

- Jak sądzę, wystarczy wasza trójka - stwierdził Sazed. - I może jeszcze jedna osoba do pełnienia straży, gdy będziecie spać, ktoś dobry w polowaniu i prowadzeniu zwiadu. Może lord Lestibournes?

- Spook będzie idealny - przyznał Elend, kiwając głową. - Jesteś pewien, że inni członkowie ekipy pozostaną bezpieczni w mieście?

- Oczywiście, że nie - odparła z uśmiechem Vin. - Ale są ekspertami. Ukrywali się przed Ostatnim Imperatorem, więc poradzą sobie i ze Straffem. Szczególnie jeśli nie będą musieli przy okazji martwić się o twoje bezpieczeństwo.

- W takim razie wszystko ustalone - stwierdził Sazed i wstał. - Spróbujcie dziś w nocy dobrze wypocząć, mimo znaczącej zmiany w waszym związku. Lady Vin, czy możesz chodzić?

- Nie ma takiej potrzeby - powiedział Elend i podniósł ją. Objęła go rękami, choć jej uścisk nie był mocny. Widział, że znów opadły jej powieki.

Uśmiechnął się. Nagle świat stał się o wiele prostszym miejscem. Poświęci trochę czasu na to co naprawdę ważne - później, kiedy wraz z Vin znajdą pomoc na północy, będą mogli wrócić. Właściwie nie mógł się doczekać powrotu i zajęcia się ich problemami z nową energią.

Mocno objął Vin, skinieniem głowy pożegnał Sazedą i ruszył w stronę swoich komnat.

Wydawało mu się, że nareszcie wszystko zaczęło iść ku lepszemu.

\*\*\*

Sazed wstał powoli i patrzył, jak odchodzą. Zastanawiał się, co o nim pomyślą, kiedy dowiedzą się o upadku Luthadel. Przynajmniej będą wtedy mieli siebie nawzajem.

Ślubne błogosławieństwo było ostatnim darem, jaki mógł im dać - poza ich życiem. Jak historia oceni moje kłamstwa? - zastanawiał się. Co pomyśli o Terrisaninie, który tak bardzo wplątał się w politykę, o Terrisaninie, który sfabrykował mitologię, by uratować życie przyjaciół? To, co mówił o Studni, było oczywiście nieprawdą. Nawet jeśli istniała taka moc, nie wiedział, gdzie ją znaleźć ani czego mogła dokonać.

To, jak oceni go historia, prawdopodobnie będzie zależeć od tego, co Elend i Vin zrobią ze swoim życiem. Sazed mógł jedynie mieć nadzieję, że postąpił właściwie. Patrząc, jak odchodzą, ze świadomością, że ich młodzieńcza miłość zostanie ocalona, nie mógł

powstrzymać uśmiechu.

Z westchnieniem pochylił się i zebrał instrumenty medyczne. Potem wrócił do komnaty, by sfabrykować mapę, którą obiecał Vin i Elendowi.

## **CZEŚĆ PIĄTA**

### **ŚNIEG I POPIÓŁ**

*Jest przyzwyczajony do rezygnowania z tego, czego pragnie, dla większego dobra - takiego jakim je postrzega.*



- Jesteś głupcem, Elendzie Venture - warknęła Tindwyl. Splotła ręce na piersi, a w jej oczach malowało się niezadowolenie.

Elend mocno zaciągnął popręg. Wśród ubrań, jakie zamówiła dla niego Tindwyl, znajdował się czarno-srebrny mundur do jazdy konnej, który teraz włożył. Do tego wygodne skórzane rękawiczki i ciemny płaszcz dla ochrony przez popiołem.

- Słuchasz mnie czy nie? - spytała ostro Tindwyl. - Nie możesz wyjechać. Nie teraz! Nie w chwili, gdy twój lud jest w tak wielkim niebezpieczeństwie.

- Ochronię ich w inny sposób - powiedział, sprawdzając juczne konie.

Znajdowali się na zadaszonym podjeździe twierdzy. Vin siedziała na koniu, niemal całkiem owinięta płaszczem, i mocno zaciskała dłonie na wodzach. Nie miała wielkiego doświadczenia w jeździe konnej, lecz Elend nie chciał jej pozwolić na bieg. Cyna z ołowiem cyną z ołowiem, ale rany odniesione podczas walki w Zgromadzeniu nie zagoiły się jeszcze do końca, nie wspominając o tych z poprzedniej nocy.

- W inny sposób? - powtórzyła Terrisanka. - Powinieneś być z nimi. Jesteś ich królem!

- Wcale nie - warknął Elend, odwracając się w jej stronę. - Odrzucili mnie, Tindwyl.

Teraz muszę się zająć ważniejszymi wydarzeniami na większą skalę. Chcą tradycyjnego króla?

Dobrze, dostaną mojego ojca. Kiedy powrócę z Terris, może zrozumieją, co utracili.

Tindwyl potrząsnęła głową i zrobiła krok do przodu.

- Terris, Elendzie? - zapytała przyciszonym głosem. - Jedziesz na północ. Dla niej.

Wiesz, dlaczego chce się tam udać, prawda?

Zawahał się.

- Czyli wiesz - stwierdziła. - I co o tym myślisz, Elendzie? Nie mów, że wierzysz w te złudzenia. Ona uważa się za Bohatera Wieków. Przypuszcza, że w tamtejszych górach coś odnajdzie, jakąś moc, a może objawienie, która zmieni ją w bóstwo.

Elend spojrzał na Vin. Wpatrywała się w ziemię i milczała.

- Ona próbuje podążyć za swoim mistrzem, Elendzie - wyszeptała Tindwyl. - Ocalały stał się bogiem dla tych ludzi, uważa więc, że musi dokonać tego samego.

Elend odwrócił się do Terrisanki.

- Jeśli ona naprawdę w to wierzy, to ma moje wsparcie.

- Wspierasz jej szaleństwo? - spytała ostro Tindwyl.

- Nie mów w taki sposób o mojej żonie - powiedział Elend, a jego rozkazujący ton sprawił, że Tindwyl się wzdrygnęła. - Ufam jej. A częścią zaufania jest wiara.

Tindwyl prychnęła.

- Nie możesz przecież wierzyć, że ona jest przepowiedzianym zbawcą, Elendzie. Znam cię... jesteś uczonym. Być może oficjalnie przystąpiłeś do Kościoła Ocalałego, ale nie wierzysz w nadnaturalne moce bardziej niż ja.

- Wierzę - powiedział stanowczo - że Vin jest moją żoną i ją kocham. To, co jest ważne dla niej, jest ważne dla mnie... a to, w co ona wierzy, jest dla mnie prawdą. Udajemy się na północ. Wrócimy, gdy wyzwolimy tam moc.

- Dobrze - powiedziała Tindwyl. - W takim razie zostaniesz zapamiętany jako tchórz, który porzucił swój lud.

- Zostaw nas! - rozkazał Elend, unosząc palec i wskazując w stronę twierdzy.

Tindwyl obróciła się na pięcie i ruszyła w stronę wejścia. Mijając je, wskazała na stół z zapasami, gdzie wcześniej umieściła paczkę wielkości książki, owiniętą brązowym papierem i związaną grubym sznurkiem.

- Sazed pragnie, byście dostarczyli to Synodowi Opiekunów. Znajdziecie ich w mieście Tathingdwen. Życzę miłego wygnania, Elendzie.

I odeszła.

Elend westchnął i podjechał do Vin.

- Dziękuję - powiedziała cicho.

- Za co?

- Za to, co powiedziałeś.

- Mówiłem to szczerze, Vin - powiedział, kładąc dłoń na jej ramieniu.

- Wiesz, Tindwyl może mieć rację - zauważyła. - Mimo tego, co powiedział Sazed, mogłam oszaleć. Pamiętasz, jak mówiłam ci, że widziałam ducha we mgle?

Powoli pokiwał głową.

- Cóż, znów go widziałam - odparła. - Jest niczym zjawą stworzona z wzorów, jakie tworzy

poruszająca się mgła. Widzę go przez cały czas, jak za mną podąża. I słyszę to pulsowanie w mojej głowie... potężne, dostojne dudnienie, niczym allomantyczny impuls. Tyle tylko, że nie potrzebuję już brązu, żeby je słyszeć.

Elend ścisnął jej ramię.

- Wierzę ci, Vin.

Uniosła wzrok.

- Naprawdę, Elendzie? Naprawdę?

- Nie jestem pewien - przyznał. - Ale bardzo się staram. Tak czy inaczej, uważam, że udanie się na północ to dobry pomysł.

Powoli pokiwała głową.

- Myślę, że to wystarczy.

Uśmiechnął się i odwrócił w stronę wejścia.

- Gdzie jest Spook?

Vin wzruszyła ramionami.

- Zakładam, że w takim razie Tindwyl nie jedzie z nami.

- Pewnie nie - odparł z uśmiechem.

- Jak znajdziemy drogę do Terris?

- Nie będzie trudno. Podążymy wzdłuż imperialnego kanału do Tathingdwen.

Przerwał, zastanawiając się nad mapą, którą dał im Sazed. Prowadziła w głąb Gór Terris. Muszą kupić zapasy w Tathingdwen, a śniegi będą głębokie... Tym jednak będą się martwić później.

Vin uśmiechnęła się, a Elend ruszył po paczkę zostawioną przez Tindwyl.

Prawdopodobnie była to jakaś księga. Kilka chwil później pojawił się Spook. Miał na sobie mundur, a przez ramię przerzucił juki. Skinął głową Elendowi, podał Vin sporą torbę i podszedł do konia.

Wygląda na zdenerwowanego, pomyślał Elend, gdy chłopak przerzucił juki przez grzbiet konia.

- Co jest w tej torbie? - spytał, odwracając się do Vin.

- Sproszkowana cyna z ołowiem - powiedziała. - Może się nam przydać.

- Jesteśmy gotowi? - spytał Spook, spoglądając na nich.

Elend popatrzył na Vin, która przytaknęła.

- Chyba...

- Jeszcze nie - powiedział ktoś. - Ja wcale nie jestem gotowa.

Elend odwrócił się i ujrzał wchodzącą na podjazd Allrienne. Miała na sobie obszerną, brązowo-czerwoną spódnicę do jazdy konnej, a włosy związała pod szalem. Skąd wzięła ten strój? - pomyślał Elend. Za nią podążało dwóch służących z bagażami.

Allrienne przystanęła i z namysłem postukała się w wargę.

- Chyba będę potrzebowała jucznego konia.

- Co ty tu robisz? - spytała Vin.

- Jadę z wami - odparła Allrienne. - Breezy mówi, że muszę opuścić miasto. Czasem jest bardzo głupi, ale też potrafi się uprzeć. Przez całą rozmowę mnie Uspokajał... jakbym nie umiała rozpoznać jego dotknięcia!

Allrienne machnęła na jednego ze służących, który pobiegł po stajennego.

- Będziemy jechać bardzo szybko - stwierdził Elend. - Nie jestem pewien, czy sobie poradzisz.

Allrienne przewróciła oczami.

- Jechałam konno przez całą drogę z Zachodniego Dominium! Chyba sobie poradzę.

Poza tym Vin jest ranna, więc pewnie nie będziecie jechać tak szybko.

- Nie chcemy, żebyś jechała z nami - stwierdziła Vin. - Nie ufamy ci... i cię nie lubimy.

Elend przymknął oczy. Kochana, bezpośrednia Vin.

Allrienne jedynie się roześmiała, gdy jeden ze służących powrócił z dwoma końmi i zaczął przenosić bagaże.

- Głupia Vin - powiedziała. - Jak możesz to mówić po tym wszystkim, co razem przeszliśmy?

- Razem przeszliśmy? Allrienne, raz poszliśmy razem na zakupy.

- I wydawało mi się, że to nas połączyło. Właściwie to jesteśmy już jak siostry!

Vin obdarzyła dziewczynę ponurym spojrzeniem.

- Tak - stwierdziła Allrienne - a ty zdecydowanie jesteś tą starszą, nudną siostrą.

Uśmiechnęła się słodko i bez trudu wskoczyła na koński grzbiet. Jeden ze służących przyprowadził jucznego konia i przywiązał jego wodze do siodła Allrienne.

- Dobrze, mój drogi Elendzie - powiedziała. - Jestem gotowa. Ruszajmy.

Elend spojrzał na Vin, która z ponurą miną pokręciła głową.

- Jeśli chcecie, możecie mnie zostawić - stwierdziła Allrienne - ale pojedę za wami, wpakuję się w kłopoty i będziecie musieli mnie ratować. Nawet nie próbujcie udawać, że byście tego nie zrobili!

Elend westchnął.

- Dobrze. Jedźmy.

Ruszyli powoli przez miasto: Elend i Vin na przodzie, Spook prowadzący juczne konie, Allrienne nieco z boku. Elend trzymał uniesioną głowę, przez co widział wszystkie twarze wyglądające z okien i drzwi, kiedy je mijali. Wkrótce podążał za nimi niewielki tłumek. Choć nie słyszał szeptów, mógł sobie wyobrazić, co mówiono.

„Król. Król nas porzuca...”.

Wiedział, że wielu poddanych wciąż nie mogło zrozumieć, dlaczego to lord Penrod zasiada na tronie. Elend szybko odwrócił wzrok od bocznej uliczki, skąd obserwowało go wiele par oczu. Widział w nich strach. Spodziewał się oskarżenia, lecz w jakiś sposób ponura akceptacja była jeszcze bardziej zniechęcająca. Spodziewali się, że ucieknie. Spodziewali się, że ich opuści. Był jednym z niewielu wystarczająco bogatych i wystarczająco potężnych, by się wydostać. To oczywiste, że musiał uciec.

Zacisnął powieki, próbując stłumić poczucie winy. Żałował, że nie mogli odejść w nocy, wyslizgnąć się przez furtkę jak rodzina Hama. Było jednak ważne, by Straff zobaczył, jak Elend i Vin wyjeżdżają, by zrozumiał, że może zdobyć miasto bez atakowania.

Wróćę, obiecał Elend swojemu ludowi. Uratuję was. Na razie będzie lepiej, jeśli was opuszczę.

Przed sobą ujrzeli szerokie skrzydła Bramy Cynowej. Elend spiął konia, oddalając się od podążającej za nim milczącej grupy. Strażnicy przy wrotach już znali swoje rozkazy. Elend skinął im głową, ściągając wodze, a wtedy żołnierze zaczęli otwierać bramę. Vin i pozostali dołączyli do niego.

- Pani Dziedziczko - spytał cicho jeden ze strażników. - Ty też nas opuszczasz?

Vin spojrzała w jego stronę.

- Pokój - powiedziała. - Nie porzucamy was. Jedziemy po pomoc.

Na twarzy żołnierza pojawił się uśmiech.

Jak on może jej tak łatwo ufać, pomyślał Elend. A może pozostała mu już tylko nadzieja?

Vin odwróciła się w stronę zebranego tłumu i opuściła kaptur.

- Powrócimy - obiecała.

Nie wydawała się tak nerwowa jak wcześniej, gdy miała do czynienia z ludźmi, którzy ją wielbili.

Od ostatniej nocy coś się w niej zmieniło, pomyślał Elend.

Żołnierze im zasalutowali. Elend odpowiedział tym samym i skinął na Vin. Prowadził

ich, gdy galopowali w stronę północnego szlaku - drogi, która pozwalała im ominąć armię Straffa od zachodu.

Nie ujechali daleko, gdy grupa konnych ruszyła w ich stronę. Elend jechał nisko pochylony nad grzbietem swojego wierzchowca, jedno spojrzenie poświęcił Spookowi i jucznym koniom. Jednak najbardziej zaskoczyła go Allrienne - zadziwiająco dobrze radziła sobie z jazdą konną, a na jej twarzy malowała się determinacja. Wcale nie wyglądała na zdenerwowaną.

Jadąca u jego boku Vin odrzuciła płaszcz i wyjęła garść monet. Rzuciła je w powietrze, a one poleciały do przodu z prędkością, której nie mogło dorównać nic, co Elend widział

wcześniej, nawet w wykonaniu innych Allomantów. Ostatni Imperatorze, pomyślał

wstrząśnięty, gdy monety pofrunęły do przodu, błyskawicznie znikając mu z oczu.

Żołnierze się przewracali, a Elend ledwie słyszał brzęk metalu o metal ponad wyciem wiatru i tętentem kopyt. Wjechał w sam środek chaotycznej grupki żołnierzy, z których wielu umierało.

Świsnęły strzały, lecz Vin rozproszyła je machnięciem ręki. Otworzyła torbę cyny z ołowiem i rozrzucała proszek za sobą, Odpychając pociski na boki.

Następne strzały nie będą miały metalowych grotów, pomyślał nerwowo Elend.

Żołnierze zbierali się za ich plecami i krzyczeli.

- Dogonię was - powiedziała Vin i zeskoczyła z siodła.

- Vin! - ryknął Elend, zawracając.

Allrienne i Spook przegalopowali obok niego. Vin wylądowała i, co zadziwiające, nawet się nie zachwiała, tylko od razu ruszyła biegiem. Połknęła flakonik metalu i spojrzała w stronę łuczników.

Znowu świsnęły strzały. Elend zaklął, lecz spiął konia. Niewiele mógł teraz zrobić.

Galopował nisko pochylony, gdy pociski spadały wokół niego. Jedna ze strzał przeleciała kilka cali od jego głowy i wbiła się w ziemię.

Po chwili przestały spadać. Z zaciśniętymi zębami odwrócił się do tyłu. Vin stała przed wznoszącą się coraz wyżej chmurą kurzu. Sproszkowana cyna z ołowiem, pomyślał. Odpycha ją - Odpycha płatki po ziemi, podnosząc kurz i popiół.

Potężna fala kurzu, metalu i popiołu uderzyła w łuczników, omywając ich. Krążyła wokół żołnierzy, zmuszając ich do przeklinania i zasłaniania oczu. Niektórzy padli na ziemię, trzymając się za twarze.

Vin znów wskoczyła na koński grzbiet i pogalopowała, oddalając się od kłębiącej się masy cząsteczek. Elend zwolnił, pozwalając, by go dogoniła. Z tyłu panował chaos, jedni wydawali rozkazy, inni się rozprasali.

- Przyspiesz! - powiedziała, gdy zbliżyła się do niego. - Jesteśmy niemal poza zasięgiem łuków.

Wkrótce dogonili Allriane i Spooka. Niebezpieczeństwo jeszcze się nie skończyło - jego ojciec nadal mógł wysłać pogoń.

Ale żołnierze prawdopodobnie rozpoznali Vin. Jeśli instynkt nie zawiódł Elenda, ojciec pozwoli im uciec. Jego głównym celem było Luthadel. Później mógł zapolować na syna - na razie ucieszy go widok uciekającej Zrodzonej z Mgły.

- Dziękuję bardzo za pomoc w wydostaniu się - powiedziała nagle Allriane, wpatrując się w armię. - Teraz sobie pójdę.

Z tymi słowami ruszyła w stronę niskich wzgórz na zachodzie, prowadząc za sobą jucznego konia.

- Co? - spytał zaskoczony Elend, zatrzymując się obok Spooka.

- Zostawcie ją - powiedziała Vin. - Nie mamy czasu.

Cóż, to rozwiązuje jeden problem, pomyślał Elend, kierując się w stronę drogi na północ. Żegnaj, Luthadel. Wrócę później.

\*\*\*

- Cóż, to rozwiązuje jeden problem - zauważył Breeze.

Stał na szczycie miejskich murów i obserwował, jak grupa Elenda znika za wzgórzem.

Na wschodzie z obozowiska kolosów wznosił się słup dymu, nadal stanowiący tajemnicę. Na zachodzie armia Straffa wrzała, poruszona ucieczką byłego króla Luthadel.

Z początku Breeze martwił się o bezpieczeństwo Allriane - lecz w pewnej chwili uświadomił sobie, że niezależnie od wrogich armii, towarzystwo Vin zapewniało jej bezpieczeństwo. O ile dziewczyna nie oddali się zbyt od pozostałych, będzie bezpieczna.

Na murze towarzyszyła mu cicha grupa i tego dnia Breeze niemal nie dotykał ich uczuć.

Ich powaga wydawała się właściwa. Młody kapitan Demoux stał przy starzejącym się Clubsie, spokojny Sazed obok wojownika Hama. Razem wpatrywali się w nasienie nadziei, które rzucili na wiatr.

- Zaraz - powiedział ze zmarszczonym czołem Breeze, gdy coś zwróciło jego uwagę. -

Czy Tindwyl nie miała jechać z nimi?

Sazed pokręcił głową.

- Postanowiła zostać.

- A czemu miałyby to zrobić? - spytał Breeze. - Czyż nie słyszałem, jak mamrotała coś o niewtrącaniu się w miejscowe konflikty?

- Nie wiem, lordzie Breeze - odparł Sazed. - Tę kobietę trudno odczytać.

- One wszystkie takie są - mruknął Clubs.

Sazed się uśmiechnął.

- Tak czy inaczej, wygląda na to, że naszym przyjaciołom udało się uciec.

- Niech Ocalały ich chroni - powiedział cicho Demoux.

- Owszem - zgodził się Sazed. - Oby tak było.

Clubs prychnął. Oparłszy jedną rękę na blankach, odwrócił się do Sazed.

- Nie zachęcaj go.

Demoux zarumienił się, odwrócił i odszedł.

- O co tu chodziło? - spytał zaciekawiony Breeze.

- Chłopak naucza moich żołnierzy - wyjaśnił Clubs. - Powiedziałem mu, że nie chcę, żeby zaśmiewał ich głowy bzdurami.

- To nie są bzdury, lordzie Cladencie - sprzeciwił się Sazed. - To wiara.

- Czy naprawdę szczerze uważasz - powiedział stary generał - że Kelsier ochroni tych ludzi?

- Wierzą w to i to... - odparł z wahaniem Sazed.

- Nie - przerwał mu Clubs. Skrzywił się. - To nie wystarczy, Terrisaninie. Ci ludzie łudzą się, wierząc w Ocalałego.

- Wy w niego wierzyliście - zauważył Sazed. Breeze miał ochotę go uspokoić, żeby ostudzić spór,



lecz Terrisanin wydawał się zupełnie spokojny. - Podążaliście za nim. Na tyle wierzyliście w Ocalałego, że obaliliście Ostatnie Imperium.

Clubs się nachmurzył.

- Nie podoba mi się twoja etyka, Terrisaninie. Nigdy mi się nie podobała. Nasza ekipa...

ekipa Kelsiera... walczyła, by wyzwolić tych ludzi, ponieważ to było właściwe.

- Ponieważ wierzyliście, że było właściwe - powiedział Sazed.

- A co ty uważasz za właściwe, Terrisaninie?

- To zależy. Jest wiele różnych systemów z wieloma różnymi szlachetnymi wartościami.

Clubs pokiwał głową i odwrócił się, jakby dla niego dyskusja się skończyła.

- Zaczekaj, Clubs - odezwał się Ham. - Nie zareagujesz na to?

- Powiedział mi wystarczająco wiele - stwierdził generał. - Jego wiara ma charakter sytuacyjny. Dla niego nawet Ostatni Imperator był bóstwem, ponieważ ludzie oddawali mu cześć... albo byli do tego zmuszani. Mam rację, Terrisaninie?

- W pewnym sensie tak, lordzie Cladencie - odparł Sazed. - Choć akurat Ostatni Imperator mógł być swego rodzaju wyjątkiem.

- Ale wciąż przechowujesz zapisy i wspomnienia na temat praktyk Stalowego Zakonu, czyż nie? - spytał Ham.

- Tak - przyznał Sazed.

- Sytuacyjna - mruknął Clubs. - Ten głupiec Demoux przynajmniej wybrał sobie jedną rzecz, w którą wierzy.

- Nie szydź z cudzej wiary tylko dlatego, że jej nie podzielasz, lordzie Cladencie -

powiedział cicho Sazed.

Clubs znów parsknął.

- Dla ciebie to takie łatwe, prawda? - spytał. - Wierzysz we wszystko i nigdy nie musisz wybierać?

- Powiedziałbym - odparł Sazed - że o wiele trudniej wierzyć tak jak ja, gdyż człowiek musi być tolerancyjny i nie powinien niczego odrzucać.

Generał machnął ręką i pokuśtykał w stronę schodów.

- Jak sobie chcesz. Ja muszę pójść i przygotować chłopców na śmierć.

Sazed obserwował go ze zmarszczonym czołem. Breeze na wszelki wypadek Uspokoił

go - usuwając jego zażenowanie.

- Nie przejmuj się nim, Saze - powiedział Ham. - Ostatnio wszyscy jesteśmy trochę podenerwowani.

Terrisanin pokiwał głową.

- Mimo to on miał rację w kilku kwestiach... takich, o których wcześniej nie musiałem myśleć. Aż do tego roku moim obowiązkiem było zbieranie, badanie i zapamiętywanie. Wciąż trudno mi uznać jedną wiarę za gorszą od innych, nawet jeśli ta wiara opiera się na człowieku, który okazał się zupełnie śmiertelny.

Ham wzruszył ramionami.

- Kto wie? Może Kell rzeczywiście gdzieś tam jest i nas strzeże?

Nie, pomyślał Breeze. Gdyby był, nie skończylibyśmy tutaj, czekając na śmierć, zamknięci w mieście, które mieliśmy uratować.

- Tak czy inaczej - powiedział Ham - wciąż chciałbym wiedzieć, skąd się bierze ten dym.

Breeze spojrział w stronę obozu kolosów. Ciemna kolumna była zbyt gęsta i skupiona, by mogła pochodzić z ognisk.

- Namioty?

Ham potrząsnął głową.

- El powiedział, że mieli tam tylko kilka namiotów, stanowczo za mało, by dały tyle dymu. Ten ogień pali się od dłuższego czasu.

Teraz pewnie nie ma to już znaczenia, pomyślał Breeze.

\*\*\*

Straff Venture znów zakaszłał, zwijając się na krześle. Jego ramiona były śliskie od potu, a dłonie drżały.

Wcale nie czuł się lepiej.

Z początku założył, że dreszcze były efektem ubocznym zdenerwowania. Miał ciężki wieczór, nasłał skrytobójców na Zane'a, a później jakimś sposobem uniknął śmierci z rąk szalonego Zrodzonego z Mgły. Jednakże przez noc jego dreszcze nie ustąpiły. To nie był efekt nerwowości - musiał się rozchorować.

- Wasza Wysokość! - zawołał ktoś na zewnątrz.

Straff wyprostował się, próbując wyglądać jak najlepiej. Mimo to posłaniec zatrzymał się przy wejściu do namiotu, najwyraźniej zauważając bladą skórę i podkrążone oczy Straffa.

- Milordzie... - odezwał się mężczyzna.

- Mów, człowieku - zażądał Straff, próbując emanować godnością, której wcale nie czuł.

- Gadaj.

- Jeźdźcy, panie - powiedział mężczyzna. - Opuścili miasto!

- Co?! - spytał Straff, zrzucając koc i wstając. Udało mu się wyprostować mimo ataku zawrotów głowy. - Dlaczego nie zostałem o tym poinformowany?

- Przejechali szybko obok, milordzie - wyjaśnił posłaniec. - Nie mieliśmy czasu wysłać im oddziału na spotkanie.

- Zakładam, że ich złapaliście - powiedział Straff, opierając się ciężko o krzesło.

- Właściwie to uciekli, milordzie - odparł powoli posłaniec.

- Co takiego?! - wykrzyknął Straff i obrócił się z wściekłością. Ten ruch wystarczył.

Powróciły zawroty głowy, zrobiło mu się ciemno przed oczami. Zatonął, złapał krzesło i udało mu się opaść na nie, a nie na podłogę.

- Poślijcie po uzdrowiciela! - krzyknął posłaniec. - Król jest chory!

Nie, pomyślał na wpół przytomny Straff. Nie, to nadeszło zbyt szybko. To nie może być choroba.

Ostatnie słowa Zane'a. Jak one brzmiały? „Nikt nie powinien zabijać swojego ojca”.

Kłamca.

- Amaranta - wychrypiał Straff.

- Milordzie? - spytał ktoś.

Dobrze. Nie był sam.

- Amaranta - powtórzył. - Poślijcie po nią.

- Nałożnicę, panie?

Straff zmuszał się do zachowania przytomności. Gdy usiadł, poczuł się nieco lepiej, odzyskał ostrość widzenia. U jego boku stał jeden z jego osobistych strażników. Jak on się nazywał? Grent.

- Grent - powiedział Straff, starając się, by to zabrzmiało rozkazująco. - Musisz sprowadzić do mnie Amarantę. Już!

Żołnierz zawahał się, po czym wybiegł na zewnątrz. Straff skupił się na oddechu.

Wdech i wydech. Wdech i wydech. Zane był wężem. Wdech i wydech. Wdech i wydech. Zane nie chciał użyć noża... nie, to było oczywiste. Wdech i wydech. Ale skąd wzięła się trucizna?

Straff czuł się chory przez cały poprzedni dzień.

- Panie?

Amaranta stała w wejściu. Niegdyś była piękna, nim się zestarzała - jak one wszystkie.

Macierzyństwo niszczyło kobietę. Kiedyś była taka apetyczna, z jędrnymi piersiami i gładką skórą bez skazy...

Twoje myśli błędzą, powiedział sobie Straff. Skup się.

- Potrzebuję... antidotum - wykrztusił i skoncentrował się na obecnej Amarancie: kobiecie dobiegającej trzydziestki, starej, lecz użytecznej, utrzymującej go przy życiu mimo trucizn Zane'a.

- Oczywiście, panie - odpowiedziała Amaranta, podeszła do szafki z truciznami i zebrała niezbędne składniki.

Straff usadowił się wygodniej, skupiając się na oddychaniu. Amaranta musiała wyczuć powagę sytuacji, gdyż nie próbowała nawet skłonić go, by wziął ją do łóżka. Przyglądał się, jak pracuje, wyjmując palnik i składniki. Musiał... znaleźć... Zane'a.

Nie robiła tego odpowiednio.

Straff spalił cynę. Nagły rozbłysk wrażliwości niemal go oślepił, nawet w cieniu namiotu, a bóle i dreszcze stały się przejmujące i nie do zniesienia. Lecz jego umysł się rozjaśnił, jakby Straff wykapał się w lodowatej wodzie.

Amaranta przygotowywała niewłaściwe składniki. Straff niewiele wiedział o przygotowywaniu antidotów. Musiał przekazać ten obowiązek, a sam skupił się na rozpoznawaniu znaków szczególnych - zapachów, smaków, przebarwień - trucizn. Jednakże wielokrotnie przyglądał się, jak Amaranta przygotowuje swoje antidotum na wszystko. A tym razem robiła to inaczej.

Zmusił się do wstania, nadal rozjarzając cynę, choć łzawiły mu od tego oczy.

- Co ty robisz? - spytał, podchodząc do niej niepewnym krokiem.

Amaranta z zaskoczeniem podniosła wzrok. Niepokój w jej spojrzeniu był

wystarczającym potwierdzeniem.

- Co ty robisz?! - zaryczał Straff, a strach dodał mu sił, gdy chwycił ją za ramiona i potrząsnął nią. Mimo osłabienia nadal był od niej o wiele silniejszy.

Kobieta spuściła wzrok.

- Twoje antidotum, milordzie...

- Robisz je w niewłaściwy sposób! - powiedział Straff.

- Pomyślałam, że wyglądasz na zmęczonego, więc dodam coś, co pomoże ci zachować przytomność.

Straff się zawahał. Te słowa wydawały się logiczne, choć miał problemy z myśleniem. I wtedy, spoglądając na rozgoryczoną kobietę, zauważył coś. Nienaturalnie rozszerzonymi oczyma dostrzegł kawałek odkrytego ciała pod jej gorsetem.

Sięgnął w dół i rozerwał bok jej sukni, obnażając skórę. Jej lewą pierś - dla niego była obrzydliwa, gdyż nieco opadała - znaczyły blizny, jakby po cięciu nożem. Żadna z nich nie była świeża, lecz nawet w obecnym stanie Straff rozpoznał dzieło Zane'a.

- Jesteś jego kochanką? - spytał.

- To twoja wina - wysyczała. - Porzuciłeś mnie, kiedy się zestarzałam i urodziłam ci dwójkę dzieci. Wszyscy mówili mi, że tak zrobisz, ale miałam nadzieję...

Straff czuł się coraz słabszy. Oparł głowę o szafkę z truciznami.

- A jednak - powiedział Amaranta ze łzami w oczach. - Dlaczego musiałeś mi zabrać także Zane'a? Co takiego zrobiłeś, że przestał do mnie przychodzić?

- Pozwalałaś, by mnie truł - stwierdził Straff, opadając na kolano.

- Głupiec - prychnęła kobieta. - Nigdy cię nie otruł... ani razu. Choć na moją prośbę często kazał ci myśleć, że tak się stało. I wtedy, za każdym razem, biegłeś do mnie.

Podejrzewałeś Zane'a o wszystko, ale ani razu nie zastanowiłeś się nawet, co jest w moim „antidotum”.

- Czułem się po nim lepiej - mruknął Straff.

- Tak się dzieje, gdy ktoś jest uzależniony od narkotyku, Straff - wyszeptała Amaranta. -

Kiedy go dostajesz, czujesz się lepiej. Jeśli nie... umierasz.

Straff zamknął oczy.

- Teraz jesteś mój, Straff - powiedziała. - Mogę cię zmusić...

Venture zaryczał, zbierając resztki sił, i rzucił się na kobietę. Krzyknęła, gdy ją pchnął i obalił na ziemię.

I nic już nie powiedziała, gdyż dłonie Straffa zacisnęły się na jej gardle. Przez chwilę się szarpała, lecz on ważył o wiele więcej. Miał zamiar zażądać od niej antidotum, zmusić ją do uratowania go, lecz nie myślał jasno. Miał mroczki przed oczami, zamęt w głowie.

Gdy odzyskał rozum, Amaranta leżała przed nim martwa, sina na twarzy. Nie był

pewien, jak długo dusił jej trupa. Stoczył się z niej i ruszył w stronę otwartej szafki. Na kolanach sięgnął po palnik, lecz jego drżące ręce przechyliły go na bok, rozlewając ciepły płyn na ziemię.

Klnąc cicho, chwycił dzban zimnej wody i zaczął wrzucać do niego garści ziół. Trzymał

się z dala od szuflad z truciznami, wybierając te, w których były antidota. Lecz wiele z nich pełniło obie role. Niektóre zioła w dużych dawkach były truciznami, a w mniejszych leczyły.

Większość uzależniała. Nie miał czasu się tym martwić - czuł słabość kończyn i z trudem chwycił garści ziół. Brązowe i czerwone kawałki spadały z jego palców, gdy wrzucał garść po garści do mieszanki.

Od jednego z tych ziół go uzależniła. Każde z pozostałych mogło go zabić. Nie był

nawet pewien, jakie ma szanse.

Mimo to wypił mieszaninę, pochłaniając kolejne łyki między ciężkimi oddechami, po czym pozwolił sobie stracić przytomność.

*Nie wątpię, że jeśli Alendi dotrze do Studni Wstąpienia, weźmie moc, a później - w imię rzekomego większego dobra - odda ją.*

- Czy to tych ludzi chcecie, lady Cett?

Allrienne spojrzała na dolinę - i armię, która w niej stacjonowała - po czym popatrzyła z góry na bandytę, Hobarta. Uśmiechnął się z przejęciem - a raczej niemal uśmiechnął. Hobart miał mniej zębów niż palców, a tych ostatnich też mu brakowało.

Allrienne uśmiechnęła się z grzbietu konia. Siedziała bokiem, trzymając lekko wodze.

- Tak, sądzę, że tak, mistrzu Hobarcie.

Hobart spojrzał na swoją bandę łotrów i wyszczerzył się. Allrienne wykorzystała Podżeganie, by przypomnieć im, jak bardzo pragnęli obiecaną nagrody. Armia jej ojca znajdowała się w pewnej odległości przed nimi.

Allrienne wędrowała cały dzień, kierując się na zachód i jej szukając. Ale kierowała się w złą stronę. Gdyby nie wpadła na pomocną bandę Hobarta, musiałyby spać pod gołym niebem.

A to byłoby mało przyjemne.

- Dalej, mistrzu Hobarcie - powiedziała, ruszając do przodu. - Chodźmy na spotkanie z moim ojcem.

Grupka radośnie podążyła za nią, jeden prowadził jej jucznego konia. Prości ludzie, tacy jak banda Hobarta, mieli w sobie pewien urok. Pragnęli tak naprawdę trzech rzeczy - pieniędzy, jedzenia i kobiet - i zazwyczaj wykorzystywali tę pierwszą, by zdobyć pozostałe dwie. Kiedy na nich wpadła, uznała, że ma duże szczęście - mimo że wyskoczyli na nią z zasadzki, z zamiarem okradzenia jej i zgwałcenia. Kolejny urok takich mężczyzn polegał na tym, że zazwyczaj nie mieli doświadczenia z Allomancją.

Mocno panowała nad ich uczuciami, gdy jechali do ich obozu. Wolała, by nie doszli do żadnych rozczarowujących wniosków - na przykład „Okup zazwyczaj jest wyższy niż nagroda”. Oczywiście nie kontrolowała ich w pełni, jedynie wywierała na nich wpływ. Jednak przy tak prostych ludziach bez trudu odczytywała, co dzieje się w ich głowach. Zabawne, jak obietnica zysku zmieniała bandytów niemal w szlachetnie urodzonych.

Oczywiście, w kierowaniu ludźmi takimi jak Hobart nie było też zbyt wielkiego wyzwania. Nie... żadnego wyzwania, nie to co z Breezym. To była niezła zabawa. I bardzo satysfakcjonująca. Wątpiła, by kiedykolwiek spotkała innego mężczyznę tak świadomego swoich uczuć i uczuć innych jak Breezy. Skłonienie mężczyzny takiego jak on - mistrza Allomancji, przekonanego, że z powodu swojego wieku jest dla niej niewłaściwy - by ją pokochał... cóż, to było prawdziwe osiągnięcie.

Ach, Breezy, pomyślała, gdy wyjechali z lasu i znaleźli się na zboczach wzgórza przed armią. Czy którykolwiek z twoich przyjaciół rozumie, jak szlachetnym człowiekiem jesteś?

Nie traktowali go wystarczająco dobrze. Oczywiście, można się tego było spodziewać.

Tego właśnie pragnął Breezy. Łatwiej manipulować ludźmi, którzy człowieka nie doceniają.

Tak, Allrienne rozumiała to bardzo dobrze - gdyż niewiele rzeczy tak łatwo zlekceważyć jak głupiutką dziewczuszkę.

- Stać! - rozkazał żołnierz, podjeżdżając ze strażą honorową. Wyciągnęli miecze. -

Cofnijcie się od niej!

No nie, pomyślała Allrienne, przewracając oczami. Potraktowała grupę żołnierzy Podżeganiem, zwiększając ich spokój. Nie chciała żadnych niespodzianek.

- Proszę, kapitanie - powiedziała, gdy Hobart i jego bandyci wyciągnęli broń, tłocząc się niepewnie wokół niej. - Ci ludzie uratowali mnie z okrutnej dziczy i bezpiecznie odprowadzili do domu, wiele przez to poświęcając.

Hobart stanowczo pokiwał głową. Powaga jego gestu została nieco zmniejszona, gdy wytarł nos w rękaw. Kapitan spojrzał na grupę brudnych bandytów i skrzywił się.

- Zapewnijcie tym ludziom porządną posiłek, kapitanie - powiedziała beztrąsko, ruszając do przodu. - I dajcie im miejsce na nocleg. Hobarcie, przyśle ci nagrodę, gdy tylko porozmawiam z ojcem.

Bandyci i żołnierze szli za nią, a Allrienne starannie Podżegała obie grupy, zwiększając ich wzajemne zaufanie. W wypadku żołnierzy nie było to łatwe, zwłaszcza gdy zmienił się kierunek wiatru, niosąc ze sobą smród szajki. Mimo to bez problemów dotarli do obozu.

Tu grupa się rozdzieliła. Allrienne przekazała wodze pomocnikowi i wysłała pazia, by poinformował ojca o jej powrocie. Otrzeпаła suknię do jazdy konnej, po czym z miłym uśmiechem przeszła przez obóz. Nie mogła się już doczekać kąpieli i innych wygód - choć skromnych - które mógł zaoferować jej obóz. Najpierw jednak musiała się zająć pewnymi kwestiami.

Ojciec lubił spędzać wieczory pod otwartym namiotem, w którym naradzał się ze swoimi dowódcami. Siedział tam teraz, klóćąc się z posłańcem. Podniósł wzrok, gdy Allrienne wkroczyła do namiotu, uśmiechając się słodko do lordów Galivana i Detora, generałów ojca.

Cett siedział na wysokim krześle, z którego mógł dobrze widzieć stół i mapy.

- Do kata - powiedział. - Rzeczywiście wróciłaś.

Allrienne uśmiechnęła się, podeszła do stołu i spojrzała na mapę, która ukazywała linie zaopatrzenia z Zachodniego Dominium. To, co zobaczyła, nie wyglądało dobrze.

- W kraju się buntują, ojczy? - spytała.

- A zbóje atakują moje wozy z zapasami - dodał Cett. - Ten chłopak, Venture, bez wątplenia ich opłacił.



- Zgadza się - odparła Allrienne. - Ale to i tak nie ma teraz znaczenia. Tęskniłeś za mną?

- Jednocześnie mocno podsyciła jego przywiązanie.

Cett prychnął, podrapał się po brodzie.

- Głupia dziewczucha - rzekł. - Powinienem być zostawić cię w domu.

- Żebyś wpadła w ręce twoich wrogów podczas buntu? - spytała. - Oboje wiemy, że lord Yomen miał zamiar zaatakować w chwili, gdy wycofałeś armie z dominium.

- A ja powinienem być oddać cię temu przekłętemu obligatorowi!

Allrienne sapnęła.

- Ojczy! Yomen uwięziłby mnie dla okupu. Wiesz, jak marnieję w zamknięciu.

Cett spojrział na nią i - najwyraźniej wbrew sobie - zaczął się śmiać.

- Przed upływem dnia skłoniłabyś go do karmienia cię smakołykami. Może rzeczywiście powinienem był cię zostawić. Wtedy przynajmniej wiedziałbym, gdzie jesteś, zamiast martwić się, dokąd tym razem cię poniesie. Nie sprowadziłaś ze sobą tego idioty Breeze a, prawda?

- Ojczy! Breezy to dobry człowiek.

- Na tym świecie dobrzy ludzie giną szybko, Allrienne - odparł Cett. - Wiem... sam wielu z nich zabiłem.

- Ależ tak - powiedziała - jesteś bardzo mądry. A przyjęcie agresywnej postawy wobec Luthadel przyniosło pozytywne efekty, prawda? Musiałeś uciekać z podkulonym ogonem.

Zginąłbyś, gdyby Vin nie miała więcej sumienia od ciebie.

- To „sumienie” nie powstrzymało jej przed zabiciem około trzech setek moich ludzi - sprzeciwił się Cett.

- To bardzo zdezorientowana młoda dama - stwierdziła Allrienne. - Tak czy inaczej, czuję się zmuszona przypomnieć ci, że miałam rację. Powinieneś być zawrzeć sojusz z młodym Venture, zamiast mu grozić. To oznacza, że jesteś mi winien pięć nowych sukien.

Cett rozmasował czoło.

- To nie jest przekłeta gra, dziewczyno.

- Moda, ojczy, to nie gra - stwierdziła stanowczo Allrienne. - Nie mogłabym oczarować bandytów, by odprowadzili mnie bezpiecznie do domu, gdybym wyglądała jak ulicznica, nie sądzisz?

- Kolejni bandyci, Allrienne? - spytał z westchnieniem Cett. - Wiesz, ile czasu zajęło nam pozbycie się poprzedniej grupy?

- Hobart to wspaniały człowiek - powiedziała cierpko. - Nie wspominając już o jego kontaktach w miejscowym półświatku. Daj mu złoto i prostytutki, a może przekonasz go, żeby pomógł ci w walce ze zbójami atakującymi twoje zaopatrzenie.

Cett popatrzył na mapę, po czym zaczął z namysłem szarpać brodę.

- Wróciłaś - powiedział w końcu. - Chyba będziemy się musieli o ciebie zatroszczyć.

Pewnie będziesz potrzebować kogoś do noszenia lektyki w drodze powrotnej...

- Tak naprawdę - przerwała mu Allrienne - wcale nie wracamy do naszego dominium.

Wracamy do Luthadel.

Cett nie sprzeciwił się od razu - przeważnie wiedział, kiedy córka mówi poważnie.

Dlatego tylko potrząsnął głową.

- W Luthadel nic dla nas nie ma, Allrienne.

- Do naszego dominium też nie możemy wracać - zauważyła. - Nasi wrogowie są zbyt silni, a niektórzy mają Allomantów. Dlatego przyjechaliśmy tutaj. Nie możemy odjechać, dopóki nie zdobędziemy pieniędzy lub sojuszników.

- W Luthadel nie ma pieniędzy - odpowiedział. - Uwierzyłem Venture, kiedy powiedział, że nie mają atium.

- Zgadzam się - stwierdziła. - Przeszukałam cały pałac i nie znalazłam nawet bryłki. To oznacza, że musimy wyjechać z przyjaciółmi zamiast pieniędzy. Wróćmy, zaczekajmy na rozpoczęcie bitwy i pomóżmy temu, kto będzie zwyciężał. Poczuj się wobec nas zobowiązany... może nawet pozwoli nam zostać przy życiu.

Cett milczał przez chwilę.

- To nie pomoże uratować twojego przyjaciela Breeze'a, Allrienne. Jego frakcja jest najsłabsza... nawet gdybym zawarł sojusz z młodym Venture, wątpię, byśmy razem pokonali Straffa czy kolosy. Nie, bez dostępu do miejskich murów i mnóstwa czasu na przygotowanie.

Jeśli wrócimy, to pomożemy wrogom twojego Breeze'a.

Allrienne wzruszyła ramionami. Nie pomożesz mi, jeśli cię tam nie będzie, ojcze, pomyślała. I tak przegram - a jeśli będziesz w okolicy, istnieje szansa, że w końcu pomożesz Luthadel.

Niewielka szansa, Breeze. Tyle tylko mogę ci dać. Przepraszam.

\*\*\*

Nastał trzeci dzień od chwili, gdy opuścili Luthadel. Elenda dziwiło, jak dobrze wypoczął przez noc spędzoną pod namiotem pośrodku pustkowia. Oczywiście, mogło się to wiązać z towarzyszeniem, w jakim ją spędził.

Vin zwinęła się w kłębek na pościeli, opierając głowę na jego piersi. Spodziewał się, że ze względu na swoją nerwowość będzie spała bardzo lekko, lecz wyraźnie dobrze jej się spało u jego boku. Nawet stawała się i nieco mniej niepokojona, gdy ją obejmował.

Spojrzał na nią czule, podziwiając jej twarz i lekko falujące czarne włosy. Rana na policzku była niemal niewidoczna - Vin już wcześniej wyciągnęła szwy. Ciągłe, powolne spalanie cyny z ołowiem ułatwiało zdrowienie. Nie musiała nawet uważać na lewą rękę - mimo rozciętego i ramienia - a słabość zupełnie ją opuściła.

Wciąż nie wyjaśniła mu wydarzeń tamtej nocy. Walczyła z Zane'em - który najwyraźniej był przyrodnim bratem Elenda - a kandra TenSoon odszedł. Jednak żadne z tych wydarzeń nie mogło wywołać w niej tak wielkiego cierpienia jak to, które w niej wyczuł, gdy przyszła do jego komnat.

Nie wiedział, czy kiedykolwiek uzyska odpowiedź. Mimo to docierało do niego powoli, że może kochać Vin, nawet jeśli nie do końca ją rozumie. Pochylił się i pocałował ją w czubek głowy.

Natychmiast się spięła i otworzyła oczy. Usiadła, ukazując nagą pierś i rozejrzała się po ich namiocie. W końcu potrząsnęła głową i spojrzała na niego.

- Masz na mnie zły wpływ.

- Naprawdę? - spytał, uśmiechając się. Oparł się na ugiętej ręce.

Vin przytaknęła i przeczesła włosy dłonią.

- Przyzwyczajasz mnie do spania w nocy - wyjaśniła. - I do tego nie śpię już w ubraniu.

- To by było pewne utrudnienie.

- Owszem, ale gdybyśmy zostali zaatakowani w nocy? Musiałabym walczyć nago.

- Chętnie bym to zobaczył.

Popatrzyła na niego zimno i sięgnęła po koszulę.

- Ty też masz na mnie zły wpływ, wiesz - powiedział, przyglądając się, jak Vin się ubiera.

Uniosła brew.

- Sprawiasz, że się rozluźniam. I przestaję się zamartwiać. Ostatnio tak bardzo przejmowałem się sprawami miasta, że zapomniałem już, jak to jest być niegrzecznym samotnikiem. Niestety, podczas

naszej podróży udało mi się przeczytać nie jeden, lecz wszystkie trzy tomy „Uczonych nauk” Troubelda.

Vin prychnęła. Uklękła w niskim namiocie i zacisnęła pas, po czym podczołgała się do niego.

- Nie wiem, jak możesz czytać w czasie jazdy - powiedziała.

- O, to dość proste... pod warunkiem, że nie boisz się koni.

- Ja się wcale ich nie boję - sprzeciwiła się Vin. - To one mnie nie lubią. Wiedzą, że mogę je przegonić, i robią się nieuprzejme.

- Naprawdę? - spytał z uśmiechem i przyciągnął ją do siebie.

Pokiwała głową, pochyliła się i pocałowała go. Był to jednak krótki pocałunek i się wyprostowała. Klepnęła go w dłoń, gdy próbował ściągnąć ją z powrotem na dół.

- Po tym, jak udało mi się ubrać w tej ciasnocie? - spytała. - Poza tym jestem głodna.

Westchnął i ułożył się wygodniej, Vin zaś wybiegła z namiotu, w czerwony blask porannego słońca. Elend leżał tak przez chwilę, w milczeniu rozważając swoje szczęście.

Wciąż nie miał pojęcia, jakim cudem ich związek się udał ani nawet dlaczego tak go uszczęśliwił, ale był gotów cieszyć się tym doświadczeniem.

W końcu spojrzął na swoje ubranie. Zabrał tylko jeden elegancki mundur oraz mundur do konnej jazdy i nie chciał ich nosić zbyt często. Nie miał już służących, którzy by czyścili jego strój z popiołu. Nawet teraz, mimo podwójnej klapy namiotu, trochę popiołu dostało się w nocy do środka. Poza miastem nie było robotników, którzy go zamiatali, i dostawał się wszędzie.

Dlatego ubrał się o wiele prościej - spodnie do konnej jazdy, podobne do tych, które często nosiła Vin, szara koszula zapinana na guziki i ciemna kurtka. Nigdy dotąd nie musiał

podróżować w siodle - powozy były preferowanym środkiem transportu - ale jechali względnie powoli. Nie spieszyło im się. Zwiadowcy Straffa wkrótce przestali ich śledzić, a u celu nikt na nich nie czekał. Nie musieli się forsować, mogli robić przerwy, a czasem maszerować, by nie zeszywnieć zbyttno na końskim grzbiecie.

Na zewnątrz Vin podsycala ognisko, a Spook zajmował się końmi. Chłopak dużo podróżował i umiał zająć się zwierzętami - czego Elend, ku swojemu zawstydzeniu, nigdy się nie nauczył.

Elend dołączył do Vin przy ogniu. Siedzieli przez kilka chwil, Vin szturchała węgle.

Wydawała się zamyślona.

- Co? - spytał Elend.

Spojrzała na południe.

- Ja... - Potrząsnęła głową. - Nic takiego. Potrzebujemy więcej drewna.

Spojrzała w bok, w stronę siekiery, która leżała obok namiotu. Ta uniosła się w powietrze, ostrzem do przodu. Vin zrobiła krok w bok i chwyciła rękojeść, gdy siekiera przelatowała między nią a Elendem. Później podeszła do powalonego drewna. Zamachnęła się dwa razy, kopnęła je i bez trudu złamała na dwie części.

- Czasami sprawia, że wszyscy czujemy się niepotrzebni, co? - spytał Spook, stając obok Elenda.

- Czasami - zgodził się z uśmiechem Elend.

Chłopak pokręcił głową.

- Cokolwiek widzę lub słyszę, ona wyczuwa to lepiej... i umie walczyć z tym, co znajdzie. Za każdym razem, kiedy wracam do Luthadel, czuję się... beużyteczny.

- Wyobraź sobie teraz, że jesteś zwykłym człowiekiem - powiedział Elend. - Ty przynajmniej jesteś Allomantą.

- Może - odparł Spook. Z boku dochodził odgłos rąbania drewna. - Ale ludzie cię szanują, El. Mnie lekceważą.

- Ja cię nie lekceważę, Spook.

- Ach, tak? A kiedy ostatnio zrobiłem coś ważnego dla ekipy? - Trzy dni temu -

stwierdził Elend. - Kiedy zgodziłeś się pojechać ze mną i Vin. Nie jesteś tu tylko po to, by zajmować się końmi, Spook. Jesteś tutaj ze względu na twoje umiejętności zwiadowcy i Cynookiego. Myślisz, że nadal nas śledzą?

Spook zawahał się, po czym wzruszył ramionami.

- Nie mogę być pewien. Myślę, że zwiadowcy Straffa już zawrócili, ale ciągle zauważam kogoś tam z tyłu. Jednak nigdy nie mogłem mu się dobrze przyjrzeć.

- To mgielny duch - stwierdziła Vin, podchodząc i rzucając naręcz drewna obok ogniska. - Goni nas.

Spook i Elend wymienili się spojrzeniami. Elend pokiwał głową.

- Cóż, dopóki trzyma się od nas z dala, to chyba nie problem, prawda?

Wzruszyła ramionami.

- Mam nadzieję, że nie. Ale jeśli go zobaczycie, zawołajcie mnie. Zgodnie z zapisami może być niebezpieczny.

- Dobrze - stwierdził Elend. - Tak zrobimy. A teraz zastanówmy się, co zjeść na śniadanie.

\*\*\*

Straff obudził się. To było pierwsze zaskoczenie. Leżał na swoim łóżku i czuł się, jakby ktoś go podniósł i kilka razy rzucił o ścianę. Jęknął i usiadł. Na ciele nie miał sińców, lecz wszystko go bolało, a w głowie czuł dudnienie. Jeden z uzdrowicieli, młody brodac z wyłupiastymi oczami, siedział przy jego łóżku. Przez chwilę przyglądał się Straffowi.

- Milordzie, powinniście już nie żyć - powiedział młodzieniec.

- Żyję - odparł Straff, siadając. - Daj mi cyny.

Do łóżka podszedł żołnierz z fiolką metalu. Straff wypił jej zawartość i jęknął, czując suchość i ból w gardle. Spalił tylko odrobinę cyny - sprawiała, że wszystko bolało go jeszcze bardziej, lecz jednocześnie nauczył się polegać na przewodze, jaką dawały mu wyostrzone zmysły.

- Jak długo? - spytał.

- Prawie trzy dni, milordzie - odparł uzdrowiciel. - Nie... wiedzieliśmy, co zjedliście ani dlaczego. Zastanawialiśmy się nad skłonieniem was do wymiotów, ale wydawało się, że spożyliście napój z własnej woli, więc...

- Dobrze postąpiliście - powiedział Straff, unosząc przed siebie rękę. Nadal trochę drżała i nie mógł tego powstrzymać. - Kto dowodzi armią?

- Generał Janarle - odpowiedział uzdrowiciel.

Straff pokiwał głową.

- Dlaczego nie kazał mnie zabić?

Młodzieniec zamrugał zaskoczony, spoglądając na żołnierzy.

- Panie - odezwał się żołnierz Grent - któż ważyłby się was zdradzić? Ten, który by spróbował, skończyłby martwy w swoim namiocie. Generał Janarle ogromnie przejmował się waszym osobistym bezpieczeństwem.

Oczywiście, uświadomił sobie nagłe Straff. Nie wiedzą, że Zane odszedł. Tak...

wszyscy założyli, że w wypadku mojej śmierci Zane albo sam by przejął władzę, albo próbował zemścić się na osobach odpowiedzialnych. Straff roześmiał się w głos, zaskakując tych, którzy go strzegli. Syn próbował go zabić, lecz samą swoją reputacją przypadkiem uratował mu życie.

Pokonałem cię, uświadomił sobie Straff. Odszedłeś, a ja żyję. To oczywiście nie oznaczało, że Zane nie powróci - ale z drugiej strony, może jednak nie. Może... być może...

pozbył się go już na zawsze.

- Zrodzona z Mgły Elenda - spytał nagle Straff.

- Śledziliśmy ją przez jakiś czas, milordzie - stwierdził Grent. - Ale zbyt oddalili się od armii i lord Janarle rozkazał zwiadowcom wrócić. Wydaje się, że kieruje się w stronę Terris.

Zmarszczył czoło.

- Kto jeszcze z nią jest?

- Sądzymy, że wasz syn Elend również uciekł - powiedział żołnierz. - Ale równie dobrze mógł to być podstęp.

Zane'owi się udało, pomyślał wstrząśnięty Straff. Rzeczywiście udało mu się jej pozbyć.

Chyba że to jakaś sztuczka. Ale wtedy...

- Armia kolosów? - spytał Straff.

- Ostatnio coraz zajadlej walczą między sobą, panie - odpowiedział Grent. - Wydają się coraz bardziej niespokojne.

- Każ armii zwijać obóz - powiedział Venture. - Natychmiast. Wracamy do Północnego Dominium.

- Milordzie? - spytał wstrząśnięty Grent. - Wydaje mi się, że lord Janarle planuje atak, czeka tylko na wasze słowo. Miasto jest słabe, a ich Zrodzona z Mgły odeszła.

- Wycofujemy się - stwierdził z uśmiechem Straff. - Przynajmniej na razie.

Zobaczymy, jak powiedzie się twój plan, Zane.

\*\*\*

Sazed siedział w niewielkiej kuchennej alkwie, spoglądając na swoje dłonie. Na każdym palcu błyszczał metalowy pierścień. Jak na metalmyśli były małe, lecz gromadzenie Feruchemicznych atrybutów zabierało czas. Wypełnienie nawet jednego pierścienia zajmowało wiele tygodni - on zaś miał tylko dni. Właściwie Sazedą zaskoczyło, że kolosy zaczęły tak długo.

Trzy dni. Niezbyt wiele czasu, ale podejrzewał, że w nadchodzącym konflikcie będzie potrzebował każdej przewagi. Na razie udało mu się zgromadzić jedynie odrobinę z każdego atrybutu. Dodatkowe wzmocnienie w nagłym wypadku, gdy pozostałe metalmyśli się wyczerpią.

Do kuchni wszedł powoli Clubs. Dla Sazedą stanowił niewyraźną plamę. Nawet w okularach - które nosił, by wspomóc wzrok podczas magazynowania w cynomyśli - ledwie widział.

- To już - powiedział Clubs, a jego głos wydawał się stłumiony... Kolejna cynomyśl odbierała

Sazedowi słuch. - W końcu odeszli.

Sazed milczał przez chwilę, próbując zrozumieć to stwierdzenie. Jego myśli poruszały się powoli, jak w gęstej zupie, i dopiero po chwili zrozumiał, co powiedział Clubs. Odeszli, oddziały Straffa. Wycofali się. Zakaszłał cicho, zanim odpowiedział.

- Czy odpowiedział na wiadomości od lorda Penroda?

- Nie - odparł Clubs. - Ale stracił ostatniego posłańca.

To nie może być dobry znak, pomyślał Sazed. Oczywiście, przez ostatnie kilka dni nie mieli wielu dobrych wieści. Miasto znajdowało się na krawędzi śmierci głodowej, a ciepłe dni należały do przeszłości. Przewidywał, że wieczorem spadnie śnieg. Ta świadomość zwiększyła poczucie winy Sazed - oto siedział w zakątku kuchni, przy ciepłym piecu i popijał bulion, podczas gdy jego metalmyśli odbierały mu siłę, zdrowie, zmysły i kojarzenie. Rzadko próbował napełnić tak wiele na raz.

- Nie wyglądasz za dobrze - zauważył Clubs, siadając.

Sazed zamrugał, powoli rozważając tę uwagę.

- Moja... złotomyśl - powiedział rozwleknie. - Odbiera mi zdrowie, magazynując je. -

Spojrzał na miskę z bulionem. - Muszę jeść, by zachować siłę - stwierdził, nastawiając się psychicznie, by upić łyk.

To był dziwny proces. Jego myśli poruszały się tak powoli, że minęła dłuższa chwila, nim zdecydował, że jednak wypije bulion. Później jego ciało zareagowało równie wolno, minęło kilka kolejnych chwil, nim ręka się poruszyła. Nawet wówczas mięśnie drżały, ich siłę odbierała i przechowywała cynołowiomysł. W końcu udało mu się unieść łyżkę do ust i pociągnąć łyk. Zupa mu nie smakowała - napełniał również węch, a bez niego zmysł smaku był

znacznie ograniczony.

Powinien się położyć, wtedy jednak mógłby zasnąć. A przez sen nie mógł napełniać metalmyśli - to znaczy, mógł napełniać tylko jedną. Brązomyśl, metal, który przechowywał

przytomność, zmusiłaby go do dłuższego snu w zamian za możliwość radzenia sobie bez niego kiedy indziej.

Sazed westchnął, ostrożnie odłożył łyżkę i zakaszłał. Zrobił wszystko, by pomóc uniknąć konfliktu. Jego najlepszym planem było wysłanie listu do lorda Penroda i zachęcenie go do poinformowania Straffa Venture, że Vin opuściła miasto. Miał nadzieję, że Straff zdecyduje się wówczas na porozumienie. Najwyraźniej ta taktyka nie okazała się skuteczna. Od wielu dni nie mieli odpowiedzi.

Ich zagłada nadchodziła niczym nieunikniony wschód słońca. Penrod pozwolił trzem oddzielnym grupom mieszkańców miasta - w tym jednej składającej się ze szlachetnie urodzonych - na próbę



ucieczki z Luthadel. Żołnierze Straffa, ostrożniejsi po ucieczce Elenda, pochwycili i wyróżnili każdą z nich. Penrod posłał nawet wiadomość do lorda Jastesa Lekala, mając nadzieję na zawarcie porozumienia z panem z południa, lecz posłaniec nie wrócił z obozu kolosów.

- Cóż - powiedział Clubs - przynajmniej zyskaliśmy kilka dni.

Sazed zastanawiał się przez chwilę.

- Po prostu opóźniliśmy to co nieuniknione.

- Owszem - zgodził się Clubs. - Ale to było ważne opóźnienie. Elend i Vin znajdują się prawie cztery dni drogi od miasta. Gdyby walki zaczęły się zbyt szybko, mógłbym się założyć, że mała panna Zrodzona z Mgły wróciłaby i dała się zabić, próbując nam pomóc.

- Ach, tak - powiedział powoli Sazed, zmuszając się do sięgnięcia po kolejną łyżkę bulionu. Łyżka była martwym ciężarem w odrętwiałych palcach. Zmysł dotyku oczywiście magazynował w cynomyśli. - Jak obrona miasta? - spytał, walcząc z łyżką.

- Koszmarnie - powiedział Clubs. - Dwadzieścia tysięcy żołnierzy wydaje się dużą liczbą, ale spróbuj rozmieścić ich w tak dużym mieście.

- Ale kolosy nie będą mieć machin oblężniczych - powiedział Terrisanin, nadal skupiony na łyżce. - Ani łuczników.

- Tak. Ale my mamy osiem bram do obrony... z czego pięć od strony kolosów. Żadna z nich nie została zbudowana, by powstrzymać atak. A obecnie nie mogę umieścić więcej niż parę tysięcy strażników przy każdym wrotach, gdyż nie wiem, z której strony nadejdzie atak.

- Ach - powiedział cicho Sazed.

- A czego się spodziewałeś, Terrisaninie? - spytał Clubs. - Dobrych wieści? Kolosy są większe, silniejsze i o wiele bardziej szalone od nas. I mają przewagę liczebną.

Sazed zamknął oczy, gdy łyżka znajdowała się w połowie drogi do ust. Nagle poczuł

słabość niezwiązaną z metalnymi. Dlaczego nie pojechała z nimi? Dlaczego nie uciekła?

Gdy otworzył oczy, zobaczył, jak Clubs macha na służącą i prosi o coś do jedzenia.

Dziewczyna wróciła z miską zupy. Generał popatrzył na nią z niechęcią, lecz uniósł

powykrzywianą dłoń i zaczął siorbać. Posłał spojrzenie Sazedowi.

- Oczekujesz przeprosin, Terrisaninie? - spytał między łykami.

Sazed przez chwilę siedział wstrząśnięty.

- Wcale nie, lordzie Cladencie - powiedział w końcu.

- Dobrze. Jesteś przyzwoitym człowiekiem. Tylko zdezorientowanym.

Sazed popijał z uśmiechem zupę.

- To miłe słowa. Tak sędzę. - Zastanawiał się przez chwilę. - Lordzie Cladencie. Mam dla ciebie religię.

Clubs się skrzywił.

- Nigdy się nie poddajesz, co?

Sazed spuścił wzrok. Minęła chwila, nim przypomniał sobie to, o czym myślał wcześniej.

- To, co powiedziałaś wcześniej, lordzie Cladencie. O moralności sytuacyjnej. To sprawiło, że pomyślałem o religii zwanej Dadradah. Jej wyznawcy wierzyli, że jest tylko jeden Bóg i tylko jeden właściwy sposób wyznawania wiary.

Clubs prychnął.

- Naprawdę nie interesuje mnie jedna z twoich martwych religii, Terrisaninie. Myślę, że...

- Byli artystami - powiedział cicho Sazed.

Generał się zawahał.

- Uważali, że sztuka zbliża człowieka do Boga - dodał Sazed. - Najbardziej interesowały ich barwy i odcienie, lubili tworzyć poezję opisującą kolory, które widzieli w otaczającym ich świecie.

Clubs milczał.

- Dlaczego nauczasz mnie tej religii? - spytał w końcu. - Dlaczego nie wybierzesz innej, prostej jak ja? Albo takiej, która wielbi wojnę i żołnierzy?

- Ponieważ, lordzie Cladencie - odpowiedział Sazed. Zamrugał, z trudem przywołując wspomnienia. - Ty taki nie jesteś. Musisz to robić, ale nie jesteś taki. Myślę, że ludzie zapomnieli, że byłeś stolarzem. Artystą. Kiedy mieszkaliśmy w twoim sklepie, często widziałem, jak wykańczasz to, co wyrzeźbili twoi uczniowie. Widziałem, jak się troszczyłeś.

Ten sklep nie był dla ciebie tylko przykrywką. Wiem, że za nim tęsknisz.

Clubs nie odpowiedział.

- Musisz żyć jako żołnierz - mówił dalej Sazed, z trudem wyciągając coś zza pasa. - Ale wciąż

możesz marzyć jak artysta. Proszę. Zrobiłem to dla ciebie. To symbol wiary Dadradah.

Dla jej wyznawców artyści byli ważniejsi nawet od kapłanów.

Położył na stole drewniany dysk. Później z trudem uśmiechnął się do Clubs. Od dawna nie głosił żadnej religii i nie był pewien, co skłoniło go do zwrócenia się do generała. Może chciał sam sobie udowodnić, że wiara ma wartość. Może chodziło o upór, reakcję na to, co Clubs powiedział wcześniej. Tak czy inaczej, ucieszył go sposób, w jaki generał wpatrywał się w prosty drewniany dysk z wyrzeźbionym na nim pędzlem.

Kiedy ostatnio głosiłem religię, pomyślał, byłem w tej wiosce na południu, w której znalazł mnie Marsh.

A co się właściwie z nim stało? Dlaczego nie wrócił do miasta?

- Twoja kobieta cię szukała - stwierdził w końcu Clubs, podnosząc wzrok. Zostawił krążek na stole.

- Moja kobieta? - powiedział Sazed. - Nie jesteśmy... - Zamilkł, gdy Clubs na niego spojrział.

Stary generał był mistrzem znaczących spojrzeń.

- Dobrze - westchnął w końcu Sazed.

Spojrzał na palce i dziesięć błyszczących pierścieni. Cztery zrobiono z cyny - wzrok, słuch, węch i dotyk. Nadal je napełniał - osłabienie zmysłów mu bardzo nie zaszkodzi. Uwolnił

jednak cynooolowiomyśl, podobnie jak stalmyśl i cynkmyśl.

Natychmiast poczuł, jak siła wypełnia jego ciało. Mięśnie przestały wiotczeć, stał się zdrowym mężczyzną. Powróciła jasność umysłu, a gęsta powolność rozproszyła się. Wstał i wyprostował się.

- To fascynujące - mruknął Clubs.

Sazed spojrział na niego z góry.

- Widziałem przemianę - stwierdził Clubs. - Twoje ciało nabrało sił, a wzrok się skupił.

Ręce przestały drżeć. Nie chciałeś spotkać się z tą kobietą nie w pełni sił, co? Doskonale cię rozumiem.

Clubs chrząknął i wrócił do jedzenia.

Sazed pożegnał się z nim i wyszedł z kuchni. Nadal wydawało mu się, że zamiast rąk i nóg ma nieczułe kłody. Jednakże przepełniała go energia. Wystarczył prosty kontrast i człowiek czuł się niezwyciężony.

A nic nie mogło go tak szybko otrzeźwić, jak perspektywa spotkania z ukochaną kobietą. Dlaczego Tindwyl została? A jeśli była zdecydowana nie wracać do Terris, dlaczego unikała go przez ostatnie kilka dni? Czy była wściekła, że odesłał Elenda? Czy rozczarowana, że on sam zdecydował się pozostać?

Znalazł ją w wielkiej sali balowej Twierdzy Venture. Zatrzymał się na moment, ulegając jak zwykle niekwestionowanemu majestatowi sali. Przez chwilę uwalniał cynomyśl wzroku, po czym zdjął okulary i rozejrzał się wokół.

Ogromne, prostokątne witrażowe okna sięgały do sklepienia po obu stronach wielkiej sali. Stojący na uboczu Sazed czuł się przytłoczony przez potężne kolumny wspierające niewielką galerię biegnącą pod oknami po obu stronach sali. Każdy fragment kamienia wydawał się rzeźbiony, każda płytką włączona w taką czy inną mozaikę, a każdy odłamek szkła barwiony, by migotać w promieniach popołudniowego słońca.

Tyle czasu minęło... pomyślał. Gdy po raz pierwszy zobaczył tę salę, eskortował Vin na jej pierwszy bal. Wtedy właśnie, gdy grała rolę Valette Renoux, poznała Elenda. Sazed złązał

ją, że nieostrożnie przyciągnęła uwagę kogoś tak potężnego.

A teraz sam pobłogosławił ich małżeństwo. Uśmiechnął się, znów założył okulary i zaczął napełniać cynomyśl wzroku. Niech Zapomniani Bogowie was strzegą, dzieci.

Wykorzystajcie naszą ofiarę, jeśli wam się uda.

Tindwyl stała na środku sali i rozmawiała z Docksonem oraz grupą urzędników.

Tłoczyli się wokół dużego stołu, a gdy Sazed się zbliżył, zobaczył, co zostało na nim rozłożone.

Mapa Marsha, pomyślał. Była to rozległa i dokładna mapa Luthadel, zawierająca również notatki na temat działalności Zakonu. Sazed przechowywał obraz mapy i jej dokładny opis w jednej z miedziomyśli, a materialną kopię przesłał Synodowi.

Tindwyl i towarzyszący jej urzędnicy pokryli wielką mapę własnymi notatkami. Sazed zbliżył się do nich powoli. Gdy kobieta go zobaczyła, natychmiast gestem zaprosiła go bliżej.

- Ach, Sazedzie - powiedział Dockson rzeczowym tonem, który z powodu osłabionego słuchu wydał się Sazedowi stłumiony. - Dobrze. Podejdz tu, proszę.

Sazed wkroczył na parkiet dla tancerzy i dołączył do osób zebranych przy stole.

- Rozmieszczenie wojsk? - spytał.

- Penrod przejął dowodzenie nad naszą armią - wyjaśnił Dockson. - I ustanowił

szlachetnie urodzonych dowódcami wszystkich dwudziestu batalionów. Nie jesteśmy pewni, czy nam się to podoba.

Sazed przyjrzał się zebranych przy stole. Była to grupa skrybów, osobiście wyszkolonych przez Docksona - sami skaa. Bogowie, pomyślał Sazed. Mam nadzieję, że nie planują rebelii.

- Nie rób takiej przerażonej miny - powiedział Dockson. - Nie planujemy niczego szczególnie drastycznego... Penrod pozwala Clubsowi zaplanować obronę miasta i najwyraźniej przyjmuje rady swoich dowódców. Poza tym, za późno już na to, by próbować czegoś bardziej ambitnego.

Dox wydawał się niemal rozczarowany.

- Jednak - dodał mężczyzna, wskazując na mapę - nie ufam tym dowódcom, których mianował. Nie mają pojęcia o wojnie... ani nawet o przeżyciu. Spędzili życie na zamawianiu trunków i urządzaniu przyjęć.

Dlaczego tak bardzo ich nienawidzisz? - pomyślał Sazed. Jak na ironię, z całej ekipy Dockson najbardziej przypominał szlachetnie urodzonego. Wystawiał się lepiej niż Clubs i Spook, a surdut leżał na nim lepiej niż na Breezie. Wyróżniał go jedynie upór w noszeniu bardzo mało arystokratycznej bródki.

- Szlachetnie urodzeni być może nie mają doświadczenia wojennego - wtrącił Sazed - ale, jak sądzę, umieją dowodzić.

- To prawda - przyznał Dockson. - Ale my też. Dlatego chcę, żeby jeden z naszych ludzi stał przy każdej z bram, na wypadek gdyby sprawy poszły źle i ktoś naprawdę kompetentny musiał przejąć dowodzenie.

Wskazał na stół, w stronę jednej z bram. Stalowej. Obok niej narysowano symbol tysiąca ludzi w szyku obronnym.

- Twój batalion, Sazedzie. Stalowa Brama to najodleglejsza z tych, do których mogą dotrzeć kolosy, więc być może nie zobaczysz żadnej walki. Lecz kiedy zacznie się bitwa, chcę, żebyś był tam z grupą posłańców i przesłał informację do Twierdzy Venture, gdyby twoja brama została zaatakowana. Punkt dowodzenia ustanowimy tutaj, w sali balowej... łatwo się do niej dostać przez te szerokie drzwi i zmieści się w niej dużo ludzi.

I był to niezbyt subtelny policzek dla Elenda Venture i ogółu szlachetnie urodzonych -

wykorzystanie tak pięknej sali jako miejsca dowodzenia działaniami wojennymi. Nic dziwnego, że poparł mój pomysł, by odesłać Elenda i Vin. Bez nich jest niekwestionowanym dowódcą ekipy Kelsiera.

To nie było takie złe. Dockson był geniuszem organizacji i mistrzem błyskawicznego planowania. Miał też jednak pewne uprzedzenia.

- Wiem, że nie lubisz walczyć, Saze - powiedział Dockson, opierając ręce o stół. - Ale potrzebujemy cię.

- Sądzę, że on przygotowuje się do bitwy, lordzie Docksonie - zauważyła Tindwyl, spoglądając na Sazedę. - Te pierścienie na palcach wyraźnie zdradzają jego intencje.

Spojrzał na nią ponad stołem.

- A gdzie jest twoje miejsce w tym wszystkim, Tindwyl?

- Lord Dockson przyszedł do mnie po radę - wyjaśniła. - Sam nie ma wielkiego doświadczenia wojennego i zapragnął poznać rzeczy, jakich dowiedziałam się o generałach z przeszłości.

- Ach, tak. - Sazed odwrócił się do Docksona, marszcząc w zamyśleniu czoło. W końcu pokiwał głową. - Dobrze. Wezmę udział w twoim projekcie, ale muszę ostrzec cię przed podziałami. Proszę, powiedz swoim ludziom, by nie występowali przeciwko łańcuchowi dowodzenia, chyba że okaże się to absolutnie konieczne.

Dockson pokiwał głową.

- A teraz, lady Tindwyl - powiedział Sazed - czy możemy porozmawiać przez chwilę prywatnie?

Pokiwała głową. Przeprosili zebranych i weszli pod najbliższą galeryjkę. W cieniach, za jedną z kolumn, Sazed odwrócił się do Tindwyl. Wyglądała nieskazitelnie - była taka spokojna i opanowana - mimo ciężkiej sytuacji. Jak to robiła?

- Magazynujesz sporo atrybutów, Sazedzie - zauważyła, spoglądając znów na jego palce. - Z pewnością masz jakieś inne metalmyśli z dawniejszych czasów?

- Wykorzystałem całą przytomność i prędkość w drodze do Luthadel - odpowiedział. - I w ogóle nie mam zdrowia... zużyłem resztki, by pokonać chorobę, na którą zapadłem, nauczając na południu. Przez cały czas miałem zamiar napełnić kolejną metalmyśl, ale byliśmy zbyt zajęci. Mam spory zapas siły i ciężaru, podobnie jak duży wybór cynomyśli. Mimo to sądzą, że człowiek nigdy nie może być dobrze przygotowany.

- Być może - odparła. Spojrzała na zgromadzonych wokół stołu. - Jeśli dzięki temu możemy myśleć o czymś innym niż nieuniknione, to moim zdaniem przygotowania mają sens.

Sazedę przeszył dreszcz.

- Tindwyl - powiedział cicho. - Dlaczego zostałeś? Nie ma tu dla ciebie miejsca.

- Dla ciebie również, Sazedzie.

- To moi przyjaciele - powiedział. - Nie opuszczę ich.

- To dlaczego przekonałeś ich przywódców, by odeszli?

- By uciekli i przeżyli - stwierdził.

- Przeżycie to nie jest luksus, na który może sobie pozwolić wielu przywódców -

powiedziała. - Kiedy przyjmują oddanie innych, muszą przyjąć też odpowiedzialność, która się z tym wiąże. Ludzie zginą... ale nie muszą ginąć w poczuciu, że zostali zdradzeni.

- Nie zostali...

- Spodziewają się, że zostaną uratowani, Sazedie - wysyczała cicho. - Nawet tamci...

nawet Dockson, najbardziej praktyczny z całej bandy... myślą, że przeżyją. I wiesz dlaczego?

Ponieważ w głębi duszy wierzą, że coś ich uratuje. Coś, co uratowało ich już wcześniej, jedyna pozostałość Ocalałego. Ona jest dla nich nadzieją. A ty ją odesłałeś.

- By przeżyła, Tindwyl - powtórzył Sazed. - Śmierć Vin i Elenda byłaby wielkim marnotrawstwem.

- Nadzieja nigdy nie jest marnotrawstwem - sprzeciwiła się. Jej oczy błyszczały. -

Myślałem, że kto jak kto, ale ty to zrozumiesz. Myślisz, że to upór utrzymał mnie przy życiu przez te wszystkie lata w rękach Hodowców?

- A czy to upór, czy nadzieja zatrzymały cię teraz w mieście? - spytał.

Podniosła na niego wzrok.

- Ani to, ani to.

Sazed patrzył na nią przez dłuższą chwilę. W sali balowej trwała dyskusja, głosy zebranych odbijały się echem od ścian. Promienie światła z okien odbijały się od marmurowych podłóg, padając na ściany. Sazed powoli, niezręcznie objął Tindwyl.

Westchnęła i pozwoliła się przytulić.

Uwolnił cynomyśli i zmysły powróciły wielką falą.

Miękkość jej skóry i ciepło jej ciała otoczyły go, gdy wtuliła się w niego, opierając mu głowę o pierś. Zapach jej włosów - nieperfumowanych, ale czystych i świeżych - wypełnił jego nozdrza, jako pierwsza woń od trzech dni. Niezręcznie zdjął okulary, by móc zobaczyć ją wyraźniej. Gdy powrócił słuch, wyraźnie usłyszał jej oddech.

- Wiesz, dlaczego cię kocham, Sazedie? - spytała cicho.

- Nie mam pojęcia - odpowiedział szczerze.

- Ponieważ nigdy się nie poddajesz - stwierdziła. - Inni mężczyźni są silni jak cegły...

twardzi, nieustępliwi, lecz jeśli będziesz w nich uderzać raz za razem, w końcu pękną. Ty... ty jesteś

silny jak wiatr. Zawsze obecny, skłonny się ugiąć, ale nigdy nie przeproszasz, gdy musisz być twardy. Nie sądzę, by twoi przyjaciele rozumieli, jaką siłę w tobie mieli.

Mieli, pomyślał. Ona już myśli o tym wszystkim w czasie przeszłym. I... wydaje się to właściwe.

- Boję się, że tym razem to co mam nie wystarczy, by ich uratować - wyszeptał.

- Wystarczyło jednak, by uratować troje z nich - sprzeciwiła się. - Popelniłeś błąd, odsyłając ich...  
Może jednak postąpiłeś słusznie?

Sazed zamknął oczy i tulił ją, przeklinając za to, że została, a jednocześnie za to kochając.

I wtedy właśnie usłyszeli bębny.

*I dlatego podjąłem ostateczne ryzyko.*



Zamglony, czerwony blask poranka był czymś, co nie powinno istnieć. Mgły ginęły przed świtem. Ciepło sprawiało, że wyparowywały - nawet zamknięcie w komnacie sprawiało, że skraplały się i znikały. Nie powinny były wytrzymać promieni wschodzącego słońca.

A jednak tak się stało. Im bardziej oddalali się od Luthadel, tym dłużej mgły pozostawały o poranku. Zmiana nie była wielka - oddalili się od miasta zaledwie o kilka dni drogi - lecz Vin wiedziała. Widziała różnicę. Tego ranka mgły wydawały się silniejsze niż się spodziewała - nie rozrzedziły się nawet gdy weszło słońce. Zasłaniały je.

Mgła, pomyślała. Głębia. Miała coraz większą pewność, że się nie myli. Głębia nie była potworem ani tyranem, lecz siłą bardziej naturalną - i przez to bardziej przerażającą. Istotę dawało się zabić. Mgły... były o wiele bardziej onieśmielające. Głębia nie uciskała przez kapłanów, lecz wykorzystywała przesady ludu. Nie zabijała za pomocą armii, lecz przez zagłodzenie.

Jak można walczyć z czymś większym od kontynentu? Czymś, co nie czuło gniewu, bólu, nadziei ani litości?

Jednak takie właśnie było zadanie Vin. Siedziała w ciszy na wielkim głazie obok ogniska z wczorajszego wieczora. Przyciągnęła kolana do piersi. Elend wciąż spał, a Spook ruszył na zwiad.

Już nie kwestionowała swojej roli. Albo oszalała, albo była Bohaterem Wieków.

Musiała pokonać mgły. Jednak... pomyślała, marszcząc czoło. Czy dudnienie nie powinno się stawać głośniejsze? Im dłużej podróżowali, tym było słabsze. Czy się spóźniła? Czy przy Studni wydarzyło się coś, co osłabiło jej moc? Czy zabrał ją już ktoś inny?

Musimy jechać dalej.

Ktoś inny na jej miejscu być może zadałby sobie pytanie, dlaczego został wybrany. Vin знаła kilku ludzi, w szajce Camona i w rządzie Elenda, którzy narzekali za każdym razem, kiedy dostali jakieś zadanie. „Czemu właśnie ja?” - pytali. Niepewni siebie sądzili, że nie są wystarczająco dobrzy. Leniwi chcieli się wymigać do roboty.

Vin nie uważała się za szczególnie pewną siebie czy pełną motywacji. Mimo to nie widziała sensu w pytaniu dlaczego. Życie nauczyło ją, że czasem różne rzeczy po prostu się działy. Czasem nie było szczególnego powodu, gdy Reen ją bił. A poza tym znajomość powodów wcale nie pocieszała. Wyraźnie widziała, dlaczego Kelsier musiał zginąć, ale przez to nie przestawała za nim tęsknić.

Miała swoje zadanie. Może go nie rozumiała, ale mimo wszystko była przekonana, że musi spróbować je wykonać. Miała tylko nadzieję, że kiedy nadejdzie czas, będzie wiedziała, co zrobić. Choć dudnienie stawało się coraz słabsze, nigdy nie zniknęło. Przyciągało ją. Do Studni Wstąpienia.

Za sobą czuła drobniejsze wibracje ducha mgły. Zniknął dopiero wraz z samymi mgłami.

Towarzyszył jej przez cały ranek, stojąc tuż za jej plecami.

- Czy znasz tajemnicę tego wszystkiego? - spytała cicho, odwracając się w stronę ducha pośród czerwonych mgieł. - Czy masz...

Allomantyczne pulsowanie dochodziło z namiotu, który dzieliła z Elendem.

Vin zeskoczyła z kamienia, wylądowała na oszronionej ziemi i popędziła do namiotu.

Otworzyła klapy. Elend spał w środku, jego głowa ledwo wystawała spod koców. Mgła wypełniała namiot, wirowała i kłębiła się - już to było dziwne. Mgły zazwyczaj nie wpływały do namiotów.

I oto, pośrodku mgły, ujrzało widmo. Bezpośrednio nad Elendem.

Z jednej strony wcale go nie było. Duch był jedynie zarysem sylwetki we mgle, powtarzalnym wzorcem utworzonym przez jej chaotyczny ruch. A jednak był prawdziwy.

Czuła go i widziała - widziała, gdy podniósł wzrok i spojrzał na nią niewidzialnymi oczyma.

Oczyma pełnymi nienawiści.

Widmo uniosło niematerialną rękę i Vin ujrzała błysk. Natychmiast zareagowała.

Wyciągnęła sztylet, wpadła do namiotu i zamachnęła się. Trafiła w coś namacalnego w dłoni ducha. Rozległ się metaliczny brzęk i Vin poczuła, jak jej ramię drętwieje. Całe jej ciało pokryła gęsia skórka.

I stwór zniknął. Rozpłynął się niczym brzęk jego jakimś sposobem materialnego ostrza.

Vin zamrugała, odwróciła się i wyjrzała na zewnątrz. Mgły zniknęły, dzień w końcu zwyciężył.

Niewiele zwycięstw mu już pozostało.

- Vin? - spytał z ziewnięciem Elend. Poruszył się na posłaniu.

Uspokoiła oddech. Duch zniknął. Światło dnia oznaczało bezpieczeństwo. Niegdyś to noce uważałam za bezpieczne, pomyślała. Kelsier mi je podarował.

- Co się stało? - spytał Elend.

Jak ktoś, nawet szlachetnie urodzony, mógł tak powoli wstawać, tak mało przejmować się swoją podatnością na ciosy podczas snu?

Schowała sztylet do pochwy. Co mu powiem? Jak mogę go ochronić przed czymś, czego właściwie nie widzę? Musiała się zastanowić.

- Nic takiego - odparła cicho. - To tylko ja... znowu moja nerwowość.

Elend położył się na drugim boku, wzdychając z zadowoleniem.

- Spook wyszedł na zwiad?

- Tak.

- Obudź mnie, kiedy wróci.

Vin pokiwała głową, ale i tak pewnie jej nie widział. Uklękła i wpatrywała się w niego, a za jej plecami wschodziło słońce. Oddała się mu - nie tylko ciałem i nie tylko sercem.

Porzuciła swoje racjonalizacje, pozbyła się rezerwy, wszystko dla niego. Nie mogła sobie pozwolić na myślenie, że nie jest go warta, nie mogła mamić się fałszywym pocieszeniem, że nigdy nie będą mogli żyć razem.

Nigdy wcześniej nikomu tak nie zaufała. Ani Kelsierowi, ani Sazedowi, ani Reenowi.

Elend miał wszystko. Ta wiedza sprawiła, że Vin zadrżała. Gdyby go straciła, straciłaby samą siebie.

Nie wolno mi o tym myśleć, powiedziała sobie i wstała. Wyszła z namiotu, cicho opuszczając za sobą klapy. W pewnej odległości poruszyły się cienie. Chwilę później ujrzała Spooka.

- Ktoś na pewno za nami jest - powiedział cicho. - Nie duchy, Vin. Pięciu mężczyzn, obóz.

Nachmurzyła się.

- Śledzą nas?

- Na pewno.

Zwiadowcy Straffa, pomyślała.

- Niech Elend zdecyduje, co z nimi zrobić.

Spook wzruszył ramionami i podszedł do jej kamienia.

- Obudzisz go?

Odwróciła się w stronę namiotu.

- Niech jeszcze trochę pośpi.

Znów wzruszył ramionami. Przyglądał się, jak Vin idzie do ogniska i odkrywa drewno, które przykryli poprzedniego wieczoru, po czym zaczyna rozpalać ogień.

- Zmieniłaś się, Vin - zauważył.

Nie przerywała pracy.

- Wszystko się zmienia - stwierdziła. - Już nie jestem złodziejką i mam wsparcie w przyjaciółach.

- Nie o to mi chodziło - wyjaśnił. - Tylko o ostatnie dni. Ten tydzień. Wydajesz się inna niż wcześniej.

- W jakim sensie?

- Nie wiem. Nie wydajesz się tak przestraszona przez cały czas.

Zawahała się.

- Podjęłam pewne decyzje. O tym, kim jestem i kim będę. Czego pragnę.

Przez chwilę pracowała w milczeniu i w końcu udało jej się rozpaścić pierwszy płomyk.

- Mam już dość znoszenia głupoty - powiedziała. - Głupoty innych i swojej własnej.

Postanowiłam działać, a nie przewidywać. Może to bardziej niedojrzałe podejście. Ale w tej chwili wydaje się właściwe.

- To nie jest niedojrzałe - stwierdził Spook.

Uśmiechnęła się, spoglądając na niego. Miał szesnaście lat i ciało, które wciąż wydawało się dla niego za duże. W tym samym wieku została zwerbowana przez Kelsiera.

Mrużył oczy, mimo że słońce dopiero wznosiło się nad horyzont.

- Przygaś cynę - powiedziała. - Nie ma sensu tak mocno jej spalać.

Wzruszył ramionami. Wyczuwała jego niepewność. Tak bardzo chciał być przydatny.

Znała to uczucie.

- A co z tobą, Spook? - powiedziała, odwracając się, by przygotować śniadanie. Jak co dzień, bulion i podpłomyki. - Jak się czujesz?

Znów wzruszył ramionami.

Prawie już zapomniałam, jak to jest rozmawiać z nastoletnim chłopakiem, pomyślała z uśmiechem.

- Spook... - powiedziała, sprawdzając brzmienie tego słowa. - A właściwie, co myślisz o tym przyzwisku? Pamiętam, jak wszyscy używali twojego prawdziwego imienia.

Lestibournes - Vin próbowała je kiedyś przeliterować. Doszła do piątej litery.

- Kelsier nadał mi imię - powiedział Spook, jakby to był wystarczający powód, by je zatrzymać.

I może tak właśnie było. Vin widziała wyraz oczu chłopaka, gdy wspominał Kelsiera.

Clubs był wujem Spooka, lecz to Kelsier był dla niego autorytetem.

Oczywiście, był nim dla wszystkich.

- Chciałbym być potężny, Vin - powiedział cicho, splatając ręce na kolanach. - Jak ty.

- Masz własne umiejętności.

- Cyna? - spytał. - Niemal bezużyteczna. Gdybym był Zrodzonym z Mgły, mógłbym zrobić coś wielkiego. Być kimś ważnym.

- Bycie kimś ważnym wcale nie jest takie cudowne, Spook - powiedziała Vin, wsłuchując się w dudnienie w głowie. - Przez większość czasu jest irytujące.

- Gdybym był Zrodzonym z Mgły, mógłbym ratować ludzi... pomagać ludziom, którzy tego potrzebują. Ratować ludzi przed śmiercią. Ale... jestem tylko Spookiem. Słabeuszem.

Tchórzem.

Vin spojrzała na niego, marszcząc czoło, lecz on opuścił głowę i nie chciał spojrzeć jej w oczy.

Zastanawiała się, o co w tym wszystkim chodzi.

\*\*\*

Sazed wykorzystał odrobinę siły, by wbiegać po trzy stopnie na raz. Wypadł z klatki schodowej tuż za Tindwyl, oboje dołączyli do reszty ekipy na szczycie muru. Bębny wciąż dudniły - każdy miał swój charakterystyczny rytm. Ich uderzenia odbijały się echem od budynków i ulic.

Bez armii Straffa północny horyzont wydawał się nagi. Gdyby tylko taka sama pustka rozciągała się na północnym wschodzie, gdzie w obozie kolosów panował zamęt.

- Czy ktoś widzi, co się tam dzieje? - spytał Breeze.

Ham potrzęsnał głową.

- Za daleko.

- Jeden z moich ludzi jest Cynookim - stwierdził Clubs, kuśtykając w ich stronę. -

Podniósł alarm. Mówi, że kolosy walczą.

- Mój drogi - odezwał się Breeze - czy te paskudne stwory nie walczą bez przerwy?

- Więcej niż zazwyczaj - wyjaśnił generał. - Potężna bijatyka.

Sazed poczuł przypływ nadziei.

- Walczą? Może pozabijają się między sobą.

Clubs posłał mu jedno ze swoich spojrzeń.

- Przeczytaj którąś ze swoich ksiąg, Terrisaninie. Co mówią o uczuciach kolosów?

- Znają tylko dwa - odparł Sazed. - Nuda i wściekłość. Ale...

- Zawsze w taki sposób zaczynają bitwę - wtrąciła cicho Tindwyl. - Zaczynają walczyć między sobą, pobudzają do wściekłości coraz większą liczbę swoich braci, a później...

Umilkła i wtedy Sazed to zobaczył. Czarna smuga na horyzoncie stała się jaśniejsza.

Rozproszyła się. Podzieliła na pojedynczych członków.

Szarżujących na miasto.

- A niech to piorun trzaśnie! - zaklął Clubs i zaczął pośpiesznie kuśtykać na dół. -

Wysłać posłańców! - ryknął. - Łucznicy na mury! Zabezpieczyć kraty na rzece! Bataliony, na pozycje! Przygotować się do walki! Chcecie, żeby te stwory się przebiły i dopadły waszych dzieci?!

Zapanował chaos. Ludzie zaczęli biegać we wszystkie strony. Żołnierze wspinali się na mury, blokując przejście i zatrzymując ekipę na miejscu.

Zaczęło się, pomyślał tępo Sazed.

- Kiedy schody się odblokują - powiedział cicho Dockson - chcę, żebyście poszli do swoich batalionów. Tindwyl, ty masz Bramę Cynową, na północy przy Twierdzy Venture.

Później mogę potrzebować twojej rady, ale na razie zostań z chłopakami. Wysłuchają cię, szanują Terrisan.

Breeze, masz swoich Uspokajaczy w każdym z batalionów od czwartego do dwunastego?

Breeze pokiwał głową.

- Ale nie są za szczególnie...

- Niech tylko sprawią, żeby chłopaki walczyli! - powiedział Dockson. - Nie pozwolą naszym ludziom się załamać!

- Tysiąc żołnierzy to stanowczo za dużo dla jednego Uspokajacza, przyjacielu -

zauważył Breeze.

- Niech robią co mogą - odparł Dockson. - Ty i Ham idźcie do Bramy Cynowo-Ołowiowej i Cynkowej... Wygląda na to, że tam kolosy uderzą na początku. Clubs powinien sprowadzić posiłki.

Obaj pokiwali głowami. Wtedy Dockson spojrział na Sazedę.

- Wiesz, gdzie masz iść?

- Tak... tak sędzę - odparł Terrisanin, chwytając się muru. Z nieba zaczęły spadać płatki popiołu.

- To idź! - powiedział Dockson, gdy ostatni oddział łuczników wszedł na szczyt murów.

\*\*\*

- Milordzie Venture!

Straff się odwrócił. Wykorzystując pewne substancje stymulujące, potrafił przez cały dzień utrzymać się w siodle - choć nie odważyłby się walczyć. Oczywiście, i tak by nie walczył.

To nie było w jego stylu. Po to miało się armię.

Zwrócił wierzchowca w stronę posłańca. Mężczyzna sapnął i położył dłonie na kolanach, gdy zatrzymał się przed Straffem. Płatki popiołu wznosiły się z ziemi u jego stóp.

- Milordzie - powiedział mężczyzna. - Armia kolossów zaatakowała Luthadel!

Jak mówiłeś, Zane, pomyślał zdziwiony Straff.

- Kolossy atakują? - spytał Janarle, podjeżdżając do Straffa. Przystojny lord zmarszczył czoło, po czym spojrział na Venture. - Spodziewałeś się tego, milordzie?

- Oczywiście - odparł z uśmiechem Straff.

Na Janarlem wywarło to duże wrażenie.

- Przekaż rozkaz naszym ludziom, Janarle - stwierdził Venture. - Chcę, by ta kolumna zawróciła do Luthadel.

- Możemy tam dotrzeć w ciągu godziny! - powiedział Janarle.

- Nie - odparł Straff. - Nie spieszmy się. Chyba nie chcielibyśmy, żeby nasze oddziały się przemęczyły, prawda?

Janarle się uśmiechnął.

- Oczywiście, że nie, milordzie.

\*\*\*

Wyglądało na to, że kolossy są odporne na strzały.

Sazed stał przerażony i sparaliżowany, na szczycie wieży strażniczej na bramie.

Oficjalnie nie dowodził ludźmi, więc nie wydawał rozkazów. Po prostu stał ze zwiadowcami i posłańcami, by się przekonać, czy będzie potrzebny.

Dzięki temu miał mnóstwo czasu, by się przyglądać grozie. Kolosy jeszcze nie atakowały tej części muru i jego ludzie przyglądali się z napięciem, jak stwory pędzą w stronę Bramy Cynowej i Bramy Cynowo-Ołowiowej. I Nawet z takiej odległości - z wieży widział

fragment miasta, gdzie znajdowała się Brama Cynowa - Sazed mógł zobaczyć kolosy biegnące przez deszcz strzał. Niektóre mniejsze padały martwe lub ranne, lecz większość nie przerywała natarcia. Ludzie za jego plecami mamrotali. Nie jesteśmy na to gotowi, pomyślał

Sazed. Mimo miesięcy planowania i oczekiwania, nie jesteśmy gotowi. Takie są skutki rządów boga przez tysiąc lat. Tysiąc lat pokoju - pokoju tyrana, lecz jednak pokoju. Nie mamy generałów, mamy ludzi, którzy umieją zażądać, by przygotowano im kąpiel. Nie mamy taktyków, mamy biurokratów. Nie mamy wojowników, mamy chłopców z kijkami. Nawet teraz, gdy przyglądał się nadchodzącej zagładzie, jego umysł uczonego pracował. Sięgając do wzroku, widział, że wiele z istot - szczególnie tych większych - niesie wyrwane z korzeniami drzewka. Byli gotowi, na swój sposób, przebić się do miasta. Drzewa będą mniej skuteczne od taranów - ale też miejskie bramy nie zostały wybudowane, by wytrzymać taranowanie. Te kolosy są bystrzejsze niż nam się wydawało, pomyślał. Znają abstrakcyjną wartość monet, nawet jeśli nie mają gospodarki. Wiedzą, że będą potrzebować narzędzi, żeby obalić wrota, nawet jeśli nie wiedzą, jak i stworzyć te narzędzia.

Pierwsze kolosy dotarły do murów. Ludzie zaczęli zrzucać kamienie i inne przedmioty.

Grupa Sazed miał podobne sterty, jedną tuż obok wieży, przy której stał. Ale strzały nic nie pomogły - co dobrego może uczynić parę kamieni? Kolosy zebrały się u podstawy muru, niczym woda w przegrodzonej rzece. Rozległo się odległe dudnienie, gdy stwory zaczęły dobijać się do wrót.

- Batalion szesnasty! - zawołał z dołu posłaniec, podjeżdżający do bramy Sazed. - Lord Culee!

- Tutaj! - zawołał mężczyzna z muru obok wieży Sazed.

- Brama Cynowo-Ołowiowa potrzebuje natychmiastowego wsparcia! Lord Penrod rozkazuje wam wziąć sześć kompanii i podążać za mną!

Lord Culee zaczął wydawać rozkazy. Sześć kompanii... pomyślał Sazed. Sześć setek z naszego tysiąca. Powróciły do niego wcześniejsze słowa Clubsa. „Dwadzieścia tysięcy żołnierzy wydaje się dużą liczbą, ale spróbuj rozmieścić ich w tak dużym mieście”.

Sześć kompanii odmaszerowało, pozostawiając niepokojącą pustkę na dziedzińcu przy bramie Sazed. Pozostałe cztery setki ludzi - trzy na dziedzińcu i jedna na murze - kręciły się w milczeniu.

Sazed zamknął oczy i sięgnął do słuchowej cynomyśli. Słyszał... drewno uderzające o drewno. Krzyki. Ludzkie krzyki. Szybko uwolnił cynomyśl i znów sięgnął po wzrok. Wychylił



się i spojrział na tę część muru, gdzie trwała bitwa. Kolosy odrzucały z powrotem miotane na nich kamienie - a były o wiele celniejsze od obrońców. Terrisanin podskoczył, gdy zobaczył, jak twarz młodego żołnierza zostaje zmiażdżona, a jego ciało zrzucone z muru. Sazed uwolnił

cynomyśl. Dyszał ciężko.

- Bądźcie silni! - zawołał jeden z żołnierzy na murze. Był młodzikiem... szlachetnie urodzonym, ale nie mógł mieć więcej niż szesnaście lat. Oczywiście, wielu żołnierzy było w tym wieku.

- Bądźcie silni... - powtórzył młody dowódca. Jego głos wydawał się niepewny i męczyzna wkrótce umilkł, gdy zauważył coś na horyzoncie. Sazed odwrócił się, podążając za jego spojrzeniem.

Kolosy zmęczyły się staniem i tłoczeniem przy jednej bramie. Zaczynały okrążyć miasto, duże grupy odłączały się i pokonywały rzekę Channerel w drodze do innych bram.

Takich jak brama Sazed.

\*\*\*

Vin wylądowała dokładnie pośrodku obozu. Rzuciła garść sproszkowanej cyny z ołowiem do ogniska i Odepchnęła, wyrzucając węgielki, sadzę i dym w stronę pary zaskoczonych strażników, którzy przygotowywali śniadanie. Sięgnęła i Przyciągnęła słupki trzech niewielkich namiotów.

Wszystkie trzy się przewróciły. Jeden był pusty, lecz w pozostałych dwóch rozległy się krzyki. Pod płótnem wyraźnie widziała szamotające się, zdeorientowane postaci - jedną wewnątrz większego namiotu, dwie w mniejszym.

Strażnicy wycofali się, unosząc ramiona, by ochronić oczy przed popiołem i iskrami.

Sięgnęli do mieczy. Vin uniosła pięść w ich stronę - a gdy zamrugali, oczyszczając oczy, upuściła na ziemię jedną monetę.

Mężczyźni zamarli, po czym zdjęli dłonie z rękojeści. Vin spojrzała w stronę namiotów.

Dowodzący musiał być w tym większym, i to nim miała się zająć. Pewnie jeden z kapitanów Straffa, choć strażnicy nie nosili symboli rodu Venture. Może...

Z namiotu wysunął głowę Jastes. Głośno przeklinał, wyplątując się z płótna. Zmienił się bardzo przez te dwa lata, od czasu, gdy Vin widziała go ostatni raz. Jednak już wtedy były pewne wskazówki - jego chuda sylwetka stała się patykowata, a zakola zmieniły się w łysinę.

Tylko dlaczego jego twarz wyglądała na tak wynędzniałą... taką starą? Był w wieku Elenda.

- Jastes - powiedział Elend, wychodząc z kryjówki w lesie. Wszedł na polanę ze Spookiem u boku. - Dlaczego tu jesteś?

Jastesowi w końcu udało się wstać, a jego dwaj żołnierze wycięli sobie drogę przez płótno. Odesłał ich gestem ręki.

- El - powiedział. - Ja... nie wiedziałem, gdzie mam pójść. Moi zwiadowcy donieśli, że uciekasz, i uznałem to za dobry pomysł. Gdziekolwiek idziesz, chcę iść z tobą. Może uda nam się ukryć. Możemy...

- Jastes! - warknął Elend, pochodząc do Vin. - Gdzie są twoje kolosy? Czy je odesłałeś?

- Próbowałem - odparł Lekal, spuszczać wzrok. - Nie chciały odejść... Nie, gdy zobaczyły Luthadel. A później...

- Co? - spytał ostro Venture.

- Ogień - powiedział Jastes. - W naszych... wozach z zaopatrzeniem.

Vin zmarszczyła czoło.

- Wozy z zaopatrzeniem? - powtórzył Elend. - Wozy, w których miałeś swoje drewniane monety?

- Tak!

- Na Ostatniego Imperatora, człowieku! - powiedział Venture, robiąc krok do przodu. - I ty je po prostu tam zostawiłeś, bez dowódcy, pod naszym domem?

- Zabiłyby mnie, El! Zaczynały coraz częściej walczyć, żądały więcej monet, żądały, żebyśmy zaatakowali miasto. Gdybym został, zarżnęłyby mnie. To bestie... bestie, które człowieka przypominają tylko sylwetką.

- A ty odszedłeś - powiedział Elend. - Zostawiłeś Luthadel na ich pastwę.

- Ty też je porzuciłeś - zauważył Lekal. Zrobił krok do przodu i błagalnie wyciągnął

ręce. - Posłuchaj, El. Wiem, że popełniłem błąd. Myślałem, że nad nimi panuję. Nie chciałem, żeby do tego doszło!

Elend milczał, a Vin czuła, jak jego spojrzenie twardnieje. Nie była to niebezpieczna twardość, jak u Kelsiera. Raczej królewska postawa. Wrażenie, że był kimś więcej niż chciał

być. Wyprostował się i spojrzał z góry na człowieka, który go błagał.

- Stworzyłeś armię gwałtownych potworów i poprowadziłeś je do ataku, Jastesie -

powiedział Elend. - Doprowadziłeś do rzezi niewinnych wioski. Później opuściłeś tę armię bez przywódcy i kontroli pod największym miastem Ostatniego Imperium.

- Wybacz mi - powiedział Jastes.

Elend spojrział mu w oczy.

- Wybaczam ci - powiedział cicho. Później jednym płynnym gestem wyciągnął miecz i pozbawił Jastesa głowy. - Ale moje królestwo nie może.

Vin patrzyła w osłupieniu, jak trup pada na ziemię. Żołnierze Jastesa krzyknęli i wyciągnęli broń. Elend odwrócił się do nich z poważną twarzą i uniósł zakrwawione ostrze.

- Sądzicie, że przeprowadzenie tej egzekucji było błędem?

Strażnicy się zawahali.

- Nie, milordzie - powiedział w końcu jeden z nich.

Elend ukląkł i wytarł miecz w płaszcz Jastesa.

- Biorąc pod uwagę to, co zrobił, nie zasługiwał na tak szybką śmierć. - Wsunął miecz do pochwy. - Ale był moim przyjacielem. Pochowajcie go. Kiedy skończycie, możecie udać się ze mną do Terris albo wrócić do domów. Wybór należy do was. - Po tych słowach odwrócił się i wszedł do lasu.

Vin spojrzała na strażników, którzy powoli podeszli do trupa. Skinęła na Spooka i pobiegła w głąb lasu za Elendem. Nie musiała iść daleko. Znalazła go na pobliskiej skale.

Wpatrywał się w ziemię. Zaczął padać popiół, lecz większość płatków zatrzymywała się na drzewach, pokrywając ich liście niczym czarny mech.

- Elendzie? - spytała.

Uniósł wzrok i zapatrzył się na drzewa.

- Nie jestem pewien, dlaczego to zrobiłem, Vin - powiedział cicho. - Dlaczego to właśnie ja powinienem wymierzyć sprawiedliwość? Nawet nie jestem królem. A jednak to musiało zostać zrobione. Czuję to. Wciąż to czuję.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

- To pierwszy człowiek, jakiego zabiłem - dodał Elend. - Kiedyś obaj mieliśmy wspaniałe marzenia: połączymy dwa najpotężniejsze arystokratyczne rody, jednocząc Luthadel jak nigdy wcześniej. Nasz sojusz miał się nie opierać na chciwości, lecz być prawdziwym politycznym przymierzem, by uczynić miasto lepszym. - Spojrzał na nią. - Chyba teraz rozumiem, jak ty się czujesz, Vin. W pewnym sensie oboje jesteśmy nożami... narzędziami. Nie dla siebie nawzajem, lecz dla królestwa. Dla ludu.

Objęła go, przytuliła, przyciągnęła jego głowę do swojej piersi.

- Przepraszam - wyszeptała.

- To musiało zostać zrobione - stwierdził. - Najsmutniejsze, że on miał rację. Ja też ich porzuciłem.

Powiniennem odebrać sobie życie tym mieczem.

- Opuściłeś miasto nie bez powodu, Elendzie - powiedziała Vin. - Odszedłeś, by ochronić Luthadel, by Straff go nie zaatakował.

- A jeśli kolosy zaatakują przed Straffem?

- Może tego nie zrobią. Nie mają przywódcy... może zaatakują armię Straffa?

- Nie - powiedział Spook.

Vin odwróciła się i zobaczyła, jak idzie przez las, mrużąc oczy od nadmiaru światła.

Ten chłopak spala stanowczo za dużo cyny, pomyślała.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał Elend, odwracając się.

Spook spuścił wzrok. I

- Nie zaatakują armii Straffa, El. Jej już tam nie będzie.

- Co? - spytała Vin.

- Ja... - Chłopak odwrócił wzrok, na jego twarzy wyraźnie malowało się zawstydzenie.

„Jestem tchórzem”. Powróciły do niej jego wcześniejsze słowa.

- Wiedziałeś - powiedziała. - Wiedziałeś, że kolosy zaatakują!

Pokiwał głową.

- To śmieszne - wtrącił Elend. - Nie mogłeś wiedzieć, że Jastes ruszy za nami.

- Bo nie wiedziałem - odparł Spook. Bryłka popiołu spadła z drzewa za jego plecami, rozsypała się na wietrze i sfrunęła na ziemię setką płatków. - Ale wujek domyślił się, że Straff się wycofa i pozwoli kolosom zaatakować miasto. To dlatego Sazed postanowił nas odesłać.

Vin przeszedł dreszcz.

„Odnalazłem lokalizację Studni Wstąpienia” powiedział Sazed. „Na północy. W górach Terris...”.

- Clubs ci to powiedział? - zapytał Elend.

Chłopak pokiwał głową.

- I nic mi nie powiedziałeś? - spytał ostro Venture.

O, nie...

Spook zawahał się, po czym pokręcił głową.

- Wtedy chciałbyś wracać! Nie chciałem umierać, El! Przepraszam, jestem tchórzem. -

Skulił się i cofnął, spoglądając na miecz Elenda.

Venture się zawahał, jakby uświadomił sobie, że idzie w stronę chłopaka.

- Nie zrobię ci krzywdy, Spook - powiedział. - Po prostu mi za ciebie wstyd.

Spook spuścił wzrok i opadł na ziemię, opierając się plecami o osikę.

Dudnienie, które cichnie...

- Elendzie - wyszeptała Vin.

Odwrócił się.

- Sazed nas okłamał. Studni nie ma na północy.

- Co?

- Jest w Luthadel.

- Vin, to absurd. Znaleźlibyśmy ją.

- Nie zrobiliśmy tego - powiedziała stanowczo i spojrzała na południe. Skupiając się, czuła przepełniające ją dudnienie. Przyciągające ją.

Na południe.

- Studnia nie może być na południu - stwierdził Elend. - Wszystkie legendy umiejscawiają ją na północy, w Górach Terris.

Zdezorientowana Vin potrząsnęła głową.

- Jest tam - powiedziała. - Wiem, że tak jest. Nie wiem jakim sposobem, ale tam jest.

Elend spojrzał na nią i pokiwał głową. Ufał jej instynktowi.

Och, Sazedzie, pomyślała. Pewnie miałeś dobre intencje, ale być może skazałeś nas wszystkich na zagładę. Jeśli miasto wpadło w ręce kolosów...

- Jak szybko możemy wrócić? - spytał Elend.

- To zależy - odparła.

- Wrócić? - powtórzył Spook, podnosząc wzrok. - El, oni wszyscy nie żyją. Kazali mi powiedzieć

wam prawdę, kiedy dotrzecie do Tathingdwen, żebyście nie zabili się, bez sensu idąc zimą w góry. Ale kiedy Clubs ze mną rozmawiał, chciał się też pożegnać. Widziałem to w jego oczach. Wiedział, że już mnie nigdy nie zobaczy.

Elend zawahał się i Vin widziała w jego oczach niepewność. Chwilę cierpienia, grozy.

Znała te uczucia, gdyż sama je czuła.

Sazed, Breeze, Ham...

Elend chwycił ją za ramię.

- Musisz iść, Vin - powiedział. - Mogą być ocalali... uciekinierzy. Będą potrzebować twojej pomocy.

Pokiwała głową. Stanowczość jego uścisku - zdecydowanie w głosie - dodały jej sił.

- Spook i ja podążymy za tobą - powiedział. - Powinno nam wystarczyć parę dni szybkiej jazdy. Ale na długich dystansach Allomanta z cyną z ołowiem jest szybszy od konia.

- Nie chcę cię zostawiać - wyszeptała.

- Wiem.

To nadal było trudne. Jak mogła odbiec i zostawić go, skoro dopiero niedawno odkryła go na nowo? Jednakże coraz mocniej czuła Studnię Wstąpienia, gdy była już pewna jej lokalizacji. A jeśli niektórzy z jej przyjaciół przeżyli atak...

Vin zacisnęła zęby, otworzyła worek i wyciągnęła resztę sproszkowanej cyny z ołowiem. Popiła ją łykiem wody z butelki. Proszek podrażnił jej gardło. To niewiele, pomyślała. Nie pozwoli mi na zbyt długie przeciąganie cyny z ołowiem.

- Oni wszyscy nie żyją... - mruknął znów Spook.

Vin odwróciła się. Dudnienie było teraz natarczywe. Dochodziło z południa.

Nadchodzę.

- Elendzie - powiedziała. - Proszę cię, zrób coś dla mnie. Nie śpij w nocy, kiedy są mgły.

Podróżuj w nocy, jeśli możesz, i miej oczy dookoła głowy. Uważaj na mgielnego ducha...

myślę, że może ci źle życzyć.

Zmarszczył czoło, ale kiwnął głową.

Vin rozjarzyła cynę z ołowiem i pobiegła w stronę drogi.

*Moje błagania, moje nauki, moje sprzeciwy, nawet moje zdrady okazały się nieskuteczne. Alendi*

*miał teraz innych doradców, którzy mówili mu to, co chciał usłyszeć.*

Breeze bardzo starał się udawać, że nie znajduje się w samym środku wojny. Nie bardzo mu to wychodziło.

Siedział na koniu z boku dziedzińca przed Bramą Cynkową. Żołnierze przestępowali z nogi na nogę i pobrzękiwali pancerzami, stojąc w rzędach przed wrotami. Czekali i patrzyli na swoich towarzyszy na szczycie muru.

Wrota załomotały. Breeze skulił się, ale nie przerywał Uspokajania.

- Bądźcie silni - wyszeptał. - Strach, niepewność... to wam odbieram. Przez te wrota może przejść śmierć, lecz wy umiecie z nią walczyć. Możecie zwyciężyć. Bądźcie silni...

Mosiądz płonął w jego żołądku niczym ognisko. Już dawno wykorzystał wszystkie fiołki i teraz połykał garści sproszkowanego mosiądzu popijane wodą. Przez cały czas dostarczali mu je konni posłańcy Docksona.

Ile to jeszcze może trwać, pomyślał, ocierając czoło i nadal Uspokajając. Na szczęście Allomancja nie obciążała ciała - moce allomantyczne pochodziły z samych metali, nie z tych, którzy je spalali. Jednak Uspokajanie było o wiele bardziej skomplikowane od innych zdolności allomantycznych i wymagało ciągłej uwagi.

- Strach, groza, niepokój... - szeptał. - Pragnienie ucieczki i poddania się. Odbieram je...

- Mówienie oczywiście nie było konieczne, ale on zawsze tak robił. Lepiej się wtedy skupiał.

Po kilku dalszych minutach Uspokajania sprawdził zegarek, po czym przejechał na drugą stronę dziedzińca. Bramy nadal dudniły, a Breeze znów otarł czoło. Zauważył z niezadowoleniem, że jego chusteczka już niemal nie nadaje się do użytku, tak była wilgotna.

Do tego zaczynał padać śnieg. Wilgoć sprawi, że popiół przyklei się do jego ubrania i surdut zostanie całkowicie zniszczony.

Surdut zostanie zniszczony przez twoją krew, Breeze, powiedział sobie. Czas na głupoty się skończył. To jest poważna sprawa. Jak w ogóle skończyłeś w takim miejscu?

Podwoił wysiłki, Uspokajając nową grupę żołnierzy. Był jednym z najpotężniejszych Allomantów w Ostatnim Imperium - szczególnie jeśli chodziło o Allomancję wpływającą na uczucia. Mógł Uspokajać setki ludzi naraz, zakładając, że stali blisko siebie i że skupiał się na prostych uczuciach. Nawet Kelsier by sobie nie poradził z taką liczbą.

Jednakże cały tłum żołnierzy wykraczał poza jego możliwości. Gdy zaczął pracę z kolejną grupą, zobaczył, że ci, których opuścił, zaczynają upadać na duchu i znów przepełnia ich niepokój.

Kiedy te wrota pękną, oni się rozproszą.



Wrota dudniły. Mężczyźni tłoczyli się na murach, zrzucając kamienie, strzelając z łuków, walcząc z gorączkowym brakiem dyscypliny. Od czasu do czasu któryś z oficerów przeciskał się między nimi, wykrzykując rozkazy i próbując skoordynować ich wysiłki, lecz Breeze był za daleko, by usłyszeć, co mówili. Widział tylko ludzi poruszających się chaotycznie, krzyczących i strzelających.

I oczywiście widział ostrzał. Kamienie rzucone z dołu wznosiły się w górę, niektóre uderzały o szanice. Breeze próbował nie myśleć o tym, co znajduje się po drugiej stronie, o tysiącach wściekłych kolosów. Czasem jakiś żołnierz padał. Krew spływała z muru w kilku miejscach.

- Strach, niepokój, przerażenie... - szeptał Breeze.

Allrianne uciekła. Vin, Elend i Spook byli bezpieczni. Musiał się skupiać na swoich sukcesach. Dziękuję, Sazedzie, że skłoniłeś nas do odesłania ich, pomyślał.

Z tyłu rozległ się tętent kopyt. Breeze nie przerywał Uspokajania, lecz odwrócił się do Clubsa. Generał jechał pochylony nad końskim grzbietem, spoglądając na żołnierzy jednym okiem - drugie miał stale zmrużone.

- Dobrze sobie radzą - powiedział.

- Mój drogi - zaczął Breeze - są przerażeni. Nawet ci, których Uspokajam, patrzą na te wrota jakby to była straszliwa pustka, która w każdej chwili może ich pochłoniąć.

Clubs spojrział na niego.

- Coś dziś jesteś w poetyckim nastroju.

- Tak już na mnie działa nieunikniona zagłada - odparł Breeze, gdy brama zatrzęsała się po raz kolejny. - Tak czy inaczej, nie sądzę, by radzili sobie „dobrze”.

Generał prychnął.

- Ludzie przed bitwą zawsze są nerwowi. Ale to dobre chłopaki. Nie cofną się.

Wrota trzęsły się i drżały, po bokach pojawiły się pierwsze pęknięcia. Zawiasy są na krawędzi wytrzymałości... pomyślał Breeze.

- Nie mógłbyś Uspokoić tych kolosów? - spytał Breeze. - Uczynić ich mniej gwałtownymi?

Breeze pokręcił głową.

- Uspokajanie nie ma wpływu na te stwory, próbowałem.

Znów umilkli, słuchając dudnienia bramy. W końcu Breeze spojrział na Clubsa, który siedział spokojnie na końskim grzbiecie.

- Walczyłeś już wcześniej - powiedział. - Jak często?

- Od czasu do czasu przez prawie dwadzieścia lat, kiedy byłem młodszy - odparł Clubs.

- Walczyliśmy z buntownikami w odległych dominiach, wojowaliśmy z nomadami na pustkowiach. Ostatni Imperator łatwo tłumiał takie konflikty.

- A... tobie jak szło? - spytał Breeze. - Często zwyciężaliście?

- Zawsze - stwierdził generał.

Breeze uśmiechnął się słabo.

- Oczywiście - dodał Clubs, spoglądając na Uspokajacza - wtedy to my mieliśmy kolosy po swojej stronie. Piekielnie trudno je zabić.

Cudownie, pomyślał Breeze.

\*\*\*

Vin biegła.

Wcześniej tylko raz „przeciągała cynę z ołowiem” - z Kelsierem, przed dwoma laty.

Nieprzerwanie rozjarzając cynę, można było biec z nieprawdopodobną prędkością - jak biegacz na krótkim dystansie - nie męcząc się przy tym.

Proces ten jednak nie pozostawał bez wpływu na ciało. Cyna z ołowiem ułatwiała poruszanie się, ale jednocześnie tłumiała naturalne zmęczenie. To przeciwstawienie sprawiało, że w jej umyśle panował zamęt, sprowadzało przypominający trans stan wyczerpanej energii.

Jej dusza rozpaczliwie pragnęła odpocząć, lecz ciało biegło, biegło, biegło, podążając drogą wzdłuż kanału na południe. W stronę Luthadel.

Tym razem Vin była przygotowana na skutki przeciągania, więc radziła sobie z nimi zdecydowanie lepiej. Walczyła z transem, skupiając się na swoim celu, nie na powtarzalnych ruchach ciała. To jednak sprowadzało niepokojące myśli.

Dlaczego to robię? - zastanawiała się. Dlaczego tak się zamęczam? Spook to powiedział: Luthadel na pewno już upadło. Nie ma powodu się spieszyć.

A jednak biegła.

W duszy widziała obrazy śmierci. Ham, Breeze, Dockson, Clubs i kochany Sazed. Jej pierwsi prawdziwi przyjaciele. Kochała Elenda i błogosławiła ich, że odesłali go, ratując przed niebezpieczeństwem. Jednocześnie jednak była wściekła, że odesłali ją. I właśnie ta wściekłość nią kierowała.

Pozwolili, bym ich porzuciła! Zmusili mnie, bym ich porzuciła!

Kelsier miesiącami uczył ją ufać. Jego ostatnie słowa były oskarżeniem i wiedziała, że nigdy o nich nie zapomni. „Wciąż jeszcze musisz się wiele nauczyć o przyjaźni, Vin”.

Wyszedł, by, ryzykując własne życie, uratować Spooka i OreSeura, walcząc ze Stalowym Inkwizytorem, a w końcu go zabijając. Zrobił to mimo sprzeciwów Vin i tłumaczenia, że podejmowanie takiego ryzyka nie ma sensu.

Myliła się.

Jak śmieli, pomyślała, czując łzy na policzkach, gdy pędziła drogą wzdłuż kanału. Cyna z ołowiem zapewniała jej również nieludzkie wycucie równowagi i prędkość - niebezpieczna dla kogoś innego - dla niej była naturalna. Nie potykała się i nie zataczała.

Drzewa znikwały po obu stronach. Przeskakiwała dziury i zagłębienia w ziemi. Wcześniej biegła tak tylko raz i dawała z siebie jeszcze więcej niż wtedy. Wówczas biegła tylko po to, by dotrzymać kroku Kelsierowi. Teraz biegła dla tych, których kochała.

Jak śmieli, pomyślała znowu. Jak śmieli nie dać mi takiej samej szansy, jaką miał

Kelsier! Jak śmieli zrezygnować z mojej ochrony, nie zgodzić się na moją pomoc!

Jak śmieli umrzeć...

Jej cyna z ołowiem się kończyła, a biegła zaledwie od kilku godzin. To prawda, z pewnością przebyła odległość całego dnia marszu. Wiedziała jednak, że to nie wystarczy. Że oni już nie żyją. Spóźni się, jak wtedy. Zbyt późno, by uratować armię. Zbyt późno, by uratować przyjaciół.

Vin biegła dalej. I dalej płakała.

\*\*\*

- Jak tu trafiliśmy, Clubs? - spytał cicho Breeze. Znajdowali się wciąż na dziedzińcu przed dudniącą bramą.

Siedział na grzbiecie konia, pośród padającej z nieba mieszanki śniegu i popiołu.

Łagodne spadanie białych i czarnych płatków niemal zadawało kłam wrzeszczącym ludziom, pękającej bramie i spadającym kamieniom.

Clubs spojrział na niego i zmarszczył czoło. Breeze nadal patrzył w górę, na popiół i śnieg. Czarny i biały. Leniwy.

- Nie jesteśmy ludźmi zasadniczymi - powiedział cicho Uspokajacz. - Jesteśmy złodziejami. Cynikami. Ty miałeś dość wykonywania poleceń Ostatniego Imperatora i postanowiłeś w końcu zrobić coś dla siebie. Ja jestem amoralny i kocham bawić się innymi, robić sobie zabawkę z ich uczuć. Jak tu skończyliśmy? Stoimy na czele armii, walcząc w sprawie idealisty? Ludzie tacy jak my nie powinni być przywódcami.

Clubs przyglądał się żołnierzom na dziedzińcu.

- Chyba po prostu jesteście idiotami - powiedział w końcu.

Breeze zawahał się, po czym zauważył błysk w oczach Clubs. Ta iskra wesołości, trudna do zauważenia, widoczna jedynie dla bliskich znajomych. Ta iskra powiedziała mu prawdę - Clubs był wyjątkowo wnikliwym człowiekiem.

Breeze się uśmiechnął.

- Chyba tak. Jak powiedziałem już wcześniej, to wina Kelsiera. Zmienił nas w idiotów, którzy staną na czele armii skazanej na zagładę.

- Sukinsyn - stwierdził Clubs.

- W rzeczy samej - zgodził się Breeze.

Popiół i kurz nadal spadały z nieba. Mężczyźni krzyknęli ostrzegawczo.

A wrota się otworzyły.

\*\*\*

- Wschodnia brama została przełamana, mistrzu Terrisaninie! - zawołał posłaniec Docksona, dysząc lekko, gdy kucnął obok Sazed. Obaj siedzieli za blankami na szczycie muru, nasłuchując, jak kolosy uderzają w ich bramę.

Ta, która upadła, musiała być Bramą Cynkową, na wschodnim skraju Luthadel.

- Brama Cynkowa jest najlepiej broniona - powiedział cicho Sazed. - Myślę, że się utrzymają.

Posłaniec pokiwał głową. Nad szczytem muru unosił się popiół, zbierając się w pęknięciach i alkowach w kamieniu. Jego czerń zakłócał czasem biały płatek śniegu.

- Czy chcesz, żebym coś przekazał lordowi Docksonowi? - spytał posłaniec.

Sazed zastanowił się i przyjrzał obronie swojej części muru. Wcześniej zszedł ze strażnicy i dołączył do reszty. Żołnierzom skończyły się kamienie, choć łucznicy nie przerywali ostrzału. Wyjrzał nad murem i ujrzał coraz wyższe sterty trupów kolosów.

Zobaczył jednak również popękaną bramę. Zdziwiał, że przez tak długi czas potrafią utrzymać wściekłość, pomyślał, znów się chowając. Stwory wyły i skowyczały, niczym dzikie psy.

Usiadł na wilgotnym kamieniu, drżąc na zimnym wietrze. Drętwiały mu palce u nóg.

Sięgnął do mosiądzmyśli, sięgając do przechowywanego w niej ciepła, i jego ciało nagle przepełniło przyjemne uczucie.

- Powiedz lordowi Docksonowi, że martwię się o obronę tej bramy - powiedział cicho Sazed. - Najlepsi ludzie zostali zabrani do wschodnich bram, a ja nie ufam naszemu dowódcy.

Gdyby lord Dockson mógł przysłać tu kogoś innego, sądzę, że byłoby to najlepszym rozwiązaniem.

Posłaniec się zawahał.

- Co? - spytał Sazed.

- Czy nie po to właśnie cię tu przysłał, mistrzu Terrisaninie?

Sazed zmarszczył czoło.

- Proszę, powiedz mu, że nawet mniej ufam w swoje zdolności przywódcze... czy walki... niż naszego dowódcy.

Posłaniec przytaknął i oddalił się. Zbiegł po schodach w stronę swojego konia. Sazed skulił się, gdy kamień uderzył w mur tuż nad jego głową. Odłamki skały poleciały we wszystkie strony. Na Zapomnianych Bogów, pomyślał Sazed, załamując ręce. Co ja tutaj robię?

Zobaczył poruszenie na murze obok i odwrócił się w chwili, gdy młody kapitan Bedes podszedł do niego, chowając w ramionach głowę. Był wysoki i miał gęste włosy opadające na oczy. Nawet w zbroi wydawał się chudy. Sazed pomyślał, że nadawałby się bardziej na tancerza na balu niż dowódcę prowadzącego żołnierzy do walki.

- Co powiedział posłaniec? - spytał Bedes.

- Brama Cynkowa upadła, milordzie - odparł Sazed.

Młody kapitan zbladł.

- Co... co powinniśmy zrobić?

- Dlaczego pytacie właśnie mnie, milordzie? - spytał Terrisanin. - Wy tu dowodzicie.

- Proszę - powiedział młodzieniec, chwytając go za ramię. - Ja nie...

- Milordzie - odezwał się surowo Sazed, tłumiąc własne zdenerwowanie. - Jesteście szlachetnie urodzeni, czyż nie?

- Tak...

- To umiecie wydawać rozkazy - dokończył Sazed. - Wydajcie je teraz.

- Jakie rozkazy?

- Nieważne - stwierdził Sazed. - Pokażcie ludziom, że tu dowodzicie.

Młodzieniec zawahał się, po czym jęknął i przykucnął, gdy kamień trafił jednego z pobliskich łuczników w ramię, zrzucając go na dziedziniec. Mężczyźni na dole uskoczyli przed trupem i wtedy Sazed zauważył coś dziwnego. Grupa ludzi zebrała się na tyłach dziedzińca.

Cywile... skaa... w brudnych od popiołu ubraniach.

- Co oni tu robią? - spytał Sazed. - Powinni się ukrywać, a nie stać tutaj i kusić kolossy, kiedy te stwory już się przebijają!

- Kiedy się przebijają? - powtórzył kapitan Bedes.

Sazed go zignorował. Mógł się zająć cywilami. Miał doświadczenie w kierowaniu służącymi szlachetnie urodzonych.

- Pójdę z nimi porozmawiać - powiedział.

- Tak... - stwierdził Bedes. - To chyba dobry pomysł.

Sazed zszedł na dół po schodach, które były coraz bardziej śliskie od roztopionego śniegu zmieszanego z popiołem, po czym podszedł do grupki ludzi. Było ich więcej niż się spodziewał - stali również na ulicy prowadzącej na dziedziniec. Setka ludzi tłoczyła się, obserwując bramę przez spadający śnieg. Wydawali się zmarznięci i Sazed czuł się winny, ogrzewając się mosiądzmyśłą.

Kilku ludzi pochyliło głowy, gdy Sazed się do nich zbliżył.

- Dlaczego tu jesteście? - spytał. - Proszę, musicie poszukać schronienia. Jeśli wasze domy są w pobliżu dziedzińca, ukryjcie się bliżej centrum miasta. Kolossy z pewnością zaczną plądrowanie, gdy tylko skończą z armią, więc krawędzie miasta są bardziej niebezpieczne.

Nikt się nie ruszył.

- Proszę! - powiedział Sazed. - Musicie odejść. Jeśli zostanieie, zginiecie!

- Nie jesteśmy tu po to, by zginąć, Święty Pierwszy Świadku - powiedział stojący z przodu starszy mężczyzna. - Jesteśmy tu, by patrzeć na upadek kolosów.

- Upadek? - spytał Sazed.

- Pani Dziedziczka nas ochroni - powiedziała któraś z kobiet.

- Pani Dziedziczka opuściła miasto! - przypomniał Sazed.

- To będziemy obserwować ciebie, Święty Pierwszy Świadku - stwierdził mężczyzna, opierając się jedną ręką na ramieniu młodego chłopca.

- Święty Pierwszy Świadek? - powtórzył Sazed. - Dlaczego mnie tak nazwaliście?

- To ty przyniosłeś wieści o upadku Ostatniego Imperatora - wyjaśnił mężczyzna. - To ty dałeś Pani Dziedzicze włócznie, którą zabiła naszego pana. To ty byłeś świadkiem jej czynów.

Terrisanin potrząsnął głową.

- To może być prawdą, ale nie jestem wart takiego szacunku. Nie jestem świętym człowiekiem. Po prostu jestem...

- Świadkiem - powiedział mężczyzna. - Jeśli Dziedziczka ma dołączyć do nas w walce, pojawi się w pobliżu ciebie.

- Ja... przepraszam... - wykrztusił Sazed, rumieniąc się. Odesłałem ją. Odesłałem waszego boga w bezpieczne miejsce.

Ludzie obserwowali go oczami pełnymi szacunku. To było niewłaściwe. Nie powinni go wielbić. Był jedynie obserwatorem.

Choć wcale nim nie był. Stał się częścią tego wszystkiego. Tindwyl go przed tym dyskretnie ostrzegła. Teraz, gdy Sazed wziął udział w wydarzeniach, sam stał się obiektem kultu.

- Nie powinniście tak na mnie patrzeć - powiedział.

- Pani Dziedziczka mówi tak samo - zauważył z uśmiechem starszy mężczyzna, a z jego ust uniosła się chmura pary.

- To co innego - powiedział Sazed. - Ona jest...

Przerwał i odwrócił się, słysząc krzyki z tyłu. Łucznicy na murze machali rękami, a młody kapitan Bedes biegł do nich. Co się...

Potężna niebieska istota nagle wspięła się na mur. Jej skóra była popękana i ociekała krwią. Odepchnęła na bok zaskoczony łucznik, po czym chwyciła kapitana Bedesa za szyję i rzuciła go do tyłu. Chłopak zniknął, spadając na kolossy poniżej. Na mur wspiął się drugi koloss, później trzeci. Łucznicy uciekali, rzucając broń, niektórzy w pośpiechu spychali innych z murów.

Kolossy podskakują, zrozumiał Sazed. Na dole zebrało się wystarczająco wiele trupów.

Ale i tak skaczą bardzo wysoko...

Coraz więcej istot wspinało się na szczyt muru. Były to największe z potworów, wysokie na ponad dziesięć stóp, co tylko ułatwiało im zmiotanie łuczników z ich drogi. Ludzie padali na dziedziniec, a walenie w bramę było coraz głośniejsze.

- Idźcie! - powiedział Sazed, machając na ludzi za sobą.

Niektórzy się wycofali. Wielu zostało na miejscach.

Terrisanin odwrócił się w stronę wrót. Drewno zaczynało pękać, drzazgi leciały w powietrzu, wśród śniegu i popiołu. Żołnierze cofali się, wyraźnie przerażeni. W końcu zasuwa złamała się z trzaskiem i prawe skrzydło się otworzyło. Wyjąca, krwawiąca, szalona masa kolosów zaczęła przepychać się po mokrych kamieniach.

Żołnierze rzucali broń i uciekali. Inni pozostali, znieruchomiali w przerażeniu. Sazed stał za nimi, między przerażonymi żołnierzami a masą skaa.

Nie jestem wojownikiem, pomyślał. Jego dłonie drżały, gdy wpatrywał się w potwory.

Trudno było zachować spokój w ich obozie. Patrzył, jak wrzeszczą, wyciągają miecze i rzucają się na żołnierzy, a ich skóra pęka i krwawi - i czuł, jak opuszcza go odwaga.

Ale jeśli ja czegoś nie zrobię, to nikt tego nie zrobi.

Sięgnął do cyny z ołowiem

Jego mięśnie stwardniały. Głęboko sięgnął do stalmyśli i rzucił się do przodu, wykorzystując więcej siły niż kiedykolwiek wcześniej. Spędził wiele lat, magazynując siłę.

Rzadko miał okazję ją wykorzystać, i teraz sięgnął po tę rezerwę.

Jego ciało zmieniło się, chude ramiona uczonego stały się masywne, potężne. Jego pierś rozrosła się, a mięśnie wypełniła moc. Dni wrażliwości i słabości skupiły się w tej jednej chwili. Przebił się między szeregami żołnierzy, zdejmując szatę przez głowę, gdyż zaczęła za bardzo ograniczać jego swobodę ruchu, i pozostał jedynie w opasce na biodrach.

Pierwszy koloss odwrócił się i odkrył, że stoi naprzeciwko istoty niemal swoich rozmiarów. Mimo wściekłości, mimo nieludzkiej postaci, bestia zamarła, a w jej czerwonych oczach wyraźnie malowało się zaskoczenie.

Sazed uderzył go pięścią. Nie ćwiczył sztuk wojennych i nie znał się na walce. Jednakże w tej chwili jego brak umiejętności się nie liczył. Twarz stwora zapadła się pod jego pięścią, a czaszka pękła.

Sazed odwrócił się na swych masywnych nogach i spojrzał na zaskoczonych żołnierzy.

Powiedz coś, co doda im odwagi, rozkazał sobie.

- Walczcie! - zaryczał, zdziwiony głębią i mocą własnego głosu.

Ku jego zaskoczeniu, zrobili to.

\*\*\*

Vin padła na kolana na błotnistą, pokrytą popiołem drogę. Była wyczerpana. Jej palce i kolana dotknęły zimnej mazi, ale nie zwracała na to uwagi. Nie mogła biec dalej. Cyna z ołowiem się wyczerpała. Płuca ją paliły, a nogi bolały. Miała ochotę zwinąć się w kłębek i kaszleć.



To tylko przeciąganie cyny z ołowiem, powiedziała sobie z naciskiem. Wyczerpała swoje ciało, ale aż do tej chwili nie musiała za to płacić.

Kaszlała jeszcze przez chwilę, aż w końcu sięgnęła do kieszeni i wyjęła ostatnie dwie fiołki. Zawierały mieszkankę ośmiu podstawowych metali, plus duraluminium. Cyna z ołowiem pozwoli jej biec jeszcze przez chwilę...

Ale za krótko. Wciąż znajdowała się wiele godzin drogi od Luthadel. Westchnęła, odłożyła fiołki na miejsce i zmusiła się do wstania.

Co zrobię, kiedy dotrę do celu? - pomyślała. Czemu tak się przemęczam? Czy tak bardzo chcę znów walczyć? Zabijać?

Wiedziała, że nie dotrze na czas bitwy. Kolosy pewnie zaatakowały kilka dni temu.

Mimo to denerwowała się. Wciąż miała w głowie koszmarne obrazy z ataku na twierdzę Cetta.

Rzeczy, które zrobiła. Śmierć, którą zadała.

A jednak czuła się trochę inaczej. Przyjęła swoją rolę noża. Ale czymże był nóż, jeśli nie narzędziem? Można go wykorzystywać w złych albo dobrych celach - może zabijać, a może też chronić.

To była kwestia dyskusyjna, biorąc pod uwagę jej zmęczenie. Z trudem powstrzymywała drżenie nóg, gdy rozjarzyła cynę, by oczyścić umysł.

Stała na imperialnej drodze, błotnistej i pełnej dziur, która w padającym śniegu ciągnęła się w nieskończoność. Droga biegła wzdłuż kanału, który wyglądał jak węzowate rozcięcie w ziemi, szerokie i puste.

Wcześniej, gdy jechała z Elendem, droga wydawała się jasna i nowa. Teraz robiła wrażenie ciemnej i przygnębiającej. Studnia pulsowała, jej dudnienie stawało się coraz silniejsze z każdym krokiem w stronę Luthadel. Jednakże nie działało się to wystarczająco szybko. Niewystarczająco szybko, by powstrzymała kolosy przed zdobyciem miasta.

Niewystarczająco szybko dla jej przyjaciół.

Przepraszam... pomyślała, szcękając zębami. Mocniej otuliła się płaszczem; cyna z ołowiem nie chroniła jej już przed zimnem. Przepraszam, że was zawiodłam.

W oddali dostrzegła unoszący się dym. Spojrzała na wschód, później na zachód, lecz niewiele zobaczyła. Płaski krajobraz skrywał się w chmurach popiołu.

Wioska, pomyślała z trudem, jej umysł nadal był otępiały. Jedna z wielu w tej okolicy.

Luthadel było zdecydowanie największym miastem w małym dominium, ale nie jedynym.

Elend nie umiał ochronić wszystkich przed bandytami, lecz wioski radziły sobie zdecydowanie lepiej niż miasteczka w innych okolicach Ostatniego Imperium.

Vin powoli ruszyła w stronę wioski, przedzierając się przez lodowate kałuże. Po kwadransie marszu zeszła z głównej drogi i ruszyła boczną dróżką. Osada była mała, nawet jak na standardy skaa. Kilka chałup i parę ładniejszych budynków.

Nie plantacja, pomyślała Vin. To kiedyś była wioska przy drodze, miejsce, w którym podróżujący szlachetnie urodzeni mogli zatrzymać się na noc. W posiadłości - niegdyś prowadzonej przez pomniejszego arystokratę - panowała ciemność. Jednak w dwóch chatach skaa światło wylewało się na zewnątrz przez szpary. Paskudna pogoda musiała skłonić ludzi do wcześniejszego zakończenia pracy.

Vin zadrżała, idąc w stronę jednego z budynków. Jej wspomagany cyną słuch wychwytywał rozmowy. Zatrzymała się i zaczęła nasłuchiwać. Dzieci się śmiały, a mężczyźni rozmawiali na całe gardło. Czowała zapach gotującego się wieczornego posiłku - duszonych warzyw.

Skaa... śmieją się, pomyślała. Za czasów Ostatniego Imperatora w takiej chałupie panowałyby strach i przygnębienie. Szczęśliwi skaa oznaczali skaa, którzy mieli zbyt mało do roboty.

To, co zrobiliśmy, miało sens. To wszystko miało sens.

Ale czy było warte śmierci jej przyjaciół? Upadku Luthadel? Bez ochrony Elenda nawet ta mała wioska zostanie opanowana przez jakiegoś tyrana.

Pławiła się w odgłosach śmiechu. Kelsier się nie poddał. Stawił czoło samemu Ostatniemu Imperatorowi, a jego ostatnie słowa były wyzwaniem. Nawet gdy jego plany wydawały się beznadziejne, a jego trup leżał na ulicy, odniósł zwycięstwo.

Nie poddam się, pomyślała Vin, prostując się. Nie uwierzę w ich śmierć, dopóki nie wezmę w ramiona ich trupów.

Uniosła rękę i uderzyła w drzwi. Natychmiast wszystkie dźwięki ucichły. Vin zgasła cynę, gdy drzwi się uchyliły. Skaa, szczególnie na wsi, byli nerwowi. Pewnie będzie musiała...

- O, biedactwo! - wykrzyknęła kobieta, otwierając drzwi na całą szerokość. - Wejdź do środka z tego śniegu. Co ty tu robisz?!

Vin się zawahała. Kobieta była ubrana prosto, lecz odpowiednio ciepło na zimę.

Palenisko pośrodku emanowało przyjemnym ciepłem.

- Dziecko? - spytała kobieta. Za jej plecami przysadzisty, brodaty mężczyzna podniósł się, położył dłoń na ramieniu kobiety i przyjrzał się Vin.

- Cyna z ołowiem - powiedziała cicho Vin. - Potrzebuję cyny z ołowiem.

Para spojrzała na siebie, marszcząc czoła. Pewnie myśleli, że jest coś nie w porządku z jej głową. W końcu musiała wyglądać żałośnie - włosy mokre od śniegu, ubranie przemoczone i pokryte warstwą popiołu. Miała na sobie prosty strój do konnej jazdy - spodnie i płaszcz.

- Wejź do środka, dziecko - zaproponował mężczyzna. - Zjedz coś. Potem porozmawiamy, skąd się tu wzięłaś. Gdzie są twoi rodzice?

Na Ostatniego Imperatora, pomyślała zirytowana Vin. Nie wyglądam aż tak młodo, prawda?

Uspokoiła parę skaa, tłumiąc ich niepokój i podejrzania. Później Podżeganiem wzmocniła ich chęć pomocy. Nie była w tym tak dobra jak Breeze, ale miała trochę praktyki.

Skaa natychmiast się rozluźnili.

- Nie mam dużo czasu - powiedziała. - Cyna z ołowiem.

- Lord miał elegancką zastawę w swoim domu - powiedział powoli mężczyzna. - Ale sprzedaliśmy większość za ubrania i sprzęt rolniczy. Zostało chyba kilka kielichów. Mistrz Cled, nasz starszy, ma je w swojej chałupie...

- Może wystarczy - odparła Vin.

Choć metal pewnie nie został zmieszany w allomantycznych proporcjach. Najpewniej będzie za dużo srebra albo za mało cyny, przez co stop nie zadziała z wystarczającą mocą.

Para skaa spochmurniała i wymieniła spojrzenia z innymi w chałupie.

Vin czuła, jak znów ogarnia ją rozpacz. O czym myślała? Nawet gdyby cyna z ołowiem była właściwym stopem, przygotowanie odpowiedniej ilości opiłków musiało zająć dużo czasu. Cyna z ołowiem spalała się względnie szybko. Potrzebowałyby jej bardzo dużo.

Przygotowanie mogło zająć niemal tyle czasu, co prosty marsz do Luthadel.

Odwróciła się i spojrzała na południe, przez ciemne, pełne śniegu niebo. Nawet z cyną z ołowiem, bieg zająłby jej jeszcze wiele godzin. Tak naprawdę potrzebowała kolcotraktu - drogi z wbitymi w ziemię metalowymi kołkami, od których Allomanta mógł się odbijać, raz za razem wznosząc się w powietrze. Na takiej drodze raz przebyła odległość z Luthadel do Fellise -

godzina jazdy powozem - w ciągu niecałych dziesięciu minut.

Ale z tej wioski do Luthadel nie prowadził kolcotrakt - nie było ich nawet przy głównych drogach wzdłuż kanałów. Były zbyt trudne do stworzenia, używane przez zbyt niewielu ludzi, by opłacało się je budować na większe odległości...

Vin odwróciła się, wywołując wzdrygnięcie pary skaa. Może zobaczyli sztylety za jej pasem, a może chodziło o jej minę, ale nie wydawali się już tak przyjaźni jak wcześniej.

- Czy to stajnia? - spytała Vin, wskazując na jeden z ciemnych budynków.

- Tak - powiedział mężczyzna. - Ale nie mamy koni. Tylko kilka kóz i krów. Z

pewnością nie chcesz...

- Podkowy - powiedziała Vin.

Mężczyzna zmarszczył czoło.

- Potrzebuję podków - powtórzyła. - Jak najwięcej.

- Chodź za mną - odparł mężczyzna, reagując na Uspokajanie.

Wyprowadził ją na chłód popołudnia. Inni podążyli za nimi i Vin zauważyła paru mężczyzn swobodnie trzymających pałki. Być może nie tylko ochrona Elenda pozwoliła tym ludziom przetrwać.

Przysadzisty mężczyzna naparł na drzwi stajni, odpychając je na bok. Wskazał na beczkę w środku.

- I tak zaczynały już rdzewieć - stwierdził.

Vin podeszła do beczki i wyjęła podkowę, sprawdzając jej ciężar. Później rzuciła ją przed siebie i Odepchnęła, solidnie rozjarzając stal. Kawałek metalu odleciał, unosząc się wysoko w powietrzu, i wylądował z chłupotem w kałuży oddalonej o jakieś sto kroków.

Doskonale, pomyślała.

Mężczyźni skaa wpatrywali się w nią. Vin sięgnęła do kieszeni, wyjęła jeden z flakoników, pochłonęła jego zawartość i uzupełniła zapasy cyny z ołowiem. Niewiele jej zostało tego stopu, jak na standardy przeciągania, lecz za to miała mnóstwo stali i żelaza. Oba spalały się powoli. Mogła Przyciągać i Odpychać metale przez wiele kolejnych godzin.

- Przygotujcie wioskę - powiedziała, spalając cynę z ołowiem i wybierając dziesięć podków. - Luthadel jest oblężone... być może już upadło. Jeśli usłyszycie wieści o jego upadku, proponuję, żebyście się zebrali i przenieśli do Terris. Idźcie prosto na północ wzdłuż imperialnego kanału.

- Kim jesteś? - spytał mężczyzna.

- Nikim ważnym.

Zawahał się.

- Jesteś nią, prawda?

Nie musiała pytać, co miał na myśli. Po prostu rzuciła podkowę na ziemię za plecami.

- Tak - odparła cicho i Odepchnęła się od podkowy.

Natychmiast wzniosła się w niebo pod pewnym kątem. Gdy zaczęła spadać, rzuciła kolejną podkowę. Zaczekała jednak, aż znajdzie się tuż nad ziemią, i dopiero wtedy się od niej Odepchnęła - musiała lecieć raczej naprzód niż do góry.

Robiła to już wcześniej. Niewiele się to różniło od rzucania monet i skakania. Sztuczka polegała na tym, by się nie zatrzymywać. Odepchnąwszy się od drugiej podkowy - znów wznosząc się pośród śniegu - sięgnęła za siebie i mocno Przyciągnęła pierwszy kawałek metalu.

Podkowa nie była z niczym połączona, więc wzniosła się w powietrze za Vin i dotarła do niej w chwili, gdy ta rzuciła trzecią podkowę. Wówczas dziewczyna uwolniła pierwszą z podków i pozwoliła, by ta przeleciała nad jej głową. Kawałek metalu dotknął ziemi w chwili, gdy Vin Odepchnęła się od trzeciej podkowy i Przyciągnęła drugą, znajdującą się teraz za jej plecami.

Ciężko będzie, pomyślała Vin, marszcząc czoło w skupieniu, gdy przelatywała nad pierwszą podkową i Odepchnęła się od niej. Tym razem jednak źle oceniła kąt i spadła za daleko, zanim się Odepchnęła. Podkowa odleciała do tyłu, nie pozwalając Vin wznieść się odpowiednio wysoko w górę. Dziewczyna uderzyła mocno w ziemię, lecz natychmiast Przyciągnęła do siebie podkowę i znów spróbowała.

Pierwsze próby były powolne. Największym problemem okazał się odpowiedni kąt spadania. Musiała uderzyć w podkowę idealnie, jednocześnie wciskając metal w ziemię i odpychając się we właściwym kierunku. W ciągu pierwszej godziny często lądowała i wracała po podkowy. Nie miała jednak czasu na zbyt wiele eksperymentów, a determinacja kazała jej jak najszybciej opracować właściwą metodę.

W końcu udało jej się całkiem nieźle opanować trzy podkowy. Pomogła jej w tym mokra ziemia - swoim ciężarem Vin wciskała podkowy w błoto, dzięki czemu stanowiły lepsze kotwice, gdy odpychała się od nich do przodu. Wkrótce dodała czwartą podkowę. Im częściej mogła się Odpychać - im więcej podków miała - tym szybciej się poruszała.

Po godzinie od opuszczenia wioski dodała piątą podkowę. Efektem był płynny przepływ kawałków metalu. Vin Przyciągała, Odpychała, Przyciągała, Odpychała, poruszając się z ciągłą determinacją, wznosząc się i opadając.

Ziemia poniżej pędziła, a podkowy przelatywały w powietrzu nad jej głową. Wiatr zaczął huczeć w jej uszach, gdy Odpychała się coraz szybciej i szybciej, kierując się na południe. Była kłębem metalu i ruchu - jak Kelsier pod sam koniec, gdy zabił Inkwizytora.

Tyle tylko że jej metal miał nie zabijać, a ratować. Mogę nie dotrzeć na czas, pomyślała wśród pędu powietrza. Ale nie poddam się w połowie drogi.

*Mam młodego kuzyna imieniem Rashek. Nienawidzi Khlennium z całą pasją zazdrosnego młodzika. Alendiego nienawidzi jeszcze bardziej - choć przecież nigdy się nie spotkali - gdyż czuje się zdradzony po tym, jak jeden z naszych ciemieżców został uznany za Bohatera Wieków.*

Straff zaczynał się czuć całkiem nieźle, gdy jego armia wspięła się na ostatnie wzgórze, by spojrzeć na Luthadel. Dyskretnie wypróbował kilka narkotyków ze swojej szafki i był już pewien, którym z nich potraktowała go Amaranta - czarnym fraynem. Rzeczywiście paskudny środek. Będzie musiał powoli go odstawić - ale na razie kilka połkniętych liści sprawiło, że poczuł się silniejszy i bardziej sprawny umysłowo niż wcześniej. Właściwie czuł się wspaniale.

Z pewnością tego samego nie dało się powiedzieć o mieszkańcach Luthadel. Kolosy tłoczyły się wokół murów, wciąż napierając na kilka bram na północy i wschodzie. Nad miastem unosił się dym.

- Moi zwiadowcy mówią, że stwory przebiły się przez cztery bramy, milordzie -

powiedział lord Janarle. - Najpierw przebiły się przez wschodnią bramę, ale napotkały silny opór. Następnie upadła brama północno-wschodnia i północno-zachodnia, lecz tamtejsze oddziały również się trzymają. Główny wyłom nastąpił przy północnej bramie. Kolosy pustoszą miasto z tamtej strony, paląc i rabując.

Straff pokiwał głową. Północna brama, pomyślał. Ta najbliższa Twierdzy Venture.

- Atakujemy, milordzie? - spytał Janarle.

- Jak dawno temu upadła północna brama?

- Około godziny, milordzie.

Straff pokręcił głową.

- To jeszcze zaczekajmy. Stwory bardzo się napracowały, żeby dostać się do miasta...

pozwólmy im mieć coś z życia, zanim je wymordujemy.

- Jesteś pewien, milordzie?

Venture uśmiechnął się.

- Za kilka godzin skończy się ich żądza krwi, będą zmęczone po walce i się uspokoją. To będzie najlepsza chwila na atak. Rozproszą się po mieście i będą osłabione przez obrońców.

Wtedy łatwo je pokonamy.

\*\*\*

Sazed chwycił kolossa za gardło, odpychając jego zniekształcony łeb. Skóra stwora była naciągnięta tak bardzo, że pękła pośrodku twarzy, odkrywając krwawe mięśnie nad zębami i wokół nozdrzy. Istota dyszała z wściekłości, z każdym oddechem zalewając Sazedę śliną i krwią.

Siła, pomyślał Sazed, sięgając do cynołowiomyśli. Jego ciało stało się tak potężne, że obawiał się, że jego skóra też może zacząć pękać. Na szczęście, metalmyśli Sazedą zostały wykute tak, by mogły się powiększać, bransolety i pierścienie nie były pełnymi obręczami i mogły się zginać. Mimo to jego zwalista sylwetka robiła przytłaczające wrażenie. Pewnie przy takich rozmiarach nie byłby w stanie poruszać się ani manewrować, ale nie miało to znaczenia, kolosy już powaliły go na ziemię. Potrzebował jedynie trochę silniejszego chwytu. Stwór szarpał go za ramię jedną ręką, a drugą sięgał za plecy po miecz...

Palce Sazedą w końcu zmiażdżyły gruby kark bestii. Stwór próbował zawarczeć, lecz nie udało mu się zaczerpnąć tchu, więc zaczął się miotać. Sazed podniósł się z trudem i rzucił

kolossa na jego towarzyszy. Nadnaturalna siła sprawiała, że nawet ciało o wzroście jedenastu stóp wydawało mu się lekkie. Uderzyło w grupę nacierających kolosów, odrzucając ich do tyłu.

Sazed stanął, sapiąc. Za szybko wykorzystuję swoją siłę, pomyślał, uwalniając cynołowiomyśl. Jego ciało oklapło jak bukłak. Nie mógł tak eksploatować swoich rezerw. Już zużył dobrą połowę swojej siły - której zgromadzenie trwało dziesięciolecia. Jeszcze nie skorzystał ze swoich pierścieni, lecz w nich miał tylko kilka minut każdego z atrybutów.

Przydadzą się w nagłych wypadkach.

Choć być może to właśnie jest nagły wypadek, pomyślał z przerażeniem. Nadal utrzymywali plac przed Bramą Stalową. Choć kolosy przebiły się przez wrota, tylko kilka z nich mogło przejść jednocześnie - a jedynie najpotężniejsze umiały przeskoczyć ponad murem.

Niewielki oddział Sazedą był jednak w trudnej sytuacji. Na dziedzińcu leżały trupy.

Wierni skaa na tyłach zajęli się odciąganiem rannych w bezpieczne miejsce. Sazed słyszał za plecami ich jęki.

Na placu leżały również trupy kolosów i mimo rzezi Terrisanin czuł dumę na myśl o tym, jak wiele kosztowało stwory wejście przez tę bramę. Luthadel nie poddawało się bez walki. Wprost przeciwnie.

Atak kolosów został na chwilę odparty, jednak na placu nadal trwało kilka potyczek, a za bramą zbierała się nowa grupa potworów. Stwory otworzyły tylko jedno ze skrzydeł

masywnych wrót, to po prawej. Na dziedzińcu leżały trupy - dziesiątki, może setki - lecz kolosy odrzuciły część ciał sprzed bramy, by wejść na dziedziniec.

Być może...

Sazed nie miał czasu na rozmyślanie. Rzucił się do przodu, znów sięgając do cynołowiomyśli, zyskując siłę pięciu mężczyzn. Podniósł trupa mniejszego kolossa i wyrzucił

go za bramę. Stwory na zewnątrz zawarczały, rozpraszając się. Wciąż wiele setek czekało na szansę dostania się do środka.

Sazed poślizgnął się na krwi, gdy chwycił drugiego trupa, odrzucając go na bok.

- Do mnie! - wykrzyknął z nadzieją, że ktoś jeszcze mógł go usłyszeć i zareagować.

Kolossy zbyt późno zorientowały się, co robi. Kopnął kolejnego trupa na bok, po czym rzucił się na otwarte wrota i sięgnął do żelazomyśli, wykorzystując ciężar, który w niej zgromadził. Natychmiast stał się o wiele cięższy, i ta masa uderzyła w skrzydło bramy, zamykając je gwałtownie.

Stwory rzuciły się na bramę z drugiej strony. Sazed odepchnął z drogi kolejne trupy i domknął masywne wrota. Dalej sięgał do żelazomyśli, w niepokojącym tempie wyczerpując jej cenne zapasy. Stał się tak ciężki, że czuł, jak jego własna masa przyciąga go do ziemi, i tylko zwiększona siła pozwoliła mu się utrzymać na nogach. Sfrustrowane kolossy tłukły w bramę, lecz on się nie cofał. Powstrzymywał napastników, przyciskając dłonie i pierś do szorstkiego drewna, wbijając palce stóp w nierówne kamienie bruku. Dzięki mosiądzomyśli nie czuł zimna, choć popiół, śnieg i krew mieszały się u jego stóp.

Mężczyźni krzyczeli. Niektórzy umierali. Inni sami napierali na bramę. Sazed obejrzał

się za siebie. Reszta żołnierzy otoczyła wrota, chroniąc je przed kolosami wewnątrz miasta.

Walczyli odważnie, odwrócenie plecami do bramy, a jedynie siła Sazedą chroniła ją przed ponownym otwarciem.

Mimo to walczyli. Sazed krzyknął, gdy jego stopy zaczęły się ślizgać, i utrzymał wrota, podczas gdy żołnierze zabijali kolossy, które pozostały na dziedzińcu. Później grupka mężczyzn podbiegła z boku, taszcząc długi kawał drewna. Terrisanin nie wiedział, skąd je wzięli, zresztą wcale go to nie obchodziło. Wsunęli belkę w miejsce, gdzie wcześniej była zasuwa.

Jego ciężar się skończył, żelazomyśl była pusta. Powinienem był więcej go zmagazynować przez te wszystkie lata, pomyślał z westchnieniem i wyczerpany osunął się na bruk przed zamkniętą bramą. Wydawało mu się, że ma go dużo, ale teraz był zmuszony korzystać z niego bardzo często, na przykład odpychając kolossy.

Zazwyczaj przechowywałem ciężar jako efekt uboczny, kiedy chciałem stać się lżejszy.

To zawsze wydawało mi się lepszym sposobem wykorzystania żelaza.

Uwolnił cynę z ołowiem i poczuł, jak jego ciało wiotczeje. Na szczęście powiększanie mięśni w taki sposób nie rozciągało skóry. Powrócił do swojej zwykłej postaci, czując jedynie potworne wyczerpanie i słaby ból. Kolossy nadal waliły w bramę. Sazed otworzył oczy. Leżał z gołą pierśią w śniegu i popiele. Jego żołnierze stali z powagą wokół niego.

Tak niewiele, pomyślał. Zaledwie pięćdziesięciu pozostało z jego pierwotnych czterech setek. Plac stał się czerwony - jakby pomalowany - od jaskrawej krwi kolosów i wymieszanej z nią ciemniejszej, ludzkiej. Niebieskie trupy leżały samotnie lub w grupkach, wymieszane z poskręcanyimi i poszarpanymi kawałkami - jedynym, co zwykle pozostawało z ludzkich ciał po spotkaniu z potężnym mieczem kolossa.



Dudnienie nie cichło, niczym bębnienie po drugiej stronie bramy. Wkrótce stało się gorączkowe i wrota zaczęły się trząść, gdy kolosy ogarnęła narastająca frustracja. Pewnie czuły woń krwi i dotyk ciał, które miały na wyciągnięcie ręki.

- Ta belka nie wytrzyma długo - powiedział cicho jeden z żołnierzy. Na jego twarzy osiadł płatek popiołu. - I zawiasy pękają. Znow się przebija.

Sazed podniósł się z trudem.

- A my znow będziemy walczyć.

- Milordzie! - powiedział ktoś. Sazed odwrócił się i ujrzał, jak jeden z konnych posłańców Docksona omija stertę trupów. - Lord Dockson mówi, że... - Umilkł, widząc, że brama Sazed jest zamknięta.

- Jak...?

- Przekaż swoją wiadomość, młody człowieku - powiedział zmęczonym głosem Terrisanin.

- Lord Dockson mówi, że nie dostaniecie żadnego wsparcia - powiedział mężczyzna, ściągając wodze. - Brama Cynowa upadła i...

- Brama Cynowa? - spytał Sazed. Tindwyl! - Kiedy?

- Ponad godzinę temu, milordzie.

Godzinę, pomyślał wstrząśnięty. Jak długo walczymy?

- Macie się tu utrzymać, milordzie! - powiedział młodzieniec, odwrócił się i pogalopował w kierunku, z którego przybył.

Sazed zrobił krok w stronę wschodu. Tindwyl...

Dudnienie w jego bramę stało się głośniejsze i belka zaczęła pękać. Ludzie pobiegli na poszukiwanie czegoś, czym mogliby zabezpieczyć wrota, lecz Sazed widział, że zaczynają się rozpadać również okucia, które utrzymywały zasuwę na miejscu. Kiedy odpadną, skrzydła będą musiały się otworzyć.

Sazed zamknął oczy, czując ogromne zmęczenie, i sięgnął do cynołowiomysli. Była niemal wyczerpana. Później zostanie mu jedynie odrobina siły w jednym z pierścieni.

Ale co mógł zrobić?

Usłyszał, jak belka pęka. Ludzie zaczęli krzyczeć.

\*\*\*

- Cofnąć się! - ryknął Clubs. - Wycofać się do miasta!

Pozostałości ich armii rozproszyły się, wycofując się spod Bramy Cynkowej. Breeze przyglądał się z przerażeniem, jak kolejne kolosy wpadają na plac, trając tych nielicznych żołnierzy, którzy byli ranni lub zbyt słabi, by się wycofać. Stwory ruszyły naprzód niczym wielki niebieski przypływ - przypływ ze stalowymi mieczami i czerwonymi oczyma.

Słońce na niebie - ledwie widoczne za burzowymi chmurami - wyglądało jak krwawiąca blizna, opadająca powoli w stronę horyzontu.

- Breeze - warknął Clubs, odciągając go. - Pora iść.

Ich konie znarowiły się już dawno temu. Breeze zatoczył się za generałem, próbując nie słuchać warczenia za plecami.

- Wycofać się na pozycje! - zawołał Clubs do tych żołnierzy, którzy mogli go usłyszeć. -

Pierwszy oddział, zabarykadować się w Twierdzy Lekal! Lord Hammond powinien już tam być! I przygotowywać obronę! Oddział drugi, ze mną do Twierdzy Hasting!

Breeze uciekał dalej, a jego umysł był równie odrętwiały jak stopy. W bitwie okazał się niemal bezużyteczny. Próbował odbierać ludziom strach, lecz jego wysiłki wydawały się takie niewystarczające. Niczym... kartka papieru uniesiona pod słońce, by rzucać cień.

Clubs uniósł dłoń i dwustuosobowy oddział się zatrzymał. Breeze się rozejrzał. Na ulicy panowała cisza. Padał popiół i śnieg. Wszystko wydawało się... bez wyrazu. Ciemne niebo, krawędzie budynków złagodzone przez poplamiony czernią śnieg. Wydawało mu się dziwne, że uciekli ze straszliwego miejsca - szkarłatno-niebieskiego, i trafili do miasta, które wyglądało na tak leniwe.

- A niech to! - warknął Clubs, odpychając Breeze'a na bok, gdy z bocznej uliczki wypadła grupka kolosów.

Żołnierze Clubsa ustawili się w szyku, lecz inna grupa kolosów - ta, która właśnie przebiła się przez bramę - znalazła się za ich plecami.

Breeze zatoczył się w padającym śniegu. Ta druga grupa... przybyła z północy! Stwory przebiły się tak daleko w głąb miasta?

- Clubs! - krzyknął Breeze, odwracając się. - My...

Uspokajacz ujrzał, jak potężny miecz kolossa przecina wzniesioną rękę Clubsa, po czym opada dalej, na żebra generała. Clubs chrząknął i upadł na ziemię, a jego prawa ręka - łącznie z bronią - poleciała w bok. Zatoczył się na chromej nodze, a wówczas koloss po raz kolejny opuścił ostrze.

Brudny śnieg w końcu nabrał jakiegoś koloru. Czerwonego.

Breeze gapił się oszołomiony na trupa przyjaciela. I wtedy koloss odwrócił się z warczeniem w jego stronę.

Wówczas Breeze zrozumiał, jak blisko jest jego śmierć. To zmusiło go do ruszenia się.

Zatoczył się do tyłu, poślizgnął na śniegu i odruchowo spróbował Uspokoić stwora.

Oczywiście nic się nie stało. Breeze próbował się podnieść, a koloss - wraz z kilkoma towarzyszami - zaczął się do niego zbliżać. W tej chwili jednak na skrzyżowaniu pojawiła się inna grupa żołnierzy uciekająca od strony bramy, przykuwając uwagę kolosów.

Breeze zrobił to, co wydawało mu się naturalne. Wszedł do budynku i ukrył się.

\*\*\*

- To wszystko wina Kelsiera - mruknął Dockson, robiąc kolejną notatkę na mapie.

Według jego posłańców Ham dotarł do Twierdzy Lekal. Długo się nie utrzymają.

W sali balowej Venture panował chaos. Spanikowani skrybowie biegali we wszystkie strony, w końcu uświadomiwszy sobie, że kolosów nie obchodzi, czy człowiek jest skaa, uczonym, szlachetnie urodzonym, czy kupcem. Te istoty po prostu lubiły zabijać.

- Powinien był się tego domyślić - mówił dalej Dockson. - Zostawił nas z tym bałaganem i uznał, że jakoś to wszystko uporządkujemy. Cóż, ja nie ukryję miasta przed wrogami, jak robiłem to z ekipą. Fakt, że byliśmy doskonałymi złodziejami, nie oznacza jeszcze, że poradzimy sobie z rządem państwem!

Nikt go nie słuchał. Posłańcy uciekli, a strażnicy walczyli u bram twierdzy. Każda z twierdz miała swoje fortyfikacje, lecz Clubs - słusznie - zdecydował, że będą one służyć jako miejsce odwrotu. Nie zostały wybudowane, by powstrzymać atak na pełną skalę, i były zbyt od siebie oddalone. Wycofanie się do nich jedynie dzieliło armię.

- Naszym prawdziwym problemem jest dokończenie spraw - powiedział Dockson, robiąc ostatnią notatkę przy Bramie Cynowej, wyjaśniającą, co tam się stało.

Spojrzał na mapę. Nigdy by się nie spodziewał, że brama Sazedą upadnie jako ostatnia.

- Dokończenie spraw - mówił dalej. - Założyliśmy, że poradzimy sobie lepiej niż szlachetnie urodzeni, ale kiedy mieliśmy władzę, oddaliśmy ją właśnie im. Gdybyśmy zabili całą bandę, być może moglibyśmy zacząć od nowa. Oczywiście, to by oznaczało inwazję na inne dominia... co oznaczałoby wysłanie Vin, by zajęła się najważniejszymi i sprawiającymi największe problemy szlachetnie urodzonymi. To byłaby rzeź, jakiej nie widziało Ostatnie Imperium. A gdybyśmy to zrobili...

Przerwał i podniósł wzrok, patrząc, jak rozpada się jedno z potężnych witrażowych okien. Inne również zaczęły pękać, rozbijane rzucanymi kamieniami. Kilka kolosów wskoczyło przez otwory, lądując na usianej szkłem marmurowej podłodze. Nawet rozbite okna wciąż były piękne, ostre odłamki szkła migotały w blasku wieczoru. Przez jedno z nich Dockson widział, że burza odchodzi, przepuszczając promienie słońca.

- Gdybyśmy to zrobili... - powiedział cicho Dockson - nie bylibyśmy lepsi od tych bestii.

Skrybowie krzyczeli, próbując uciec przed kolossami, które rozpoczęły rzeź. Dockson stał w milczeniu, słysząc hałas za plecami - chrząknięcia, głośnie oddechy. To kolosy zbliżały się tylnymi korytarzami. Gdy ludzie zaczęli umierać, sięgnął po leżący na stole miecz.

Zamknął oczy. Wiesz, Kell, pomyślał, zaczynałem już wierzyć, że to prawda, że nas strzeżesz. Że jesteś swego rodzaju bogiem.

Otworzył oczy i odwrócił się, wyciągając miecz z pochwy. Zamarł, wpatrując się w potężną bestię nadchodzącą z tyłu. Taka wielka!

Dockson zacisnął zęby, skierował ostatnie przekleństwo w stronę Kelsiera, po czym rzucił się do ataku, wymachując mieczem.

Stwór chwycił jego ostrze obojętną ręką, ignorując ranę. Później opuścił swoją broń i zapadła ciemność.

\*\*\*

- Milordzie - powiedział Janarle. - Miasto upadło. Widzisz, jak płonie. Kolosy zdobyły wszystkie bramy poza jedną i szaleją w mieście. Nie zatrzymują się, żeby plądrować, po prostu zabijają. Zarzynają. Żołnierzy jest za mało, by im się przeciwstawić.

Straff siedział w milczeniu i patrzył, jak Luthadel płonie. Dla niego było to jak...

symbol. Symbol sprawiedliwości. Kiedyś uciekł z tego miasta, pozostawiając je robactwu skaa, a gdy powrócił, by zażądać jego zwrotu, ludzie się sprzeciwili.

Rzucili mu wyzwanie. Zasłużyli na to.

- Milordzie - odezwał się znów Janarle. - Armia kolosów jest wystarczająco osłabiona.

Trudno ocenić ich liczbę, ale trupy, które za sobą pozostawiły, sugerują, że zginęła jedna trzecia ich sił. Pokonamy je!

- Nie - stwierdził Straff, potrząsając głową. - Jeszcze nie.

- Milordzie? - spytał Janarle.

- Niech kolosy wezmą sobie to przeklęte miasto - powiedział cicho Straff. - Niech je oczyszczą i spalą do ziemi. Ogień nie szkodzi atium, może nawet pomóc nam w znalezieniu metalu.

- Ja... - Janarle wydawał się wstrząśnięty. Nie sprzeciwiał się dalej, lecz w jego spojrzeniu krył się bunt.

Później będę musiał się nim zająć, pomyślał Straff. Znów mi się sprzeciwi, jeśli dowie się, że Zane

odszedł.

W tej chwili to nie miało znaczenia. Miasto go odrzuciło, więc zginie. A on zbuduje lepsze na jego miejscu.

Poświęcone Straffowi, nie Ostatniemu Imperatorowi.

\*\*\*

- Ojczy! - powiedziała z naciskiem Allrienne.

Cett potrząsnął głową. Siedział na koniu obok wierzchowca córki, na wzgórzu na zachód od Luthadel. Widział armię Straffa zebraną na północy i obserwującą - tak samo jak on

- przedśmiertne drgawki skazanego na zagładę miasta.

- Musimy im pomóc! - nalegała Allrienne.

- Nie - odpowiedział cicho Cett, otrząsając się z jej wpływu na jego uczucia. Dawno już przyzwyczał się do jej manipulacji. - Nasza pomoc nie będzie miała teraz znaczenia.

- Musimy coś zrobić! - powiedziała, chwytając go za ramię.

- Nie - powiedział z większym naciskiem.

- Ale wróciłeś! - przypomniła. - Po co wróciliśmy, jeśli nie po to, by pomóc?

- Pomożemy - powiedział cicho Cett. - Pomożemy Straffowi zdobyć miasto, kiedy zechce, a później poddamy się mu i będziemy mieli nadzieję, że nas nie zabije.

Allrienne zbladła.

- O to chodzi? - wyszczała. - Dlatego powróciliśmy, żebyś mógł oddać nasze królestwo temu potworowi?

- A czego się spodziewałaś? - spytał ostro. - Znasz mnie, Allrienne. Wiesz, że muszę dokonać takiego wyboru.

- Myślałam, że cię znam - warknęła. - Myślałam, że w głębi duszy jesteś dobrym człowiekiem.

Cett pokręcił głową.

- Dobrzy ludzie nie żyją. Zginęli w tym mieście.

\*\*\*

Sazed walczył dalej. Nie był wojownikiem - nie miał doskonałego instynktu ani wyszkolenia. Doszedł do wniosku, że powinien być zginąć przed wieloma godzinami. A jednak jakimś cudem

pozostawał przy życiu.

Może dlatego, że kolosy też nie miały wielkich umiejętności. Były tępe - jak ich wielkie klinowate miecze - i po prostu rzucały się na swoich przeciwników, nie myśląc o taktyce.

To powinno było wystarczyć. Sazed jednak nie cofał się - a razem z nim pozostali nieliczni żołnierze. Kolosy wypełniała wściekłość, lecz ludzie Sazedą widzieli starych i słabych mieszkańców miasta stojących na tyłach. Wiedzieli dlaczego walczą. Ta świadomość najwyraźniej im wystarczała, nawet gdy stwory zaczęły ich otaczać.

Sazed wiedział, że nie nadejdzie wybawienie. Miał nadzieję, że Straff jednak zdecyduje się zdobyć miasto, jak zasugerował Clubs. Lecz na to było już za późno - nadchodziła noc, słońce opadało ku horyzontowi.

I oto nadszedł koniec, pomyślał Sazed, gdy żołnierz obok niego został powalony.

Terrisanin poślizgnął się na krwi i to go uratowało, gdyż cios kolossa przeszedł mu nad głową.

Może Tindwyl znalazła drogę ucieczki? Miał nadzieję, że Elend dostarczy wyniki ich badań. Były ważne, pomyślał Sazed, nawet jeśli nie wiedział dlaczego.

Zaatakował, zadając cios mieczem, który odebrał jednemu z kolosów. Zamachnął się i po raz ostatni wzmocnił mięśnie, dodając sobie siły w chwili, gdy jego ostrze zetknęło się z ciałem kolossa.

Trafił. Opór, wilgotny odgłos uderzenia, wstrząs w ramieniu - to wszystko było już dla niego znajome. Załała go jaskrawa krew kolossa i kolejny z potworów zginął.

A siła Sazedą się skończyła.

Zużył całą cynę z ołowiem i nagle miecz kolossa stał się bardzo ciężki. Próbował zamachnąć się nim w stronę kolejnego stwora, lecz broń wysunęła się z jego słabych, odrętwiałych, zmęczonych palców.

Ten koloss był wielki. Miał niemal dwanaście stóp wzrostu, co czyniło go jednym z największych stworów, jakie widział Sazed. Terrisanin próbował się cofnąć, lecz potknął się o ciało jednego z żołnierzy. Gdy się przewrócił, jego ludzie w końcu się załamali i ostatni tuzin zaczął uciekać. Długo się utrzymywali. Zbyt długo. Być może, gdyby pozwolił im się wycofać...

Nie, pomyślał Sazed, patrząc w oczy śmierci. Myślę, że dobrze sobie poradziłem. Lepiej niż można by się tego spodziewać po uczonym.

Pomyślał o pierścieniach na palcach. Mogły dać mu pewną przewagę, pomóc mu odbiec. Uciec. Nie potrafił jednak się do tego zmusić. Dlaczego miałby się opierać? Dlaczego w ogóle się opierał? Wiedział, że byli zgubieni.

Mylnie mnie oceniłaś, Tindwyl, pomyślał. Czasem się poddaję. To miasto spisałem na straty już

dawno temu.

Koloss górował nad Sazedem, który na wpół leżał rozciągnięty w krwawym błocie.

Stwór uniósł miecz. Ponad jego ramieniem Terrisanin widział czerwone słońce wiszące tuż nad szczytem muru. Skupił się na nim, a nie na opadającym mieczu. Widział promienie słońca, niczym... odłamki szkła.

Promienie słońca migotały, mrugały, opadały ku niemu. Jakby samo słońce go przyjmowało. Sięgało, by przyjąć jego ducha.

I tak oto umieram...

Migocząca kropelka światła błysnęła w słonecznym promieniu, po czym uderzyła kolossa w podstawę czaszki. Stwór chrząknął, zeszywniał i wypuścił miecz. Przewrócił się na bok.

Sazed przez chwilę leżał oszołomiony na ziemi. Później spojrzął na mur.

Promienie słońca otaczały drobną postać. Była czarna na tle czerwonego światła, jej płaszcz łagodnie łopotał. Sazed zamrugał. Ten migoczący kawałek światła, który widział... to była moneta. Koloss nie żył.

Vin wróciła.

Skoczyła, jak to potrafili tylko Allomanci, i z wdziękiem przeleciała nad placem.

Wylądowała w ciżbie kolosów i obróciła się. Monety leciały niczym wściekłe owady, przecinając niebieskie ciała. Stwory nie ginęły tak łatwo jak ludzie, lecz atak zwrócił ich uwagę. Odwróciły się od uciekających żołnierzy i bezbronnych mieszkańców miasta.

Skaa na tyłach placu zaczęli śpiewać. To był dziwny dźwięk pośród zgiełku bitwy.

Sazed usiadł, ignorując ból i wyczerpanie, gdy Vin podskoczyła. Wrota nagle szarpnęły się na wykrzywionych zawiasach. Kolosy poważnie je uszkodziły...

Potężne drewniane wrota oderwały się od ściany, Przyciągane przez Vin. Taka moc, pomyślał tępo Sazed. Musi Przyciągać się do czegoś za plecami - ale to by znaczyło, że biedna Vin jest szarpana między dwoma potężnymi masami.

A jednak zrobiła to - poderwała wrota i Przyciągnęła je do siebie. Potężne skrzydło z twardego drewna uderzyło w szeregi kolosów, odrzucając je na bok. Vin skręciła zrećźnie w powietrzu, Przyciągając się w bok i ciągnąc za sobą wrota, jakby były do niej przywiązane.

Kolosy wylatywały w powietrze, ich kości pękały. Vin jednym pociągnięciem oczyściła cały dziedziniec.

Brama opadła. Vin wylądowała pośród zmiażdżonych ciał i podrzuciła nogą kij jednego z żołnierzy,

po czym chwyciła go w rękę. Kolosy za bramą wahały się tylko przez chwilę, po czym ruszyły do natarcia. Vin atakowała szybko, lecz precyzyjnie. Czaszki pękały, a kolosy padały martwe na śnieg. Zawirowała, odrzucając kilka stworów na ziemię, zalewając czerwoną mazią kolejne kolosy.

Ja... muszę coś zrobić, pomyślał Sazed, otrząsając się z oszołomienia. Wciąż był nagi od pasa w górę, mógł ignorować zimno dzięki mosiądzmyśli, która jednak była niemal zupełnie pusta. Vin walczyła nadal, zabijając kolossa za kolossem. Nawet jej siła kiedyś się wyczerpie.

Nie uratuje miasta.

Sazed zmusił się do wstania i ruszył na tył placu. Chwycił starszego mężczyznę z przodu tłumu skaa i potrząsaniem zmusił do przerwania śpiewu.

- Miałeś rację - powiedział Sazed. - Wróciła.

- Tak, Święty Pierwszy Świadku.

- Myślę, że kupi nam trochę czasu - dodał Sazed. - Kolosy dostały się do miasta.

Musimy zebrać ludzi i uciekać.

Stary mężczyzna zawahał się i Terrisanin przez chwilę oczekiwał sprzeciwu -

stwierdzenia, że Vin ich ochroni, pokona całą armię. Na szczęście skaa pokiwał głową.

- Uciekniemy przez północną bramę - powiedział z naciskiem Sazed. - Tamtędy kolosy dostały się do miasta, więc pewnie już się stamtąd wyniosły.

Mam nadzieję, pomyślał Sazed, ruszając dalej, by podnieść alarm. Żołnierze mieli się wycofywać do twierdz szlachetnie urodzonych. Może tam odnajdą ocalałych.

\*\*\*

Czyli, pomyślał Breeze, chyba jednak jestem tchórzem.

Właściwie wcale go to nie zaskoczyło. Zawsze uważał, że człowiek powinien rozumieć samego siebie, i zawsze był świadom swojego egoizmu. Dlatego wcale go nie zdziwiło, gdy odkrył, że kuli się przy ceglanej ścianie starego domu skaa, odcinając się od wrzasków na zewnątrz.

Gdzie się podział ten dumny mężczyzna? Ten ostrożny dyplomata, Uspokajacz w nienagannym surducie? Odszedł, pozostawiając tę drżącą, bezużyteczną masę. Kilka razy próbował spalić mosiądz, Uspokoić walczących na zewnątrz. Nie radził sobie jednak z najprostszyimi rzeczami. Nie mógł się nawet poruszyć.

Chyba żeby potraktować drzenie jako poruszanie się.

Fascynujące, pomyślał Breeze, jakby patrzył na siebie z zewnątrz i oglądał tę żalosalną istotę w



podartym, zakrwawionym surducie. Czyli to się dzieje ze mną, kiedy nacisk staje się zbyt wielki? W pewnym sensie to ironia losu. Spędziłem całe życie, panując nad uczuciami innych ludzi. Teraz boję się tak bardzo, że nie mogę funkcjonować. Walki na zewnątrz trwały nadal. Trwały strasznie długo. Czy ci żołnierze nie powinni już nie żyć?

- Breeze?

Nie mógł się poruszyć, żeby zobaczyć, kto to. Brzmi jak Ham. To zabawne. On też powinien nie żyć.

- Na Ostatniego Imperatora! - wykrzyknął Ham, wchodząc w pole widzenia Breeze'a.

Jedną rękę trzymał na zakrwawionym temblaku. - Breeze, słyszysz mnie?

- Widzieliśmy, jak tu się chowa, milordzie - powiedział ktoś inny. Żołnierz? - Ukrył się przed walką. Ale czuliśmy, jak nas Uspokaja. Pomagał nam walczyć, nawet kiedy powinniśmy byli się poddać. Po śmierci lorda Cladenta...

Jestem tchórzem.

Pojawiła się kolejna postać. Sazed. Wydawał się zatroskany.

- Breeze - powiedział Ham, klękając. - Moja twierdza upadła, podobnie jak brama Sazed. Od godziny nie mieliśmy wieści od Docksona i widzieliśmy ciało Clubsa. Proszę.

Kolossy niszczą miasto. Musimy wiedzieć, co mamy zrobić.

„Mnie nie pytaj”, powiedział Breeze - a raczej próbował powiedzieć. Wydawało mu się, że tylko coś wybełkotał.

- Nie mogę cię nieść, Breeze - powiedział Ham. - Moja ręka jest niemal bezużyteczna.

„Nic się nie stało”, wybełkotał Breeze. „Bo wiesz, mój drogi, ja też chyba nie nadaję się do użytku. Powinniście ruszać dalej. Nie będzie problemu, jeśli mnie tu po prostu zostawicie”.

Ham bezradnie spojrział na Sazed.

- Pospiesz się, lordzie Hammondzie - powiedział Terrisanin. - Żołnierze mogą nieść rannych. Dotrzemy do twierdzy Hasting. Może tam znajdziemy schronienie. Albo... kolossy będą na tyle rozproszone, że pozwolą nam wyślizgnąć się z miasta.

„Rozproszone”, mruknął Breeze. „Rozproszone zabijaniem innych ludzi, to chcecie powiedzieć. Cóż, pociesza mnie myśl, że wszyscy jesteśmy po trochu tchórzami. A teraz, jeśli mógłbym jeszcze przez chwilę tu poleżeć, może udałoby mi się zasnąć...”

I zapomnieć o wszystkim”.

*Alendi będzie potrzebował przewodnika przez góry Terris. Kazałem Rashekowi upewnić się, że to*

*on i jego zaufani przyjaciele zostaną wybrani na przewodników.*

Kij Vin złamał się, gdy uderzyła nim kolossa w twarz.

No nie, znowu, pomyślała z frustracją. Zawirowała i wbiła złamany kawałek w pierś kolejnego stwora. Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z jednym z większych kolosów, wyższym od niej o dobre pięć stóp.

Stwór pchnął ją mieczem. Vin podskoczyła i ostrze zderzyło się z popękany brukiem pod jej stopami. Uniosła się, nie potrzebując żadnych monet, by znaleźć się na wysokości wykrzywionej twarzy istoty.

Zawsze wydawały się zaskoczone. Nawet widząc, jak walczy z dziesiątkami ich towarzyszy, były zaskoczone, gdy unikała ich ciosów. W ich umysłach rozmiar równał się sile

- większy koloss zawsze pokonywał mniejszego. Człowiek nie powinien sprawiać problemów tak wielkiemu potworowi.

Vin rozjarzyła cynę z ołowiem i wbiła pięść w łeb stwora. Czaszka pękła pod jej palcami i potwór przewrócił się na plecy, podczas gdy ona sama wylądowała na ziemi. Jak zawsze jego miejsce zajął kolejny.

Zaczynała odczuwać zmęczenie. Bitwę rozpoczęła już zmęczona. Przeciągała cynę z ołowiem, a później wykorzystwała pokręconą wersję kolcotraktu, by przebyć całe dominium.

Była wyczerpana. Jedynie cyna z ołowiem z ostatniej fiolki utrzymywała ją na nogach.

Powinam była poprosić Sazedę o jedną z pustych cynołowiomysli, pomyślała.

Feruchemicy i Allomanci korzystali z tych samych metali. Mogłaby ją spalić - choć pewnie byłby to naramiennik albo bransoleta, zbyt duże do połknięcia.

Uskoczyła w bok, gdy kolejny koloss zaatakował. Monety nie powstrzymywały tych stworów, a ważyły zbyt wiele, by mogła je Odepchnąć bez kotwicy. Poza tym kończyły się jej zapasy stali i żelaza.

Zabijała kolossa za kolossem, kupując czas Sazedowi i innym. Tym razem coś się zmieniło - czuła się inaczej niż wtedy, gdy zabijała w pałacu Cetta. Czuła się dobrze. Nie tylko dlatego, że zabijała potwory.

Dlatego że знаła swój cel. I zgadzała się z nim. Mogła walczyć, mogła zabijać, skoro oznaczało to obronę tych, którzy sami nie mogli się bronić. Kelsier umiał zabijać, by osiągnąć efekt wstrząsu lub z zemsty, ale Vin to nie wystarczało.

I nie pozwoli, by to się powtórzyło.

To zdecydowanie dodawało sił jej atakom na kolossy. Wykorzystała ukradziony miecz, by obciąć nogi jednego, później rzuciła bronią w drugiego, Odpychając ją, by wbiła się w pierś kolossa. Następnie Przyciągnęła do ręki miecz zabitego żołnierza. Odskoczyła w tył, lecz potknęła się na kolejnym trupie.

Jestem taka zmęczona, pomyślała.

Na dziedzińcu leżały dziesiątki - może nawet setki - trupów. Właściwie wokół niej tworzyła się sterta. Wspięła się na nią, cofając się nieco, gdy stwory znów ją okrążyły. Istoty wspinały się na ciała zabitych towarzyszy, w ich przekrwionych oczach płonęła wściekłość.

Ludzie by się poddali, odeszli w poszukiwaniu łatwiejszych ofiar. A kolossy jakby się mnożyły. Inne grupki słyszały odgłosy walki i dołączały się.

Zamachnęła się i z pomocą cyny z ołowiem obcięła rękę jednego kolossa i nogę drugiego, a następnie głowę trzeciego. Oskakiwała i uchylała się, trzymając się poza ich zasięgiem i zabijając tyłu, ilu mogła.

Jednakże choć była zdeterminowana i zdesperowana, a pragnienie obrony słabszych dodawało jej sił, wiedziała, że nie wytrzyma długo takiej walki. Była sama. Nie mogła samotnie uratować Luthadel.

\*\*\*

- Lordzie Penrodzie! - ryknął Sazed, stojąc u wrót Twierdzy Hasting. - Musisz mnie wysłuchać!

Nie było odpowiedzi. Żołnierze na szczycie niewysokiego muru zachowali milczenie, choć Sazed wyczuwał ich niepokój. Nie podobało im się, że muszą go ignorować. Niedaleko nadal trwała bitwa. Kolossy wrzeszczały w ciemnościach. Wkrótce znajdą drogę do kilkunastotysięcznej, z każdą chwilą rosnącej gromady Sazedą i Hama, która teraz kulila się w milczeniu u wrót Twierdzy Hasting.

Do Sazedą podszedł wymizerowany posłaniec. Ten sam, którego Dockson posyłał do Bramy Stalowej. Gdzieś stracił konia, znaleźli go z grupą uciekinierów na Placu Ocalałego.

- Lordzie Terrisaninie - powiedział cicho posłaniec. - Właśnie... wróciłem z punktu dowodzenia. Twierdza Venture upadła...

- Lord Dockson?

Mężczyzna potrząsnął głową.

- Wokół twierdzy kryło się kilku rannych skrybów. Widzieli, jak umiera. Kolossy wciąż są w budynku, tłuką okna, kręcą się...

Sazed odwrócił się i spojrzał ponad miastem. Tak wiele dymu wypełniało powietrze, że zdawało się, że to mgły nadeszły przedwcześnie. Zaczął zapełniać cynomyśl węchu, by zagłuszyć smród.

Bitwa o miasto być może już się skończyła, lecz wkrótce rozpocznie się prawdziwa tragedia.

Kolossy w mieście skończyły zabijanie żołnierzy. Teraz zarzną mieszkańców. Były ich setki tysięcy, a Sazed wiedział, że stwory z radością będą napawać się zniszczeniem.

Żadnego łupienia. Nie, skoro mogli jeszcze zabijać.

W mroku rozległy się kolejne krzyki. Przegrali. Zawiedli. A teraz miasto naprawdę upadnie.

Wkrótce nadejdą mgły, pomyślał, próbując sobie dodać nadziei. Może one zapewnią nam osłonę.

Mimo to wciąż miał przed oczami jeden obraz. Ciało Clubsa na śniegu. Drewniany dysk, który generał dostał tego ranka od Sazed, wisiał na jego szyi.

Nie pomógł mu.

Sazed znów odwrócił się w stronę Twierdzy Hasting.

- Lordzie Penrodzie - powiedział głośno. - Spróbujemy wydostać się z miasta. Chętnie przyjmujemy wasze wojska i wasze przywództwo. Jeśli zostanieie tutaj, kolossy zaatakują twierdzę i zabiją was.

Cisza.

Sazed odwrócił się i westchnął, gdy dołączył do niego Ham.

- Musimy iść, Saze - powiedział cicho.

- Jesteś zakrwawiony, Terrisaninie.

Sazed odwrócił się. Ferson Penrod stał na szczycie muru i patrzył z góry. W swoim surducie wyglądał nienagannie. Nawet założył kapelusz dla osłony przed śniegiem i popiołem.

Sazed spojrzał na swój ubiór. Nadal był odziany jedynie w przepaskę biodrową. Nie miał czasu martwić się o ubranie, zwłaszcza że mosiądzmyśl chroniła go przed zimnem.

- Nigdy nie widziałem, by Terrisanin walczył - zauważył Penrod.

- Nie zdarza się to często, milordzie - odparł Sazed.

Penrod uniósł wzrok i popatrzył na miasto.

- Upada, Terrisaninie.

- Dlatego musimy odejść, milordzie.

Penrod potrząsnął głową. Nadal nosił wąską koronę Elenda.

- To moje miasto, Terrisaninie. Nie porzucę go.

- Szlachetny gest, milordzie. Ale ze mną są twoi poddani. Porzucisz ich, nie towarzysząc im w

ucieczce na północ.

Penrod zawahał się.

- Nie będzie ucieczki na północ, Terrisaninie. Twierdza Hasting to jeden z najwyższych budynków w mieście, widzimy z niej, co robią kolosy. Nie pozwolą ci uciec.

- Może zabiorą się za rabowanie - powiedział Sazed. - Może uda nam się uciec.

- Nie - odparł Penrod, a jego głos odbijał się echem od zasypanych śniegiem ulic. - Mój Cynooki twierdzi, że stwory już zaatakowały ludzi, których posłaliście w stronę północnej bramy. Teraz kolosy ruszyły w tę stronę. Idą po nas.

Gdy rozległy się odległe krzyki i zaczęły się zbliżać, Sazed uwierzył w słowa Penroda.

- Otwórz wrota, Penrodzie! - ryknął Terrisanin. - Wpuść uciekinierów! - Ocal im życie na kilka żałosnych chwil.

- Nie ma miejsca - odparł Penrod. - I nie ma czasu. Jesteśmy zgubieni.

- Musisz nas wpuścić!

- To dziwne - powiedział nieco ciszej stary lord. - Odbierając tron młodemu Venture, uratowałem mu życie... i skazałem siebie na zagładę. Nie mogłbym uratować miasta, Terrisaninie. Moim jedynym pocieszeniem jest świadomość, że Elendowi też najpewniej by się to nie udało.

Odwrócił się i zniknął za murem.

- Penrodzie! - ryknął Sazed.

Mężczyzna nie wrócił. Słońce zachodziło, mgły gęstniały, a kolosy, nadchodziły.

\*\*\*

Vin powaliła kolejnego kolossa i odskoczyła, Odpychając się od leżącego na ziemi miecza. Oderwała się od grupy stworów, dysząc ciężko i krwawiąc z kilku drobnych ran. Jej ramię drętwiało po ciosie jednego z kolosów. Umiała zabijać, lepiej niż ktokolwiek. Nie mogła jednak walczyć bez końca.

Wylądowała na dachu, zatoczyła się i uklękła w stercie śniegu. Kolosy wołały i wyły za nią; wiedziała, że będą na nią polować. Zabiła ich setki, lecz czym jest kilka setek wobec armii liczącej ponad dwadzieścia tysięcy?

A czego się spodziewałaś? - pomyślała. Dlaczego wciąż walczyłaś, choć Sazed był już wolny? Czy chciałaś powstrzymać je wszystkie? Zabić każdego kolossa w armii?

Raz powstrzymała Kelsiera przed samotnym zaatakowaniem całej armii. Był wielkim człowiekiem,

ale nadal jedną osobą. Nie mógł powstrzymać armii - i ona też nie.

Muszę odnaleźć Studnię, pomyślała, spalając brąz. Dudnienie - które ignorowała przez całą walkę - stało się głośniejsze.

A jednak pozostał ten sam problem co wcześniej. Wiedziała już, że Studnia była w mieście, wyczuwała dudnienie wszędzie wokół siebie. Mimo to dźwięk ten był tak potężny, tak wszechobecny, że nie rozpoznawała, skąd dochodzi.

Poza tym, jaki miała dowód, że odnalezienie Studni pomoże? Skoro Sazed okłamał ją w sprawie lokalizacji - nawet narysował fałszywą mapę - to w którym momencie jeszcze kłamał?

Moc mogła powstrzymać mgły, ale jak mogła pomóc płonącemu i ginącemu Luthadel?

Vin uklękała i z frustracji zaczęła tłuc pięściami w dach. Okazała się zbyt słaba. Co dał jej powrót - i decyzja o chronieniu słabszych - skoro w żaden sposób nie mogła pomóc?

Kłęczała przez kilka chwil, dysząc ciężko. W końcu zmusiła się do wstania i wleciała w powietrze, rzuciwszy monetę. Metale niemal się jej skończyły. Stali wystarczy na najwyżej kilka skoków. Zwolniła w pobliżu Kredik Shaw, Wzgórza Tysiąca Wież. Chwyciła jedną z iglic na szczycie pałacu, obróciła się i spojrzała na miasto.

Płonęło.

W Kredik Shaw panowała cisza, budynek pozostawiły w spokoju obie plądrujące rasy.

Jednak wszędzie wokół Vin widziała światła w ciemnościach. Mgły płonęły niepokojącym blaskiem.

Jest tak... jak dwa lata temu, pomyślała. W noc buntu skaa. Ale tamtej nocy światła pochodziły z pochodni buntowników, którzy maszerowali na pałac. Tej nocy trwała inna rewolucja. Słyszała ją. Cały czas spalała cynę, a teraz zmusiła się do rozjarzenia jej i nadstawiła uszu. Słyszała krzyki. Śmierć. Kolosy nie zakończyły dzieła śmierci, niszcząc armię. Wprost przeciwnie.

Dopiero zaczynały.

Kolosy zabijają wszystkich, pomyślała, drżąc. Wokół niej płonęły ognie. Mordują poddanych Elenda, których zostawił ze względu na mnie. Oni umierają.

Jestem jego nożem. Ich nożem. Kelsier mi ich powierzył. Powinnam móc coś zrobić...

Opadła na ziemię, zsunęła się z pochyłego dachu i wylądowała na pałacowym dziedzińcu. Mgły zebrały się wokół niej. Powietrze było gęste. I to nie tylko od popiołu i śniegu

- czuła smród śmierci w podmuchach, słyszała krzyki w szmerach.

Jej cyna z ołowiem się skończyła.

Upadła na ziemię, gdy załapała ją fala wyczerpania, tak potężna, że wszystko inne wydawało się bez znaczenia. Od razu zrozumiała, że nie powinna była tak bardzo polegać na cynie z ołowiem. Nie powinna była się tak wysilać. Ale wydawało jej się, że to jedyne rozwiązanie.

Czuła, jak zaczyna tracić przytomność.

Ale ludzie krzyczeli. Słyszała ich - słyszała ich wcześniej. Miasto Elenda... lud Elenda...

umierali. Jej przyjaciele gdzieś tam byli. Przyjaciele, których miała strzec.

Zacisnęła zęby, znów stłumiła wyczerpanie i podniosła się z trudem. Spojrzała poprzez mgły, nasłuchując widmowych głosów przerażonych ludzi. Pospieszyła w ich stronę.

Nie mogła skakać - nie miała już stali. Nie mogła nawet biec bardzo szybko, ale gdy zmusiła ciało do ruchu, reagowało coraz lepiej. Walczyła z odrętwieniem, efektem długotrwałego polegania na cynie z ołowiem.

Wypadła z bocznej uliczki, poślizgnęła się na śniegu i ujrzała niewielką grupkę ludzi uciekającą przed grupą kolosów. Stworów było sześć, raczej małych, ale i tak niebezpiecznych. Na oczach Vin jeden z potworów rozciął na pół starego mężczyznę. Inny chwycił małą dziewczynkę i uderzył nią o ścianę.

Vin rzuciła się do przodu, mijając uciekających skaa, i wyciągnęła sztylety. Nadal czuła się wyczerpana, lecz adrenalina dodawała jej sił. Musiała się ruszać. Nie zatrzymywać.

Zatrzymanie się oznaczało śmierć.

Kilka stworów odwróciło się w jej stronę, gotując się do walki. Jeden rzucił się na nią, a Vin świadomie poślizgnęła się na błocie - w ten sposób zbliżając się do kolossa - po czym cięła go w tył nogi. Zawył z bólu, gdy nóż utknął w jego pomarszczonej skórze. Vin z trudem wyrwała ostrze, kiedy zaatakował ją drugi stwór.

Czuję się taka powolna, pomyślała sfrustrowana, z trudem podnosząc się na nogi i cofając poza zasięg jego ciosu. Miecz opryskał ją lodowatymi kroplami wody. Vin skoczyła do przodu i wbiła sztylet w oko stwora.

Nagle odkryła, jak bardzo przydatne były te lekcje, gdy Ham kazał jej ćwiczyć bez Allomancji. Chwyciła za róg budynku, by odzyskać równowagę. Później rzuciła się do przodu i ramieniem popchnęła kolossa rannego w oko - szarpał rękojeść i ryczał - na towarzyszy. Koloss z dziewczynką odwrócił się wstrząśnięty, gdy Vin wbiła drugi sztylet w jego plecy. Nie przewrócił się, ale puścił dziecko.

Na Ostatniego Imperatora, ależ te stwory są twarde, pomyślała. Chwyciła dziecko i uciekła, powiewając płaszczem. Szczególnie kiedy ja sama nie jestem twarda. Potrzebuję metali.

Dziewczynka w ramionach Vin skuliła się, gdy rozległo się wycie kolosów. Vin obróciła się na pięcie, rozjarzając cynę, by nie paść ze zmęczenia. Stwory nie poszły za nią -



kłóciły się o kawałek ubrania należącego do trupa. Znów rozległo się wycie, ale tym razem dochodziło z innej strony.

Ludzie znów zaczęli krzyczeć. Vin podniosła wzrok i zobaczyła, że ci, których właśnie uratowała, stali teraz przed jeszcze większą grupą kolossów.

- Nie! - krzyknęła, unosząc dłoń.

Ale tamci w czasie walki bardzo się oddalili. Gdyby nie cyna, już by ich nie widziała. A tak widziała bardzo dobrze, jak potwory mordują małą grupkę swoimi potężnymi mieczami.

- Nie! - znów krzyknęła Vin. Ich śmierć ją zaskoczyła, wstrząsnęła nią, była niczym przypomnienie wszystkich innych śmierci, którym nie umiała zapobiec.

- Nie. Nie! Nie!

Cyna z ołowiem się skończyła. Stal się skończyła. Żelazo się skończyło. Nie miała nic.

Ale... miała coś. Nie zastanawiając się nawet, co ją popchnęło do takiego posunięcia, potraktowała stwory Uspokajaniem wzmacnianym duraluminium.

Czuła się tak, jakby jej umysł zderzył się z Czymś. A później to Coś pękło. Vin zatrzymała się wstrząśnięta, nadal trzymając dziecko w ramionach, gdy kolosy zamarły w trakcie rzezi.

Co ja zrobiłam? - pomyślała zdezorientowana, próbując odnaleźć sens w swoim zamroczonym umyśle i domyślić się, dlaczego tak właśnie postąpiła. Czy to dlatego, że była sfrustrowana?

Nie. Wiedziała, że Ostatni Imperator stworzył Inkwizytorów z jedną słabością - ginęli po usunięciu jednego kolca z pleców. Również kandra stworzył ze słabością. Kolosy także musiały ją mieć.

TenSoon nazwał kolosy... kuzynami, pomyślała.

Wyprostowała się. Na mrocznej ulicy panowała cisza, przerywana jedynie jękami skaa.

Kolosy czekały, czuła siebie w ich umysłach. Jakby były przedłużeniem jej ciała - podobnie czuła się, gdy przejęła panowanie nad ciałem TenSoona.

Rzeczywiście, kuzynowie. Ostatni Imperator stworzył kolosy ze słabością - taką samą, jak w wypadku kandra. Nie pozbawił się kontroli nad swoim dziełem.

I nagle zrozumiała, jak nad nimi panował przez te wszystkie lata.

\*\*\*

Sazed stał na czele dużej grupy uciekinierów, wokół niego padał śnieg i popiół - w mroku nie różniły się od siebie. Ham siedział z boku i wydawał się senny. Stracił sporo krwi -

człowiek bez cyny z ołowiem już by umarł. Ktoś dał Sazedowi płaszcz, lecz on otulił nim nieprzytomnego Breeze'a. Choć Terrisanin prawie nie korzystał z mosiądzmyśli, nie czuł zimna.

Może po prostu był zbyt odrętwiały.

Uniósł przed siebie ręce zaciśnięte w pięści. Na jego palcach, w świetle samotnej latarni, błyszczało dziesięć pierścieni. Kolosy zbliżały się mrocznymi uliczkami; ich sylwetki były zgarbionymi cieniami w mroku.

Żołnierze Sazedą się wycofali. Nie pozostało im zbyt wiele nadziei. Sazed stał samotnie w padającym śniegu, chudy, łysy uczony, niemal nagi. Ten, który nauczał religii podbitych narodów. Ten, który jako ostatni utracił nadzieję. Ten, który powinien mieć najwięcej wiary.

Dziesięć pierścieni. Kilka minut siły. Kilka minut życia.

Czekał, gdy kolosy się zbierały. Potwory zrobiły się dziwnie ciche. Zatrzymały się.

Stały nieruchomo - szereg ciemnych, przysadzistych sylwetek w mroku.

Dlaczego nie atakują? - pomyślał z frustracją Sazed.

Zapłakało dziecko. I oto kolosy znów się poruszyły. Sazed stężał, lecz stwory nie podeszły bliżej. Rozdzieliły się, a spomiędzy nich wyszła drobna postać.

- Lady Vin? - spytał Sazed. Nie miał okazji z nią porozmawiać od chwili, gdy uratowała go przy bramie. Wyglądała na wyczerpaną.

- Sazedzie - powiedziała zmęczonym głosem. - Okłamałeś mnie w kwestii Studni Wstąpienia.

- Tak, lady Vin - odparł.

- To nie ma teraz znaczenia - stwierdziła. - Dlaczego stoisz nago pod murami twierdzy?

- Ja... - spojrzał na kolosy. - Lady Vin, ja...

- Penrodzie! - zawołała nagle Vin. - Jesteś tam na górze?

Król pokazał się. Na jego twarzy malowała się dezorientacja równa tej, którą czuł Sazed.

- Otwórz bramy! - ryknęła.

- Oszalałaś?! - wrzasnął Penrod.

- Nie jestem pewna - stwierdziła.

Odwróciła się i grupa kolosów podeszła bliżej, w milczeniu, jakby na rozkaz.

Największy chwycił Vin i uniósł ją, aż znalazła się niemal na wysokości muru. Kilku strażników cofnęło się na jej widok.

- Jestem zmęczona - powiedziała Vin.

Sazed musiał sięgnąć do cynomyśli słuchu, by usłyszeć jej słowa.

- Wszyscy jesteśmy zmęczeni, dziecko.

- Ja jestem szczególnie zmęczona - odparła. - Jestem zmęczona gierkami. Jestem zmęczona tym, że ludzie giną z powodu kłótni między przywódcami. Jestem zmęczona tym, że dobrych ludzi się wykorzystuje.

Penrod pokiwał głową.

- Chcę, żebyś zebrał resztę naszych żołnierzy - powiedziała Vin, odwracając się w stronę miasta. - Ilu tu masz?

- Jakieś dwie setki - odpowiedział.

- Miasto nie zostało stracone... kolossy pozabijały żołnierzy, ale nie miały czasu zwrócić się przeciwko mieszkańcom. Chcę, żebyś posłał żołnierzy, by odszukali grupy kolosów, które plądrują i zabijają. Niech chronią ludzi, ale nie atakują kolosów, jeśli nie muszą. Za to niech pošlą kogoś po mnie.

Pamiętając wcześniejszy upór Penroda, Sazed spodziewał się jego sprzeciwu. Ale się nie doczekał. Stary lord tylko przytaknął.

- A co potem? - spytał Penrod.

- Zajmę się kolosami - odparła. - Najpierw odzyskamy Twierdzę Venture... Będę potrzebować metali, a tam są spore zapasy. Kiedy miasto będzie bezpieczne, chciałabym, żebyś ze swoimi ludźmi ugasił pożary. Nie powinno to być trudne, bo nie pozostało zbyt wiele budynków, które mogą spłonąć.

- Dobrze - powiedział Penrod i odwrócił się, by wydać rozkazy.

Sazed przyglądał się w milczeniu, jak potężny koloss opuszcza Vin na ziemię. Stwór stał w milczeniu, jakby był rzeźbą z kamienia, a nie oddychającą, krwawiącą, żywą istotą.

- Sazedzie - powiedziała cicho Vin.

Wyczuwał zmęczenie w jej głosie.

- Lady Vin - odparł.

Z boku Ham w końcu otrząsnął się z odrętwienia i zszokowany spoglądał na Vin i kolossy.

Vin nadal wpatrywała się w Sazed. Nie mógł spojrzeć jej w oczy. Ale miała rację - o jego zdradzie mogli porozmawiać później. Teraz mieli inne, ważniejsze zadania.

- Domyślam się, że pewnie masz dla mnie jakieś zajęcie - powiedział, przerywając milczenie. - Ale, jeśli mi wybaczysz, jest pewna... sprawa, którą chciałbym się teraz zająć.

- Oczywiście, Sazedzie. Tylko najpierw powiedz mi, czy ktoś z pozostałych przeżył?

- Clubs i Dockson nie żyją, milady - odparł Terrisanin. - Nie widziałem ich ciał, ale mam raporty z wiarygodnych źródeł. Jak widzisz, lord Hammond jest tu z nami, choć odniósł bardzo poważną ranę.

- Breeze? - spytała.

Sazed wskazał na ciało ułożone przy murze.

- Na szczęście przeżył. Jednak jego umysł źle reaguje na grozę, której był świadkiem.

Może to tylko chwilowy wstrząs. Albo... coś bardziej trwałego.

Vin pokiwała głową i odwróciła się do Hama.

- Ham. Potrzebuję cyny z ołowiem.

Tępo pokiwał głową i zdrową ręką wyciągnął fiolkę. Rzucił ją. Vin połknęła metal i zmęczenie zniknęło. Wyprostowała się. Jej oczy zaczęły błyszczeć.

To nie może być zdrowe, pomyślał z troską Sazed. Ile go spaliła?

Z większym wigorem odwróciła się w stronę swoich kolosów.

- Lady Vin? - odezwał się Sazed. - Tam wciąż jest armia.

- Ależ wiem - odparła, odbierając jednemu z kolosów jego wielki klinowaty miecz.

Broń była od niej o kilka cali wyższa.

- Doskonale znam zamiary Straffa - powiedziała, opierając miecz na ramieniu.

Po czym zniknęła pośród śniegu i mgły, kierując się do Twierdzy Venture, a jej składająca się z kolosów straż przyboczna ruszyła za nią.

\*\*\*

Minęła większa część nocy, nim Sazed wypełnił zadanie, które sam sobie narzucił.

Wśród mroku znajdował kolejne ciała - niektóre były pokryte lodem. Śnieg przestał padać, za to wzmógł się wiatr, zmieniając śniegowe błoto w śliski lód. Musiał odłamywać niektóre trupy, by je odwrócić i zobaczyć ich twarze.

Bez pomocy ciepła z mosiądzmyśli nie wykonałby swojej ponurej pracy. Mimo to znalazł sobie cieplejsze ubranie - prostą brązową szatę i parę butów. Pracował przez całą noc, a wiatr unosił wokół niego płatki śniegu i lodu. Zaczął oczywiście od bramy, tam leżało najwięcej trupów. Później jednak musiał wejść w ulice i uliczki.

Odnalazł jej ciało niedługo przed świtem.

Miasto przestało płonąć. Miał tylko swoją latarnię, lecz ona wystarczyła, by zobaczyć

pasek materiału unoszący się na wietrze ponad śnieżną zaspą. Z początku Sazed myślał, że to kawałek zakrwawionego bandaża, który przestał spełniać swe zadanie. Później ujrzał

pomarańczową i żółtą barwę, więc podszedł bliżej - nie miał już sił iść szybko - i sięgnął w głąb zasy.

Ciało Tindwyl trzeszczało lekko, gdy je obrócił. Krew na jej boku zamarzła, a oczy były otwarte. Oceniając po pozycji, w jakiej leżała, tuż przed śmiercią prowadziła swoich żołnierzy do Twierdzy Venture.

Och, Tindwyl, pomyślał, dotykając jej twarzy. Wciąż była miękka, lecz straszliwie zimna. Po tylu latach dręczenia przez Hodowców, po tym, jak tak wiele przeżyła, oto co ją spotkało. Śmierć w mieście, do którego nie należała, z mężczyzną - nie, półmężczyzną - który na nią nie zasługiwał.

Uwolnił mosiądzmyśl i pozwolił, by otoczył go mróz nocy. Nie chciał czuć ciepła.

Latarnia migotała niepewnie, oświetlając ulicę i rzucając cień na zamrożonego trupa. I oto stojąc na tej lodowatej ulicy Luthadel, patrząc na ciało ukochanej kobiety, Sazed coś sobie uświadomił.

Nie wiedział co ma robić.

Próbował wymyślić coś odpowiedniego do powiedzenia - coś odpowiedniego do pomyślenia - ale cała jego wiedza religijna wydawała mu się pusta. I co z tego, że ją pochowa?

Jaką wartość miały modlitwy do dawno umarłego boga? Co dobrego zrobił? Religia Dadradah nie pomogła Clubsowi; Ocalały nie przybył, by uratować tysiące żołnierzy, którzy zginęli. Jaki to miało sens?

Wiedza Sazedą nie dawała mu pocieszenia. Akceptował religie, które znał - wierzył w ich wartość - ale one mu nie pomagały. Nie dawały mu pewności, że duch Tindwyl wciąż żyje.

Kazały mu za to zadawać pytania. Skoro tak wielu ludzi wierzyło w tak wiele różnych rzeczy, jak jedna z nich - czy w ogóle cokolwiek - mogła być prawdziwa?

Skaa nazywali Sazedą świętym, ale w tej chwili zrozumiał, że jest największym bluźniercą ze wszystkich. Był istotą, która znała trzy setki religii, ale nie wierzyła w żadną z nich.

Dlatego, gdy z jego oczu popłynęły łzy - i niemal zaczęły zamarzać na twarzy - nie dały mu większego

pocieszenia niż religie. Jęknął, pochylając się nad zamrożonym trupem.

Moje życie, pomyślał, było oszustwem.

*Rashek ma spróbować poprowadzić Alendiego w złą stronę, zniechęcić go lub w inny sposób uniemożliwić mu dotarcie do celu. Alendi nie wie, że został*

*oszukany, że wszyscy zostaliśmy oszukani, i teraz mnie już nie posłucha.*

Straff obudził się w chłodzie poranka i natychmiast sięgnął po liść czarnego Frayna.

Zaczynał dostrzegać zalety swojego uzależnienia. Budził się szybko i bez trudu, czuł ciepło mimo wczesnej pory. Dawniej wstawanie zajmowało mu godzinę, teraz w ciągu kilku minut był ubrany i gotów na powitanie nowego dnia.

A cóż to będzie za wspaniały dzień.

Janarle spotkał się z nim przed namiotem i obaj przeszli przez ożywiony obóz. Buty Straffa skrzypiały na lodowatym śniegu, gdy szedł w stronę konia.

- Pożary wygasły, milordzie - wyjaśnił Janarle. - Prawdopodobnie przez śnieg. Kolossy pewnie zakończyły plądrowanie i skryły się przed chłodem. Nasi zwiadowcy boją się zbliżyć, ale mówią, że miasto jest jak cementarz. Ciche i puste. Wszędzie tylko trupy.

- Może udało im się powybić - powiedział radośnie Straff i wspiął się na siodło. Z jego ust unosił się obłok pary.

Wokół niego armia Formowała szyk. Pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy, którzy nie mogli się doczekać zdobycia miasta. Nie chodziło jedynie o plądrowanie - wejście do Luthadel oznaczało dla nich wszystkich schronienie wśród czterech ścian.

- Może - stwierdził Janarle i również wskoczył na siodło.

Czyż to nie byłoby wygodne, pomyślał z uśmiechem Straff. Wszyscy wrogowie martwi, miasto i jego bogactwa należą do mnie, i do tego nie muszę się przejmować skaa.

- Milordzie! - krzyknął ktoś.

Straff podniósł wzrok. Teren między jego obozem a Luthadel pokrywał szarobiały śnieg zmieszany z popiołem. A po drugiej stronie zbierały się kolossy.

- Wygląda na to, że jednak żyją, milordzie - zauważył Janarle.

- W rzeczy samej - odparł Straff, marszcząc czoło.

Stworów nadal było sporo. Wylewały się przez zachodnią bramę, nie atakowały od razu, lecz zbierały się w dużej grupie.

- Zwiadowcy oceniają, że jest ich mniej niż wcześniej - powiedział po chwili Janarle. -

Jakieś dwie trzecie pierwotnej liczby, może trochę mniej. Jednak to w końcu kolossy...

- Ale porzucają umocnienia - powiedział Straff. Narkotyk ogrzewał jego krew, z nim czuł się, jakby

spalał metale. - I idą do nas. Niech zaatakują. To się powinno szybko skończyć.

- Tak, milordzie - odparł nieco niepewnym głosem Janarle. Zmarszczył czoło i wskazał na coś w południowej części miasta. - Milordzie?

- Co teraz?

- Żołnierze, milordzie - odparł młody lord. - Ludzie. Co najmniej kilkanaście tysięcy.

Straff się skrzywił.

- Powinni wszyscy nie żyć!

Kolossy zaatakowały. Koń Straffa zaczął się nerwowo kręcić, gdy niebieskie potwory ruszyły biegiem przez szare pole, a ludzkie oddziały stanęły za nimi w bardziej uporządkowanym szyku.

- Łucznicy! - zawołał Janarle. - Przygotować pierwszą salwę!

Może jednak nie powinienem stać na przodzie, pomyślał nagle Straff. Odwrócił się, lecz coś zwróciło jego uwagę. Strzała wystrzelona ze środka nacierających kolosów.

Przecież stwory nie używały łuków. Poza tym były jeszcze daleko, a przedmiot musiał być większy od strzały. Może to gład? Wydawał się większy od...

Zaczął opadać w stronę armii Straffa. Venture wpatrywał się w niebo, przecinane przez dziwny przedmiot. Spadając, robił się coraz wyraźniejszy. To nie była strzała ani gład.

To był człowiek. Człowiek w mgielnym płaszczu.

- Nie! - ryknął Straff.

Miało jej tu nie być!

\*\*\*

Vin z wyciem powietrza opadła ze wspomaganego duraluminium wyskoku. Potężny miecz kolossa wydawał jej się lekki. Uderzyła Straffa prosto w głowę, po czym cięła w dół, aż jej ostrze wbiło się w ziemię, wyrzucając w powietrze śnieg i zmrożone błoto.

Koń rozpadł się na dwie części, przednią i tylną. Szczątki niedawnego króla zsunęły się na ziemię obok końskiego truchła. Spojrzała na nie, uśmiechnęła się ponuro i pożegnała Straffa.

Elend go ostrzegał, co się stanie, jeśli zaatakuje miasto.

Generałowie i adiutanci Straffa stali wokół niej, oszołomieni. Za plecami Vin armia kolosów nacierała, a dezorientacja w szeregach wroga sprawiała, że salwy łuczników były rzadkie i niezbyt



skuteczne.

Vin mocno chwyciła miecz, po czym Pchnęła na zewnątrz stalą z duraluminium.

Jeźdźcy zostali zrzućeni z siodeł, ich wierzchowce się przewracały, a żołnierze polecieci do tyłu na odległość kilkunastu jardów. Ludzie wrzeszczeli.

Połknęła zawartość kolejnej fiolki, uzupełniając zapasy stali i cyny z ołowiem. Po chwili podskoczyła i zaczęła szukać generałów oraz innych oficerów, których mogłaby zabić. Kiedy się poruszyła, jej armia kolosów dotarła do pierwszych szeregów żołnierzy Straffa i zaczęła się prawdziwa rzeź.

\*\*\*

- Co oni robią? - spytał Cett, pospiesznie zrzucając na plecy płaszcz, gdy został już przywiązany do siodła.

- Najwyraźniej atakują - odparł Bahmen, jeden z jego doradców. - Popatrzcie!

Współpracują z kolosami.

Cett skrzywił się, zapinając klamrę płaszcza.

- Jakiś pakt?

- Z kolosami? - odpowiedział pytaniem Bahmen.

Cett wzruszył ramionami.

- Kto zwycięża?

- Trudno powiedzieć, milordzie. Kolosy są...

- O co tu chodzi?! - spytała ostrym tonem Allrienne, wjeżdżając na szczyt ośnieżonego wzniesienia w towarzystwie kilku zawstydzonych strażników.

Cett oczywiście rozkazał im, by zatrzymali ją w obozie - ale też spodziewał się, że córce w końcu uda się ich ominąć.

Przynajmniej zawsze mogę liczyć na to, że spowolnią ją poranne przygotowania, pomyślał z rozbawieniem. Allrienne włożyła jedną ze swoich sukien, nienagannie udrapowaną, do tego miała elegancką fryzurę. Gdyby wybuchł pożar, to przed ucieczką z budynku nałożyłaby jeszcze makijaż.

- Wygląda na to, że zaczęła się bitwa - powiedział Cett, wskazując głową pole walki.

- Poza miastem? - spytała, podjeżdżając do niego. Rozpromieniła się. - Atakują pozycje Straffa!

- Tak - odparł Cett. - A to oznacza, że miasto...

- Musimy im pomóc, ojcze!

Przewrócił oczami.

- Wiesz, że niczego takiego nie zrobimy. Zobaczymy, kto zwycięży. Jeśli są wystarczająco słabi... na co mam nadzieję... zaatakujemy ich. Nie sprowadziłem tu wszystkich swoich sił, ale może...

Umilkł, gdy dostrzegł spojrzenie Allrienne. Otworzył usta, lecz nim cokolwiek powiedział, dziewczyna spięła konia ostrogami.

Jej strażnicy zakłęli i rzucili się do przodu - za późno - by chwycić wodze jej konia. Cett siedział oszołomiony. To było szalone posunięcie, nawet jak na nią. Nie odważyłaby się...

Pogalopowała w dół wzgórza, ku bitwie. Po chwili zatrzymała się, jak się spodziewał, odwróciła i spojrzała na niego.

- Jeśli chcesz mnie ochronić, ojcze, lepiej ruszaj do ataku!- krzyknęła.

Z tymi słowy odwróciła się i znów ruszyła galopem, a kopyta jej konia wzbijały chmury śniegu.

Cett się nie ruszył.

- Milordzie - powiedział Bahmen. - Ich siły wydają się niemal równe. Pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy przeciwko jakimś dwunastu tysiącom kolosów i pięciu tysiącom ludzi.

Gdybyśmy mieli dodać nasze siły do jednej ze stron...

Przekłęta głupia dziewczucha, pomyślał, patrząc, jak Allrienne odjeżdża.

- Milordzie? - powtórzył doradca.

Dlaczego w ogóle przyjechałem do Luthadel? Bo naprawdę liczyłem, że uda mi się zdobyć miasto? Bez Allomantów, za to z rebelią w ojczyźnie? A może szukałem czegoś?

Potwierdzenia opowieści? Mocy, jaką widziałem wtedy, gdy Dziedziczka omal mnie nie zabiła?

A tak w ogóle, jak udało im się przekonać kolosy do walki po ich stronie?

- Zbierzcie armie! - rozkazał Cett. - Maszerujemy na pomoc Luthadel. I niech ktoś pośle jeźdźców za tą moją głupią córką!

\*\*\*

Koń Sazed brodził w śniegu. Na wprost siedzącego w siodle Terrisanina trwała bitwa, lecz on znajdował się na tyle daleko, by nic mu nie groziło. Pozostawił za plecami miasto, gdzie ocaleni z

rzezi starcy i kobiety stali na murach i patrzyli. Vin uratowała ich przed kolossami.

Prawdziwym cudem będzie, jeśli uratuje ich przed pozostałymi dwiema armiami.

On sam nie zamierzał walczyć. Jego metalmyśli były niemal puste, a ciało równie zmęczone, jak umysł. W końcu zatrzymał konia pośrodku zaśnieżonej równiny. Z pyska zwierzęcia unosiły się obłoczki pary.

Nie wiedział, jak poradzić sobie ze śmiercią Tindwyl. Czuł się... pusty. Żałował, że nie może po prostu przestać odczuwać. Żałował, że nie może wrócić i bronić jej bramy zamiast swojej. Dlaczego nie wyruszył na poszukiwanie jej, kiedy usłyszał o upadku północnej bramy?

Wtedy jeszcze żyła. Może udałoby mu się ją ochronić...

Dlaczego wciąż go to obchodziło? Dlaczego się przejmował?

Ci, którzy mieli wiarę, nie mylili się, pomyślał. Vin powróciła, by bronić ich miasta. Ja utraciłem nadzieję, lecz oni nie.

Znów ruszył naprzód. Dobiegały go odgłosy bitwy. Próbował się skupić na czymkolwiek poza Tindwyl, lecz jego myśli powracały do tego, co razem z nią badał. Fakty i opowieści stawały się cenniejsze, gdyż wiązały go z kobietą. To była bolesna więź, ale nie potrafił jej odrzucić.

Bohater Wieków nie miał być zwyczajnym wojownikiem, pomyślał, wciąż jadąc powoli w stronę pola walki. Był kimś, kto jednoczył innych, kto ich łączył. Był przywódcą.

Wiedział, że Vin uważa się za Bohatera. Lecz Tindwyl miała rację - to był zbyt wielki zbieg okoliczności. A on sam nie miał już pewności, w co wierzy. O ile w ogóle wierzył w cokolwiek.

Bohater Wieków nie pochodził z ludu Terris, pomyślał, patrząc na atakujące kolosy.

Nie urodził się królem, lecz w końcu nim został.

Sazed zatrzymał konia pośrodku pustego pola. Ze śniegu wokół wystawały strzały, a ziemia była wydeptana. Nagle usłyszał dudnienie bębnow. Odwrócił się i zobaczył, jak ludzka armia wspina się na wzniesienie na zachodzie. Żołnierze nieśli sztandary Cetta.

Dowodził armiami świata. Królowie przychodzili mu z pomocą.

Siły Cetta dołączyły do bitwy przeciwko Straffowi. Metal dźwięczał o metal, ludzie sapali, gdy na polu walki pojawił się nowy front. Sazed tkwił na równinie między miastem i armiami. Przeciwnik nadal miał przewagę liczebną, lecz na oczach Terrisanina armia Straffa zaczęła się cofać. Rozpadała się na niewielkie grupki, jej członkowie walczyli beładnie. Ich ruchy świadczyły o przerażeniu.

Zabija ich generałów, pomyślał.

Cett był bystrym człowiekiem. Pojechał na pole walki, lecz trzymał się na tyłach - jego ułomność

oznaczała, że musiał pozostać przywiązany do siodła, co utrudniało mu walkę. Mimo to, dołączając do bitwy, zagwarantował sobie to, że Vin nie zwróci swoich kolosów przeciwko jego żołnierzom.

Sazed bowiem nie miał najmniejszych wątpliwości, kto zwycięży. I rzeczywiście, w ciągu godziny wojska Straffa zaczęły się poddawać dużymi grupami. Odgłosy walki ucichły i Sazed ruszył naprzód.

Święty Pierwszy Świadek, pomyślał. Nie wiem, czy w to wierzę. Ale tak czy inaczej, powinienem być obecny przy tym, co się teraz stanie.

Kolossy przestały walczyć i stały w milczeniu. Rozdzieliły się, umożliwiając Sazedowi przejście. W końcu odnalazł Vin. Stała cała zakrwawiona, z mieczem kolossa na ramieniu.

Kilka kolosów przyciągnęło mężczyznę - lorda w bogatych szatach i posrebrzonym napierśniku. Rzuciły go przed Vin.

Z tyłu podjechał Penrod ze strażą honorową, prowadzoną przez kolossa. Nikt się nie odzywał. W końcu kolossy rozstąpiły się po raz kolejny i tym razem przejechał między nimi podejrzliwy Cett, otoczony dużą grupą żołnierzy, również prowadzoną przez samotnego kolossa.

Cett spojrział na Vin i podrapał się po brodzie.

- To nie była wielka bitwa - zauważył.

- Żołnierze Straffa się bali - odparła. - Marzną i nie mają ochoty walczyć z kolosami.

- A ich przywódcy? - spytał Cett.

- Zabiłam ich - wyjaśniła. - Oprócz jednego. Jak się nazywasz?

- Lord Janarle - odpowiedział człowiek Straffa. Miał złamaną nogę i kolossy musiały go podtrzymywać.

- Straff nie żyje - powiedziała Vin. - Teraz ty kierujesz tą armią.

Arystokrata pochylił głowę.

- Nie, ty to robisz.

Pokiwała głową.

- Na kolana - powiedziała.

Kolossy puściły Janarle'a. Sapnął z bólu, lecz pochylił się.

- Przysięgam ci lojalność swojej armii - wyszeptał.

- Nie - przerwała mu ostro. - Nie mnie... prawowitemu spadkobiercy rodu Venture.

Teraz on jest twoim panem.

Janarle się zawahał.

- Dobrze - powiedział. - Jak sobie życzysz. Przysięgam lojalność synowi Straffa, Elendowi Venture.

Oddzielne grupki stały na zimnie. Sazed odwrócił się wraz z Vin, która spojrzała na Penroda. Vin wskazała na ziemię. Stary lord w milczeniu zsiadł z konia i uklonił się.

- Ja również przysięgam - powiedział. - Przysięgam wierność Elendowi Venture.

Odwróciła się do lorda Cetta.

- Spodziewasz się, że to zrobię? - spytał rozbawiony brodacz.

- Tak - odparła cicho.

- A jeśli odmówię? - spytał.

- Zabiję cię - odpowiedziała. - Sprowadziłeś armię, by zaatakować moje miasto.

Zagroziłeś moim ludziom. Nie zabiję twoich żołnierzy, nie każę im płacić za twoje czyny, ale ciebie zabiję, Cetcie.

Cisza. Sazed odwrócił się, spoglądając na szeregi nieruchomych kolosów, stojących pośród krwawego śniegu.

- Wiesz, że to groźba - zauważył Cett. - Twojemu Elendowi by się to nie spodobało.

- Nie ma go tutaj.

- A jak myślisz, co by powiedział? - spytał Cett. - Powiedziałby mi, żebym nie spełniał

takich żądań... szlachetny Elend Venture nigdy by się nie poddał tylko dlatego, że ktoś zagroził mu śmiercią.

- Nie jesteś taki jak Elend - powiedziała. - I dobrze o tym wiesz.

Cett zawahał się, po czym na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Nie, nie jestem. - Odwrócił się do swoich ludzi. - Pomóżcie mi zejść.

Vin przyglądała się w milczeniu, jak strażnicy rozwiązują nogi Cetta i opuszczają go na ziemię. Uklonił się.

- Dobrze. Przysięgam wierność Elendowi Venture. Może dostać moje królestwo...

zakładając, że odbierze je temu przeklętemu obligatorowi, który teraz nim włada.

Vin pokiwała głową i odwróciła się do Sazed.

- Potrzebuję twojej pomocy, Sazedzie.

- Cokolwiek sobie zażyczysz, panienko - odparł cicho.

Zawahała się.

- Proszę, nie zwracaj się tak do mnie.

- Jak sobie życzysz.

- Tylko tobie mogę tu zaufać - powiedziała, ignorując trzech klęczących mężczyzn. -

Teraz, gdy Ham jest ranny, a Breeze...

- Zrobię co w mojej mocy - odparł, pochylając głowę. - Czego ode mnie chcesz?

- Zabezpiecz Luthadel - powiedziała. - Upewnij się, że ludzie mają schronienie, i poślij po zapasy z magazynów Straffa. Rozmieść te armie tak, żeby się nie pozabijały, a później poślij oddział po Elenda. Będzie jechał na południe drogą wzdłuż kanału.

Sazed pokiwał głową, a Vin odwróciła się do trzech klęczących królów.

- Sazed jest moim zastępcą. Macie mu być posłuszni tak, jak bylibyście posłuszni Elendowi albo mnie.

Wszyscy trzej po kolei pokiwali głowami.

- Ale gdzie ty będziesz? - spytał Penrod, unosząc głowę.

Vin westchnęła. Wydawała się bardzo słaba.

- Będę spała - powiedziała i upuściła miecz. Później Odepchnęła się od niego i wzniosła się w niebo w stronę Luthadel.

Pozostawił za sobą ruiny, lecz zostało to zapomniane, pomyślał Sazed, obserwując jej lot. Tworzył królestwa i niszczył je, gdy budował świat od nowa.

Przez cały czas używaliśmy niewłaściwego zaimka.

## **CZEŚĆ SZÓSTA**

### **SŁOWA W STALI**

*Jeśli Rashekowi nie uda się zwieść Alendiego na manowce, to rozkazałem chłopakowi, by zabił*

*Alendiego.*

Jak Vin może to znosić? - zastanawiał się Elend. We mgle ledwie widział na dwadzieścia stóp wokół siebie. Drzewa wyglądały niczym zjawy, ich gałęzie pochylały się nad drogą. Sama mgła wydawała się żywa - poruszała się, kłębiła i wirowała w nocnym powietrzu.

Chwytała parę z jego oddechu, jakby chciała wchłonąć część jego samego.

Zadrzał, ale nie przerywał marszu. Przez ostatnie kilka dni śnieg częściowo stopniał, pozostawiając zasy w zacienionych miejscach. Droga wzdłuż kanału na szczęście w większości była czysta.

Szedł z plecakiem na ramieniu, niosąc tylko niezbędne rzeczy. Za radą Spooka, przed paroma dniami sprzedali konie w jednej z wiosek. Przez ostatnie kilka dni jechali bardzo szybko i chłopak oceniał, że próba utrzymania zwierząt przy życiu - i nakarmienia - na ostatnim odcinku drogi do Luthadel by im się nie opłacała.

Poza tym to, co miało się wydarzyć w mieście, z pewnością już się wydarzyło. Dlatego Elend maszerował sam w ciemnościach. Mimo że wrażenie było upiorne, dotrzymał słowa i podróżował wyłącznie w nocy. Nie tylko dlatego, że Vin tak chciała - Spook również twierdził, że noc jest bezpieczniejsza. Niewielu podróżnych odważyło się wejść we mgły. Dlatego większość bandytów nocami nie obserwowała szlaków.

Spook ruszył przodem, jego wyostrzone zmysły pozwalały mu spostrzec niebezpieczeństwo zanim Elend by się w nie wpakował. Jak to w ogóle działa? - zastanawiał się Elend. Cyna podobno poprawia wzrok. Ale jakie to ma znaczenie, jak dobrze widzisz, jeśli wszystko zasłaniają mgły?

Uczeni twierdzili, że Allomancja jakimś sposobem pomaga przebić mgły. Elend zawsze się zastanawiał, jak to jest. Oczywiście, zastanawiał się również, jak to jest mieć siłę cyny z ołowiem albo walczyć z atium. Allomanci nie trafiali się często, nawet wśród wielkich rodów.

Jednakże ze względu na to, jak traktował go Straff, Elend zawsze czuł się winny, że nie był jednym z nich.

A jednak w końcu zostałem królem, nawet bez Allomancji, pomyślał, uśmiechając się pod nosem. Owszem, ostatecznie utracił tron. Lecz, choć mogli odebrać mu koronę, nie mogli odebrać osiągnięć. Udowodnił, że Zgromadzenie działa. Ochronił skaa, dał im prawa i posmak wolności, której nigdy nie zapomną. Zrobił więcej niż się po nim spodziewano.

Coś zaszeleściło pośród mgieł.

Elend zamarł, wpatrując się w ciemność. To brzmi jak liście, pomyślał nerwowo. Coś się przeciska między nimi? A może... to tylko wiatr nimi porusza?

Uznał, że nie ma nic bardziej wytrącającego z równowagi niż wpatrywanie się w mglistą ciemność i zmienne kształty. W głębi duszy wolał raczej stawić czoło armii kolosów niż stać samotnie, w nocy,



w nieznanym lesie.

- Elendzie - szepnął ktoś.

Elend obrócił się na pięcie. Uniósł rękę do piersi, gdy ujrzał zbliżającego się Spooka.

Miał ochotę złajać chłopaka, że się tak do niego podkradł - ale wśród mgły nie było właściwie innego sposobu poruszania się.

- Widziałeś coś? - spytał cicho Spook.

Elend potrząsnął głową.

- Wydaje mi się, że coś słyszałem.

Chłopak pokiwał głową i znów zniknął pośród mgieł. Elend stał, nie wiedząc, czy ma iść dalej, czy po prostu czekać. Nie musiał się zbyt długo zastanawiać. Spook wrócił po kilku chwilach.

- Nie ma się czym martwić - stwierdził. - To tylko mgielny upiór.

- Co?!

- Mgielny upiór - powtórzył Spook. - No wiesz. Takie wielkie, paskudne stwory. Krewni kandra. Nie mów mi, że o nich nie czytałeś.

- Owszem - odpowiedział Elend, nerwowo wpatrując się w ciemność. - Tylko że nigdy nie sądziłem, że znajdę się wśród mgieł z jednym z nich.

Spook wzruszył ramionami.

- Pewnie podąża za naszym zapachem, z nadzieją że zostawimy mu jakieś śmieci do zjedzenia. Te stwory są w zasadzie niegroźne.

- W zasadzie? - powtórzył Elend.

- Pewnie wiesz o nich więcej ode mnie. Posłuchaj. Nie przyszedłem tutaj, żeby rozmawiać o padlinożercach. Przed nami są światła.

- Wioska? - spytał Elend, próbując sobie przypomnieć, którego dnia przejeżdżali przez tę okolicę.

Spook pokręcił głową.

- Chyba raczej ogniska.

- Armia?

- Być może. Pomyślałem tylko, że powinieneś tu trochę poczekać. Byłoby niezręcznie, gdybyś wpakował się na straż.

- Zgadzam się.

Spook pokiwał głową i zniknął we mgle.

A Elend znów został sam w ciemnościach. Zadrżał, mocniej otulił się płaszczem i zaczął spoglądać w stronę, z której dochodziły odgłosy mgielnego upióra. Tak, czytał o nich.

Wiedział, że uważano je za nieszkodliwe. Ale myśl o tym, że coś tam pełźnie - istota o szkielecie z przypadkowych kości - i go obserwuje...

Nie myśl o tym, powiedział sobie Elend.

Dlatego zaczął skupiać się na mgłach. Vin miała rację przynajmniej w jednym.

Pozostawały coraz dłużej po wschodzie słońca. W niektóre poranki utrzymywały się pełną godzinę po świcie. Mógł sobie wyobrazić, jak wielka by to była katastrofa, gdyby mgły nie rozpraszały się przez cały dzień. Plony by nie dojrzały, zwierzęta umarły z głodu, a cywilizacja upadła.

Czy Głębia mogła być czymś tak prostym? Poglądy Elenda na Głębię wywodziły się z uczonej tradycji. Niektórzy autorzy w ogóle odrzucali ją jako legendę - plotkę wykorzystywaną przez obligatorów, by podsycać aurę boskości otaczającą ich pana. Większość zgadzała się z historyczną definicją Głębi - mroczny potwór zabity przez Ostatniego Imperatora.

A jednak myślenie o niej jako o mgłach miało sens. Jak jedna bestia, choćby niezwykle niebezpieczna, mogła zagrażać całej krainie? Mgły z kolei... one mogły być niszczycielskie.

Zabijać rośliny. Może nawet... zabijać ludzi, jak zasugerował Sazed?

Przyglądał się kłębiącemu wokół oparowi, swawolnemu, zdradzieckiemu. Tak, mógł

sobie wyobrazić mgłę jako Głębię. Jej reputacja - bardziej przerażająca niż potwór, bardziej niebezpieczna niż armia - byłaby zasłużona. Właściwie, gdy tak się jej przyglądał, widział, jak wpływa na jego umysł. Na przykład kłęb mgły tuż przed nim nabierał różnych kształtów. Elend uśmiechnął się. Jeden niemal przypominał człowieka stojącego tuż przed nim.

Ów kształt zrobił krok do przodu.

Elend podskoczył i zrobił krok do tyłu. Jego stopa zmiażdżyła kawałek zamrożonego śniegu. Nie bądź głupi, powiedział sobie. Własny umysł z ciebie drwi. Nie ma nic...

Postać we mgle zrobiła kolejny krok do przodu. Była niewyraźna, niemal bezkształtna, a jednak wydawała się prawdziwa. Przypadkowe poruszenia mgły tworzyły jej twarz, ciało, nogi.

- Na Ostatniego Imperatora! - sapnął Elend i odskoczył do tyłu.

Istota nadal mu się przyglądała.

Wariuję, pomyślał. Zaczynały mu się trząść ręce. Postać z mgły zatrzymała się kilka stóp przed nim, uniosła prawą rękę i wskazała.

Na północ. W przeciwną stronę niż Luthadel.

Elend zmarszczył czoło i spojrzał w stronę, którą pokazywała postać. Były tam jedynie mgły. Znów odwrócił się do istoty, lecz ona stała w ciszy z uniesioną ręką.

Vin mówiła o tym stworze, przypomniał sobie, tłumiąc strach. Próbowala mi o nim opowiedzieć. A ja myślałem, że coś sobie wymyśla! Miała rację - tak samo jak miała rację, że mgły zostają dłużej i że być może mgły to Głębia. Zaczynał się zastanawiać, które z nich było uczonym.

Postać z mgły nadal wskazywała.

- Co? - spytał Elend. W ciszy nocy jego własny głos wydał mu się niepokojący.

Istota zrobiła krok do przodu, nie opuszczając ręki. Elend uniósł dłoń do miecza, lecz tym razem się nie wycofał.

- Powiedz mi, czego ode mnie chcesz?! - powiedział z naciskiem.

Istota znów pokazała na północ. Elend przechylił głowę. Nie wydawała się groźna.

Właściwie czuł, że emanuje aurą nienaturalnego spokoju.

Allomancja, pomyślał. Przyciąga moje uczucia!

- Elendzie? - odezwał się Spook wśród mgły.

Postać nagle się rozpląnęła, wtopiła w mgłę. Spook podszedł bliżej, jego twarz była ukryta w cieniach.

- Elendzie? Coś mówiłeś?

Venture zdjął dłoń z rękojeści miecza, lecz nadal stał wyprostowany. Wpatrywał się w mgły, wciąż nie do końca przekonany, czy czegoś sobie nie uroił.

- Nic takiego - odparł.

Spook spojrzał w stronę, z której przyszedł.

- Powinieneś na to spojrzeć.

- Na armię? - spytał Elend, marszcząc czoło.

Chłopak pokręcił głową.

- Nie, na uciekinierów.

- Opiekunowie nie żyją, milordzie - powiedział starzec siedzący naprzeciw Elenda. Nie miał namiotu, jedynie koc rozciągnięty między kijami. - Albo nie żyją, albo zostali pojmani.

Kolejny mężczyzna przyniósł Elendowi kubek ciepłej herbaty. Zachowywał się przy tym służalczo. Obaj mężczyźni nosili szaty lokajów, i choć na ich twarzach malowało się zmęczenie, dłonie i szaty mieli czyste.

Stare nawyki, pomyślał Elend, kiwając z wdzięcznością głową i pociągając łyk herbaty.

Mieszkańcy Terris mogli ogłosić niepodległość, lecz tysiąc lat służby pozostawiło swój ślad.

Obóz był dziwnym miejscem. Spook powiedział, że naliczył niemal tysiąc ludzi -

koszmarna liczba do zorganizowania i zaopatrzenia na zimę. W tym wielu starszych, a do tego większość mężczyzn była lokajami - eunuchami hodowanymi, by służyli szlachetnie urodzonym, bez doświadczenia w polowaniu.

- Powiedz mi, co się stało? - powiedział Elend.

Stary lokaj pokiwał głową. Nie wydawał się szczególnie słabowity - podobnie jak innych terrisańskich służących otaczała go aura pełnej opanowania godności - lecz jego ciałem wstrząsały dreszcze.

- Synod się ujawnił, milordzie, kiedy upadło imperium. - On także przyjął kubek, lecz Elend zauważył, że naczynie było napełnione do połowy. Okazało się to rozsądnym środkiem ostrożności, gdyż z powodu drżenia rąk starzec omal nie rozlał jego zawartości. - Zostali naszymi władcami. Być może nie powinni tego robić tak wcześnie.

Nie wszyscy Terrisianie byli Feruchemikami - właściwie tylko niewielu. Opiekunowie -

ludzie tacy jak Sazed i Tindwyl - zostali zmuszeni przez Ostatniego Imperatora do ukrywania się. Jego paranoiczny strach, że linie feruchemiczne i allomantyczne mogą się połączyć - dając w efekcie kogoś, kto miał podobną moc jak on - doprowadził go do próby zniszczenia wszystkich Feruchemików.

- Znałem Opiekunów, przyjacielu - powiedział cicho Elend. - Trudno mi uwierzyć, że zostali tak łatwo pokonani. Kto to zrobił?

- Stalowi Inkwizytorzy, milordzie - odparł starzec.

Elend zadrzał. Już wiemy, gdzie się podziewali.

- Były ich dziesiątki, milordzie - mówił dalej Terrisanin. - Zaatakowali Tathingdwen z armią kolosów. Ale, jak sądzę, zrobili to dla odwrócenia uwagi. Ich prawdziwym celem był

Synod i Opiekunowie. Kiedy nasza armia, o ile można ją tak nazwać, walczyła z potworami, Inkwizytorzy zaatakowali Opiekunów.

Ostatni Imperatorze... pomyślał Elend, czując mdłości. Co mamy zrobić z księgą, którą Sazed nam dał, byśmy ją dostarczyli Synodowi? Mamy przekazać ją tym ludziom czy zachować?

- Zabrali ze sobą ciała, milordzie - dodał starzec. - Terris jest w ruinach i dlatego udajemy się na południe. Mówiłeś, że znasz króla Venture?

- Ja... miałem okazję go poznać - odparł Elend. - Władał Luthadel, skąd pochodzę.

- Jak myślisz, czy nas przyjmie? - spytał mężczyzna. - Nie mamy już wielkiej nadziei.

Tathingdwen było stolicą Terris, lecz nawet ono nie było wielkim miastem. W dzisiejszych czasach jest nas niewielu... Ostatni Imperator się o to postarał.

- Nie wiem... czy Luthadel może wam pomóc, przyjacielu.

- Umiemy dobrze służyć - obiecał starzec. - Myślę, że byliśmy zbyt dumni, ogłaszając niezależność. Z trudem sobie radziliśmy nawet przed atakiem Inkwizytorów. Może oddali nam przysługę, wyrzucając nas.

Elend pokręcił głową.

- Przed około tygodniem Luthadel zaatakowały kolosy - powiedział cicho. - Jestem uciekinierem, tak samo jak wy. O ile wiem, miasto upadło.

Starzec umilkł.

- Ach, rozumiem - powiedział w końcu.

- Przykro mi. Ruszyłem w drogę powrotną, żeby się dowiedzieć, co się stało.

Powiedzcie mi... niedawno tędy jechałem. Jak mogłem was nie zauważyć w drodze na północ?

- Nie szliśmy drogą wzdłuż kanału, milordzie - wyjaśnił starzec. - Ruszyliśmy prosto przez kraj, by zebrać zapasy w Suringshath. Nie... Nie masz żadnych dalszych informacji na temat wydarzeń w Luthadel? Mieszkał tam starszy rangą Opiekun. Liczyliśmy, że udzieli nam rady.

- Lady Tindwyl? - spytał Elend.

Starzec nadstawił uszu.

- Tak. Znasz ją?

- Była na królewskim dworze - stwierdził Elend.

- Myślę, że Opiekunkę Tindwyl można uznać za naszą obecną przywódczynię -

powiedział starzec. - Nie mamy pewności, ilu wędrownych Opiekunów pozostało, ale ona była jedynym znanym członkiem Synodu nieobecnym w mieście, kiedy nastąpił atak.

- Kiedy wyjeżdżałem, wciąż mieszkała w Luthadel.

- To może wciąż żyje - powiedział starzec. - Myślę, że możemy mieć nadzieję. Dziękuję ci, wędrowcze, za informacje. Proszę, rozgość się w naszym obozie.

Elend skinął mu głową i wstał. Spook stał w pewnej odległości, ukryty pośród mgieł w pobliżu dwóch drzew. Elend dołączył do niego.

Ludzie palili wielkie ogniska, jakby chcieli rzucić wyzwanie mgle. Ich blask rzeczywiście nieco ją rozpraszał - choć jednocześnie światło ją podkreślało, tworząc trójwymiarowe cienie, które oszukiwały wzrok.

Spook opierał się o cienki pień drzewa, obserwując rzeczy, których Elend nie mógł zobaczyć. Słyszał jednak część tego, co oglądał chłopak. Płaczące dzieci. Kaszlący dorośli.

Kręcące się bydło.

- To nie wygląda dobrze, co? - powiedział cicho Elend.

Spook potrząsnął głową.

- Chciałbym, żeby zgasili te wszystkie ogniska - mruknął. - Oczy mnie od nich boją.

Elend spojrzał w bok.

- Nie są aż tak jasne.

Chłopak wzruszył ramionami.

- Tylko marnują drewno.

- Pozwól im na odrobinę komfortu. W najbliższych tygodniach zabraknie im go.

Elend zapatrzył się na przechodzący oddział terrisańskich „żołnierzy” - mężczyzn, którzy na pewno byli lokajami. Mieli doskonałą postawę i poruszali się z wdziękiem, lecz wątpił, by umieli się posługiwać jakkolwiek bronią poza kuchennym nożem.

Nie, w Terris nie ma armii, która mogłaby pomóc mojemu ludowi.

- Odesłałeś Vin, by zebrała naszych sojuszników - powiedział cicho Spook. - By się z nami spotkała i byśmy mogli razem znaleźć schronienie, być może w Terris.

- Wiem - odparł Elend.

- Nie możemy się jednak zebrać w Terris - zauważył chłopak. - Skoro są tam Inkwizytorzy.

- Wiem - powtórzył Elend.

Spook milczał przez chwilę.

- Cały świat się wali, El - powiedział w końcu. - Terris, Luthadel...

- Luthadel nie zostało zniszczone - stwierdził młody Venture, spoglądając ostro na swojego towarzysza.

- Kolossy...

- Vin znalazła jakiś sposób, by je powstrzymać - powiedział Elend. - Być może odnalazła już Studnię Wstąpienia. Musimy ruszać dalej. Możemy odbudować to, co zostało stracone, i tak zrobimy. Później będziemy się martwić, jak pomóc Terris.

Spook milczał przez dłuższą chwilę, po czym pokiwał głową i się uśmiechnął. Elenda zaskoczyło, jak bardzo jego pełne przekonania słowa uspokoiły chłopaka. Spook oparł się o drzewo i spojrzał na parujący kubek w dłoni Elenda. Venture oddał go towarzyszowi, stwierdzając, że nie lubi naparu z korzenia sercownika. Spook wypił napój z radością.

Elend jednak czuł, że sytuacja wygląda bardziej niepokojąco niż się do tego przyznawał.

Powrót Głębi, duchy we mgle i Inkwizytorzy atakujący Dominium Terris. Co jeszcze ignorowałem?

*Nie mam wielkiej nadziei. Alendi przeżył ataki skrytobójców, wojny i katastrofy. A jednak mam nadzieję, że w zamrzniętych górach Terris zostanie odsłonięty. Liczę na cud.*

- Posłuchajcie, wszyscy wiemy co trzeba zrobić - powiedział Cett, uderzając pięścią w stół. - Mamy tu nasze armie, gotowe i chętne do walki. A teraz odzyskajmy mój przeklęty kraj!

- Cesarzowa nie dała nam takiego polecenia - stwierdził Janarle, popijając herbatę i całkowicie ignorując nieobyczajne zachowanie Cetta. - Osobiście uważam, że powinniśmy poczekać przynajmniej na powrót cesarza.

Penrod, najstarszy ze zgromadzonych, miał przynajmniej na tyle przyzwoitości, by robić współczującą minę.

- Rozumiem, że martwisz się o swoich poddanych, lordzie Cetcie. Ale nie mieliśmy nawet tygodnia na odbudowę Luthadel. To stanowczo za wcześnie, by myśleć o powiększaniu strefy wpływów. Nie możemy wyrazić zgody na takie przygotowania.

- Daj spokój, Penrodzie - warknął Cett. - Nie kierujesz nami.

Wszyscy trzej odwrócili się do Sazed. Terrisanin czuł się bardzo niezręcznie, siedząc u szczytu stołu w sali spotkań Twierdzy Venture. Adiutanci i pomocnicy, w tym niektórzy z biurokratów Docksona, stali pod ścianami niewielkiej sali, lecz tylko trzej władcy - królowie poddani cesarskiej władzy Elenda - siedzieli wraz z Sazedem przy stole.

- Sądzę, że nie powinniśmy się spieszyć - powiedział.

- To nie jest pośpiech - stwierdził Cett, znów tłukąc pięścią w stół. - Chcę tylko wysłać zwiadowców i szpiegów, żebyśmy mieli informacje, których będziemy potrzebować, kiedy zdecydujemy się na inwazję.

- Jeśli w ogóle to zrobimy - sprzeciwił się Janarle. - Jeśli cesarz postanowi odzyskać Fadrex, zrobi to najwcześniej latem. Mamy inne, poważniejsze zmartwienia. Moja armia na zbyt długo opuściła Północne Dominium. To podstawowa wiedza, że najpierw utrwała się to, co już się ma, a dopiero później zdobywa nowe terytoria.

- Phi! - mruknął Cett, machnąwszy obojętnie ręką.

- Możesz wysłać swoich zwiadowców, lordzie Cetcie - powiedział Sazed. - Ale mają jedynie zbierać informacje. Nie wolno im prowadzić działań zaczepnych, nawet gdy pojawi się ku temu okazja.

Cett potrząsnął głową.

- Dlatego właśnie nigdy nie bawiłem się w polityczne gierki z resztą Ostatniego Imperium. Nic nigdy nie zostaje zrobione, bo wszyscy są zbyt zajęci intrygowaniem.

- Subtelność ma wiele zalet, lordzie Cetcie - zauważył Penrod. - Dzięki cierpliwości zdobywa się



większą nagrodę.

- Większą nagrodę? - powtórzył Cett. - A co zyskało Środkowe Dominium, czekając?

Czekaliście, aż wasze miasto upadło! Gdybyście nie mieli najlepszej Zrodzonej z Mgły...

- Najlepszej Zrodzonej z Mgły, milordzie? - spytał cicho Sazed. - Nie widziałeś jak dowodzi kolosami? Nie widziałeś, jak skacze w niebo niczym lecąca strzała? Lady Vin nie jest jedynie „najlepszą Zrodzoną z Mgły”.

Zapadło milczenie.

Muszę pilnować, by koncentrowali się na niej, pomyślał Sazed. Bez przywództwa Vin -

bez groźby jej mocy - ta koalicja rozpadłaby się w jednej chwili.

Czuł się taki niedoskonały. Nie mógł zmusić ich do trzymania się tematu i nie mógł

pomóc im w ich problemach. Mógł jedynie przez cały czas przypominać im o Vin.

Problem polegał na tym, że nie miał na nic chęci. Przepelniały go dziwne, nieznane uczucia. Obojętność. Apatia. Dlaczego to, o czym mówili ci ludzie, miało znaczenie? Dlaczego cokolwiek miało znaczenie, teraz, gdy Tindwyl nie żyła?

Zacisnął zęby, próbując się zmusić do skupienia.

- Dobrze - powiedział Cett, machając ręką. - Wyślę zwiadowców. Czy przybyła już żywność z Urteau, Janarle?

Młody arystokrata wyraźnie się zmieszał.

- Być może... będziemy mieli z tym problem, milordzie. Wygląda na to, że pewne szkodliwe jednostki zasiały zamęt w mieście.

- Nic dziwnego, że chcesz odesłać wojska z powrotem do Północnego Dominium! -

naskoczył na niego Cett. - Planujesz z powrotem podbić swoje królestwo, a moje zostawić na pastwę losu!

- Urteau znajduje się o wiele bliżej niż twoja stolica, Cett - stwierdził Janarle, znów pociągając łyk herbaty. - Odesłanie mnie tam ma sens, nim zwrócimy się na zachód.

- Pozwolimy cesarzowej podjąć tę decyzję - stwierdził Penrod.

Stary lord lubił grać rolę mediatora - wydawało się, że wtedy znajduje się ponad poruszonymi kwestiami. Krótko mówiąc, kontrolował sytuację, stając między pozostałymi dwiema stronami.

Elend starał się postępować podobnie, pomyślał Sazed, z naszymi armiami. Chłopak miał większe wyczucie polityki niż sądziła Tindwyl.

Nie powinienem o niej myśleć, powiedział sobie, przymykając oczy. To jednak było trudne. Wszystko, co Sazed robił, wszystko, o czym myślał, wydawało się niewłaściwe, gdyż jej nie było. Światła wydawały się przytłumione. Motywacja trudniejsza do uzyskania. Odkrył, że ma problem nawet ze zmuszeniem się do zwracania uwagi na królów, nie wspominając już o doradzaniu im.

Wiedział, że to głupie. Jak dawno temu Tindwyl powróciła do jego życia? Zaledwie na kilka miesięcy. Dawno temu z rezygnacją przyjął świadomość, że nigdy nie będzie kochany - w ogóle - a już na pewno nie zyska jej miłości. Nie tylko utracił męskość, lecz był buntownikiem i dysydem, człowiekiem poza nawiasem terrisańskiej społeczności.

Z pewnością jej miłość do niego była cudem. Jednak komu podziękował za to błogosławieństwo i kogo przeklinał za to, że mu ją odebrał?

Znał setki bogów. Znienawidziłby ich wszystkich, gdyby sądził, że to coś zmieni.

Dla dobra własnego umysłu pozwolił, by królowie przyciągnęli jego uwagę.

- Posłuchajcie - mówił Penrod, pochylony, z rękami wspartymi na blacie stołu. - Chyba patrzymy na to ze złej strony. Nie powinniśmy się kłócić, powinniśmy się radować.

Znajdujemy się w niezwykłej sytuacji. Od czasu upadku Ostatniego Imperium, dziesiątki...

może nawet setki... ludzi próbowały na różne sposoby zdobyć władzę. Wszystkich ich łączyło jedno: brak stabilizacji.

Wygląda na to, że my zostaliśmy zmuszeni do współpracy. Zaczynam to postrzegać jako łut szczęścia. Przysięgnę lojalność małżonkom Venture, nawet zniosę ekscentryczne poglądy Elenda Venture na sposób sprawowania władzy, jeśli to oznacza, że za dziesięć lat też będę u władzy.

Cett podrapał się po brodzie i pokiwał głową.

- Masz rację, Penrodzie. Może po raz pierwszy, odkąd cię znam.

- Ale nie możemy udawać, że wiemy, co mamy robić - dodał Janarle. - Potrzebujemy wskazówek. Jak przypuszczam, przeżycie kolejnych dziesięciu lat będzie zależało głównie od tego, czy nie zostanę nabity na sztylet tej Zrodzonej z Mgły.

- W rzeczy samej - zgodził się Penrod, skinąwszy głową. - Mistrzu Terrisaninie. Jak sądzisz, kiedy cesarzowa ponownie obejmie władzę?

Trzy pary oczu ponownie zwróciły się w stronę Sazed.

Nie obchodzi mnie to, pomyślał Sazed, lecz natychmiast przepełniło go poczucie winy.

Vin była jego przyjaciółką. Obchodziło go to. Nawet jeśli teraz nie umiał się niczym przejmować. Zawstydzony, spuścił wzrok.

- Lady Vin cierpi z powodu skutków długotrwałego przeciągania cyny z ołowiem -

powiedział. - Przez ostatni rok wiele z siebie dawała, a później jeszcze biegła całą drogę z powrotem do Luthadel. Ogromnie potrzebuje odpoczynku. Sądzę, że powinniśmy jeszcze na jakiś czas zostawić ją w spokoju.

Pozostali pokiwali głowami i wrócili do rozmowy. Sazed jednak pomyślał o Vin.

Bardzo oględnie opisał jej przypadłość i zaczynał się martwić. Przeciąganie cyny z ołowiem wyczerpywało ciało, a podejrzewał, że Vin od wielu miesięcy zachowywała przytomność za pomocą metalu.

Kiedy Opiekun magazynował przytomność, przez jakiś czas leżał w śpiączce. Mógł

mieć tylko nadzieję, że skutki tak poważnego przeciągania cyny z ołowiem były podobne, Vin bowiem nie obudziła się od chwili, gdy zasnęła przed tygodniem. Może wkrótce się obudzi, jak Opiekun przerywający sen.

Może będzie to trwało dłużej. Jej armia kolosów czekała za murami, opanowana -

najwyraźniej - choć Vin była nieprzytomna. Ale jak długo? Przeciąganie cyny z ołowiem mogło zabić, jeśli człowiek zbyt się wyężył.

Co stanie się z miastem, jeśli ona nigdy się nie obudzi?

\*\*\*

Padał popiół. Ostatnio opady popiołu są coraz częstsze, pomyślał Elend, gdy wraz ze Spookiem wyłonili się spośród drzew i spojrzeli na równinę Luthadel.

- Popatrz - powiedział cicho Spook. - Bramy zostały zniszczone.

Elend zmarszczył czoło.

- Ale kolosy rozbiły obóz za murami. - W rzeczy samej, obóz armii Straffa też był na tym samym miejscu, na którym widzieli go ostatnio.

- Robotnicy - dodał chłopak, osłaniając wrażliwe oczy Allomanty. - Wygląda na to, że chowają zmarłych poza miastem.

Elend nachmurzył się jeszcze bardziej. Vin. Co się z nią stało? Czy wszystko w porządku?

Wraz ze Spookiem przecięli kraj, korzystając ze wskazówek Terrisan, by nie wykryły ich patrole z miasta. Tego dnia jednak postąpili inaczej i ruszyli w drogę w ciągu dnia, by dotrzeć do Luthadel tuż

przed zmrokiem. Mgły miały wkrótce się pojawić, a Elend był

zmęczony - z powodu wczesnego wstawania i długiego marszu.

Był też zmęczony nieświadomością tego, co się stało z Luthadel.

- Widzisz, czyja flaga wisi nad wrotami? - spytał.

Spook milczał przez chwilę, najwyraźniej rozjarzając metal.

- Twoja - powiedział w końcu, wyraźnie zaskoczony.

Elend uśmiechnął się. Cóż, albo udało im się jakoś ocalić miasto, albo to wyrafinowana pułapka na mnie.

- Chodź - powiedział, wskazując na szereg uciekinierów, którzy byli ponownie wpuszczani do miasta. Pewnie to byli ci, którzy uciekli wcześniej. - Wmieszajmy się między nich i tak dostaniemy do środka.

\*\*\*

Sazed westchnął, zamykając drzwi do swojej komnaty. Królowie zakończyli kłótnie na ten dzień. Właściwie zaczęli się całkiem nieźle dogadywać, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że jeszcze kilka tygodni wcześniej próbowali się nawzajem podbić.

Sazed wiedział, że ta życzliwość nie jest jego zasługą. On zajmował się czymś innym.

W swoim czasie widziałem wiele śmierci, pomyślał, wchodząc do środka. Kelsier.

Jadendwyl. Crenda. Ludzie, których szanowałem. Nigdy się nie zastanawiałem, co stało się z ich duszami.

Postawił świecę na stole, jej słaby blask oświetlił kilka rozrzuconych kartek, stertę dziwnych metalowych kolców wyjętych z ciał kolosów i jeden manuskrypt. Sazed usiadł przy stole, przeciągając palcami po kartkach i przypominając sobie dni spędzone z Tindwyl na badaniach.

Może dlatego właśnie Vin przekazała mi władzę, pomyślał. Wiedziała, że będę potrzebował czegoś, co pozwoli mi nie myśleć o Tindwyl.

A jednak coraz bardziej odkrywał, że nie chce o niej nie myśleć. Co było silniejsze? Ból pamięci czy ból zapomnienia? Był Opiekunem - dziełem jego życia było zapamiętywanie.

Zapominanie, nawet w imię osobistego spokoju, do niego nie przemawiało.

Przejrzał manuskrypt, uśmiechając się czule. Posłał oczyszczoną, przepisaną wersję razem z Vin i Elendem na północ. To jednak był oryginał. Gorączkowo - niemal rozpaczliwie -

zapisany manuskrypt, dzieło dwojga przerażonych uczonych.

Gdy przerzucał kartki, migotliwy blask świecy ukazał pewne, ale bardzo przy tym piękne, pismo Tindwyl. Łączyło się z akapitami zapisanymi bardziej ascetycznym pismem Sazed. Czasem na jednej kartce wymieniali się tuzin razy.

Nie czuł, że płacze, do chwili gdy zamrugał i łza spadła na kartkę. Spojrzał w dół i z zaskoczeniem zauważył plamę na atramencie.

- Co teraz, Tindwyl? - wyszeptał. - Po co to robiliśmy? Nigdy nie wierzyłaś w Bohatera Wieków, a ja, jak się okazuje, nigdy w nic nie wierzyłem. Jaki to miało sens?

Wytarł łzę rękawem, starając się zachować zapis w jak najlepszym stanie. Mimo zmęczenia, zaczął czytać, wybierając przypadkowy akapit. Czytał, by pamiętać. By myśleć o dniach, kiedy nie martwił się tym, dlaczego studiują ten tekst. Cieszył się po prostu, że robi to, co sprawia mu największą przyjemność, z osobą, którą kochał najbardziej.

Zebrałiśmy wszystkie dostępne informacje na temat Bohatera Wieków i Głębi, pomyślał, czytając. Lecz tak wiele z nich wydaje się sprzecznych.

Przejrzał pewien określony fragment, który umieścili w manuskrypcie z woli Tindwyl.

Zawierał kilka jej zdaniem najbardziej rażących sprzeczności. Przeczytał je po raz kolejny, tym razem naprawdę się nad nimi zastanawiając. Oto była uczona Tindwyl - ostrożna sceptyczka.

Przejrzał kolejne akapity, odczytując jej pismo.

*Bohater Wieków będzie potężnej postury, twierdził jeden. Inni nie będą mogli go zignorować.*

*Moc nie może zostać zabrana, mówił inny. Tego jesteśmy pewni. Musi zostać zatrzymana, ale nie wykorzystana. Musi zostać uwolniona.* Tindwyl uznała ten warunek za głupi, skoro zgodnie z innymi fragmentami Bohater wykorzystał moc, by pokonać Głębię.

*Wszyscy ludzie są samolubni. Bohater jest człowiekiem, który widzi potrzeby innych ponad swoimi pragnieniami.*

„Jeśli wszyscy ludzie są samolubni” pytała Tindwyl, „to jak Bohater może być bezinteresowny, jak twierdzą inne fragmenty? I jak można oczekiwać, że pokorny człowiek podbije świat?”

Sazed potrząsnął z uśmiechem głową. Czasem jej sprzeciwy były bardzo przemyślane -

czasami jednak bardzo się starała, by zaproponować inne zdanie, nawet jeśli było bardzo naciągane. Przeciągnął palcami po kartce, lecz zatrzymał się na pierwszym akapicie.

*Potężnej postury.* To nie odnosiło się do Vin. Zdanie nie pochodziło z odcisku, lecz z innej książki. Tindwyl uwzględniła je, gdyż odcisk, źródło bardziej godne zaufania, twierdził, że będzie niski. Sazed przejrzał książkę w poszukiwaniu kompletnej transkrypcji testamentu Kwaana, szukając

akapitu.

*Wzrost Alendiego zaskoczył mnie, gdy ujrzałem go po raz pierwszy. Oto człowiek niewielkiego wzrostu, który jednak górował nad innymi i wymagał szacunku.*

Sazed zmarszczył czoło. Wcześniej upierał się, że nie ma tu sprzeczności, gdyż jeden akapit można było interpretować jako odnoszący się do osobowości czy charakteru Bohatera, nie zaś jego wzrostu. Teraz jednak Sazed zawahał się, po raz pierwszy zwracając uwagę na zastrzeżenia Tindwyl.

I wydawało mu się, że coś jest nie tak. Spojrzał ponownie na książkę, przeglądając zawartość strony.

*Było dla mnie miejsce w tradycji Oczekiwania - uważałem się za Świętego Pierwszego Świadka, proroka, który wedle przepowiedni miał odkryć Bohatera Wieków. Wówczas odrzucenie Alendiego oznaczałoby odrzucenie mojej nowej pozycji i aprobaty pozostałych.*

Sazed zmarszczył czoło jeszcze bardziej. Przeczytał akapit po raz kolejny. Na dworze robiło się coraz ciemniej i kilka pasm mgły wsunęło się przez okiennice do komnaty, po czym zaraz zniknęło.

*Święty Pierwszy Świadek*, przeczytał ponownie. Jak mogłem tego nie zauważyć. Tak właśnie nazwali mnie ludzie przy bramie. Nie rozpoznałem tego.

- Sazedzie.

Terrisanin podskoczył, niemal zrzucając książkę na ziemię. Vin stała za jego plecami, niczym cień w słabo oświetlonej komnacie.

- Lady Vin! Wstałaś!

- Nie powinniście mi pozwalać na tak długi sen - powiedziała.

- Próbowaliśmy cię obudzić - powiedział cicho. - Byłaś w śpiączce.

Zawahała się.

- Może to i dobrze, lady Vin - stwierdził Sazed. - Walki się skończyły, a ty bardzo się wysilałaś przez te ostatnie kilka miesięcy. Dobrze, że trochę odpoczęłaś, gdy jest już po wszystkim.

Podeszła bliżej, kręcąc głową, i Sazed zauważył, że jest wymizierowana, mimo wielu dni odpoczynku.

- Nie, Sazedzie - powiedziała. - Wcale się nie skończyło. Jeszcze nie.

- Co masz na myśli? - spytał zatroskany.

- Wciąż słyszę ją w głowie - odparła, unosząc dłoń do czoła. - Jest tutaj. W mieście.

- Studnia Wstąpienia? - spytał. - Ale, lady Vin, okłamałem cię przecież. Absolutnie szczerze, i

przepraszam cię przy tym, nie wiem nawet, czy ona w ogóle istnieje.

- Wierzysz, że jestem Bohaterem Wieków?

Sazed odwrócił wzrok.

- Kilka dni temu, na polu pod miastem, byłem pewien. Ale... ostatnio... nie wiem już w co wierzę. Proroctwa i opowieści to sarta sprzeczności.

- Tu nie chodzi o proroctwa - powiedziała Vin, podchodząc do stołu i spoglądając na jego książkę. - Chodzi o to, co trzeba zrobić. Czuję to... przyciąga mnie.

Spojrzała na zamknięte okno, z mgłą krążącą wokół jego krawędzi. Podeszła i otworzyła okiennice, wpuszczając chłodne zimowe powietrze.

Zamknęła oczy i pozwoliła, by mgła ją omyła. Miała na sobie jedynie prostą koszulę i spodnie.

- Raz z niej czerpałam, Sazedzie - powiedziała. - Wiedziałeś o tym? Powiedziałaś ci?

Kiedy walczyłam z Ostatnim Imperatorem. Zacerpnęłam mocy z mgieł. Tak go pokonałam.

Sazed zadrżał, nie tylko z zimna. Z powodu jej tonu głosu i melodii słów.

- Lady Vin... - zaczął mówić, lecz nie wiedział co powiedzieć dalej. Zacerpnęła z mgieł? Co miała na myśli?

- Studnia jest tutaj - powtórzyła, wyglądając przez okno, a mgła wpływała do komnaty.

- To niemożliwe, lady Vin - sprzeciwił się Sazed. - Wszystkie pisma się zgadzają.

Studnia Wstąpienia znajdowała się w Górach Terris.

Vin pokręciła głową.

- On zmienił świat, Sazedzie.

Zmarszczył czoło.

- Co?

- Ostatni Imperator - wyszeptała. - Stworzył Góry Popielne. Wedle zapisów otoczył

imperium potężnymi pustyniami, poruszył ziemię, by je ochronić. Dlaczego mamy zakładać, że wszystko wygląda tak, jak wtedy, gdy wspiął się do Studni? Stworzył góry. Dlaczego nie mógł

ich zrównać?

Sazed przeszył dreszcz.

- Ja bym tak zrobiła - dodała Vin. - Gdybym wiedziała, że moc powróci, gdybym chciała ją zachować, ukryłabym Studnię. Pozwoliłabym, żeby legendy pozostały, mówiące o górach na północy. Później wybudowałabym miasto wokół Studni, by zawsze mieć ją na oku.

Odwróciła się, spoglądając na niego.

- Jest tutaj. Moc czeka.

Sazed otworzył usta, by się sprzeciwić, ale nie miał słów. Brakło mu wiary. Kim był, żeby dyskutować w takich sprawach? W tej właśnie chwili usłyszał głosy poniżej, na zewnątrz.

Głosy, pomyślał. W nocy? Pośród mgieł? Zaciekawiony, wyteżył słuch, by usłyszeć, o czym mówią, lecz były zbyt odległe. Sięgnął do torby pod stołem. Większość jego metalmyśli była pusta, nosił tylko miedziomyśli zawierające starożytną wiedzę. W torbie znalazł niewielką sakiewkę. Zawierała dziesięć pierścieni, które przygotował na czas oblężenia, ale nie wykorzystał ich. Otworzył ją, wyjął jeden z dziesięciu i schował sakiewkę za pas.

Dzięki temu pierścieniowi - cynomyśli - mógł poprawić słuch. Głosy z dołu zabrzmiały wyraźniej.

- Król! Król powrócił!

Vin wyskoczyła przez okno.

\*\*\*

- Ja też nie do końca rozumiem, jak ona to robi, El - powiedział idący obok niego Ham.

Rękę wciąż miał na temblaku.

Elend szedł ulicami miasta, za nimi podążali mieszkańcy, rozmawiając z podnieceniem.

Tłum stawał się coraz gęstszy, gdy rozeszły się wieści, że Elend powrócił. Spook spoglądał na nich niepewnie, ale zainteresowanie wyraźnie mu się podobało.

- Pod koniec bitwy byłem nieprzytomny - mówił dalej Ham. - Tylko cyna z ołowiem utrzymywała mnie przy życiu... kolossy zarżnęły moich ludzi, zdobyły twierdzę, której broniliśmy. Wydostałem się i znalazłem Sazedę, ale byłem coraz bardziej otępiały. Pamiętam, że pod Twierdzą Hasting straciłem przytomność. Kiedy się obudziłem, okazało się, że Vin już odzyskała miasto. Ja...

Zatrzymali się. Vin stała przed nimi na ulicy. Milcząca, mroczna. Pośród mgły przypominała niemal ducha, którego Elend widział wcześniej.

- Vin? - zapytał.

- Elend - powiedziała i rzuciła mu się w ramiona. Drżała, tuląc się do niego. -

Przepraszam. Chyba zrobiłam coś złego.



- O? - spytał. - A cóż takiego?

- Uczyniłam cię cesarzem.

Uśmiechnął się.

- Zauważyłem i akceptuję to.

- Po tym wszystkim, co zrobiłeś, żeby się upewnić, że twoi poddani będą mieli wybór?

Potrząsnął głową.

- Zaczynam dochodzić do wniosku, że moje poglądy były zbyt uproszczone. Szlachetne, lecz... niepełne. Zajmiemy się tym. Cieszę się, że moje miasto wciąż stoi.

Vin się uśmiechnęła. Wyglądała na zmęczoną.

- Vin? - spytał. - Nadal przeciągasz cynę z ołowiem?

- Nie - odparła. - Chodzi o coś innego.

Spojrzała w bok z zamyśloną twarzą, jakby podejmowała decyzję.

- Chodź - powiedziała.

\*\*\*

Sazed wyglądał przez okno, druga cynomyśl poprawiała jego wzrok. Rzeczywiście, na dole stał Elend. Sazed uśmiechnął się, kolejny kamień spadł z jego serca. Odwrócił się, by wyjść na spotkanie swojego króla.

I wtedy ujrzał coś na podłodze przed sobą. Kawałek papieru. Ukląkł, a kiedy go podniósł, zauważył na nim swoje pismo. Krawędzie papieru były poszarpane, zatem skrawek został oderwany od większego arkusza. Zmarszczył czoło, podszedł do stołu i otworzył księgę na stronie z transkrypcją tekstu Kwaana. Kawałek brakowało. Tego samego co zawsze, tego, który został oderwany wtedy, gdy pracowali z Tindwyl. Niemal zapomniał już o tym dziwnym wydarzeniu - kiedy to ze wszystkich kartek usunięto to samo zdanie.

Przepisał tę stronę ze swojej metalmyśli, gdy znaleźli porwane kartki. Teraz ten sam fragment został oderwany, ostatnie zdanie. Aby się upewnić, ułożył kawałek obok książki.

Pasował doskonale. Alendi nie może dotrzeć do Studni Wstąpienia. Nie może przyjąć jej mocy dla siebie. Takie sformułowanie Sazed miał w pamięci, tak zostało zapisane na odcisku.

Dlaczego Kwaan się tym martwił, pomyślał Sazed, siadając. Mówił, że Alendi jest lepszy od innych. Przecież w kilku miejscach nazywał go szlachetnym człowiekiem.

Dlaczego Kwaan tak bardzo się martwił, że Alendi weźmie moc dla siebie?

\*\*\*

Vin szła pośród mgieł. Elend, Ham i Spook podążali za nią, tłum został rozproszony na rozkaz Elenda - choć kilku żołnierzy trzymało się blisko, by zapewnić im bezpieczeństwo.

Zrodzona z Mgły nie przerywała marszu, kierując się pulsowaniem, dudnieniem, mocą, która wstrząsała jej duszą. Dlaczego inni jej nie czuli?

- Vin? - spytał Elend. - Gdzie idziemy?

- Kredik Shaw - odpowiedziała cicho.

- Ale... dlaczego?

Potrząsnęła głową. Teraz знаła prawdę. Studnia była w mieście. Pulsowanie stawało się coraz mocniejsze i mogłaby się spodziewać, że teraz trudniej będzie jej ocenić kierunek, z jakiego dochodzi. Jednak w rzeczywistości było zupełnie inaczej. Teraz, gdy pulsowanie stało się głośnie i wyraźne, okazało się to prostsze.

Elend spojrzał na pozostałych; wyczuwała jego niepokój. Kredik Shaw górowało przed nimi pośród mroku. Iglice, niczym potężne kolce, wznosiły się z ziemi w nieregularnym wzorze, wbijając się oskarżycielsko w niebo.

- Vin - odezwał się Elend. - Mgły zachowują się... dziwnie.

- Wiem - odparła. - Prowadzą mnie.

- Właściwie to nie - sprzeciwił się. - Wyglądają, jakby się przed tobą cofały.

Vin pokręciła głową. To wydawało jej się właściwe. Jak mogła wyjaśnić? Razem weszli do pałacu Ostatniego Imperatora.

Studnia była tu przez cały czas, pomyślała z rozbawieniem Vin. Czowała pulsowanie wibrujące w całym budynku. Dlaczego nie zauważyła tego wcześniej?

Pulsowanie było wtedy wciąż zbyt słabe, uświadomiła sobie. Studnia nie była jeszcze pełna. Teraz jest. I woła mnie.

Ruszyła tą samą drogą co wcześniej. Drogą, którą szła z Kelsierem tamtej przeklętej nocy, kiedy włamali się do Kredik Shaw i omal nie zginęła. Drogą, którą podążyła samotnie, gdy przyszła zabić Ostatniego Imperatora. Wąskie kamienne korytarze prowadziły do sali przypominającej odwróconą misę. Światło latarni Elenda odbijało się od misternych kamiennych płaskorzeźb i fresków, utrzymanych głównie w szarościach i czerniach. Kamienna chata stała pośrodku sali.

- Chyba w końcu znajdziemy twoje atium - powiedziała z uśmiechem.

- Co? - spytał Elend. Jego głos odbijał się echem. - Vin, tutaj też szukaliśmy.

Próbowaliśmy wszystkiego.

- Najwyraźniej za słabo się staraliście - odparła, spoglądając na niewielki budynek w budynku, lecz nie idąc w jego stronę.

Tu bym ją umieściła, pomyślała. To ma sens. Ostatni Imperator chciałby mieć Studnię blisko siebie, żeby zabrać jej moc, kiedy znów powróci.

Ale ja wcześniej go zabiłam.

Dudnienie dochodziło z dołu. Zerwano kamienną posadzkę, ale zaprzestano prac, kiedy natrafiono na skały. Na dół musiała prowadzić jakaś droga. Vin przeszukała kamienną chatę, ale nic nie znalazła. Wyszła, mijając zdezorientowanych przyjaciół, sfrustrowana.

Później spróbowała spalić metale.

Jak zawsze, błękitne linie otaczały ją, wskazując na źródła metali. Elend nosił kilka, podobnie jak Spook, choć Ham był czysty. Niektóre z kamiennych płaskorzeźb były inkrustowane metalami i jej linie wskazywały również na nie.

Wszystko wyglądało tak, jak się spodziewała. Nie było niczego...

Zmarszczyła czoło i zrobiła krok w bok. Do jednej z inkrustacji prowadziła wyjątkowo gruba linia. Właściwie zbyt gruba. Vin uważnie wpatrzyła się w linię, prowadzącą - jak pozostałe - od jej piersi do kamiennej ściany. Ta prowadziła za ścianę.

Co?

Przyciągnęła ją. Nic się nie stało. Przyciągnęła mocniej i sapnęła, gdy została szarpnięta w stronę ściany. Wypuściła linię i rozejrzała się wokół. Na podłodze również były inkrustacje.

Głębokie. Zaciekawiona, Przyciągnęła się do nich, wykorzystując je jako kotwice, i znów Przyciągnęła. Wydawało jej się, że czuje, jak coś się porusza.

Spaliła duraluminium i Przyciągnęła ze wszystkich sił. Eksplozja mocy niemal rozerwała ją na strzępy, lecz kotwica wytrzymała, a wspomagana duraluminium cyna z ołowiem utrzymała ją przy życiu.

Fragment ściany odsunął się na bok, kamień zazgrzytał o kamień. Vin sapnęła i puściła go, gdy jej metale się wyczerpały.

- Ostatni Imperatorze! - powiedział Spook.

Ham był szybszy i z pomocą cyny z ołowiem błyskawicznie podszedł do otworu i zajrzał do środka. Elend pozostał u jej boku, chwytając ją za ramię, gdy omal nie upadła.

- Nic się nie stało - uspokoiła go Vin, połykając zawartość fiołki i uzupełniając zapasy metali. Moc Studni dudniła wokół niej. Niemal wstrząsała komnatą.

- Tam są schody - powiedział Ham, wystawiając głowę na zewnątrz.

Vin wyprostowała się i skinęła na Elenda. Oboje podążyli za Hamem i Spookiem przez otwór w ścianie.

\*\*\*

*Ale nie mogę wdawać się w szczegóły, pisał Kwaan.*

*Mam mało miejsca. Inni Dawcy Światów musieli uważać się za pokornych, kiedy przyszedli do mnie i przyznali, że się mylili. Wtedy zaczynałem już wątpić w moje pierwotne stwierdzenie. Lecz byłem pełen dumy.*

*W końcu moja duma mogła sprowadzić na nas wszystkich zagładę. Moi bracia nigdy nie poświęcali mi zbyt wiele uwagi. Sądzieli, że moja praca i zainteresowania nieprzystoją Dawcy Światów. Nie widzieli, jak moje badania, studia nad naturą zamiast religią, przynoszą korzyść mieszkańcom czterestu krain.*

*Jako ten, który odnalazł Alendiego, stałem się jednak kimś ważnym. Pierwszym pomiędzy Dawcami Światów. Było dla mnie miejsce w tradycji Oczekiwania - uważałem się za Świętego Pierwszego Świadka, proroka, który wedle przepowiedni miał odkryć Bohatera Wieków. Wówczas odrzucenie Alendiego oznaczałoby odrzucenie mojej nowej pozycji i aprobaty pozostałych.*

*Dlatego tego nie zrobiłem.*

*Lecz czynię to teraz. Niechaj wszyscy wiedzą, że ja, Kwaan, Dawca Światów z Terris, jestem oszustem. Alendi nigdy nie był Bohaterem Wieków. W najlepszym wypadku podkreśliłem jego cnoty, tworząc bohatera tam, gdzie go nigdy nie było. W najgorszym obawiam się, że wypaczyłem wszystko, w co wierzymy.*

Sazed siedział przy stole i czytał swoją książkę.

Coś tu jest nie tak, pomyślał. Cofnął się o kilka linijek i znów spojrzał na słowa „Święty Pierwszy Świadek”. Dlaczego tak bardzo go niepokoiły?

Z westchnieniem się odchylił. Nawet jeśli proroctwa mówiły o przyszłości, nie były czymś, czym można było się kierować lub wykorzystywać to jako drogowskazy. Tindwyl miała tu rację. Jego własne badania udowodniły, że są niegodne zaufania i niejasne.

Na czym więc polegał jego problem?

To nie ma sensu.

Ale z drugiej strony, czasem religie nie miały dosłownego sensu. Czy to był zdrowy rozsądek, czy

jego uprzedzenia? Wzrastająca frustracja związana z naukami, które znał na pamięć i którymi dzielił się z innymi, lecz które w końcu go zawiodły?

Wszystko sprowadzało się do kawałka papieru na jego biurku. *Alendi nie może dotrzeć do Studni Wstąpienia...*

Ktoś stał obok jego biurka.

Sazed sapnął, zatoczył się do tyłu i niemal potknął o własne krzesło. To nie był

człowiek. To był cień - utworzony, jak się zdawało, z pasm mgły. Były bardzo słabe, nadal wpadały przez okno, które otworzyła Vin, lecz razem tworzyły postać. Jej głowa była zwrócona w stronę stołu i książki. A może... kawałek papieru?

Sazed miał ochotę uciec w panice, ale w jego umyśle uczonego pojawiła się myśl, która kazała mu zwalczyć grozę. Alendi, pomyślał. Ten, którego wszyscy uważali za Bohatera Wieków. Twierdził, że widział istotę z mgły, która za nim podążała.

Vin również utrzymywała, że ją widziała.

- Czego... czego chcesz? - spytał, próbując zachować spokój.

Duch się nie poruszył.

Czy to... ona? - pomyślał wstrząśnięty. Wiele religii utrzymywało, że umarli nadal chodzą po świecie, poza zasięgiem wzroku żywych. Ale ten stwór był za niski na Tindwyl.

Sazed miał pewność, że rozpoznałby ją, nawet w tak bezkształtnej postaci.

Sazed próbował ocenić, w którą stronę patrzy istota. Niepewnie wyciągnął rękę i podniósł kawałek papieru.

Duch uniósł rękę i wskazał w stronę centrum miasta. Sazed zmarszczył czoło.

- Nie rozumiem - powiedział.

Istota pokazała raz jeszcze, z większym naciskiem.

- Napisz, co mam zrobić.

Pokazywała nadal.

Sazed stał przez dłuższą chwilę w komnacie oświetlonej pojedynczą świecą, po czym spojrzał na otwartą książkę. Wiatr przerzucił jej karty, ukazując jego pismo, pismo Tindwyl, później znów jego.

*Alendi nie może dotrzeć do Studni Wstąpienia. Nie może przyjąć jej mocy dla siebie.*

Może... może Kwaan wiedział coś, czego nie wiedział nikt inny. Czy moc mogła zepsuć nawet najlepszemu z ludzi? Czy dlatego zwrócił się przeciwko Alendiemu, próbując go zatrzymać?

Mgielny duch znów pokazał.

Jeśli duch oderwał to zdanie, może próbował mi coś powiedzieć. Ale... Vin nie wzięłaby mocy dla siebie. Nie niszczyłaby, jak Ostatni Imperator, prawda?

A gdyby nie miała wyboru?

Na zewnątrz ktoś wrzasnął. To był krzyk czystego przerażenia, wkrótce dołączyli do niego inni. Przerazający chór w mroku nocy.

Nie było czasu na zastanawianie się. Sazed chwycił świecę, w pośpiechu zalewając księgę woskiem, i wyszedł.

\*\*\*

Kręcone kamienne schody prowadziły na dół. Vin szła nimi z Elendem u boku; dudnienie odbijało się echem w jej uszach. Na dole klatka schodowa otwierała się na...

Ogromną salę. Elend wysoko uniósł latarnię, rozglądając się po wielkiej kamiennej jaskini. Spook znajdował się już w połowie drogi na dół, Ham podążał za nim.

- Ostatni Imperatorze... - wyszeptał Elend, stojąc u boku Vin. - Nigdy byśmy tego nie znaleźli, musielibyśmy zburzyć cały pałac!

- Pewnie o to właśnie chodziło - odparła Vin. - Kredik Shaw to nie tylko pałac, ale też przykrywka. Wybudowany, by coś ukryć. To. Na górze inkrustacje na ścianach zasłaniały pęknięcia otworu wejściowego, a metal ukrywał mechanizm otwierający przed oczami Allomantów. Gdybym nie miała wskazówki...

- Wskazówki? - powtórzył Elend, odwracając się w jej stronę.

Vin potrząsnęła głową i skinęła na schody. Ruszyli na dół, skąd dobiegł głos Spooka.

- Tam jest jedzenie! - ryknął. - Mnóstwo puszek!

W rzeczy samej, znaleźli rzędy półek ustawionych na dnie jaskini, starannie zapełnionych, jakby w przygotowaniu do ważnego wydarzenia. Vin i Elend dotarli na dół w chwili, gdy Ham ruszył za Spookiem, każąc chłopakowi zwolnić. Venture chciał ruszyć w ich stronę, lecz Vin chwyciła go za ramię. Spalała żelazo.

- Silne źródło metalu jest tam - powiedziała, wyraźnie podekscytowana.

Elend pokiwał głową i ruszyli przez jaskinię, mijając kolejne rzędy półek. To Ostatni Imperator je przygotował, pomyślała. Ale w jakim celu?

W tej chwili się tym nie przejmowała. Atium też jej nie obchodziło, ale pragnienie Elenda, by je odnaleźć, było zbyt wielkie, by mogła je zignorować. Dotarli do końca sali i znaleźli źródło linii metalu.

Na ścianie wisiała wielka metalowa płyta, przypominająca tę, która zgodnie z opisem Sazedą znajdowała się w Domu Modlitwy Seran. Elend był wyraźnie rozczarowany, kiedy ją zobaczył. Vin jednak podeszła bliżej i z pomocą cyny obejrzała jej zawartość.

- Mapa? - spytał Elend. - To Ostatnie Imperium.

W rzeczy samej, w metalu wykuto mapę imperium. Luthadel znajdowało się pośrodku.

Niewielkie kółko otaczało jedną z pobliskich miejscowości.

- Dlaczego miasto Statlin zostało zakreślone? - spytał Elend, marszcząc czoło.

Vin pokręciła głową.

- Nie po to tu przyszliśmy - powiedziała. - Tutaj. - Z głównej jaskini odchodził tunel. -

Chodź.

\*\*\*

Sazed biegł ulicami, niepewny, co robi. Podążał za duchem mgły, który nie był dobrze widoczny w mroku. Świeca już dawno zgasła.

Ludzie wrzeszczeli. Ich przerażone krzyki przeszywały go dreszczem, kusiło go, żeby pójść i sprawdzić, na czym polega problem. Jednakże duch mgły był wymagający.

Zatrzymywał się, by zwrócić jego uwagę, kiedy go zgubił. Mógł go prowadzić na śmierć. A jednak... Sazed czuł zaufanie, którego nie umiał wyjaśnić.

Allomancja, pomyślał. Przyciąga moje uczucia?

Nim zdołał się nad tym zastanowić, wpadł na pierwszego trupa. To był mężczyzna skaa w prostym ubraniu, o skórze poplamionej popiołem. Jego twarz wykrzywiały grymas bólu, a popiół na ziemi został rozmazany przez przedśmiertne drgawki.

Sazed zatrzymał się z sapnięciem. Ukląkł i przyjrzał się ciału w słabym świetle padającym przez otwarte okno sąsiedniego budynku. Ten człowiek nie umierał spokojnie.

To... jak te śmierci, które badałem, pomyślał. Wiele miesięcy temu, w wiosce na południu. Tamten mężczyzna mówił, że mgły zabiły jego przyjaciela. Sprawily, że upadł na ziemię i zaczął się miotać.

Duch pojawił się przed Sazedem, robił wrażenie zniecierpliwionego. Terrisanin podniósł wzrok.

- Ty to zrobiłeś? - spytał szeptem.

Stwór jedynie gwałtownie potrząsnął głową i pokazał ręką. Kredik Shaw leżało tuż przed nimi. W tę stronę udali się wcześniej Vin i Elend.

Sazed wstał. Vin powiedziała, że Studnia nadal jest w mieście, pomyślał. Głębia przyszła do nas i robi to, co już od wielu miesięcy robiła na obrzeżach imperium. Zabija.

Dzieje się coś wykraczającego poza nasze pojmowanie.

Wciąż nie mógł uwierzyć, że Vin idąca do Studni mogła sprowadzić niebezpieczeństwo.

Przeczytała i poznała historię Rasheka. Nie weźmie mocy dla siebie. Był tego pewien, choć nie do końca. Tak naprawdę, nie był już pewien, co właściwie powinni zrobić ze Studnią.

Muszę do niej dotrzeć. Zatrzymać ją, porozmawiać, przygotować. Nie możemy się spieszyć. Jeśli rzeczywiście mieli wziąć moc Studni, musieli się nad tym najpierw zastanowić i wybrać najlepsze rozwiązanie.

Mgielny duch nadal wskazywał. Sazed wyprostował się i pobiegł, ignorując krzyki w mroku. Dotarł do wejścia do potężnego pałacu, pełnego wież i iglic, i wbiegł do środka.

Stwór pozostał na zewnątrz, pośród mgieł, które go zrodziły. Sazed znów zapalił swoją świecę za pomocą krzesiwa i czekał. Duch mgły się nie poruszył. Wciąż czując przynaglania, Sazed pozostawił go za sobą i wszedł do dawnej siedziby Ostatniego Imperatora. Kamienne mury były zimne i ciemne, a świeca dawała tylko słabe światło.

Tutaj nie może być Studni, pomyślał. Powinna być w górach.

Jednakże duża część wiedzy z tamtego okresu była niejasna. Zaczynał się zastanawiać, czy kiedykolwiek rozumiał to, co studiował.

Przyspieszył kroku, osłaniając świecę dłonią. Wiedział gdzie ma iść. Odwiedził

budynek w budynku, miejsce, w którym Ostatni Imperator niegdyś spędzał większość czasu.

Sazed zbadał pałac po upadku imperium, badając i katalogując. Wszedł do zewnętrznej sali i przebył połowę drogi do środka, nim zauważył otwór w ścianie.

W wejściu stała postać z pochyloną głową. Blask świecy Sazedą odbijał się od wypolerowanych marmurowych ścian, srebrnych inkrustacji i kolców w oczach mężczyzny.

- Marsh? - spytał wstrząśnięty Sazed. - Gdzie się podziewałeś?

- Co tu robisz, Sazedzie? - wyszeptał Marsh.

- Idę do Vin - odparł zdezorientowany. - Znalazła Studnię, Marsh. Musimy do niej dotrzeć,



powstrzymać ją przed zrobieniem czegokolwiek, dopóki nie będziemy pewni, co ma właściwie zrobić.

Inkwizytor milczał przez krótką chwilę.

- Nie powinieneś tu przychodzić, Terrisaninie - powiedział w końcu, nadal nie unosząc głowy.

- Marsh? Co się dzieje? - Sazed zrobił krok do przodu, wciąż czując przynaglanie.

- Chciałbym wiedzieć. Chciałbym... chciałbym rozumieć.

- Rozumieć co? - spytał Sazed, a jego głos odbijał się echem od kopuły.

Marsh przez chwilę stał w milczeniu. W końcu uniósł głowę, wpatrując się kolcami w Sazedą.

- Chciałbym rozumieć, dlaczego muszę cię zabić - powiedział i uniósł dłoń.

Allomantyczne Odepchnięcie uderzyło w metalowe bransolety na rękach Sazedą, rzucając go do tyłu i wbijając w kamienną ścianę.

- Przepraszam - szepnął Marsh.

*Alendi nie może dotrzeć do Studni Wstąpienia..*

- Na Ostatniego Imperatora! - wyszeptał Elend, zatrzymując się na krawędzi drugiej jaskini.

Vin dołączyła do niego. Przez dłuższy czas szli korytarzem, zostawiając daleko za sobą jaskinię z zapasami, przechodząc przez naturalny tunel. Kończył się tutaj, w drugiej, nieco mniejszej jaskini, wypełnionej gęstym, ciemnym dymem. Opar nie wypływał z jaskini, jak powinien, tylko kłębił się i wirował.

Vin zrobiła krok do przodu. Dym nie zaczął jej dusić, jak się spodziewała. Było w nim coś dziwnie przyjemnego.

- Chodź - powiedziała, idąc przez jaskinię. - Z przodu widzę światło.

Elend dołączył do niej, nieco zdenerwowany.

Łup. Łup. Łup.

\*\*\*

Sazed uderzył w ścianę. Nie był Allomantą, nie miał cyny z ołowiem, by wzmocnić swoje ciało. Gdy upadł na ziemię, poczuł ostry ból w boku i wiedział, że ma złamane żebro.

Albo coś gorszego.

Marsh podszedł do niego, słabo oświetlany przez świecę Sazedą, która nadal paliła się niepewnie w miejscu, w którym upadła.

- Dlaczego przyszedłeś? - wyszeptał Marsh, gdy Sazed z trudem podnosił się na kolana.

- Wszystko szło tak dobrze. - Wpatrywał się żelaznymi oczyma, jak Terrisanin odczołguje się powoli. Później znów Odepchnął, rzucając Sazedą na bok.

Sazed poleciał na podłogę z białego marmuru i uderzył w drugą ścianę. Kość w jego ręce pękła. Wzrok się zamglił.

Poprzez zasłonę bólu widział, jak Marsh się pochyla i coś podnosi. Niewielką sakiewkę.

Wypadła z pasa Sazedą. Była wypełniona kawałkami metalu - Inkwizytor najwyraźniej uznał, że to monety.

- Przepraszam - powtórzył Marsh, uniósł rękę i Odepchnął sakiewkę w stronę Sazedą.

Woreczek przeleciał przez salę i uderzył w Sazedą, rozrywając się. Kawałki metalu przebiły ciało. Terrisanin nie musiał patrzeć, żeby wiedzieć, jak ciężko jest ranny. Co dziwne, nie czuł już bólu - lecz czuł ciepło krwi na brzuchu i nogach.

Ja też... przepraszam, pomyślał Sazed, gdy zaczęło robić się ciemno i upadł na kolana.

Nawet nie umiem odpowiedzieć na pytanie Marsha. Nie wiem, czemu tu przyszedłem.

Czuł, jak umiera. To było dziwne doświadczenie. Jego umysł był zrezygnowany, zdezorientowany, sfrustrowany, powoli... miał... problem...

To nie były monety, szeptał jakiś głos.

Ta myśl rozległa się w jego umierającym umyśle.

Woreczek, którym rzucił w ciebie Marsh. To nie były monety. To były pierścienie, Sazedzie. Osiem. Dwa wyjąłeś - wzrok i słuch. Pozostałe zostawiłeś na miejscu.

We wciśniętej za pas sakiewce.

Sazed upadł, śmierć opadała na niego niczym zimny cień. A jednak myśl wydawała się prawdziwa. Dziesięć pierścieni zatopionych w jego ciele. Dotykających go. Ciężar. Szybkość ciała. Wzrok. Słuch. Dotyk. Węch. Siła. Szybkość umysłu. Przytomność.

I zdrowie.

Sięgnął do złota. Nie musiał nosić metalmyśli, by z niej korzystać - musiał jej jedynie dotykać. Ustąpiło palenie w piersi, znów mógł skupić wzrok. Ręka wyprostowała się, kości znów się zrosły, gdy w rozbłysku mocy wykorzystał kilka dni zdrowia. Sapnął, jego umysł

powrócił znad krawędzi śmierci, złotomyśl pozwoliła mu odzyskać jasność myślenia.

Ciało wokół metali się zagoiło. Sazed wstał, oderwał pusty woreczek przyklejony do skóry i pozostawił pierścienie w środku. Rzucił go na ziemię, a wtedy rana się zagoiła, wykorzystując resztki mocy ze złotomyśli. Marsh zatrzymał się przy wejściu, odwracając się z zaskoczeniem. Ramię Sazedada nadal pulsowało, kość pewnie była pęknięta, a jego żebra pokrywały sińce. Krótki wybuch zdrowienia nie mógł wyleczyć wszystkiego.

Ale żył.

- Zdradziłeś nas, Marsh - powiedział Sazed. - Nie sądziłem, że te kolce odbierają ludziom duszę, nie tylko oczy.

- Nie możesz ze mną walczyć - odparł cicho Marsh. Jego głos odbijał się echem. - Nie jesteś wojownikiem.

Sazed uśmiechnął się, czując w sobie nieduże metalmyśli, dające mu moc.

- Sądzę, że ty też nie.

\*\*\*

Biorę udział w czymś, co znacznie mnie przerasta, pomyślał Elend, gdy przeszli przez dziwną, wypełnioną dymem jaskinię. Jej dno było szorstkie i nierówne, a latarnia świeciła słabo

- jakby wirujący czarny dym pochłaniał jej blask.

Vin szła pewnym krokiem. Nie, zdecydowanym. To była pewna różnica. Cokolwiek znajdowało się na końcu tej jaskini, najwyraźniej chciała to odkryć.

A... co to będzie? - pomyślał Elend. Studnia Wstąpienia?

Studnia występowała w mitologii - opowiadali o niej obligatorzy, kiedy nauczali o Ostatnim Imperatorze. A jednak... podążył za Vin na północ, spodziewając się, że ją odnajdzie, czyż nie? Dlaczego teraz był taki niepewny?

Może dlatego, że w końcu zaczynał przyjmować to, co się działo. I czuł się zaniepokojony. Nie dlatego, że bał się o swoje życie. Po prostu nagle przestał pojmować świat.

Armie rozumiał, nawet jeśli nie umiał ich pokonać. Ale coś takiego jak Studnia? Sprawa bogów, wykraczająca poza logikę uczonych i filozofów?

To było przerażające.

W końcu dotarli na drugą stronę zadymionej jaskini. Tu znajdowała się ostatnia sala, mniejsza od pozostałych. Gdy do niej weszli, Elend od razu coś zauważył - została stworzona przez człowieka. A przynajmniej takie robiła wrażenie. Stalaktyty tworzyły kolumny podtrzymujące niskie sklepienie, a były rozmieszczone zbyt regularnie, by uznać to za przypadek. A jednocześnie robiły wrażenie, jakby wyrosły naturalnie, i nie nosiły śladów obróbki.

Tu powietrze wydawało się cieplejsze - i na szczęście, w końcu wyszli z dymu. Słaby blask dochodził z czegoś po drugiej stronie, choć Elend nie widział jego źródła. To nie wyglądało jak światło pochodni - miało nieodpowiednią barwę i raczej mieniło się niż migotało.

Vin objęła go ramieniem i wpatrzyła się w tamtą stronę. Nagle wydała mu się niepewna.

- Skąd pochodzi to światło? - spytał Elend, marszcząc czoło.

- Sádzawka - odparła cicho Vin. Jej wzrok był zdecydowanie ostrzejszy. - Świetlista biała sadzawka.

Elend zmarszczył czoło. Żadne z nich się nie poruszyło. Vin wydawała się niezdecydowana.

- Co się dzieje? - spytał.

Przytuliła się do niego.

- To Studnia Wstąpienia. Czuję ją w mojej głowie. Pulsuje.

Elend zmusił się do uśmiechu, miał przy tym dziwne poczucie przesunięcia.

- Po to tu przyszliśmy.

- A jeśli nie będę wiedziała, co zrobić? - spytała cicho Vin. - A jeśli wezmę moc, ale nie będę wiedziała, jak ją wykorzystać? A jeśli... stanę się taka jak Ostatni Imperator?

Elend spojrzał na nią, przytuloną do niego, i jego strach zelżał. Kochał ją. Sytuacja, w jakiej się znaleźli, nie pasowała do jego logicznego świata. Tyle że Vin właściwie nigdy nie potrzebowała logiki. On też nie, jeśli jej ufał.

Ujął jej twarz w dłonie i odwrócił w taki sposób, by na niego spojrzała.

- Masz piękne oczy.

Skrzywiła się.

- O co...

- I - mówił dalej - część tego piękna wynika z twojej szczerości. Nie zostaniesz Ostatnim Imperatorem, Vin. Będiesz wiedziała, co zrobić z tą mocą. Ufam ci.

Uśmiechnęła się z wahaniem, po czym pokiwała głową. Jednak nie weszła do jaskini, tylko wskazała na coś nad ramieniem Elenda.

- A co to takiego?

Elend odwrócił się i zauważył półkę na tyłach niewielkiego pomieszczenia. Wyrastała bezpośrednio z kamienia tuż obok otworu, przez który weszli. Vin podeszła do półki, a Elend podążył za nią, dostrzegając leżące na kamieniu odłamki.

- To wygląda jak potłuczona ceramika - stwierdził Elend. Było ich kilka, a więcej leżało na podłodze pod półką.

Vin podniosła odłamek, lecz nie było w nim nic charakterystycznego. Spojrzała na Elenda.

- Popatrz na to - powiedział, unosząc przedmiot, który nie został potłuczony, jak pozostałe. Był to przypominający dysk kawałek wypalanej w piecu gliny z pojedynczą bryłką metalu pośrodku.

- Atium? - spytała.

- Kolor nie pasuje - odparł, marszcząc czoło.

- W takim razie co to?

- Może tam znajdziemy odpowiedź - stwierdził Elend, odwrócił się i spojrzał wzdłuż rzędu kolumn w stronę światła. Vin pokiwała głową i ruszyli naprzód.

\*\*\*

Marsh natychmiast spróbował Odepchnąć Sazedą, wykorzystując jego bransolety.

Terrisanin się jednak tego spodziewał i sięgnął do żelazomyśli, wykorzystując ciężar, który w niej zmagazynował. Jego ciało stało się gęstsze i czuł, jak własny ciężar wbija go w ziemię; jego pięści były niczym żelazne kule na końcach ołowianych rąk.

Inkwizytor natychmiast poleciał do tyłu, odrzucony przez własne Odpychanie. Uderzył

w ścianę i z jego ust wyrwał się okrzyk zaskoczenia. Odbijał się echem w sklepionej sali.

Wokół tańczyły cienie, gdy blask świecy stawał się coraz słabszy. Sazed wzmocnił

wzrok i uwolnił żelazo, pędząc w stronę oszołomionego Inkwizytora. Marsh jednak szybko odzyskiwał siły. Przyciągnął do siebie niezapaloną lampę ze ściany. Poleciała w jego stronę.

Sazed sięgnął do cynku. Mając źródła metalu zatopione w ciele, czuł się jak wypaczona hybryda Allomanty i Feruchemika. Złoto uleczyło jego wnętrze, zasklepiając rany, ale pierścienie zostały pod skórą. To właśnie zrobił Ostatni Imperator, ukrywając metalmyśli wewnątrz, przebijając skórę, by trudniej je było ukraść.

Sazedowi takie postępowanie zawsze wydawało się chore. Teraz jednak widział, że może być użyteczne. Jego myśli przyspieszyły i wyraźnie ujrzał trajektorię lampy. Marsh będzie mógł ją wykorzystać jako broń. Dlatego Sazed sięgnął do stali. Allomancja i Feruchemia różniły się w jednym podstawowym aspekcie - Allomanta czerpał moc z samego metalu i dlatego moc była ograniczona, zaś Feruchemik mógł zwielokrotnić każdy atrybut, w ciągu kilku minut wykorzystując moc zbieraną przez wiele miesięcy.

Stal magazynowała fizyczną prędkość. Sazed przebiegł przez salę tak szybko, że powietrze gwizdało mu w uszach, i minął otwarte przejście. Po drodze chwycił lampę, sięgnął

do żelaza - wielokrotnie zwiększając swój ciężar - a wreszcie sięgnął do cyny z ołowiem, by uzyskać potężną siłę.

Marsh nie miał czasu zareagować. Przyciągał teraz lampę trzymaną w nieludzko silnych, nieludzko ciężkich rękach Sazedą. Inkwizytor znów został pociągnięty przez własną Allomancję. Przyciąganie rzuciło go przez salę, w stronę Sazedą.

Terrisanin odwrócił się i wbił lampę w twarz Marsha. Metal zgiął się w jego dłoniach, a Inkwizytor poleciał do tyłu. Uderzył w marmurową ścianę, w powietrzu pojawiła się krwawa mgiełka. Gdy Marsh upadł na ziemię, Sazed zobaczył, że wbił jeden z kolców w głąb czaszki, miażdżąc kość wokół oczodołu.

Sazed odzyskał normalną wagę, po czym skoczył naprzód, unosząc zaimprovizowaną broń. Marsh jednak uniósł rękę i Odepchnął. Terrisanin przeleciał kilka stóp do tyłu, zanim udało mu się znów sięgnąć do żelazomyśli i zwiększyć ciężar.

Marsh sapnął, jego Odpychanie przycisnęło go do ściany. Jednocześnie jednak zatrzymało Sazedą.

Terrisanin próbował zrobić krok do przodu, lecz Odpychanie Inkwizytora -

w połączeniu z jego własnym, zbyt ciężkim ciałem - utrudniało poruszanie. Męczyli się przez jakiś czas, Odpychając od siebie w gasnącym blasku świecy. Inkrustacje migotały, ciche freski spoglądały na nich, otwarte wejście prowadzące w dół znajdowało się tuż obok.

- Dlaczego, Marsh? - wyszeptał Sazed.

- Nie wiem - odparł Marsh. Jego głos był niczym warkot.

Z błyskiem mocy Sazed uwolnił żelazomyśl i sięgnął do stali, ponownie zwiększając prędkość. Upuścił lampę i skoczył w bok, zbyt szybko, by Marsh go zobaczył. Lampa poleciała do tyłu, po czym upadła na ziemię, gdy Inkwizytor przerwał Odpychanie i skoczył do przodu, najwyraźniej próbując oddalić się od ściany.

Lecz Sazed był szybszy. Obrócił się i uniósł rękę, próbując wyciągnąć najważniejszy kolec - ten między jego łopatkami, wbity na całą długość w plecy. Wyciągnięcie tego jednego kolca zabijało Inkwizytora - taką słabością obdarzył ich Ostatni Imperator.

Sazed prześlizgnął się wokół Marsha, by zaatakować go od tyłu. Kolec z prawego oka Inkwizytora wystawał na kilka cali z tyłu czaszki i ociekał krwią.

Stalomyśl Sazedą się wyczerpała.

Pierścień nie miał działać zbyt długo, a dwa wybuchy mocy wyczerpały go w ciągu kilku chwil. Gwałtownie zwolnił, lecz wciąż miał uniesioną rękę i siłę dziesięciu mężczyzn.

Widział wybrzuszenie kolca pod szatą Marsha. Gdyby tylko udało mu się...

Marsh odwrócił się i zręcznie odepchnął dłoń Sazedą. Wbił łokieć w brzuch Terrisanina, po czym uniósł dłoń i uderzył go w twarz.

Sazed poleciał do tyłu. Wtedy wyczerpała się jego cynołowiomysł. Uderzył w twardą posadzkę z jękiem i przetoczył się na bok.

Marsh górował nad nim w ciemnej sali. Zamigotała świeca.

- Myliłeś się, Sazedzie - powiedział cicho Inkwizytor. - Kiedyś nie byłem wojownikiem, ale to się zmieniło. Ty spędziłeś ostatnie dwa lata, nauczając, a ja zabijając. Zabijając wielu ludzi...

Postąpił krok naprzód. Sazed zakaszłał, próbując zmusić swoje poobijane ciało do ruchu. Martwił się, że znów złamał rękę. Ponownie sięgnął do cynku, przyspieszając myśli, lecz to nie pomogło mu się poruszyć. Mógł tylko patrzeć - bardziej świadom swojego położenia i niezdolny go zmienić - gdy Marsh podniósł porzuconą lampę.

Świeca zgasła.

Mimo to Sazed nadal widział twarz Marsha. Krew spływała ze zmiażdżonego oczodołu, sprawiając, że wyraz jego twarzy stawał się jeszcze trudniejszy do odczytania. Inkwizytor wydawał się... smutny, gdy uniósł lampę, by zmiażdżyć nią głowę Sazedą.

Zaraz... - pomyślał Sazed. Skąd się wzięło to światło?

Laska pojedynkowa uderzyła w tył czaszki Marsha i rozpadła się na kawałki.

\*\*\*

Vin i Elend podeszli do sadzawki. Elend w milczeniu ukląkł obok, lecz Vin stała.

Wpatrywała się w świecącą wodę.

Zebrała się w niewielkim zagłębieniu wśród skał i wyglądała na gęstą - jak metal.

Srebrzystobiały, świecący płynny metal. Studnia miała zaledwie kilka stóp średnicy, lecz jej moc wypełniała umysł Vin.

Była tak oszołomiona piękną sadzawką, że nie zauważyła mgielnego ducha do chwili, gdy Elend mocniej zacisnął rękę na jej ramieniu. Podniosła wzrok i zauważyła stojące obok nich widmo. Miało opuszczoną głowę, lecz kiedy się odwróciła, widmowa postać się wyprostowała.

Nigdy nie widziała ducha poza mgłą. Wciąż nie był... kompletny. Mgła wznosiła się z jego ciała, płynęła w dół, tworząc amorficzną postać. Stały wzór.

Vin syknęła i wyciągnęła sztylet.

- Zaczekaj! - powiedział Elend i wstał.

Spochmurniała i spojrzała na niego.

- Nie sędzę, by był niebezpieczny, Vin - powiedział, odsuwając się od niej, w stronę ducha.

- Elendzie, nie! - powiedziała, lecz on uwolnił się z jej objęć.

- Odwiedził mnie, gdy cię nie było, Vin - wyjaśnił. - Nie skrzywdził mnie. Jakby...

chciał, żebym się czegoś dowiedział. - Uśmiechnął się i podszedł powoli do ducha mgły. Wciąż miał na sobie swój płaszcz i strój podróżny. - Czego chcesz?

Duch mgły przez chwilę stał bez ruchu, po czym uniósł rękę. Coś błysnęło, odbijając blask sadzawki.

- Nie! - krzyknęła Vin, gdy duch ciął Elenda w brzuch.

Mężczyzna jęknął z bólu i zatoczył się do tyłu.

- Elendzie! - Rzuciła się w stronę swojego towarzysza, gdy ten poślizgnął się i upadł na ziemię.



Duch wycofał się, ociekając krwią z wnętrza swojej zdradziecko bezcielesnej postaci.

Krwią Elenda.

Mężczyzna leżał wstrząśnięty z szeroko otwartymi oczyma. Vin rozjarzyła cynę z ołowiem i rozerwała przód jego kurtki, odkrywając ranę. Duch wbił się głęboko w brzuch, rozcinając go.

- Nie... nie... nie... - powtarzała Vin. Na rękach miała krew Elenda.

Rana była bardzo poważna.

Śmiertelna.

\*\*\*

Ham upuścił złamaną laskę. Jedną rękę nadal miał na temblaku. Potężny Zbir wydawał się bardzo zadowolony z siebie, gdy przeszedł nad ciałem Marsha i podał Sazedowi zdrową rękę.

- Nie spodziewałem się, że cię tu znajdę, Saze - powiedział.

Oszołomiony Terrisanin chwycił rękę i podniósł się z trudem. Przeszedł nad ciałem Marsha, choć w głębi duszy wiedział, że prosty cios w głowę nie powinien wystarczyć do zabicia istoty. Był jednak zbyt oszołomiony, by się tym przejmować. Podniósł świecę, zapalił

ją od latarni Hama i ruszył w stronę schodów, zmuszając się do każdego kroku.

Musiał iść dalej. Musiał dotrzeć do Vin.

\*\*\*

Vin trzymała Elenda w ramionach, jej płaszcz tworzył prowizoryczny - i niewystarczający - bandaż wokół jego piersi.

- Kocham cię - szepnęła, jej łzy były ciepłe na chłodnych policzkach. - Elendzie, kocham cię. Kocham cię...

Miłość nie wystarczy. Drżał, wpatrywał się w sufit, z trudem się skupiając. Sapał, a wtedy na jego wargach pojawiła się krew.

Odwróciła się w bok i uświadomiła sobie, gdzie klęczy. Sadržawka świeciła obok niej, kilka cali od miejsca, gdzie upadł Elend. Trochę jego krwi wpłynęło do środka, lecz nie mieszało się z płynnym metalem.

Mogę go uratować, uświadomiła sobie. Moc stworzenia leży kilka cali od moich palców. W tym miejscu Rashek dostąpił boskości. To była Studnia Wstąpienia.

Spojrzała na Elenda, w jego umierające oczy. Miał problemy z panowaniem nad mięśniami. Wyglądał, jakby... próbował się uśmiechnąć.

Vin zwinęła płaszcz i podłożyła mu pod głowę. Później, jedynie w spodniach i koszuli, weszła do sadzawki. Słyszała jej dudnienie. Jakby... ją wzywało. Wzywało, by się z nią połączyła.

Weszła do sadzawki. Płynny metal nie chciał ustąpić pod jej dotykiem, ale w końcu jej stopa się zapadła. Ruszyła naprzód, kierując się w stronę środka sadzawki. W ciągu kilku chwil zagłębiła się po pierś.

Odetchnęła i odchyliła do tyłu głowę, patrząc, jak sadzawka ją pochłania, zakrywa jej twarz.

\*\*\*

Sazed potykał się, schodząc po schodach, w drżącej dłoni trzymał świecę. Ham wołał za nim. Na podeście minął zdezorientowanego Spooka i zignorował pytania chłopca.

Jednakże gdy zaczął zbliżać się do jaskini, zwolnił. Skała zadrżała.

Jakimś sposobem wiedział, że się spóźnił.

\*\*\*

Moc otoczyła ją gwałtownie.

Czuła, jak płyn na nią naciska, wnika w jej ciało, wpełza przez pory i otwory. Chciała krzyknąć, lecz wtedy wpłynął również ustami, dusząc ją i dławiąc.

Nagle rozboleł ją płatek ucha. Krzyknęła i uwolniła kolczyk, rzucając go w głąbię.

Uwolniła również pas - i ukryte w nim fiołki - usuwając wszystkie metale dotykające jej ciała.

Wtedy zaczęła płonąć. Rozpoznała to uczucie - przypominało spalanie metali w żołądku, lecz tym razem obejmowało całe jej ciało. Jej skóra się paliła, mięśnie płonęły, również kości stały w ogniu. Sapnęła i uświadomiła sobie, że nie ma już metalu w gardle.

Świeciła. Czuła moc wewnątrz siebie, która próbowała wydostać się na zewnątrz. To było jak moc uzyskana przy spalaniu cyny z ołowiem, ale o wiele potężniejsza. Vin nie umiałaby jej pojąć, lecz moc jednocześnie wypełniła jej umysł, zmuszając ją do zrozumienia, co posiadała.

Mogła zbudować świat na nowo. Mogła odepchnąć mgły. Mogła nakarmić miliony machnięciem ręki, ukarać zło, ochronić słabych. Była pełna podziwu dla samej siebie. Jaskinia wokół niej wydawała się przezroczysta i widziała przed sobą cały świat, wspaniałą sferę, w której ludzie żyli jedynie na niewielkim terenie wokół biegunów. Mogła to naprawić. Mogła zmienić wszystko na lepsze. Mogła...

Mogła uratować Elenda.

Spojrzała w dół i zobaczyła, że on umiera. Natychmiast zrozumiała, co się z nim dzieje.

Mogła naprawić uszkodzoną skórę i organy wewnętrzne.

„Nie wolno ci tego zrobić, dziecko”.

Wstrząśnięta Vin uniosła wzrok.

„Wiesz, co musisz zrobić”, powiedział Głos, szepczący do niej. Wydawał się stary.

Łagodny.

- Muszę go uratować! - krzyknęła.

„Wiesz, co musisz zrobić”.

Wiedziała. Widziała, jak to się stało - widziała, jakby w wizji, Rasheka, kiedy wziął moc dla siebie. Widziała katastrofy, do jakich doprowadził.

Miała do wyboru wszystko albo nic - w pewien sposób jak w Allomancji. Gdyby wzięła moc, musiałaby ją spalić w kilka chwil. Zmieniając wszystko tak, jak sobie zażyczyła, ale tylko przez krótki czas.

Albo... mogła ją oddać.

„Muszę pokonać Głębię”, powiedział Głos.

To też widziała. Wokół pałacu, w mieście, w całym kraju. Ludzie we mgle, drżący, padający. Na szczęście, wielu pozostało w domach. Tradycje skaa wciąż były silne.

Niektórzy jednak wyszli. Ci, którzy uwierzyli w słowa Kelsiera, że mgły nie mogą zrobić im krzywdy. Ale teraz mogły. Teraz się zmieniły i przynosiły śmierć.

To była Głębia. Mgła, która zabijała. Mgła, która powoli przykrywała cały kraj. Śmierć była sporadyczna - Vin widziała wielu, którzy umierali, ale inni po prostu chorowali, a jeszcze inni chodzili wśród mgieł jak gdyby nic się nie zmieniło.

„Będzie gorzej”, powiedział cicho Głos. „Będzie zabijać i niszczyć. A jeśli spróbujesz powstrzymać ją samodzielnie, zrujnujesz świat, jak Rashek przed tobą”.

- Elend... - wyszeptała. Odwróciła się w jego stronę i patrzyła, jak się wykrwawia.

W tej chwili coś sobie przypomniała. Coś, co powiedział Sazed. „Musisz go kochać na tyle, by ufać jego wyborom”, powiedział jej. „To nie miłość, jeśli nie nauczysz się go szanować

- nie to, co uważasz za właściwe, lecz to, czego on rzeczywiście pragnie...”.

Widziała, jak Elend płacze. Widziała, jak skupia się na niej, i wiedziała, czego pragnął.

Chciał, by jego poddani żyli. Chciał, by świat zaznał pokoju i by skaa byli wolni.

Chciał, by Głębia została pokonana. Bezpieczeństwo jego ludu znaczyło dla niego więcej niż jego własne życie. O wiele więcej.

„Będiesz wiedziała, co zrobić”, powiedział jej kilka chwil wcześniej. „Ufam ci...”.

Vin zamknęła oczy, a po jej policzkach popłynęły łzy. Najwyraźniej bogowie też płaczą.

- Kocham cię - szepnęła.

Uwolniła moc. Miała w dłoniach możliwość, by zostać bogiem, i zrezygnowała z niej, wypuszczając ją w oczekującą pustkę. Zrezygnowała z Elenda.

Ponieważ wiedziała, że tego chce.

Jaskinia natychmiast zaczęła się trząść. Vin krzyknęła, gdy płonąca w niej moc została wyrwana, pochłonięta przez żarłoczną pustkę. Krzyczała, jej blask gasł, później wpadła do pustej sadzawki, uderzając głową o kamień.

Jaskinia nadal się trzęsła, ze sklepienia spadały kurz i odłamki kamienia. I nagle, w chwili nierealnej jasności umysłu, Vin usłyszała w głowie jedno zdanie.

„Jestem WOLNY!”.

...gdyż nie może uwolnić rzeczy, która jest tam uwięziona.

Vin leżała w ciszy i płakała.

W jaskini zapanował spokój, burza się skończyła. Istota zniknęła, a dudnienie w głowie w końcu ucichło. Pociągnęła nosem, tuląc do siebie Elenda, gdy wydawał kilka ostatnich oddechów. Wołała o pomoc, wzywała Hama i Spooka, ale nikt jej nie odpowiedział. Byli zbyt daleko.

Czuła się zimna. Pusta. Po tym, jak trzymała tak wiele mocy, a później ją utraciła, miała wrażenie, że jest niczym. I kiedy Elend umrze, tym właśnie będzie.

A jaki jest sens, pomyślała. Życie nic nie znaczy. Zdradziłam Elenda. Zdradziłam cały świat.

Nie była pewna, co się wydarzyło, lecz wiedziała, że popełniła straszliwy błąd.

Najgorzej, że tak bardzo starała się postąpić właściwie, nawet kiedy to bolało.

Coś nad nią stało. Podniosła wzrok na ducha mgły, ale nie czuła nawet wściekłości. W ogóle właściwie nic nie czuła.

Duch uniósł rękę i wskazał na coś.

- Skończyło się - wyszeptała.

Wskazał jeszcze raz.

- Nie dotrę do nich na czas - powiedziała. - Poza tym widziałam, jak poważna jest rana.

Widziałam to mocą. Żaden z nich nic nie robi, nawet Sazed. Powinieneś być zadowolony.

Dostałeś, co chciałeś... - Przerwała. Dlaczego duch ranił Elenda?

Żeby go uleczyła, pomyślała. Żeby powstrzymać mnie... przed uwolnieniem mocy.

Zamrugnęła. Duch zamachał ręką.

Powoli, ociężale wstała. Jak w transie przyglądała się duchowi, gdy przeleciał kilka kroków i wskazał na coś na ziemi. Po opróżnieniu sadzawki w jaskini panowała ciemność, oświetlana jedynie przez latarnię Elenda. Musiała rozjarzyć cynę, by zobaczyć, na co wskazuje duch.

Kawałek ceramiki. Dysk, który Elend wziął z półki na tyłach i trzymał w dłoni. Pękł przy upadku.

Duch mgły wskazywał z dużym naciskiem. Vin podeszła i pochyliła się, palcami odnalazła bryłkę metalu, która znajdowała się pośrodku dysku.

- Co to? - spytała.

Widmo odwróciło się i popłynęło w stronę Elenda. Vin podeszła w milczeniu.

Nadal żył. Wydawał się coraz słabszy i mniej drżał. Właściwie, zbliżając się do śmierci, lepiej nad sobą panował. Spojrzał na nią, gdy uklękła, a jego wargi się poruszały.

- Vin... - szepnęła.

Uklękła obok niego, spojrzała na bryłkę metalu i na ducha. Stał bez ruchu. Przetoczyła kawałek metalu między palcami i uniosła go do ust.

Duch poruszył się gwałtownie, potrząsając rękami. Zatrzymała się, a wtedy pokazał na Elenda.

Co? - pomyślała. Nie miała jednak czasu do namysłu. Uniosła bryłkę przed twarzą Elenda.

- Elendzie - wyszeptała, pochylając się blisko. - Musisz to połknąć.

Nie była pewna, czy ją zrozumiał, czy nie, choć wydawało jej się, że kiwnął głową.

Włożyła mu kawałek metalu do ust. Jego wargi się poruszyły, lecz zaraz zaczął się krztusić.

Muszę mu znaleźć coś do popicia, pomyślała. Miała jedynie swoje fiołki z metalami.

Sięgnęła do pustej studni, wyjęła kolczyk i pas. Wyciągnęła fiołkę i wlała płyn w jego usta.

Elend nadal kasłał, lecz płyn spełnił swoją rolę i pozwolił na przełknięcie kawałka metalu. Vin uklękła. Czuła się bezsilna, co było przygnębiającym kontrastem w porównaniu z tym, co czuła jeszcze kilka chwil wcześniej. Elend zamknął oczy.

I nagle jego twarz nabrała zdrowszego odcienia. Vin klęczała zdezorientowana i wpatrywała się w niego. Wyraz jego twarzy, odcień skóry...

Spaliła brąz i wstrząśnięta poczuła impulsy dochodzące od Elenda.

Spalał cynę z ołowiem.

# EPILOG

Dwa tygodnie później samotna postać dotarła do Domu Modlitwy Seran.

Sazed opuścił Luthadel w tajemnicy, dręczony myślami i wspomnieniem Tindwyl.

Zostawił kartkę. Nie mógł zostać w mieście. Nie w tej chwili.

Mgły wciąż zabijały. Atakowały przypadkowych ludzi, którzy wychodzili w nocy, bez szczególnego wzoru. Wielu ludzi nie ginęło, lecz chorowało. Innych mgła mordowała. Sazed nie wiedział, co sądzić o ich śmierci. Nie był nawet pewien, czy go to obchodzi. Vin mówiła o czymś strasznym, co uwolniła przy Studni Wstąpienia. Spodziewała się, że Sazed zostanie i będzie badał jej doświadczenie.

A on wyjechał.

Szedł ponurymi korytarzami, wyłożonymi stalą. Spodziewał się, że zastąpi mu drogę taki czy inny Inkwizytor. Może Marsh znów spróbuje go zabić. Kiedy wraz z Hamem powrócili z jaskini z zapasami, Inkwizytor znowu zniknął. Najwyraźniej wypełnił swoje zadanie.

Zatrzymywał Sazedą na tyle długo, by ten nie mógł powstrzymać Vin.

Sazed ruszył w dół po schodach, przeszedł przez salę tortur i w końcu dotarł do niewielkiej jaskini, którą odwiedził podczas pierwszej wizyty w Domu Modlitwy, przed wieloma tygodniami. Upuścił plecak na ziemię, otworzył go zmęczonymi palcami i spojrzał na wielką stalową płytę.

Ujrzał ostatnie słowa Kwaana. Ukląkł i wyjął z plecaka starannie związane arkusze papieru. Rozwiązał sznurek i wyciągnął pierwotny odcisk, wykonany w tej sali. Rozpoznał

swoje odciski palców na cienkim papierze, widział swoje pociągnięcia węglem. Rozpoznawał smugi, które sam zrobił.

Coraz bardziej zdenerwowany, uniósł odcisk i przycisnął go do stalowej płyty na ścianie.

Nie pasowały do siebie.

Sazed cofnął się o krok. Nie wiedział co myśleć, gdy jego podejrzenia się potwierdziły.

Odcisk wysunął się z palców, a jego spojrzenie napotkało zdanie na końcu płyty. Ostatnie zdanie, które duch mgły odrywał raz za razem. Pierwotne na płycie różniło się od tego, które Sazed zapisał i badał.

*Alendi nie może dotrzeć do Studni Wstąpienia, brzmiały starożytne słowa Kwaana, gdyż nie może uwolnić istoty, która jest tam uwięziona.*

Sazed siedział w milczeniu. To wszystko było kłamstwem, pomyślał tępo. Religia Terrisan... to, czego Opiekunowie szukali przez tysiąclecia i próbowali zrozumieć, było kłamstwem. Tak zwane proroctwa, Bohater Wieków... zmyślenie.

Oszustwo.

Jaki mógł istnieć lepszy sposób, by taka istota zyskała wolność? Ludzie byliby gotowi zginąć w imię proroctw. Chcieli wierzyć, mieć nadzieję. Jeśli ktoś - coś - mógł okiełznać tę energię, wypaczyć ją, mógł osiągnąć zadziwiające rzeczy...

Sazed uniósł wzrok, czytając słowa na ścianie, po raz kolejny odczytując drugą część.

Zawierała akapity, które różniły się od jego odcisku.

A raczej to odcisk został jakimś sposobem zmieniony. Zmieniony, by Sazed uwierzył w to, co chciała mu przekazać ta istota. *Zapisuję te słowa w stali*, tak brzmiały pierwsze słowa Kwaana, *gdyż nie można ufać temu, co nie zostało wykute w metalu*.

Sazed potrząsnął głową. Powinni byli zwrócić uwagę na to zdanie. Wszystko, co czytał

później, było najwyraźniej kłamstwem. Spojrzał na płytę, przebiegł po niej wzrokiem, dotarł do ostatniego fragmentu.

*I tak oto dochodzę do sedna swojej argumentacji. Przepraszam. Nawet wykuwając słowa w stali, siedząc i wydrapując je w tej lodowatej jaskini, mam skłonności do rozwodzenia się.*

*Na tym polega problem. Z początku uwierzyłem w Alendiego, później jednak zacząłem się robić podejrzliwy. Owszem, pasował do znaków. Lecz cóż, jak mogę to wyjaśnić?*

*Może chodzi o to, że pasował aż za dobrze?*

*Znam wasze argumenty. Mówimy o Oczekiwaniu, o sprawach przepowiedzianych, o obietnicach naszych największych proroków z czasów dawno minionych. Oczywiście Bohater Wieków będzie pasował do proroctw. Będzie pasował do nich doskonale. Na tym to polega.*

*A jednak... coś w tym wszystkim wydawało się takie dogodne. Zupełnie, jakbyśmy stworzyli bohatera, by pasował do naszych proroctw, zamiast pozwolić, by pojawił się sam z siebie. To było moje zmartwienie, które powinno było zmusić mnie do zastanowienia, kiedy moi bracia przyszli do mnie, w końcu skłonni uwierzyć.*

*Później zacząłem dostrzegać inne problemy. Niektórzy z was mogli słyszeć o mojej legendarnej pamięci. To prawda - nie potrzebuję metalmyśli Feruchemików, by w jednej chwili zapamiętać całą kartkę tekstu. I możecie mnie nazwać głupim, ale słowa proroctw się zmieniają.*

*Zmiany nie są wielkie. Można by rzec, sprytne. Słowo tutaj, niewielka zmiana tam. Ale słowa na kartach różnią się od tych, które mam w pamięci. Inni Dawcy Światów kpią ze mnie, gdyż mają swoje metalmyśli i dzięki nim mogą udowodnić, że księgi i proroctwa się nie zmieniły.*



*I dlatego muszę uczynić wielkie wyznanie. Istnieje coś - jakaś siła - która pragnie, byśmy uwierzyli, że nadszedł Bohater Wieków i że musi się udać do Studni Wstąpienia. Coś zmienia proroctwa, by doskonalej pasowały do Alendiego.*

*I czymkolwiek jest ta siła, może zmienić słowa w metalmyśli Feruchemika.*

*Niektórzy nazywają mnie szaleńcem. Jak już mówiłem, mogą mieć rację. Ale czyż nawet szaleniec nie powinien polegać na swoim umyśle i swoich doświadczeniach, nie zaś na innych?*

*Wiem, co zapamiętałem. Wiem, co jest teraz powtarzane przez innych Dawców Światów.*

*Różnią się od siebie.*

*Wyczuwam w tych zmianach przebiegłość, subtelną i błyskotliwą manipulację.*

*Spędziłem ostatnie dwa lata na wygnaniu, próbując dociec, co mogą oznaczać te zmiany.*

*Doszedłem do jednego wniosku. Coś opanowało naszą religię, coś nikczemnego, czemu nie można zaufać. Zwodzi na manowce i ukrywa. Wykorzystuje Alendiego, by niszczyć, prowadząc go ścieżką śmierci i smutku. Prowadzi go w stronę Studni Wstąpienia, gdzie przez tysiąclecie zbierała się moc. Mogę się jedynie domyślać, że zesłało Głębię, by ludzkość stała się bardziej zdesperowana i by skłonić nas do wypełniania jego woli.*

*Proroctwa się zmieniły. Mówią teraz, że Alendi musi oddać moc, kiedy ją weźmie.*

*Niegdyś teksty tego nie sugerowały - były bardziej niejasne. A nowa wersja czyni to imperatywem moralnym. Teksty opisują teraz straszliwe konsekwencje, jeśli Bohater Wieków weźmie moc dla siebie.*

*Alendi wierzy w to samo, co oni. Jest dobrym człowiekiem - wbrew wszystkiemu, jest dobrym człowiekiem. Poświęcającym się. Tak naprawdę, wszystkie jego działania - śmierć, zniszczenie i cierpienia, które wywołał - głęboko go zraniły. Tak naprawdę, wszystko to było dla niego swego rodzaju poświęceniem. Jest przyzwyczajony, by rezygnować z tego, czego pragnie, dla większego dobra, jak je postrzega.*

*Nie wątpię, że jeśli Alendi dotrze do Studni Wstąpienia, weźmie moc, a później - w imię rzekomego większego dobra - odda ją. Odda ją tej samej mocy, która zmieniła teksty. Odda ją tej sile zniszczenia, która skłoniła go do prowadzenia wojen, skusiła do zabijania, która tak zrećźnie poprowadziła go na północ.*

*Ta istota chce mocy zawartej w Studni i sprofanowała najświętsze zasady naszej wiary, by to dostać.*

*I dlatego podjąłem ostateczne ryzyko. Moje błagania, moje nauki, moje sprzeciwy, nawet moje zdrady okazały się nieskuteczne. Alendi miał teraz innych doradców, którzy mówili mu to, co chciał usłyszeć.*

*Mam młodego kuzyna imieniem Rashek. Nienawidzi Khlennium z całą pasją zazdrosnego młodzika. Alendiego nienawidzi jeszcze bardziej, choć przecież nigdy się nie spotkali, poczuł się bowiem zdradzony, gdy to jeden z naszych ciemiężców został uznany za Bohatera Wieków.*

*Alendi będzie potrzebował przewodnika przez góry Terris. Kazałem Rashekowi upewnić się, że to on i jego zaufani przyjaciele zostaną wybrani na przewodników. Rashek ma spróbować poprowadzić Alendiego w złą stronę, zniechęcić go lub w inny sposób uniemożliwić mu dotarcie do celu. Alendi nie wie, że został oszukany, że wszyscy zostaliśmy oszukani, i teraz mnie już nie posłucha.*

*Jeśli Rashekowi nie uda się zwieść wyprawy na manowce, to rozkazałem chłopakowi, by zabił Alendiego. Nie mam wielkiej nadziei. Alendi przeżył ataki skrytobójców, wojny i katastrofy. A jednak mam nadzieję, że w zamarzniętych górach Terris zostanie odsłonięty. Liczę na cud.*

*Alendi nie może dotrzeć do Studni Wstąpienia, gdyż nie może uwolnić istoty, która jest tam uwięziona.*

Sazed się skulił. To był ostatni cios, ostatnie uderzenie, które zabiło resztki jego wiary.

W tej chwili wiedział, że już nigdy nie uwierzy.

\*\*\*

Vin znalazła Elenda na szczycie muru, spoglądającego na miasto. Miał na sobie biały mundur, jeden z tych, które przygotowała dla niego Tindwyl. Wydawał się... twardszy niż jeszcze przed kilkoma tygodniami.

- Obudziłeś się - powiedziała, podchodząc do niego.

Pokiwał głową. Nie patrzył na nią, nadal przyglądając się miastu i krzątającym się ludziom. Spędził sporo czasu w gorączce, mimo leczniczej mocy swojej świeżo nabytej Allomancji. Chirurdzy nie byli pewni, czy przeżyje, nawet z pomocą cyny z ołowiem.

Udało mu się. I jak prawdziwy Allomanta, podniósł się z łóżka w dniu, w którym odzyskał przytomność.

- Co się stało? - spytał.

Potrząsnęła głową, opierając się o kamienne blanki. Nadal słyszała ten straszliwy, dudniący głos. „Jestem WOLNY...”.

- Jestem Allomantą - powiedział Elend.

Pokiwała głową.

- Najwyraźniej Zrodzonym z Mgły - mówił dalej.

- Chyba... wiemy już, skąd się wzięli - powiedziała. - Pierwsi Allomanci.

- Co stało się z mocą? Ham nie chciał mi powiedzieć, a inni znają tylko plotki.

- Uwolniłam coś - wyszeptała. - Coś, co nie powinno zostać wyzwolone; coś, co doprowadziło mnie do Studni. Nigdy nie powinnam była jej szukać, Elendzie.

Elend stał w milczeniu, nadal patrząc na miasto.

Odwróciła się i wtuliła w niego.

- To było straszne - powiedziała. - Czułam to. I je uwolniłam.

W końcu Elend ją objął.

- Zrobiłaś to, co uważałaś za najlepsze, Vin. Jak mogłaś wiedzieć, że wszystko, co ci mówiono, do czego cię szkolono i przygotowywano, było błędem?

Potrząsnęła głową.

- Jestem gorsza od Ostatniego Imperatora. On w końcu uświadomił sobie, że jest oszukiwany i wiedział, że musi wziąć moc, zamiast ją uwolnić.

- Gdyby on był dobrym człowiekiem, Vin - stwierdził Elend - nie zrobiłby tego wszystkiego, co zrobił tej krainie.

- Ja mogłam zrobić coś o wiele gorszego - sprzeciwiła się. - Ta istota, którą uwolniłam...

mgły zabijają ludzi i nadchodzą w ciągu dnia... Elendzie, co zrobimy?

Patrzył na nią przez chwilę, po czym znów zwrócił wzrok na miasto i ludzi.

- Będziemy robić to, czego nauczył nas Kelsier, Vin. Przeżyjemy.

# ARS ARCANUM

Poznaj obszerne notatki autora na temat każdego z rozdziałów, usunięte sceny i rozszerzoną informację o świecie na [www.brandonsanderson.com](http://www.brandonsanderson.com).

## SKRÓCONY WYKRES WŁAŚCIWOŚCI METALI

### **Metal**

### **Efekt allomantyczny**

# **Efekt feruchemiczny**

Żelazo

Przyciąga najbliższe metale

Magazynuje ciężar

Stal

Odpycha najbliższe metale

Magazynuje prędkość

Cyna

Wyostrza zmysły

Magazynuje zmysły

Cyna z ołowiem

Zwiększa możliwości fizyczne Magazynuje siłę

Cynk

Rozpala uczucia

Magazynuje ciepło

Mosiądz

Uspokaja uczucia

Magazynuje bystrość umysłu

Miedź

Ukrywa Allomancję

Magazynuje wspomnienia

Brąz

Ujawnia Allomancję

Magazynuje przytomność

Atium

Patrzanie w przyszłość innych

Magazynuje wiek

Malatium

Patrzanie w przeszłość innych

Nieznany

Złoto

Patrzanie w swoją przeszłość

Magazynuje zdrowie

Elektrum

Patrzanie w swoją przyszłość

Nieznany

## **SŁOWNICZEK**

**ALENDI** - Człowiek, który podbił świat przed tysiącem lat, przed Wstąpieniem Ostatniego Imperatora. Vin znalazła jego pamiątkę w pałacu Ostatniego Imperatora i z początku myślała, że to on został Ostatnim Imperatorem. Później odkryto, że jego sługa, Rashek, zabił go i zajął jego miejsce. Alendi był przyjacielem i protegowanym Kwaana, terrisańskiego uczonego, który sądził, że Alendi może być Bohaterem Wieków.

**ALLOMANCJA** - Mistyczna, dziedziczna moc związana z paleniem metali wewnątrz ciała, by uzyskać szczególne zdolności.

**ALLOMANTYCZNE METALE** - Istnieje osiem podstawowych allomantycznych metali. Występują w parach, składających się z metalu i jego stopu. Mogą również zostać podzielone na dwie grupy czterech metali wewnętrznych (cyna, cyna z ołowiem, miedź, brąz) i metali zewnętrznych (żelazo, stal, cynk, mosiądz). Bardzo długo sądzono, że istnieją jeszcze tylko dwa metale allomantyczne - złoto i atium. Jednak odkrycie stopów złota i atium zwiększyło liczbę metali do dwunastu. Pojawiały się również pogłoski dotyczące innych metali, z których jeden został odkryty (patrz Aluminium).

**ALLOMANTYCZNY IMPULS** - Sygnał dawany przez Allomantę, który spala metale.

Jedynie ktoś, kto spala brąz, może „usłyszeć” impuls allomantyczny.

**ALLRIANNE** - Jedyna córka Lorda Ashweathera Cetta.

**ALUMINIUM** - Metal, do spalania którego została zmuszona Vin w pałacu Ostatniego Imperatora. Metal ów, niegdyś znany jedynie Stalowym Inkwizytorom, niszczy wszystkie zapasy pozostałych metali posiadane przez Allomantę. Jego stop, jeśli istnieje, pozostaje nieznan.

**AMARANTA** - Jedna z nałożnic Straffa Venture. Zielarka.

**ASHWEATHER** - Imię Lorda Cetta.

**ATIUM** - Dziwny metal wydobywany niegdyś w Czeluściach Hathsin. Zbiera się wewnątrz niewielkich geod, które powstają w jaskiniach pod ziemią.

**BOHATER WIEKÓW** - Mityczny wybawiciel przepowiadany przez Terrisan.

Przepowiadano, że przybędzie, przyjmie moc Studni Wstąpienia, a później odda ją, by uratować świat przed Głębią. Alendi był uważany za Bohatera Wieków, lecz został zabity przed zakończeniem Misji.

**BREEZE** - Uspokajacz w grupie Kelsiera, obecnie jeden z najważniejszych doradców Elenda.

**BRZozowa ZGUBA** - Popularna trucizna.

**CAMON** - Dawny przywódca szajki Vin. Surowy człowiek, który często ją bił.

Wygany przez Kelsiera, został w końcu zabity przez Inkwizytorów.

**CETT** - Lord Ashweather Cett jest najważniejszym królem, który zdobył władzę w Zachodnim Dominium. Jego rodzinnym miastem jest Fadrex.

**CHANNEREL** - Rzeka, która przepływa przez Luthadel.

**CHMURA MIEDZI** - Niewidzialne pole osłaniające, utworzone przez kogoś spalającego miedź. Jeśli Allomanta spala metale Wewnątrz chmury miedzi, jego impulsy allomantyczne są niewidoczne dla tych spalających brąz. Termin ten odnosi się czasem również do Dymiarza (Mglistego, który spala miedź).

**CLADENT** - Prawdziwe imię Clubsa.

**CLUBS** - Dymiarz w ekipie Kelsiera, obecnie generał armii Elenda. Niegdyś był cieślą skaa.

**CYNOOKI** - Mglisty, który spala cynę.

**CYNOZBROJNY** - Inne określenie Zbira, Mglistego, który może spalać cynę z ołowiem.

**CZELUŚCIE HATHSIN** - Sieć jaskiń, niegdyś jedyne miejsce w Ostatnim Imperium, w którym wydobywano atium. Zajmowali się tym więźniowie Ostatniego Imperatora. Kelsier tuż przed śmiercią sprawił, że wydobywanie w nich atium stało się niemożliwe.

DAWCY ŚWIATÓW - Sekta uczonych terrisańskich Feruchemików z czasów przed Upadkiem. Późniejszy Zakon Opiekunów wywodził się z Dawców Światów.

DEMOUX, KAPITAN - Zastępca Hama, żołnierz straży pałacowej Elenda.

DOCKSON - Prawa ręka Kelsiera, nieformalny przywódca jego ekipy po śmierci Kelsiera. Nie posiada żadnych mocy allomantycznych.

DOMINIUM (OSTATNIE IMPERIUM) - Prowincja Ostatniego Imperium. Luthadel jest Środkowym Dominium. Cztery otaczające je dominia są zwane Dominiami Wewnętrznymi, w nich zamieszkuje większość populacji Ostatniego Imperium. Po Upadku, gdy rozpadło się Ostatnie Imperium, różni królowie próbowali przejąć władzę w dominiach, zmieniając je w samodzielne królestwa.

DOX - Pseudonim Docksona.

DYMIARZ (W ALLOMANCJI) - Allomanta, który spala miedź. Zwany również Chmurą Miedzi.

ELEND VENTURE - Król Środkowego Dominium, syn Straffa Venture.

FADREX - Średniej wielkości, dobrze ufortyfikowane miasto w Zachodnim Dominium.

Stolica i rodzinne miasto Ashweathera Cetta. Główny spichlerz Kantonu Zasobów.

FELT - Niegdyś jeden ze szpiegów Straffa, po upadku Luthadel został sam (jak większość ludzi Straffa). Przysiągł lojalność Elendowi.

GŁĘBIA - Mityczny potwór, lub moc, która zagrażała krainie tuż przed pojawieniem się Ostatniego Imperatora i stworzeniem Ostatniego Imperium. Określenie to pochodzi z terrisańskich podań. Przepowiadano, że Bohater Wieków przybędzie i pokona Głębię. Ostatni Imperator utrzymywał, że pokonał ją przed Wstąpieniem.

GNEORNDIN - Jedyne dziecko Ashweathera Cetta.

GORADEL - Niegdyś żołnierz w Garnizonie Luthadel, strzegł pałacu, kiedy Vin zdecydowała się do niego dostać i zabić Ostatniego Imperatora. Vin przekonała go do zmiany strony, a on później przeprowadził Elenda przez pałac, by ją uratował. Obecnie członek straży Elenda.

GÓRY POPIELNE - Siedem wielkich wulkanów, które pojawiły się w Ostatnim Imperium podczas Wstąpienia.

HAM - Zbir z ekipy Kelsiera, teraz kapitan straży pałacowej Elenda.

HAMMOND - Prawdziwe imię Hama.

HATHSIN - Patrz: Czeluście Hathsin.

IMPULS BRAZU - Inne określenie na Impuls Allomantyczny.



**INKWIZYTORZY, STALOWI** - Grupa dziwnych istot, kapłanów służących Ostatniemu Imperatorowi. Ich głowy przebijają stalowe gwoździe (z oczu wystają ich końce), ale nadal żyją. Byli fanatycznie oddani imperatorowi, a wykorzystywano ich głównie do odnajdowania i zabijania skaa posiadających moce allomantyczne. Mają zdolności Zrodzonych z Mgły i inne.

**JANARLE** - Zastępca Straffa Venture.

**JASTES LEKAL** - Dziedzic rodu Lekal, jeden z byłych przyjaciół Elenda. Często wraz z Teldenem rozmawiali o polityce i filozofii.

**KANDRA** - Rasa dziwnych istot, które mogą wchłonąć ludzkiego trupa, a następnie odtworzyć jego ciało. Zachowują kości człowieka, którego udają, gdyż same nie mają kości.

Zawierają z ludźmi Kontrakty - opłacane atium - i są spokrewnione z mgielnymi upiorami.

**KANTON** - Urząd w Stalowym Zakonie.

**KELL** - Przydomek Kelsiera.

**KELSIER** - Najślawniejszy przywódca złodziejskiej szajki w Ostatnim Imperium, wywołał bunt skaa i obalił Ostatniego Imperatora, lecz sam zginął. Był Zrodzonym z Mgły i nauczycielem Vin.

**KHLENNIUM** - Starożytne królestwo, które istniało przed powstaniem Ostatniego Imperium. Ojczyzna Alendiego.

**KLISS** - Kobieta, którą Vin знаła na dworze w Luthadel. Okazała się informatorką do wynajęcia.

**KOLOSSY** - Rasa zwierzęcych wojowników stworzonych przez Ostatniego Imperatora podczas Wstąpienia, wykorzystana przez niego do podbicia świata.

**KOTWICA (ALLOMANTYCZNA)** - Termin określający kawałek metalu, który Allomanta Odpycha lub Przyciąga, kiedy spala żelazo lub stal.

**KREDIK SHAW** - Pałac Ostatniego Imperatora w Luthadel. W starym języku terrisańskim oznacza „Wzgórze Tysiąca Iglic”.

**KWAAN** - Terrisański uczoney z czasów przed Upadkiem. Był Dawcą Światów i jako pierwszy błędnie uznał, że Alendi jest Bohaterem Wieków. Później zmienił zdanie i zdradził swojego przyjaciela.

**LADRIAN** - Prawdziwe imię Breeze'a.

**LAMOWIE, ZRODZENI Z MGŁY** - Grupa pisarska Brandona. Lamowie Zrodzeni z Mgły palą różne zioła, by zyskać dodatkowe moce. Na stronie można kupić podkoszulki.

**LESTIBOURNES** - Prawdziwe imię Spooka.

LUTHADEL - Stolica Ostatniego Imperium i największe miasto w krainie. Luthadel słynie z tkanin, kuźni i majestatycznych fortec arystokratycznych rodów.

MALATIUM - Metal odkryty przez Kelsiera, często nazywany Jedenastym Metalem.

Nikt nie wie, gdzie go znalazł i dlaczego sądził, że może zabić Ostatniego Imperatora.

Rzeczywiście dostarczyło Vin wskazówki potrzebnej do zabicia władcy.

MARDRA - Żona Hama. Nie lubi jego złodziejskiego sposobu życia, stara się chronić przed nim ich dzieci i zazwyczaj trzyma się z dala od całej ekipy.

METALMYŚL - Kawałek metalu wykorzystywany przez Feruchemika jako swego rodzaju bateria. Napełnia go określonymi atrybutami, które później może wykorzystać.

Poszczególne metalmyśli nazywane są od metali - cynomyśl, stalomyśl, itd.

MGIELNY PŁASZCZ - Strój noszony przez wielu Zrodzonych z Mgły jako symbol statusu. Szyje się go z wielu grubych pasków tkaniny, które na górze zszywa się razem, by swobodnie opadały z ramion.

MGIELNY UPIÓR - Nierozumny krewniak kandra. Mgielne upiory to bryły pozbawionego kości ciała, które nocami polują, pochłaniając znalezione ciała, i wykorzystują ich szkielety.

MGLISTY - Allomanta, który może spalać tylko jeden metal. Pojawiają się o wiele częściej niż Zrodzeni z Mgły. (Uwaga: Allomanta może mieć albo jedną moc, albo wszystkie.

Nie ma stadiów pośrednich z dwoma czy trzema).

MGŁA - Dziwny, wszechobecny opar, który każdej nocy opada na Ostatnie Imperium.

Jest gęstszy niż zwykła mgła, kłębi się i wiruje, jakby był żywy.

MONETOSTRZELNY - Mglisty, który spala stal.

MOORDEN - Jeden z obligatorów, który zdecydował się pozostać w Luthadel i służyć Elendowi.

OBLIGATORZY - Kapłani Ostatniego Imperatora. Byli nie tylko członkami religijnego bractwa, ale także urzędnikami i szpiegami. Umowy lub obietnicy, której świadkiem nie był

obligator, nie uważano za prawnie lub moralnie wiążącą.

OCALAŁY Z HATHSIN - Przydomek Kelsiera, wynikający z tego, że jako jedynemu udało mu się uciec z więzienia Czułości Hathsin.

ODPYCHANIE (W ALLOMANCJI) - Wykorzystanie Allomancji do Odpychania czegoś - ludzkich uczuć mosiądzem lub metali stalą.

OPADY POPIOŁU - Popiół często spada z nieba w Ostatnim Imperium ze względu na Góry Popielne.

OPIEKUN (TERRIS) - Słowo „Opiekun” jest często używane jako inne określenie na Feruchemika. W rzeczywistości Opiekunowie są organizacją Feruchemików zajmującą się odkrywaniem i zapamiętywaniem wszelkiej wiedzy i religii, które istniały przed Wstąpieniem.

Ostatni Imperator niemal ich zniszczył, zmuszając do pozostawania w ukryciu.

ORESEUR - Kendra zatrudniony przez Kelsiera. Niegdyś odgrywał rolę lorda Renoux, wuja Vin. Obecnie Vin jest właścicielką jego kontraktu.

OSTATNI IMPERATOR - Władca, który przez tysiąc lat rządził Ostatnim Imperium.

Niegdyś nazywał się Rashek i był terrisańskim sługą zatrudnionym przez Alendiego. Zabił

Alendiego, zamiast niego udał się do Studni Wstąpienia, tam przyjął moc i Wstąpił. Został zabity przez Vin.

OSTATNIE IMPERIUM - Imperium stworzone przez Ostatniego Imperatora. Nadał mu taką nazwę, gdyż będąc nieśmiertelnym, sądził, że będzie to ostatnie imperium w historii ludzkości, które nigdy nie upadnie ani się nie skończy.

PENROD, FERSON - Jeden z najważniejszych szlachetnie urodzonych w Luthadel.

Członek Zgromadzenia Elenda.

PHILEN - Znaczący kupiec w Luthadel i członek Zgromadzenia Elenda.

PODŻEGACZ - Mglisty, który spala cynk.

PODŻEGANIE (W ALLOMANCJI) - Stan, kiedy Allomanta spala cynk i Przyciąga uczucia człowieka, pobudzając je.

PRZYCIĄGANIE (W ALLOMANCJI) - Wykorzystanie Allomancji do Przyciągania czegoś - ludzkich uczuć za pomocą cynku lub metali żelazem.

PRZYCIĄGANIE ŻELAZA - Przyciąganie metalu podczas allomantycznego spalania żelaza. To Przyciąganie wywiera nacisk na metalowy przedmiot, szarpiąc nim i kierując w stronę Allomanty. Jeśli ten metalowy przedmiot, zwany kotwicą, jest cięższy od samego Allomanty, będzie on Przyciągany do źródła metalu.

RASHEK - Przed wstąpieniem był terrisańskim tragarzem, wynajętym przez Alendiego na czas podróży do Studni Wstąpienia. Rashek nigdy nie lubił Alendiego i w końcu go zabił.

Sam przyjął moc i został Ostatnim Imperatorem.

REEN - Brat Vin, który chronił ją i wyszkolił na złodziejkę. Reen był brutalny i nie umiał wybaczać, ale uratował Vin przed ich szaloną matką, a później chronił ją w dzieciństwie.

RENOUK, LORD - Szlachcic, którego Kelsier zabił, a później wynajął kandrę OreSeura, by go udawał. Vin odgrywała rolę jego siostrzenicy, Valette Renoux.

ROZJARZYĆ - Uzyskać nieco dodatkowej mocy z metalu allomantycznego, kosztem krótszego spalania.

SAZE - przydomek Sazed.

SAZED - Terrisański Opiekun, który dołączył do ekipy Kelsiera wbrew woli swojego ludu i pomógł w obaleniu Ostatniego Imperium.

SHAN ELARIEL - Była narzeczona Elenda, Zrodzona z Mgły zabita przez Vin.

SIĘGNIĘCIE (FERUCHEMIA) - Czerpanie mocy z feruchemicznej metalmyśli.

Odpowiada „spalaniu” przez Allomantów.

SKAA - Chłopstwo Ostatniego Imperium. Niegdyś skaa pochodzili z różnych ras i narodowości, lecz przez tysiąc lat istnienia imperium Ostatni Imperator pozbawił ich jakiegokolwiek tożsamości, tworząc jednorodną rasę niewolników.

SKRZYNIEC - Potoczne określenie imperialnej złotej monety. Nazwa pochodzi od widocznego na rewersie Kredik Shaw, pałacu Ostatniego Imperatora - „skrzyni”, w której mieszka.

SPALENIE (W ALLOMANCJI) - W ten sposób Allomanci wykorzystują metale w żołądkach. Najpierw muszą połknąć metal, a później allomantycznie go metabolizować, by wykorzystać jego moc.

SPALONE KRAINY - Pustynie na granicach Ostatniego Imperium.

SPINKA (MONETA) - Potoczna nazwa imperialnego miedziaka w Ostatnim Imperium.

Często wykorzystywana przez Zrodzonych z Mgły i Monetozrzelnych do skakania i atakowania.

SPOOK - Cynooki w ekipie Kelsiera. Najmłodszy ze wszystkich, podczas obalenia Ostatniego Imperatora miał piętnaście lat. Jest siostrzeńcem Clubsa i niegdyś porozumiewał się głównie w ulicznym dialekcie.

STALOWY ZAKON - Klasa kapłańska Ostatniego Imperatora. Zalicza się do niej niewielka liczba Stalowych Inkwizytorów i większa kapłanów zwanych obligatorami. Stalowi Ministrowie byli nie tylko organizacją religijną, ale także służbą cywilną Ostatniego Imperium.

STRAFF VENTURE - Ojciec Elenda, król Północnego Dominium. Zamieszkiwał w Urteau.

STUDNIA WSTĄPIENIA - Mityczne źródło mocy z terrisańskich podań. Podobno znajdowały się w niej magiczne zapasy mocy, które mógł wykorzystać ten, kto przybył do niej we właściwym czasie.

SYNOD (TERRIS) - Elitarni przywódcy organizacji Opiekunów.

SZARPACZ - Mglisty, który spala żelazo.

SZPERACZ (W ALLOMANCJI) - Mglisty, który spala brąz.

TATHINGDWEN - Stolica Dominium Terris.

TELDEN - Jeden ze starych przyjaciół Elenda, z którym często rozmawiał o polityce i filozofii.

TENSOON - Kandra Straffa Venture.

TERRIS - Dominium na dalekiej północy Ostatniego Imperium. Jako jedyne zachowało swoją dawną nazwę, być może z sympatii, jaką Ostatni Imperator żywił do swojej ojczystej krainy.

TINDWYL - Terrisańska Opiekunka i członek Synodu.

UPADEK - Śmierć Ostatniego Imperatora i upadek Ostatniego Imperium.

URTEAU - Stolica Północnego Dominium i siedziba rodu Venture.

USPOKAJACZ - Mglisty, który spala mosiądz.

USPOKAJANIE (W ALLOMANCJI) - Stan, kiedy Allomanta spala mosiądz i Odpycha ludzkie uczucia, tłumiąc je.

UWOLNIENIE (W FERUCHEMII) - Stan, kiedy Feruchemik przestaje korzystać z mocy metalmyśli.

VALETTE RENOUK - Fałszywa tożsamość, której używała Vin, by przeniknąć do kręgów szlachetnie urodzonych w czasach przed Upadkiem.

WSTĄPIENIE (OSTATNIEGO IMPERATORA) - Wstąpienie to termin opisujący to, co się stało z Rashekiem, kiedy przyjął moc Studni Wstąpienia i stał się Ostatnim Imperatorem.

YEDEN - Członek ekipy Kelsiera i uczestnik buntu skaa. Zabity w walce przeciwko Ostatniemu Imperatorowi.

YOMEN, LORD - Obligator w Urteau, polityczny wróg Cetta.

ZBIR (W ALLOMANCJI) - Mglisty, który spala cynę z ołowiem.

ZGASZENIE (W ALLOMANCJI) - Przerwanie spalania metalu allomantycznego.

ZRODZONY Z MGŁY - Allomanta, który może spalać wszystkie allomantyczne metale.

ŻELAZNOOKI - Przydomek Marsha.